

Péter Nádas

Pamięć



Péter Nádas

Pamięć

Przełożyła  
Elżbieta Sobolewska

Biuro Literackie • Stronie Śląskie 2017

Proza 47

Péter Nádas: *Pamięć*

Przekład: Elżbieta Sobolewska

Redakcja i korekta: Joanna Mueller

Na okładce: Attila Szűcs, „Red Room”

Projekt typograficzny i skład wersji elektronicznej: Mateusz Martyn

Copyright © 1986 by Péter Nádas

First published under the original Hungarian language title *Emlékiratok könyve*,  
Jelenkor Kiadó, 1986

Copyright © by Elżbieta Sobolewska, 2017

Copyright © by Biuro Literackie, 2017

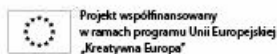
Biuro Literackie

poczta@biuroliterackie.pl

www.biuroliterackie.pl

ISBN 978-83-65358-64-6

Wszelkie powielanie lub wykorzystywanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż  
jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich  
i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.



Książka wydana z okazji obchodów Roku Kultury Węgierskiej 2016–2017



Zrealizowano dzięki wsparciu finansowemu Hungarian Books and Translations Office – Petőfi  
Literary Museum



Część prac nad przekładem zrealizowano w ramach stypendium z Funduszu Promocji  
Twórczości Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego



## Spis treści

[Urok mojej inności](#)  
[Popołudniowy spacer](#)  
[Słońce jeszcze przygrzewało](#)  
[Przyszedł telegram](#)  
[Spoczęliśmy na dłoni Boga](#)  
[Ból ciągle powracał](#)  
[Utrata i powrót świadomości](#)  
[Popołudniowy spacer, ciąg dalszy](#)  
[Dziewczęta](#)  
[Pokój Melchiora na poddaszu](#)  
[Opis dawnego fresku](#)  
[Trawa porośla palenisko](#)  
[Opis teatralnego spektaklu](#)  
*Table d'hôte*  
[Rok pogrzebów](#)  
[W którym opowiada Thei wyznanie Melchiora](#)  
[Tajemne nocne rozkosze](#)  
[To już koniec](#)  
[Ucieczka](#)

## Urok mojej inności

Mój ostatni berliński pokój wynajmowałem u Kühnertów, daleko, na Schöneeweide, na pierwszym piętrze willi porośniętej winem.

Czerwieniły się liście winogron, do poczerniałych owoców zlatywały ptaki, nadeszła jesień.

Nic dziwnego, że przypomina mi się ten pokój, od tamtego czasu upłynęły trzy lata, trzy jesienie, już więcej nie pojedę do Berlina, nie mam do kogo ani nie mam po co, dlatego właśnie piszę, że to było moje ostatnie berlińskie mieszkanie, dobrze o tym wiem.

Sam chciałem, żeby było ostatnie, ale stało się tak zupełnie niezależnie od mojej woli, aczkolwiek to bez znaczenia; i tym się pocieszam, kurując przykry jesienny katar, a mój mózg, nie będąc w stanie zająć się niczym innym, zakatarzony krąży wokół istotnych spraw i przypomina mi moje berlińskie jesienie.

Nie o to chodzi, że z łatwością przychodzi mi zapomnieć.

Na przykład o mieszkaniu na pierwszym piętrze, przy ulicy Steffelbauera.

Oczywiście nie wiem, czy może to interesować kogokolwiek poza mną samym.

Nie zamierzam pisać relacji z podróży, mogę opisać jedynie to, co należy do mnie, na przykład historie moich miłości, choć właściwie też nie, gdyż nie sędzę, abym potrafił opowiedzieć historię ważniejszą od moich osobistych doświadczeń, aczkolwiek nie wierzę już, że może istnieć coś większej wagi niż te nieistotne w gruncie rzeczy i nieciekawe wydarzenia, lub, mówiąc ściślej, nie wiem, czy może, i dlatego w to nie wierzę, i natychmiast idę na kompromis, coraz łatwiej idę na kompromis, czy będą to wspomnienia, czy cokolwiek, co mi coś przypomina, cokolwiek, co ma związek z bólem i rozkoszą, jakie łączą się ze wspomnieniami, niech będzie to coś takiego, co człowiek pisze na stare lata, niech będzie to zaczyn tego, co pewnie poczuję za czterdzieści lat, jeśli w ogóle dożyję siedemdziesiątego trzeciego roku życia i będę jeszcze cokolwiek pamiętał.

Katar powoduje, że wszystko dociera do mnie z większą siłą, żal byłoby przepuścić taką okazję.

Opowiem, dajmy na to, że do Kühnertowej przyprowadziła mnie Thea, Thea Sandstuhl, na ulicę Steffelbauera, w południowej dzielnicy Berlina, nazywanej Schöneeweide, czyli „piękna łąka”, która leży około trzydziestu minut od serca miasta, od Alexanderplatz, a jeśli ktoś spóźni się na zawsze punktualne połączenie autobusowe i musi czekać na deszczu, to czterdziestu albo nawet sześćdziesięciu minut.

Zorganizowała to mieszkanie czy, wyrażając się ściślej, jakoś je załatwiła.

W dniach spędzanych w towarzystwie kataru oczywiście przypomniła mi się także ona, choć dziwnym zbiegiem okoliczności wcale nie z powodu zwracających uwagę charakterystycznych rzeczy, które wyróżniały ją spośród innych: czerwonego sweterka, czerwonego puszystego płaszcza i niesamowitej ilości czerwieni obecnej w jej stroju, ani zmarszczek na dziewczęcej twarzy, delikatnych, lekko drżących bruzdek, których nie chciała niczym maskować, mimo że miała z nimi problem, co widać było po tym, jak sztywno trzymała szyję, wysuwała ją do przodu, jak gdyby mówiąc: proszę, tu jest moja twarz, taka się zrobiłam, stara i brzydka, proszę uprzejmie, a przecież też byłam piękna i młoda, możecie się pośmiać, choć to akurat nikomu nie przychodziło do głowy, bo wcale nie była brzydka, i zapewne opory, jakie budziły w niej pojawiające się zmarszczki, stały się przyczyną jej nieszczęśliwej miłości;

lecz nie to przypomniało mi się w związku z Theą ani też nie to, jak siedzi w jego pokoju, czerwony fotel, białe firanki, czerwony dywan, raczej przypomniał mi się jej płacz i śmiech, wielkie, żółte od papierosów, końskie zęby, nie sceniczny śmiech albo płacz, bo ten niewiele ma wspólnego z prawdziwym szlochem, albo jak się złości i w jej zwięzających się oczach widać drwinę, a sucha skóra na brodzie staje się napięta; przypomniało mi się jeszcze drzewko rosnące na dziedzińcu synagogi przy ulicy Ryke, ta sucha akacja jakoś mi się z nią kojarzyła, do pnia drzewka była przytwierdzona tabliczka z napisem „Zabrania się chodzić po drzewach”, tylko że kto chce się wspinać na drzewo trzydzieści lat po wojnie, w piątkowy wieczór, na dziedzińcu synagogi we wschodnim Berlinie?, kto może na coś takiego mieć ochotę?, kiedy mówię do niej, że mam temperaturę, z oświetlonej bożnicy wylewają się na tonący w żółtym świetle podwórzec długie cienie Żydów, ona tymczasem matczynym gestem przykłada mi dłoń do czoła, ale widzę po jej twarzy, czuję, że nie sprawdza, czy mam temperaturę, ale raczej rozkoszuje się moją skórą, ciągle jeszcze młodą i pozbawioną zmarszczek.

Może właśnie dlatego zaraz zacznę głupio się tłumaczyć, że opis, który teraz nastąpi, nie jest dziennikiem podróży i że wcale nie chcę być podobny do Arno Sandstuhla, męża Thei, który pisze właśnie takie książki, ani nie chcę, żeby on był podobny do mnie, może, zdaję sobie z tego sprawę, mój brak akceptacji dla tego człowieka wynikał po prostu z zazdrości o tę niewinną pasję Arno, że sobie jeździ po świecie, a potem to opisuje, ale fakt ten z pewnością wzbudził we mnie pewne podejrzenia; stąd naprawdę wyjechać mogą tylko nieliczni, a o pasji do podróży tutejsi ludzie mogli najwyżej coś słyszeć, on tymczasem, wybraniec, o ile dobrze pamiętam, był w Tybecie i w Afryce, jednak coś każe mi sądzić, że mój bezpodstawny brak sympatii do niego nie brał się tylko z tego przelotnego podejrzenia, nie z zarzutów, jakie mu stawiałem, ani nawet z zazdrości, lecz z dwuznacznego zachowania Thei, która niechcący dotknęła sekretne go okresu mojego życia.

Kiedy pierwszy raz byliśmy u nich z wizytą, mieszkali po drugiej stronie miasta, bardzo daleko, chyba gdzieś w okolicach Lichtenbergu, nie wiem dokładnie, kiedy jechaliśmy gdzieś razem, zawsze zdawałem się na Melchiora, odkąd go poznałem, nie patrzyłem na nic innego, tylko na jego twarz, jego twarz zamieszkała w mojej twarzy, i nie starczało mi już uwagi na takie drobiazgi jak to, którędy jedziemy, on patrzył na mnie, a ja patrzyłem na niego; po raz ostatni spotkałem się z Theą w S-Bahnie, przypadkowo, wtedy Melchiora już nie było w Berlinie, a Thea została sama, bo Arno wyprowadził się od niej, wpadliśmy na siebie na stacji przy ulicy Friedricha, kilka minut przed północą, „znowu szlag trafił mój samochód”, rozstaliśmy się przy Ostkreuz, ja musiałem się przesiąść w kierunku Schöneweide, nadal mieszkalem u Kühnertów, a ona jechała dalej, do domu, z tego spotkania wnoszę, że musieli mieszkać gdzieś w okolicach Lichtenbergu, gdzie niedzielnego popołudnia, kiedy pierwszy raz byliśmy u nich z wizytą, rozmawiałem z Arno jak pisarz z pisarzem, z namysłem, poważnie i nudno.

A stało się tak z powodu Thei, to ona sprawiła, że nasza wizyta była sztywna i uroczysta, otóż kiedy Arno, spóźniwszy się chwilę, wszedł do pokoju, a ja podniosłem się z fotela, Thea przytrzymała nas za łokcie, nie pozwalając, abyśmy podali sobie ręce; jak gdyby chciała nam dać do zrozumienia, że i bez tego coś nas łączy: „Dwaj pisarze zmagający się z kryzysem twórczym”, powiedziała, nawiązując do mojego poufnego stwierdzenia, i te więzy miały okazać się silniejsze od uścisku dłoni, do którego nie doszło, gdyż to jedno jedyne zdanie bezwstydnie zdradziło przede mną cierpienia Arno i moje cierpienia przed nim, Thea jednak tym wydającym nas obydwóch gestem chciała pomóc mężowi, z moją pomocą, za moją cenę, i to spowodowało, że teraz we troje należeliśmy do siebie, że troje zaczęliśmy jechać na tym samym wozie; nie

patrzyliśmy sobie w oczy, gdyż nikt nie lubi, kiedy pokazuje mu się jego sobowtóra, do którego nie jest i wcale nie chce być podobny.

Sytuacja wydawała mi się bardzo dobrze znajoma, w czym, rzecz jasna, nie było ich winy.

A Melchior tylko śmiał się z nas, dwaj głupi pisarze, istotnie musieli stanowić zabawny widok, i wtedy, ze złości albo z bólu, pomyślałem sobie, że Arno dlatego może sobie jeździć po świecie, że jest zawodowym wojskowym agentem, szpiclem, szpiegiem, tylko tak, na marginesie, możliwe jednak, że pomyślałem wówczas, iż sobie myśli: nie, nie szkodzi, ani trochę nie szkodzi, że tak o nim myślę, bo przecież on wie o mnie to, co ja chciałbym utrzymać w tajemnicy, Melchior nie ukrywał bowiem przed Theą kierowanych ku mnie spojrzeń, nie tając w ten sposób tego, co miało pozostać sekretem, że jesteśmy nie tylko dobrymi przyjaciółmi, lecz także kochankami, i że Arno z pewnością o tym wie.

W dodatku musiałem okazywać mu szacunek; po pierwsze dlatego, że był dużo ode mnie starszy, miał około pięćdziesiątki, po drugie – nie miałem pojęcia, o czym pisze, wiedziałem tylko, że przewodniki, i że jego książki ukazują się w stutysięcznych nakładach, i równie dobrze mogą to być wielkie dzieła, tak więc najbardziej oczywiste wydawało się, żebym zachowywał się z ostrożnością, uprzejmie i z szacunkiem, ale ta wzajemnie powściągliwa rozmowa, podczas której Thea, niczym urzędniczka w dzień wolny od pracy, nakrywała do kolacji, a Melchior szeptał coś na mój temat, była dla nas obojdwóch krępująca.

Tymczasem Arno robił wszystko, by sprostac powierzonej mu roli, interesował się, czym zajmuję się podczas moich studiów nad teatrem, co piszę, był miły i czarujący, zażenowany swoją silniejszą pozycją, nawet w kilku słowach podsunął mi zręczną wymówkę, że przecież nie chce drażnić szczegółów, żebym tylko powiedział „tak ogólnie, rzecz jasna, inaczej przecież nie można, nie mam na myśli treści, tylko zarys”, rzekł, uśmiechając się, ale bruzdy, które pojawiły się wokół jego ust, zdradzały, że częściej bywa zamyślony niż uśmiechnięty, i że nie ma zwyczajnie patrzeć w oczy, jak gdyby czegoś się wstydził albo miał coś do ukrycia.

A jednak nim zdążyłem coś odpowiedzieć, spojrział mi w oczy, i choć nie wiem, czy zaciekało go to, co powiedziałem, był szczery, a to musiałem docenić, ponieważ kiedy czyjś wzrok studiuje treści ukryte za słowami, ciekaw, powiedzmy, związku, w jakim moja pisarska działalność pozostaje z faktem, że będąc mężczyzną, jestem zakochany w drugim mężczyźnie, gdyż przypuszczam, że właśnie takie myśli zajmowały go podczas naszej rozmowy, kiedy więc czyjeś zainteresowanie, zapominając o rozumie, próbuje w drugim człowieku dotknąć istoty jego zmysłowości, to tę chwilę należy uznać za bardzo cenną i poważną.

Wiedziałem, że kiedyś już stałem tak naprzeciw pewnego mężczyzny, w pokoju, całkowicie zdany na jego łaskę i niełaskę.

Arno, który pozornie godził się na wszystkie szaleństwa Thei, teraz jak gdyby uciekał wzrokiem od narzuconej nam przez Theę, niewygodnej dla nas obojwojga sytuacji, nie mogłem nie dostrzec tego w jego pięknych piwnych oczach, ale bardziej byłem zajęty wspomnieniami i słuchaniem tego, co Melchior szeptał do Thei, niż tym, co powiedziałem Arno o moich pisarskich planach, i nie dostrzegłem, że dzięki jego wzrokowi wreszcie możemy być swobodni, jego oczy stały się dziecinnie ciekawe, otwarte i zachłanne, starannie dobierając słowa, albo nawet bez słów, mogliśmy sprawić, aby nasza rozmowa stała się nie tylko przyjemna, lecz także pełna treści; ale nie zrobiłem tego, nie odwzajemniłem jego spojrzenia, kiedy skończyłem mówić o sobie, o nic nie zapytałem, chciałem być uprzejmy, no i tak było mi wygodnie, po prostu powtórzyłem pytanie, które on sam mi zadał, i dopiero wtedy dostrzegłem, że powtórzone pytanie wniosło do naszej relacji obojętność, a kiedy dziwnie podnosząc do skroni



obydwie dłonie, zrobił ośle uszy i skinął ręką, straciłem z nim kontakt wzrokowy.

Ten gest nie oznaczał, ma się rozumieć, niedoceniaenia własnej pasji czy własnej pracy, mówił raczej o zadziwieniu, urazie, rezygnacji z nadziei, że kiedykolwiek ktokolwiek go zrozumie, „Och, ja jestem tylko alpinistą”, rzekł, gestykulując niczym turysta, którego pytają, jak się udała wyprawa i czy była dobra pogoda, ale jak może się udać wyprawa i jaka może być pogoda?

Oczywiście odpowiedział na moje pytania, podobnie jak ja odebrał porządne mieszczańskie wychowanie, które uczy człowieka radzić sobie z brakiem zainteresowania, kłopotliwą sytuacją czy złością, uciekł się do neutralnej pogawędki, mówił tak jak zazwyczaj berlińczycy, jak gdyby wypowiadając każde słowo, płukał usta wodą, ale ja skupiałem się na czymś innym, na tym, co Melchior szeptał do Thei, mianowicie co zrobiłem na obiad, i nawet gdybym zrozumiał, co mówi do mnie Arno, swoją postawą, pochylonymi plecami, dawał mi do zrozumienia, że to nic ciekawego, że tylko ot tak sobie mówi, zabawia mnie słowami, a ja niemal straciłem głos, bo gotowałem się z powodu zbyt prywatnych opowieści Melchiora, i chciałem dać mu znać, żeby dał sobie spokój i się zamknął!, z drugiej strony domyśliłem się, albo wydawało mi się, że się domyślam, skąd jest mi tak dobrze znana ta poorana bruzdami, mówiąca coś do mnie twarz, mogła być twarzą mojego dziadka, gdyby dziadek urodził się Niemcem, powaga, cierpliwość i pozbawiona humoru pewność siebie, twarz demokracji, o ile taka istnieje, tak więc nie tylko nie potrafiłem pojąć sensu jego słów, ale sam straciłem głos, stał przede mną jak coś, co mogę zobaczyć, a ja tylko tyle z tego wszystkiego rozumiem, że ciągle bardzo się pilnuje, pilnuje się, żeby nie powiedzieć niczego, co mogłoby być interesujące, żeby nie wprawić mnie w zakłopotanie czymś, czego musiałbym uważnie słuchać, i nim Thea skończyła nakrywać stół, zostawił mnie na środku pokoju; stałem oparty o fotel, lekko się huśtając, a Arno, prosząc o wybaczenie, wrócił do swojego pokoju.

Ładnie nakładają się na siebie jesienne obrazy.

Nigdy nie czułem się bardziej samotny.

Nigdy nie przeżywałem niczego, co wprawdzie wiązałoby się z moją przeszłością, ale ta przeszłość była jedynie daleką aluzją, aluzją do moich mało ważnych cierpień, zawieszoną w próżni, jak wszystkie chwile, które mogę nazwać teraźniejszością, wspomnienie smaków i zapachów ze świata, do którego już nie należę, mógłbym go nawet nazwać porzuconą ojczyzną, ale na próżno, nadaremnie bym go opuścił, skoro tu też nic mnie z niczym nie wiąże, tu też jestem obcy, i nawet bez znaczenia jest ten jeden jedyny człowiek, którego kocham, Melchior, on też nie potrafi mnie tu zatrzymać, jestem stracony, nie istnieje, wszystkie moje kości i chrząstki zamieniły się w galarete, czuję, że jestem oderwany od wszystkiego, że do niczego nie jestem przywiązany, a jednak czuję się czymś, na przykład ropuchą, ciężko wtulam się w ziemię, jak oślizgły ślimak, cichutko nadśluchuję swojej nicości, nic się ze mną nie dzieje, jak gdyby w tej nicości była moja przyszłość, a z powodu nadchodzących jedna po drugiej jesieni także moja własna przeszłość.

I tej jesieni, w ostatnim pokoju mieszkania przy ulicy Steffelbauera, gdzie przed moim oknem rosły dwa klony, jeszcze młode i zielone, w otworze po wybitej nad oknem cegle zagnieżdżyły się wróble, powinienem już nie tylko to czuć, ale także o tym wiedzieć, tymczasem czepiałem się nadziei, że odnajdę jakieś szczególne, całkiem wyjątkowe i tylko dla mnie zrozumiałe związki, że nadarzy się sytuacja, coś, jakiś nastrój, chociażby tragedia, dzięki którym w tej nieokreślonej nicości znajdę jakieś wytłumaczenie, że znajdę coś, co będzie do uratowania, co przyniesie sens i uratuje także mnie samego, wyswobodzi mnie z tej zwierzęcej egzystencji,

ale nie poprzez moją przeszłość, bo ta już mi się śmiertelnie znudziła, smak czkawki bywa dla człowieka takim mało eleganckim ostrzeżeniem, ani nie poprzez moją przyszłość, gdyż już dawno przestałem o niej myśleć, bałem się zaplanować nawet najbliższą chwilę, ale teraz czekałem na objawienie, na zbawienie, mogę się do tego przyznać, gdyż jeszcze nie wiedziałem, że wystarczy, jak znam to wielkie nic, mówiąc ściślej.

Thea, która była przyjaciółką Kühnertowej, przywiozła mnie swoim samochodem do mieszkania, w którym tak wiele czasu spędzałem sam.

Mogę właściwie powiedzieć, że cały czas byłem sam; jeszcze nigdy nie przeżywałem w ten sposób samotności w obcym mieszkaniu, wśród mebli na wysoki połysk, słońca wpadającego przez szczeliny w zasłonach, wzorów na dywanie, blasku podłogi, jej trzeszczenia, ciepła kafłowego pieca, ciepła, które czekało na wieczór, kiedy wrócą domownicy i zasiądą przed telewizorem.

Dom był cichy i tylko trochę ładniejszy od większości zniszczonych domów w okolicy Prenzlauerberg, „szare ptaki, stare berlińskie podwórka”, jak napisał kiedyś Melchior w przypominającym odę wierszu, tu też znajdowały się wytoczona z drewna, pomalowana na szaro poręcz, jak w moich poprzednich berlińskich mieszkaniach, na ulicy Chaussee albo na placu Wörthera, i pokryte ciemnym linoleum drewniane schody, wokół roznosił się klozetowy zapach pasty do podłogi, tak jak wszędzie w oknach klatki schodowej znajdowały się kolorowe witraże, już tylko połowa z nich była oryginalna, bogate kwieciste wzory z przełomu wieków, druga część okna była wypełniona szkłem, jakie się wstawia w zwyczajnych drzwiach, dlatego wszędzie panował sprawiający wrażenie biedy półmrok, podobnie jak w kamienicy przy ulicy Stargarder, gdzie mieszkałem najdłużej, i przywykłem, że tak właśnie wygląda klatka schodowa, choć ciągle jeszcze nie wydawała mi się taka swojska, jak którakolwiek klatka schodowa w Budapeszcie, brakowało mi jej przeszłości, nawet jeśli ta przeszłość dawała o sobie znać w najrozmaitszy sposób, chciałem zrozumieć wysyłane do mnie znaki, choć wiedziałem, że Melchior nie będzie z tego powodu bardziej do mnie należał, a jednak kiedy po południu wracałem do domu, na klatce schodowej zawsze wyobrażałem sobie, zamiast mnie, twarz młodego mężczyzny, który kiedyś dawno przyjechał do Berlina, ów mężczyzna był dziadkiem Melchiora, i to on stał się bohaterem tej z każdym dniem coraz bardziej zawiłej historii, gdyż to właśnie on widział szklane kwiaty połyskujące w świetle podwórek, całe i nowe, kiedy przychodził do tej kamienicy i szedł na górę po schodach, widział jej geometrię, wyobrażoną przeszłość widoczną w czasie teraźniejszym.

Na dole, w ciemnej bramie, nawet w dzień należało przycisnąć błyskający czerwonym światelkiem włącznik, by zapalić światło na czas wystarczający do wejścia na półpiętro, tam trzeba było włączyć je ponownie, czasami jednak wchodziłem w ciemnościach, bo w nocy światło przycisku widoczne za dnia przypominało światło latarni morskiej na otwartym morzu, lubiłem na nie patrzeć i dlatego nie naciskałem guziczka, klatka schodowa tonęła w ciemnościach, i jeśli nawet nie wiedziałem, ile jest schodów, to ich skrzyp był wystarczającym drogowskazem, a na półpiętrach kierunek wskazywała mi czerwona lampka, więc rzadko zdarzało mi się źle stąpnąć po schodach.

W kamienicy przy placu Wörthera, w której mieszkał Melchior, robiłem podobnie, chodziłem tam niemal każdego wieczora, na drugim piętrze śledziła mnie przez wizjer w drzwiach poczciwa Hübnerowa, podobno siadała na wysokim stołku, ale jak wchodziłem w ciemnościach, nie widziała, kiedy wchodzę na górę, słyszała tylko, że ktoś idzie, i otwierała drzwi zbyt szybko lub zbyt późno.

Tu, w domu przy ulicy Steffelbauera, nie działało światło na klatce schodowej, paliło się tylko wtedy, gdy ktoś naciskał kontakt, a Kühnertowa, kiedy wieczorem szykowałem się do wyjścia i akurat była w kuchni, wychodziła, żebym nie schodził po ciemku, choć starałem się niepostrzeżenie wymknąć ze swojego pokoju, przeszkadzało mi bowiem, że o każdym moim kroku informuje Theę, która chce wszystko wiedzieć o Melchiorze, co więcej, po pewnym czasie nabrałem przekonania, że Hübnerowa też jest na jej usługach, jednak prawie nigdy nie udawało mi się wychodzić na tyle cicho, „Proszę pana! Przecież tu jestem, zaraz zapalę światło”, wybiegała z kuchni i trzymała kontakt, aż zbiegłem na parter, „Dziękuję”, wołałem, myśląc sobie, że Hübnerowa już czeka na drugim piętrze, bym ją grzecznie przywitał w smudze światła wydostającej się z jej mieszkania, ale w nocy, jeśli wracałem do domu, a z ulicy już nie dochodziło światło, musiałem stopami wyczuwać każdy stopień albo w świetle zapalonej zapałki patrzeć, którą stąkam, a kiedy zapałka już się wypaliła, czułem strach, że nadepnę na coś żywego.

Melchior nigdy nie był w tej kamienicy.

Fakt, że wcześniej też nigdy nie przychodził do mojego mieszkania przy ulicy Stargarder, staraliśmy nie rzucać się w oczy, w czym zresztą miałem niezłą wprawę, nie nastęczało mi to trudności, aczkolwiek ten przymus w niemiły sposób przypominał mi przeszłość, choć raz, w niedzielne popołudnie, przed bramą, kiedy ulica Stargarder była całkowicie pusta, ale każdy przecież mógł stać ukryty za firanką, był stalowoszary listopadowy dzień, kiedy wszyscy siedzą w domu i piją kawę przed telewizorem, czuliśmy, że nie potrafimy się rozstać, i wcale nie musieliśmy się rozstawać, mogliśmy przecież zostać razem, ale już spędziliśmy ze sobą trzy dni i otaczająca nas powłoka, która odgradzała nas od wszystkich i od wszystkiego, stawała się coraz gęstsza, musieliśmy wydostać się spod niej, należało się rozstać, spędzić bez siebie choćby jeden wieczór, poza tym chciałem się wykapać, bo w mieszkaniu Melchiora nie było łazienki, trzeba było myć się w misce albo pod kranem w kuchni, chciałem zaczerpnąć powietrza, i tylko jeszcze przed północą zbiec na ulicę i zadzwonić do niego, opierając się o chłodną szybę, usłyszeć jego głos i może nawet wrócić do niego, początkowo było tak, że odprowadzał mnie do rogu ulicy Dimitroffa, potem szedł kupić papierosy pod wiaduktem, gdzie znajdowała się otwarta jeszcze budka, ale nie potrafiliśmy się rozstać, choć próbowaliśmy na każdym rogu, wtedy odzywał się, że odprowadzi mnie do następnego skrzyżowania, albo ja go o to prosiłem, nie mogliśmy trzymać się za ręce, to byłoby śmieszne, tchórzliwe i głupie, ale coś przecież musieliśmy zrobić, nie patrzyliśmy na siebie, wreszcie on wyciągnął rękę, chcieliśmy poczuć siebie, akurat nikt nie przechodził, ale nie było mi dobrze, pragnałem jego ust, tamtego popołudnia, przed tamtą bramą.

Kamienicę przy ulicy Chaussee też znał tylko z zewnątrz.

Był niedzielny wieczór.

Pokazałem mu moje okno, kiedy jechaliśmy tramwajem do teatru, na pustym peronie opowiadał mi o berlińskim powstaniu, ja tymczasem chciałem, i wtedy było to dla mnie bardzo ważne, żeby poznał ten dom, skoro już nie widział pokoju, w którym mieszkałem podczas pierwszego pobytu w Berlinie i który, mimo że nie miał o tym pojęcia, odegrał w jego życiu bardzo ważną rolę, tymczasem Melchior, choć moja przeszłość nie była mu obojętna, zdecydowanie odmówił, nie mógł postąpić inaczej.

Już drugi miesiąc zajmowałem mieszkanie przy ulicy Steffelbauera, przyzwyczałem się do niego i w pewnym sensie nawet je polubiłem, kiedy któregoś poranka Kühnertowa, paląc w piecu, oznajmiła, że przed południem przyjdą elektrycy naprawić światło na klatce schodowej,

będą jej szukać, tymczasem ona nie może na nich poczekać, i czy ja będę w domu, czy będę w domu?, „Tak”, odpowiedziałem, leżąc w łóżku, Kühnertowa klęczała przed piecem i tak jak zawsze, kiedy wykonywała jakieś prace domowe, podśpiewywała pod nosem; zazwyczaj byłem w domu, poza późnymi wieczorami; bo ona jest gospodynią budynku, powiedziała, i w takich wypadkach właśnie do niej się zwracają, i żeby im powiedział, że nie mogła zostać w domu, „w sumie nie wiem, co oni sobie wyobrażają i o co w tym wszystkim chodzi”, ale żeby im wytłumaczył, w czym rzecz, co się popsło, i żeby im ich, „świntuchów!”, nie wypuszczał, aż naprawią.

Byłem w domu całe przedpołudnie, czekałem na telefon od Melchiora, mieliśmy dla siebie już tylko kilka dni, ale nie zadzwonił, nie przyszli też elektrycy.

Gdyby się odezwał, na dworze była cudowna pogoda, bezchmurne niebo, słońce i cisza; rano palili tylko w dużym pokoju, tym znajdującym się najbardziej w głębi mieszkania, a noce były zimne, czasami temperatura spadała poniżej zera, no i wtedy palili także w moim pokoju; z przedpokoju przechodziło się do jadalni, a stamtąd do dużego pokoju, mój tymczasem znajdował się w przeciwnym skrzydle mieszkania, wchodziło się do niego z długiego i ciemnego korytarza łączącego ze sobą kuchnię i przedpokój, z niego można było jeszcze przejść do dwóch sypialni; drzwi więc, poza tymi prowadzącymi do dużego pokoju i do mnie, całkiem niepotrzebnie zostawiałem otwarte, żeby szybko usłyszał dzwoniący telefon i mógł zaraz podbiec, gdyby Melchior zadzwonił, był dobry czas na wycieczkę albo dłuższy spacer, i gdybym stojąc w pokoju Kühnertowej, rozmawiał z nim przez telefon, zaproponowałbym, żebyśmy pojechali nad Müggelsee, jest piękna pogoda, powiedziałbym, patrząc z ciepłego pokoju na zimne słoneczne światło, i pewnie powiedziałbym też, że nie pojedę z nim do jego matki, bo tylko po to by mnie tam ze sobą zabrał, żeby ułatwić sobie pożegnanie, musiał pożegnać się z matką, zobaczyć się z nią, być może po raz ostatni, w taki sposób, żeby niczego się nie domyśliła, a ja nie potrafiłem sobie wyobrazić, że w tej nieogrzewanej sypialni już nigdy nie położy się razem ze mną do swojego, stojącego tam od lat jego dzieciństwa, łóżka, wydawało mi się to niemożliwe, żeby wszystko skończyło się raz na zawsze.

– Naprawdę tutaj spałeś? I łóżko stało w tym samym miejscu? A ta plama na suficie, wtedy też była tam ta plama?

Śmiał się z moich pytań, jak gdyby nie potrafił sobie wyobrazić, że tutaj coś może się zmienić, a niezmiennosc istniejącego stanu rzeczy może kogokolwiek zadziwić, nie, sprawy nie zmieniają się tak łatwo, a jego matka, której na pamiątkę zmarłej w połogu babci też dano imię Helena, również postarała się, by nic się tu nie zmieniło, i żeby to ona mogła dać swojemu synowi pewne schronienie; ale niezależnie od tego, Melchior miał powody, by żyć po swojemu, gdyż kiedy jeszcze mnie nie znał, opowiadał nie bez dumy, było mu niemal obojętne, z kim się wiąże, po prostu nie było mu potrzebne poczucie bezpieczeństwa, nie przebierał, a nawet może powiedzieć, że najbardziej byle jakie związki sprawiały mu największą radość, a żeby w jego pełnym zmian życia coś mogło być naprawdę stałe, wypracował sobie wyrafinowane wycucie smaku, ascetyczne i oszczędne, w swoich niedostępnych, hermetycznych wierszach jawił się jako ktoś niewymagający i nieporuszony, a tutaj, cokolwiek by się działo, mógł wracać na każdy weekend, w walizce przywoził brudne ubrania, bo tutaj wszystko było tak jak dawniej, a matka upierała się, że nadal będzie mu prac, „tylko ta plama, ta plama zrobiła się później”, jego śmiech niewiele znaczył, był lekkim, pozbawionym znaczenia chichotem, i ten wieczny uśmiech w jego oczach, chyba że wiedział, że nikt na niego nie patrzy.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że w niedzielę rano, kiedy obudzi mnie dźwięk dzwonu



dochodzący przez małe okno rodzinnego domu, będę sam i nie będę czuł zapachu jego skóry mieszającego się z wonią pachnących w zimnym pokoju jabłek i słodkim zapachem ciastek pieczonych do niedzielnej kawy, jabłka leżały na szafie w równym rzędzie, lukrowane ciasteczka czekały popołudnia na marmurowym blacie kredensu, a okno zawsze było otwarte i smutne, kiedy nieostroźnie powiedziałem, że lubię jego pot, popatrzył na moje czoło i na moje usta, lubił go także mój nos, i jak gdybym sprawił mu ból, przytulił mnie, „jego smak, zapach i to, że go czuję”, wydał z siebie jakiś dziwny dźwięk, myślałem, że się śmieje, ale to był krótki, suchy szloch, a potem wyrwał się z niego zduszony, skomlący głos przerażenia, na skrzypiącym łóżku w sypialni w mieszkaniu przy placu Wörthera.

Wyobrażałem sobie drogę usłaną kolorowymi liśćmi biegnącą wokół jeziora Müggelsee, spokojne, gładkie lustro wody, szelest naszych kroków na miękkich od porannej mgły liściach, i dlatego właśnie chciałem poprosić, żebyśmy tam pojechali, bo może tam bym go namówił, żeby zmienił zdanie, choć przecież wiedziałem, że to niemożliwe, cudowna jesień!, czy żebyśmy poszli chociażby do zoo, skoro wyjazd na spacer nad brzeg jeziora Müggelsee był dla niego zbyt daleki lub zbyt kłopotliwy, bo jeśli wierzyć fotografiom, którym przyglądałem się, jadąc S-Bahnem, jeżeli można im wierzyć, to tam też jest las, z małymi, cienistymi drózkami, i jeszcze tam nie byliśmy, choć wybieraliśmy się niejedną raz, i wyobrażałem sobie też, że zabiorę nóż z kuchni Kühnertowej i na tym spacerze go zabiję.

W tym ostatnim berlińskim mieszkaniu wstawałem późno czy, mówiąc ściślej, budziłem się dwa albo trzy razy, aż wreszcie udało mi się wstać, czasami dopiero około południa.

Najpierw był hałas o świcie, kiedy doktor Kühnert przechodził przez cały przedpokój pomiędzy ich sypialnią a łazienką, przed moimi drzwiami, naciągałem wtedy poduszkę na głowę, żeby nic nie słyszeć; szedł do łazienki, najpierw robił siusiu, dobrze słyszałem krótki, ostry plusk, poprzedzający długi, potem słabnący i nagle przerywany odgłos strumienia, ściana była cienka, wiedziałem więc, że celuje w dół, do miski, tam gdzie nawet po spuszczeniu wody ciągle jest woda, próbowałem czegoś takiego w dzieciństwie, i w pewnym sensie wzbudzało mój podziw, że ktoś jeszcze w wieku pięćdziesięciu lat, poważny profesor, zabawia się w ten sposób, ale kiedy najpierw było słychać tylko cichy stukot, a mocz, rozpryskując się, tępo uderzał o porcelanę, wiedziałem, że będzie się wypróżniał.

Samo pukanie jeszcze tego nie znaczyło, kiedy bowiem puszczał bąki na stojąco, podczas siusiania, miały one całkowicie inne brzmienie, niż kiedy siedział, a ich dźwięk wzmacniała wypukłość muszli, pomyłka nie wchodziła w rachubę, poduszka niewiele tu pomagała, ściana przenosiła jego stękanie, westchnienia ulgi i szelest papieru, nadśluchiwałem, jak gdyby sprawiało mi to przyjemność, jak gdybym sam siebie zadręczał, że nie potrafię i nie chcę zamknąć uszu, tak jak człowiek może zamknąć oczy albo usta, ale uszy może tylko zatkać palcami, uszy same się nie zamykają; jednak to jeszcze nie był koniec, szum wody stanowił tylko kilkusekundową przerwę, i gdybym nie wiedział, co zaraz nastąpi, może miałbym wystarczająco dużo czasu, żeby ponownie zasnąć, lekko zapaść w sen, gdyż w tych nocnych i porannych przebudzeniach trudno było odróżnić sen od jawy, choć coraz mroczniejsze postacie ze snów nie bały się nawet zapalanej lampy, miały twarze, ręce, i oddalały się najwyżej o tyle, by nie można było ich dosięgnąć, skakały na półki, pomiędzy książki, albo odwrotnie, linie pokoju wdzierają się w sen, widzę nawet okno, ale to już jest okno ze snów, drzewo, otwór po brakującej cegle, w którym mieszkają wróble, zaczynałem być spięty, bo wtedy Kühnertowa stawiała przed lustrem, pochylała się nad umywalką, zaraz nad moją głową, wydmuchiwiała nos w dłoń, woda szumiała, Kühnertowa charkała, a zebraną flegmę wypluwała na mnie, do

umywalki.

O siódmej obudziło mnie pukanie, „Tak, proszę”, mówiłem wtedy głośno w obcym języku, co znaczy, że najpierw chciałem po węgiersku powiedzieć to, co za chwilę mówiłem po niemiecku, i Kühnertowa, podśpiewując, wkraczała, by napalić w piecu.

Wieczorami po mokrym dywanie opadłych liści platanów chadzałem do teatru, podeszwy moich lakierków często nasiąkały wodą.

Melchior już zniknął z mojego życia.

Berlin czekał na mnie szary i mokry.

Po przedstawieniu poszedłem do mieszkania przy placu Wörthera, było zimno, i choć w świetle lampy zasłony straciły już purpurową czerwień, nie zapaliłem świec.

Na dworze padał deszcz.

W każdej chwili mogła pojawić się milicja i wyważyć drzwi.

W kuchni szumiała lodówka.

Nazajutrz wyjechałem i ja.

W Heiligendamm świeciło słońce, i właściwie nie rozumiem, co się tam ze mną wydarzyło.

Gdybym lekkomyślnie dobierał słowa, mógłbym nawet powiedzieć, że byłem szczęśliwy, a w tym uczuciu niewątpliwą rolę odgrywały morze, podróż i to wszystko, co ją poprzedzało, i śliczne małe miasteczko, nazywane z pewną dozą przesady „białym miastem morza”, gdyż po obydwu stronach okazałego domu zdrojowego mieściło się kilkanaście piętrowych willi, ustawionych w półkolu, frontem do morza, i wszystko było naprawdę białe, białe były żaluzje, teraz zamknięte, białe były ławki na zielonym trawniku, biały był portyk z ustawioną w rogu wieżą krzeseł, przeznaczonych dla grającej w lecie orkiestry, białe były ściany między przyciętymi równo ciemnozielonymi bukszpanami i strzelającymi w niebo czarnymi sosnami, ale najważniejsza była chyba złudnie cudowna pogoda i cisza.

Mówię „złudnie”, gdyż świszczał wiatr, a wielkie fale uderzały o brzeg, stalowoszare, silne, wzbijające białą pianę fale, a mówię o ciszy, gdyż pomiędzy dwoma uderzeniami czujne zmysły zapadały się w przepaść pomiędzy falami, w pełne napięcia oczekiwanie, i wydawało się zbawienne słyszeć głos siły przeistaczającej się w ciężar; wieczorem zaś, kiedy wychodziłem na spacer, wszystko było wzniosłe, świecił księżyc stojący w pełni, nisko nad samym morzem.

Szedłem wzdłuż grobli do Nienhagen, do sąsiedniej miejscowości, po stromej stronie grobli huczało morze, po drugiej rozciągało się nieme trzęsawisko, a jedyną żywą osobą pomiędzy żywiołami byłem ja, po południu skończyły mi się papierosy, a ponieważ Nienhagen, chronione od wiatru przez Gespensterwald, czyli „las upiorów”, było niedaleko, zapałką złamaną na pół zmierzylem na mapie odległość, mogłem tam dojść na piechotę; co pewien czas moje oślepienie wiatrem oczy dostrzegały błyski latarni morskiej, zaplanowałem sobie, że właśnie tam kupię papierosy, a nim ruszę w drogę powrotną, napiję się gorącej herbaty; wyobrażałem sobie, że przy stole w spokojnej gospodzie siedzą sobie rybacy, palą się świece, wyobrażałem sobie, jak tam wchodzę, nietutejszy, widziałem odwracające się ku mnie twarze i moją własną twarz.

Najwyraźniej i najzwyczajniej szedłem przed sobą, stąpając lekko, a ciężkimi krokami podążałem za sobą.

Jak gdyby źródłem cierpienia było to rozdwojenie, jak gdybym to nie ja nie mógł go znieść, ale moje ciało.

Wiatr wdzierał się pod mój szeroki płaszcz, pchał mnie naprzód, przed siebie, i choć wychodząc, założyłem na siebie wszystkie ciepłe ubrania, było mi zimno, niby nie czułem chłodu, ale się bałem, wiedziałem, że w taką pogodę człowiek marznie, chyba że oszukują go

łaskawe zmysły; w innych okolicznościach może bym nawet zawrócił, zwyciężyłaby obawa, takie powroty zawsze z łatwością tłumaczyłem tym, że jest zbyt zimno i boję się przeziębienia, to zbyt wysoka cena za taką bezsensowną nocną wyprawę, ale teraz nie potrafiłem się oszukać: jak gdyby nagle zmieniał się mój własny obraz, który dzięki wielkiej samodyscyplinie człowiek tworzy z trudem, by otoczenie zaakceptowało go, i żeby tę karykaturę sam uznał za prawdziwą, gdyż to byłem ja, funkcjonowały tu wszystkie moje znajome nawyki, a jednak coś było inaczej, czułem jakąś szczelinę, nawet niejedną, szczeliny, przesunięcia, przez które można było dostrzec jakąś obcą istotę.

Kogoś, kto dawno temu, ale jednocześnie dziś, przyjechał do Heiligendamm i wieczorem udał się do Nienhagen.

Jak gdyby to, co kiedyś nastąpi, zdarzyło się przed pięćdziesięciu, siedemdziesięciu, a może nawet stu laty.

Nawet jeżeli nic się nie wydarzy.

Poczucie, że rozpadam się na dwie osobowości, było nowe, podniecające, niemal przyprawiające o szaleństwo, a jednak przyjmowałem je ze spokojem człowieka doświadczonego, jak gdybym był starszym od samego siebie o pięćdziesiąt, siedemdziesiąt, a nawet sto lat miłym staruszką, który wspomina swoją młodość; w czymś takim nie ma jednak niczego dziwnego ani mistycznego, a że nie miałem odwagi zażyć proszków nasennych, które od lat noszę ze sobą w małym okrągłym pudełeczku, choć przecież nie potrafiłem sobie wyobrazić bardziej poetyckich okoliczności śmierci, więc żeby coś zrobić, za pomocą wyobraźni musiałem oddalić się od samego siebie, uwolnić się od swoich niejasnych uczuć, gdyż to, co uznawałem za przyszłość tej obcej istoty, nie było niczym innym jak moją przeszłością i teraźniejszością, wszystkim, co już się wydarzyło albo się wydarzy.

Nadzwyczajność sytuacji brała się z mojego stanu emocjonalnego, z tego, że nie potrafiłem utożsamiać się ani z jednym, ani z drugim, jak gdybym był aktorem grającym w romantycznych dekoracjach, a moja przeszłość była jedynie trywialnym wytworem mojej wyobraźni, podobnie jak będą nią moja przyszłość i wszystkie moje namiętności, wszystko to można by zabawnie odnieść do mojej przyszłości albo historycznej przeszłości, jak gdyby nigdy się nie wydarzyło, a jeśli się wydarzyło, to bardzo dawno, wszystko ze wszystkim może się zamieniać, moja fantazja przechwytywała chaos przesuwających się płaszczyzn życia i przemieszczała je w sferę codziennych kłopotów, którą mogłem określić jako mnie samego, kogoś, za kogo chcę być uważany, ale kim nie jestem.

Jestem wolny, myślałem wówczas.

Moja wyobraźnia tylko nieudolnie i przypadkowo wybiera z mojej nieskończonej wolności małe szanse, by stworzyć taki obraz mojej osoby, który będzie podobał się innym i który uznam za własny, sądziłem.

Dzisiaj już tak nie uważam, ale wówczas ta świadomość okazała się silna i jednoznaczna, z taką ostrością widziałem tę istotę, tak różną od moich wszelkich wyobrażeń, szła ze mną, a ja szedłem z nią, marzła, a ja bałem się za nią, że będę musiał się zatrzymać, musiałem przyklęknąć, by podziękować za tę chwilę, choć moje kolano właśnie teraz nie chciało pokornie się ugiąć, raczej pragnąłem zachować się neutralnie, jak gdybym był kamieniem, jednocześnie nim nie będąc, ale i to mi nie wystarczało, choć nawet przymknąłem oczy, by zostać chorągiewką na wietrze.

Księżyc stał tak nisko, że wydawało się, iż można go dotknąć, że jest na wyciągnięcie ręki, linia horyzontu odbijała się w bladym świetle, które nie zaznaczało nerwowo zmieniającej się

linii fal, jak gdyby była tam woda gładka jak lustro, to też złuda perspektywy, pomyślałem, jak gdyby po drugiej stronie grobli, na bagnach, światło nie miało w czym się odbijać, nie było tam ani powierzchni, ani ostrza, w których mogłoby się odbić, i wreszcie zginęło, skończyło się, i mimo że wyteżałem wzrok, nie byłem w stanie niczego dostrzec, nie było tam ani ciemności, ani czerni, tam ziała pustka.

Po południu przyjechałem do Heiligendamm, trochę przed zmierzchem, kiedy zaszło słońce, a księżyc stał już wysoko.

Panowała cisza.

Jak gdyby nawet wiatr się zatrzymał, zawrócił nad groblą, jak gdyby wcale nie było wiatru.

Pokrywa ją trzcina i sitowie, albo udając, że to zwyczajna gleba, porasta trawą.

Kiedyś zabawiałem się myślami o upiorach, teraz jednak ta pustka wydała mi się przerażająca.

Wówczas, wiele lat temu, i o tym, aczkolwiek bardzo chciałbym tego uniknąć, później będę musiał sporo powiedzieć, kiedy niespodziewanie pojawił się jakiś cień, ruch albo hałas, za moimi plecami wołał mnie po imieniu, mówił do mnie albo wraz ze mną milczał, stawał się ucieleśnieniem moich obaw, teraz jednak skamieniały opadał nad bagnem, nie poruszał się, nie wydawał z siebie żadnego głosu ani nie rzucał cienia.

Tylko mnie obserwował.

Stał nad bagnem, pusta powłoka, obca, tak określiliby to ktoś, kto tu zabłądził, z ironią, i ta ironia nie była przyjemna.

Fakt, że nie przerażał mnie, a raczej dyscyplinował, jego siła leżała w tym, że nie pozwalał szaleć mojej rozbudzonej wyobraźni, szykującej się do galopu, pragnącej wymyślić własną historię, ale pragnął tego daremnie, gdyż jednoznacznie dawał mi do zrozumienia, że to on przesunął w moim ciele płaszczyznę czasu, że to on otworzył w mojej duszy szczeliny, w które będę mógł zajrzeć, a jeśli już nie mam wystarczająco dużo humoru albo siły, by umrzeć, to zawsze będę czuł ból, że tu jest, poza mną, i w każdej chwili może mnie dosięgnąć i dotknąć moich niezbędnych do życia narządów, a od nich, choćbym bardzo tego chciał, nie mogę przecież się uwolnić, ja też nie mam ich więcej jak jeden albo dwa, swojego istnienia nie mogę zastąpić fantazją, żebym się nie oszukiwał i nie wierzył, że taki księżycowy, nadmorski pejzaż może uczynić mnie wolnym i szczęśliwym.

Wtedy już stałem, jak ktoś, kto dopełnił koniecznego obrządku, i odruchowo strzepywałem kurz z kolan. Co do strzepywania kurzu, to bezskutecznie się tu tłumaczę, że to tylko wpojone umiłowanie porządku, czuję, że jestem śmieszny i fałszywy; szybko się odwróciłem, czy nie zrobię lepiej, jak w porę wrócę do domu, zamiast iść do restauracji, w której po południu, w sali pełnej kanap, oddzielonej szklanymi drzwiami, tak przyjemnie było coś zjeść, gdzie mogłem kupić papierosy i wypić herbatę, i która jest otwarta do godziny dziesiątej, gwizdał wiatr, chciałem wrzeszczeć razem z nim, rzucić się na kamienie, ale odszedłem już bardzo daleko od świateł Heiligendamm, nawet nie spostrzegłem się, jak daleko, i jakbym znalazł się wyżej, ponieważ gdzieś na dole kilka małych wibrujących światełek kazało mi się domyślać, że są tam jakieś domy, tak samo wstydzilem się swojej ucieczki, jak pusty wzrok moczarów boleśnie muskał moje plecy.

Wyobraziłem sobie, że idę naprzód.

Nie umiałem iść w taki sposób, aby jedna połowa mojego ciała, a zwłaszcza plecy, nie czuła jego dotyku.

A gdybym tak zszedł na sam brzeg?



Kiedy jednak w mojej głowie zrodził się ten pomysł, całkiem zresztą niepotrzebny, gdyż piana wzburzona w żółtawym świetle księżycy dochodziła aż do stóp grobli, moja przesunięta połowa tylko śmiała się z tego, że tamta druga, w nadziei, że kamienna grobla ją ochroni, chciała uniknąć czegoś, co musi zaakceptować, gdyż kiedy zrodził się ten pomysł, szła z nią jakaś postać, to nie był upiór, ale zwykłe wyobrażenie młodego mężczyzny, który wchodzi przez tamte szklane drzwi, rozgląda się, ich wzrok spotyka się ze sobą, a promienie słońca wpadają do sali.

Znów musiałem się odwrócić i ruszyć w stronę Nienhagen.

To jest coraz bardziej śmieszne, pomyślałem.

Byłem tu i wyobrażałem sobie, że mnie tu nie ma, siedł ze mną stary mężczyzna, którym kiedyś zostanę, jak dożyję, a z nim jego młodość, stary człowiek wspominający młode lata nad brzegiem morza, który doskonale odpowiadał moim literackim celom; sala z kanapami, filiżanka z kawą na stole przykrytym białym adamaszkowym obrusem, którą właśnie podnosi do ust, siedł też z nami młody mężczyzna, który rano w restauracji, trzymając rękę na oparciu swojego krzesła, radośnie i uprzejmie pozdrowił wszystkich jedzących przy wspólnym stole, ale jego, żeby lepiej mu się przyjrzeć, gdyż to on był tym, kto w gruncie rzeczy najbardziej mnie interesował, natychmiast odesłałem z powrotem do drzwi, w których się pojawił, gdyż czułem, że to on będzie tym, kto całkowicie należy do mnie, gdyż on nie istnieje, no i poza nami był tam jeszcze ktoś, kto nas obserwował i od kogo zapewne dostałem w zamian tego jasnowłosego młodzieńca, gdyż sam pozwoliłem, bym stał się narzędziem jego siły.

Zapewne to była chwila, w której zawarłem to nawiązywane od wielu lat porozumienie z samym sobą, bo gdy dziś, mając świadomość wszystkich tego konsekwencji, jako smutny mędrzec wyobrażę sobie to, co niemożliwe, mianowicie to, co by było, gdybym idąc za głosem moich obaw, nie podążył do Nienhagen, ale zawrócił, i jak każdy zdrowo myślący człowiek usadowił się wygodnie w swoim hotelowym pokoju, wtedy, być może, moja historia potoczyłaby się zwyczajnie, wtedy te zawiłości i wybryki, których pełne było moje życie, posłużyłyby mi za drogowskaz mówiący, czego mi nie wolno, może wówczas z trzeźwym i zdrowym uczuciem odraży zdusiłbym rozkosz, którą ofiarował mi urok mojej inności.

## Popołudniowy spacer

Kiedy poprzedniego dnia przyjechałem po południu do Heiligendamm, byłem zbyt zmęczony, by się przebrać i zejść do jadalni na wspólny posiłek, zamówiłem kolację do pokoju i odłożywszy przedstawienie się gościom na następny dzień, szybko położyłem się do łóżka.

Ale nie potrafiłem zasnąć.

Jak gdybym leżał w wielkim, mrocznym, ciepłym i miękkim czepku, na który ze wszystkich stron napierają morskie fale, i choć nad moją głową bezustannie przewalała się wzburzona woda, a piana wciskała mi się do oczu, czułem się bezpiecznie, spoczywając w tej miękkości.

W hotelu panowała głęboka cisza.

Zdawało mi się, że na dworze szaleje wichura, jednak strzeliste korony czarnych sosen trwały w bezruchu przed oknem.

Przymknąłem oczy, zacisnąłem powieki, by nic nie widzieć, i nagle wydało mi się, że znów leżę w przepastnym mroku czepka, w którym tylko dlatego nie panują zupełne ciemności, że rozświetlają go obrazy, pojawiają się i nikną, widzę na nich siebie, odbiera mi to spokój, widzę sceny, o których sądziłem, że już nie powinienem ich pamiętać, gdyż chciałem o nich zapomnieć, na łóżku, na którym teraz śpię, śpi mój ojciec, leży na wznak, a przecież wiem, że wtedy spał nie na łóżku, ale na wąskiej kanapce w salonie, na podłodze stoją jego buty, samotne i pozbawione nóg, leży z nieprzyzwoicie rozłożonymi udami, pochrapuje, przez zamknięte żaluzje przedzierają się promienie zachodzącego słońca, smugi światła krzyżują się z podłużnymi deskami podłogi, czuję, jak ten widok wyrывa mnie z czeluści snu, nie mogę na to wszystko patrzeć, brakuje mi powietrza i brakuje mi światła, poruszające się w rytm oddechu ciało ojca zmienia przeszłość w bliską i bolesną terażniejszość, nagle jestem wśród ciemności, widzę siebie, jak pojawiaam się i znikam w świetle lampy, zbliżam się sam do siebie znaną mi, mokrą ulicą, może nawet jest to aleja Schönhauser; wieczorem, w przeddzień wyjazdu, kilka minut po północy, kiedy z uczuciem wewnętrznej pustki wracałem od mojej przyjaciółki Natalii Kaszatkiny, przystanąłem na Senefelderplatz przed miejskim szaletem, zbliżał się ku mnie odgłos moich własnych kroków, wzmagął się i cichł, ciemna budka ukryta wśród łysych krzewów dyszała hałaśliwie, wiatr trzaskał drzwiami, zamykał je i otwierał w rytm mojego oddechu, i dopiero kiedy drzwi szeroko się otworzyły, zobaczyłem wysokiego mężczyznę, który, kiedy wreszcie udało mi się wejść do środka, z uśmiechem wyciągnął ku mnie różę.

Fioletowoniebieską różę.

Nie chciałem jej dotykać, musiałem jak najdalej odsunąć od siebie ten obraz, pragnąłem odpocząć w spokojnej, jasnej pustce; i nagle do mojej kryjówki wślizgnęła się niepostrzeżenie moja narzeczona, gwałtownym ruchem zerwała z głowy kapelusz z woalką, ciężkie rude włosy opadły na ramiona, z niebywałą siłą dyszała mi prosto w twarz, a jej oddech był cuchnący i przykry.

Usłyszałem trzask zamykających się drzwi.

Przeżalony zerwałem się ze snu.

Drzwi do sypialni były otwarte, w salonie lśniły śnieżnobiałe meble.

Nie widziałem okna ani sosen za oknem, kotary były zasłonięte, nie słyszałem szumu wiatru, tylko głos morza dochodzący z oddali, okna mojego pokoju wychodziły bowiem na park.

Jakby trzasnęły drzwi miejskiego szaletu, a przebudzenie było ostatnim taktom snu.

Z korytarza dochodził odgłos szybkich kroków, ktoś zaszlochał w sąsiednim pokoju albo głośno krzyknął, ściany musiały być wyjątkowo cienkie, wreszcie coś upadło na podłogę, może czyjeś ciało!

Daremnie nadśluchiwałem, już nic więcej się nie wydarzyło.

Byłem się poruszyć, skrzypnięcie łóżka czy szelest kołdry mogły unicestwić chwilę, nieostrożny ruch mógł stłumić odgłosy morderstwa, ale za ścianą panowała cisza.

Nie miałem pewności, czy to wszystko przypadkiem mi się śni, często bowiem budzimy się ze snu, choć wcale się nie budzimy, lecz śnimy dalej, pogrążając się w coraz głębszym śnie, poza tym jak gdybym kiedyś już słyszał ten szloch czy krzyk, odgłos upadającego na podłogę ciała, i znów przypomniał mi się ojciec, i choć miałem otwarte powieki, oczyma wyobraźni widziałem, jak rzuca się przez sen, szarpie, spada z kanapy na lśniąca podłogę, wtedy, dwadzieścia lat temu, kiedy popołudniami sypiał na kanapie, która w nocy była moim miejscem do spania, wynajmowaliśmy ten sam apartament, z którego teraz dochodziły te dziwne odgłosy, wszystko to budziło we mnie pytania, czy to tylko senne rojenia, czy też dzieje się to w rzeczywistości, tym bardziej że tamto zdarzenie, które raz na zawsze położyło kres cudownym dniom w Heiligendamm, przypomniało mi się, zanim zdążyłem zamknąć drzwi balkonu i położyć się do łóżka.

Przed laty w upalne noce zostawialiśmy otwarte wszystkie okna, a także drzwi prowadzące na taras, i było dla mnie powodem szczególnej radości, gdy rodzice zamykali za sobą drzwi sypialni, a ja mogłem po cichutku wstać i, pokonując strach, wymknąć się z pokoju.

Taras był groźny i potężny, pusty i szeroki, głęboko wysunięty w park, w blasku księżyca ostrym klinem wcinał się między drzewa, gdy noc była ciemna, jego kontury miękko rozmywał mrok, lekko płynęły strzeliste cienie sosen, a ja zapatrzony w krajobraz zapomniałem o reszcie świata, wydawało mi się, że jestem nie tu, ale na statku cicho prującym morskie wody, ilekroć jednak wychodziłem na taras, musiałem się upewnić, czy na pewno będę tam sam, kiedyś bowiem zdarzyło mi się, że nie spostrzegłem w porę kobiety mieszkającej nieopodal nas, stała w rogu oparta o balustradę, jak widmo albo cień, zależało to może od fazy księżyca, kiedy tam była, wolałem nie wychodzić z pokoju, bo choć rodził się pomiędzy nami jakiś tajemniczy związek, obowiązujący jedynie nocą, a kończący wraz z nastaniem świtu, obawiałem się, czy nie wyda mnie przed rodzicami, i choć jej obecność była mi miła, i często nawet tęskniłem za jej bliskością, to tamte nocne eskapady sprawiały mi prawdziwą radość, chwile, kiedy mogłem być sam i wyobrażać sobie statek, który kiedyś mnie stąd zabierze.

Gdy po raz pierwszy wyszedłem nocą z pokoju, nie zachowując należytej ostrożności, właśnie świecił księżyc ukryty nieruchomo za chmurami, powietrze gęstniało w niebieskawej poświacie, ona stała z twarzą obróconą w stronę blasku, stanąłem jak wryty pośrodku tarasu, przypominała zjawę czy coś podobnego, przed czym przestrzegała mnie nasza służąca Hilde, była piękna, zachwycająco piękna, „zachwycająco, zachwycająco piękna”, opowiadała nieraz Hilde, jej smukłe ciało okrywała lekka, szeroka peleryna, sięgające pasa srebrzyste włosy pozwalały domyślać się niezwyklej urody, zdawało się, że nie stoi na ziemi, choć spoczywała na niej całym ciężarem swojego ciała, oczy miała otwarte, lecz pozbawione źrenic, w ciepłym powietrzu nocy zimny oddech musnął mnie po policzkach, to był jej oddech, wiedziałem, wydech, po którym następował wdech, oddech, którym mnie wessie, porwie i ukryje w pustej powłoce swojego ciała.

To nie strach kazał mi stać w bezruchu, a jeśli nawet, to strach tak ogromny, że przynoszący zmysłom bezgraniczne szczęście, wprawiający w ekstazę, moje ciało zdawało się

uwalniać z cielesnej niewoli, nie czułem nóg, nie czułem rąk, nie mogłem niczym poruszać, i choć wcale o tym nie myślałem, to było tu ze mną dziesięć lat mojego życia, z którymi, niestety, musiałem się pożegnać, by wreszcie stać się kimś innym, później coś podobnego zdarzało mi się przeżywać jedynie w chwilach miłosnej rozkoszy, i pewnie dlatego ten szczególnie stan, przed którym przestrzegająca mnie nasza służąca Hilde i którego tak mocno pragnąłem, wydawał mi się całkiem naturalny.

Uczucie gorącej żądz i wzniosłej grozy trwało tylko krótką chwilę, wiedziałem doskonale, że wszystko, co czuję, jest po prostu urojeniem, przecież to tylko panna Wohlgast, nasza sąsiadka, pannę Wohlgast wielokrotnie wspominaliśmy podczas wieczornych spacerów, często widziałem, jak rozmawia z matką podczas wspólnych posiłków, zresztą tamte opowiastki o zjawach wydawały mi się coraz bardziej podejrzane, od pewnego bowiem czasu, gdy tylko twierdziłem, że widziałem zjawę czy coś w tym rodzaju, ojciec skwapliwie przytakiwał, głosem posępnym i poważnym, aczkolwiek niepozabawionym nuty cierpkiego humoru, że oczywiście, zjawa przechadza się po sitowiu, jakże mogłoby jej tam nie być, skoro ją widziałem, mimo że on, choć wyteża wzrok, niczego tam nigdy nie widzi, teraz jednak jak gdyby coś dostrzegł, i nic a nic nie słyszy, co oczywiście nie musi oznaczać, że zjawy przed chwilą tam nie było, to przecież zgodne z naturą zjaw, raz są tu, a raz tam, takie są właśnie zjawy, czasami można je ujrzyć, choć właściwie są niewidzialne, to także, skoro już muszę wszystko wiedzieć, należy do ich natury, i nie dla każdego, nie dla byle kogo, przybierają cielesną postać, powinienem zatem czuć się zaszczycony i wyróżniony, nawet on sam się cieszy, że zjawa pozwoliła jego synowi dostąpić takiego szczęścia, by ją ujrzał, jemu niestety już dawno nie było dane zakosztować tej diabolicznej rozkoszy, czego oczywiście bardzo żałuje, bez zjaw czuje się ubogi i pusty, już prawie zapomniał o ich istnieniu, aby więc mógł porównać własne doświadczenia z moimi obserwacjami, prosi, abym opisał mu dokładnie widok tej zjawy.

Tamtego dnia wybraliśmy się na dłuższy spacer, co niezależnie od historii ze zjawą, samo w sobie było rzeczą niezwykłą, jako że podczas popołudniowych przechadzek zazwyczaj nie oddalaliśmy się od domu zdrojowego, którego najbliższa okolica nie była o wiele rozleglejsza niż sam park, za parkiem zaś rozpoczynała się dziewicza przyroda, kamienny morski brzeg, niepokonane skalne urwiska i krawędzie, a po przeciwległej stronie moczary wokół jeziora pokrytego rzesą, ogródek pełen ślimaków i w oddali, gdzieś w głębi lądu, buczyna nosząca bajkowo złowieszczą nazwę „wielkiej kniei”.

Bez wątpienia park, otoczony od strony lądu białymi strzelistymi willami, można było uznać za rozległy, wozy wjeżdżały i wyjeżdżały szerokimi alejami, mniejsze alejki zbiegały się w placyki i promieniście rozchodziły we wszystkie strony, okalając kapryśnym gąszczem zieloną murawę, na której samotne czarne sosny miały wystarczająco dużo miejsca, by stać w odosobnieniu, białe brzoźki rosły w grupkach, w bezładnym porządku, do parku przynależały też nadbrzeżna promenada odgradzająca wodę od lądu ścianą wysokich marmurowych waz, a także krótki odcinek grobli, stanowiący przedłużenie promenady, choć wcale z nią nietożsamy, nierówną powierzchnię przygotowano dla spacerowiczów, posypano drobnymi, białymi kamyczkami, a nie zwykłym żwirem, lubiłem w nich grzążyć aż po kostki, na tym krótkim odcinku bowiem, gdzie służyła za corso, tama wznosiła się ponad morzem i bagnem, przypominając o dramatycznych okolicznościach, w jakich powstała, bezlitosny przypyływ, który zdarzył się przed wieloma wiekami, w przeciągu jednej jedynej nocy piaskiem oddzielił wodę od wody, a zaciszną niegdyś zatokę zamienił w trzęsawisko; za część parku można było też uznać aleję prowadzącą od tylnego wyjścia aż do stacji kolejowej; od niej jednak już nie prowadziła

żadna droga, trzeba było zawracać, bo przecież spacer i wycieczka to jednak nie to samo.

Rodzice nigdy nie planowali kierunku naszych spacerów, o tym, w którą stronę się udamy, zawsze decydował przypadek albo brak innego wyboru, i może właśnie dlatego zastanawianie się, którą z tych dwóch alej wybierzemy, wydawało mi się całkiem niepotrzebne, czy idąc od strony domu zdrojowego, skreścimy w stronę nadbrzeżnej promenady, czy pójdziemy dalej wzdłuż tamy i w drodze powrotnej obejdziemy hotel, kierując się ku stacji, czy też zatrzymamy się przy otwartym pawilonie uzdrowiska i chwilę posiedzimy w wyplatanych fotelach, by spacerem wrócić nie tamtą logicznie najkrótszą drogą, lecz tą irracjonalnie najdłuższą, wszystko to nie miało znaczenia, liczył się jedynie fakt, że każdego wypełnionego spacerami popołudnia tak długo powtarzaliśmy rozkoszną grę możliwości i wyborów, aż perłowy maszyn nieba zaczynał się ściemniać, a za oknami pokoi zapadł całkowity mrok.

Tym razem wieczór znów zastał nas na dworze, choć spacer rozpoczęliśmy tak samo jak zawsze, najpierw poszliśmy nad brzeg morza, by opierając się o kamienny mur, oddawać się przez piętnaście minut kuracji oddechowej, która polegała na tym, by możliwie najbardziej rozluźniwszy mięśnie, zastygnąć w milczeniu, z zamkniętymi ustami wciągać nosem powietrze i wydychając je w podobny sposób, wykorzystać popołudniową porę dnia, która w opinii doktora Köhlera, ze względu na wysoką zawartość składników mineralnych w wilgotnym powietrzu, odczuwanych przez nasze powonienie jako miły zapach, nadzwyczaj sprzyjała oczyszczaniu dróg oddechowych, pozwalała wypełnić płuca powietrzem, pobudzała krwiobieg i koła nerwy; ten szlachetny cel, jak mawiał doktor Köhler, możliwy jest do osiągnięcia jedynie wtedy, gdy szanowni pacjenci we wszystkim będą się stosować do jego zaleceń, a dla ułatwienia sobie zadania nie będą opierać się o drzewa czy balustradę, nie mówiąc już o tych, którzy przesiadują na tarasie lub w pawilonie, by oddawać się rozmowom, i dopiero kiedy konwersacja się urywa, wzdychają i posapują z uduchowionymi minami, aż wreszcie przypomni się im coś, czym należy natychmiast podzielić się z pozostałymi, nie, nie, o tych damach i dżentelmenach nie warto wspominać nawet słowem, oni już leżą w kostnicy, ich lekkomyślność jest zatem zupełnie zrozumiała, ci jednak, którzy swój ziemski żywot chcieliby cokolwiek przedłużyć, ci trzy razy po pięć minut, dokładnie tak długo, jak trwa ćwiczenie, będą zmuszeni stać na własnych nogach, właśnie tak trzeba stać, bez opierania się o nic, swobodnie, nikt nie ma zamiaru słuchać tu sprzeciwów i wykrętów, zdrowie i uroda idą ze sobą w parze, i byłby nad wyraz szczęśliwy, gdyby zwłaszcza panie zechciały dać wiarę, że ćwiczenia nie szkodzą ich urodzie, wręcz przeciwnie, bardzo jej służą, choć może to trudniejsze, niż nosić gorsety i sięgać po smarowidła, ale jednak, gdyby dla własnego zdrowia zechciały uczynić te kilka grymasów niezbędnych przez pierwsze pięć minut, aż cuchnące powietrze opuści płuca, czynić to należy wszak nie w pokojach dusznych od perfum i dymu, lecz w bezpośredniej bliskości wody, nic nie szkodzi, że wszyscy na nas patrzą, tu idzie o nasze zdrowie, zatem bez żadnej krępacji, oddychać przez nos i nie wydymać klatki piersiowej, jak mają to zwyczaj robić dumni katolicy, ale wciągać powietrze do brzucha, przecież jesteśmy protestantami, i skoro już nie głowy, to przynajmniej brzuchy możemy spokojnie napełnić powietrzem, na wszystko bowiem jest właściwe miejsce i pora, doprawdy, i jeśli tylko, drogie panie, znów nie ściągnęłyśmy gorsetów mocniej, niż nakazuje zdrowy rozsądek, zatrzymajmy powietrze w środku, w samym dołku, mózg do głowy, powietrze do brzucha, i policzmy do dziesięciu, wreszcie otworzymy szeroko usta i z językiem wyciągniętym prosto, znów licząc do dziesięciu, równo i powoli wypuścimy ten ohydny odór, który w nas zalega, tak, w nas wszystkich, i którego nie tylko nie należy, ale nawet nie godzi się w sobie zatrzymywać.

Wtedy właśnie zaszło słońce, długo jednak nie nadchodził zmrok, czerwona poświata trwała na szarzejącym niebie, morze nagle poczerniało, spienione fale przewalały się w białym blasku, a nad wodą unosiła się już wieczorna mgła, która wkrótce miała się rozejść nad całym parkiem, mewy latały wysoko, staliśmy w milczeniu, słysząc tylko własny oddech, była to najśłodsza cisza, cisza, w której w bezruchu odpoczywały wszystkie zmysły, rodzące się myśli nie potrafiły znaleźć swojej ostatecznej formy, ginęły i cichły, by potem, w odgłosie powolnych kroków, w zabawnym posapywaniu, krzyku i nagłym milczeniu mew, w fizycznie odczuwalnym dotyku chłodnego wiatru, w trzęsących się kolanach, łaskotaniu rąk, wrażliwości duszy, niewytłumaczalnym lęku, wszechogarniającej wesołości czy bólu żądz, w czymś, co pragnie zamienić się w słowa, stać się przedmiotem rozmyślań, a może nawet rzeczywistością, przeniknąć na powierzchnię, ale władza zmysłów nie pozwalała mi na nic, trzymała wszystko w garści, rozkoszowała się sobą, nie znała bowiem większej rozkoszy niż urzeczywistnienie tego, co nierzeczywiste, niosącej odpoczynek chwili zawieszenia w próżni.

Nie wiem, jaki wpływ miała ta cisza na inne osoby, na moją matkę czy na mojego ojca, ale dla mnie były to odczucia o wiele głębsze niż te, których doświadczać zwykło dziecko w moim wieku, dziwnym sposobem przeczuwałem, że przerwy, przejściowe stany zatrzymują mnie swoim okrucieństwem, a zarazem łaską, bałem się ich, gdyż o wiele bardziej chciałem upodobnić się do tych wszystkich, którzy znaleźli się po jednej bądź po drugiej stronie i kroczą po znacznie pewniejszym gruncie.

Przeczuwałem swoją pełną udręki przyszłość i nie potrafiłem rozstrzygnąć, czy to dzięki temu, że stosowałem się do zaleceń doktora Köhlera, znalazłem się w takim stanie, a jego osiągnięcie było właśnie celem kuracji oddechowej, czy też stało się dokładnie na odwrót, dlatego właśnie mogłem zrozumieć sens ćwiczeń starego Köhlera, że moje przeznaczenie z góry skazywało mnie na stan wiecznej kontemplacji, to ostatnie wydawało mi się bardziej prawdopodobne, choć wrodzone poczucie obowiązku mogło ubarwiać postulatne stosowanie się do zaleceń doktora, zwłaszcza że moja akuratność i obowiązkowość już wcześniej, nim jeszcze zaczęliśmy jeździć do Heiligendamm, wyływała nie tyle z pilności i zainteresowania, ile z pragnienia, by ukryć przed światem rozkoszny stan zamroczenia, który brał się z rozpasanego lenistwa, aby ani moja twarz, ani moje ruchy nie zdradzały, gdzie akurat jestem, by nikt mi nie przeszkadzał i abym przysłonięty parawanem z musu wykonywanych zadań mógł w spokoju oddawać się fantazjowaniu o tym, co mnie w istocie rzeczy zajmowało.

Urodziłem się, by prowadzić podwójne życie, mówiąc inaczej, dwie połowy mojego życia nie przystawały do siebie, nie harmonizowały ze sobą, czy wyrażając się ściślej, moje jawne życie toczyło się wokół mojego tajemnego życia, czułem pomiędzy nimi jakiś nienaturalny zgrzyt, dostrzegałem pułapkę nieustannego poczucia winy, wszystko to było bardzo trudne, dystans bowiem, jaki zachowałem wobec świata, okazał się nudnym i pełnym niepewności otepieniem, które musiałem sobie wynagradzać jeszcze gorętszymi rojeniami, przez to zaś moje dwie połowy oddalały się od siebie, coraz trudniej było mi przeskakiwać pomiędzy nimi, sprawiało mi to ból, mój organizm nie był w stanie znieść tak wielkich wyrzeczeń, ból zaś budził we mnie silne pragnienie, bym mógł stać się taki sam jak inni, którzy nie dawali poznać po sobie tego okrutnego napięcia i dławiącego czuwania; nauczyłem się czytać myśli z ludzkich twarzy i natychmiast się z nimi utożsamiać, jednak umiejętność naśladowania i pragnienie stania się inną osobą skutkowało tylko duchowym cierpieniem, nie przynosiły zaspokojenia, tymczasem nie mogłem stać się inną osobą, przeobrażenie się w innego człowieka było tak samo nieosiągalne jak doskonałe zharmonizowanie moich dwóch natur czy uczynienie jawnym

mojego tajemnego życia, czy też osiągnięcie celu wręcz przeciwnego, uwolnienia się od wszelkich fantasmagorii i przymusów, a więc stanie się takim, jak oni wszyscy, których uważać się zwykło za normalnych i zdrowych.

Moje dziwaczne skłonności musiałem zatem uważać za chorobę, za dziwne przekleństwo czy grzeszne zboczenie, choć w chwilach większej wiary w siebie nie traktowałem ich jako dolegliwości poważniejszych od jesiennego kataru, które można tak samo szybko wyleczyć gorącą herbatą, zimnymi okładami, gorzkimi pigułkami i słodkimi jak miód kompotami, i z powodu których uważałem się za zupełnie przegranego, w momentach, kiedy gorączka spadała, czułem, że gdy wreszcie podejść do okna, poczuję się lekki, rześki, czysty i trochę rozczarowany; zaglądnące w okna gałęzie drzew daremnie pochylały się nade mną, na próżno chciały mnie chwycić miękkimi dłońmi liści, skoro widziałem na własne oczy, że wokół nic się nie zmieniło, moja choroba nikogo nie poruszyła, a kroki olbrzymów nie zamieniły pokoju w komnatę rozbrzmiewającą echem, wszystko jest takie samo, jak było, a nawet milsze i bardziej znajome, przedmioty nie przywodzą już na myśl nieprzyjemnych wspomnień, dawno minionych wydarzeń, wszystko spokojnie, pewnie i obojętnie trwa na swoim miejscu, dokładnie na swoim miejscu, pragnąłem doznać takiego oczyszczenia, wiedziałem jednak, że lek, który wykuruje mnie z tych żenujących i wstydliwych fantazji, muszę znaleźć sam.

Tego właśnie dnia, po zakończonej kuracji oddechowej, po raz pierwszy udaliśmy się w stronę stacji, ale nawet moim oczom, czułym na najdrobniejsze szczegóły, zahartowanym życiem pozbawionym wydarzeń, nie udało się dostrzec niczego nadzwyczajnego; wprawdzie ojciec wcześniej, niż było zalecane, skończył swoje ćwiczenia, a teraz, sapiąc jak ktoś, kto przeszedł trudną próbę, oparty dobrotliwie potężnym ciałem o parkan, z pełnym drwiny zadowoleniem spoglądał na matkę, chciał obrócić się w stronę morza, ale nie mógł się powstrzymać, by co chwilę się nie odwracać, nie było jednak w tym nic niezwykłego, zawsze tak robił, morze, które matka nazywała „cudownym”, nudziło go tak samo jak ten cyrk z oddychaniem, nie znajdował w nim nic godnego oglądania, „to jest, moja droga, po prostu wielka, pusta woda, i nic więcej”, powiadał, chyba że na horyzoncie pojawiał się statek, wtedy zabawiał się, odnosząc posuwający się w żółtym tempie kadłub statku do jakiegoś pewnego punktu na brzegu, wyznaczał ciągle zmieniający się kąt wynikający z oddalania się od początkowej pozycji, „przesunął się o dwanaście stopni na północ”, wykrzykiwał w zupełnie nieoczekiwanych momentach, a nawet czynił ciche uwagi na temat względności położenia poruszających się tam osób, i tak samo jak zawsze nie oczekiwał, abyśmy zajmowali się jego myślami, „myśli to produkt uboczny funkcjonowania naszego organizmu”, mawiał, „mózg bowiem, tak samo jak żołądek, musi być ciągle wypełniony czymś, co może trawić, a usta, i niech nie będą za to potępione, czkają tylko tą ledwo przeżutą strawą”, z drugiej zaś strony, gdy tylko nie dał się ponieść swym namiętnościom, potrafił być na tyle pobłażliwy, by nie przeszkadzać innym się cieszyć, a ich wysiłki i radość stawały się dla niego ciekawym i miłym widokiem; może to brak zainteresowania zjawiskami przyrody powodował, że czuł pociąg do wszystkiego, co nieociosane, wulgarne i pospolite, surowe siły ludzkiej natury odbierał jako samą naturę, a wszystko, co wyszukane i nienaturalne, służyło w jego pojęciu ukryciu prawdy, rozśmieszeniu go i skłonieniu do zjadliwej ironii; „Theodorze, jesteś po prostu nieznośny”, powiedziała kiedyś ze złością matka, która w tym właśnie znajdowała radość i z tego samego powodu cierpiała, że nawyki, jakich nie potrafiła się wyzbycić, były bezustannie demaskowane; zachowanie mojego ojca rzeczywiście było odrażająco dwulicowe, niechętnie wyrażał swoje opinie w jasnych i prostych słowach, choć w każdej sprawie miał zawsze bardzo zdecydowane

zdanie, mimo to, gdy przyznawał komuś rację, stwarzał pozory, że właściwie nie jest pewien i mógłby zmienić zdanie, nie, on nie dyskutował, głęboko szanował każdy sprzeciw, on tylko rozważał, i jakby szukając argumentów dla swoich tez, zadawał wymyślne, sformułowane w trybie warunkowym pytania, którymi długo wszystkich zamęczał i które znajomi przez wzgląd na ponadprzeciętne wymiary jego ciała uważali za „czarujące”, „Pan, drogi panie Thoenissen, z taką klatką piersiową i z takimi udami nie ma po prostu innego wyboru, jak być demokratą”, mawiał tajny radca Frick, czy, jak wyraziła się wiecznie zniecierpliwiona panna Wohlgast, „Nasz Thoenissen znowu błaznuje”, liczył na wrażenie, jakie uda mu się wywrzeć na innych, i tak długo napawał się swoim występem, aż budowla jego tez, nie uraziwszy nikogo, sama się rozsypywała; czasami jednak nie zachowywał takiej ostrożności, grzmiał zaskoczony, z żarliwym entuzjazmem reagując na argumenty, na przykład na moją opowieść o zjawie, którą zatopił w potoku gorących i wzniosłych słów, te zaś jak każda entuzjastyczna reakcja były rozbrajająco infantylne, tak wyolbrzymiał, ubarwiał i rozdmuchiwał każdy najdrobniejszy szczegół mojej opowieści, że zatracala ona swoje naturalne proporcje, rozrastała się do niemożliwej wielkości potwora nieposkromionej fantazji, oderwana od rzeczywistości nie mieściła się w niej ani do niej nie przystawała, w tej zabawie mój ojciec nie znał umiaru, tak długo trąbił, deklamował, gorączkował się, aż rozdęty balon przesady robił się cieniutki i pękał pod naporem wewnętrznej pustki; jego wątpliwe moralnie, choć zabawne wywody raniły matkę nader boleśnie, aczkolwiek odnoszę wrażenie, że kiedy jego słowa nie były tylko grzecznościowymi formułkami albo nie dotyczyły zwykłych spraw codziennego życia, nie rozumiała ukrytych w nich głębszych treści, przez co wcale nie chcę powiedzieć, że była głupia czy ograniczona, choć czegoś przeciwnego też nie było można o niej stwierdzić, pod wpływem surowego, purytańskiego wychowania albo z powodu oschłego, wycofanego charakteru nie udało się jej rozbudzić w sobie umysłowej, duchowej ani też zmysłowej wrażliwości, wszystko zatrzymywało się w niej w pół drogi, tak samo jak zatrzymało się jej życie, i dlatego właśnie byłoby o wiele bardziej stosowne, gdyby na miejscu jej wiecznego spoczynku ojciec zamiast rozrywającej pierś uskrzydłonej anielicy kazał wznieść pomnik mniej kobiecy i bardziej dostojny, w matce bowiem doprawdy nie było nic anielskiego ani kobiecego, skoro jednak ojciec tak bardzo się upierał przy tej banalnej symbolice, to dużo trafniejsza i właściwsza byłaby umieszczona na lekkim postumencie, pokryta gęstymi żłobieniami marmurowa kolumna, dramatycznie pęknięta na pół, by w krzywym pęknięciu ukazywała się sprzeczna z gładką, ociosaną powierzchnią surowa struktura kamienia, tak, to właśnie dostrzegałem za każdym razem, kiedy przekraczałem bramę pełnego drzew cmentarza.

W domu bowiem, o ile w ogóle mogę tak nazywać moje rodzinne miasto, lubiłem spacerować po jego starej części, chłonąc widok gwarliwych, zatłoczonych uliczek, zatrzymywać wzrok na polach ciągnących się za bramą miasta, z pełną świadomością spoglądając w kierunku, gdzie za wzgórzami leżał Ludwigsdorf, wieś, do której kiedyś chadzaliśmy w sobotnie popołudnia z Hilde, i choć nigdy nie miałem zamiaru zatrzymywać się dłużej na cmentarzu, to nie potrafiłem mu się oprzeć, był właściwie po drodze, mimo że gdybym poszedł inną drogą, nie zaś ulicą Finstertor, mógłbym go ominąć, ale zawsze mnie kusiło, by przedostać się przez rozpadający się, obrośnięty krzakami mur, z radością, że po prostu znów tam wróciłem, przemykać pomiędzy niszczącymi, pełnymi chwastów kryptami, mogiłami spowitymi najdziwniejszym kwieciami, by w końcu dotrzeć do naszego uskrzydłonego anioła, którego nieszczęsnym zadaniem było nadać nowoczesny wygląd starej rodzinnej krypcie; i może po to tamtędy chodziłem, żeby go zobaczyć.



Wiodła mnie tam jakaś potrzeba samoudręczenia, po pierwsze bowiem ta w swoim rodzaju irytująco amatorska rzeźba drażniła moje wysublimowane poczucie piękna, a po drugie właśnie tu dochodziły do głosu mój gniew, odraza i nienawiść, jakie wzbudzał we mnie mój ojciec, a nawet przybierały one na sile, wzmagane pełnym rutyny i zawodowego fałszu sentymentalizmem kamieniarza, który starał się pogodzić wolę klienta ze swoim artystycznym zamysłem; i choć głowę anioła wzorował nie bezpośrednio na twarzy matki, lecz posiłkował się wiszącym w naszej jadalni cukierkowym portretem z lat jej młodości, to postarał się w słodkiej twarzyczce małej dziewczynki przemycić charakterystyczne rysy mojej matki, zbyt wystające skronie i wąsko rozstawione oczy były czołem i oczyma mojej matki, wąski, garbaty nos, lekko wyzywające usta i dziecinnie wystająca broda przypominały nos, usta i brodę mamy, by zaś doprowadzić chaos do pełnej doskonałości, przez nieudolnie pofałdowany płaszcz przeświecało eterycznie kruche ciało, wysoko sterzczące, dopiero rozwijające się, wyraziste piersi, zaokrąglony brzuch, miękkie krągłości pośladków, zbyt kościste biodra, a wiatr wiejący prosto w twarz szykującej się do lotu postaci, zwiewający w tył długie włosy, tak bezwstydnie oblepiał na jej łonie ten obcy wszelkiej formie ludzkiego ciała kamienny płaszcz, że z powodu tych wszystkich bezładnie nagromadzonych szczegółów w nikim, kto patrzył na ten posąg, nie budził skojarzeń ze śmiercią czy jej nieuchronnością, ani z niczym, co związane z życiem czy naturalne, o ile nie uznamy za naturalne wytworów fantazji starzejącego się i gotowego na wszystko mistrza; pomnik był po prostu pospolity i pozbawiony dobrego smaku, tak pospolity i tak niegustowny, że nie warto byłoby poświęcać mu słów i nerwów, gdyby jego powstanie było tylko nieszczęśliwym zbiegiem przypadków, gdyby chodziło tylko o to, że mój ojciec zamówił coś, czego mistrz nie potrafił wykonać przy zachowaniu szlachetnej prostoty, nie, w tym momencie nie może być mowy o przypadku, wręcz przeciwnie, ukryta natura nieuchronnie zbliżającego się fatum objawiła się w posągu, który zamiast być pomnikiem życia mojej matki, stał się ucieleśnieniem nieszczęsnych skłonności mojego ojca.

Ale kto potrafi odczytać pełnię przyszłości z monotonii naszej codzienności?

„Spóźnimy się na pociąg”, zawołał ojciec tam na plaży, a na jego twarzy zaszła jakaś ledwie dostrzegalna zmiana; pełne drwiny zadowolenie, z którym siedząc przed chwilą na kamiennej ławce, spoglądał na matkę, zostało zmaćcone przez cień zniecierpliwienia, matka tymczasem, udając, że nie słyszy ani dziwnego tonu jego głosu, ani tego dziwnego zdania, w którym dziwne było tylko to, że w ogóle je wypowiedział, nie odezwała się ani słowem.

Może nie chciała przerywać ćwiczeń, zresztą nawet nie mogła, bo w tym momencie zajęta była tym, by oddychając z otwartymi ustami i wysuniętym językiem, cicho i rytmicznie, wypchnąć z brzucha stopniowo wdychane i zatrzymywane na pewien czas powietrze, oddychanie brzuchem tymczasem sprawiało jej, podobnie jak wszystkim kobietom, niemałą trudność; z drugiej zaś strony w jej milczeniu można było wyczuć urazę i nieustępliwą skłonność do wychowywania wszystkich, ledwie zauważalne napięcie, które zamienione w milczenie ostrzega, że to, co się wydarzyło, nie może minąć, nie pozostawiwszy po sobie śladu, w tym jednak przypadku, kiedy ojciec nie miałby już więcej cierpliwości tolerować tego, jak mawiał, „zwierzęcego bytowania”, tu już od dawna panowała pomiędzy nimi pełna zgoda, którą przez wzgląd na mnie zawarli lekko żartobliwym, choć iskrzącym od wielkich emocji tonem, w chwili, kiedy ojciec najzupełniej nieoczekiwanie, z ustami wykrzywionymi w grymasie niepohamowanego śmiechu, głośno sapiąc, chrząkając i fukając, położył kres swoim cierpieniom i spojrzawszy na matkę, w jego oczach zabłysła dobrze mi znana, wcale nie radosna, przecząca uśmiechającym się ustom, chmurna, nieopanowana ciekawość, którą dobrze znałem, nawet jeśli

jeszcze jej nie rozumiałem, jego twarz stawiała się wówczas przerażająco naga i bezbronna, wydawało się bowiem, że każdy inny wyraz twarzy, jaki prezentował, przebywając w towarzystwie, był tylko wypracowaną maską, która go kryje, chroni i zasłania, a teraz stoi przed nami obnażony, wreszcie się pokazał, nie umiał już dłużej przed sobą uciekać, był w takich chwilach piękny, bardzo piękny, kędziory czarnych włosów opadały na lśniące czoło, w pełnych policzkach pojawiały się dołeczki niemego śmiechu, jego oczy robiły się niebieskie, mięsiste wargi wąskie, sennym krokiem zbliżył się do matki, trzema palcami sięgnął do jej ust, po czym ostrożnie i czule, przecząc tym gwałtownemu ruchowi swojej dłoni, chwycił jej język, głęboko, u samej nasady, na co matka zareagowała obronnym szarpnięciem głową, by szybko powstrzymać przyprawiającą o wymioty czkawkę, i niespodziewanie nawet dla samej siebie tak ugryzła ojca w rękę, że aż zawył z bólu; od tamtej pory ojciec musiał patrzeć na morze, „Nie na mnie, rozumiałeś? Nie na mnie, na morze! Twoje spojrzenie jest nie do wytrzymania”, lecz kiedy nadeszła już chwila, w której ojciec, znudzony ćwiczeniami, przystawał oparty o mur, obok obawy i dystansu czułem w napiętym ciele mojej matki pragnienie, by jednak nie odwracał się i nie patrzył na morze, by się od niej nie odwracał, by zrobił z nią coś zaskakującego i skandalicznego, by tylko skończyły się te beznadziejne, męczące wysiłki, które z powodu trwających od wielu miesięcy kobiecych przypadłości musiała podejmować dla podreperowania zdrowia, by mogła wreszcie niczym nieskrępowana podążyć za ojcem w tajemną dal, której tak bardzo kazały się jej domyślać uśmiech złościący dołeczki w jego policzkach i chmurne spojrzenie, tak, by zrobił z nią, co tylko zechce, choć może się nawet domyślała, że sprawy mają się zupełnie na odwrót, skoro potęga jej obaw i powściągliwości była dużo silniejsza od tego wszystkiego, co ją pociągało.

We mnie było o wiele więcej gotowości, by stosować się do zaleceń doktora Köhlera, matka lubiła więc, kiedy stałem obok niej, bardzo blisko, że tak się wyrażę: w ciepłe jej ciała, bufiaste rękawy jej bluzeczki niemal dotykały mojej twarzy, choć nie oznaczało to wcale, że matka w swoim niezadowoleniu uciekała do mnie czy czuła do mnie jakąś niewłaściwą, zenującą czułość, nie sądzę zresztą, by wobec kogokolwiek żywiła jakiekolwiek cieplejsze uczucia, nie, ustawiała się blisko mnie powodowana jak najbardziej racjonalnymi pobudkami, mogła wtedy dobrze słyszeć i naśladować tempo mojego oddechu, i na odwrót, kiedy się pomyliła czy zabrakło jej tchu, albo rozmarzona zmyliła rytm, ja mogłem na nią poczekać i skorygować błąd, na długie sekundy umiałem wstrzymać oddech, czekać, rozkoszować się obezwładniającymi zawrotami głowy, czuć, jak wszystko, co dotychczas widziałem, ale nie czułem, przepełnia mnie, stając się wyraziste, wreszcie mogłem się zatracić, jak gdybym był tylko głosem albo krawędzią morskiej bryzy, mewą czy kołyszącym się liściem dotykającym kamiennego urwiska, powietrzem, tak długo, aż wszystko, tonąc powoli w czerwieni napływającej do mózgu krwi, zacznie ciemnieć, a instynktownie zaczerpnięty oddech pozwoli mi wszystko dokładnie słyszeć i czuć, jak matka kilkoma wdechami i wydechami odnajduje nasz wspólny rytm, i przebrnąwszy przez ów martwy punkt, znów czeka, że to ja będę ją prowadził; nie przyglądaliśmy się sobie nawzajem, nie patrzyliśmy na siebie, nasze ciała się nie dotykały, a jednak tylko brak ostrożności i doświadczenia mógł tłumaczyć i usprawiedliwiać zaślepienie, które pozwoliło nam obojgu znaleźć się na tak delikatnym uczuciowo gruncie, powinna bowiem wiedzieć, że robimy coś, czego nam nie wolno robić, i że to ona jest kusicielką, gdyż wzajemne odczuwanie, pozbawione dotyku i obrazu, z natury rzeczy odwołuje się do tych najbardziej wrażliwych, odwiecznych, atawistycznych reakcji, kiedy ciepło, zapach, zagadkowe oddziaływanie i rytm ciała drugiego człowieka mogą więcej powiedzieć niż spojrzenie, pocałunek czy uścisk, podobnie

jak w miłości, gdzie bezpośredni cielesny kontakt nigdy nie jest celem samym w sobie, ale jest środkiem do osiągnięcia takiej głębi, w której cel skrywa się w coraz to głębszych i głębszych warstwach, ukryty za ciężkimi zasłonami, i jeśli w ogóle jest możliwy do osiągnięcia, a tym samym odkrycia, to tylko poprzez niezaspokojoną rozkosz i całkowity brak celu.

Teraz zaś, po dwudziestu latach, zaledwie kilka dni przed moimi trzydziestymi urodzinami, które, choć nie wiedziałem, z jakiego powodu, jakieś przemożne, natarczywe przeczucie kazało mi uznać za ważki przełom życiowy, czym zresztą były, bo przecież właśnie z ich powodu zrezygnowałem z radosnych popołudni spędzanych z moją narzeczoną i przyjemności, jakie mnie czekały podczas urodzinowej uroczystości, która miała odbyć się w naszym domu w obecności wąskiego grona zaproszonych, i kiedy w samotności, znów w samotności szukając schronienia godnego wagi tego wyjątkowego dnia, rozmawiając z nią w cztery oczy, co tylko dlatego było możliwe, że mój przyszły teść z powodu swoich zajęć biznesowych nie wrócił jeszcze do domu, a piękna pani Itzenpiltz, pod pretekstem, że musi wydać polecenia dotyczące kolacji, wyrozumiale zostawiła nas samych, wyjawilem jej moje plany wyjazdowe, którym Helene nie sprzeciwiła się ani słowem, co więcej, czułem, że jak najbardziej im sprzyja, gdyż rozumie, że jeszcze przed naszym ślubem muszę napisać pierwsze rozdziały planowanego od wielu lat opowiadania, jeśli tylko nie chcę, by zmiany w naszym życiu odwiódły mnie od moich planów czy też skłoniły do ich porzucenia, „Wiem, bardzo dobrze to wiem, Helene, że nie muszę się tłumaczyć”, powiedziałem szeptem, a wiarygodność moich słów wzmocnił czuły uścisk mych palców zaciskających się na jej dłoni, nasze twarze znalazły się blisko siebie, czerwień zmierzchu igrała z wzorami tapet, czułem, jak mój oddech wraca do mnie zmieszany z jej oddechem, panowała ciepła jesień, okna były otwarte, „Mimo to, Helene, uważam, że powinienem porozmawiać z panią o czymś, o czym nie można mówić bez lekkiego zawstydzenia, sprawa bowiem jest mroczna i z moralnego punktu widzenia dość dwuznaczna, a wiedzieć trzeba, że nie tylko zwiększa ryzyko, jakie ponosi pani, decydując się na ten krok, ale podnosi także moją własną odpowiedzialność, musi być pani tego wszystkiego świadoma, jeszcze przecież może się pani zastanowić”, wiedząc jednak, że Helene nie będzie się nad niczym zastanawiać, uśmiechnąłem się prowokująco, „Chodzi o to, że szczęście, choćby było jednym z moich największych pragnień, i cokolwiek byśmy o nim mówili, nie jest stanem sprzyjającym pracy twórczej, jeśli więc teraz wyjadę, zamienię szczęście, jakie odczuwam, znajdując się blisko pani, na smutek, który mnie ogarnia, gdy nie jestem w pani towarzystwie, i który przepełniał mnie do dnia, gdy panią poznałem”; chyba nie muszę też mówić, że rozkoszując się udawaną szczerością, po prostu kłamałem, a moje wyznanie było szczere tylko o tyle, o ile stanowiło pretekst do wyjazdu, zaś fakt, że z taką łatwością umiałem ją oszukać i omotać, powodował, że jeszcze bardziej mnie pociągała, skoro jednak przez własną łatwowierność była ode mnie tak bardzo zależna, to znaczy, że nie potrafiła być inna, w jej błękitnych oczach zabłyśły łyżki wzruszenia, a mnie coraz bardziej ciążyło to, co naprawdę czułem i o czym chciałem z nią porozmawiać, „Muszę stąd wyjechać, by już nigdy więcej cię nie zobaczyć”, powinienem był powiedzieć, nie potrafiłem bowiem uwolnić się od wewnętrznej potrzeby ucieczki czy nawet zniknięcia stąd na zawsze, kiedyś przyłapałem się nawet na tym, że wyszedłszy z domu, zatrzymuję się w bramie i, bezmyślnie patrząc przed siebie, odgrażam się bezwiednym szeptem: „Koniec, koniec tego wszystkiego, jestem wolny!”, jeśli więc teraz, puszczając wodze fantazji, wyobrażę sobie, co by się stało, gdybym nie szukał pretekstów i nie wymyślał powodów, dla których muszę wyjechać, lecz powiedział o wszystkim bez ogródek, staje mi przed oczyma przeźroczyście błada, nierealna, krągła twarzyczka o miękkich rysach, z jasnymi piegami wokół

drobnego noska i koroną ciężkich rudych włosów, czyniących ją pełną życia, i w której moje dziwne oświadczenie nie wywołuje najmniejszego zdziwienia, wręcz przeciwnie, uśmiecha się, jak gdyby właśnie na to czekała, właśnie na to, ona uśmiecha się rozkosznie, wygląda na starszą i bardziej doświadczoną, w ukazującym wilgotne, lśniące zęby uśmiechu jest niezłomna siła charakteru, szybko ociera łzy, które zostały z jej oczu wyciśnięte przez gotowość do poświęceń i poczucie moralnej wyższości, w końcu robi ruch, którego rozgorączkowni swoimi oddechami obydwójce pragniemy, gest wyjątkowo wulgarny, i tu moja wyobraźnia, przez wzgląd na dziewczynę jeszcze zmysłowość Helene, przyzwicie odmawia mi posłuszeństwa; kiedy zatem po kolacji spędzonej w miłej, rodzinnej atmosferze i po pożegnaniu, które mimo zaistniałej sytuacji przyszło nam nadszpiewanie łatwo, udałem się w podróż, okazało się, że choć dostałem od niej entuzjastyczne przyzwolenie, to nasza przyszłość jawiła mi się złowieszczo i groźnie, nasza przyszłość, którą, jak wszystko na to wskazywało, będziemy musieli budować na wzajemnym braku szczerości, nawet jeśli zawsze będzie przybierała maskę porozumienia i taktu, wydawało mi się bowiem, że mój zmysłowy pociąg do Helene rodzi się nie z surowej i niewytłumaczalnej siły, którą człowiek czerpie z prawdziwej miłości, lecz z wyszukanego piękna i kokieteryjnej uległości, tak samo zresztą ona nie będzie umiała się przyznać, że jej subtelna dusza potrzebuje ordynarnych gestów, a nawet wzajemnej wulgarności, której przecież nie może ode mnie oczekiwać i której braku nie zastąpią ani moje mroczne, tajemnicze milczenie, ani pokrętne kłamstwa zabawnych wybuchów szczerości.

Oczywiście nie o to jej chodziło, że nie ma we mnie zmysłowej brutalności czy skłonności do wulgaryzmów, nie wierzę nawet w tego rodzaju subtelne ludzkie natury, które mogą żyć pozbawione zwykłych, naturalnych odruchów, ale poza strachem, który odczuwa każdy młody mężczyzna, nim zaprowadzi wybraną do ołtarza, lęk i obawy budziła we mnie świadomość, że nasz związek pod pewnymi względami przypomina pozbawioną równowagi i pełną niemożliwych do rozwiązania napięć relację, jaka łączyła moich rodziców, w każdym moim brutalnym geście widziałem gesty mojego ojca, a ich pragnienie przypominało mi o mojej matce, i gdybym nie miał wystarczającej wiedzy o samym sobie, wiedzy, która bywa pomocna, kiedy chcemy odróżnić przyczyny od skutków i odkryć nieskończoną hierarchię naszych uczuć, która prowadząc coraz niżej i głębiej, wiedzie nas do istoty rzeczy, już nasze zaręczyny uniemożliwiłyby mi przytłaczająca świadomość, że moja choroba jest dziedziczna, a los skazał mnie na coś tak poniżająco absurdałnego, bym własnym życiem powtórzył życie i grzechy moich rodziców, utożsamiał się z nimi, i w dodatku do tej tragicznej tożsamości przymusił niewinną, obcą osobę.

## Słońce jeszcze przygrzewało

Śnieg powoli topniał i choć obawiałem się psów, postanowiłem pójść do domu drogą prowadzącą od szkoły przez las.

Musiałem zważać na każdy krok, wydeptana w gliniastej ziemi dróżka opadała stromo pomiędzy korzeniami starych dębów o pniach pokrytych węzłami i koronach oplecionych jemiołą, wijącymi się wśród nieprzeniknionych zarośli, krzewów dzikiej róży, dzikiego bzu i głogu; na grubej pokrywie liści ścielących się na tłustej, gładkiej glinie z łatwością można było się poślizgnąć, strumyki szukające koryta właśnie tu, na środku dróżki, spotykały się ze sobą i drażyły sobie ujście; mały potoczek, wartki i krystalicznie czysty, mknął w ciemnożółtym korycie, wypełniając po brzegi niktne w gęstwinie kapryśne zakręty, z szumem i hukiem przelewał się przez białe kamienie; podziwiając oczyma wyobraźni odległe lasy i nieposkromione góry, przeskakiwałem pomiędzy brzegami strumyka, skakałem z jednej strony gęstwiny na drugą, w tę i z powrotem, posuwałem się naprzód zygzakowatym krokiem, balansując całym ciałem dla zachowania równowagi; czułem, że im odważniej będę skakał, im krócej i mocniej moje stopy dotykać będą niepewnego podłoża, podczas gdy ja szybkim spojrzeniem zidentyfikuję miejsce nadające się do kolejnego lądowania, tym pewniej będę się poruszał i tym mniej narażony będę na poślizgnięcie się czy wywrócenie; frunąłem więc w górę i leciałem w dół.

Na skraju lasu dróżka wychodziła na rozległą, pokrytą połaciami śniegu polanę; po przeciwnej stronie, pomiędzy krzewami, dostrzegłem jakąś postać.

Już nie mogłem zawrócić, nie miałem jak uciekać, musiałem zapanować nad oddechem, przestać sapać i dyszeć, by stojący tam osobnik nie pomyślał sobie przypadkiem, że to z jego powodu jestem taki zdenerwowany.

Wyłonił się spośród krzewów i ruszył w moją stronę.

Pragnąłem wyrzucić na nim wrażenie spokojnego i opanowanego, osoby, dla której to przypadkowe spotkanie nic nie znaczy, ale biegnąc, tak się spociłem, że pot spływał mi po plecach, a uszy miałem śmiesznie czerwone od zimna, widziałem samego siebie jego oczyma i wydawało mi się, że moje nogi są drętwe i niezgrabnie krótkie.

Niebo było błękitne, czyste i puste.

Za lasem, pomiędzy sękatymi koronami drzew, świeciło jeszcze wprawdzie ciepłe słońce, jednak w ostrym powietrzu już czuło się chłód, z głębokiej ciszy dochodziły krakanie wron i skrzek srok, ale wiedziałem, że po zachodzie słońca wszystkie te odgłosy nagle umilkną.

Powoli zbliżaliśmy się do siebie.

Na jego długim granatowym płaszczu połyskiwały złote guziki, czarną torbę z mięciutkiej skóry, tak jak zawsze, niósł niedbale przewieszoną przez ramię, szedł przygarbiony, lekko przekrzywiając długą szyję, podczas gdy jego rozkołysany chód był swobodny i pełen elegancji; obserwował mnie z wysoko uniesioną głową.

Wszystko to zdawało się trwać wiecznie; w chwili, kiedy ujrzałem go wyłaniającego się z zarośli, natychmiast musiałem uporządkować w sobie i poddać wewnętrznej dyscyplinie wszystkie najbardziej sprzeczne ze sobą, tajemne uczucia: „Krystian!” – chciałem zawołać, choćby dlatego, że w jego imieniu, które w początkach naszej gwałtownie zakończonej przyjaźni wymawiałem cichutko, ponieważ nie śmiałem głośno, czułem tę samą wyrefinowaną elegancję,

co w jego fizycznym jestestwie, jego imię pociągało mnie tak samo nieodparcie, jak on sam, ale nie potrafiłem zdobyć się na odwagę, wymówienie na głos jego imienia równałoby się bowiem dotykowi naszych nagich ciał, unikałem go, czekałem, aż pójdzie do domu w towarzystwie innych chłopców, nie chciałem iść tą samą co on drogą, nie chciałem iść razem z nim, w szkole pilnowałem się, by choćby tylko przez przypadek nie znaleźć się zbyt blisko niego, by się nieopatrzenie nie odezwać czy nie musnąć jego ciała; jednocześnie zaś bez przerwy go obserwowałem, dreptałem za nim jak cień, naśladowałem przed lustrem jego ruchy, szczególnie bolesną rozkosz sprawiała mi zaś świadomość, że kiedy go podglądam, potajemnie naśladowuję, staram się poznać jego niewidoczne dla postronnych cechy i charakterystyczne gesty, dzięki czemu mógłbym się do niego upodobnić, on nic o tym nie wie, nie przeczuwa nawet, że jestem z nim wszędzie, a on jest ze mną, choć nie zaszczyca mnie nawet jednym spojrzeniem, bo jestem dla niego obojętnym, nieużytecznym, niepotrzebnym i nieciekawym przedmiotem.

Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, by nie przyjmować do wiadomości namiętnych uczuć, które do niego żywiłem, zachowywać się, jak gdyby współistniały we mnie dwie różne osoby, a rozkosz i namiętności, których był źródłem, stanowiły jedynie nic nie znaczącą zabawę, bowiem tak jak moja jedna połowa nienawidziła go i gardziła nim, tak druga kochała go i szanowała; skoro jednak starałem się nie okazywać mu ani miłości, ani nienawiści, to udawałem bezgraniczną obojętność; moja miłość była aż nadto przesycona namiętnością i żądzą, bym mógł mu ją wyjawić, wówczas bowiem zyskałby nade mną pełnię władzy, nienawiść zaś rodziła w moich myślach tak nieczne fantazje, że sama możliwość ich urzeczywistnienia napawała mnie strachem, nie pozwalałem więc mu zbliżać się do siebie, udawałem, że nawet nie dostrzegam jego przelotnych spojrzeń.

„Chciałbym cię o coś prosić”, odezwał się rzeczowym tonem, kiedy staliśmy już od siebie na wyciągnięcie ręki, „i byłbym bezgranicznie zobowiązany, gdybyś spełnił moją prośbę”.

Czułem, że twarz mi płonie.

A on to widzi.

Zdruzgotał mnie ten przyjazny i niewymuszony ton, jakim wypowiedział moje imię i jakiego używał wyłącznie przez wzgląd na dobre maniery; teraz już nie tylko wydawało mi się, że mam krótkie nogi, lecz czułem, że jestem jedną wielką głową, brzydkim, nieproporcjonalnie zbudowanym robaczkiem; w końcu zmieszany zrobiłem coś, czego wcale nie chciałem: „Krystian!”, zawołałem głośno, wymawiając jego imię zbyt miękko, niemal bojaźliwie, uniesienie i niewłaściwie, on zaś, choć z pełną determinacją zmusił się, by na mnie poczekać i o coś mnie poprosić, teraz, jak gdyby nie dosłyszawszy moich słów, bądź też nie dając im wiary, uniósł wysoko brwi i pochylając się nade mną, uprzejmie zapytał: „Proszę? Słucham?”, ja tymczasem zaskoczony i ucieszony jego zakłopotaniem wy dobyłem z siebie jeszcze subtelniejszy ton i odparłem cichutko, że „Tylko wymówiłem twoje imię. Chyba mi wolno?”.

Szeroko otworzył usta, zamrugał, jego jasnooliwkowe policzki aż pociemniały z gniewu, czarne źrenice zwęziły się, a jasnozielone tęczęwy wydały się jeszcze większe; ale to nie wyraz jego twarzy, szerokie i zmarszczone czoło, pociągłe policzki, broda z dołeczkiem i nieproporcjonalnie mały, ostry, jakby jeszcze dziecinny nosek poruszyły mnie tak głęboko i boleśnie, lecz ich koloryt: w zieleni oczu połyskujących w barbarzyńsko zmysłowym brązie twarzy było coś wzniosłego i eterycznego, czerwień splekanych warg i czerni bujnej kręconej czupryny miały w sobie coś z piekielnego mroku; jasne spojrzenie przypominało mi tymczasem dawne chwile bliskości, w których jawna nienawiść spletała się ze skrywaną miłością, kiedy patrząc sobie w oczy, czuliśmy, że nasza wzajemna sympatia wynika tylko i wyłącznie

z nieokiełznanej ciekawości, a w fakcie, że jesteśmy sobie ciekawi, coś przecież musi się kryć, to zaś przybliży nas do siebie, w jakiś sposób ze sobą łączy, ciekawość bowiem to uczucie silniejsze od każdej innej, łatwiejszej do nazwania po imieniu, niebezpiecznej emocji, nie ma prawdziwego celu i niepodobna jej zaspokoić, zwięzające się źrenice i coraz większe tęczy brutalnie i jednoznacznie dawały jednak do zrozumienia, że nasz związek i bliskość są złudne, a nasze natury tak dalece od siebie różne, iż niemożliwością jest pogodzić je ze sobą.

Jak gdybym ujrzał przed sobą nie ludzką istotę, lecz dwie przerażające, magiczne kule.

Na moment zmusiliśmy się, by spojrzeć sobie w oczy, i choć już nie unikaliśmy wzajemnych spojrzeń, nie odwracaliśmy głów, ani on, ani ja, to w jego wzroku coś się odmieniło, oczy straciły blask szczerości, pociemniały od skrywanych zamiarów i myśli, zmatowiały, ukrywając się przed obcym spojrzeniem.

„Chciałbym cię prosić”, odezwał się cichym, ale zdecydowanym głosem i, nie chcąc, bym mu przerwał, chwycił mnie za ramię, „abyś na mnie nie donosił, a jeśli już to zrobiłeś, żebyś spróbował odwołać zeznania!”.

Zagryzł wargi, przyciągnął mnie, chwytając za ramię, zmrużył oczy, z jego głosu znikły subtelny ton i pewność siebie, wyrzucał z siebie słowa, jak gdyby się obawiał, że muśnię oddechem moje wargi, chciał wypchnąć z siebie nienawistne dźwięki, musiał je z siebie wyrzucić, by zyskać poczucie, że uczynił wszystko, co leżało w jego mocy, aczkolwiek wątpił w skuteczność własnych słów i nie żywił nadziei, że mnie przekona, nie podejrzewam więc, że był ciekaw mojej odpowiedzi, nie mówiąc o tym, że nawet ja sam nie miałem pojęcia, jak to sobie wyobraża, bym miał odwołać złożone raz zeznania; sądzę, że miał świadomość, po jak niepewnym stąpa gruncie; mierzył mnie wzrokiem, ten uniżony ton zapewne kosztował go wiele wysiłku, chyba nie widział dobrze mojej twarzy, byłem w jego oczach jedynie plamą rozmywającą się w zwątpieniu.

Mnie tymczasem poczucie wyższości dawało pewność i napawało rozkoszą, jakiej jeszcze nigdy nie zaznałem.

O coś mnie poproszono i mogłem tę prośbę spełnić bądź ją zignorować; wreszcie nadeszła chwila, w której przekona się, jak wiele ode mnie zależy, jeśli zechcę, będę mógł go uspokoić, lub wręcz przeciwnie, będę mógł go zniszczyć, słowem, dostałem szansę, by powetować sobie wszystkie poniesione krzywdy, których wprawdzie nie on był powodem, ale które wyrządzałem sam sobie za jego przyczyną; sprawiało mi ból, że mnie nie zauważa, że żyje i sobie chodzi, aczkolwiek to nie przewina ani grzech, że nosi ładne ubrania, że bawi się i rozmawia z innymi, a ze mną nie chce się zaprzyjaźnić, nie chce przyjaźni, której ja tak bardzo pragnąłem, choć właściwie nie miałem nawet pojęcia, jaka by ona miała być; uśmiezek, do którego tak się przymuszał, napawał mnie wstrętem, i mimo że był ode mnie niemal o głowę wyższy, to teraz ja patrzyłem na niego z góry; moje ciało odzyskało nie tylko właściwe proporcje, ale też poczucie swobody i bezpieczeństwa, moja świadomość porzuciła walkę i grę, poddała się obojętnie, pogodzona ze wszystkimi zmagającymi się we mnie sprzecznymi uczuciami, moja fizyczna postura straciła na znaczeniu, przestało mnie interesować, jaki jestem i czy mu się podobam; czułem zimne krople potu na plecach, wodę w dziurawych butach, stare płócienne spodnie nieprzyjemnie kłuły mnie w nogi, uszy miałem rozpalone, wiedziałem, że jestem mały i brzydki, ale nie sprawiało mi to przykrości ani nie było poniżające, wraz z wieczną marnością mojego ciała czułem się wolny i wielki; miałem świadomość własnej siły; wiedziałem, że go kocham, i cokolwiek uczyni, i tak nadal będę go kochał, a za tę swoją bezbronność mogę się na nim zemścić albo mogę mu wybaczyć, w gruncie rzeczy niewielka różnica; aczkolwiek nie wydawał

mi się już taki pociągający i piękny, jakim dotychczas widziałem go oczyma wyobraźni, czy w chwili, kiedy stanął przede mną, fakt, że go widzę, przyprawił mnie jednak o zawrót głowy; jego oliwkowa cera teraz była bladożółta, oddech, w którym wyczuwałem woń czosnku, napawał mnie wstrętem, pokorny uśmiezek był sztuczny i karykaturalny, zdradzał, że zwyczajnie się boi, choć próbuje nie okazywać strachu, dusi go w sobie, ukrywa, tai pod płaszczykiem pokory, podlizuje się i stara wyprowadzić mnie w pole.

Zaczerwieniłem się i wyszarpnąłem z uścisku jego dłoni.

I nic nie odpowiedziałem, nie mogłem, gdyż każda z możliwych odpowiedzi stawiała mnie w sytuacji bez wyjścia; nie miałem przecież najmniejszego zamiaru na niego donosić, a gdybym to jednak uczynił i posłał go do więzienia, raz na zawsze straciłbym go z oczu; gdybym zaś postąpił inaczej, niejako ulegając jego prośbie, pomyślałby sobie, że jego nieudolnie udawana pokora odniosła oczekiwany skutek, a jego zwycięstwo przyszłoby zbyt łatwo, by mógł mnie pokochać; nawet nie było mi wstyd, że zrobiłem się czerwony jak burak, co więcej, chciałem, żeby to zauważył, niczego bowiem nie pragnąłem bardziej, niż tak okazać mu swoje prawdziwe uczucia, by przestał się im opierać; moje purpurowe policzki były tymczasem oczywistym znakiem, że już nic nie może mi pomóc; cokolwiek bym zrobił czy powiedział, on i tak wymknie mi się z rąk; nie pozostawało mi więc nic innego, jak oddawać się beznadziejnym marzeniom i czekać, aż znowu wydarzy się coś, czego on nie będzie w stanie pojąć; a zatem, pomyślałem sobie, muszę postąpić dokładnie tak, jak dyktuje mi rozsądek, trzeźwo i okrutnie; perspektywa ta przypominała mi o moich rodzicach, choć w tamtych latach wcale o nich często nie myślałem, a moje przekonania, o ile takowe w ogóle posiadałem, z natury rzeczy nie były do końca moimi własnymi przekonaniem; sytuacja była wyjątkowa i zbyt osobista, by stanęły mi przed oczyma ich sylwetki i twarze, by szeptali mi do ucha słowa, które powtarzałbym jak papuga; a jednak wtargnęli w moje myśli, przypominając o ciepłym rodzinnym domu, gotowi do ataku; wiedziałem, że zdarzają się chwile, kiedy człowiek winien, zapominając o wszelkich uczuciach, postępować zgodnie z zasadami, które zwykliśmy określać mianem przekonania; ja jednak nie miałem dość siły, by zapanować nad własnymi uczuciami.

„Doprawdy nie proszę cię o to przez wzgląd na samego siebie!”, odezwał się stanowczym głosem, a jego dłoń, z której przed chwilą wyszarpnąłem ramię, błędziła w powietrzu, miał długie palce, delikatne przeguby, ale nie pozwoliłem mu skończyć, nie chciałem dłużej widzieć go w takim stanie: „Przede wszystkim dobrze by było, gdybyś potrafił odróżnić donos od zwyczajnego zgłoszenia!”.

On tymczasem, jak gdyby nie dosłyszał, mówił dalej: „Chciałbym tylko oszczędzić matce kolejnych przykrości”.

Przerywaliśmy sobie nawzajem.

„Jeśli sądzisz, że jestem donosicielem, nie mamy o czym mówić”.

„Widziałem, jak po lekcjach wchodziłeś do pokoju nauczycielskiego. Widziałem!”

„I sądzisz, że nie zajmuję się niczym innym, tylko tobą?”

„Dobrze wiesz, że moja matka choruje na serce”.

Zachichotałem. A w tym śmiechu była moc.

„Kiedy przychodzi ci ponieść konsekwencje własnych słów, mówisz, że matka choruje na serce!”

Oczy mu zabłyśły, jak gdyby od środka rozświetliła je zimna błyskawica, zaczął wrzeszczeć, a jego cuchnące czosnkiem słowa smagały mnie po policzkach: „Czego więc ode mnie oczekujesz? Czego? Jak chcesz, mogę cię nawet pocałować w dupę!”.



Coś się poruszyło, bezwiednie odwróciliśmy głowy: przez pokrytą śniegiem polanę przemknął zając.

Nie patrzyłem jednak na zająca ukrywającego się w zaroślach na skraju polany, patrzyłem na niego; gniew niepostrzeżenie zbliżył nas do siebie, gdyby był uważny, poczułby, jak mój oddech, wbrew mojej woli, muska jego szyję; szalik w paski miał rozwiązany, dwa górne guziki koszuli rozpięte, kołnierzyk wsunięty pod sweter, długa szyja sprawiała wrażenie dziwnie nagiej, tętnica widoczna pod cienką powłoką skóry pulsowała miarowo wśród napiętych mięśni i ścięgien, a wystające lekko jabłko Adama nierównomiernie skakało to w dół, to w górę; z jego twarzy odpłynęła już wezbrana od krzyku krew, policzki odzyskały dawny koloryt, grube wargi znów miał rozwarte, wodził oczyma za uciekającym zającem, a kiedy zatrzymał wzrok w miejscu, wiedziałem, że zając gdzieś się ukrył.

W zieleni jego oczu tańczył bladożółty blask zachodzącego za lasem słońca, miałem wrażenie, że zawrodość skrzeszających srok i niemilkące krakanie wron, woń powietrza i szmer lasu są z tej samej materii co jego twarz, ostra i surowa, skamieniała i jednocześnie pełna ruchu; nie malowały się na niej żadne uczucia, po prostu, bez zbędnych emocji, napawał się roztaczającym się widokiem; lecz to nie jego zniewalająca uroda, harmonia kolorów i rysów jego twarzy wydawały mi się godne pozazdroszczenia, choć pozornie mogło się wydawać, że to właśnie ich mu zazdrościłem, ale umiejętność, z jaką w każdej chwili potrafił o wszystkim zapomnieć; kiedy porównywałem się z nim, spoglądając w lustro, dostrzegałem, że wcale nie jestem taki brzydki, ale chciałem być podobny do niego, chciałem być taki jak on; miałem niebieskie oczy, przejrzyste i czyste, opadające na czoło jasne, lekko kręcone włosy, lecz moja twarz była twarzą mięczaka, zbyt delikatne, łagodne i pełne czułości rysy wydawały mi się fałszywe i nieszczerze, i choć wszyscy uważali je za nadzwyczaj miłe, lubili mnie głaskać i dotykać, to sam wydawałem się sobie toporny, wulgarny, zły i nikczemny; nie dostrzegałem w sobie nic miłego ani nie potrafiłem siebie pokochać; czułem, że noszę jakąś obcą maskę, i aby nie sprawić sobie zawodu, odgrywałem jakieś role, które bardziej odpowiadały mojej powierzchowności niż moim uczuciom; starałem się być wyrozumiały, taktowny, anielsko uśmiechnięty i przymilnie opanowany, choć w rzeczywistości byłem ponury i nerwowy, wszystkie moje zmysły domagały się brutalnych rozkoszy, byłem zapalczywy i przepełniony nienawiścią; najchętniej chodziłbym cały czas ze spuszczoną głową, nie miałem ochoty na nic patrzeć, ani nie chciałem, żeby ktokolwiek mnie widział, i tylko dlatego patrzyłem innym w oczy, że z ich spojrzeń miałem nadzieję dowiedzieć się, jakie wywieram na nich wrażenie; i tak niemal wszystkich udawało mi się zmylić; dobrze czułem się jednak tylko wtedy, kiedy byłem sam, tymi bowiem, których z taką łatwością potrafiłem wprowadzić w błąd, gardziłem za ich ślepotę i głupotę, wobec tych zaś, którzy coś podejrzewali, nie byli tak łatwowierni czy podatni na mój wpływ, stawałem się tak miły i uprzejmy, że odbierało mi to wszystkie siły, popadałem w stan rozkosznego omdlenia, ale to, jaki jestem sprytny, pozbawiony kręgosłupa i żądny władzy, naprawdę poczułem dopiero wówczas, gdy udało mi się zawładnąć tymi, którzy byli mi zupełnie obcy, nienawistni czy obojętni; chciałem, żeby wszyscy mnie kochali, mimo że sam nie potrafiłem kochać; przeczuwałem, że piękno kusi i zwodzi, miałem świadomość, że ten, kogo opętała żądza piękna i kto na nic więcej nie patrzy, nie potrafi kochać, a więc nie może też być kochany, nie potrafiłem jednak zrezygnować z uwielbienia piękna, wydawało mi się, że moja twarz, uważana nawet za ładną, nie należy do mnie, choć mogę wykorzystywać jej urodę do oszukiwania innych wokół siebie, oszustwo stało się moją bronią i właśnie ono dawało mi władzę; odkąd pamiętam, stroniłem od ludzi kalekich i szpetnych, i było to jak najbardziej

zrozumiałe, cóż bowiem z tego, że uważano mnie za ładnego, cóż z tego, że sam widziałem to w lustrze, skoro i tak wydawałem się sobie szkaradny i odrażający, samego siebie nie mogłem oszukać, własny osąd lepiej mi podpowiadał, jaki jestem naprawdę, niż władza, którą dawał mi zewnętrzny wygląd, tęskniłem za pięknem totalnym, za harmonią wewnętrzną i zewnętrzną formy, pragnąłem, by pod harmonią ciała nie krył się chaos kalekiej duszy, lecz dobroć i siła; dążyłem do doskonałości, a raczej do wewnętrznej zgody z samym sobą, do wolności, jaką daje niedoskonałość, która pozwoli mi być bezgranicznie zepsutym i złym; on jednak się nie poddawał.

„Nie miałem nawet zamiaru na ciebie donosić!”, powiedziałem cicho, ale on nie poruszył choćby głową, „A nawet jeśli bym doniósł, to i tak mógłbyś się wszystkiego wyprzeć, mogłeś przecież mieć na myśli swojego psa, niełatwo byłoby ci się wytłumaczyć, ale mogłeś przecież mieć na myśli po prostu psa”.

Mój szept był tak niezauważalny jak para wydostająca się z ust w chłodny dzień; każde moje słowo muskało jego twarz zastygłą w bezruchu; już nie mogłem być mądrzejszy i bardziej przebiegły, zostawiłem sobie furtkę, by móc zrobić coś, czego wprawdzie nie zamierzałem uczynić, trochę go tylko nastraszyłem, i cicho podpowiedziałem, jak może wypłatać się z sideł, które na niego zastawiłem, ale w ten sposób zdradziłem samego siebie, powinienem był go zadenuncjować, dopiero wówczas bowiem okazałbym się stanowczy, silny i niepokonany; i może jeszcze to zrobię, niżej już upaść nie mogłem, nie czułem samego siebie, zawisłem nad sobą, a to „nad” znajdowało się bardzo nisko.

Nic już nie miało znaczenia, słowa utraciły sens, mój oddech muskał jego twarz, ale to nie wystarczało, patrzył niewidzącymi oczyma i nie rozumiał, o co mi chodzi.

„Nawet nie przyszło mi to do głowy, uwierz mi!”

Zwrócił ku mnie głowę, widziałem, jak z jego oczu znika podejrzliwość.

„Nie?”, zapytał szeptem; jego oczy znów były takie, jak lubiłem, otwarte i szczere; „Nie!”, odparłem cicho, ale zdecydowanie, choć już nie bardzo pamiętałem, co mam na myśli, już nie musiałem grać, czułem, że z moich oczu znika błysk fałszu, i to było w tym wszystkim najważniejsze; „Nie?”, powtórzył pytanie, teraz już bez strachu w głosie, jak ktoś, kto pragnie się upewnić, czy naprawdę jest kochany, znowu poczułem na wargach jego oddech, „Nie, na pewno nie!”, wyszeptalem; nagle zapadła cisza; patrzyliśmy na siebie, stojąc tak blisko, że nawet nie musiałem poruszyć głową, żeby dotknąć wargami jego ust.

Matka, którą przed trzema dniami przywieźliśmy ze szpitala, leżała w łóżku, i kiedy Krystian znikł wreszcie w zaroślach i zostałem sam, zobaczyłem, jak wyciąga ku mnie nagie ramię.

Jeszcze czułem na wargach jego usta, dotyk obcej skóry, miękkość i zapach jego ust, zostały we mnie, zostały na moich ustach, pamiętałem delikatne drżenie jego warg rozwierających się pod dotykiem moich, czułem powolnie wydychane powietrze, które chwilę później stało się moim, czułem głęboki oddech, który odebrał mi powietrze, i choć zabrzmiało niewiarygodnie, nie sędzę, by należało uznać to za pocałunek, nie tylko dlatego, że nasze usta ledwie się musnęły, nie tylko z tego powodu, że dotyk naszych warg był dla nas obydwóch jedynie instynktownym odruchem, którego świadomego, erotycznego sensu żaden z nas jeszcze nie rozumiał, ale przede wszystkim dlatego, że w tamtej chwili moje usta dawały mi ostatnią szansę przekonania go, były ostatnim niemym argumentem, który miał go przekonać, by wydychając swój strach, wraz z moim oddechem zaczerpnął zaufania.

Do dziś właściwie nie wiem, jak się rozstaliśmy, na ułamek sekundy zapomniałem się

chyba w dotyku jego warg, a on zapomniał się we mnie; pamiętając o tym, nie zamierzam twierdzić, że nasz dotyk, nasz cielesny dialog był pozbawiony wszelkiej zmysłowości, mówić coś podobnego byłoby rzeczą śmieszną, nasz kontakt był jak najbardziej zmysłowy, ale tylko zmysłowy, i, co godne podkreślenia, wolny od jakichkolwiek skrytych zamiarów, które zwykły towarzyszyć miłosnym pocałunkom dorosłych, dotyk naszych warg w najczystszej formie ograniczał się do tego, co bez dodatkowych treści i konsekwencji w tej króciutkiej chwili mogą sobie dać nawzajem usta, niósł ulgę, spokój i spełnienie, i kiedy nie liczyło się już nic więcej, zamknąłem oczy; gdy jednak teraz o tym myślę, nie potrafię nie zadać sobie pytania, czym innym może być jeszcze pocałunek i czy może być czymś więcej?

Kiedy otworzyłem oczy, zapytał: „Czy wiesz, gdzie mieszkają zimą zające?”.

I choć jego głos wydał mi się niższy i jeszcze bardziej obcesowy niż zwykle, nie było w nim pośpiechu, zadał to pytanie w tak naturalny sposób, jak gdyby zając w tym właśnie momencie mknął przez polanę, a od chwili, kiedy ukrył się w lesie, nic a nic się nie wydarzyło, przyglądałem się jego twarzy, oczom, szyi, obcemu widokowi, którym były dla mnie na tle opalizującego krajobrazu zasnutego koronką konarów i gałęzi, i przemknęła mi przez głowę straszliwa myśl, że przecież popełniłem nieodwracalną, fatalną pomyłkę, a pytanie, które mi zadał, nie padło dlatego, że zażenowany szukał schronienia w jakimś neutralnym temacie; ani w rysach jego twarzy, ani w postawie całego ciała czy w spojrzeniu nie dostrzegłem nawet odrobiny zażenowania, był opanowany i wytworny jak zawsze, chłodny i pewny siebie, może nawet wyzwolony od strachu naszym pocałunkiem ponownie stał się sobą, niedoścignionym sobą, to zaś bynajmniej nie oznaczało obojętności na to, co się z nim dzieje, wręcz przeciwnie, tak mocno angażował się w każdą chwilę własnego istnienia, w każdy przeżywany moment, że zapomniał o wszystkim, o tym, co już minęło, i o tym, co może nadejść, żył poza własnym ciałem, jak gdyby tam, gdzie był, wcale go nie było; ja zaś nadal pozostawałem niewolnikiem własnej przeszłości, każda ważniejsza chwila wzniewiała we mnie burze namiętności i przysparzała tylu cierpień, że nie znajdowałem już w sobie sił na zajmowanie się przeszłością, i tym sposobem, choć inaczej niż on, też byłem gdzieś poza rzeczywistym światem; nie nadażałem za jego myślami.

„Nie mam pojęcia”, odburknąłem nieprzyjaźnie niczym zerwany ze snu.

„Może mieszkają w ziemi”.

„W dobre wnyki pewnie udałoby się schwytać całą zajęczą rodzinę”.

Wreszcie cicho, powoli otworzyłem drzwi, pamiętam dokładnie, że nie rzuciłem na ziemię teczki, tak jak zwykle, teczka nie spadła z hukiem na podłogę, a ciężkie drzwi nie zamknęły się z łoskotem, więc nikt nie zauważył, że wróciłem już do domu, nie pobiegłem na górę po dębowych schodach prowadzących do hallu, ta osobliwa zmiana nie dotarła jednak do mojej świadomości, nie podejrzewałem nawet, że teraz już zawsze będę poruszał się ciszej i z większą ostrożnością, że stanę się powolny, zamyślony i zamknięty w sobie, choć, rzecz jasna, nadal będę śledził codzienny bieg wydarzeń, a nawet będę widział je wyraźniej, jednak już zawsze tylko z perspektywy zewnętrznego obserwatora; szklane drzwi prowadzące do jadalni były otwarte, usłyszawszy cichy stukot naczyń, domyśliłem się, że jestem spóźniony, a wszyscy już kończą obiad, tylko że mało mnie to obchodziło, w hallu panował miły półmrok, było ciepło, przez opalizujące żłobienia przeszklonych drzwi dostawały się smugi popołudniowego słońca, kaloryfer trzeszczał i bulgotał, żeberka wydawały z siebie metaliczne, powracające echem dźwięki; musiałem długo tak stać wśród ciężkiej woni smażonych kotletów, mieniący się szkarłatem dywan był jednak ważniejszy niż moja własna twarz i ciało, których czarne kontury

ginęły w srebrnym błysku lustra.

Zrozumiałem, i było to najzupełniej oczywiste, że mówiąc o wynikach na zajęcia, myślał o jakiejś wspólnie przedsięwziętej akcji, dobrze wyczuwałem, że czekając na odpowiedź, spodziewał się, że wreszcie wezmę się w garść i też wymyślę coś sensownego, obojętne co, nie musieliśmy przecież upierać się przy tych głupich zajęciach, właściwe byłoby każde inne męskie zadanie wymagające zręczności i siły, mnie jednak ta zaoferowana z rycerskim spokojem szansa wydawała się zbyt prosta, w świetle tego, co się między nami wydarzyło, zwyczajnie śmiechu warta, nie dlatego, że jak dla chłopców w naszym wieku była zbyt dziecinna, ale dlatego, że jej naiwna infantylność zdradzała, że służy mu do obrony, że wymyślił to tylko po to, by nie przyjmować do wiadomości biegu wydarzeń, że jest wykrętem i zasłoną dymną, za którą będzie mógł ukryć własne uczucia, oczywiście było to wyjście o wiele rozsądniejsze niż to, które ja miałem mu do zaoferowania, w tamtej bowiem chwili nic nie było mi dalsze niż rozsądek; radość, że uwolnił mnie od poczucia winy, tryskała ze mnie, jak gdyby była namacalną materią, rozchodziła się wokół niczym chcąc go dotknąć fala, a ja nie pragnąłem niczego więcej, jak pozostać w tym stanie, w stanie, kiedy ciało jest całkowicie zdane na to, co w nim instynktowne, zmysłowe i emocjonalne, i tracąc ze swojego ciężaru tyle, ile waży wyzwolona zeń energia, przestaje być ciałem, które jest źródłem udręki; pragnąłem przedłużyć ten stan, chciałem spędzić w nim najbliższe chwile, przełamać wszelkie opory i przyzwyczajenia, nawyki i maniery wpojone wychowaniem, to wszystko, co odbiera nam radość zwykłych codziennych chwil, nie pozwala ujawnić prawdy o sobie, sprawia, że to nie my żyjemy w czasie, ale czas żyje w nas, miarowy i pusty; niezdolny odezwać się zwyczajnym, normalnym głosem, z uporem i wytrwałością robiłem wszystko, by nic się nie zmieniło, a mimo to czułem, że on niewiele z tego wszystkiego rozumie, i aby zachować pozory cierpliwości i spokoju, musi mobilizować całą swoją duchową energię; stał tam niczym ściana, od której odbijało się i kruszyło w proch to wszystko, co płynęło ze mnie ku niemu, i nawet go nie dotknąwszy, otulało mnie ulotną i nieuchwytną powłoką, dającą jednak miłe poczucie bezpieczeństwa, wiedziałem natomiast, że każdy najdrobniejszy, nieostrożny ruch może tę powłokę unicestwić, wystarczy jedno głośniejsze słowo, a wszystko, czym emanuje moje ciało, rozplynie się w powietrzu jak para z ust; patrzył mi prosto w twarz, nie widzieliśmy nic więcej, tylko swoje oczy, ale coraz bardziej się oddalał, podczas gdy ja ciągle tkwiłem w tym samym miejscu, nie chciałem ruszyć się nawet na krok, byłem zniewolony, po raz pierwszy poczułem w sobie potęgę szalejących zmysłów, ich piękno i grozę, ale to byłem prawdziwy ja, nie zaś te mgliste kontury, które ukazywało lustro, odbijając moje ciało czy twarz; fakt, że się oddalał, nie mógł ujść mojej uwadze, najpierw dostrzegłem na jego twarzy błysk zaskoczenia, którego mimo wszelkich chęci i wewnętrznej dyscypliny nie potrafił ukryć, potem zobaczyłem w jego ledwie dostrzegalnym uśmiešku głupią butę, która pozwoliła mu uciec tak daleko, by mógł patrzeć na mnie z ciekawością i współczuciem, nie odezwałem się jednak, nie uczyniłem żadnego gestu, w tej niemej chwili wszystko wydawało mi się absolutnie doskonałe, czułem się zbyt ważny, by dotknęło mnie, że z jego twarzy znikł ostatni cień uśmiechu, cisza wokół była niemal bolesna, znów odezwały się las, skrzek srok, trzask miotanych wiatrem gałęzi w oddali, plusk wody toczącej się po ostrych kamieniach, świst naszych oddechów.

„To przyjdź kiedyś”, powiedział lekko podniesionym, piskliwym głosem, i mogło to oznaczać wiele nawet całkowicie ze sobą sprzecznych rzeczy; nienaturalny ton jego głosu wydał mi się o wiele istotniejszy od samej treści tych słów, oznaczał, że czuje się zakłopotany, że nic nie jest takie proste, jak by sobie życzył, że choć ucieka przed moim wzrokiem, to nadal mam go

w ręku, proponuję kompromis, na który w innych okolicznościach nigdy by nie przystał, ten ton zdradzał, że nie traktuje serio zawartej ugody, niech mi nawet przez myśl nie przejdzie, by przyjąć jego enigmatyczne zaproszenie, mam je odczytać jako uprzejmą przestrożę, a w przyszłości, podobnie jak dotychczas, nadal nie będę miał prawa przekroczyć progu ich domu; nigdy nie miałem i nigdy nie będę miał prawa przekroczyć progu ich domu, powiedział tamtego popołudnia, kiedy matka wołała go przez okno, a ja trzymałem w dłoni dwa orzechy włoskie.

„Krystian! Krystian! Gdzie jesteś? Krystian, dlaczego muszę cię wołać? Krystian?”

Była jesień, staliśmy pod orzechowcem, cicho siąpił deszcz, szkarłatno-żółty ogród skrzył się wśród ciężkiej szarej mgły, on trzymał w dłoni wielki płaski kamień, którym przed chwilą łupał orzechy, nie zdążył jeszcze się wyprostować, a ja nie wiedziałem, czy za chwilę nie uderzy mnie w głowę tym kamieniem.

„Naszego domu jeszcze nie ukradliście, rozumiesz? I tak długo, jak długo należy on do nas, uprzejmie cię proszę, byś nie ważył się przekroczyć jego progu. Jasne?”

I choć nie było w tym nic zabawnego, roześmiałem się.

„Ten wasz sławetny dom ukradliście tym, z których żyliście, a odebrać złodziejowi kradzione to nie jest grzech, i to wy jesteście złodziejami!”

Upłynęło kilka chwil, nim pojęliśmy znaczenie wypowiedzianych słów, i choć samo ich wypowiedzenie było cudownie rozkoszne, to jego wściekłość i moja radosna obojętność świadczyły o tym, że nasze słowa nie były niczym innym jak zemstą, zadośćuczynieniem krzywd, które wzajemnie sobie wyrządziliśmy podczas naszej krótkiej, ale burzliwej i pełnej wzlotów i upadków przyjaźni, od wielu miesięcy spędzaliśmy ze sobą niemal całe dnie, a śpięcie, do którego między nami doszło, było przeciwległym biegunem osiągniętej bliskości, i choć próbowaliśmy znaleźć jakieś wytłumaczenie, to ten nieoczekiwany wybuch zawiódł nas tak daleko, że nie mieliśmy już odwrotu, i choć to, co robiłem i co nadal robię, było bez reszty pozbawione poczucia realności, cisnąłem na ziemię orzechy, te potoczyły się po wilgotnych liściach, matka ciągle go wołała, a ja ruszyłem w stronę bramy, zadowolony z siebie jak ktoś, komu wreszcie udało się załatwić coś ważnego.

Patrzył mi prosto w oczy. Cekał.

Tamto enigmatyczne zdanie, ostatnia próba, jaką podjął, oddaliła mnie od chwili, od której nie chciałem i nie potrafiłem się oderwać, dostrzegłem w jego oczach dystans, taki sam, jaki poczułem w sobie, i nawet jeśli ta długa dygresja nie jest niczym więcej jak wspomnieniem, błyskiem ryby wynurzającej się spod zastygłej w bezruchu powierzchni chwili, łapiącej oddech w obcym sobie żywiole i pozostawiającej po sobie kilka szybko niknących kręgów, by znów pogrążyć się w ciszy, to stało się ono dla mnie ważne, wyznaczyło bowiem punkt, zdecydowany i wyraźny, punkt, którego siła przypominała mi, że wszystko, co teraz się z nami dzieje, jest tylko odbiciem już kiedyś przeżywanej historii, i że wywrze swój wpływ na przyszłe wydarzenia, dokładnie w taki sam sposób, jak teraźniejszość jest wynikiem przeszłości, daremne są więc wszystkie moje tęsknoty, próżne moje wysiłki, by trwać wśród tego, co może być źródłem szczęścia, radości i rozkoszy, skoro, mimo że tak mocno przeżywam to zdobywane i tracone szczęście, daremnie próbuję je zatrzymać, bo zawsze natychmiast muszę je stracić; nie umiałem tedy nic mu odpowiedzieć, choć poza, w jakiej stał, mówiła, że jest gotów zaakceptować moją odpowiedź, i ja też jej pragnąłem, czułem bowiem, że potrzebuję jej do życia; stał przede mną, jak gdyby chciał zrobić krok naprzód, nagle jednak przerzucił teczkę przez ramię, odwrócił się i ruszył z powrotem ku zaroślom, z powrotem do miejsca, z którego nadszedł.

## Przyszedł telegram

O ile w ogóle to, co robiłem, można było nazwać posuwaniem się do przodu, silniejsze podmuchy wiatru bezustannie zmuszały mnie bowiem do zatrzymywania się w miejscu; czekając, aż wiatr się uspokoi, z trudem utrzymywałem się na nogach, pamiętam, że wzdłuż nadbrzeżnej grobli szedłem dobre pół godziny, nim zauważyłem, że coś się niebezpiecznie zmieniło.

Wiatr dał nie z naprzeciwka, lecz od morza, szedłem lekko bokiem, odpierając podmuchy ramionami i czubkiem głowy, próbowałem zakrywać twarz kołnierzem, by krople fal rozbijających się o kamienie uderzały o możliwie najmniejsze powierzchnie skóry, choć i tak od czasu do czasu musiałem ocierać czoło, z którego ociekały kropelki wody, ciężkie od soli spływały niczym potok prosto w oczy, potem wzdłuż nosa do ust, i choć przecież mogłem zamknąć oczy, skoro już i tak nic nie widziałem, to jednak chciałem widzieć choćby ciemności, jak gdyby sensowne było mieć z ich powodu otwarte oczy; początkowo przed księżycem przesuwały się jedynie przezroczyste, szare kłęby i wąskie pasma chmur, nadchodziły z głębi kontynentu i gnały ku morzu niczym ku bezkresnemu celowi, a obojętny spokój księżycy, mimo że ich ruch był subtelny i dostojny, czynił ich pośpiech nad wyraz zabawnym, później nadeszły groźniejsze chmury, gęstsze i bardziej masywne, choć podobnie zwinne, i nagle pociemniało, jak gdyby na ogromnej scenie reflektor przysłonił dekoracje, nastąpiła całkowita ciemność, nic już nie odbijało się w wodzie, na grzbietach fal nie rysowały się już w oddali białe kontury, po czym nagle pojaśniało, tak samo zaskakująco i niespodziewanie, potem znowu się ściemniło, nie przez przypadek mówię tu o teatrze, w tym szczególnym zjawisku, kiedy wiatr gnał w górę chmury w przeciwnym kierunku, niż sam dał tam w dole, było coś z teatralnej dramaturgii, coś z konfliktu pomiędzy wolą nieba a życzeniami ziemi, trwającego dopóty, dopóki w pozornie niemożliwym do zatrzymania biegu wydarzeń nie dokona się tam na górze nagły zwrot, tylko kto wie, jaki?, może to wiatr zmienił swój kierunek albo utkwiał w skłębionych ponad wodą chmurach, by pod postacią deszczu zepchnąć je do morza, w każdym razie ciemności trwały coraz dłużej, a jasność coraz krócej, aż wreszcie księżyc znikł, pograżając w mroku wodę i ziemię.

I już nie widziałem, którądy stąпам.

Zabawa ta była bardzo podniecająca, zapomniawszy o strachu, uznałem bowiem za zabawę to, co zwykliśmy nazywać orgią rozszalałych żywiołów, uznałem to wszystko za zabawę, która miała zastąpić czy raczej ucieleśnić burzę walczących we mnie, sprzecznych ze sobą sił, i tak, odkrywając w tej żywej metaforze własne uczucia, mogłem nawet poczuć się bezpiecznie, jak gdyby to, co dzieje się wokół mnie, nie było niczym innym niż cudowną igraszką lustrzanych odbić, i działało się tylko po to, by mnie rozweselić.

Doprawdy zręczne to oszustwo, ale niby dlaczego nie miałem wyobrazić sobie, że jestem głównym bohaterem tego potężnego i dostojnego huraganu, skoro już od wielu tygodni nie potrafiłem myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, by samemu pozbawić się życia, cóż więc mogło przynieść mi większe ukojenie niż rozszalały, zamknięty we własnych ciemnościach świat, który wbrew wszystkim niszczycielskim siłom nie tylko nie potrafił sam siebie unicestwić, ale nie umiał wyrządzić sobie nawet najmniejszej krzywdy, tak samo bowiem jak ja nie był panem samego siebie.

Kiedy minionego wieczoru, poprzedzającego mój wyjazd, tamtego pamiętnego wczoraj, podkreślam ten dzień dlatego, że przeżycie, jakim było dla mnie morze, tak przesunęło w czasie wszystkie dotychczasowe wydarzenia, że gdyby ktoś stwierdził, iż przyjechałem tu przed dwoma tygodniami albo przed dwoma laty, a nie dzisiaj po południu, wcale nie byłbym zaskoczony, i dlatego musiałem sam się upewnić, że pomiędzy moim wyjazdem a spacerem nad brzegiem morza upłynęło tak niewiele czasu, co oczywiście nie ma oznaczać, że ten miły czasowy zamęt rozplątał gmatwaninę moich uczuć, niemniej widok wzburzonego morza dawał wystarczające poczucie bezpieczeństwa, bym mógł zastanowić się nad tym, co się wydarzyło, kiedy więc przypomniałem sobie ginący w czułej oddali wieczór poprzedniego dnia, gdy o całkiem wczesnej porze wróciłem do domu i na ciemnej klatce schodowej, na której ciągle jeszcze nie naprawiono światła, długo i nieudolnie walczyłem z kluczem, aż wreszcie usłyszała mnie Kühnertowa, która zawsze o tej porze szykowała na śniadanie dla swojego męża chleb z masłem, przerażony słyszałem, jak spieszy długim korytarzem, nie mogę trafić kluczem do dziurki, w końcu przystaje, otwiera mi drzwi i z uśmiechem ściska w dłoni zieloną kopertę, jak gdyby od dawna szykowała się na mój powrót, jak gdyby na mnie czekała, i nim jeszcze zdążę wejść, powiedzieć „dobry wieczór” i podziękować za uprzejmość, czerwona jak burak podaje mi kopertę, i tylko dzięki tamtemu pod niejednym względem komicznemu schronieniu, jakie dała mi bliskość szalejącego wśród bezświatlnej nocy morza, nie czułem teraz bliskiej omdlenia słabości, która ogarnęła mnie tam, w tamtych drzwiach, i dręczyła mnie aż do samego przyjazdu; co więcej, bawiło mnie to, wydawało mi się, jak gdybym ciągle miał przed oczyma nadmiernie wyostrzony, nieznanym film, na którym Kühnertowa z wrzaskiem daje mi do ręki kopertę.

„Telegram, proszę pana, przyszedł telegram, przyszedł do pana telegram”.

I gdybym tak samo bezwiednie, jak mamy w zwyczaju spoglądać na ściskany w czyjejś dłoni przedmiot, przyglądał się telegramowi, a nie jej, może bym nie zauważył, że nie dlatego jej uśmiech był taki niezwykły i dziwny, bo nie miała zwyczaju się uśmiechać, lecz dlatego, że tym uśmiechem chciała zamaskować zachłanną żądzę brania udziału w moim życiu, nieposkromioną ciekawość, której nie potrafiła ukryć mimo całego doświadczenia wyniesionego z pracy w teatrze, kiedy bowiem telegram znalazł się w mojej dłoni, a ja, opanowawszy nerwy, rzuciłem okiem na nadawcę i znów spojrzałem na Kühnertową, z jej twarzy zniknął uśmiech, a ogromne, chorobliwie wytrzeszczone oczy wpatrywały się we mnie zza szkieł w cienkich złotych oprawkach, przyglądała się moim ustom, gniewnie i surowo, jak gdyby czekała, aż po długim milczeniu wyznam jej coś niesłuchanie ważnego, jej twarz może nie wyrażała nienawiści, ale było w niej jakieś pozbawione krzty wyrozumiałości skupienie, chciała zobaczyć, jak zareaguję na tę bez wątpienia wstrząsającą, a dla niej niepojętą wiadomość, podejrzewałem, że przeczytała telegram, i choć czułem, że robię się blady, właśnie wtedy ogarnęła mnie ta niemożliwa do przewyciężenia słabość, wszystko to zbyt wiele zdradzało, żebym mógł nad sobą zapanować, że cokolwiek zawiera telegram i skądkolwiek nadszedł, ta kobieta i tak za dużo o mnie wie, czy chce zbyt dużo wiedzieć, abym mógł dłużej tu mieszkać, przed niczym nie broniłem się zacieklej niż przed tym, by ktoś niepowołany miał wgląd w moje życie, teraz więc nie tylko muszę z godnością znieść zadany mi cios, ale muszę naprawdę stąd odejść.

Kühnertowa była przeraźliwie, ale intrygująco brzydka, wysoka i koścista, z wielkimi barami, w spodniach raczej przypominała mężczyznę, miała nie tylko długie i wielkie stopy, lecz także płaskie pośladki jak u starej urzędniczki, sama tleniła włosy, krótko ostrzyżone zaczesywała do tyłu, co wprawdzie do niej pasowało, jednak nie sprawiało, by wyglądała

bardziej kobieco, była tak brzydka, że nawet boczne oświetlenie gustownie rozmieszczone w ich przestronnym, zamożnym mieszkaniu nie tonowało jej brzydoty, w dzień ciężkie aksamitne zasłony, tłumiąc światło, powodowały, że panował w nim mrok, wieczorem paliły się tylko stojące lampy i kinkiety z abażurkami z woskowanego papieru, nigdy nie zapalali żyrandoli, co zmuszało doktora Kühnerta do specyficznego trybu życia; profesor był niski, niemal głowę niższy od swej małżonki, pod względem budowy stanowili całkowite przeciwieństwa, był drobny i subtelny, miał tak przeźroczyście jasną skórę, że na skroniach, szyi i rękach prześwitywały liliowo pulsujące żyły, miał małe, głęboko osadzone oczy, nijakie i pozbawione wyrazu, ruchy ciche i ledwie dostrzegalne, kiedy oddawał się swojej pracy naukowej, jak twierdzili niektórzy, niezmiernie ważnej, na jego wielkim czarnym biurku także nie było lampy, a kiedy Kühnertowa wołała go do telefonu, widziałem, jak długimi wąskimi palcami, niczego nie widząc, przewraca stosy gazet, książek, notatek i rękopisów, by w końcu wymacać szukaną kartkę, wyjąć ją, przejść przez pokój przed wibrującym niebieskim blaskiem ekranem telewizora, stanąć oparty o ścianę pod wysoko zawieszonym kinkietem i tam w jego bladożółtym świetle zacząć czytać, a że często tak robił, zdradzała za dnia plama na tapecie powstała w miejscu, o które opierał ramiona i głowę, często, gdy długo rozmyślał albo nagle przyszedł mu do głowy jakiś pomysł, przerywał spokojną lekturę i tą samą drogą wracał do biurka, by coś zanotować, maszerował przed ekranem telewizora, czego Kühnertowa, siedząc w wygodnym fotelu, zdawała się tak samo nie zauważać, jak doktor nie zwracał uwagi na dobiegający z odbiornika hałas czy panujące wokół ciemności, nigdy nie słyszałem, żeby zamienili ze sobą choćby jedno słowo, ale to ich milczenie nie było małostkową zemstą ani demonstracyjnie obnoszoną, wiele mówiącą o temperaturze ich związku urazą, jaką często czują do siebie nienawidzące się pary, by wzajemnie do czegoś tam się zmuszać, i która czyni je niemymi; nie, milczenie tych dwojga nie miało żadnego określonego celu, choć niewykluczone, że właśnie stygnąca powoli nienawiść spowodowała, że zastygli w swojej obojętności, tylko że nic nie wyjaśniało powodów tej nienawiści, wydawali się zadowoleni i zrównoważeni, w swojej obecności zachowywali się niczym zwierzęta należące do dwóch różnych gatunków, przyjmowali do wiadomości obecność tego drugiego, ale pamiętali też, że od praw rządzących płciami silniejsze są prawa rządzące gatunkiem, a skoro jedno nie może być ani parą tego drugiego, ani jego łupem, to w związku z tym nie mają sobie nic do powiedzenia.

Przyglądałem się twarzy Kühnertowej, mimo zdenerwowania z pewną dozą rezygnacji, doświadczenie bowiem podpowiadało mi, że łatwo się od niej nie uwolnię, wręcz przeciwnie, im bardziej będę się starał, tym będzie głośniejsza i coraz bardziej nachalna, przyglądałem się jej oczom i myślałem w duchu, że ten atak jeszcze wytrzymam, ale ten będzie już ostatni, z jej niskiego, pomarszczonego czoła wyrastały jak szczecina pomalowane na blond włosy, wyczuwałem palcami, że koperta jest otwarta, nos miała długi i wąski, na ustach spękaną pomadkę, nie mogłem nie obrzucić spojrzeniem jej piersi, one bowiem były jedyną częścią ciała, która wynagradzała jej brzydotę, były ogromne, nieproporcjonalnie wielkie, bez biustonosza zapewne sprawiłyby zawód, choć brodawki widoczne przez obcisły sweter nie mogły być nieprawdziwe; kiedy tak staliśmy w drzwiach tamtego niemal zupełnie ciemnego korytarza, w tej samej chwili, kiedy Kühnertowa zaczęła znowu krzyczeć, pojawił się nadchodzący z salonu doktor Kühnert, w koszuli rozpiętej do pasa, zawsze nosił białą koszulę, gdy czytał bądź robił notatki, rozpinał ją, by rozmyślając, drapać się po młodzieńczo nieowłosionej piersi; teraz jednak szedł spać.

Odmiana nie wydała mi się wprawdzie nadzwyczaj istotna, nawet jeśli jej przykre oznaki



były wyraźnie dostrzegalne, zmieniło się tylko to, że dotychczas stąpałem w ciemnościach pewnym krokiem, cały czas czując pod stopami tę samą, lekko śliską ziemię, nawet jeśli nic nie widziałem, z tej samej odległości dochodził bezustanny szum i huk fal, ciągle przyskała na mnie ta sama ilość słonej wody, mogłem w spokoju, na ślepo rozkoszować się wiatrem, oddawać się fantazjom i wspomnieniom, i tylko by nie zboczyć z grobli, musiałem trzymać się wyznaczonego kierunku; do tego jednak w zupełności wystarczało to, co czułem pod stopami, no i morska piana; aż nagle, kiedy czekałem, by silny wiatr trochę się uspokoił, morska fala uderzyła mnie prosto w twarz, co samo przez się nie byłoby jeszcze sprawą poważną, nie nalało mi się za kołnierz zbyt dużo wody, choć nie powiem, żeby była ciepła, mój płaszcz nie przemókł, to wszystko wydawało mi się nadzwyczaj zabawne, i gdyby wiatr nie przeszkodził mi otworzyć ust, z pewnością bym się głośno roześmiał, w tej samej jednak chwili uderzyła we mnie kolejna fala, dużo większa od tamtej, i wtedy już straciłem poczucie pewności.

Sądzę, że dotychczas szedłem środkiem grobli, teraz jednak, nie czekając, aż wiatr się uspokoi, ukryłem się po jej wewnętrznej, osłoniętej stronie i podjąłem próbę pójścia dalej, która nie tylko dlatego nie mogła się udać, że wiatr ledwie pozwalał mi iść naprzód, gdybym mu się poddał, porwałby mnie ze sobą, nie mogła się udać także z tego powodu, że kiedy uczyniłem kilka kroków, poczułem, że zszedłem na sam brzeg grobli, pomiędzy wielkie, ostre, bezkształtne kamienie, nie miało sensu dalej tędy iść, grobla okazała się o wiele węższa, niż początkowo sądziłem, już nie chroniła przed uderzeniami fal, a mimo to nie uczyniłem tego, co w takich okolicznościach podpowiadał zdrowy rozsądek, nie przyszło mi do głowy, żeby zawrócić, z bedekera wiedziałem, że nawet podczas przyływu poziom wody podnosi się tu najwyżej o dziesięć centymetrów, obliczyłem, że przyływ nie zmieni zasadniczo mojej sytuacji, pomyślałem, że to pewnie tylko niebezpieczny odcinek, tu grobla zakręca i dlatego jest węższa, albo z jakiejś innej przyczyny położona jest niżej od pozostałych miejsc, i kiedy tylko przeprawię się przez ten niebezpieczny kawałek, znów ujrzę nieznanome światła Nienhagen i znów będę bezpieczny.

Nagle wichura ustała.

Nie powiem, że bym czuł złość do Kühnertowej, ona też nie dlatego mówiła tak nieznośnie głośno, że była na mnie wściekła, i choć w ciągu ostatnich tygodni staliśmy się sobie bliscy, to ja cały czas ostrożnie zachowywałem właściwy dystans, który w moim przekonaniu z założenia uniemożliwiał to, by mogła otwarcie dać wyraz swoim uczuciom czy emocjom; nawet gdyby bardzo tego chciała, ona po prostu nie umiała cicho mówić.

Jak gdyby nie znała żadnego pośredniego tonu pomiędzy niemą ciszą a nieopanowanym wrzaskiem, i ta jej osobliwa cecha, inaczej tego nazwać nie potrafię, zapewne pozostawała w jakimś związku z jej dramatycznie przebiegającym małżeństwem, jak też z faktem, że pracowała jako suflerka w jednym z najznakomitszych teatrów, w Volkstheater, a więc żyła z tego, że ściszała swój skądinąd ładny, głęboki, niski głos, w którym i tak pozostawało jeszcze tyle siły, by dotarł zrozumiąły nawet do najodleglejszych zakątków sceny; nie ulegało więc wątpliwości, że to głos stanowił o jej życiu, a brzydota nie była niczym innym jak żartobliwym uzupełnieniem, chociaż odnosiłem wrażenie, że nie była świadoma swojej brzydoty, naprawdę istotny bowiem był głos, którym obdarzyła ją natura i którego tak rzadko mogła używać w jego naturalnym rejestrze.

Nie raz miałem sposobność być świadkiem niemiłych sytuacji, które powodował jej głos, i nie raz widziałem, jak wyjątkową rolę potrafiła odegrać dzięki niemu; pewnego przedpołudnia siedzieliśmy obok siebie na podium zbudowanym dla reżysera w gigantycznej, przypominającej

maneż albo halę fabryczną sali prób; i w wyniku jakiegoś nieporozumienia czy może trudnej do rozwiązania sytuacji atmosfera stawała się coraz bardziej napięta, a wszyscy, chcąc dowieść swej racji, zaczęli się przekrzykiwać, przez co hałas wzrastał się niemiłosiernie, zwłaszcza że znudzeni dekoratorzy, podnieceni statyści, garderobiani i oświetlacze chcieli wykorzystać nadarżającą się okazję i zamienić ze sobą kilka słów, atmosfera była więc gorączkowa, każdy chciał w rzeczowej kwestii wyrazić swoją opinię, chaos już sięgał zenitu, a Kühnertowa była pierwszą osobą, na którą mogła wrzasnąć pierwsza zdenerwowana aktorka: „Sieglinde, czy nie można by jeszcze głośniej?”, albo nazbyt gorliwy asystent reżysera, żeby się wreszcie zamknęła, bo to nie jest kawiarnia i zaraz ją wyrzuci, po czym wypowiadał słowa, które kierował do nich wszystkich, a mianowicie, że prosi o ciszę; w takich chwilach na twarzy Kühnertowej malowało się pełne poufałości zdziwienie, niczym na twarzy małego chłopczyka, który niewinnie zabawiał się w krzakach swoim ptaszkiem, a teraz dorośli nagle widzą w tym coś nadzwyczaj nieodpowiedniego, jak gdyby pierwszy raz mu się to przydarzyło, jak gdyby nigdy przedtem coś takiego nie miało miejsca; nie mogła już szerzej otworzyć chorych oczu, a o tym, jak bardzo była zmieszana, świadczyły jednak jej oblane dziewczęcym rumieńcem policzki, robiła się czerwona od czoła aż po samą szyję, skórę nad ustami zraszał pot, który zawstydzona ostrożnie wycierała, przyznać bowiem trzeba, że niełatwo jest przyzwyczaić się do tego, że nasza najbardziej charakterystyczna cecha staje się bezustannie przyczyną konfliktów z otoczeniem, każda bowiem nerwowa uwaga czy krzywdząco grubiańskie komentarze nie tylko świadczyły o tym, że jej głos można dosłyszeć wśród największej wrzawy, której jednocześnie sama stała się symbolem, lecz znaczyły też, iż jest pełen niebezpiecznych emocji, rażących uszy wielu osób, a jego niezamierzona bezwstydnosc jest żenująca i zdradza zbyt wiele; tak jak i ja czułem się głęboko zażenowany, kiedy cała czerwona wręczyła mi w drzwiach telegram, łączące nas bowiem relacje nie dawały powodu do takiego zachowania, a zwłaszcza do krzyku.

Ale to właśnie było najtrudniejsze: nie ulegać wrażeniu, jakie wywoływało jej niczym nieumotywowane, bezwstydne i nachalne zachowanie, uciec od niej, tymczasem już pierwszego wypowiedzianego przez nią zdania nie mogłem odebrać jako zwyczajnej informacji; fakt, że jej głos był tak mocny, że trząsł się od niego cały dom, jednak nie powiedziała przecież nic ponad to, że przyszedł do mnie telegram, tylko że te zupełnie banalne w swojej treści słowa przerywał co chwilę jej głośny, urywany oddech, przez co zupełnie neutralne zdanie przypominało rytmiczne pchnięcia, a ja nie potrafiłem obojętnie reagować na takie emocje, udzielało mi się jej podniecenie, i właśnie to było jej celem, później, choć próbowałem nad sobą panować, a na klatce schodowej i w przedpokoju było zupełnie ciemno, Kühnertowa musiała dostrzec i wyczuć moje rozdrażnienie, ciągle jeszcze trzymała ręce na klamce, lekko odwróciła głowę, nawet się uśmiechnęła, udało się jej to, i kolejne zdanie wypowiedziała już zmienionym, zabarwionym ironią głosem:

- Gdzie się pan, do diaska, podziewał, drogi panie?
- Co takiego?
- Telegram przyszedł co najmniej przed trzema godzinami. Gdyby pan teraz nie przyszedł, znowu nie mogłabym zasnąć.
- Byłem w teatrze.
- Gdyby był pan w teatrze, co najmniej od godziny musiałby pan być w domu. Niech się pan nie obawia. Obliczyłam.
- No, ale co się stało?
- Co się stało, czy ja wiem, co się stało, czy ja wiem, co się z panem stało? Niechże już pan

wejdzie!

A ja, balansując pomiędzy upragnioną obojętnością a podnieceniem i strachem, ze stanowczym postanowieniem położenia kresu tej dyskusji, zrobiłem krok do przedpokoju, Kühnertowa mogła już zamknąć drzwi, jednak zatrzymawszy wzrok na kopercie, zagroziła mi drogę, a Kühnert, zanim zdążył zniknąć w korytarzu prowadzącym do ich sypialni, odwrócił się i skinął głową w geście pożegnania, czego oczywiście nie miałem możliwości odwzajemnić, po pierwsze dlatego, że choć usiłowałem przybrać maskę obojętności i wewnętrznej siły, moją uwagę przykuwała zmiana, którą dostrzegłem na twarzy Kühnertowej, a po drugie doktor wcale nie oczekiwał, bym odwzajemnił jego gest, szybko odwrócił głowę, ja zaś nie znalazłem w tym niczego szczególnego, jako że doktor w ogóle rzadko zauważał moją obecność, tym bardziej, że w tym przebiegu chwili zmianę dostrzegłem nie tylko na twarzy Kühnertowej, cała jej postawa wskazywała, że szykuje się do czegoś zupełnie nowego, do wybuchu, jakiego jeszcze nie byłem świadkiem, do czegoś nieznanego mi z jej dotychczasowego zachowania, do czegoś, czym, przekroczywszy wszelkie granice, nie tylko pokaże mi się od całkiem nowej strony, ale czym jednocześnie mnie od siebie uzależni, i choć wtedy nie zdawałem sobie jeszcze z tego sprawy, w dosłownym tego słowa znaczeniu zapędziła mnie w kozi róg, drżały jej wargi, zerwała z nosa okulary, przez co jej oczy wydały mi się jeszcze bardziej przerażające, i jak gdyby czując, gdzie przed chwilą błędził mój wzrok, uniosła ramiona, by ukryć swoje olbrzymie piersi, i przygarbiła plecy; podjąłem ostatnią, daremną próbę uwolnienia się od niej, ale moje szanse malały, kiedy bowiem zapomniawszy o uprzejmości i dobrym wychowaniu, szukając ratunku w ścianie, spróbowałem chyłkiem wymknąć się do mojego pokoju, ona po prostu stanęła przede mną i przycisnęła mnie do ściany.

– Co pan sobie właściwie wyobraża, mój drogi? Wydaje się panu, że może sobie pan chodzić, dokąd tylko pan zechce, że może pan sobie do woli świntuszyć? Od kilku dni nie śpię, nie potrafię tego znieść. I już nie chcę tego dłużej znosić. Kim pan właściwie jest? I czego pan tu szuka? Jak pan sobie to wszystko wyobraża, żeby mieszkając tu od miesięcy, zachowywać się, jak gdybym była powietrzem, jak pan to sobie wyobraża? To nie jest pańska wina, że wszystko o panu wiem, ale ja też nie mogę bez końca milczeć, i nikt nie ma prawa tego ode mnie oczekiwać. Wiem wszystko, wszystko, nadaremnie próbował pan być tajemniczy, znam wszystkie pana sprawy, i chciałabym przypomnieć szanownemu panu, że ja też jestem człowiekiem, i że chcę wszystko usłyszeć, chcę to usłyszeć od pana. Cierpię przez pana i boję się spojrzeć panu w oczy. Myślałam, że jest pan dobrym człowiekiem, ale mnie pan oszukał, bo jest pan bezgranicznie okrutny, rozumie to pan? I byłabym bardzo wdzięczna, gdyby mi pan wyjawiał, czego wy ode mnie chcecie? Chcecie mi sprowadzić na kark milicję? Myśli pan, że nie mam bez was dość kłopotów? Chcę wszystko wiedzieć, a pan ma jeszcze czelność pytać, co się stało, kiedy to właśnie ja chcę wiedzieć, co się stało, co się z panem stało? Niechże pan przynajmniej powie, żebym była przygotowana na najgorsze, i niech się pan nie zachowuje tak, jak gdybym była pana służącą, która ma obowiązek wszystko cierpliwie znosić. Czy pan miał matkę? Czy ma pan jeszcze matkę? Czy ktoś pana kiedyś kochał? Sądzi pan, że potrzebujemy tych pieniędzy, które pan płaci? Że akurat potrzebne mi są pana zaszranie pieniądze? Myślałam, że wpuszczam do swojego domu prawdziwego przyjaciela, więc niech pan będzie tak dobry i mi zdradzi, co pan wyprawia? Czym się pan zajmuje poza tym, że wszystkich pan niszczy, że przewraca pan do góry nogami życie innych osób, a to pan cały dzień robi, to są pańskie zajęcia? Nie powiem, piękne zajęcia, ale co to są za zajęcia? Kiedy mam spodziewać się milicji? A może pan kogoś zabił? Widzę, że i tego mogłabym się po panu spodziewać, widzę to w tych pana

niewinnych niebieskich oczach, na próżno się pan miło uśmiecha i udaje, że nic nie wie, a na mnie patrzy pan jak na rozwrzeszczaną histeryczkę. Gdzie go pan zakopał? Już pana przejrzałam, więc proszę spakować swoje rzeczy i wynosić się stąd, dokądkolwiek, niech sobie pan idzie, dokąd pana oczy poniosą. Do hotelu. To nie jest melina. Moje mieszkanie to nie jest żadna melina. Ja nie chcę się w nic wplątać. Już wystarczająco dużo się bałam. Kiedy przychodzi telegram, robi mi się słabo, kiedy dzwonią do drzwi, już jestem chora, rozumie pan? Nie zauważył pan, że jestem chorą, zaszczutą kobietą, która zasłużyła sobie na trochę wyrozumiałości? Przecież to właśnie panu zaufałam, ja, szalona, przecież to panu opowiedziałam całe swoje życie. Czy moja dobroć już nie jest nikomu potrzebna? Pytam pana. Czy wszyscy potrafią mnie tylko wykorzystywać? Dlaczego nic pan nie odpowiada? Czy ja jestem dołem, w który każdy może wrzucać swoje śmieci? Niechże pan, do diabła, odpowie! Co jest w tym telegramie?

- Już go pani przeczytała, prawda?
- Niech pan przeczyta.
- Czego pani ode mnie chce? Chciałbym wiedzieć!

Staliśmy blisko siebie, w tej niespodziewanej ciszy bliskość powodowała, że jej twarz wydała mi się przezroczysta i delikatna, większa i nawet ładna, choć nieregularna, przedtem surowe oprawki okularów i tłumiona namiętność nadawały jej rysom ostrości, teraz jednak, kiedy zrzuciła maskę, jej twarz odzyskała naturalne proporcje, rude piegi stały się jeszcze bardziej widoczne na białej cerze i naprawdę urocze, mięsiste wargi i gęste brwi były jeszcze bardziej okazałe, a kiedy znów się odezwała, mówiła o wiele ciszej, miłym, donośnym głosem, takim, jakim szeptała w teatrze, ze zdziwieniem pomyślałem wtedy: cóż z tego, że bez okularów jej twarz jest taka wymięta, nijaka i bezkształtna, skoro piękno nie jest niczym innym, jak bliskością i pełnym obnażeniem się, cudownym poczuciem bliskości, i wcale bym się sobie nie dziwił, gdybym pochylił się nad nią i pocałował ją w usta, byleby tylko nie musieć patrzeć jej w oczy.

- Czego ja mogę chcieć, mój drogi panie? Jak pan myśli, czego mogę chcieć? Czy mogę chcieć, żeby mnie troszeczkę, nie bardzo, tylko troszeczkę kochano? Och, nie o to chodzi. Nie musi pan się mnie obawiać. To prawda, że na początku byłam w panu trochę zakochana, może nawet pan to wyczuł, teraz już mogę się przyznać, bo to wszystko minęło, ale ja nie chcę, żeby pan stąd odszedł, nie może pan traktować poważnie tego, co przed chwilą powiedziałam, byłam głupia, cofam to, nie może pan od nas odejść, ale ja się boję, i dlatego musi mi pan wybaczyć, jestem bardzo samotna i dlatego ciągle się boję, że stanie się coś takiego, czego nikt nie może przewidzieć, coś strasznego, że spadnie na nas jakiś cios, niczego innego nie pragnę, tylko żeby pan teraz, tutaj, przeczytał ten telegram, chcę wiedzieć, co się stało, nic więcej, proszę mi powiedzieć. To nie ja otworzyłam kopertę. Musi pan o tym wiedzieć. Przyszedł otwarty, u nas tak doręczają telegramy. Błagam, niechże pan wreszcie przeczyta!

- Ale pani już go przecież czytała, prawda?
- Bardzo proszę, niech pan przeczyta.

I być może chcąc zaakcentować wypowiedziane słowa, położyła dłoń na moim ramieniu, delikatnie, a jednak stanowczo, jakby pragnęła nie tylko odebrać mi kopertę, ale pokonawszy tę niewielką odległość, która dzieliła nas teraz od siebie, w jakiś sposób, w tym momencie nie miało już znaczenia, w jaki, chciała pojąć także mnie; chwyciła mnie za rękę, a ja nie miałem siły, by się jej sprzeciwić, a nawet dręczyło mnie poczucie winy, wiedziałem, że mój wzrok błędzący przed chwilą po jej piersiach czy myśl o pocałunku nie mogły się przed nią ukryć, takie

rzeczy w podobnych sytuacjach nigdy nie pozostają dla tego drugiego niezauważalne, i tak oto, w tym ułamku sekundy, wydało mi się całkiem możliwe, że nasza ostra wymiana słów może przybrać całkiem niebezpieczny obrót, tym bardziej, że nie tylko nie byłem zdolny poruszyć się z miejsca czy choćby odwrócić głowę, by nie czuć delikatnych muśnięć jej oddechu, by nie czuć na sobie jej wzroku, ale wbrew własnej woli i wszelkim zamiarom poczułem zdradzieckie, i choć przyjemne, to w tym momencie poniżające, oznaki podniecenia, dreszcz przechodzący przez skórę, zamglenie świadomości, ucisk tam w dole, urywany oddech, wszystko to mogło być konsekwencją jej dotyku, właściwie ode mnie niezależną, ale bardzo pouczającą; dowodziło to, że pokusa może się wymknąć świadomości i wcale nie musi być cielesną zachętą, gdyż fizyczne pożądanie z reguły nie jest przyczyną, ale konsekwencją związku, tak samo jak bliskość powoduje, że brzydota jawi się jako piękno, kiedy napięcie staje się tak wielkie, że musi znaleźć zaspokojenie w miłości, wystarcza jeden dotyk, by niepotrafiące inaczej połączyć się ze sobą wewnętrzne siły rozładowały czy przekształciły w zmysłową rozkosz niemożliwe do zniesienia napięcie psychiczne.

– Nie przeczytam!

Chyba się przestraszyła, że mogę ją uderzyć, bo pod wpływem mojego trochę spóźnionego, histerycznego okrzyku szybko zabrała mi dłoń z ramienia, choć było najzupełniej oczywiste, że ten okrzyk, tak niezwykły w moich ustach, dotyczył nie tyle bardzo zagadkowego telegramu, ile raczej bliskości, jaka między nami powstała, i jak gdyby tego było jej mało, cofnęła się o kilka kroków i zsunawszy na nos okulary, nagle spojrzała na mnie zwyczajnym, trzeźwym wzrokiem, jak gdyby nic się pomiędzy nami nie wydarzyło.

– Rozumiem. Nie musi pan krzyczeć.

– Jutro wyjeżdżam na kilka dni.

– Dokąd? Jeśli wolno zapytać.

– Byłoby dobrze, gdybym nie musiał zabierać ze sobą moich rzeczy. W przyszłym tygodniu się wyprowadzę.

– Dokąd pan pojedzie?

– Do domu.

– Będzie mi pana brak.

Ruszyłem w stronę mojego pokoju.

– Niech pan sobie idzie, ale będę czekała pod pana drzwiami, bo nie zasnę, jeśli mi pan nie powie.

Zamknąłem za sobą drzwi, krople deszczu stukały o parapet. W pokoju panowało przyjemne ciepło, a świetliste gałęzie klonu połyskujące w słabym świetle latarni rzucały na ścianę dobrotliwy cień. Zdjąłem płaszcz, nie zapalając światła. Podeszedłem do okna, by tam otworzyć kopertę, i posłyszałem, że naprawdę stoi pod drzwiami i czeka.

Mimo że na dole ustała wichura, fale nie straciły na sile, na górze ciągle zawodził i gwizdał wiatr, choć czasami wydawało się, że trochę się przejaśnia, jak gdyby podmuchy wiatru rozerwały płynące przed księżycem chmury, miałem jednak wrażenie, że zwozdiły mnie zmysły, tak samo jak zawiodła mnie nadzieja na szybkie przedostanie się przez niebezpieczny odcinek, nic nie widziałem, co już samo w sobie jest szczególnym stanem, moje oczy buntowały się i ludziły wyobrażanymi tylko, ale w rzeczywistości nieistniejącymi światłami, niczym niezależne ode mnie nie chciały pogodzić się z tym, że muszą patrzeć, bo ja je zmuszam do tego, aby coś widziały, choć wokół nie ma nic, dlatego więc nie tylko rysowały świetliste kręgi, roziskrzony punkty i promienie, lecz także rozświetlały przede mną całą okolicę, jak gdybym szedł przez

wąziutki przesmyk i dojrzał pędzące ponad spienionym morzem chmury oraz fale bijące o groble, by po chwili wszystko znowu pogrążyło się w ciemnościach, przypominając mi, że widziany obraz nie mógł być niczym innym jak tylko złudzeniem, z tej choćby przyczyny, że widok ten był możliwy nie dzięki naturalnemu światłu ani księżycowi, w widzianym przeze mnie obrazie nie było księżyca, mimo to pod wpływem tych właśnie napawających radością obrazów wierzyłem, że widzę przed sobą drogę, choć nie było tu najmniejszej ścieżynki, a ja brnąłem z trudem, ślizgając się i potykając co krok o ostre kamienie.

Wtedy już, podejrzewam, utraciłem to, co nazywamy orientacją w czasie i przestrzeni, a stało się tak zapewne dlatego, iż pomimo kapryśnego wiatru i niepojętych ciemności tego pełnego dostojęstwa widoku, sennie rytmiczne uderzenia fal oszołomiły mnie jak narkotyk, i gdyby ktoś powiedział, że cały zamieniłem się w słuch, wcale nie byłby daleki od prawdy, wszystkie pozostałe formy postrzegania stały się niepotrzebne, a ja, niczym dziwne nocne zwierzątko, zdany byłem tylko na swój słuch; głębia huczała, nie był to huk wody ani ziemi, nie był przerażający, ale też nie był obojętny, i choć może zabrzmiał to zbyt romantycznie, zaryzykuje określenie, że z głębin dochodził szum bezkresnej monotonii, głos, który nie przypominając niczego znanego, po prostu dawał wyobrażenie tej głębi, ale gdzie ona była i jaka była, tego nie wiedziałem, panowała wszędzie, na powierzchni i na dnie wód, i w powietrzu, jak gdyby jej głos wypełniał wszystko, a jednocześnie to wszystko było jej częścią, aż wreszcie posłyszałem wzmagający się powoli szum, który zdawał się potwornym wysiłkiem tej bezkształtnej masy wprawiającej się w ruch gdzieś w oddali, chcącej oderwać się, powstać przeciw spokojowi tego bezkresnego szmeru, nadchodził powoli, choć z wielką siłą, aż nagle zwycięskim grzmotem doszedł do kulminacyjnego punktu swojego brzmienia, kiedy nie można już usłyszeć głębi, zaspokojony unosił się wysoko, osiągał swój cel, zwyciężał i niszczył, by potem wszystko, co przed momentem zdawało się być siłą, masą, parciem do przodu, ewolucją i zwycięstwem, w chwilę potem, wśród niemiłego uszom trzasku, rozbiło się o nadbrzeżne kamienie, i by znów dał się słyszeć szum, jak gdyby nigdy nic nie zagroziło jego władzy, i aby znów zabrzmiały złowieszczo kapryśny świst, gwizd i wycie wiatru; nie umiem powiedzieć, kiedy i jak zaszła ta subtelna przemiana, która nie tylko tym się objawiła, że grobla stała się jeszcze węższa, a fale przewalały się przez nią, ale przede wszystkim polegała na tym, że dopiero w długi czas po tym, jak spektakularnie zaszła, byłem w stanie zdać sobie z niej sprawę, choć i wówczas chyba nie do końca, jak gdybym nie przyjmował do wiadomości, że za chwilę nie tylko buty, ale i nogawki spodni będą miały mokre, a woda nie oszczędzi nawet mojego płaszcza, tak bardzo bowiem poddałem się głosowi ciemności, że pochłoniął on wszystkie moje fantazje i wspomnienia, którymi na początku drogi umilałem sobie czas; to, co zwykliśmy określać mianem samoobrony, funkcjonowało we mnie w bardzo ograniczonym zakresie, jak u człowieka, który nagle zrywa się ze złego snu, kopie, wymachuje rękoma, krzyczy, zamiast przypomnieć sobie chwilę, kiedy zasnął, i pomyśleć, że cierpienie, które odczuwa, jedynie we śnie jest rzeczywiste, ale nie może sobie jej przypomnieć, ponieważ nadal śpi, podobnie ja próbowałem się bronić, ale okoliczności ograniczały sposoby tej obrony, stąpałem między kamieniami, ślizgałem się i potykałem, byłem bezsilny, woda już mnie dosięgała, i nawet nie myślałem o tym, że przecież udałem się na miły wieczorny spacer, skoro ten już od długiego czasu nim nie był.

Po chwili coś dotknęło mojego policzka.

Nadal było ciemno, ale cisza dobiegła końca, skończyło się coś, czego nie potrafiłem nazwać, i kiedy znów poczułem, że coś dotyka mojej twarzy, wiedziałem, że to woda; nie była nieprzyjemna, aczkolwiek zimna, wiedziałem, że przypomina mi coś, czego nie chcę albo nie

mogę sobie przypomnieć, chociaż słyszę, słyszę ten głos, od tamtej pory musiało upłynąć wiele czasu, choć czas na próżno mijał, ciągle było ciemno, noc się jeszcze nie skończyła i wszystko było mokre, ale przede wszystkim panowały ciemności!

I wtedy dotarło do mnie, że leżę pomiędzy kamieniami.

## Spoczęliśmy na dłoni Boga

W końcu wszystko rozwiązał przyjazd Helene, a może tylko w tamtych cudownych chwilach wydawało mi się, że w jakiś magiczny sposób znajdziemy rozwiązanie dla naszej złowieszczo zapowiadającej się przyszłości.

Kiedy następnego dnia, wczesnym popołudniem, nieumyty, nieogolony i nieubrany, stałem za biurkiem zatopiony w myślach i jeszcze lekko nieprzytomny drapałem się po nieogolonym podbródku, niezdolny do tego, by wreszcie rozpocząć tamten, jak się później okazało, decydujący dzień, byłem spięty do niemożliwości, po męczących pożegnalnych wizytach, które musiałem odbyć poprzedniego wieczoru, spałem tak głęboko i długo, nie śniąc o niczym, jak ktoś, kto w najlepszy z możliwych sposobów dokonał swego dzieła, choć ten nieprzytomny sen był przecież tylko prostym następstwem moich kolejnych kłamstw, konsekwencją faktu, że jedynie z przymusu pogodziłem się ze swoim nieznajdującym rozwiązania życiem, a po przebudzeniu moje sumienie jeszcze bardziej przytłaczająco i drażniąco przypominało mi o swoim istnieniu, byłem rozluźniony, wypoczęty i niepewny, dręczyła mnie w dodatku przedwyjazdowa gorączka, radość pełna wyczekiwania, napawająca wiarą, że już sama zmiana miejsca pozwoli mi uznać za minione wszystko, co nudne, niemiłe, przytłaczające czy niemożliwe do rozwiązania, walizki już czekały w przedpokoju na bagażowego, musiałem jeszcze tylko spakować notatki i książki potrzebne do pracy, które miały znaleźć się we wciąż otwartym czarnym lakierowanym neseserze leżącym na środku dywanu, do odjazdu popołudniowego pociągu pozostało mi na tę kłopotliwą z wielu względów czynność sporo czasu, nie chcąc jednak, by przykre uczucia nadmiernie się skumulowały, nie skupiałem zbyt dużej uwagi na czekającym mnie zadaniu, pozwoliłem, by ta kierowała się w dowolną stronę, nagle usłyszałem charakterystyczne pukanie do drzwi, była to moja gospodyni, pocziwiwa Hübnerowa, która tak jak miała w zwyczaju, nie czekając na moje przyzwolenie, wpadła po prostu do pokoju; nie było tedy w tym nic szczególnego, za wielkie osiągnięcie mojej pracy wychowawczej mogłem jednak uznać fakt, że kiedy miała mi do zakomunikowania coś niecierpiącego zwłoki, nie otwierała już drzwi bez pukania, wciąż jednak nie potrafiła pojąć, że skoro wynajęła mi ten pokój, to przed wejściem powinna zapukać i poczekać na odpowiedź; kiedy pierwszy raz, w najgrzeczniejszej z możliwych formie, wyłuszczyłem jej moje życzenie, ona, przewracając małymi oczkami i gładząc opięty na wielkim brzuchu fartuch, zapytała, nic nie rozumiawszy: „Cóż może pan takiego robić, co? Skoro i tak wiem, że jest pan sam”, poza tym była uczynna i miła, nawet jeżeli nie potrafiła nauczyć się tej drobnostki, całe to zajście raczej mnie rozbawiło, niż rozzłościło, teraz jednak nawet przy najlepszych chęciach nie mogłem tego łomotania w drzwi nazwać pukaniem, Hübnerowa uderzała pięścią, niczym szarpana podmuchami wichury, „Jakaś panienska jest tutaj, twarz ma ukrytą pod woalką, jakaś panienska pana szuka, jakaś panienska!”, szeptała zdławionym głosem, który, choć przedpokój był dość duży, musiała słyszeć czekająca tam kobieta, Hübnerowa bowiem zapomniała zamknąć za sobą drzwi, „Jest tu jakaś panienska, i wydaje mi się, że to pańska narzeczona!”.

„Proszę, niech ją Hübnerowa wprowadzi!”, powiedziałem spokojnym, choć głośniejszym, niż należało, tonem, by swą gotowością zadośćuczynić złemu wychowaniu Hübnerowej i aby usłyszał mnie czekający gość, aczkolwiek mój strój nie wydawał się odpowiedni do przyjmowania jakiegokolwiek rangi i stanu osób, zwłaszcza że przybyszem okazała się kobieta,



nie tylko nie potrafiłem sobie wyobrazić, kto to może być, o tej jak na wizytę o wiele za wczesnej porze, kto może mnie tutaj szukać, i natychmiast przyszły mi do głowy najrozmaitsze niepokojące przypuszczenia, przemknęło mi nawet przez myśl, że w przedpokoju stoi wysłanniczka niegdysiejszego przyjaciela mojego ojca, który od wielu już lat był moim śmiertelnym wrogiem, i zamierza spełnić groźbę, że mnie unicestwi, czyli po prostu zamorduje, że w futrzanej mufce ukrywa pistolet, „Nawet moda nam sprzyja”, powiedziała kiedyś ze śmiechem, kiedy kobiety zaczęły nosić mufki, fakt ten z wielu powodów zwiększał niebezpieczeństwo zamachu, wokół niego zawsze kręciło się tak wiele kobiet, że z łatwością mogła znaleźć się jedna gotowa uczynić dlań wszystko, to akurat wiedziałem z autopsji, a może to nie kobieta czeka w przedpokoju, ale jego człowiek przebrany za niewiastę, podejrzenia te wcale nie były aż tak bardzo nieprawdopodobne, by nie mogły okazać się prawdziwe, dobrze bowiem znając wszelkie wchodzące w rachubę sposoby, już choćby dlatego nie mogłem nie traktować poważnie gruntownie przemyślanej obietnicy mojego przyjaciela, Clausa Diestenwega, z punktu widzenia którego istotnie nie byłem nikim innym jak posiadaczem obciążającej go, niewygodnej tajemnicy albo zdrajcą jego sprawy, „Musisz umrzeć! A my potrafimy czekać i pojawimy się w odpowiednim momencie!”, oznajmił w liście napisanym ręką innej osoby, więc nie powinno mnie dziwić, dlaczego tak długo nie wykonał żadnego ruchu, dlaczego akurat dziś, zastanowiło mnie tylko, czy to nieokreślone odroczenie w czasie nie było przypadkiem częścią wymierzonej kary, a wyrok zostanie wykonany, kiedy wszystkie moje obawy i podejrzenia będą całkowicie uszione, kiedy nabiorę pewności, że puścili mnie wolno, że będę uciekać jak zwierzę, które umykając z pola do lasu, nie widzi wystającej spomiędzy krzewów dwururki, trudno więc się dziwić, dlaczego nie rozumie, że to właśnie tego spokojnego jesiennego poranka nadeszła godzina prawdy; śmierć, którą w innych okolicznościach może nawet przyjąćoby z większą obojętnością, ten spokój uczynił jeszcze bardziej dramatyczną; od wielu miesięcy ja też odczuwałem podobnie, jak gdyby skrywały mnie krzewy, jak gdybym nie był już tak bardzo skazany na jego łaskę i niełaskę, wielokrotnie bowiem zmieniałem miejsce zamieszkania, miałem więc nadzieję, że uda mi się zniknąć z niebezpiecznego kręgu, a on w końcu o wszystkim zapomni, i rzeczywiście po pewnym czasie nie nadchodziły już żadne wiadomości, przestały przychodzić listy, a zaręczyny nie tylko dały mi uczuciową równowagę, ale sprawiły też, że znowu zacząłem prowadzić zwyczajne mieszczańskie życie, które przed kilkunastu laty porzuciłem właśnie z powodu namiętnej przyjaźni z Diestenwegiem; teraz jednak myśl o tym była tak nieoczekiwana i przyprawiająca o zawrót głowy, że aż musiałem przytrzymać się ręką poręczy krzesła, ale wypowiedzianych słów nie można było już cofnąć, i właśnie ta myśl, że niczego nie można cofnąć, tak mnie oszołomiła, zresztą niczego nie miałem zamiaru cofać, nie chciałem bowiem robić niczego takiego, co spowodowałoby, że moja przeszłość przestałaby być moją przeszłością, jeśli mam umrzeć, umrę, byle tylko szybko, jestem gotowy, ale Hübnerowa stała bez ruchu, jak gdyby czuła i przeżywała mój strach; trwałem tak w odrętwieniu, pod pięknym łukowym sklepieniem, które oddzielało mój pokój od wiecznie pogrążonego w mroku hallu.

„Droga pani Hübnerowa, nie każmy gościowi czekać, proszę ją wprowadzić!”, powtórzyłem wprawdzie cichszym, ale zdecydowanym tonem, dając dowód zaskakującego nawet dla mnie samego opanowania, mimo bowiem chwilowego przerażenia pozostałem chłodny i rzeczowy, w moim głosie brzmiała duma, to, co czuję i przeżywam, jest przecież tylko i wyłącznie moją sprawą, spostrzegłem jednak, że wszystko na próżno, Hübnerową bowiem, z jakiejś niezrozumiałej przyczyny, ta sytuacja tak sparaliżowała, że choć miała okazję ode mnie się

uczyć, nie była w stanie sprostać nieskomplikowanej przecież ceremonii wprowadzenia gościa, stała, jak gdyby ktoś mierzył do niej z pistoletu, sam więc szybko zawiązałem szlafrok i niczym człowiek zdecydowany na wszystko ruszyłem w stronę drzwi, by bez zbędnej zwłoki przyjąć czekającego gościa, kimkolwiek by był.

Wyszedłszy jednak z pokoju do tonącego w mroku hallu, z którego przez otwarte drzwi widać było przedpokój, choć jeszcze przed chwilą byłem zdecydowany i stanowczy, przystanąłem w miejscu i zawołałem: „To naprawdę pani, Helene?”, widząc ją bowiem w tym ubogim, niemal świadczącym o nędzy, choć dla mnie już całkiem normalnym miejscu, nie tylko zrozumiałem, ale też poczułem, dlaczego moja gospodyni urzeczona stanęła w drzwiach niczym słup, jak gdybym sam przeżywał to wszystko, co przed chwilą przeżywała ta biedna wdowa, która niewiele miała w życiu sposobności widzieć coś podobnie zjawiskowego; Helene bowiem stała w przedpokoju niczym zjawa, mnie zaś przepętniało uczucie, że w takich okolicznościach z tą cudownie czystą, bezgranicznie harmonijną, a jednocześnie pełną ludzkich słabości istotą nie mogę mieć nic wspólnego; miała na sobie nieznaną mi srebrnoszarą, bogato zdobioną koronkami suknię, zgodnie z ówczesną modą subtelnie ukrywającą, a jednocześnie podkreślającą smukłe kształty jej ciała, w taki jednak sposób, by żadna z jego części nie została zaakcentowana na niekorzyść drugiej, co uczyniłoby ją nieprzyzwoicie wyzywającą, wrażenie miała wyrzucić całość, a zadaniem naturalności niewyaccentowanych szczegółów było zrównoważyć nadmierną sztuczność całości; Helene stała z pochyloną głową, jej sylwetka natychmiast przypominała mi popołudnia, kiedy siedziała przy fortepianie albo pochylała się nad robótką, przypominała mi jej szyję, której nagość ukazującą się spod wysokiego kołnierzyka sukni wstydliwie przesłaniały kędziorki wysuwające się z wysoko upiętego koka, którego głęboka czerwień czyniła ją jeszcze bardziej podniecającą, ludzką fantazję pobudza bowiem nie nagość, ta rodzi raczej poczucie kłopotliwego uzależnienia i całkowitej bezbronności, lecz to, co ukryte, co zasłonięte, co skłania do domysłów, to wszystko, co każe zerwać zasłonę i pozwala obejrzeć czy nawet dotknąć bezbronne ciało, które nam, tylko i wyłącznie nam ukazuje swoją nagość, jedynie bowiem wspólne i wzajemne pragnienie poznania i posiadania potrafi pomóc znieść to wszystko, co tak surowe i tak bliskie naturze, i czerpać z tego rozkosz; nie widziałem wprawdzie jej twarzy skrytej w cieniu rzucanym przez rondo kapelusza, nie odsłoniła też woalki, a mimo to wyczuwałem jej zakłopotanie, sam również byłem skrępowany, po pierwsze – jej odwiedziny bardzo mnie zaskoczyły, po drugie – zmęczyła mnie radość zajmująca miejsce chwilowego przerażenia; wiedziałem, że to ja powinienem pierwszy się odezwać i oszczędzić jej rozpoczynania rozmowy w obecności obcych jej osób, przez niedomknięte drzwi kuchni zaglądały już bowiem z zaciekawieniem dwie blade dziewczynki o potarganych włosach, jedna z nich była wnuczką Hübnerowej, druga jej przyjaciółką, z przestraczem przyglądały się niemej scenie z udziałem Helene, której niechcący stały się kolejnymi bohaterkami; nie potrafiłem tymczasem wydobyć z siebie ani słowa, cokolwiek bowiem bym powiedział, byłoby zbyt intymne i zbyt bezwstydne, zbyt gorące, by mogło zostać publicznie wypowiedziane, wyciągnąłem tylko rękę, w jej okrytej rękawiczką dłoni zadrżała oparta o podłogę długa parasolka, a ona, unosząc długą suknię, ruszyła ku mnie z niemym szelestem.

„Co też pani przyszło do głowy, moja droga?”, zapytałem czy raczej cicho zawołał wydobywający się ze mnie głos, kiedy Hübnerowa zdołała wreszcie ruszyć się z miejsca i zamknąć za sobą drzwi, a my zostaliśmy sami pod pięknym sklepieniem dzielącym mroczny hall od mojego rozświetlonego pokoju, „Czyżby wydarzyło się coś złego? Proszę coś powiedzieć, zanim doprowadzi mnie pani do szaleństwa!”.

Helene długo nic nie odpowiadała, staliśmy naprzeciw siebie, cisza wydawała się trwać wiecznie, miałem ochotę zerwać woalkę, tak po prostu, zerwać kapelusz, który teraz głupio zakrywał jej twarz, chciałem ją zobaczyć, by wreszcie poznać przyczynę tych niespodziewanych odwiedzin, choć nie miałem wątpliwości, z jakiego powodu tu przyjechała, chciałem zerwać z niej suknię, by już dłużej nie wydawała mi się tak zabawnie obca, jej drżące ciało budziło we mnie coraz większe podniecenie, nie byłem w stanie wykonać żadnego brutalnego czy też wulgarnego gestu, nie śmiałem nawet dotknąć tego nieszczęsnego kapelusza, chciałem ją oszczędzić, „Wiem, dobrze wiem, że nie wolno mi było tego zrobić” – szepnęła zza woalki, nasze podniecone ciała niemal się dotknęły, choć obydwójce, i ona, i ja, zważaliśmy, by do tego nie doszło, „Nie potrafiłam się powstrzymać, musiałam przyjechać, tylko na chwilę, powóz czeka na dole, i byłoby mi bardzo wstyd, gdybym musiała wyjawiać prawdziwy powód mojej wizyty. Chciałam zobaczyć pana oczy, Thomas, a teraz, kiedy już to powiedziałam, wcale nie sędzę, bym musiała się tego wstydzić; wczoraj wieczorem, kiedy pan odszedł, nie mogłam sobie przypomnieć pańskich oczu, proszę się nie odwracać i nie mieć mi za złe, że o to proszę, niech pan na mnie spojrzy, teraz już widzę pana oczy, a nie mogłam sobie ich całą noc przypomnieć”.

– Tak bardzo chciałem wierzyć, że mnie pani zrozumiała!

– Proszę mnie opacznie nie zrozumieć, wiedziałam, że tak będzie. Nie chcę pana zatrzymywać. Proszę jechać.

– Jak mam teraz wyjechać?

– Teraz będzie panu łatwiej.

– Dlaczego jest pani taka okrutna?

– Nie. W takim razie lepiej nie rozmawiajmy.

– Doprowadza mnie pani do szaleństwa. Bardzo panią kocham, Helene, teraz jeszcze bardziej, i czuję, że dotychczas tak pani nie kochałem, oszalałem po tym, co mi pani powiedziała, oszalałem od tego, że pani tu przyszła, nie potrafię tego wszystkiego wyrazić, może jestem śmieszny, ale powinna pani wiedzieć, że to pani uratowała mi życie, ale nie za to panią kocham, i najchętniej porwałbym na strzępy te wszystkie moje notatki i książki.

– Proszę nic nie mówić.

– Nie potrafię milczeć. I nie wiem, co mam powiedzieć. Własnymi rękami zniszczę to wszystko, co do tej pory napisałem.

– Chciałam tylko zobaczyć pana oczy, tylko pana oczy, i chciałam wypowiedzieć pana imię, Thomas, ja ciągle muszę wymawiać pana imię. Ale teraz już pana zobaczyłam i mogę odejść, i pan też niech już jedzie.

– Proszę nie odchodzić.

– Muszę.

– Kochanie!

– Musimy zachować rozsądek.

– Chciałbym zobaczyć pani włosy. Pani szyję. Zanurzyć palce w pani włosach, chwycić je i pociągnąć tak, żeby pani krzyczała.

– Proszę nic nie mówić.

– Zabiję panią.

Kiedy wypowiedziałem to ostatnie zdanie, głosem pełnym głębokiego przekonania, w dosłownym tego słowa znaczeniu głębokim i schrypniętym z podniecenia, zerwała z głowy kapelusz z woalką, słowa wypowiedziane w ekstazie wyraziły tajemne pragnienia i skrywaną żądzę, uczucia, z których przez długi czas nie zdawałem sobie sprawy, a jednak nie były one dla

mnie niczym nowym, jak gdyby zawsze to właśnie było moim życzeniem, jak gdyby wszystkimi moimi krokami kierowało to właśnie pragnienie, chęć zabicia jej, i zdanie to, jak również ton, którym je wypowiedziałem, wydały mi się zaskakująco szczere, jednakowoż zdanie to w moich ustach, a przecież byłem synem mordercy, zwyczajnego gwałciciela i mordercy, nie zabrzmiało niegroźnie i niewinnie, przynajmniej tak mi się wydawało, nie mogłem traktować go jak frazes wypowiedziany w miłosnym upojeniu, wreszcie bowiem, kiedy upłynęło już tyle gorzkich lat, moje własne skłonności jakoś wytłumaczyły niepojęty i godny potępienia czyn mojego ojca, było to zupełnie nieoczekiwane i mało przyjemne, trwało wprawdzie raptem krótką chwilę, jednak przez ten ulotny moment, niejako znalazłszy się poza samym sobą, mogłem przyjrzeć się własnym najbardziej skrytym pragnieniom, coś podobnego kiedyś stało się udziałem mojego ojca, ten stan, kiedy człowiek, patrząc na rozświetlone słońcem korzenie drzewa, z przerażeniem rozpoznaje w nich potęgę rozłożystej korony; w tamtej chwili tak bardzo kochałem stojącą przede mną, bezradnie drżącą istotę, że daleki byłem od odczuwania cielesnej żądzy, zwodzącej chwilowym zaspokojeniem miłosnych uczuć, daleki już choćby z tego powodu, że mając na względzie wszelkie okoliczności, o czymś takim do dnia ślubu nie wolno było mi nawet myśleć, musiałem więc o tym zapomnieć, a jednak ciągle pragnąłem objąć ramieniem jej podziwianą od lat szyję, i tak długo zaciskać na niej dłoń, aż ujdzie z niej ostatnie tchnienie.

Ona jednak nie przeczuła w tym zdaniu swojego losu, podobnie jak tamtego dawno minionego popołudnia moja matka nie przeczuła swojej przyszłości, nie musiała więc poważnie brać tego, co było tu poważne, słowem: determinacja, którą musiała usłyszeć w moim głosie, tylko wzmagając jej zachwyty, „Jestem twoja”, szepnęła w odpowiedzi, zaśmiała się, jej wargi były pełne, wilgotne i szerokie, wydawało mi się, że widzę je po raz pierwszy, „Ty mała kurewko”, wyszeptane prosto w jej usta, ale nie dotknąłem ich językiem, byłem lekko skrępowany brakiem porannej toalety, nie zdążyłem nawet wypłukać ust, „ty mała kurewko, mówisz mi na ty jeszcze przed ślubem?”, śmiałem się wraz z nią, i te niezupełnie nieświadomie wypowiedziane słowa, które jej wcale nie zaskoczyły ani nawet nie oburzyły, i mój oddech, choć mógł być nieprzyjemny, chyba sprawiły jej rozkosz, jej usta poddały się moim wargom, a ja, poza wszelką cielesną rozkoszą, wypowiedziane przed chwilą słowa uznałem za wielki i piękny duchowy tryumf; czułem, że przeszedłem ponad trupem ojca, że zdobyłem się na wypowiedzenie tego, co on tak tragicznie w sobie tłumiał.

Czułem rozkosz, największą z możliwych, gdy bowiem trzymałem w dłoniach jej szyję, aczkolwiek nie umiem powiedzieć, kiedy i jak trafiły tam moje ręce, strach powodowany podobieństwami i skojarzeniami nagle znikł, rozplynęły się gdzieś nienawiść i gniew, które wzbudzając we mnie wstyd i wyrzuty sumienia, determinowały nasz związek, nie pozwalając cieszyć się chwilą, ciągle przypominały mi bowiem coś dawnego i znanego, a teraz chciałem tylko całować te drogie usta, pozwolić, by całowały moje ciało, ale nie śmiałem jej przytulić, gdyż lekki szlafrok i jedwabna pidżama nie potrafiły ukryć silnej erekcji, moja dłoń stała się narzędziem czułości, tylko temu służyła, by miękko i jak najwygodniej trzymać jej głowę, jej usta przeobraziły we mnie siłę nienawiści w moc działania, moje palce już nie chciały się zaciskać, nie chciały dusić, pragnęły unieść jej głowę, by mogła mnie całować, a jej język odnalazł moje usta; daremnie próbowałem panować nad sobą, już nawet nie pamiętam, kiedy objąłem ramieniem jej szyję, jak gdyby zawirowała pode mną czarna przepaść, śliska i gorąca, aczkolwiek ciągle jeszcze przebiegały mnie dreszcze strachu, wprawdzie powodowanego już tylko zazdrością, nie rozumiałem bowiem, gdzie nauczyła się tak dobrze całować, choć czułem, że to nie jest wynik doświadczenia w tej materii, że to, co mi teraz daje, to najczystszy w swej

postaci instynkt, że właśnie tak działa na mnie jej czystość, nie zaś doświadczenie, i że to ja jestem tym, który czerpiąc z miłosnej przeszłości, nie potrafi oddać się uczuciu; podstępnie czy nawet z odrobiną złośliwej wyższości przyjmowałem, jak mnie odkrywa i atakuje, nie odwzajemniałem jej pocałunków, lecz niespodziewanie, świadomie zwlekając i czekając, nagle dotykałem językiem jej warg, zębów albo zatrzymywałem jej język w pół drogi, sprawiało mi rozkosz, że przeszkadzając, coraz mocniej rozbudzam w niej żądzę cielesnej bliskości, jak gdybym chciał, by wyzbyła się resztek wstrzemięźliwości i wstydu, by zdała się na mnie, potrzebowałibyśmy tego obydwój, trzeźwa połowa mojego umysłu nakazywała, bym zdawał sobie sprawę, że tego, co zaszło między nami, żadne z nas nie będzie już potrafiło bezkarnie przerwać czy zatrzymać, że obydwój musimy przejść trudne i długie manewry rozbierania, w których niezbędne będzie wykazanie się maksimum taktu i zręczności, a wstyd powodowany kłopotliwą zabawą z guzikami, tasiemkami i haftkami dopiero później, kiedy nasze nagie ciała zewrą się ze sobą, stanie się źródłem rozkoszy.

Daremnie jednak, jako ten doświadczony i trzeźwy, planowałem każdy mój ruch, nadeszła wreszcie chwila, w której straciłem wszelki rozsądek, lecz teraz, kiedy wszystko należy już do przeszłości, a ja chłodnym okiem przyglądając się sobie samemu, usiłuję przywołać w pamięci wydarzenia tamtego słonecznego przedpołudnia, zdaję sobie sprawę, że niebawem napotkam niemożliwe do przezwyciężenia przeszkody, że będę musiał przebić się przez gruby mur tego, co niemożliwe do wyrażenia, a mój wszechobecny i często śmieszny wstyd uczyni moje wyznanie mocno wątpliwym, aczkolwiek wiadome jest, że nazywanie po imieniu rzeczy, które w codziennym życiu mają swoje skompromitowane i do znudzenia powtarzane określenia, zwykło nam sprawiać niemałą trudność, słowa te bowiem, mimo swojego realizmu i siły wyrazu, nie dlatego jednak okazałyby się niewłaściwe do opisu moich przeżyć, gdyż obawiałem się, iż używając ich, sprzeniewierzyłbym się dobremu mieszczańskiemu wychowaniu, tak zwane dobre mieszczańskie wychowanie ani trochę mnie nie interesowało, chciałem mówić o życiu, a mieszczańskie dobre wychowanie to najwyżej forma życia, tak więc jeśli przed tym ostatecznym rozrachunkiem chciałem z największą dokładnością sporządzić mapę moich uczuciowych przeżyć, musiałem obnażyć przed sobą własne ciało, nie mógł mnie powstrzymać żaden wstyd, musiałem zobaczyć je nagie, tak samo bowiem śmieszne byłoby nakazywanie lekarzowi dokonującemu sekcji zwłok, by nie ruszał okrywającego je prześcieradła, zatem musiałem zdjąć szlafrok i pidżamę, a z niej ściągnąć irytująco skomplikowaną piękną suknię, tak samo jak wtedy, nazywając wszystkie gesty i wszystko, co wówczas czułem, choć po chwili zastanowienia musiałem przyznać, że używanie codziennych słów na określenie tak zwanych wstydlivych części ciała, a skoro mowa o żywym ciele, to także na określenie jego naturalnych funkcji, byłoby podobnie śmieszne i zakłamanie jak szybkie zmienianie tematu przez wzgląd na dobre maniery, kiedy bowiem chcąc ocenić rzeczywiste proporcje zagadnienia, jak też stopień trudności, których nastęrczałoby znalezienie właściwego rozwiązania, dla próby zadałbym sobie pytanie: „Przyznaj się, mój drogi, słowem, tamtego słonecznego przedpołudnia wreszcie przerznięłaś swoją narzeczoną!”, daremnie odpowiedziałbym twierdząco na tak zadane pytanie, odpowiedź okazałaby się takim samym fałszywym uproszczeniem czy ogólnikiem, jakim byłoby skwitowanie pytania milczeniem, słowo to bowiem, tak samo jak milczenie, pomijałoby wszelkie wiele mówiące szczegóły; tylko że to pełne narcyzmu skupienie, skoncentrowane na niegodnych zainteresowania, ukrytych szczegółach, z wielkim trudem potrafiło oddać obraz swego przedmiotu, czyli samego siebie, ciało bowiem w tych właśnie momentach traci poczucie świadomości, kiedy zdradziłoby najwięcej, a pamięć nie umie zachować tego, czego nie było

świadome ciało, nie zauważa zatem najważniejszych dla siebie chwil, aczkolwiek pozwala to doznać szczególnego uczucia, podobnego wspomnieniu o utracie przytomności, kiedy pamięć rejestruje jedynie chwilę jej utraty i moment powrotu świadomości, podczas gdy stan omdlenia, którego później bylibyśmy najbardziej ciekawi i który jest stanem najbardziej różniącym się od wszystkich nam znanych, pozostaje okryty tajemnicą.

Helene wgrzyła się w moje usta, jej determinacja, będąca jedyną możliwą odpowiedzią na moje doświadczenie, wyczekiwanie i te wszystkie dziecinne igraszki, sprawiła, że z mojej świadomości znikła wreszcie reszta rozsądku, teraz, kiedy jest już po wszystkim, przynajmniej tak mi się wydaje, że ból wywołany ugryzieniem był ostatnim momentem, którego znaczenie i sens dotarły do mojej świadomości, by po chwili zamienić się w trudny później do odtworzenia jej brak, usta Helene bowiem nie tylko zapomniały o jakiegokolwiek powściągliwości, ale najzupełniej jednoznacznie wyrażały, iż pragnie mnie całego i nie zamierza godzić się na żadne zabawy, ani przejmować się jakimikolwiek przeszkodami, zbytecznie więc odgrywałbym przed nią przewrotnego, znającego tajniki fizycznej miłości uwodziciela, ona chce mnie takim, jakim jestem, jej ciało przylgnęło do mojego, a ja nie mogłem się zastanawiać, jaki mam być w jej oczach, chciała przycisnąć łono do mojego przyrodzenia i nawet zawrotna ilość jedwabi i koronek nie przeszkadzała nam czuć ciepła naszych rozgorączkowanych ciał, co jednak nie tylko nie było przyczyną mojego szczęścia, ale dziwnie mnie poniżało, fakt, że to ona musiała wziąć sprawy w swoje ręce, a wyrafinowane igraszki mojego języka wobec wyznania złożonego przez jej zęby okazały się jedynie nieudacznymi próbami, stawiał pod znakiem zapytania moją męskość, a przynajmniej narażał na szwank moją erotyczną próżność, jak gdybyśmy zamienili się rolami, ona była męska i agresywna, co, ma się rozumieć, było dla mnie bardzo przyjemne, jednak wobec tego pełnego zdecydowania ataku czułem się niczym zniewieściał, pełen kokieterii zalotnik, chciałem wziąć nad nią górę, moje instynktowne nawyki nie potrafiły pogodzić się z taką zmianą, aczkolwiek może właśnie dlatego mnie ugryzła, by zmusić mnie do ataku, chciałem oderwać ją od siebie, znów poczułem nienawiść, z taką zaciekłością człowiek zrzuca z siebie pijawki, wpiłem się palcami w jej włosy, w delikatną materię sukni, a może nawet w skórę, jednym szarpnięciem głowy wyrwałem jej usta z moich ust, a moja dłoń, zsuwając się coraz niżej, chwyciła jej pośladek i przyciskając jej łono do mojego przyrodzenia, w jasny, wulgarny wręcz sposób dała do zrozumienia to, co ciągle jeszcze próbowałem ukrywać, to mianowicie, co skrywałem pod pidżamą i szlafrokiem, moje usta i zęby zawładnęły jej wargami, wyprostowany język wtargnął w jej usta, na co ona, leżąc na podłodze, odpowiadała największą czułością, głaszcząc mnie dłonią i miękko liżąc językiem, nie miałem pojęcia, jak się tam znaleźliśmy, utraciłem kontrolę nad wydarzeniami, od tamtej chwili jedynie jej gesty, twarz, spojrzenie, smak jej śliny, zapach potu i trzepoczące rzęsy pozwalały mi się domyślać, co się ze mną działo.

Leżała na podłodze na wznak, ja pochylałem się nad nią oparty na łokciu i przyglądałem się jej zamkniętym powiekom; wpatrywałem się w jej nieruchomą, bladą twarz i nagle wstrząsnął mną dochodzący z jakiejś straszliwej głębi, niepojęty szloch.

Wolną rękę zanurzyłem w jej rozrzuconych na podłodze rudych włosach, i ta ręka przypominała mi o dawnej, och, jak dawnej obietnicy, chwyciwszy za włosy, przyciągnąłem ją do siebie, a jej twarz niemal bez życia przesunęła się po podłodze.

Tamten rozgorączkowany, nieprzytomny, przyprawiający o dreszcze szloch przywołał we mnie wspomnienie z dzieciństwa, wspomnienie choroby, krocząc w nieprzeniknionych ciemnościach, napotkaliśmy słoneczną polanę, nasz pokój, w którym stały znajome, a mimo to

obce meble, w którym leżał gruby dywan zamieniony przez nasze nogi w górę, tylko zagniecenia i wzory obić trwały w nieznośnym bezruchu, ten pompatycznie pusty widok był tak nieprzyjemny, że musiałem położyć głowę na jej piersiach, ostrożnie, przecież pierwszy raz ją dotykałem, musiałem przymknąć oczy, by w gorących od jej ciała fałdach sukni poczuć ciepło własnego oddechu i by wstrząsający mną szloch pozwolił mi powrócić do ciemności, z których przed chwilą wyrwała mnie cisza.

Ona tymczasem jak gdyby nie dostrzegała mojego płaczu i nawet nie próbowała mnie pocieszyć; może naprawdę ją zabiłem, pomyślałem.

Wśród koronek odnalazłem wargami jej szyję, znowu musiałem otworzyć oczy, pamiętam dokładnie kolor jej skóry, aksamitność, którą czuły moje usta i język, na próżno zapadła w nas głęboka cisza, skoro usta niczym obcy, pełznący ślimak chciały spróbować tego, przed czym tak długo musiały się powstrzymywać, dlatego właśnie musiałem otworzyć oczy, daremnie bowiem chłonałem jej skórę, ciągle nie mogłem zadośćuczynić sobie straconych chwil, może więc łatwiej mi będzie, gdy zobaczę to, czego, choć tak gorąco tego pragnę, ciągle jeszcze nie mogę posiadać.

„Chciałabym ci coś powiedzieć”, usłyszałem jej szept i skierowałem usta ku jej wargom, by nie powiedziała: „nie!”, by tchnęła we mnie to, co chce powiedzieć, ale nie spieszyłem się, chwyciłem zębami słodko wysuniętą ku mnie brodę, przyjemnie było trzymać ją w zębach, była tak twarda, że chciałem ją ugryźć, jak pies, któremu, gdy trzyma w zębach ochłap, podsuwają drugi, jeszcze lepszy, znalazłem się w niezłych tarapatkach, musiałem dokonać przykrego i kłopotliwego wyboru, przecież czekały na mnie jej usta, to rozstrzygnęło sprawę jednoznacznie, odtąd wiedziałem, co mam zrobić, choć wtedy już chyba miałem zamknięte oczy, nic innego bowiem nie pamiętam, tylko woń jej oddechu wplątana w słowa: „Proszę, rozbierz mnie!”.

I gdzieś daleko za nami pozostał mój szloch; coś znowu odeszło na zawsze.

Otrzeźwił mnie jej głos, ciemna plama rozjaśniała się, pamiętam moje zdziwienie, choć nie to mnie zaskoczyło, co powiedziała, ale jej głos, powiedziała to bowiem tak naturalnie, to miało być dla mnie pocieszeniem, z taką naturalnością, że nie potrafiłem nawet sobie wyobrazić, iż mogłaby poprosić o coś innego, a jednak nie był to głos dorosłej kobiety, jak gdyby bezwiednie cofnęła się w czasie, do dni, do których przed chwilą sam powróciłem, zanosząc się szlochom, jak gdyby chciała mnie obdarować tym swoim, nieznanym mi czasem, który ja też ofiarowałem jej w moich dzieciennych, rozgorączkowanych łzach; a może to, co wtedy czułem, to nie było zdziwienie, ale podziw, podziwiałem jej dziewczęcość, podziwiałem wielkie szczęście ludzkiej natury, pozwalającej, by jeden człowiek dał drugiemu przeżyć czas, który już minął.

Tamten dziwny, czysty stan, nieskończenie głęboki i niczym nieograniczony, zwłaszcza że to za jego sprawą staliśmy się narzędziem napięcia zrodzonego ze spotkania niejasnej przeszłości z nieznaną przyszłością, trwał nie tylko do chwili, kiedy wśród pozornie wyszukanych zabiegów nawzajem ściągnęliśmy z siebie ubrania, ale pogłębiony dzięki wzajemnemu zaufaniu i pełnym bliskości gestom zawładnął czasem, gdy w półleżącej i w półsiedzącej pozycji, pomiędzy zabawnymi stosami rozrzuconych ubrań, wreszcie ujrzeliśmy nasze nagie ciała.

I choć patrzyłem na Helene, ukradkiem zerkając na samego siebie, to ze zdziwieniem dostrzegłem to, co już dokładnie czułem, a ukradkowe spojrzenie miało jedynie przekonać mnie o słuszności tych odczuć, mianowicie o tym, że moje przyrodzenie, które przed chwilą jeszcze tak stanowczo i bezwzględnie domagało się swojego miejsca, teraz dzieciennie zobojętniało i skurczone leżało na moim udzie, i choć starałem się, by Helene nie zauważyła moich spojrzeń,

nie mogły one umknąć jej uwadze, ona bowiem w przeciwieństwie do mnie siedziała wyprostowana, z głową uniesioną do góry, i patrzyła mi prosto w oczy, jak gdyby świadomie odwracając wzrok od naszych, jej i mojego, ciał, trzymaliśmy się za ręce i mogę się domyślać, że to nie wstyd dyktował jej taką powściągliwość, lecz ona, tak samo jak ja, kiedy ją rozbierałem, nie chciała zagubić się w szczegółach, gdy rozpinałem na jej plecach ukryte w obrębiej koronką zakładce haftki, rozplątywałem tasiemki u gorsetu, ściągałem zgrabne, wyszyte perełkami, finezyjne pantofelki, bufiaste majtki ozdobione różowymi kokardkami i zręcznie wsunięte pod nie długie jedwabne pończochy; skupiając bowiem uwagę na haftkach, guzikach, tasiemkach i zawiązkach, świadomie powstrzymywałem się od oglądania nieznanych mi jeszcze części ukazującego mi się teraz we wszystkich szczegółach ciała, chciałem widzieć je w całości, w absolutnej całości, a teraz, kiedy już miałem przed oczyma jej nagie ciało, okazało się, że to dla mnie zbyt wiele, by mój wzrok objął i odebrał w całości ten cudowny widok, musiałem patrzeć na wszystko, jednocześnie na wszystko, tymczasem chciałem zatrzymać wzrok w jakimś jego jednym punkcie, pragnąłem znaleźć na jej ciele ten jeden jedyny niepowtarzalny punkt, może więc to ona miała rację, o ile w podobnych kwestiach w ogóle możemy mówić o jakiejś racji, że patrzyła mi w oczy, i choć być może zabrzmi to sentymentalnie, w jej zamglonych błękitnych oczach było więcej nagości, niż mogłem dostrzec, patrząc na jej ciało, tak to właśnie jest, bowiem formy ciała ukryte pod gładką skórą ukazują się nam jedynie dzięki działaniu naszego wzroku.

Nie potrafię też wytłumaczyć, w jaki sposób znaleźliśmy się w tej dziwacznej pozycji, przypominam sobie tylko, że nie byłem na tyle świadomy, by móc myśleć i kierować własnymi ruchami, zwłaszcza że wspomnienia i pojawiające się nagle, i tak samo szybko znikające, urywki myśli raczej mi przeszkadzały, podobnie jak przeszkodziła mi gwałtowna myśl, że Hübnerowa może stać pod drzwiami i podsłuchiwać, na dole zaś czeka stangret, może właśnie zawiesił na szyjach koni worki z obrokiem, niepokoiła mnie też świadomość, że Helene jest tak nieprzyzwoicie młoda, przecież nie ma nawet dziewiętnastu lat, i jeżeli teraz mi się odda, a ja nie będę potrafił nad sobą zapanować, to oddam się jej na zawsze, i nagle moimi myślami zawładnęły wszystkie trudności naszego przyszłego życia, przecież to ja będę tym pierwszym, który choćby na jedną chwilę rozjaśni ciemności jej nieświadomych zmysłów, i że to, i tylko to, będzie nas ze sobą łączyć, jak gdyby siedziała naprzeciw mnie bezwolna, nieżyjąca własnym życiem kukła, w którą to ja mam tchnąć życie, by później ona zniszczyła moje, i właśnie dlatego nie wolno mi tego zrobić, nie, nie wolno mi utracić własnej wolności, gdyż wtedy ją zabiję, powinienem sobie teraz przypomnieć podniecającą przygodę, która przydarzyła mi się poprzedniego wieczoru, i choć nie skończyła się tak, jak mogłem się spodziewać, to jednak stała się przestrogą, że zmysły mogą sprowadzić nas na niezrozumiałe dla Helene drogi, którymi nie będzie w stanie za mną podążać, a w ten oto sposób i ją, i samego siebie wystawię na wielkie niebezpieczeństwo; wtedy jednak siedzieliśmy naprzeciw siebie na podłodze, nadzy i zdani na wzajemną łaskę i niełaskę, trzymaliśmy się za ręce i chociaż nie chciałem niczego przyspieszać, to tak bardzo pragnąłem poznać każdą najmniejszą cząsteczkę jej ciała, tak bardzo za nią tęskniłem, za tym wszystkim, co było nią i co kiedyś będzie mną, o czym wiedziałem, że jest moje, iż strzepy moich oszołomionych myśli, nie mogąc już ostrzec przed niebezpieczeństwem, tylko wzmagały we mnie pożądanie, coś jednak nadal nie pozwalało nam zbliżyć się do siebie, coś, co musieliśmy przewyciężyć, ona chyba też czuła podobnie, dlatego odwracała wzrok od mojego ciała, jak ktoś, kto otrzymał podarunek, ale ciągle nie może uwierzyć, że ofiarowany przedmiot już do niego należy, była spięta do granic wytrzymałości, choć pozornie



pozostawaliśmy zupełnie spokojni, siedzieliśmy niby po turecku, ona z jedną nogą podkuloną pod siebie, drugą zgiętą w kolanie, tak że aż dotykała sutka, jak gdyby się podpierała, przez co jej łono było całkiem odsłonięte, burza rudych włosów opadała na szczupłe, kruche, dziewczęce ramiona, a pod trójkątem rudawego owłosienia rozwierały się wargi, i kiedy ukradkiem zerknąłem na własne przyrodzenie, miękko spoczywające na udzie, niczym odpoczywający Pan, siedzący wśród lasu na mokrej od rosy trawie, ten widok wydał mi się o wiele ważniejszy, siedzę przecież w takiej samej pozycji jak ona, jedno udo podciągnięte pod siebie, łono niczym nieokryte, drugą nogą podpieram się, stanowimy swoje odbicie, no i jej talia, a zwłaszcza piersi, bowiem w kształcie jej piersi i subtelnie załamującej się linii talii widziałem zaskakujące podobieństwo, jak gdyby te dwie linie kierowały się w dół, posłuszne temu samemu nakazowi natury.

Nieomal w tym samym momencie zaczęliśmy przysuwać się ku sobie, bardzo pomocne stały się w tym manewrze nasze dłonie, ona ciągnęła mnie, a ja ciągnąłem ją, i wbrew pełnej powagi chwili zbieżność naszych ruchów w czasie musiała wydać się zabawna, wtedy właśnie odkryłem w jej cudownym ciele tamte napawające spokojem miejsca, to nie było jedno miejsce, ale też nie było to jej całe ciało, jak gdyby jednocześnie widziałem jej piersi, talię i rozwarte w siadzie wargi, a dlatego mogłem sobie pozwolić wyjąć te miejsca z całości, że analizując na zimno całość, uspokoiłem się, bo nie spotkało mnie rozczarowanie, dostałem to, czego pragnąłem, suknia mnie nie oszukała, dostaję w posiadanie to piękne ciało, i jak gdyby przyciąganie tych dwóch punktów poruszyło mnie z miejsca, głośno się roześmiałem, słyszałem, a nawet widziałem, że ona też się roześmiała, roześmialiśmy się obydwój, ponieważ wiedzieliśmy, że obydwój myślimy o tym samym, że to śmieszne, jak jednocześnie się poruszamy i jednocześnie się z tego śmiejemy, nasz śmiech był gromki, w jednej chwili przerodził się w bezmierny krzyk, naprawdę krzyczeliśmy, jeszcze dziś słyszę, jak wraz z naszym śmiechem rodzi się w nas niezwykła siła, jeszcze chwilę się wahałem, aż dostrzegłszy błyskające wśród śmiechu podniebienie, uniosłem usta ponad jej piersi, nie potrafiąc zdecydować, którą mam chcieć, skoro tak samo pragnąłem obydwóch, śmiech wstrząsający moim ciałem przypomniał mi o niedawnym szlochu, położyłem dłoń na jej łonie, wsunąłem palce pomiędzy dwie drogie wargi, miękkie, śliskie i głębokie, na ramionach i plecach czułem jej włosy rozpostarte nade mną jak namiot, może właśnie na moim karku znajdował się punkt, którego szukała, kiedy bowiem ostrożnie chwyciłem ustami jej twardey sutek, ona wpiła usta w moją szyję, palce zsunęła pomiędzy moje uda i wtedy nagle nastała cisza; kiedy teraz sobie to wszystko przypominam, wraca do mnie myśl, która wtedy mnie nie opuszczała, że spoczeliśmy na dłoni Boga – tam i wtedy.

## Ból ciągle powracał

Znów stałem w przedpokoju, była może nawet ta sama co wtedy godzina, w lustrze zobaczyłem na wieszaku jakiś obcy płaszcz.

Panował półmrok, nie potrafiłem w lustrzanym odbiciu jednoznacznie określić koloru płaszcza, był to zwyczajny, sukienny płaszcz, taki, który wprawdzie łatwo nie przemaka, ale widać na nim każdy najmniejszy pyłek czy paproch.

Słyszałem szum wody spływającej w rynnach, na dachach już topniał śnieg, tracił puszystość, a ja stałem przed lustrem ze szkolną teczką na ramieniu.

Płaszcz chyba miał kolor granatowy, prawdopodobnie był to stary, już nieużywany mundur, pod szerokim kołnierzem błyszczał złoty guzik, jeden jedyny, zachowany w tajemniczy sposób, pozostałe guziki były inne.

I chyba ten złoty guzik połyskujący na ciemnej materii sprawił, że przypomniał mi się Krystian, znów on, jak z naprzeciwka zbliża się ku mnie na pokrytej śniegiem polanie, słyszałem tykanie stojącego zegara, było niczym dotyk dawno minionego bólu, tamtej traumatycznej chwili, kiedy tak samo jak teraz, dokładnie tak samo, stałem w przedpokoju i nie miałem nawet cienia nadziei, że moje cierpienie, którego on jest źródłem, kiedyś wreszcie się skończy, przyglądałem się swojemu odbiciu w lustrze i wydawało mi się, że wszystko, wszystko pozostanie tak już na zawsze, i w istocie rzeczy nic się nie zmieniło, wtedy topniał śnieg i teraz też topnieje, a ja, żeby nie iść tą samą drogą co on, idę do domu przez las, wtedy też przemoczyłem buty, z pokoju dolatywały te same co wtedy odgłosy, brzęk talerzy, postukiwanie naczyń, a wśród nich nieprzyjemnie piskliwy wrzask mojej siostry i głos babki niez mordowanie wszystkich strofującej, przerywany co chwilę dobrotliwym i pełnym wyrozumiałości basem dziadka; to były dźwięki, które człowiek zawsze rozumie, nawet jeśli się im nie przysłuchuje, są bowiem tak dobrze znane, że nie trzeba poświęcać im szczególnej uwagi; te wszystkie podobieństwa sprawiły, że nie byłem w stanie rozróżnić przeszłości od terażniejszości, przeszłość niczym się od niej nie różniła, ból ciągle powracał, i tylko ten obcy, nieznany płaszcz na wieszaku, właśnie ten płaszcz, który rozbudził we mnie świadomość beznadziejnej walki z ciągle jeszcze żywą miłością, mówił, że to jednak nie jest przeszłość, i że to, co się teraz dzieje, dzieje się teraz, a zatem może kiedyś w końcu przeminie.

Matka ciągle jeszcze leżała w łóżku, w tej samej pozycji, jej głowa ginęła wśród wielkich, miękkich, białych poduszek i tylko kiedy ktoś wchodził, otwierała oczy.

Poszedłem prosto do niej, jak zawsze od tamtego dnia, dokąd bowiem miałem pójść.

Choć wtedy, za pierwszym razem, wcale nie poszedłem tam świadomie, zaprowadził mnie ślepy instynkt, przedtem zawsze najpierw jadłem obiad i dopiero od tamtego dnia weszło mi w nawyk, chyba zresztą ze zwykłego wyrachowania, że siedząc na brzegu jej łóżka i trzymając ją za rękę, czekałem, aż skończy się karmienie mojej siostry, a kiedy wejdę do jadalnego, na stole będzie stało już tylko moje nakrycie i będę mógł być sam, przez co oszczędzę sobie coraz bardziej przykrego widoku mojej siostry, widoku, który kiedyś wydawał mi się naturalny czy niemal naturalny, teraz jednak napawał mnie odrazą, mówię: kiedyś czy od tamtego dnia, mimo woli czyniąc w czasie cezury, od tamtego dnia, czyli od dnia, w którym go pocałowałem, pocałunek ten bowiem, dziś jestem tego o wiele bardziej świadom, gruntownie mnie odmienił, przeistoczył naturalny porządek moich uczuć; do kogo więc miałem pójść, jak nie do matki,

skoro ból dręczący mnie z powodu Krystiana nie był spowodowany tym, że Krystian nie chciał czy nie potrafił odwzajemnić moich uczuć, lecz wynikał z faktu, że moje nieodwzajemnione uczucie przybrało wyraźnie fizyczny kształt, czułem je w mięśniach, na wargach, w opuszkach palców, a nawet, muszę się przyznać, w samym dole brzucha, cóż bowiem działa na nas silniej niż poczucie, że coś trzymamy, czegoś dotykamy, coś wężamy, a to wszystko, co możemy wziąć w dłoń, pogłaskać, powąchać czy dotknąć, później możemy wziąć do ust i zjeść, zdawałem sobie jednak sprawę, że moje pragnienia uchodzą za przeciwne naturze, że są wybrykiem, który wyróżniając mnie spośród innych, piętnuje, mimo że dla mojego ciała, które ja przecież znam najlepiej, są czymś najzupełniej naturalnym; musiałem więc wstydzić się tamtego pocałunku i zainteresowania, które Krystian, wprawdzie w bardzo subtelny sposób, jednak mi okazywał, choć potrafił trzymać dystans i do mnie, i do swoich skrywanych pragnień, czasami tylko coś zdradzał, coś, co powinno pozostawać ukryte, potrafił sobie z tym radzić, umiał wszystko ukryć, także przed samym sobą, ja zaś z uporem maniaka wywlekałem wszystko na wierzch i bezustannie tym żyłem; jak można jednak siłą wyobraźni zaspokoić przybierające rzeczywiste formy pragnienia ciała, a nikogo poza matką nie mogłem tak dotykać, całować, głaskać i wężać, jak chciałem dotykać, całować, głaskać i wężać właśnie jego?

Patrzyłem na twarz mojej siostry, na tę jej potworną twarz, która, jak domyśliłem się dopiero po tamtym pocałunku, nawet pod wpływem troskliwie podawanych leków już nigdy się nie zmieni, a rodzinne opowiadki o zaburzeniach równowagi hormonalnej są niczym innym jak pocziwym kłamstwem, że wszyscy się nawzajem oszukujemy, bo to nie jest choroba taka jak katar!, podobnie jak i ja nie jestem chory, jestem inny i ona także jest inna!, aby ją kochać, musiałem kochać jej nienormalność, której, na szczęście, ona sama nie była świadoma: była szczęśliwa, rozluźniona, potrafiła oddać się każdej chwilowej podniecie, aby ją jednak pokochać, musiałbym tę nienormalność uznać za coś zupełnie naturalnego, ale byłoby to tak, jak gdybym ujrzał w lustrze własną nienormalność i widząc, że jestem zwyrodnialcem, musiał się z tym pogodzić, raz i na zawsze, tym bardziej że moja siostra, mimo karykaturalnie zwyrodniałej twarzy, była do nas bardzo podobna, stanowiła naszą żywą karykaturę, tego nie można było nie zauważyć, i choć nie miałem zamiaru dłużej się oszukiwać, nie potrafiłem pokonać odrazy i strachu.

Kiedy dłużej się jej przyglądałem, a zdarzało się naprawdę często, że musiałem spędzać z nią długie godziny, za każdym razem przekonywałem się, że była pełna tolerancji i iście zwierzęcego spokoju, jakkolwiek wymyśliłem dla niej zabawę, nawet najprostszą, polegającą na wykonywaniu tego samego ruchu, zawsze, jak mawiała nasza babka, „ślicznie się bawiła”, potrafiła bez najmniejszego znużenia cieszyć się monotonna powtarzaną czynnością, zamykała się w niej, a ściślej mówiąc, wykluczała samą siebie z zabawy, była niczym nakręcana lalka, bez słowa sprzeciwu pozwalała mi się obserwować; na przykład chowaliśmy się pod krzesła, ja pod jedno, ona pod drugie, stojące w przeciwległym końcu pokoju, ciskałem w nią szklaną kulka, musiała chwycić ją w bramce, którą były nogi jej krzesła, i potoczyć kulkę z powrotem do mnie; to była jedna z jej ulubionych zabaw, ja też tę właśnie najchętniej wybierałem, po pierwsze dlatego, że śledzenie kulki przykuwało całą uwagę siostry, a jej chwycenie nie było zbyt trudne i mogła sobie przy okazji do woli powrzeszczyć, a ja musiałem tylko machinalnie powtarzać jeden ruch, ale z nią byłem, bawiłem się, robiłem to, czego ode mnie oczekiwała, po drugie zaś, kiedy chciałem oderwać się myślami od zabawy, zawsze mogłem to zrobić, mogłem oddawać się swoim przyjemniejszym rozmyśleniom, a nawet znaleźć ucieczkę w świecie własnych fantazji, czy wręcz przeciwnie, mogłem skupić całą uwagę na

obserwowaniu zjawiska, jakim była moja siostra, mogłem się z nią utożsamiać, mogłem w rysach jej twarzy odnajdywać własną twarz, w jej natrętnej, upartej bezradności rozpoznawać własną bezsilność, cały czas pozostawałem jednak chłodnym, obojętnym, postronnym obserwatorem, wolnym od jakichkolwiek uczuć, rozkoszującym się własną obojętnością, igrałem z myślą, że jestem uczonym, który obserwując robaka, pragnie poznać żywy obiekt swoich badań, podpatrzeć mechanizm jego ruchów, zgłębić dziwny porządek robaczej duszy, siłę, z której bierze się ład obserwowanych ruchów, a czyniłem to wszystko tak, by wczuwając się w tę obcą istotę, wczuć się jednocześnie w samego siebie, jak gdybym obserwował przeźroczystą, zieloną gąsienicę, miękko sunącą po białych kamieniach, gdy nagle kuli się pod wpływem ich zimnego dotyku, wygina grzbiet i podciąga ku głowie czubek ogona, po czym rozkurczając się, przesuwa się do przodu, tak właśnie pokonuje odległość, tak my postrzegamy jej posuwanie się naprzód, które wcale nie jest bardziej szczególną formą chodzenia niż nasze, kiedy stawiając jedną nogę przed drugą, pokonujemy przeszkodę, jaką stanowi ciężar naszego ciała; gdy tak dłuższą chwilę oddawałem się podobnym obserwacjom, sam upodabniałem się do gąsienicy, potrafiłem nawet wyobrazić sobie małe czułki przy naszych ludzkich brzuchach, sztywny kręgosłup wydawał mi się bardziej giętki, nie jesteśmy jednak tak bardzo inni, abyśmy nie mogli tak właśnie wyglądać, gdybyśmy tylko potrafili odpowiednio skoncentrować uwagę i rozpoznać we własnym ciele podobne umiejętności, wówczas nie tylko obserwowalibyśmy gąsienice, ale sami byśmy się nimi stali.

Teraz już mogę wyznać, że dawniej choroba mojej siostry nie wywierała na mnie aż tak przytłaczającego wrażenia, nawet nie zastanawiałem się nad tym, dlaczego w przeciwieństwie do rodziców nie mówię do niej po imieniu ani nie wyrażam się o niej jak o rodzonej siostrze, ani też nad tym, co każe nam wszystkim, poprzez naszą przesadną miłość, dać jej odczuć, że, ponieważ z konieczności, to ona jest tu najważniejsza, choć jednocześnie wykluczona z naszego świata, ludzi zdrowych i normalnych; i do momentu, gdy napięcie, strach i odraza zrodzone z przeświadczenia, że jestem wyrzutkiem i wyrodkiem, oddaliły mnie od niej i od siebie samego, moje eksperymenty nie ograniczały się tylko do biernych obserwacji, ale przybierały formę bardziej konkretną, bliższą czynom, i jeżeli nawet przekraczały dopuszczalne normy, co musiałem utrzymywać w głębokiej tajemnicy, głębszej nawet niż ta, która skrywała tamten pocałunek, bowiem do niektórych spraw nie chciałem się przyznawać nawet przed samym sobą, to i tak nie sędzę, abym postępował z nią w sposób nieludzki, później jednak odraza i wymuszona obojętność sprawiły, że stałem się cyniczny, podczas gdy wcześniej, mam odwagę się do tego przyznać, okrutna, ale szczerza ciekawość czyniła nasz związek pełnym ludzkich uczuć.

W zimowe popołudnia poobiednie milczenie zawisało w łagodnym, głębokim, szybko zapadającym zmierzchu, drzwi do pokoi były otwarte na oścież, z odległej kuchni dochodziły stukot i pobrząkiwanie naczyń, na dworze też panowała cisza, padał deszcz albo śnieg, dął wiatr, nie mogłem skryć się w ogrodzie ani w okolicy, leżałem na łóżku albo siedziałem przy biurku, głowiłem się nad lekcjami lub wyglądałem przez okno, nawet nie dzwonił telefon, dziadek drzemał w fotelu z rękoma wsuniętymi między kolana, w kuchni na umytej podłodze dosychały już mokre plamy, a głowa matki coraz bardziej zapadała się w poduszkę, we śnie głowa robi się ciężka, wargi miała lekko rozchylone, palce zaciśnięte na wypadającej z dłoni książce, były to godziny, w których nikt mnie nie obserwował, siostra leżała już w swoim pokoju, może uśnie i zostawi nas na chwilę w spokoju, ale ona po kilku minutach drzemki nagle się budziła, wyskakiwała z łóżka i wybiegała ze starannie zaciemnionego pokoju; biegła do mnie.

Zatrzymywała się w otwartych drzwiach i obserwowała mnie w milczeniu.

Po południu zakładano jej koszulę nocną, babcia chciała ją oszukać, że jest noc i że powinna już spać, choć nie wydaje mi się, by potrafiła odróżnić dzień od nocy, zaciągnięte zasłony nie miały więc żadnego znaczenia; stała w drzwiach oślepią blaskiem zmierzchu, jej oczy ginęły w nalanej twarzy, garnęła się do światła, wyciągała ku mnie rękę, chwytając blask w dłoni; długa, biała płócienna koszula zakończona podwójną lamówką zakrywała prawie całe jej ciało, mimo to widziałem, że wyglądające z szerokich rękawów ramiona i duże niczym u dorosłego stopy są nieforemne, a jej cała sylwetka jest ciężka i pozbawiona wdzięku; jej drobne ciało było bowiem jednocześnie ociążałe, dziwnie blada, martwa i szara skóra z jakiejś niezrozumiałej przyczyny wydawała się gruba i chropowata, przypominała miękki pancerz zasłaniający prawdziwą ludzką skórę, podobną do mojej, gładkiej i porośniętej delikatnym puszkami, wszystko to wywierało na mnie niesamowite wrażenie, starałem się wykorzystać każdą okazję, by tylko ją dotknąć, celem moich zabaw było najczęściej znaleźć się jak najbliżej tej skóry, choć przecież mogłem to zrobić bez żadnego szczególnego pretekstu, mogłem ją złapać, uszczypnąć, pretekst potrzebny był mi tylko po to, by uciszyć własne sumienie, i niby przez przypadek zrobić to, co i tak bym zrobił; najbardziej nieproporcjonalna była jednak jej głowa, pełna, okrągła i niezgrabnie wielka, przypominała dynię nabitą przez dzieci na kij, szare punkciki w wąskich szparkach to były jej oczy, gruba dolna warga lśniła od obficie spływającej śliny, która zmieszana ze smarkami ciekła po brodzie aż na piersi, zostawiając na koszuli wilgotne plamy; przypatrując się z bliska, można było zauważyć, że jej czarne źrenice są małe i nieruchome, i pewnie właśnie dlatego tak bardzo pozbawione wyrazu.

Ten brak wyrazu był dla mnie co najmniej tak samo zastanawiający jak jej skóra, już choćby z tego powodu, że wydawał się czymś jeszcze mniej namacalnym, w jej oczach była pustka, inna jednak niż w oczach człowieka zdrowego, który pragnąc zataić uczucia, mimowolnie zdradza, że ma coś do ukrycia, nie, jej oczy po prostu niczego nie wyrażały, czy mówiąc ściślej, wyrażała się w nich nicość, tak samo ciągle i nieprzerwanie, jak w naszych normalnych oczach znajdują wyraz uczucia, pragnienia czy gniew; jej oczy przypominały martwy przedmiot, soczewki pozbawione uczuć, każdy jednak, kto w nie patrzył i śledził skaczące w nich błyski, musiał dostrzec za martwymi soczewkami prawdziwe, żywe oczy, tak samo jak za lśnącymi szklami okularów szukamy skierowanego na nas spojrzenia, gdyż nie widząc oczu, nie potrafimy dokładnie zrozumieć sensu wypowiedzianych słów; kiedy popołudniami stawała w drzwiach mojego pokoju, nigdy się nie odzywała, jak gdyby czuła, że może ją zdradzić piskliwy głos, jeśli bowiem babka by coś posłyszała, pozbawiłoby to ją wszystkich radości i udręk oczekiwanej zabawy, igraszek zadzierzgniętej pomiędzy nami występnej umowy; wiedziała o tym, mimo że jej pamięć nie funkcjonowała sprawnie, a jeśli w ogóle funkcjonowała, to tylko na swój własny sposób, nie można było bowiem znaleźć racjonalnego wytłumaczenia, dlaczego o jednej rzeczy pamięta, a o drugiej natychmiast zapomina, jeść na przykład potrafiła tylko rękoma, i choć każdego dnia próbowano nauczyć ją posługiwania się sztućcami, nie potrafiła opanować tej sztuki, widelec i łyżka wypadały jej z rąk, nie rozumiała, dlaczego ma je trzymać, tymczasem nasze imiona pamiętała dokładnie, do wszystkich zwracała się po imieniu, nie brudziła się, a jeśli przez zapomnienie nasiusiła w majtki czy się wypróżniła, całymi godzinami płakała skulona w kącie i nikt nie potrafił jej pocieszyć, sama wymierzała sobie karę, którą kiedyś wymyśliła dla niej babcia, w odbywaniu kary okazywała nam swoją nieskończoną dobroć, ale na przykład nie potrafiła zapamiętać liczb, uczyliśmy się i natychmiast wylatywały jej z głowy, miała też kłopoty z rozróżnianiem barw, choć na wszelkie sposoby próbowała zadośćuczynić

naszym oczekiwaniom, za każdym razem gotowa wszystko zaczynać od początku, chciała się nam przypodobać, jej starania były wzruszające, kiedy usiłowała przypomnieć sobie jakiś na co dzień używany, łatwy wyraz, marszczyła czoło, nie mogąc wydobyć go z pamięci, to nie był jej język, a kiedy wreszcie z okrzykiem radości słowo wydobywało się z jej ust, uśmiechała się od ucha do ucha, wybuchała śmiechem, to był śmiech szczęścia, jakie chyba nigdy nie będzie nam dane.

I choć jej oczy nie wyrażały niczego, co moglibyśmy odebrać jako wyraz uczuć czy emocji, można było sądzić, że porozumiewa się z nami językiem śmiechu, że tylko tym językiem umie mówić, to była właśnie jej mowa, jej i tych wszystkich innych, wtajemniczonych; piękniejsza i wznioślejsza od naszej, jedyna w swoim rodzaju, nieskończenie bogata i różnorodna, niewinna i ufna radość życia.

Kiedyś leżała na moim biurku szpilka, zwyczajna szpilka, nie wiem, jak się tam znalazła, po prostu była tam, poprzedniego dnia jeszcze jej nie widziałem, pojawiła się nagle, lekko połyskiwała na brązowym blacie, ledwie widoczna w głębi przepastnego korytarza książek i zeszytów; nie potrafiłbym też odpowiedzieć na pytanie, dlaczego strzegłem jej przez wiele dni, uważałem, by przewracając kartki, przeglądając je, pisząc i czytając, czy też przesuwając przedmioty na biurku bez żadnego celu, pakując je i wypakowując z torby, nie poruszyć jej z miejsca; spodziewałem się, że kiedyś zniknie, tak samo niespodziewanie, jak się pojawiła; ale była tam również na drugi dzień; lampa z czerwonym abażurem już była zapalona, choć na dworze nie było jeszcze zupełnie ciemno, siostra stała w półmroku, ja siedziałem w czerwonym świetle lampy i raczej tylko domyślałem się jej obecności w cichym ciepłe popołudnia, ona oślepiąca snem i światłem żarówki ledwie mnie widziała, z kuchni jeszcze przez chwilę dochodziło ciche postukiwanie, po czym zapadła cisza, wiedziałem, że co najmnij przez pół godziny będzie spokój; zabawa, na którą obydwójce czekaliśmy, mogła zacząć się od czegokolwiek, szpilka dziś też leżała na swoim miejscu, wystarczyło, żebym uczynił pierwszy ruch, a wszystko samo by się potoczyło; podrzuciłem paznokciem łebek szpilki, chciałem, żeby go zobaczyła; uśmiechnęła się, gotowa wybuchnąć najprawdziwszym śmiechem, ale stała onieśmielona, bała się mnie i, tak jak zawsze, próbowała pokonać strach; ja też się jej bałem, nie zostało nam jednak wiele czasu, zresztą nie miałem jak wykręcić się od zabawy, na to by mi przecież nie pozwoliła; musiałem zdobyć się na ten pierwszy ruch, w przeciwnym wypadku uczyniłaby go ona, trzecia możliwość nie istniała.

Później, powodowany głęboką, aczkolwiek całkowicie irracjonalną ciekawością, zacząłem kolekcjonować najrozmaitsze szpilki, zbierałem nie tylko te przypadkowo znalezione, ale szukałem ich i wypatrywałem, polowałem na szpilki, a od kiedy stało się to moją namiętnością, dziwnym trafem ciągle je znajdowałem, choć nie przypominam sobie, abym przedtem natknął się bodaj na jedną, wyraźnie i natrętnie rzucającą się w oczy; teraz znajdowałem je coraz częściej i w coraz bardziej nieoczekiwanych miejscach, na poduszce, w jakichś zakamarkach, w podszewce płaszcza, na ulicy, w miękkich poręczach fotela, gdy błyszcząc i kłując mnie w rękę, dawały znać o sobie; sortowałem je, odkrywałem, jak bardzo potrafią się od siebie różnić, dla próby kłułem się w palec, żeby zobaczyć krew; krótkie i długie, z główkami okrągłymi, perłowymi, płaskimi, zardzewiałe i nierdzewne, miedziane, podobne do zwykłej igły i do piki, a każda z nich kłuła inaczej; naprawdę interesowała mnie jednak tylko ta najbardziej zwyczajna, z okrągłym łebkiem, pierwsza, która w tajemniczy sposób znalazła się na moim biurku, kiedy ojciec któregoś wieczoru przypadkowo przystanął przy nim, zapytałem go, jak to się stało, a on zdziwiony i zaskoczony pochylił się tylko, nie rozumiał, o co mi chodzi, i nerwowo odgarniając

opadające na czoło długie, jasne włosy, surowym tonem oznajmił, żebym dał mu spokój ze swoimi idiotyzmami; teraz pokazałem ją siostrze, po prostu, bez żadnych szczególnych zamiarów, po prostu pokazałem, jak gdyby jakiś wewnętrzny przymus nakazywał mi ją wszystkim pokazywać, uniosłem szpilkę ku lampie, i wtedy moja siostra uczyniła ten pierwszy krok, zbliżyła się, skłaniając mnie do kolejnego gestu, podobnie jak poprzednie nieprowadzącego do żadnego celu, a ja zsunąłem się z krzesła i ukryłem wraz z nią pod biurkiem.

Dziś chyba drzę jeszcze bardziej, gdy przymus opowieści każe mi ujrzeć na nowo tamte głęboko wryte w pamięć, nieodwracalne już czyny.

Strach jest odwiecznym i najsilniejszym z naszych uczuć, jak gdyby wypowiedziane słowa czyniły rzeczywistym to, co wydawało się już przeszłością, a teraz na powrót jest obecne i żywe.

Cały drżałem, ale nie czułem strachu, cóż za ogromna różnica!, to nie była dławiąca ciemność, która teraz mnie ogarnia, lecz zwyczajne podniecenie, lekkie, jasne i czyste podniecenie, które zwykliśmy odczuwać, kiedy nasze ciało wymyka się spod kontroli, postanowień i skrytych pragnień, kiedy pozwolimy mu uciec z zasięgu naszej woli; długo nic się nie wydarzało, pod biurkiem było ciemno i ciepło, siedzieliśmy tam jak w przewróconej do góry dnem skrzyni, której rozwartą paszcza czekała, gotowa nas połknąć.

Wokół rozchodziła się woń starego drewna, naturalny zapach, którego meble nigdy nie tracą i który przypomina o ich pochodzeniu, dając poczucie bezpieczeństwa, pewności i stałości, wydawało mi się nawet, że czułem charakterystyczny zapach zakurzonych papierów zalegających pokoje prokuratury, to stare, niepotrzebne już biurko ojciec kiedyś przyniósł stamtąd do domu; ona się nie poruszała, ale wiedziałem, że przyjdzie, już jej pierwszy ruch wytwarzał pomiędzy nami napięcie, które musiało znaleźć ujście, na tym polegała nasza zabawa; po chwili, jak gdyby nie tylko zmagą się z ciężarem własnego ciała, ale popychała je do przodu, usłyszałem ciężkie, niezdarne kroki.

Kiedy ujrzałem jej długą, białą koszulę, siedziałem w dalszym rogu ukrycia pod biurkiem, skulony niczym pająk, a w dwóch palcach trzymałem pomiędzy paznokciami główkę szpilki, ostry koniuszek kierując prosto przed siebie; ona osunęła się na kolana, jej twarz promieniała uśmiechem, mógłbym powiedzieć, że w tych chwilach byłem wolny od wszelkich uczuć, aczkolwiek mógłbym powiedzieć też coś wręcz przeciwnego, w takich bowiem momentach moje uczucia osiągały stan jakiegoś szczególnego skupienia; z takim zapamiętaniem i tak prędko sunęła ku mnie na kolanach, do środka, pod biurko, jak gdyby chciała się na mnie rzucić, po kilku krokach więzła jednak w zaplątanej pod kolanami koszuli nocnej, traciła równowagę, uderzała głową o kant biurka i rozciągała się jak długa, waląc głową o podłogę; niepisany regulamin okrucieństwa nakazywał jednak, by wszystko zdobywała sama, bez niczyjej pomocy.

Pomysły, które przychodziły jej do głowy, były podobnie chaotyczne jak funkcjonowanie jej pamięci, wstawała, uśmiechała się jeszcze promienniejsze, jeszcze radośniej, jak gdyby nic się nie stało, bez odrobiny zażenowania wyciągała spod kolan zmiętą koszulę, robiła to, powiadam, tak naturalnie, jak gdyby podświadomie rozumiała logiczny związek pomiędzy koszulą a upadkiem na ziemię, podczas gdy w innych okolicznościach nie była w stanie dostrzec o wiele prostszych i bardziej oczywistych zależności, na przykład chcąc zjeść owoce, z łatwością wdrapywała się na drzewo, ale już nie umiała zejść, siedziała na kołyszącej się gałęzi tak długo, aż ktoś wreszcie ją tam zauważył, kurczowo trzymała się drzewa i cichutko sobie popłakiwała, a przecież zejść na dół nie było niczym trudniejszym, niż wejść na górę, czasami nawet wdrapywała się tak wysoko, że trzeba było przy pomocy drabiny ściągać ją z wierzchołka drzewa; być może żądza radości

i przygody wyzwalala w niej taką pomysłowość, a kiedy już zaspokoiła swoją żądzę, obojętne, czy jej przedmiotem była czerwona czereśnia, żółciutka morela czy moja osoba, jej pamięć odmawiała posłuszeństwa, zaspokojona pomysłowość obumierała, wracała do swojego świata, w którym przedmioty trwały samotne i niczym ze sobą niezwiązane, krzesło tylko wtedy było krzesłem, gdy ktoś na nim siedział, stół tylko wówczas był stołem, gdy postawiono na nim talerz, podobnie nie rozumiała związków pomiędzy zjawiskami, te były albo ich nie było, najwyżej stapały się ze sobą bezładnie; jej upiorny śmiech i nieruchome, zastygłe w bezruchu oczy zdradzały drzemiące w niej tęsknoty; sunęła ku mnie na kolanach i już była pod biurkiem, tu czuła się bezpieczna, nikt nie widział, co robimy, ja byłem na swój sposób zaślepiony moimi pragnieniami, ona dyszała rozemocjonowana, ja też głośno oddychałem, nasze napięte zmysły z całą wyrazistością odbierały oddzielne, a jednak harmonijne oddechy, niczym melodię jakiejś dziwnej muzyki, i gdybym nie podniósł ręki i nie skierował ostrza szpilki prosto w kierunku jej oka, ono samo przyciągnęłoby do siebie tę szpilkę, a ona wtedy natychmiast by się na mnie rzuciła; lubiła się ze mną siłować; nie bała się ani nie przestawała się uśmiechać, trwała w niezmienionej pozycji, robiła sobie krótką przerwę, zatrzymując oddech w nadziei na dokończenie zabawy.

Nawet nie zmrużyła oczu, a przecież ostrze szpilki było już tylko w odległości kilku centymetrów od jej błyszczących białek, ja też nie poruszałem dłonią, czułem jedynie, że otwieram usta, niczego nie chciałem zrobić, ale ona tam była, otwarta, zdana na mnie, może dlatego, że była wrażliwsza, drżała, mrugała, bała się, a gdyby jednak do tego doszło, gdyby przez przypadek bardziej pochyliła się w moją stronę albo gdybym poruszył dłonią, niewiele brakowało do tragicznego rozwoju sytuacji, ale niewidzialna przeszkoda, jakaś ściana, ułamek sekundy, to coś wydawało się niezależne od moich zamiarów, było zewnętrzną, działającą poza mną siłą, choć oczywiście związaną z moimi zamiarami, nawet jeśli nie zdawałem sobie z nich sprawy, z ukrytymi i sekretnymi zamiarami, z ciekawością, która zawsze we mnie zwyciężała, teraz jednak nie zwyciężyła!, aczkolwiek mogło tak się stać, i nawet nie mógłbym mieć wyrzutów sumienia, bo nienasycone pragnienie przejrzenia na wskroś obojętnych form spraw i zjawisk, wymuszenia z nich głosu i krwi, przywłaszczenia sobie tej obojętności, tak jak ust Krystiana czy później wiele innych ust, spowodowało, że stałem się bezwolnym narzędziem tej dziwnej siły; ale nie tak się stało, i nie wiem, czy to, co się wydarzyło albo mogło się wydarzyć zamiast dopełnienia tej potworności, nie było jeszcze gorsze.

Kiedy bowiem dobiegła końca chwila beznadziejnego bezruchu, ona, otrzeźwiona odległością, lekko przycupnęła na piętach, a szpilka, którą trzymałem w palcach, nie była już niczym innym jak dowodem mojej skończonej głupoty, kretynizmu, który można by było skwitować wzruszeniem ramionami, coś się nie wydarzyło, coś, co mogło się wydarzyć, i znów musiałem zamknąć usta, znów słyszałem własny, głupio szybki oddech, i jej oddech też, a to wzbudziło we mnie taką wściekłość, zwyczajną, ordynarną złość, nie udało mi się, znów zostałem sam, jeszcze raz wyciągnąłem za nią dłoń i jednym jedynym ruchem wbiłem szpilkę w jej nagie udo.

I znów nic się nie wydarzyło, odchyliła się w tył, nie wydając z siebie żadnego głosu, jak gdybyśmy znów byli na samej górze, a teraz spadali na sam dół, wstrzymała oddech, choć pewnie nie z bólu, koszula podciągnięta aż na brzuch odsłaniała szparę rozwierającą się pomiędzy jej rozłożonymi udami, otwór ciemniejszy pomiędzy dwoma lekko zaczerwienionymi, twardymi wzgórkami, do nich zbliżała się szpilka, nie umiałem się powstrzymać, nie ukłułem, nawet nie dotknąłem jej skóry, tylko wsunąłem w sam otwór.



A potem ukłułem ją w udo.

Nie tak leciutko jak przed chwilą, ale głęboko, z całej siły, zapiszczała, widziałem, jak przestaje się uśmiechać, jak gdyby fizyczny ból zerwał z niej zasłonę śmiechu, zobaczyłem jej wzrok szukający ucieczki, i wtedy rzuciła się na mnie.

Ciemny płaszcz wiszący na wieszaku był bez wątplenia znakiem, że mamy gościa, w dodatku szczególnego gościa, płaszcz był ponury i sztywny, nie można go było pomylić z innymi płaszczami, które zazwyczaj widywałem na tym wieszaku, wydawał się marny i zniszczony, nie miałem więc ochoty, jak zawsze, kiedy zostawałem w przedpokoju sam na sam z obcymi płaszczami, pogrzebać w kieszeniach w poszukiwaniu drobniaków i, nasłuchując pod ścianą, we właściwej chwili wyciągnąć z nich kilku fillerów albo forintów.

Teraz nie dochodził do przedpokoju żaden szmer, nie słyszałem głosu rozmów, wszystko było tak jak zawsze; otworzyłem więc drzwi i, nie zdążywszy nawet się zdziwić, zrobiłem kilka kroków w stronę łóżka.

Przed łóżkiem klęczał obcy mężczyzna, trzymał w dłoniach rękę mojej matki i pochylony nad jej ciężko spoczywającą na kołdrze dłońią płakał; cały roztrzęsiony całował jej dłoń, a ona drugą ręką obejmowała jego głowę, zanurzając palce w siwych, krótko ostrzyżonych włosach, trzymając je tuż przy samej skórze, chciała przyciągnąć bliżej jego głowę, by z czułością go pocieszyć.

To właśnie zobaczyłem, wchodząc do pokoju, a kiedy zrobiłem kilka kroków w stronę łóżka, mężczyzna podniósł głowę znad dłoni matki, niezbyt szybko, matka zaś nagłym ruchem puściła jego głowę i spojrzała na mnie, podnosząc się z poduszki.

– Wyjdź stąd!

– Chodź!

Odezwali się jednocześnie, matka łamiącym się głosem, łapiąc się przy tym za szyję, by zapiąć miękki biały szlafrok, tamten obcy przyjaźnie, jak gdyby się ucieszył, że tak nieoczekiwanie wtargnąłem do pokoju; a ja skołowany odmiennym tonem ich głosów zatrzymałem się w pół drogi.

Popołudniowe światło oświetlało cały pokój, zimowe słońce rzucało na błyszczącą podłogę cień wzorów na zasłoniętych firankach, z rynny kapala woda, huczała kaskada śniegu topniejącego na dachu, bulgotała w rynsztokach, ale sięgające łóżka smugi światła, nie docierając tam, ukrywały je w cieniu, przed łóżkiem leżało niezdarnie zapakowane zawiniątko, zapewne należało do niego, obłożone brązowym papierem i przewiązane sznurkiem; kiedy mężczyzna wyprostował się, ocierając z oczu łzy, i wstał uśmiechnięty, w tej szybkiej zmianie było tyle samo siły, co braku poczucia wstydu, mężczyzna był bardzo wysoki, przystojny i blady, jego garnitur wydał mi się tak samo dziwny jak wiszący w przedpokoju płaszcz; jasny, wyblakły, płócienny letni garnitur, wygnieciony podobnie jak jego koszula.

– Nie poznajesz mnie?

Na czole mężczyzny pojawiła się czerwona plama, jedno oko nadal łzawiło.

– Nie.

– Nie poznajesz? Czyżbyś tak szybko zapomniał? Powinieneś go pamiętać, to niemożliwe, żebyś tak szybko go zapomniał!

Głos matki był pełen emocji, nieznanych mi emocji, był zimny i zdławiony, choć czułem, że stara się nad sobą panować, a jednak wydawał się nienaturalny, jak gdyby grała rolę, że jest moją matką i właśnie coś do mnie mówi, i wcale nie musi panować nad wzruszeniem czy radością, wywołanymi przybyciem niespodziewanego gościa, a raczej chce opanować

wewnętrzne rozedrganie, którego powodu nie znałem, tak samo jak nie wiedziałem, czego się obawia; oczy miała suche, nie płakała, ale jej twarz była odmieniona, i to bardziej mnie zaskoczyło niż ich bliskość czy fakt, że nie rozpoznałem tego mężczyzny; na łóżku siedziała piękna rudowłosa kobieta o rozgorączkowanej, zaczerwienionej twarzy, nerwowo trzęsącymi się palcami ścisnęła sznureczki przy kołnierzyku szlafroka, kobieta, która cały czas coś ukrywała, ale zwężające się źrenice jej ładnych zielonych oczu zdradzały, że znalazła się w bardzo trudnej, wiele ujawniającej sytuacji; a ja teraz wszystkiego się domyślę.

– To jednak całe pięć lat! – odezwał się mężczyzna ze śmiechem; głos miał miły, jego śmiech też brzmiał sympatycznie, jak gdyby naśmiewał się z samego siebie czy naigrywał się z własnych uczuć; potem ruszył ku mnie pewnym krokiem, dopiero wtedy wydał mi się znajomy, jego krok, śmiech, szczerze niebieskie oczy, a przede wszystkim niosące spokój zaufanie, jakim go darzyłem.

– Całe pięć lat, to niemało! – odezwał się, przytulając mnie mocno, ciągle jeszcze się śmiejąc, ale ten śmiech nie był adresowany do mnie.

– Może pamiętasz, mówiliśmy ci, że jest za granicą?

Dotykałem twarzą jego piersi, był szczupły, kościsty i twardy, a że bezwiednie przymknąłem oczy, czułem o wiele więcej, mimo to nie poddałem się jego uściskowi, po pierwsze dlatego, że udzielił mi się chłód matki, po drugie ufność, jaką wzbudzały we mnie jego chód, spokój i ciało, wydały mi się zbyt dobrze znane, i właśnie te nadmiernie silne zmysłowe odczucia spowodowały, że starałem się zachować dystans.

– Dlaczego mielibyśmy nadal cię okłamywać? Byłem w więzieniu.

– A mówiliśmy ci o zagranicy, bo nie wiedzieliśmy, jak ci to wszystko wytłumaczyć.

– Naprawdę, w więzieniu.

– Nie bój się, nie kradł ani nikogo nie obrabował.

– Wytłumaczę ci. Dlaczego miałbym ci nie wytłumaczyć?

– Jeśli uważasz, że to konieczne.

Nic nie odpowiedział i, jak gdyby oddalając się od matki, całą uwagę skupił na mnie, mocno chwycił mnie za ramię, lekko odepchnął, przyjrzał mi się badawczo, niemal pożerając wzrokiem, od tego widoku, od mojego widoku, jego oczy rozbłyły radością, uśmiech zamienił się w śmiech, teraz już śmiał się do mnie, że jest ze mnie zadowolony, potrząsnął mną, poklepał po ramieniu, głośno cmoknął i z całej siły pocałował w obydwie policzki, wreszcie jak gdyby nie potrafiąc się nacieszyć moim widokiem, pocałował mnie trzeci raz, a wtedy i ja uległem jego emocjom, już wiedziałem, kim jest, wiedziałem z całą pewnością, bo jego natarczywa bliskość otworzyła wszystkie tamy, nagle, naraz, nieoczekiwanie wszystko mi się przypomniało, stanęło przede mną, a on trzymał mnie w ramionach i całował; otworzyło tamy, o których nawet nie mogłem mieć pojęcia, bo przecież kiedyś zniknął, nigdy potem nie rozmawialiśmy o nim, przestał dla mnie istnieć, rozpułnął się w powietrzu, a ja już zapomniałem, że w mojej pamięci jest ciemny zaułek przechowujący jego bliskość, spojrzenie, chód, dotyk i rytm głosu; a teraz jest tutaj, jednocześnie jako wspomnienie i jako rzeczywista osoba, wreszcie niezdarnie, niezdarnie z wielkich emocji, przy trzecim pocałunku ja też dotknąłem ustami jego policzka, a on przytulił mnie mocnym, męskim ruchem i zatrzymał blisko przy sobie.

„Odwróćcie się, chcę wstać!”

## Utrata i powrót świadomości

Kiedy leżąc na kamiennej grobli w Heiligendamm, wreszcie odzyskałem świadomość i pojąłem, gdzie jestem oraz w jakim znajduję się stanie, choć nie waham się przyznać, że nie odczuwałem nic więcej poza tym, że żyję, nie było w mojej świadomości wewnętrznych przebłysków instynktu czy nawyków, które, oparte o doświadczenie i skrywane pragnienia, przywołują obrazy i głosy, pozwalając jednak nieprzerwanie płynąć strumieniowi świadomości i pamięci, co nadając naszemu istnieniu sens, a nawet wyznaczając cel, pozwala nam określić miejsce, w którym się znajdujemy, wejść w związek z otaczającą rzeczywistością czy też uwolnić się od tego związku, co także jest jedną z jego postaci; w tym krótkim momencie powrotu świadomości nie odczuwałem żadnego braku, już choćby dlatego, że pozbawiony sensu i celu fakt samego istnienia wypełniał pustkę, którą w przeciwnym wypadku bym odczuwał; śliskie, ostre kamienie pozwalały mi czuć własne ciało, woda na twarzy gładziła skórę, wiedziałem, że są tu kamienie i jest tu woda, wiedziałem, że mam ciało i skórę, ale wiedza ta w swej prawdziwej istocie nie kojarzyła się w moim umyśle z rzeczywistą sytuacją, którą w normalnym stanie rzeczy uznałbym za niemiłą, niebezpieczną, a nawet niemożliwą do zniesienia; tak silnym zmysłowym przeżyciem było bowiem odczuwać to wszystko, czego jeszcze przed chwilą wcale nie czułem, co jednocześnie dobitnie świadczyło o tym, że moja świadomość w normalny dla siebie sposób zwraca się do pamięci i porównuje różne rzeczy, że wcale nie chciałem na powrót osiąść tego wszystkiego, co potrafi dać przytomna świadomość, wręcz przeciwnie, to niewiele, woda, kamienie, skóra i ciało, które odzyskana świadomość dała mi w posiadanie, choć oderwane od wszelkich związków i relacji, mówiły o wiele więcej o niepojętej całości, o głębokiej i odwiecznej pełni, o której daremnie wszyscy marzymy na jawie i we śnie; i w tym sensie to, co już minęło, omdlenie, które pozbawiło mnie możliwości odczuwania, okazało się silniejszą zmysłową rozkoszą niż odczuwanie czegokolwiek, jeśli więc czegoś pragnąłem, to nie otrzeźwieć, ale powrócić w tamten stan omdlenia, jeszcze raz stracić przytomność, zamiast odzyskać pełną świadomość!, to była właśnie ta pierwsza myśl, która wraz z powrotem przytomności zrodziła się w moim mózgu, myślenie porównywało stan „odczuwania czegoś” nie ze stanem poprzedzającym utratę świadomości, ale ze stanem omdlenia, tęsknota za nieprzytomnością okazała się tak wielka, że korzenie pamięci chciały wkraść się w niepamięć, by pamiętać to, czego nie można zapamiętać, by zapamiętać nicłość, kiedy odczuwanie nie pozwala dostrzec szczegółów, a świadomość może stracić czujność, nie ma nic do zarejestrowania, bo nie ma czego się uchwycić, i dlatego wydawało mi się, że wraz z przytomnością, pamięcią i umiejętnością myślenia utraciłem raj i szczęście, które, choć ukryte przede mną, były poniekąd moim szczęściem, pozostawiającym po sobie wspomnienia i strzępy myśli, że nigdy nie byłem i już nigdy nie będę bardziej szczęśliwy niż teraz.

Wiedziałem, że pierwszym znanym mi, ziemskim, zrozumiałym zjawiskiem był głos, nie woda, nie kamienie, nie skóra i nie ciało.

Ale ten szczególny głos.

Kiedy jednak leżałem pomiędzy kamieniami, ponownie w niemiły mi sposób zdolny myśleć i pamiętać, wcale nie rozmyślałem nad tym, jak też mógłbym odmienić swoje niebezpieczne przecież położenie, nie rozważałem w duchu możliwości ucieczki, choć przecież to byłoby najbardziej właściwe, lecz wczuwałem się w przewalające się nade mną fale, co chwilę zalewała

mnie lodowata woda, tymczasem nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogę utonąć, chciałem tylko jeszcze raz usłyszeć ten dziwny, gromki, daleki głos, powrócić w mrok i odczuć drżącą lekkość bytu, kiedy na dalekim, niepewnym horyzoncie, z hukiem i stukiem, głos ten ostrzegł mnie i uświadomił, że jednak żyję.

Do dziś nie potrafię sobie wytłumaczyć, jak to wszystko mogło się wydarzyć; kiedy później w pokoju hotelowym ujrzałem w lustrze własną twarz, zmasakrowaną i zakrwawioną, byłem nad wyraz zaskoczony, nie wiem nawet, jak długo tam leżałem, mimo największych wysiłków nie zdołałem przypomnieć sobie chwil bezpośrednio poprzedzających utratę świadomości, faktem pozostaje natomiast, że było wpół do trzeciej, wpół do trzeciej nad ranem, co samo przez się wprawdzie niewiele mówi, ot, pewna pora o świcie, nic więcej, zaspany portier otwiera przeszkłone drzwi, nawet nie zauważa, w jakim jestem stanie, w hallu pali się jedna jedyna mała lampka, na wiszącym na ścianie zegarze widzę, która jest godzina, jest wpół do trzeciej, nie mam żadnych wątpliwości, brak mi natomiast jakiegokolwiek punktu odniesienia, nadal nic nie wiem, prawdopodobnie porwała mnie ciężka, wysoka na kilka metrów fala, aż strach pomyśleć, jak niosła mnie na swoim grzbiecie, musiałem w tamtym momencie stracić przytomność, aż wreszcie rzuciła mnie na kamienie jak niepotrzebny przedmiot, ale wtedy tamto popołudnie, mój przyjazd, który mimo iż pełen napięcia, okazał się ostatnim pewnym czasem w moim dotychczasowym życiu, były już bardzo daleko.

Ale tamtego głosu już nigdy więcej nie usłyszałem.

Nie przypominam sobie też, jak trafiłem z powrotem do hotelu, w jaki sposób znalazłem się pomiędzy kamieniami, jedno i drugie bowiem działo się niezależnie ode mnie, aczkolwiek nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to ja byłem bohaterem i ofiarą obydwu wydarzeń, z tą różnicą, że w pierwszym przypadku byłem skazany na siłę wody i jedynie szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, iż padając, nie roztrzaskałem sobie głowy, nie połamałem rąk i nóg, lecz udało mi się ująć cało z kilkoma niewielkimi zadrapaniami i guzami, podczas gdy w drugim przypadku kierowała mną jakaś surowa, brutalna siła, którą zwykliśmy nazywać instynktem życia, i jeśli uciekając się do matematycznych rachub, zbadalibyśmy, co też kryje się pomiędzy tymi dwiema, niezależnymi od nas, potężnymi siłami, co my sami nie bez dumy nazywamy jaźnią bądź naszym ego, wynik okazałby się żalospny, a może nawet śmieszny, wydałoby się bowiem, jak dalece bezzasadny jest ten podział, a my, choć tego nieświadomi, jesteśmy tacy sami jak drzewa i kamienie, zaś liście drzew poruszają się, kiedy zawieje na nie wiatr; jesteśmy może szczególnie, ale nie jesteśmy inni!, kiedy bowiem moje nogi i ręce szukały punktu oparcia wśród rozchybotanych i śliskich kamieni, nie ja!, moje nogi i ręce!, mózg niczym bezduszny automat obliczał przerwy pomiędzy uderzeniami fal, a ciało, podporządkowujące każdy swój ruch ucieczce, wiedziało, że dla własnego bezpieczeństwa musi przede wszystkim zsunąć się niżej po zboczu grobli i dopiero potem się wyprostować, cóż więc pozostało we mnie z tej wyszukanie wyniosłej pychy, która mnie przepęłniała, kiedy wyruszałem na swój popołudniowy spacer, co w ogóle pozostało z rozkoszy i cierpienia, których przysparzała mi jaźń, igrając z pamięcią i wyobraźnią?

Nie zostało nic, powiadam, tym bardziej, że kiedy wyruszałem w drogę, mój los wydawał mi się tak marny i beznadziejny, zamknięty i skończony, co więcej, skończony niezależnie od mojej woli, że byłem przekonany, iż to ja sam winienem położyć mu kres, a kilka godzin wcześniej, tego właśnie wieczora, którego zamierzałem zażyć środki nasenne, nie liczyłem już na nic więcej jak tylko na przyjemny spacer, historia zaś, którą wymyśliłem po drodze, z tej tylko przyczyny była pełna w swojej formie, że czułem, iż coś w moim życiu dobiegło końca, że

właśnie nadszedł kres, teraz jednak nogi i ręce, mózg i całe ciało niezwykle sprawnie, precyzyjnie i dojrzałe wypełniały swoje zadania, by tylko mnie uratować, i czyniły to nawet z nadmierną gorliwością, tymczasem tak zwana jaźń nie była zdolna do niczego innego jak tylko do infantylnego krzyku: „Chcę do domu! Chcę do domu!”, jak gdyby krzyczała we mnie jakaś inna osoba, o której wiem, że jest mną, i być może rzeczywiście krzyczałem, a nawet płakałem, w każdym razie to był mój głos; i tamto rozpaczliwe, wzbudzające strach przerażenie tak bardzo mnie poniżyło, że przyćmiwszy wszystkie pozostałe wspomnienia, najmocniej wryło się w moją pamięć; i tak jak śmiesznie obeszła się ze mną wichura, którą jeszcze przed chwilą skłonny byłem uznać za ładnie wymyśloną dekorację, sugestywny akompaniament moich uczuć, tak samo zabawnie i bez pardonu moja własna natura pozbawiła mnie prawa do panowania nad sobą; nic wielkiego przecież się nie wydarzyło, trochę zmokłem, powiedzmy, że nawet bardzo zmokłem, i najwyżej dostanę kataru, rozciąłem skórę na czole, może nawet dość głęboko, ale to przecież kiedyś się zagoi, z nosa poszła mi krew, ale już nie idzie, straciłem na pewien czas przytomność, ale już ją odzyskałem, tymczasem moje ciało z taką siłą uruchomiło wszelkie niezbędne do ucieczki zwierzęce instynkty i przecucia, jak gdyby nie przydarzył mi się drobny wypadek, lecz groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, zachowywało się jak jaszczurka, dla której nawet poruszający się cień sygnalizuje wielkie zagrożenie, przede wszystkim zaś zachowanie mojego ciała przeczyło temu, by karmiona przecuciami jaźń miała pragnąć śmierci; albowiem świadomość, że jestem nikiem, nie tylko w odniesieniu do przeszłości czyniła śmiesznie małostkowymi wszystkie moje dotychczasowe przeżycia, które jeszcze niedawno wydawały mi się wielkie i ostateczne, ale też podpowiadała, że nic ważnego już się w moim życiu nie wydarzy, zostałem zdemaskowany, jestem wielkim workiem nicości, i choć wiem, co się ze mną dzieje czy co może się stać, świadomość ta na nic mi się nie zda.

Powoli świtało, na dworze hulał wiatr.

Ubrania schły na kaloryferze, a ja stałem nagi przed lustrem; i kiedy przyglądałem się sobie, usłyszałem pukanie do drzwi.

Wiedziałem, że to milicja, cały zadrzałem, wprawdzie nie ze strachu, tylko z powodu mojej nagości, choć w gruncie rzeczy niewiele mnie to obchodziło, widok mojego nagiego ciała bez reszty przykuł moją uwagę, a drżenie wydało mi się spowodowane nie pukaniem ani wrodzoną wstydlivością, lecz tym, że zostałem całkowicie zdemaskowany, i właśnie to zajmowało mnie wtedy ponad wszystko.

W ogóle nie wiem, jak zrodziło się we mnie, może nie zupełnie niespodziewanie, aczkolwiek w zaskakującej i wiele mówiącej formie, pragnienie, żeby wracać do domu, i dlaczego ciało poszukujące bezpieczeństwa właśnie to słowo utrwaliło w podświadomości, dlaczego to słowo wydało mi się jednocześnie dziwaczne i dziecinne, skoro wyrażał się w nim najpoważniejszy i najgłębszy sens, czułem bowiem, że to jest ostatnia rzecz, którą mogę powiedzieć, nawet jeśli przy pełni zmysłów nie byłem w stanie określić, co ono znaczy, bo właściwie co miałoby znaczyć?

Nim usłyszałem pukanie do drzwi, musiałem dotknąć rany na czole, by poczuć to, co zobaczyłem w lustrze, lekki ból, jaki powodować może takie niezbyt groźne skaleczenie, by jednocześnie widzieć i czuć, przesunąłem palcem wzdłuż nosa, potem wzdłuż ust i brody, nawet na krótką chwilę nie tracąc z oczu widoku mojego ciała odbijającego się w lustrze przymocowanym do drzwi szafy, tak samo jak we wspomnieniu dotyku ciała jest jednocześnie miejscem akcji i jej bohaterem, na ustach jednak zatrzymałem palec na dłużej, choć starałem się go przesunąć w równym tempie, może dotyk ust mocniej na mnie działał, potem dotknąłem

szyi, na nocnej szafce za moimi plecami paliła się lampka z papierowym abażurem, w żółtawym świetle lustro ukazywało raczej tylko kontury ciała niż jego cały obraz, przez skośną kość obojczyka dotarłem z ramion do miękkiego wgłębienia, jakie tworzą u zbiegu kości mięśnie podtrzymujące szyję, i teraz moje palce już szybko posuwałyby się po owłosionej piersi ku zagłębieniu pępka, by pod wypukłością brzucha zsunąć się dalej i uchwycić w dłoń przyrodzenie, które, wiemy to ponad wszelką wątpliwość, jest najwiarygodniejszym miejscem odczuwania naszego ciała, ale w tym momencie cały zadrzałem, usłyszawszy pukanie do drzwi.

Właściwie wcale nie chciałem jechać do domu, nie i nie, w tym względzie moje zachowanie zdradzało wiele już poprzedniego wieczoru, a kiedy w mrocznym przedpokojku Kühnertowa, odbierając tym swojej twarzy pociągającą nagość, nagle wsunęła na nos okulary, a palący się za jej plecami bladym światłem, okryty papierowym abażurem kinkiet, oświetlając jak gdyby od środka jej szkła, ukrył w swoim blasku jej oczy, tak że ledwie mogłem widzieć jej twarz, poczułem, że nagle oddaliła się ode mnie, może poznałem po jej zmienionej pozycji, że moje chłodne, wymagające wyjaśnień słowa, mówiące stanowczo „nie” wzajemnemu pożądaniu naszych ciał, zrobiły swoje, nie była skłonna znieść takiego poniżenia, nawet pomimo swojej służalczej natury nie była w stanie dłużej tego znosić; wyprostowała sztywno szyję, popatrzyła na mnie z góry, odnosiłem wrażenie, że patrząc w ten sposób, wróciła do bezpieczniejszych, tradycyjnych form, które narzucała wypróbowana relacja ostrożnej gospodyni, utrzymującej wobec swojego lokatora właściwy pod każdym względem dystans; wyprostowała plecy, wypięła piersi ukryte dotychczas w obronnym geście, znów odnalazła w sobie subtelna przytomność umysłu, która do tej pory charakteryzowała nasz związek, w chwili jednak, kiedy zrozumiałem, że to się dzieje, że już się stało albo niebawem się stanie, jako że wreszcie udało mi się przerwać tę coraz gwałtowniej żądającą zaspokojenia nić zmysłowości, która tak samo mogła wzniecić pomiędzy nami nienawiść, jak i miłość, przed chwilą bowiem wydawało się, że wystarczy odrobina lekkomyślności, a możliwe stanie się zarówno jedno, jak i drugie, w zależności od tego, na co się zdecydujemy, nie do przewidzenia okazała się tylko ta niemile chłodna trzeźwość umysłu, niczym człowiek, który nagle stracił panowanie nad sobą i siłą własnej woli zniszczył coś, co od tej woli jest ważniejsze, na przekór własnym przemyśleniom poczułem chęć powrotu do tamtych niebezpiecznych i coraz ważniejszych dla mnie form, które Kühnertowa chciała właśnie porzucić, a które poprzez napięcie i ucisk w dole brzucha dawały wyraz swojej wadze, znalazły tam swój wyraz, może jeszcze nie w pełnej erekcji, i dlatego, nie bez ukrytego zamiaru szantażowania jej lub czynienia pogroźek, powiedziałem, że zniknę stąd raz na zawsze, co nie tyle miało być aluzją do powrotu do domu, ile raczej sugerowało chęć samounicestwienia; i nie spotkało mnie rozczarowanie, moje słowa, kryjące niejasne i wieloznaczne treści, wywarły na niej dokładnie takie wrażenie, jakie zamierzałem osiągnąć, zaskoczyły ją, aczkolwiek nie sądzę, by dokładnie zrozumiała moją aluzję, jednak dręcząca mnie od miesięcy, a teraz obrócona w ostateczną decyzję myśl tak bardzo zmieniła mój głos, że stał się szczery i poważny, i tego właśnie potrzebowałem, by z powrotem zaprowadzić ją tam, skąd próbowała mi uciec; jaki miałem w tym naprawdę cel, poza zaspokojeniem własnej próżności, doprawdy nie jestem w stanie powiedzieć, zapewne pragnąłem, by moja zbliżająca się śmierć wywołała w niej uczucie żalu, a może nie chciałem zostać sam na sam z telegramem, który, to już wiedziałem, niezależnie od treści, jaką zawierał, nie zmieni mojej decyzji, i kiedy wreszcie na jej pytanie, za pomocą którego spróbowała wy badać ewentualne zagrożenie, odpowiedziałem nie tak, jak powinienem, nie powiedziałem, by zostawiła mnie w spokoju, już i tak wszystko jedno, jest za późno, ale jeśli chce, może zdjęć bluzkę, bym wreszcie musiał zamknąć oczy, nie chcę niczego

widzieć ani niczego słyszeć, miejmy obydwójcie spokój choćby przez tę jedną jedyną chwilę, ale nie to powiedziałem, nie to, lecz przypomniał sobie uprzednie próby zapanowania nad pełną napięcia sytuacją, pragnąc uspokoić ją co do treści słów mówiących o moim zniknięciu, wspominałem o powrocie do domu, co naturalnie nie było niczym innym jak ponowną ucieczką przed nią i przede mną samym, słowa te bowiem nie znaczyły wówczas niczego więcej jak bardzo daleką i niczym nieuzasadnioną nadzieję, „do domu” było po prostu pełnym wyrozumienia łgarstwem, i znów zobaczyłem moje ciało odbijające się w hotelowym lustrze, ciało, którego ani widok, ani świadomość, że je czuję, nie okazały się wystarczające, by mnie przekonać o wadze czy potrzebie jego istnienia, nie potrafiłem jednak wymyśleć nic innego, co lepiej by świadczyło o mojej obecności, jak właśnie ono.

Jakkolwiek bowiem niespodziewanie zaskoczyło mnie pukanie do drzwi, nie mogłem oprzeć się uczuciu, że od dawna na nie czekam, nic w tym zresztą dziwnego, było przecież bezpośrednią konsekwencją wydarzeń, musiało nastąpić, a kiedy już rozległ się jego głos, nie wyszedłem naprzeciw wydarzeniom, nie zacząłem nerwowo szukać ubrania, nawet nie przeszło mi to przez myśl, lecz jak gdybym niczego nie usłyszał, stałem jak wryty, zagłębiany w studiowaniu mojego ciała, niczym się nie przejmując, i wtedy, w zagadkowy sposób, przypomniała mi się nagle pewna wydająca się odległą historia, a mianowicie przypomniała mi się Thea, Thea Sandstuh, jak gdybym miał czas na takie wspominki, przypomniał mi się jej gest, gdybyśmy więc spróbowali prześledzić bieg skojarzeń, odkrylibyśmy kolejną cudowną właściwość ludzkiej duszy, a to, co dalekie, wydałoby się nam bliskie, zadziałał tu bowiem bardzo prosty mechanizm, tamtego wieczoru poznałem Melchiora, a pukanie do drzwi wydało mi się konsekwencją jego ucieczki; przypomniała mi się chwila, kiedy podczas próby Langerhans, klaszcząc szybko w tłuściutkie dłonie, niemile wysokim głosem wrzasnął: „Dość! Mówiłem, że nie trzeba było tak wysoko przyczepiać garbu!”, po czym zerwawszy z pulchnej twarzy okulary w złotej oprawce, zaczął się wściekać, a Thea zniewolona własnymi gestami stała w bezruchu, jak ja teraz przed lustrem, i choć zazwyczaj czymś całkowicie przeciwnym wprowadzała obserwatorów próby w osłupienie, szybko i łatwo zmieniając nastrój na każde polecenie reżysera, płakała, krzyczała albo miłośnie wzdychała, by za moment z największą ciekawością słuchać kolejnych wskazówek, jak gdyby pomiędzy nastrojami psychicznymi nie istniały dla niej żadne granice, jeden wynikał z drugiego, a przejście pomiędzy nimi nie sprawiało jej żadnych trudności, co w niewtajemniczonym obserwatorze nieuchronnie musiało wzbudzać podejrzenie, że nie przeżywa tak naprawdę żadnej z tych emocji, choć za każdym razem wydaje się wiarygodna w każdym szczególe, teraz jednak czarująca była powolność, z jaką przechodziła z jednego nastroju w drugi, tą właśnie powolnością bezwiednie i wyraźnie demonstrowała łagodnie zmieniające się poziomy, jakie muszą przebyć nasze uczucia, by z jednego przedmiotu mogły skierować się na drugi; głos musnął jej ciało niczym spóźniony cios, krzyk rozległ się bowiem, kiedy w szaleńczym gniewie zamierzała się ciężkim mieczem w nagą pierś klęczącego przed nią Hübchena, czyniąc to tak, jak gdyby nie usłyszała tego, co już musiała usłyszeć, i w ten sposób widoczna stała się ostra granica dzieląca wewnętrzne przekonanie od zewnętrznego przymusu, ciało Thei zdrząło, kiedy było już za późno, i dopiero w ślad za tym ona sama zastygła zakłopotana w niewinnej i pięknej pozie.

Wyglądała cudownie w obcisłej, ciemnofioletowej, bogato zdobionej koronkami sukni, jednocześnie podkreślającej i ukrywającej łuk ciała tłumiącego w sobie dramatyczne napięcie, pierś i szyję obróciła w bok, jak gdyby naprawdę odepchnął ją ten głos, nie pozwoliwszy zbliżyć się do wzbudzającego pożądanie nagiego ciała, nie mogła zatem dać ujścia wewnętrznej

potrzebie zadania miłosnego ciosu, tak samo jak nie mogła wykonać tego, czego z niezrozumiałych przyczyn od niej oczekiwano, i kiedy wreszcie powoli opuściła trzymany w obydwu dłoniach miecz, ostrze stuknęło o podłogę, nie rozstrzygało to jednak, czy postępuje tak z własnej wewnętrznej potrzeby, czy jedynie wypełnia polecenie, jej zachowanie tylko nieudolnie pozorowało posłuszeństwo i wpojoną wychowaniem uległość; i chociaż uważała się za mądrą aktorkę i zawsze czuła głęboką pogardę do tych, którzy wykazywali dyletanckie skłonności do przeżywania granej roli: „Ojej, ale biedaczek przeżywa, tak się przejmuje, tak płyną mu łzy, że aż chęćka mnie bierze, by po cichutku podrapać go za uchem, żeby nieszczęśnik już przestał płakać, albo zapytać szeptem: »Czy ci się, syneczku, przypadkiem nie chce srać?«, a publiczność jest takiemu bezgranicznie wdzięczna, och, nie wolno mu przeszkadzać, przecież to jest artysta, prawdziwy artysta, widzimy na własne oczy, ile musi się, biedaczek, natrudzić i wycierpieć dla szlachetnej sztuki, to dla nas tak cierpi, dla nas tak przeżywa, przejmuje się, dureń, bo dla siebie samego nie potrafi!” – powtarzała, teraz jednak poza jej ciała i zmieszane spojrzenie zdradzały, jak bardzo zniewoliła ją ta sytuacja, która, choć nie miała nic wspólnego z manierą przeżywania roli, wymagała od niej tak wielkiego psychicznego zaangażowania, że na przekór swoim najgłębszym zamiarom musiała się otworzyć, zatracić w granej roli, zapomnieć o wszystkich doświadczeniach zawodowych i porzucić stosowaną dotychczas technikę gry, dopiero napięcie mogło zamienić ją w użyteczne narzędzie sytuacji, którą stworzyła nie ona, lecz sprytny i agresywny Langerhans.

Powstał tedy zakłęty krąg, kiedy bowiem Hübchen zerwał z siebie grubą płócienną koszulę, przed jej oczyma stanął tak zniewalający widok jego ciała, że nie potrafiła ukryć zaskoczenia, później próbowali tę samą scenę chyba już dziesiąty raz, i nic, wszystko na próżno, i będą tak próbować w nieskończoność, skoro ich gra ciągle będzie pełna zmysłowości, celowo zamierzonej wprawdzie przez Langerhansa, ale w podstępny sposób pełnej jej własnych myśli i pragnień.

Teraz już ktoś dobijał się i walił pięściami w drzwi.

„Jak tak wysoko przyklejasz, będzie widać!”, wrzeszczał Langerhans i nie było wiadomo, czy rzeczywiście jest wściekły, czy znalazł wreszcie pretekst, by i tak uciążliwą dla wszystkich dyscyplinę uczynić jeszcze bardziej nieznośną; łysy charakteryzator, który lubił przesiadywać na skraju podestu, w wyniku czego z biegiem czasu wszedłem w bliski kontakt z jego czerwoną, pokrytą piegami i puszką włosów głową, zerwał się z miejsca i puścił pędem ku oświetlonej reflektorami scenie, unosząc jak skrzydła swój biały fartuch, a Langerhans z każdym zdaniem powoli się uspokajał, mówił coraz ciszej, aż wreszcie wrócił do swojego sztucznego, bliskiego szeptowi tonu, który zazwyczaj cechował jego głos, „Właśnie tak trzeba, żeby zaprezentował swoją urodę, nic więcej!”, wrzeszczał, „Potrzebujemy jego urody!”, powiedział już ciszej, „Żeby każda kobieta, natychmiast, chociażby tutaj, na oczach wszystkich, gotowa była rozłożyć przed nim nogi. Rozumiesz?”, wyszeptał, wyrafinowanym miękkim ruchem poprawiając okulary na swoim płaskim nosie, „Słowem, dużo niżej, tak jak ci pokazałem!”.

Thea dopiero wtedy jednak odwróciła wzrok od nagiego torsu i, jeśli można się tak wyrazić, pełnego czułości i harmonii ciała Hübchena, dopiero wtedy przymknęła niewiarygodnie szeroko otwarte oczy, kiedy reżyser i charakteryzator stali już obok nas, by przyjrzeć się z bliska źle przymocowanemu garbowi, ale i tak nie była w stanie poruszyć się z miejsca czy odwrócić, było widać, że nie potrafi rozładować burzy emocji, nie wie, co ma z nimi począć, skoro nikomu nie są potrzebne, czy ma je w sobie słumić, czy czekać, aż skądś niespodziewanie nadejdzie pomoc, podobnie jak ja, kiedy stałem bezradnie, słuchając, jak ktoś dobija się do drzwi, nagle bowiem zdałem sobie sprawę, że cały czas wpatruję się w siebie oczyma Melchiora; dokładnie to samo



musiał wtedy czuć Hübchen, on też się nie ruszał, klęcząc na jednym kolanie, patrzył Thei w oczy, i nedorzecznie, bez żadnego powodu się roześmiał, zarżał jak nastolatek, co zapewne w innych okolicznościach zabrzmiałoby niemiło, tam jednak nikt nie przejmował się prawdziwymi uczuciami i emocjami, które niczym drwa rąbanego drewna latały we wszystkie strony; przecież nie o to szło, że ciało Hübchena, jego zabawnie dziewicza skóra, obudziło w Thei miłosną żądzę, i wcale nie było w tym nic dziwnego, aczkolwiek kobiety lubią uparcie twierdzić, że uroda męskiego ciała nie robi na nich niemal żadnego wrażenia, czego najdobitniejszym dowodem może być fakt, że budowa kości, proporcje mięśni, ich siła czy też niedorozwój i zwiotczałość albo nadmiar tłuszczu nie pozostają w żadnej zauważalnej zależności z tak zwaną miłosną namiętnością, wystarczy przypomnieć, że już w chwili penetracji zewnętrzne formy ciała tracą swoje znaczenie, odgrywają jedynie rolę pośrednika, a mimo to trzeba przyznać, że symboliczna waga widoku nie jest jednak nieistotna, piękno tego, co widzimy, wyzwala w nas pożądanie, jest znakiem obiecującym rozkosz, i obydwie płcie, tak samo jedna, jak i druga, chętniej zbliżają się do tego, co foremne, twarde, prężne i silne, niż do tego, co bezkształtne, wiotkie, rozlazłe i słabe, w tym sensie zewnętrzny wygląd ciała nie stanowi jedynie kwestii z zakresu estetyki, lecz jest sprawą dotyczącą instynktu życia; ciało Hübchena zaś nie tylko było doskonałe, ale Langerhans kazał, z typową dla niego perwersją, ubrać go w spodnie o wymyślnym kroju, których pas znajdował się dużo niżej niż zwykle, tak jak gdyby przez przypadek się obsunęły, odkrywając kościste biodra i lekko wypukły brzuch, co sprawiało wrażenie, że jest obnażony, jak gdyby nic nie miał pod tymi opadającymi spodniami, tak więc mimo iż miał na nogach miękkie, wysokie buty, a na sobie te u góry skąpo okrywające ciało spodnie, widz odnosił wrażenie, że jest zupełnie nagi; kiedy jednak kierował wzrok ku przyrodzeniu, napotykał na zasłonę kostiumu.

Thea wreszcie spojrzała w moją stronę.

Z trudem mogła mnie dostrzec, siedziałem zbyt daleko, stamtąd, gdzie stała, ludzki wzrok mógł najwyżej niepewnie dostrzec ostrą granicę oddzielającą od siebie światło i cień, ale mgliste uczucie, że ktoś tam wygodnie siedzi i z zaangażowaniem się jej przygląda, wystarczyło, aby z niemiłej otwartości cywila powróciła do bezpiecznego ukrycia, jakie daje maska noszona przez grającego swą rolę aktora, w każdym razie czułem, że pomocna jest jej już sama moja obecność, i w tym samym momencie, choć uczyniwszy to może zbyt późno, Langerhans też dostrzegł na jej twarzy tę tragiczną konsternację i delikatnie, z profesjonalną obojętnością człowieka, do którego zawodowych obowiązków należy zająć się także duszą aktora, położył dłoń na jej ramieniu i jakby chcąc dodać jej otuchy, przytulił, wiedział, że w ten sposób pomoże jej odzyskać równowagę, Thea zaś, poczuwszy bliskość obcego ciała, nie poruszając się z miejsca, przechyliła na bok głowę i wtuliła policzek w jego dłoń, zamknąwszy rękę mężczyzny pomiędzy swoim ramieniem a twarzą.

I w takiej pozie zastygli na wielkiej, zajmującej niemal całą salę prób, lekko wznoszącej się szklanej tafli.

Hübchen klęczał, charakteryzator pochylał się nad jego garbem, by go odkleić, Langerhans wpatrywał się w twarz aktorki, a Thea, trzymając w dłoni opuszczony miecz, położyła głowę na dłoni reżysera.

Zastygła w obrazie scena wydawała się pełna czułości, i tylko nieprzyjemnie odbijająca światło, mieniąca się zielonkawym blaskiem szklana tafla czyniła ją sztywną i zimną.

Było już późne popołudnie, zostaliśmy tam tylko w kilka osób, panowała taka cisza, że słychać było krople deszczu uderzające o dach hali i cichutki szum kaloryferów.

„Wcale nie byłoby źle, gdybym widziała, że ma garb!”, odezwała się Thea, na próżno jednak ściszyła głos, próbując dopasować go do czułego gestu, Langerhans nie dał się tak łatwo wywieść w pole, nie namyślając się wiele, szybko wysunął dłoń spomiędzy jej policzka i ramienia, i jak zawsze, kiedy ktoś mu się sprzeciwiał, zrobił się cały czerwony, „Wydaje mi się, że ciągle jeszcze nie rozumiesz swojej roli, Theo”, powiedział równie cicho, a jego głos zdawał się być pozbawiony wszelkich niedotyczących sedna sprawy emocji; ten głos sprawiał, że Langerhans wydawał się wszystkim nienawistny i nieprzystępny, „Nie musisz się niczego obawiać, przecież nic wielkiego się nie stanie. Bądź trochę odważniejsza i bardziej wulgarna. Spokojnie. To przecież tylko biznes. Zwyczajny biznes. Sprzedajesz swoje ciało, mówiąc ściślej: pewną szparę w swoim ciele, bo poza nią już nic więcej nie masz. Poza tą szparą. Życie ukazało ci teraz swoją prawdziwą naturę. Jest tylko ciało, tylko ta dziura, twoje ciało, nic więcej. Zabił twój męża. Trudno. Zabił twój teścia. Trudno. Twój ojca także on zabił. Też nie szkodzi. A ty się boisz, bo zostałaś sama; ale ty żyjesz, a oni umarli, i kiedy zerwie z siebie koszulę, zobaczysz, że jest bardzo pociągający, i nawet nie będziesz chciała widzieć jego garbu, więc propozycja jest ze wszęch miar korzystna. Bądź dziwką, proszę cię, i nie chciej być jego matką”.

– Ale dziwka też może być matką, o tym nie pomyślałaś, kochanie? – odparła Thea jeszcze cichszym głosem.

– Spokojnie, wykrzycz się do woli.

– Miły jesteś.

– Nie, próbuję cię tylko zrozumieć.

– Ale co mam zrobić, jak od tego złorzeczenia aż robi mi się niedobrze? Co mam robić?

W tej scenie chyba bym powinna go opluć. Szkoda było to wykreślać. Omal się nie uduszę. Co mam robić?

– Przełknij ślinę.

– Ale nie mogę! Nie mogę!

– Niestety na szklaną podłogę nie możesz napluć. Jeśli to miałaś na myśli.

Thea wzruszyła ramionami.

– Mam jeszcze zostać?

– Zróbmy krótką przerwę – powiedział Langerhans, a ja, widząc, że Thea zbliża się do nas, wstałem z krzesła, na którym tak miło się huśtałem.

To była w sumie nudna próba, jak zawsze, kiedy przedłużała się aż do popołudnia, i nawet gdyby wysokich aż po sufit, wąskich okien nie przysłaniały czarne kotary, wzrok szukający poprzez gęste kraty kontaktu z zewnętrznym światem nie zobaczyłby nic poza kilkoma strzelistymi kominami wznoszącymi się ponad szybko ciemniejącą w nadchodzącym zmierzchu ślepa ścianą, czerniejącymi dachówkami domów naprzeciw i niebem, które najczęściej bywało posępne i monotonicznie szare, od czasu do czasu stawałem za kotarą, zazwyczaj wtedy, kiedy moje krzesło uprzejmie oddawałem Thei, która kiedy nie grała, lubiła siedzieć obok Kühnertowej przy stoliku u brzegu sceny; uprzejmość ta przynosiła mi zresztą korzyść, o tej porze bowiem, w popołudniowych czy raczej już wieczornych godzinach, niczym brak powietrza dokuczało mi uczucie niepewności lub, wyrażając się prościej, lęku, w istocie rzeczy bowiem nie miałem tam innego zadania, jak przyglądać się próbie, co po jakimś czasie okazywało się nie tyle męczące, ile wręcz niezdrowe, co jakiś czas więc musiałem wstać i poszukać sobie zajęcia, widok z okien zaś już choćby dlatego nie łagodził mojego lęku, że stojąc w oknie, też tylko przyglądałem się czemuś, wprawdzie nie były to gesty, twarze czy akcenty, które w sali oświetlonej sztucznym światłem pomagały mi poruszać się pomiędzy tajemnymi, intymnymi

wątkami tej gry, lecz mury, dach i niebo za masywną, żelazną kratą, aczkolwiek gdy wyglądałem przez okno, też byłem zmuszony dostrzegać związki, z którymi miałem tyle wspólnego, że to ja je obserwowałem, a to przecież nie ma, gdyż niebo, nawet monotonne i szare, i gra światła wystarczą, by jedne fragmenty stały się wyraźniejsze od drugich, widok zaś bezustannie stawał się inny i nowy, tak samo jak jednostajne oświetlenie sali też potrafiło dostarczyć niespodzianek, które znane gesty i ich znaczenie umiały ukazać w zaskakująco nowym świetle; bezskutecznie jednak w tych lepszych chwilach próbowałem czuć się bogatszy, na próżno gromadziłem wiedzę o najrozmaitszych szczegółach i związkach pomiędzy nimi, skoro musiałem zrezygnować z naturalnej potrzeby czynnego uczestnictwa w próbie, mój mózg na próżno służył gotowymi i zręcznymi pomysłami, skoro nie miałem tu do odegrania żadnej określonej roli, nie miałem swojego miejsca, i ten brak przyszło mi odczuwać w środowisku, w którym miejsce w ściśle przestrzeganej hierarchii określała grana rola, gdzie uwagę, jaką ktoś był obdarzany, wyznaczał zakres jego kompetencji, podczas gdy mnie, siedzącego na tym krześle, co najwyżej tolerowano, było to dodatkowe krzesło, nie byłem nikim więcej jak „Węgrem, który interesuje się teatrem”, jak powiedziała kiedyś osoba stojąca za moimi plecami, niezbyt zważając na to, czy przypadkiem nie usłyszę tej szczególnej w każdym względzie oceny, która być może nie była obraźliwa, a poprzez swoją rzeczowość okazała się może nawet bardziej trafna, niż zamierzył to jej autor; sama sytuacja nie mogła być dla mnie nieznaną czy niezwykłą, a w tym, że nie mam żadnej możliwości, by włączyć się w bieg wydarzeń, próbowałem nawet szukać symbolicznego znaczenia; jestem tu niemyim świadkiem, skazanym na bezczynność i milczenie, i nawet nie jest mi dane, by napięcie i strach zrodzone z tłumionych potrzeb rozładować w naturalnym w takich okolicznościach wybuchu hysterii, rzeczywiście, byłem Węgrem, w tym sensie bardzo Węgrem, toteż nic dziwnego, że miła uważność, jaką otaczała mnie Kühnertowa, i wyróżniające mnie zainteresowanie Thei odczuwałem jako niezwykle przyjemne.

Thea stanęła przed nami, a ja z gotowością chwyciłem oparcie krzesła, by ustąpić jej miejsca, aczkolwiek w tej gotowości była jakaś specyficzna przesada, nie musiałem aż tak bardzo się obawiać, że utracę tę odrobinę życzliwości, ona jednak nie chciała siadać, nawet nie weszła tak jak zawsze na podest, lecz obydwoma łokciami oparła się o stół i, nie spojrzawszy nawet na nas, oparła brodę o skraj stołu, niczym małe dziecko wspinające się na palcach, dosięgnęła blatu i położywszy głowę na własnych rękach, powoli przymknęła oczy.

„Co to za obrzydliwa sprawa!”, powiedziała cicho, nie podnosząc nawet wzroku; z pewnością miała pełną świadomość, że choć zachowuje się jak marna aktorka, to wywiera na nas wystarczająco duże wrażenie, byśmy jej słuchali, wreszcie popisywała się przed nami naprawdę wielką aktorką, chciała się w ten sposób uspokoić, i to zdradziło, jak bardzo jest zdenerwowana; Kühnertowa nic nie odpowiedziała, pozwałała jej mówić, ja nie podszedłem do okna, by ukryć się za zasłoną, ciekawiła mnie, zrobiła długą, frapującą przerwę, i dając nam czas, byśmy zauważyli jej lekko wznoszące się i opadające ramiona, westchnęła, po czym, nie otworzywszy nawet oczu, głosem tak cichym, że słowa były ledwie zrozumiałe, jak śmiertelnie zmęczony człowiek, który jednak nie potrafi zapanować nad natłokiem własnych myśli, rozkosznym głosem dokończyła rozpoczęte zdanie: „On mnie zupełnie wykończy, już mnie wykończył tym swoim ohydnyim czepialstwem!”.

Na sali panowała tak głęboka cisza, że słysząc było stukające o dach krople deszczu i szum kaloryferów, a nawet odgłos scenariusza zamykanego przez Kühnertową na stoliku, rozległ się trzask, jej szybki ruch nie był jednak niczym innym jak nieudolnym wprowadzeniem do

kolejnego, tym razem już bardziej sensownego ruchu; zamykać scenariusz bowiem tak samo nie miało sensu, jak trzymać otwarty, Kühnertowa znała tekst już na pierwszej próbie, aktorzy też umieli swoje role, nie miała więc innego zadania poza tym, że musiała wpisywać ołówkiem do tekstu zmieniane podczas pracy fragmenty, wreszcie wytrzeć je gumką i wpisać długopisem, a także zadbać, by zmiany trafiły do wszystkich egzemplarzy, no i dla pewności musiała tu siedzieć nad swoim grubym zeszytem, skoncentrowana i przygotowana do pomocy, gdyby ktoś się zaciął, i wtedy z gotowością, jak dobry uczeń, podpowiedzieć szeptem ostatnie słowa, co oczywiście nie zdarzało się zbyt często, teraz jednak, jak ktoś, kto zabiera się do prawdziwej pracy, kto wreszcie otrzymał do wykonania zadanie, które wypełni z własnej, wewnętrznej potrzeby, wsparła na zamkniętym scenariuszu męską, żylastą rękę, po czym czułym, zachłannym gestem położyła dłoń na głowie Thei.

– Chodź tu, serduszek, usiądź, odpocznij sobie! – szepnęła, i choć wszyscy mogli z łatwością usłyszeć jej słowa, byli zbyt zmęczeni, by odwrócić ku nam wzrok.

– Kompletnie mnie wykończył.

– Chodź, nasz młody przyjaciel ustąpi ci miejsca.

Były dobrze zgrane w tej swojej zabawie, ale Thea nawet nie drgnęła, jej twarz przypominała otwartą przestrzeń, którą każdy może podziwiać, kiedy zechce, odpoczywała zamysłona.

„Trzeba do chłopczyka zadzwonić. Sieglinde, zrób to dla mnie, zadzwoń”, odezwała się tym samym, cichszym od szeptu głosem, „Proszę cię. Czuję, że nawet nie mam siły pójść do domu. Jak tylko pomyślę, że mój stary siedział tam sam cały dzień, już na samą tę myśl robi mi się niedobrze. Chciałabym się trochę zabawić. Pomyślałam sobie, że może byśmy dokądś poszli. Nie wiem, dokąd, dokądś, a ty zadzwoń po chłopczyka. Dobrze? Zadzwonisz?”.

Jak gdyby grała, że mówi przez sen, dziś jednak z taką przesadą oddawała się ich wspólnej grze, bo chciała nakłonić Kühnertową do wypełnienia niemiłego zadania; aż wreszcie przeciągnęła strunę.

„Nie mam odwagi, ostatnim razem powiedział, żebym więcej nie dzwoniła. Bardzo mnie prosi, żebym więcej do niego nie dzwoniła. No cóż, chłopiec nie jest zbyt uprzejmy. Jak ty zadzwonisz, to jednak to nie będę ja, i może zmięknie. Zmiękczysz go dla mnie? Możesz go dla mnie urobić? Będziesz musiała tylko go trochę pomóc!” , i, jak gdyby czekając na odpowiedź, umilkła, ale zanim Kühnertowa zdążyła coś odpowiedzieć, znów poruszyła nieumalowanymi wargami, „A staremu kiedyś kupię duży ogród, kiedyś, jak będę miała pieniądze, bo dla niego to musi być straszne, siedzieć w tym mieszkaniu. Mnie ono wystarcza, tylko jakoś nie chce mi się iść teraz do domu. Od tej jego krzątaniny mieszkanie robi się przytłaczające, aż śmierdzi, siedzi, wyobraź sobie, siedzi, wstaje, kładzie się, znowu siada, i tak upływa biedakowi całe życie. Gdyby miał ogród, przynajmniej trochę by się poruszał. Chyba muszę kupić mu ogród. Zadzwonisz?”.

## Popołudniowy spacer, ciąg dalszy

Po tylu zatem dygresjach wróćmy wreszcie do popołudniowego spaceru!, tym, co zdarzy się w przyszłości, jeszcze będziemy mieli czas się zająć, a przeszłość szybko odchodzi w zapomnienie, wróćmy więc do tego, co zostawiliśmy, przywołajmy chwilę, kiedy w dramatycznych okolicznościach zakończyliśmy kurację oddechową i w cieniu platanów ruszyliśmy aleją prowadzącą do stacji kolejowej.

Tu bowiem znajdziemy się w szczytowym momencie zmysłowych doznań, oto najradośniejsza pora na naszej promenadzie, wiejący od morza wiatr lekko kołysze smukłymi cieniami drzew, nagłymi porywami przybliża i oddala melodyjną muzykę dochodzącą z otwartego pawilonu uzdrowiska, rwie ją na strzępy, o tej godzinie powozy toczą się w stronę stacji, by przywieźć nowych gości, z oddali słychać sapanie, dzwonienie i gwizd nadjeżdżającego pociągu, goście kłusują drogą, pojedynczo albo w luźnych grupkach, ponaglając piękne wierzchowce do galopu, by okrążywszy uroczy budynek stacji, zniknąć w ciemnościach buczyny, „wielkiej kniei”, już samą swoją nazwą przywodzącej na myśl coś prastarego: no i ci spacerowicze!, o tej porze wszyscy byli na nogach, przyszli tutaj, każdemu, kogo choroba nie przykuła do łóżka, wypadało się tu pojawić, by zatrzymując się na szybką pogawędkę, dłuższą rozmowę czy tylko wymianę komplementów, przebyć króciutką drogę tam i z powrotem; kiedy zaś dochodziło do ważnego spotkania, interesującej albo koniecznej rozmowy, należało usunąć się na bok, stanąć z dala od wszystkich, to należało do dobrego tonu, podobnie jak natarczywe szukanie towarzystwa uchodziło za natrętne narzucanie się, a pamiętać trzeba, że tu wszyscy wszystkich obserwowali; należało uważać, by wielkopańska swoboda, gromko wybuchające śmiechy, chichoty, powaga zmarszczonych czoł, unoszonych kapeluszy, całowanych dłoni, przytakujących, trzęsących się głów, uniesionych w górę brwi, niepozabawione najdziwniejszych, subtelnych znamion urazy i zazdrości, nie naruszyły przyjętych form i pozostały pełne ogłady, i jeśli nawet były wyszukane, to pozostały też na swój sposób proste; chłopcy i dziewczęta toczyli po gładkiej, wyłożonej marmurowymi płytami powierzchni kolorowe koła, za szczyt zręczności uchodziło, by koła nie zaplątały się w powłóczyste suknie pań albo nie potoczyły się prosto pod nogi spacerujących dżentelmenów; czasami pojawiał się wśród spacerowiczów sam książę Meklemburgii, Heinrich, w towarzystwie dużo młodszej od siebie i nieco wyższej księżnej, otoczony licznym kręgiem towarzyszących mu osób, przybycie księcia za każdym razem w szczególny sposób zmieniało niepisany porządek popołudniowych spacerów; pozornie nic się wprawdzie nie zmieniało, o ile nie uznamy za zmianę tego, że wszystko muskał powiew bogactwa, każdy ze spacerowiczów, gdy tylko doszedł do dwóch pękatek, marmurowych kielichów ustawionych na smukłych postumentach, mógł zauważyć obecność księcia, dwa marmurowe kielichy tworzyły symboliczną bramę, z której spływała wonna kaskada aksamitnie fioletowych petunii, tak, książę też dziś przyjdzie, w te dni wszyscy chodzili wyprostowani jak struna, uśmiechy stawały się bardziej przyjazne, cichły śmiechy i rozmowy, z daleka nie można było wprawdzie zauważyć, że książę wsparty na ramieniu towarzyszącej mu księżnej uważnie kogoś słucha, skinieniem ciężkiej, siwej głowy przytakuje słowom rozmówcy, zresztą szukać go wzrokiem nie należało do dobrego tonu, wolno było go tylko zauważyć, jak gdyby przez przypadek, i tak samo niewymuszenie i beznamietnie wykorzystać te ułamki sekund, które może, nie przerywając rozmowy, nam poświęcić, by nasze pełne szacunku słowa wypowiedziane

na powitanie nie rozplynęły się w powietrzu, lecz spotkały się z odpowiedzią; należało tedy mieć się na baczności i wystrzegać wszystkiego, co niewłaściwe, a jednocześnie zachowywać się z godnością, wszyscy sunący aleją spacerowicze mieli się więc na baczności, gotowi na okoliczność, że a nuż księżę właśnie z nimi, właśnie ze mną, z moją skromną osobą, zechce zamienić kilka uprzejmych słów, wszyscy nadśluchiwali z cieniem zazdrości, kto też jest owym szczęśliwcem, z którym księżę właśnie rozmawia, nadśluchiwali, ciekawi, o czym jest mowa.

Moja matka, która dzięki otrzymanemu wychowaniu była świetnie obeznana ze sprawami dotyczącymi dobrych manier i gruntownie w tej kwestii wykształcona, naturalnie i teraz, tego popołudnia, gestem najczulszej, najbardziej kochającej żony wzięła ojca pod wyciągnięte z gotowością ramię i czarując się uśmiechnęła, by z wyprostowanym torsem i przytrzymywanym trzema palcami trenem sukni, lekko wsparta na ojcu, kroczyć za nim; ja zwykle zostawałem daleko za nimi, często całkiem z tyłu, nie mogłem bowiem znieść ich kłótni, potem z ciekawości znów do nich dołączałem, ale zawsze stawałem po stronie matki; lekko uniesione treny, nie wolno było podnosić ich zbyt wysoko, polerowały białą marmurową promenadę, aż zrobiła się gładka, błyszcząca i śliska, słysząc było szum jedwabnych, koronkowych i taftowych sukni, miękko sunęły pantofelki, stukały oficerki i buty; nic więc dziwnego, że ani obcy, ani ich dobrzy znajomi niczego się nie domyślali; ojciec oczywiście się uśmiechał, choć wcale nie miał na to ochoty, i nikt się nie domyślał tej niepohamowanej nienawiści, jaką naprawdę do siebie czuli, „Może jednak chodźmy już do domu? Nie jesteśmy tu dla twojej rozrywki, drogi Theo, lecz dla mojego zdrowia, o ile się nie mylę!”, w tych ciągle powtarzających się, cichych scenach to matka była sternikiem ich uczuć, jej nienawiść była większa, bo już sama obecność ojca stanowiła dla niej źródło cierpienia, ojciec był obecny, ale dla niej nieosiągalny, czuła się jak ktoś, czyje żądze rozbudzone, ale nie było nikogo, kto by je zaspokoił, ojciec zaś wydawał się całkowicie obojętny wobec duchowych udręk tego szczupłego kobiecego ciała, choć naprawdę wcale taki nie był; zapiekła złość i dogłębna znajomość dobrych manier powodowały, że matka w najbardziej wyrafinowanych momentach spaceru gotowa była zemścić się na ojcu, i była to zemsta prawdziwa, im bardziej wyszukane stosowała sposoby, tym bardziej wydawała się wulgarna, tu bowiem, gdzie była panią sytuacji, zemsta okazywała się doprawdy zdradziecka, matka wykorzystywała trwające ułamki sekund przerwy pomiędzy zawiłym, choć dzięki codziennemu powtarzaniu pełnym rutyny rytuałem powitań i pogawędek, by na oczach całego towarzystwa, z czarującym uśmiechem na ustach szeptać ojcu do ucha zjadliwe i ostre jak szpilki zdania, tym bardziej przykre, że ojciec, pozbawiony takiego jak matka polotu, nie umiał się jej odwzajemnić.

Tamtego pamiętnego dnia jednak nie same słowa wzbudziły w matce oburzenie tłumione początkowo siłą woli, a w chwilę później wybuchające ze zdwojoną siłą: „Czy ja się mylę, mój drogi Theo? Dlaczego milczysz? Najchętniej naplułabym ci w twarz!”, i nie o to chodziło, że ojciec złamał ich umowę i nie czekając, aż obydwójce dotrą do końca zalecanych ćwiczeń, zwrócił matce uwagę, że jeśli się nie pośpieszą, to spóźnią się na przyjazd pociągu, czy też sam chciał na niej wymusić, by to ona go ponagliła, i zwolnił tempo ćwiczeń, czułem, jak powolnym oddechem przeciąga czas, bezskutecznie własnym oddechem próbowałem przywrócić jego oddechowi prawidłowe, zalecane tempo; nie, to nieostrożne i niefortunne ostrzeżenie było oznaką istniejącej pomiędzy nimi, grożącej w każdej chwili wybuchem, nierówności szans, demonstracją, pustą formą, pretekstem pozwalającym obnażyć własne uczucia, jeszcze dzisiaj słyszę, jak ojciec mimo wszystko stara się zachowywać ze swobodą, sztucznym, wymuszonym tonem wymawia słowa dotyczące tego obojętnego w istocie rzeczy faktu, jego niski głos staje się

wyższy niż zazwyczaj, na nic się zdają wszelkie starania, uszy matki rejestrują wszystko nadzwyczaj dokładnie, słyszy wszystko, co ojciec próbuje przed nią ukryć, ale nie potrafi, słyszy jego zniecierpliwienie.

Pociągiem miał właśnie przyjechać tajny radca Frick, już od wielu dni ojciec czekał na niego z niecierpliwością, między sobą wiele zdradzającym tonem zawsze mówili o nim „tajny radca” albo „Frick”, unikając wymawiania jego imienia, choć przecież był najlepszym przyjacielem ojca, przyjacielem na śmierć i życie, od całych dziesiątek lat, od dzieciństwa, a także, jak dziś mogę ocenić z perspektywy minionego czasu, przyjacielem prawdziwym i wiernym; choć mieli bardzo różne charaktery i odmienne poglądy, to wspólne korzenie trzymały ich razem jak krzewy zasadzone w jednej donicy, obydwaj byli wychowankami tej samej znanej ze średniowiecznej dyscypliny instytucji kościelnej, od której w późniejszym dorosłym życiu razem próbowali uciec; to, co ich łączyło, w dramatyczny sposób potwierdzało surowe wychowanie, jakie tam otrzymali, albo było buntem przeciw narzuconej dyscyplinie; matka, zważając, by nie wymówić imienia tajnego radcy, oświadczała, że nie życzy sobie mieć cokolwiek wspólnego z tym człowiekiem, który niemoralnym życiem, agresywnym i pełnym okrucieństwa zachowaniem już zepsuł, i nadal psuje, mojego „moralnie niezbyt silnego” ojca, „Theodorze, zachowujesz się jak ogłupiona światłem ćma! Jesteście dziecinni i śmieszni, wstyd, naprawdę wstyd!”, ojciec zaś, który z niemal zmysłową rozkoszą wymawiał imię swojego przyjaciela, bawił się nim, pieścił, nazywał kochanym, a nawet pupusiem, gołąbkim, zwracając się do niego, przestrzegał reguł niegdysiejszej Alma Mater i do dziś nie mówił mu na ty, kiedy zaś rozmawiał o nim z matką, z pewnością dlatego unikał wymawiania drogiego mu imienia, by nie dopuścić jej do ich gorącej bliskości, w którą za wszelką cenę próbowała się wedrzeć, nawet kosztem zniszczenia ich przyjaźni; i to był ten tajemny moment, zakazany teren, gdzie żadne z nich nie znało żartów.

Kiedyś, przebudzony z popołudniowego snu, przez przypadek zostałem świadkiem ich tak przykrych dla matki bliskości, stali na słonecznym tarasie, a ja, leżąc na wąskiej kanapie w salonie, nawet nie musiałem się poruszyć, by przez falującą na wietrze białą firankę zobaczyć ich razem, podczas gdy oni mnie nie widzieli; sytuacja była nieczęsta, a okazja zbyt cenna, bym miał się zdemaskować, zresztą byłem jeszcze półprzytomny ze snu; stali bokiem, opierając się rękoma o balustradę, samotni w słonecznej przestrzeni, niezbyt blisko siebie, ich palce stykające się na chropowatym, mokrym od deszczu kamieniu sprawiały, że w ich spotkaniu wyczuwało się intymne napięcie; obydwaj trwali w podobnych pozach, ubrani w jasne letnie garnitury, jak gdyby nawzajem byli swoim odbiciem, ich głowy spotykały się na tej samej wysokości, nie potrafiłem rozstrzygnąć, który jest lustrzanym odbiciem tego drugiego, odbijali się w sobie nawzajem, „Nasze instynkty, drogi przyjacielu, nasze instynkty i nasze podniety!”, odezwał się Frick, nim zdążyłem otworzyć oczy, jego głos miło mnie obudził, był głęboki, przyjemny, naturalny, taki, jakby mówił do siebie, a nie do drugiej osoby, „I teraz, kiedy tu stoje i mam szczęście patrzeć szanownemu panu w oczy, każda chwila jest taka sama, taka sama, jesteśmy, mój przyjacielu, zapisanymi stronami, i może właśnie dlatego wydajemy się sobie tacy nudni! Moralne wyżyny, dobro i zło, to śmieszne i głupie pojęcia, dobrze pan wie, że niechętnie rozmawiam o Bogu, po prostu nie lubię tego Boga, ale jeśli jest jeszcze miejsce, w którym możemy go odnaleźć, czy w którym on będzie nas szukał, to są nim nasze instynkty, może tam jeszcze ma władzę, i jeśli tak pan sądzi, gotów jestem się z panem zgodzić, ale nawet jeśli tak jest, to i tak nie ma żadnego sensu, by cokolwiek pan robił, chodził albo poruszał koniuszkiem małego palca, wszystko jest już przesądzone, a on bezczynnie i obojętnie obserwuje, jak robimy to wszystko, co on już dawno zrobił, kiedy planował nasze życie, dokonał tego, kiedy wszystko

w nas zapisywał, mogę zatem powiedzieć, o ile nie nudzi pana mój chaotyczny wywód, że moralne wyżyny, pojęcie dobra czy zła, nie istnieją od początku rzeczy, lecz zostały ukute przez nas później, i tylko filozofowie zgłębiający ludzkie dusze i inni próżniacy przedstawiają je nam jako wewnętrzną naturę rzeczy. Smutna to sprawa! Bo zbyt proste i zbyt bezwstydne, zbyt proste i zbyt mało efektowne wydawało się im szukanie siły sprawczej naszych poczynań w ludzkich instynktach, oni szukali czegoś wyższego, a o tych zwykłych sprawach nie chcieli nawet słyszeć; szukali idei, ducha, który miałby tłumaczyć ohydny, panujący w nas chaos. Cóż to za pociecha dla słabych! Cóż to za pociecha! Tymczasem niepostrzeżenie uszła ich uwagi istota tego chaosu, nic bowiem, nic nie powiedzieli o tych wszystkich pięknych szczegółach, po prostu je zignorowali, a przecież dotyczą one każdego z nas, kiedy więc słyszę, co jest dobrem, a co złem, po prostu zaczynam myśleć o tym, że dziś nie udało mi się porządnie wysrać, a to sprawa niesłychanie ważna dla jasności myśli, czy że mam ochotę puścić baka, bo przecież moralne wyżyny to nic innego, jak umieć się powstrzymać przez kilka minut”.

„Jest pan człowiekiem wierzącym, mój drogi, uspokoił mnie pan, a ja panu zazdroszczę!”, odparł ojciec ciepłym, cichym, naturalnym głosem, takim właśnie, jakim mówił jego przyjaciel; przez cały czas stali w bezruchu i ani na chwilę nie odwracając od siebie wzroku, patrzyli sobie prosto w oczy, jak gdyby ten rodzaj kontaktu był ważniejszy od myśli czy innego rodzaju porozumienia, jednocześnie na próżno szukałbym w ich oczach przerażającej grozy miłostnego oddania, oni nie szukali ucieczki, dużo większe i silniejsze wrażenie wywierało to, co się tam zdarzyło, i może właśnie poprzez ten wzrok podtrzymywali się w przekonaniu o niemożności zbliżenia się do siebie dwóch ludzkich istot, przewyciężali w sobie wzbudzone wzajemnym wzrokiem podniecenie, wykorzystując naturalne oparcie, jakie znajdowali w zmysłach, przyjmowali je za punkt wyjścia, lekko poruszając oczyma, by dostrzegalne były tylko delikatne drgnięcia rzęs, powiek, zmarszczek wokół oczu, dzięki temu wokół ich ust bezwiednie pojawiał się lekki uśmiešek, „Czy mam się jaśniej wyrazić?”, zapytał Frick, a jego pytanie zabrzmiało jak odpowiedź na niewypowiedziany komentarz, „Nie pogniewałbym się, gdyby mi pan wybaczył!”, odparł ojciec, utwierdzając przyjaciela w tym wszystkim, czego sam też pragnął; nie błądzili więc po zwodnej płaszczyźnie cielesnych doznań, poruszali się swobodnie w świecie swoich myśli, nie ulegali słabościom, w tym sensie ich spotkanie cechowało się chłodem i okrucieństwem, choć jednocześnie czuło się, że daremnie próbowali umknąć przed nieskończoną władzą Erosa, ten zaś, z całą perfidią, kazał się im bezwstydnie obserwować, wzajemnie czytać w swoich myślach, jednocześnie kontrolując się, by pozostać ostrożnym i taktownym, „Widzi pan, byłoby przesadą twierdzić, że ona istnieje tylko pomiędzy naszymi nogami!”, odezwał się Frick i zadumał się nad tym, co powiedział, „A mnie się wydaje, że właśnie tak pan uważa!”, rzucił ojciec, kiedy wymieniali między sobą te króciutkie zdania, ton, siła i barwa ich głosów tak upodobniały się do siebie, że można było odnieść wrażenie, że to jeden i ten sam człowiek mówi, argumentuje i dyskutuje sam ze sobą, „Nie, w żadnym razie! Zatem i ja popełniłem karygodny błąd!”, przyznał Frick nieco głośniejszym, choć wolnym od złości tonem, „Proszę mi więc wyjaśnić!”, odezwał się ojciec, a jego słowa zawisły w powietrzu jak cisza.

„Zgodnie z naszym starym, dobrym zwyczajem zacznijmy może od tego, że tu stoję, a naprzeciw mnie stoi pan!”, odparł Frick, wydawał się teraz wyższy od ojca, był szczupły, proporcjonalnie zbudowany, ale nie chudy, szczupłe było nie tylko jego ciało, któremu miałem okazję dokładnie się przyjrzeć podczas przedpołudniowych kąpieli w modnym, obcisłym, mokrym kostiumie, ale także pociągła, koścista twarz, już lekko łysiał, i chcąc to ukryć, tak, był próżny, delikatne jak puszek, jasne od słońca włosy strzygł po wojskowemu, na krótko, „O ile



bowiem udałoby się nam odrzucić wpojone wychowaniem zasady moralne, o tyle z całą pewnością nie pozostałoby nam nic innego, jak to, że po prostu tutaj jesteśmy! Pozostałoby nam tylko poczucie, że istniejemy, i te widoki, możemy się nad tym zastanawiać, to zresztą niemało, i przyznać muszę, że w przeciwieństwie do wspomnianych przed chwilą próżniaków i dyletantów, nic więcej mnie nie interesuje!”.

Ojciec, słysząc to, cicho się zaśmiał, w jego krótkim i bezwiednym śmiechu pobrzmiwała drwina, Frick znów stracił rezon, a z jego twarzy, która była jedną z najbardziej charakterystycznych, jakie kiedykolwiek widziałem, znikła zaduma, rysy nabrały miękkości, wielka to rzecz!, pojawiły się na niej ciepły spokój, wrodzona duma, czyste, niczym niezmacone dostojeństwo, i wreszcie nagość!, że też natura, tak wielkodusznie kształtując materię, nie ukryła małościowych szczegółów, uroczych włosków na kościstej czaszce, które przeznaczeniem było dać miejsce twarzy, by ta, nie zapominajmy, wraz z nadejściem śmierci musiała zniknąć, czasami wydawała mi się trupa czaszką, przyciskiem do papieru leżącym na biurku, martwą, wygotowaną kością, co z tego, że zawsze mówił tak dużo i tak szybko, tak jak dziś, jego harmonijna sylwetka i ogorzała, spalona letnim nadmorskim słońcem skóra pyszniły się swoją doskonałością, skóra na wysokim czole była błyszcząca i napięta, pokryta drobnymi zmarszczkami na dokładnie ogolonych policzkach, te suche policzki nie sprawiały jednak, by wyglądał na starszego, niż był, jaśniały w nich wielkie, nad wyraz żywe szare oczy, zimno-szare, okrutne oczy, których surowy wyraz podkreślały ostry nos i wąskie wargi, i tylko dzieciennie miękkie dołeczki nadawały jego twarzy pociągająco subtelny wyraz, „Proszę tylko nie pomyśleć, że żądza władzy nie pozwala mi cieszyć się istnieniem!”, ciągnął, a cień zażenowania szybko przeistoczył się w drwiący uśmieszek; nadal stali w bezruchu, wzajemnie chwytając swoje spojrzenia, „A nawet jest wręcz przeciwnie, żądza władzy i posiadanie jej prowadzi nas ku wielkim głębiom, czy, jak sobie pan życzy, ku wielkim wyżynom, choć nie większym niż te, na które możemy się wznieść w sposób najbardziej zgodny z naszą naturą i jej rytmem, przeżywając rozkosz ejakulacji, największą spośród tego rodzaju rozkoszy, i o tym właśnie chciałem mówić, w naszym bowiem świecie wszystko domaga się rozkoszy ejakulacji i wszystko ją ofiaruje, o ile tylko potrafimy być na tyle wolni, by umieć to zauważyć! Miłe to więc z pana strony, że wybuchając śmiechem, skierował pan moje myśli w tym właśnie kierunku, ku samej istocie rzeczy! I nie żywię do pana żadnej urazy!”, tu na chwilę umilkł, „W istocie rzeczy zmysły i myślenie, instynkty i umysł pozostają ze sobą w przyjemnej równowadze, a to nic innego jak równowaga pomiędzy przeciwieństwami! I właśnie dlatego człowiek świadom posiadania władzy jest jak najbardziej zdolny rozkoszować się własnym istnieniem, posiadanie władzy pozwala dojść do końca wszelkich możliwości, tych, które podsuwają nam nasz rozum i myśli, by potem wrócić i odnaleźć rozkosze instynktu, wtedy bowiem człowiek nie obawia się już niebezpieczeństw, jakimi grożą wszelkie skrajności, staje się wolny od moralnych zahamowań i bez żadnych skrupułów może się oddać zmysłowym rozkoszom, jak też czerpać z nich bez granic, kto zatem jest bardziej wolny niż ten, kto rozkoszuje się własnymi, wprawdzie ograniczonymi i określonymi z góry możliwościami, i głęboko je przeżywa, ale czyni to bez żadnych hamulców, tak, mój przyjacielu! Nawet wówczas, gdy wolność, którą posiadaliśmy, nie pozwala nam wiedzieć, czym to wszystko jest? Bo czym to wszystko jest? Wolność w tym sensie jest ograniczona, że nie jest kwestią teoretyczną, lecz urzeczywistnieniem woli niepojętym dla rozumu, który dopiero poznaje własne możliwości! Ale co ja tu tyle gadam! Sam pan wie, co mam na myśli!”.

– Czyżby nowa, podniecająca przygoda? – zapytał ojciec.

- Coś w tym rodzaju – westchnął Frick.
- Aktoreczka – dodał Frick.
- Podejrzewam, że jasnowłosa i bardzo młodziutka – dodał ojciec.
- To najmniej, co mógłbym o niej powiedzieć!

I pewnie mówiłby dalej, z niemałą dozą przesady opisując swoje przeżycia, opowiadając wszystko ze szczegółami, jak już kiedyś miałem okazję doświadczyć, gdyby nie musieli wracać z parku na szerokie schody prowadzące na taras, i tak rozmowa urwała się w najciekawiej zapowiadającym się momencie; pojawiła się bowiem moja matka, towarzyszyła jej panna Wohlgast, wracały z popołudniowego spotkania przy kawie, wchodziły po schodach wolnymi krokami, uspokojone wzajemnym, pełnym poufałości zrozumieniem, panna Wohlgast jeszcze na schodach zaczęła się przekomarzać swoim gromkim, szorstkim głosem: „Och, panowie tutaj!”, zawołała, kiedy Frick wypowiadał właśnie ostatnie zdanie, „Kiedy my rozprawiamy tu o poważnych sprawach, mówię, mówię pani, pani Thoenissen! Powiadam, skończył się piękny, stary świat, kiedy ktoś trzymał wszystko w rękach, teraz snujemy jakieś plany, podejmujemy decyzje, a oni, mężczyźni, oddają się z radością frywolnym pogawędkom, czyż się mylę? Może choć mogliby być wobec nas szczerzy! Czy mogę panów prosić, żebyście wreszcie dali spokój tym bujdom?”.

Wszystko to jednak zdarzyło się dużo wcześniej, przed dwoma, może nawet przed trzema laty, tak mi się wydaje, rozum dziecka nie jest w stanie pojąć wszystkich mądrości i wszystkich głupot dorosłych, nie pozostaje mi więc nic innego, jak rozjaśnić za pomocą wyobraźni czarne plamy zapomnianych scen.

Dużo wcześniej, stwierdzam niepewnie, przypominając sobie niektóre szczegóły, które utkwily w mojej pamięci, choćby to, że piękna panna Wohlgast, o której wszyscy wiedzieli, że w siedemdziesiątym pierwszym roku straciła na froncie swojego ukochanego, przystojnego oficera, i z patriotycznym entuzjazmem przyrzekła opłakiwać go aż do śmierci, „po grób i przez całą wieczność”, bezustannie przypominając światu, „Cóż za nikczemność! Nie tylko wobec mnie, ale wobec nas wszystkich”, wtedy nosiła jeszcze szarą sukienkę, choć już nie czarną, potem szary z roku na rok stawał się coraz jaśniejszy, aż wreszcie tamtego popołudnia, kiedy wszyscy rozstrojeni do granic możliwości złośliwością matki doszliśmy wreszcie na stację i przemierzaliśmy elegancką, witającą nas miłym chłodem poczekalnię, a ciężka lokomotywa wjechała na dworzec, ciągnąc za sobą cztery czerwone wagony, pojawiła się w białej, śnieżnobiałej koronkowej sukni!

Ojciec w tamtych dniach był już tak naszpikowany uszczypliwymi tyradami matki, których oczywiście nie pozostawiał bez odpowiedzi, że przypominał świętego Sebastiana z romantycznego malowidła, strzały kąśliwych zdań wbijały się w jego skórę i ciało, drżały w powietrzu, a jedyne zdanie, które udało mu się wydusić, było pytaniem, czy przypadkiem nie powinni już wracać do domu, matka oczywiście udawała, że nie słyszy, cała sytuacja układała się akurat po jej myśli, nie było na nic czasu, musieli się uśmiechać i pozdrawiać znajomych, na peronie zebrało się liczne towarzystwo, przychodzono tu nie tylko spotykać przyjeżdżających, tak wielu znów ich nie było, ale też cieszyć się pełnym życia widokiem, którym było pojawienie się tego cudu techniki, jak gdyby pociąg stawał się dobitnym i pełnym dostojeństwa dopełnieniem spaceru; już nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak bawili się goście domu zdrojowego, kiedy nie było jeszcze linii kolejowej łączącej rezydencję księcia, miły i pełen patyny Bad Doberan, z noszącym piękną nazwę Kühlungsbornem, wszyscy sprawiali wrażenie publiczności siedzącej w teatralnej łoży, ucichły szmery rozmów, a oni oczarowani obserwowali,

jak pracownicy konduktorzy otwierają drzwi wagonów, opuszczają schodki, oto wielka chwila przybycia!, i bagażowych, jak pojawiając się i niknąc w buchających kłębach pary, w pośpiechu wyładowują potężne, ciężkie bagaże, by po chwili postoj, gdy jeszcze brzmiały głosy powitań i pożegnań, na znak dany przez naczelnika stacji schodki znikły w ukryciu, drzwi zamknęły się z łoskotem, a wizjonerska scena pełna syku i dzwonięcia za najbliższym zakretem dobiegła końca wśród sapania i równomiernie wzmagającego się dudnienia, pozostawiając w przybyłych pełne podniecenia i radości zmęczenie przebytą drogą, a w odprowadzających smutną ciszę osamotnienia, i abyśmy teraz, w jeszcze bardziej oczywisty sposób, zostali sami tu, gdzie jesteśmy.

Peter van Frick stał w otwartych drzwiach czerwonego wagonu, natychmiast nas dostrzegł, widziałem i czułem, że nas widzi, że wypatruje nas wśród znajomych i przyjaciół, którzy wyszli na stację, by go powitać, jego twarz wydawała się teraz poważniejsza i mniej uśmiechnięta niż zwykle, mimo że był opalony, wydawał się blady, miał na sobie elegancki, angielski podróżny garnitur, w którym sprawiał wrażenie jeszcze wyższego i szczuplejszego, na głowie miękki kapelusz, w jednym ręku nonszalancko trzymał torbę podróżną, schodząc lekkim krokiem po schodkach, drugą dłoń pomocnie wyciągał do kogoś, kogo jeszcze nie widziałem, dopiero chwilę później zobaczyłem, że to Nora Wohlgast, bez wątpienia była to ona, ubrana na biało jak panna młoda, chyba wtedy po raz pierwszy widziałem ją w bieli, a ponieważ później szybko następujące po sobie wydarzenia przyniosły wiele zmian, mogę dodać, że wtedy widziałem ją właściwie po raz ostatni; i choć przyjazd tajnego radcy, z uwagi na delikatną rolę, jak odegrał w wykryciu i ujęciu dwóch sprawców zamachu na cesarską rodzinę, o czym letnicy w Heiligendamm mogli dowiedzieć się jedynie z prasy, stał się wydarzeniem wyjątkowej wagi, teraz dopiero wszyscy mieli nadzieję otrzymać informacje z pierwszej ręki, dowiedzieć się o szczegółach i zagadkowych związkach między rozmaitymi faktami, ich wspólny przyjazd był więc sensacją na miarę skandalu, choć z powodu względów, jakimi tajny radca cieszył się w towarzystwie, wszyscy byli skłonni przymknąć na to oczy, jak gdyby nie zobaczyli tego, co każdy musiał widzieć, jak gdyby to był najzwyczajniejszy zbieg okoliczności, ich skandaliczne zachowanie podnosiło ich prestiż jako ulubieńców towarzystwa, w ten sposób stanęli ponad wszystkimi i zyskali nad nimi władzę, przekroczyli bowiem granicę, której nie mamy odwagi przekroczyć; ale żeby panna Wohlgast!, jakim sposobem znalazła się w tym pociągu, skoro razem z nami jadła śniadanie?, i dlaczego nagle w bieli, na którą nie powinna sobie pozwalać już choćby ze względu na wiek, miała już prawie trzydzieści lat!, skąd więc ten wyzywający strój, zwłaszcza tak dziwny w jej przypadku, skąd?, czy może radca zaręczył się z nią potajemnie, zatwardziały stary kawaler, a może nawet się z nią ożenił?, dręczony takimi pytaniami najpierw spojrzałem na matkę, potem na ojca, jak gdybym z ich twarzy chciał wyczytać odpowiedź, ale matka nic nie mówiła, a na twarzy ojca pojawił się tylko cień wzburzenia i złości, których nie potrafiłem zrozumieć, chwyciłem go za rękę, bezwiednie, jak gdybym obawiał się czegoś złego, on nie zaprotestował, ale zbladł, zrobił się niemal zielony, oczy aż wyszły mu z orbit, patrzył na stojącą naprzeciw parę, usta miał jakoś głupio otwarte, jeszcze wtedy, gdy zaczęli zbliżać się do nas, oni szli ku nam, a my ku nim, by w chwilę później, zgorzeleni zbyt wylewnymi powitaniami, stanąć w miejscu, jak żywy element barwnego ludzkiego pierścienia otaczającego Fricka; w powietrzu zawisło kilkadziesiąt rozpoczętych i niedokończonych zdań, plątały się ze sobą, a ponieważ każdego interesowały tylko jego własne słowa, wszyscy bowiem żywo interesowali się przebiegiem podróży, wyrażali radość z powodu przyjazdu radcy, wspominali o „nad wyraz wyczerpującej pracy”, która tak „rozbieliła” jego twarz, w tej gorącej atmosferze, pełnej

czułościowości i banałów, nikt nie zważał na chmurne twarze pozostałych, ani na twarz mojego ojca, nawet sam Frick, wszyscy jednak musieli chyba widzieć i słyszeć, jak ojciec wyszarpuje rękę z pełnego strachu uścisku mojej dłoni, pochyła się nad panną Wohlgast i choć chce mówić szeptem, krzyczy: „A ty skąd się tu wzięłaś?”

I jak gdyby nie istniały siła i złość, które potrafią przebić twardy pancerz konwenansów, nie wybuchł skandal!, nikt nie zaczął krzyczeć, nikt nikogo nie pobił, choć skłonna do hysterii ludzka natura właśnie tego się wtedy domagała, jak gdyby ojciec nie zadał jeszcze swojego pytania albo jak gdyby takie pytanie było czymś najbardziej oczywistym na świecie, choć przecież wszyscy wiedzieli, że ojciec nie jest i nie może być z panną Wohlgast w takich relacjach, które pozwalałyby mu zadać w obecności obcych osób podobne pytanie, a w dodatku zwracać się do niej per ty; a może jednak?, czyżby wyszło na jaw coś mrocznego i mocno pogmatwanego?, przecież tu nie chodziło o ich dwoje, a nawet troje, ale, wliczywszy matkę, o ich czworo, nie, skądże!, jak gdyby nikt niczego nie zauważył, wszyscy dokończywszy jedno zdanie, rozpoczęli kolejne, a muzyka ich słów grała nieskażona niezręczną sytuacją; ja także odczułem surowe prawa dobrego wychowania, mimo że owładnęło mną bliskie omdlenia uczucie słabości, mimo że sam wiedziałem, że skandal już jest, a przed nami rozwiera się przepaść, i że już nic nam nie pomoże, ogarniało mnie złowieszcze przerażenie, którego już nie raz miałem sposobność doświadczyć, że nie tylko za chwilę spadniemy w przepaść, ale że już w nią spadamy, że już w niej jesteśmy!, niczego bardziej nie pragnąłem, jak zamknąć oczy i zatkać uszy, tymczasem nie mogłem nic zrobić, dobre wychowanie było silniejsze niż moje odczucia, musiałem zachować zimną krew; zachowanie matki było doprawdy godne podziwu, kiedy bowiem Frick lekko się pochylił, by ucałować jej dłoń, roześmiała się serdecznie: „Och, jakże cię cieszymy, drogi Peter, że wreszcie jest pan z nami! Gdyby to nie ważne państwowe sprawy zatrzymywały pana daleko stąd, zapewne byśmy panu nie wybaczyli, że tak długo kazał nam pan na siebie czekać!”, w rzeczywistości skandal jednak się nie skończył, kiedy bowiem Frick, śmiejąc się, ukontentowany odpowiedzią, której udzielił mojej matce: „Ja też postaram się wszystko szybko nadrobić!”, wyciągnął rękę do ojca, tym razem nie padli sobie w ramiona, tylko ojciec zawołał jeszcze głośnie: „Sprawy państwowej wagi! To śmieszne!”, wydawało się, że nie chce puścić dłoni radcy, ścisnął ją coraz mocniej i, patrząc mu prosto w oczy niewidzącym wzrokiem, nagle ściszył głos do szeptu: „Może chodzi o przestępstwo, drogi panie Frick! Prawda? Dobrze zorganizowanych zamachowców niełatwo jest zdemaskować!”

„Dowcipny z pana człowiek!”, rzucił Frick, wybuchając perlistym śmiechem, jak gdyby usłyszał świetny dowcip, i sytuacja została uratowana!, kuracjusze bez skrępowania pospieszyli mu z pomocą, gotowi odeprzeć kolejne ataki ojca, zaczęli głośno rozmawiać, konwersacja zamieniła się w nerwową kakofonię, aż pewna szacowna starsza dama, która przeżyła zapewne niejedną już burzę i miała życiowe doświadczenie, jak uratować to, co jeszcze jest do uratowania, z okrzykiem: „Zabieram pana stąd!” chwyciła Fricka pod rękę i w ten sposób wybawiła z niezręcznej sytuacji osłupiałe towarzystwo, pozostali zaś, komentując zajście, starali się ukryć chwilowe zakłopotanie; „Skandal! Skandal!”, myśleli chyba jednak w duchu; i wtedy matka wzięła ojca pod rękę, co wyglądało, jak gdyby chciała zatrzymać go przy sobie, zresztą nie bez przyczyny, zdawało się bowiem, że zaraz kogoś uderzy albo zaczną krzyczeć: „Nieładnie to z mojej strony, ale waga spraw może pozwoli wszystkim zrozumieć mój nietaktowny pośpiech, książę na pana czeka!”, jej dobrotliwy, drżący głos wznosił się ponad rozmowami, kiedy wszyscy już szli w stronę pawilonu aleją wysypaną skrzącymi kamykami, wreszcie zostaliśmy we dwoje, sami, całkowicie osamotnieni, panna Wohlgast, poruszona wydarzeniami sprzed chwili,

nieumiejąca wykorzystać zbawiennej zmiany sytuacji, i ja, którym nikt się nie przejmował.

„Uciekajmy stąd czym prędzej!”, wrzasnął ojciec, ruszając w przeciwnym kierunku, ale niemiła biała postać zastąpiła mu drogę, to była panna Wohlgast, która w całym zamieszaniu stanęła naprzeciw matki i która od długich minut szukała w obezwładnionej głowie wiarygodnie brzmiącego wytłumaczenia, a teraz chyba je znalazła: „Nie uwierzycie mi państwo, ale od samego śniadania nie opuszczała mnie ochota, by wybrać się na długi spacer, w końcu doszłam aż do Bad Doberan! I kogo tam spotkałam?”, wyszczebiotała radosnym głosem, który teraz brzmiał niczym zabawna parodia; „Panno Wohlgast, zachowała się pani skandalicznie!”, patrząc jej prosto w oczy, odezwała się matka pełnym wyższości tonem, ja zaś pospieszyłem za nimi, na przełaj przez tory, by biegnąc po drugiej stronie, pozwolić się prowadzić leśnej ścieżce, i podobnie jak podczas wycieczek, okrężną drogą, przez bagna, wrócić do domu długo po zmierzchu.

Zbliżała się straszna noc.

Przebudziła mnie myśl, że za przeźroczystą firanką ktoś stoi w otwartych drzwiach tarasu, może to tylko cień?, czy jednak zjawą?, bałem się, że kiedy zamknę powieki, on to zauważy, nie śmiałem nawet przymknąć oczu, choć lepiej byłoby nic nie widzieć i nic nie słyszeć!, przerażenie powróciło ze zdwojoną siłą, firanka się zakołysała!, a postać weszła i szybkim krokiem przemknęła przez pokój; była ciemna bezgwiezdna noc, kroki stukwały na podłodze, potem na miękkim dywanie, w końcu rozpoznałem moją matkę, doszła do drzwi prowadzących na korytarz, położyła dłoń na klamce, nacisnęła ją, krótki zgrzyt przeszył głęboką nocną ciszę, w której słychać było tylko leniwe uderzenia morskich fal, nawet nie szumiały sosny, nie wiał wiatr, po czym matka zmieniła zamiar, znów przebiegła przez pokój, a wysokie obcasy jej rannych pantofli z łabędzim puszką stukwały z takim zdecydowaniem, jak gdyby wiedziała, dokąd tak się spieszy i po co, miała na sobie długi, powłóczysty peniuar, chyba tylko narzucony na koszulę nocną, szeleściły drogie jedwabie; wróciła do drzwi wychodzących na taras, przez dłuższą chwilę stała nieruchomo, chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem wydobyć z siebie głosu, jak gdyby to wszystko działo się w moim śnie, choć przecież wiedziałem, że dzieje się na jawie, wreszcie ostrożnie, gotowa, by stanąć na czatach, odsunęła firankę, jednak nie wyszła na taras, lecz przebiegła jeszcze raz przez pokój aż do dwuskrzydłowych drzwi prowadzących na korytarz, gwałtownie nacisnęła klamkę, ale klamka nie puściła, głosy dochodzące z zewnątrz były jednoznaczne, matka przekręciła klucz w zamku, lecz nie wyszła z pokoju, tylko wróciła na taras, zostawiwszy drzwi lekko uchylone, delikatny wiaterek kołysał w ciemnościach białymi firankami, a ja nadśluchiwałem.

„Co się tam stało?”, zapytałem cicho, może nawet zbyt cicho, a zdumienie, które zajęło we mnie miejsce strachu, sparaliżowało mi gardło, matka jednak, jak gdyby nie przejmując się moimi pytaniami albo ich nie słysząc, wyszła na taras, zrobiła kilka kroków i, jakby niemiły stukot obcasów kazał się jej zatrzymać, w pośpiechu uciekła do pokoju, „Co się stało?”, zapytałem już tym razem głośniejszym głosem, a ona podeszła do drzwi prowadzących na korytarz, otworzyła je i się cofnęła!, wtedy musiałem już wyskoczyć z łóżka i pospieszyć jej z pomocą.

Nasze pędzące naprzeciw siebie ciała zderzyły się ze sobą i spotkały na środku ciemnego pokoju.

- Co się stało?
- Wiedziałam, od pięciu lat wiedziałam!
- Co się stało?
- Wiedziałam, od pięciu lat wiedziałam!

Staliśmy wczepieni w siebie.

Jej ciało było przerażająco napięte i tak sztywne, że aż twarde, i choć na chwilę mnie objęła, a ja, obejmując ją, próbowałem poddać się jej objęciom, wyraźnie czułem, że ta bliskość nie przynosi jej ulgi, moje dobre chęci nie wystarczają, ja czuję ją, ale ona nie czuje mnie, równie dobrze mógłbym być sekretarą albo fotelem, których może się chwycić, jeśli straci równowagę, aż wreszcie podjęła tę bliską szaleństwa decyzję; mimo to nie chciałem jej puścić, mocno przycisnąłem czoło do jej czoła, jak gdybym dobrze wiedział, co zamierza, przed jakim strasznym czynem muszę ją powstrzymać, choć właściwie nie miało dla mnie znaczenia, przed czym ją powstrzymuję, nie miałem o tym wszystkim bladego pojęcia, instynkt podpowiadał mi, że przed tym, co chce teraz zrobić, cokolwiek by to miało być, muszę ją powstrzymać!, i jak gdyby moje wysiłki odniosły skutek, jak gdyby wreszcie zrozumiała, że tak, jestem jej synem, należą do niej, pochyliła się nade mną i, niemal gryząc, gorąco pocałowała mnie w szyję, ale w chwilę później, czerpiąc ze swojego pocałunku i mojego sparaliżowanego strachem ciała siłę do kolejnego kroku, nagle wyrwała się z moich objęć i odepchnęła mnie od siebie, „Nieszczęsny!”, zawołała głosem pełnym rozpacz i biegiem rzuciła się w kierunku tarasu.

Pobiegłem za nią.

Pędziła przez taras, ale nie w stronę schodów prowadzących do parku, jak mogłem przypuszczać, tylko w zupełnie przeciwnym; zatrzymała się przed drzwiami do pokoju panny Wohlgast.

W pokoju paliły się świece, drzwi były otwarte, a drżące, rozkołysane światło ślizgało się po kamieniach prosto pod nasze nogi.

Nigdy wcześniej nie czułem aż w takim stopniu, że stoję na stopach.

Że nie tylko moje oczy, ale całe moje ciało istnieje po to, by napawać się tym widokiem.

Dzieci bowiem nie tylko wiedzą często o rzeczach, które mają w takich chwilach miejsce, ale, choć zabrzmi to skandalicznie, dzięki rozkoszy czerpanej z własnego ciała mogą mieć w tej materii pewne doświadczenie; ich widok tak mnie jednak zaskoczył, że nie byłem w stanie go zrozumieć.

Widok dwóch obcych sobie ciał.

Panna Wohlgast leżała na boku z nogami podkurczonymi aż do piersi, wokół porozrzucane białe ubrania, a potężne, rozłożyste, teraz, gdy patrzę okiem doświadczonego mężczyzny, piękne, krągłe pośladki obracała w stronę ojca; obracała?, przysuwała, ofiarowała, podawała!, on zaś przywierał do nich, uderzał w nie swoim przyrodzeniem, odrywał się od nich, klęczał czy siedział nad nią w kucki, jedną rękę zanurzając w jej rozpuszczonych ciemnych włosach i z całej siły chwytając je tuż przy samej skórze; był już w środku tego doskonale zamkniętego ciała, buszował w nim delikatnie, ale z wielką siłą; dziś już wszystko jest dla mnie jasne, tylko wtedy bowiem członek może wejść możliwie najgłębiej, a raczej najwyżej; wrażliwy napletek, szeroka kryza żołędzi, nabrzmiałe supły żył pocierają nabrzmiewającą łechtaczkę, gładzą wargi, głaszczą i szorują śliską, obejmującą niczym jaskinia pochwę, przez co erekcja staje się tak silna, tak pulsująca, że tam, na samym końcu, macica wydaje się jedyną przeszkodą!, wypełniwszy dokładnie pustkę, już nie potrafimy odróżnić, co należy do nas, a co do tej drugiej osoby; w tej dziwnej pozycji gwałt i czułe oddanie się wydają się jednym i tym samym, cóż więc może być więcej, jak możemy wyobrazić sobie rozkosz?, to jednak, co wtedy zobaczyłem, nie było niczym innym jak widokiem ojca, jego pleców pochylonych aż do skurczu, rozwartych pośladków, co wyglądało tak, jak gdyby chciał się wypróżnić, wolną ręką podpierał się o ziemię, w rytmicznym ruchu widziałem jego ogromne, lekko uniesione jądra, które po chwili znów zakryły miejsce

wywołujące w nich tętniącą rozkosz; panna Wohlgast krzyczała cieniutkim głosikiem, otwarte usta ojca budziły we mnie strach, wydawało się bowiem, że nie może ich zamknąć, wydobywało się z nich głębokie charczenie, czubek języka wystawał na zewnątrz, oczy miał otwarte i niewidzące, ale wtedy tamten pisk i charczenie nie łączyły się dla mnie w sposób oczywisty z rozkoszą, kiedy bowiem ojciec wszedł już w nią najgłębiej, jak mógł, i odnalazłszy swoje ostateczne miejsce, zamarł w odrętwieniu, a całe jego ciało pokryte plamami czarnego owłosienia zostało ogarnięte bezsilnym, nienasyconym drżeniem, uniósł głowę panny Wohlgast i kilkakrotnie uderzył nią o ziemię; i kiedy rozdzierająco pisnęła z rozkoszy, zaczęła się pod nim miotać, jak gdyby chciała uciec, oddalić się od zenitu doznań, łono ojca z nie mniejszą niż przed chwilą siłą znów zaczęło się przybliżać i oddalać, jej pisk stał się ciepły i łagodny, a wtedy ojciec szarpnął ją za głowę i zaczął uderzać nią o podłogę, aż dudniło.

Jeśli nawet w tamtych chwilach uczucie rozkoszy było we mnie silniejsze od zaskoczenia, i jeżeli, zapomniawszy o matce, wszystkimi zmysłami oddałem się temu widokowi, a wręcz, bez względu na wszystko, byłem szczęśliwy, że to widzę, i nie należy tego przypisywać dziecięcej ciekawości ani nawet temu, że mój drogi towarzysz zabaw z Heiligendamm, trochę starszy ode mnie hrabia Stollberg, już mnie wtajemniczył w te sekretne sprawy, to po prostu niespodziewanie doszły we mnie do głosu najrozmaitsze, dotychczas ukryte pragnienia, tęsknoty i skłonność do okrucieństwa; jak gdyby to oni je we mnie wyzwolili, jak gdyby panna Wohlgast swoim piskiem przyłapała mnie na gorącym uczynku!, ich widok pozwolił mi zgłębić świat zmysłów, wszystko bowiem, co się tam działo, dotyczyło nie mnie samego, ani mojej teoretycznej dotychczas wiedzy, ani nawet mojego towarzysza, którego kiedyś niespodziewanie zaskoczyłem na moczarach, jak leżąc na bagnistej ziemi, zabawiał się swoim ptaszkiem, ani też mojego ojca, lecz wprost przedmiotu mojego podziwu i pożądania, samej panny Wohlgast.

Moje liczne nocne ucieczki nie pozostały tedy bezskuteczne, bo wprawdzie chciałem zostać sam na naszym wspólnym tarasie, jednak cieszyłem się, że mogę ją tam spotkać, a ona przytulała mnie do swojego ciała ciepłego od łóżka i nieprzespanej nocy.

Jej ciepło emanowało pięknem, choć nie było to piękno jej ciała ani regularnych rysów twarzy, ale, że tak się wyrażę, jej żywego mięsa i rozpalonej skóry; i choć każdy z łatwością mógł dostrzec, że pod względem linii i form była daleka od ideału, to wydawała się o wiele bardziej pociągająca niż tak zwane doskonałe ciało; cóż to więc za szczęście, że bardziej wierzymy naszym dłoniom niż zimnej estetyce!, tu muszę szybko dodać, że nawet moja matka nie potrafiła się oprzeć temu dziwnie silnemu wrażeniu, i choć miała zwyczaj kierować się oschłymi regułami, tutaj uwierzyła własnym oczom, była zachwycona panną Wohlgast, uwielbiała ją, jak gdyby igrając z myślą, że mogłaby zostać jej przyjaciółką, tak jak Frick był zaufanym przyjacielem ojca; błyszczące brązowe oczy, południowa, ciemna jak u Cyganki skóra, zaróżowiona i napięta na szerokich kościach policzkowych, rozwarte, nerwowe nozdrza małego noska, usta nabrzmiące krwią, jak gdyby przecięte pionowo rytualnym ciosem miecza, działały także na matkę, w obecności panny Wohlgast matka była jak naelektryzowana, choć ojciec, chcąc się z nią podrażnić, zwracał uwagę, że „panna Wohlgast jest rzeczywiście bardzo wulgarna”, matka tolerowała zbyt głośny sposób mówienia, przymykała oczy na jej graniczącą ze złymi manierami poufałość, i nie przeszkadzało jej nawet umyślone ograniczenie tej panny, ucieleśnione w niskim, płaskim czole, a panna Wohlgast zamiast odpowiedzieć na zachwyty matki zdyscyplinowanym zachowaniem, stawała się jeszcze bardziej nieokiełznana; a więc ja też znałem ciało, które leżało wtedy na podłodze; małe, sztywno sterczące piersi, talię, która w odpowiednio uszytych sukniach wydawała się jeszcze węższa, biodra, których szerokość

efektownie podkreślał krój jej strojów; znałem je dobrze, gdyż tamtej nocy, kiedy bezsenność i niepokój wygnały ją na taras, i tam przytuliła mnie do siebie z matczyną czułością, aczkolwiek zbyt wielką, i dziś już wiem, że przecież adresowaną do ojca, poczułem to ciało w całej jego nieukrywanej, pozbawionej proporcji doskonałości, nie miała na sobie nawet szlafroka, a przez delikatny jedwab koszuli nocnej czułem niemal wszystko, nawet miękką gęstwinię łona, kiedy niby przypadkiem zbłądziła tam moja ręka, no i ten zapach, w którym się pogrążyłem.

Ale już wystarczy, ani słowa więcej!

Poczucie miary i dobry smak każą mi przerwać tu na chwilę moje wspomnienia.

Matka wydała z siebie jęk i bez przytomności runęła na ziemię.



## Dziewczęta

Ogród był przeogromny, mógłbym go nawet nazwać parkiem, cienisty, miło pachnący w letnim upale; kwaśny zapach sosen, żywica wypływająca z pękających z cichym trzaskiem pąków, pełne, okazałe róże, czerwone, herbaciane, białe i różowe, tak, i lekko zwinięty płatek, który nie mogąc rozkwitnąć, zaczął spadać na ziemię; przywołujący pszczoły miód sztywno wznoszących się lili, pochylające się na wietrze fioletowe, bordowe, niebieskie kielichy petunii, lwie paszcze kołyszące się na długich łodygach, plamy płonących barwami naparstnic przy brzegach alejek, błyszcząca rano w świetle rosy trawa, a przede wszystkim wilgotne gnicie w mroku gęstwiny krzewów rosnących w grupkach i rzędach dzikiego bzu, trzmieliny, bzu, mdląco słodkiego jaśminu, forsycji, leszczyny i głogu, w którym może do woli się płożyć i roztaczać swój gorzkawy zapach ciemnozielony bluszcz, wspinający się pędami na ogrodzenie i ściany, oplatający pnie drzew, wypuszczający w powietrzu delikatne korzonki, pokrywający wszystko, by chronić i wspomagać gnicie grzybów, którego był przyczyną i które pozwalało mu żyć; patrzę na tę roślinę jak na symbol, na tę roślinę, w której gęstwinie i mroku ginęło wszystko, gałązki, trawa, gałęzie drzew, by pogrzebane jesienią pod czerwienią liści, na wiosnę podniosły znów swoje woskowe główki na długich, twardych łodygach; tu szukały ochłody zielone jaszczurki i jasnobrązowe padalce, znaczące swoje dróżki wyschniętym do białości, pękającym pod dotknięciem ręki twardym śluzem; kiedy przypominam sobie ten ogród, wiedząc, że z tego wszystkiego nic już nie pozostało, bo krzaki wycięto, większość drzew wykarczowano, zburzono wietrzną altanę, po której pomalowanych na zielono kratkach pięły się różowe różyczki, a skalny ogródek rozebrano, by do jakiegoś innego celu użyć kamienie, z których był zbudowany, przepadły wszystkie rojniki, paprocie, rozchodniki, irysy, jaskry, taszniki, trawa porosła chwastami, wypaliło ją słońce, pewnie zbutwiały i rozpadły się białe ogrodowe krzesła, a porowaty ze starości kamienny posążek Pana grającego na lutni, który kiedyś zwałała z postumentu wichura i który od tamtego dnia leżał w trawie, ktoś wyniósł do piwnicy, znikł nawet postument, z budynku zburzono stiukowe sztukaterie, boginki z otwartymi ustami leżące w morskich muszlach nad oknami i greckie woluty kolumn, zamurowano przeszkloną werandę, podczas wszystkich prac przy przebudowie domu zerwano ze ścian winorośl, ulubione schronienie mrówek i owadów, i choć przecież wiem wszystko o tych zmianach, że wszystko przepadło, a ten ogród żyje już tylko w moich wspomnieniach, to do dziś, tak samo jak wtedy, czuję poruszające się liście i zapach, i światło, i kierunek wiatru, dokładnie tak samo jak wtedy, i jeśli tylko chcę, jest lato, jest cisza i jest popołudnie.

Tam stał chłopiec, ten, którym byłem, drobny, szczupłutki, ale proporcjonalnie zbudowany, i choć czuje, że jest pozbawiony zręczności i bardzo brzydki, w wyniku czego nawet w największe upały niechętnie rozbiera się do naga, a kiedy może, nie zdejmuje nawet koszuli, a przynajmniej zostaje w podkoszulku, lubi chodzić w długich spodniach, i raczej się pocić, choć silna woń potu też wydaje mu się odrażająca, dziś jednak to wszystko może nas raczej bawić, ze smutkiem i przymrużeniem oka przyjmujemy do wiadomości, że zazwyczaj nie jesteśmy świadomi własnej urody, i dziwnym zbiegiem okoliczności zawsze odnajdujemy ją w innych osobach albo z nostalgią wspominamy siebie z dawnych lat.

A więc stoję tam w ogrodzie na stromo wznoszącej się ścieżce, to jedna z niewielu rzadkich chwil, kiedy nie zajmowałem się sobą czy, wyrażając się ściślej, tak byłem zajęty czekaniem, że

stawałem się aktorem sceny rozgrywającej się według nieznanym mi samemu zasad, i nawet mi nie przeszkadzało, że nie zdjąłem koszuli ani spodni, i że stoję tu w spranych do białości niebieskich gaciach, podczas gdy ona niedługo się tu pojawi.

Po prostu jestem, i jest ogród, jest ulica, a za ulicą las, trzymam w rękę pajdę chleba grubo posmarowaną smalcem, z kawałkami zielonej papryki na wierzchu, ostrożnie pokrojonej, tak żeby ostre w smaku włókna, utrzymujące niczym rusztowanie warzywo w całości, pozostały na miejscu, kiedy podnoszę pajdę do ust, by odgryźć kolejny kęs, muszę palcami przytrzymywać paseczki papryki, żeby się z niej nie zsunęły, choć oczywiście zawsze się zsuwają, w dodatku przytrzymywać uważnie, żeby nie wypłynął smalec i nie zabrudził mi policzków.

Od upału niebo zasunęło się szarym welonem mgły, paliło słońce, była chyba najcieplejsza godzina popołudnia, nawet owady trwały w bezruchu, na wilgotnej od snu skórze czuję chłodny powiew wiatru, którego nigdzie więcej nie można doświadczyć, tylko tutaj, na tej stromej ścieżce.

Znikły jaszczurki, zamilkły ptaki.

Ogrodowa ścieżka prowadzi do ozdobnej żeliwnej bramy wspartej na dwóch rzeźbionych, kamiennych kolumnach, łagodnie drżą cienie drzew, po drugiej stronie rozciąga się las, stamtąd dochodzi kwaskowaty chłodny powiew; stoję tam i rozkoszuję się jego dotykiem, czuję się oszołomiony, choć jednocześnie bardzo skoncentrowany, i przyznajmy się szczerze, że tylko dla poprawienia własnego wizerunku udaję oszołomionego.

Gdybym bowiem nie udawał, musiałbym się przyznać, że na nią czekam, a nawet że czekałem, udając w przyjemnie zaciemnionym pokoju, że czytam, że czekałem, zasypiając i budząc się, że czekam od wielu dni, a nawet tygodni, że czekam w kuchni, smarując chleb i krojąc paprykę, że dziś nie wiem już po raz który spojrzałem na głośno tykający budzik, jak gdybym jedynie przez przypadek zerknął na wskazówki, w nadziei, że ona też spojrzy na budzik, że właśnie teraz patrzy, właśnie teraz, a potem szybko wychodzi, bo przecież codziennie przychodzi o tej samej porze, jest wpół do trzeciej, to z pewnością nie jest przypadek, a jednak nie potrafię pozbyć się przerażającej myśli, że to nieporozumienie, nie przyszła tu z mojego powodu, pojawiła się całkiem przypadkowo, ot tak, po prostu, dla kaprysu.

Jeszcze kilka minut, i nagle, jak gdybym miał tam ważną sprawę, ruszam w stronę ogrodu, jeszcze kilka minut, najwyżej pół godziny, wówczas aż pół godziny, jeśli udaję obojętność, będzie chciała się spóźnić, ja też czasami tak robię, dla zachowania pozorów, udaję, że nie ma mnie tam, pomiędzy krzewami; liczę minuty, czas, który może okazać się długi, choć zawsze mam nadzieję, że będzie krótki i szybko upłynie, odkąd raz, jedyny raz nie przyszła, w ogóle nie przyszła, wtedy czekałem aż do wieczora, nie mogłem postąpić inaczej, czekałem przy ogrodzeniu, nawet kiedy już się ściemniło, ale nie przyszła, i od tamtego czasu wiem, że oczekiwanie ma swój trudny do wytrzymania czas, kiedy nie ma innego wyjścia, jak tylko czekać.

Aż przyjdzie.

Jak każda chwila, którą chcemy postrzegać jako ważną, ta też z perspektywy czasu okazuje się pozbawiona znaczenia, i musimy przyznać, że to, na co tak czekaliśmy, owszem, jest tutaj, nic się nie zmieniło, wszystko zostało po staremu, po prostu tutaj jest, i już nie ma na co czekać.

Stałem więc wtedy w krzakach, przy samym ogrodzeniu, nieopodal bramy, to było to miejsce, moje miejsce, dokładnie naprzeciw ścieżki niby potajemnie ukrytej pod pochylonym krzewem i opadającymi gałęziami wielkiej lipy, o tej porze nikt tędy nigdy nie przechodził, jeśli będę stał przy ogrodzeniu, zyskam pewność, że nie stracę ani sekundy, zważałem na każdą

chwile, ciałem torowałem sobie ścieżkę wśród zarośli, i tą nową dróżką, na której znalazłem każde miejsce, gdzie gałąź może uderzyć mnie w twarz, mogłem podążać w ślad za nią aż do ogrodzenia dzielącego nas od ogrodu sąsiadów, a nawet mogłem odprowadzić ją wzrokiem jeszcze dalej, aż czerwień i błękit zabawnie falującej spódnicy nie zginą mi z oczu wśród zieleni; najwyżej mogła zrobić mi niespodziankę i pójść inną drogą, zawsze bowiem starała się, by nasza zabawa nie stała się przewidywalna czy powtarzalna, i wtedy, robiąc potężne okrążenie, szła nie przez las, lecz ulicą, i pojawiała się po mojej lewej stronie, tam gdzie ulica wznosiła się stromo, by potem równie stromo opadać, kiedyś był tam asfalt, teraz mróz wyrzeźbił w nim dziury, otwierające się jedna tuż obok drugiej, na nic więc zdawał się jej spryt, w głębokiej ciszy, w której nawet najbardziej wyczulone ucho z największym trudem wychwytywało w nieregularnych, przypadkowych dźwiękach szumu krzewów, ćwierku ptaków, szczeku psów, tępego, trudnego do określenia ludzkiego krzyku, monotony pomruk, pogłos dalekiego miasta i zawiłe związki pomiędzy tymi wszystkimi szczegółami!, w dużej mierze dzięki wyczulonemu na każdy dźwięk wyczekiwaniu!, a więc choć przyszła od strony ulicy, nie udało się jej wywieść mnie w pole, zdradziły ją kroki, skrzypiące kroki, to nie mógł być nikt inny, tylko ona, dobrze znałem odgłos jej kroków.

Tamtego dnia przyszła jednak od strony lasu, zatrzymała się, i jeśli dobrze zapamiętałem, co jest więcej niż prawdopodobne, miała na sobie czerwoną spódniczkę w białe kropki oraz białą bluzkę, obie starannie wykrochmalone i wyprasowane, sztywna, nieprzylegająca do ciała bluzka dokładnie zasłaniała wzgórki jej małych piersi, a pod szczupłymi kolanami miło szeleściła kretonowa spódniczka; ubogie ubrania w jednym miejscu odkrywały, w drugim odsłaniały jej ciało, i dlatego muszę je wszystkie dokładnie pamiętać, spódniczki, sukienki, bluzki, wszystko to, co w momencie, gdy je ubierała, i kiedy może nawet myślała o mnie, wydawało się jej takie ważne; wysunąwszy do przodu obnażoną szyję, powoli, z ostrożnością rozejrzała się wokół, to był ten jeden jedyny gest, na który pozwalała sobie pod maską pozornie utrzymywanego dystansu, najpierw spoglądała w prawo, potem w lewo, a kiedy odwracała głowę, jej wzrok zatrzymywał się na mnie niby przez przypadek, czasami tylko na ułamek sekundy, wtedy nie udawało mi się uchwycić jej spojrzenia, kiedy indziej odważniej i na dłużej, a nawet na bardzo długo – ale o tym opowiem później – tak czy owak, szukała mnie wzrokiem, kiedy bowiem nie stałem na moim miejscu, ale położyłem się na ziemi albo skryłem się za drzewem, żeby nie mogła od razu mnie zauważyć i żeby tym sposobem mógł zyskać choć odrobinę przewagi, w jej oczach od razu pojawiała się niepewność, a na twarzy malowało się głębokie rozczarowanie, które przecież chciałem wymusić tymi moimi wybiegami, wydającymi się przez wzgląd na jej pełne dystansu zachowanie niedopuszczalnym podrywaniem; każdego dnia spoglądała na mnie tylko ten jeden jedyny raz, i ani razu więcej, wtedy, kiedy stałem tam za ogrodzeniem, bezradny w dusznym cieniu krzewów.

Nie była ładną dziewczynką, choć to określenie wymaga pewnego wyjaśnienia, gdyż to, że nie była ładna, stwierdzałem z pewnym wstydem i żalem, mnie samemu wydawała się ładna!, kiedy znikaała za zakrętem ulicy, czułem, iż powinienem się wstydzić, że dziewczyna, w której się zakochałem, nie jest ładna, że jest brzydka, czy gdybyśmy chcieli oględnie się wyrazić, nie jest bardzo ładną dziewczyną, moje wątpliwości były jednak większe, a wstyd trudny do wytłumaczenia!, i po tylu dniach dramatycznego wyczekiwania, kiedy na próżno broniłem się i próbowałem różnych wybiegów, musiałem przyznać się do tego, głośno to wypowiedzieć, wykrzyczeć z siebie, wykrzyczeć w powietrze z nadzieją na wyzwolenie, że jestem zakochany, że jestem w niej zakochany, i wreszcie krzyk spowodował, że poczułem się szczęśliwy, kiedy

bowiem ucichł, nadal nie potrafiłem wyzwolić się od przytłaczającego uczucia, że jednak muszę tu na nią czekać, że ciągle muszę czekać, czekać aż do wpół do trzeciej, a kiedy już przyjdzie, czekać, aż ponownie zniknie mi z oczu, żebym znów mógł czekać aż do następnego dnia, co pod każdym względem zdawało się chorobliwe i jeszcze bardziej pozbawione sensu niż unikanie spotkań z Krystianem, by jego widok nie sprawiał mi bólu.

A kiedy już musiałem ją zobaczyć, kiedy nie mogłem uniknąć spotkania, pragnąłem, żeby przynajmniej była ładna, żebym, kiedy odejdzie, pamiętał jej urodę i żebym nie musiał wstydzić się moich uczuć; sądziłem, że jej uroda mnie uratuje, jak gdybym bezustannie musiał przeżywać męczarnie, męczarnie tęsknoty za jej urodą, powiedziałbym dzisiaj, mrok męczarni, które należy ukryć przed niepowołanym wzrokiem, podobnie jak miłość, którą darzyłem Krystiana i którą, choć z innego powodu, też musiałem ukryć, a i tak czułem się upokorzony; upokarzała mnie, tak głęboko zapadły mi w pamięć jej szybkie ruchy, nieporadny uśmiech, niewinny smutek, szalony śmiech, jasny błysk zielonych oczu, nerwowo wibrujące mięśnie, tak bardzo się z nimi utożsamiałem, jak gdyby były moje, przypominały mi się w najbardziej nieoczekiwanych momentach, jej ciało niemal stało się moim ciałem, jak gdybym był nią, i w ten sposób jednym wyobrażonym gestem, uśmiechem, spojrzeniem potrafiła zniszczyć wszystko, co dla mnie ważne, albo potrafiła mi pomóc w czymś, czego sam nie potrafiłem załatwić, jej ciągła obecność miała dwa oblicza, raz dobrotliwe, a raz pełne zła, i nigdy nie było wiadomo, które i kiedy się ujawni, nie pozwalała mi zostać samemu, jak gdyby była moją podporą, moją tajemniczą muzą, jak gdybym istniał tylko jako jej cień; teraz znów się tu przechadza, pojawia się i znika, wzrusza ramionami, śmieje się, chytrze udając, że mnie nie obserwuje, choć przecież na mnie patrzy; cóż bowiem z tego, że tak bardzo mnie podniecała, a kiedy się pojawiała, jej widok pozbawiał mnie wszystkich głupich wątpliwości, skoro to nie tylko ja ją obserwowałem, nie tylko ja, i kiedy na nią patrzyłem, nie byłem w stanie, zdając się na własne uczucia, dobrze się jej przyjrzeć, czułem się rozerwany pomiędzy sobą samym a osądami, które w kwestii piękna wydawały mi się wiarygodne, bo przecież w tej kwestii kto mógł być większą niż on wyrocznią?

Wypatrywałem jej, kto inny miał jej wypatrywać?, i czekałem, lubiłem chwile, kiedy przychodziła, ja byłem tym, który od tamtego czasu nie ujrzał bardziej podniecającej twarzy i bardziej podniecającego ciała, czy mówiąc ściślej, od tamtego czasu, tak, od tamtej chwili w każdej podobającej mi się kobiecie szukałem tego samego, tego, co dostałem od niej w taki sposób, że niczego mi nie dała, ale to dzięki niej odczułem, jak bolesny jest brak, który później mimo woli starałem się czymś wypełnić; i jeśli dziś znam już to piękno, które bez wątplenia było pięknem, gdyż swoją doskonałość, nawet jeśli tylko na jedną jedyną chwilę, każdego dnia pokazywała mnie, tylko i wyłącznie mnie, a czymże innym jest piękno, jak nie pokazaniem tego, co ukrywamy przed samymi sobą!, i jeśli nawet mimo to nie mogłem uznać jej za ładną, to, choć być może zabrzmi to dziwnie, tylko dlatego, że wbrew wszelkim pozorom nawet przez chwilę nie mogłem być z nią sam na sam, tam w krzakach zawsze ktoś ze mną był, czułem, jak krępuje mi ramiona, bym nie mógł nimi swobodnie poruszać, jak na całym ciele dostaję gęsiej skórki, jak nie mam odwagi ulec swoim skłonnościom, może zresztą dobrze się stało, myślę teraz filozoficznie, że w tym wspólnie przeżywanym cierpieniu nauczyliśmy się, co wolno, a czego nie wolno, nie, to nie tylko on był tym, który mi podszeptował, bym zachowywał się powściągliwie, może to śmieszne, ale czułem zazdrość o Liwie, jaką czułby uwięziony w moim ciele Krystian, gdyby ją kochał, dziwnym jednak, bardzo dziwnym zbiegiem rzeczy poprzez moje ciało przyglądało się jej wielu z nas, nie tylko ja sam, który wtedy chciałem tę dziewczynę pokochać, ale także pozostali chłopcy, nawet jeśli wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy,

przeszkadzali mi, stojąc za mną, wpatrywali się w nią i nie wydawała się im ładna, nie uważali jej nawet za brzydką, bo żaden z nich nie zwracał na nią uwagi.

Ja byłem tym pierwszym i tym jedynym, a to musiało pozostawić w niej swój ślad.

Wiedziałem, że wstydzi się swojej brzydoty, wszystko mówiło o tym, jej postawa, skóra, nadmiernie czyste ubrania, ostrożność, wstydlivość, nieporadność, ale nie znaczyło to wcale, że brak jej siły, wręcz przeciwnie, siła stanowiła o jej pięknie, z wielką odwagą i najzupełniej poważnie dawała mi do zrozumienia, że musiała tu przyjść, mimo że uważa siebie za brzydką dziewczynę, najbrzydszą z możliwych, i dodajmy, że podczas gdy duma cechująca osoby żyjące w ubóstwie czyniła jej zależność od innych jeszcze bardziej oczywistą, a nawet śmieszna, ja z coraz większym zaciekawieniem i drżeniem myślałem o piwnicy, w której mieszkała.

Była mała, drobnej budowy ciała, zawsze chodziła z lekko opuszczoną głową, dlatego pewnie jej wielkie, brązowe, nieruchome oczy spoglądały jak gdyby z dołu, więcej, z samej głębi; ścięte na krótko włosy miała spięte dwiema białymi klamerkami, dwoma białymi motylkami, żeby nie opadały na czoło, wyglądała w takim uczesaniu jak nieporadna mała dziewczynka, ale mnie się podobała, z odsłoniętym ładnym, wypukłym czołem, i do tego wszystkiego ta troska, jaką otaczała ją rodzina, pilnując, by zawsze wyglądała schludnie, przywiązywali do tego wielką wagę, kiedyś ojciec siedzący na portierni posadził ją na kolanach i poślinioną chusteczką wytarł jej czoło, sam widziałem; ojciec Liwii był woźnym i zakrystianinem w pobliskiej parafii, chudy blondyn z małym wąsikiem i włosami skręconymi w loki, mieszkali w szkolnej suterynie; ktoś mi opowiadał, że jej matka, którą często widywałem, raz po raz wychodziła z ciemnego pomieszczenia obładowana garnkami i siatkami, dostawała w jakiejś kuchni resztki i przynosiła im je na obiad; podobno była Cyganką, błyszcząca, gładka, różowawo śniada skóra, tak brązowa, że w lecie ciemnieje najwyżej o jeden odcień, taka od urodzenia, choć zimą bledsza i ładniejsza.

Kiedy tamtego pamiętnego dnia wszystko się między nami zaczęło, śnieg już prawie całkiem stopniał, topniał powoli, zima była ciężka, to, co w ciągu dnia roztopiło słońce, zamarzało w chłodzie nocy, powoli jednak było widać, że śnieg topnieje, że to już wiosna, najpierw stopniały poduchy śniegu na dachach, potem na kominach, z gałęzi spadały złodowaciałe od wiatru kryształki, ale w nocy przy rynnach pojawiały się długie sople, za dnia skapywała z nich woda, od jej zimna pękał na ulicach śnieg, początkowo tylko wokół domów, można było odłamywać kawałki sopli i ssać jak smakowite zimno, gnijące w rynnie liście i drobinki rdzy powodowały, że kawałki lodu miały dziwny smak, lubiliśmy go, nocą śnieg ścinał się w cienki lodowy pancerz, dobrze było po nim chodzić, trzaskał pod naszymi nogami, a buty zostawiały ślady, aż wreszcie po kilku cieplejszych dniach wszystko zaczynało żyć, kapać, trzaskać, wysychać, zbijać się w grudy, trzeszczeć, płynąć, i odzywały się ptaki; to był właśnie taki wilgotny, mokry, łagodny dzień, niebo było czyste i błękitne, w południe na dużej przerwie całymi klasami musieliśmy zejść do sali gimnastycznej, trzeba było stać w milczeniu, patrzeć prosto przed siebie, nie poruszać się, nie kręcić głowami, i choć oczarowała nas widowiskowo pompatyczna żałoba, nie obracając głów, kącikami oczu widzieliśmy pełen spokoju błękit za szybami długich okien, w ciszy szeleszczącej naszymi ruchami, w sali była nawet zbudowana scena, teraz zasłonięta bordowymi kotarami, na tej scenie stało całe grono nauczycielskie, oczywiście tak samo jak my w bezruchu.

To była godzina, kiedy odbywał się pogrzeb Stalina, a jego zabalsamowane ciało przenoszono do mauzoleum z marmurowej sali, w której stał katafalk.

Wyobrażałem sobie, że musi to być jakaś gigantyczna i prawie całkowicie mroczna hala, tak wielka, że można byłoby nazwać ją raczej zadaszonym placem, tak, hala, dobrze było bawić się

tym słowem, a jednak nie jakaś tam zwyczajna hala, jak na przykład na dworcu, stały w niej marmurowe kolumny, niczym drzewa w lesie, jedna obok drugiej strzelały w górę, a tam w górze też było ciemno, pomieszczenie było tak wysokie, że nie dało się nawet zobaczyć kasetonowego sufitu; nie było słychać ludzkich kroków, nikomu nie wolno było tam wejść, nikt zresztą nie odważyłby się wejść i echem kroków zakłócić ciszę, tam, w przeciwległym końcu hali, on leży na katafalku, wyobrażam sobie prosty, czarny postument, coś na kształt łóżka, którego raczej można się tylko domyślać, niż je widzieć, bo przez wąskie drzwi nie docierało tyle słońca, by mogło oświetlić salę, jedynie w niektórych miejscach marmur błyszczał miękkim światłem, szarobrazowy marmur ze szlachetnymi żyłkami, błyszczący gładka jak lustro powierzchnia kolumn, błyszczący gładka podłoga, nie ma świec ani lamp, ten wyimaginowany obraz był tak silny i tak wyrazisty, że nawet jeszcze dziś mogę go przywołać bez szczególnego trudu, by uzupełnić o jakieś, może nawet ironiczne, treści; wtedy myślałem, że cały świat pograżył się w podobnym milczeniu, nawet zwierzęta wyczuły złowieszczą ciszę i zaskoczone umilkły, ta śmierć oznaczała dla mnie bowiem nie przemijanie, ale ostatni, najwyższy stopień, najdonośniejszy głos wielkiego święta, jęk szacunku, radości, tęsknoty i miłości, które nie mogły wcześniej odezwać się z taką siłą, ale teraz, w obliczu tej odbierającej dech śmierci!, nawet ćwierkot szczęśliwych wróbli uwijających się wokół rynien nie przeszkadzał mi wyobrażać sobie tego obrazu, krakały wrony, a potem ten straszny ogrom ciszy, próbowałem sobie wyobrazić, jak milczenie wszystkich ludzi i zwierząt gęstnieje w jedną wielką ciszę, próbowałem wyobrazić sobie jej rozmiar i w ogóle odnaleźć właściwą do jego określenia miarę, wiedzieliśmy bowiem, że o tej godzinie tam na zewnątrz nic nie ma prawa się poruszyć, że zatrzymano ruch, a samochody i tramwaje stoją w miejscu, podobnie jak pociągi na torach w szczerym polu, że z ulic zniknęli ludzie, a jeśli nawet ktoś został na chodniku, to musiał trwać w bezruchu w chwili, kiedy zawyły syreny, i tak samo jak rozmaite dźwięki składały się w całość, jak z oddali można było w hałasie miasta usłyszeć połączony ze sobą, ciągły gwar i szum, tak samo cisza też musiała składać się w podobną całość, aby później można było usłyszeć ją tam, w ciemnej marmurowej sali, by dotarła aż tutaj, abyśmy wiedzieli, że świat oniemiał, choć on już nie słyszy tej ciszy, i jak to jest, gdy ktoś nie słyszy nawet ciszy, jak to jest, że człowiek jest martwy; i w tym momencie moje doprowadzone niemal do doskonałości wyobrażenie stawało się mocno niejasne, wiedziałem bowiem, że on nie jest takim sobie zwyczajnym zmarłym, zmarłym człowiekiem jak każdy inny, kogo po prostu włożą do ziemi i jego ciało będzie poddane normalnemu rozkładowi, jego uświęci balsam i zatrzyma na zawsze, choć z drugiej strony to całe balsamowanie też wydawało mi się mroczną, przytłaczającą i niepojętą sprawą, o której lepiej byłoby nie myśleć, ale choć próbowałem odsunąć moje myśli od tego zakazanego tematu, to coraz bardziej mnie on frapował, bardziej niż sama śmierć, moje myśli ciągle krążyły wokół tajemniczego balsamowania, które należało być zawsze tylko największym z największych, egipskim faraonom?, kiedy mojego dziadka, którego z powodu milczącej natury uważałem za wszystkowiedzącego, w końcu zapytałem o balsamowanie, próbując jednocześnie uzyskać odpowiedź, dlaczego właśnie on i faraonowie, jaki związek istnieje pomiędzy jego wielkością a wielkością faraonów?, zadałem to pytanie z trochę nieczystym sumieniem, bo podejrzewałem, że odpowiedź będzie gorzka i pełna drwiny, dziadek o wszystkim się w ten sposób wypowiadał, dostałem odpowiedź, która nie tylko nie rozwiała moich wątpliwości co do moralnej strony tej techniki, ale jeszcze bardziej je wzmogła: „Och, to wspaniały wynalazek!”, zawołał dziadek ze śmiechem i jak zawsze, kiedy zaczynał o czymś mówić, zdjął okulary z nosa, „Tak się to robi, mój drogi, że wyjmuje się ze zwłok narządy wewnętrzne, które podlegają najszybszemu

rozkładowi, wątrobę, płuca, nerki, serce, jelita, żołądek, śledzionę, woreczek żółciowy, i co jeszcze?, no oczywiście!, i mózg z czaszki, jeśli w ogóle tam był, a przedtem wypompowuje się krew z żył, o ile jeszcze nie zdążyła zastygnąć, bo krew także szybko się rozkłada, i dopiero kiedy w środku nie ma już żadnych miękkich tkanek, i chyba wyjmują też gałki oczne!, i pozostały już tylko skóra, mięśnie i kości, moglibyśmy powiedzieć, że pozostała tylko larwa!, wtedy przygotowuje się ciało jakąś chemiczną substancją, nie pytaj, jaką, bo nie wiem, i dopiero wtedy wypychają ciało i dokładnie je zaszywają, tak jak twoja babcia zaszywa w niedzielę faszzerowanego kurczaka, i to wszystko!”, jak gdyby nie zastanowiło go, a nawet jeśli zastanowiło, to nie zainteresowało, dlaczego zadałem to pytanie, i kogo ono właściwie dotyczy, nie powiedział nic więcej, nic więcej mi nie powiedział, nie złagodził swojego krótkiego monologu ani jednym słowem, po prostu umilkł, uśmiech znikł z jego ust, znów był chłodny i rzeczowy, jak wtedy, kiedy w dniu śmierci szukałem w szafie jakiegoś czarnego materiału do przyozdobienia szkolnej gazetki tak, jak należy, i nie znalazłem nic więcej, tylko starą jedwabną koszulę babci, którą na ten cel pociąłem na paski, odprułem szeleczyki i koronki, wtedy widząc mnie, zauważył, że „pomysł byłby rewelacyjny, gdybyś, synku, zabrał jeszcze majtki!”, i wrócił do swojego pograżonego w milczeniu świata, w którym upływały jego dni, wsunął na nos okulary i odwrócił ode mnie wesoły wzrok, przed chwilą jeszcze pełen zaciekawienia.

To wszystko nie mieściło mi się w głowie, bo wydawało się po prostu jakimś tajemnym świętokradztwem, nie tylko sam fakt, że człowiekowi rozkrajają brzuch i wyjmują z niego narządy wewnętrzne, ale też to, jak o tym wszystkim mówił mój dziadek, z jaką swobodą i elegancją, o takiej diabelskiej nieprzyzwoitości!, bo skoro martwego ciała nie sposób inaczej utrzymać przy życiu, to przynajmniej o takim świństwie należałoby milczeć, jak gdyby nie było to prawdą, milczeć, jak gdyby nigdy nie padło na ten temat ani jedno słowo, tak jak milczeć trzeba o tym, i ja też muszę o tym milczeć, co powiedział Krystian, kiedy poinformowano nas o nagłej chorobie, ostrożnie i uparcie milczeć, jak gdyby nawet to było wielką przewiną i powodem do wstydu, że byłem przypadkowym świadkiem tych opowieści.

Rzeczywiście to był przypadek, całkowity przypadek, i jak gdybym miał prawdziwe powody, ucpełbym się tego słowa, przypadek, tak, to był przypadek, nie należy do tego wracać, tak jak trzeba zapomnieć o tym, że gdybym tamtego dnia nie był dyżurnym i nie musiał wyjść do łazienki zmoczyć gąbkę, albo gdybym poszedł tam kilka minut wcześniej czy kilka minut później, dlaczego poszedłem akurat wtedy?, to właśnie jest przypadek!, nie usłyszałbym, co mówił, powiedziałaby, ale ja nic bym o tym nie wiedział, przecież ludzie mówią tyle różnych rzeczy, a ja na szczęście nic o tym nie wiem!, skoro jednak tak się stało, że coś usłyszałem, mój mózg, jak gdyby chcąc przed tym uciec, od wielu dni z uporem powtarzał tę scenę, w nadziei, że będzie umiał ją zapomnieć, tak jak wszystko, ja tymczasem nie potrafiłem zapomnieć, nie umiałem znaleźć żadnego sposobu, co więcej!, mój mózg ciągle przypominał mi o ciążyącym na mnie obowiązku, bezwzględnym obowiązku, jak gdyby to wcale nie był przypadek, ale zamierzona z premedytacją zemsta!, a teraz mam okazję się zemścić, choć to też zasadzka, i zemsta daremna, bo co z tego, że się zemszczę, jeżeli w ten sposób zdemaskuję samego siebie, wyjawię, że kłamałem, podobnie jak nadaremnie od wielu miesięcy staram się nie być świadkiem niczego, co ma z nim jakikolwiek związek, po prostu traktuję go jak powietrze, albo gorzej, nawet jak powietrze, jak nic!, żeby raz na zawsze zniknął z mojego życia, jak gdybym go zabił.

To nie była tylko myśl, że mógłbym go zabić, zastanawiałem się nad tym, przymierzałem się, rozważałem każdy szczegół, planowałem w duchu, że ukradnę ojcu pistolet, kiedyś mnie

nauczył, jak trzeba go ładować, jak się z nim obchodzić, jeśli idzie o takie szczegóły zabójstwa, byłem pewien swoich umiejętności; ojciec trzymał pistolet w szufladzie biurka, raz w miesiącu czyścił go szmatką nasączoną benzyną, cienkie palce miał czarne od brudu, więc kiedy tłumacząc coś, spoglądał na mnie, tylko wierzchem dłoni mógł odgarniać opadające na oczy kosmyki włosów; zimne niebieskie oczy, proste zasady posługiwania się pistoletem, przenikliwa woń benzyny tamtego niedzielnego popołudnia torowały drogę mojemu zasługującemu na trzeźwą rozagę gniewowi, musiałem tylko wymyśleć, jak zatrzeć ślady, a teraz ten głupi przypadek, który próbowałem wyrzucić z pamięci, a i tak nie potrafiłem o nim zapomnieć, przekreślił wszystkie moje plany, zdemaskował fantazje o zabójstwie; nie, byłem zbyt słaby i zbyt tchórzliwy, bym mógł go zabić, skoro nie mam nawet tyle odwagi, by go zadenuncjować, kiedy tak łatwo wpadł w moje sidła, choć pojawiła się taka możliwość, ale kiedy tylko się pojawiła, musiałem ją natychmiast unicestwić, wiedziałem bowiem, że nie potrafiłbym spojrzeć w lustro, bo czułbym się tylko ohydny małym szpiclem.

Zresztą i tak czułem się szpiclem, a przecież niczego nie zrobiłem, powtarzam, nawet nie miałem odwagi myśleć o tym, że mógłbym coś takiego zrobić, tak bardzo nie miałem odwagi, że nawet matce o niczym nie powiedziałem, choć naprawdę miałem ochotę, ale się bałem, zwłaszcza tego, co zrobić w kłopotliwej sytuacji, kiedy poradzi mi coś, czego za nic na świecie nie będę chciał zrobić, więc milczałem, ale matka coś wyczuła i zapytała, czy nic mi nie jest, wtedy zaprzeczyłem, nic mi nie jest, z drugiej strony miałem pewne obawy, że jeżeli coś powiem, wmieszam we wszystko dziadka, te dwie sprawy dla mnie pozostawały ze sobą w ścisłym związku, bo gdyby dziadek nie przygotował, że tak się wyrażę, gruntu, może wtedy spostrzeżenie Krystiana nie wywarłoby na mnie aż takiego wrażenia; teraz jednak, kiedy wiem, że oni między sobą, oni, moi przyjaciele!, rozmawiają o sprawach, o jakich ze mną nigdy nie mówili, co oznacza, że istnieje krąg tematów dla mnie niedostępnych, i że do tego kręgu, w który niechcący i przez przypadek wtargnąłem, należy także mój dziadek, wiem o wszystkim i nie potrafię tak po prostu zapomnieć, już chociażby z powodu dręczącej mnie coraz większej zazdrości, i w ten oto sposób nic więcej jak tylko ta niechciana wiedza, osąd, którego nie byłem w stanie zaakceptować, spowodowały, że stałem się szpiclem czyjejs sekretnej wiedzy.

Im zaś mogło się wydawać, że ich obserwowałem, kiedy szli do łazienki porozmawiać, a ja celowo czekałem na odpowiednią chwilę i w dobrym momencie otworzyłem drzwi; oczywiście Krystiana zobaczyłem jako pierwszego, stał w rozkroku przed pokrytą smołą ścianą, nawet podczas siusiania miał piękną postawę!, jedną dłoń opierał na biodrze lekko odwróconą, a drugą trzymał ptaka, nie tak jednak jak dzieci, które naśladują czuły chwyt matek pomagających w siusianiu i robią tak niemal do dorosłości, trzymając w dwóch palcach, nieporadnie, tak że nie mogą nawet porządnie wytrząsnąć ostatnich kropli, i kilka z nich zawsze zostaje na palcach i na spodniach; nie, on trzymał już jak dorosły, ustawiając dłoń odwrotnie, przytrzymując kciukiem i czterema palcami, na luzie, podnosząc mały palec, żeby nie dotknął go strumień moczu, tak jak pali się papierosa na wietrze, chowając go w dłoni, co można było poczytać z jednej strony za przejaw dobrze pojętego wstydu, gdyby tylko bezwstydnie nie wypinał do przodu bioder, i gdyby rozkrok, w którym stał, nie był odrobinę większy od koniecznego, jak gdyby tą swoją postawą chciał dać do zrozumienia, tylko komu?, samemu sobie czy nam?, że nawet ta czynność sprawia mu przyjemność; siusiał beczelnie i bezwstydnie, a inni zaczęli go w tym naśladować, nie tylko chłopcy z najbliższego kręgu przyjaciół, ale wszyscy w klasie, ja także, choć ta dla niego tak naturalna rozkosz, którą czuł, nie była chyba dostępna dla pozostałych; i kiedy, trzymając w rękę wyschniętą, brudną od kredy gąbkę, zobaczyłem go w tej pozie, jeszcze bardziej



odpychającej, bo rozmawiał z tak samo jak on siusiającym Szmoditsem, tak żeby czekający zaraz za jego plecami Prém i oparty o framugę, pałacy papierosa Kálmán Csúdzi też dobrze słyszeli, co mówi, miałem ochotę wycofać się na korytarz, ale nie znajdowałem żadnego pretekstu, zwłaszcza że Kálmán Csúdzi natychmiast mnie dostrzegł, więc jednak wszedłem, a on, który nie słyszał albo nie chciał słyszeć skrzypu otwieranych drzwi, natychmiast dokończył rozpoczęte zdanie: „wreszcie i ten parszywy gnój kiedyś zdechnie!”, powiedział w momencie, kiedy po chwili wahania zamknąłem za sobą drzwi.

Prém, tęgi, ciemnoskóry chłopak, chodził za nim niczym ulubiony dworzanin, jak gdyby łagodnymi, wszystko rozumiejącymi, pełnymi wybaczenia, mądrymi piwnymi oczyma bezustannie śledził, w czym może być mu pomocny, i choć był zawsze bardzo miły oraz gotów do pomocy, tak jemu, jak i mnie czy wszystkim pozostałym, czułem do niego głęboką i nieustępującą wrogość, wrogość graniczącą z odrazą, co wcale nie wydaje się dziwne, bo robił to wszystko, do czego ja nie miałem odwagi albo wystarczających umiejętności, albo chęci do takich igraszek, łączył ich jakiś niemożliwy do nazwania związek, którego tak bardzo pragnąłem, jak gdyby byli braćmi, bliźniakami, w których relacji też jest pewna doza obojętności, bo ich związek wynikał z praw natury i nie było w tym żadnej ich zasługi, jednocześnie zaś, jak gdyby byli trochę w sobie zakochani, ich twarze, jakkolwiek daleko się od siebie znajdowały, zawsze pozostawały w pewnej relacji, były dwiema zupełnie różnymi twarzami, ale jedna zawsze wyczuwała tę drugą, z pełną wzajemnością, choć Prém na oczach wszystkich był jego sługą, on był mniejszy, a mniejszy zawsze jest sługą większego, tak samo teraz, z pełnymi ustami, roześmiał się natychmiast, jak gdyby Krystian opowiedział właśnie najzabawniejszy w świecie kawał, podczas gdy wygłoszone z zadumą zdanie miało całkiem ponurą treść, nie zdziwiło mnie nawet, że Krystian skomentuje ten zbyt gwałtowny śmiech, co już nie raz czynił, wiedząc, że nadmierne oddanie w dziwny sposób nie daje mu więcej władzy, lecz mu ją odbiera, więc winno być ukarane; a najbardziej nienawidziłem jego ust, oczu i ust!, w lekko wyłupiastych, wielkich, ukrytych pod czarnymi, gęstymi rzęsami oczach kryła się złudna pokora, ale usta były surowe, dzikie, ciemnoczerwona dolna warga lekko wysuwała się do przodu, może nawet nie były brzydkie, ale w porównaniu do malutkiej twarzy przesadne i nienaturalne, i jak gdyby sam miał świadomość nadmiernego rozmiaru własnych ust, ale też urody, której nie można było mu odmówić, gdy się odzywał, koniuszkiem języka z rozkoszą lizał wargi, a mówił w sposób wyjątkowy, cicho, z bliska, nigdy nie patrząc słuchaczowi w oczy, raczej nachylony do jego ucha, chyba dlatego, że nie wymawiał słów, ale je wyszeptywał, szeptał do ucha swój mały monolog.

Krystiana prawdopodobnie bawiły nie tyle jego szalone monologi, ile zaskoczenie i niepewność, które wywoływał swoimi wybrykami; pilnował Préma z niemal ojcowską miłością, a ten wybierał swoje ofiary wedle trudnych do rozpoznania zasad, szusował niepostrzeżenie, kręcił się po korytarzu albo pomiędzy ławkami, aż nagle niespodziewanie stawał przed któryms z nich, przymilnie nachylał mu się do ucha i kilkanaście zdankami wywoływał natychmiastową reakcję, zaciekawienie lub gniew, sam wcale nie przejmując się wywartym wrażeniem, to była sprawa Krystiana, który obserwował ich z daleka, a on tylko patrzył tymi swoimi łagodnymi oczyma: „Mój ty kochany dupku! Słyszałeś chyba, że nilaszowcy znów wyskoczyli ze swojej dziury? Radio mówi o tym od rana do wieczora! Dziwne, nie? Z dziury?”, i nagle umilkł, „Z jakiej dziury?”, padało szybkie pytanie, „No, na szczury!”, wyszeptał tak samo miękko i niepostrzeżenie, i tak samo jak przyszedł, stanął w miejscu; Kálmán Csúdzi, mrugając od dymu zwisającego mu z ust rosyjskiego papierosa z fifką, spojrzął na mnie jak na obcy, wzbudzający

lekkie obrzydzenie przedmiot, surowo, gotów kontrolować każdy mój gest, w jego błyszczącej, białej, miękkiej, tłustej twarzy błyszczały małe, chytne, niebieskie oczka z jasnoblond rzęsami, ręce trzymał w kieszeniach, przyszedł tu tylko na papierosa, i trochę pobyc z wszystkimi, papieros przechodził z rąk do rąk, wiedziałem, że zawsze palą wspólnie, surowym, pełnym skupienia wzrokiem pilnował pozostałych, jego dający poczucie bezpieczeństwa wzrok z wielką siłą podkreślał, że tworzą grupę, jak gdyby mówiąc jednocześnie, że to, co powiedział Krystian, mógłby powiedzieć każdy z nich, że są całkowicie zgodni, i kiedy drzwi zamknęły się z trzaskiem, Szmodits i Prém zerknęli na mnie, a Krystian, nie poruszając się z miejsca, spojrzał mi w oczy, wiedziałem, że tutaj coś się musi wydarzyć.

Zdanie wybrzmiało i nikt nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości, kogo dotyczy, a ich śmiech upewnił mnie w tym, że już niczego nie można cofnąć.

Gdyby Krystian nie patrzył mi tak w oczy, gdyby nie stał wtedy w takiej nie do powtórzenia bezwstydnym pozycji, pewnie zachowałbym się tak, jak gdybym niczego nie widział i niczego nie słyszał, i broniąc się przed nimi, bez słowa zmoczył przy kranie gąbkę, i nawet na nich nie zerkając, wyszedł z łazienki, ale to jego czyste spojrzenie, wyzywająca niewinność okazały się uczuciowym gwałtem, któremu natychmiast musiałem się sprzeciwić, choć wcale tego nie chciałem, ale mój honor tego wymagał, mój honor, który przemawiał przeze mnie zupełnie niezależnie od mojej woli i zamiarów: „Co takiego powiedziałeś?”, zapytałem cicho, patrząc mu prosto w oczy, tak zaskakująco cicho, że chyba się przestraszył, i wtedy głośniej, schrypniętym basem dodałem, teraz już słysząc własny głos: „Kto taki musi zdechnąć?”.

Nie odpowiedział, zapadła głęboka cisza i w tej ciszy jak gdybym go zwyciężył, podszedłem bliżej, moje oczy trzymały jego oczy w szachu, i wtedy wydarzyło się coś takiego, co powinienem był z góry przewidzieć, gdybym w pewnym momencie nie stracił pewności siebie, nagle pomiędzy nami pojawił się Prém, rzec można: wsunął pomiędzy nas swój najbardziej czarujący uśmiech, i kiedy ciągle jeszcze patrzyłem w oczy Krystiana, dostrzegłem w nich wściekłość, lubieżnie oblizywał językiem usta, słyszałem jego głos i szept: „Mój ty szpicelku, a wiesz, jakiego chuja ma koń? Dokładnie takiego samego jak Csúdzi”, a wtedy Kálmán Csúdzi odepchnął się od framugi i wrzasnął mocnym, zachrypniętym głosem: „Dostaniesz na obiad chuja Préma!”, zgodnie z niepisanymi zasadami powinni byli się roześmiać, by choć trochę złagodzić swój występ, ale się nie roześmieli.

Zapadła jeszcze większa, jeszcze głębsza cisza, jak gdyby czał się w niej ich wspólny strach, udaremniający każdy zręczny wybieg i niszczący ich przewagę, z jednej strony w pewnym sensie zapewniając, z drugiej podając w wątpliwość moją przewagę, i w tej ciszy odezwał się on, odwrócony do ściany, by dopiąć spodnie: „A może by tak trochę delikatniej!”, rzucił, co ich chyba jeszcze bardziej zaskoczyło niż mnie, a cisza stała się złowroga.

Ja tymczasem, nie bardzo wiedząc, co mam ze sobą zrobić, nagle ścisnąłem w dłoni gąbkę, tylko to mogło mi pomóc, podejść z gąbką do kranu i ją zmoczyć, to było moje zadanie, przecież właśnie po to tu przyszedłem.

Ale kiedy się odwróciłem, nie umiałem ich tak po prostu przekonać, że właśnie po to tu przyszedłem, po to i w żadnym innym celu, stali w miejscu wszyscy czterej i przyglądali mi się w bezruchu.

Muszę stąd wyjść i wszystko jakoś się wyjaśni.

Bardzo wiele czasu musiało upłynąć, nim byłem w stanie dojść do drzwi, otworzyłem je, lecz zanim zdążyłem za sobą zamknąć, Szmodits warknął tylko beznamietnie: „Uważaj, żeby ktoś nie sprzął ci pyska!”, a ja się na niego za to nie pogniewałem ani się nie przestraszyłem,

wiedziałem, że musiał mi to powiedzieć.

Oczywiście nie twierdzą, że kiedy tam staliśmy, w sali gimnastycznej, w milczeniu i niemal całkowitym bezruchu, przypominało mi się to wszystko z taką dokładnością, mimo to właśnie o tym rozmyślałem, i choć ciągle coś mnie rozpraszało, na przykład wyobrażanie sobie, jak wygląda katafalk, niewygoda stania w jednym miejscu, wiosna, którą czułem w błękicie zimowego nieba za wielkimi, gęsto okratowanymi oknami, ciało zmarłego, któremu jednym pociągnięciem noża otwierają brzuch i klatkę piersiową, by wyjąć narządy, a potem wypchać, ale czym wypchać?, słomą chyba nie można!, odsłonięte serce, miękkie płuca, fioletowe nerki wśród jelit leżących na sekcyjnym stole, i choć myślenie o nich budziło we mnie pewną niechęć, sprawiało mi też przyjemność, myślenie o tym, o czym myśleć nie wolno i o czym wcale nie chciałem myśleć, dawało mi jakąś mroczną satysfakcję, pogwałcenie reguł żałoby jeszcze mocniej odwracało moją uwagę od strachu, który we mnie budzili, jeszcze mocniej niż cokolwiek innego; pogrożki jednak osiągnęły swój cel, i kiedy już niemal myślałem, że tak po prostu o wszystkim zapomnę, nagle przypominał mi się jakiś pozornie nieistotny szczegół, na przykład pomalowana na zielono ściana łazienki, dym z papierosa, który ponownie wywołał we mnie strach, a kiedy człowiek boi się i czegoś obawia, próbuje odnaleźć konkretny powód swojego strachu, ja zaś bałem się, że gdzieś mnie dopadną i pobiją, bałem się bicia, przemocy i porażki, choć przecież już mnie zawstydzili i pokonali; od wielu dni zastanawiałem się nad sposobami obrony, Prém stał w rzędzie przede mną, Kálmán Csúdzi tuż za moimi plecami, z prawej strony, czułem też obecność pozostałych dwojga, stali z tyłu, jeden obok drugiego, czułem się osaczony, teraz oni też nie mogli ruszyć się z miejsca, więc nie byłem zdany na ich łaskę i niełaskę, ten przymusowy bezruch w jakimś sensie mnie chronił, a w każdym razie odsuwał zagrożenie w czasie, ja jednak nie mogłem oderwać wzroku od szyi Préma, jak gdybym się bał, że nagle się odwróci i niespodziewanie strzeli mi w pysk, dając pozostałym znak do ataku.

Już choćby dlatego nie mogłem zapomnieć tej chwili, chwili, w której poczułem, że ktoś na mnie patrzy; strach uczynił ją trudną do zapomnienia.

Właściwie nie wiem dokładnie, jak to się stało, bo uczucie, że ktoś nas obserwuje, należy do tych najtrudniejszych do opisanego, ktoś o nas mówi albo tylko o nas myśli, choć nie wyraża tego głośno, a jednak przyciąga naszą uwagę, i dopiero później uświadamiamy sobie, dlaczego na niego patrzyliśmy, i choć coś wyczuliśmy, to nadal jednak pozostaje pytaniem, dlaczego to wtedy czuliśmy?, jak gdyby nasze zmysły pracowały w dużo bardziej naturalny i perfekcyjny sposób niż nasza świadomość, czy mówiąc ściślej, nasza świadomość potrafiła przetworzyć tylko taki materiał i taką energię, rzecz jasna zawsze z pewnym opóźnieniem, powodując tym samym wieczny brak równowagi i wieczną niepewność, podsuwane świadomości przez zmysły, tak więc nadal zadawałem sobie pytanie, co to za siła, energia albo materia, które przekraczając prawdziwe odległości pomiędzy osobami, potrafią powiadomić nasze zmysły o zamiarach innych, jakiego rodzaju sygnały jesteśmy w stanie odbierać czy wysyłać, choć na poziomie świadomości takich zamiarów nie mamy, i pozornie nie robimy niczego innego, jak tylko przyglądamy się temu drugiemu, myślimy o nim albo rzucamy od niechcenia jakiś cichy komentarz, a powietrze gęstnieje, atmosfera nie jest już neutralna, zapełnia się treściami, wrogami i przyjaciółmi, i choć nie musimy świadomie nad niczym się zastanawiać, to nagle dostajemy całą masę skomplikowanych informacji; nie sadzę nawet, by chciała w ten sposób zwrócić na siebie uwagę, taki czy podobny gest z wielu przyczyn był trudny do wyobrażenia, jej wzrok niczego nie wyrażał, tak samo jak mój, kiedy się do niej odwróciłem, patrzyły na siebie dwie pary niczego niewyrażających oczu, nagie, bezbronne i nieukrywanie zachłanne, teraz

jednak musieliśmy zważać na każdy gest, nauczyciele stali na scenie, ze względu na tę wyjątkową żalobę oni też stali w bezruchu i nie strofowali nas tak jak zawsze, nie wrzeszczeli na przykład: „Ty, tam z tyłu, stój spokojnie!” albo „Jak się, synku, nie uspokoisz, tak cię stąd wyrzucę, że pojedziesz na własnych smarkach!”, zamiast zwracać uwagę, tylko na nas spoglądali, co oczywiście powodowało, że cisza stawała się cięższa i bardziej złowroga, niż gdyby po prostu ordynarnie na nas wrzeszczeli; jednym jedynym zmarszczeniem brwi czy ledwie zauważalnymi ruchami głowy dawali nam do zrozumienia, że nasze złe zachowanie, zbyt głośne pomruki czy głośny śmiech nie pozostaną bez konsekwencji i oczywiście zostaną odnotowane; ona zaś należała do tych, którzy żyli sobie, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, niczego takiego nie robiła, by zostać zauważoną, była za bardzo tchórzliwa, zastraszona, a zwłaszcza zbyt wstydliva, by zdecydować się na jakiegokolwiek ryzyko czy wyłamać się z szeregu, wydawało się więc niemożliwe do wyobrażenia, żeby stroiła sobie ze mnie żarty czy z nudów tak się zabawiała, po prostu nie rozumiałem jej spojrzenia.

Jej spojrzenie, o ile w ogóle miałem czas się nad tym zastanowić, dlatego zwróciło moją uwagę, że nie wynikało z jakichś dziecinnych uczuć, a wystarczającym dowodem może tu być, że na widok mojego pytającego wzroku na jej twarzy nie pojawił się obronny, usprawiedliwiający uśmiech, ta twarz zastygła w bezruchu, nie było w niej nieszczerzej powagi, rzęsy nawet nie drgały, niczego nie udawała, po prostu była poważna; „I czego ta dziewczucha tak głupio się na mnie patrzy?”, zapytałem w duchu i zapewne o to pytało moje spojrzenie, i natychmiast przypomniał mi się wierszyk, który w takich niewyraźnych sytuacjach deklamowaliśmy z radością, dając tym umówiony znak, że niczego się nie boimy: „Co się gapisz, co się gapisz, jak się zesram, głowę stracisz!”, ale i na to nic nie odpowiedziała, nic nie zmieniło się w wyrazie jej twarzy, a przecież musiała dostrzec mój uśmiech, który zdradzał, co myślę, i wtedy niemal głośno się roześmiałem; a jednak powinien był dostrzec zmianę na jej twarzy, nawet się do tego nie przyznając, bo już nie potrafiłem odwrócić głowy, spowaźniałem, jak gdybym z tafli poprzedniego strachu i obawy, a potem śliskiej powierzchni przesadnego uśmiechu nagle musiał spaść w miękkiej bezkres szarej wody, gdzie nie ma już nic znajomego, wszystko jest obce, a jednak znane, tak jak tamto najjaśniejsze ze wszystkich możliwych spojrzenie, to wyjątkowe spojrzenie, które nie zmierza do osiągnięcia jakiegokolwiek efektu, i poprzez to wywiera największe wrażenie, gdyż nie ma w nim zwyczajowej celowości, niczego nie pragnie osiągnąć, odsunąć albo przekazać, po prostu używa oczu do tego, do czego w naturalny sposób są przeznaczone, do patrzenia i widzenia, redukując je do ich biologicznej funkcji, neutralnego w swej treści odbierania wizualnych wrażeń, i to właśnie było takie niezwykle, a jednak tak bardzo znane i tak bardzo podobne do tego, czego tak mocno i tak nieosiągalnie pragnąłem w związku z Krystianem, on bowiem zawsze potrafił znaleźć jakiś wykręt; mimo to musiałem coś podejrzewać, już choćby dlatego, że otwarte spojrzenie osoby, która w naturalny sposób kogoś posiada, niewiele różni się od tego rodzaju spojrzeń, kiedy zaglądając w czyjeś wnętrze, nie zauważamy, że patrzymy na kogoś, a ponieważ jego wnętrze wydaje się nam ważniejsze, czy nie potrafią zdecydować, czy mają skupić uwagę na wewnętrznym przedmiocie, czy na wyglądzie zewnętrznym, i w taki oto sposób temu, o kim myślimy, że nas obserwuje, niechcący ukazujemy swoją martwą twarz; ale nie!, na tamtej twarzy nie można było dostrzec ani odrobiny tępego skupienia na ludzkim wnętrzu, była delikatna i niedostępna, patrzyła jak zwierzę!, i tu nie ma żadnej pomyłki, to mnie obserwowała, patrzyła na mnie i na nikogo więcej.

Widziałem ją ponad ramionami i głowami, należała do najmniejszych dzieci, stała w pierwszym rzędzie, ja byłem trochę większy i stałem w trzecim, odległość pomiędzy nami była

więc znaczna, w sali gimnastycznej chłopcy i dziewczęta stali oddzielnie, jej wzrok musiał więc pokonać nie tylko tę ziemię niczyją, która zgodnie z zasadami panującymi w szkole oddzielała od siebie dwie płcie, i gdzie przy innych okazjach w drażniącym uszy huku bębnów powoli i uroczyście wnoszono obszyty frędzlą sztandar drużyny pionierskiej, musiała lekko obracać głowę, ale stała bardzo blisko, tuż przede mną, nie wiem, ile upłynęło czasu, aż pozbyłem się wszelkich wątpliwości, widziałem z bliska białka jej oczu błyszczące w bladej zimną śniadej twarzy, chorobliwie ciemne podkówki cieni pod oczyma, tak wyraźnie prześwitujące przez skórę, że z brązowej stawała się niebieska, małe usta pod wąskim noskiem, wyzywająco wypukłe wzgórki górnej wargi, no i czoło, które później tak gorąco pokochałem, w lecie jego czysty brąz, zimną widoczne plamy tworzące wokół kości jasną linię, przez którą miękkie muszle skroni wydawały się jeszcze bardziej zacienione, a włosy spięte do tyłu białymi klamerkami jeszcze ciemniejsze; miała bujne włosy, gęste i mocne, wyraziste brwi tworzące ładny łuk nad oczami, z których każde było aż do śmieszności inne; taka była ta dziewczyna, przynajmniej taka mi się wtedy wydawała, to właśnie w niej dostrzegałem, no i jeszcze szyję wyrastającą z rozpiętego kołnierzyka białej bluzki, z chłopięcą niemal siłą napiętą w chwili, gdy ostrożnie opuszczała i obracała głowę; na jej ciało zwróciłem uwagę o wiele później, teraz ważniejsze były oczy, albo raczej ich najbliższe otoczenie, czyli twarz, ale szybko i to się zmieniło, ustępując miejsca dziwnemu uczuciu ciepła, uczuciu, stanowi, pewności, że ona czuje to samo, poczuciu, że czujemy to samo, nie wypowiadając wprawdzie niczego na głos, stanowi, w którym nie ma myśli i nie ma ciała ani spojrzeń, że wszystko rozmywa się w swoich konturach, a to, co pojawia się w ich miejscu, o tym już nie wolno nam mówić.

Jej oczy były w moich oczach, moja twarz wciskała się w jej twarz, moja szyja dokładnie wyczuwała niebezpieczeństwo, ryzyko, jakie niosło ze sobą obrócenie się w tył, czyli odwrócenie się do mnie, zamykające się i otwierające rzęsy oraz powieki nie przeszkadzały nam bezustannie interesować się sobą, jak gdybyśmy ani razu nie zamknęli oczu, a czas, kiedy na siebie patrzymy, się zatrzymał.

Spoglądaliśmy na siebie spod oka, pomyślałem, że i dziś, przywołując wspomnienia, uważam to za jeden z najbardziej zabawnych pomysłów, jako że wobec dialogu oczu i twarzy każdy wewnętrzny dialog wydawał się śmieszną samoobroną, kłamstwem, a w najlepszym wypadku pomyłką, bo ma się rozumieć, nie patrzyliśmy na siebie spod oka.

Nie dziwny się zatem, kiedy silne uczucia domagają się od nas ich natychmiastowego wyrażenia, przecież to, co zwykliśmy nazywać naszą osobowością, to nic innego jak fabryka, w której pracują nasze nawyki, a człowiek najbardziej zmuszony jest do samoobrony w takich chwilach, kiedy oddając się drugiemu, traci swoje przyzwyczajenia.

Choć trudno to zrozumieć.

Nie rozumiałem, co się dzieje, co się stało i co niebawem się ze mną stanie, a to, co się stało, i to, co się teraz dzieje, i dokąd to niepohamowane, choć w gruncie rzeczy całkowicie niczym nieuzasadnione szczęście, komfort, z jakim dzięki tym spojrzeniom potrafiłmy oddać się wzajemnie swoim uczuciom, nas zaprowadzi?, i znów zacząłem się bać, teraz już jej, albo może tego, że Prém nagle szybko się odwróci, teraz, kiedy wreszcie odnalazłem przy niej swoje szczęście, i jeśli na jej oczach strzelił mi w pysk, to będę zmuszony oddać, czego ze względu na konsekwencje lepiej byłoby uniknąć; nie rozumiałem także, dlaczego właśnie teraz i dlaczego właśnie tutaj, skoro na coś takiego czy na coś podobnego miałem naprawdę niejedną okazję gdzie indziej i kiedy indziej; bo przecież to nie jakiś tajemniczy cud spowodował, że jej twarz znalazła się tak blisko mnie, przesadą wprowadzającą w błąd byłoby twierdzić, że to siła uczuć

tak skróciła istniejący pomiędzy nami dystans, nie, zbyt dobrze ją znałem, by w takiej odległości, ukryta pomiędzy ramionami i głowami, mogła znaleźć się blisko, nie widziałem jej wtedy po raz pierwszy, ale w tamtej chwili rzeczywiście wydawała mi się obcą osobą, tak jak kiedy z wielkiego tłumu wybieramy kogoś dla siebie, bo w jakiś niezrozumiały sposób wydaje się nam przyjacielem, kimś znajomym, jak gdybyśmy tę osobę już kiedyś widzieli bądź z nią rozmawiali; znałem więc jej twarz, jej ciało, ruchy, dobrze je wszystkie znałem, tylko dotychczas nie zauważałem, i nagle w jakiś sposób stała się dla mnie ważna, i sam nie wiem dlaczego, dotychczas nie zwróciłem na nią uwagi; a przecież musiałem ją zauważyć, od sześciu lat chodziliśmy do równoległych klas w tej samej szkole, a moje zmysły beznamietnie, wolne od jakichkolwiek uczuć, odczytywały cechy jej twarzy, i jeśli dobrze się zastanowię, to nie umiała ukryć przede mną nawet największych namiętności swojej wstydlivej i cichej natury, przez tak długi czas i przebywając tak blisko siebie, musieliśmy często i blisko kontaktować się ze sobą, i nie ulega wątpliwości, że tak było, bo przyjaźniły się z nią obydwie dziewczyny, Hédi Szán i Maja Prihoda, z którymi łączyły mnie szczególne i tylko dla mnie typowe relacje, wątpliwe, wieloznaczne i naprawdę gorące, których jednak nie dałoby się nazwać miłością, bo były czymś mniej, ani przyjaźnią, bo to było coś więcej, a ona była najbliższą przyjaciółką jednej i drugiej, wybranką, cichym cieniem ich urody, pośredniczką pomiędzy dwiema konkurentkami, w gorszych chwilach komorną, służącą, czego z wrodzonym poczuciem sprawiedliwości i dumą mądrości nigdy nie miała za złe, zachowując obojętność jako służąca, tak samo jak wtedy, kiedy niby były we mnie do szaleństwa zakochane, wszystkie naraz, niczym równoprawne partnerki.

I tamtego letniego popołudnia, kiedy wyszła na drogę z leśnej ścieżki i usłyszałem skrzyp kroków jej stóp ubranych w czerwone sandały, a potem w dusznej, wibrującej ciszy rozejrzała się w milczeniu i dopiero spojrzała mi w oczy, a ja, tak jak każdego popołudnia, stałem na moim miejscu w krzakach obok parkanu, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewam, przestraszony, choć nadal nie wiem czym, jak gdyby coś miało się wydarzyć, jak gdyby coś właśnie teraz miało się stać, ale nie wiem co, bo moje fantazje, kiedy już się przede mną pojawiały, choć całkiem niewinne, nigdy nie były możliwe do zrealizowania; przełknąłem ostatni kęs chleba ze smalcem, jedną ręką przytrzymałem się ogrodzenia, drugą oparłem na biodrze, chciałem rozetrzeć na rękę tłuszcz, którym ubrudziłem dłoń, wtedy właśnie spotkał się nasz szukający siebie wzrok, i nie mogliśmy już oderwać go od siebie, patrzyliśmy na siebie w milczeniu i w bezruchu, tak jak tam, w sali gimnastycznej, gdzie nawet nie wiedzieliśmy, że coś nas przed sobą chroni, odległość i obecność innych, a teraz byliśmy słabi, bezbronni, wystawieni na swoje głębokie cierpienie; z drugiej jednak strony nasza sytuacja była w niezrozumiały sposób przypadkowa, jak gdyby nasze spojrzenia, twarze i ruchy zawsze mogły być tak blisko siebie, a przecież od tamtego czasu ani razu się tak nie zdarzyło, choć cały czas patrzyliśmy na siebie, szukaliśmy okazji, by przyglądać się sobie z bliska i z daleka, ostrożnie, ukradkiem i potajemnie, w sekrecie, a kiedy pojawiała się okazja, świadomie ją psuliśmy, uciekaliśmy przed nią, odwracaliśmy się od siebie, patrzyliśmy w bok, żeby znów na siebie spojrzeć i przekonać się, czy to drugie też tego samego pragnie i tak samo cierpi; raz na przykład uciekła ode mnie, odwróciła się w biegu, potknęła i przewróciła, ale szybko wstała i pobiegła dalej, uciekając, była taka zwinna i sprawna, że nawet nie chciało mi się z niej śmiać; a teraz znów jest południe i znów jest ze mną, choć od tamtego czasu bardzo wiele się zmieniło, już choćby dlatego, że naszego związku, mimo że nikomu o nim nie mówiliśmy, oczywiście nie udało się utrzymać w tajemnicy, wszystko się wydało, i kilka tygodni później już wszyscy mówili o tym, że Liwia Süli jest we mnie zakochana.

Nie trzeba było wiele, by sprawa się wydała, zdemaskowaliśmy się już wtedy, tam, w sali

gimnastycznej, kiedy Liwia lekko się ode mnie odwróciła, jej wzrok był jeszcze blisko, ale widziałem, że już na mnie nie patrzy, to ona położyła kres chwili, o której nie wiem nawet, kiedy się zaczęła; najpierw zerknęła w bok, jak gdyby to wszystko było tylko pomyłką, a ona zamierzała patrzeć nie na mnie, ale na Préma, w sposobie, w jaki się ode mnie odwróciła, tak czy siak, było coś zalotnego, a potem poważnie, powoli odwróciła głowę, ale choć zrobiła to bardzo subtelnie, zdradziła się, że pragnie uzyskać zaplanowany efekt!, że stoi tu spokojnie, wypełniając swój obowiązek, tak żeby jej zachowanie odpowiadało oczekiwaniom nauczycieli podczas tej przebiegającej w milczeniu uroczystości, jak gdyby to był tylko przypadek albo pomyłka, podczas gdy odwracając się ode mnie, jeszcze bardziej podkreśliła wrażenie, jakie przed chwilą na mnie wywarła!, cóż jednak mogłem zrobić, też się odwróciłem, i w pewnym sensie było mi z tego powodu bardzo wstyd, czułem, że też powinienem na nią spojrzeć, czułem, jak gdyby ktoś odebrał mi coś ważnego, o czym dotychczas nawet nie wiedziałem, że jest ważne, a właściwie jak gdyby ważne było nie to, co dostałem, ale fakt, że można mi to odebrać, a każda minuta spędzona bez jej spojrzenia była czasem zmarnowanym, pustym i niemożliwym do zniesienia, czasem, w którym nie istnieję, po prostu pozostały ze mną jej oczy, zwłaszcza oczy, ale też usta i czoło, musiałem widzieć, że jest ze mną, i fantazje czy marzenia nie potrafiły jej zastąpić; bez jej widoku wszystko wydawało mi się nieprzyjemne, przytłaczające, oddalające się w niepewny mrok, a jednak nie patrzyłem na nią, co wymagało ode mnie nie lada wysiłku, zdrętwiały mi twarz, szyja, ramiona i ręce, ale nie chciałem na nią spojrzeć, a czegoś nie chcieć, kiedy napinamy struny nerwów do granic wytrzymałości, zawsze jest trudną i beznadziejną próbą sił; im dłużej tak stałem, pozostawiony sam sobie, coraz silniej i coraz nieprzyjemniej czułem, że tak dziwnie człowiek nieczęsto się czuje, jak gdyby duszące się ciało wchłaniało w siebie tę drugą osobę, jak gdyby powierzchnia skóry kryła nie tylko mnie samego, a mózg pracował wraz z nią, im bardziej nieprzyjemny był ten domagający się spełnienia stan, tym bardziej czułem się urażony i wściekły, bo wszystko czyniło rzeczywistą sytuację jasną i oczywistą, ujawniał się prawdziwy rozkład sił, kiedy oceniając go, z trudem znosimy, że to nie my mamy przewagę, a wtedy to właśnie ona zwróciła na siebie moją uwagę, żeby potem szybko mnie porzucić, a więc nie wolno, w żadnym razie nie wolno mi na nią spojrzeć, wtedy bowiem okazałoby się, że to ona ma nade mną przewagę, że ona zwyciężyła, że znów ktoś okazał się ode mnie silniejszy, znów ktoś nade mną zapanował, znów stałem się komuś podległy, a tu taka służąca, taka brzydka dziewczyna, dziewucha, zwykła służka, to powtarzane ze złością określenie nie było zresztą pozbawione prawdy, taką rolę odgrywała przy Hédi i Mai, taką samą, jaka przypadła w udziale stojącemu przede mną Prémowi przy Krystianie i Kálmánie Csúzdím; i w tej uczuciowej plątaninie przysiągłem, że nawet jeśli przez całe życie nie będzie robić niczego innego, tylko się na mnie gapić, to i tak na nią nie spojrzę, tego już więcej mi nie robi, może nawet się wściec, niech sobie mnie podziwia, niech będzie na tym świecie ktoś, kto patrzy tylko i wyłącznie na mnie, a ja będę udawał, że nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia; aż wreszcie nie wytrzymałem i spojrzałem na nią, paliła mnie jej twarz, niczego nie czułem bardziej niż jej spojrzenia, patrzy, znów patrzy, na co patrzy?, a skoro ona patrzy na mnie, to po pewnym czasie ja też mogę pozwolić, na chwilę ja też mogę pozwolić, by jeszcze bardziej na mnie patrzyła, by jeszcze dotkliwiej odczuwała, jak bardzo jestem jej potrzebny, żeby odczuła, jak będzie jej źle, kiedy przestanę na nią patrzeć; ale to nie była ona, wcale na mnie nie patrzyła, moje zmysły znów mnie oszukały, tymczasem Hédi, stojąc kilka rzędów za nami, od dłuższego czasu mogła nas obserwować, nie ulega wątpliwości, że wszystko widziała, bo miło, łagodnie, przyzwalająco, choć nie bez odrobiny okrucieństwa, się skrzywiła.

Nie odbyła się ostatnia lekcja, w południe zwolnili nas ze szkoły.

Kiedy znów ustawialiśmy się w rzędzie, słyszeliśmy dzwon bijący w kościele, najpierw tylko cztery uderzenia, na dworze błękit ciszy, potem dzwon uderzył z większą mocą, wybrzmiał, dzwonił, buczał, jak gdyby nic się nie wydarzyło, po prostu było południe, jak gdyby ten dzień był taki sam jak każdy inny.

Nie miałem ochoty z nikim iść, chciałem uniknąć rozmowy, na klatce schodowej wyszedłem więc z rzędu, i kiedy pozostali, zapominając o dyscyplinie, z wrzaskiem pędzili po schodach, by niczym zbite stado owiec wydostać się przez bramę na dwór, gdzie za każdym razem wydawało się nam, że pierwszy raz jesteśmy na powietrzu, że pierwszy raz w życiu łapiemy oddech, kiedy histeryczne krzyki nauczycieli już niewiele dla nas znaczyły, poszedłem na drugie piętro do pokoju nauczycielskiego; i stamtąd, w chwili, gdy nikt mnie nie widział, ostrożnie poszedłem dalej; na półpiętrze drugiej kondygnacji schody były węższe, pokryte kurzem, często widzę siebie we śnie, jak idę w górę po tych zakurzonych, nieuczyszczanych schodach, zapewne rzadko tam sprzątano, jestem jedynym uczniem, który chodzi tymi schodami, w moich snach zawsze ma to jakieś szczególne znaczenie, robię coś, czego nie wolno, przy każdym kroku wznoszą się w górę tumany kurzu, by powoli, leniwie opaść na ziemię; nawet jeśli spojrzę za siebie, nikt mnie nie zauważy, nadśłuchuję, ale nic się nie porusza, jest cicho, a więc wolno mi, nikt nic nie zauważył, a przecież wiem, że łatwo było dostrzec moje niezgodne ze szkolnym regulaminem zachowanie, i choć wyteżam wzrok, choć wiem, że nikt nie może mnie zobaczyć, czuję, że ktoś jednak mnie obserwuje, a ten ktoś to nikt inny jak ja sam, nie potrafię przed samym sobą ukryć moich małych tajemnic, drżąc ze strachu, docieram do drzwi prowadzących na strych, oczywiście są zamknięte, czarne żelazne drzwi, które zawsze są zamknięte i które wiele razy próbowałem otworzyć, w nadziei że zapomniano je zamknąć.

To miejsce było moją ostatnią szansą, schronieniem, którego szukamy, odwołując się do swoich najgłębszych instynktów, w naszym ogrodzie też znajdowało się takie miejsce, podobnie mroczne, tam jednak światło zasłaniały rozłożyste kasztanowce i wiciokrzew pnący się po wysokich krzakach, dzięki czemu stawało się niewidoczne, lubiłem obserwować te ich zmagania, jak krzewy wypuszczają coraz to nowe pędy, a wiciokrzew jak gdyby tylko na to czeka, i pnie się po nich w górę, i nim nadejdzie jesień, oplata młode gałązki; tu jednak leżały tylko bezładnie rzucone na stertę stare ławki, szafki, krzesła, tablice, zbutwiałe podesty, segregatory na dokumenty, tu zostawiały swoje wilgotne ślady moje przeżywane w samotności uczucia i dziecinne zabawy z Kálmánem, które wtedy wydawały mi się grzechem, tu panowała obojętna cisza obcych i znanych mebli; pochylony, obrócony w bok przemykałem pomiędzy ostrymi krawędziami i gwoździami, kiedy coś skrzypnęło lub zatrzeszczało i wydawało mi się, że stos mebli już zaczyna na mnie spadać, w obronnym ruchu osłaniając głowę dłonią, podchodziłem do tego sanktuarium, którym była obrócona do ściany stara skórzana kanapa, między meblem a ścianą było tylko tyle miejsca, bym mógł się między nie wcisnąć; przylgnąłem do kanapy, a ona przylgnęła do mnie, w całkowitych ciemnościach, a moja skóra tak długo była zimna, aż oddałem jej całe ciepło mojego ciała.

Przymknąłem oczy i pomyślałem, że powinienem się zabić.

Właśnie zabić.

Myśl o tym nie sprawiała mi przykrości, wręcz przeciwnie, była bardzo przyjemna.

Pójdę do domu, otworzę szufladę ojca, wyjdę do ogrodu, pobiegnę w moje miejsce i tam to zrobię.

Już widziałem mój ruch, widziałem, jak to robię.



Włożę do ust lufę rewolweru i pociągnę za spust.

Kiedy sobie wyobraziłem, że potem już nic nie będzie się ze mną działo, wszystko, co się dotąd ze mną wydarzyło, ujrzałem w innym, wyrazistym, ale dobrotliwym świetle.

Chciałem to zobaczyć.

Jak gdybym teraz po raz pierwszy wyraźnie niby w lustrze zobaczył moje życie.

Wszystko, co było bolesne, bolało mnie w środku, w piersiach, w szyi, a czasami w czubku głowy, jak gdyby ktoś włożył mi na nią czapkę bólu, ból przeszywał całe moje ciało, i nie chodzi tu o użalanie się nad samym sobą, jak gdyby każdy kolejny ból odczuwany fizycznie przez człowieka, choć niezależny od poszczególnych części jego ciała, wędrujący po nim, ciągle tylko się nasilał, a poprzednio odczuwany ból wydawał się zwykłą zabawą, i był tak silny, że nie mogłem go wytrzymać, chciało mi się krzyczeć, ale nie miałem odwagi, więc coraz bardziej nie mogłem tego wytrzymać.

Myśl, że może nie jestem normalny, że jestem tak samo chory jak moja siostra, choć moja choroba jest inna, i że ona jest jedyną osobą, z którą potrafię w chorobie odnaleźć spokój i poczucie wspólnoty, już wcześniej nie była mi obca, ale uświadomienie sobie, że raz na zawsze mogę położyć kres udreće ciągłych porównań i utożsamiania się z siostrą, udreće całkowicie daremnej, bo przecież do nikogo nie jestem aż tak podobny, by móc się z nim utożsamić, a skoro jestem inny, mimo wszelkich wysiłków zawsze będę tylko sobą, będę sam, to zaś, żebym był inny, czy nie wiem jaki, nie jest nikomu potrzebne, nawet mnie samemu, i próżno nienawidzę siebie za to, że te wszystkie próby, by się wyłamać i zwabić tego drugiego, kiedy tak bardzo chciałbym się z nim utożsamić, a jednocześnie zwabić go w krąg, który należy tylko do mnie, zwracają uwagę na naszą odmienność, na chorobę, na to, co trzeba zabić, wabiąc tego drugiego, za to, że zdradzam to, o czym lepiej byłoby milczeć, czy raczej trzeba milczeć, a to, że tę ziejącą we mnie, niemożliwą do pokonania przepaść zasypać można jedynie, gdy zabije się moje ciało, przyszło mi do głowy właśnie tam.

Więcej już na mnie nie spojrziała.

Wszystko się skończyło, jak gdyby tylko to spojrzenie mogło mnie uratować.

Gdyby można było zatrzymać czas, gdyby nie płynął bez jej obecności, jakby jej spojrzenie, obnażenie się przede mną, to, jak patrzy i jak ja patrzę na nią, nie tylko tłumaczyło wszystkie niejasne uczucia, pragnienia, które nie mogą się spełnić, popełnione grzechy, których nie chciałem żałować, bezustanne kłamstwa, bo musiałem ciągle, bez przerwy kłamać, w małostkowy i śmieszny sposób, tylko tak mogłem się obronić, a jednocześnie musiałem żyć w ciągłym strachu przed zdemaskowaniem, cierpiałem i nie znajdowałem żadnej możliwości, by się z tego wyzwolić; nie dosyć bowiem, że sam musiałem pozbawić się tego, co mogło dać mi radość, wszystko to było mało; nie mogłem zdobyć niczego, czego pragnąłem, musiałem więc żyć tak, jak gdybym niósł na sobie straszliwy ciężar obcej istoty, i pod nim skrywać, kim naprawdę jestem, zdruzgotany próbowałem opowiedzieć o tym mojej matce, ale tak wiele się we mnie zebrało, że nie umiałem już o tym mówić, tak wiele, że nie umiałem nic powiedzieć, z drugiej strony z nią też nie potrafiłem być do końca szczery, bo mogła mieć mi wiele do zarzucenia, a wszystkie jej zarzuty pozostawały w związku z moimi sekretami, które musiałem utrzymywać w tajemnicy chociażby z przyzwoitości, a taka przyzwoitość zdawała się tym bardziej na miejscu, że matka, mimo iż się złościła, wściekała i czyniła mi wyrzuty, a nawet czasem czuła do mnie odrazę, chciała widzieć we mnie ucieleśnienie doskonałości, i z tego powodu niekiedy była dla mnie surowa, a nawet bardziej okrutna od innych, co mogłem łatwiej znieść jedynie dzięki temu, że podobnie jak z moją siostrą, miała ze mną wspólny język,

w którym można było uniknąć wszystkich niezrozumiałych słów, był to język dotyku, czasami sam język, język ciepłej skóry i ciężaru ciała, kiedy mówiłem o chorobie, mogę zaryzykować stwierdzenie, że w jakiś tajemniczy sposób jej choroba, choroba mojej siostry, przenikała moje ciało, dwie bardzo dalekie, choć we mnie łączące się ze sobą choroby, które być może nie były niczym innym, jak skutkiem całkowitej niepewności i braku równowagi mojego najbliższego otoczenia, cielesnym przejawem choroby, która toczyła wszystkich z nas, choć długi czas wcale mi ona nie przeszkadzała, akceptowałem ją jako jedyny możliwy warunek mojego życia, co więcej, chorobę matki uważałem za coś wyjątkowo pięknego, poczucie, że w chorobie jest coś wspaniałego, kiedy trzymając ją za rękę albo przesuwając dłoń po jej nagim ramieniu, siadałem na podłodze obok niej, kładłem głowę na jej kolanach lub na brzegu łóżka, i wdychając jej ciepły od gorączki, potu i leków zapach, którego pełne były jej ciało, jedwabna koszula nocna i cały pokój, choć wietrzono go często, słuchałem jej oddechu, pozwalając trwać pomiędzy jawą a snem, aż mój własny oddech przejmował ten osobliwy, miękki, rozkołysany rytm wznoszenia się i opadania, a nawet przywykłem do zapachu i nie czułem już obrzydzenia; czasami coś mówiła, cichutko, lekko otwierając, a potem przyzymkając oczy, „Ładny jesteś”, mówiła, ja zawsze byłem niepomiernie zdziwiony, a ona nad wyraz cieszyła się moją obecnością, zagłębiona w poduszkach blada twarz, rozrzucone, gęste, ciemnorude włosy, w których nad samymi skroniami połyskiwały siwe pasma, gładkie wypukłe czoło, subtelny nosek, a zwłaszcza ciężkie powieki z długimi rzęsami, kiedy je podnosiła, by na ułamek sekundy pokazać wielkie, kryształowozielone oczy, patrząc na mnie tak czysto, rozumnie i z wielką mocą, jak gdyby jej choroba była tylko pomyłką, pozorem, zwyczajną zabawą, a kiedy rzęsy znów opadały i poorana niebieskimi żyłkami lekko brązowa skóra zakrywała oczy, nie wiem dlaczego, ale znowu wydawała się chora, jej wzrok trwał w chorej twarzy, choć uśmiech nie znikał z jej ust, śmiała się do mnie leciutko, „Opowiadaj!”, mówiła, „Opowiadaj, co się z nami stało?”, pytała, a kiedy nie odpowiadałem, bo nie znałem odpowiedzi albo nie chciałem odpowiadać, robiła to za mnie, „Czy mam ci opowiedzieć, o czym właśnie pomyślałam? Czy twoja siostra wszystko ładnie zjadła? Nie słyszałam, żeby babcia na nią krzyczała! Nie zostawaj dziś ze mną za długo, jestem bardzo słaba, może dlatego przypomniało mi się pole, nie spałam, znalazłam się na wielkim, wietrznym polu, było bardzo ładnie, i zastanawiałam się, skąd je znam, dokładnie pamiętałam, że je znam, i wtedy przyszedłeś”, umilkła, zaczerpnęła powietrza, obserwowałem, jak kołdra unosi się na jej piersi, unosi się i opada, „Inaczej pewnie nie przyszłoby mi to nawet do głowy, kiedy człowiek żyje, nowe obrazy zajmują w jego głowie miejsce starych, od dawna czuję, że ze mną nigdy nic się nie wydarzyło, nigdy, a przecież stało się wiele różnych rzeczy, o wielu z nich już ci opowiadałam, wiesz, a jak gdyby przydarzyły się nie mnie, to są tylko obrazy, jestem na nich, ale to one są ważniejsze, jestem do siebie podobna, albo to jestem ja, jak tutaj leżę, obraz nie zmienia się, tak samo leżę, a kiedy wyglądam przez okno, widzę to samo, widnieje i zapada zmrok, widok ciągle jest taki sam, a ja mogę spokojnie przechadzać się pośród moich dawnych obrazów, i nie ma niczego nowego, co by im przeszkadzało”, westchnęła, a głęboko zaczerpnięte powietrze zaburzyło równy rytm słów, „Oczywiście nie wiem, dlaczego ci o tym opowiadam, musisz jednak mnie zrozumieć, choć mam wyrzuty sumienia, że mówię dziecku o takich rzeczach, filozofuję, co wydaje się trochę śmieszne, ale jestem pewna, że nie ma w tym niczego smutnego, tragicznego czy dramatycznego, o czym byś sam nie wiedział, to wszystko jest naturalne, a ja niczego sobie w życiu nie odmawiałam, jeśli czułam, że to jest naturalne i że powinnam to zrobić”, zaśmiała się i na chwilę otworzyła oczy, wzięła mnie za rękę, jak gdyby chciała powiedzieć, żebym spokojnie, całkiem spokojnie robił to wszystko, co uważam za

naturalne, „A teraz posiedźmy w ciszy, jestem zmęczona, i nie potrafię uwolnić się od obrazu, o którym chciałam ci opowiedzieć, ale jak widzisz, nie potrafiłam, ty też niewiele mi opowiadasz, a przecież zawsze cię proszę, opowiedz mi coś, powiedz, co u ciebie słychać, bardzo dobrze cię rozumiem, jeśli czujesz, że chętnie byś mi o tym opowiedział, a jednak musisz milczeć, wiem nawet, o czym musisz milczeć, i to jest jedyna rzecz, której możemy być pewni, że dzieją się z nami dokładnie takie same rzeczy, nie ma tu żadnej różnicy, zawsze musi stać się to samo, i dlatego wszystkie uczucia są takie same, tylko obrazy się różnią, więc dobrze się rozumiemy, nawet nic nie mówiąc. Tak to jest. A teraz trochę pomilczmy, dobrze? A potem sobie pójdiesz. Dobrze?”.

Oczywiście nie było mi łatwo wyjść, w dodatku nie sądzę, że matka byłaby zadowolona, gdybym jej posłuchał i wyszedł, milczenie tylko wzmogło panujące między nami napięcie, a ona, jak gdyby chcąc je jeszcze bardziej powiększyć, kilka razy powtórzyła ostatnie zdanie, „Idź już, dobrze? Idź do siebie, dobrze?”, czasami jeszcze mocniej przytulała mnie do siebie, chwytając się mnie pod pretekstem tego pożegnalnego uścisku, jakby starała się odsunąć chwilę, kiedy próbując odzyskać wewnętrzną równowagę, rzeczywiście wstanę, i zataczając się, ale jednak z ulgą, wyjdę do swojego pokoju, lecz teraz było jeszcze za wcześnie, teraz jeszcze nie wolno było jej niczego zepsuć, jeszcze można było przeciągać czas, jeszcze mogłem zanurzać twarz w oddechu jej rozgrzowanego ciała, jak gdybym od tej wspólnej poduszki sam dostał gorączki, leżąc przy niej, dotykałem ustami jej nagiego ramienia albo zagłębienia łokcia, które było bardzo delikatnym i mięciutkim miejscem, albo szyi, gdzie moje wargi czuły łagodną siłę ścięgien i mięśni, i robiłem wszystko, jakbym tylko przez przypadek otwierał usta i wewnętrzną stronę warg oraz czubkiem języka czuł zapach i smak jej skóry.

Matka zaś nie udawała, że nie zauważa mojego pełnego miłości dotyku, ale nie chciała odkryć moich drobnych oszustw, jak gdyby uważała je za naiwny znak dziecięcego przywiązania, albo może nie sprawiały jej przyjemności, jak gdyby nie uciekała w chorobę, jak gdyby ta cielesna słabość czyniła możliwą i potrzebną tę niebezpieczną, przesadną wzajemną czułość, odpowiadała na nią zwyczajnie i naturalnie, miękko całowała mnie w ucho, w szyję albo w głowę, tam gdzie akurat sięgała, kiedyś, wtulając głowę w moje włosy, powiedziała: „Czuć cię małym samczykiem, szkolnym samczykiem”, to mi się podobało, zapach, którego dotychczas nigdy nie zauważyłem, a na który od tamtej chwili zacząłem zwracać uwagę, sam chcąc dokładnie poznać przyczynę przelotnych rozkoszy, odnosiłem wrażenie, że matka robi mi wykład o tym, co naturalne, i gdzie leżą granice naturalnych zachowań, bo choć przerywała mi słowami, słowami chłodziła rozkosz dotyku, to wydawało się to równie naturalne i właściwe jak sam dotyk, nie było sprzeciwem ani obroną, ale raczej rozsądnym wyrażeniem uczuć, których nie potrafiła wyrazić w inny sposób.

„Dobrze, już dobrze!”, mówiła głośniejszym głosem, śmiejąc się, że tak daleko się posunęliśmy, „Może jednak opowiem ci to, czego jeszcze nie udało mi się opowiedzieć, słuchaj, chciałam ci opowiedzieć, że na tym polu nie byłam sama, leżeliśmy na łące, trawa była wysoka, świeciło słońce, na niebie prawie nie było chmur, tylko takie małe letnie chmurki, ledwie się poruszały, słyszeliśmy owady, osy, pszczoły, a jednak nie było tam tak ładnie, jak można by sobie wyobrazić, czasami siadała na mnie mucha, poruszałam rękoma i nogami, odfruwiała i za chwilę wracała, w południowym upale muchy bywają takie bezczelne, było południe, przyjrzyj się kiedyś, jakby specjalnie nie chciały, żeby człowiek mógł w spokoju cieszyć się tym, czym chce się cieszyć, cieszyć się, że jest tak pięknie! Nie pozwolą mu, może po prostu dlatego, że one też chcą się czymś cieszyć, na przykład twoją skórą, ale znowu nie opowiadam o tym, o czym chciałam,

wiem, że to nie jest opowieść dla dziecka, a zwłaszcza dla ciebie, że właściwie powinnam to wszystko przemilczeć, słowem, na tym polu byliśmy we troje, naprawdę było takie pole, przyплыliśmy łódką, wysiedliśmy w umówionym miejscu, żeby spotkać się z pozostałymi, ale przyjechaliśmy pierwsi i leżeliśmy w wysokiej trawie daleko od siebie, dwaj mężczyźni i ja, a kiedy wszedłeś i się obudziłam, choć może to nie było przebudzenie, ale raczej otrzeźwienie, bo przecież nie spałam, byłam zanurzona w tym obrazie, widziałam nas wszystkich z góry, tak jak to bywa we śnie, i widziałam, że wszystko było niesamowicie, niesamowicie piękne, piękne! A przecież wtedy to było dla mnie piekło, dymiące bagno, nie z powodu much, ale dlatego, że nie mogliśmy się zdecydować, do którego z nich należę”.

– A tata?

– Też tam był.

– I co postanowiłaś?

– Niczego nie postanowiłam.

Jak gdyby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nie mogła się więcej odezwać, i nagle zapadła taka cisza, jakby nie mogła powiedzieć już ani słowa.

Ja też o nic nie pytałem, obydwójce zastygliśmy w milczeniu, dwie leżące na sobie kłody, dzikie zwierzęta czające się na swój łup w chwili, kiedy jeszcze nie wiadomo, do którego z nich będzie należała ofiara.

Nic więcej nie powiedziała, bo wtedy naprawdę przekroczyłaby wszelkie dopuszczalne granice, do których już i tak się zbliżyliśmy, albo wręcz, chcąc nie chcąc, do nich doszliśmy.

Nie powiedziała nic więcej przez wzgląd na mnie, nie byłbym już w stanie więcej znieść, uśmiechnęła się spokojnie, ten uśmiech był przeznaczony dla mnie, ale jak gdyby nie należał już do tamtej gry, nie miałyby początku ani końca, patrzyłem na nią, jakbym patrzył na dawno zrobioną fotografię uśmiechniętej twarzy, ta chwila mogła dać mi więcej niż sam jej widok czy jakiegokolwiek myśli, które kiedy zatrzymywałem wzrok na zdjęciu, pojawiały się w mojej głowie i szybko znikwały, i choć te słowa mogą wydać się zbyt sentymentalne, muszę przyznać, że była to chwila objawienia, albo to, co z braku lepszego określenia zwykliśmy określać jako objawienie, patrzyłem na jej twarz, odsłoniętą szyję, zmiętą pościel, i wszystkie te szczegóły zyskiwały o wiele bogatszą historię, przeszłość była pełna uczuć i obrazów, o których istnieniu nie mogłem wiedzieć, niepojętych związków, które teraz stały się zrozumiałe, choć to przecież historia, której nie sposób linearnie przywołać i opisać, choćby scena, kiedy stoję przed zamkniętymi drzwiami łazienki, jest późny wieczór i jest ciemno, chcę wejść, ale nie mam odwagi, bo to, co mnie ciekawi, jest słusznie zabronione, i nie idzie o ich nagość, której z pełną świadomością nigdy przede mną nie ukrywali, czy może inaczej, wiedziałem, że jest w niej jakaś tajemnica, ale nagość była jedynie tym, co tę tajemnicę skrywało, kiedy bowiem tak się akurat złożyło, że zobaczyłem ich nagich, choć sami starali się zachowywać swobodnie, ja byłem tym, który nie potrafił nasycić się widokiem ich nagich ciał, problem był we mnie, za każdym razem, kiedy patrzyłem na ich zazwyczaj ukrywane części ciała, budził się we mnie jakiś słodki entuzjazm, i za każdym razem to uczucie było coraz silniejsze, ciała rodziców zawsze wyzwały we mnie nowy, inny ból, do którego trudno było się przyzwyczaić, który mnie zawstydział i potęgował we mnie zazdrość o ich nagość, złość, że ich pozbawione uprzedzeń zachowanie jest ich zabawą i złudnym oszustwem, czułem, że te dwa obnażone ciała, czy widzę je razem, czy osobno, tylko sobie nawzajem mają coś do powiedzenia, że ja się tu nie liczę, że bez uprzedzeń potrafią pokazać się tylko sobie nawzajem, i że z tej wyłącznej wspólnoty jestem całkowicie wykluczony, i nie ma tu żadnego znaczenia, czy w danej chwili akurat się nienawidzą i na

przykład od kilku dni się do siebie nie odzywają, obydwójce zachowują się tak, jak gdyby obecność tego drugiego nic nie znaczyła, albo wręcz przeciwnie, kiedy właśnie kochają się, a każdy przypadkowy dotyk, przelotne spojrzenie, niespodziewany wybuch śmiechu i ukradkowe uśmiechy pełne są niesamowitej czułości, z którą ja nie mam nic wspólnego, która mnie nie dotyczy, jestem tylko dodatkiem, i nawet jeśli w takich momentach wydaje się, że mnie bardzo kochają, to dla mnie przeznaczona jest tylko niepotrzebna im już nadwyżka wzajemnych uczuć, a to poniżej mnie nie mniej, niż kiedy w ogóle mnie nie zauważają, traktując jak niepotrzebny, przeszkadzający im przedmiot; i tamto nagle wypowiedziane, dwuznaczne i wiele sugerujące zdanie, które nasz krótki dialog zamieniło w pełną napięcia ciszę, rzuciło pewne światło na zawirowania ich związku, o których podświadomie chciałem się czegoś dowiedzieć, kiedy pragnąłem, by nie wykluczali mnie ze swojej relacji, żebym mógł znaleźć pomiędzy nimi swoje miejsce; z łazienki dochodziły plusk wody, ciche rozmowy, śmiech matki, i od tego śmiechu, innego niż zazwyczaj, wydało mi się, to niesamowite uczucie, że kiedyś już stałem tu w ciemnościach pod drzwiami łazienki, w pidżamie, jak gdybym tu stał od tamtego czasu, a wszystko, co stało się w tym trudnym do określenia czasie, nie było niczym innym jak tylko niejasnym snem, który kiedyś się zaczął, a teraz się budzę i nie pamiętam już początku, ze środka dochodzą całkiem inne głosy, niższe i mocniejsze, choć głos matki nadal ma w sobie coś z przechodzącego w krzyk śmiechu; „Kto stoi w ciemnościach tam za drzwiami?”, oczywiście nic nie odpowiedziałem, zaskrzypiała podłoga i mnie usłyszeli?, a przecież uważałem, żeby być cicho!, czy można być tak bardzo obecnym, żeby inni wyczuli to przez drzwi?, „To ty, kochanie? Czy to puka czarna wrona? Wejź, kimkolwiek jesteś!”, nie potrafiłem zdobyć się na odpowiedź, ale teraz już nie czekała i odezwała się śpiewnym głosem, „Odpowiadaj i chodź!”, i obydwójce zaczęli się krztusić ze śmiechu, woda pluskała, cmokała i bulgotała w wannie, chlapała na podłogę, już nie mogłem odejść ani się odezwać, ani wejść, i wtedy drzwi się otworzyły.

Gdy znów pomyślałem, że kiedyś już stałem przed tymi drzwiami, to nie była pomyłka ani nie zwodziły mnie zmysły, słysząc niedokończone zdanie matki, przypomniałem sobie tamten obraz, to był krótki przebłysk, nogi i głowa na poduszce, to wystarczyło, żeby przepaść, w którą musiałem zajrzeć, stała się jeszcze bardziej wciągająca i nieskończenie głęboka, obraz, który przywołał moje zmysły, kiedy stałem w drzwiach łazienki, na ślepo szukając śladów zachowanego w pamięci przeżycia, dokładnie znając jego czas, miejsce, czując wszystkie smaki i nie mogąc mimo to go odnaleźć, a teraz było tu nieprzywoływane, bez udziału mojej woli wdzierają się w inne przeżycie, obrazy nagich ciał demonstracyjnie ukazywały istniejące pomiędzy nimi związki; kiedy ojciec, wychylając się z wanny, otworzył drzwi, a moja pełna zaskoczenia twarz odbiła się w wielkim zaporowanym lustrze, wydał mi się olbrzymem, stał w wannie i wyciągał rękę do klamki, w lustrze zamazanym paskami spływającej kroplami, opadającej pary niczym czerwona plama odbijały się jego plecy, moja twarz i jego plecy, mama siedziała w wodzie, masowała palcami pieniające się od obficie nałożonego szamponu włosy, zaśmiała się, puszczając do mnie oko, piana szczypała ją w oczy, zamknęła je i zanurkowała pod wodę, żeby zmyć z włosów szampon, i wtedy ogarnęło mnie to samo uczucie drętwej bezsilności, jakie czuję teraz, jak gdyby pidżama była jedynym punktem oparcia dla mojego ciała wydanego na pastwę gotowych na wszystko zmysłów, jak gdyby pidżama była bardziej rzeczywista ode mnie samego, wtedy ruszyłem za dalekim, tępym, niemal nieuchwytnym, choć przejmującym głosem, była noc, wstałem, żeby zrobić siusiu, i usłyszałem tamten głos, nieznaną, ale nie przerażającą, była zimna księżycowa noc, drżały światła załamujące się pod różnymi kątami na framugach, głębokie, miękkie cienie wchłaniały wszystkie znane

przedmioty, aż strach było przekroczyć ostrą granicę światła, głos dochodził z przedpokoju, w lustrze mignęła mi moja twarz, przerażająco niebieska w świetle księżyca, jak gdyby ktoś krzyczał albo szlochał, ale w przedpokoju nie było nikogo, głos dochodził z kuchni, poszedłem dalej wiedziony własnym odrętwieniem, moje nagie stopy cicho człapały po kamiennej podłodze, i nic, w kuchni też było ciemno, coś cichutko zapiszczało pod otwierającymi się drzwiami, a potem cisza, tu też nie było nikogo, a jednak jakbym słyszał albo wyobrażał sobie ciszę żywych ciał, jak gdyby nie tylko stały tu upojone martwym światłem meble, a cisza nie była tylko ciszą mojego zdławionego oddechu, kiedy wreszcie zza otwartych niemal na oścież drzwi służbówki doszedł głęboki, charczący głos, usłyszałem równomierny, tępy skrzyp i trzeszczenie łóżka, i jak gdyby z każdym skrzypem, pchnięciem i stękiem spod coraz głębszego charczenia wydobywał się cieniutki, coraz bardziej piskliwy krzyk, coś pomiędzy radością a płaczem, to ten głos usłyszałem, to on mnie tutaj przywiódł, a więc to jednak nie dzieło mojej wyobraźni, musiałem zrobić ten jeden krok, i już zajrzałem za drzwi, chciałem to zobaczyć!, ale jak gdybym nie mógł dosięgnąć tej przeklętej klamki, ciągle jej nie dosięgam, ciągle jest daleko, choć głos jest już we mnie, jego głębia, wysokość, rytm, aż wreszcie nawet nie zauważyłem, kiedy udało mi się zrobić ten jeden jedyny krok, i zobaczyłem to, co usłyszałem.

Oczywiście ojciec wydawał mi się taki wielki nie dlatego, że naprawdę był duży, był szczupły, chudy, niewłaściwe użycie słowa „wielki” zdradza tylko, z jakimi oporami i torturą oszukiwania samego siebie musiałem zmagać się przez całe dziesięciolecie, kiedy dochodziło do rozmowy o czymś, o czym nie wypada albo nie ma zwyczaju mówić, a co stanowi immanentny i nierozzerwalny element rozwoju młodego chłopca, jakim wtedy byłem, tu weźmy głęboki oddech, i nim nie stracimy oddechu, powiedzmy szybko, że całkiem niezależnie od wspomnień ze wczesnego dzieciństwa, które, na szczęście albo niestety, na pewien czas znikły z mojej pamięci, przypomniało mi się, nagle i niespodziewanie, kiedy matka opowiadała o tamtym polu, wtedy mi się przypomniało!, ciało ojca w służbówce, zamknięte w nożycach kobiecych nóg, niczym dobrze strzeżona tajemnica, którą teraz mogę wyjawić, nie widziałem jego twarzy, ale widziałem, że tamten okrzyk bólu i rozkoszy dlatego był taki tępy, że ojciec rozcapierzonymi palcami przyciskał do jej głowy poduszkę, tymczasem nogi oplatające go w pasie zdradzały, że to nie jest moja matka, jakże miałyby to być ona?, dlaczego miałyby tu być?, a ponieważ bezbłędnie potrafimy rozpoznać czyjeś biodra, kostki, linię łydek, tak samo jak nos, usta czy oczy, nie zaskoczyło mnie, że te nogi nie należą do niej i że spod poduszki dochodzi nie jej głos, wiedziałem, kto mieszka w służbówce, a najbardziej wstrząsnęło mną to, że liczyłem jednak, że należą do niej, nie o to chodzi, bym miał pojęcie, co się pomiędzy nimi dzieje, ale świadomość tej niewiedzy zbliżała mnie do konstatacji, że takiej bliskości i rozkoszy winien doznawać tylko z moją matką, a więc to, co teraz widzę, choć może nawet jest radosne, a zatem w oczach małego dziecka całkowicie naturalne, mimo wszystko jest wymierzone przeciw mnie; nie miało to jednak żadnego związku z wielkością mojego ojca, w tamtej chwili dlatego chyba wydawał mi się wielki, że wychylił się z wanny i stanął nade mną zacięty i zły jak zawsze, otworzył przede mną drzwi, jednocześnie zagroził mi drogę, a najbardziej ocieniona okolica jego nagiego, w świetle lampy błyszczącego od kropel wody ciała, jego łono, znalazła się w centrum mojego wzroku, mogę powiedzieć: znalazła się tuż przed moim nosem, podczas gdy wiedziałem, widziałem, czułem, że tak samo jak zawsze żaden mój ruch i ani jedno moje nieuważne spojrzenie nie ujdą jego uwagi; wilgotne włosy lepiły mu się do głowy, odsłaniając czoło, oczy ocienione i złagodzone opadającymi, prostymi kosmykami jasnych włosów czyniły jego twarz miłą i ładną, choć ich niebieska barwa nadawała jej surowości, mocne, grube włosy, które

zawsze zaczesywał do tyłu, przy każdym ruchu zawadiacko opadały na twarz jak u uczniaka, teraz jednak jego twarzą zawładnęło spojrzenie, otwarte, surowe, chłodne i groźne, trochę takie, jak gdyby cały czas miał do świata jakieś pretensje, jak gdyby teraz stał nie nade mną, lecz na jakimś niemożliwym do osiągnięcia podeście, na całkowicie bezpiecznej wysokości, na której może tolerować nawet to, że inni zajmują się swoimi małostkowymi pragnieniami, instynktami i lepkimi uczuciami, podczas gdy on ich obserwuje i ocenia, nawet jeśli nadzwyczaj rzadko daje tym ocenom wyraz; kiedy tak na niego patrzyłem, z naprzeciwka i trochę z dołu, jego ciało wydawało mi się doskonałe, takie, jakie wyobrażamy sobie, że może mieć idealny mężczyzna, i już chociażby dlatego, używając emocjonalnie bardziej neutralnego wyrażenia, by wstydliwie uniknąć podejrzenia o fizyczny pociąg, nie wolno było nazwać go po prostu pięknym, bardzo pięknym czy wręcz zniewalającym, gdybym bowiem nazwał je pięknym, musiałbym przyznać, że jestem wobec niego bezbronny, że ma nade mną władzę i że naturalnym porządkiem rzeczy chętnie tej władzy ulegam, pragnę się jej poddać, podążać za nim, choćby przesuwając po nim palcem, jak gdyby poprzez dotyk wchłonać w siebie to, co z zewnątrz moje oczy postrzegają jako piękne; szerokie ramiona, ładnie umięśnione od pływania i wiosłowania, w których nieomal ginęły urocze krawędzie i wypukłości obojczyków oraz żeber, gładko, łagodnie, ale wyraziście prowadzące do mocno zaakcentowanych, silnych splotów mięśni, aż do twardej, szerokiej i wypukłej klatki piersiowej, gdzie wrażliwość odsłoniętej powierzchni przysłaniało jasne owłosienie, jednocześnie podkreślając ją i łagodząc, mokre jeszcze bardziej pociągające, niż kiedy było suche, bo nierówny wieniec zlepionych ze sobą włosków otaczał ciemne wysepki brodawek, wyznaczając kierunek naszemu wzrokowi, który podążał po linii zwięzającej się w kierunku bioder, po delikatnych falach wspartych na łukach bioder mięśni, zatrzymując się na chwilę na wypukłym, napiętym wzgórku brzucha, gdzie głębia ciemnego pępka i zwrócony ku górze klin owłosienia zatrzymuje nasz wzrok, by nie ześlizgnął się jeszcze niżej, ale nie potrafi go zatrzymać, bo oczy, bezwiednie, niezależnie od naszej woli, zawsze wybierają najjaśniejsze albo najciemniejsze punkty, tak już skonstruowała je natura, podobnie jak wszystkie inne instynkty, i przesuwamy wzrok wzdłuż brzucha, aż do krocza, kiedy zaś mamy możliwość, a nasz wzrok jest wystarczająco ostrożny, by ta druga osoba niczego nie dostrzegła, choć rzecz jasna dostrzega, gdyż jej wzrok funkcjonuje tak samo w analogicznych sytuacjach, ewentualnie dobrotliwie udaje, jak gdyby jej to nic a nic nie interesowało, albo kiedy nie ma na to ochoty, czymś się zasłania, albo dając wyraz zmieszaniu, odzywa się do nas jakimś naturalnie brzmiącym, aczkolwiek nie do końca odpowiednim w tej sytuacji słowem, bądź też wykazując się wielkoduszną znajomością ludzkiej natury, odrzuca moralne opory i pozwala nam patrzeć, wtedy z radością zatrzymujemy tam wzrok, by z dokładnością przestudiować tę jakże skomplikowaną okolicę, jakbyśmy chcieli rozpoznać w niej wszystkie najdrobniejsze szczegóły i w ten sposób ocenić istniejące możliwości, zdając sobie sprawę, że dotychczasowa droga, jaką pokonał nasz wzrok, nie miała służyć czekaniu ani odsuwaniu niczego w czasie, nie była przygotowaniem, i że dopiero teraz dotrzemy do miejsca, które najgłębiej i najbardziej intymnie porusza naszą ciekawość, że to jest właśnie nasze miejsce, że tego pragnęliśmy, że właśnie z niego będziemy mogli czerpać wiedzę potrzebną, by ocenić całość ciała, zatem nie będzie przesadą twierdzenie, że z moralnego punktu widzenia dotarliśmy do najbardziej krytycznego punktu.

Tak jak kiedyś nie umiałem się powstrzymać, by wziąć do ręki.

Było lato, niedzielny poranek, przez wiszące w oknach białe firanki już zagładało słońce, kiedy wszedłem do sypialni rodziców, żeby tak jak zawsze położyć się do ich łóżka, wtedy nawet

jeszcze nie przypuszczałam, że właśnie tego poranka będę musiał się pożegnać z tym miłym zwyczajem, do łóżka, w którym teraz leżała moja matka sama, w trudnej do zniesienia ciężkiej woni chorego człowieka, szerokie łóżko, trochę wyższe niż zazwyczaj, przez co wydawało się dominować całe puste pomieszczenie, zagłówek i rama wykonane były z drewna polakierowanego na czarno, tak jak wszystkie meble, gładka komoda z szufladami, komódka z lustrem, fotel obity białym jedwabiem, nocny stolik, i to wszystko, ściany były puste, co jednak w dziwny sposób nie powodowało, żeby pokój wydawał się zimny czy nieprzyjazny, kołdra leżała na ziemi, zrzucona z łóżka, matki już w nim nie było, pewnie wstała zrobić śniadanie, a ojciec spał zwinięty w kłębek, jego nagie ciało było przykryte tylko prześcieradłem; nawet dziś nie wiem dokładnie, co mnie tam tak zachwyciło, że zapomniałem o naturalnych w takich okolicznościach wstydzie i zahamowaniach, a nawet nie pomyślałem, że o czymkolwiek zapominam czy przekraczam jakieś niepisane reguły, może sprzyjające lekkomyślności powietrze letniego poranka, delikatnie wirujący chłodny wicherek unoszący woń rosy nad wychłodzoną po nocy ziemię, powoli nadchodzące prądy ciepłego powietrza, wróżące na kolejny dzień obezwładniający upał, ćwierkające ptaki, w dole bicie kościelnego dzwonu słyszane wśród monotonnego szumu miasta, w ogrodzie sąsiadów rzucony na środek trawnika wąż już sika wodą, ludzie bez żadnego szczególnego powodu tryskają dobrym humorem, i tak po prostu, bez żadnych ceregieli, zrzuciłem pidżamę, przemaszerowałem przez kołdrę i całkiem nagi wsunąłem się pod prześcieradło obok ojca.

Dziś mógłbym powiedzieć, szukając wytłumaczenia, choć w najmniejszym stopniu nie usprawiedliwienia, że sens tych niedzielnych odwiedzin leżał w tym, że wszystko odbywało się w półśnie, by kiedy pewnego rzeczywistego poranka obudzę się w cieple naszych ciał, w tej nowej sytuacji ogarnie mnie miłe, choć przecież fałszywe poczucie, że obudziłem się nie tam, gdzie się położyłem, czy ma więc mnie zdziwić ten sprowokowany przeze mnie samego cud, gdy półświadomość przebudzenia powtarza nakładanie się na siebie miejsca i czasu, które sen dokonuje nieświadomie i bez żadnego wysiłku; rzeczywiście, to żadne wytłumaczenie ani usprawiedliwienie, aczkolwiek ważny punkt odniesienia, jeśli weźmiemy pod uwagę, że dzieciństwo postrzegamy jako minione dopiero wówczas, kiedy dobrotliwy mrok zapominania spowije już okrutną zabawę, kiedy wszystkie nasze nerwy dobrze nauczą się świadomie i powściągliwie dostosowywać ujawniające się w fantazjach pragnienia do niewielu możliwości, na jakie w realnym życiu pozwalają nam zasady współżycia społecznego, i że tak się wyrażę, uznają je za rzeczywistość, w ten oto sposób dziecku nie pozostaje inny wybór, jak niczym anarchista trzymać się własnych wewnętrznych zasad, których my, trzeba przyznać, nie uznajemy za realne czy rzeczywiste, może właśnie dlatego, że zasad nocy nie oddziela od zasad dnia ostra granica, a my doskonale wyczuwamy całość: należy zatem odnaleźć granicę pomiędzy tym, co możliwe do zaakceptowania, a tym, co niemożliwe, i skupić się na tym, jak reaguje otoczenie, niekiedy w tragiczny sposób konfrontując się z własną naturą, nauczyć się, jakie są czas, miejsce i nazwy rzeczy, jednocześnie ucząc się podziemnych korytarzy najświętszego systemu pełnych hipokryzji kłamstw i oszustw, miłych zasłon pozorów, cichego otwierania i zamykania tajemnych drzwi tego labiryntu, dzięki czemu obok rzeczywistego staną się jednak możliwe do urzeczywistnienia nasze jeszcze bardziej rzeczywiste pragnienia, to się właśnie nazywa wychowaniem, a przecież to jest powieść wychowawcza<sup>[1]</sup>, no i nie owijając w bawełnę, bo przecież właśnie ta święta dwuznaczność procesu wychowawczego skłania nas do wypowiedzenia sekretnej myśli, że chwytając w dłoń członek własnego ojca, jesteśmy w stanie



najdokładniej zmierzyć moralność, której mimo wszelkiego przymusu i dobrych chęci nie udaje się nam przyswoić w dostatecznym stopniu; kiedy znów się obudziłem, moje nagie ciało leżało na nagim ciele mojego ojca, spocony obejmowałem go we śnie, zanurzałem palce w jego owłosionej piersi, ojciec jeszcze spał, jak gdybym oszukiwał siebie samego, nie tylko jego, musiałem oszukać samego siebie, by przylegając do jego pupy i pleców, splatając moje nogi z jego nogami, poczuć spotkanie naszych nagości, bo rzeczywiście w takiej pozycji się obudziłem, budząc się po raz drugi, nie mam żadnych wątpliwości, rzeczywiście zdziwiło mnie to i ucieszyło, że podczas głębokiego snu nasze ręce i nogi tak się ze sobą splotły, że trzeba było wiele minut, by je rozplątać, z drugiej strony nie wiedziałem, że to ja w ten sposób zaplanowałem nasze przebudzenie, ale w tym przeczuciu to nie to, co świadome, a wręcz przeciwnie, to, co podświadome, instynktowny, senny element, było najważniejsze, mogę powiedzieć, że to było przedmiotem mojego doświadczenia, zwlekanie jak najdłużej, bo właśnie to było dobre, to dawało poczucie pełni, w której pragnienia czy wyobrażenia harmonijnie łączyły się z kłamstwem i sprytem, kiedy nawet nie otwierając oczu, jak gdybym bawił się ze sobą w chowanego czy udawał śpiącego, powoli, bardzo powoli, zacząłem przesuwając palec w stronę jego brzucha, uważając na to, czy jeszcze śpi, kiedy pod moim dotykiem drżała skóra ojca, kiedy w jego ustach zabulgotała ślina, czy jeszcze śpi, ale kiedy skradłem dla siebie to uczucie, z przerażeniem dostrzegłem, że leżę w ciepłe pozostawionym przez moją matkę, że znalazłem się tutaj w jej miejsce, że jestem tu zamiast niej, i że to jej skradłem to, co teraz zamiast niej czuję.

I tak jak matkę ustami, muszę ręką dotknąć ojca.

Rozwarłem dłoń na brzuchu ojca, by położyć ją na twardym wżórku.

A stąd był już tylko jeden krok, by błędząc wśród zarośniętego łona, położyć dłoń na jego przyrodzeniu.

Ta chwila składała się z dwóch dokładnie oddzielonych od siebie części.

Aż wreszcie zobaczyłem, że jego ciało się poruszyło i się przebudził.

Konwulsyjnym ruchem zepchnął mnie z siebie i wrzasnął na całe gardło.

Jak człowiek, który znalazł w swoim łóżku zimną ropuchę.

Rano nasz sen staje się głęboki i szorstki, gdybym nie obudził go z tego głębokiego porannego snu, pewnie miałbym okazję zauważyć, że jest bohaterem tej samej powieści wychowawczej, której nic, co ludzkie, nie jest obce; a to, co się dzieje, wcale nie jest tak wyjątkowe, żeby trzeba było odwoływać się do najbardziej prymitywnych instynktów, z drugiej strony, jeśli nie chce, by brutalny sprzeciw miał trudne do przewidzenia konsekwencje, jeśli więc jako roztropny wychowawca chce na mnie wywrzeć pozytywny wpływ, musi postępować o wiele łagodniej, sprytnie i przemyślanie, pamiętając, że człowiek, a zwłaszcza, nie zapominajmy!, mężczyzna!, w tak zaawansowanym wieku, już po czterdziestce, powinien przynajmniej podejrzewać, że każdy choćby raz w życiu musi to wziąć do ręki, w rzeczywistości albo w fantazjach, symbolicznie albo we własną dłoń, przynajmniej raz trzeba naruszyć wstydlivość ojca, może po to, żeby pozostała nietknięta?, i każdy to robi, tak albo inaczej, nawet jeśli te trudy tak bardzo odbiorą mu siły, że nie jest w stanie przyznać się do tego przed samym sobą, to nakaz naturalnej samoobrony, moralność, która pozwala się uchwycić tylko w skrajnościach, ale on przebudził się ze snu, i w tym pierwszym, instynktownym odruchu zdradzając własną naturę, nie mógł zrobić niczego innego, jak wrzasnąć:

– Czego tu szukasz? Co ty wyprawiasz?

I z taką siłą wykopał mnie z łóżka, że spadłem na podłogę, wprost na ich kołdrę.

Przez długi czas milczałem jak przestępca, czułem wokół napiętą, głuchą ciszę oczekiwania na konsekwencje i karę, które uczynią mój występek jeszcze bardziej pamiętnym, a przez to jeszcze większym i jeszcze bardziej rozkosznym, daremnie jednak obserwowałem ich w napięciu, nie udało mi się nawet dowiedzieć, czy ojciec opowiedział matce o tym, co się wydarzyło, jak to się działo zawsze, kiedy po jakimś moim wybryku próbowali wypracować wspólne stanowisko, co, rzecz jasna, nie udawało się nigdy bez pewnych kłopotów, tak, bym nie mógł zauważyć, że mają w rzeczonyj sprawie odmienne zdanie; teraz jednak, jak gdyby nic się nie stało, zgodnie udawali niewiniątka, jakby to wszystko tylko mi się przyśniło, jak gdyby przyśniło mi się, że go dotykam, i przyśniło mi się, że ojciec krzyczy, bo czekając na jakąś spektakularną burę, nie zauważyłem konsekwencji, które okazały się o wiele bardziej poważne niż jakakolwiek kara; choć kiedy teraz, jako rozsądna, dorosła osoba zadaję sobie pytanie, jakiej w ogóle kary się obawiałem?, czy tego, że mnie bezlitośnie zleją?, no bo jaką karę można wymyśleć w obliczu okoliczności, kiedy staje się jasne, że chłopiec zakochał się w swoim ojcu?, czy karą nie jest sama niszcząca duszę i ciało, straszna i niemożliwa do zaspokojenia miłość?; nie zauważyłem bowiem, albo nie chciałem zauważyć, może nawet nie miałem innego wyboru, niż nie dostrzegać, że ojciec od tamtego dnia zaczął wobec mnie zachowywać jeszcze większy dystans i ostrożnie unikał wszelkich okazji, kiedy mógłby w jakikolwiek sposób fizycznie się do mnie zbliżyć, nie całował mnie, po prostu mnie nie dotykał, fakt, że nigdy więcej mnie nie uderzył, jak gdyby czuł, że bicie też byłoby formą miłości, po prostu pozbawił mnie siebie, choć robił to niemal niezauważenie, jego powściągliwość była doskonała, nie było w niej nic na pokaz, mnie zaś wydawała się wyrafinowana, zapewne dlatego, że nie dostrzegałem związku pomiędzy przyczyną i jej rzeczywistymi konsekwencjami, może on też go nie widział, a o przyczynie zapomniałem, tak samo jak o tym, że widziałem go w służbówce na łóżku z Marią Stein, może on też o tym wszystkim zapomniał, pozostało jedynie trudne do zaakceptowania ostrzeżenie, że taki właśnie jest mój ojciec, niewystarczająco obcy, by mnie nie rozżłościć, i zbyt mało bliski, by mnie kochać; kiedy zaś otworzył drzwi, by wpuścić mnie do łazienki, w jego pozbawionej uśmiechu twarzy i demonstracyjnej nagości można było odczytać powściągliwość i nieufność, jakiś strach, dobrze ukrywaną wstydlivość i przymus, że robi to jedynie na prośbę mojej matki, sam wcale nie ma ochoty i nie uważa za właściwe tego, że ich podglądam, podsłuchuję, i że zamiast tu udawać rodzinną idyllę, najchętniej wysłałby mnie z powrotem do łóżka, „No, marsz!”, i sprawa byłaby zakończona; a wobec matki był tak uległy i bezbronny jak ja wobec niego, co było dla mnie pewnym zadośćuczynieniem, i jeśli tliła się we mnie jakaś iskierka nadziei, że kiedyś uda mi się wcisnąć pomiędzy ich dwoje, to właśnie wtedy, dzięki dobroci matki, wykorzystując jej wrażliwość i łagodność, innej, prostszej drogi, która by mnie zbliżyła do ojca, nie widziałem.

„Zamknij drzwi!”, powiedział, odwracając się, i wszedł z powrotem do wanny, a ja, nie umiając się zdecydować, czy mam wejść, czy nie, stałem nieruchomo w miejscu, to był nieobliczalny w swoich skutkach, złowrogi prezent, radość, której tym wymuszonym tonem, skierowanym bardziej do mojej matki niż do mnie, nie udało mu się do końca zepsuć, bo przecież odniosłem zwycięstwo, wcale się go nie spodziewając, a to, jak się odwrócił, stało się dla mnie nowym przeżyciem, wzruszającym przebłyskiem, którym mogłem się cieszyć i który mógł sprawiać ból, dopóki nie zanurzył się z powrotem w wodzie, o ile bowiem przedtem twierdziłem, że jego ciało oglądane z naprzeciwka wydawało mi się doskonałe, proporcjonalne, pociągające, ładne, muszę dodać, co bardziej niż kiedykolwiek utrudnia mi poczucie wstydu, choć może to nie był wstyd?, lecz pragnienie, żeby widzieć rodziców jako cielesny i duchowy

ideał, nawet jeżeli nim nie są, a doświadczenie każe nam brzydotę uznawać za piękno, czyli jeśli nie potrafimy zrezygnować z niemożliwej do zaspokojenia potrzeby doskonałej harmonii, przynajmniej bądźmy wyrozumiali dla niedoskonałości?, jakbyśmy z formy ciała rozumieli, że w każdej doskonałości kryje się skłonność do tego, co karykaturalne, wypaczone, chore, a nawet kalekie, i że właśnie to daje naszym uczuciom smak?, nie tylko z tego powodu, że pełna harmonia cech nie jest dana żadnemu z nas, ale dlatego, że doskonałe i niedoskonałe zawsze idzie ze sobą ręka w rękę, że są nierozłączne, i przymykając oczy na najbardziej charakterystyczne niedoskonałości ludzkiej istoty, spróbujemy jednak uwielbiać ją i postrzegać jako doskonałą, tylko czy wtedy nie będzie to jedynie igraszką naszej fantazji?

Zatem no ile to, co oglądane z przodu, widziałem jako doskonałe, o tyle kiedy patrzyłem z boku, wydało mi się zdecydowanie wypaczone, dwie łopatki wystające z zaokrąglonych pleców, jak gdyby stojąc prosto, też się pochylał, i gdybym nie bał się użyć tego słowa, powiedziałbym, że niewiele odróżniało go od garbusa, tak, że po prostu wyglądał jak garbaty, a to przecież uważamy za coś wyjątkowo odrażającego, i jest całkowitym dziełem przypadku, albo też natura nie potrafiła się zdecydować, czy ma go stworzyć jako ideał człowieka, czy może jako jego karykaturę, i zdała się na los, a on, godząc się z losem, próbował jakoś zatuszować mroczny wybryk braku zdecydowania, a przynajmniej coś poprawić, co zresztą, mimo wszystkich cierpień i włożonej w to aż śmiesznie rozbuchanej energii, udawało mu się tylko częściowo, ponieważ ciało i jego forma są czymś tak wyrazistym, cokolwiek w naszej chrześcijańskiej woli wybaczenia byśmy powiedzieli o wyższości duszy i zewnętrznym charakterze przymiotów ciała, że już w momencie, w którym przychodzimy na świat, mogą zostać uznane za naszą cechę.

Ja zaś, zaślepiony jak każdy zakochany człowiek, kochałem w nim też to, co brzydkie, chciałem jednym oddechem wchłonąć w siebie urodę i brzydotę, z czułą wyrozumiałością, jednocześnie i tak samo silnie czuć, że mnie przyciąga i odpycha; stał się dla mnie doskonały poprzez swoją niedoskonałość, nic nie tłumaczyło lepiej jego uparcie ponurej natury, wiecznej gotowości i zapału, z jakimi prześladował to wszystko, co uważał za złe, błędne, grzeszne, co oceniał jako wypaczone i brzydkie, jak na przykład ten drobiazg, ten prawie że garb, bez którego byłby po prostu zwyczajnym, ładnym chłopakiem i nikim więcej, a tak, z naturą człowieka, który wiecznie musi się bronić, chłodnego uczuciowo, mało zmysłowego, mimo wszystkich swoich wyskoków!, ale za to bardzo mądrego, który z powodu cielesnych niedoskonałości zmuszony jest do wycofanych zachowań, stał się człowiekiem bardzo pragnącym czułości, a jednocześnie do niej tak dalece niezdolnym, że żaden podstępnie ukryty zamiar nie był w stanie go zmylić, a energia, którą utracił w swojej przymusowej ucieczce, w swojej wrażliwości i zdolnościach odkrywających dokładnie wszelkie związki, ciągle brutalnie do niego powracała; właśnie w tym był doskonały, jak umożliwił swoim zdolnościom i cechom prowadzenie wzajemnej gry, bardzo rzadko wyczuwałem więc w ojcu brak szczerości, próbę pokazania się innym, niż jest naprawdę, choć wtedy niewiele wiedziałem o tym, co robi prokurator, ale i tak nie potrafiłem sobie wyobrazić bardziej godnego otoczenia niż takie, kiedy ubrany w oficjalny ciemnoszary garnitur, w świetle nawet w ciągu dnia zapalonych żyrandoli, długimi palcami kartkuje akta rozłożone na lśniącem, politurowanym biurku; może próbował tuszować swoje niedoskonałości krojem garnituru, dzięki umiejętnie wyprofilowanym poduszkom na ramionach okrągłe plecy wydawały się prawie niewidoczne, także wówczas, kiedy przemierzał szerokie, długie, wyłożone marmurem korytarze, na których nie było niemal nikogo, czasami widziałem tylko referenta przemykającego z ciężką teczką dokumentów pod pachą albo grupkę ludzi czekających w milczeniu przed wielkimi drzwiami, czekających tam, jak gdyby nie mieli ze

sobą nic wspólnego, na korytarzach panowała dostojna nuda, i jeśli tylko w ciszy korytarza nie rozlegał się coraz wyraźniejszy odgłos zbliżających się kroków, a na którymś z zakrętów nie pojawiał się zakuty w kajdany więzień prowadzony przez dwóch strażników, by po chwili zniknąć za wielkimi brązowymi drzwiami, wtedy ojciec szedł na rozprawę; lubiłem jego plecy znikające na korytarzach, jak gdyby w nich koncentrowało się to wszystko, co w przeciwieństwie do brutalnej urody jego ciała postrzegałem w nim jako delikatne, mądre i wytworne, dla pełnego obrazu powinienem jeszcze wspomnieć o okrągłych, umięśnionych pośladkach, w których łagodnej linii było coś zdecydowanie kobiecego, o silnych udach, o wypukłych traktach żył na złociście owłosionych łydkach, długich, szczupłych palcach foremnych stóp, ale najpiękniejsze były jednak jego plecy!, chodził miękkimi, sprężystymi i energicznymi krokami, niczym dzikie zwierzę, dla którego najbardziej naturalną radością jest czuć w łapach ciężar swojego gotowego do biegu ciała, ojciec jednak nie na nogach, lecz na plecach niósł ciężar swoich problemów i duchowych dylematów, które w moich wyobrażeniach związane były ze ściganiem przestępców, w jego plecach, w tych zaokrąglonych plecach, skupiała się jego władza, a ja tak bardzo chciałem być do niego podobny, tak bardzo chciałem osiąść tę władzę, siłę i wyższość, nie tylko piękno budowy ciała, skóry, proporcji, piękna emanującego z jego przyrodzenia, ale także jego brzydotę, która stawała się w nim niemal uduchowiona, że sam próbowałem chodzić ze zgarbionymi plecami i tak jak on przechadzać się po dalece nie tak dostojnych szkolnych korytarzach.

Wreszcie wszedłem do łazienki i tak, jak mnie poprosił, zamknąłem za sobą drzwi.

Wszedł z powrotem do wanny, matka w tym samym momencie wynurzyła się z wody, woda wychlapała się na podłogę.

„No, to zdejmuj pidżamę i wykąp się razem z nami!”, powiedziała radośnie, jak gdyby była to rzecz najnormalniejsza w świecie.

Kiedy usiadłem w wannie pomiędzy ich kolanami, woda znów się wychlapała, cała łazienka popłynęła, kaptcie unosiły się na wodzie, a my śmieliśmy się we troje.

Skoro już mowa o wybuchu śmiechu, którego instynktowna natura pokonała dystans nieufności, zasadny strach przed konsekwencjami, niepotrzebne obawy i cały ten nalot wszelkich ograniczeń, nasz śmiech przerwał błonę odgraniczającą realny świat od znacznie silniejszego świata wewnętrznego, jak gdyby uwolnił ciało od ciężaru jego własnej formy i wzniosł je ku rzadkiej chwili, kiedy droga od fizycznej rzeczywistości prowadzi prosto do rzeczywistości pragnień, trzy nagie ciała w wannie ze stygnącą wodą, a jakby śmiały się jedne usta, jak gdyby z jednych ogromnych ust dobywał się niepozabawiony złych zamiarów śmiech, jedne jedyne wspólne usta i jedno wspólne odczuwanie!, moje ciało wciśnięte pomiędzy rozłożone kolana ojca, moje nogi na otwartym łonie mojej matki, pod brudną od szamponu, pieniącą się wodą, która delikatnie unosiła jej wielkie piersi kołyszące się na wodzie, ojciec ją szturchał, ona szturchała jego, od każdego szturchnięcia znów wylewała się woda, wypływała z wanny, a my śmieliśmy się z tych dziecinnych wygłupów, te jedne wspólne usta pochłonęły nasze nagie ciała, by je stąd usunąć, a potem zwymiotować, a potem znów ukryć w mrocznej przepaści rozkoszy, i znów z siebie wyrzucić, dokładnie w takim rytmie, w jakim przebiega proces naszego wychowania, i tak jak brzmiał śmiech, falował, wzlatywał, by wreszcie zatrzymać się w jakimś ostatecznym martwym punkcie, odbić się czkawką i sięgając po niespodziewane, ukryte w jeszcze głębszych sferach naszego ciała rozkosze, z jeszcze silniejszym oddechem, z jeszcze większą mocą wyrzucić z siebie tę niemożliwą do zniesienia radość, właśnie tak jak woda wylewa się z wanny.

Aby jednak przedstawiony tu obraz był prawdziwy i pełen, muszę zaprzeczyć pozornemu wrażeniu, że całe moje ówczesne życie było jedynie pasmem goryczy, wstydu i okrucieństwa, że składało się tylko z żalonych porażek i nieznośnych, tak, nieznośnych cierpień, nie!, aby moje świadectwo nie było jednostronne, muszę tu podkreślić, że tak nie było!, radość i przyjemności stanowiły jego tak samo nieodzowną część, cierpienie może tylko dlatego zostawiło we mnie większy ślad, że zmuszając podświadomie do myślenia, zastanawiania się i rozmyślań, wydłużało czas, podczas gdy prawdziwa podświadoma radość ogranicza się do tego, co zmysłowe, dając nam i sobie tylko ten czas, kiedy trwa, przez co wydaje się przypadkowa i niezamierzona, oderwana od cierpienia i z nim niezwiązana, tak więc cierpienie pozostawia po sobie w pamięci długie i zawite historie, a radość tylko trwające kilka minut przebłyski; ale dajmy spokój analizie tych ginących w szczegółach detali i filozofii szukającej ich sensu, co bywa potrzebne, jeśli chcemy się przyjrzeć temu, jakie jest nasze duchowe bogactwo, i dlaczego nie mielibyśmy przyglądać się mu z rozkoszą?, zwłaszcza że to bogactwo jest nieskończone, a nieskończoność jest zjawiskiem nieuchwytnym, w naszych analitycznych zamiarach te zwyczajne i zupełnie naturalne zdarzenia skłonni jesteśmy uznawać za przyczynę naszych zranień, spaczeń, cierpień, chorej duszy, że tak powiem, naszego kalectwa, ponieważ całość tych zdarzeń utraciliśmy sprzed oczu dla dowolnie wybranych szczegółów, a w obawie przed ich bezgranicznym bogactwem zatrzymaliśmy się tam, gdzie jeszcze należało iść naprzód, nasz strach uczynił z nas ofiarę, wzniosł ofiarne ołtarze, rzucił w powietrze rytualne noże, i tym oto sposobem doprowadziliśmy do większego chaosu, niż gdybyśmy w ogóle się nad sobą nie zastanawiali, szczęśliwi ubodzy na duchu!, nie zastanawiamy się więc!, oddajmy się szybko i bez oporów miłemu uczuciu, kiedy siedzimy na ziemi przy łóżku chorej matki, z głową na przykrywającej ją jedwabnej kołdrze, moje wargi odpoczywają na jej nagim ramieniu, we włosach czuję jej delikatne palce, mile drapiące, łaskoczące skórę głowy, obydwoma rękoma zakłopotana czochra mnie po głowie, chcąc mnie pocieszyć, próbuje stępić ostrze wypowiedzianych słów, i choć łaskoczące drżenie przechodzi całe moje ciało, tego, co zostało powiedziane, nie można tak łatwo odwołać: bo we mnie już zakiełkowało podejrzenie, że może mój ojciec wcale nie jest moim ojcem, skoro matka nie potrafiła dokonać wyboru pomiędzy tamtymi dwoma mężczyznami, i to podejrzenie zaczęło się zamieniać w pewność, o tym jednak, ze zrozumiałych powodów, nie wolno mówić, zamilczmy więc, żeby dokładnie poczuć, że to wszystko, co pod wpływem wypowiedzianych słów powraca w nas i żyje jako wspomnienie, jakkolwiek nie byłoby ważne, jakkolwiek decydujące, jest tylko tłem naszych prawdziwych zainteresowań i uczuć, bo tam, gdzie próbujemy wszystko uchwycić, po swojemu zmierzyć, tam, gdzie dzieją się tak zwane rzeczywiste wydarzenia, jesteśmy zupełnie sami, i z tym oni nie mają i nie mogą mieć nic wspólnego.

I jeśli to wszystko nie było mi obojętne, to nie działo się tak dlatego, że miało dla mnie aż tak wielkie znaczenie, który z tych dwóch mężczyzn jest moim ojcem, pytanie było wprawdzie intrygujące i frapujące, łechcące zmysły swoją bezwstydną, no i oczywiście nadzwyczaj sekretne, podobnie jak obraz pozostawiony w mojej pamięci przez mężczyznę, którego uważałem za mojego ojca, i tę drugą kobietę, jednak to była sprawa marginalna i nie pierwszej wagi, stanowiąca tylko tło wydarzeń, niczym szeroki łuk horyzontu za polem parującym w popołudniowej ciszy, niknąca w nicości rama, o której nie można powiedzieć, że nie należy do obrazu, a sam obraz, nasz obraz, jednak tam się zaczyna i tam się kończy, gdzie jesteśmy, tam, gdzie się w nim znajdujemy, moje ciało jest tylko formą, która pozwala to wszystko zobaczyć, zapewniającą siłę, ciężar i pewność niezbędne do tego, by w końcu, podkreślam!, w końcu nie

interesowało mnie nic innego niż tylko ciało ze wszystkimi jego możliwymi odniesieniami; i dlatego zdanie, które wypowiedziała moja matka, tak mnie poruszyło, nie pozwalając zadać kolejnych pytań, gdyż było podświadomą aluzją do tego, co mnie naprawdę zajmowało, a ja nie potrafiłem rozstrzygnąć, choć czułem taką potrzebę, tak samo jak ona, w wypowiedzianym przez nią zdaniu pobrzmiewały dręczące ją przez całe życie wyrzuty sumienia i niemożność podjęcia decyzji, całkowity i doskonały chaos zagrażający mojej przyszłości, a jednocześnie chaos obserwowany ze spokojem przez osobę, która już straciła nadzieję, że będzie mogła zdecydować o czymś, o czym już nie można zdecydować, i w tym sensie jej wyznanie było dla mnie wyzwoleniem, jak gdyby podejrzewała, że niedługo umrze, jak gdyby było jej testamentem, napomnieniem, bym nie próbował decydować w sprawach, w których nie można podjąć decyzji, i żeby jedyną radością było dla mnie dzianie się rzeczy w sposób pozbawiony jakiegokolwiek kontroli!, jak gdyby wolność człowieka sprowadzała się jedynie do tego, by bez obawy o odrzucenie pozwolił oddziaływać na siebie zjawiskom, które właśnie w nim chcą się ujawnić, tak więc w tym sensie nie widziałem w niej wtedy matki, od której oczekujemy, że ciepłem swojego ciała ochroni nas przed lodowatą rzeczywistością, lecz zamkniętą w sobie kobietę z bagażem przygód i łajdactw, z konieczności zimną i okrutną; z którą niewiele mnie łączy, bo prawdziwy związek wymaga ciepła, a z którą mimo to pod każdym względem się utożsamiam, chociażby dlatego, że niezależnie od płci i wieku, w obydwójgu z nas dzieje się to samo.

Jak gdyby wtedy mówiła o czymś, o czym nie mogła wiedzieć.

Nawet cisza o tym mówiła.

A mnie udało się powiedzieć jej coś, o czym dotychczas milczałem.

Oczywiście nie na głos, w tamtej ciszy, trwającej zaledwie kilka chwil, kiedy moje usta prześlizgiwały się po jej ramieniu, obsypując je całusami od miękkiego zagłębienia łokcia aż po szyję, nie wybrzmiało ani jedno słowo, dziewczyny bardzo mnie lubią, szeptałbym jej zdławionym głosem, jak gdyby to było miłosne wyznanie, wolą mnie od innych chłopców, szeptałbym, jak gdybym chciał ją przekonać, lekko zawstydzony tym zaskakującym, niewłaściwym, butnym stwierdzeniem, gdyż to, co wtedy, czy to po cichu, czy głośno, powiedziałem o sobie, było tak żenująco wieloznaczne, że wymagało wyjaśnień; bo przecież nie tak mnie lubiły, wiem i wstydę się tego, jak innych chłopców, ściślej się wyraziwszy, nie tak, jak dziewczyny lubią chłopców, ale tak, jakbym ja sam też był dziewczyną, podczas gdy przecież jestem chłopcem, choć czuję się dumny z różnicy, jaka mnie od nich dzieli!, i bardzo ją proszę, żeby mi pomogła!, bo wszystko źle mówię, a chciałbym powiedzieć dobrze, liczba mnoga nie oznacza tu dziewczyn tak w ogóle, bo nie ma dziewczyn tak w ogóle, ale je trzy, Hédi, Maję i Liwię, one są tymi dziewczynami, podczas gdy mówiąc o chłopcach, mam na myśli Préma, Kálmána i Krystiana, i kiedy musiałbym się zdecydować, błędząc w poszukiwaniu swojego miejsca pomiędzy troistą naturą dwóch różnych, a jednak odnoszących się wzajemnie do siebie płci, i udzielić odpowiedzi na pytanie, która z nich bardziej mnie pociąga, odpowiedziałbym, że bez wątplenia kobiety uważam za milsze, ale bardziej pociągają mnie mężczyźni czy chłopcy.

Gdyby w ogóle można było o tym głośno mówić.

I kiedy tak siedziałem z głową na ramieniu matki, przyszło mi na myśl, jakby to było: cichutko przejść z ogrodu do przestronnej jadalni Prihodów, gdzie gospoia o imieniu Sidonia właśnie zbiera talerze ze stołu, przez jakiś czas w milczeniu obserwować, jak klęka, wypinając w moją stronę pupę, i zbiera z dywanu okruszki.

Może to ciężki zapach jej skóry spowodował, że musiałem wyjawić moje wszystkie

tajemnice, opowiedzieć o wszystkim, co kiedyś przeżyłem wprawdzie bez żadnego związku z jej osobą, ale co w jakiś sposób jednak jej dotyczyło.

I kiedy już zacznie słuchać, żebym musiał, przytykając palec do ust, nakazać jej milczeć, żeby nic nie mówiła, i nawet przez przypadek głośno się nie odezwała, żeby nikt się nie domyślił, że tu jestem, i żebym mógł całkiem niepodziewanie zaskoczyć Maję; ona tymczasem trwa w bezruchu, nie pojmując na szczęście głębszego sensu mojej przezorności, myśli, że to jakiś żart, niewinny żarcik, bo przecież jestem takim małym żartownisiem!, a mój śmiech, moja prośba, cała ta zabawa, czyni ją moim współnikiem; ostrożnie, uważając, żeby nie zatrzęszczała podłoga, ruszam ku niej; „No, znów przyszedł ten mały nicpoń”, mówią jej radosne oczy, śmieje się głośno i obserwuje, jak idę.

Muszę bezustannie wynajdować coś nowego, to nie wystarcza, to tylko wprowadzenie, muszę wykombinować coś naprawdę niezwykłego, za każdym razem muszę wywierać jeszcze silniejsze wrażenie, i to wcale nie jest takie trudne, jak się w pierwszej chwili wydaje, muszę być ordynarny, a jednocześnie bardzo delikatny, i doskonale wyczuwać sytuację.

Byłem w moim milczeniu tak uparty, że nawet nie mówiłem jej „dzień dobry”, wiedziałem, że tylko przesadne gesty potrafią być skuteczne, więc kłaniałem się, czasami niespodziewanie chwyciłem ją za rękę i całowałem w dłoń, a ona z radością, miękko klepała mnie po karku; nasz związek, jeśli tylko nie trzaskały uderzenia dłoni, był niemy, choć oznaczało to lepsze porozumienie, niż gdybyśmy ze sobą rozmawiali, dawaliśmy sobie znaki, wymienialiśmy się znakami, i tę formę porozumienia chciałem utrzymać, nie psując jej żadnymi słowami.

Na nic więcej nie musiałem zwracać uwagi, trzeba było tylko obserwować szare punkciki w jej kocich oczach, wiedząc, że każdy z góry określony, wynikający z przemyślanego zamiaru ruch będzie fałszywy, musiałem nawiązać bliski związek pomiędzy punkcikami jej ciała a moimi instynktownymi ruchami, żółte punkciki widoczne w szarym świetle pozwalają mi się zorientować, czy podążam w dobrym kierunku, czy też nie; na przykład jej śmiech jest zemstą, nie mówi, milczy, bo każe jej milczeć, a jednak wybuchą głośnym śmiechem, więc powinienem ją zrugać, abyśmy mogli razem się bawić, ruganie jest niezbędne, albo wstrzymując oddech, nasz waleczny oddech, musimy się bić, w milczeniu kopać się nawzajem albo gryźć, uderzać pięściami, drapać; powoli ja też opadam na kolana, nie przesadzam, nie ma takiej potrzeby, ona doskonale to rozumie!, po prostu powtarzam, niczym lustrzane odbicie, zabawną i w pewnym sensie poniżającą pozycję jej ciała, kłęczymy obok siebie pomiędzy nogami porozrzucanych po podłodze krzeseł, jak gdybym mówił do niej, jesteś jak pies, jesteś jak pies!

Sidonia była grubą dziewczynką z gęstymi brązowymi włosami splecionymi na czubku głowy w kok, jej twarz aż błyszczała od tłuszczu, oczy miała wesole, a wszystkie ruchy miłe i jakoś dziecinne; pod pachami na białej bluzce błyszczały ciemne plamy potu, wiedziałem, że z tym wonnym potem będę musiał coś zrobić, czułem to; jestem twoim psem!, i głośno węsząc, wciskałem nos pod jej pachę.

Jej ciało omdlewa z niemej rozkoszy, turla się pod stół, przesuwam nosem wzdłuż wilgotnego, parującego, ciepłego zapachu, wtedy gryzie mnie w szyję, tak silnie, że czuję ból.

Raz było właśnie tak, raz trochę inaczej, ale jakkolwiek sytuacja się rozwijała, zawsze była tylko wstępem do wielkiej rozkoszy.

Bo w tej świątyni, w głębi wielkiego, ciemnego pokoju, przy stole, nad książkami i zeszytami, z głową w dłoni, przygryzając obracany w zębach ołówek, siedzi Maja, w denerwująco nierównym tempie kołysze gołymi nogami i chowa je pod krzesłem.

Przed oknem rosły wysokie krzewy, konary starych drzew osłaniały je jak firanki,

powietrze w pokoju zawsze było pełne zapachu zieleni, na białych ścianach drżały, przesuwały się zielone liście.

– Czyżby Liwia jeszcze nie przyszła? – zapytałem cichutko, celowo zadając to poważnie brzmiące pytanie, które już samo w sobie było wyznaniem, żeby natychmiast poczuła, że nie jest dla mnie aż tak ważna, niepotrzebnie czekała, niepotrzebnie udaje, że na mnie nie czeka, bo przecież nie przyszedłem tutaj z jej powodu.

Nie patrzyła na mnie, jak gdyby w pierwszej chwili nie usłyszała, o co pytam; siedziała przy stole w jakiejś dziwacznej pozie, właściwie nie czytała, powiem raczej, że z pewnej odległości przyglądała się literom w książce, jak gdyby z przymusu, z obrzydzeniem, starając się trzymać książkę w możliwie największej odległości, czytała tak, jak inni oglądają obrazki, jednocześnie studiując szczegóły i ich związki, na jej czole pojawił się łuk zmarszczek, w okrągłych brązowych oczach malowało się nieukrywane zaskoczenie, białymi ząbkami gryząc ołówek, obracała go w ustach, przygryzała, znów obracała i znów przygryzała, i jeśli w ogóle dała sygnał, że moja obecność dotarła do jej świadomości, to tylko o tyle, że wolniej przebierała nogami pod krzesłem, wolniej obracała w zębach ołówek, ale chyba nie muszę mówić, że nie była to poza obojętności, lecz przejaw niezwyklego zainteresowania, te motorycznie monotonne odczucia pozwalały jej przyjąć do wiadomości wiedzę daleką od cielesności, i kiedy udało się jej oderwać od tego, co tak bardzo ją zajmowało, spoglądała na mnie z zaskakująco intensywnym zainteresowaniem, nie byłem w jej oczach niczym innym jak tylko przedmiotem, a że każdy przedmiot bywa na swój sposób cudowny, powoli, bardzo powoli podnosiła głowę, zmarszczki wyglądały się, niemal siłą wyciągała z zębów ołówek, ale usta nadal miała otwarte i znów mierzyła mnie zachłannym wzrokiem.

– Jak sam widzisz – odezwała się, co jednak nie zmyliło mnie, bo tak naprawdę sprawiało jej radość, że przekaze mi tę bolesną dla mnie wiadomość.

– I co, dziś już nie przyjdzie? – zadałem niepotrzebne właściwie pytanie, tylko żeby podkreślić, że przyszedłem tu nie z jej powodu, i żeby nie było w tym względzie żadnych nieporozumień.

– Już mi się trochę znudziły, dziś pewnie nie przyjdzie, ale Kálmán mówi, że i tak się spotkamy, bo Krystian robi jakiś teatr.

Jak gdyby wbiła mi szpilę, bo mnie nic o tym nie powiedziały, a Maja doskonale wiedziała, że chcą się mnie pozbyć.

– Spotkamy się?

– Spotkamy – odpowiedziała niewinnym głosikiem, jak gdybym zawierał się w tej liczbie mnogiej, i na chwilę nawet udało się jej wyprowadzić mnie w pole.

– Czy powiedziała, że mam przyjść? Chciała, żebyś mnie zaprosiła?

– A co, nie powiedziała ci?

Z nutą pobłażliwości i ironii obserwowała moje pełne zmieszania milczenie.

– O czymś wspominała – powiedziałem, choć miałem świadomość, że wie, że kłamię, i że lituje się nade mną.

– Dlaczego miałbyś nie pójść, skoro masz ochotę?

Ale ja nie chciałem jej litości.

– No to znów mamy zepsuty dzień – powiedziałem ze złością, w ten sposób niechcący się demaskując, co oczywiście sprawiło jej przyjemność.

– Mama wyszła.

– A Sidonia?



Wzruszyła ramionami, robiła to z niepowtarzalnym urokiem, leciutko uniosła jedno ramię, jednocześnie garbiąc całe ciało, jak gdyby doszła do martwego punktu bezwładu, a chwilę potem niepostrzeżenie się rozluźniła, rzuciła ołówek na stół i wstała.

– Chodź, szkoda czasu.

Jak gdyby nic więcej jej nie interesowało; ja tymczasem nie potrafiłem tak szybko przestać się złościć, nie rozumiałem, o co tu chodzi, czułem tylko, że wydarzyło się coś bez mojej wiedzy, i musiałem to z siebie wykrzyczeć.

– Powiedz mi tylko, powiedz mi tylko, kiedy rozmawiałaś z Kálmánem?

– Nie rozmawiałam! – powiedziała śpiewnie i jej oczy błysnęły wesoło.

– Nie mogłaś z nim rozmawiać, bo poszedł ze mną do domu.

– No widzisz, i to musi ci wystarczyć – rzuciła z bezczelnym uśmieszkiem, dając mi odczuć, że bawi ją moja wściekłość.

– A jeśli wolno zapytać, to skąd wiesz?

– To chyba moja sprawa, nie sądzisz?

– Czyli masz swoje tajemnice.

– Mam.

– I oczywiście chcesz tam iść!

– Dlaczego by nie? Zresztą jeszcze nic nie postanowiłam.

– Z niczego nie chcesz wypaść?

– I tak nic ci nie powiem, daj sobie spokój.

– Wcale mnie to nie ciekawi.

– Na szczęście.

– Głupi jestem, że tu w ogóle przychodzę.

Na chwilę zrobiło się cicho, wreszcie odezwała się cichutko niepewnym głosem:

– Mam ci powiedzieć?

– Nic mnie to nie obchodzi. Możesz nie mówić.

Podeszła bliżej, całkiem blisko, ale jej oczy, jak gdyby nagle coś pozbawiło je wrażliwości, zasłzyły mgłą, wzrok uciekł w bok, a chwilowa niepewność pozwoliła mi odczuć, że nie widzi tego, na co patrzy, że mnie nie widzi!, nie widzi mojej szyi, choć patrzy na nią, na miejsce, w które mnie ugryzła, ale skoro nie widzi tego, na co patrzy, a w wyobraźni błądzi po jakichś tajemnych rejonach, które chciała utrzymać przede mną w tajemnicy i których byłem tak ciekaw, chciałem je poznać, chciałem wiedzieć, a nawet czuć, że tam jest Kálmán, chciałem wiedzieć o wszystkich jego ruchach, chciałem słyszeć słowa, które do niej szepce, jak niezdecydowanym ruchem ręki, jak gdyby chcąc się przekonać, że naprawdę tam jestem, może nawet nie mając świadomości, co robi, chwyciła w dwa palce kołnierzyk mojej koszuli, szarpała go roztargniona, i ścisząc głos do przymilnego szeptu, przyciągnęła mnie blisko do siebie.

– Tylko dlatego ci to mówię, że obiecaliśmy sobie nie mieć przed sobą żadnych tajemnic.

I jak ktoś, komu udało się pokonać pierwszą, największą przeszkodę własnego wstydu, nabrała powietrza, lekko się uśmiechnęła, by z pomocą tego właśnie uśmiechu wrócić wzrokiem na moją twarz i patrząc mi w oczy, dokończyć rozpoczęte zdanie.

– Dostałam list, przysłał go wczoraj wieczorem, Liwia przyniosła, żeby ja też przysłała, wiesz, z powodu ubrań, że dziś po południu spotkamy się w lesie.

Teraz ja byłem górami, czułem, że to wszystko nieprawda.

– Kłamiesz.

– Ty naprawdę zgłupiałeś.

- Wydaje ci się, że jestem głupi, że nie widzę, kiedy opowiadasz bajki?
- Trudno ci dogodzić.

Chwyciłem ją za przegub, zrzuciłem z siebie jej rękę, żeby nie gniotła mi koszuli, ale nie puściłem od razu, tylko odepchnąłem od siebie, żeby to nie ona decydowała, w jakiej mamy być od siebie odległości, a zwłaszcza te jej łatwe do przejrzenia kłamstwa!, zrobiłem to, mimo że przywiązanie, jakie dawała ta bliskość, gdy czułem na ustach jej oddech, a nawet niebezpieczne kłamstwa, którymi pewnie oszukałaby każdego innego, sprawiały mi wielką przyjemność, miałem jednak świadomość, że ciało, nawet ciepłe i pociągające, nie bez moralnego podtekstu pragnie posiadać i zatrzymać przy sobie tę drugą osobę, robi to dla doskonałości i pełni posiadania, niekiedy zaś od samego ciała, od chwili bliskości ważniejsza jest tak zwana prawda, coś, czego oczywiście nie ma i co należałoby uzyskać w jakiś szczególny sposób, wewnętrzna prawda ciała, nawet jeśli ta wewnętrzna prawda później okaże się czymś chwilowym i przejściowym, działałem więc jak chirurg o stalowych nerwach, który ingeruje w imię niejasnego jeszcze celu, z premedytacją i pewną dawką okrucieństwa, nie zwracając uwagi na całe ciało, żeby w niepewnej przyszłości odzyskać je w jeszcze pełniejszym kształcie.

Nie istnieje bardziej brutalny gest, niż kiedy z pełną świadomością odpychamy kogoś od siebie, traktując go z góry, straciłem jej usta, zrezygnowałem z zainteresowania jej urodą w imię jeszcze głębszego pociągu, w przewrotnej nadziei, że stanie się jeszcze ładniejsza, w dodatku tylko i wyłącznie dla mnie, bo musiałem pozbyć się z jej ust konkurenta, tego drugiego, tego obcego, tak podobnego do mnie, tożsamego ze mną uzurpatora, Kálmána, skoro chciałem, by te doskonale w formie i kształcie usta nie kłamały.

- Nieważne. W ogóle nieważne – odparłem nie bez okrucieństwa.
- No to czego ode mnie chcesz? – wrzasnęła, chrypiąc z wściekłości, i wyrwała dłoń z mojej ręki.
- Niczego. Brzydka jesteś, jak kłamiesz.

Oczywiście kłamstwo samo w sobie niczego w jej twarzy nie zmieniło, urażona wydawała mi się jeszcze ładniejsza, znów lekko wzruszyła ramionami, jak gdyby w ogóle jej nie obchodziło, czy i kiedy mi się podoba, a ponieważ ten niefrasobliwy gest nijak się nie miał do tego, co naprawdę myślała, zawstydzona lekko spuściła oczy; szeroko otwarte, wечно zdziwione oczy zginęły za leniwie mięsistymi powiekami, a usta znowu zawładnęły całą jej twarzą.

Teraz jednak nie mogłem już niczego więcej chcieć, wpatrywałem się w jej nieruchome usta, może dlatego tak wyjątkowe, że górna warga, niczym doskonała para dolnej, ostrym łukiem wznosiła się ku łagodnej linii prowadzącej od nosa ku jej konturowi, dwa wystające wżgórki nie łamały jednak, jak to zazwyczaj bywa, wnoszącej się linii, a zagłębienie kącika ust nie przerywało jej opadania, i w ten sposób para warg tworzyła symetryczny, niczym niezaburzony owal.

Usta gotowe do gwizdania i śpiewu wydobywanego z głębi jej ciała, bezustannego dziewczęcego świergotania, pełne poduszcзки policzków otoczonych burzą ciemnobrązowych, rozwichrzonych, skręconych w szalone ślimaki loczków włosów, wzmacniały wrażenie wesołego i beztroskiego wyrazu jej twarzy; odwróciła się i nie rozluźniwszy nawet uniesionych w górę chudziutkich ramion, ruszyła w stronę drzwi, by po chwili nagle się rozmyślić, i zamiast wyjść z pokoju, rzucić się na łóżko.

Właściwie to nie było łóżko, lecz kanapa, której w nocy używali jako łóżka, a na dzień ścielili, przykrywając pościel grubą kapą w perski wzór, kanapa była miękka, ciepła i jedwabista,

ciało zamarte w bezruchu miło się w niej zapadało; ona miała na sobie ciemnoczerwoną jedwabną sukienkę w małe białe wzorki, wyciągnęła ją na ten wieczór z garderoby matki, niedużego, słonecznego pokoiku zabudowanego sięgającymi od podłogi aż po sufit białymi szafami wypełnionymi po brzegi pachnącymi ubraniami, z jednego z naszych najbardziej ulubionych miejsc; nagie nogi zwisające bezwładnie z kanapy aż świeciły w mrocznym pomieszczeniu, widok był tym bardziej atrakcyjny, że sukienkę miała podciągniętą aż do ud, leżała z głową ukrytą w dwóch nagich ramionach, a ramiona, plecy i łagodnie wypukła pupa wstydliwie drżały od płaczu.

Jej szloch zbyt mną nie wstrząsnął, znałem dobrze wszystkie możliwe wersje takich ataków płaczu, od zwykłego pochlipywania po nieutulony szloch i wielkie wybuchy płaczu, podczas których ryczała zasmarkana i ohydnie zafajdana, aż wreszcie powoli się uspokajała, delikatnie drżąc i dygocząc z wyczerpania, jej ciało było lekkie i miękkie jak gąbka, aż nagle bez żadnego widocznego przejścia znów stawała się taka sama jak przedtem, a nawet stawała się jeszcze silniejsza, bardziej zadowolona i świadoma siebie.

Taka wiedza oczywiście nie oznaczała, że jej nie współczułem, wiedziałem, że płacze, kiedy jej nie widzę, często publicznie, nie bez autoironii, spowiadała się z tych swoich samotnych popłakiwań, dobrowolnie i bez oporów wyjawiając, że płacz, ta pełna żalu nad sobą demonstracja własnego cierpienia, też może być przyjemny, chętnie na przykład płakała w towarzystwie Liwii, w której znalazła podobną do mnie, czułą i pełną współczucia, choć może trochę bardziej rzeczową pocieszycielkę, ale w jej płaczu było również coś skierowanego tylko do mnie, taki, że tak powiem, akcent osobisty, w pewnym sensie humorystyczny, przesadny, teatr wynikający z mojej obecności, jej nieodłączny element, czyli element naszego wzajemnego, wspólnego braku szczerości, element całego systemu kłamstw, teatr udający szczerość, który musieliśmy odgrywać przed sobą z największą uwagą i pozornie wiarygodnym zaangażowaniem, grę naszej nieszczerości ubierając w kostium otwartości i głębokiej, bezwstydnej szczerości; jak gdyby poprzez ten płacz próbowała siebie w przyszłej roli słabej, bardzo słabej, zależnej od innych, delikatnej i wrażliwej kobiety, podczas gdy naprawdę była zimna, twarda, wyrachowana, okrutna i chytra, co do urody nie mogła wprawdzie konkurować z Hédi, ale była tak agresywna, uparta, żadna posiąść wszystko i wszystkich, że lepiej panowała nad nami niż Hédi z pomocą swojej urody, co oczywiście też było oszustwem, o którym doskonale wiedziała, że już je odkryłem; próbowała roli, w której koronkowe, pełne falban, zwiewne, jedwabiste lekkie sukienki, które zresztą obydwójce darzyliśmy głębokimi, ciepłymi uczuciami, zapewniały jej zewnętrzne poczucie prawdziwej kobiecości, a fakt, że je wykradała, dodawał emocji sekretnym przebierankom, bo przecież chciała być właśnie taka jak jej matka; pewnym krokiem ruszyłem w stronę kanapy, wedle przewidzianej dla mnie roli miałem przecież być silny, wyrozumiały, spokojny i nieco brutalny, a zwłaszcza męski, co było tak zabawne, że mimo całego swego fałszu nie sprawiało mi trudności.

Moja cyniczna otwartość na fałsz była chyba tym, co ją we mnie pociągało, a mnie odróżniało od innych chłopców.

Tak emocjonalnie przeżywałem jej kobiecość, jak gdybym tylko udawał, że jestem chłopcem, a moje oszustwo zaraz może się wydać.

Jak gdyby pomiędzy moją męską a kobiecą naturą nie było żadnej granicy.

Jak gdybym to nie ja robił to czy tamto, jak gdybym to nie ja działał, ale każde ewentualne działanie wdrukowane było we mnie w kobiecej i w męskiej wersji, i stanowiło dla mnie tylko kwestię wyboru, a ponieważ jestem chłopcem, oczywiście musiałem wybierać tę męską wersję,

choć przecież mógłbym równie dobrze wybrać tę drugą; na przykład zapytać ją chamskim tonem, co właściwie ma za problem, choć przecież doskonale rozumiem, jaki ma problem, a jeśli mi nie odpowiedziała, jeszcze ostrzej zażądać, by dała sobie spokój z tą histerią, i ironicznie zwrócić jej uwagę, że przez ten jej głupi ryk tylko tracimy czas, poprzeklinać, zachowywać się, jakby wkurzał mnie jej płacz, choć wcale mnie nie wkurzał, albo wręcz przeciwnie, odgrywając rolę przyjaciółki, powiedzieć, że jeżeli chce się spotykać z tym jej kochanym Kálmánkiem, tym obrzydliwym, grubym świniakiem, bo nie mam żadnych wątpliwości, że chce do niego iść, choć nie mam pojęcia, co się jej w nim tak podoba, nawet imię ma ohydne, to lepiej, żeby uważała na swoją ładną buźkę i nie była taka paskudnie zapłakana, bo nie będzie mu się podobać; a ona, jak gdyby dając się ponieść łagodnej fali płaczu, tylko czekała na ten mój ordynarny występ, i było jej wszystko jedno, czy mówię takie lub inne chamskie rzeczy; żeby utwierdzić się w swojej słabości, potrzebowała tych symbolicznych policzków, tak jak ja potrzebowałem przekleństw, by dowieść swojej siły, a kiedy już je dostała, dając upust dławionej energii, z jaką chciała mi się przypodobać, czknęła, odwróciła się bokiem i, odsuwając rękę z twarzy, znów uderzyła w ryk, a mi pokazała wykrzywioną krzykiem i płaczem, teraz już wzbudzającą litość twarz.

Jak gdyby fałsz mógł być tak wielki, że wydawał się prawdziwy.

– Czego ode mnie chcecie? Co tak wrzeszczycie? Czego chcecie? Wszyscy mnie tylko dręczą! – wrzeszczała, dławiąc się szlochem, teraz już prawdziwym, a mnie sprawiającym prawdziwą, wredną radość, bo to ja byłem jego powodem, ja albo Kálmán, prawdziwa była jej szarpanina pomiędzy mną a Kálmánem, dla mnie stanowiąca tylko oglądaną z pewnego dystansu grę, i przewróciwszy się z powrotem na brzuch, znów ukryła głowę w ramionach, żeby teraz już bez żadnych przeszkód pograżyć się w coraz głośniejszym, coraz prawdziwszym, coraz mniej sztucznym płaczu; a ja oczarowany i osłupiony stałem nad nią, bo choć jeszcze przed chwilą tylko grała, to teraz powoli, stopniowo, umiejętnie przymuszała swoje ciało do cierpienia, do uczucia, którego jej ciało, nie mając po temu żadnych rzeczywistych podstaw, nie było skłonne zaakceptować, a jednak się jej udało, cierpiała i drżała, trzęsła się, falowała i huśtała na miękkiej, zapadającej się kanapie, i to nie była już gra!, ja tymczasem musiałem zachować spokój, przynajmniej o tyle, o ile wymagała go ode mnie poza męskiej wyższości, nie poruszyłem się nawet, nie wyciągnąłem ku niej ręki, nie dotknąłem jej i oczywiście nie pocieszałem, ale jej widok i tak wywarł na mnie doprawdy przerażające wrażenie; kiedy paznokciami i dłonią zerwała z siebie i zrzuciła narzutę, zaczęła ją gryźć, rzucała rytmicznie głową jak w napadzie szału, nogi bezwładnie zwiślały jej z łóżka, jak gdyby ten napad szaleństwa nie był niczym innym jak paroksyzmem napięcia pomiędzy tamtymi dwiema skrajnościami, bezpiecznym ukrywaniem się i całkowitym obnażeniem, ja zaś miałem wszelkie powody do strachu i przerażenia, zamarcia w nagłym bezruchu dobrotliwej pozy człowieka pozbawionego wszelkiego współczucia, bo przecież to ja chciałem tego wszystkiego, to ja chciałem, to ja wywołałem to wszystko wypowiedzianymi przed chwilą słowami, ja wyzwoliłem w niej szaleństwo, by dowieść władzy, jaką nad nią miałem, by w jej ciele przewyciężyć w sobie samym tamtego drugiego chłopaka, którego zresztą znałem zbyt blisko jako zbyt słabego i prostackiego, by być o niego naprawdę zazdrosnym, to dla mnie zaczęła tę grę, no i ten jej głos!, wznoszący się od chrapliwego pochlipywania aż po wrzask, nie jeden głos, ale jak gdyby zza przerywanego, załamującego się od wstrząsanego konwulsjami płaczu głosu słychać było jeszcze pisk, monotony, równomiernie opadający i wznoszący się, tak nieznośny, że wydawało mi się, iż wszystko się rozpada i wymyka spod kontroli.

Kiedy położyłem się na miękkiej kanapie, pochyliłem nad nią lekko i dotknąłem jej ramienia, nie zrobiłem tego z czułości czy ze współczucia, raczej czułem do niej odrazę, nienawidziłem jej, a przede wszystkim bałem się, że tak już będzie zawsze, choć przecież wiedziałem, że każdy płacz kiedyś się kończy, ale tamten widok i głos wywarły na mnie tak silne wrażenie, że nic nie mogło mnie uspokoić, tak, tak już będzie zawsze, nigdy nic nie minie, a to, co do tej pory było przypadkowe i ukryte, teraz się objawi i będzie trwać wiecznie, poza tym w każdej chwili może wejść Sidonia, a wtedy wszystko się wyda, przyjdą sąsiedzi, bo coś posłyszają, zawezwą lekarza, zjawią się jej matka i ojciec, a ona ciągle będzie wrzeszczeć ubrana w tę sukienkę, i wtedy wyjdzie na jaw, że to ja doprowadziłem ją do tych potworności.

– Maju, moja droga.

– Jaka droga, kurwa twoja mać.

– Co jest? Nie rycz tak! Co się stało? Jestem tu. Wiesz, że rozumiem cię, bardzo dobrze cię rozumiem. Sama powiedziałaś, że sobie obiecaliśmy!

– Gównu sobie obiecaliśmy! – i wyrwawszy się z uścisku mojej ręki, poturlała się do ściany. Przynurzałem się do niej, ale tylko po to, żeby jej zatkać usta.

– Nie idę tam, tylko tak się odgrażałem, ale nie pójdę! Maja! Zostają. Maja! Możesz iść. Jak masz ochotę. Wiesz, że możesz robić, co chcesz. Dlaczego nic nie mówisz? – wyszeptalem jej do ucha, próbując objąć całym ciałem, przytulić się w nadziei, że pomoże jej spokój mojego ciała.

Gdzie się podziała wyższość mojego męskiego spokoju!, czułem, że też drzę, słyszałem, że drży mój głos, nie podejrzewając nawet, iż ona również doskonale to widzi, i że nie mogłem dać jej większej satysfakcji.

Jednocześnie moja słabość i przerażenie nie tylko jej nie uspokoiły, ale jeszcze bardziej rozpały jej szal, i dopiero wtedy, o dziwo, właśnie w tym momencie, udało mi się dostrzec w jej szaleństwie, jakkolwiek widok był szalony i przerażający, naturalną i normalną treść, bo choć próbowałem, ukrywając mój gest pod pozą czulej uważności, przyciągnąć do siebie jej głowę i, podstępnie wykorzystując sytuację, zakryć jej usta dłonią, żeby nie mogła już wydobyć z siebie głosu!, odkryliśmy przed sobą karty!, ona dokładnie i z pełną świadomością wyczuła ukryte w moim geście oszustwo, była spięta, zrzuciła mnie z siebie, zaczęła kopać i bić pięściami, mocno gryźć mnie w palce, wrzeszczała i piszcziała, wykrzywiając w grymasie jak gdyby chłopięcą twarz, rysy miała grube i ostre, twarz brudną od łez, i gdyby wtedy w miejsce strachu czy przerażenia nie odezwał się we mnie wyrachowany spryt, gdybym na jej razy i kopniaki nie odpowiedział razami i kopniakami, z całą pewnością załatwiłaby mnie, bo choć nigdy naprawdę się nie biliśmy, to była ode mnie silniejsza, a na pewno bardziej nieobliczalna i bardziej brutalna.

Nie broniłem się i nawet nie zauważyłem, kiedy przestała wrzeszczeć, nie próbowałem jej też obezwładnić, ale nie odpuszczałem, i były to chyba najbardziej szczerze chwile w całej naszej dotychczasowej znajomości, pozwalałem, żeby mnie biła, drapała, kopała i gryzła, co więcej, na każdy jej atak starałem się odpowiadać czułym, miękkim, pełnym uczucia dotykiem, głaskaniem i pocałunkami, które oczywiście z powodu asymetryczności całej tej sytuacji spływały po niej jak po kacze, tak jak po mnie jej niezręcznie wymierzane, babskie uderzenia; a i tak w tych zmaganiach to ona była chłopakiem, a ja dziewczyną, białe ząbki w otwartych ustach i białka oczu, na szyi widać było napięte ścięgna, ale nie pozwoliłem zrzucić się z kanapy, a w nagłej ciszy słychać było tylko jej oddech, skrzyp i postękiwanie kanapy oraz odgłos uderzeń.

Próbowała mnie odepchnąć, przyciskając dłoń do mojego ramienia, zrzucić z kanapy na podłogę, moja dłoń na jej nagim udzie, jak gdyby ze wszystkich jej członków, nawet dla niej

nieoczekiwanie, uleciała, wypłynęła, znikła żadna wybuchu siła pełnego nienawiści sprzeciwu, w mgnieniu oka jej ciało zwiotczało i, jakby widziała mnie po raz pierwszy, spojrzała zaskoczona, że jestem tak blisko i że ta bliskość sprawia jej radość, jej oczy znów stały się okrągłe, nie było już w nich bieli szaleństwa, tylko dawne, znajome zdziwienie.

Wstrzymała oddech.

Jak gdyby po to, by nie mogła dotknąć moich ust, kiedy jesteśmy tak blisko, grzejąc się własnym ciepłem.

Jej naga skóra zadrżała pod dotykiem mojej dłoni, jak gdyby dopiero teraz do niej dotarło, że jest tam moja ręka.

Jak ona się tam znalazła?

I znów zapłakała.

Jak gdyby bliskość i ciepło wyzwoliły w niej prawdziwy już teraz ból, cichy, niemalże mądry ból.

Ból, który nie daje nadziei, że gorący wybuch pozwoli jej wyzwolić się od siebie samej, nie wybuchła więc prawdziwym, podobnym do poprzedniego płaczem, tylko zaczęła cichutko pochlipywać.

I to pochlipywanie dotknęło mnie o wiele bardziej niż poprzedni płacz, przeszło na mnie i z mojego gardła wydobyło się przeciągłe wycie, ale nie potrafiłem wybuchnąć płaczem, dusiłem się od szlochu, w piersiach, w udach czułem wielką, a jednocześnie obezwładniającą siłę, która choć nie pozwalała na czułość i pełne oddanie, to jednak ciągnęła mnie, popychała ku niej, a wszelkie podejrzenia, że swoim atakiem płaczu próbowała przymusić własne ciało, by zaakceptowało nieistniejące, wyimaginowane cierpienie, mnie zaś oszukać, odwrócić moją uwagę, wykrzesać ze mnie współczucie i poddanie się jej czy rezygnację z moich zamiarów, teraz okazały się całkowicie bezpodstawne, bo jeśli ktoś rzeczywiście i naprawdę sprawia jej ból, to tym kimś jestem ja, a ją boli, że mnie kocha.

Przysunąłem się bliżej, nie protestowała, pomogła mi, wsunęła rękę pod moje ramię, przytuliła się czule, a moja dłoń, choćby po to, żeby odpowiedzieć na jej gest, przesunęła się wyżej po jej udzie i moje palce znalazły się pod jej majtkami.

Leżeliśmy.

Jej gorąca twarz na moim ramieniu.

Jak gdybyśmy leżeli w wielkiej, przestronnej, śliskiej i miękkiej cieczy, tam, gdzie nie wiadomo, czy płynie czas, i gdzie właściwie nie ma to żadnego znaczenia.

Ramieniem bujałem jej ciało, jakbym chciał ukołysać nas do snu.

Kiedyś, w czasach, które z trudem wydobywam z pamięci, tak samo leżałem pod stołem z moją siostrą, eksperymentowałem wtedy ze szpilkami, a ona, szukając schronienia, znajdowała je u mnie, po czym, wrzeszcząc ze strachu i bólu, rzucała się na mnie, jak gdyby powierzając mi swoje niezdarne, wynaturzone, budzące wstręt ciało, chciała dać mi odczuć, że nie tylko rozumie okrutną grę, którą z nią prowadzę, ale też jest mi wdzięczna, bo tylko ja jeden dzięki swojej grze odnalazłem język, jakim można się z nią porozumieć; kołysaliśmy się nawzajem, pół siedząc, pół leżąc na zimnej podłodze, aż wreszcie objęci zasnęliśmy w mroku popołudnia.

– Kiedyś się przekonasz, że całkiem, całkiem niepotrzebne mnie dręczysz! – szeptała później, a jej usta ślizgały się po moim uchu. – Nie wierzysz, że tylko ciebie tak kocham, tak bardzo nie kocham nikogo innego.

Jak gdyby jej głos brzmiał w tamtym czasie, jak gdyby było tamto popołudnie, a jej głos

dobrywał się z ciała mojej siostry, trochę ostry i trochę śpiewny, łaskoczący uszy, jak gdybym obejmował nieforemne ciało mojej siostrzyczki, choć widziałem, że to ona i jej chude ciało.

Cały czas szczęśliwa i wdzięczna miękko szeptała mi do ucha.

– Wczoraj powiedziałam mu, że nie, i że niepotrzebnie się wysiła, nie on, tylko ty jesteś moją pierwszą miłością, powiedziałam mu, że jesteś dobry, że nie jesteś zły, tak jak oni, wiem, że dlatego to robi, żeby potem opowiedzieć o wszystkim Krystianowi. Ale on jest na drugim miejscu.

Na chwilę zamilkła, jakby nie miała odwagi wypowiedzieć tego słowa, które wreszcie niczym gorący wiatr wdarło się w moje uszy.

– Ty jesteś moim ukochanym misiem. Tak bardzo lubię się z tobą bawić! I nie powinieneś się obrażać, kiedy udaję, że jestem w nim zakochana. Nie jest mi obojętny, jednak to tylko zabawa, tylko się z tobą drocę, ale nikogo innego, uwierz mi! Nikogo nie kocham tak bardzo jak ciebie! A jego na pewno nie, bo jest chamski i wcale nie jest dla mnie miły. Moglibyśmy się pobawić, że jesteś moim dzieckiem. Myślałam już o tym, że chciałabym mieć synka, byłby taki jak ty, nie umiałabym sobie nawet wyobrazić, że mógłby być inny, taki słodki, taki miły, taki niewinny blondynek.

Znów zamilkła, sentymentalną lawinę zatrzymała tama prawdziwych uczuć.

– Ale, swoją drogą, potrafisz być okropny. Dlatego ciągle płacze, bo chcesz wszystko wiedzieć, szantażujesz mnie i nie pozwalasz, żebym miała swoje tajemnice, a przecież my mamy swoją największą tajemnicę, i chyba nie myślisz poważnie, że mogłabym cię zdradzić, jesteś dla mnie najważniejszy i zawsze będziesz! I na próżno ukrywasz, że nie kochasz Liwii, ale Hédi, wiem o tym, a mnie masz gdzieś.

Nic się nie zmieniło, cały czas się kołysaliśmy, a ja ciągle nie potrafiłem oprzeć się jej głosowi, jak gdybym to nie ja ją kołysał, ale ona mnie obezwładniała, kołysała swoim głosem, i obydwójce musieliśmy mieć się na baczności, żeby nie zasnąć.

– Teraz już możesz mi powiedzieć! – odezwałem się głośno, w nadziei że mój własny głos pozwoli mi wydobyć się z bezwładu.

– Co? – zapytała głośno.

– Co robiliście wczoraj wieczorem?

– Nie wieczorem, tylko w nocy.

– W nocy?

– Tak, w nocy.

– Znów chcesz kłamać?

– Słowem: prawie w nocy albo późnym wieczorem, bardzo późnym wieczorem.

Jak gdyby zaczynała opowiadać jakąś kolejną bajkę, której jestem tak samo ciekaw jak prawdy, ale już nic więcej nie powiedziała, a ja przestałem ją kołysać.

– Mów!

Nic nie odpowiedziała, a jej ciało zamilkło w moich ramionach.

<sup>[1]</sup> Autor ma na myśli Bildungsroman. [Wszystkie przypisy w niniejszym wydaniu pochodzą od tłumaczki].

## Pokój Melchiora na poddaszu

Chodził w tę i z powrotem po wielkim pokoju, miękkimi, sprężystymi krokami, jak ktoś, kto robi to z przyzwyczajenia, osobiwa, pomalowana rzucającym się w oczy białym lakierem stara podłoga z desek przy każdym kroku lekko skrzypiała pod jego stopami, a biel podłogi i puszysty karminowy dywan sprawiały, że jego czarne buty ze szpiczastymi noskami wyglądały na mocno sfatygowane, były brudne i znoszone; jak gdyby szykował się do tajemniczej, nieznaney mi ceremonii, jakiegoś rytuału wtajemniczenia, zapalając świece, potrząsał w dłoni pudełkiem zapalek, wreszcie z obojętną uprzejmością wskazał mi wygodny fotel, może bym usiadł; mimo tego aż do przesady uprzejmego gestu w jego z pozoru niczym nieuzasadnionych przygotowaniach czułem pewną natarczywość, jakby zbyt otwarcie zdradzał swoje zamiary, to, że pragnie, aby nasz wspólny wieczór upłynął wyjątkowo miło, a zwłaszcza wygodnie, i jak gdyby każdym swoim ruchem i mnie nakazywał zrealizować swój plan; zrzucił marynarkę, rozwiązał krawat, rozpiął górne guziki koszuli i, jak gdyby mnie tam w ogóle nie było, rozglądając się po pokoju roztargnionym wzrokiem, co jeszcze ma zrobić, z rozkoszą podrapał się po owłosionej piersi, po czym przez piękny łuk wyszedł do hallu, skąd najpierw rozległy się szmery, których pochodzenia nie potrafiłem się domyślić, wreszcie z ukrytych głośników dobiegły dźwięki muzyki klasycznej, ja tymczasem, nie chcąc poddać się temu wytwornemu, aczkolwiek trochę wulgarnemu nastrojowi, ciągle jeszcze stałem.

Wrócił zgasić żyrandol, to zaś, przyznam, zaskoczyło mnie czy, mówiąc szczerze, wydało mi się zbyt szybką aluzją do tego, co jeszcze chcieliśmy nawet przed samymi sobą utrzymać w tajemnicy, po prostu przestraszyło mnie, wprowadzie w lustrzanych kandelabrach i wieloramiennych świecznikach już paliły się świece, więc nie było ciemno, paliło się co najmniej trzydzieści smukłych świec, dzięki którym pokój przywodził na myśl wojenne zaciemnienie albo świątynie, zaciągnął czerwone jedwabne zasłony ze złocącymi się w blasku świec królewskimi liliami, aż falująca materia przysłoniła ścianę na całej wysokości, od sufitu po podłogę.

Rozkoszował się każdym swoim ruchem, miał długie i szczupłe kończyny, długie ręce i długie palce u dłoni, długie uda w obcisłych spodniach, jego ruchy były ładne, z radością, a nawet lubością dotykał wszystkich przedmiotów, jakby, mimo iż dobrze je znał, kontakt z nimi sprawiał mu wielką przyjemność, odnosiłem jednak wrażenie, że subtelne, wyrafinowane igraszki radosnego rytuału nawiązania bliskości adresowane były wprost do mnie, jak gdyby chciał coś udowodnić nie tylko sobie samemu, ale także mnie, jak gdyby ta gra miała jakiś cel, a celem tym było udowodnienie mi, że można i należy rozkoszować się życiem, pokazanie, jakiego rytmu ruchów wymaga otoczenie, i że musi w szczegółach pokazać mi ten rytm, który należy do niego, podobnie jak wszystkie znajdujące się tu przedmioty; mimo iż wydawał się miły i szczery w swoich zamiarach, czułem, jaki jest spięty, że jest pozbawionym wstydu ekshibicjonistą, i to bynajmniej nie dlatego, że jego zachowanie było poufałe, ale przede wszystkim z tego powodu, że za maską pewności i wyższości, jaką dawał mu ten z rozkoszą uprawiany ekshibicjonizm, nie można było nie dostrzec łatwej do urażenia wrażliwości, jak gdyby ukryty za parawanem własnej wyższości obserwował, czy rzeczywiście jestem ciekaw tego, co on w zaufaniu, z taką bezpośredniością chce mi zaoferować, i czy dobrze odczytał moje zamiary.



A ponieważ w każdym jego ruchu, nawet najbardziej harmonijnym, zdecydowanym czy sprawiającym wrażenie najszczerzego wyznania, czułem zachłanną, nakierowaną na jeden cel, egoistyczną ciekawość, niewypowiedziane przezeń pytanie wydało mi się zasadne, tymczasem zachowywałem się jak ktoś, kto nie jest niczego ciekaw, kto o wiele chętniej pozostałby przy tradycyjnych formach wpojonych przez dobre wychowanie, albo nawet nie odczytuje znaczenia jego tajemniczych gestów, tak bardzo bowiem nie byłem ich ciekaw, że najchętniej zamknąłbym oczy, by nie widzieć, jak się przede mną odkrywa, jak w nadziei na wzajemność zdaje się na moją łaskę; on tymczasem bezbłędnie odgadując kierunek i sens moich pełnych obaw myśli, natychmiast był gotów innymi gestami zaprzeczyć sensowi tych poprzednich i się wycofać.

Ale wtedy już, nie mówiąc o tym, co wydarzyło się wcześniej, zaszedliśmy zbyt daleko, teraz nie mogło być mowy o żadnym wycofaniu się, pomyłką było wprawdzie, że tam poszedłem, stał przede mną, uśmiechał się, jak ktoś, komu można ufać, ktoś wytrwały, wolny od strachu i obaw, ktoś, kto nie musi błagać, by obdarzono go zaufaniem, gdyż sam to zaufanie wzbudza, tylko że skrywana niepewność powodowała, że jego wargi zdawały się drżeć w delikatnym uśmieszku, był to uśmiech totalny, uśmiech w roweczkach ust, uśmiech w oczach, gdzieś na ich dnie, uśmiech na gładkim czole i cień uśmiechu w kącikach ust, no i oczywiście w słodkich dołeczkach policzków, zatem nie mogłem zamknąć oczu, już chociażby dlatego, że w tamtym ułamku sekundy każde zmruczenie oczu czy przypadkowe drgnięcie powiek zdradziłoby moją gotowość, której byłem świadom już od pierwszych chwil naszego spotkania i która wyraźnie przeczyła mojemu spowodowanemu udawaną obojętnością sztywnemu zachowaniu, ono zaś pozwalało mi, tak przed nim, jak i przed samym sobą, ukryć, zabić, wtłoczyć w ramy moralnego ładu mój oczywisty pociąg i zachwyty, które wywołał we mnie swoimi ustami, uśmiechem, oczyma, głębokim aksamitnym głosem i sprężystymi lekkimi krokami; chodził, jak gdyby chciał wszystkim powiedzieć: „patrzcie, tak właśnie chodzę!”, teraz jednak chciałem okiełznać, że tak się wyrażę, nauczyć moresu moje zmysły, by w ten sposób, patrząc na niego, zachować dyscyplinę i zdrowy rozsądek!, niedorzeczna i pozbawiona sensu była wprawdzie nadzieja, że za pomocą wewnętrznej dyscypliny uda się nam opanować sytuację, w której się znaleźliśmy, stojąc pośrodku tego raczej odpychającego niż intrygującego pokoju, sytuację, w której świadome działanie zabawiało się w ciuciubabkę ze zmysłowością!, nieludzkim wysiłkiem woli próbowałem więc skierować zastygłą w uśmiechu uwagę na oderwane od rzeczywistości wykwintne otoczenie, podzielić uwagę, poszukać innych skojarzeń, a poprzez ich zrozumienie umożliwić mojej świadomości, tak bardzo zależnej od zmysłów, ucieczkę, tymczasem miałem nieprzyjemne poczucie, że moje usta i oczy śmieją się tak samo jak on, że odwzajemniam jego spojrzenie i jego uśmiech, nie potrafiłem zamknąć oczu, utożsamiałem się z nim, czas zaś płynął, i cokolwiek robiłem, czegokolwiek próbowałem, wszystko prowadziło mnie ku niemu, w tym samym kierunku, w którym on by zmierzał, gdybym tylko na to pozwolił, gdyby uśmiech nie zastygł na moich ustach, po prostu nie umiałem uwolnić własnych ust od jego uśmiechu, a to oznaczało, że powoli traciłem to wszystko, co nazywamy prawem do samostanowienia!, gdyby tak bardzo nie przeszkadzało mi jego bezpardonowe, wynikające zapewne z dotychczasowych doświadczeń, zapraszające, pełne niesmacznej wyższości dążenie do celu; jedyną szansą ucieczki byłoby więc pożegnać się pod jakimś zręcznym pretekstem i natychmiast wyjść, wyjść stąd!, tylko dlaczego tak chętnie tu szedłem?, albo odwrócić się na pięcie bez słowa i wyjść z jego mieszkania!, takiej możliwości jednak nie było, nie mogło być, mimo tego bowiem, że obydwaj staraliśmy się w całej tej sytuacji zachować pewne pozory zwyczajowo przyjętych norm, w istocie rzeczą była ona niezwykle wulgarna, dwaj młodzi mężczyźni stojący naprzeciw

siebie, jeden z nich zaprosił do siebie tego drugiego na drinka, co w tym niewłaściwego?, i choć wzajemna sympatia staje się dla nich powodem pewnego zażenowania, jest silniejsza od wstydu, choć można się spodziewać, że gorąca dyskusja, w której siła zmysłów ujawniłaby się w bardziej abstrakcyjnych treściach, być może pozwoliłaby nam przewyciężyć zażenowanie; oczywiście gdyby te pozory dobrego wychowania nie okazały się tak łatwe do zdemaskowania, a dwulicowość sytuacji nie sprawiała, że intymna bliskość stała się jeszcze silniejsza, czego wszak pragnąłem, ale jednocześnie chciałem uniknąć, wzajemna wyrozumiałość, że ja jego nie urażę, a on nie posunie się za daleko, umacniała nasz związek, wszystko go umacniało, i cokolwiek by mi się tu nie podobało, wiedziałem, że i tak każde wyrzeczenie, oszukanie samego siebie, zmrużenie powiek, zażenowanie, udawana obojętność czy wyrozumiałość, wszystko to wróci do mnie niczym bumerang.

Na domiar złego cały czas nie przestawał mówić, szybko, trochę głośniejsze niż trzeba, z każdym słowem bezlitośnie podążając za moim wzrokiem, nie mieliśmy innych tematów, komentował, patrząc mi w oczy, wyjaśniał to wszystko, co, jak się domyślał, może mnie zaciekawić; z pewnym sarkazmem mógłbym wszak stwierdzić, że były to tylko puste słowa, które wybawiały mnie z zakłopotania, a jego w jakiś sposób chroniły, by moje zażenowanie, widoczne w świdrującym, wymuszonym uśmiechu, nie odbiło się na jego twarzy, gadał dalej, dźwięczał, szeptał, umizgiwał się, aż udało mu się osiągnąć to, że jego wyższość, by nie powiedzieć: charakter jego wyższości, stała się dla mnie po prostu nie do zniesienia i nie do przyjęcia, była to bowiem typowa wyższość mężczyzny, czy przynajmniej tak sobie to zwykliśmy wyobrażać, dająca poczucie bezpieczeństwa, instynktownie natarczywa i czule brutalna, była zuchwałym odbiciem, gdzież tam odbiciem!, karykaturą ludzkiego zachowania, któremu dotychczas nie miałem okazji przyjrzeć się z bliska, choć podświadomie sam się tak zachowywałem, przybierałem tę nieprzyjemną pozę, której człowiek uczy się w młodości i wydaje mu się ona bardzo męska, nie mówić, tylko gadać bez sensu, by z potoku słów, zręcznego czarowania słowami, można było się domyślić rzeczywistej treści ukrytych zamiarów; dziwię się pewnie, zapytał, dlaczego pomalował podłogę na biało?, nie czekał jednak na odpowiedź, lecz na moment, w którym znowu uchwyci i zatrzyma moje spojrzenie, oczywiście wie, że tak się nie robi, ale co on robi tak jak inni?, i czy mi się podoba?, kiedy skończył, bardzo mu się podobała i był niezwykle zadowolony, już choćby dlatego, że nie chciało mu się szorować tamtej brudnej podłogi; to mieszkanie wyglądało jak stajnia, jak zwyczajny chlew, niech sobie tylko wyobrażę, że przed nim mieszkał tu jakiś staruszek, on często myśli o starości, boi się jej, przy jego niecodziennych skłonnościach ten wiek z pewnością będzie dla niego bardzo trudny, zdaje sobie z tego sprawę, wie, że jego ciało stanie się jednym wielkim ohydztwem, choć nadal będzie pełne młodzieńczych pragnień, i będzie pożądać młodych ciał, słowem: sąsiedzi opowiadali, że staruszek zmarł w hallu, tam gdzie teraz stoi kanapa, powiadają, że leżał na przemoczonym szczytnami worku ze słomą, on tedy prosi los, by oszczędził mu takiej starości, i żeby w ogóle oszczędził mu jakiegokolwiek starości; mogę sobie więc wyobrazić, jaki tu, kiedy się wprowadził, zastał straszny, potworny brud, smród aż wykręcał nos, nawet w zimie nie zamykał okien, jeszcze teraz, po czterech latach, czasami go czuje, poza tym dlaczego podłoga nie może być biała?, dlaczego zawsze ma być brązowa albo po prostu żółta?, czy to nie genialny pomysł przykryć brud kolorem nieskazitelnej czystości?, w końcu odpowiada to gustowi naszych poczciwych Niemców, a on, choć może niezupełnie, to przynajmniej w połowie jest Niemcem.

– Jak to, tylko w połowie? – zapytałem zaskoczony.

To długa i wyjątkowo zabawna historia, odrzekł ze śmiechem, jak ktoś, kto z łatwością

pokonuje niespodziewane przeszkody, i z tym samym entuzjazmem mówi dalej, czy zdarzyło mi się już kiedyś dokonać podobnych spostrzeżeń, jeśli nie, to z pewnością będę mógł się przekonać, że biel może być szczęśliwym symbolem narodowego charakteru podzielonych Niemiec.

Odparłem, że raczej zwróciłem uwagę na odcienie szarości, a że zawstydził mnie jakoś ten jego frywolny ton, bezwiednie odwróciłem wzrok.

On zaś ciągle nie spuszczał ze mnie oczu; to biurko, prawda, że jest wyjątkowo piękne?, i fotele, i świeczniki, dywany, to wszystko przywiózł od matki, wszystko, niemal wszystko, taka rodzinna scheda!, ograbił matkę bez reszty, ale przecież to dla niej radość, matkom coś takiego sprawia przyjemność!, na początku chciał, żeby całe mieszkanie zostało puste i zupełnie białe, żeby stało tu tylko białe łóżko przykryte białym prześcieradłem, i nic więcej, a opowiada mi te wszystkie głupoty, bo po prostu się cieszy, że tu jestem, nie śmiał mi tylko tego wyznaczyć, może więc napilibyśmy się po łyeczku?, ma właśnie przez przypadek butelkę francuskiego szampana, zamrożoną, trzymał na ważną okazję, nigdy przecież nie wiadomo, kiedy może nadarzyć się taka okazja, cóż bym więc powiedział, gdybyśmy uznali nasze spotkanie za coś ważnego i czym prędzej otworzyli tego szampana?

I kiedy wzięwszy moje roztargnione milczenie za odpowiedź, zostawił mnie samego i wyszedł po butelkę, stary zegar ścienny właśnie wybił północ, w otępieniu wsłuchiwałem się w jego uderzenia, „A więc już północ”, pomyślałem, co nie było wprawdzie zbyt odkrywczą myślą, choć wiele mówiącą, ostrzegło mnie bowiem, że już przestałem myśleć, a władzę nade mną przejęły odczuwanie i zmysły, przyglądałem się sobie jak przedmiotowi, o którym nawet nie wiem, skąd się tu wziął, i choć to uczucie nie było mi nieznane, to jeszcze mocniej i jeszcze wyraźniej czułem, że to miejsce jest tak samo niezwykle jak zegar wybijający możliwą do policzenia liczbę uderzeń, coś się musi wydarzyć, coś skierowanego całkowicie przeciw mnie, coś, co odmieni moje życie, a ja, cokolwiek by to było, ulegnę bez słowa sprzeciwu, godzina upiorów, godzina duchów, co może bardziej nam sprzyjać!, śmiałem się z samego siebie, jak gdybym nigdy niczemu nie ulegał, choć to może pewna przesada, jak panienka, która nie potrafi się zdecydować, czy już ma stracić cnotę, czy jeszcze jej strzec?, jak gdyby ten pokój był ostatnią stacją wyczekiwania nie wiadomo na co, odraczania nie wiadomo czego, wprawdzie wielkim wysiłkiem woli starałem się zachowywać tak jak zawsze, ale co to za rozkosz odgrywać rolę przed samym sobą!, jak gdybym nawet nie podejrzewał, jakie mnie czeka wyjątkowe zadanie, albo już nawet mnie spotkało, tylko co to jest?

Świece paliły się z sykiem, ich piękno działało uspokajająco, na dworze padało, a kiedy zegar wybił godzinę, nie słyszałem nic więcej, tylko barokową muzykę miarowych taktów, szum i huk deszczu, jakby ktoś z przesadną dbałością wyreżyserował tę piękną scenę.

Bo ktoś to wszystko wyreżyserował, jestem tego pewien, nie on i nie ja, może wyreżyserowało się samo, jak każde przypadkowe spotkanie, o które nikt świadomie i z rozmysłem nie zabiegał, a które później, z perspektywy czasu, postrzegamy jako objawienie czekającego nas losu; w pierwszym momencie wszystko wydaje się zwyczajne, przypadkowe, niejasne i pozbawione znaczenia, jakieś fragmenty, przebłyski, którym nie należy przypisywać zbyt wielkiego znaczenia ani przywiązywać do nich zbyt dużej wagi, to bowiem, co w takich chwilach wśród gmatwaniny wydarzeń jawi się znakiem czy zdaje się ostrzeżeniem, nie jest niczym innym jak szczegółem obcej, niezwiązanej z nami historii; on bowiem był przyczyną cokolwiek śmiesznych, miłosnych katuszy Thei, myślałem wówczas, o nim przecież opowiadała Kühnertowej tamtego nudnego, ciemnego jesiennego popołudnia w sztywnej ciszy sali prób,

nazywając go chłopczykiem, co bez wątpienia stanowiło wystarczająco osobliwe, demonstracyjnie ironiczne określenie, by wzbudzić nasze zainteresowanie, dla mnie jednak w tamtym momencie o wiele bardziej fascynujące było śledzenie odbywających się w niej procesów psychicznych, to, co działo się w niej samej, obserwowanie kolejnych faz zachodzących w niej zmian, dzięki którym potrzebne do odegrania tamtej sceny burzliwe emocje mogła przelać na zewnętrzny podmiot, który nazwała sobie chłopczykiem; Thea zaś, jak każda prawdziwa aktorka, posiadała, o czym już kiedyś wspomniałem, szczególną zdolność, by to wszystko, co się w niej dzieje, włączywszy w to jej prywatne emocje, uczynić widowiskowym i możliwym do odczytania także dla innych, a ponieważ aktorskie przedstawianie uczuć często czerpie pożywkę z tak zwanego osobistego życia, to nigdy nie wiemy, kiedy aktor myśli o czymś naprawdę, a kiedy gra i się bawi, choć dla niego może to być najzupełniej poważna sprawa; słowem, miała zwyczaj, przeciwnie niż każdy zdrowo myślący śmiertelnik, bawić się tym, co poważne, by móc brać serio to, co jest zabawą!, samo to zjawisko bardziej mnie zainteresowało niż pytanie, kim też może być ów człowiek, którego z sarkazmem nazywała chłopczykiem, człowiek, którym tak pogardza i którego tak nienawidzi, że nawet nie wypowie jego prawdziwego imienia, i do którego nie śmie zadzwonić, bo z jakiejś nieznannej mi przyczyny kiedyś poprosił, by więcej do niego nie dzwoniła, a którego bliskości teraz, w chwili, kiedy musiała zerwać z obowiązującą na scenie, pozbawioną jakiegokolwiek spersonalizowanego odniesienia tęsknotą za miłością, tak bardzo pragnęła, że gotowa była znieść każde poniżenie, i w którego pokoju znalazłem się tej nocy, w pewnym sensie zamiast niej.

Kiedy bowiem, mimo wszelkich złowieszczych znaków, a było ich doprawdy wiele, postanowiłem ulec ich namowom i spędzić z nimi wieczór, „No, proszę! Dlaczego jest pan taki okropny? Dlaczego nie chce pan pójść z nami? Dlaczego każe się pan prosić, skoro mi tak zależy? Och, do szalu mnie doprowadzają ci wszyscy chłopcy! Przynajmniej go pan pozna, to naprawdę bardzo interesujący człowiek, ale nie musi pan być zazdrosny, bo oczywiście nie jest taki interesujący jak pan! Sieglinde, bardzo cię proszę, poproś, żeby z nami poszedł! Proszę, bardzo proszę, niech pan z nami pójdzie! Czy to nie wystarczy?”, mruzczała, szeptała, odgrywała naiwną, głupiutką uwodzicielkę i przytuliwszy do mnie swoje kruche, delikatne ciało, wzięła mnie pod rękę; i choć trudno mi było oprzeć się jej zabawnym zalotom, to z pewnością nie dlatego z nimi poszedłem, że kierowała mną ciekawość, nie mówiąc już o zazdrości!, ani dlatego, że podniecał mnie perwersyjny bez wątpienia związek ich dwojga, poszedłem chyba tylko dlatego, że od chwili, kiedy Thei udało się wreszcie oderwać pełen odrazy i miłosnej żądzny wzrok od nagiego ciała Hübchena, odwróciła się do nas i dostrzegła mój lubieżny, skupiony wzrok rozkoszującego się oglądaniem widza, byłem do głębi poruszony tym wszystkim, co działo się w niej na tej subtelnej granicy zawodowej i prywatnej szczerości, i nie potrafiłem rozstrzygnąć, czy scena, którą w kulminacyjnym momencie przerwała grubiańska uwaga reżysera, nie znajdzie swojego dalszego ciągu pomiędzy nami, co do tego bowiem, że musi trwać nadal, nie miałem najmniejszych wątpliwości.

A jednak gra tocząca się pomiędzy nami okazała się najzupełniej trzeźwa i żadne zbłąkane, wymykające się spod kontroli spojrzenie nie mogło zmienić jej świadomego, rozumnie wytyczonego toru, stawała się najwyżej jeszcze pikantniejsza, a nowe zakręty i nowe meandry uczuć dodawały zuchwałości i żaru wszystkiemu, co w swej istocie było i pozostało zimne; jak gdyby zachwyceni swoją duchową wyższością, dumnie i butnie mówiliśmy do siebie, że nie!, nie!, potrafimy przecież przeczekać takie przypadkowe i instynktowne chwile, nie będziemy rzucać się na siebie jak zwierzęta, najgorętsza, żadna wszystkich szczegółów i detali ciekawość

albo wzajemne zainteresowanie sobą, które w przeciwny życiu sposób pozostają w sferze świadomości, pozwolą ujawnić się wszelkim brutalnym instynktom!, gdyż zainteresowanie jest tak żarliwe, że nawet na chwilę nie pozwalają na rozluźnienie, konieczne, by pomiędzy dwiema osobami mógł zaistnieć naturalny związek; zjawisko to jednak nie jest wcale takie wyjątkowe, jak mogłoby się wydawać, wystarczy przecież pomyśleć o zakochanych parach, które osiągnąwszy grożący samounicestwieniem zenit uczuć, tak długo nie są zdolne połączyć się fizycznie, aż z duchowych wyżyn miłosnej rozkoszy nie wrócą z powrotem do zwyczajnej bliskości, aż męki ich ciał nie zduszą w nich ducha miłości, by poprzez wspólne, wzmagające się do niemożliwości męczarnie dostąpić tej nie wiecznej i nie ostatecznej, lecz krótkiej jak przebłysk chwili, wyzwalającej rozkoszy zaspokojenia, dostąpić nie tego, do czego dążyli, lecz tego, na co pozwalają im ich ciała.

Staliśmy w wąskim, oświetlonym niemiłym blaskiem neonowych lamp, dziwnie cuchnącym korytarzu, prowadzącym z sali prób do garderoby, magazynów, pryszniców i toalet, w zaduchu lepkich od brudu dekoracji, farb, pudrów, wód kolońskich, przepoconych kostiumów i ludzkich ciał, wiecznie zatkanym ścieków, znoszonych kapci i pantofli, po raz pierwszy blisko siebie, z tak bliska jeszcze nigdy nie widziałem jej twarzy, w rzeczywistości jednak przyglądałem się nie twarzy kobiety, lecz jakiemuś szczególnemu krajobrazowi, miłemu sercu i bliskiemu, gdzie znam każdy tajemny zakątek, każdą uliczkę, zakamarek służący za kryjówkę, cienie, związane z nimi wspomnienia, znaczenie najdrobniejszego drgnięcia, krajobraz, który sprawiał, że stawałem się bezbronny niczym dziecko; Kühnertowa roztargnionym, obrażonym ruchem wzięła do ręki słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu, i świadoma poczucia spełnianego obowiązku, „Patr! Choć twoje prośby są dla mnie poniżające, nie ma takiej, której bym nie spełniła!”, teraz kończyła relacjonować rozmowę, którą właśnie przed chwilą odbyła z Melchiorem, „No, czy nie mówiłam? Mnie nikt nie potrafi się oprzeć!”, zawołała Thea, kiedy Kühnertowa, choć wściekła, z uśmiechem na ustach odłożyła słuchawkę, Thea doprawdy zachowywała się skandalicznie, jak zwykle, każdy najmniejszy sukces zawsze przypisywała sobie, fakt, że robiła to zabawnie, świadoma swojej słabości, ale jednak tak właśnie robiła!, Kühnertowa jednak nie bez powodu się obraziła, nie była to przecież łatwa rozmowa, przekonać kogoś do czegoś, czego on wcale a wcale nie chce, najzupełniej oczywiste było bowiem, że Melchior nie dlatego przyjął zaproszenie, że nie mógł oprzeć się Thei, ale dlatego, że fortel okazał się umiejętny, pułapka zadziałała, Melchior uległ nie zaproszeniu, ale osobie pośrednika, jej, Kühnertowej, której, choć wcale jej nie znał, po prostu nie chciał urazić; ściślej mówiąc, Melchior, który nawet nie podejrzewał, że Thea bez najmniejszych oporów wszystko wypaple, jak gdyby poprzez taką jawność próbowała ustrzec swoje rzeczywiste, najskrytsze tajemnice, nie chciał, by jego nietaktowna odmowa stała się rzeczą ogólnie znaną, nie chciał, by wszyscy się dowiedzieli, że już kiedyś odmówił Thei, jak później bronił się przed zaciekłymi, aczkolwiek moralnie nie zawsze uzasadnionymi atakami, nie chciał zatem wtajemniczać Kühnertowej w tajemnicę, która, jak wiemy, wcale nie była dla niej tajemnicą; jej pełne wyrzutu spojrzenie i ton spowodowane były jednak nie tamtą kłopotliwą rozmową, ale cichą zemstą Melchiora, który dał Thei do zrozumienia, że daremny jej trud, on jest tu panem sytuacji, i przyjdzie!, owszem, czemu nie!, ale przyprowadzi ze sobą swojego francuskiego przyjaciela, który właśnie u niego mieszka, na co Kühnertowa nie mogła przecież odpowiedzieć, żeby nikogo nie przyprowadzał, wręcz przeciwnie, dodała, że Thei zawsze sprawia wielką radość, kiedy może poznać jego przyjaciół; powodem wyrzutów, urazy i wściekłości Kühnertowej był nieoczekiwany i niemożliwy do wytłumaczenia czuły gest, kiedy Thea podczas rozmowy obróciła się do mnie

i objęła mnie za szyję, pomrukiwała, zalecała się, co ja naturalnie odwzajemniłem nieporadnym uśmiezkiem, dlaczego właściwie mnie obściskuje, skoro chce innego?, czy teraz chce mnie zamiast jego?, tak jak przed chwilą zamiast nagiego ciała Hübchena wybrała moje zdradzające wszystko spojrzenie?, czy może chce ich obydwóch?, może dlatego pragnie ich spotkania, aby mogła rozegrać ich przeciwko sobie i udowodnić, że nie, Melchior jej nie interesuje, ona owinie sobie każdego wokół palca!, może chce powetować sobie poniżenie, jakim były dla niej odmowa i grubiaństwo Melchiora, i które w scenie granej z Hübchenem na próbie pękło w niej niczym śmiertelna rana, właśnie, pragnie tego, co młode i piękne!, krwawiące po słownej utarczce z reżyserem; w każdym razie ten widok nas dwojga, przytulonych i wpatrzonych w siebie, pełnych wzajemnego zaufania, czułości i zainteresowania, tam na korytarzu, gdzie wokół toczyło się zwyczajne życie, mocno sfrustrował Kühnertową, robotnicy nosili dekoracje i rekwizyty, ktoś spuścił w klozecie wodę, Hübchen przedefilował z prysznicą do garderoby, puszczając oko do Thei, jak gdyby chciał powiedzieć, „No, widzisz, ty nieszczęsna kurwo, teraz od niego dostaniesz to, czego przed chwilą chciałaś ode mnie!”, Kühnertowa jednak nie pojęła ani jej gestu, ani naszych spojrzeń, nie mówiąc o tym, że Thea nawet jednym słowem nie podziękowała jej za pośrednictwo, już choćby z tego powodu, że była zajęta mną, a ponadto uważała za oczywiste, że Kühnertowa jest na jej usługi.

Rzecz jasna, wkrótce wydało się, że Thea tylko stwarza pozory, jakoby była mną zainteresowana, podobnie jak ja, aczkolwiek jej udawane zainteresowanie sprawiało mi przyjemność, tak samo, jak gdyby było rzeczywiste i prawdziwe, pochlebiała mi nim, jej ciało było lekkie i delikatne, i nie po raz pierwszy czułem, że mam ochotę ją przytulić, rozumiałem, że tego ciała nie wolno posiąść brutalnie, że tę kruchość, nadal jednak pełną siły, dostanie tylko ten, kto będzie dla niej czuły, czyja przemoc będzie lekka jak oddech, słowem: zwała mnie z nóg, ze skupieniem i niemal poddańczą uwagą śledziłem, jak to robi, bo przecież coś w tym celu robiła, jak stwarza tę doskonałą grę pozorów, jak umie budować nieodwracalne w swoich skutkach sytuacje, cały czas jednak pozostając na zewnątrz nich, gdzie właściwie jest, skoro nad każdym swoim gestem do końca zachowuje kontrolę, choć ja także stwarzałem pozory, jakobym był jej oddany, pełen szacunku i miłości, właśnie taki, jakim widziała mnie Kühnertowa; aczkolwiek wszystko to było śmiertelnie poważną grą pozorów, trzymającą mnie w ogromnym napięciu od chwili, kiedy sześć tygodni przed sceną, która rozegrała się w korytarzu, Langerhans po raz pierwszy zaprowadził mnie do swojego stolika i posadził obok Kühnertowej na pustym krześle, którego nigdy nie używał, jako że podczas prób spacerował po sali, drapiąc się po brodzie, zdejmując i zakładając z powrotem okulary, trochę nieobecny i jak gdyby zajęty czymś innym, niż się w rzeczywistości zajmował.

W ogóle nie pamiętam, jak Thea znalazła się przy naszym stoliku, ledwie bowiem zająłem to pod wieloma względami coraz bardziej niekomfortowe miejsce, ona już tam była, a może była już wcześniej, tylko jej nie zauważyłem?

Być może była tam albo przyszła później, w każdym razie od samego początku odnosiłem wrażenie, że jest tam z mojego powodu, a moje roztargnienie i luki w pamięci są tylko kolejnym dowodem na to, że mechanizm uczuć, który w tej powieści stanowi przedmiot naszego zainteresowania, jest głęboko ukryty pod żywymi uczuciami i nic ważnego nie potrafimy o nim orzec; jak gdyby każde zdarzenie przysłała wyostrzona uwaga, przez którą później pamiętamy nie to, co się wydarzyło, ale to, jakim się to nam wydawało, czy jakie uczucia żywiliśmy do tamtego, ginącego we mgle naszej koncentracji wydarzenia, i w ten oto sposób zdarzenie nigdy nie jest dla nas zdarzeniem, zmiana zmianą, a zwrot zwrotem, mimo iż

nieustannie oczekujemy od życia zmian i dramatycznych zwrotów, ponieważ to od nich, od zmian i zwrotów, jakkolwiek tragicznych, oczekujemy wybawienia, wzniosłych uczuć, czegoś w rodzaju „właśnie na to czekałem”, tak jednak, jak skupienie przysłania zdarzenia, tak wyczekiwanie przysłania zmiany, a wszystkie najistotniejsze zmiany w naszym życiu zachodzą w nas samych, niepostrzeżenie, w największej ciszy, a coś podejrzewać zaczynamy dopiero wówczas, kiedy sytuacja tak niebezpiecznie zdąży już nami zawładnąć, że powrót do tego, co choć znienawidzone i pogardzane, ale znane i dające poczucie bezpieczeństwa, jest już niemożliwy.

Po prostu nie zauważyłem, że od momentu, w którym pojawiła się Thea, stałem się innym człowiekiem.

A zatem stała tam pod sceną, z łokciami opartymi o blat stołu, jak gdyby w ogóle mnie tam nie było, i prowadziła chyba już wcześniej rozpoczętą i z jakiejś przyczyny przerwana rozmowę; znałem ją z filmów i z fotografii, nagle przypomniało mi się nawet, jak podnosi kołdrę i wchodzi komuś do łóżka, o dziesięć lat młodsza, jej drobne piersi wysuwają się do przodu, a jednak wydała mi się nieznajoma, jak gdybym po raz pierwszy przyglądał się twarzy bliskiej mi osoby, matki albo kochanki; uczucia, że jest dla mnie kimś znanym i bliskim, a jednocześnie nieznajomym, wzbudzającym naturalną ciekawość i zawstydzenie, były tak sprzeczne ze sobą, że nie potrafiłem uczynić nic innego, jak ulec im obydwóm naraz, a jednocześnie zachowując pozorną obojętność, od tej chwili patrzyłem już tylko na nią, zatrzymując w nozdrzach jej zapach, podczas gdy próbowałem udawać, że interesuje mnie to wszystko, co jest wokół nas, jak gdybym patrzył na wszystko, tylko nie na nią; ciekawe, że ona też, choć z całkiem innych, później dopiero wyjaśnionych przyczyn, zachowywała się podobnie, jakby moja twarz nie znajdowała się pół metra od jej twarzy, jak gdyby nie czuła promieniającego od niej ciepła, i coś do mnie mówiła, choć właściwie mówiła do Kühnertowej; prowadziła dalej rozmowę, jak gdyby nic się nie stało, tak jednak formułując zdania, tak subtelnie akcentując wypowiedzane słowa, by dla mnie, który znalazłem się w samym środku tej historii, poprzez swoją niezrozumiałość stały się interesujące.

Coś chyba w tym sensie, że od kogoś stamtąd dostała mrożone krewetki, od kogoś stamtąd, zza muru, z drugiej, zachodniej części miasta, i to dziwne słowo tak zmieniło sens wypowiedzianego w zgiełku popołudniowej próby zdania, że wydawało się ono nie mieć nic wspólnego z rzeczywistością, jak gdyby pochodziło z jakiejś bajki albo z zabawnego horroru, budziło skojarzenia, że człowiek po wyjściu z sali od razu napotka na mur, ten mur, o którym tak rzadko rozmawialiśmy, za murem będą zasieki, pułapki dla czołgów i zdradziecko zakopane w ziemi miny, a pierwszy nieuważny krok będzie groził wybuchem!, przywodziło na myśl skojarzenia o ziemi niczyjej, jaką był przygraniczny pas, a za nim miasto, tamto miasto, cudowne miasto, miasto-duch, dla nas jednak nieistniejące, z którego mimo to, nie zważając na karabiny maszynowe i wyczulone na zapach ludzkiej krwi psy, przywożono te mrożone krewetki, przywiózł je ktoś znajomy, nie dosłyszałem jego nazwiska, czułem jednak, że to ktoś tam bardzo ważny, i że czuje do niej wielki szacunek, kiedy otworzyła torebkę i wysypała zawartość na talerz, wydało się jej nagle, że widzi różowe larwy, które właśnie się oprządyły, gdy nadeszła epoka wielkich lodów, nie pierwszy raz w życiu widzi krewetki, ale teraz, nie wie nawet dlaczego, poczuła do nich wstręt, zrobiło się jej niedobrze, myślała, że zwymiotuje, nie wiedziała, co robić, bo czy to doprawdy nie obrzydliwe, żeby tak wszystko zjeść!, czy nie byłoby lepiej na przykład być hipopotamem i jeść błyszczące, chrupkie, smakowite roślinki?, ale kubki smakowe ludzkich języków pełne są bezsensownych pragnień, chcą czegoś pikantnego,

kwaśnego, chęć słodkiego i gorzkiego, wyrzucała z siebie potok słów, że nieomal pękną, tyle jest w nich tych pragnień, więcej niż smaków istnieje na świecie, prawdziwym bezwstydem jest nie to, tak sądzi, że ktoś publicznie się pieprzy, ale to, że wszyscy publicznie się obżerają, i wreszcie zdecydowała, choć ciągle jeszcze ją mdliło, a Kühnertowa wie dobrze, że ona, zanim zacznie gotować, ładnie i gustownie układa sobie na stole wszystkie potrzebne produkty, dzięki temu widzi, jak jeden smak wędruje obok drugiego, pozwala pracować językowi i oczom, to się nazywa drażnienie podniebienia, drażnienie podniebienia jest dla niej grą i improwizacją, dla których nie stanowią przeszkody nawet największe wymioty!, postanowiła zrobić purée z kartofli, oczywiście nie takie zwyczajne, ale z tartym ostrym serem i kwaskowatą śmietaną, dzięki którym nudny smak ziemniaków, masła i mleka staje się finezyjny, parujące purée ułożyła na talerzu, w środku zrobiła wgłębienie i napełniła je rozgrzany na maśle pełnym przypraw krewetkami, po czym podała wszystko z uduszoną w doprawionym goździkami maśle marchewką, było boskie!, proste, a jednak boskie!, zwyczajne, ale wykwintne, popite wytrawnym białym winem!, „No proszę, jaka jestem!”.

Wysunęła głowę osadzoną na długiej, sprężystej od wyćwiczonych silnych mięśni, a mimo to trochę dziecinnej, zbyt szczupłej, delikatnej, jak gdyby trochę niedorozwiniętej szyi, niemal podała swoją twarz, uniosła lekko szczupłe, kościste ramiona, przygarbiwszy grzbiet jak kotka gotowa do skoku, i przeciągle, ze spokojem spojrzała nam wszystkim w oczy, jak gdyby zapraszając do zabawy, której jedynym narzędziem i miejscem będzie twarz, mimika i oczy, i którą prowadzić będzie, ma się rozumieć, ona, bez wątpienia było w tym coś z kokieterii, aczkolwiek nie tej już nam znanej, w tej grze nie chciała być piękna i pociągająca, ale brzydza od wszystkich, jak gdyby świadomie się oszpecała, ściślej się wyraziwszy, jak gdyby jej ciało miało inne zdanie na temat piękna i uważało za naiwne czy tchórzliwe powszechne przekonanie, że ludzkie ciało i twarz w ogóle mogą być piękne, a nie są jedynie funkcjonalnie zbudowanym systemem kości, mięsa, skóry i wszelkiej galaretowatej materii, które nie mają nic wspólnego z pojęciem piękna, w wyniku czego nie ma sensu do tego piękna dążyć; ona jednak z pewnością zajmowała się sobą z dużo większą dbałością niż ktokolwiek inny, choć mogło się wydawać, że celem tych zabiegów było jedynie wyśmianie, ośmieszenie i zironizowanie tego pragnienia urody i doskonałości, z pewną przesadą można było tedy powiedzieć, że z lubością tak się wygłupia, złości, denerwuje i prowokuje wszystkich swoją brzydotą, jak niedobry dzieciak, który wybrykami i nieposłuszeństwem chce zwrócić na siebie uwagę, a niczego więcej przecież nie chce, jak tylko żeby ktoś go pogłaskał i wziął na kolana; samodzielnie ścięte na krótko włosy, „żeby nie pociły się pod peruką”, lepiły się do jej niemal doskonale okrągłej głowy, i choć nie wykrztusiłem nawet słowa komentarza, w zawiłym monologu uzasadniła sens swojej fryzury, uważa bowiem, że człowiek może się pocić na dwa sposoby, tak po prostu, fizycznie, kiedy ciało z takiej czy innej przyczyny nie potrafi przystosować się do temperatury otoczenia, jest zmęczone, wyniszczone czy, wręcz przeciwnie, sflaczałe i przekarmione, od tego jednak o wiele częstsze jest pocenie się psychiczne, kiedy nie akceptujemy tego, czego żąda od nas ciało, kiedy postępujemy tak, jak gdybyśmy nie rozumieli języka naszego ciała, kiedy kłamiemy, coś udajemy, jesteśmy słabi, nieszczęśliwi, zbyt łapczywi i tchórzliwi, niezdecydowani i głupi, kiedy chcemy przeforsować coś wbrew własnemu ciału, coś, czego żąda od nas wychowanie lub tradycja, i walka takich sprzecznych ze sobą pragnień wytwarza ten żar, mówimy, że oblewa nas pot, ona więc, jeśli może czegoś chcieć, pragnie pozostać wolna, chce wiedzieć, kiedy poci się jej dusza, nie chce peruk i kostiumów zasmarowywać potem, który nie jest niczym innym jak brudem naszych dusz, bo przecież właśnie dlatego człowiek nie znosi swojego potu i się go



wstydzil, jaki bowiem mógłby mieć inny powód?, nienawidzi w nim po prostu własnego strachu i brudu własnej duszy; oczywiście mówiąc to wszystko, nie wyjaśniła, dlaczego farbuje sobie włosy, raz na rudo, raz na czarno, albo czasami w ogóle się nimi nie przejmując, pozwala, by odrosły i żeby było widać, że gdyby ich nie farbowała, byłyby niemal całkiem siwe, wprawdzie nie przypominały już prawdziwych włosów, były cienkie, słabe, rzadkie, zanim jeszcze zrobiły się siwe, miały nijaki kolor, ani jasny, ani ciemny, dziwny puch przypominający piórka na głowie pisklęcia, charakteru jej twarzy nadawały tylko wystające kości policzkowe, miała nieciekawie rysy, jej twarz była nudna, czoło zbyt wysokie i niezbyt szerokie, przesadnie krótki, niezdarnie zadarty nos z dwiema zbyt mięsistymi dziurkami, pokazującymi światu wnętrze nosa, szerokie, zmysłowe wargi, które jednak, że tak się wyrażę, przylegały do jej twarzy, jak gdyby były źle dopasowane, jak gdyby trafiły tu z innej twarzy, ale jaki głos wydawały z siebie te usta, zza żółtych od nikotyny, silnych zębów!, głęboki, szorstki, niski głos lub, kiedy chciała, miękki, subtelny bądź histerycznie wysoki, wydawało się, że w tej brutalności kryje się jej czułość, a w szeptach leży możliwość krzyku, ten krzyk zaś jest jednocześnie syczącym od nienawiści szeptem, jakby każdy wydany przez nią głos stanowił jednocześnie własne przeciwieństwo; podobnie dwuznaczna była jej twarz, o rysach zniszczonej, zmagającej się z emocjonalnymi deficytami, ciągle niezaspokojonej, smutnej i nieciekawej prostej kobiety, twarz nieróżniącą się niczym od tych, które w tak zwanej godzinie szczytu, wczesnym rankiem i późnym popołudniem, można zobaczyć w podmiejskiej kolejce albo metrze, zatopione w dziwnym spokoju zmęczenia i zbędności, bogata w pigment śniada skóra przypominała na jej twarzy maskę, w której świeciły ogromne, zaakcentowane gęstymi rzęsami, bezgranicznie ciepłe, dobre, wyrozumiałe i mądre piwne oczy, wydające się należeć do tej drugiej, prawdziwej, ukrytej pod maską twarzy, i wcale to nie sentymentalna przesada, jeśli wspomnę o ich blasku; zastanawiając się nad wiarygodnym wytłumaczeniem tego wszystkiego, pomyślałem sobie, że jej oczy były większe, niż zazwyczaj spotyka się w takich drobnych twarzach, albo ich wykrój był bardziej okrągły, co wydawało się tym bardziej prawdopodobne, że kiedy zamknęła oczy, nie sprawiały wcale wrażenia mniejszych czy mniej wyrazistych, przykrywały je ciężkie, gładkie, zarysowane łukiem powieki, maska zaś była pełna zmarszczek, klasyczna mapa mimicznego starzenia się twarzy, wzdłuż czoła biegły poziome bruzdy, gęste i równe, kiedy zaś uniosła brwi, dwie pionowe zmarszczki przesywały czoło u jego zewnętrznych krawędzi, jak gdyby na jej czole drżały dwa leciutko pokarbowane skrzydełka ćmy, i tylko na dwóch muszlach skroni oraz brodzie skóra była gładka, przez nos, wzdłuż linii kości przechodziła linia przypominająca raczej miękko obramowane zagłębienie niż zmarszczkę, kiedy robiła wargami dzióbek, nad nim tworzyły się zmarszczki, one zdradzały jej wiek, gdy śmiała się, biegły promieniście od kącików oczu, i choć pod policzkami na wystających kościach szczękowych skóra była młodzieńcza i aż do przesady naciągnięta, tam na policzkach, gdzie tryumfowały zmarszczki, mściła się dziewczicza sprężystość skóry, trzeba było dobrze się przypatrzeć, żeby się w nich rozeznac, gdyż nie był to chaos, lecz bogactwo najrozmaitszych szczegółów, tak że ludzkie oko nie było w stanie ich objąć, a zwłaszcza odczytać, jednym spojrzeniem.

– Zaczekamy, aż się pani przebierze, dobrze? A potem jeszcze sobie porozmawiamy?

– Tylko proszę się pospieszyć!

Ciągle jeszcze na mnie patrzyła, śmiały się do mnie roweczki wokół oczu, gęste, zachodzące na siebie, załamujące się w łuk linie, które niekiedy czyniły niewidocznymi głębokie bruzdy goryczy i bólu ciemniejące wokół ust, ona tymczasem powoli, zważając, by przejście z jednego stanu duchowego w drugi było łagodne i tym sposobem piękne, wysunęła ramię spod mojego

ramienia, w blasku jej oczu już było widać, że nie będzie miała czasu odwdziżyć się za moją gotowość, zawsze, kiedy coś osiągnęła, już jej to nie interesowało, już tu jej nie ma, i jeżeli rzeczywiście będzie chciała się pospieszyć, to nie dlatego, by spełnić moją prośbę, nie po to, by się przebrać, ale dlatego, że już zajmowało ją coś zupełnie innego.

„Tylko że ja, nie gniewaj się, wcale nie mam ochoty tam z wami iść. Ani mi to w głowie. Tym razem sobie daruję”, rzekła Kühnertowa pełnym wyrzutem, urażonym głosem, w którym nie było już słychać nawet resztek samodyscypliny, Thea zaś, zostawiwszy mnie, pędziła długim korytarzem, by zniknąć w garderobie Hübchena, i tylko w biegu krzyknęła do Kühnertowej: „Nie mam teraz czasu zajmować się tobą!”.

Kühnertowa, jak ktoś, kto usłyszał dobry żart, roześmiała się na cały głos, może zresztą nie była w stanie zareagować inaczej, na taką wielką podłość i bezczelność nie mogła odpowiedzieć urazą, w ten sposób bowiem wyraziłaby tylko swoje wielkie przywiązanie, a to zniweczyłoby wszystko i jedynie sprawiło Thei radość, podeszła do mnie, jak gdyby szukając ciepłego jeszcze miejsca swojej przyjaciółki, instynktownym, pozbawionym opanowania ruchem chwyciła mnie za rękę i dopiero kiedy uświadomiła sobie ten swój gest, jej uśmiech zastygł w grymasie zażenowania, a ten nagle, bez najmniejszego przejścia, z całą brutalnością zamienił się w niczym nieumotywowaną powagę.

Kiedy przyglądałem się innej twarzy, nie zaś twarzy Thei, wszystkie one, włącznie z moją własną, która też w tym względzie nie stanowiła wyjątku, wydawały mi się ordynarne, proste, surowe i nieokrzesane, niezręcznie i grubiańsko wyrażające uczucia; tak samo w tej chwili najchętniej wysunąłbym ramię spod ramienia Kühnertowej, ona też najchętniej cofnęłaby rękę, a mimo to pozostaliśmy w miejscu, które wyznaczyła nam Thea, nie wiedząc, co z nim począć, ona, coraz bardziej zakłopotana moim niezręcznym zachowaniem, pozwoliła sobie na szczerość i rozmowność, której wcale nie uzasadniała zaistniała sytuacja, co sprawiło nas obydwoje w tak wielkie zażenowanie, że zaczęła rodzić się pomiędzy nami więź, której przecież żadne z nas nie pragnęło.

– Bardzo pana proszę, niech pan tam z nią nie idzie! – powiedziała, krzyknęła, wczepiwszy się w moje ramię. – Bardzo pana proszę, niech pan się do tego nie miesza!

– Ale do czego? – uśmiechnąłem się głupio.

– Niewiele jeszcze pan z tego wszystkiego rozumie, i nie trzeba, żeby pan rozumiał! Czasami wydaje mi się, nie chciałabym pana urazić, że pan właściwie nie wie, co my tutaj mówimy, i może się panu wydawać, że ona jest zwariowana, albo czy ja wiem! Proszę się nie gniewać, ale tego nie da się wytłumaczyć, to jest szaleństwo! Próbuję ją powstrzymać, na ile potrafię, ale czasami muszę ustępować, bo nie mogłaby się kurwić, to przez to tak się dzieje, a wtedy całkiem by zwariowała! Proszę, bardzo pana proszę, niech pan nie wykorzystuje swojej sytuacji! Gdyby nie pan tu był, lecz ktoś inny, wyprawiałaby to samo, chyba słyszy pan, co tam wyprawiają!

Rzeczywiście, z garderoby Hübchena dochodził niepowstrzymany, szaleńczy chichot, wrzask mężczyzny i krzyk Thei, odgłosy przewracających się przedmiotów spadających na ziemię, jej chichot i dumne frazy perlistego sztucznego śmiechu, z hukiem trzasnęły drzwi, na chwilę mały pokój wstydliwie zdusił w środku odgłosy rozkoszy, potem drzwi się otworzyły, i nie w tym rzecz, że nie rozumiałem, co Kühnertowa do mnie mówi, rolą, którą mi swoimi słowami przedstawiła, wydała mi się nader frapująca, czy istnieje bowiem historia, którą można lepiej zrozumieć?, czy istnieją takie szczegóły, w których można się dopatrzeć jeszcze większych, jeszcze bardziej obiecujących szczegółów?, jeśli więc nadal będę odgrywał przed nią

głupca, będę mógł mieć nadzieję, że poznam kolejne szczegóły i kolejne nieznane mi dotychczas konteksty.

„Doprawdy, proszę się nie gniewać, ale nie rozumiem, o czym pani mówi?”, odparłem z niewinnym uśmiechem, udawałem zagniewanego i urażonego, i moje rachuby mnie nie zawiodły, gdy nie rozumiemy rozmówcy, zawsze mu tym pochlebiamy, i to właśnie pchnęło ją w kierunku, w którym już i tak zmierzała, mówiła bez ogródek, mówiła do głupca, wylewając na mnie całą swoją wściekłość, która wezbrała w niej podczas rozmowy z Melchiorem, „Nie rozumie pan! Nie rozumie!”, zniecierpliwiona wyrzucała z siebie szeptem, nie spuszczać wzroku z tego, co działo się na korytarzu, „O tym właśnie mówię, że nie może pan rozumieć! I wcale nie musi pan rozumieć, nawet nie chcę, żeby pan to rozumiał! To prywatna sprawa, ale jeśli już chce pan wszystko wiedzieć, rzecz w tym, że ona się na śmierć! – rozumie pan? zna pan to uczucie? – na śmierć zakochała, a w każdym razie tak sobie wmawia, w tym chłopaku!”, tu z wściekłością obróciła głowę w stronę telefonu, „I nie dość, że jest od niej dwadzieścia lat młodszy, to jest pedałem, a ona wbiła sobie w łeb, że musi go uwieść, bo nigdy jeszcze nikogo nie kochała tak jak jego, a przecież mogłaby pójść do łóżka z takim idiotą, z kimkolwiek, choćby z panem! Czy pan to rozumie? Ale ona chce z tym, z kim nie może! Teraz już wie pan wszystko. I proszę pana, żeby pan natychmiast stąd zniknął. Niech się pan na mnie nie gniewa. Niech pan natychmiast stąd idzie! Wtedy może uda mi się jeszcze ją powstrzymać! Nie mogę znieść, żeby pozwalała się tak poniżać! Czyż pan nie rozumie? Nie mogę tego znieść!”

Jakkolwiek fałszywy był ten przyływ szczerości, wyraźnie sprawiało jej przyjemność, że wtajemnicza mnie w coś, o czym właściwie powinna milczeć, i wołałaby milczeć, namiętność w jej głosie była jednak tak głęboka i tak prawdziwa, że nie umiałem się jej nie poddać, zza zsuniętych na nos okularów patrzyły na mnie jej wyłupiaste, chorobliwie wielkie oczy, górna część oprawki przecinała na pół wodnistoniebieskie, poorane żyłkami białka, których dolna połowa wydawała się za silnymi szklami przerażająco duża i zniekształcona; odbijały się w nich namiętna dobroć, miłość i obawa o tę drugą osobę, czyste i jednoznaczne, i choć nie potrafiła okazać swej dobroci bez odrobiny fałszu, to rozkoszowała się świadomością, że jest jedyną w świecie osobą wolną od egoizmu, że nie jest żadna zysków i nie zdąża ku małostkowym, głupim celom, lecz do końca, bez reszty rozumie drugiego człowieka, tylko ona potrafi ją zrozumieć, a jedyną radość, jaka jest jej dana za tę nieodwzajemnioną przez nikogo dobroć i uważność, to to, że sama pojmuje osobowość tej drugiej osoby i może osiąść choć część jej tajemnic; dłoń, którą jeszcze przed chwilą trzymała na moim ramieniu, teraz już kierowała mną, odpychała mnie, odsuwała, popychała, a ja bez oporów ruszyłem ku wyjściu, oni już byli na korytarzu, zdyszani, zaczerwienieni, obydwój dyszeli oddani ślepej ucieczce dziecięcych figli, Hübchen, zakrywając dłonią przyrodzenie, robił krok w tył, a Thea, przybrawszy pozę florecistki, z mokrym ręcznikiem w rękę ściagała tego małego idiotę, jak go tu nazywali, zamierzając się co chwilę w nagie ciało, by poczuł szczypiący ból uderzeń!, kiedy zaś kącikiem oka, w przeblasku chwili dostrzegła, w którą stronę podążam, przybierając jedną ze swoich najbardziej efektownych póz, wypuściła ręcznik z dłoni i krzyknęła: „Dokąd pan idzie?”, a potem, pozwolewszy uciec swojej ofierze, pobiegła za mną.

To jednak, co zamierzyła jako ostateczny, zwycięski atak, okazało się cichym pożegnaniem.

Kiedy wsiedliśmy do jej samochodu, by pokonać tę niewielką odległość, jaka dzieliła od siebie dwa teatry, jechaliśmy do opery na nowe wystawienie *Fidelia*, Thea była już cichutka, długo szukała czegoś w ciemnościach, aż wreszcie w schowku po prawej stronie znalazła swoje okulary do jazdy, to także był niecodzienny egzemplarz, szkła nieczyszczone od niepamiętnych

czasów, tłuste i zakurzone, w dodatku brakowało im jednego zausznika, musiała wyprężyć chudą szyję, zważając na każdy ruch głowy, balansując, by okulary nie zsunęły się z nosa, był już ciemny wieczór, ulice wyludnione, dał silny wiatr, a w świetle latarni można było dostrzec ukośnie zacinający deszcz, żadne z nas się nie odzywało, a ja spięty milczeniem siedziałem na tylnym siedzeniu i ją obserwowałem.

Teraz jak gdyby wyjątkowo nie grała, to szczególna chwila, dobrotliwa przerwa, choć niewykluczone, że to opowieść Kühnertowej spowodowała, że mogłem zobaczyć ją bez maski, była poważna, zamyślona, śmiertelnie zmęczona i jak gdyby trochę roztargniona, operując przy kierownicy rękoma i nogami, wykonywała wszystkie ruchy automatycznie, z przyzwyczajenia, jednak na tyle nieuważnie, że kiedy z zupełnie nieoświetlonej ulicy Friedricha musiała skręcić w tonącą w światłach Unter den Linden, zatrzymała się przepisowo, dała znak skrętu, na kokpicie zaświeciła się mała czerwona lampka, ale ona, jak gdyby na pustej ulicy jechały przed nami w nieprzerwanym rzędzie samochody, a ona nie umiała pomiędzy nie wjechać, nie skręciła, ciągle staliśmy, mała lampka pulsowała w ciemnościach, a w powracających podmuchach wiatru krople deszczu uderzały o szybę, wycieraczki z hałasem i skrzypem zbierały spływającą strugami wodę, i gdyby Kühnertowa wreszcie się nie odezwała, „Może już jedźmy”, jeszcze wiele minut spędzilibyśmy, stojąc na środku skrzyżowania.

„Ach, tak”, odezwała się cicho, bardziej do siebie samej, i ruszyła z miejsca.

Dla mnie te kilka pozornie długich, choć w rzeczywistości zbyt krótkich chwil, martwy czas, który upłynął, nim skręciła, znaczyły bardzo wiele, na to właśnie czekałem, choć nie wiedziałem, że na to czekam, miałem nadzieję, że takie momenty kiedyś nadejdą, że czekam na nadejście takiej właśnie zwyczajnej chwili, swobodnej i przez nikogo niekontrolowanej, z jednej strony byłem zbyt zmęczony, a z drugiej zbyt podniecony, by świadomie wszystko kontrolować, nawet o tym nie myślałem, moje zmysły odbierały tylko to, co sensualne, nawet wtedy, kiedy widziałem jej twarz tylko z profilu, a ten, ozdobiony okularami, wcale nie był szczególny, jednak wydawało mi się, że odbijające się w mokrym świetle latarni światło zmieniło go czy uczyniło takim, jakim był przed laty, akcentując pewne fragmenty twarzy i ukrywając delikatną siateczkę zmarszczek, to była ta twarz, której w niej szukałem, którą widziałem i którą każdy ruch czynił nieuchwytną, widziałem tylko błyski, to była twarz ukryta pod maską, należąca do oczu, choć właściwie starsza i brzydsza, ocieniona barwami świateł i martwa w swym bezruchu, a jednocześnie była to twarz małej dziewczynki, gładka i jeszcze niedojrzała, twarz dziewczynki, którą znałem od dawna i darzyłem czułą miłością, śliczne dziewczątko, które próbuje u mnie swoich szans, ale to nie było wspomnienie z dzieciństwa czy z lat młodości, nawet jeśli ta chwila miała, być może z powodu jesiennej burzy i deszczu, nostalgiczny posmak wspomnień, dziewczynka była spokrewniona ze wszystkimi dziewczynkami, jakie niegdyś znałem, a jednak nieznaną i przez to bardziej podobną do mnie niż do nich, które w rzeczywistości poznałem i które tak rzadko mi się przypominały.

I z pewnością dlatego właśnie od wielu tygodni przyglądałem się jej urzeczony, choć jednocześnie pełen niechęci i odrazy, w jakiś niewytłumaczalny sposób identyfikowałem się z nią, jak gdybym w jej twarzy bez lustra widział własną twarz, i prawdopodobnie z tego powodu nasz związek, mimo wzajemnego, gorącego zainteresowania, pozostawał rozważny, trzeźwy i pozbawiony myśli o cielesnym dotyku, sterowany świadomie, bo przecież z własnym odbiciem, nawet bardzo bliskim, nie można nawiązać bezpośredniego kontaktu, miłość własna może się spełniać jedynie tajemnymi, krętymi drogami, w tamtej zaś chwili, którą do dziś dobrze i jasno pamiętam, lepiej niż intymne i bliskie sytuacje, w których później się znalazłem, w miejsce

rzeczywistego obrazu ujrzałem w myślach pewną niemożliwą do wytłumaczenia wizję, jakaś dziewczynka, ona, stoi przed lustrem i z wielką powagą studiuje rysy swojej twarzy, bawi się nimi, wykrzywia buzię, nie można jednak tego nazwać zabawą, posłuszna jakiemuś wewnętrznemu głosowi obserwuje, jak jej rysy reagują na wszelkiego rodzaju deformację; nie było to też wspomnienie, być może fantazja pomogła mi tu swoimi obrazami, po prostu coś sobie wyobraziłem, i któż może wiedzieć, dlaczego wyobraziłem sobie właśnie to?, jak dziewczyna zмага się, by spoglądając w tę dziwną szczelinę rozwierającą się pomiędzy wzrokiem duszy a własną twarzą, zobaczyć się w lustrze tak, jak widzą ją inni, i aby tym innym była jakaś bliżej nieokreślona osoba.

Może dostrzegłem w niej tę właśnie osobę czy tę warstwę jej osobowości, na której budowała swoją grę, udawanie, wygłupy, aktorską komedię, fałsz, ciągle zmieniające się role, kłamstwa i bezustanną, wyniszczającą walkę, ale dostrzegłem jeden pewny punkt oparcia, do którego zawsze mogła powrócić, kiedy czuła się zmęczona, niepewna czy zrozpaczona, zaplecze dające poczucie bezpieczeństwa, od którego, grając, ciągle się oddalała i z którego mogła pójść w dowolnym kierunku, dla niej więc te kilka chwil spędzonych w samochodzie, pomiędzy jednym teatrem a drugim, nie było niczym innym jak powrotem na ów bezpieczny teren, by dopiero w hallu opery ze zmienioną twarzą i odmienionym ciałem znaleźć się naprzeciw Melchiora i ofiarować mu najwięcej, jak tylko potrafi, swoje prawdziwe piękno, historię powrotu do swojej prawdziwej osobowości, metamorfozę, która poniekąd wyjaśniała, jakie musi przebyć wewnętrzne drogi, by na scenie móc przejść z jednej skrajności w drugą, dokładnie tak, jak chce czy ma ochotę.

A może to nie była dziewczynka ani mały chłopczyk, tylko nieświadomiamające sobie jeszcze swojej płci dziecko, które na razie nie musi nad niczym się zastanawiać ani wahać w kwestii własnego wyboru, nie potrafi bowiem nawet sobie wyobrazić, że mogłoby być niekochane, dlatego zwraca się do nas w takim poczuciu bezpieczeństwa, darzy nas takim zaufaniem, i może Kühnertowa kochała w niej właśnie to dziecko, była dla tego dziecka matką!, bo przecież takiego zaufania nie możemy nie odwzajemnić, choćby tylko uśmiechem, musimy je odwzajemniać; weszła do hallu ładnym, lekkim krokiem, szczupła, trochę dziecinna, pospieszyła w stronę stojącego na schodach ze swoim francuskim przyjacielem Melchiora, wyróżniającego się z hałaśliwego tłumu publiczności przybyłej na spektakl, i nawet jeśli w chwili, kiedy nas dostrzegł, na jego twarzy malowała się jeszcze niechęć, to już gdy zbiegał po schodach do Thei, jak gdyby wbrew własnej woli rozpromienił się ciepłym uśmiechem bijącego z jej twarzy; nie było już w niej śladu szorstkości i drwiny, których była pełna, gdy szła na to spotkanie, ani śladu gwałtownej żądz, z jaką zamierzała się mieczem w nagą pierś Hübchena, ani przerażenia, z jakim szukała zaspokojenia w moich oczach, Melchior nie był dla niej takim sobie oto chłopczykiem, jak choćby Hübchen, z którym może sobie dokazywać do woli, Melchior był poważnym młodym mężczyzną, spokojnym, przystojnym i zrównoważonym, cywilem niemającym pojęcia o szalejących uczuciach i zmysłach Thei, był człowiekiem wyjątkowo radosnym, pogodnym, swobodnym i uśmiechniętym, jednocześnie w jego wyprostowanej postawie było coś sztywnego, może wynikało to z jego kindersztuby, może z wewnętrznej dyscypliny, tak więc my, świadkowie tego spotkania, czuliśmy, że teraz, kiedy idą sobie naprzeciw, my już nie istniejemy.

Padli sobie w objęcia, Thea sięgała mu do ramion, a jej szczupłe ciało znikło z ramionach mężczyzny.

Potem Melchior delikatnie ją odsunął, ale jednak nie puścił.

– Jaka jesteś dzisiaj ładna! – powiedział cicho, uśmiechając się.

Głęboki, ciepły, miły, przyjemny głos.

– Ładna? Raczej śmiertelnie zmęczona – odpowiedziała Thea i z głową zalotnie obróconą na bok, spojrzała mu w oczy. – Chciałam cię tylko na chwilę zobaczyć.

I kiedy upłynęło kilka tygodni, może nawet cały miesiąc, czas, w którym każdą spędzoną bez siebie godzinę uważaliśmy za straconą, choć przecież postanowiliśmy, że się rozstaniemy, że musimy się rozstać, wyrwać z tej bliskości, wyjechać dokądkolwiek, skoro nie umiemy rozstać się tutaj, na miejscu, a lwia część czasu spędzamy, zaniedbując bez zastanowienia inne obowiązki, na poddaszu w jego pokoju, do którego z wielkim trudem udało mi się przyzwyczaić wzrok, bo był zimny i duszny, niekiedy w blasku świec przypominał salon wytwornego burdelu albo tajemnicze sanktuarium, niewielka to różnica, był chłodny i lubieżny, a to połączenie szczególnie, potrafiące zmącić ludzkie zmysły, i tylko wówczas stawał się zwyczajnym, zamieszkałym, ludzkim pokojem, kiedy przez brudne szyby wpadało słońce, na meblach, na ramach obrazów, w fałdach zasłon było pełno kurzu, lekkimi jak puch kłębami zalegał w kątach, przez okna rozwidnione jesiennym, drżącym w drobinach kurzu światłem spozierała szara, rozpadająca się, martwa natura ślepych ścian, dachów i podwórek, zimny, piękny świat, od którego próbował odgrodzić się miękkością, jedwabiami, bogato tkanymi dywanami i dusznym aksamitem, i z którym poprzez to właśnie pragnienie izolacji był tak mocno związany, w końcu nie miało przecież znaczenia, gdzie jesteśmy, byliśmy tutaj i nie mogliśmy nigdzie pójść, któż przejmowałby się takimi drobnymi szczegółami jak różny gust czy tak zwana czystość formy!, już choćby z tego powodu, że ten pokój zapewniał nam spokój, krył nas i chronił, czasami więc nawet wyprawa do kuchni wydawała się trudnym przedsięwzięciem, trzeba było przygotować coś do przekąszenia, ale w kuchni panował chłód, Melchior z uporem maniaka nigdy nie zamykał w kuchni okna, choć tłumaczyłem mu, że w wychłodzonym pomieszczeniu jeszcze mocniej czuje się każdy zapach, Melchior nie znosił kuchennej woni i dlatego okno musiało ciągle być otwarte, lubiliśmy przesiadywać w ciepłym pokoju, naprzeciw siebie, rano rozpałał kafłowy piec, ja siedziałem w fotelu, w którym posadził mnie pierwszego wieczora, to było moje miejsce, patrzyliśmy na siebie, najchętniej przyglądałem się jego dłoniom, białym półksiężycom długich, wypukłych paznokci u smukłych palców, swoimi niezgrabnie płaskimi paznokciami drapiąc ich twardą, chropowatą powierzchnię, no i te jego oczy!, czoło i brwi, trzymaliśmy się za ręce, trzymaliśmy dłonie na swoich udach, wzgórkę łona, wsuniętych w kapcie stopach, nasze kolana dotykały się, kiedy rozmawiając z nim, odwracałem głowę, widziałem smukłą topolę, samotna stała na podwórku otoczonym dachami i nagimi, ślepyimi ścianami, tak wysoka, że sięgała aż tutaj, do piątego piętra, a nawet rosła powyżej dachu, sięgała czystego, jesiennego nieba, traciła już liście i stawała się coraz bardziej łyśa.

Rozmawialiśmy ze sobą, mówię, choć raczej powinienem powiedzieć, że o czymś sobie opowiadaliśmy, aczkolwiek to określenie też nie oddaje dokładnie gorączkowej potrzeby mówienia i zachłannej ciekawości słuchania, które miały dopełnić nasze cielesne kontakty, wzajemną, fizyczną obecność w sobie, cielesne znaki wzbogacić muzyką głosek, rozumnymi słowami, w których mroku próbowaliśmy jednocześnie ukryć tę cielesną bliskość; wygłaszałyśmy monologi, gadaliśmy, wylewaliśmy z siebie potok słów, i o ile zależności, w jakich pozostają ze sobą słowa, akcenty, tembr głosu i rytm mowy, posiadają zmysłowe, cielesne znaczenie, niezależne od treści słów, o tyle słowa mogą również nawiązywać do cielesnej bliskości, w taki jednak sposób, że wiemy, iż są one jedynie aluzją do tego wszystkiego, co duchowe, wykraczające poza cielesność, że słowa bywają wiarygodne, ale nigdy nie wyczerpują się w swojej

treści!, z jednej strony bowiem bez przerwy mówiliśmy, jak gdyby z nadzieją, że zawiłymi opowieściami wciągniemy się wzajemnie w historię naszych ciał, obdarzymy się ich historią, tak jak obdarzyliśmy się nawzajem swoimi ciałami, z drugiej jednak strony tymi opowieściami próbowaliśmy obronić się przed uzależnieniem się od siebie czy byciem na siebie zdanymi, istniał przecież zabawny czas przeszły, kiedy byliśmy od siebie niezależni, i wolni!, jednocześnie nie przypisywaliśmy tym historiom szczególnego znaczenia, co nie znaczy, że nie słuchaliśmy siebie uważnie, a raczej że nie opowiadaliśmy sobie o jakichś konkretnych sprawach, ale chcieliśmy opowiedzieć sobie o wszystkim, o całości, za każdym razem o wszystkim, co już samo przez się jest niemożliwe i śmieszne; pograżyliśmy się w tych swoich opowieściach, nie mam pojęcia, o czym tak długo rozmawialiśmy, nie jestem w stanie nawet dokładnie sobie przypomnieć wypowiedzianych zdań, aczkolwiek teraz, kiedy przywołuję w pamięci tamtą historię, mam świadomość, że chyba nie było już niczego, czego bym się o nim nie dowiedział, każda opowiedziana historia niosła ze sobą setki wartych omówienia szczegółów, niczego nie zdążaliśmy opowiedzieć do końca, choć za każdym razem próbowaliśmy tak zgłębić wątek, by w końcu zrozumieć, dlaczego on kocha mnie, a ja Kocham jego, nie wspominając o tym, że te nasze opowieści, zlepione z odmiennych historycznie, socjologicznie, kulturowo i psychologicznie elementów, pochodziły z dwóch najzupełniej różnych od siebie światów, były takimi sobie oto inteligentnymi rozważaniami, w konsekwencji czego niekiedy jedno jedyne wypowiedziane słowo domagało się uzupełnienia tysiącem innych słów, nie wspominając już o tym, że on mówił w swoim ojczystym języku, rozkoszując się swoją przewagą i ją wykorzystując, każąc mi w ten sposób rozwiązywać coraz więcej zagadek, przez co większość czasu i uwagi musieliśmy poświęcać tworzeniu własnego, dla nas obojdwóch zrozumiałego języka, wszystko było wątpliwe, nie mogłem mieć pewności, że dokładnie go rozumiem, a on ciągle coś dopowiadał, i sam też musiał się domyślać, co właściwie chciałem powiedzieć, zbyt wiele czasu poświęcaliśmy wyjaśnianiu nieporozumień, tłumaczeniu i rozumieniu pojęć, wyrażań, związków frazeologicznych czy gramatycznych reguł i wyjątków, co tylko z pozoru było dla niego zabawne, a dla mnie stanowiło niewykorzystany czas, w rzeczywistości najbardziej naturalną, nawet w pewnym sensie symboliczną przeszkodę w rozumieniu, poznaniu i posiadaniu siebie, przeszkodę, której nie można było ani nie było sensu pokonywać rozmową, tak samo bowiem jak w gramatyce każdego języka bezustannie i za każdym razem docieraliśmy do punktu, w którym sens i logika nie przychodziły nam z pomocą, lecz utrudniały zrozumienie, tak również nasza potoczna, spływająca niczym ulewa, wzburzona mowa, to nasze werbalne ofiarowanie się sobie, otwarcie się przed sobą, także miały swój kres i swoje zwroty, nasz wzrok gdzieś błędził, koniuszki palców wyczuwały tętniącą w żyłach krew, pochylający się w przeciagu płomień świecy rozświetlał nagle oczy, jak gdyby w środku palił się płomień, jak gdyby można było w nie wejść, a wzrok przez ciemną bramę źrenic przenikał w błękit; nie potrafi tu żyć, powiedział, tak jednak, jakby mówił nie o sobie, lecz o kimś innym, śmiał się z tego, co mówił, w ogóle nie potrafi tu być, i wcale nie dlatego, żeby mu tu coś szczególnie przeszkadzało, bo, jak to się mówi, tu wszystko jest zakłamanie do szpiku kości, zepsute i fałszywe, tutaj wszystko ma podwójne dno, jest śliskie, lepkie i wymykające się z rąk, nie, jego to raczej bawi, zbyt dobrze to wszystko zna i raczej gotów jest uważać się za wyjątkowego szczęściarza, że urodził się właśnie w tym zakątku świata, w którym, niech tylko sobie pomyśle, od ponad pół wieku panuje stan wyjątkowy, gdzie od ponad pół wieku nikt nie wypowiedział publicznie ani jednego normalnego słowa, nawet rozmawiając z sąsiadem, gdzie faulowym ciosem odniósł zwycięstwo Adolf Hitler!, tutaj człowiek przynajmniej nie mami się

iluzjami, kłamstwo bowiem, gdy osiągnie pewien poziom, a ten poziom, jak powiadał, „już z nawiązką osiągnęliśmy”, jest według niego czymś najzupełniej ludzkim i normalnym, tak więc niech i jemu będzie dana ta perwersyjna rozkosz, by karmionego kłamstwem, oliwionego oszustwem systemu nie musiał uważać za nieludzki ani faszystowski, jak czyni to cały świat, to przynajmniej czysta sprawa, to właśnie jest czysta sprawa, twierdzić coś całkowicie przeciwnego, niż człowiek zgodnie ze swoją naturą naprawdę myśli, robić coś całkowicie przeciwnego, niż chciałby robić, niechaj więc będzie mu wolno dać upust tej tak właściwej człowiekowi skłonności, że jest we mnie tyle samo żądy kłamstwa, zatajania, ukrywania, oszukiwania, skrywania i posiadania tajemnic, jak chęci bycia szczerym, otwartym, pragnącym prawdy, działającym publicznie i jawnie człowiekiem, a które to cechy są tak samo trudne do zniesienia jak tamte!, i tak samo jak humanizm próbował zinstytucjonalizować naturalny, zgodny z naturą czysty rozum, tak samo faszyzm zinstytucjonalizował naturalne, czyste kłamstwo, i tak jest w porządku, przyznajmy, że jest to po prostu inna forma prawdy, choć bez wątpienia jeszcze nieznaną, on zresztą ma to wszystko gdzieś, wszystko, co dotychczas powiedział, to czcza polityka, a on tę ich politykę ma gdzieś, gdzieś ma ich prawdę i gdzieś ma ich kłamstwa, swoją prawdę i swoje kłamstwa zresztą też, gdzieś ma ich teorie i ich uczucia, nie wspomniawszy już nawet o własnych uczuciach, które także ma gdzieś, tyle że nie z powodu nienawiści, lecz ot, tak sobie, dla zabawy, zbyt wiele miał okazji bliżej poznać wewnętrzną naturę kłamstwa, by go nie kochać i nie szanować, dla niego kłamstwo jest święte, kłamać jest dobrze, kłamstwo jest potrzebne i przyjemne, on zawsze kłamie, teraz też, ciągle kłamie, i mnie też okłamuje, w związku z czym prosi, bym nie wierzył w nic a nic z tego, co mówi, bym traktował to wszystko jak żart, i nie ufał mu, nie ufał jego słowom i na niego nie liczył, doskonale wie, choć starałem się być bardzo taktowny, że dla mnie ten pokój jest ohydny, bo panuje w nim fałsz, i żebym się nie gniewał, ale on czuje, że jestem trochę starej daty i nie umiem odważnie kłamać, owijam w bawełnę, ale on dlatego właśnie tak lubi ten pokój, nie dlatego tak go urządził, że tak chciał, nawet nie wie, jaki powinien być pokój, który naprawdę byłby jego pokojem, nie wie tego i nie chce tego wiedzieć!, jeżeli na przykład zostawiłby pusty, tak jak chciał na samym początku, byłoby to takim samym kłamstwem, i nie ma najmniejszego znaczenia, na które z tych dwóch kłamstw się zdecydujemy, on po prostu chciał, żeby ten pokój nie był taki, jak każdy inny zwyczajny pokój, skoro on sam też nie jest taki, jaki powinien być zwyczajny człowiek, bądźmy konsekwentni w naszych kłamstwach, nie kładźmy brzydoty obok piękna, obok złego lepsze jest to, co złe, obok fałszywego fałszywe, nie uszedł też jego uwadze sposób, w jaki ja kłamię, tak, to protest, manifestacja, awanturnictwo i agresja, przyznaje, że w tym względzie rzeczywiście nie potrafi wyprzeć się swojej niemieckości, niech sobie przypomnę Nietzschego, o ile czytałem, jego bezwzględność i precyzję, z jaką broni się przed istnieniem Boga, jemu zawsze chce się z tego śmiać, jak sam tworzy sobie tego, który nie istnieje, z jego braku, z rozpaczliwej wściekłości, jaką wywołuje w nim ten brak, brak tego, którego tak pragnie, lecz gdyby go tylko odnalazł, wówczas by go zniszczył, to właśnie chce zmanifestować, że nie potrafi tutaj żyć, a jednak tu żyje, żyje i bezustannie potyka się o obce, nieznanne i zbędne przedmioty, jakoś jednak potrafi się między nimi poruszać, lubi ich fałsz, i wcale nie wierzy, że gdzie indziej byłoby mu lepiej, mimo to wyjedzie, wyjedzie stąd, bo go to wszystko znudziło, i nawet wtedy podejmie próbę wyjazdu, jeśli będzie miała go ona kosztować życie, a to zdarzyć się może z łatwością, przez co wcale nie chce powiedzieć, by zamierzał zostać samobójcą, gdyby jednak dziś, jutro czy jakiegokolwiek innego dnia umarł, uważałby to za absolutnie w porządku, niech spróbuję wyobrazić sobie życie, w którym przez dwadzieścia



osiem lat zdarzyła się tylko jedna jedyna chwila, jaką mógłby uznać za prawdziwą czy rzeczywistą, dokładnie pamięta tę chwilę, kiedy podniósł się z choroby, która omal nie zabrała go z tego świata, już mi kiedyś o tym opowiadał, zapytałem wtedy o te dwie długie blizny na brzuchu, opowiedział mi o dwóch operacjach, miał wtedy siedemnaście lat, kiedy wstał z łóżka, nie mógł o własnych siłach utrzymać się na nogach, musiał włożyć wiele wysiłku, by się nie przewrócić, chwycił się mebli, musiał pamiętać o utrzymaniu równowagi, tak bardzo, że nie wiedział, co robi, nie zauważył nawet, że pierwsze kroki zaprowadziły go do skrzypiec, leżały na półce w zakurzonej futerał, chyba nawet nie potrafię sobie wyobrazić, ile znaczy dla skrzypka ten czarny futerał, i dopiero wtedy uświadomił sobie, co robi, kiedy już trzymał w dłoni skrzypce i chciał je połamać, ściślej mówiąc, nie połamać, nie zniszczyć bezpowrotnie, ale zrobić coś, by stały się niezdatne do użytku, na przykład uderzyć nimi o ostry kant półki, tak by pękły, do czego oczywiście nie miał wystarczająco dużo siły, wszystko było miękkie, mroczne i pozbawione konturów, tylko hałas wydawał się tak intensywny, jak gdyby w pobliżu ktoś coś piłował, świst piły elektrycznej tnącej drewno, był w mieszkaniu sam, mógł robić, co chce, ale z powodu słabej kondycji fizycznej nie mógł właśnie zrobić tego, co chciał, miał najwyżej tyle sił, by włożyć z powrotem skrzypce do futerału wyścielonego butelkowitzowym aksamitem, po czym osunął się i stracił przytomność, jak gdyby nagle zapadł mrok, w sobie zniszczył to, co znaczyły dla niego te skrzypce, skrzypce nie istnieją po to, by służyć ludzkiej skłonności do wyrażania podziwu, podziwu, który wywoływał swoją bez wątpienia żałośnie prowincjonalną grą, nie mają służyć temu pocziwemu oszustwu, któremu ulegając, matka oszukiwała jego, a on oszukiwał siebie i tych wszystkich ludzi ciągle zachwycających się nim jako cudownym dzieckiem, które dzięki skrzypcom nie jest takie jak inne dzieci, że jest subtelniejszy, lepszy, wybrany i wyjątkowy, tymczasem on był tylko primadonną jakiegoś martwego przedmiotu!, skrzypce są dla samych siebie, siebie chcą wygrywać, w skrzypcach spotykają się fizyczne możliwości instrumentu z fizycznymi możliwościami człowieka, a komu przypadło w udziale być geniuszem, ten wkroczył na tę kruchą granicę, gdzie przedmiot przestaje być przedmiotem, a człowiek przestaje być człowiekiem, gdzie pragnienie, by przedmiot wydał z siebie dźwięk, nie jest pragnieniem człowieka, gdyż odnosi się już tylko i wyłącznie do przedmiotu, i on był chyba wystarczająco zdolny, by móc zrozumieć, że jakkolwiek jest pilny, wrażliwy i chętny do nauki, to na swoich skrzypkach umie jedynie wygrać złudną żądę stania się wyjątkowym i wybranym, ale nigdy nie będzie potrafił sprawić, by jego skrzypce naprawdę zagrały, a tego już dłużej nie chce, i już nigdy więcej nie sięgnie po skrzypce, więc choć później prosili go i błagali, nie rozumiejąc go, on zresztą też nie rozumiał samego siebie, już nigdy więcej nie wziął skrzypiec do rąk.

Powiesił je na ścianie w swoim pokoju, bo były ładne!, by stały się tylko pięknym w swojej formie przedmiotem, by zostawiły go w spokoju zadowolonego, że są tu na ścianie, przynajmniej niech skrzypce pozostaną tym, czym są naprawdę, choć teraz, kiedy mi to opowiedział, a nigdy jeszcze nikomu o tym nie mówił, wydaje mu się, że ta historia, którą z zapamiętaniem nosił w sercu, nie jest do końca prawdziwa, że stanowi jedynie próbę usprawiedliwienia własnej rozpacz, cynizmu, tchórzostwa i poczucia, że został oszukany, że jest uczuciem podobnym do ataku apopleksji, który kiedyś go dopadł, już mi kiedyś o tym opowiadał, kiedy najzupełniej niespodziewanie, żartem i z odrobiną kokieterii zapytał matkę, czy to możliwe, że nie jest synem tego zmarłego mężczyzny, którego nosi nazwisko, nigdy bowiem nie dostrzegł na fotografiach najmniejszego podobieństwa, może więc jest dzieckiem kogoś zupełnie innego, matka doprawdy powinna to wiedzieć, przecież już jest dużym chłopcem, może więc powiedziała mu prawdę; „Skąd wiesz?”, krzyknęła, akurat zmywała

naczynia, odwróciła się, na jej twarzy pojawiło się obrzydzenie, jak gdyby połknęła robaka, on tymczasem nie miał skąd tego wiedzieć, niczego nie wiedział, bo niby dlaczego miałby wiedzieć?, jak gdyby śmierć spojrzała mu w oczy, to koniec, słysząc jej krzyk, zrozumiał, że obydwójce zupełnie przez przypadek stanęli w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, najprawdźniejszego śmiertelnego zagrożenia, kiedy wszystkie członki człowieka, nim jeszcze zastygną w pośmiertnym stężeniu, jak gdyby je wyprzedzając, całe drętwiąją, zanim zdążą podjąć jakiegokolwiek działanie, poczuł gęsią skórę, patrzył w jej martwe oczy, długo nie potrafili się z tego wyzwolić, do wieczora nie ruszyli się z kuchni, wtedy matka opowiedziała mu swoją historię z francuskim jeńcem, który był jego biologicznym ojcem, o czym już kiedyś mi wspominał, w ślad potem zachorował, choć wydaje mu się, że ta choroba nie miała wiele wspólnego z szokiem, jaki wtedy przeżył, czy też prawdopodobieństwo takiego związku jest minimalne, widzisz, powiedział, człowiek tworzy sobie ojca, skoro już go nie ma, a potem okazuje się, że ten, którego nie ma, też nie istnieje, i że to nieistnienie jest jedyną rzeczą, która jest, zupełnie jak Bóg, i teraz już wie, dlaczego dla matki było takie ważne, żeby nie był taki jak inni, skrzypce!, i nie był!, żeby był wybrańcem losu, chociaż nim nie jest, żeby nie był Niemcem, nawet jeśli nim jest, i jeszcze mi nie powiedział, teraz nagle mu się to przypomniało, że kiedy leżał już drugi miesiąc w szpitalu, pośród umierających chorych, którzy w takim tempie odchodzili, że pozostał tam jedynym umierającym, bo stamtąd prawie nikt nie uszedł z życiem, bawiła go nawet ta rola, choć jego brzuch ciągle wypełniał się ropą, lekarze nie widzieli już sensu kolejnych operacji, drenami ściągali tę ropę, w miejscu założenia drenu do dziś została mu na brzuchu narośl, mogę zobaczyć!, już nie wiedzieli, co mają z nim robić, był umierający, ale nie tak zwyczajnie umierający, wszak nie potrafił normalnie umrzeć, i dwa miesiące później powiedzieli jego matce, żeby go zabrała do domu, matka wychudła, osiwiła ze zmartwienia, była cała roztrzęsiona, wszystko leciało jej z rąk, jej wzrok jak gdyby prosił go o wybaczenie, a on, choć bardzo tego pragnął, nie potrafił jej wybaczyć; chodziła wokół niego jak upiorna zjawia, jak gdyby każdy łyk wody, którą go poila, oznaczał dla niej ułaskawiający wyrok, jak gdyby za popełniony przez matkę występki, niech tylko sobie pomyślę, Niemka z Francuzem!, za który jedynie cudem udało się jej uniknąć kary za zhańbienie rasy, „choć i tak przesiedziała trzy miesiące w więzieniu, ze mną w brzuchu!”, teraz, po tylu latach to mnie dosięgłaby kara, jeszcze mi kiedyś o tym opowie!, i wtedy ich domowy lekarz, który odwiedzał go dwa razy na tydzień, wpadł na nieoczekiwany pomysł, kazał mu otworzyć usta!, co tam z twoimi zębami, synku? no, popatrzmy!, i kiedy wyrwano mu dwa zepsute zęby, w dwa tygodnie był znowu zdrowy jak ryba, i jest do dziś, sam widzę!, i tak dzięki dwóm zepsutym zębom wydostał się z grząskiego bagna swojej duszy, ale żarty na bok, z największą powagą chce mi powiedzieć, jak bardzo jest mi wdzięczny, jaką głęboką czuje do mnie wdzięczność, wszystko bowiem, co wiedział na swój temat, dopiero teraz, po raz pierwszy ośmielił się powiedzieć na głos, jestem dla niego jak tamten dentysta, który wyrwał mu te dwa małe hitlerki, coś z niego wyrwałem, coś w nim rozwikłałem, i kiedy mi to wszystko opowiada, dopiero teraz dostrzega wiele spraw, których dotąd nie widział jasno, nawet jeśli nie potrafi o nich skłódnie mówić, a ponieważ jest bezgranicznym egoistą, czuje, iż dlatego pojawiłem się w jego życiu, że tylko z kimś obcym mógł się tym podzielić, wyjedzie stąd, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości, już go śmiertelnie znudziło to poczucie obcości, ale lepiej, żeby wyjechał spokojnie, wolny od wyrzutów i nienawiści, a to właśnie mnie zawdzięcza, czy temu raczej, że jestem tu obcy.

Odpowiedziałem coś w tym sensie, że oczywiście znów przesadza, i że nie wierzę, bym był w jego życiu kimś tak ważnym, bo życiowe sprawy nie tak się rozstrzygają.

On zaś odparł, że nie ma tu żadnej przesady, bo za co człowiek powinien podziękować, musi podziękować, i oczy zaszyły mu łzami.

Wtedy chyba właśnie dotknąłem jego twarzy, cicho dodając, że Pierre przecież też jest obcy.

Z nim nie może rozmawiać w swoim ojczystym języku, jest Francuzem, i on też jest po części Francuzem, nawet jeśli jego ojczysty język to niemiecki.

Jakim tam Francuzem, powiedziałem, po prostu przesadza, co wprawdzie jest miłe i mi pochlebia, ale może mi wierzyć, że nie chcę od niego żadnych dowodów, bo po prostu to czuję, ale co takiego czuję, tego już nie potrafiłem wyrazić.

Tylko na tyle się zdobyłem, by powiedzieć, że wstydzę się mu to wyznać.

Trzymałem w dłoniach jego twarz, a on trzymał w swoich dłoniach moją, nasze zamiary skrzyżowały się ze sobą, i chyba już nie mówiłem głośno o wstydzie, czułem, że jeżeli wypowiem to słowo, będzie mi wstyd, bo on nie będzie mógł go odwzajemnić inaczej jak tylko na swój chłodny, wyrozumowany sposób, wkładając swoją odpowiedź w nawias ironicznego uśmiechu, odwzajemniłby się tym nieopuszczającym jego twarzy, nienawistnie pięknym uśmiechem, a mój wstyd popsułby coś, czego żadną miarą nie wolno mi zepsuć, odebrałbym moim dłoniom ciepło i gładkość jego twarzy, palcom syczący dotyk zarostu, który tak bardzo lubiłem, i to, co pierwszego wieczoru budziło jeszcze we mnie odrazę oraz sprzeciw przed tym, co nieznane i niezajome, a jednocześnie pociągające, by na twarzy mężczyzny przekroczyć granicę pomiędzy tym, co delikatne, a tym, co brutalne, ustami dotknąć ust, które okala zarost i w których czuję tę samą siłę, jaką sam daję jemu, jak gdyby to nie była jego siła, lecz moja własna, „Dlaczego usta mojego ojca?”, zawołał ktoś moim głosem tamtego pierwszego wieczoru, kiedy jego usta pochylały się nad moimi, słyhać było syk ocierającego się o siebie zarostu, zarost na brodach naszych ojców dotyka gładkiej skóry zapomnianego dzieciństwa!, z rozkoszą pogrążałem się w odrażającej miłości i nienawiści do samego siebie, tak, teraz rozumiem, że musieliśmy zamilknąć, choć nawet nie zauważyliśmy, że już nie rozmawiamy, polubiłem tę porzuconą już odrazę do samego siebie, polubiłem za to, że pozwoliła mi zapomnieć o tym wszystkim, czego się bałem i co mnie przerażało, w dosłownym tego słowa znaczeniu przeszedłem wraz z nią nad zwłokami mojego ojca, niemal już mogłem mu wybaczyć, choć nadal nie byłem do końca pewien, który z nich dwóch jest moim prawdziwym ojcem, byłem czysty, a oni byli razem, zmieszani ze sobą, zapadła cisza, mówiło już tylko ciało, a że impulsy elektryczne wzbudzone w mózgu potrzebują czasu, by przepracować usłyszane dźwięki i wszystko, co należy zapamiętać, umieścić na swoich miejscach, w pudełeczkach, koszykach, kasetkach, szkatułkach, przestronnych skrzyniach i przeźroczystych klatkach, toteż kiedy ucichł szum tej gorączkowej pracy, ciągle brzmiał jeszcze szmer i szept urywanych dźwięków, które nie znalazły miejsca w wielkim lamusie postrzegania i dziwnym zbiegiem okoliczności pozostały nieistotnymi szczegółami wypowiedzianych zdań, na przykład „francuska śmierć”, zwrot pozbawiony jakiegokolwiek sensu, sam gest zaś, jakim przysunąłem ku sobie jego twarz, obydwie dłonie zacisnąwszy na brodzie, koniuszkami palców muskałem skórę na policzku, nie był niczym innym jak narzędziem użytym nieświadomie do osiągnięcia niezupełnie jasnego celu, już nie mogliśmy rozmawiać, ani on, ani ja, choć przed chwilą jeszcze mówił, nie odwracając wzroku od moich oczu, jak gdyby odnalazł w nich ten pewny punkt, którego może się trzymać, jak gdyby patrzył nie na mnie, jak gdybym był przedmiotem, bo tylko tak potrafił zatopić się w sobie, tam, dokąd w samotności nie miałby odwagi uciec, mnie zaś ta ucieczka pozwoliła wnikać tam, dokąd dotychczas nie udało mi się przeniknąć, im bardziej jego wzrok

tkwił w moich oczach, tym bardziej musiałem mieć się na baczności, i tym bardziej się od niego oddalałem, ponieważ jednak byłem z nim, a on w coraz bardziej zawiłych, wyważonych, logicznych zdaniach, z coraz miłszym uśmiechem na ustach, odnosił się do fanatycznego przedmiotu swoich obserwacji, własnych myśli, wspomnień, nie tajmy!, do swojego osamotnienia, którego przyczyną zawsze jest nasze ciało, poczucie żywej formy w przestrzeni postrzeganej jako martwa, aż ten chłód i uśmiech oddalił go od historii własnego ciała, by zgoła moimi oczyma ujrzał związane z nim wydarzenia, może dlatego był mi tak bardzo wdzięczny, że przez ułamek sekundy mógł czuć, jak martwa przestrzeń postrzega martwą formę, moja tożsamość z otoczeniem była dla niego czymś niezwykłym, chyba dlatego łzy napłynęły mu do oczu, wprawdzie nie tak obfite, by popłynęły po policzkach, ale wystarczające, by widział mnie i wszystko, na co chciał popatrzeć, jak przez mgłę, i aby fizyczne zakłócenie wywołane tą przemianą z ucieczki do wnętrza siebie przywiodło go z powrotem do mnie, by przedmiot znowu stał się człowiekiem, mną, i tak szybko, jak on wrócił stamtąd, ja musiałem zniknąć z jego oczu, pełen obaw, że utracę coś, co już posiadałem, kolana zacisnąłem na jego kolanie, pochylony ująłem w dłonie jego twarz, on też zacisnął kolana na moim kolanie i pochylony ujął moją twarz w dłonie.

Ujmować.

Ujmować i dotykać.

Z czasami słuchaliśmy muzyki, on coś mi czytał albo ja recytowałem węgierskie wiersze, chciałem, by je czuł i rozumiał, jak gdybym chciał mu udowodnić, że istnieje język, w którym ja także potrafię płynnie i w miarę bezbłędnie wyrażać moje myśli, bawiło go to, śmiał się, rozdziawiał usta jak dziecko, któremu pokazano nową zabawkę, czułem się lekki, beztroski, zasypialiśmy objęci na kanapie w mrocznym hallu, ubrani albo nadzy, powoli się ściemniało, znów był wieczór, trzeba było zapalić świece, zasunąć zasłony, abyśmy znów mogli siedzieć naprzeciw siebie do północy albo do świtu, w pokoju robiło się coraz chłodniej, miło tykał zegar, dymiły wypalone ogarki świec, w dłoniach trzymaliśmy piękne kryształowe kieliszki, ciężkie czerwone bułgarskie wino w smukłych kieliszkach; o tych godzinach, dniach, tygodniach, które niepostrzeżenie przeniosły nas z jesieni w zimę, kiedy nad ranem miękka mgła spowijała koronkowy szkielet topoli, tak samo trudno jest mi mówić, jak odpowiedzieć na pytanie, jakim prawem, wspominając tę historię, używam liczby mnogiej, opowiadam o uczuciach obcego człowieka, o jego uczuciach, na jakiej podstawie twierdzę, że to czy tamto się z nami działo, skoro wcale nie bez racji czuję się upoważniony mówić jedynie o samym sobie, czyli w pewnym przybliżeniu opisać, co się wtedy ze mną działo; nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, choć tamtego zimowego wieczoru poczułem coś, co uświadomiło mi, jak bardzo się kochamy, o ile miłość oznaczać ma głębię i żar łączącego nas związku; odpowiedzią może być jedynie to, że po kilku tygodniach czy miesiącach spostrzeżliśmy, że coś uległo w nas niebezpiecznej zmianie, tak we mnie, jak i w nim, i że nadal niebezpiecznie się to zmienia, tak bardzo, że musiałem na chwilę zamknąć oczy, by nie widzieć go w takim stanie, i otworzyć po chwili w nadziei, że zniknie to, co nam przeszkadzało, że zobaczę jego twarz niezmienną, jego dłoń spoczywającą w mojej dłoni, teraz bowiem wydaje mi się, że ściskam kikut własnej ręki!, że tak samo będzie się uśmiechał, przecież nic się nie stało, nic nie mogło się stać, nie pamiętam dokładnie daty, nie liczył się dla nas kalendarz, mógł to być koniec listopada albo początek grudnia, jedynym terminem pozwalającym zorientować się w czasie była premiera Thei, na którą Melchior poszedł ze mną, choć wtedy już nie rozmawiali ze sobą, musiało to więc być przed premierą, przybiegła w przedpremierowym pośpiechu, zrozpaczona i szalejąca, miała nadzieję, że zastanie

Melchiora samego, ale zobaczyła tylko mnie, a to zmieniło bieg rzeczy, choć pozornie przecież nic się nie zmieniło, tak samo siedzimy, tak samo płoną świece, jest cisza, pokój też się nie zmienił, nie dzwoni telefon i nikt nie puka do drzwi, nikt niczego od nas nie chce i my też niczego od nikogo nie chcemy, jakbyśmy siedzieli na wysokiej ambonie wznoszącej się ponad ruinami wyludnionego miasta, gdzieś w Europie, gdzie nie ma już żadnej nadziei na wyzwolenie, i nawet jeśli ktoś jeszcze siedzi w podobnym pokoju, to i tak go nie odnajdziemy; wspólnota odosobnienia, silniejsza poprzez ukrywanie się, która dotychczas była czymś dobrym, nagle stała się zła, nawet nie wiem dlaczego, i choć miałem świadomość, że wyrzuty, które mu robię, są niesprawiedliwe, że to z mojego powodu na wiele tygodni wszystkich od siebie odsunął, wyłączył telefon, nie otwierał drzwi, kiedy ktoś dzwonił, też z mojego powodu, dla mnie zamknął się ze mną w swoim mieszkaniu, musiałem robić mu wyrzuty, oczywiście nie na głos, wszystko, co z nim związane, dotyczyło tylko mnie, pełen takich myśli przymknąłem oczy, i wtedy nasz bliski związek wzbudził we mnie odrazę, trzeba z tym skończyć, pomyślałem, jak gdybym dopiero teraz uświadomił sobie głębię łączących nas uczuć, a ta świadomość sprawiła, że wszystko stało się nieznośne i odrażające, muszę znów znaleźć jakiś punkt, coś, czego jeszcze nie znam i czego on też nie zna, co nie jest jego, a więc nie jest też nasze wspólne; i kiedy ponownie otworzyłem oczy, jego twarz była już daleka i obojętna, jak twarz kogoś obcego, co było zarazem przyjemne i bolesne, każda obca twarz budzi w nas bowiem nadzieję na poznanie, szansę na poznanie czegoś nowego, ta twarz jednak była pusta i nieciekawa, nie dawała nadziei, miałem jej po uszy, wiedziałem, że ją znam, aczkolwiek z perspektywy minionych tygodni moja wiedza na jej temat straciła na znaczeniu, tak jak i wszelka inna, nie istniała bowiem żadna niebezpieczna wiedza, która okazałaby się wystarczająca, bym odnalazł w sobie tę przystań, punkt zaczepienia, oddanie, ostateczność, a więc to była tylko przygoda, która niczego po sobie nie pozostawiła, był dla mnie obcym człowiekiem i ja byłem dla niego kimś obcym, nie potrafiłem nawet zrozumieć, dlaczego wydawał mi się piękny, skoro był po prostu brzydki, nie tylko brzydki, ale zwyczajnie nudny, był mężczyzną, z którym nic nie może mnie łączyć, był tylko mężczyzną.

Nienawidziłem go i brzydziłem się sobą.

Jego chyba też zaprzątały podobne myśli, może przeczuwał, o czym rozmyślałem, wysunął dłoń z mojej dłoni, wreszcie wyzwoliłem się od tego straszego kikuta, wstał, jednym kopniakiem odepchnął fotel i włączył telewizor.

Wstałem i tak samo kopnąwszy fotel, wyszedłem do hallu.

Na chybił trafił zdjąłem z półki książkę i jak gdybym chciał sprawdzić, czy rzeczywiście mnie interesuje, położyłem się na ciemnym, miękkim dywanie i zacząłem czytać.

Czytając o tym, że na świecie istnieje jedna jedyna świątynia, świątynia ludzkiego ciała, musiałem jednocześnie przebijać się przez deseń dywanu i archaiczny język tekstu, a że nie ma nic świętszego ponad wzniosłość człowieczeństwa, dobrze było mi kartkować książkę na przytulnym dywanie, w poczuciu, że pochylając się nad człowiekiem, oddajemy hołd epifanii w ludzkim ciele, że dotykając ciała drugiego człowieka, dotykamy niebios.

Próbowałem zrozumieć tę dla mnie całkowicie anachroniczną historię i nie zwracać uwagi na kobietę, która wyszła przez okno, chwytając się pnączy dzikiej winorośli, odpada tynk, ona leci w dół z krzykiem, wydawało mi się, że z czasem wszystko się ułoży, nie dawała mi tylko spokoju myśl, że przed chwilą tak po chamsku kopnąłem fotel, wyła syrena pogotowia ratunkowego, słyszałem pobrzękiwanie instrumentów, wiedziałem, że jesteśmy na sali operacyjnej, nie mogłem jednak wyzwolić się od myśli, że zachowałem się ordynarnie, choć

przecież to sprawa głupia i bez znaczenia, widziałem, jak kopię fotel, choć nie należy do mnie, żałobna muzyka, kobieta pewnie umarła, teraz jest pogrzeb, nie wolno mi było tego zrobić, nie wolno niszczyć ani kopać czyjegoś fotela, nawet jeśli ciało jest wzniosłą świątynią, on może sobie kopać fotel, jest jego, ale mnie nie było wolno, a jednak kopnąłem i wcale nie sprawiło mi to przykrości.

Potem zadałem mu pytanie, czy mam sobie pójść.

Nie poruszywszy nawet głową, odparł, żebym robił, co chcę.

Zapytałem, czy się na mnie gniewa, bo tego bym nie chciał.

Że mógłby o to samo mnie zapytać.

Dodałem, że się na niego nie gniewam.

Po prostu chciałby obejrzeć film.

Akurat ten film, zapytałem.

Właśnie ten.

No to niech sobie ogląda.

Ogląda.

W tym wszystkim najdziwniejsze było to, że nie mogliśmy znaleźć bardziej konkretnego wykrętu od dalszej rozmowy, tak wypowiedziana prawda była bardziej bolesna, niż gdybyśmy powiedzieli sobie to, co rzeczywiście myślimy, drobne wykręty i kłamstewka dobitniej określały sytuację niż nasze uczucia; w tamtym momencie emocje były zbyt gwałtowne, by mogły być prawdziwe.

Ja nie mogłem wyjść, a on nie mógł mnie zatrzymać.

Zrozumienie tego faktu, dotąd ukrytego za maską słów, zadzierzgnęło pomiędzy nami silniejsze więzy niż braterstwo krwi.

Kłamstwo spowodowało jednak, że coś, jakaś siła, chemia, dotychczas niezauważalna, naturalna i instynktowna, teraz zaczęło znikać, może nie ustało całkowicie, ale zmalało, w każdym razie nie było już tego czegoś, i dopiero ten brak pozwolił mi zrozumieć, co czułem.

Wiedziałem, że on czuje to samo.

Jak gdyby to coś wibrowało niczym błękit telewizyjnego ekranu, nieomal namacalnie wypełniało pokój i hall, może nawet dałoby się to dosięgnąć i zatrzymać, tymczasem wibrujący bezruch działał tak paraliżująco, że żaden z nas nie potrafił uczynić najmniejszego ruchu, jak gdyby rozum racjonalnie podpowiadał, że nie mamy innego wyboru, jak znieść i zrozumieć ten bezruch, będący jedyną rzeczą łączącą nas silniej niż wyrok, który już zapadł; jak gdyby ktoś trzeci pokazał nam wreszcie prawdziwą naturę naszego, przeżywającego teraz trudności, związku.

W takich jak nasza czy podobnych sytuacjach człowiek bezwiednie zastanawia się nad oczywistymi, a więc najprostszymi i najczęściej stosowanymi możliwościami, szybko je rozważając, ale to, żebym teraz wstał, zdjął z nóg jego kapcie, włożył płaszcz, buty i wyszedł, wydawało się całkowicie niemożliwe, bo wreszcie co takiego się stało?, nic się nie stało, zatem taka reakcja byłaby przesadna i na pokaz, zbyt dramatyczna, ale tak samo niemożliwe wydawało mi się leżeć w tej komicznej pozycji na dywanie, uważałem to za niewłaściwe, w końcu leżałem na jego dywanie, sprawa własności, nie zapominajmy, idzie o to, kto jest tu od kogo zależny i w jakim stopniu, jest ważniejsza od uczuć, powinienem stąd wyjść, wstać i wyjść, myślałem z uporem, jak gdyby wtedy miało stać się to, czego sam nie potrafiłem zrobić, bowiem zostałem i udawałem, że czytam, a on udawał, że ogląda film.

Nie ruszaliśmy się z miejsc.

On siedział tyłem do mnie w niebieskawym świetle ekranu, ja pochylałem się nad książką, i choć to wszystko drobiazgi, to taka sztywna sytuacja coraz bardziej mi przeszkadzała, zdradzała wszystko, i mimo że nie mógł mnie widzieć, wiedziałem, że czuje to samo, co ja, a zatem zdaje sobie sprawę ze sztuczności mojego zachowania, podobnie jak ja przejrzałem jego, na próżno udawał, że ogląda ten głupi film, choć naprawdę obserwuje mnie, z pełną świadomością, że o tym wiem, a jednak coś kazało nam odgrywać przed sobą tę łatwą do rozszyfrowania komedię, która, po pierwsze, była bardziej bezwstydną od wszelkiej nagości, a po drugie, mimo całej swojej powagi, śmieszna i komiczna.

Czekałem, czekałem i myślałem sobie, że może on będzie umiał wykorzystać zabawność i komizm sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, i że to okaże się tą jedną jedyną szczeliną, przez którą wydostaniemy się z pułapki własnej powagi, a właściwie nie tyle myślałem, ile czułem śmiech wydostający się spod maski tragizmu i chęć, by wybuchnąć śmiechem.

Bo to była zabawa, teraz nadeszła jego kolej, nieudolna igraszka uczuć, która choć małostkowa, swoimi regułami zmuszała nas do zachowania, utrzymania niezbędnych w relacjach międzyludzkich umiaru i miary, igra wtedy z nami nasza skłonność do równości, wieczne pragnienie równych praw, i dlatego właśnie, że to była zabawa w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa, nie mógł już być mi obojętny ani obcy, to z nim się bawiłem, bawiliśmy się razem, poczucie wspólnoty zmniejszyło nienawiść, ale i tak nie mogłem się poruszyć ani odezwać, musiałem czekać, straciłem swoją szansę, kiedy skłamałem, że się na niego nie gniewam, a teraz, zgodnie z regułami gry, ruch należał do niego.

I to oczekiwanie, wisząca nad nami, wyczuwalna, wibrująca w powietrzu decyzja, to nasze niezdecydowanie, trzecia osoba tak samo odnosząca się do niego, jak i do mnie, siła, która wprawdzie istniała, ale nie mogła się zmaterializować, i o której trudno było orzec, czy pochodzi ode mnie, czy od niego, albo czy bierze się z powietrza, w takich momentach zwykliśmy dowcipnie mówić, że powietrze zrobiło się gęste, co nie było bez związku z tym, co czuliśmy, jak sobie przypominam, tamtego wieczoru, kiedy przyszedliśmy tu pierwszy raz i on wyszedł do kuchni po butelkę szampana.

Drzwi zostawił otwarte, powinienem był usłyszeć, jak czegoś szuka, otwiera drzwi lodówki, trzask zamykanych drzwiczek, brzęk kieliszków, kroki, ale jak później mi powiedział, zaszliśmy zbyt daleko, by móc się nawzajem zrozumieć, i dlatego we własnej obronie zaczęliśmy opowiadać o sobie, chcieliśmy zbudować całość z tamtych chwil, pamięta, jak opowiadał mi, że stał w kuchennym oknie i patrzył, wsłuchując się w deszcz, i sam nie wie dlaczego, nie potrafił się oddalić, jak gdyby nie chciał wracać do pokoju, a tak naprawdę chodziło mu chyba o to, żebym i ja, siedząc w fotelu, usłyszał ciszę jego bezsilności, którą zresztą sam czułem, wyczekiwanie i niepewność, żebym poczuł, iż dla niego deszcz, ponure dachy i ta chwila same w sobie są ważniejsze ode mnie czekającego w pokoju, przyznaje się bowiem, że ten stan oczekiwania uszczęśliwiał go, i tym szczęściem chciał się ze mną podzielić, bowiem to stan nieczęsto dany człowiekowi.

Wstał i tak samo jak wtedy, kiedy wychodził do kuchni, ruszył w moją stronę.

Nie wiedzieliśmy, co postanowimy, czuliśmy jednak, że decyzja już zapadła.

Po czym, jak gdyby nagle zmienił zamiar i nie zamierzał wychodzić do kuchni, usiadł obok mnie na dywanie, podparł się na łokciach, twarz schował w dłoniach, w pół leżącej, pół siedzącej pozycji, i tak patrzyliśmy sobie w oczy.

To była jedna z tych rzadkich chwil, kiedy się nie uśmiechał.

Patrzył na mnie jakby z bardzo daleka, właściwie nie na mnie, a na fenomen, którym byłem

dla niego, a ja przyglądałem się jemu, jak gdybym patrzył na przedmiot, którego wartość i piękno są czymś oczywistym, a mimo to nie jest taki, jak byśmy chcieli, brak w nim piękna, które kochałbym, czy sądziłem, że mógłbym kochać.

Cicho potwierdził, że tak właśnie jest.

Zapytałem, co ma na myśli.

To, co teraz czuję, powiedział.

Odpowiedziałem, że nienawiść, choć to, co czułem, nie było już do końca nienawiścią.

Dlaczego, jeśli mógłbym powiedzieć.

Bujne, kędzierzawe, płowe włosy, las, gęstwina, zwierzęca grzywa, gładka, napięta skóra na wypukłym wysokim czole o wyraźnie zaznaczonych skroniach, ich miękkie zagłębienia, gęste, krzaczaste, niemal czarne brwi urozmaicone kilkoma dłuższymi włoskami, spotykające się ponad nosem, choć tam już trochę rzadsze, rozjaśniające się ku środkowej linii czoła, płowo opadające ku muszłom skroni, zacieniające i akcentujące miękkie, delikatne poduszcзки powiek podzielonych zakręconymi czarnymi włoskami, stanowiącymi żywe obramowanie rozszerzających się i zwężających się szybko w błękitie tęczyówek czarnych punkików źrenic!, i ten błękit!, z jego chłodem i siłą!, jakże dziwne wrażenie sprawiał okolony czarną ramką na mlecznobiałej skórze, i ta czerń!, bez żadnych przeszkód przechodząca w szarość, cóż za agresywne kolory!, prosto opadająca linia nosa, który dopełniając się w łuku nozdrzy, stromo wtapiał się w głęboką płaszczyznę twarzy i wytwornie barokową linią zakręcając do środka, okalał ciemne jaskinie nozdrzy, by potem, niepostrzeżenie wbiegając pod skórę, niczym dwa równoległe górskie grzbiety wypiętrzyć się ponad wargami, jakby stanowiąc symboliczne połączenie środków nozdrzy z krawędzią górnej wargi, kreując związek pomiędzy tymi dwoma ze wszech miar różnymi elementami!, horyzontalnym nosem i wertykalnymi ustami, gdy patrzyło się na całość głowy w owalnie długiej twarzy, w tej sugerującej okrągłość zamkniętej przestrzeni, i te wargi!, ułożone w parze, ledwie kryjące swoją surowość ludzkie mięso.

Niech się na mnie nie gniewa, poprosiłem.

A że naprawdę tego chcę, mogłem udowodnić, tylko całując go, ale on już nie miał ust, to były jakieś usta i moje usta też były już tylko jakimiś ustami, więc nie mogłem.

Dlaczego miały się gniewać, wcale się nie gniewa.

Może nawet nie tyle szczegóły jego twarzy, ile ruch warg oddalających się od siebie i zamykających się wraz z każdym wypowiedzianym słowem, mechaniczny ruch i spokój, emanowały bezkresnym chłodem, a może to ja byłem wtedy taki chłodny?, czy my obydwaj?, czy wszystko wokół?, twarz, usta, przede wszystkim jego usta, otwierające się i zamykające, i moje ramię opadające pod ciężarem mojego ciała, powoli drętwiejące w niewygodnej pozycji, i jego ręka, na której się podpierał, wszystko to wydawało się być mechaniką nieznanymi sił uwieczonych w naszych ciałach, daremnie działających w nas, skoro każde drgnięcie i każdy ruch ograniczone są poprzez racjonalne formy przesądzające o wszystkim, mógłbym powiedzieć, że na próżno czuję, iż żyje we mnie Bóg, skoro żaden mój ruch nie może być niczym więcej, niż pozwalają na to służące wyznaczonemu celowi formy, cielesne formy stają się wzorcem dla działania sił, a zatem skutek, jaki wywiera każdy ruch, nie może być niczym innym jak sygnałem o nim samym, znakiem, niczym więcej jak postrzeganiem racjonalnych funkcji form, urzeczywistnieniem się znanych, moich własnych wzorców, i to właśnie nazywam uczuciem, a przecież to nie jest nic innego jak rodzaj miłości własnej, widzę bowiem nie jego, lecz czężą formę, wzorzec, nie jego samego, znak, sygnał, to właśnie w sobie kochamy, że nasze formy działają w tożsamy sposób, jego ruch przywołuje we mnie te same skojarzenia, co mój ruch



w nim, zdradza jego cele, rozkoszne lustrzane odbicie, a reszta, zrozumiałem w końcu, to tylko oszustwo, w taki jednak sposób, jak gdybym zasłuchany w muzykę nagle zaczął się zastanawiać nad funkcjonowaniem instrumentów, strun i młoteczków, a sam dźwięk zaczął się ode mnie oddalać.

Powiedziałem, żeby się nie gniewał i że nic z tego nie rozumiem.

Dlaczego miałbym rozumieć, zapytał, i co miałbym rozumieć.

Powiedziałem, żeby się nie gniewał, i że nic już więcej nie potrafię powiedzieć, mogę mu tylko wyznaczyć coś, co kiedyś przemilczałem, bo wydawało mi się zbyt sentymentalne, to, czego kiedyś był tak ciekaw, bałem się, żeby tymi słowami czegoś nie zepsuć, teraz jednak, musi mi wybaczyć, jego ruchy nie mają już dla mnie takiego znaczenia, już nie wydaje mi się takie ważne, czy mnie dotknie albo czy ja mogę dotknąć jego, cokolwiek bowiem robimy czy cokolwiek moglibyśmy robić, i tak ktoś to z góry zaplanował!, już wtedy byliśmy razem, kiedy się jeszcze nie znaliśmy, po prostu nie wiedzieliśmy o tym, niech sobie wyobrazi, że to trwa już trzydzieści lat, i jestem przekonany, tak, mogę to już powiedzieć, jestem przekonany, że jest moim bratem.

Zaśmiał się, nieomalże ryknął śmiechem, i ja też, kiedy wreszcie wydusiłem z siebie to słowo, nie potrafiłem opanować śmiechu, a on, żeby złagodzić swój śmiech, ostrożnie, pobłaźliwie przytknął palec do mojego policzka, ale nie tylko dlatego musieliśmy się śmiać, ja się śmiałem, bo to wszystko tak na mnie działało, jak gdybym głosem rozpalonych do czerwoności zmysłów palnął w tej ciszy największą głupotę, nie wspominając o tym, że wcale nie to chciałem powiedzieć, ale samo to słowo, „brat”, w jego języku i w naszej sytuacji nie znaczyło tego samego, co w moim języku, kiedy więc wypowiedziałem je w jego języku, myśląc je w moim własnym, sam natychmiast wyczułem błąd i pomyślałem o przydawce „ciepły”, którą dodaje się do słowa „brat”, gdy w jego języku chcemy powiedzieć, że pedał, „ciepły brat”, a więc zabrzmiało to tak, jak gdybym głosem rozpalonych do czerwoności zmysłów powiedział mu, że jest moim pedałem, co mogłoby być zręczną grą słów, może nawet dowcipną, gdybym nie powiedział tego głosem zdławionym emocjami, a tak zabrzmiało jak mówienie o trupie w domu wisielca, stając się śmieszne i przeciwne moim zamiarom, które w ten sposób zwróciły się przeciw sobie, i stało się po prostu śmieszne, więc się śmialiśmy, on śmiał się do łez, i na nic się zdały moje pełne zażenowania tłumaczenia, że w węgierszczyźnie „brat” powstaje z połączenia słów „ciało” i „krew”, i że to właśnie miałem na myśli.

Kiedy się trochę uspokoił i przestał co chwilę wybuchać chichotem, poczułem, że jeszcze bardziej się od siebie oddaliliśmy.

Jak gdyby znów poczuł swoją wyższość, tę, którą skrywał tamtego pierwszego wieczoru.

Dodałem cicho, że właściwie nie to chciałem mu powiedzieć.

Wziął w dłonie moją twarz, wybaczył moje głupie słowa, ale to przebaczenie dało mu jeszcze większą przewagę niż śmiech.

Chciałem powiedzieć, właściwie pragnąłem mu powiedzieć coś, o czym jeszcze nigdy nie rozmawialiśmy, bo nie chciałem go urazić, ale wydaje mi się, że to wszystko jest pozbawione przyszłości, niech się nie gniewa, ale czuję się, jak gdyby zamknięto mnie w więzieniu.

Dlaczego miałby się gniewać, zapytał, za co miałby się gniewać?

Chyba na jakiś czas powinniśmy się rozstać, powiedziałem.

No właśnie, dlatego przed chwilą stwierdził, że tak właśnie jest. Dopiero teraz widzę, że tak właśnie jest. A ja udawałem, że nie rozumiem.

Bo nie rozumiem.

Fakt, on też o tym nie myślał, teraz dopiero pierwszy raz, ze mną, zapomniał, że tak to

jest, i kiedy poczuł to, dotykając mojej ręki, był zaskoczony, co więcej, przerażony, wygląda, że właśnie tyle miało to trwać, tyle i nie dłużej, i kiedy udawał, że ogląda telewizję, rozmyślał, że jeżeli ja czuję to samo, to musi się z tym pogodzić, i się uspokoił, mogę mu wierzyć, wie z własnego doświadczenia, że dwaj mężczyźni, bracia, jak to przed chwilą ładnie określiłem, tu krótko się zaśmiał, choć ten śmiech brzmiał raczej jak płacz, po prostu nie mogą ze sobą długo wytrzymać, i tu nie ma wyjątków, ja zaś chciałem na siłę wpasować ten związek w taki porządek uczuć, do jakiego przywykłem z kobietami, i on nic na to nie może poradzić, że mam taką pogmatwaną przeszłość, ale przecież nie wolno zapominać, że z kobietą nawet wówczas może coś być, kiedy właściwie nie ma żadnych szans, i żadne okoliczności nie są w stanie przeszkodzić naturalnemu biegowi rzeczy; tymczasem pomiędzy dwoma mężczyznami zawsze będzie tylko to, co jest, nic więcej i nic mniej, i dlatego jedyna rada, jaką może mi służyć, brzmi, że w takich wypadkach najszlachetniejszą rzeczą jest grzecznie wstać, niczego dłużej nie udawać, lecz pod jakimkolwiek pretekstem, natychmiast i bez żalu odejść, nie oglądając się za siebie, to bowiem, co takim sposobem będę mógł dla siebie zatrzymać, stanie się dla nas o wiele cenniejsze, niż gdybym próbował oszukiwać samego siebie, gdyż jego, muszę mu wybaczyć, nie potrafię oszukać, zbyt dobrze zna już te wszystkie sprawy, zatem jedynym rozsądnym rozwiązaniem pozostaje, abym już nigdy więcej o nim nie myślał.

Powiedziałem, że trochę nieudolnie odgrywa rolę okrutnika, by nie powiedzieć: faszysty. Jestem sentymentalny, odparł.

Odpowiedziałem, że to całkiem możliwe, ale w tym przeklętym języku nie potrafię jasno się wysłowić.

Że powie to wszystko za mnie.

Poprosiłem, żeby się nie wygłupiał.

Jakże mógłby się wygłupiać, zapytał.

No to niech się wygłupia.

Czy jeszcze wiem, o czym rozmawiamy.

I czy on wie.

## Opis dawnego fresku

Na obrazku, który przechowywałem pomiędzy notatkami, a który w opowieści, jaką bym napisał, gdybym tylko odnalazł w sobie niezbędne zdolności i siłę, stałby się symbolem tajemniczego świata mych przeczuć i domniemań, widniał sielski pejzaż, polana łagodnie wznosząca się wśród bezkresnych pagórków pokrytych rzadkimi zaroślami, jedwabistymi trawami, kwiatami, potarganymi wichurą drzewkami oliwnymi i obalonymi dębami; była to zręczna kopia dawnego fresku, który przed kilkoma laty, podczas podróży po Italii, miałem okazję podziwiać w całej okazałości jego groźnych barw i potężnych rozmiarów, kopia malowidła ukazującego krajobraz w porze, kiedy poranek z wolna wznosi się znad oceanu, by obdarzyć ludzi jasnością, i nieskończenie subtelnym blaskiem rozświetla rosę opadającą na obrzeża traw oraz dłonie liści; czas rosy, kiedy wiatr nie porusza krzewów i jakby odpoczywa, a zdaje się to trwać całą wieczność; noc zniosła już swe srebrne jajko, tylko Eros, wedle niektórych podań syn boga wiatrów, nie wyłonił się jeszcze z jaja, godzina przed czymś, przed tym wszystkim, co możemy nazwać dzianiem się, poprzedzająca je chwila, choć już po szlachetnym akcie zapłodnienia i poczęcia, gdy dwie potężne, pierwotne siły, groźny wiatr i ciemność nocy, parzyły się ze sobą; nie ma jeszcze cienia, jesteśmy wciąż przed tym, co nastąpi, oto właśnie antyczny poranek!, i dlatego tej wyjątkowej chwili, nawet jeśli by je porównać, nie należy mylić z chwilą, w której Helios ze swym wozem i końmi zniknie za horyzontem, a wtedy ze strachu przed przemijaniem, w nadziei, że można jeszcze dopędzić oddalający się dzień, byleby tu nie pozostać!, tylko nie tu!, wszelkie istnienie rzuci się w pogoń za swym cieniem, a ból pożegnania uczyni strasznym, czerwonym, złociejącym wszystko, co w tamtej wczesnej godzinie było prawie martwe, nieruchome, blade, niemalże szare, srebrne, wyłaniające się z mroku, zimne, i gdy przed chwilą mówiłem o groźnych barwach, to tylko dlatego, że nie jest to już ta srebrzystość nocy, co wchłania łączywie barwy świata i wyzwala je w metalicznie jednolitych rozbłyskach, nie, wszystkie istnienia otrzymały przeznaczoną im barwę, zrodziły się, choć barwy te nie żyją jeszcze; tchnące rozkoszą, nagie ciało Pana odpoczywającego w geometrycznym środku obrazu połyskuje pysznym brązem, u jego nóg srebrzy się uroczy koziołek, brudnobiały, jak należy, trawa gniewnie zielona, dęby głęboko zielone, bieli się biały kamień, wokół trzy nimfy w powiewnych szatach z turkusowego, oliwkowego i czerwonego jedwabiu; ale na tej zroszonej granicy nocy i dnia one też są jak gdyby zupełnie nieruchome, uczyniwszy ostatni ruch swej nocy, nie zrobiły jeszcze pierwszego gestu swego dnia, barwy ich ciał i szat trwają w mglistych zarysach pustej formy, tak jak mgliste są barwy drzew, traw i kamieni, jako że na granicy końca i początku nie mają ze sobą nic wspólnego, każda z nich zerka w inną stronę, dzięki czemu nawet mała kopia fresku wydaje się duża, barwy też nie mają żadnego związku, czerwień jest czerwienią samą w sobie, błękit błękitem, i nie dlatego wcale, że zielen pozostaje tylko zielenią, nawet jeśli autor fresku w swej barbarzyńsko upraszczającej niewiedzy uwiecznił moment budzenia się do życia, czyli, prościej mówiąc, z dokładnością śmiertelnika obstawał przy nastroju letniego świtu, kiedy człowiek, sam nie wiedząc czemu, zrywa się nagle, wyłazi ze ślepego ciepła swego łóżka, zataczając się, wychodzi z domu, by załatwić potrzebę, a na dworze spotyka go straszliwa cisza, nawet krople rosy nie spadają, byleby tylko nie zakłócić tej ciszy, i choć wie, że w najbliższej chwili gorejące złoto dnia wyrwie wszechświat z tej nieruchomej śmierci, by oddać go życiu, to całą zdobyta wiedza

i doświadczenie okazały się niczym w porównaniu z tą ciszą niebytu, i mimo że dotąd, błędząc w ciemności nocy czy zagłębiając się w cieniach dnia, szukał śmierci, teraz najzupełniej niespodziewanie, z największą łatwością, tak że gorący mocz nie zechce z niego wytrysnąć, odkryje w tej barwnie bezbarwnej chwili to, co grzejąc swe ciało w łonie boga, szczęśliwie przespał.

Jednak nie jest wykluczone, że to nie Pan siedzi na kamieniu, mimo dokładnych i wnikliwych badań nie potrafiłem tego z całą pewnością rozstrzygnąć, pozostało więc pytanie, czy fresk przypadkiem nie przedstawia Hermesa, a więc nie syna, lecz ojca, no, niemała to różnica!, bo gdyby rzeczywiście tak było, wówczas trzy nimfy okazałyby się nie towarzyszkami zabaw miłosnych chłopca, nie wesołymi kochankami, lecz samą matką, wszystkie motywy obrazu w dwuznaczny sposób potwierdzały to, czemu jednocześnie przeczyły, dlatego też zaryzykowałem w głębi duszy przypuszczenie, co więcej, tak naprawdę to właśnie przypuszczenie intrygowało mnie najbardziej, że malarz może świadomie wszystko tak śmiało pomieszał, mówił o ojcu, a myślał o synu, czy na odwrót, mówił o młodzieńcu, a myślał o ojcu z czasów jego młodości, matkę natomiast ukazał jako umiłowaną kochankę obojgu; ona zaś, ze spuszczoną głową, śledząc błyszczącymi w skupieniu oczyma grę palców poruszających się po strunach opartej na kolanach lutni, stała po prawej stronie fresku w oliwkowozielonej szacie, zdawała się być trochę, a może nawet niemała starsza od nagiego młodzieńca, stwierdzenie takie musimy zaryzykować, nawet gdy z jednej strony przeraża nas to, że w dążeniu do założonego celu sami się oszukamy, z drugiej zaś strony dobrze wiemy, że bogowie są ponad czasem, co w przypadku nimf nie jest już do końca prawdą, one, jak świadczą znane od wieków podania, tym bardziej są nieśmiertelne, im bliżej znajdują się boskości, zdarzają się więc wśród nich również i śmiertelne, o mieszkankach mórz mówi się, że nigdy nie umierają, czego nie można powiedzieć o pospolitszych nimfach zamieszkujących źródła, a tym bardziej o tych, które przebywają na polach, w lasach, krzakach i drzewach, zwłaszcza w dębach, gdyż te umierają razem z drzewem; skoro już idąc śladami niejasnych wskazówek malarza, próbujemy na podstawie twarzy określić wiek nimfy – jej palce spoczywają na najdalszej strunie harfy, wzrok dokładnie mierzy odległość, jak gdyby chciała wydobyć z instrumentu lekki, szybki akord – to powinniśmy sobie przypomnieć o dawnym sposobie obliczania wieku, zgodnie z którym gadatliwa wrona żyje tyle, co dziewięć ludzkich pokoleń, jeleni zaś tak długo, jak cztery wrony, krukowi dane są trzy życia jelenia, przez dziewięć czasów kruka trwa palma, a dziesięćkroć dłużej żyją nimfy, pięknowłose córki Zeusa; ona miała za sobą może połowę życia kruka, tak więc jeśli bym powiedział, że jest starsza od młodzieńca, to, rzecz jasna, nie według ludzkich kategorii mierzyłbym jej wiek i nie dostrzegłbym na jej twarzy najmniejszej choćby zmarszczki; błogosławiła ją jakby mądrość macierzyństwa, przynajmniej w porównaniu z pozostałymi dwiema, które podobniejsze były młodzieńcowi, wiekiem równe, nieznające szczęścia bólu; dlaczego tak było, nie potrafiłbym dokładnie powiedzieć, choć na tę matczyną mądrość wskazywała szyja wyłaniająca się z przerzuconego przez ramię, suto sfałdowanego płaszcza, cudowny zarys kobiecej szyi!, bieląca się nagością pod głęboko brązowymi włosami, spiętymi w luźny kok srebrną spinką, i może to właśnie czyniło ją tak bezwstydnie obnażoną, opadało na nią tylko kilka kędziorków, króciutkie kosmyki skręcały się bezładnie, przecież to spotkanie przyodziania i nagości, to, co tak bardzo lubimy; gdyby tak właśnie udało mi się opisać szyję nimfy, wówczas bez wątpienia dałbym wyraz uczuciu, jakie pozostawił we mnie obraz szyi mojej narzeczonej, pozostawił!, wyrzył!, uczuciu, które mnie ogarniało, kiedy siedzieliśmy na przykład obok siebie, oglądając album, ona pochylała się do przodu, by lepiej się

przyjrzeć jakiemuś nieistotnemu szczegółowi, ja patrzyłem na nią z boku, całkiem z bliska, chciałem się nachylić, musnąć wargami jej szyję, lekkimi pocałunkami dotknąć skóry napiętej ruchem, poczuć w ustach jej ciepło i zapach, dotrzeć do włosów, przed tym wszystkim powstrzymywały mnie jednak dobre wychowanie i respekt.

Kiedy wstający poranek rozżarzy później złotem pozostałą srebrzystość nocy, o, gdyby takimi zdaniem dane mi było mówić o antycznym poranku!, palce nimfy szarpną struny lutni i pasaż wyłaniający się z tego ruchu stanie się początkiem, ona zaś przygotowywać się będzie, by jako pierwsza dźwiękami lutni powitać dzień, w którego promieniach grzejący się dąb rzuci wreszcie miłe cienie.

Chyba nawet nie potrzebuję mówić, że stał za nią dąb, zmierzwiony, patrząc naszymi oczyma – leciwy, kiedyś, dawno, może rażony gromem, rósł krzywo, wiatr połamał i porozrzucił jego uschnięte gałęzie, w ich miejsce bujnie wyrosły już nowe pędy, i fakt ten nie tylko utwierdził mnie w przekonaniu, że musi ona być niemłoda, lecz także jednoznacznie wskazywał, że mamy do czynienia z nimfą dębu, ona więc, która na fresku każdego ranka trąca struny lutni, nie jest nikim innym jak Dryope, o Dryope zaś wiemy dobrze, że urodą smukłej postaci i szlachetnością rysów twarzy śmiało wyzwoliła miłość Hermesa pasącego owce na arkadyjskich polanach i że roznamiętniony bóg tak długo ją gonił – tu należy zauważyć, iż tylko według naszego ludzkiego czasu trwała długo ta igraszka, może przez trzy pokolenia, co stanowi nie więcej niż jedną trzecią pokolenia wron – aż miłość ta się spełniła, rzecz wcale nie rzadka, i powiedzieć możemy, że nimfa, jak imię jej wskazuje, istota płci żeńskiej, dzięki której mężczyzna staje się nimficzny, a więc osiąga cel męskości, spełniała jedynie swą powinność, tak jak i bóg spełniał swą powinność, tylko że ten, którego piękna Dryope zrodziła z owej miłości dla świata nieśmiertelnych, nie mieścił się w kategoriach, do jakich biedna, śmiertelna, znająca swoją powinność, niemalże ludzka matka przywykła.

Oczywiście nie mam najmniejszego zamiaru twierdzić, że Dryope była płochą, kruchą czy bojaźliwą istotą, wiadomo bowiem, iż była wysokiego wzrostu i mocnej budowy, wspomniano nawet o jej sile, a kiedy gnani miłością bogowie czy ludzie ścigali ją, nie tylko uciekała, lecz także atakowała co pewien czas, zatrzymywała się, stała nieporuszona niczym dąb, jak gdyby jej nogi zapuściły korzenie, syczała, śmiała się, biła pięściami, gotowa była gryźć, kiedy zaś na brzegu chłodnego strumienia zdejmowała zielone szaty, by zmyć z siebie zmęczenie, silne włókna mięśni jej ud przywykłych do biegu i krągłych ramion przeżyły się, napinając perłową skórę, okrągłe piersi trwały na swoim miejscu, a jej łechtaczka, jak okazywało się później, w chwili spełnienia była niczym fallus budzącego się ze snu chłopca; rzecz można, bóg nie przez przypadek pragnął złagodzić tę twardość, obłaskawić nieokiełznane, a siłę zamienić w czułość; kiedy jednak, odgryzłszy zębami pępownię, ujrzała pomiędzy swymi nogami wrzeszczący, śmiejący się i wierzgający w krwawym łożysku płód, krzyknęła z tego najbardziej dziewczęcego przerażenia i ukryła twarz w dłoniach, skąd bowiem mogła wiedzieć, że nie ma najmniejszego powodu do strachu, że wydała na świat boga?, skąd mogła to wiedzieć, skoro tylko to ujrzała, co dane jej było ujrzeć!, i jak gdyby nie żądry wesołego Hermesa uległa, lecz cuchnącemu kozłowi, na głowie nowo narodzonego rośla długa, twarda szczecina, na czole, w miejscu, gdzie u ludzi i bogów kości tworzą twardą wypukłość, sterczały dwa zakręcone różki, a jego nogi, potworność!, nie były zakończone stopami, jak u nas, lecz kopytami, jak u kozła, różowymi i jeszcze miękkimi, które, wiadomo, dopiero z upływem lat paskudnie stwardnieją, szernieją, będą stukać i sypać iskry po kamieniach.

Przerażona owocem swojego ciała Dryope poderwała się i umknęła.

Tak kończy się historia, nic więcej nie wiemy, nie wiemy, jak dalej potoczyły się jej losy, i jeśli chcielibyśmy coś jeszcze wiedzieć, zmuszeni będziemy zawierzyć własnej wyobraźni.

Wiemy zaś, że Hermes znalazł swego syna w trawie i nie tylko nie zaskoczył go wyglądem chłopczyka, lecz przysporzył mu nieokiełznanej radości; wówczas chłopiec już stał na stópkach, a właściwie na kopytkach, kręcił się wkoło, śmiał się, fikał koziołki, cieszył się, że żdźbła trawy kłują, rozcinają mu skórę, gdy kąpie się w rosie, gonił osy i muchy, obrywał i zjadał płatki kwiatów, miękkimi różkami bódł kamienie, drzewa, ból łaskotał jego ciało; zaspokajając figlarne zachcianki, obsiusał jakąś muchę, narobił na głowę żmijce, wspaniale ziściło się w nim dzieło stworzenia, toteż nie może nas dziwić, że przyglądającego się mu ojca napawało to radością, a ponieważ ojcom spieszno zazwyczaj, by powtórzenie własnych losów ujrzeć w synach, Hermesowi też przypomniał się poranek, kiedy przyszedł na świat, kiedy łagodna Maja, urodziwszy go, położyła w kołysce, a on niepostrzeżenie wydostał się z niej, wyszedł z groty, znalazł żółwia, uczynił zeń lutnię i ruszył z nią w drogę, gdy zaś Helios w blaskach czerwieni skrył się ze swymi końmi za horyzontem, oczywiście znamy dokładnie tę datę, był to wieczór czwartego dnia miesiąca księżycowego, Hermes gołymi rękami zabił dwa woły, ściągnął z nich skórę, by upiec mięso, na poczekaniu wynalazł ogień, wreszcie uprowadził całe stado, a potem, niczym się nie zdradzając, wrócił do kołyski; teraz więc wziął chłopczyka w ramiona, dokładnie tak, jak kiedyś uczynił z nim samym Apollo, i zaniósł bogom, by także oni go sobie upodobali.

Najbardziej ucieszył się z przybyśza Dionizos, od razu nazwał go Panem, jako że w języku nieśmiertelnych słowo to oznacza wszechświat, tak więc, o ile nie jesteśmy w błędzie, wedle bogów w nim najpełniej ucieleśniało się to słowo.

Tylko że piękny młodzieniec siedzący pośrodku fresku, choć jedną ręką unosił ku ustom siedmioramienną syringę, nieodłączny atrybut Pana, który w myśl podań wiódł nocą taniec nimf, by później zbudzić poranek, Pana, który jest gniewnym, złym bogiem, wpadającym w szał, gdy ktoś przerwie mu południową drzemkę w łagodnym cieniu dębu, skądinąd zaś najbardziej przyjaznym, dobrym, wesołym bogiem płodności, lubiącym figle, muzykę i wrzawę; daremnie tyle różnych znaków wskazywało na to, że ów młodzieniec na fresku to Pan, skoro i tak nie potrafiłem pozbyć się wątpliwości, czy jest on na pewno owym potężnym fallicznym bogiem, choć kim innym mógłby być?, odpowiedź na to pytanie wydawała się niemożliwa, gdyż nie tylko trzymał w drugiej ręce leszczynową łaskę, tę, którą, jak mówi tradycja, Hermes dostał od Apollina w zamian za lutnię, lecz jego ciała nie pokrywała sierść, nie miał też rogów ani kopyt; najwyżej uroczy koziołek, leżący u jego stóp niby pies, mógł być symbolem tego wszystkiego, czego zabrakło w ciele namalowanym na ludzką modłę; wielu jest artystów, którzy ubierają w piękno to, co właśnie w swej brzydocie jest sobą, przeraża ich bowiem widok wszechświata rogatego, pokrytego sierścią i stukającego kopytami, ludzka to oczywiście słabość!, ale nie mogłem też zlekceważyć możliwości, że autor fresku z powodu takiej właśnie śmiesznej słabostki starał się w zwodniczy sposób ubarwić historię bogów; nic mi tedy nie mówiła owa przekłeta leszczynowa łaska, skoro nie miałem podstaw, by twierdzić, że na fresku znajduje się Hermes, skąd bowiem w jego drugiej ręce znalazłaby się syringa?, cała historia nazbyt była zagmatwana i nie zajmowałbym się nią tak pilnie, gdyby nie to, że wyjaśnienie tej gmatwaniny wiązało się ściśle z opowiadaniem, które zamierzałem napisać; badałem więc, głowiłem się, bawiłem różnymi możliwościami, eksperymentowałem, a jednocześnie zwlekałem, gdyż bałem się podjąć zbyt trudne zadanie, kiedy zaś udało mi się wreszcie na coś zdecydować, że będzie tak czy owak, wówczas przychodził mi do głowy nowy pomysł, że, no dobrze, może w istocie nie jest to ani Pan, ani Hermes, lecz sam Apollo, o którym krąży opowieść, iż kiedyś zakochał się

w Dryope, zgodnie ze swoim zwyczajem zaczął ją gonić, ale ponieważ piękna panna, jak przystało, zwlekała z zaspokojeniem jego żądz, podniecony Apollo przemienił się w żółwia, by w ten sposób znaleźć się w ręku figlarniej nimfy; Dryope położyła żółwia na swojej pięknej piersi, a wtedy Apollo przemienił się w węża i połączył z nią pod osłoną szat; tu jednak mój pomysł rozplywa się w nicość, gdyby bowiem tak miało być, skąd wzięłaby się w ręku Dryope lutnia, o której już wspominałem, że zrobił ją Hermes, kiedy w dniu swych narodzin wyszedł z grotty, a zdarzenie to nastąpiło o wiele później.

Pytanie moje pozostałoby pytaniem, mój pomysł jedynie pomysłem, gdyby nie wydało mi się tak szczególnym zachowanie dwóch pozostałych nimf, przedstawionych po lewej stronie fresku; jedna z nich, tak jak brązowoskóry młodzieniec, siedziała na białym kamieniu, ubrana w czerwone szaty, na kolanach trzymała mały bębenek, w ręku dwie pałeczki, nie miała natomiast twarzy, w tym miejscu farba po prostu odpadła od ściany; z pozycji, w jakiej siedziała, można było jednak wywnioskować, że kiedy jeszcze miała twarz, patrzyła prosto przed siebie; ona jest tą, która spogląda z obrazu, patrzy na nas, w jakimkolwiek miejscu byśmy przed nim stanęli, wodzi za nami surowym czy też pełnym wyrozumiałości, czułym spojrzeniem; dużo bardziej niż pozbawiona twarzy nimfa intrygowała mnie jednak ta druga, stojąca za nią w turkusowym płaszczu, ona tylko wykazywała zainteresowanie młodzieńcem, którego przed chwilą odważnie nazwałem Panem, z nich trzech ona była najpiękniejsza, miała pełną twarz, czyste czoło, bujne, jasne, wieńcem przytrzymane włosy, giętką, delikatną postać, stała z wysuniętymi do przodu biodrami i splecionymi z tyłu rękoma, postawa jej tchnęła spokojem, pewnością, kobiecością, duże brązowe oczy spoglądały może trochę smutno, a był to smutek pragnienia, i wtedy... aż krzyknąłem z radości, uprzytomniwszy sobie, że ten sam smutek kryje się w oczach młodzieńca, który odwracając głowę, nie dostrzegając ślizgającego się po jego piersi spojrzenia pełnego żądz, patrzy zza ramienia grającej na lutni Dryope, nic nie wydaje się tu przypadkowe, oczywiste jest, że i on komuś się przygląda, i na niego ktoś patrzy, on przypatruje się komuś na fresku niewidocznemu, komuś stojącemu może nawet w lesie, między drzewami.

Mnie zaś w istocie rzeczy interesował właśnie las, w którym owa nieprawdopodobna miłość byłaby możliwa, a nawet gdyby się nie zdarzyła, o niej właśnie chciałem pisać.

Ciągle wracałem do fresku, w nadziei, że z czasem wyjaśni się, dlaczego ta scena tak bardzo mnie interesuje, skoro w moim opowiadaniu nie zamierzałem nawet wspomnieć ani o fresku, ani o przedstawionych na nim osobach, i w postaci widocznej w głębi rozpoznałem wreszcie Salmakis, a imię to, sycąc me podniecenie, dało mi klucz do rozwiązania zagadki, przywiodło na myśl trzecią, równie zagmatwaną opowieść; jesteśmy w domu, myślałem zadowolony, Hermes, jak wiadomo, ma jeszcze drugiego syna, określenie „syn” jest wprawdzie w przypadku tej istoty, owocu miłości z Afrodytą, cokolwiek wątpliwe, chociażby dlatego, że wedle niektórych genealogii ci dwoje są rodzeństwem, dziećmi Uranosa, nieba nocy, i Hemery, światłości dnia, nie tylko rodzeństwem, ale też rodzeństwem bliźniaczym, wiemy również, że ich narodziny przypadają na czwarty dzień miesiąca księżycowego, tak więc owoc tej miłości w jednakowym stopniu zawiera w sobie cechy ich charakterów, rysów twarzy i kształtu ciał, niby zlewające się z szumem dwa rwące strumienie, kiedy się ze sobą łączą, któż by potrafił oddzielić wodę od wody!, tak też w nim połączyło się to, co nazywamy dziewczyną i chłopcem, rzecz w przypadku niektórych bogów zupełnie normalna, i aby owo boskie połączenie kobiecości oraz męskości było niewątpliwe, dziecię to otrzymało imię stworzone z imienia jego ojca Hermesa i matki Afrodyty.

Wszyscy chyba już się domyślają, o kim mowa, tak, nowo narodzony to Hermafroditos,

którego tuż po przyjściu na świat Afrodyta oddała pod opiekę nimf z gór Idy, one wychowywały go troskliwie, znów matka porzucająca swe dziecko, ale kiedy ochłoniemy z oburzenia, przyznamy, że w świecie bogów jest to naturalne, każdy z nich sam jest w pełni sobą, tak tworzą boską rodzinę, brzmi to trochę tak, jak gdyby bogowie byli z natury demokratami, ale wracając do historii Hermafroditosa, kiedy dorósł, stał się tak oślepiająco piękny, że niektórzy mylili go z samym Erosem, sądzili, iż Eros także jest owocem miłości Hermesa i Afrodyty, choć naturalnie rzecz to niemożliwa; Hermafroditos, kiedy skończył piętnaście lat, wyruszył w podróż, objechał całą Azję Mniejszą, zgodnie ze swym zwyczajem wszędzie zachwycał się wodami, aż dotarł do Karii, gdzie nad brzegiem cudownego strumienia spotkał Salmakis.

W tym miejscu komplikuje się nasza trzecia historia, za wiele wersji już poznaliśmy, by móc rozwikłać coraz bardziej zagmatwaną chronologię wydarzeń, co naturalnie należy do istoty wszelkich opowieści, jako że ukazuje granice ludzkiej pamięci, jeżeli więc w naszych domniemaniach nie popełniliśmy żadnej pomyłki, możemy przypuszczać, że strumień, tam gdzie wytryskał z ziemi, tworzył małe jezioro, a Salmakis, w turkusowym płaszczu, rozczesywała długie włosy, patrząc w jego zwierciadło, kiedy zaś wygładziła włosy splątane nocą, by założyć na nie wieniec, przestawały się jej podobać, może zwierciadło wody nie było gładkie, rozpuszczała je więc i czesała na nowo, ciągle na nowo, dziś nazwalibyśmy ją wariatką, nie robiła nic innego, tylko się czesała, i tak upływało jej życie, ponieważ jednak była nimfą wodną, nie możemy twierdzić, że bezsensownie.

I jak zawsze, gdy naprawdę spotka się ze sobą dwoje ludzi, pierwsza chwila, zauważenie drugiej osoby, dostrzeżenie jej niespodziewanego nadejścia wydaje się nieistotnym, rzecz można: nieuchwytnym momentem, no, nie przypadek to wcale!, później dopiero dwie stworzone dla siebie i przez boga przywiedzione ku sobie istoty rozpoznają się, ujrzą w tej drugiej swoje odbicie i żadna z nich nie będzie zmuszona do tego, do czego w zwyczajnych, codziennych związkach tak bardzo przywykła, do wyjścia, wyrznięcia z siebie, naruszenia z powodu kogoś drugiego granic własnej osobowości, nie, tutaj te dwie niezależne istoty nietknięte przenikną się nawzajem, nie ma granic to, co ma wyraźne granice!, i potem, zastanawiając się nad tą jakże ważną chwilą, odniesie człowiek wrażenie, że w jakiś dziwny sposób nie zauważył, w ogóle nie zauważył tego, co przecież bardzo dobrze widział; tak też było w ich boskim przypadku: Hermafroditos przyglądał się wodzie i czesała się przed lustrem jeziora Salmakis nie była dla niego niczym innym, jak jedną z właściwości, rzecz można: jedną z części tej bezgranicznie pociągającej wody, częścią, którą wprawdzie widział, ale tyle różnych rzeczy odbijało się w wodzie, niebo, kamienie, biel z wolna przesuwających się obłoków, gęste zarośla, Salmakis zaś, wpatrzona w swe odbicie, wcale nie uważała za godne uwagi tego, iż poza swoją twarzą, nagimi ramionami, błyskami grzebienia widzi pod lustrem wody poruszające płetwami srebrzyste ryby, złocące się fałdy piasku na dnie; dla niej więc Hermafroditos nie był w tym odbiciu niczym więcej niż, powiedzmy, pajakiem wodnym, który ledwie zanurzywszy się pod powierzchnię, wznosząc drobniotkie falki, przebiegał na długich nogach po jej twarzy; Hermafroditos w owej chwili nie myślał o niczym, był smutny, bezgranicznie smutny, tak smutny jak zawsze, smutek zaś przeszkadza w dogłębnym zastanawianiu się nad rzeczami; Hermafroditosowi natura dała w całości to, co my otrzymaliśmy każde z osobna, ale nie odebrała mu żądy, on zaś nie mógł znać zaspokajających ją szlachetnych zabaw, w nim wszelka żądza znajdowała się już u swego celu, natura odebrała mu zwyczajne uczucie zaspokojenia, on sam był bowiem zaspokojeniem natury, i stąd ten smutek, ten bezgraniczny smutek, który skądinąd umocnił mnie w przekonaniu, że to przecież nie Hermesa i nie Pana widzę na fresku,



oni są, jak wiadomo, weseli i dzicy, smutek nie charakteryzował też Apollina, jego wprawdzie w jednakowe uniesienie wprawiały boginie, młodzi bogowie, nimfy, jak i zwykli pasterze, ale nic nie wiemy o tym, by nie umiał pogodzić ze sobą tego dwurodzajowego świata, smutek jest jednoznacznie cechą Hermafroditosa, rozstrzygnąłem w duchu, jego wyjątkową cechą, jego, który stoi tu w swej wielkiej chwili, kiedy zaskoczona Salmakis, nie odwróciwszy wzroku od swego odbicia, upuszcza na kolana grzebień; ciągle jeszcze nie patrzą na siebie, choć się już widzą, i Salmakis myśli, co w późniejszych opowieściach stało się źródłem tylu pomyłek, że widzi Erosa w postaci pająka wodnego, widzi, jak po jej twarzy przesuwają się jego piękna twarz; Salmakis była zbyt dumna, by od razu się zakochać, była antyczną sawantką, lecz w chwili, gdy dwa odbicia złączyły się ze sobą, oczy na oczach, nos na nosie, usta na ustach, czoło na czole, jak i dlaczego, nie ma najmniejszego znaczenia, w chwili, kiedy smutny Hermafroditos poczuł coś, czego nigdy przedtem nie dane mu było czuć, kiedy usta obydwójga wypełnił boski krzyk!, i poczuli to, co czuje każdy śmiertelnik, kiedy przenika drugą istotę, pomyślmy!, kiedy wszystko trwa nieporuszone, słychać tylko grzmot piorunów i wichru, huk bijącego o skały morza, pomyślmy!, cóż to musi być za rozkosz, kiedy sam bóg wyrywa się z granic swej istoty, Salmakis straciła z oczu swoje odbicie, Hermafroditos wodę, obydwójce utracili to, do czego posiadania zostali stworzeni, i nie dziwny się, iż nie mogli tak jak my, zwykli śmiertelnicy, pozostać ze sobą, nawet wówczas, kiedy opowieść o nich miała traktować o idealnie spełnionej miłości.

Kiedy dotarłszy do tego momentu, próbowałem podsumować, co wiem, a czego nie wiem o owym tajemniczym młodzieńcu, który spoglądając zza ramienia Dryope, wodzi za kimś tęsknym wzrokiem, podczas gdy rozmarzona Salmakis obserwuje go, stało się dla mnie jasne, że żadne z nich nigdy nie zdobędzie upragnionej istoty, o bogowie!, jaki więc to wszystko ma sens?, jeśli w ogóle wolno zadawać takie głupawe pytania!, czuję, że zgubiłem się pośród najróżniejszych przeczuć, tak jak przedstawione na fresku postacie zagubiły się wśród chaosu, w jakim dane im było trwać; w spojrzeniu Salmakis brutalnie i zwyczajnie, bez żadnej przenośni mego pseudoprecyzyjnego arcyzmu, rozpoznałem spojrzenie mojej narzeczonej Helene, która tęsknie, smutno i wyrozumiale usiłuje chłonąć każdy mój ruch i każdą moją myśl, próbuje osiągnąć mnie całego, ja natomiast, przeklęty i wyklęty, niezdolny do miłości, choćbym ją nawet kochał podobnie jak ten młodzieniec, mimo że urodą nie mogę się z nim równać, nie za nią wódzę wzrokiem, za miłość tę nie tylko nie jestem jej wdzięczny, ale wręcz mnie ona irytuje, napawa odrazą i obrzydzeniem, patrzę na kogoś innego, oczywiście na kogoś innego!, tu zaryzykuję nawet butne stwierdzenie: ten ktoś dlatego właśnie intryguje mnie bardziej niż jej namacalne uczucie, że nie do przystani intymnego, rodzinnego gniazda, lecz w głębi moich instynktów, do matecznika, do piekła zamierza mnie zaprowadzić, pomiędzy dzikie zwierzęta, w nieznane, które zawsze wydaje się nam ważniejsze niż znane czy wiadome bądź możliwe do przewidzenia; kiedy analizowałem w myślach ów uczuciowy chaos, przypominała mi się historia równie brutalnie, jak bezpośrednio wynikająca z mojego życia, do diabła z antycznymi historiami!, związana z pewną pachnącą kobietą, której imię ze względu na jej dobrą sławę zachowam dla siebie, kobietą, która na przekór mej woli, niezależnie od wszystkich postanowień, niemal wbrew moim wszelkim pragnieniom tak zdecydowanie, pięknie i chłodno pojawiła się w centrum mego pełnego tajemnic życia, jak na dawnych malowidłach artyści zwykli ukazywać przeznaczenie, najbardziej chyba przypominała mi Dryope, to ona właśnie nie potrafiła odwzajemnić mej miłości z takim samym żarem, bo tak, jak ja w niej, zakochana była w mężczyźnie, którego w moim pamiętniku, chcąc wprowadzić czytelnika w błąd, wspominam jako przyjaciela mego ojca, nazywając go Clausem Diestenwegiem i ukrywając jego prawdziwe

imię, chociażby dlatego, iż za wszelką cenę pragnę napisać, że nie kochał on tej kobiety taką miłością, jaką ja potrafiłbym ją darzyć, że ona mimo wszystko nie jego, lecz mnie kochała, mnie pożądała w swej szalonej miłości, a on nie ją, lecz mnie kochał, mnie pożądał w swym szalonym uczuciu, i jeśli nawet czasami ulegał jej namiętności, to tylko po to, by móc choć w części doznać uczucia, jakim ja darzyłem tamtą kobietę, by móc stać się mną, by dane mu było osiągnąć to, co ja mu odebrałem, mnie więc kochał w tej kobiecie, ja zaś, skoro już chciałem jakoś ją dla siebie zatrzymać, musiałem kochać ją niczym przyjaciela czy ojca, czując jednocześnie, jaki powinienem być, aby ona mogła mnie pokochać do końca; cała ta historia zdarzyła się w czasach mojej młodości, wplątałem się w nią zaraz potem, kiedy po strasznym czynie i samobójstwie ojca przyjechałem do Berlina, w miesiącach poprzedzających kolejną tragedię, która nawet jeżeli nie zatarła wrażenia tamtej, to w każdym razie zamknęła historię nas trojga, mnie zaś, skoro już nie miałem odwagi czy siły, by umrzeć, zmusiła do rozpoczęcia nowego życia; jaka pusta, jałowa i trzeźwo mieszczańska stała się ta moja nowa egzystencja!, a więc, myślałem, takim właśnie, bądź podobnym, ostatecznym ludzkim chaosem, potwornym podrygiem nieosiągalnego miałyby być historia, w której człowiek wreszcie może się zbliżyć ku temu, co w nim boskie?, zapytywałem, tragedią?, tylko tragedią?, po co w takim razie te stosy niepotrzebnie zbieranych materiałów, notatek, papieru i myśli, skoro tragedie i bóstwa są dla nas jedynie przestrożą, nam samym jednak daleko do bogów, i nie tylko nie potrafię odpowiedzieć, kim jest ów młodzieniec na fresku, lecz nie wiem nawet, dlaczego mnie to w ogóle interesuje?, jak mógłbym tedy wznieść się ponad to, co tylko dla nich jest przekraczalne?

O fresku jednak nie zdołałem zapomnieć.

I zupełnie jak gdybym rozwiązywał krzyżówkę, kiedy to należy brać pod uwagę nie tylko wszystkie możliwe argumenty, lecz także czynniki wykluczające, po wielokroć stwierdzałem w duchu, że faktycznie jest piękny jak Eros, frapowała mnie jego uroda, jednak to nie on, smutny jest jak Hermafroditos, ale Hermafroditosem być nie może, skoro trzyma w ręku syringę Pana i laskę Hermesa, jednakowoż, kontrargumentowałem znowu, atakowałem to, czego nie potrafiłem pojąć, i radośnie przyglądałem się jego fallusowi namalowanemu z subtelnością charakterystyczną dla miniatur, dlatego choćby nie może być Panem, że tego potężnego fallicznego boga nigdy nie przedstawiano w tak bezceremonialnie bezwstydnym pozie, z rozłożonymi udami, on *en face* nigdy!, zawsze widzimy go z boku bądź w ruchu, kiedy ukrywa wstydliwą część ciała, logiczne to i naturalne, cały przecież, od czubków różków aż po kopyta, cały jest fallusem, byłoby więc zupełną niemożliwością, śmieszną próbą, gdyby ktoś wedle przyziemnych kryteriów chciał zdecydować, jaki ten fallus jest, mały czy duży, brązowy czy biały, cienki czy gruby, twierdzić, że opada sponad obwisłych jąder lub wznosi się groźnie niby czerwona maczuga, na moim malowidle jest on raczej ślicznym klejnocikiem, nietkniętym jak u nowo narodzonego, gładkim jak całe ciało ze skórą napiętą i lśniąca olejkami; kiedy więc nie miałem już czego rozważać, kiedy nie było już takiego fragmentu, którego nie obejrzałbym dokładnie, czy to gołym okiem, czy przez lupę, nie było już w tym obrazie nic, czego przy pomocy uczonych ksiązek nie wydobyłem z mroku własnej niewiedzy i nieoczytania, doszedłem do wniosku, że jest mi całkiem obojętne, co przedstawia ten fresk, że nie interesuje mnie właściwie historia widocznych na nim postaci, losy Apollina, Hermesa, Pana i Hermafroditosa tak samo stapiają się ze sobą, jak wszystko, co zamierzałem opowiedzieć o swoim życiu, nie ma w tym zresztą nic dziwnego, ponadto nie ich śmiertelne ciała mnie interesują, lecz fakt, że treść opowiadania, które chcę napisać, wydała mi się tożsama z treścią, przedmiotem obrazu, a przedmiot ten najbardziej uchwytny był w spojrzeniach, w spojrzeniach, które przez

powiązanie z ciałami wydawały się uprzedmiotowione, choć jednak nie cielesne, znajdujące się jakby poza cielesnością, no, ale dajmy temu spokój!, aby zaś móc o tym mówić, powinienem był dotrzeć do miejsca, na które patrzy młodzieniec, na które ja też patrzę, do lasu, powinienem był zobaczyć, kto stoi pomiędzy drzewami, kto jest tym, kogo ów młodzieniec tak beznadziejnie kocha, gdy ktoś inny równie beznadziejnie kocha jego, i cóż to?, cóż to?, znowu wróciliśmy do podstawowej kwestii, ja tymczasem nie potrafiłem nadać sensu swym niedorzecznym pytaniom, ukrywane za dawnym freskiem ciągle powracały, dobrze więc, na tym koniec, pomówmy o nich bez maski, pomówmy o tym, co nasze, o naszych ciałach i naszych spojrzeniach, zadrżałem na samą tę myśl i nagle odkryłem coś, czego dotąd nie widziałem, na próżno śledziłem przez lupę łydki, palce u nóg, ramiona, usta, oczy, czoło młodzieńca, na próżno wyznaczałem linijką kierunek jego spojrzenia, przy pomocy skomplikowanych obliczeń określałem miejsce tej tajemniczej postaci, skoro nie zauważyłem, po prostu nie zauważyłem, że to nie dwa loczki opadają mu na czoło, ale dwa różki; a więc jest to Pan, z pewnością, niewątpliwie, tyle że ta pewność nie ma już dla mnie znaczenia.

Tak samo jak nie interesuje mnie już las.

Kiedy stałem o zmierzchu w oknie mojego mieszkania przy ulicy Weissenburgera, w pozycji pozwalającej zawsze, gdy tylko musiałbym się wstydzić mego entuzjazmu, znaleźć schronienie za połami zasłon, i w ten oto sposób zyskiwałem możliwość stawania się świadkiem powtarzającej się dwa razy w tygodniu sceny, czułem w sobie takie samo wibrujące podniecenie, jakie ogarniało mnie podczas studiowania fresku, tak bowiem, jak w antycznych historiach, które nawet gdy traktują o najbardziej jasnych i jednocześnie ezoterycznych ludzkich sprawach, zawsze bardzo rzeczowo i przyziemnie określają ich miejsce i czas, tak samo w tamtej ulicznej scenie nie tylko zmierzch był pewien, lecz i to, że zawsze rozgrywała się we wtorki i piątki; podniecenie przychodziło więc regularnie w okolice gardła, żołądka, pachwin; nie wiem nawet, który obraz był ważniejszy, tamten przedstawiony na fresku czy ten żywy, nazywany przeze mnie rzeczywistym i oglądany przez okno, w każdym razie od niego chciałybym zacząć opowiadanie, od tej właśnie sceny, chociaż samego obserwatora i wszelkie twórcze uczucia podobne do miłosnej ekstazy wolałbym pominąć, nie tak bowiem zamierzałem traktować zdarzenia, jak gdyby ktoś je obserwował, lecz w całej ich bezpośredniości, tak jak następują, zawsze regularnie, ciągle się powtarzając; nadjechał wóz; na znajdującym się nieopodal placu Wörthera już świeciły się latarnie gazowe, zapalający je mężczyzna musiał jeszcze okrążyć plac, rozwidlonym prętem otwierał spiczaste kłosze, pod dotknięciem pręta wysoko wyrastały żółtawoniebieskie płomyki, i dopiero potem docierał do naszej ulicy, nie było jeszcze ciemno, światło dnia nie oddaliło się zupełnie, kiedy w cieniu rosnących wzdłuż ulicy platanów, po przeciwnej stronie, przed piwnicą rzeźnika zatrzymywał się pomalowany na biało, zamknięty wóz, z kozła zeskakiwał smukły furman, wieszał lejce na połyskującym pałaku hamulca, w zimie lub kiedy dął chłodny wiatr, prędkimi ruchami wyciągał spod siedzenia dwa szare koce i kładł je koniom na grzbiety, by spocone zwierzęta nie przeziębily się, zanim scena się rozegra, kiedy zaś było ciepło, jesienią czy wiosną albo gdy wieczorem czerwień kończącego się lata ślizgała się powiewem między drzewami a szerniałą ścianą czynszowej kamienicy, nie wyciągał koców, uderzał batem o buty z cholewami, po czym wsuwał go pomiędzy lejce; trzy kobiety zawsze stały już na chodniku obok wozu, a ponieważ patrzyłem na nich z wysokości czwartego piętra, spod chmur, wóz nie zasłaniał tych wesołych postaci; ich głowy, jedna po drugiej, wynurzały się z gardzieli stromych schodów, prowadzących w głąb piwnicy; z nich trzech jedna miała obfitsze kształty, aczkolwiek nie była tęgą, matka, która przynajmniej z tej odległości wydawała się

niewiele starsza od córek, wyglądała raczej na siostrę dwóch bliźniaczek, sądząc po ruchach i sylwetkach podobnych do siebie jak dwie krople wody, dopiero kiedy patrzyło się na nie z bliska, można je było rozróżnić po kolorze włosów, jedna była słomianą blondynką, u drugiej jasne włosy przyciemniał rudawy odcień, te same głupawe niebieskie oczka na tle białych, pełnych twarzyczek, znałem je, chociaż nigdy jeszcze nie zapuściłem się w zimne łono wyłożonego białymi kafelkami sklepu, czasem widywałem je na ulicy, podczas południowej przerwy szły pod rękę, kołyszając równo spódnicami, szły na spacer, na plac, czasem znów, gdy przez zakratowane okno zajrzałem do piwnicy, stały za ladą niby dwie groźne boginie, z podwiniętymi do łokci rękawami koszul kroili krwawe mięso; dzięki mej zacnej gospodyni, Hübnerowej, która gotowała mi posiłki i w sklepie tym kupowała mięso i wędliny, wiedziałem o nich wszystko, czego można się było dowiedzieć z kuchennych plotek, chociaż w opowiadaniu nie miałem zamiaru pisać o tych znanych wokoło, prywatnych sprawach, jako że interesował mnie raczej sam przebieg wydarzeń, rzec można, ich choreografia i wynikający z niej układ podniecających związków.

Wóz nadjeżdżał z dużej rzeźni przy ulicy Eldenaer.

Furman nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, był może trochę starszy od dziewcząt, nie utracił jeszcze młodzieńczej gibkości, którą ciężka praca fizyczna z upływem lat zapewne mu odbierze, skórę miał błyszcząco brązową, włosy tak czarne, że aż świecące, spod nigdy niedopiętej koszuli wystawały groźnie skręcone kędziory, trzy kobiety zaś dlatego były tak bardzo do siebie podobne, że nosiły na sukienkach białe, pokryte krwawymi plamami fartuchy.

Furman, gdy tylko sprężystymi krokami podchodził do wozu, miękko klepał je po twarzach, jedną po drugiej, tak samo matkę, jak i córki, a one już na to czekały, jak gdyby z góry rozkoszowały się ciepłem muskającej ich twarze chropowatej dłoni, kroczyły za nim ze śmiechem, idąc, poszturchiwały się, obłapiwały, podszczypywały nawzajem, jakby chciały czym prędzej podzielić się tym, co każda z osobna dostała od mężczyzny, on zaś otwierał drzwi wozu i narzuciwszy na ramiona białe prześcieradło, również w wielu miejscach przesiąknięte krwią, wyładowywał zamówione mięso.

Trzy kobiety zносиły mniejsze kawałki, udźce, porąbane w długie pasy żeberka, rozpołowione łby, podroby w niebieskich aluminiowych bańkach, wątroby, serca, śledziony, żołądki, nerki, furman zaś, z trochę udawaną lekkością, zarzucał na ramię połówki świń, poćwiartowane woły, niósł je do piwnicy, no i tu moja historyjka mogłaby zacząć się komplikować, pozornie bowiem wydawało się, że trzy kobiety pracowały z największą uwagą, sprawnie i rytmicznie, ciągle jednak wynajdywały jakiś sposób, by się nawzajem dotknąć, popchnąć, szturchnąć lub też pod płaszczykiem ofiarowanej pomocy musnąć obnażoną rękę, ramię, szyję czy pierś furmana, a gdy im się to udało, przekazywały sobie rozkosz dotyku, czasami przywierały do jego ciała, lecz jakkolwiek chytrze i zachłannie to czyniły, nigdy nie stawało się to celem gry przynoszącym zaspokojenie, było jedynie wprowadzeniem do jakiegoś pełniejszego i czystszeo kontaktu, większej zabawy, do której stopniowo trzeba się przygotować; tego zaś nie mogłem już widzieć, gdyż na długie minuty, czasami nawet na pół godziny znikali w czeluściach piwnicy, nikt nie pilnował stojącego na ulicy, otwartego wozu pełnego mięsa, niekiedy pojawiały się przy nim psy o zmierzwionej sierści i nastroszone z głodu koty, węszyły, szukały ochłapów i krwi, lecz z jakichś niezrozumiałych powodów nigdy nie ryzykowały, by wskoczyć czy wdrapać się na wóz; ja zaś stałem na górze, za zasłoną, w wieczornym mroku mego pokoju, i kiedy długo nikt nie wychodził z piwnicy, coś otwierało się w mojej wyobraźni, piwnica rozwierała się, a oni, zrzuciwszy ubrania aż do nagiej skóry,

przenosili się na arkadyjską łąkę; nie wiem jak, a właściwie skąd mógłbym to wiedzieć?, wyobrażałem sobie ukryty pod ulicami podziemny korytarz, który wyprowadzał ich z miasta tam, gdzie dwa obrazy przenikały się nawzajem, to, co widziałem, przenikało się z wyobrażonym, byli czysti, niewinni, naturalni, i tu opowiadanie o tym z grubą ciosanym, pięknym mężczyźnie i trzech kobietach mogłoby się zacząć komplikować.

Ja zaś chociażby dlatego nie chciałem, by Hübnerowa bez pukania wtargnęła wówczas do mojego pokoju, że we wtorkowe i piątkowe popołudnia, kiedy obserwowałem rozgrywającą się scenę i dawałem się ponieść rozbudzonej wibrującym niedosytem wyobraźni, ogarniało mnie tak silne fizyczne podniecenie, iż aby się uspokoić, co skądinąd oznaczało niezbędne stopniowanie samozaspokojenia, musiałem sięgać do spodni i dotykać siebie; zwiększając napięcie strachem przed zdemaskowaniem, nie wychodziłem jednak zza udrapowanej zasłony, stałem tam i pięcioma palcami delikatnie chwytałem prężącego się pod bonżurką, sterczącego członka, ruchami ostrożnego smakosza unosiłem w ciepłej dłoni miękkie jądra i twardego od nadmiaru krwi fallusa, jak gdybym w swej istocie, w swej głębi, mógł uchwycić coś, co wydostać się pragnie na powierzchnię, ale dając świadectwo przemyślanej władzy nad sobą, nadal z największą uwagą śledziłem zdarzenia na ulicy, teraz brak zdarzeń, ciszę i niczego niepodjezrewających przechodniów; nie chciałem prędkiego zaspokojenia, sam więc musiałem zatrzymać się na granicy tego, co rzeczywiście widziałem, i tego, co było tworem wyobraźni, wytryskujące nasienie, konwulsyjne dreszcze odebrałyby mi to, co poprzez wyobrażane, dogłębne i niczym nieograniczone rozkosze samo w sobie syciło wieczną radość cielesności, zwlekając tedy, przedłużając czas samozaspokojenia, czując własne ciało, posiąść mogłem rozkosz obcych ciał, godzina mego wstydu, rzecz można, stawała się godziną ludzkiej wspólnoty, była wspólnotą tworzenia, przeto dotknęłoby mnie nadzwyczaj niemiło, gdyby w takiej chwili zacna Hübnerowa wkroczyła do mego pokoju; nie tylko ulicę widziałem wtedy, lecz byłem z nimi w piwnicy, ja byłem mężczyzną i byłem trzema kobietami, na własnym ciele czułem ich dotyk, a coraz bardziej szlachetną i poważną grę moja wyobraźnia przenosiła na arkadyjską łąkę, tam, gdzie było ich miejsce, furman stawał się Panem, matka i córki nimfami, nie znajdowałem w tym nic pompatycznie nieprawdziwego, zdawałem sobie bowiem sprawę, że łąkę tę znam z dawien dawna, że wyobraźnia nie wie gdzie w obce miejsca, a jedynie cofa w czasie, do okolic, które żyją we mnie jako wspomnienie letnich miesięcy spędzonych w Heiligendamm.

Mój dawny fresk był tylko dalekim przypomnieniem tej najprawdziwszej z prawdziwych łąki.

Tam właśnie, schodząc po ścianie tamy, ślizgając się po chybottliwych kamieniach, zasłaniając dłonią twarz, by ostre zarośla nie kłuły w oczy, można było wydeptaną ścieżką przedostać się przez moczary, gdzie kiedyś przyłapałem na gorącym uczynku mojego przyjaciela, małego hrabiego Stollberga, jak leżąc w rosnącej wśród kałuż trawie, zabawiał się swoim ptaszkiem; leżał na plecach, spodnie miał spuszczone, głowę odrzuconą do tyłu, przymknięte oczy i rozchylone usta, a wskutek rytmicznych ruchów marynarska czapka z wstążkami zsunęła mu się z głowy i żałośnie zatrzymała na kępce traw, granatowe wstążki zwiślały w wodzie, biodra uniesione miał ku górze, uda rozłożone szeroko, jak tylko pozwalały ściągnięte do kolan spodnie, prędkimi ruchami palców pociągał napletek maleńkiej żołądki, wszystko było w nim foremnie ładne, pociągał w dół i w górę, jakby czerwonogłowe zwierzątko wyłaniało mu się z dłoni, po chwili główka zniknęła, napiętą twarz zwracał ku niebu, odnosiłem wrażenie, że gdy ze wstrzymanym oddechem zatapiał się w sobie, jego tors napięty niczym łuk,

rozwarłe usta i kurczowo zamknięte oczy rozmawiały z niebem; kiedy zaskoczony i wzburzony wziętem go na spytki, w swój mile wesoły sposób wtajemniczył mnie uczynnie w przyjemne praktyki czerpania rozkoszy z własnego ciała, mówiąc, że nic się nie stało, nie rozumie mojego wzburzenia, raczej róbmy to razem, patrząc na siebie, uczyni to sprawę jeszcze przyjemniejszą; tam więc po dziesięciu minutach marszu, tracąc oddech w niemy i dusznym powietrzu, wychodziło się na polanę, okolica naraz otwierała się przed nami, w oddali lasy, staromodnie nazywane knieją, w które, jeśli by udało mi się napisać opowiadanie, klarowne i jasne, zaprowadziłbym ich czworo.

Z nim więc, z którym naszą tajemnicą nie tylko byłem głęboko związany, ale którego naturalnie też się obawiałem, prawie nienawidząc go z powodu naszej wspólnej tajemnicy, często przemierzałem tę drogę, co zawsze oznaczało dla mnie po trosze flirt ze śmiercią, nie potrafiłem bowiem przestać myśleć o tym, co kiedyś powiedziała mi Hilde, jak gdyby wiedziała, dlaczego to mówi i jak czułego miejsca dotykają jej słowa: „Kto schodzi ze ścieżki na bagna, zapewne jest synem śmierci”.

Ale szliśmy tam, by ukryć się w zaroślach, to zaś, że po polanie łążyły ślimaki doktora Köhlera, że mogliśmy się tam porozglądać, przyjrzeć ślimakom, rozprawiać ze służbą lub z samym uczonym doktorem o ich fizjologii, stanowiło wspaniałe pretekst, maskowało najulubieńszą z naszych zabaw, ślimaki były naszymi współnikami, i z tego zapewne trzęsawiska kłamstwa, które tak wcześniej stało się moim udziałem, pochodziły upiory, o jakich z przerażeniem opowiadałem ojcu.

Ponieważ jednak nie potrafiłem znaleźć rozwiązania dla żadnej z chwil i godzin mojego życia, najbardziej wrogie stało się dla mnie poczucie cielesności, daremnie płynął czas, tyle pragnień, i to tak różnych, niemożliwych do pogodzenia, żyło we mnie własnym życiem, że nie mogłem nadążyć za nimi myślami, nie umiałem sprawować nad nimi kontroli, a więc władzy, władzy rozumu, nie potrafiłem pomiędzy zmysłowością a rozumem znaleźć właściwej proporcji, którą później wyraziłbym w jasnym, zrozumiałym i jedynie możliwym układzie słów, nie, to mi się nie udało, tak więc niby słaby partner towarzyszyła każdej mojej minucie i godzinie myśl o własnoręcznym unicestwieniu ciała, a to tylko dlatego nie stało się czymś więcej niż flirtem, że wszelkie pokusy, urojenia, pragnienia, sama żądza sławy literackiej i drobne, potajemne napięcia zaspokojeń dostarczały mi tak bogatych przeżyć, iż pozbawienie się ich z własnej woli zdałoby się niedorzecznością; cierpienie też jest rozkoszą, przeciągałem więc strunę i nieustannie musiałem roić o śmierci, która wyzwoli mnie od napięcia, musiałem przeżywać swe wyzwolenie, przyznam nawet, że tak już przywykłem do rozkoszowania się cierpieniem, iż nie potrafiłem oddzielić od niego szczęścia; kiedy na przykład w południe któregoś z dni podróży leżałem na dywanie w objęciach narzeczonej, gdy tylko otworzyłem oczy i moje spojrzenie padło na czarny neseser, do którego starannie zapakowałem materiały zebrane do opowiadania, daremnie w jej cudownym ciele spełniało się nasze szczęście, pierwszą zdecydowaną myślą, jaka mi przyszła do głowy, było, że tak, teraz, w tej chwili powinienem zdechnąć, wyciągnąć kopyta, teraz powinienem wyzionąć ducha, przestać istnieć, rozpląnąć się, nie pozostawiając po sobie nic prócz kilku wdzięcznych nowelek, które ujrzały światło dzienne w różnych czasopiśmie literackich i które czas prędko ukryje przed oczyma ludzi, nic poza otwartą, czarną skórzaną walizką, która w surowy, dla innych niepojęty sposób strzegła prawdziwej tajemnicy mego życia, i może jeszcze poza łączącym się teraz z istotą ciała Helene moim nasieniem.

Gdyby tak ktoś niepowołany wziął do ręki, przekartkował moje notatki, choćby ten

tajemniczy mężczyzna, który pojawi się po mojej śmierci, by na podstawie pozostałego po mnie dorobku coś napisać, ten, który tak często powracał w moich snach, nie miał twarzy, nie potrafiłbym też dokładnie określić jego wieku, znacznie ważniejsze wydawały mi się nieskazitelna koszula, wysoki, sztywny kołnierzyk, krawat w kropki, spięty iskrzącą się brylantową spinką, a nade wszystko – nieco wyświecony surdut; szperał kościstymi, długimi palcami, z wyraźną wprawą, co jakiś czas podnosił do oczu to jedną, to drugą stronicę, z czego wnioskowałem, że musiał być krótkowidzem, choć nie zauważyłem, by nosił okulary, przebiegał wzrokiem jedno, drugie zdanie, i z największą satysfakcją dostrzegłem, iż zupełnie inaczej rozumie związki pomiędzy zdaniami, aniżeli ja je rozumiałem, nic zresztą dziwnego, że i jego udało mi się wprowadzić w błąd, skoro wszystkie notatki tak czyniłem, by moje przelotne pomysły, urywki i sporządzane w pośpiechu opisy utrzymywały się w granicach jak najwłaściwszego, dobrego mieszczańskiego stylu, liczyłem się bowiem z tym, że zacna Hübnerowa, powodowana zwykłą ciekawością, zachłannie dobierze się pod moją nieobecność do leżących na stole notatek; i tak oto stałem się w moim własnym życiu niepożądaną osobą, czułem się grzesznikiem i nieszczęsnym potworem, chociaż w oczach świata chciałem pozostać doskonałym dżentelmenem, sam więc byłem wykrochmaloną koszulą i spinką w krawacie, nienagannie pustą mieszczańską formą, gdy potajemnie, dumny z własnej przebiegłości, liczyłem na to, że jeżeli z nieodzowną rozważą uda mi się zebrać zaszyfrowane treści, to wówczas kluczem, który zawsze mam przecież przy sobie, w każdej chwili będę mógł otworzyć ten zamek; zgodnie z naturą rzeczy zamek okazał się znakomity i kiedy wreszcie podjąłem decyzję, ręka tak zaczęła mi drżeć ze strachu, że nie mogłem trafić do dziurki od klucza.

Tak oto wszystko pozostało wieczną i ostateczną tajemnicą, moją tajemnicą, czego wcale nie żałuję!, jako że to, co nie istnieje, czego nikt jeszcze nie nazwał, dla czegoż by miało kogokolwiek interesować!, musi więc pozostać zagadką, w jakim celu zabrałem w podróż do Heiligendamm dwie małe książeczki, rozprawy doktora Köhlera o *Helix pomada*, czyli o jadalnych ślimakach, oraz jaki związek miały te ślimaki z niewiele znaczącymi zdarzeniami na ulicy i wspaniałym dawnym freskiem.

Ślimaki, które Köhler chłodnymi, beznamiętnymi zdaniami opisywał w swoich książkach, co rano zjadali na surowo goście domu zdrojowego, zmielone na papkę wraz z wapiennymi pancerzami, lekko przyprawione i skropione cytryną, gdyż było to tak samo częścią kuracji, jak wieczorne ćwiczenia oddechowe; wedle moich obserwacji ślimaki, które doktor Köhler skrupulatnie dzielił na rodzaje i gatunki, zależnie od ich budowy, wyglądu, długości życia i charakterystycznych cech, okazały się bezgranicznie samotnymi i bojaźliwymi stworzonkami, w których spotkanie dwóch osobników wyzwała niepojęty strach, mijają całe godziny przeciągające się w dnie, tygodnie i miesiące, zanim dotknąwszy się delikatnymi czułkami, a potem, po nabraniu odrobiny pewności, pyszczkami i drżącymi niczym listki łapkami, przekonają się, że nie są sobie obce, że naprawdę nie są sobie obce i nie muszą już iść dalej w poszukiwaniu tego drugiego; teoretycznie bowiem wszystkie ślimaki mogą się ze sobą parzyć, są one pod tym względem najdoskonalszym tworem natury, żyje w nich pierwotna jednorodność stworzenia, samce, podobnie jak rośliny, posiadają w swych ciałach to, o czym my już ledwie pamiętamy, stąd może pochodzi ich wyjątkowa delikatność i bojaźliwość, każdy jest całością sam w sobie, muszą się więc spotkać dwie całości, co na pewno stanowi niewyobrażalnie trudniejsze zadanie niż zwyczajne dopełnienie się, i kiedy wreszcie w poczuciu najpełniejszej wzajemności kopulują, przyjmując się wzajemnie i oddając – Köhler szczegółowo opisuje ten akt wręcz w brawurowy sposób – wówczas łączą się z taką siłą, nic dziwnego, to siła

odwiecznych bogów!, że, jak wykazują przeprowadzone doświadczenia, jedynie za cenę rozerwania ich ciał można je rozdzielić; w opowiadaniu nie zamierzałem jednak o nich pisać, podobnie jak nie pisałbym o postaciach przedstawionych na fresku, studia z zakresu fizjologii ślimaków byłyby tylko jednym z elementów prac przygotowawczych, materiałem, który wprawdzie tworzy dzieło, ale w nim samym się nie pojawia, takie ukryte elementy można znaleźć w każdej czegokolwiek wartej pracy, i to nawet często; może by się zresztą pojawiły w postaci marginalnego, niezbyt ważnego obrazu, jako symbol, powiedzmy, łącząc sobie po ogromnej paproci na skraju lasu albo po wonnych liściach ścielących się na ziemi, może nawet dwa naraz, w momencie, gdy dotykają się gruzełkowatymi czułkami.

Tak, każdy krok, jaki kiedykolwiek uczyniłem, marząc o szczęściu bez rodzajowości czy o śmierci pozbawionej płci, wiódł właśnie do tego lasu.

Nie był to gęsty las, kiedy ktoś już trafił na ścieżkę, znalazł się między drzewami i, zdając się na los, ruszył przed siebie, natychmiast mógł się przekonać, że język ludu nie bez powodu nazwał ten las knieją, tutaj nikt nie znaczył drzew kredą, nie wycinał ich, nie ścinał gałęzi, by wywieźć je z lasu wozem, nikt nie zbierał chrustu ani poziomek, malin czy grzybów na skraju ślimaczej łąki, jak gdyby od prawieków, tak, od prawieków, od jakiegoś niewyobrażalnie długiego czasu nie działo się w tym lesie nic innego jak to, co nazywamy historią fauny i flory, a to przecież niemało, drzewa puszczają pędy, rosną, żyją i wreszcie po kilku wolno płynących stuleciach umierają; na ile pozwala na to światło przebijające się przez rozłożyste konary, kiełkują i rosną krzewy, krzaki, paprocie, paprotniki, pnącza, trawy, pokrzywy, tysiące zielonych roślin i krzykliwie kolorowych, chorobliwie przeźroczystych kwiatów, tak jak następują po sobie pory roku, by kiedy konary zabiorą im światło, zginąć i oddać swoje miejsce lubującym się w zimnym mroku porostom, mchom i grzybom, które trawiąc gnijące listowie, kontynuują życie tej miękkiej jak gąbka powłoki ziemi; panowała tam cisza, odwieczna cisza, gęsta i niezakłócona wiatrem, w powietrzu unosił się tak intensywny zapach, że po kilku chwilach ogarniało człowieka miłe, kojące, obezwładniające uczucie, było cieplej niż w zewnętrznym, trzeźwym świecie, wilgotne ciepło sprawiało, że skóra stawała się oleiście śliska, obła jak ciało ślimaka; nie były to naturalnie prawdziwe ścieżki, to nie ludzkie stopy podeptały tu życie, ukształtował je las, dobrotliwie i nieobliczalnie, aż powstały kapryśne drożyny, niby znacząc przerwy w historii swojej powłoki, którą tylko nasz ludzki, zawsze zmierzający do wyznaczonego celu rozum ma odwagę nazwać po imieniu, bo przywykł, że nie patrząc na inne, może o wiele ważniejsze wydarzenia, galopuje przez gęstwinę wszechrzeczy i na swój prymitywny sposób wykorzystuje ciszę natury.

Rowy podmywane przez wodę, staczające się na siebie kamienie i kamyczki, równiny, na których potoki deszczu rozsypywały pokruszone grudki ziemi, długie dywany miękkiego mchu i grube warstwy opadłych liści dawały grzybom dużo pożywej zgnilizny; można było tamtędy przejść, wprawdzie nie bez przeszkód, krzak nagle wyrosły w ciepłe świetlnej strugi albo powalony pień mogły niespodziewanie zagrozić drogę, albo potężny, spiczasty, gładki czarny tuf, trafnie nazywany tu „findlingiem”, nie wiadomo było, czy mamy się tu domyślać jakichś znalezionych przedmiotów, czy może znalezionego dziecka, które, jak donoszą podania, olbrzymi znad północnych mórz porzucili na nadbrzeżnych równinach, gdzie później, kiedy ucichł bitewny gwar, wyrosły ciche lasy.

Ciemnozielony mrok. Czasem szelest, stukoty, trzask łamanych gałęzi.

Nie wiadomo, jak płynie tu i mija czas, ale tak długo, jak słyszysz pod stopami trzeszczące gałęzie i czujesz, że trzask zakłóca ciszę, jeszcze naprawdę tu nie jesteś.



Za rzadką zasłoną gęstwiny nagle porusza się pień drzewa, jak gdyby żywa postać, która kiedyś stała za nim, tak samo jak ty ruszasz się zza czegoś i znów trafiasz w ukrycia zarośli.

Tak długo, jak długo dostrzegasz tu piękno.

Każdy może cię zobaczyć, ktokolwiek by to był, a jednak zawsze jesteś w ukryciu.

Nie mógł jednak udać mi się opis tego lasu, bo chciałem mówić o tym, jak ja sam czuję ten las.

Dopóki nie pozbędziesz się zakrętów, przeszkód, rozgałęzień i skrzyżowań ciosów, które cię dosięgły, abyś mógł wrócić tam, skąd wyruszyłeś, i pełen obaw widzisz w roślinach ludzkie twarze, znaki twojej drogi, dopatrujesz się w nich historii, cech, pragniesz, by wynagradzając ci to wszystko, zaprowadziły cię z powrotem, dopóty nie jesteś tu naprawdę.

I nawet kiedy już wiesz, że nie jesteś tu sam, jeszcze nie jesteś tu naprawdę.

Chciałem mówić o istocie tego lasu tak, jak Köhler o swoich ślimakach, chciałem zapożyczyć jego styl.

Kiedy nie czujesz już siebie czy, mówiąc ściślej, kiedy zauważasz, że upłynął czas, ale nie wiesz, jak długi, może długi, a może krótki, ale już cię to nie interesuje.

Stałeś, rozpościerając ramiona, jak gdybyś sam był drzewem, i nie wiedziałeś, że stoisz, patrzyłeś na coś i nie wiedziałeś, na co.

To opowiadanie nie mogło mi się udać.

Czujesz coś, czego drzewa zapewne nie czują.

Słyszysz szelesty, ten odwieczny szmer, i nie wiesz, że je słyszysz.

Kiedy jeszcze wiesz, że jesteś w środku, ale nie wiesz, jak się tam znalazłeś, bo zgubiłeś wszystkie znaki.

Dopóki jesteś czujny, dopóki pamiętasz o zgubionych znakach, nie jesteś tu naprawdę, i wydaje ci się, że ktoś cię obserwuje.

Przemknie i zniknie między drzewami; błękit wśród zieleni.

Wyruszasz i nie wiesz, że wyruszasz, niczego nie znajdujesz.

Dopóki widzisz różnicę pomiędzy drzewami a barwami, dopóki zastanawiasz się nad znaczeniem nazw, dopóty nie jesteś tu naprawdę.

Dopóki wydaje ci się, że dręczą cię urojenia, a przemykająca istota wydaje ci się błękitem wśród zieleni, ostrożnie za nią podążasz, ale już nie zważasz na ścieżki, gałęzie smagają cię po twarzy, nie słyszysz trzasku kroków, nie zauważasz, że się przewróciłeś, wstajesz i znów za nią biegniesz, choć pokrzywy tną ci skórę, ciernie kłują i kaleczą, chcesz ją dopaść, a ona ciągle znika i ciągle ukazuje się na nowo, a ty myślisz, że powinieneś oprzeć się pokusie.

Tak długo, jak jeszcze chcesz podejmować decyzje, tak długo, jak długo myślisz, nie będziesz tu naprawdę, a ona zawsze przed tobą ucieknie, z daleka wyczuwając twój kwaśny zapach.

Teraz stoi sobie w niecce, a kiedy się poruszysz, poprzez łopoczące liście zobaczysz jej oczy, gdy spogląda na ciebie z za miękko kołyszących się liści, choć to już nie ona, ale ta druga lub trzecia, któraś tam, bo pozwoliłeś, by czas płynął we wspólnym blasku waszych oczu, a gdy widzisz ją nagą, także stajesz się nagi.

Dopóki będziesz chciał zbliżyć się do jej nagości i rozchyliśz gałęzie, żeby zobaczyć ją jeszcze lepiej niż teraz, dopóki będziesz chciał, by jej nagość zbliżyła się do twojej nagości i w ten sposób należała do ciebie, i poruszysz się ze swojego miejsca, choć przecież już ją znalazłeś, dopóty nie będziesz tutaj naprawdę.

A ona zniknie.

Dopóki będziesz ich szukał, ich, które odstraszyłeś swoją nieporadnością i swoim kwaśnym zapachem, dopóki będziesz miał nadzieję, że jeszcze kiedyś ją spotkasz, i cały czas będziesz złorzeczyć w duchu, dlaczego nie byłeś sprytniejszy i ostrożniejszy, dopóty nie będziesz tu naprawę i nikt nie będzie mógł cię dosięgnąć.

Z pomocą przyjdzie ci zrządzenie losu, bo już jesteś tu w wystarczającym stopniu, abyś był tu choć trochę.

Odwrócisz się i to, co dotąd było za tobą, teraz będziesz miał przed oczyma, leży na brzuchu na zielonym mchu, na miękkim, podmytym przez wodę brzegu, przesuniesz wzrokiem po jej plecach, wzniesiesz się po jej krągłych pośladkach, by opuścić się po jej nogach, patrzy, opierając głowę o ramię, sprawia ci to przyjemność, twoje usta promienieją uśmiechem, czujesz, że śmieją się palce twoich rąk i nóg, śmieją się twoje kolana, i wtedy już nie będziesz stać w bezruchu, tutaj jest twoje miejsce, śmiech jest twoim miejscem na ziemi, i wtedy dostrzeżesz, że te oczy patrzą nie na ciebie, że jest tam ktoś trzeci, tam, w tamtym zagłębieniu, i że oni wszyscy patrzą na siebie, to od nich powinienem się uczyć, pomyślisz.

A kiedy będziesz ich obserwował, oni nie spuszczą z ciebie wzroku.

Odstraszysz ich swoim entuzjazmem, poderwą się i znikną w gęstwinie.

Tak samo jak ty, kiedy chowasz się przed tymi, którzy cię obserwują.

Dopóki będziesz szukał, las pozostanie cichy.

Ale to już będzie inna cisza, i ta cisza wgrzyła się już w twoją skórę, a śmiech musi dotrzeć do kości.

Wtedy zmieni się nawet twój zapach.

## Trawa porosła palenisko

Najmniejszy ruch mógł zakłócić mój spokój, nie miałem ochoty otwierać oczu, dobrze było mi z tym, co się z nami stało w naszym wspólnym cieple, jak gdybym nie chciał, by zobaczyła w moich oczach, że bardzo się boję przyszłości, tak było dobrze, niech pozostanie ze mną mój strach!, czułem tylko tyle, ile od niej dostałem: na wilgotnej powierzchni nagiej skóry, przez jedwab pomiętej sukienki, czułem na moim udzie wilgotną powierzchnię jej nagiej skóry, na jej szyi mieszającą się z zapachem mojego oddechu śliską, duszącą woń jej pach, ucisk kości, ostry kant bioder, który być może był twardą krawędzią mojego biodra, za sprawą jej ciężkiego ramienia czułem własne ramię i plecy, kiedy odsunęła je powolnym ruchem, moje ramię i plecy i tak ją czuły, a odsuwający się ciężar pozostał w pamięci mojego ciała i kości, kiedy zaś lekko podniosła głowę, żeby przyrzeć się z bliska śladowi swoich zębów na mojej szyi, ucieszyłem się, że patrzy, nie ukrywając spojrzenia; zza lekko rozchylnych rzęs może widzieć tylko, jak drgają mi powieki i falują rzęsy, nie myśli nawet o tym, jak bardzo się boję, choć przecież jeszcze nic się nie zaczęło, a ja już jasno i wyraźnie widzę, jak przygląda się mojej szyi, mogę ją oszukać, długo się przyglądała, wyprostowanymi palcami ostrożnie dotykała tamtego miejsca, rozchyliła wargi, przysunęła się i pocałowała to jeszcze trochę bolące miejsce.

Jak gdyby na mojej szyi pocałowała usta Sidonii.

Leżeliśmy obok siebie, jej twarz na moim ramieniu, a moja twarz na jej ramieniu, długo leżeliśmy, bardzo długo, w milczeniu i w bezruchu, przynajmniej dziś tak pamiętam.

Może nawet mieliśmy zamknięte oczy.

Kiedy je otworzyłem, nie widziałem nic więcej, tylko wzory na pomiętej kołdrze i jej włosy; łaskoczące pierścienie jej włosów na moich wargach.

Nawet jeśli miała oczy otwarte, nie mogła widzieć nic więcej, tylko zielone cienie bezgłośnie przesuwające się po pustej płaszczyźnie sufitu.

Możliwe, że na chwilę zasnąłem, być może ona też.

A potem cichutko, tak że moje ucho odbierało jedynie uderzenia jej oddechu, powiedziała, że już możemy zaczynać.

Możemy, odpowiedziałem albo chciałem odpowiedzieć, ale żadne z nas się nie poruszyło.

Wszak nie istniały już żadne przeszkody, kto bowiem mógł przypuszczać, że największą przeszkodę stanowimy my sami.

O tej popołudniowej porze Sidonia zazwyczaj znikwała, chodziła do sąsiadów albo spotykała się z koleżankami, ten czas miała dla siebie, i dopóki Maja nie powiedziała rodzicom o jej popołudniowych przygodach, mogła mieć pewność, że te wesołe wyprawy nie wyjdą na światło dzienne; i nie tylko w ten sposób siebie kryły, ale też wzajemnie wtajemniczały się w swoje przeżycia, dzieliły się wydarzeniami kradzionych chwil, jak gdyby były przyjaciółkami i nie było pomiędzy nimi siedmiu lat różnicy; kiedyś niechcący, z tchem zapartym ze szczęścia, podsłuchałem ich rozmowę, Sidonia z rozpuszczonymi włosami kołysała się na hamaku, coś opowiadała, a Maja siedziała zasłuchana w trawie i poszturchiwała ją roztargnionym ruchem.

A to, co należało już zacząć, to, co już chcieliśmy zacząć, poszukiwania, które w końcu rozpoczęliśmy, drżąc z emocji, były taką wielką i mroczną tajemnicą, o której z całą pewnością jeszcze nikomu nie powiedziała, i jestem pewien, że nie zrobiła tego do dziś, podobnie jak ja, nie szepnąłem nikomu ani słówka, i niech ta biała kartka będzie moim pierwszym powiernikiem!,

nie odważyliśmy się mówić o tym nawet między sobą, robiliśmy tylko jakieś aluzje, coś tam wspominaliśmy, pozostało więc niemą opowieścią, w pewnym sensie szantażowaliśmy się wzajemnie straszną, niedostępną dla postronnych tajemnicą, która łączyła nas ze sobą mocniej niż miłość.

A co to jest, to na twojej szyi, zapytała cichym jak oddech szeptem.

To czerwone.

Zaskoczony nie wiedziałem, o co pyta, pomyślałem, że chce zyskać na czasie, żeby nie trzeba było niczego zaczynać, z drugiej strony sam potrzebowałem czasu.

A co niby ma być, nic, ugryzła mnie w szyję, nie musiałem mówić, kto, wiedziała, i teraz sprawiło mi wyjątkową przyjemność, że mam na szyi ten ślad i że ona go widzi.

Hamak powoli ruszył z cienia jabłoni ku słońcu.

Nie zapomniałem tamtego popołudnia.

Jej usta zostały na mojej szyi, jak gdyby zasnęły, wpijając się w skórę.

A kiedy hamak ruszył ku słońcu i dwa przeżące się sznury szarpnęły drzewo, jej głos przybrał na sile; zaszumiała korona jabłoni, zaskrzypiały gałęzie odsuwające się z powrotem w cień, znowu mówiła cicho, co akurat nie było niczym szczególnym, nadając swojej opowieści rytm oddechu, choć niektóre fragmenty zdań podkreślała w ten sposób całkiem wbrew ich sensowi, podczas gdy inne wypowiadała głosem zbliżonym do szeptu, tak że stawały się ledwie słyszalne, jej głos się kołysał, a niedojrzałe jabłka trzęsły się na gałęziach; stałem za przyciętym w kształcie kuli bukszpanem wśród ciepłej i ciężkiej woni ciemnozielonych listeczków, mówiła o jakimś konduktorze, a rytm bezwiednie ściszanego albo podnoszonego głosu wydawał się pozostawać w związku z Mają, wskazując jednocześnie na efekt, jaki miała wyrzeć na niej ta opowieść, raz mocno, raz delikatnie ją poszturchiwała, pospieszała ją albo skłaniała, by opowiadała powoli, niekiedy nawet ze złością, niech fruwa!, albo tylko dawała prztyczka, za każdym razem jej reakcje były nie do przewidzenia, konduktor był niskiego wzrostu, miał wyłupiaste, przekrwione oczy, wielkie i brązowe, czoło pokryte wypryskami, „takimi jak mój palec!”, opowiadała Sidonia, „takimi czerwonymi i wypukłymi”, co w Mai wywoływało bliski pisk śmiech, szturchała Maję z całej siły, choć w uczuciowym tonie opowieści Sidonii charakterystyczne było, że mówiła o wszystkim beznamiętnie, z radosnym uśmiechem osoby przywiązującej wprawdzie wagę do szczegółów, ale nieznajdującej wśród nich ani jednego, który byłby najbardziej istotny czy decydujący, te wszystkie szczegóły były ważne jedynie dla samych siebie; jechała tramwajem numer dwadzieścia trzy, wsiadła do ostatniego wagonu, lubiła tam jeździć, bo „tam trzęsie”, tramwaj był niemal pusty, oczywiście usiadła po zaciętej stronie, miała na sobie białą bluzkę z kołnierzykiem stebnowanym granatową nitką, Maja też lubiła tę bluzkę, ładnie obciskała talię, i białą plisowaną spódnicę, w domu mogła je zakładać tylko od święta, bo szybko się brudzą, siadając, zawsze podkładała chusteczkę, plisy jest trudno prasować, w wagonie było bardzo gorąco, a konduktor, może był Cyganem, Cyganie miewają takie wyłupiaste oczy, korbką otworzył okna, jedno po drugim, długo się męczył, bo korbka wyskakiwała z miejsca, po czym usiadł naprzeciw niej, wprawdzie w sporej odległości, po słonecznej stronie wagonu, włożył korbkę do teczki i patrzył na nią, a ona udawała, że go nie widzi, że musi przymknąć oczy, bo wiatr wieje jej w twarz, najbardziej lubi, kiedy tramwaj zakręca w pędzie, wtedy się boi, kiedyś z siostrą matki chrzestnej wsiadły w wesołym miasteczku do diabelskiej kolejki, myślała, że zaraz umrze, w wagoniku był jeszcze jeden pasażer, widziała, że na nią patrzy, ale czasami to wspomnienie zacierało się w jej pamięci, i wyglądała przez okno, albo naprawdę przymykała oczy i myślała o czymś zupełnie innym, ale

nie wysiadała, jechała dalej, a konduktor przysuwał się coraz bliżej, przyjrzała się jego dłoniom, nie miał na palcu obrączki, wprawdzie nie za bardzo się jej podobał, ale miał ładne czarne włosy, ręce też miał owłosione, wyglądał na trochę brudnego, ale była ciekawa, co się wydarzy, czy odważy się ją zaczepić, kiedy obydwójgu ciągle przygląda się ten drugi pasażer.

Słowem, było widać, jak jej ciężkie ciemnobrązowe włosy schną w popołudniowym słońcu; kiedy stanąłem za bukszpanem, jeszcze mokre lepiły się do jej nagich ramion, karku, miała na sobie białą lnianą koszulę i pod spodem białą spódnicę z koronkową lamówką; nazywała ją lejba, wielkie piersi starała się spłaszczyć bluzką zapinaną z przodu na haftki, plecy, okrągłe ramiona i silne ręce pozostawiła nieosłonięte, a kiedy hamak w szalonym tempie ruszył ku słońcu, by znowu wrócić w cień, schnące włosy powoli spadły z jej ramion i pleców, najpierw tylko na zewnątrz, powiewały i ślizgały się w pędzącym w górę i w dół powietrzu.

Aż wreszcie, bo jechali tak dosyć długo, dotarli do ostatniego przystanku, ona wprawdzie nie wiedziała, że to jest ostatni przystanek, ale konduktor już od dawna siedział naprzeciw niej, teraz wstał, tamten drugi pasażer także podniósł się z miejsca i udał się do wyjścia, ciągle obserwując, co się jeszcze wydarzy, wyglądał na przyzwoitego człowieka, miał na sobie porządne ubranie, białą koszulę i czarny kapelusz, w rękę trzymał małą paczuszkę, pewnie jedzenie, bo papier był tłusty, sprawiał wrażenie głodnego, ale nie był pijany, i wtedy konduktor odezwał się do niego, że to już ostatni przystanek i niestety muszą się rozstać, a on się zaśmiał, dlaczego niby mieliby się rozstawać, wraca z nim.

Wtedy obydwie wybuchły śmiechem, krótkim, suchym, perlistym, spotkały się ze sobą dwa śmiechy dławiące się z zaskoczenia, Maja już nic więcej nie powiedziała, szybkim ruchem wcisnęła spódnicę pomiędzy uda i ciągle jeszcze siedząc, pochyliła się do przodu: hamak zwolnił, łagodnie kołysał się z Sidonią w samotności i ciszy, a ja, jak gdybym podpatrzył ich największą tajemnicę, bo przecież były moimi koleżankami, a teraz jak gdybym je widział po raz pierwszy, jakby spojrzenie Mai odpychało, przyciągało i kołysało Sidonię, jednocześnie miękkie kołysanie spojrzenia Sidonii trzymało Maję w tym zaczarowanym bezruchu, ale one nie tylko trwały w niewoli wzajemnych spojrzeń, ich twarze więzły w krótkim, suchym i nieco drwiącym śmiechu, milcząco rozchylające się wargi, otwarte oczy, uniesione brwi, jakkolwiek były inne, wspólna tajemnica czyniła je podobnymi do siebie.

I kiedy hamak niemal już się zatrzymał i tylko leciutko się bujał, Maja chwyciła go obydwoma rękoma i odepchnęła od siebie, jej ruch był zachłanny i okrutny, niemal pełen złości, ale nie złości do Sidonii, lecz złości wyrażanej razem z Sidonią, która pędząc ku światłu, odezwała się donośnym, pełnym złości głosem.

Wtedy, w drodze powrotnej, konduktor opowiadał jej rozmaite rzeczy, a ona ani razu nie odpowiedziała nawet słowem, tylko go słuchała, patrzyła w jego wyłupiaste oczy, i nagle wstawiała, by przesiąść się na drugie siedzenie, długo się z nim bawiła, konduktor poszedł za nią, nie zwracał na nią uwagi, mówił swoje i szedł za nią, bo ciągle nikt nie wsiadał, opowiadał, że też pochodzi z prowincji, mieszka na stacji, chciał się dowiedzieć, jak ma na imię, ona oczywiście mu nie powiedziała, i że zakochał się od pierwszego wejrzenia, i że zawsze chciał poznać taką dziewczynę, i żeby się go nie bała, i że zaraz bardzo szczerze jej wyzna, że dopiero od tygodnia jest na wolności, odsiedział półtora roku, tyle czasu nie był z kobietą, ale niech go wysłucha, jest niewinny, jest bękartem, jego matka miała przyjaciela, pijaka i nicponia, i go przegoniła, żeby już więcej się nie pokazywał, ale ma z nim drugie dziecko, młodszą siostrzyczkę, a on kocha ją ponad wszystko, nawet bardziej niż własne życie, matka jest bardzo chorowita, choruje na serce, on musiał wychowywać siostrę, śliczną, jasnowłosą dziewczynkę,

a tamten facet ciągle przychodził, kiedy go nie chcieli wpuścić, włamywał się przez okno, wtedy bił matkę i wyzywał od kurew, a jak on się wtrącał, to też mu się obrywało, taki kretyn, i pewnego wieczora, już wykąпали małą, właśnie zmywał naczynia i zapomniał zabrać ze stołu nóż, nieduży, ale ostry, zawsze sam ostrzył noże, i wtedy tamten znowu przyszedł i wszystko zaczęło się od początku, nie chcieli go wpuścić, sąsiedzi zaczęli krzyżeć, że już dość, wtedy matka otworzyła drzwi, i kiedy on wchodził, matka cofnęła się aż do stołu, a gdy się oparła o ten stół, zobaczyła nóż!, złapała go i ugodziła tego zasańca, i wtedy, żeby siostra nie została bez matki, on wziął winę na siebie, ale na rozprawie się wydało, że to jednak nie on, bo drzwi były otwarte i sąsiedzi widzieli, więc dostał półtora roku za współudział i fałszywe zeznania, i prosi, żeby nie wysiadała, dopóki nie powie mu, gdzie mieszka, albo żeby już się ze sobą umówili, bo nie może jej stracić, i ciągle będzie myślał o jej pięknej buzi.

Maja poderwała się z ziemi, na stojąco łatwiej jej było pchnąć, zrobiła dwa kroki w tył, stanęła w rozkroku i popchnęła hamak z taką siłą, żeby się wywrócił, co oczywiście było niemożliwe, trzeszczały, skrzypiały jabłonie, gałęzie trzęsły się i poruszały, ale hamak zawsze zatrzymywał się w słońcu i siłą własnego ciężaru powracał na miejsce, a lecąca z zapartym tchem w dół Sidonia przekrzykiwała szaleńczą prędkość.

Jeżeli chce się z nią spotkać, niech w sobotę po południu pojedzie tym tramwajem do placu Boráros, tam niech wsiądzie do szóstki, ale w sobotę pracuje, no to niech się z kimś zamieni!, szóstką pojedzie do placu Moskwy, tam przesiądzie się w pięćdziesiąt sześć, wysiądzie przy zębatce, podejdzie kawałek do ulicy Adonisa, potem jeszcze trochę tą ulicą, jak skończy się kamienne ogrodzenie pierwszego domu, będzie ścieżka prowadząca do lasu, nie można się pomylić, rosną przy niej trzy wysokie świerki, niech spokojnie idzie przez las, aż dojdzie do polany, a ona będzie tam na niego czekała.

Tylko że właśnie wtedy umówiła się na spotkanie z Pistim, wrzeszczała.

Znałem tego Pistiego.

Była ciekawa, co zrobią, gdy pojawią się tam w tym samym czasie.

Maja się niecierpliwiła, była cała spięta z emocji, wszystkie mięśnie miała napięte, można było się domyśleć, że to napięcie osiągnie wreszcie taki stopień, że będzie musiała uciec od historii Sidonii, ciągle jeszcze popychała hamak, aż nagle ukryła twarz w dłoniach, jak gdyby chciała się zaśmiać tak samo głośno, jak głośno krzyczała Sidonia, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu; udawała ten śmiech przed samą sobą i przed Sidonią, hamak ciągle jeszcze frunął siłą impetu, kiedy jednak zaczęła się bawić, bez względu na to, czy była to zabawa fałszywa, czy prawdziwa, nie potrafiła przestać, z ręką przyciśniętą do brzucha zwijała się w niemym śmiechu, osunęła się na ziemię i gapiła się na Sidonię, wciskając dłonie pomiędzy uda, jak gdyby miała zaraz się zsiusiać.

Jej ciało zapadało się w trawie, na twarzy i szyi pojawiły się blade, białe plamy, wiedziałem, że jest śmiertelnie zawstydzona, a jednocześnie nie potrafi opanować zachłannej, nieposkromionej ciekawości, miała otwarte usta, prosiła naraz o litość i dalsze szczegóły, a jej oczy rzucały dzikie błyski pomiędzy żółtych, nabrzmiałych łuszczyk trawy.

Sidonia jednak nie czekała, aż hamak sam się zatrzyma, usiadła i chwyciwszy w obydwie dłonie naprężone liny, wysunęła do przodu nagą stopę, drugą podkuliła pod siebie jak na huśtawce i zaczęła się bujać, aż poczerwieniało jej głupio pomarszczone czoło, ale głos pozostał cichy i spokojny, uśmiech, zza którego pobłyskiwały zęby, nie zniknął z jej twarzy ani na chwilę, czym jeszcze bardziej dręczyła Maję.

Kiedy przyszła, Pisti już tam był, schowała się w krzakach, w miejscu, gdzie ścieżka zaczyna

ostro piąć się w górę, na płaskiej skale wśród krzewów, gdzie często znajdowali prezerwatywy, Maja wiedziała, bo stamtąd wszystko dobrze było widać, a z dołu nie, siedziała w kucki na płaskim kamieniu, nie miała odwagi usiąść, żeby w razie czego szybko poderwać się do biegu, Pisti tamtego dnia nie miał na sobie munduru, tylko białą koszulę i niebieski garnitur, dlatego nigdy nie opowiadała o tym Mai, że bała się, iż sprawa może mieć swoje konsekwencje, Pisti leżał w trawie i palił papierosa, obok leżała równiutko złożona marynarka, jaki porządny chłopiec, chciała, żeby poszli na tańce, długo nic się nie działo, Pisti nie niecierpliwił się, nic nie wskazywało na to, żeby spodziewał się, że ktoś jeszcze przyjdzie, ale świeciło silne słońce, na Pistim chyba co chwilę siadała jakaś mucha, bo się otrząsał, a jej na tych kamieniach chciało się śmiać, ale nie mogła się roześmiać, myślała, że konduktor już nie przyjdzie, usłyszała, jak zębatka zatrzymuje się na przystanku i odjeżdża, jednak nie przyszedł, słowem: minęła godzina, przyjechał dopiero następną kolejką, Pisti palił papierosa za papierosem, przewracał się z boku na bok, żeby nie obsiadły go muchy, a ona siedziała na kamieniu.

Pisti zawsze tak robi, jak gdyby nic nie słyszał, zawsze tak robi, a ona wtedy podchodzi cichutko i go całuje, ale Pisti nawet wtedy nie zabiera ręki spod głowy ani nie wyrzuca papierosa, leży z otwartymi oczami, jakby jej nie widział, a wtedy ona tak długo musi go całować, w usta, w twarz, w szyję, aż w końcu nie będzie mógł wytrzymać, zaczyna ją całować, ciągnąc, aż wreszcie kładzie na sobie, a wtedy na próżno próbuje się uwolnić, nie puści jej, jest bardzo silny, i wtedy pojawił się konduktor, był w mundurze, z torbą na ramieniu, może dla niej zwał z tramwaju, rozejrzał się pospiesznie, czy przyszedł we właściwe miejsce, i cichutko, tak żeby Pisti nie usłyszał jego kroków, ukrył się pomiędzy drzewami, nie widziała go już, ale Pisti wstał z ziemi.

Widziała, że Pisti go w tym momencie nie widzi, ale konduktor widzi jego, i Pisti z pewnością to wie.

Pisti udawał, jak gdyby tu leżał, a teraz wstał, podniósł z ziemi marynarkę i ruszył przed siebie, ale kiedy znalazł się pomiędzy drzewami, szybko się odwrócił i zaczął obserwować miejsce, w którym mógł stać konduktor.

I wtedy ona, siedząc sobie w kucki, tam na górze, w ciepełku, poczuła, że dostała okresu i nie ma na sobie majtek.

Jesteś nienormalna, jesteś kompletnie nienormalna, odezwała się Maja.

A konduktor powoli wynurzył się zza drzew, nie wyszedł całkiem na ścieżkę, stał chwilę pod drzewami, nadśłuchując, czy nie dochodzi do jego uszu jakiś szmer, poprawił na ramieniu torbę, podrapał się w czoło, tam, gdzie było pełne wyprysków, wyglądał na bardzo zdenerwowanego, może pomylił miejsce, po chwili jednak ruszył przed siebie, nie zauważając, że Pisti mu się przygląda, a ją okropnie rozboleł brzuch, myślała, że wszystko w niej popęka, włożyła rękę pod spódnicę, wszystko we krwi, krew lała się z niej, siedziała w kucki, kapła jej na tyłek i spływała na ziemię, nie wiedziała, co robić, nie mogła wstać, ale kiedy konduktor wyszedł na polanę, nagle z ukrycia wynurzył się Pisti i ruszył w jej kierunku, żeby nie mogła uciec, na szczęście miała chusteczkę, złożyła ją, zwinęła róg w rulonik i wygładziła, nie miała tylko jak obetrzeć się z krwi, i nie mogła się poruszyć, Pisti z pewnością wiedział, że chodzi o tamtego, nie powiedziała mu o nim, ale on już na pewno wie, teraz też ruszył prosto w kierunku konduktora, jak gdyby go nie widział; wsunął na palec wieszaczek marynarki i przerzucił ją przez ramię, no, konduktor już nie miał szans zawrócić, choć chciał, zatrzymał się, Pisti też się zatrzymał, ona widziała tylko, jak zrzuca marynarkę z ramienia i uderza nią w twarz konduktora, konduktor podnosi rękę i pochyla się w obronnym geście, walnął go

w potylicę, tak mu przyłożył dłonią, że konduktor zwinął się w kłębek, spadła mu torba, a całe mnóstwo monet rozsypało się w trawie.

Wyciągnęła przed siebie ładne, długie nogi, potem podciągnęła je, ale siedziała zbyt głęboko, by móc się rozbujać, więc hamak tylko lekko się zakotłosał.

Pisti nawet się nie rozejrzył, po prostu odszedł, a ona nawet mu nie powiedziała, że wszystko widziała, ale jeśli jeszcze kiedyś spotka konduktora, z pewnością spuści mu niezłe baty.

Maja wstała; tajemnicze dostojeństwo jej twarzy i całej postawy ciała wydawały się lustrzanym odbiciem spokoju i zadowolenia Sidonii, przez dłuższą chwilę osłupiałe patrzyły na siebie w milczeniu, spoglądając sobie prosto w oczy, a mnie to milczenie wydawało się jeszcze bardziej wymowne niż opowiedziana historia, Sidonia wyciągniętą stopą muskała twarz Mai, ale jej nie drgnęła nawet powieka, jak gdyby zdarzyło się coś większej wagi niż ta historyjka, jak gdyby zaszło w tej ciszy coś, co przed chwilą uznałem za tajemnicę, za ich tajemnicę, i może nie było to nic więcej jak to, że Sidonia musiała o wszystkim opowiedzieć, a Maja musiała jej wysłuchać.

W dole, w dolinie, wśród łagodnych pagórków, w mgłę letnich świateł drgało miasto.

I wtedy Maja odezwała się dziwnym, innym niż dotychczas znałem, głosem.

Jakie odległe i pełne spokoju są ginące w białym blasku budańskie domy, nieregularnie wnoszące się jeden ponad drugim dachy i łagodne rzeźby wieżyczek.

Ale jaka była ta chusteczka, moja droga, zapytała.

A po przeciwnej stronie sennej, szarej rzeki leży bezkresna, parująca dymem i kurzem miętka gęstwina peszteńskiego brzegu.

Jej głos był wysoki, nieprzyjemnie ostry, jakiś odmieniony.

No, jaka, rzuciła Sidonia gardłowym, apatycznym głosem i wysuniętym palcem ugodziła Maję w policzek.

No, pytam, moja droga, jaka?

Zakrwawiona, odpowiedziała Sidonia, kiedy hamak znów nabrał rozpędu, a ona dotknęła stopą twarzy Mai, zakrwawiona.

Włożyłaś sobie moją batystową chusteczkę, wrzasnęła Maja jeszcze bardziej piskliwym głosem, choć dotyk stopy Sidonii sprawiał jej przyjemność, i gotowa do zgody lubieżnie przymknęła na chwilę oczy, nie zaprzeczaj, moją koronkową chusteczkę!

Najdziwniejsze, że wtedy z twarzy Sidonii znikł uśmiech, Maja też już się nie uśmiechała, były z siebie zadowolone, podobne do siebie, może ich duma była podobna, ale i tak to wszystko nie było na poważnie.

Maja siedziała w trawie z podciągniętymi nogami, rozłożonymi udami, wyprostowanym torsem, uniesioną głową i rytmicznie, niezbyt mocno uderzała w wyciągnięte nogi Sidonii; teraz już milczały i nie patrzyły na siebie, więc trudno było przewidzieć, co się może pomiędzy nimi wydarzyć.

Tamtego popołudnia Maja też miała na sobie sukienkę swojej matki, bardzo obfitą i długą, z fioletowej koronki, ramiona z wszytymi poduszczkami zwisały aż do łokci, zniekształcony głos przypominał głos jej matki, choć może odnosiłem takie wrażenie z powodu tej sukienki, ale z taką lekkością i szybkością przerzucały się zdaniami, że uznałem, iż musi to być jakaś ich stara, dobrze wyćwiczona, pełna bliskości zabawa.

Słońce grzało mnie w kark, a ich cisza przypominała mi, że tu jestem, że jestem rozpalony, jak gdyby dotąd mnie tu nie było.



Nie wiedziałem, jak długo stoję za gorącą zielenią bukszpanu, niezbyt zresztą ostrożnie; w gruncie rzeczy to podsłuchiwanie i podglądanie nie były mi do niczego potrzebne, nieraz omawiały przy mnie swoje podobne do tamtej przygody, prosiły mnie o radę, ja coś im tam radziłem, mogłem więc w każdej chwili wyłonić się zza bukszpanu, i przecież nic by się nie stało, gdyby mnie zobaczyły, nie widziały mnie tylko dlatego, że nie starały się zachowywać ostrożnie, a korona bukszpanu była taka gęsta, że gdybym chciał cokolwiek zobaczyć, a chciałem, musiałbym wychylić głowę, a mimo to nie potrafiłem opuścić mojej śmiesznej kryjówki, miałem raczej ochotę niepostrzeżenie uciec, rozpląnąć się w powietrzu, albo wtrącić się do zabawy w jakiś bardziej brutalny sposób, niech wreszcie skończy się, co ma się skończyć, na przykład cisnąć pomiędzy nie ciężki kamień, na wyciągnięcie ręki był ogrodowy kran, a czerwony wąż wił się w trawie, oblać je, ale zbyt trudno byłoby wziąć prysznic do ręki czy otworzyć zawór tak, by pozostać poza zasięgiem ich wzroku; żeby tylko zniszczyć tę ich bolesną dla mnie obcą bliskość!, w której mogę mieć swój udział jedynie wówczas, gdy pozostanę w ukryciu i one mnie nie zauważą!, na próżno bym się oszukiwał, w każdej chwili i w każdym najmniejszym ułamku chwili coś się pomiędzy nimi działo, co nigdy nie zdarzało się w mojej obecności, kradnę, choć nie miałem bladego pojęcia, co tak naprawdę im kradnę, to napięcie było trudne do zniesienia, wstyd, że biorę w posiadanie coś, czego nie mogę ani użyć, ani nadużyć, coś, co należy jedynie do nich, zaufanie, jakim mnie dotychczas darzyły, jak widać, okazało się pozorne, ofiarowały mi tylko okruszyny swojego zaufania, oszukały mnie, przechytrzyły, nie mogły mi prawdziwie zaufać, po prostu dlatego, że nie jestem dziewczyną, i teraz one rozmawiają o swoich sprawach, a ja je z nich obrabowuję.

I decydując się na najbardziej haniebną rozwiązanie, zacząłem się wycofywać, chciałem stamtąd zniknąć i już nigdy więcej nie wrócić, z nadzieją, że niezauważony dotrę do bramy i głośno ją za sobą zamknę, kiedy Sidonia uchwyciła nożycami swoich stóp szyję Mai, a tamta w tym samym momencie chwyciła jej silne nogi i pociągnęła, by zrzucić ją z siebie, wtedy hamak zakotłosał się i Sidonia rozciągnęła się na trawie jak długa; wtedy już trudno było śledzić, co ze sobą wyprawiają, szarpały się rękoma i nogami, kopały i ciągnęły w jedną i w drugą stronę, Sidonia nagle wskoczyła na Maję, która zręcznie się spod niej wywinęła, podskoczyła i zaczęła biec, wtedy już krzyczały, potwornym wrzaskiem, najpierw Maja, potem Sidonia; niczym dwa splątane skrzydłami rzadkie motyle, suta, fioletowa sukienka Mai i opadające aż do pasa, podfruwające nad białą bluzeczką skrzydła włosów Sidonii; turlają się w dół po stromo opadającym zielonym ogrodzie, na dole wpadają na siebie, widziałem, jak się pocałowały, a chwilę potem, trzymając się za ręce, obracały się wokół siebie, przęcając ciała, długo, aż jedna nie puściła drugiej, i przewróciły się na ziemię; leżały na ziemi, dysząc.

Maja kochała nie mnie, ale ślad, który na mojej szyi zostawiły zęby Sidonii.

Później na mojej twarzy poruszyły się dwie wargi, od niespodziewanego, szorstkiego dotyku ciarki przeszły mi po całym ciele, zrobiło mi się zimno, poczułem, jak moje ciało splata się z jej ciałem.

Krwawie, powiedziały wargi na drżącej skórze.

Siedziałem u matki na kolanach, z wargami przylepionymi do jej ramienia, w zagłębieniu łokcia, tam gdzie ślady po ciągłym pobieraniu krwi pozostawiły żółte i niebieskie plamy rozlane pod skórą, tam gdzie na zmaltretowanej zyle było miejsce na moje wargi, powinienem był o tym opowiedzieć, i czułem, że opowiem.

Może nawet opowiedziałem samym dotykem, bo oddałem to, co Maja dała mi w miejscu, w które ugryzła mnie Sidonia.

Ten dręczący chaos dotyków trudno było jednak ubrać w słowa, choć bardzo chciałem jej o tym opowiedzieć, nie wiedziałem, od czego mam zacząć, każdy dotyk pociągał za sobą kolejny, a wśród nich były także usta Krystiana.

Chodź, odezwałem się, ale się nie poruszyliśmy.

Czułem, że przemawianie do skóry mojej szyi sprawia jej przyjemność, żebym się na nią nie gniewał, pewnie dlatego była przed chwilą taka poirytowana, powiedziała, bo ma okres, wtedy jest bardzo nerwowa, przecież wiem, i o tym też by nigdy nikomu innemu nie powiedziała.

Zawsze jest wtedy zdenerwowana i bardziej wrażliwa, niż mi się wydaje, i wtedy trzeba ją kochać, bo znów będzie płakać.

Musiałem wyciągnąć palec spod jej majtek, pod ciężarem jej ciała całkiem zdrewniała mi ręka, a to, o czym dotychczas myślałem, że to wilgoć jej ciała, że jest spocona pod majtkami, to chyba była krew; krew, pomyślałem nagle, zanurzyłem palec w jej krwi, pomyślałem, ale nie poruszyłem palcami, nie chciałem być dla niej okrutny, może powinienem bronić w niej tego, czego sam nigdy nie poczuje, zazdrościłem jej tej krwi, cierpliwie znosiłem, że drewnieje mi ręka, a zwłaszcza nie chciałem, żeby odczuła, jaki jestem zmieszany i przestraszony, i jak się boję, że mogę mieć zakrwawione palce.

Nie bardzo wiem, jak to jest z tym krwawieniem, choć nie było całkiem wykluczone, że kłamie, że sobie to wymyśliła, i z tym krwawieniem też chce być podobna do Sidonii.

Prawda, że nie chcę, żeby płakała, nie mogę tego chcieć.

Musiałem uważać, żeby się nie poruszyć, żeby jej ciało nie poczuło, że wiem, że to wszystko nieprawda, co mówi i co daje mi do zrozumienia swoimi ruchami, że nie mówi tego do mnie, a wszystko, o czym jeszcze chwilę wcześniej sądziłem, że należy do mnie, nie jest moje, znów mnie oszukała, i tylko dlatego mi to daje, bo jestem z nią, bo jestem blisko, a temu, komu chciałyby to dać, dać nie śmie.

Żeby ją kochał tak, jak ona mnie.

Ja też oszukuję, ma się rozumieć, nie z jej powodu, nie przyszedłem tu niczego szukać, tylko miałem nadzieję, że spotkam tu Liwię, której imienia nawet nie lubię wypowiadać w myślach, tamtego popołudnia czekałem na nią przy ogrodzeniu i znów nie przyszła, nie mogłem już wytrzymać tego czekania, powinna była przyjść, żebym choć na chwilę na nią spojrział i żeby ona spojrzała na mnie, w ten sposób!, skoro sam nie mam odwagi się do niej odezwać, a tym bardziej jej dotknąć.

Z drugiej strony, co z tego, że czułem oszustwo naszych ciał, że czuję to, co powinien czuć Kálmán, i bezwiednie daję jej z siebie to, co chciałem dać Liwii, skoro i tak jest dobrze, skoro tak dobrze było słyszeć, co do mnie mówi, czuć zapach jej ciała, jej krwi, czuć drewniejące ramie, ciężar, nasze ciepło, to mroczna radość przywłaszczania, że znowu coś staje się moje, choć nie powinno do mnie należeć, a ja sam też nie mogę się uchronić przed oszustwem.

A teraz mi się przypomniała, choć może raczej nie ona, lecz jej brak, i to, że ją głęboko uraziłem i pociągnąłem za sobą w bagno, w którym tak dobrze się czuję, i nienawidzę jej za to, że nie przyszła.

Wiem, że zostanie kurwą, powiedziała.

Ale to też nie były jej słowa, powtórzyła zdanie wykrzywane kiedyś przez Sidonię, niczym nieczuły kamień, który syci się żarem słońca, by potem oddać go nocy, syciła się nimi i dyszała prosto w moją szyję, powtarzała po tej, do której chciała być podobna, do której tak się przylepiła, którą pocałowała, której wszystkie ruchy darzyła takim uwielbieniem, jej bezwstyd boleśnie, jak gdyby ukłuto mnie szpilką, przypominał mi o Krystianie; bo wczoraj w nocy,

mówiła na jednym oddechu, nie chciała mi pozwolić, żebym powiedział coś, co mogłoby ją zabość, może to nawet jeszcze nie była noc, opowiadała, ale było już późno, już wszyscy się położyli, a Kálmán wlaź przez okno, mogę sobie wyobrazić, czał się pod oknem, aż zgasili światła, a ona przeraziła się na śmierć, prawie już spała, tak się przestraszyła, że odebrało jej głos, błagał ją przed łóżkiem, że nie chce nic więcej, tylko żeby mógł trochę obok niej poleżeć, nic więcej, żeby go wpuściła, przebudziła się, kiedy jakieś zimne nogi zaczęły pakować się do jej łóżka, ale go nie wpuściła, zrzuciła go na ziemię, a Kálmán wybuchnął takim płaczem, że musiała go pocieszać, paskudna świnia!, musiała mu obiecać, że kiedyś mu pozwoli, ale nigdy!, czy rozumiem?, owszem, zostanie kurwą, ale jemu nigdy, nigdy!, a jednak mu obiecała, żeby tylko sobie poszedł w cholere!, bo tak ryczał, chciała być dla niego dobra, głaskała go po głowie, po policzkach, a on trzymał ją za rękę i płakał, ale gdyby jednak chciał wleźć do jej łóżka, zacnie krzycheć, powiedziała mu, i poprosiła, żeby nie całował jej po rękach, bo tego nienawidzi, i żeby już poszedł sobie do diabła, całe ręce miała we łzach i smarkach, bo naprawdę strasznie płakał, i musiała mu przysiąc, że go kocha, ale że będzie krzycheć, przyleci jej ojciec i go stłucze na kwaśne jabłko, niech więc pójdzie po rozum do głowy i grzecznie sobie pójdzie, to wtedy będzie go trochę kochała.

A mnie fala gorąca zalała mózg, zagłuszając jej głos, zatykając mi uszy, zrzucając ze mnie jej ręce, by jej ciało znikło ze mnie bez śladu, podczas gdy od dotyku jej warg, od jej oddechu, moje ciało raz po raz przebiegały zimne dreszcze.

I mam się cieszyć, że się do tego przyznała, bo wszystko potrafię z niej wydusić.

Nienawidziłem jej taką samą nienawiścią, jak Liwię za to, że nie przyszła, tak samo jak Maja nienawidziła mnie wczoraj w swoim łóżku.

Wiem, że ją pocałowałem, powiedziałem, słysząc w swoim głosie nienawiść.

Wcale jej nie pocałowałem, i błaga, żebym już jej więcej nie dręczył.

Nie mogła zrozumieć, że w tym momencie myślę o tym, żeby pocałować Krystiana, że chciałbym być nim, bo to on pocałował Sidonię, pocałował ją w usta, sam widziałem, i dlatego zadreżam się na śmierć, że potrafi odważniej żyć, że całuje go Sidonia, a do jej łóżka nocą wlaży Kálmán; poruszyła się w moich ramionach, była dogłębnie wdzięczna za tę hipotetyczną i całkiem źle pojętą zazdrość, gdyż ja wcale nie byłem zazdrosny o Kálmána, ale o nią i o Sidonię, nienawidziłem jej za to, że tak ją bezwstydnie naśladuje, a ja nawet nie wiem, co jest fałszem, a co jest prawdą, bo nie mam odwagi tak bezwstydnie naśladować Krystiana, ani też nie wiem, czy dobro rodzi się z prawdy, czy z fałszu, więc nie wiem, co mi wolno, a czego nie.

I kiedy krew mrocznym potokiem zalewała mój mózg, jeszcze raz, nim zacząłem się dusić, w jednym przebłytku zobaczyłem bladą twarzyczkę Liwii, jak gdyby z nicości pojawił się przed moimi oczami tamten marcowy poranek, kiedy postanowiłem, że już nigdy na nią nie spojrzę, a potem nie raz spoglądałem w jej kierunku, ale wtedy już nas obserwowała Hédi Szán, i jak gdyby to wszystko stało się z powodu mojego spojrzenia, zaczęła tracić równowagę, wypadła z szeregu i osunęła się na lśniącą, ciemną podłogę sali gimnastycznej, dziewczyny zaczęły krzycheć, wszyscy zamarli w bezruchu, patrzyliśmy, potem rozległy się walenie i stukot kroków, aż wreszcie wynieśli jej zemdlone ciało, z nogami w białych skarpetkach zwisającymi z noszy.

Wszystko działo się w takim tempie, że nie mieliśmy czasu nic zauważyć, staliśmy tam w bezruchu, ale ta cisza nie miała nic wspólnego z żałobą.

I nawet jeśli nikt o tym nie wie, to wielkie oko widziało, bardzo dobrze widziało, że to ja zrobiłem, i że to ja jestem winny.

A to, co mi odpowiedziała, co, że tak powiem, na niej wymusiłem, wcale nie sprawiło, bym

stał się szczęśliwy, co więcej, jej szczerość i nieodpowiedzialna zdrada poniżyły mnie, i choć zdradzona tajemnica wzmogła w tamtej chwili naszą bliskość, miałem ją przecież w ręku, a tego właśnie pragnąłem, chciałem wcisnąć się pomiędzy nich, chciałem wysadzić z siodła tego drugiego chłopaka, i wysadziłem, chciałem wiedzieć, co robi, miałem nadzieję, że w ten sposób się dowiem, co sam powinienem robić, co się dzieje za moimi plecami!, czy naprawdę tak trudno jest się im oprzeć, jak przedstawiają w swojej sprośnej paplaninie, bo to, co mówiły między sobą o innych dziewczynach, zawsze było przesiąknięte fałszem, a w pełnych goryczy wulgarnych słowach, które Maja dyszała mi nad głową, zdradziła tylko, że Kálmán był w niej beznadziejnie i wiernie zakochany, nawet jeśli w swojej miłości był odważniejszy ode mnie, ja tylko wodziłem oczyma za Liwią, która ciągłym odrzucaniem przywiązywała mnie do siebie i z pewnością się mną bawiła, żeby potem, pławiąc się w swojej bezwstydnym wyższości, wydać mnie komuś innemu, komuś, kogo tak nie kocha, i w szale zazdrości wyobraziłem sobie, że kiedy ja miło leżę tu z Mają na łóżku, ona leży z Krystianem i rozmawia z nim o mnie.

Usta Mai szeptały zdradzieckie słowa Liwii prosto w ucho Krystiana.

Uważaj tylko, powiedziałem, Kálmán może sobie płakać, ale niech mu nie wierzy, i bawiło mnie, jak cichy i spokojny jest mój szept.

Dlaczego, zapytała.

Nic takiego, odparłem, nic takiego, ale niech uważa.

Ale dlaczego.

Tego jej nie powiem.

To nieładnie z mojej strony, ona mi wszystko powiedziała.

I żeby nie szła dziś do lasu.

Niby dlaczego nie.

Mogę jej tylko powiedzieć, odparłem, żeby nie szła, i mam ważne powody.

I to właśnie ja będę jej mówił, co ma robić, a czego nie, ale tego już nie powiedziała, tylko wykrzyczała, i odepchnęła mnie od siebie.

Wysunąłem palec z jej majtek, a moja zdrętwiała ręka wreszcie wyswobodziła się od ciężaru jej ciała.

Zrobi, co zechce, ja tylko ją ostrzegam, Kálmán powiedział mi to i owo, ale co, tego jej teraz nie powiem.

Obydwoje szybko wstaliśmy, patrzyliśmy na siebie w bezruchu, zmagając się ze sobą spojrzeniami, nie mogliśmy uciec od ciemnych iskier nienawiści i wzburzenia, zresztą nie chciałem, nogi mieliśmy jeszcze splątane, siedziała obrócona do mnie, zesztyniała z wściekłości, moje ciało tymczasem leżało swobodnie i spokojnie, bo chciałem przezwyciężyć jej spojrzenie łagodną wyższością podstępem, wreszcie jestem panem sytuacji, myślałem, wreszcie wyrwę z niej i z siebie samego to coś, co tak mnie dręczyło, przyznaję, że za cenę najbardziej nikczemnej ze zdrad, słyszałem podszept złego ducha, odniosę zwycięstwo!, i znów ta nagła zmiana sytuacji mnie zaskoczyła, do pewnego stopnia pozbawiła pewności, bo to, co w gorącej bliskości chciałem wyznać jej o Kálmánie, to, co jej sugerowałem, wyraźnie, podstępnie i sprytnie, niczym osoba będąca w posiadaniu absolutnej wiedzy, tego samego nie umiałem już powiedzieć jej w oczy, było straszne, nienaturalne, niewypowiedzialne, w tamtej chwili, w tamtym pokoju oświetlonym zimnym i obojętnym światłem nawet samemu sobie nie potrafiłem więcej powiedzieć; jeszcze przed chwilą jeden jedyny przebłysk pamięci w mroku wewnętrznego monologu, wyłaniający się z niego pozornie niewinny obrazek, którego niepodobna opisać słowami i który trzeba szybko zapomnieć, podobnie jak moje ciało pogubiło

się w tamtej sytuacji, i dziś, kiedy piszę te słowa, mając za sobą lata życiowych doświadczeń, nie bez satysfakcji przypominam sobie tamten szczególny stan mojego ciała i duszy, tamtego chłopca oszukanego przez własną duszę, zagubionego w pułapce własnego ciała, który leżąc w ramionach dziewczyny, czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach i uderza do głowy, cóż za nadzwyczajny zbieg okoliczności, że właśnie wtedy mówił o jej miesiączce!, i ogłuszony podniesionym głosem dziewczyny nie zauważył, że tok wydarzeń, walka o zwycięstwo nad drugim człowiekiem, gorączkowa walka o zyskanie nad sobą władzy i zwalczenie sił panujących nad jego ciałem, nie tylko rozgrzały jego głowę, nie tylko tam popychały krew, ale przynajmniej z taką samą siłą, jeśli nie większą!, zrobiły swoje także w lędźwiach, przytulony do łona dziewczyny i swojej obróconej dłoni po prostu zeszytniał, co też jest nawiązaniem do obrazu, który chciał jej opisać i przytoczyć jako ostateczny argument, ale nie potrafił.

Z drugiej zaś strony, Maja chyba też nie chciała, żebym jej powiedział.

Ale co? Co ci powiedział?

Już samo wspomnienie miejsca zakazanych zabaw, przygód Sidonii, lasu wystarczało, by moje ostrzeżenie nabrało właściwej wagi.

Nie, tego nie, jakby nie pytała, ale krzyczała, jej oczy zwięzły się ze strachu i niepewności, nienawiść znikła w głębi piwnych tęczówek.

Miłość nie chce wiedzy, rozwarła usta.

Nic nie odpowiedziałem, żeby jej spojrzenie nie zawędrowało na moje łono, balansowałem oczyma w jej oczach, bo a nuż widać po moich spodniach to, co sam w nich czuję.

Chciałem powiedzieć, że leżymy na białej, płaskiej skale, w schronieniu rosnących ponad nami krzewów, ale to Kálmán zrobi to, co ja chciałbym robić, więc dopóki ona mnie nie dotknie, ja nie będę miał odwagi dotknąć jej, i kiedy odwzajemniając jej ruch, moje ramię skrzyżowało się z jej ramieniem i trzymaliśmy się w objęciach, w czym najdziwniejsze było to, że moje palce nie czuły, że ona jest taka sama twarda jak to, co czuje pod swoimi palcami, choć i moje, i jej wydawało się tak samo twarde, wtedy Kálmán mówi schrypniętym głosem, i ja powinienem był powiedzieć to samo, że i tak kiedyś przeleci Maję.

Tak powiedział.

A potem, żeby zyskać na czasie i odwrócić jej uwagę od mojego zawstyżenia, powiedziałem, że kiedyś na pewno jej to powiem, powiem jej wszystko, ale nie teraz, bałem się, że zauważy, iż zrobiłem się czerwony ze wstydu.

Choć przecież wiedziałem, że tego nigdy nie będę umiał jej powiedzieć, że nigdy jej tego nie powiem.

I nie chodziło o to, że powstrzymywała mnie obawa przed niegodziwym czynem, że tego drugiego przegonię z jego miejsca, wydawało mi się, że jestem zdolny do każdej niegodziwości.

Gdyby udało mi się wyrwać to zdanie z kontekstu sytuacji, w której zostało wypowiedziane, gdyby Kálmán nie odcisnął na nim swojego piętna, gdybym nie czuł w nim tego rozgrzanego białego kamienia.

Ale jeśli wyjawię jej ukryte zamiary Kálmána, wyda się także mój własny fałsz.

Nie umiałem się od tego wyzwolić, nie umiałem się oderwać, gdyż to zdanie odnosiło się nie tyle do Mai, ile do nas obydwójga.

A o nas dwojgu trudno było mówić, nasze wspólne chwile nie były początkiem naszego związku, ale czymś, co go zamykało, były jego wynikiem, ostatnim przystankiem, ostatnim punktem, do którego dwaj chłopcy mogą posunąć się w świecie, gdzie dziewczyny nie mają wstępu, co więcej, w świecie, w którym dla chłopców jest to zakazany owoc, jakiego nie wolno

im skosztować, a Kálmán oczywiście chwali ich wspinałe i precyzyjnie funkcjonujące zmysły, żeby w tym ostatnim z ostatnich punkcie nie przestraszyć się własnych, najbardziej intymnych pragnień: przekonać się, czy ciało drugiego chłopca tak samo i to samo czuje, co jego własne, i żeby z typową dla siebie ślepą odwagą dotknięcie innego chłopca powiązać z niemożliwym do zaspokojenia uczuciem, które żywi do dziewczyny, przemieniając to, co niemożliwe do zaspokojenia, w możliwe do zaspokojenia, i na odwrót: to, co odnosi się do niego samego, w to, co odnosi się do drugiego człowieka, i jak gdyby tu odwróciły się dwa łączące się ze sobą, ale i tak niemogące się połączyć tajemne światy.

To, co zrobiłby z Mają, miało być raczej przeprosinami za to, co robiliśmy w tamtej chwili.

Oczywistą aluzją do tego, czego próbowała Sidonia i o czym mi opowiedziała.

My zatem też się nie przestraszymy, gdyż inne, codzienne wydarzenia podpowiadają nam, że aby znieść nieznośną, potworną samotność bycia różnym od innych, szukamy oparcia i wsparcia w podobieństwach.

Tak samo dziewczyny mają własny świat, który można tylko podpatrzeć, przeweszyć, przespiegować albo wdrzeć się do niego niczym wrogi intruz, by zyskać wiedzę o ważnych szczegółach, ale to najświętsze miejsce, tajemna sakiewka, zawsze pozostanie sekretne.

Tylko wówczas mógłbym to jej powiedzieć, gdybym był dziewczyną, gdybym jako dziewczyna mógł podpatrzeć samego siebie i tego drugiego chłopca, gdybym mógł spojrzeć na nich oczyma dziewczyny, nieświadomymi niczego, łatwowiernymi oczyma dziewczyny; a ponieważ tak bardzo chciałem być dziewczyną, jak gdyby jedna jedyna, cieniutka, niemal całkiem przezroczysta błona dzieliła mnie od tego, bym nią został, czy, wyrażając się ściślej, gdybym mógł też być dziewczyną, niewypowiedzianie wielkie było we mnie pragnienie, by przebić się, przedostać przez tę błonę, jak gdyby w nadziei, że jeśli przedrę się przez nią, to wkroczę do świata czystego światła pozbawionego fałszu i mroku, na idylliczną polanę, toteż tak właśnie chciałem się z nią utożsamić, tak chciałem stać się dziewczyną, by odkryć i zdradzić moją męską naturę, ale ponieważ nie mogłem jej nic powiedzieć, nie mogłem stać się szpiegiem tamtego świata, i ona też tego nie chciała, milczenie i wstyd popchnęły mnie z powrotem do świata chłopców.

Zasługującym na uwagę szczegółem naszej uczuciowej historii był też fakt, że nasi rodzice ze względu na wykonywaną pracę mieszkali na skraju gigantycznej, chronionej strefy, w której znajdowała się rezydencja Mátyása Rákosiego.

Czasami wracając od Mai, nie miałem ochoty iść wzdłuż chroniącego strefę długiego ogrodu z drucianej siatki, za którą panowała groźna cisza, gdzie na ulicy zacienionej pochylającymi się gałęziami krzewów nie było ani jednego przechodnia, i która niczym dróżka dzieliła las na pół, na której nawet powietrze było nieruchome, gdzie słyszałem tylko odgłosy własnych kroków, gdzie nie można było zobaczyć uzbrojonych strażników, choć dobrze wiedzieliśmy, że z kryjówek zamaskowanych między drzewami i krzewami wszystko widzą i pilnują, i że nie możesz zrobić ani jednego kroku, który uszedłby ich uwadze, przyciągają cię do siebie swoimi peryskopami i lornetami, odprowadzają wzrokiem, idą ze mną ulicą; kiedy więc musiałem tamtędy przechodzić i żeby skrócić sobie drogę, nie szedłem przez las, wyraźnie czułem, że mnie obserwują, mówiąc dokładniej, nie czułem ich obecności, i nie jestem nawet pewien, czy człowiek może coś takiego czuć, ale jakoś tak, za ich sprawą, moja uwaga się rozdawała, widziałem siebie, jak niczego nie podejrzewając, idę, i niczego nie podejrzewając, patrzę przed siebie, jednocześnie za sprawą własnej podejrzliwości obserwuję moje podejrzenia ukryte pod płaszczykiem braku podejrzliwości; to dziwne uczucie trochę przypominało mi

chwile, kiedy w szkole coś zginęło i w strasznej atmosferze podejrzliwości ogarniającej wszystkich nagle czułem, jak gdybym to ja coś ukradł, jak gdybym to ja był tym złodziejem!, tu jednak z powodu ich spojrzeń czułem się, jak gdybym był zamachowcem albo nieumiejącym się kryć szpiegiem, i z wysiłku tej przymusowej historycznej gimnastyki za każdym razem czułem, że cierpnie mi skóra na ramionach, plecach i szyi, szedłem ulicą jak ktoś, kto czeka, że zaraz do niego strzelą, bo do tego ogrodzenia nie wolno było się zbliżać; był to zwyczajny, trochę już pordzewiały druciany płot, bałem się psów, bałem się ich bardziej niż spojrzeń strażników.

Ale nie tylko my, dzieci, baliśmy się tych potężnych psów, bali się ich nawet dorośli i zwykle psy; na przykład wyjątkowo waleczny i silny czarny pies Kálmána, Vitéz, jego też nie sposób było wywabić z lasu na ulicę, wiązaliśmy mu sznurek na szyi i próbowaliśmy ciągnąć, a nuż rzucą się na siebie, mieliśmy nadzieję zobaczyć śmiertelną, krwawą walkę, wtedy kładł się na ziemi, ze strachu jeżył mu się kark, skomlał, na próżno szarpaliśmy go, ciągnęliśmy, prosiliśmy, tarmosiliśmy i drażniliśmy, nie udawało się nam wzbudzić w nim woli walki, a tamte wielkie bydlaki spokojnie obserwowały zza ogrodzenia nasze nieporadne próby.

I wtedy, choć przecież wiedziałem, do czego potrzebne są im te psy, cała chroniona strefa stawała się centrum, żywym jądrem moich lęków.

Choć za ogrodzeniem rozciągał się dziewiczy las, spokojny milczący las pełen dębów, pozornie taki sam jak po drugiej stronie ulicy, prawdziwy, wolny las, nasz las, taki właśnie, jaki las powinien być: pełen uschniętych, połamanych gałęzi, szarpanych wiatrem koron drzew obrosłych białą i żółtą jemiołą, powyrywanych z ziemi konarów, wystających z kamienistej gleby korzeni, potężnych, skamieniałych warg wyschniętych lub wegetujących w otaczającej je zgniliznie, ciemniejących jam głębokich dziupli, lśniących poduszek mchu, giętkich gałęzi dębów dojrzewających w otulinie wiecznie zmierzwionych korzonków, delikatnych młodych roślinek, skrzypów polnych szybko wschodzących spod starych jak świat, miękkich pokładów uschłych liści, paproci, krótko żywotnego leśnego runa na ciepłych plamach światła w prześwitach krzewów, drżących od najmniejszego wicherku lilowych grzebieni próchniejącej kokoryczy, niebieskich gron cuchnących serdeczników, białych parasoli kołyszających się wysoko, trujących cykut, ich koronkowych dłoni, żółtawych kłosów wiechliny i niebieskozielonego dzikiego perzu, w bardziej wilgotnych zagłębieniach błyszcząco listnych kaczeńców, ukrytych w cieniu kamieni tłusto zielonych cyklamenu, które tutaj nigdy nie wydawały kwiatów, na słonecznych plamach pół mechatych liści poziomek i dzwonczków białych kwiatków wyglądających spomiędzy prążkowanych liści oraz grubych, pochylonych gałązek kokoryczki, no i wielkich krzewów porastających dębinię, głogów, dla których było tu wystarczająco dużo miejsca, wielkich niczym drzewa, łykowej trzmieliny, a przede wszystkim: rozrastających się w niedostępnej, pełnej kolców gęstwinie, jesienią rodzącej smacznie cierpkie owoce, pokrytych puszką dorodnych jeżyn, a jednak!, wprawne spojrzenie natychmiast dostrzegło, że tam, po przeciwnej stronie ulicy, za drucianym płotem nie ciągnie się ten sam las, na ziemi nie leżały powyrywane z korzeniami drzewa, a pourywane, zalegające na ziemi gałęzie ktoś skrupulatnie usuwał, być może po zmierzchu, kiedy w poświacie nieba jeszcze cokolwiek widać, albo o świcie, potajemnie, bo nigdy nie widzieliśmy, żeby ktoś tu pracował, w ogóle, nigdy, ani jednego człowieka!, krzewy rosły w większych odległościach od siebie, poprzycinane, a ponieważ jesienią nie spadało tu aż tyle zeschniętych liści, trawa rosła bujniej i wyżej, to był zadbany las, który w oczach niewtajemniczonego miał jednak stwarzać pozory naturalności, właściwie nigdy nie rozumiałem dlaczego, skoro w najbliższym otoczeniu ogrodzenia wszelkie starania, by ludzi zmylić, spełzały na niczym, tam bowiem, na szerokości mniej więcej dwóch metrów, wycięto

wszystkie rośliny, a ziemię posypano czystym białym piaskiem, na nim zaś każdego rana widoczne były ślady sekretnej pracy jakichś tajemniczych rąk, ślady zostawione przez grabie i biegające po piasku psy.

Kiedy z ulicy Istenhegyi skręcałem w ulicę Adonisa, by ruszyć w górę łagodnym zboczem, daremnie szedłem po drugiej stronie i wpatrywałem się w nieme krzewy za ogrodzeniem, by tylko zobaczyć, jak pojawiają się bezgłośnie i niepostrzeżenie, zawsze ukazywał się tylko jeden pies, wiedziałem, że psy też wymieniają, tak samo jak niewidzialnych strażników; to były wielkie, dobrze odżywione zwierzaki, owczarki niemieckie o podpalanej, czarnej, czasami szarej sierści, z grubymi, podniesionymi ogonami, w ich wyciągniętych pyskach błyszcząły mądre, dobrotliwe jasnobrażowe ślepia, szpiczaste uszy natychmiast reagowały na każdy dźwięk, miały wiecznie otwarte pyski z wysuniętym, mięsistym, od ciągłego dyszenia kapiącym śliną, lśniąco czerwonym, chropowatym językiem, w których widać było silne białe kły; nie mogły postąpić inaczej, podążały za mną, kiedy przyspieszałem kroku, one też biegły szybciej, kiedy zwalniałem, one również zwalniały tempo, ich wielkie łapy tonęły w piasku, oczywiście nie robiąc przy tym najmniejszego hałasu, od dawna jednak nie próbowałem się zatrzymywać w miejscu, bo kiedy przystanąłem, one też się zatrzymywały, odwracając ku mnie otwarte pyski, patrzyły, najgroźniejsze były chyba ich oczy, ich spojrzenia, rozszalałe, a jednak zupełnie obojętne piękne kule, jednocześnie widziałem, że pod grubą sierścią wszystkie mięśnie prężą się do skoku, nie wydawały jednak żadnego głosu, nie szcekały, nie warczały, nie było nawet słyhać przyspieszonego oddechu; Kálmán wiedział o nich wszystko od Pistiego, który był strażnikiem po drugiej stronie zamkniętej strefy, na dole, przy szlabanie na ulicy Lóránta, czasami z nim rozmawiał, on dał mu rosyjskie papierosy z papierowymi firkami, które potem razem palili na przerwach w szkolnym kiblu, słowem: od Pistiego wiedzieliśmy, że właśnie wtedy są najgroźniejsze, i że wtedy nie wolno się zatrzymywać ani na nie patrzeć, i choć są przyuczone do zachowania się w najrozmaitszych sytuacjach, to treserzy mówią, że im surowsza jest tresura, tym ich system nerwowy staje się bardziej labilny, wszystko wiedzą i wszystko rozumieją, ale są psychicznymi wrakami, opowiadał Kálmán, nawet sami treserzy się ich boją, bo mają mięśnie jak ze stali, tak powiedział, jak ze stali, z miejsca potrafią przeskoczyć niezbyt wysokie ogrodzenie, podobno treserzy zażądali od dowództwa, żeby zlikwidowano kolczaste druty, bo zaczepiały o nie ogonami, dowództwo nie chciało się zgodzić, bo wtedy ogrodzenie nie byłoby przepisowe, i wtedy towarzysz Rákosi osobiście wydał zgodę, bo taki pies jest bardzo wartościowy, nawet wewnątrz strefy prowadzi się je na smyczach, nie wolno się z nimi zaprzyjaźniać, nie przyjmują od nikogo jedzenia ani słodyczy, nawet nie powąchają, jakby to było powietrze, a gdyby ktoś spróbował je rozszłościć, na przykład kopiąc parkan, co każdego normalnego psa doprowadza do szału, wtedy tylko spokojnie podnoszą fagle, żebyś dobrze sobie obejrzał ich zęby, to jest ostrzeżenie, są nauczone, żeby nie wpadały niepotrzebnie w szal, a jak popełnią błąd, są strasznie bite, pasem i kijem, ale jeśli nie robisz nic więcej, tylko patrzysz im w oczy, nie poruszasz się, to nie wiedzą, co się dzieje, i wtedy właśnie okazuje się, że są psychicznymi wrakami, mimo że są bite za nieuzasadnioną agresję, nie potrafią nad sobą zapanować, skaczą, chwytają człowieka za kark, za głowę; szły za mną, dokładniej mówiąc, po pierwszych wspólnych krokach wyglądało to tak, jak gdybym to ja szedł za nimi, krok przede mną szły klusem po piaszczystej ścieżce, na samym szczycie wzgórza ścieżka nagle zakręcała, a ogrodzenie wraz nią, potem był długi, prosty odcinek, prowadziły mnie z podniesionymi ogonami, i jeśli zachowywałem się jak należy, nie spieszyłem się, nie zostawałem w tyle albo strach nie zmuszał mnie do biegu, co tym bardziej nie było dobrym rozwiązaniem, gdyż na



prostym odcinku, jaki zaczynał się za zakrętem, musiałbym biec mniej więcej trzysta metrów w asyście ich głębokiego ujadania, więc mimo wstydu i poniżenia, nienawiści i chęci buntu, musiałem się do nich dostosować, nie stawałem w miejscu, nie biegłem, nie przyspieszałem i nie zwalniałem kroku, nawet uważałem, żeby nie oddychać zbyt głośno, i kiedy już udało mi się powstrzymać przed wszelkimi niewłaściwymi gestami i uczuciami, one tak samo panowały nad swoimi nerwami, i napięcie wzajemnej podejrzliwości jakoś się wyrównywało, wtedy po jakimś czasie relacje między nami łagodniały, już nie było tak niebezpiecznie, ja zachowywałem się jak należało, pies obojętniał i też zachowywał się jak należy; jeśli jednak, wracając od Mai, nie miałem ochoty albo akurat nie byłem w nastroju do takiej zabawy, bo przecież to była zabawa, eksperyment z panowania nad sobą, nie do końca wolne od niebezpieczeństwa balansowanie na krawędzi samodyscypliny, zależności i wolności, taka sobie polityczna gimnastyka, wtedy wybierałem krótszą i pod wieloma względami przyjemniejszą drogę, przy trzech wysokich świerkach, o których Sidonia wspominała konduktorowi, tłumacząc mu drogę, skręcałem na leśną ścieżkę i spoglądając za siebie zza krzaków, z satysfakcją obserwowałem psa strażników, jak zawiedziony, nic nie rozumiejąc, wodzi za mną wzrokiem, a ja ginąłem w gęstwinie lasu, nawet jeśli wiedziałem, że strażnicy mogą mnie dostrzec przez swoje lornetki, dróżka wznosiła się stromo, czasami nawet po zmierzchu wybierałem tę właśnie drogę, mimo że tu było ciemniej, a w dodatku czały się tu jeszcze bardziej tajemnicze niebezpieczeństwa, ale z nimi łatwiej było mi się uporać niż z ich przeklętymi psami.

W tamtych latach to był jeszcze prawdziwy las, może nawet ostatni zielony obszar pomiędzy wzgórzami i pagórkami otaczającymi miasto, ostatni element przypominający, jak w naturalny sposób współistniały ze sobą grunty i roślinność, dopóki nie wchłonęły ich rozrastające się miasta, jak je zmieniły, pochłonęły; dziś stoją tu już kilkupiętrowe domy wielorodzinne, a pozostałe po lesie samotne grupki drzew stały się tylko zwykłą ozdobą ogrodów.

Nie żał mi tego lasu, z niczym nie jestem w bliższej relacji niż z przemijaniem, jestem pisarzem własnego przemijania, i jeśli teraz własnymi słowami opisuję przemijanie tego lasu, to opisuję też historię własnego przemijania, raz jeszcze, po raz ostatni, przyznając, że nie bez wzruszenia spoglądam na tamto niekończące się w oczach dziecka, a przecież jakże krótkie dzieciństwo, czas, kiedy nic nie wydaje się bardziej niezmiennie niż spękana kora potężnego drzewa, dziwnie wijące się korzenie czy siła utrzymująca konar w ziemi; i nic nie ugruntowuje lepiej tego dziecinnego oglądu świata jak sama natura, w której wszystko przemawia przeciw przemijaniu, a samo przemijanie dowodzi jej stałości, bezosobowości i ciągłości.

Nie chciałbym jednak zamęczać czytelnika moimi nadzwyczaj drobiazgowymi rozważaniami na temat związków pomiędzy odczuwaniem dziecka a prawami natury, gdyż prawdą jest, że natura jest naszym najlepszym nauczycielem, ale uczy jedynie mądrych!, głupi nigdy niczego się nie uczą, idźmy więc dalej tą opuszczoną dróżką prowadzącą na polanę i przyjrzyjmy się, jak idzie nasz bohater, którego stopy dobrze, jak niczyje inne, znają tę gęstwinę ciemności, kierunek wiatru błakającego się po policzkach, każdy maleńki zakręt czy kamień, co za chwilę nawinie się pod czubek buta i zmusi do wydłużenia kroku, jak idzie z wyczulonym nosem, że ktoś już tędy przed nim szedł, kobieta albo mężczyzna, i czasami tylko słuch go zwodzi, słyszy skrzypy, trzaski, piski, tępe uderzenia albo coś przypominającego kasznięcie, zatrzymuje się i żeby móc pójść dalej, musi przezwyciężyć strach przed budzącymi grozę przecuciami, przed tym, co wydaje mu się, że widzi, przed niemal realnie poruszającymi się cieniami, ostrzeżeniami, strasznymi opowieściami.

Potem ścieżka ginie w wysokich trawach polany, nagie nogi ma całe w rosie, tu też towarzyszą mu jakieś szelesty, nad nim niczym o świcie jaśniejnie letnie niebo, ale poza nim nic się nie porusza, wszystko jest dość nierealne, cicho przelatuje nietoperz, zatacza z powrotem koło, aż wreszcie na górnym skraju polany znowu ginie wśród drzew, gdzie ścieżka biegnie dalej, rozwidlając się w dwóch kierunkach, tam pnie się w górę.

Na szczycie góry biegnie wzdłuż lasu nieuczęszczana przez nikogo droga, o kilka kroków dalej jest ulica Felhő, gdzie w małym, pomalowanym na żółto domu naprzeciw ciemnego budynku szkoły mieszka Hédi, a pani Hűvös zaciąga w oknie zasłony, żeby zapalić światło.

Z okna Hédi widać dom Liwii.

Szedłem tą drugą dróżką.

I choć późno wróciłem do domu, nikt nie pytał, gdzie byłem.

Las rzedł, stąd już było widać lekką sylwetkę domu Csúzdich, na ganku paliło się światło, słaby blask rzucał w mrok lasu długie, blade plamy i pasma, to był przyjazny, kojący widok, choć jednocześnie wiele mówił o samotności tego domu, kiedy tamtędy szedłem, mogłem być niemal pewien, że Kálmán będzie jeszcze na dworze.

Byłem jeszcze daleko, kiedy usłyszałem wśród ciszy szczekanie jego czarnego psa.

Dom stał pośrodku kwadratowej przecinki, nad nim rozciągały się pola z kukurydzą, pod nim rósł sad, nazywali to zagrodą, wielki, bardzo stary szkieletowy dom z drewna, którego prosty fronton, tak jak w niegdysiejszych szwabskich winnicach, zdobiła wysoka drewniana weranda, niżej ciężkie, dwuskrzydłowe drzwi prowadziły do piwnicy, a naprzeciw długiego budynku, po przeciwnej stronie rozległego, ale przytulnego, wybrukowanego cegłą podwórka, stał podobny, choć trochę niższy drewniany budynek, służący jako stajnia, szopa na wozy, chlew i kurnik, podwórko otoczone było zwykłym żywopłotem, pośrodku rósł wielki kasztan, nieopodal leżały twarde, mocno związane stogi siana; dziś to wszystko brzmi niewiarygodnie, ale w tamtych latach na kamienistej i gliniastej ziemi Szwabskiej Góry stały w odosobnieniu takie popadające w ruinę chłopskie domy.

Pies Kálmána szedł ze mną aż do zarośli, nie szczekał, nie rzucał się jak zazwyczaj, patrzył przed siebie i leniwie merdał ogonem, wyczekiwał, jak gdyby chciał dać mi do zrozumienia, że dzieje się coś niezwykłego, i powolnym krokiem przeprowadził mnie przez podwórko.

Tu było cieplej, kamienie oddawały ciepło słońca, a gęste zarośla nie przepuszczały wieczornego chłodu lasu.

Wtedy jeszcze mieli konia, świnię, dwie krowy, kury i gęsi, w gołębniku nad strychem gruchały gołębie, z gniazda pod rynną wyfruwała na zmianę para jaskółek, jedna wylatywała, a druga wracała; o zmierzchu podwórko rozbrzmiewało głosami ptaków szukających miejsca na nocny odpoczynek, w stojącym powietrzu unosił się smród moczu, odchodów i gnijącej gnojówki.

Zaskoczony podążałem za psem, w niebieskim zmierzchu dziwnie płonęło żółte światło lampy naftowej; Kálmán stał na dole w otwartych drzwiach do chlewa, przyglądał się czemuś w świetle wysoko trzymanej lampy.

Stał z czołem przyciśniętym do wspornika, kiedy podszedłem, nawet się nie poruszył.

Płomień zabłysnął pod kloszem, lampa zadymiła, światło żółtego języka przesunęło się po jego nagim ramieniu, plecach i szyi.

Kiedy wracał ze szkoły, już wiosną zrzucił buty, spodnie i koszulę, i do późnej jesieni chodził cały czas w tych samych gatkach, w których, jak podpatrzyłem, też spał.

Z głębi chlewu dochodziło raz głębokie, raz aż piskliwe, nagle milknące i po chwili znów

słyszalne charczenie.

Ale Kálmán wcale nie wyglądał śmiesznie w tych swoich czarnych gaciach opiętych na umięśnionych pośladkach, lekko poszarzały i zwiotczały od prania zmięty materiał doskonale dopasowywał się do ruchów jego potężnego ciała, na brzuchu gacie były opięte, w kroku lekko wybrzuszone, stapały się z nim niczym skóra, tak że wyglądał, jak gdyby był nagi.

Pies leniwie przystanął przed chlewem, zakręcił ogonem, wreszcie, jakby zmieniając zamiar, stanął za Kálmánem, usiadł na tylnych łapach i nerwowo ziewnął.

W ciemnej, odgradzonej od świata klitce leżała na boku wielka maciora, Kálmán wysoko trzymał lampę, światło załamywało się na futrynie, w pierwszej chwili zobaczyłem tylko nabrzmiałe, leżące na brudnej podłodze cycki i obrócony ku nam zad, z mroku dochodził ten głos.

Chciałem zapytać, co się dzieje, ale nie zapytałem.

Niektórych pytań nie warto mu było zadawać, i tak nie odpowiadał.

Musiał tam stać od dłuższego czasu, pewnie dlatego oparł czoło o belkę, wpatrywał się w chlewik w bezruchu, sprawiał wrażenie obojętnego, ale znałem go na tyle, by wiedzieć, że to znaczy, że jest napięty do niemożliwości.

Kiedy stanąłem obok niego i przyjrzałem się temu, w co się tak wpatrywał, dostrzegłem w mroku otwarty pysk świni, jej ślepią, słyszeliśmy jej charczenie, nagle zatrzymujący się oddech, świst rozszerzających się i kurczących chrapów, zamieniający się w zdławiony pisk, zwierzę chciało wstać, ale przebijając króciutkimi nóżkami, nie mogło dosięgnąć ziemi, jak gdyby zatrzymywała je jakaś dużo większa siła, rozciągnięte na ziemi ciało drżało bezsilnie, skóra aż wibrowała na pokładach tłuszczu, mięśnie drżały i falowały od nieskoordynowanych ruchów i sprzecznych impulsów, Kálmán nagle rzucił mi lampę i, nie patrząc nawet, czy ją złapie, wszedł do chlewu.

Starałem się mocno trzymać lampę, szkło było gorące, kiedy knot zachwiał się w nafcie, lampa zaczynała dymić, a czerniejące szkło zatrzymywało światło.

Chyba musiał być przestraszony, bo gotowy na wszystko czekał oparty o ścianę chlewu.

Może bał się, że świnia jest rozwścieczona i zaraz go ugryzie.

Wreszcie jedną ręką złapał maciorę za głowę, tuż za uszami, podrapał, chciał uspokoić zwierzę, wtedy świnia wściekle zakwicziała, Kálmán zwinnym ruchem przycisnął jej łeb do ziemi, żeby drugą ręką pomacać i niezbyt delikatnie pouciskać wygięty kark zwierzęcia i zapadnięty dołek głodowy; zwierzę umilkło w oczekiwaniu.

I wtedy wykonał jakiś dziwny ruch, pod ciemnym, pomarszczonym wejściem do odbytu widać było szeroko rozwarty srom, wyłazące spod siebie różowe wargi, obrzmiałe, czyste, napięte, jedwabiste, wysuwały się z wnętrza jej cielska na mokry, brudny od kału i moczu zad, Kálmán ostrożnie przesunął palec w głąb tej żywej, rozpalonej doliny, ogon zwierzęcia delikatnie zadrżał, tak samo jak on delikatnie je dotykał, wtedy szybko wyjął palec i bez namysłu wytarł o własne udo.

Zwierzę przyglądało się nam.

Kálmán zniecierpliwiony odebrał mi lampę; uważne oczy świnki znikły w mroku, jakiś czas było cicho, tylko z sąsiedniej szopy dochodziły odgłosy kwiczenia i przytupywania, Kálmán znów oparł czoło o belkę.

Już godzinę temu odeszły jej wody.

Nie było sensu pytać, jakie wody.

I zostawili ją tu, zostawili, powtórzył, dobywając z siebie głos z taką siłą, że lampa zadrżała

mu w dłoni, szkło uderzyło o belkę, zaszlochał z żalu i rozpaczy, ale jego ciała nie opuszczało napięcie, nie potrafił się rozplakać, chciał przełknąć ślinę, czknał, zostawili, powtórzył po raz trzeci, a przecież wiedzieli, wiedzieli, a jednak zostawili, dranie.

Zad maciory zadrzał na śliskiej podłodze, głowa zwierzęcia opadła w tył, pysk był rozwarty, jak gdyby w ciszy walczyła o każdy oddech, okropnie było słyszeć, że nie może wydobyć z siebie głosu.

Coś się działo ze zwierzęciem i nie mogło znaleźć finału.

Musiał pójść po ojca.

Ojciec Kálmána i jego dwaj starsi bracia byli wysoko, na wzgórzu, dawniej do nich należała tamtejsza piekarnia, z powodu której uznano ich za tak samo obcych klasowo jak Krystiana; po południu zawsze szli zarabiać ciasto i rozgrzewać piece, wracali dopiero o świcie, kiedy już rozwieszono chleb, matka wychodziła, kiedy zagoniła do obory i wydoiła dwie krowy, w nocy pracowała w szpitalu Jánośa jako sprzątaczką.

Cieszyliśmy się wolnością, nikt mnie nie pytał, dokąd chodzę, a jego każdego wieczora zostawiali samego.

Pies zamerdzał ogonem i cicho zaskomlał pod naszymi nogami.

Kálmán znów podał mi lampę, chwilę się wahał, myślałem, że pójdzie szukać pomocy, a mnie tu zostawi, bezsilnego i skazanego na patrzanie na tę potworność, ale chyba sam nie wiedział, co ma zrobić; chciałem powiedzieć, że nie, lepiej ja po nich pójde, albo uciec, ale oniemiała świnia tarzała się przed nami, więc poszedł do niej.

Ja też nachyliłem się niżej nad chlewikiem, żeby dobrze mu poświecić, chciałem dokładnie go oświetlić, choć nie miałem pojęcia, co może zrobić i czy w ogóle wie, co powinien robić w takiej sytuacji, ale wierzyłem w Kálmána, będzie wiedział, o roślinach i zwierzętach przecież wiedział bardzo dużo, wiedział wszystko, ale dla mnie ten widok był niepojęty, a uczucie, które wywoływał, takie trudne do zrozumienia, cierpienie, które poprzez naszą bezsilność staje się naszym cierpieniem, nie zostawiając nam czasu i sił, by tchórzliwie od niego uciec, przykuwa nas do siebie, byłem mu wdzięczny, że nie zostawił mnie samego i próbuje coś zrobić, zamiast mnie, zatem ja nie muszę już robić nic więcej, tylko dobrze trzymać tę lampę.

Ukucnął przy zadzie zwierzęcia i długą chwilę nic nie robił.

W środku panowały gorąc i smród, aż trudno było oddychać, ale nie przeszkadzało mi to, bo tam była śmierć, choć wiedziałem przecież, że to są narodziny.

Wreszcie powoli podniósł rękę znad maciory, zakrzywił dziwnie rozluźnione palce i wsunął je w obrzękłe różowe wargi, widziałem, jak jego ręka po łokieć ginie w ciele zwierzęcia.

Maciora zwinęła się w konwulsjach, wreszcie chwyciła oddech, to nie było charczenie, ale taki odgłos, jakby wymiotowała, ból wyrwał się ze zwierzęcia, wierzgała nóżkami, a pysk, z którego ciekła ślina i w którym stukwały zęby, poruszył się, jakby chciała ugryźć.

Kálmán wyciągnął rękę, z kucek trudno mu było rzucić się do ucieczki, ja też stałem mu na drodze, z lampą w rękę zagrządzając wąskie drzwi do chlewika, ze strachu nie mogąc nawet odskoczyć w tył; klapnął na tyłek, prosto w zabłocone siano.

A świnka odrzuciła w tył łeb, pysk miała ciągle otwarty, szybko, nierówno, chrapliwie chwytala cenne powietrze i zza jasnych rzęs patrzyła na niego jasnobrażowymi oczkami.

Czułem, jak pies równomiernie dyszy przy mojej nodze.

Ślepia wyłaziły jej niemal z orbit, kiedy leżąc, patrzyła na niego, białka miała aż czerwone od krwi.

Wtedy Kálmán już się nie zastanawiał, co ma robić, patrzył na jej ślepia, przykląkł i znów

włożył dłoń w ciało zwierzęcia, powoli cofał się, nie zważając, że tapła się w szczynach i gównie, położył się na niej, przyciskając swoim nagim ciałem wybrzuszony bok, naciskając całym ciężarem, patrzyli na siebie, razem oddychając, kiedy bowiem naciskał swoim ciałem, zwierzę spokojnie wydychało powietrze, kiedy się unosił, nabierało powietrza, rękę zanurzył aż po łokieć i nagle, jak gdyby go poraził prąd, wyszarpnął, i drżąc na całym ciele, zaczął krzyczeć.

Coś wrzeszczał, ale nic nie rozumiałem, jakieś pojedyncze słowa, ale nie mogłem zrozumieć, jakie.

Świnia kwiczała, pociągała zadem, dusiła się, wyciągnęła nóżki i przeciągle, głośno i piskliwie wyła rozdzierającym głosem, podskoczyła w miejscu i znowu znieruchomiła, ale jakoś zapamiętała czy raczej jej ciało złapało rytm, który przed chwilą odnaleźli, nie tylko nie spuszczała oczek z Kálmána, ale oprzytomniała, a on, podnosząc przed sobą niczym obcy przedmiot mokre, błyszczące w świetle lampy ramię, też nie odrywał od niej wzroku, i tak jak nagle zamilkł, tak nagle zaczął wrzeszczeć; gdybym powiedział, że te ślepia prosiły go o pomoc, powiedziałbym, że prosiły o coś i kierowały nim, gdybym powiedział, że były mu wdzięczne, zachęcały do działania i zapewniały, że są na dobrej drodze, tak dalej!, to sentymentalnymi ludzkimi uczuciami zbrukałbym tę surową, ale z pewnością nie brutalną, zmysłową siłę, do wyrażenia której zdolne jest tylko oko zwierzęcia.

Na jego wrzask świnka odpowiedziała piskiem, a na ciszę świnki on odpowiedział milczeniem.

I choć oddalali się od siebie, byli ze sobą.

Otwarte wejście świńskiego sromu, niczym oddech czy bicie serca, kipiało w rytmie skurczów.

Kálmán znów wsunął głęboko dłoń, tam, skąd przed chwilą ją wyszarpnął, niczym niezniechęcony, jak ktoś, kogo potrzeba kieruje w znane na pamięć miejsce.

Odwrócił głowę, jak gdyby chciał na mnie spojrzeć, ale oczy miał zamknięte.

Zwierzę było cicho, jak gdyby posłusznie wstrzymało oddech.

Jak gdyby robił tam w środku coś, na co nie wolno mu było patrzeć, nie wolno mu było nic widzieć, musiał tylko czuć, co robi.

Aż wreszcie powoli, zmęczonym ruchem wyciągnął rękę, ukląkł i spuścił głowę, tak że nie widziałem jego twarzy.

Ciągle jeszcze było cicho, zwierzę leżało nieruchomo, i jak gdyby odpowiadając mu z pewnym opóźnieniem, najpierw zafalował bok świnki, potem od ucisku i ssania falowało już całe jej ciało, a na końcu każdej takiej fali w rozgrzanym smrodzie ciasnego chlewika wyrывał się ze zwierzęcia przeraźliwy, zdławiony pisk.

Zdechnie, nie dam rady, odezwał się cichym głosem, jakby falujące cierpienie zwierzęcia nie wywierało na nim żadnego wrażenia, jak gdyby widział więcej, jak gdyby już spojrział śmierci w oczy, siedział w bezruchu przy śwince i nie mógł nic zaradzić.

Jednak to, co działo się w ciele zwierzęcia, jeszcze nie dobiegło końca.

W kolejnej chwili pomiędzy oddychającymi płaszczami szczeliny pojawiło się coś czerwonego, a ona, znaczy maciora, rzuciła się na nie z płaczliwym wrzaskiem; natychmiast umilkł, bo to coś, jak gdyby kostka w mięsie, wysunęło mu się z palców, znów je chwycił, i znów się wyslizgnęło.

Szmata, wrzasnął, i to było skierowane do mnie, ale czułem, że upłynęło strasznie dużo ważnych chwil, aż wreszcie pojąłem, że gdzieś tu musi leżeć jakaś szmata.

Czułem się winny tego wewnętrznego odrętwienia niepozwalającego mi znaleźć szmaty.

Ale nigdzie jej nie było.

Jak gdybym nagle zapomniał, jak to się nazywa?, zapomniałem własnego języka, że szmata, i do niego, szmata!, i znów wysunęło mu się z ręki.

Wrzeszczał.

Wtedy już omal nie stukłem lampy, chciałem spojrzeć na chlewik i klosz zawadził o wspornik, i tam zobaczyłem szmatę, widziałem ją, pies merdał ogonem, ale musiałem złapać spadający klosz.

Coś niesamowitego, klosz się nie stukł, od tamtej pory nie czułem takiego zwycięstwa, i w dodatku znalazłem szmatę.

Z otworu zwisały dwie małe nóżki z zakrzywionymi raciczkami.

Kálmán owinął je szmatą i gładko wyciągnął, a że kucając, nie mógł zrobić szybkiego kroku w tył, przewrócił się na tyłek, a pomiędzy jego rozłożonymi nogami, w pokrytym mazią czepek, na brudnej ziemi leżało jak nieżywe jaśniutkie, błyszczące ciało nowo narodzonego prosiaczka.

Chyba nam trojgu zatkało dech w piersiach.

Maciora poruszyła się pierwsza, podniosła łeb, jak gdyby chciała zobaczyć, przekonać się, czy już się udało, ale opadła na ziemię ze zmęczenia, jednak kiedy uderzyła w nią głową, w jej ciało wstąpiła nowa, pełna szczęścia siła, siła natury, sprawiająca, że znów stała się zwinna, zręczna, gibka i pomysłowa, czego po takim niezgrabnym i wielkim zwierzęciu w ogóle nie można było się spodziewać, lekko przesunęła zad w bok, tak jak pozwalała długa pępowina, uważnie, żeby nie kopnąć tylnymi nóżkami, prosiaczek leżał nieruchomo pomiędzy nogami Kálmána, z radosnym chrumkaniem odchyliła się w tył, posapując, obwąchała go, a czując zapach, drżąc, radośnie zakwicziała, chrupnęła przegryzana pępowina, i kiedy Kálmán, nieudolnie czołgając się przed świnką, wydostał się z chlewika, wstała, a raczej podskoczyła z ziemi, zaczęła lizać prosiątka, kłusując, tańczyła wokół, chrumkając, niecierpliwie popychała małe ciało, lizała je, poszturchiwała, jak gdyby chciała wziąć je do pyska, aż wreszcie prosiaczek zaczął oddychać.

Kiedy godzinę później zamykaliśmy drzwi do chlewika i z łoskotem zasuwaliliśmy drewniany rygiel, cztery małe prosiątka już ssały pełne mleka, gorące, fioletowoczerwone cycki.

Letnia noc była cicha, ciemna i rozgwieżdżona.

Pies szedł za nami.

Kálmán został w tyle, zsunął gatki i długo oddawał mocz.

Stałem na środku podwórka sam, tylko z psem.

Potem tam, na gnojowej górze, zakopał łożysko.

Nic nie musieliśmy mówić, czułem, że już nigdy nie będziemy musieli nic mówić.

Wystarczyło, że mogę tu stać i słuchać długich, obfitych kaskad oddawanego moczu.

Kiedy pojawił się na świecie pierwszy prosiaczek, Kálmán szybko wyszedł z chlewika, ja odsunąłem się na bok, podnosząc wysoko lampę, i na chwilę nasz wzrok się spotkał, a gesty skrzyżowały, obopólne szczęście wzajemnie przykuwało nasze spojrzenia, zaś sama chwila stała się tak długa i tak intensywna, jak gdyby uciekł z niej prawdziwy czas, a wszystko, czym przepełniła nas stoczona walka, wybuchło we wspólnocie naszego szczęścia, lampa oświetliła szaleństwo uśmiechów, nasze twarze zbliżyły się do siebie, oczy znikły w uśmiechach, zostawiając widoczne jedynie usta, zęby, wydatne szczęki i zmierzwione włosy opadające na czoło; kiedy nagle znalazł się w takiej bliskości, zobaczyłem, że jego twarz jest niemal kopią mojej, bo sam śmieję się takim samym zachłannym i szalonym śmiechem, i jak gdybyśmy tylko rzucając się sobie w objęcia, mogli się wyslizgnąć z zatrzymanego czasu naszych uśmiechów

i znaleźć się we wspólnocie.

Jeśli dla niej pokochamy się nawzajem.

Ale i tak to było mało, zwycięstwo świnki było czymś większym.

Słowa zaczęły wyrywać się z naszych ust.

Śmiech słów.

Niewiele brakowało, żebym stłukł lampę, powiedziałem, nawinęła ci się pod rękę, powiedział, a ja zapytałem, dlaczego tak wrzeszczy, nie rozumiałem jego słów, i że ojciec też nie poradziłby sobie lepiej, powiedział, myślałem, że świnka jest chora, dodałem, tylko ta pępowina, i że nie wiedziałem, gdzie jest szmata, i że jaka mądra jest ta świnka, powiedział.

Pies zdyszany biegał wokół podwórka, zataczał koła, coraz to większe, to była jego mowa.

Lampa zawieszona na belce rzucała jasne, spokojne światło.

Otumanieni zmęczeniem powoli wchodziliśmy na górę.

W garnku ciągle jeszcze wrzała woda; Kálmán czekał, aż maciora urodzi łożysko, ja tymczasem wstawiłem w garnku wodę, żeby miał czym obmyć jej cycki.

Podszedł do stołu, wysunął krzesło i usiadł.

Przyglądałem się przedmiotom znajdującym się w kuchni, białej emaliowanej kuchence, jabłkowitzielonemu kredensowi, różowej kołdrze na szlabanku; postawiłem na stole lampę naftową, drzwi za naszymi plecami były otwarte, w lekkim przeciągu lampa raczej dymiała, niż świeciła, i wreszcie sam usiadłem.

Siedzieliśmy, gapiąc się przed siebie.

Kurwa mać, odezwał się po chwili cichym głosem.

Nie patrzyliśmy na siebie, ale czułem, że chciał, żebym sobie poszedł, ja tymczasem nie miałem jeszcze ochoty iść do domu.

Jego przekleństwo było zaś skierowanym do mnie cichym zadośćuczynieniem.

Rzadko przeklinał, w przeciwieństwie do innych chłopców nie używał ordynarnych słów, przynajmniej nie przypominam sobie więcej niż te trzy razy, kiedyś, gdy mówił o Mai, że co chciałby z nią zrobić, a potem jeszcze raz w ubikacji.

Że dostanę na obiad.

Poczytałem to za ciężką obelgę, wprawdzie już zapomniałem, ale jednak zadra tkwiła głęboko, nie potrafiłem mu wybaczyć.

Nie tylko dlatego, że tymi pozornie nieszkodliwymi, ordynarnymi słowami przyłączył się do Préma i Krystiana, bo co też innego mógł zrobić?, i choć bardzo mnie to zabolalo, nie mogłem przecież mieć do niego pretensji o tę stałą i pod wieloma względami intrygującą niepewność, skoro naturalny porządek świata albo też duch czasu objawiały się tym, że już nie byliśmy w stanie rozstrzygnąć z całą pewnością, kto jest naszym wrogiem, a kto przyjacielem, w końcu każdego można uznać za wroga, i wystarczyło, że pomyślałem o strachu i nienawiści, które ogarniały mnie przed ogrodzeniem, nie wiedziałem, gdzie jest moje miejsce, albo o niemiłym poczuciu, że w związku z pozycją, jaką zajmował mój ojciec, jestem uważany za donosiciela, choć przecież nigdy na nikogo nie doniosłem; on tymczasem, żeby móc się do nich przyłączyć, zdradził najbardziej sekretną tajemnicę naszej przyjaźni, i nawet jeśli pozostali nie wiedzieli, co miało znaczyć, że na obiad dostanę chuja Préma, i nie mogli wiedzieć, co ma na myśli, gdy to mówi!, powiedział to tam, na oczach innych, a to było już czymś więcej niż nikczemną zdradą!, że ja trzymałem jego, jak gdybym nie miał innych pragnień, jak tylko dostać... na obiad!, zatem nie stało się tak, jak się stało, z największą wzajemnością, jak gdyby to nie on to wszystko zaczął.

Wyrzucił spod siebie krzesło i wyjął z kredensu butelkę palinki i dwa kieliszki.

Butnie, bez najmniejszego namysłu zaprzeczył i tak samo odważnie i bez zastanowienia wyciągnął ku mnie rękę.

I żeby nie wstydzić się przed innymi, zaprzeczył swojemu najbardziej intymnemu gestowi, a teraz, jak gdyby chcąc tym przekleństwem zadośćuczynić mi swoją zdradę, podziękował, że mimo to jestem tu z nim.

Wybuch jego emocji miał taką siłę, że wolę tę historię przemilczeć.

Nie umiałem opowiedzieć o tym Mai, tak samo jak matce nie umiałem opowiadać o sprawach z dziewczynami.

W milczeniu upijaliśmy się palinką.

Gdyby wystarczyło nauczyć się najważniejszych w życiu rzeczy, tymczasem należało jeszcze nauczyć się milczeć.

Długo siedzieliśmy, gapiąc się na stół, obydwójce pijani, po tym jak Kálmán przeklął, nie potrafiliśmy spojrzeć sobie w oczy.

A przecież tamto przekleństwo wszystko raz na zawsze wyjaśniło.

Także jego wierność; że nikt nigdy niczego nie zapomina.

Niepewnym ruchem zaczął bawić się lampą, chciał ją zgasić, przykręcał knot, ale ten nie chciał zgasnąć, coraz bardziej dymił, Kálmán zdjął klosz, chciał zdmuchnąć płomień, dmuchał kilka razy, śmiejąc się co chwilę, bo nie udawało mu się trafić, za każdym razem dmuchał trochę obok, rozgrzany klosz pokrył się sadzą i w końcu wypadł mu z ręki, rozbijając się w drobniaki na kuchennej podłodze.

Nawet na niego nie spojrzał.

Dźwięk tłuczonego, rozpryskującego się w drobinki szkła sprawił mi przyjemność.

Później wydawało mi się, jak gdybym w pełni świadomości zasnął, słuchając miłego dla uszu dźwięku, jak gdybym zatonął we własnych myślach, choć nie bardzo potrafiłem powiedzieć, o czym myślę, i czy w ogóle o czymś myślę; stępione przez alkohol emocje stały się pierwszą pozbawioną myślenia myślą, nie zauważyłem nawet, kiedy Kálmán wstał, postawił na podłodze miskę i wlał do niej resztki gorącej wody.

Nagle stał się daleki i obcy.

I ciągle lał wodę.

Chciałem go poprosić, żeby już nie lał, żeby dał sobie spokój.

Nie zauważyłem, że leje do miski jakąś inną wodę.

Z wiadra.

Nie zauważyłem też, że zdjął gacie, rzucił je na podłogę i nagi stanął w misce, mydło wysunęło mu się z dłoni i poleciało po kamiennej posadzce prosto pod kredens.

Poprosił, żebym mu je podał.

Można było poznać po jego głosie, że też jest pijany, a mnie tak to rozśmieszyło, że nie mogłem wstać.

Polewał się w misce, woda chlupała, kiedy wreszcie udało mi się wstać, a on już zdążył się namydlić.

Wcale nie miał takiego dużego jak u konia, raczej małego, grubego i masywnego, zakrzywiony wystawał nad uniesionymi jądrami, wypychając mu spodniki; mydlił go sobie.

Stojąc tam, czułem, że jednak mnie to boli; boli, że nie wiem, czyim jestem przyjacielem.

Nie wiem, jak pokonałem drogę od stołu do miski, podjęta decyzja przeprowadziła mnie przez czas, który musiał upłynąć, stanąłem przed nim i wyciągając rękę, dałem znak, żeby podał



mi mydło.

Ta bliskość była czymś innym niż miłosną namiętnością, do której dążyłem z Krystianem, była niemal neutralnym poczuciem braterstwa, którego z nim nigdy nie poczułem, które jest tak samo naturalne, jak to, że widzimy, czujemy zapachy czy nabieramy powietrza, i które jest łaską miłości bez względu na płeć; może to wcale nie przesada mówić o gorącej wdzięczności, tak, byłem mu wdzięczny i pełen pokory, bo dostałem od niego to, czego daremnie oczekiwałem od tego drugiego, zatem nie była to pokora, to nie jemu powinienem być wdzięczny, choć odczuwałem wdzięczność, tak po prostu, za to, że tu jest, po prostu, i ja też, po prostu, tu jestem.

Spojrzał na mnie niepewnie, zwieszając głowę, chciał zająrzeć mi w oczy, ale nie chwycił mojego wzroku, jednak zrozumiał moją prośbę, wsunął mi mydło w dłoń i ukucnął w misce.

Zmoczyłem go, dokładnie namydliłem plecy, nie chciałem, by miał brudne.

Wiedziałem, że Prém dlatego opowiadał wtedy głupoty, bo sam miał dużego; Krystian czasami prosił go, żeby nam pokazał, a my przyglądaliśmy się w milczeniu i rzeliśmy z radości, że ktoś może mieć takiego wielkiego.

Byłem niewypowiedzianie szczęśliwy, że mimo wszystko Kálmán jest moim przyjacielem.

Nad namydlonymi plecami unosiła się woń chlewika, musiałem porządnie spłukać mydło.

Prém powiedział to tylko po to, żeby Krystian przypadkiem nie zbliżył się do mnie i żeby pozostał ich przyjacielem.

Ale mydło wpadło do miski, prześlizgnęło się pomiędzy jego rozłożonymi udami i znikło pod wodą.

Musiałem wyjść przed dom, tak bardzo nienawidziłem Préma.

Moje nogi ugrzęzły w czymś miękkim.

Tak bardzo go nienawidziłem, że aż robiło mi się słabo.

Pies leżał spokojnie na ganku i spał.

Ręce miałem jeszcze w mydle.

Położyłem się na ziemi, nagle zrobiło się ciemno, ktoś zgasił lampę.

Gwiazdy znikły z nieba, duszna noc pogrążała się w ciszy.

Dłuższą chwilę myślałem tylko o tym, że powinienem pójść do domu, do domu, o niczym innym nie myślałem, tylko o tym, że powinienem pójść do domu.

Ale w oddali błyskało, przez niebo przewalały się pioruny.

Aż wreszcie nogi mnie poniosły, głowa ciągnęła za sobą, stopy czuły drogę, o której nie było wiadomo, dokąd prowadzi.

Pioruny coraz bliżej niosły błyskawice, powietrze wirowało, wiatr wył w koronach drzew.

Dopiero kiedy moje usta poczuły coś twardego i zimnego, poczuły smak rdzy, zrozumiałem, że dotarłem do domu; na dole pomiędzy drzewami znajomo jaśniało okno, i żelazo bramy w moich ustach.

Czułem się jak ktoś, kto pierwszy raz przekracza próg miejsca znanego, jak gdyby już kiedyś tam był, a jednak obcego.

Musiałem zobaczyć, gdzie jestem.

W chłodzie dmącego wiatru wielkimi kroplami zaczął padać ciepły deszcz, co chwilę kropił i co chwilę przestawał.

Jakiś czas leżałem w świetle otwartego okna, nie chciałem, żeby ktokolwiek mnie tam znalazł.

Patrzyłem na błyskawice ślizgające się po ścianach.

Nie chciałem wchodzić do środka, nienawidziłem tego domu, choć było to jedyne moje miejsce na świecie.

I nawet dziś, kiedy staram się sobie to wszystko przypomnieć, szukając możliwie jak najdalszej perspektywy, ciągle jeszcze trudno jest mi obiektywnie mówić o tym domu, w którym osoby żyjące pod jednym dachem tak się od siebie oddaliły, tak bardzo zżerał je proces fizycznego i moralnego upadku, tak bardzo były zdane tylko i wyłącznie na siebie, że nie dostrzegały, iż z tak zwanego rodzinnego stadła znikło ich dziecko.

Dlaczego oni niczego nie zauważyli?

Czy aż tak bardzo mnie im nie brakowało, że nawet sam nie wiedziałem, że żyję w piekle pustki; że piekło pustki postrzegam jako swój świat?

Z domu dochodziły delikatny skrzyp parkietu, trzaski, szmery, odgłosy poruszających się osób.

Leżałem pod otwartym oknem pokoju mojego dziadka.

Jemu dzień mieszał się z nocą, w nocy żył, chodził po domu, w dzień drzemał albo spał na kanapie w zaciemnionym pokoju, i dzięki tej dziwacznej zamianie pór dnia stawał się niedostępny dla otoczenia.

Gdybym mógł wiedzieć, od czego zaczął się ten wszechstronny proces destrukcji, kiedy to się rozpoczęło, co i kiedy spowodowało, że do naszego przestronnego rodzinnego gniazda wdarł się chłód, wówczas z pewnością wiele mógłbym powiedzieć o naturze człowieka i czasach, w których przyszło mi żyć.

Nie mogę oszukiwać samego siebie ani nie dysponuję wiedzą bogów.

Może przyczyną była choroba mojej matki?

Z pewnością stanowiła tu ważny punkt zwrotny, aczkolwiek wydaje mi się, choć może brzmi to dziwnie, że jej zły stan zdrowia był raczej wynikiem trwającej od lat destrukcji, a niej jej przyczyną; w każdym razie jej chorobę tak samo ukrywano wśród okrutnych i podłych rodzinnych kłamstw, jak stan mojej siostry czy napady astmy dziadka, o których babcia w sekrecie mówiła, że nie pomogą mu ani leczenie, ani dieta, ani żadne najlepiej zaordynowane lekarstwa, bo to jest po prostu histeria.

I że przydałoby mu się wiadro zimnej wody.

O tym przybierającym fizyczne formy procesie zniszczenia tak samo nie wolno było mówić, jak o tym, dlaczego babcia nie rozmawia z dziadkiem, który z kolei nie jest skłonny zamienić słowa z moim ojcem, dzień w dzień przechodzili obydwoj obok siebie, nie mówiąc sobie nawet „dzień dobry”, wzajemnie traktowali się niczym powietrze, mimo że przecież ojciec mieszkał w domu mojego dziadka.

Może to szczególnie rodzaj szczęścia, a może właśnie nieszczęścia, ale nawet dziś nie potrafię rozstrzygnąć, co jest lepsze, nieświadomość czy wiedza?, jakkolwiek bowiem próbowałem przystosować się do tych wszystkich łgarstw, wtopić się w system kłamstw i, posiłkując się własnymi skutecznymi kłamstwami, wspomagać działanie subtelnej konstrukcji kłamstw, i nawet jeśli nie byłem w stanie dotrzeć do ich sedna, nie wiedziałem dokładnie, co się za nimi kryje, to i tak dostrzegałem, co tam się święci, wiedziałem na przykład, że dziadek jest naprawdę chory, że to poważna choroba, a każdy kolejny atak może go zabić, więc kiedy babcia beczynnie i cynicznie przyglądała się atakom, wydawało mi się, że po prostu czeka na jego śmierć; wiedziałem też doskonale, że przypadłość mojej siostry jest nieuleczalna, że urodziła się głupkowata i taka już zostanie, jedynie okoliczności jej narodzin czy może poczęcia, przyczynę choroby, o ile taka istniała, otaczała wspólnota wyrzutów sumienia, jakie dręczyło moich

rodziców, dlatego bezustannie wspominali o nadziei na wyleczenie, jak gdyby własnymi nadziejami próbowali ukryć straszliwą tajemnicę, coś, o czym nikomu nie wolno było się dowiedzieć; jak gdyby w naszej rodzinie wszyscy kłamstwami trzymali w rękach życie pozostałych; i tylko pewien całkowicie przypadkowy gest sprawił, że się dowiedziałem, że moja matka nie leży w łóżku po udanej operacji woreczka żółciowego.

Oparty o jej ramię obserwowałem, jak oddycha, i nie chciałem niczego więcej, tylko dotknąć jej szyi, pogłaskać dłonią po policzku; i dlatego właśnie wspominał o tamtym przypadkowym geście; nie spała, leżała z przymkniętymi oczyma, a kiedy niefortunnie wyciągnąłem rękę ku jej szyi, palec uwiązał mi w troczku służącym do ściągnięcia dekoltu, troczek nie był zasznurowany i nagle się rozplątał, lekki biały jedwab zsunął się z jej piersi czy, wyrażając się ściślej, w ułamku sekundy wydawało mi się, że zsuwa się z jej piersi, że widzę jej pierś, że widzę to, co powinienem zobaczyć, tymczasem w miejscu piersi dostrzegłem rozchodzące się promienie zabliznionej rany i czerwone blizny w miejscu szwów.

Usłyszałem skrzyp framug, nad moją głową ktoś zamknął okno.

Wichura nie mogła nadejść w lepszym momencie, leżałem pod oknem, jak gdybym czekał, żeby lejący deszcz wbił mnie w ziemię, żebym rozplątał się w nim, ale chłodna woda nagle mnie otrzeźwiła.

Podniosłem się z ziemi i zapukałem w okno, żeby mnie wpuścili.

Ku memu wielkiemu zaskoczeniu stojąca w pokoju babcia spojrzała na mnie przerażonym wzrokiem, dziadek z zamkniętymi oczyma leżał na plecach na kanapie.

Stałem w drzwiach, w mokrej koszuli i w mokrych spodniach, lał deszcz, grzmiało i błyskało, kiedy wreszcie babcia mnie wpuściła, z włosów spływały mi strugi wody.

Ale babcia nawet nie zapaliła światła i, nic nie powiedziawszy, nie zwracając na mnie uwagi, wyszła do pokoju dziadka.

Udałem się za nią.

Nie po to tam poszła, żeby coś zrobić, natychmiast usiadła na krześle, z którego wstała zaskoczona, wróciła, żeby tam być, żeby być, kiedy to już nastąpi.

Lejący deszcz zakrywał firankami wody wielkie szyby okien, niebieskie światło błyskawic magicznie rozświetlało mokre drzewa, drżące w bijących z bliska piorunach, wydawało mi się, że ktoś zamknął w pokoju żar poprzedzający burzę.

Klatka piersiowa dziadka szybko unosiła się i opadała, otwarta książka w jego dłoni zwiisała z kanapy, jak gdyby za chwilę miała upaść na ziemię, a on jednocześnie trzymał się jej niczym ostatniego przedmiotu, który trzyma go na tej ziemi; był blady, na twarzy błyszczały krople potu, małe perelki połyskiwały na zaroście nad otwartymi ustami, oddychał szybko, z trudem i świstem nabierając powietrze.

Nad głową dziadka paliła się lampa z papierowym kloszem, świeciła mu w oczy, żeby jego walka nie pozostała dla nikogo tajemnicą, babcia siedziała w cieniu, spoglądała zza przyjaznego, ciepłego półmroku, spięta i zastygła w oczekiwaniu.

Sztywna jak oparcie krzesła.

Babcia był wysoka, zawsze wyprostowaną, pełną dostojeństwa starszą kobietą, aczkolwiek dziś, z perspektywy czasu, muszę stwierdzić, że wydawała mi się starsza, niż była naprawdę, wtedy miała może trochę więcej niż sześćdziesiąt lat i był prawie dwadzieścia lat młodsza od dziadka, co dla mnie, w charakterystyczny dla dziecka sposób, nie stanowiło istotnej różnicy, obydwójce wydawali mi się jednakowo starzy, bardzo starzy, a przez tę starość do siebie podobni.

Obydwójce byli szczupli i kościści, obydwójce milczący, wydawało mi się, że to wszystko

cechy starości, choć każde z nich z zupełnie innych powodów pogrzyżyło się w milczeniu i każde milczało inaczej; w milczeniu babci pobrzmiewała uraza, w ten sposób bezustannie dawała nam odczuć, że nie dlatego milczy, iż nie ma nic do powiedzenia, ale że świadomie odmówiła i nadal odmawia dialogu ze światem, a w ten sposób chce nas ukarać, ja zaś bałem się właśnie jej kary; nie wiem, jaka mogła być w młodości, ale szukając powodów, dla których obraziła się na cały świat, dochodzę do wniosku, że nie mogła pogodzić się ze zmianami, jakie kilka lat wcześniej nastąpiły w ich życiu, były zbyt wielkie, a ona była wtedy młodą dziewczyną, zbyt ładną, by nie pozostać do końca życia rozpieszczonym dzieckiem; po wojnie jeszcze przez kilka lat woził ich do miasta przypominający karete, wielki, czarny, błyszczący jak lustro mercedes, prowadzony, jak przystało, przez posępnego szofera w hamburce, samochód jednak musieli sprzedać, a ja przez całe lata obkładałem moje książki i zeszyty w pozbawione wartości akcje, po drugiej stronie nienagannie śnieżnobiałe, po zerwaniu perforowanych odcinków doskonale nadające się do tego celu, potem dziadek niespodziewanie zamknął swoją kancelarię adwokacką przy bulwarze Teresy, więc musieli zwolnić z domu służbę, na pewien czas, aż do swego zniknięcia, do służbówki wprowadziła się Maria Stein, w końcu zaś, by dopełnić katastrofy, dziadek, bez uzgodnienia z babcią, w tym samym roku, kiedy wszystko upaństwowiano, dobrowolnie zrzekł się prawa własności naszego domu, co tak zszokowało babcię, opowiadała ze śmiechem mama, że kiedy już się o wszystkim dowiedziała, wiele tygodni później i przez całkowity przypadek, aż zemdląca, w końcu dom kupili za jej spadek, i kiedy wreszcie z niemałym trudem ją docucili, siostra mamy, ciocia Klara, oprzytomniła babcię, klepiąc ją po twarzy, babcia ukarała siebie i całą rodzinę najcięższą z możliwych karą, nie odezwała się nigdy więcej do dziadka, w czym najzabawniejsze było to, że dziadek mówił do niej, jak gdyby wcale nie zauważał jej milczenia; ona po prostu nie po to przyszła na ten świat, żeby być służącą, pielęgniarką i siostrą miłosierdzia dla trzech chorych i dwóch szaleńców, obraziła się nie bez powodu, co do mnie i mojego ojca była przekonana, że nie jesteśmy całkiem normalni, w czym tkwiła zresztą odrobina prawdy, nie po to przyszła na ten świat, nie ma do tego wszystkiego ani wyczucia, ani serca, nawet jeśli dumna w swojej urazie wszystko robiła tak, jak należy, dokładnie i porządnie; dziadek zaś wręcz przeciwnie, on z powodu swojej bezkresnej cierpliwości i głębokiego poczucia humoru trwał w milczeniu, nie czuł się urażony, ściślej się wyraziwszy, to nie on był urażony, jedynie postrzegał świat jako humorystyczny, dziwaczny, małostkowy, nudny, nieprzenikniony i śmieszny, a ponieważ był też zbyt łagodny, by kogokolwiek urazić swoimi opiniami, toteż tak dalece nie traktował poważnie tego, co dla innych było śmiertelnie poważne, że aby uniknąć konfliktów, dusił w sobie wszystkie emocje, wskutek czego, sędzę, cierpiał nie mniej niż urażona w swoich uczuciach babcia.

Gorzki nawias ironicznego uśmiechu drżał na jego ustach nawet podczas ataków, jak gdyby schroniony za przymkniętymi rzęsami bawił się tym, że się dusi, a walkę, którą prowadził z własnym ciałem, uważał za żalospną, ale nieuniknioną pomyłkę, że ciągle jeszcze nie pozwala, by nastąpiło to, co i tak kiedyś musi nastąpić.

Babcia zaś przyglądała się temu z wściekłością; już choćby dlatego z wściekłością, że dziadek przez swoje uszczypliwe poczucie humoru nie potrafił być tak zwanym wdzięcznym chorym, chciał umrzeć, ale nie potrafił, nie umiał powierzyć swojego losu w ręce pielęgnującej go osoby, lecz z niesłychaną mądrością oddawał swoje ciało i duszę we władanie siły, która w jego pojęciu miała nad nim władzę, i w ten sposób odsuwał się od dobroci i codziennej, łaskawej opieki, czyniąc ją zgoła humorystyczną.

Co z perspektywy obrażonej babci wyglądało tak, jak gdyby tylko dlatego przedłużał swoje

umieranie i robił ten cały cyrk, żeby na sam koniec jeszcze ją złościć i dręczyć.

Aczkolwiek w tej walce ich dwojga, w tym, jak się ona uzewnętrzniała, nie było nic wstydliwego, nieudolnego czy biednego; obydwójce zachowywali się z klasą.

Ubierali się starannie, elegancko i z finezją, nigdy nie widziałem ich niekompletnie ubranych, niechlujnych czy zaniedbanych, dziadek, choć nigdy nigdzie nie wychodził, każdego dnia w południe porządnie się golił i zakładał białą koszulę z wykrochmalonym kołnierzykiem, nosił tylko i wyłącznie białe koszule, do nich trochę nierówno zawiązane jedwabne krawaty, szerokie, zaprasowane w kant szare spodnie i krótkie kawowobrazowe bonżurki ze sztruksu, babcia zmywała, gotowała i sprzątała w pantofelkach na małym obcasiku oraz dopasowanych w talii, opadających na nogi niczym dzwon długich podomkach, w zależności od pory roku uszytych z rozmaitych materiałów, kretonu, jedwabiu, miękkiej wełny czy ciemnego aksamitu, z gracją podkreślających jej figurę, jak gdyby były to stroje na wieczór, a nie do domu, nie tyle było to śmieszne, ile świadczyło o jej niezłomnym uporze, ostrożnie, aby niczego przez przypadek nie dotknąć, poruszała się w tych swoich długich szlafrokach, paliła dużo papierosów, a pomoc wołała tylko do największych prac, mycia okien, pastowania podłogi czy dużych porządków, mawiała wtedy: „wezmę kobietę”, podobnie jak nie wsiadała do taksówki, tylko brała taksówkę; duże pranie zawsze robiła dla nas mama Kálmána, przychodziła raz w tygodniu po brudne rzeczy i odnosiła uprane.

Dziadek pomiędzy dwoma świszczącymi oddechami powtarzał: „Powietrza! Okno!”, nie można go było dobrze zrozumieć, brak powietrza nie pozwalał mu wyraźnie wypowiedzieć słów, babcia wstawiała, ale nie otwierała okna, tylko gasiła światło nad głową dziadka, i wracała na swoje miejsce.

Nadchodziła północ.

Nie otwierajmy okna, mówiła w ciemnościach, nie chcę po nocy myć podłogi, a powietrza jest tu wystarczająco.

Kiedy byłem w domu, mówiła do niego tak, jak gdyby mówiła do mnie.

Potem czekaliśmy w ciemnościach, aż atak minie albo coś się stanie.

Na drugi dzień obudziłem się wcześniej rano.

Był wyjątkowy, doprawdy wyjątkowy letni poranek, i choć błękit czystego bezchmurnego nieba wydawał się lekko zmechacony od pary unoszącej się po nocnej ulewie, ciągle jeszcze wiał burzowy wiatr.

Na górze wiało, nie było dokładnie słyhać gdzie, wichura przewalała się potężnymi, opadającymi falami, wciągała konary drzew, uderzała w krzewy, przetaczała się przez lśniącą trawę, szarpała nią, trzęsła, wprawiała w drzenie wirujące grzebień liści, szeleszczące i dotykające się nawzajem, pnie pękały z trzaskiem, niosły się odgłosy gałęzi pędzących z jękiem i stukotem, na czas szturmu grające razem ze świstem tam w górze, od którego na dole wszystko wydawało się ślizganiem i błyskiem, bo płatało ze sobą naturalne miejsca cieni i światła, odpychało, popychało, prześwietlało i przemieszczało, choć wcale nie wyznaczało nowych ostatecznych miejsc, i wtedy sztorm dobiegał końca, tylko na górze wśród błękitu rozchodził się szum, niczego ze sobą nieniosący, niczego niedokonujący, jak grzmot po błyskawicy, z każdą kolejną nawałnicą wszystko zaczynało się od nowa, nieobliczalnie, nie nadchodziły chmury ani deszcz, nic nie burzyło spokoju lata, nic nie przynosiło z powrotem burzy, nie było zimno ani ciepło, powietrze pozostało czyste, a nawet czystsze i bardziej klarowne, nie było lejów, w których wirowałby kurz, skądś dobiegało stukanie dziecięcia, a jednak to była wichura, a może tylko sama sucha, pusta siła.

Szaleństwo, któremu ulegamy, nerwowo drząc i trochę strosząc piórka, jak te ptaki z radością wzlatujące w niegroźnym wicherku.

Dobrze, że wieje wiatr, i dobrze, że świeci słońce.

Siostra już była w ogrodzie, stała na schodkach przy bramie, opierając się jedną ręką o zardzewiałe żelastwo, z głową ciężko i bezradnie opuszczoną na piersi, a wiatr nadymał niczym balon jej długą koszulę nocną.

Wyszedłem na wiatr z kubkiem ciepłego mleka w dłoni, trochę mi przeszkadzało, że już tu jest, wiedziałem, że jeśli mnie zauważy, trudno mi będzie się od niej uwolnić, nigdy nie było to łatwe, niezależnie bowiem jak bardzo poświęcałem się zabawie z nią, zabawy te zawsze były po to, żebym w końcu mógł się jej pozbyć.

Wtedy sprawa nie wydawała się jeszcze zbyt niebezpieczna, rano, kiedy siostra wychodziła z ojcem z domu, nawet godzinę stała przy bramie, smutna i zastygła w bezruchu.

Czasami tak się zapamiętywała w swoim smutku, że nawet babcia nie potrafiła jej stamtąd odciągnąć, a babci nawet ona bardzo się bała.

Moja mała siostra była jak najdokładniejszy rozkład jazdy ludzkich uczuć; polegając na swoich sekretnych zmysłach, z dokładnością co do sekundy potrafiła wyczuć, kiedy obudzi się nasz ojciec, i z radosnym śmiechem wyłaziła z łóżka, odprowadzała go do łazienki, stojąc przy umywalce, obserwowała, jak się goli, golenie było najważniejszym momentem ich relacji, spełnieniem miłości, jaką go darzyła, radością powtarzającą się każdego poranka, ojciec stał przed lustrem, kiedy zaczynał pędzlem nakładać krem do golenia, wydawał gardłowe pomruki, a gdy pod pędzlem krem zaczynał się pienić, pomruki stawały się coraz głośniejsze, jak gdyby cieszył się, że z niczego potrafi ubić na twarzy taką ładną, sztywną, białą, smakowicie wnoszącą się w górę pianę, kiedy zaś ta była gotowa, a pomruk zamieniał się w donośny śpiewny głos, ojciec nagle milkł, milkła też moja siostra, następowała dobrotliwa w swej ciszy przerwa, ojciec płucał pędzel, odkładał na półkę, pełnym namaszczenia ruchem biorąc z niej brzytwę, siostra z zapartym tchem obserwowała jego rękę, a odbite w lustrze spojrzenie ojca patrzyło jej w oczy, i kiedy wydawał z siebie dochodzący z piersi okrzyk rozkoszy, powtarzany przy każdym ruchu brzytwy, palcami napinał skórę, pociągał ostrzem i zbierał zarost widoczny pod pianą, bawili się, że to pianę bardzo boli, ale też jest jej przyjemnie, siostra przy każdym ruchu brzytwy piszczała wraz z ojcem, radośnie i boleśnie, i pełna podniecenia patrzyła, jak się ubiera; gdy jadł śniadanie, siedziała obok niego, mrużąc coś pod nosem, a kiedy wstawał od stołu i, wycierając usta serwetką, zbierał się do wyjścia, czyli nie była to akurat niedziela, bo wówczas mógł jeszcze przy stole w spokoju wypalić papierosa, głęboka rozpacz zmywała radość z twarzy mojej siostry, chwyciła ojca za rękę, za ramię, a on, jeśli zdarzyło mu się zapomnieć o dokumentach, które miał ze sobą zabrać, musiał ją ciągnąć ze sobą przez cały przedpokój, czasami aż do swojego gabinetu i potem z powrotem; zabawa przy goleniu bawiła ojca, ale tego już było za wiele, często tracił cierpliwość, wokół ust zastygłych w pełnym dyscypliny uśmiešku drżały policzki, kłął po cichutku, że każdego rana musi odprawiać taki cyrk, jeszcze trochę, a wreszcie ją uderzy, ale tego właśnie się bał, więc stawał się jeszcze bardziej łagodny, kiedy zaś byli już w tych strasznych drzwiach, w których ich rozstanie w sposób oczywisty stawało się nieuniknione, rozpaczliwy ryk mojej siostry zamieniał się nagle w obojętność pełnego rezygnacji smutku, pozwalała, by ojciec mocno chwycił ją za rękę i tak, dłoń w dłoń, szli do bramy, gdzie czekał na niego samochód z uruchomionym już silnikiem.

Kto potrafiłby wyjaśnić, dlaczego szedłem wtedy do niej, skoro moim celem było unikanie jej i nieprzeszkadzanie w tym sprzyjającym mi smutku; w każdym razie nie wiedziałem, jak

bardzo jest w tym swoim bezwarunkowym przywiązaniu do ojca zazdrosna, a ja zgodnie z naturą zazdrości ciągle szukałem jej towarzystwa, by z konieczności dzielić z nią wspólny podmiot naszych uczuć.

Podobnie jak w przypadku uczuć, którymi razem z Kálmánem darzyliśmy Maję i dzięki którym tak się do siebie zbliżyliśmy.

Siostra trzymała się żelaznej bramy, ja usiadłem na schodkach i popijałem mleko, uważając, by nie połknąć kożucha, i z perwersyjną radością obserwowałem smutek bijący z jej ciała.

Ciało siostry naprawdę emanowało jej uczuciami, trzeba było tylko znaleźć się blisko niej, by je poczuć.

Odczuwalna była w nich jakaś wynaturzona forma smutku, taka sama, jaką wywoływał we mnie brak nagiego ciała ojca, brak, który pozostał we mnie na zawsze.

Po chwili odwracała się w moją stronę, śledziła moje ruchy, co powodowało, że jeszcze wolniej piłem mleko, by nie skończyło się za szybko; udawałem, że o niczym nie wiem, niczego nie widzę ani nie czuję, nie interesuje mnie, że tutaj jest, i w ten sposób podświadomie raniłem ją w najbardziej czułym punkcie, gdyż podkreślałem jej poczucie osamotnienia.

Trwało to tak długo, aż w swoim osamotnieniu zwracała się ku mnie, szukając ulgi w moim kubku z mlekiem.

Nie musiałem długo czekać, sięgnęła po kubek, a ja podniosłem go do ust i upiłem łyk.

Puściła żelazną bramę, zrobiła krok w moją stronę czy, mówiąc ściślej, w stronę kubka, w stronę łyka mleka, w stronę chęci napicia się.

Stała nade mną i to była nasza rozmowa.

Ja bowiem zawsze tak się zachowywałem, jak gdybym się nie domyślał, że chce się napić mojego mleka; niby odruchowo wciskałem kubek pomiędzy podciągnięte kolana, chroniłem go przed nią.

Sięgała po kubek, a ja, wyciągając go spomiędzy kolan, odsuwałem, żeby nie mogła dosięgnąć.

Wtedy wydawała z siebie płaczliwy dźwięk, ten sam znienawidzony głos, którym po południu witała ojca.

Nie tylko bowiem przeczuwała, kiedy ojciec się budzi, ale umiała też w jakiś tajemny sposób wyczuć, kiedy wraca do domu.

Popołudniami, gdy czekałem na Liwię, między czwartą a piątą, niezależnie od tego, co akurat robiła, nagle stawała się rozkapryszona, podniecona i zdenerwowana, i wydawała z siebie ten dziwny, przeciągły, płaczliwy głos, jak gdyby radość dawała o sobie znać bólem, i tak długo go powtarzała, aż wreszcie zaczynała naprawdę szlochać i pogrążyć się w płaczu; właściwie nie był to prawdziwy płacz, nie roniła łez, a raczej coś przypominające popiskiwanie zwierzątka, powtarzane gdy krążyła po mieszkaniu czy po ogrodzie albo gdy stała, trzymając się bramy, i czekała na powrót ojca.

Właściwie moja mała siostrzyczka tylko wtedy nie okazywała nadmiernych oznak radości, uwielbienia, smutku czy bólu, gdy rodzina była w komplecie, gdy wszyscy byliśmy w domu, na przykład po niedzielnym obiedzie.

Ponieważ jednak nie miałem ochoty słuchać jej płaczu, wsadziłem do kubka palec wskazujący i wyciągnąłem kożuch.

Takie głupstwo ją rozśmieszyło, usiadła przy mnie na schodkach i otwierając usta, dała mi do zrozumienia, że ma na ten kożuch ochotę.

A ja wsunąłem jej kożuch w usta, niby przynętę dla ryby, ale kiedy chciała go chwycić wargami i wysuniętym językiem, zabrałem go z powrotem, zabawę tę powtarzaliśmy tak długo, aż jej usta wykrzywiła podkówka płaczu, wtedy dopiero pozwalałem, żeby chwyciła kożuch wraz z moim palcem.

Ssała, a ja, żeby dać jej jeszcze więcej radości, wsuwałem w jej dłoń prawie pusty kubek i za jej plecami umykałem przez bramę, biegłem, aby kiedy się ocknie, zobaczyła już tylko pustą ulicę.

Kálmán stał na dróżce.

Na dróżce prowadzącej nad polem kukurydzianym z ich osady do lasu, w rękę trzymał kij, opierając go o ziemię, ale nic z nim nie robił.

Na soczyscie zielonych, błyszczących liściach kukurydzy szalał wiatr, szum lasu przeszywał uszy.

Co tu robi, zapytałem, kiedy dobiegłem do niego zdyszany, musiałem niemal wołać, by przekrzyczeć nawałnicę, on jednak nic nie odpowiedział, powoli obrócił ku mnie głowę i zaczął mi się przyglądać, jak ktoś, kto nie wie dokładnie, kim jestem.

Pod jego nogami, na samym środku ścieżki, leżała na boku zdechła mysz, ale nie dotykał jej swoim kijem.

Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, kiedy bowiem kręcąc się po podwórkach, szukałem go w milczeniu, nie wolno było krzyczeć, bo jego rodzice i rodzeństwo jeszcze spali, wszystko wydawało się być w jak największym porządku, już wypuścił kury i gęsi, stajnia była pusta, a prosiaczki smakowicie ssały spokojnie leżącą maciorę.

Kiedy się zatrzymałem, żeby zobaczyć, co się z nią dzieje, maciora podniosła głowę, chrumknęła przeciągle, poznała mnie i się ucieszyła, chciałem natychmiast podzielić się z nim tym dziwnym uczuciem radości, że ich maciora mnie kocha.

Pies Kálmána biegał w krzakach, wsuwając szybko nos w leżące na ziemi liście, kopał, a potem znów wsuwał nos, biegał raz po raz wokół krzaka, żeby wrócić w to samo miejsce, w którym znalazł coś nadzwyczaj ważnego i intrygującego, ale nie potrafił się do tego dostać, więc znów drapał i kopał.

Wtedy, mając nadzieję, że w ten sposób skłonię go, by się odezwał, szybko usiadłem na dróżce, bo nagle zauważyłem, że obserwuje robactwo zbierające się wokół padłej myszy; przeszkadzało mi jego milczenie, może z powodu wiatru, albo nie wiem dlaczego, ale byłem zbyt pełen energii i za bardzo podniecony, żeby zrozumieć, o co mu chodzi, a zapytać, co się stało, przecież nie mogłem, bo o takie rzeczy się nie pyta.

Już choćby z tego powodu, że problem mógł być tak poważny, że nie odwzajemnił mojego pełnego gotowości gestu, co więcej, zachowywał się tak, jak gdyby znalazł się na dróżce przez zupełny przypadek, i nawet trochę się wstydził, że ogląda te głupie robaki, nieruchomą pozą dawał mi do zrozumienia, że jestem w błędzie, jeśli sądzę, że coś tu robi, nie przyglądał się żadnym robakom, i nic nie chce robić, po prostu stoi tu, i chce tu stać sam, i nic go nie obchodzi, i całkiem niepotrzebnie tak się wysilam, nie jestem mu potrzebny, i mogę sobie pójść w cholere, i niepotrzebnie się tu kryguję, jak gdyby mnie też interesowało to robactwo, przejrzał mnie na wylot, i całkiem mu wystarczy, że jest ten przeklęty wiatr i że tak paskudnie świeci słońce, pies też całkiem stracił rozum, i żebym już sobie poszedł, do cholery.

A ja tkwiłem w miejscu, trochę upokorzony, jego obojętność i fakt, że odrzucił moją pomoc, czyniły zupełnie irracjonalnym to, żebym tam był, a jednak byłem.

Po co jeszcze tu jestem, w ogóle po co tu przyszedłem?, ale dokąd miałem pójść?, jeśli nie



przyszedłbym do niego, to czy on przyszedłby do mnie?, bo skoro się uparłem, moja uraza czy upokorzenie były zbyt wielkie, by nagle zrezygnować, on był u nas, uśmiechnięty, jak gdyby nic się nie wydarzyło, i dobrze wiedziałem, że nie przyszedł tylko z mojego powodu, lecz dlatego, że chciał mnie uprzedzić, bym nie mógł pójść do Mai, i tak samo, choć może nie w tak wyraźny sposób, działo się na odwrót, ja także po to ciągle do nich chodziłem, by sprawdzić, czy przypadkiem nie poszedł do Mai.

Różnica była taka, że on mi przeszkadzał, kontrolował mnie, odsuwał, tworzył przeszkody, ja zaś kontrolowałem, bo chciałem wiedzieć, i kiedy nie zastałem go w domu, i nawet jego matka nie potrafiła powiedzieć, dokąd poszedł, a ja daremnie błąkałem się po lesie, mając nadzieję, że to wszystko pomyłka, że zaraz gdzieś go znajdę!, ciemniało mi z zazdrości w oczach, i to nie z powodu Mai, ale z powodu Krystiana.

I teraz, kiedy stoję tu sam, upokorzony i bezsilny, oni bawią się razem i nawet o mnie nie myślą, nie liczą się dla nich.

Ale on nie wiedział o tym.

Nie mógł też wiedzieć, i nawet jeśli udało mu się mnie przechytrzyć i uciec do Mai, to moja zazdrość nie była tak wielka, jak jego w podobnych okolicznościach, mnie bowiem nie interesowało, tak jak jego, co robi z Mają, czy wyrażając się ściślej, chciałem tylko wiedzieć, i sprawiało mi rozkosz, fakt, bolesną rozkosz, że zastępuje mnie w czymś, co, wydawało mi się, wcale mnie tak bardzo nie interesuje, a kiedy ja tam jestem, zastępuję jego, i to wzajemne zastępowanie było bardzo podniecające.

Jak gdyby Maja nie kochała w nas dwóch zupełnie różnych osób, ale tylko jedną, która wprawdzie nie ucieleśniała się w żadnym z nas, dlatego kiedy mówiła do mnie, zawsze mówiła trochę do niego, kiedy była z nim, jak gdyby chciała trochę być ze mną, w ten sposób, chcąc nie chcąc, musieliśmy tolerować tego drugiego, zastępować obcego, który poprzez tę zabawę stawał się znajomym, ale poczucie obcości przeszkadzało w osiągnięciu upragnionego spełnienia, bo w ten sposób Maja, jakkolwiek wyraźnie okazywała nam swoje dziwkarские skłonności, pozostawała dla nas obojgu niedoścignionym obiektem pragnień, nie potrafiła stać się ani dla niego, ani dla mnie prawdziwą Mają, ani nawet dla samej siebie, bo to, czego szukała we mnie czy w nim, znajdowała tylko w nas, choć przecież ona też poszukiwała tej jednej jedynej drogi i przez to cierpiała, a swoim kurewskim zachowaniem dlatego naśladowała rozwiązłe życie Sidonii, że nie umiała tej drogi znaleźć, i w ten sposób stawała się symbolem kobiecości, do której musiała dosięgnąć nasza męskość, a przecież nie wiedzieliśmy, że tą zabawą w zastępowanie siebie, ucząc się od siebie nawzajem, wreszcie jej dosięgniemy, że trzeba tylko cierpliwości, że natura nas ostrzeża, że wszystko w swoim czasie, nawet jeśli tę cierpliwość trzeba będzie wymusić na niecierpliwej naturze miłości.

Mnie też się wydawało, że w tej zawilej zabawie tylko ja mogę odnieść zwycięstwo, bo nawet jeśli pomiędzy nimi do czegoś by doszło, do czegoś więcej niż, powiedzmy, pocałunek, czego oczywiście ja też pragnąłem, to i tak mielibyśmy z Mają o wiele większą i o wiele bardziej wyłącznie naszą tajemnicę, nasze poszukiwania, by Kálmán mógł nas rozdzielić swoją miłością czy czymkolwiek innym, nawet tym; Kálmán nie mógł nam przeszkodzić, po prostu nie mógł.

Nawet gdyby coś się pomiędzy nimi wydarzyło, wtedy też dostałbym od Mai choć drobną część, Maja oddałaby mi coś z tego, do czego pomiędzy nimi doszło.

Trzymaliśmy się z Kálmánem w mocnym potrzasku, nie puszczając się nawzajem, ale wobec tego wiecznie obecnego w naszym życiu śmiertelnego uścisku zazdrości w gruncie rzeczy niczym było, że nie chcieliśmy się puścić, a jeśli nawet nie było niczym, to i tak wynikało ze

współzawodnictwa, jakie prowadziliśmy ze sobą.

Po tym, co razem przeżyliśmy minionej nocy, po prostu wydawało mi się, że cokolwiek by zrobił, i tak nie potrafię się na niego obrazić, albo nie umiem mu powiedzieć tego, co kiedyś, w podobnych okolicznościach, bym powiedział, na przykład: „Idź, durniu, w pizdu!”, i szukając schronienia w biegu, zakończył tę niemiłą scenę; biegałem szybciej niż on, musiałem tylko uważać, żeby przekleństwa nie wytrąciły mnie z tempa biegu, on bowiem był ode mnie zwinniejszy i mógł mi szybko umknąć.

Czułem, że jego zły humor i wściekłość nie są adresowane do mnie, nie są skierowane przeciw mnie, problem leży w nim samym, aczkolwiek nawet jeśli nie wiedziałem, co się stało, chciałem jakoś mu pomóc, przeszło mi nawet przez myśl, że może chodzi o Maję, chciałem więc, żebyśmy zaczęli coś robić, co pozwoli mu o niej zapomnieć.

Szturchnąłem mysz palcem, robaki natychmiast zatrzymały się w miejscu, czekały, co się stanie, ale nie uciekły, pilnowały swojego łupu.

To robactwo też było jedną z naszych starych zabaw.

Z powodu Liwii, choć nic się nadzwyczajnego nie wydarzyło, często ogarniało mnie podobne uczucie; czułem się rozbity, obojętny, wszystkiego nienawidziłem, jak gdybym siedział na dnie ciemnego, śliskiego dołu, i gdyby tylko ktoś do niego zajrzał, wywołałby we mnie nienawiść i żądzę mordu, pragnienie, żeby natychmiast znikł, zdechł, żeby go tam nie było, żeby nie musiał tam być.

Poczułem pod palcami coś miękkiego, zwłoki bezwładnie zachlupotały, zdechła myszka miała otwarte oczy, z lekko otwartego pyszczka z jednej strony wyzierał siekacz, pod którym perliła się malutka kropka zastygłej krwi.

Myślałem, że coś warknie, że na mnie krzyknie, że bym dał spokój, nie lubił, jak ktoś się wtrąca w jego sprawy.

Préma też kiedyś nalał z powodu jaszczurki.

To była ładna zielona jaszczurka, z turkusowoniebieskim łebkiem, niezbyt wielka, żałośnie wychudzona po zimowym śnie, po łuskach można było poznać, że jest młodziutka, i wiosną, kiedy jaszczurki jeszcze nie są zbyt szybkie, wygrzewała się na powalonym konarze; wyczuwszy naszą obecność, poruszyła się z miejsca, ale nie umiała jeszcze zwinnie chodzić, zresztą nie miała ochoty przechodzić w cień z nasłonecznionego miejsca, sytuacja była całkowicie jednoznaczna, przez jakiś czas obserwowała nas mądrymi oczkami, w końcu przymuszona sytuacją zdecydowała, że jednak nie mamy złych zamiarów, i przymknęła ślipia, zdając się na naszą łaskę, wtedy Prém nie wytrzymał, rzucił się ku niej, i choć jaszczurka miała tyle instynktu życia, żeby wymknąć mu się z dłoni, zostawiła w niej swój ogon i czerwoną plamkę krwi w miejscu, gdzie się złamał, rzucała się i wiła na konarze, a wtedy on z wrzaskiem podskoczył do Préma.

Teraz jednak nie potrafiłem żadnym gestem tak go poruszyć, żeby się do mnie odezwał, żeby cokolwiek powiedział, a robaki, kiedy tylko odsunął się od nich cień mojej ręki, natychmiast ponownie zabrały się do dzieła.

Wiedzę o robactwie, podobnie jak o roślinach i innych zwierzętach, miałem właśnie od niego, i choć nie byłem całkiem obojętny wobec zjawisk przyrody, to chyba na tym polegała różnica między nami, że ja pozostałem obserwatorem, a on przeżywał je jako wydarzenia dotyczące jego samego, ja obserwując, czułem podniecenie, wzruszenie, obrzydzenie, strach albo zachwyt, z czego w prosty sposób wynikała chęć ingerencji w naturę, on zawsze był spokojny, w najgłębszym i najszerszym tego słowa znaczeniu spokojny, jak ktoś, kto odczuwa

największe cierpienie albo najjaśniejszą radość, lecz nie sprzeciwia się im, tylko się poddaje, nie próbuje nie dawać wyrazu swoim uprzedzeniom i obawom, jest spokojny jak sama natura, co nie oznacza ani współczucia, ani obojętności, jest czymś zupełnie innym; wydaje mi się, że takie właśnie są emocjonalnie odważne osoby!, może właśnie dlatego nic nie budziło w nim odrazy, nie chciał dotykać niczego, co nie dotknęło jego, dlatego wiedział wszystko o lesie, miejscu swoich przygód; był cichy, powolny, wszystko widział i wszystko wiedział, na swoim terenie nie znosił sprzeciwu, tu on był władcą, choć nie zamierzał rządzić; po prostu nie można było się przeciwstawić wyczuciu jego zmysłów, tak jak wtedy, w niedzielę, kiedy przyszedł do nas po południu, niespodziewanie stanął w otwartych drzwiach jadalni, zabawnie wiódł po nas obcym wzrokiem dorosłego człowieka, my siedzieliśmy przy stole po miło spożytym obiedzie, syn cioci Klary, mój cioteczny brat Albert, lekko otyły, łysiejący młody mężczyzna, którego z jednej strony podziwiałem za pewność siebie i emanujące na wszystkich poczucie wyższości, a z drugiej gardziłem za obłudę i ograniczenie, opowiadał właśnie historyjkę, jaka przydarzyła mu się z włoskim pisarzem Carlem Emiliem Gaddą, Albert był jedynym w rodzinie tak zwanym artystą, śpiewakiem, co w tamtych czasach wydawało się rzeczą niezwykle rzadką i uważaną za wielkie szczęście, sporo podróżował po świecie i miał do opowiedzenia wiele takich dziwnych historyjek, które z fałszywą skromnością chętnie wygłaszał basowym, wróżącym wielką karierę głosem; najrozmaitsze anegdoty, obleśne żarciki opowiadał melodyjnym, śpiewnym tonem, śpiewał, mówiąc, czy mówiąc, śpiewał, jego opowieści były muzycznymi cytatami, jak gdyby przez tę swoją specyficzną manierę chciał powiedzieć, że przecież jest artystą, i nawet w chwilach odpoczynku nie może sobie pozwolić na to, by nie ćwiczyć cennego głosu, kiedy zaś Kálmán stanął we drzwiach, bosy i w gaciach, nagle przestał mówić i wybuchnął niemiłym, głośnym śmiechem: „Jak uroczo niewychowany niechluj!”, pozostali też się roześmiali, ja trochę się wstydziłem z powodu mojego przyjaciela, który nie odezwał się ani słowem, nawet nie powiedział „dzień dobry”, tylko poprosił, bym natychmiast z nim wyszedł, powiedział to z tak głębokim przekonaniem, że nawet nie spojrzął na siedzących przy stole, jak gdyby nikogo po za mną nie widział, co, muszę przyznać, wydało mi się nieco humorystyczne.

Robaki utknęły na grudce ziemi czy na większym kamyku, szybko jednak dostały się pod martwą mysz, za łopaty służyły im szpiczaste głowy ukryte pod czarnymi jak noc pancerzami, wykopaną ziemię wyrzucały za siebie zwinnymi odnóżami; najpierw wykopały wokół myszy mały rów, potem, kiedy już był gotowy, tak wyrzuciły zeń ziemię, żeby martwa mysz znalazła się w środku, później dokładnie przerzuciły ziemię, by zakryła martwą mysz, wtedy właśnie Kálmán mi powiedział, że te robaki nazywają grabarzami; ciężko pracują, muszą podnosić olbrzymie wobec rozmiarów ich własnych ciał zwłoki, pracują tak wiele godzin, acz nie bez rezultatu, bo przecież nim przystąpiły do pracy, złożyły w martwej myszy swoje jaja, z których wylęgną się larwy, a z nich narodzą się młode, te zaś, nim dorosną, zjadając rozkładające się zwłoki, będą musiały wydostać się stamtąd, ze środka, na zewnątrz, takie właśnie jest ich życie.

Tamtej niedzieli grzebały nornicę, co było pracą nieporównywalnie łatwiejszą, choć nornica jest większa, jednak wokół myszy ziemia na wydeptanej dróżce była nie tylko twarda, ale też kamienista.

Pracowało tu dziewięć robaków.

Czarne pancerze na ich grzbietach dzielił na pół czerwony paseczek, na szyi i na odwłoku żółty puszek chronił delikatne, umięśnione ciało.

Każdy z robaków pracował na własnym, dokładnie wyznaczonym terenie, mimo to praca ich wszystkich była skoordynowana, kiedy jeden utknął na grudce ziemi albo na kamieniu,

wołał pozostałe, te zatrzymywały się, nerwowo biegly wokół sprawiającej trudności przeszkody, długimi, przypominającymi rogi czułkami obmacywały ją, oceniały sytuację, potem jak gdyby się zastanawiały, dotykały się nawzajem czułkami, podejmowały decyzję i razem zabierały się do roboty, ogryzały przeszkodę, okopywały się i starały się razem przenieść kamień.

Kiedy się im przyglądałem, w gruncie rzeczy zastanawiałem się, co się z nim stało, i wtedy nieoczekiwanie powiedział, że Krystian specjalnie wytrącił mu z dłoni mleko.

Nie wiedziałem, jakie mleko ma na myśli.

Ale przyczepił się do tego, że Krystian zrobił to specjalnie, że to nie było przez przypadek, ale że specjalnie.

Tylko że ja nie rozumiałem, co takiego było specjalnie.

Wczoraj wieczorem, zapomniał mi o tym powiedzieć, wyrzucił z siebie na jednym oddechu, kiedy po moim kolejnym pytaniu wreszcie odczepił się od tego, że specjalnie, że wczoraj wieczorem poszli rozbić namiot, wiem, Prém ma duży wojskowy namiot, on właśnie przyniósł im świeże mleko, a wtedy Krystian zrobił mu taki głupi kawał, patrz, mucha pływa po mleku!, a kiedy spojrział w dół, on uderzył go z góry, dzbanek się stłukł, i nie zamierza mu tego wybaczyć.

Mówił poważnym głosem, przez szum wiatru można było tylko odczytać słowa z jego ust, nie patrzył nawet na mnie, rozglądał się wokół, jak gdyby krępował się powiedzieć albo wstydził się, że nie potrafi milczeć, a więc skarżył mi się, a ja, wyobraziwszy sobie tę scenę i tamten głupawy żart, jak mleko chlupie mu w twarz, roześmiałem się.

Jak gdyby Krystian mi tym coś zadośćuczynił, choć przecież nigdy nie miałem zamiaru mścić się na Kálmánie.

A tym śmiechem, wydawało mi się, jednak się zemściłem, była to miła zemsta, upokorzyłem go za to, że mi ufał, a jednak musiałem się roześmiać, siedziałem w kucki nad pracowicie uwijającymi się robakami, spojrziałem na niego, na ślad, jaki Krystian zostawił na jego niewinnie silnej twarzy i w jego urażonym, ale ciągle jeszcze szczerym spojrzeniu, zdradziłem się, że umiem zobaczyć na jego twarzy ślad tego, co wyrządził mu Krystian, i sprawiało mi radość, że nie umiałem i nie chciałem powstrzymać śmiechu, co to za szczęście, że człowiek nie wie, co robi!, objąwszy się oburącz za kolana, poturlałem się na dróżkę, trząsałem się ze śmiechu, że Krystian chlusnął mu mlekiem w twarz i że dzbanek się stłukł, bach, uderzył o ziemię pod ich stopami, mleko się rozbryznęło, widziałem wprawdzie, że zaskoczony i zbulwersowany przygląda się, jak zwijam się ze śmiechu, tego już za nic nie potrafił zrozumieć!, bo i jak miałby zrozumieć, skoro Krystian dlatego zachował się wobec niego tak okrutnie i dlatego z takim sukcesem wyzywał się na nim, że on nie zna tego języka, ja zaś nie tylko rozumiałem i umiałem mówić w języku okrucieństwa i przemocy, ale też to był nasz jedyny wspólny z Krystianem język, język władzy i możliwej do osiągnięcia wyższości, to był nasz wspólny język, nawet jeśli z dystansu obserwowaliśmy, jak różnymi posługujemy się narzędziami i jak różnych używamy języków, i teraz sprawiło mi przyjemność, by na niekorzyść Krystiana mówić z nim w tym naszym tajemnym narzeczu.

I z czego się śmieję, zapytał, patrząc na mnie przeźroczyście niebieskimi oczyma, co jest w tym śmiesznego, że matka teraz na niego nawrzeszczy, mówił trochę głośniej, przecież to był glazurowany dzbanek.

W dodatku glazurowany dzbanek!, z tego jeszcze bardziej chciało mi się śmiać, śmiechem rozkoszy, jaką dają rozbój i zniszczenie, ponieważ człowiek nie wie, co robi, ale w tym akurat jest wolny, by nieświadomie bądź podświadomie coś zrobić, bo coś musi zrobić, moja radość była

tak wielka, że nie wystarczał mi mój własny śmiech, że jego obecność, złocisty blask gęstych rzęs nie były mi do niczego więcej potrzebne, jak do tego, żeby wzmacniać dławiącą rozkosz śmiechu, żeby zatriumfowała niegodziwość, chciałem, aby przyłączył się do tej rozkoszy, nie mówiąc o tym, że mój śmiech nie był niczym innym jak pocałunkiem złożonym na ustach Krystiana, i kiedy tam na ziemi zwiјаłem się ze śmiechu obok martwej myszy, nagle złapałem go za dwie nogi, tak niespodziewanie, że natychmiast się przewrócił.

Kiedy padając, obydwoma rękoma złapał mnie za szyję, a z jego twarzy znikł ślad twarzy Krystiana, skończyły się śmiechy, żarty, pocałunki i rozkosz nieoczekiwanej zemsty, i choć natychmiast objąłem jego plecy, by unosząc się niczym most, zepchnąć go z siebie, swoim śmiechem wyzwoliłem w nim wielką, upartą i nieposkromioną nienawiść, której nie umiałem ani nie miałem siły zwalczyć czy przezwyciężyć, od razu wiedziałem, i to była moja ostatnia myśl, że powinienem sięgnąć po bardziej perfidne i nieprzyzwoite metody, ale uciec się do nich bez zwłoki byłoby czynem niegodziwym, jeszcze musiałem walczyć, wykazując się odwagą, pomysłowością i męskością, przystać na uczciwe zasady wypowiedzianej wojny, ale nie umiałem go z siebie zrzucić, bo z taką siłą trzymał się mojej szyi, że zaczynałem coraz ciszej słyszeć szum wiatru, mrok spłynął na mnie niczym czerwony deszcz, ciało zaczęło mi ciążyć, a ja się dusić, wtedy poczułem złość, ale była ona niczym wobec jego nieznającej granic nienawiści, o której już w chwili, kiedy padał na ziemię, wiadomo było, że nie jest adresowana do mojego śmiechu ani do mnie samego, ale poza tym, co musiał czuć z powodu urazy doznanej od Krystiana, udusić chciały mnie jego niewinność, dobroć, cierpliwość i uważność!, oddał mnie to wszystko, co dostał od Krystiana, i zemścił się za Maję, i nie było w tym nic zabawnego, raz na zawsze chciał uciszyć mój śmiech, udusić mnie razem z Mają i Krystianem, naciskał na mnie ciężarem swojego ciała, co z jednej strony zapewniało mi przewagę, ale z drugiej utrudniało sytuację, bo nie mogłem kopnąć go w jaja, nie pozwalał mi na to jego ciężar, nie mogłem poruszyć ani biodrami, ani nogami, jednak na chwilę udało mi się zaczerpnąć oddechu, jego ręka zwolniła ucisk na mojej szyi, chciałem się wyrwać przez tę szczelinę przewagi, wyszarpując głowę z jego dłoni, czołem uderzyłem go w głowę, aż głośno stuknęły obydwie czaszki, a ja zobaczyłem w oczach takie gwiazdy, że nie byłem w stanie wykorzystać przewagi, jaką dawała mi możliwość ataku, bolało mnie to, odurzało, pogorszyło moją sytuację, bo w chwili, kiedy chcąc unieszkodliwić moją głowę, ręką zagiętą w łokciu uderzył mnie w twarz, nie mogłem w obronie zrobić nic więcej, tylko szarpnąć głowę i odwrócić ją w bok, ramieniem ściągnął mnie ku ziemi, czułem, jak z nosa bucha mi krew, a moje otwarte usta dotykają martwej myszy.

Nie wiem, jakie miejsce w statystykach kryminalnych zajmują przestępstwa popełniane przez dzieci, ale jestem przekonany, że chciał mnie zabić, czy mówiąc ściślej, nie chciał, nie sądzę, by cokolwiek wtedy chciał, po prostu nad jego wolą zapanował prymitywny instynkt walki, zamiar w miejsce namysłu, i gdybym nie poczuł na ustach martwej myszy, jej miękkie zwłoki wpadały mi do ust, i gdyby to poníženie, które naznaczyło naszą bójkę spośród innych codziennych bójek, nie poruszyło najgłębszych pokładów mojej duszy, która w chwili oczywistej fizycznej porażki, gotowa na każdy obrót spraw, ciągle jeszcze szukała jakiegoś rozwiązania, na pewno by mnie zabił, nie wiem jak, udusił albo walnął w głowę kamieniem, który trafił mu w rękę, choć wtedy w ogóle nie o to chodziło, nie to było najważniejszym pytaniem, we mgle walki rozplýwało się i ginęło wszystko, co możemy nazwać podlegającą kontroli funkcją świadomości, żart, dziecinne przechwałki, zabawa w konkurowanie ze sobą i zaczepianie się, w ciągu sekundy przemieniły się w walkę na śmierć i życie, graniczną sytuację, w której świadomość dlatego właśnie jest zdolna poruszyć niepoznane siły ciała, że odrzuca jako

niepotrzebne wszelkie narzędzia kontroli moralnej, wszelkie hamulce, nie rozważa, czy to, co byłoby możliwe, jest również akceptowalne, nie analizuje możliwości ciała z perspektywy zwyczajowego porządku moralnego, nie jest obserwatorem, który chciałby coś kontrolować, ale działa powodowana jedynie instynktem zachowawczym, i w takim rozumieniu jest wybranym punktem, a wtedy Bóg odwraca wzrok, to świetny punkt obserwacyjny dla naszej pamięci, jeśli z powodu immanentnego braku świadomego działania pamięć nie potrafi przywołać podjętych decyzji, zadanych pytań i udzielonych odpowiedzi, czyli tak zwanych myśli, przypomina sobie tylko obrazy chaotycznie błakające się w duszy, chaotyczne uczucia, świadomość poza ciałem pozbawiona jest celu, wola także nie istnieje, pozostaje pusta forma, która bez wiedzy o samej sobie nie może być nasza, mówiąc ściślej, to nie my panujemy nad wszystkim, lecz to świadomość panuje nad nami i nami rządzi, i z całą pewnością to nie przypadek, że poeci z taką lubością opiewają związek, jaki łączy miłość ze śmiercią, bo przecież nigdzie więcej ani nigdy więcej nie czujemy tak wyraźnie prawa naszego ciała do samostanowienia, jak w walce, w której stawką jest życie, albo w chwili miłosnego spełnienia, to najbardziej elementarne formy odczuwania ludzkiego ciała, ciało nie ma już historii ani Boga, traci swój ciężar, swoje kontury, nie widzi się w żadnym lustrze, i nie odczuwa takiej potrzeby, staje się jedynym strzelistym punktem światła w bezkresie wewnętrznego mroku; tak więc nie chciałbym sprawiać wrażenia, że wówczas miałem na ten temat jakiegokolwiek przemyślenia, nie, ten ciąg pięknych wydarzeń, zdradzający ciemne strony mojej osobowości, dopiero teraz układam w całość z okrucichów czystego uczucia, które przechowały się w mojej pamięci, mówiąc jednak o ciemnych stronach, bezwiednie odwołuję się do moich obecnych ocen moralnych, co zaś nie jest niczym innym jak obrazem minionych wydarzeń widocznym w ustawionym *post factum* krzywym lustrze, podobnie jak po wielkich wojnach myślimy o wojnie jako takiej, kiedy mówiąc o odwadze i tchórzostwie, przyzwoitości i jej braku, w moralnych kategoriach stania na wysokości zadania albo ucieczki, uznajemy za szlachetny czyn pozbawiony wszelkich cech szlachetności, ale i tak to jedyna możliwość, by wznieść, obłaskawić i wkomponować w moralną nudę naszej spokojnej codzienności niemoralne czasy stanu wojny; gdybym udręczony zamknął usta, połknąłbym mysz, na którą popłynęłaby krew z mojego nosa, widok był nadzwyczajny, przerażający, może nawet trochę go otrzeźwił, na krótki moment wyzwolił mnie z uścisku, jego siła straciła pewność, co jednak nie oznaczało dla mnie rzeczywistej szansy na wyrwanie się mu, raczej otwierało dla duszy tyle przestrzeni, by mogła rozpoznać całkowitą porażkę ciała, nie, w tamtym ułamku sekundy nie myślałem o Mai, ale porażka oznaczała, że znalazłem się na straconej pozycji, a kiedy dusza ucieka, czego może się uchwycić, jak nie tego, co za sobą pozostawiła, śmiechu, znów musiałem się śmiać, jeszcze swobodniej i jeszcze bardziej, choć bezgłośnie, i ten tryskający, szaleńczy śmiech, drwiący z jego morderczego gniewu, zwycięstwa i siły, który pozwalał mi poczuć jego skórę i ciepło nagiego ciała, ten pod wieloma względami wstrętny, podstępny śmiech poprzedził mój ruch, połaskotałem go, ale z tej radości bezwiednie przygryzłem ustami martwą mysz, on w tym samym momencie obydwoma rękoma chwycił mnie za głowę i zaczął uderzać o ziemię, lecz jakoś się tym nie przejąłem, bo moja sprytna dusza wcisnęła mi w dłoń klucz do rozwiązania problemu, łaskotałem go i się śmiałem, czkałem i plułem, tylko tak mógłby mnie chwycić za rękę, gdyby się przeze mnie przeturłał, jednak wtedy musiałby zrezygnować ze swojego zwycięstwa, tylko że nie mógł znieść łaskotek, szybko uderzał moją głową o ziemię, uderzył może cztery razy, poczułem, jak gdyby ostry kamień rozłupał mi kość za uchem, wtedy zaczął wrzeszczeć, a ja go łaskotałem, a on znowu wrzeszczał!, jego mordercza siła, napędzająca samą siebie, przeszła w okrzyk zwycięstwa, a na samym jego

szczytce przeistoczyła się w piskliwy śmiech, nie tylko jego skóra, wygięte w łuk ciało i szarpane skurczami mięśnie broniły się przed tym śmiechem, jego krzyk także służył obronie, z jednej strony chciał mnie wystraszyć, z drugiej pragnął jakoś poradzić sobie ze śmiechem, ale kiedy jego ciało, uciekające przed moimi łaskotkami, wygięło się nade mną w łuk, mogłem wreszcie dokończyć rozpoczęty, choć dotąd skazany na niepowodzenie manewr, pchnąłem go biodrem i wykopałem nogami w górę, on zaś, pozbawiony łaskotaniem sił, wyjął i śmiejąc się, dał się wywrócić, turlaliśmy się nawzajem, z wrzaskiem i śmiechem, trzymając się we wzajemnym uchwycie, odpychając się od siebie i przyciągając, turlaliśmy się po dróźce, aż po same krzaki, a nad nami czekał, ujadł jego pies, chwycił nas zębami i łapami, i tak rozstrzygnęła się nasza walka.

Odbiegłem, rozkoszując się biegiem i wiatrem smagającym ciało, pędziłem pomiędzy krzakami, a on za mną, i nie wolno mu było mnie złapać, bo choć mój bieg był potwierdzeniem jego zwycięstwa, ucieczką, był też swego rodzaju rewanżem, wyrównaniem rachunków, i biegł z nami pies, ale to już była zabawa, zgoda, akceptacja remisu, i wtedy, gdy jak młode zwierzę walczące o samicę, z radości, że zwyciężyła ucieczka, rozkoszowałem się szybkością mojego ciała, zręcznymi skrętami pod uderzającymi gałęziami, sprężystością, która nadaje biegowi zapal wolności, nagłymi zmianami kierunków, przypomniła mi się Maja, jak biegnie, ucieka po stromym zboczku ogrodu przed Sidonią, pewnie tak się stało z powodu tego śmiechu i jakiegoś podobieństwa sytuacji, jak gdybym to ja był Mają, bo sposób, w jaki walczyłem, wcale nie był męski, i to ona tutaj dyszała, dreptała, hałasowała za moimi plecami, suche gałęzie łamały się z trzaskiem pod naszymi stopami, po naszych ciałach z szelestem przesuwwały się liście, nie dawałem się złapać, przyspieszyłem kroku, chciałem, by rosnąca odległość dała mi przewagę, tak dobiegliśmy do polany, na której końcu stał pod drzewami namiot.

Już się nie śmiał, był roztrzęsiony i blady, przez co jego opalona skóra wyglądała jak pokryta plamami, drżał na całym ciele, wtedy nagle się zatrzymałem, poczekałem, aż dojdzie do siebie, i szybko zawróciłem w jego stronę.

Dyszeliśmy sobie w twarz z zapartym oddechem, ja wycierałem pięścią nos, zdziwiony, że krwawi, sięgnąłem ręką za ucho, gdzie krew spływała mi na plecy, ale byłem tak wściekły, że specjalnie się tym zainteresowałem, i choć pozornie obserwowaliśmy się obojętnym wzrokiem, złość znów dała mi nad nim władzę.

Wiedziałem, że wie, już biegnąc, to widziałem, a on tak samo mnie rozumiał, jak ja rozumiałem jego.

Widok krwi trochę go zakłopotał i wystraszył, ale wycierając dłoń w spodnie, dałem mu do zrozumienia, że to nieważne i że nie ma czym się przejmować.

Dobrze, że wiatr zagłuszał nasze szybkie kroki, skinąłem na niego, żebyśmy weszli dalej, szybko za krzaki, i koniecznie coś zrobili z psem.

W milczeniu przyglądaliśmy się im z gęstwiny.

Pies nas obserwował, nie rozumiał, dlaczego nagle przestaliśmy biec, obawialiśmy się, że zdradzi nas jakimś ruchem albo pełnym wyrzutem szczekaniem.

A udać mogło się nam tylko wtedy, jeśli niczego się nie domyślą.

Wysoka trawa falowała na polanie w smugach światła.

Jeśli wszystko zostanie tak, jak jest.

Krystian stał na dole, na samym końcu polany, w dłoni dzierzył gałąź pełną liści, zamyślony, eleganckimi jak zawsze ruchami obrabiał gałąź nożem o kościanej rękojeści, to była wyjątkowo porządna finka, był z niej bardzo dumny, podobno należała do jego ojca, oczyszczał

gałąź z liści, pewnie chciał zrobić kijek do kielbasek, Prém siedział nieopodal na drzewie i coś do niego mówił, ale wiatr zagłuszał jego słowa.

Że chyba powinni przynieść jakieś deski.

Krystian nic nie odpowiedział, tylko od czasu do czasu spoglądał na niego roztargnionym wzrokiem i słuchał, odsunął od siebie gałąź, w miejscu małych węzłków, gdzie liście trzymały się gałęzi, śmigał finką, i liście odpadały na ziemię.

Jak gdybym dopiero teraz sobie zmysłowił, że nigdy wcześniej nie widziałem ich razem, choć przecież z dosłyszanych słów, delikatnych aluzji, rzucanych komentarzy można było się domyśleć, że są nierozłączni, obserwowałem ich i kombinowałem, ale wszystko pozostawało tajemnicze, a wszystkie ich sekretne słowa mówiły, że porozumieli się w sprawie swojego sekretu; jak gdyby istnieli oni i istniał niezależny od nich, zupełnie nieciekawym świat, pełen gorszych, głupich obcych, i kiedy tylko ktoś zechciał wtargnąć do ich świata, wpuszczali go niczym dobrze zgrani ze sobą zawodnicy, dokładnie wyczuwając jego zamiary, miło i z gotowością się z nimi bawili, chociażby po to, żeby się nie nudzić; ale ich wspólne życie i tak pozostawało tajemnicą, to dawało im przewagę i poczucie pewności, właściwie można było pomyśleć, że to właśnie ich życie jest prawdziwym życiem, takim, o jakim wszyscy marzymy, które jednak pozostawało ukryte przed wszystkimi, i musiało pozostać ukryte, bo to oni byli strażnikami tego wspólnego życia.

Pragnąłem tego ich życia, sprawiało mi to ból, chciałem, by należało do mnie czy przynajmniej mogło do mnie należeć, snułem fantazje, jak mógłbym stać się jego częścią.

Ich namiot stał na górze pod drzewami, obok leżało przewrócone na bok niebieskie wiadro i stała wbita w ziemię łopata, gotowe było już przyszykowane na wieczór ognisko, na polanie lekko falowała trawa, trochę dalej czerwienił się wełniany koc, stojący na dole Krystian co chwilę chwycił się za plecy, pewnie przyczepiła się do niego jakaś mucha, Prém siedział na drzewie, był w tym wszystkim jakiś eteryczny, pełen równowagi spokój, który można było nawet odczytać jako tajemny znak, choć sam spodziewałem się odkryć w ich życiu jakąś bardziej ekscytującą tajemnicę.

Kálmán ostrożnie się pochylił, podniósł leżący pod nogami kamień i szybko nim rzucił, celując precyzyjnie, by przypadkiem nie ugodził psa.

Kamień uderzył w pień drzewa, pies nawet nie drgnął i obserwował Kálmána, jak gdyby coś rozumiał, ale to coś to było coś innego, i leniwie, jakby z dezaprobatą, machał ogonem.

Kálmán syknął ze złością, pokazał psu, żeby sobie poszedł do domu, żeby stąd zniknął, groźnie podniósł z ziemi kamień, ale nadal drżał i ciągle jeszcze był blady.

Wtedy dopiero pies ruszył, powolnym, niepewnym krokiem, wcale jednak nie w tym kierunku, który wskazał mu Kálmán, lecz w naszą stronę, i ciekawe dlaczego, ale z jego oczu znikło skupienie i zainteresowanie nami, nagle zmienił kierunek, Kálmán gwizdał na niego, złościł się, wymachiwał dłonią, ściskając kamień, pies wybiegł spod drzew na polanę, patrzyliśmy oniemiałi, jak na chwilę zniknął, widać było tylko, jak łamie swoim cielskiem łagodne fale trawy, wreszcie tam na dole jego czarny kark błysnął u stóp Krystiana, ten spojrział w górę, coś do niego powiedział, pies przystanął, pozwolił, by Krystian podrapał go po łbie czubkiem finki, i pobiegł pomiędzy drzewami.

Fakt, że Krystian tak dalece niczego nie podejrzewał, że nawet nie zerknął w naszą stronę, nie spojrział, skąd przybiegł pies, myślał, że tak po prostu sobie łązi, napełnił nas taką euforią zwycięstwa, że Kálmán wyrzucał w górę pięści, kiedy w milczeniu uśmiechaliśmy się do siebie, ten uśmiech na jego bladej twarzy był taki dziwny, cały czas drżał, jak gdyby walcząc



z niemogącą znaleźć ujścia, wzmaganą jeszcze bardziej wymachiwaniem pięściami siłą albo jakąś nieznaną chorobą wywołującą gorączkę, nawet szyję miał bladą, choć całe ciało już nie, tylko skórę jakoś pomarszczoną, przemarzną i matową, jak gdyby miał gęsią skórę, zmiany w jego ciele sprawiły, że wydawało mi się, iż obok stoi inny chłopak, obcy, którego w całym tym podnieceniu nie uważałem za godnego uwagi, ale w końcu czy jest coś, co dla dziecka nie byłoby naturalne?, coś, czego nie rozumiem!, bladość, drżenie i pozbawiona blasku skóra odebrały mu znane mi cechy, spokój i dobroć, wydał mi się silniejszy i lepiej zbudowany, może nawet ładniejszy, ale jak gdyby karykaturalny, sinobrazowe brodawki wstrząsanych gorączką piersi wydawały się większe, usta małe, oczy pozbawione wyrazu, a miejsce niewinnego wyglądu zajęło drętwe okrucieństwo, to zaś jeszcze mocniej uwidocznilo i wyakcentowało wszystkie anatomiczne formy, no i pomyślmy teraz o zasadach rządzących pięknem; gdyby dziś żył, zapytałbym go o te zasady i o przyczyny tamtej wewnętrznej przemiany, ale zmarł na moich oczach, niemal na moich rękach, w pięćdziesiąty szóstym, to był wtorek, a teraz nie mam innego wyboru, jak przypuszczać, że wściekłość, którą wyzwoliła w nim nasza bójka, porażka i zwycięstwo były dla niego nieznanymi uczuciami, przeciw którym, właśnie dlatego, że ich nie znał, bezskutecznie buntowało się jego ciało; zaczął biec, ja za nim, i jeśli mówię, że pomysł zrodził się w mojej głowie, to muszę dodać, że jego mięśnie domagały się czynu; bieглиśmy, zważając na każdy krok, skoncentrowani w swoich emocjach na odnalezieniu bezpiecznego miejsca dla naszych stóp, żeby nie narobić hałasu i raczej nadłożyć drogi, aby tylko Prém nie zauważył nas z drzewa.

I tak, okrążając polanę, dotarliśmy na miejsce, na tamto słynne miejsce, pod skalne urwisko, gdzie ukryta pod ogromnym głogiem Sidonia, obserwując, jak Pisti bije się z konduktorem, z emocji zaczęła krwawić.

Jeśli spojrzeć dzisiejszym wzrokiem, nie była to oczywiście żadna skała, ale kamień, nawet nie ogromny, rozpadający się od wody, zimna i rozsadzających go korzeni, gdy kiedyś przez przypadek znów się tam znalazłem, byłem zaskoczony jak dziecko, które, niczego nie podejrzewając, uznaje łatwo widoczne kryjówki i rzadkie zarośla za najbezpieczniejsze w świecie schronienie.

Krystian tymczasem wyszykował swój kij, coś powiedział, ale na wietrze nie dosłyszeliśmy co, a zwisający z drzewa Prém, przebijając nogami w poszukiwaniu gałęzi, zaczął schodzić na ziemię.

Nadeszła najbardziej odpowiednia chwila, nie mogliśmy dłużej zwlekać.

Wyskoczyłem pierwszy, żeby mógł biec za mną, już nie można było powstrzymać rozszalałych emocji, gdybym mu pozwolił, zaczęłyby zbyt brutalnie, a ja chciałem ich cichutko zaskoczyć.

Długimi susami przybliżyliśmy się do namiotu, nie zauważyli nas, jeden przy drugim wślizgnęliśmy się do mrocznego środka, namiot był zaskakująco przestronny, grube płótno nie przepuszczało światła, było ciepło, mogliśmy wstać, ale pełziliśmy na czworakach, w zaduchu ciemności poczułem wyrafinowany zapach Krystiana, z góry, przez rozchylony do połowy otwór wpadała wąska smuga światła, przez co mrok wydawał się jeszcze większy, bez przerwy potykaliśmy się o swoje ręce i nogi, naraz oślepiły nas światło i mrok, gorączkowo chwytałyśmy się znajdujących się w namiocie przedmiotów, przedzieraliśmy się przez nie, do dziś słyszę zwierzęce sapanie Kálmána, ale mimo wszelkich wysiłków nie mogę, nie mogę sobie przypomnieć żadnych szczegółów, tylko że łazimy i wymacujemy drogę w dusznych emocjach mrocznego ciepła, może tylko jego kark lśniący pod skośnie wpadającym snopem światła, i to sapanie, nie pamiętam na przykład, ile czasu tam spędziliśmy, czy rozmawialiśmy, przypuszczam, że nie było takiej potrzeby, wiedziałem, czego oczekuje, wiedziałem, co robi, a on wiedział, czego ja chcę i co zrobię, wiedzieliśmy, dlaczego musimy dotknąć tych wprawiających w zachwyt drogich przedmiotów, które w chwilę później pofruną w powietrze, na dwór!, a jednak byliśmy osamotnieni, obydwaj zamknięci we własnej wściekłości, na środku tego tajemniczego, prawdziwego, naznaczonego wspólną winą życia; zaczął chyba on, najpierw przerzucił na górę płótno zasłaniające wejście do namiotu, w każdym razie w namiocie zrobiło się widniej, to dokładnie pamiętam, potem usłyszałem brzęk i uderzenie wylatującego w powietrze kociołka, miałem przy sobie tylko latarkę, na początku wyrzucaliśmy wszystko, sztuka po sztuce, co trafiło nam w ręce, najchętniej twarde i tłukące!, przedmioty stukały, uderzały, brzęczały, rozpadały się na kawałki, potem już nie mieliśmy czasu wybierać tych najfajniejszych, w szaleńczym pośpiechu rozgrzebywaliśmy i rozrzucaliśmy miękkie ubrania, prześcieradła, worki, koce, czasami w wielkim zapale plątały się nam ręce, bo oni już biegli do nas przez polanę, Krystian ze swoim kijem i finką, zostało jeszcze mnóstwo rzeczy, nawet jednak w gorączce szaleństwa pilnowałem, żeby te najbardziej cenne, na przykład lornetka czy kuchenny budzik, czy zardzewiała sztormówka, widelec, zapalniczka albo barometr poleciały jak najdalej i w możliwie najróżniejsze miejsca.

Musiałem krzyczeć, darłem się na całe gardło, szarpałem nim, chodź już!, kamienie uderzały o napięte płótno, Prém biegł, schylił się, rzucał i znów biegł, z diabelską zwinnością, jak gdyby schylając się i rzucając, nie tracił tempa, jakby oślepiła go radość niszczenia, zapadł się w otchłań, jak gdyby nic nie widział i nic nie słyszał, i powinienem go tam zostawić, ale nie mogłem, szturchałem go i popychałem, a on wcale nie zauważał, że już tutaj są, Prém wyprzedził biegnącego Krystiana, nie starczy nam czasu, musimy podjąć decyzję, wyczołgałem

się za namiot, chwytając się korzeni i gałęzi, co chwilę oglądając się za siebie, gdzie jest, zacząłem wdrapywać się na górę, żeby jakoś dostać się do skały i wreszcie skryć się w krzakach, on zatrzymał się przed namiotem, wyprostował się i spojrzął im w oczy, stali w odległości zaledwie kilku kroków od siebie, nachylił się i spacerowym krokiem obchodząc namiot, wyciągnął z ziemi wszystkie ślady, te, które nie były mocno wbite, wyrzucił kopniakiem, i dopiero wtedy pobiegł za mną.

Namiot złożył się w mgnieniu oka, kiedy dotarli na miejsce, widok był przerażający, i nawet jeśli dotychczas nie wiedzieli, co mają robić, teraz zastygli nad nim w bezruchu, zadyszani i bezsilni.

Kiedy wstał, w donośnym huku wiatru słychać było szum spadających, staczających się spod jego stóp kamieni.

Ich porażka była wspaniała, ostateczna, a poniesione straty tak znaczne, że nie tylko dlatego nie mogli ruszyć się z miejsca ani krzyżeć czy przeklinać nas i gonić, że jednym spojrzeniem nie byli w stanie objąć rozmiaru zniszczeń, każdy ruch, każde słowo byłoby przyznaniem się do tej absolutnej porażki, nie znajdowali na nią słów ani właściwych gestów, co dla nas było dodatkową nagrodą; mimo że musieliśmy się wycofać, nadal nasza przewaga była oczywista, ukryliśmy się na górze, w łoży widokowej, a oni tkwili tam na dole, zdani na łaskę otwartej przestrzeni; Kálmán położył się obok mnie na brzuchu, żeby nie stać się ich celem, nie poruszaliśmy się z miejsca, czekaliśmy, odnieśliśmy wprawdzie zwycięstwo, ale rozwój kolejnych wypadków był nie do przewidzenia, i nie dlatego to mówię, że sprawiało to nam szczególną przyjemność, co więcej, podobnie do nich, my też dopiero teraz oceniliśmy rozmiary naszego czynu, widok był przerażający, czułem, że to nie tym, iż podstępnie ich napadliśmy czy nieoczekiwanie zdradziliśmy łączącą nas przyjaźń, to dałoby się wytłumaczyć, ale rzeczywistym zniszczeniem rzeczywistych przedmiotów przekroczyliśmy niedozwoloną granicę, a tego nie wolno było zrobić, z tego miejsca nie ma już powrotu do dawnych zabaw, tu jeszcze zdarzy się coś strasznego, coś ostatecznego, tego już nie można nazywać zabawą, niszcząc ich przedmioty, wydaliśmy ich na nieprzewidywalną reakcję ich rodziców, i choć w myśl normalnych zasad zabawy można było uznać naszą zemstę za uzasadnioną, to nie ulegało wątpliwości, że ich wydaliśmy, a nasze zwycięstwo było zdradą wyrzucającą nas poza nawias obowiązujących reguł, bo nie tylko ustanawialiśmy reguły, ale też wydaliśmy ich naszemu wspólnemu wrogowi, wiedzieliśmy dobrze, że Préma i tak co wieczór bije jego własny ojciec, i to nie byle jak, ale pasem i kijem, a gdy przewróci się na ziemię, to go kopie, latarnia i budzik należały do ojca, już kiedy słyszałem, jak się tłuką, wiedziałem, że wykradł je z domu, a jednak to było zwycięstwo, z którego chwilowych zalet z moralnych powodów albo ze strachu przed rozmiarami zniszczenia i grożącymi konsekwencjami już nie można było zrezygnować, bo ich zwycięstwo dałoby im wielką moralną przewagę, której nie bylibyśmy w stanie znieść.

Nie patrzyli na siebie, stali w bezruchu przed leżącym namiotem, Krystian w jednej dłoni trzymał kij, w drugiej finkę, które w sytuacji ich porażki wydawały się bardziej śmieszne niż straszne, twarze mieli znieruchomiałe, nie było widać, by wymieniając między sobą tajemne znaki, szykowali się do kontrataku, jak gdyby zrozumieli, że to koniec, stali z zeszytniałymi karkami, Prém zaciskał pięść, jakby ciągle trzymał w niej rzucony przed chwilą kamień, ale skoro to koniec, to co teraz będzie?, nie wiem, co sobie myślał Kálmán, ja rozważałem możliwość natychmiastowego, bezwarunkowego wycofania się, żeby tylko jakoś wyplątać się z tej poniżającej sytuacji, czołgając się w tył, jak tchórze opuścić pole walki, i jak najszybciej zapomnieć o naszym zwycięstwie, ale on szybko uklęknął, być może czuł, że leży na niezłym

magazynie broni, chwycił kilka kamieni i, wychylając się spośród krzaków, nawet nie celując, zaczął nimi rzucać.

Pierwszy kamień trafił Krystiana, pozostałe poleciały wokół.

I wtedy, jak gdyby obydwóch ktoś pociągnął na jednym sznurku, schylili się i zaczęli biec, tylko że w przeciwnych kierunkach, jeden w prawo do lasu, drugi w lewo, aż wreszcie zginęli pośród drzew rosnących na skraju polany.

Fakt, że się rozdzielili, wprawił napastnika w zakłopotanie, pozbawił iluzji, że po tej wielkiej przegranej nie wiedzą, co powinni zrobić.

I choć ich twarze niczego nie zdradzały, to jednak mieli jakiś scenariusz, nie uciekali, ich bieg był zaplanowany, a to, o czym rozmawiali tuż obok nas, na naszych oczach, choć ich tajemne znaki były dla nas niezrozumiałe, mówiło, że jest pomiędzy nimi więź, której nie można rozerwać.

Co za bydlak, i dlaczego, na psi chuj, musi rzucać tymi kamieniami, syczałem rozwścieczony; słowo, którego normalnie nigdy bym nie wypowiedział, z wielką radością usłyszałem z własnych ust, bo to była moja zemsta za wszystko, co się tu wydarzyło.

A on klęczał dalej, z kamieniami w dłoniach beznamiętnie wzruszył ramionami, że nie ma się czym przejmować, z jego twarzy znikła bladość, już się nie trząsał, był spokojny i zadowolony, spojrzał na mnie przyjaźnie, z wyrazem głupiej wyższości wywalczonej racji, wydał usta, z jego oczu znikł okrutny blask, i choć w tej dobroćliwości było też coś z adresowanej do mnie dezaprobaty, jednym ruchem ręki dał znak, że będą starali się nas okrążyć, lepiej więc, żebym zamiast się złościć, patrzył za siebie, bo ktoś musi zabezpieczać tyły.

Byłem na niego zły i tak bardzo go nienawidziłem, że najchętniej bym się na niego rzucił albo wytrącił mu z ręki te przeklęte kamienie, bo z powodu emaliowanego dzbanka Krystian poczuł do mnie wrogość; klnąc pod nosem, podniosłem się na kolana, przeleciały pomiędzy nami dwie czarne muchy, szybko trzepocząc skrzydełkami, ocierały się o jego pierś, latały to wokół siebie, to w górę, tuż przed moją twarzą, nie powiedziałem mu tego, co naprawdę miałem ochotę powiedzieć, że jest paskudnym, głupim prostakiem, złapałem go za rękę, ale inaczej niż chciałem, i nie wiem, jak to się stało, ale zacząłem go błagać, żebyśmy poszli już stąd w cholere, nazywałem go Kálmánkiem, tak jak matka, wydawałem się sobie odrażający, powiedziałem mu, że to wszystko jest głupota i że nie interesuje mnie, czego chce, i że jak nie przyjdzie, to pójdę sam, a on tylko wzruszył ramionami, obojętnym ruchem wysunął dłoń z mojej ręki, co miało znaczyć, że mogę sobie iść, dokąd chcę, w ogóle go to nie interesuje.

Powiedziałem, że mam go gdzieś, chodziło mi o Krystiana.

Właściwie chciałem mu powiedzieć, że nie wolno było tego zrobić, ale nie dało się tak szybko zapomnieć, że przecież to był mój pomysł, a nieprzyzwoitości naszego zachowania nie można załatwić kolejną nieprzyzwoitością, on też był dla mnie ważny, ale nie tak!, czułem, że nie tak!, poza tym chwila zwycięstwa nie jest odpowiednia, by rozmawiać o takich okropnych rzeczach, lepiej było więc być paskudnym.

I tak, nie poruszając się z miejsca, wydałem się sobie jeszcze bardziej odrażający, odwróciłem się bezsilnie na kamieniu, położyłem na brzuchu i spoglądałem w stronę lasu, czy już nadchodzi.

Byłem mu wdzięczny, że przynajmniej nie okazał się aż tak niegodziwy, moje tchórzostwo pozostanie sprawą nas dwojga, a on nie wykorzysta go, by coś powiedzieć, choć przecież wszystko rozumie, widziałem w jego oczach złośliwy błysk, który dał mi do zrozumienia, że pierwszy zauważył, iż Krystian jest dla mnie ważny, a on się nie liczy, to był błysk odwracanego

ze wstydu wzroku.

Słońce prażyło niemiłosiernie, nawet wiatr nie chłodził żaru, kamień był rozgrzany, i nic się nie działo, przylatywały muchy i trzeba było pogodzić się z tym, że tak właśnie będzie, nie przyjdą, choć przecież w każdej chwili mogli wybiec spomiędzy drzew, bo co jak co, ale zemsty sobie nie podarują; każda chwila wydawała się dobra, żebym wrzasnął, idą!, przyszło mi nawet do głowy, że nic mu nie powiem, niech sobie przyjdą!, i zrobią z nami, co zechcą!, drzewa trzeszczące w porywach wiatru, stękające wśród wichury, pochylające się we wszystkie strony pod podmuchami liście, otwierające się i zamykające przestrzenie pomiędzy gałązkami krzaków, nieregularne błyski światła uciekającego przed cieniem powodowały, że w każdej chwili mogłem usłyszeć ich kroki, stukot biegnących nóg, zobaczyć twarz wyglądającą spośród krzaków, ludzkie ciała wynurzające się zza drzew albo chowające za ich pniami, ale to nie mogło się wydarzyć, mimo że chciałem za pomocą zdrady odzyskać Krystiana, nie przyszli, a ja, siedząc na rozgrzanym kamieniu, musiałem pilnować przestrzegania niepisanych zasad głupiej przyzwoitości, w opałach wytrwać przy nim do końca; choć nic mnie z nim nie łączy, nie obchodzi mnie, i żeby już o niczym nie myśleć, układałem kamienie w równym rzędku, jak gdyby chcąc sobie udowodnić gotowość do walki, jeśli trzeba będzie rzucić, muszą być pod ręką, ale i to się skończyło, kiedy poruszył się obok mnie i moja stopa przez przypadek dotknęła jego ramienia, nie miałem innego wyjścia, jak się odsunąć, by nie czuć ciepła jego skóry.

Musieliśmy liczyć się z tym, że nie będą sami, ale przyprowadzą dodatkowe siły, jeden z nich już nas obserwuje, drugi uciekł, a ja ciągle myślałem o fince Krystiana, że zaatakuje mnie od tyłu, i jeszcze mocniej czułem na plecach prażące słońce oraz leciutko smagający wiatr.

Zbliżało się południe, choć dzwony w pobliskim kościele jeszcze nie wypełniły lasu niskim dźwiękiem, słońce stało wysoko nad naszymi głowami, wydawało się, że jest bardzo blisko, że na nas spada; gdyby nie było silnego wiatru, nie wytrzymałibyśmy tam bezczynnie aż godzinę, ja odezwałem się raptem dwa razy, czy coś widzi, bo ja nic, a on nic nie odpowiedział, w jego upartym milczeniu wyczuwałem, że nasze leżące obok siebie ciała trzyma na tym kamieniu siła rozgoryczenia, a lęk hamuje naszą wściekłość, i na odwrót, żywe ostrze nienawiści dławi się w miękkim strachu, ale te powstrzymywane, choć jednak swobodnie krążące uczucia nie dotyczyły już ich, ale nas, nas samych, i nie był to zwyczajny strach, nie strach przed tym, że przyjdą z nimi posiłki, że nas otoczą, pobiją, a my poniesiemy klęskę, bo przecież było jasne, że cokolwiek się wydarzy, nie mamy wiele szans, a brak szans zmniejsza strach, tylko że w tym czasie, upływającym na niepewności, sami zniszczyliśmy własną, wywalczoną przewagę, krążące między nami uczucie miało niszczycielską siłę, taki jest właśnie los zwycięzców, mowa naszego ciała, mowa naszego milczenia i mowa naszej skóry niszczyły wszystko, bo w tej godzinie spędzonej na niepewności stało się jasne, że nasze zwycięstwo nie tylko jest moralnie wątpliwe, ale też z bardziej praktycznych, zwyczajniejszych powodów niemożliwe do zaakceptowania; w kwestii naszego zwycięstwa nie umieliśmy się porozumieć nawet sami ze sobą, dla każdego z nas dwojga znaczyło ono coś innego, i tak powoli wyznaczyliśmy i poczuliśmy granice naszej przyjaźni, pojęliśmy, że bez tamtych dwóch chłopców nasze dwuosobowe, związane na chwilę przymierze nie może dłużej istnieć; na próżno więc się buntowaliśmy, w krótkich minutach naszych podstępnych czynów daremnie czuliśmy, że nasz związek jest tak samo silny jak ich, nasze przymierze nie wytrzymało próby zwycięstwa i nie potrafiło go wykorzystać; brakowało w nim tajemnicy, my dwaj to było zbyt mało, mogliśmy najwyżej być współwinowajcami, brakowało w nim harmonii dopasowania się do siebie i wzajemnego uzupełniania się, tego, co właśnie w nich było celem naszego ataku, czego im zazdrościliśmy, co nas irytowało i wydawało

się twierdzą nie do zdobycia, której magicznym promieniowaniem, tak, właśnie magicznym promieniowaniem, i nie obawiam się tego słowa, nie tylko uwikłali nas w swoją przyjaźń, ale też za jej pomocą nad nami panowali, i tak było dobrze, a my zniszczyliśmy, zmarnowaliśmy, zrujnowaliśmy to wszystko, co było dobre, ale nie ich!, zniszczyliśmy samych siebie; miejsce Kálmána było przy nich, jego spokój dopełniał ich zwinność, leniwa mądrość była parą ich pomysłowości, dobroć parą okrutnego humoru, a ja mogłem dołączyć do nich tylko z zewnątrz, poprzez przyjaźń z Kálmánem, niczym cyniczny strażnik ich trojga, w pojedynkę nie miałem jak się do nich zbliżyć, potrzebowałem kogoś, kto z zewnątrz potwierdzi i wzmocni ten związek, tak więc należało uznać obowiązującą w nim hierarchię, na czele której bez wątplenia stał Krystian, przyciągający swoją urodą i umysłem, nie wolno było i nawet nie było można zburzyć jej buntem, ta hierarchia żyła w nas, stała się naszym życiem, i może nawet odczuwałem potrzebę, by z jej powodu cierpieć, bo w ten sposób coś powstawało i coś się działo; to, co ja wiedziałem od początku, że chwila naszego zwycięstwa jest też chwilą ostatecznej porażki, a wraz z cierpieniem zginie także wszystko, co dobre, w nim dojrzewało o wiele dłużej, dopiero teraz jego ciało dało mi znak, że całkiem niepotrzebnie tu leżymy, niepotrzebnie czekamy i niepotrzebnie bronimy swojego honoru, i nawet gdybyśmy mogli odnieść nad nimi zwycięstwo, co wcale nie wydaje się prawdopodobne, to nie da się już przywrócić zniszczonego porządku świata, a nowego porządku nie ma, jest tylko chaos.

Popatrz, odezwał się nagle, cicho, głosem zdławionym od zaskoczenia, i choć na taki właśnie głos czekałem, na znak, na coś takiego, powiedział to zbyt nagle, na pustyni przeciągającego się czasu czekania poruszenie się każdego pyłku wydaje się nagle i nieoczekiwane, podniosłem głowę, ale to nie był ten głos, to nie był jego waleczny głos, ale dawny, zaskoczony głos kogoś, kto spokojnie wszystko obserwuje, głos pełen radości, jak gdyby wreszcie zobaczył to, na co od dawna czekał, jakby chodząc po polanie, ujrzał pisklę, które wypadło z gniazda, włochatą gąsienicę czy języka grzebiącego w uschniętych liściach, i musiałem usiąść, żeby też to zobaczyć.

Na dole, tam gdzie prowadząca od ulicy, stromo wznosząca się kręta ścieżka biegła pomiędzy dwóch ciężkich dzikich bzów na polanę, pomiędzy unoszącymi się na wietrze liśćmi zabłyśły czerwień i biel nagiego ramienia, i jasny blond włosów, a spośród krzewów wyłoniły się trzy dziewczyny.

Nawet się nie zatrzymały, szły w górę, przed siebie, jedna blisko drugiej, nawzajem się zasłaniając, w górę po wąskiej ścieżce musiały iść gęsiego i dopiero teraz, kiedy wyszły na wolną przestrzeń, przytuliły się do siebie; poruszały się lekko, pochylały, obracały, rozmawiały ze sobą, wymachiwały rękoma i śmiały się, Hédi trzymała w ręku kilka kwiatków, bardzo lubiła zbierać kwiaty, lekko przechylona w tył wymachiwała nimi przed nosem idącej za nią Liwii, delikatnie głaskała po policzku, łaskotała ją i uderzała kwiatami, to ona miała na sobie białą sukienkę, Maja pochylała się i szepnęła jej coś do ucha, ale na tyle głośno, żeby usłyszała też ubrana w czerwoną spódnicę Liwia, ona tymczasem roześmiana wyprzedziła je biegiem, i jak gdyby chciała pociągnąć ją za sobą, chwyciła Maję za rękę, Hédi złapała rękę Liwii, musnęła kwiatami policzek Mai, i tak już zostały, trzymając się za ręce, blisko siebie, przytulone jedna do drugiej szły drobnymi kroczkami, Hédi, pośrodku Liwii i Maja, zatopione w sobie bez reszty, mówiące do siebie słowami dobieranymi według jakiegoś tylko im znanego klucza, w rytm swoich opowieści, unoszące, przysuwające i odsuwające od siebie twarze i szyje, przez co wśród wysokiej trawy, falującej i wirującej na wietrze, wydawały się jednocześnie szybkie i dostojnie powolne.

Ale nie sam ten widok był niezwykły, często tak właśnie chodziły, trzymając się za ręce albo obejmując, nie było też nic niezwykłego w tym, że Hédi przyszła w białej sukience Mai, a Maja miała na sobie granatową sukienkę Hédi, choć z powodu różnych wymiarów ciała nie bardzo na nie pasowały; Hédi była wyższa, tęższa, „mocniejsza w biuście”, mówiły między sobą, choć ta subtelna krytyka dotyczyła tylko i wyłącznie sukienek, przysłuchiwałem się im uważnie, chciałem wiedzieć, czy przypadkiem nie chodzi tu o podobną konkurencję, jaka miała miejsce pomiędzy nami, chłopakami, ale one zajmowały się nie tyle wielkością swoich piersi, ile miejscem, w którym na wysokości biustu znajdowały się zaszewki, dyskutowały o nich z taką powagą i skupieniem, fastrygowały, szarpały się, ciągnęły za ręce, sylabizowały, że uspiły moją całkiem, jak się okazało, uzasadnioną podejrzliwość; w każdym razie sukienki Mai „niekorzystnie” spłaszczają piersi Hédi, ale to drobne niedopasowanie, ta ciągle przywoływana w ich rozmowach różnica w szczegółach budowy sprawiały, że wymienianie się ubraniami stanowiło jeszcze lepszą zabawę, tylko Liwia się z nimi nie wymieniała, a one przez delikatność szanowały jej dumę, nie napraszały się, zresztą jej garderoba była zbyt uboga, choć zawsze mówiły, że ma „słodkie ciuchy”, poza tym ścigając się ze sobą, pożyczały jej chustki, bransoletki, klipsy, paski, wstążeczki, łańcuszki na szyję, takie drobiazgi, którymi można było „upiększyć” Liwię, a które ona skromnie, z radością przyjmowała, tak właśnie jak teraz, kiedy miała na sobie naszyjnik z czerwonych koralików, który Maja zawsze podbierała swojej matce do białej sukienki; mimo tych wszystkich dziwactw właściwie nie miało dla nich znaczenia, że na tych pożyczkach Maja wychodzi lepiej, na niej bowiem doskonale leżały luźne sukienki Hédi, nam przynajmniej wydawało się, że wygląda w nich dorosłe, w obfitym kroju znikają jej niezdarnie chude ręce i nogi, wyglądała na dojrzałą kobietę, co więcej, wydawało się, że ich wielkoduszną wyrozumiałość dla tych niesprawiedliwych zamian równoważyła różnice skłaniające je do prawdziwej, rzeczywistej, przykłej konkurencji, różnice, które tak dręczyły Maję, na przykład fakt, że Hédi była tą ładną, tą ładniejszą, tą, o której wszyscy mówią, że jest ładna, w której kochają się wszyscy chłopcy, kiedy szły we trzy, wszyscy oglądali się za Hédi, to za nią poważni, dojrzały mężczyźni szeptali świńskie słówka, to ją próbowali dotykać i macać w ciemnym kinie albo w zatłoczonym autobusie, nawet jeśli był z nią Krystian, a ona płakała i wstydziała się, i choć szła zgarbiona, żeby rękoma zasłonić, ukryć piersi, kobiety się nią zachwyciły, chwaliły zwłaszcza jej włosy i z zapalem wsuwały w nie palce, jak gdyby dotykały rzadkiego klejnotu; z wysokim czołem i blond włosami opadającymi na ramiona w miękkich falach, pełnymi policzkami, wielkimi, lekko wypukłymi niebieskimi oczami była „spośród nich najładniejsza”, a Maja tak z tego powodu cierpiała, że ciągle zaczynała o tym mówić, podkreślała i głośniejsz niż wszyscy wychwalała na cały głos urodę Hédi, jak gdyby była z niej dumna albo miała nadzieję, że ktoś wreszcie sprostuje jej przesadne opinie; w oczach Hédi najciekawsze i najbardziej zachwycające były czarne jak noc długie rzęsy i czarne brwi, łuk brwi, sama je regulowała, wrywając małą pęsetką niepotrzebne włoski, nadawała kształt ich łukowi, a to czynność wymagająca precyzji, kiedyś widziałem, jak napinając dwoma palcami skórę nad oczami, pracowała pęsetką, chwyciła włoski u samej nasady i je wrywała, od czasu do czasu odwracała się od lustra, by wytłumaczyć, że dziś modne są brwi o wąskiej linii, często dziewczyny wrywają sobie całe brwi i w ich miejsce rysują inne ołówkiem, „na przykład ta czarownica, kucharka w świetlicy”, ale naprawdę modna kobieta nie powinna na ślepo podążać za modą, lecz musi odnaleźć równowagę pomiędzy własną urodą a modnymi liniami, nie tak, jak choćby Maja, która czasami popełnia błąd i ubiera się w coś takiego, co wprawdzie jest bardzo modne, ale jej w tym nie do twarzy, a kiedy zwróci się jej uwagę, obraża się na śmierć, to takie dziecinne, fakt,

że mogłaby sobie podregulować brwi, ale mówi, że to boli, no, aż tak nie boli, a jak ktoś ma takie gęste i nieładne jak Maja, to może sobie wydepilować woskiem, to w ogóle nie boli, nogi zresztą i tak musi woskować, bo miałyby całe zarosnięte, ona jednak nie tak skubie, żeby były bardzo wąskie, bo jak są zbyt wąskie, to nos wydaje się większy, a i tak ma duży, więcej by zatem straciła, niż zyskała; a więc nos miała większy niż trzeba, wąski i garbaty, kiedyś powiedziała, że nos ma po ojcu, i ten nos jest najbardziej żydowskim rysem jej twarzy, tak poza tym mogłaby wyglądać na Niemkę, zaśmiała się, ale ona nigdy nie widziała swojego ojca, czy raczej nie może go pamiętać, tak samo jak Krystian, „zabrali go”, to słowo wywarło na mnie takie samo wrażenie, jak tamto, którego używał Krystian, że „poległ”, miałem ochotę przesunąć palcem po jej nosie, czułem, że wtedy dotknąłbym tego, co żydowskie; ale kolor jej skóry wynagradzał wszystkim tę jej drobną wadę, o ile w ogóle można nazwać wadą taki brak regularności rysów, jej skóra nie była biała, jak zazwyczaj u jasnowłosych i niebieskookich dziewcząt, lecz miała barwę dobrze wypieczonej bułeczki, i ten pełen czułości kolor ustanawiał doskonałą harmonię na jej pełnej sprzecznych szczegółów twarzy; nie mówiąc o krągłych ramionach, silnych, długich nogach, których wysklepione stopy miękko dotykały ziemi, wąskiej talii, kobiecych biodrach, przez które nieraz wysłuchiwała uwagi, że nimi kręci, jak wtedy, kiedy pani Húvös wpadła do szkoły i wrzeszczała w pokoju nauczycielskim, żeby pohamowały swoją brudną fantazję i nie wypisywały takich świństw, i że takie osoby „należałoby pozbawić prawa chodzenia do szkoły”; doskonałość jej urody nie tylko wyróżniała ją spośród innych, ale też czyniła zwracającą na siebie uwagę, wyróżniającą się pięknnością, prawdziwą pięknnością, od czego ona, gdyby tylko miała taką możliwość, dzięki wymienianiu ubrań chętnie by się na chwilę wyzwoliła, tym bardziej że ubrania Mai były ładniejsze i ciekawsze.

Wracaly od Mai albo szły do Hédi, pewnie dlatego tędy przechodziły, by skrócić sobie drogę, albo żeby Hédi miała okazję pozrywać kwiatki, była zresztą bardzo wygadana, pewną siebie dziewczyną i doskonale wiedziała, że ładnie wygląda, zbierając kwiaty albo grając na wiolonczeli, to przecież subtelne, wyrafinowane zajęcia, jej pokój pełen był najrozmaitszych kubeczków, szklanek, wazoników, codziennie zbierała świeże kwiaty, długo trzymała w domu zasuszone bukiety, zawsze miała w zębach albo gryzła jakąś roślinkę, trawkę, listek czy kwiatek, nie zaginała w książkach uszu, nie używała nawet zakładki, pomiędzy stronice wsuwała zasuszone kwiaty, a jesienią kolorowe liście, kiedy pożyczano się od niej książkę, wystarczył jeden nieostrożny ruch i spomiędzy stron wysypywało się zasuszone arboretum, uczyła się grać na wiolonczeli i bardzo zręcznie grała na tym wielkim instrumencie.

Występowała na szkolnych uroczystościach, kiedyś poprosiła, żebym ją odprowadził do miasta, gdzie miała wystąpić na jakiejś żydowskiej uroczystości, nie chciała jechać sama, zwłaszcza że miała wrócić bardzo późno, a instrument był wartościowy, no i obawiała się nachalnych mężczyzn; właściwie mieszkała w centrum miasta, przy ulicy Dob, nieopodal synagogi, w starej, ciemnej kamienicy, na której parterze znajdował się hotel robotniczy, robotnicy myli się na podwórku w misce, matka, której wtedy nie znałem, wysłała ją do pani Húvös ze względu na dobre powietrze, bo podobno miała słabe płuca, poza tym u pani Húvös był ogród, trzymała w nim domowe zwierzęta, więc jedzenie u niej miało być tłustsze, choć Hédi opowiadała, że to wszystko tylko pretekst, że tak naprawdę matka ją oddała, bo kochankiem matki jest niejaki Rezső Storcz Novák, a ona nie może znieść faceta za jego obłeśne nawyki; jej matki nie było w domu, w drzwiach zobaczyliśmy tylko karteczkę, że czekają na nią w sali, gdzie odbędzie się uroczystość, i jaką ma założyć sukienkę, to wszystko chyba dlatego mi się teraz przypomniało, bo tamtego wieczoru Hédi była w granatowej sukience, którą miała na sobie



Maja, i jej matce nie podobała się ta sukienka; staliśmy na smętnej galerii przed ich drzwiami, a mnie przyszło na myśl, że to stąd zabrano jej ojca, tłum, straszny widok, jak opaśli robotnicy transportowi ciągną po ziemi żywego człowieka niczym jakąś szafę czy kanapę, wokół błyszczą mosiężne klamki, tabliczki z nazwiskami i ładne, stare mosiężne przyciski dzwonek do drzwi, na murach widać dziury po kulach, ślady po rozbiórkach i łataniu ścian, na poczerńiałym od dymu tynku gdzieś tam widnieją gęsto obok siebie pozostałości po serii z karabinu maszynowego, była jesień, jeszcze ciepła, z dachów ześlizgiwała się skosem smuga słabego światła, na dole półnaczy robotnicy w samych gaciach myli się w miskach, przyskali się nawzajem wodą, aż całe, pełne oleandrów podwórko niosło się echem ich wrzasków, ktoś ubijał pianę, przez otwarte okno sączył się głos z radia, śpiewał chór, ona ścisnęła kolanami ogromny, czarny futerał swojej wiolonczeli i czytała kartkę, jak gdyby były w niej jakieś straszne wiadomości, przeczytała kilkakrotnie, lekko pobladła, nie wierzyła własnym oczom, i choć pytałem, co tam jest, schowała karteczkę, wzdychając, sięgnęła pod wycieraczkę i wyjęła klucze.

W przestronnym, ciemnym, chłodnym mieszkaniu wszystkie skrzydła białych drzwi były otwarte, natychmiast poszła zrobić siusiu, panowała śmiertelna cisza, okna wychodzące na ulicę były zamknięte, przed zasuniętymi, grubymi firankami wisiały podpięte na bokach aksamitne zasłony zakończone ciężkimi pomponami, zresztą w tym mieszkaniu wszystko było jakby jedno na drugim, miękkie, zapadające się pod stopami, na ścianach pokrytych tapetami w srebrzysty wzór ciemne kilimy, na kilimach obrazy w złotych ramach, pejzaże, martwe natury i kobiecy akt, na którego drugim planie jaśniał szkarłat ognia, na leżących na podłodze dywanach chodniki w czerwone pasy, na fotelach o obłych kształtach i krzesłach obitych materiałem w kwiaty koronkowe serwetki, a w środkowym pokoju, w którym stałem, czekając na nią, wisiał pod sufitem niczym mumia nieforemny, wzdęty potwór owinięty w biały pokrowiec żyrandol, mimo to mieszkanie było czyste, nieprzyjemnie, przesadnie i zbyt starannie uporządkowane, wszystko aż lśniło czystością, wypucowane na błysk szkła, mosiądze, lustra, srebra, porcelana w panującym półmroku wydawały się nieprzyjemnie pozbawione najmniejszych nawet drobinek kurzu.

Długo nie wracała, nie słyszałem strumienia moczu, potem jakiś trzask i spuściła wodę, widziałem, że nie poszła siusiać, ale trochę się wyplakać, wyszła, jak gdyby załatwiła w duchu coś, co należało załatwić, „To jest salon”, powiedziała, ostatni raz wytarła oczy, choć już były suche, ale czerwone, „Tam jest mój pokój”, dodała, to musiał być ból, z którym musiała sobie szybko poradzić, i choć starała się uśmiechać, czułem, że jest jej źle z tym, że to wszystko widzę, że w ogóle tu jestem.

W pokoju zrobiło się jakoś cicho, więcej się do mnie nie odezwała, otworzyła wielki czarny futerał, wyjęła z niego instrument i usiadła przy oknie, naciągnęła smyczek, kilka razy dotknęła go palcami, nasmarowała woskiem, długo stroiła wiolonczelę, a ja przechadzałem się po mieszkaniu, z każdego z pokoi można było przejść do kolejnego, doskonale potrafiłem sobie wyobrazić, jak zabrano stąd jej ojca, tylko tego nie potrafiłem sobie wyobrazić, że w wychodzącym na podwórko, całkowicie zaciemnionym pokoju Rezső Storcz Novák każdej nocy robi z jej matką coś, co „idzie jej na nerwy”.

W takim nastroju wróciłem do salonu, zaczęła grać, utwór rozpoczął się łagodnymi, długimi, głębokimi pasażami, z przyjemnością patrzyłem na jej pełną napięcia, zamyśloną twarz, palce przesuwające się po długiej szyjce, szybko chwytające i szarpiące struny, aż instrument wydał krótkie, szybko milknące dźwięki, coraz wyższe, wtedy po nagłych zmianach, łączeniu dwóch oktaw, jednocześnie wygrywanych wyższych i niższych tonach, dłuższych

i krótszych dźwiękach, miał wyłonić się główny temat, ale kilka razy się pomyliła i ze złością odłożyła wiolonczelę.

Choć złościła się na pokaz, to zachowywała się tak, jak gdyby nie było mnie w pokoju.

Oparła instrument o krzesło, wstała i ruszyła w stronę swojego pokoju, ale po drodze się rozmyśliła, wróciła, bez wysiłku chwyciła wiolonczelę i ostrożnie włożyła do futerału, odłożyła na miejsce wosk i smyczek, zamknęła futerał, po czym stanęła bez słowa na środku pokoju.

Nie wiem dlaczego, ja też obserwowałem ją bez słowa.

Dziś się zbłąźni, powiedziała, nic dziwnego, że nie umie się skoncentrować, skoro matka musi wszędzie wlec ze sobą tego głupiego, wstrętnego gada, dodała cicho z taką nienawiścią w głosie, że aż zadrżała na całym ciele, choć wie, doskonale wie, że szlag ją trafia, kiedy musi się z nim spotkać, i mogłoby być w niej choć tyle wyrozumiałości, żeby nie zabierać go na jej występy, bo on ją strasznie denerwuje; słuchałem zdziwiony, nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś z taką nienawiścią wyrażał się o własnej matce, aż zrobiło mi się wstyd, chciałem zaprotestować, żeby tego nie robiła, jak gdybym brał udział w czymś, czego nie wolno robić, i że nie może tego wytrzymać, nie może wytrzymać, jak ten facet tam siedzi i na nią patrzy!, ale jej i tego mało, powiedziała ze śmiechem, jeszcze się wtrąca, co ma na siebie założyć, że oczywiście białą bluzkę, białą bluzeczkę, Hédike, i tą ładną granatową spódniczkę, żeby ohydnie i śmiesznie wyglądała!, co najmniej dwa lata już ich nie nosi, bo z nich wyrosła, a ona jak gdyby tego nie zauważała, bo wydaje się jej, że ten obleśny gad nie będzie wtedy na nią patrzył!

Wściekła odpięła pasek i zaczęła rozpinać sukienkę; przy granatowej sukience miała małe czerwone guziki, pasek też był czerwony, kiedy rozpięła sukienkę do pasa i pod guzikami, pod jej dłonią, zobaczyłem nagą skórę, chciałem się odwrócić, bo nic nie wskazywało na to, że rozbiera się z mojego powodu, po prostu się rozbiera, ona tymczasem jednym ruchem wyzwoliła się ze swojej śliskiej sukienki i z lekko potarganymi włosami stanęła przede mną w mroku, tylko w majtkach i białych sandałach, z przewróconą na lewą stronę sukienką w ręku.

I powiedziała, że bym się nie bał, Krystianowi też pokazała, potem znów się nie odzywaliśmy, staliśmy, i nawet nie wiem kiedy odległość między nami nagle się skurczyła, chciałem jej dotknąć, choć wcale nie była taka ładna, w sandałach i zwisającej w ręku sukience wyglądała raczej nieporadnie, tylko jej piersi, jej spokojnie spoczywające piersi, patrzyły na mnie swoimi dwoma oczkami, pamiętam tylko, choć nie wiem, czy ja podszedłem do niej, czy ona do mnie, czy zrobiliśmy to jednocześnie, jak wypuszcza z ręki sukienkę, bo czuje tę dziecinną nieporadność, i chce wydać mi się odważniejsza i mniej zawstydzona, obydwoma ramionami obejmuje mnie za szyję, że bym nie widział tego, co mi pokazuje, czuję na twarzy wietrzny zapach jej skóry i potu, ja też ją obejmuję, bezwiednym ruchem, bo przecież chcę dotknąć jej piersi, cała sytuacja wydaje się komiczna, jest ode mnie wyższa o głowę, ale o tym nie myślę, czuję tylko ból, że moje palce nie mogą dotknąć tego, czego pragnie głowa.

Czułem jej piersi, nie ramiona i nie skórę, szybko i czule pocałowała mnie w ucho, i śmiejąc się, powiedziała, że gdyby nie chodziła z Krystianem, odbiłaby mnie Liwii, ale wtedy mnie to nie interesowało, pociągały mnie te jej piersi, albo sam nie wiem co, jak mnie dotykała, ich miękkość i twardość, uważała jednak, żeby się do mnie nie przytulić, żeby czułość jej ciała pozostała osobno, pomiędzy nami, i ze śmiechem szybko się ode mnie odsunęła, zostawiwszy sukienkę na podłodze, wyszła do drugiego pokoju, zabierając krokami swoje piersi, usłyszałem skrzyp drzwi od szafy, jak gdyby nic się nie stało.

Kiedy Maja powiedziała mi szeptem, że wie, że dobrze wie, że kocham tylko Hédi, nie protestowałem ani nie przekonywałem, że kocham tylko ją, ale nie powiedziałem, że nie

kocham ani jej, ani Hédi, bo kocham Liwię; chciałem, żeby mnie im odbiła.

Doszły mniej więcej do środka polany, rozejrzały się bezradnie i wszystkie trzy zatrzymały się, widząc, że dzieje się tu albo już się wydarzyło coś dziwnego, coś niebezpiecznego, czego nie rozumieją do końca; kiedy nadśluchując, dostrzegłem je tam, pomyślałem, że przysłał je Krystian i że to pewnie zasadzka, podstęp, ale ich brak podejrzliwości mówił, że znalazły się tu zupełnie przypadkowo, i jakkolwiek zadziwił mnie taki przypadek, podobało mi się, czułem, że to ładne i zachwycające, jak we trzy nadśluchują, obserwują, we trzy, każda inaczej, rozglądają się na wszystkie strony, bawił mnie ich widok, jak tracąc dobry humor, coraz mocniej ściskają się za ręce.

A poza wszystkim ta wzajemna czułość, z jaką trzymały się za ręce, goniły się, ten bezustanny cielesny kontakt, kiedy trzymały się pod ręce, tańczyły, całowały się bez najmniejszych oporów albo wymieniały ubraniami, jak gdyby chciały się wzajemnie sobie oddać albo pożyczyć sobie nawzajem coś bardzo ważnego, jak czesały jedna drugą, kręciły włosy na wałki albo robiły loki żelazkiem, jak malowały sobie paznokcie, a kiedy były smutne, kładły głowę na ramieniu, piersiach albo kolanach tej drugiej i szczerze sobie płakały, kiedy zaś objęte dzieliły się ze sobą swoim szczęściem, czułem coś, co było czymś więcej niż zazdrość, coś, co mogłem wprawdzie zachować w tajemnicy, ale choć było nadzwyczaj wstydlive, nie potrafiłem tego w sobie stłumić; a przecież się starałem, bo czułem, że ojciec ciągle wokół mnie węszy, dostrzega dziewczęce gesty i je potępia, może zresztą miał powody do obaw, sam nie wiem, ale widziałem, nie mogłem nie widzieć, że wystarczał jeden przypadkowy gest i wybuchało we mnie pożądanie, może tu jest wytłumaczenie, dlaczego chciałem być dziewczyną, często nawet sobie wyobrażałem, że jestem dziewczyną, chciałem uzyskać jednoznaczne prawo do tych niewinnych dotyków, nawet jeśli podejrzewałem, że w ich wolności jest dużo więcej emocji, strachu, przymusu, przyzwyczajenia i nawyków, niż mi się wydawało; kiedy pragnienie tego dozwolonego kontaktu nie mąciło bez reszty mojego umysłu, widziałem, rzecz jasna, że ich ciągły cielesny dotyk jest równoległą formą tego samego współzawodnictwa, jakie miało miejsce pomiędzy nami, chłopcami, nawet jeśli nam nie wolno było wzajemnie się dotykać; mówiąc ściślej, musieliśmy wynajdować w tym celu skomplikowane, męczące i niegodne sposoby, uciekać się do rozmaitych sztuczek, którymi potrafiliśmy wyprowadzić się w pole, by w końcu wymienić się tymi najbardziej elementarnymi uczuciami; nie mógł umknąć mojej uwagi i budził we mnie bolesną zazdrość ten głęboki pociąg, który skłaniał na przykład Krystiana do bójek z Kálmánem, do tych typowo chłopięcych bójek, dziewczyny nigdy tak się nie biją, one tłuką się na poważnie, szarpiają się, ciągną za włosy, drapiają, gryzą i piskliwie krzyczą, u nas tymczasem bez żadnej przyczyny zaczynała się ta niemożliwa pomiędzy dziewczynami zabawa, po prostu dlatego, że chcieliśmy nawzajem siebie dotykać, chcieliśmy czuć i posiadać wzajemnie bliskie sobie ciała, i te pragnienia mogliśmy w dozwolony sposób zaspokoić tylko poprzez zabawę w bójkę, bo gdybyśmy się wprost do nich przyznali, obejmowali się czy całowali tak jak dziewczyny, gdybyśmy nie ukrywali naszych pragnień pod maską współzawodnictwa, wszyscy okrzyknęliby nas pedałami, i to nie są tylko moje spostrzeżenia, ale wszystkich, którzy też musieli uważać, żeby nie przekroczyć tej granicy, choć co to słowo znaczy, właściwie nie było wiadomo, to było magiczne słowo, jak przekleństwo czy bluździ, które oznaczać miało wszystko, co zabronione, na przykład „pocałuj mnie w dupę” albo „pierdol się”, bo przecież nie wolno tak mówić; dla mnie to słowo oznaczało zakaz takich naturalnych uczuć, które udało mi się wyobrazić sobie, kiedy usłyszałem, jak Prém powiedział, że jego o sześć lat starszy brat, poważny autorytet, mówi, że „jak ci choć raz facet zrobi loda, to nie będziesz już potrafił

przerznąć dziewczyny”, niepotrzebne więc były już wyjaśnienia ani komentarz, stało się jasne, że wszystko, co pedalskie, co związane z pedałami, zagraża naszej męskości, zagraża temu, do czego tak uparcie dążymy, z drugiej zaś strony samo w sobie znajduje się poza tą granicą, do której sięga dziecięca wyobraźnia, mnie zaś kojarzyło się ze wszystkimi obrzydliwymi świństwami dorosłych, których przecież człowiek nie pragnie, tylko że to słowo nie zlikwidowało, lecz co najwyżej zmniejszyło żywe działanie pragnienia ukrytego pod maską niewinnych, zabawnych bójek, to pragnienie wiecznie odzywa się u chłopców, widziałem, że nie jestem w nim osamotniony, kiedy Krystian nagle od tyłu chwycił Kálmána wpół, powalał na ziemię, albo kiedy złapali się pod ławką za ręce, co należało do ich naprawdę ulubionych zajęć, ściskali sobie dłonie, przyciskali, wyginali, takie były reguły, ręce nie mogły wydostać się spod ławki, a łokciami nie wolno było dotknąć ud, należało w powietrzu powalić ramię tego drugiego, byli cali czerwoni, śmiali się, i starając się odnaleźć stabilną pozycję, trzymali swoje ciała w uścisku kolan, ale w przeciwieństwie do bicia się na poważnie przedmiotem ich pragnień nie było zwycięstwo, tylko pełne miłości odczuwanie siły, zrzeczności, zwinności tego drugiego, rozkosz, jaką dawała przewaga nad równym sobie przedstawicielem tej samej płci, spełnieniem ich pragnień było zaś czułe spotkanie siły ich obu; podobnie jak w czułych dotykach dziewcząt można było wyczuć jakiś nieprzyjemny, niepokojący fałsz czy fałszywość, fakt, że nie tak oczywiste i wyraźne, ale kiedy objęte szły, chichotały, plotkowały, szeptały, śmiały się, obejmowały się i pocieszały, wzajemnie się dotykały i głąskały, zawsze wydawało mi się, że ten ich bliski cielesny dotyk dlatego jest dozwolony, że ich związek, ich kobieca przyjaźń są zewnętrzną maską ich przymierza, niezbędnym kostiumem, tak jak nasze chłopięce bójki, i że nie wyrażają ich prawdziwych uczuć, ale skrywają tajne przymierze albo nawet krwawą wrogość; zacząłem się tego domyślać, kiedy w sali gimnastycznej Hédi przez przypadek odkryła, jak patrzemy na siebie z Liwią, i postarała się, by natychmiast rozeszła się plotka, że jesteśmy zakochani, czym natychmiast wydała Liwię na moją łaskę i niełaskę, lecz także na plotki, wszyscy musieli się dowiedzieć, że Liwia zemdląca z miłości do mnie, czym dobrze mi się przysłużyła, bo Maja wcale nie robiła się zazdrosna, ale zaczynała pałać do mnie wielkim uczuciem, robiły wszystko, żebyśmy jak najczęściej zostawali z Liwią sam na sam, a jednocześnie czułą uważnością, matczyną aprobatą zatrzymywały przy sobie Liwię, ich akceptacja była pułapką, miłe zachowanie sznurem, co więcej, pod pozorem uprzejmości i akceptacji obydwie uciekały się do podstępnych ustępstw, przez co mój związek z nimi stawał się coraz bliższy, jak gdyby wiedziały, że to wszystko porządnie miesza mi w głowie, i to właśnie było chyba ich celem, choć podsuwają mi Liwię, nie potrafią wybrać, która z ich trójki ma być moja!, a Liwia może być moja tylko na ich warunkach; Liwia jednak się nie sprzeciwiała, bo tajemne przymierze zawarte z mojego powodu i przeciwko mnie, bliski związek, jaki łączył je trzy, były dla niej ważniejsze ode mnie, mówiąc ściślej, najbardziej zależało jej na tym, by owo tajne przymierze nie dało upustu ich ostremu współzawodnictwu; żeby ich wrogość nie sprawiła, że przejdę na stronę którejś z nich, ale żeby wszystko pozostało tak, jak jest, nierozstrzygnięte.

Liwia wysunęła się naprzód, wyjęła dłoń z ich rąk, schyliła się i z niemałym zdziwieniem podniosła z ziemi zepsuty budzik, coś powiedziała, może zaśmiała się, że jeszcze tyka, i pokazała wszystkim; ona była spośród nich trzech najbardziej nieokiełznana, ale tamte dwie nie zwracały na nią uwagi, palcami wyciągnęła z tarczy popękany cyferblat, z wielką radością kawałek po kawałku rzucała na ziemię, potem położyła zegarek na głowie, i delikatnie balansując w tej koronie, jak ktoś, kto dobrze wie, co robi, udając pełne godności kroki, poszła

dalej.

One dwie, mniej rozszalałe, niepewnie stały w miejscu, jedna patrzyła w prawo, druga w lewo, każda w inną stronę, i dopiero kiedy Liwia zwinnym ruchem otuliła ramiona czerwonym wełnianym kocem, ruszyły z miejsca, jakby na jakiś znak.

Pobiegły za nią, Maja chciała w biegu okryć się podniesionym z ziemi białym prześcieradłem i wtedy zaczęły się kłócić, Hédi też miała ochotę na prześcieradło, zaczęły się szarpać, pewnie Hédi uważała, że lepiej pasuje do pożyczonej od Mai białej sukienki, jednak w błyskawicznym tempie doszły do ładu, co oznaczało, że nie spierają się o prześcieradło ani o pierwszeństwo, ale że musi ustanowić się pomiędzy nimi hierarchia zgodna z potrzebą chwili, prześcieradło dostała Hédi, która zawsze potrafiła wykorzystać przewagę, jaką dawała jej uroda, co oczywiście musiało wywołać w Mai nienawistne uczucia; przy białej sukience prześcieradło wyglądało jak tren, Maja pomogła jej wsunąć je pod czerwony pasek, Liwia była królową, Hédi damą dworu, a Maja, jak zawsze, poniżaną służebną, kiedy zaś znów źle uniosła tren, za co dostała małego kopniaka, czym jej położenie ostatecznie się rozstrzygnęło.

Wszystko robiły szybko, zgranymi ruchami, ale ani trochę na poważnie, rzecz można, bawiły się, jak gdyby udawały, że się bawią, choć wcale nie wyglądało to śmiesznie, ich nieporadna zabawa była bezwstydną i pozbawioną hamulców, im bardzo się podobała, w dodatku były na tym terenie obce; obserwowaliśmy je z zapartym tchem i zaskoczeni nawet nie zauważyliśmy, że w całej naszej beznadziejnej sytuacji to one są naszymi aniołami stróżami.

Wydawały mi się obrzydliwe, bo mieszały się w nie swoje sprawy.

Szły gęsiego, pierwsza Liwia z czerwonym kocem wciśniętym pod kołnierzyk bluzki i budzikiem na głowie, Maja niosąca tren Hédi szybko podniosła walający się pod nogami kociołek i uniozonym, a jednocześnie wrednym ruchem włożyła go na głowę Hédi; ich pochód w ten sposób stał się doskonały, aż doszły do przewróconego namiotu.

Chyba dopiero wtedy zrozumiałem, w co się bawią, kiedy nie zamieniając ze sobą ani słowa, wiedziały, co mają odegrać.

Liwia miała w domu dużą książkę, *Wielkie węgierskie kobiety*, często zabierała ją do Mai, lubiły ją razem oglądać, była w niej smutna rycina przedstawiająca królową Marię, owdowiałą małżonkę króla Ludwika, mającą sen, w którym na polu bitwy pod Mohaczem szuka zwłok męża pomiędzy strasznymi trupami i wzdętymi padłymi końmi.

Liwia zaczęła naśladować ruchy śpiącej kobiety, dwie pozostałe dziewczyny natychmiast zaczęły robić to samo, wyciągały ręce ku niebu, szły tak, jak człowiek we śnie, niemal nie dotykając ziemi, na znak skargi i bólu składały ręce na piersi, płakały, tak samo jak na obrazku, na którym po bladej jak ściana twarzy królowej płynęły wielkie łzy.

Przed namiotem Liwia z rozpostartymi ramionami osunęła się na ziemię, budzik spadł jej z głowy, wszystko robiła tak, żeby wyglądało zabawnie.

Ja jednak nie widziałem w tym nic zabawnego, jej widok i świadomość, że się dla nich wygłupia, przyprawiły mnie o mdłości.

Kálmán rozdziawił głupio usta; chciałem tam pójść i zakończyć tę zabawę.

One patrzyły ze współczuciem, pochyliły się nad nią, płaczkliwie mrużyły oczy, głąskowały ją, wreszcie chwyciły pod ramiona, by pomoc jej wstać, ale nie mogły oderwać królowej od zwłok męża.

Kiedy wreszcie zabrały ją stamtąd, podtrzymując pod pachy, dokładnie tak samo jak na obrazku, w końcu wczuła się w swoją rolę i na kilka chwil udawanie przeistoczyło się w prawdziwą grę, w której pojawiły się rzeczywiste emocje, takie, jakich nikt z nas się po niej nie

spodziewał, grała królową oszalałą z bólu, wywracała oczami, wyciągała ręce przed siebie, opierając się na nich całym ciałem, sztywno pochylona szła, zataczając się, dwie prowadzące ją dziewczyny musiały przyspieszyć kroku, bo szalony ból szybko porywał Liwię ze sobą, ich widok zamienił we mnie odrazę w zachwyty, byłem zaskoczony i na coś takiego nieprzygotowany, zupełnie jak w kinie, kiedy nagle pojawiała się jakaś straszna scena, i żeby nie krzyknąć, nie zapłakać ze strachu albo nie uciec z sali, musiałem myśleć o tym, że przecież to tylko film, gra, więc wszystkie obecne w nim uczucia nie mogą być prawdziwe, ale w tej samej chwili Maja wysunęła ramię spod jej pachy i, zostawiając je, zaczęła biec, one zaś straciły równowagę i upadły na siebie, Hédi zza kociołka nie widziała, co się tam święci, nie mogła więc wiedzieć, co się dzieje, po prostu potknęła się o Liwię i pociągnęła ją za sobą, a Liwia uchwyciła się jej bezwładnie padającego ciała, Maja tymczasem, nie zwracając na nie uwagi, popędziła do ułożonego już stosu drewna, chyba zauważyła przygotowane zapałki, one śmiały się, leżąc na ziemi, a ona, klęcząc przed stosem, zaczęła zapalać ogień.

Wśród drzew rozległ się krzyk, to Krystian tak wrzeszczał, a z przeciwległej strony polany dochodził niczym echo drugi wrzask, Préma, Kálmán też zaczął krzyczeć, i usłyszałem, że sam również krzyczę.

Rzuciliśmy się na nich z upojnym wrzaskiem, przekrzykując ryk wiatru, a oni na nas z przeciwnej strony; kamienie z trzaskiem i hukiem wyskakiwały spod naszych stóp, i jak gdyby okrążyły ich nie cztery oddzielne krzyki, lecz spadł na nich jeden wielki cios.

Suche polana zajęły się ogniem, świetliście płonące języki ognia wirowały na wietrze, wydłużały się i niknęły, Maja wyrzuciła zapałki, uciekła z powrotem do nich, dziewczyny zerwały się z miejsca, i nim tam doszliśmy, ognisko wysoko strzeliło ogniem.

Biegły w trzy różne strony, ale były otoczone, nie miały jak uciekać, nie wiem właściwie dlaczego, ale postanowiłem pobiec za Hédi, Kálmán gonił Maję, Prém i Krystian razem rzucili się za uciekającą zygzakami Liwią; Hédi biegła w dół, w biegu zgubiła jeden sandał, nie przejmowała się nim, odchyliła w tył szyję, jej blond włosy powiewały na wietrze, prześcieradło ciągnęło się za nią po ziemi, pomyślałem, że powinienem je nadepnąć, żeby się przewróciła, nie wiedziałem dokładnie, co dzieje się za naszymi plecami, widziałem tylko, że kiedy Kálmán chciał złapać Maję, ta już prawie wbiegła pomiędzy drzewa, ale Liwia zaczęła wtedy tak rozpaczliwie krzyczeć, wcale nie dla zabawy, że Hédi nagle zmieniła kierunek, i kiedy niesiony pędem biegu bezmyślnie znalazłem się przed nimi, ona, wykorzystując okazję, zrobiła zwrot w tył i zawróciła, by pomóc Liwii.

Kotłowali się ze sobą na ziemi, wiatr wzbijał ponad ich głowy długie płomienie, ona jak gdyby straciła rozum, rzuciła się na nich z piskiem, może chciała dać znak zmagającej się na ziemi Liwii, że już przyszła z pomocą, ja tymczasem rzuciłem się na Hédi, choć dobrze widziałem, co się dzieje, ściągnęli jej czerwoną spódnicę, Krystian siedział na niej w kucki, zadanie nie było trudne, spódnica była na gumce, złapał ją w talii, teraz chcieli zdjąć jej bluzkę; kiedy Krystian ścisnął kolanami jej gołe nogi, żeby nie mogła kopać, klęczący nad jej głową Prém próbował powstrzymać jej wymachujące w obronie ręce i ściągnąć z niej bluzkę, ten zaś całkiem nieprawdopodobny fakt, że Prém jest bez gaci, zauważyłem dopiero, kiedy rzuciłem się na Hédi, Liwia z całej siły zamknęła z krzykiem oczy, a nad jej twarzą, tuż nad jej twarzą, w rytm rozgorączkowanych ruchów huśtał się sławetny narząd płciowy Préma, niemal dotykał jej twarzy.

Mimo że widziałem wszystko, chciałem pomóc tamtym, kiedy próbowałem ściągnąć Hédi z pleców Krystiana; a ona gryzła i drapała.

Tylko że pod wieloma względami ta skłaniająca do przemyśleń pomoc okazała się zupełnie zbyteczna, bo Krystian, czując na sobie ciało Hédi, puścił Liwię i jednym ruchem pleców zrzucił Hédi, która teraz wpiła się paznokciami w jego ramię, a potem zsunęła się z niego, obracając się pod jego ręką, Prém też przestał, ale kiedy Liwia spróbowała się spod niego wysunąć, jeszcze raz podjął próbę ściągnięcia z niej bluzki, sięgnął ku niej ręką, nie wiem, czy zdążył już oberwać guziki, czy odpadły dopiero teraz, kiedy podskakując, obnażyła piersi; Krystian uśmiechał się do Hédi, potrząsał głową ze swoimi pięknymi ciemnymi lokami, i zręcznym ruchem wywinął się niczym jaszczurka, bo Hédi, ciągle jeszcze wrzeszcząc, chciała się na niego rzucić, Prém tymczasem zaczął biec za Liwią, jednak szybko się okazało, że wcale za nią nie biegł, tylko chciał zabrać rzucone na ziemię gacie, Liwia, ściskając na piersiach bluzkę, z czerwoną spódnicą w ręku, wbiegła pomiędzy drzewa, tam, skąd wrócił, nie załatwiwszy swojej sprawy, Kálmán z lekkim zdziwieniem patrzył, jak Liwia znika w swoich różowych majkach, „Jesteś bydlakiem, jesteś bydlakiem!”, wrzeszczała Hédi Krystianowi w twarz głosem bliskim szlochowi, ale Krystian się nie przejął, jak gdyby już nie obchodziła go ich miłość, jego wzrok krzyżował się z moim, czułem, że uśmiecham się tak samo jak on, na jego czole i brodzie widniały zadrapania, podszedł do mnie, zachichotał, Hédi stała pomiędzy nami, patrzyliśmy sobie w oczy, i wtedy on, obchodząc dookoła Hédi, podniósł rękę i z całej siły, na odlew uderzył mnie w twarz.

Poczerniało mi przed oczyma, ale chyba nie od tego policzka.

I jeszcze widziałem, że Hédi, która w ogóle nie zrozumiała jego ciosu, chce mnie obronić, ale Krystian wyrывa się jej, odpycha, odwraca się i wolnym krokiem rusza w stronę płonącego na wirującym wietrze ognia.

A ja chyba szybko się od nich odwróciłem i poszedłem przed siebie.

Kálmán stał pod drzewem, obserwował nas beznamiętnym wzrokiem, Prém założył swoje gacie, Maja gdzieś przepadła, później Prém twierdził, że właśnie robił kupę, kiedy Maja rozpałała ognisko, jednak mu nie uwierzyłem, kiedy człowiek sra, spuszcza gacie, ale nie musi ich zdejmować, tylko że wtedy nie miało już sensu powiedzieć mu w oczy, że kłamie.

Tego też później się dowiedziałem, że Kálmán złapałby wtedy Maję, ale musiałby razem z nią objąć drzewo, chciał ją pocałować w usta, Maja napluła mu w twarz i uciekła.

Minęło wiele tygodni, nim zapomniałem o tym wszystkim.

Nie chodziliśmy do siebie, nawet nie wychodziłem z ogrodu, żeby przez przypadek nie spotkać żadnego z nich.

Z końcem lata zaczął jednak wracać dawny porządek, Krystian, być może po to, żeby Hédi zrobiła się zazdrosna i wróciła do niego, albo tylko dlatego, że ją zobaczył, albo pomyślał, że chce ją przeprosić za to, co się stało, zaczął łązić za Liwią, czekał na nią, odprowadzał, Hédi wiele razy widziała ich z okna, jak rozmawiali oparci o płot otaczający szkołę, rozmawiali długo, ciepło i w zamyśleniu, potem Hédi żaliła się Mai, która żeby mnie dręczyć, pod pretekstem, że znalazła coś podejrzanego w dokumentach ojca, jakieś całkiem nowe pismo, poprosiła, żebym przyszedł do nich i je obejrzał, zadzwoniła do mnie, ale to nie było nic ciekawego, przynajmniej nie wydawało się, że można zrobić z tego jakiś użytek, była to kopia złożonej na pół notatki służbowej, w której jej ojciec prosi ministra spraw wewnętrznych o potwierdzenie, że nie samowolnie, ale na osobiste, bezpośrednie, ustne polecenie ministra podłączył do telefonu niejkiej Emmy Arend maszynę Lorenza.

Maja miała ochotę na plotki, ale chciała też zobaczyć, jakie wrażenie wywrze na mnie taka wiadomość, miałem więc dobry pretekst, żeby się z nią pogodzić; poszedłem do nich, ale udawałem, że ani trochę mnie nie interesuje, co Liwia robi z Krystianem, niemniej umówiliśmy

się, że w przyszłości nie będziemy o takich ważnych sprawach rozmawiać przez telefon, bo jeśli jej ojciec dostaje polecenie podsłuchiwania rozmów, to znaczy, że istnieje takie urządzenie i że jest bardzo prawdopodobne, iż nasze rozmowy też ktoś podsłuchuje.

Kiedy wychodziłem, Kálmán stał przed bramą, zaczerwienił się i powiedział, że przypadkowo tędy przechodził, i choć wtedy już wszyscy przejrzelśmy wzajemnie swoje kłamstwa, to i tak nadal z uporem kłamaliśmy, wracaliśmy z Kálmánem do domu, bo nie znalazł żadnego sensownego pretekstu, żeby tam zostać, w kłamstwie należy wykazać konsekwencję, po drodze wydało mi się, że on też już pogodził się z Prémem i Krystianem, za pretekst posłużyło im to, że Krystian zostawił u niego swoje wojskowe mapy, aż wreszcie, choć z trudem, powoli i z pewnymi zmianami, z końcem lata jakoś ułożyły się na nowo stare przyjaźnie, ale nie były już tak silne jak dawniej, straciły swój smak i temperaturę.

Przebiegle rozumujący Krystian posunął się tak daleko, że nazwał całe zajście teatrem i załagodził je słowami, a nawet wymyślił, co można jeszcze w tym miejscu urządzić; mieliśmy wykarzcować krzaki pod skałą, tam miała być scena, dziewczyny miały szyć kostiumy; mnie Krystian nie chciał dopuścić do ich zabawy, ale dziewczyny nie rozumiały, dlaczego, i mu nie pozwoliły, wydaje się, że konflikt pomiędzy nami nie był dla nich bez znaczenia, więc Kálmán, chcąc nie chcąc, wykombinował, że będę pisał dla nich teksty, nawet poszedłem do niego dwa razy, żeby o tym porozmawiać, ale znów się pokłóciliśmy, i wtedy postanowił, że nie potrzebują żadnych tekstów, on chciał jakąś wojenną historyjkę, ja miłosną, która niewątpliwie w niebezpieczny sposób przypominałaby o tamtych rzeczywistych wydarzeniach, więc swoim uporem spowodowałem, że stałem się im niepotrzebny, zwłaszcza że dziewczynom o wiele bardziej podobało się, żeby walczyły, niż żeby były zakochane.

Tamtego popołudnia Maja właśnie się szykowała na próbę ich przedstawienia, mnie nie zaprosili, ale rzecz jasna, żadne przedstawienie nie mogło już się odbyć, możliwe było tylko tamto jedno, tamto prawdziwe, powstałe przez przypadek, to, o którym należało zapomnieć, kolejnym zawsze stawały na przeszkodzie jakieś dziwne zbiegi okoliczności, bo nasze dziecinne zabawy, choć wydawało się, że jeszcze tego nie czujemy, już raz na zawsze się skończyły.

Czasami jeszcze chodziłem na przełaj przez las, żeby poczuć, dla samego siebie, to, czego tak bardzo się wtedy baliśmy.

Kolejnej wiosny trawa zarosła palenisko.

Myślę, że po takiej obszernej dygresji, kiedy już nie potrafimy rozstrzygnąć, skąd wyruszyliśmy i dokąd dotarliśmy, pora w tych wspomnieniach wrócić do miejsca, w którym je przerwaliśmy, muszę zatem wrócić do skotłowanego łóżka Mai, do jej okrągłych, otwartych ust, do przestraszonych, ale pełnych nienawiści zakochanych oczu, bo jednocześnie chciała i nie chciała, żebym powiedział, co wiem o Kálmánie, a ja nie mogłem powiedzieć tego, co bym chciał; chęć, zamiar, wola potykają się o surową granicę, jaka oddziela od siebie dwie płcie, tu staje się wyczuwalne coś, co działa z większą ode mnie siłą, prawo natury i erekcja; jednocześnie samo wspomnienie lasu wystarczało, żebym odebrał im pewność siebie, zniweczył ich plany, wtrącił się i im przeszkodził, a dreńcza mnie zazdrość nie była taka oczywista.

Tamtego popołudnia chcieliśmy poszperać w dokumentach jej ojca, przez nikogo nie niepokojeni mogliśmy zabrać się do nich od razu, jak tylko do niej przyszedłem, bo Sidonia poszła na randkę, matka wyszła do miasta, ale baliśmy się i mieliśmy powód, by zwlekać; powinienem teraz wrócić do naszej wspominanej łamiącym się głosem tajemnicy, opowiedzieć o niej, bezstronnie dodać, że u nas byłoby jeszcze bardziej niebezpiecznie, bo mój ojciec doskonale wiedział o moim zapale do przeszukiwania wszystkiego i zamykał na klucz szuflady



swojego biurka.

Biurko było wyposażone w chytry zamek, kiedy zamknęło się środkową szufladę, zamykały się wszystkie pozostałe, jednak można było podważyć śrubokrętem blat i zamek się otwierał; my zaś mieliśmy fobię, że oni, nasi ojcowie, są szpiegami i współpracują ze sobą.

Jeszcze nigdy i nikomu nie wyjawiałem tej najstraszniejszej tajemnicy mojego życia.

W zachowaniu ich obydwóch było bowiem tyle tajemniczych momentów, że nasze odważne podejrzenia wcale nie wydawały się całkowicie pozbawione podstaw, a my staliśmy na czatach, tropiliśmy i zbieraliśmy dowody.

Niby znali się tylko pobieżnie, ale nam się wydawało, że udają, iż nie wiąże ich bliska zażyłość; dla nas jednak byłoby bardziej właściwe i jeszcze bardziej podejrzane, gdyby w ogóle się nie znali, ich podróże, których celu nigdy nam nie zdradzali, czasami miały miejsce w tym samym czasie, a kiedy było inaczej, bo jeden wyjeżdżał, a drugi właśnie wracał, to też wzbudzało nasze podejrzenia.

Kiedyś dostałem zadanie, by odnieść do ojca Mai zalakowaną czerwoną pieczęcią, ciężką, żółtą kopertę, innym razem byliśmy świadkami nad wyraz zastanawiającej sceny, ojciec wrócił do domu służbowym samochodem, jej ojciec właśnie jechał do miasta swoim, obydwa auta zatrzymały się na samym środku ulicy Istenhegyi, oni wysiedli, pozornie obojętnie zamienili ze sobą kilka słów i jej ojciec podał coś mojemu ojcu, i to jak szybko!, a kiedy wieczorem, chcąc wziąć go w krzyżowy ogień pytań, zapytałem, co takiego dostał, odpowiedział, że bym nie wtykał nosa w nie swoje sprawy, i podejrzenie się zaśmiał, a ja natychmiast zadzwoniłem do Mai, żeby jej o tym opowiedzieć.

Gdybyśmy znaleźli jakikolwiek obciążający ich dowód, notatkę, zagraniczną walutę, mikrofilm, z kina i ze starych radzieckich powieści wiedzieliśmy, że obciążający dowód zawsze się znajdzie, szukaliśmy w piwnicy, na strychu, szukaliśmy skrytek, gdybyśmy znaleźli coś konkretnego, jakiś dowód, który jednoznacznie by ich obciążał, wtedy moglibyśmy ich zadenuncjować, tak jak sobie przysięgliśmy; bo nic więcej się nie liczy, jeśli są szpiegami, zdrajcami, nie będziemy mieć dla nich litości, niech szeszna, a że przysięgi nie wolno było złamać, toteż wieczne płądrowanie życia naszych rodziców doprowadziło do tego, że baliśmy się, obawialiśmy siebie nawzajem, drżeliśmy ze strachu, maniacko węszyliśmy, w nadziei, że natrafimy na jakiś namacalny ślad i wtedy wszystko wreszcie się skończy, przez skórę czuliśmy w powietrzu zapach przestępstwa, a skoro było przestępstwo, to musi być dowód; baliśmy się jednak zdemaskowania naszych ojców i jednocześnie baliśmy się siebie, ale musieliśmy ukrywać przed sobą ten nasz wzajemny strach, bo obawa o los ojców oznaczałaby w oczach drugiego złamanie naszej przysięgi, zwyczajną zdradę, dlatego ciągle z tym zwlekaliśmy, ciągle opóźnialiśmy nasze działania, przesuwaliśmy moment zdobycia jakiejś pewności.

Wielka i straszna musiała być chwila, którą bezustannie sobie wyobrażałem, że wina dotyczy tylko jej ojca, a ona jest taka bohaterska, że tylko łyzy wściekłości i goryczy błyszczą w jej oczach.

Tamtego popołudnia tak zaplątaliśmy się w swoich ciałach i duszach, że dobrotliwie zapomnieliśmy o naszych prawdziwych zamiarach, o tajemnicy, szukaniu, przysiędze, o których nie mogliśmy jednak zapomnieć bez reszty, bo nasze polityczne przymierze podsuwało nam takie zagadkowo głębokie, wspólne, dla nas samych niepojęte erotyczne udręki i rozkosze, które poprzez swój mrok wydawały się potężniejsze i bardziej intrygujące od naszych niemożliwych do zaspokojenia cielesnych i duchowych pragnień.

Trzeba więc wrócić do porzuconego wątku, nawet jeśli w tym momencie mój wewnętrzny

narrator, choć próbuje dodawać sobie odwagi, no już!, bez obaw!, mocno się waha, ale też się boi, i nie ukrywa, że boi się do dziś, i przyznaje, że szuka nowych wykrętów, wytłumaczeń czy argumentów, mimo że bogactwo syrenich głosów jego uczuć skłania go, by z jeszcze większą wiernością odkrył wszelkie szczegóły, tylko żeby nie trzeba było o tym mówić!, aczkolwiek analityczny zmysł uznałby to za uzasadnione, bo bez tych dygresji coraz trudniej jest mu wyjaśnić, dlaczego dwoje dzieci miałoby chcieć zadenuncjować własnych ojców, dlaczego podejrzewają, że ich ojcowie mogą być agentami wrogich sił, i w ogóle o jakie wrogie siły tu chodzi?, kto i czym jest tu wrogiem?

Byłoby zaś pochopnym i równie prymitywnym wytłumaczeniem, gdybym powiedział, że tamto tajemnicze polityczne przymierze dało nam cień nadziei, że chcemy tych dwóch mężczyzn, których kochamy gorętszą niż kogokolwiek innego cielesną miłością, naszych ojców, wydać w ręce kata i w ten sposób zrzucić z siebie ciężar tej trudnej do zniesienia miłości; pomysłu z denuncjacją w tamtych latach nie można było tymczasem uznać za zwyczajny wytwór dziecięcej fantazji: nasza wyobraźnia zaczynała się i powtarzała niczym płyta gramofonowa, kiedy igła zatrzyma się na czarnym krążku.

Dłużej już nie mogliśmy zwlekać, po prostu nie mieliśmy czasu, stało się to, co miało się stać, wydarzyło się to, co miało się wydarzyć, pomagając sobie dłonią, wyciągnęła stopę spod mojego uda, wyślizgnęła się z naszej bliskości, szybko i nieprzyjemnie, tak jak kiedy przerywamy coś z musu, wstała i udała się w stronę drzwi.

Na środku pokoju odwróciła się i spojrzała za siebie, twarz miała rozpaloną i pokrytą plamami, zapewne tak samo gorącą jak moja, patrzyła na mnie, dziwnie się uśmiechając, wiedziałem, że idzie do gabinetu ojca, a ja czekałem, aż trochę się uspokoję, znów ona okazała się silniejsza, czułem, jak gdyby wyrwała się ze mnie, ale nie potrafiłem się uspokoić, bo kiedy stała tam uśmiechnięta, na środku pokoju drżącego w zielonym cieniu, wracał do mnie echem głos Kálmána, że trzeba było ją przetrząść, a ja odpuściłem zamiast niego to, na co on daremnie czekał.

Jej uśmiech był szczególny, bo nie było w nim ani wyższości, ani drwiny, może tylko odrobina smutku, uśmiechała się do samej siebie, nie do mnie, mądrym, dojrzałym uśmiechem, uśmiechem, w którym nie o to chodzi, by za pomocą pozornej przemocy rozwiązać niemożliwą do rozwiązania sytuację, lecz o to, iż zwyczajnie rozumiała, że jeśli człowiek nie czuje się w danej sytuacji dobrze, jeśli nie znajduje w niej spełnienia, to wówczas, niczemu nie zaprzeczając, musi ją zmienić.

Każda najmniejsza zmiana naszej sytuacji daje nadzieję, tak samo jak odnalezienie się w niej też jest nadzieją.

Nawet wówczas, gdy nowa sytuacja, którą zbudowała dla siebie i dla mnie, idąc w kierunku drzwi, wydawała się podobnie niemożliwa do rozwiązania i z etycznego punktu widzenia tak samo katastrofalna, jak poprzednia, z której się wyślizgnęła; a jednak to była zmiana, a każda zmiana i każda nowa sytuacja są jakoś tam optymistyczne.

Siedziałem na jej skotłowanym łóżku, moje rozpalone ciało ciągle jeszcze czuło żar poprzedniej godziny, tamten ogrom energii i temperatury, który w rezultacie do niczego nie doprowadził, pozostał we mnie, pozostał w łóżku, pozostał w niej, a pokój spoglądał na nas zimny i obojętny, nie umiałem podjąć wyzwania i zrobić kroku naprzód, nie tylko z powodu chwilowej niesalonowej kondycji mojego ciała, ale dlatego, że jej uśmiech przepłynął we mnie kolejną gorącą falą wdzięczności i podziwu.

Aczkolwiek to stwierdzenie dziś wydaje się po prostu głupie; jak gdybym w tamtym

momencie czuł wielką, choć do niczego niezobowiązującą wdzięczność za to, że jest dziewczyną, i choć nie mam najmniejszej ochoty grzebać razem z nią w dokumentach jej ojca, pójdę z nią tam.

Jak gdyby ona wiedziała lepiej; wiedziała, jak te tajemne poszukiwania są bliskie temu, co czują nasze niezaspokojone ciała.

A potem bez słowa wyszła z pokoju.

Nigdy nie kochałem jej tak bardzo jak wtedy, kochałem ją za to, że jest dziewczyną, co może wcale nie jest takie głupie, jakby się w pierwszej chwili mogło wydawać.

Kiedy po wielu długich minutach moje ciało było już gotowe, bym mógł pójść za nią i zmienić sytuację, przeszedłem przez pustą jadalnię i wszedłem do gabinetu, siedziała już przy biurku ojca, tyłem do mnie, i czekała, nie chciała beze mnie zaczynać.

Biurko było ogromne, z różnymi tak pod względem wielkości, jak i kształtu szufladami, przegródkami, nieprzyjaźnie ciemne i proste, stało na cienkich, krótkich nóżkach, wypełniając niemal cały pokój, przypominało otyłe, stare zwierzę.

Żeby nie zamykał drzwi, odezwała się cicho zniecierpliwionym, niemal wrogim głosem, jest późno, co miało znaczyć, że niebawem mogą wrócić.

Nie musiała tego mówić, prawie zawsze zostawialiśmy lekko uchylone drzwi, żeby nie było nas widać, ale żebyśmy mogli usłyszeć, gdyby ktoś się zbliżał, gabinet bowiem był niczym pułapka na myszy, ślepa kiszka, stanowił najodleglejszy pokój w całym domu, taki sobie zakamarek, nie można było z niego uciec, najwyżej nieporadnie się wycofać, potykając się o nogi fotela.

Kiedy już się tu zakradliśmy, choć próbowaliśmy nad sobą panować, nasze oddechy stawały się głośnie, urywane i świszczące, musieliśmy wszystko brać do rąk zbyt mocno i zbyt powoli, żeby nie było widać, że trzęsą się nam ręce, to drżenie zdradzało nas, jedno przed drugim, dlatego nawet wtedy odzywaliśmy się do siebie wrogim głosem, gdy nie było po temu żadnej przyczyny ani powodu, ale w tym pokoju zawsze się nam wydawało, że to drugie robi coś złe, niezręcznie i nieporadnie.

Trudno powiedzieć, które z nas było w większym niebezpieczeństwie, może nawet ona, bo gdybyśmy jednak coś znaleźli, dowody obciążałyby przede wszystkim jej ojca, więc nawet zirytowany musiałem być wobec niej bardziej wyrozumiały niż ona wobec mnie, z drugiej zaś strony, jeśli ktoś by nas przyłapał na tych poszukiwaniach, to ja znalazłbym się w gorszym położeniu, bo miałem jeszcze mniejsze prawo dotykać obcych przedmiotów i papierów niż ona, dlatego starałem się tak poruszać po pokoju, że gdybym usłyszał kroki, to ja mógłbym wymknąć się pierwszy, nawet gdybym miał tym wyrządzić jej krzywdę, ale to była właśnie ta moja mała przewaga.

Wprawdzie było mi trochę wstyd, ale nie potrafiłem zrezygnować ze swojej przewagi; przygotowany na najgorsze, ułożyłem sobie następujący plan: jeśli w ostatniej chwili usłyszę kroki, szybko nacisnę klamkę!, jak gdybym tylko się jej przyglądał, zobaczy, przecież tylko trzymam rękę na klamce, niczego nie dotknąłem!, choć już sam taki zamysł był godnym pożałowania tchórzostwem.

To napięte do granic możliwości, nieznośne, raptownie narastające podniecenie nie miało jednak wpływu na wykonywane przez nas czynności, nie wolno było nam działać w pośpiechu, musieliśmy być dokładni aż do bólu, ostrożni i wykonywać wszystko powoli, nie mogliśmy zachowywać się jak dyletanci, przypadkowi złodzieje, wywracający wszystko do góry nogami w poszukiwaniu kosztowności i pieniędzy, a potem uciekający w popłochu; z jednej strony

z natury rzeczy nie mogliśmy dążyć do szybkich efektów, z drugiej, wszystkie dane były dla nas równie istotne, tak więc mimo podniecenia i zniecierpliwienia musieliśmy wykazać ascezę, opanowanie i pokorę, stać się po prostu doskonałymi fachowcami.

Na samym początku musieliśmy dokładnie przyjrzeć się znanym na pamięć miejscom, zgodnie, że tak powiem, z ustalonym porządkiem i zasadami, u nich ona oczywiście prowadziła prace, u nas do moich obowiązków należało dokładne wysuwanie szuflad, musieliśmy wykonać te niezbędne zadania, by potem wspólnie stwierdzić, czy od poprzednich przeszukiwań nie zaszły jakieś istotne zmiany; zazwyczaj przeszukiwaliśmy biurka co dwa tygodnie, czasami co miesiąc, to był wystarczający czas, by w zawartości niektórych szuflad pojawiły się znaczące różnice, dokumenty czy przedmioty na pewien okres lub na zawsze zniknęły, albo zmienił się ich porządek, albo na miejscu tych rzeczy, których już nie ma, pojawiały się kolejne, pod tym względem u nich mieliśmy trudniej, bo jej ojciec, choć może nie był bałaganiarzem, to z pewnością nie był takim przewidywalnym pedantem jak mój, który nigdy nie utrudniał nam pracy chaotycznym nieładem czy nerwowym wyciąganiem dokumentów jeden spod drugiego.

Te pierwsze trzeba powoli, Maja cicho wyciągała szuflady, patrzyłem znad jej ramienia, jak wysuwa jedną po drugiej, bez pośpiechu, nie na siłę, znaleźliśmy rytm, w jakim obydwójce pracujemy, ile dokładnie potrzeba nam czasu, żeby uważnie przyjrzeć się zadaniu i ocenić sposób jego wykonania, zapamiętać budowę szuflad, ich kształt, co pozwalało nam na dokonywanie szybkich porównań, bez tego, żebyśmy zamienili ze sobą choć słowo, w takich momentach prowadziliśmy ze sobą nasze zawodowe dysputy dotyczące istoty naszego zadania; a tu przecież chodziło o honor i wielkie polityczne znaczenie naszej dobrowolnie podjętej pracy wywiadowczej, czasami bowiem zbyt szybko wsuwaliśmy z powrotem jakąś szufladę, czasami czegoś nie dostrzegaliśmy albo co gorsza pracowaliśmy tak, jakbyśmy nie dostrzegali zmian, które zaszły od poprzednich poszukiwań, w takich chwilach zawsze to drugie dawało spojrzeniem sygnał, że stop, tu trzeba poprawić, a nasze role zmieniały się w zależności od tego, u kogo prowadziliśmy poszukiwania, u nas ona kontrolowała mnie, u nich ja ją, musieliśmy jednak się pilnować, by ta kontrola nie była adresowana osobiście, żeby wynikała z podejrzliwości, ale jej nie sugerowała, żeby dotyczyła jedynie tego nieuniknionego, acz żalostnego faktu, że bezwiednie, instynktownie chcemy chronić naszych ojców, co oczywiście miałyby zgubny wpływ na naszą pracę; jakaś wyraźnie zmieniona, nerwowo i w pośpiechu otwarta szuflada, nowy plik papierów czy inna niż zazwyczaj koperta w sposób oczywisty nas niepokoiły, ale kontrolujący musiał takie typowe dla dyletantów zdenerwowanie z wielkim wyczuciem, delikatnie zignorować, ocenić wszystko trzeźwym i surowym wzrokiem, a z uwagi na powagę naszego zajęcia i konieczną do jego wykonania rzeczowość przewyciężyć w tym drugim ewentualne głębokie dziecięce opory; nie mógł jednak być brutalny, stosować przemocy ani drwić, niekiedy nawet dla osiągnięcia celu udawaliśmy, że nie widzimy tego, czego to drugie nie dostrzegło albo nie chciało dostrzec, i dopiero później, niby przez przypadek, nieoczekiwanie wracaliśmy do krytycznego momentu, by zaatakować wyższością naszej inteligencji.

I dopiero potem mogła się rozpocząć prawdziwa, odpowiedzialna praca, szczegółowe studiowanie karteczek, notatek, listów, rachunków i dokumentów, nigdy nie robiliśmy tego na siedząco, zawsze staliśmy obok siebie, niemal w swoim cieple i oparach potu, jednocześnie wszystko czytaliśmy, z wielką pasją chłonąc skądinąd nieciekawe, nudne, wyrwane z kontekstu i niezrozumiałe informacje, i dopiero wówczas, gdy stało się jasne, że jedno z nas nie rozumie bądź rozumie opacznie któreś z poleceń, albo zachodzi obawa, że może wyciągnąć niewłaściwe

wnioski, przełamywaliśmy ciszę słowami.

Nie zauważaliśmy, co wyprawiamy ze sobą nawzajem i z nami samymi, w imię osiągnięcia celu nie chcieliśmy przyjmować do wiadomości własnych uczuć i przerażenia, które w wyniku tych czynności oblepiały nasze serca, żołądki, jelita.

Bo oczywiście znajdowaliśmy nie tylko oficjalne i służbowe dokumenty, ale także korespondencję, której wcale nie szukaliśmy, najrozmaitsze listy miłosne naszych rodziców, pod tym względem materiał w szufladach mojego ojca był niestety trudniejszy, ale kiedy już trafiły w nasze ręce i dokładnie, bezlitośnie, ze szczegółowością fachowców zagłębiliśmy się w nich, jak gdybyśmy, jako śledzący przestępstwo, w imię zachowania ideowej czystości wkroczyli do zamkniętej strefy najgłębszych i najciemniejszych miłosnych emocji, do tajemniczego kokonu, sami stawaliśmy się przestępcami, wina bowiem jest zaraźliwa, kto ściga przestępcę, sam też musi stać się przestępcą i głęboko przeżyć okoliczności oraz motyw popełnionej zbrodni, trafiliśmy więc tam, gdzie nie tylko my nie powinniśmy się znaleźć, ale gdzie, jak dowodziły znalezione listy, oni także poruszali się potajemnie niczym zbrodniarze niezdolni do odczuwania skruchy.

W biblijnej przypowieści przypominającej nam, że nikomu nie wolno oglądać nagiego przyrodzenia własnego ojca, kryje się tedy głęboka mądrość.

Gdybyśmy odkryli to sami, nie we dwoje, ale w samotności, może udałoby się nam szybko odseparować od zakazanej wiedzy, umiejętność zapominania bywa w podobnych okolicznościach prawdziwym druhem, ale w tym przypadku nasze większe od przyjaźni, choć jeszcze nie miłosne przymierze, pełne namiętności i namiętnych podejrzeń, jeszcze bardziej utrudniało sytuację; obydwójce, i nie zapominajmy!, nie doznawszy zaspokojenia, weszliśmy w posiadanie tajemnicy, której przedmiotem były właśnie namiętność, wzajemność i zaspokojenie, a to, o czym wiedzą dwie osoby, nie jest już tajemnicą; za jej przyzwoleniem poznałem przecież treść listów pisanych przez kobietę noszącą imię Olga oraz przez matkę Mai, i obydwie, odczuwając najwyższy stopień uczuciowej i fizycznej egzaltacji, klnąc się, przekonując, szantażując oraz przymilając się, błagały, by ojciec ich nie zostawiał, zgodnie z tradycją miłosnej korespondencji ozdabiały kartki obrysowanymi kroplami łez, puklami włosów, suszonymi kwiatami i narysowanymi czerwoną kredką serduszkami, co dla nas, znających już surową siłę namiętności, było niezgodne z wyrafinowanym poczuciem dobrego smaku i nadzwyczaj odrażające, Maja zaś za moją zgodą i przy mojej skwapliwej pomocy mogła poznać dużo bardziej purytańskie w tonie listy pisane przez Jánosa Hamara do mojej matki i listy Marii Stein do mojego ojca, oni pisali o tym, co czują do siebie nawzajem w tym skomplikowanym do niemożliwości czworokacie, a ponieważ się o tym dowiedzieliśmy, musieliśmy dokonać oceny, ułożyć sprawę na właściwych im miejscach, jakoś je uporządkować, czyli wydać wyrok, co oczywiście przekraczało nasze, jak się nam dotychczas wydawało, niezłomne moralne siły.

Skąd mieliśmy wiedzieć to, co wiem już dziś, że związek nas dwojga, pod postacią karykaturalnej, diabolicznej zabawy powtarzał, niejako kopiował, zachowania naszych rodziców, a do pewnego stopnia także okrutne praktyki oficjalnie głoszonych idei tamtej epoki, sama rola śledczych nie była niczym innym jak nieporadną, dziecinnie wypaczoną, żalną co do jakości reprodukcją, można by ją nazwać małpowaniem, ale równie dobrze zgłębianiem ich życia; ojciec Mai był przecież generałem wojskowego kontrwywiadu, mój ojciec prokuratorem, obydwójce więc za ich sprawą, czytając i studiując skreślone przez nich słowa, przypadkowo i wbrew własnej woli wplątaliśmy się w działalność profesjonalnego ścigania przestępców czy,

mówiąc ściślej, ta zamieniona przez nas w zabawę działalność pozwoliła nam przeżyć ich życie, które nam wydawało się wspaniałe, niebezpieczne, ważne, co więcej, godne szacunku, a ich przeszłość i młodość, jak wynikało z zawartości szuflad, były pełne przygód, prawdziwych niebezpieczeństw, ukrywania się i fałszerstw; gdybym posunął się dalej, a dlaczego miałbym tego nie zrobić?, musiałbym powiedzieć, że to oni poświęcili nóż, którym zamierzaliśmy się na ich życie, w tym znaczeniu nie tylko prowadziliśmy naszą zabawę, lecz także się nią cieszyliśmy; z radością udawaliśmy dorosłych, wczuwaliśmy się w swoje dobrowolnie przyjęte polityczne role, i było to nie tylko przerażające, nie tylko pełne strachu i poczucia winy, ale też dawało wspaniałe poczucie władzy, że możemy nad nimi, potężnymi i poważanymi mężczyznami, sprawować kontrolę, w imię i w interesie etycznej zasady, która właśnie z ich punktu widzenia była uważana za najświętszą, i nie była niczym innym jak ideową, ascetyczną, doskonałą, niepokalaną czystością komunisty; cóż za okrutna ironia losu, że oni cały czas nie byli niczego świadomi, dlaczego bowiem mieli przypuszczać, że w oczyszczającym ogniu ich praktycznego zapału na próżno mordują tysiące swoich rzeczywistych i sfingowanych wrogów, skoro na własnym łonie hodują żmiję, bo kto bardziej i ostateczniej niż my pognębił ich idee?, kto wystawił je na większą próbę niż właśnie my, którzy robiliśmy to całkiem nieświadomie?, i z kim mieliśmy się podzielić tym strasznym poczuciem winy, skoro tak wobec nich, jak i wobec nas samych pełni byliśmy szatańskich podejrzeń, które zaszczerpił w nas nie kto inny, jak właśnie oni, postępujący dokładnie w taki sam sposób?, no, z kim?, o takich sprawach nie mogłem przecież rozmawiać ani z Krystianem, ani z Kálmánem, ona nie mogła mówić o tym z Hédi ani z Liwią, bo niby jak miałyby zrozumieć, o co tu chodzi?, i nawet jeśli naszym światem rządził duch tej samej epoki, to wszystko było dla nich zbyt dalekie, zbyt obce i zbyt odpychające.

Nasza tajemnica wprowadziła nas w świat ludzi potężnych, sprawiła, że staliśmy się dojrzały i mądrzy, choć byliśmy niedojrzały, wyświęciła nas i oddaliła od świata poddanych, gdzie wszystko funkcjonowało prościej i zwyczajniej.

Te miłosne listy jednoznacznie i otwarcie mówiły o godzinach, kiedy dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie zostaliśmy spłodzeni, przez przypadek, bo oni chcieli mieć nie nas, ale swoją miłość.

Na przykład Maria Stein w jednym z listów do mojego ojca opisywała ze szczegółami, jak jej jest w objęciach Jánoša Hamara, a jak wtedy, gdy obejmuje ją mój ojciec, dokładnie pamiętam, że w tym liście największy kłopot sprawiła mi wartość stylistyczna tego wyrażenia, chciałem rozumieć je tak, jak gdyby chodziło o uścisk, takie przyjacielskie objęcia i uściski, a przecież bez wątpienia chodziło o coś innego, co dla małego dziecka jest trochę takie, jak gdyby parzące się zwierzęta nagle zaczęły mówić, rzecz ciekawa, aczkolwiek niepojęta, listy, jakie moja matka wtedy dostawała, jeszcze przed moimi narodzinami, od Jánoša Hamara, który tak samo tajemniczo i niespodziewanie jak Maria Stein znikł z naszego życia, też nie były o wiele bardziej powściągliwe, kiedyś po prostu przestali do nas przychodzić, a ich brak musiało przykryć sugerowane i inspirowane przez rodziców niepamiętanie; Maję najwyraźniej dręczyło, że jej ojciec ciągle spotyka się z kobietą o imieniu Olga, choć przed matką udaje, że wszystko już dawno jest skończone, ale ponieważ bardziej kochała ojca, musiała w milczeniu akceptować jego oszustwa.

Kiedy czytaliśmy te listy, aniołowie chyba zasłonili dłońmi oczy Boga.

A my ułatwialiśmy sobie zadanie, czytając je szybko, uznając za nieważne i niezbyt interesujące, odkładaliśmy na bok, no bo co to ma znaczyć, żeby starsi, poważani przez

wszystkich ludzie wypisywali do siebie takie świństwa!, i tak, studząc gorączkę naszej ciekawskiej natury, z jeszcze większą gorliwością szukaliśmy przewiny, której nie było, a nawet jeśli była, to innego rodzaju.

Tylko że ja nie mogłem już tego wytrzymać, nie żebym coś przemyślał albo postanowił, raczej czułem wobec całej tej sprawy daleko posuniętą, absolutną obojętność, a szuflady i znajdujące się w nich papiery już przestały mnie interesować, choć jeszcze przed chwilą interesowały, a teraz, nie wiem dlaczego, już mnie nie interesują, i muszę stąd wyjść.

Na dworze słońce chyliło się ku zachodowi, w środku panował miły mrok, w którym wielkie biurko w małym pokoiku wydawało się ładne, jeszcze bardziej wyraziste i jakieś smutne, na pokrytym kurzem, gładkim, ciemnym blacie jeszcze było widać ślady palców Mai, zdradzające, że czegoś tam szukała.

I to dziwne, nieznanne, niesamowicie lekkie uczucie, że jestem, nie ot tak, ale z pełną odpowiedzialnością, i że nie powinienem już robić tego, co dotychczas robiłem, i że to nie jest tchórzostwo, lecz właśnie odwaga; przeszkadzało mi jednak, że zgarbiona i skurczona wzrusza ramionami, przeszkadzały mi ten gest i te ślady, świadomość własnej cielesności, rozbudzona erekcją wywołaną przez jej ciało, chyba już oddaliła mnie od tamtej wystylizowanej na dorosłe działanie dziecinnej zabawy, nie wiem, w każdym razie czułem, że muszę się z tego wyplątać!, i jak gdybym nie lubił niczego więcej, tylko te ładne, szczupłe, nerwowe ramiona, bo przecież podobało mi się, że jest tak nieporadnie chudziutka w tej swojej matczynej sukience, lubiłem je bardziej niż piękne, spokojne, niewzbudzające we mnie takich myśli, pełne ramiona Hédi, przynajmniej bardziej mnie one podniecały, chciałem, żeby się rozluźniła i żeby była taka, taka!, ale jaka, tego moje odczucia nie mogły mi podpowiedzieć, a jeślibym się teraz odezwał, że tego chcę, to właśnie stanie się to, czego nie chcę.

Wiedziałem, że ją stracę, że czegoś już nie będzie, ale nie sprawiało mi to bólu ani nie wywoływało we mnie strachu, po prostu czułem, jak gdyby już stało się we mnie to, co za chwilę nastąpi, że coś między nami pęknie, coś się skończy i że należy tego żałować.

Nie chciałem być chamski, tego byłoby już za wiele, nie wolno mi było zachować się zbyt obcesowo.

Ktoś idzie, odezwałem się cicho.

Właśnie wyciągała dolną szufladę biurka, zatrzymała rękę w powietrzu, bezwiednie wsuwając szufladę, nadstawiła uszu, ale nie usłyszała hałasu kroków, zdziwił ją tylko mój głos i cała ta sytuacja, nie rozumiała, dlaczego kłamiąc, nie próbuję nawet ukryć swoich kłamstw, i że to w sumie nieprzyzwoite.

Spojrzała na mnie, nie zabierając dłoni z szuflady, jak gdyby dostała policzek, choć może nawet nie sprawiłoby to jej przykrości.

Nic się nie stało, wydawało mi się tylko, że ktoś idzie, odezwałem się głośniejszym głosem i choć dla uwiarygodnienia własnych słów powinienem był wzruszyć ramionami, to jednak nie wzruszyłem, czym dałem jej do zrozumienia, że w dalszym ciągu świadomie ją okłamuję, a mój wzrok przykuła zachodząca w niej subtelna zmiana, której przyczyną był rodzący się w niej, ale nieznanający swego przedmiotu gniew, poczerwieniała, jak gdyby się zawstydziła, i stało się to, na co tak długo czekałem, rozluźniła się na całym ciele, kiedy siedziała w kucki przed biurkiem, rozluźniły się jej ramiona.

Nie rozumiała mnie i było jej z tym dobrze.

Muszę iść do domu, powiedziałem i zabrzmiało to bardzo cynicznie.

Chyba oszalałem, zapytała.

Przytaknąłem głową, a dziwne uczucie lekkości stało się we mnie jeszcze silniejsze, bo przecież tu nie ma czego tłumaczyć!, i nie wolno było zniszczyć tego uczucia.

Uczucie było tak kruche, że obawiałem się, by nie znikło, bo wtedy wszystko znów będzie takie trudne jak kiedyś; trzeba się z nim ostrożnie obchodzić, i ta czujność, ostrożność oraz próba utrzymania wewnętrznej równowagi nie pozwalały mi nagle się wycofać i wyjść z pokoju, musiało być tak, jak chciała, żeby przynajmniej nic nie zdarzyło się bez niej, czułem jednak, że tu zostanie.

Chodź ze mną, powiedziałem, bo nagle chciałem bardzo dużo powiedzieć.

Wstała powoli, płaszczyna jej twarzy znalazła się blisko mnie, była poważna, z zaskoczenia otworzyła okrągłe usta, na czole nad nosem pojawiła się pionowa zmarszczka, jak gdyby czytała i chciała zobaczyć z daleka litery, które ma przed oczyma.

Od razu wiedziałem, że to niemożliwe, że musi tu zostać i że to dość przykra sprawa.

Tchórzliwy gnojek, powiedziała, jak gdyby odezwała się tylko po to, żeby zamknąć usta i żebym nie widział, że natychmiast wszystkiego się domyśliła.

Odkryła moje ukryte zamiary, i ten uśmiech, który dostrzegła na moich ustach, nie chciałem się uśmiechać, ale uśmiechałem się w duchu, wzbudził w niej taką nienawiść, że znów poczerwieniła, bo musiała się w moim imieniu wstydić mojej nikczemności.

I żebym już sobie poszedł, na co czekam, niech sobie już idę w cholere, srajdek, idź w pizdu, nie stercz już tu, miałem ochotę ją ugryźć, i kiedy moje usta i zęby chwyciły światło załamujące się na ciemnej skórze jej plujących warg, przykneła oczy, ale ja nie zamknąłem swoich, bo zajmowała mnie nie ona, lecz kłębiące się we mnie uczucie, i kiedy jej usta poruszyły się pod moimi zębami, zobaczyłem, jak zadrżały jej powieki.

Chciałem chwycić zębami jej wargi, ale miękkie, rozwarte, ciepłe i zaciekawione ruchy jej ust pragnęły moich warg, i nagle oderwaliśmy się od siebie, gdy jej usta wyczuły moje zęby.

Kiedy wyszedłem z bramy ich ogrodu i ruszyłem w górę po stromo wznoszącej się ścieżce, chciałem, żeby czekał na nią Kálmán, wyobrażałem sobie, że dam mu znak ręką, żeby poszedł do Mai, co oczywiście mogło mieć miejsce jedynie w mojej wyobraźni, bo był daleko, wszyscy byli daleko, i wreszcie zostałem sam z moim uczuciem.

Jak gdyby natura pozwoliła mi poznać uczucie, kiedy dwa ciała zespalają się ze sobą.

Dziś już wiem, że to wyjątkowe, nigdy jeszcze niedoświadczone, wielkie i cudowne uczucie, które zaczęło we mnie kiełkować, gdy moje ciało dało mi odczuć, czym jest znane mi w moim ojczystym języku od trzynastu lat słowo „dziewczyna”, nabrało pełnych kształtów, kiedy to samo moje ciało nie pozwoliło mi przeszukiwać z nią biurka, uczucie, które niosłem ze sobą ścieżką prowadzącą do mojego domu, niczym cenny skarb, żeby nie stała mu się krzywda, i które tak mnie oderwało od rzeczywistości, że nie zauważałem, którędy idę, stawiałem stopy jedną za drugą, jak gdyby nie moje ciało było moim ciałem, ale było nim tamto uczucie; trzymając je w objęciach, szło sobie w letnim zmierzchu to ciało przez las dobrze znaną mu ścieżką, zauważając kątem oka, że podczas gdy idzie wzdłuż ogrodzenia okalającego zamkniętą strefę, cały czas podąża za nim pełniący służbę pies, ale ciało się go nie boi, nie odczuwa przerażenia, nie czuje go, bo tamto uczucie jest właśnie po to, by odsunąć to wszystko, co nieprzyjemnie mroczne, pełne winy, tajemnicze i zabronione, dziś już wiem, że właśnie wtedy, o zmierzchu, tamto uczucie spowodowało, że dokonał się we mnie całkowity zwrot, że nie powinienem chcieć zrozumieć tego, czego nie mogę wiedzieć i nie mogę zrozumieć, nie powinienem już tego chcieć!, żebym nie musiał wpadać w przepaść przerażenia, kiedy tak jednoznacznie daje mi do zrozumienia, gdzie jest moje miejsce wśród żywych istot, co jest bez



wątpienia znacznie ważniejsze od idei ciała i stopnia jego czystości; byłem szczęśliwy, mógłbym dodać: pierwszy raz w życiu, gdybym nie sądził, że poczucie szczęścia nie jest niczym innym jak wyparciem się wspomnień, byłem szczęśliwy, bo czułem, że ten ogarniający mnie nagle, kierujący każdym moim najdrobniejszym ruchem, słodki spokój raz na zawsze położył kres wszystkim moim udrękom.

Położyła im kres jednym pocałunkiem, choć wróciło w nim wspomnienie innego bolesnego pocałunku, w tamtej chwili na ustach Mai żegnałem się z Krystianem i żegnałem się z moim dzieciństwem, jednoznacznie, świadom wszystkiego, jak ktoś, czyje wprawne w smutku i przerażeniu członki znają już wszystkie możliwości, kto rozumie znaczenie słów, zna zasady, nie musi więcej eksperymentować i szukać, tak właśnie byłem szczęśliwy, to uczyniło mnie szczęśliwym, choć to uczucie, bez wątpienia wiele tłumaczące i wielce pomocne, uczucie, które samo przemija i sprawia, że przemija wszystko inne, nie było oczywiście niczym więcej, nie było niczym innym, jak łaską daną na krótką chwilę broniącemu się ciału.

Tak właśnie chronią nas nasze uczucia, oszukują nas, by ochronić, dają coś dobrego, a my chwytamy się tej przelotnej radości i pod płaszczykiem szczęścia natychmiast wraca zło, i to nie jest wcale oszustwo.

Mówię tu o chwilowej łasce, bo choć to prawda, że razem z Mają już niczego więcej nie szukaliśmy, że moje uczucie, moje przerażenie i poczucie dającego ochronę szczęścia położyły kres naszym perwersyjnym zajęciom, nasze kontakty niemal się urwały, nie wiedzieliśmy, co możemy razem robić, bo co mogło być bardziej interesujące niż wzajemne perwersyjne grzebanie się w naszych uczuciach do własnych rodziców, a ponieważ nie istniało od tego nic bardziej intrygującego, zachowywaliśmy się tak, jak gdybyśmy się na siebie obrazili, i tylko z przekąsem się pozdrawialiśmy, żeby pod pozorem obrazy zapomnieć o rzeczywistych powodach naszego gniewu.

Ja już prawie o wszystkim zapomniałem, od tamtego czasu minął prawie rok.

Aż wreszcie pewnego niewinnego, wiosennego popołudnia, kiedy wróciłem ze szkoły do domu, zobaczyłem na wieszaku obcy płaszcz, i we wszystkim, co się później wydarzyło, podstępnie wychyły na powierzchnię mojej świadomości tłumione podejrzenia, grzechy i zakazana wiedza, które, krocząc wprawdzie niewłaściwą drogą, zebraliśmy z Mają dzięki mrocznej rozkoszy naszych nierozważnych zabaw.

Te głupie poszukiwania przecież też podszeptęło nam nasze przeczucie, syczało nam do uszu, że wokół nas, mimo natrętnych pozorów i naszej dobrotliwej łatwowierności, coś jednak jest nie w porządku, szukaliśmy więc przyczyny, wytłumaczenia, a ponieważ ich nie znajdowaliśmy, doświadczyliśmy szkarady wątpliwości, poznaliśmy na wskroś uczucie, które przecież stanowiło zmysłową formę realiów ówczesnej historii.

Ale jak mieliśmy zrozumieć, jak mieliśmy pojąć naszymi dziecinnymi umysłami, że w naszych przeczuciach ukazuje się nam najpełniejsza prawda?, chcieliśmy czegoś bardziej namacalnego, niż mieliśmy w rękach, i tak oto nasze przeczucia uchroniły nas przed naszymi uczuciami.

Jeszcze nie wiedzieliśmy, że los, który kiedyś ukarze nam prawdziwą treść naszych przeczuc i objaśni związki zachodzące pomiędzy pozornie niezwiązanymi ze sobą uczuciami, dosięgnie nas potajemnie, zbliżając się określonymi drogami, cicho i bez sensacji, i że nie należy go pospieszać, nie wolno, a nawet nie można.

Przybędzie do nas zimowego popołudnia, niemal takiego samego jak wszystkie pozostałe, wejdzie do domu pod postacią obcego płaszcza, płaszcz będzie miał nieładny zapach, stęchlizny

albo biedy, i tylko jeden guzik będzie przypominał guziki przy płaszczu Krystiana, i może trochę kolor.

Ten płaszcz wiszący w przedpokoju mówił jednoznacznie, że mamy gościa, szczególnego gościa, bo poważny, ponury płaszcz nie przypominał tych, które zazwyczaj wisiły w przedpokoju, nie należał też ani do lekarza, ani do nikogo z rodziny, przybył z głębin wyobraźni, z krainy strachu i zapomnienia; nie było słycać żadnych obcych hałasów, wszystko było tak jak zawsze, otworzyłem drzwi do pokoju mamy i, nie dostrzegając własnego zaskoczenia, zrobiłem kilka kroków w kierunku łóżka.

Przed jej łóżkiem klęczał jakiś obcy mężczyzna, trzymał matkę za rękę i płakał z twarzą pochyloną nad jej ramieniem spoczywającym na kołdrze; trzęsły mu się ramiona i plecy, całował matkę w dłoń, a ona wolną ręką obejmowała głowę mężczyzny, wsuwając palce pomiędzy krótkie, niemal całkiem siwe włosy, i jak gdyby chciała, chwytając za włosy, przyciągnąć do siebie jego głowę, pocieszała go czule.

Właśnie to zobaczyłem, wchodząc do pokoju, nienawiść rozrywała moją pierś niczym nóż, a więc to nie tylko János Hamar, jest jeszcze ktoś!, jednak zrobiłem te kilka kroków w stronę łóżka, nienawiść sama mnie tam prowadziła, wtedy mężczyzna zabrał rękę z jej głowy, niezbyt szybko, matka puściła jego włosy, spojrzała na mnie, podnosząc się na poduszkach, przestraszyła się, że odkryję jej straszną tajemnicę, i powiedziała, że bym natychmiast wyszedł.

Ale mężczyzna powiedział, żeby podszedł bliżej.

Mówili jedno przez drugie, matka łamiącym się głosem, chwytając się za szyję, by zapiąć rozchylony, miękki, biały szlafrok, ukryć, że koszulę też ma rozpiętą, dzięki czemu wiedziałem, co robili, pokazała, pokazała temu obcemu swoją pierś!, pokazała pierś, że jest odcięta, pokazała ranę, a obcy mężczyzna mówił do niej czułym głosem, miękkim, jak gdyby się ucieszył, że niespodziewanie wszedłem w tak niewłaściwym momencie; w końcu zmieszany i nieco skonsternowany sprzecznymi sygnałami zostałem w pokoju.

Smukłe wiązki popołudniowego światła ostro wpadały do sypialni, zimowy blask rysował na podłodze esy-floresy ze zsuniętych zasłon, wszystko huczało, nieprzyjemnie huczało światło, na dworze kapała z rynny woda, bulgotała w rynsztokach, chlupotał topniejący śnieg spływający z dachu, wdzierał się do uszu, jak gdyby ktoś wzmocnił jego dźwięk; wiązka światła, pozostawiając ich w cieniu, sięgała tylko do nóżek łóżka, pod którym leżała paczuszka krzywo przewiązana sznurkiem, kiedy mężczyzna rozprostował się, otarłszy z twarzy łzy, uśmiechnął się i wstał, już wiedziałem, kim jest, ale nie chciałem tego wiedzieć, jego garnitur też wydał mi się dziwny, tak samo jak płaszcz na wieszaku, miał na sobie jasny, lekko spłowiały letni garnitur, był bardzo wysoki, wyższy niż ten János Hamar, którego pamiętałem i którego nie chciały rozpoznać moje przecucia, bo szum moich przecuć chronił inne uczucia, jego twarz była piękna i blada, garnitur i biała koszula wymięte.

Zapytał, czy go poznaję.

Patrzyłem na czerwone znamię na jego czole, zauważyłem, że choć otarł łzy, jedno oko ciągle miał załzawione, i odpowiedziałem, że go nie poznaję, nie chciałem go rozpoznać, poza tym było w nim coś całkowicie nieznanego, ale powiedziałem to przede wszystkim dlatego, że chciałem wytrwać w kłamstwie, za pomocą którego rodzice na całe lata usunęli go z mojego życia, wytrwać w kłamstwie z nadzieją, że w ten sposób odsunę go od matki.

Ale moja ukochana matka mnie nie rozumiała albo nie chciała zrozumieć, i znów kłamała, musiała kłamać, tym mnie odpychała i niszczyła, zachowywała się tak, jak gdyby nadzwyczaj ją zdziwiło, że nie poznaję tego mężczyzny, udawała przed nim i swoim zdziwieniem starała się

stwarzać pozory, że po prostu często zapominam różne rzeczy i dlatego nie poznałem go; zdenerwowana własnymi kłamstwami mówiła oschłym, zdławionym głosem, wtedy wydawało mi się to odrażające, dziś jednak, kiedy już wyleczyłem głębokie rany dziecięcych traum i zwalczyłem w sobie wstyd za moją drętwotę, jej dyscyplina wydaje mi się raczej godna szacunku, wszedłem do pokoju w najbardziej dramatycznej chwili ich spotkania, nie mogła postąpić inaczej, ukryła się w swojej roli, jak gdyby miała tylko odegrać, że jest moją matką i coś do mnie mówi, szybko chciała stać się z powrotem matką, te psychiczne zmagania oczywiście zmieniły wyraz jej twarzy, w łóżku siedziała ładna, rudowłosa kobieta o rozgorączkowanych, czerwonych policzkach, drżącymi nerwowo palcami zaciskała na szyi troczki szlafroka, była dla mnie obcą kobietą, która nieszczerym głosem mówi, że nie może uwierzyć, żebym tak szybko zapomniał o tym mężczyźnie, którego nienawidzę, jej mrugające zielone oczy zdradzały jednak, że źle się czuje w tej niezręcznej i wiele zdradzającej sytuacji.

Właściwie cieszyłem się, miałem ochotę powiedzieć jej, że kłamie, wykrzyknąć światu, że łyże i wszystkich oszukuje, ale nic nie powiedziałem, dusił mnie potok jej słów, a łyzy, które cisnęły mi się do oczu, spływały po gardle.

Obcy mężczyzna, nie rozumiejąc tego wszystkiego, co się pomiędzy nami odbywa, zaśmiał się niskim, gardłowym śmiechem, jak gdyby spiesząc mi z pomocą, chciał zneutralizować słyszalną w głosie mojej matki niechęć, „To w końcu całe pięć lat”, z jego słów dowiedziałem się, że właśnie upłynęło te pięć lat, jego głos i śmiech były nie tylko miłe i brzmiały pocieszająco, czułem, że śmieje się ze swojej przeszłości, bawi się jej wspomnieniem; zbliżył się do mnie pewnymi, swobodnymi krokami, aż w końcu on sam, jego kroki, śmiech, otwartość niebieskich oczu, a zwłaszcza zaufanie, jakie we mnie budził, przemogły we mnie wszelkie odruchy obrony.

Przytulił mnie, nie przestając się śmiać, a ja nie potrafiłem mu się oprzeć, powiedział, że przecież minęło pięć lat, a to niemało, ale jego śmiech był skierowany raczej do mojej matki, która nie umiała przestać kłamać, że przecież mówili mi, że przebywa za granicą, choć wcale niczego takiego nie mówili, a ja tylko raz zapytałem, gdzie jest János, i wtedy właśnie ona, a nie ojciec, powiedziała, że János Hamar zapewne popełnił jakieś poważne przestępstwo i nie będziemy więcej o nim rozmawiać.

Nie musiała mi mówić, jakie to było przestępstwo, wiedziałem, że największym przestępstwem jest zdrada, więc on już dla nas nie istnieje i nigdy nie istniał, i nawet gdyby jeszcze żył, dla nas i tak jest martwy.

Dotykałem twarzą jego piersi, miał twarde ciało, był chudy i kościsty, a że bezwiednie przymknąłem oczy, żeby zniknąć, ukryć się w tym, co moje ciało w tym momencie oferowało mi jako jedyne możliwe schronienie, czułem, jaki naprawdę jest, wyczuwałem ciepło jego czułości, nerwową, niemogącą znaleźć ujścia radość i lekkość, a jednocześnie siłę szarpanych skurczami, wychudzonych mięśni, chrząstek i kości, nie mogłem jednak im ulec, nie potrafiłem zapomnieć o kłamstwach mojej matki, zbyt znajome wydawało mi się zaufanie, jakie wzbudzało we mnie jego ciało, przemawiały z niego dawno pogrzebana przeszłość i brak bliskości ciała mojego ojca, a nawet całe cierpienie, jakie niosła ze sobą moja miłość do Krystiana, z ciała mężczyzny emanowała doskonała, nieraz odbierana mu, pewność jego twardych kształtów, jego ciało otwierało drogę do przeszłości sprzed tamtych pięciu lat, kiedy jeszcze z pełnym zaufaniem odnosiłem się do wszystkiego, co działo się wokół mnie, i właśnie ta nadmierna otwartość zmysłów powodowała, że kiedy znalazłem się w jego ramionach, byłem tak powściągliwy.

Nie umiałem szybko uporać się z minionym czasem, nie mogłem wiedzieć, że czasu losu niepodobna zatrzymać; oni tymczasem, nie zwracając na mnie uwagi, zaczęli ze sobą

rozmawiać.

Powiedział, że nie ma powodu, żeby mieli mnie okłamywać, siedział w więzieniu.

Matka zaczęła coś dukać, że wtedy nie umieli mi tego dokładnie wytłumaczyć.

Na co on powtórzył, teraz już radosnym i swobodnym tonem, że owszem, siedział w więzieniu, właśnie stamtąd przyjechał, i choć mówił do mnie, to ironia w jego głosie była skierowana do matki, która szukając argumentów w radosnym tonie jego głosu, zapewniła mnie, że nie kradł ani nie rabował.

Ale on nie chciał jej pozwolić, by się wykręciła i uciekła, szybko rzucił, że właśnie mi powie!, bo dlaczego miałby nie powiedzieć?

Głos matki dotkliwie ugodził go nienawiścią, proszę bardzo, jeśli uważa to za konieczne!, co oznaczało, że nie pozwala mu o niczym opowiadać; próbowała mnie w ten sposób chronić, a jego chciała zniszczyć.

Nie odepchnął mnie od siebie, jego dający mi poczucie bezpieczeństwa głos brzmiał za moimi plecami, jak gdyby ta dziwna obrona zepchnęła mnie z progu wiedzy do ciemnej krainy przemilczeń, było mi dobrze, obcy nie odpowiedział matce, ich rozmowa zawisła w próżni, a ja czułem, że muszę się dowiedzieć, że mam do tego prawo!, może rzeczywiście nie powinniśmy, mówiły z wahaniem jego oczy; mocno ściskając mnie za ramię, odepchnął mnie od siebie, patrzył na mnie, przyglądał mi się, a ja, śledząc jego wzrok i ruchy jego palców przesuwających się po mojej twarzy i po moim ciele, czułem czas otwierający się we mnie, bo ten widok i ja sam, to, że dostrzegł, jak się zmieniłem i jak urosłem, spowodowały, że stał się wesoły i zadowolony, pochłaniał wzrokiem zmiany, które przez te pięć lat zaszły w moim ciele, zachwycał się, jak urosłem, potrząsnął mną, poklepał po ramieniu, a ja przez tę krótką chwilę spojrzałem na siebie jego oczyma, bo od jego wzroku bolały mnie wszystkie członki, bolało mnie wszystko, jak gdyby całe moje ciało było jednym wielkim oszustwem, on się nim rozkoszuje, a ja czuję się nieczysty, i to tak mnie bolało, tak bardzo bolało, że łyzy podchodzące do gardła wyrwały się ze mnie cichym, jęklwym głosem; tego chyba jednak nie zauważył, bo głośno cmokając, niemal gryząc, pocałował mnie w obydwie policzki i niczym ktoś, kto nie potrafi nasycić się widokiem, pocałował mnie jeszcze trzeci raz, matka wtedy odezwała się za naszymi plecami, żebyśmy się odwrócili, bo chce wstać, wtedy już szlochałem, i przy tamtym trzecim pocałunku, choć nieporadnie z emocji, ja też dotknąłem wargami jego twarzy, a na tej twarzy zapachu pleśni, dotknąłem jego twarzy wyrywającym się ze mnie bólem, ale on nie przejmował się mną, brutalnie przyciągnął mnie do siebie, przytrzymał blisko, więc jednak przejął się mną, bo swoim ciałem chciał spać mój szloch.

Jak gdyby ruszyła we mnie lawina płaczu, nie wiedziałem, dlaczego szlocham, nie chciałem płakać, nie chciałem, żeby to czuł i widział, bo w tym szlochu wypłakiwałem własną nieczystość, i kiedy tak się ze sobą zmagalem, powierzając mu się, w jego ciele coś się właśnie skończyło.

Jak gdyby drobne żyłki w głębi skały, wartkie podziemne strumyki wydobywały czułość z mrocznych jam jego ciała, by tam, na powierzchni, przeistoczyć się w bezwładną siłę, siłę ramion i siłę łydźwi, drzenie ud, nic się nie wydarzyło, nic się nie zmieniło, obejmował mnie miękką siłą swojej czułości, choć jej źródła już się wyczerpywały, przestała wypływać na powierzchnię, i zamieniła się w ciszę.

Nie wiem, jak długo mój ojciec czekał we drzwiach.

Stałem tyłem, ostatni zobaczyłem, że wszedł, kiedy opadające fale czułości podszeptęły mi, że za moimi plecami coś się dzieje.

A ojciec patrzył na niego ponad moją głową.

Matka stała przed łóżkiem, właśnie chciała wziąć szlafrok rzucony na oparcie fotela.

Stał w płaszczu, ściskając w dłoni miękką, szary kapelusz, jasne, proste włosy opadały mu na czoło, nerwowymi ruchami długich palców tak samo jak kiedyś odrzucał je w tył, błady mierzył nas chmurnym wzrokiem; a właściwie nie patrzył na nas, lecz na coś niepojętego, dziejącego się w miejscu, w którym obejmowały się nasze ciała, na zjawisko, na powietrze, jak gdyby nie rozumiał, skąd nagle taka scena, i może dlatego wydawało mi się, że jego zawsze czyste i surowe spojrzenie zasnęła mgła wzruszenia, drżały mu usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale jednak nic nie mówił, bo słowa uwięzły mu w gardle.

Twarz miałem mokrą od niepotrzebnych już łez, ich cisza była taka głęboka i nieruchoma, że we wszystkich członkach czułem własną zbyteczność, czy coś takiego, co może czuć zwierzę, kiedy ucieczkę udaremniają mu nie tylko doskonale skonstruowana pułapka, lecz także jego własne obezwładnione instynkty.

A on powoli, zmęczonym ruchem, mnie puszczał, obojętnie, jak gdyby wypuszczał z ręki przedmiot; matka nie poruszyła się z miejsca.

Musiało minąć bardzo wiele czasu, całe pięć lat, które upłynęły w milczeniu.

A to, czego się o nim dowiedziałem, przeszukując dokumenty, okazało się drobiazgiem wobec tego, co zobaczyłem na jego twarzy, być może właśnie tego, czego nie wolno mi było się dowiedzieć; całe jego ciało się skurczyło, niegdyś szczupła i wysoka sylwetka zgarbiła się pod płaszczem, siła jego postawy i kroków, która kiedyś z niego emanowała, okazała się jedynie pozorem, teraz to wszystko przygniotło jego zgarbione plecy, z wielkim wysiłkiem trzymał prosto głowę, chwiała mu się bezwładnie, przechylała na boki nad płaszczem, bo nie mógł powiedzieć tego, co chciał powiedzieć, nie tylko wargi drżały mu z wysiłku, drżenie promieniowało na nozdrza, rzęsy i brwi, marszcząc skórę na czole, jakaś inna siła próbowała przekrzywić głowę w bok, a to, co chciały wypowiedzieć usta, utykało w grdyce i w ramionach, jego niegdyś eleganckie ubranie teraz było zniszczone, krawat miał krzywo zawiązany, koniuszek kołnierzyka sterczał do góry, marynarka pod płaszczem była rozpięta, koszula na brzuchu wyłaziła ze spodni, nie był jednak świadom tych wszystkich oznak mówiących, że w szaleńczym pośpiechu, zdenerwowaniu i zakłopotaniu stracił rozum i godność; do dziś nie rozumiem, jak i od kogo dostał tę informację, skoro wszystko wskazywało na to, że János pojawił się u nas całkiem niespodziewanie, w każdym razie wydaje mi się, że w chwili, kiedy dostał tę wiadomość i popędził do samochodu, był tak samo szczęśliwy, jak zdruzgotany, a jego dusza, o ile takowa w ogóle istnieje, w milczeniu rozpękała się na pół, kiedy kierowany przyzwyczajeniem starał się stwarzać pozory, że ciągle jeszcze jest cały, dwa sprzeczne uczucia szalały w nim z podobną siłą, a całą jego twarzą i głową wstrząsał skurcz.

Tym samym powiedziałem coś o sile, rytmie i dynamice uczuć, o falach, w których ukazują się ich barwy i kierunek, o oddechu i pulsie uczuć, które same w sobie nie są uczuciami, ale ich cechami, a co tak naprawdę się działo, mogę opisać jedynie za pomocą porównania, że stał się jednocześnie dzieckiem i starym człowiekiem, jak gdyby rysy jego twarzy były rysami osób w różnym wieku, stał się dzieckiem obrażonym na śmierć, rozpuszczonym fałszywymi pozorami, zgłupiałym od nadmiernej troski, która pozbawiła go zdrowego rozsądku, a teraz, kiedy świat pokazał mu swoje okrutne oblicze, kiedy dzieje się nie to, czego by oczekiwał, do czego przywykł, ucieka przed rzeczywistością w złość, gniew, nienawiść, pochlipywanie, nie chce widzieć tego, co widzi, co go boli, chciałby skowyczeć, i z jeszcze większą desperacją pragnąłby wrócić do pozorów dzieciństwa, znów chciał ssać, znów chciał być głupiotką i wsadzać palec do buzi, pragnął matczynej piersi, i tak oto wszystko, co dotychczas wydawało się transparentne,

łśniące i czyste, uwidoczniało się na jego twarzy jako surowa moralna dyscyplina, której kiedyś nawet trochę się bałem, a która teraz odsłaniała swoje źródła: głupią ufność, że on też trzymał kogoś za rękę; jego usta, jego nos poruszały się w rytm sapania, rzęsy uderzały o siebie, brwi podnosiły się do góry jak u małego dziecka, co karykaturalnie zmieniało rysy twarzy dorosłego człowieka, mówiąc jaśniej, w zmienionych rysach twarzy dorosłego mężczyzny widziałem dziecko, które nigdy w nim nie dorosło; jednocześnie zaś wydawał się starszy, niż był w rzeczywistości, bladość powodowała, że wyglądał jak cień i starzec, którego skryte za maską pozorów, rzeczywiste, okrutne, krwawe i grzeszne postęпки tak zniszczyły i zdruzgotały, że nic a nic nie pozostało w nim niewinne, jeszcze tli się w nim instynkt życia, wszystko wie, widzi i dostrzega, nic nowego nie może go zaskoczyć, najwyżej coś, co już kiedyś miało miejsce, zaś cieniutki welon rozumu i zrozumienia zakrywa raczej zmęczone, drżące znużenie niż prawdziwe zainteresowanie czy miłość; jak gdyby miotając się pomiędzy skrajnościami dzieciństwa i starości, przeszłości i niewiadomej przyszłości, jego twarz się rozpadła, nie potrafiąc odnaleźć szlachetnych rysów roli koniecznej do zniesienia istniejącej sytuacji.

János Hamar przyglądał się temu wszystkiemu łagodnym, niemal wzruszonym wzrokiem, patrzył na tę wychudzoną do samych kości siłę, patrzył na nią, jak gdyby oglądał niegdysiejszy obiekt swojej miłości, jak gdyby uśmiechał się do utraconej przeszłości, z miękkim wyrazem twarzy, z którym z litością patrzymy na słabszych z zamiarem udzielenia im wsparcia, staramy się z nimi utożsamić, zapewniamy o naszym współczuciu, niech powie, niech się przyzna, zrozumiemy te uczucia, a przynajmniej chcielibyśmy zrozumieć.

Byłem pewien, a raczej, mówiąc ściślej, moje przeczucia nie pozostawiały wątpliwości, że to on jest moim ojcem, a nie ta śmieszna kreatura w nieszczęsnym, przydużym zimowym płaszczu, i wtedy przypomniałem sobie, że János kiedyś miał ciemne, gęste włosy, i że dlatego nie rozpoznałem natychmiast w sobie tamtej głębokiej, prawdziwej bliskości, bo jego skóra zmieniła odcień, straciła żywy, oliwkowy odcień, stała się biała, a na silnych kościach twarzy pokryła się zmarszczkami.

Najbardziej tajemnicza była jednak twarz matki, jej wyraz upewnił mnie w moich przeczuciach, za jego sprawą stanęła pomiędzy nimi dwoma, mimo że zatrzymując się w pół kroku, nawet nie poruszyła się z miejsca.

I wtedy drżące usta mojego ojca odzianego w zimowy płaszcz złamały ciszę pierwszym wypowiedzianym zdaniem, powiedział coś w tym rodzaju: a jednak przyszedłeś.

Kiedy ból zmył uśmiech z twarzy drugiego z nich, kiedy powiedział, że właściwie postąpił wbrew własnym zamiarom, uśmiech i ból jeszcze mieszały się na jego twarzy, mówił dalej, teraz już wie, że jego matka zmarła dwa lata temu, a on po prostu poszedł do domu, i dowiedział się dopiero od lokatorów, którzy zajęli ich mieszkanie.

Nie wiedzieliśmy, odparł mój ojciec stojący ciągle jeszcze w zimowym płaszczu.

I wtedy głosem ostrym jak piła zacinająca się na sęku odezwała się moja matka, krzyżąc, że już wystarczy.

Znów zapadła między nimi cisza, i kiedy matka powiedziała zbolałym, zdławionym głosem, jakby chciała się na nich zemścić, że przecież wiedzieli i nie pojechali na pogrzeb, wtedy poczułem, że opuściły mnie siły i nie dam rady stamtąd sobie pójść.

Wszyscy zamilkli, zapadli się w siebie, by zebrać siły.

Później dodała, że już dobrze, że to już bez znaczenia, a z jej twarzy znikł uśmiech, pozostawiając sam ból.

Wtedy mój ojciec, odziany w zimowy płaszcz, poczuł się silniejszy, poruszył się i zrobił

krok w jej kierunku, i choć tylko szedł, trzymając w dłoni kapelusz, nie wykonawszy żadnego gestu, wydawało się, że chce ją objąć, a tamten drugi, jak gdyby przypominając mu o bólu, w przepraszającym geście uniósł dłoń, żeby został w miejscu i się nie zbliżał.

Ojciec zatrzymał się, nie zdejmując płaszcza, na jego lśniących włosach załamywały się smukłe smugi światła, i już nie wiem dlaczego, może dlatego, że nagle przystanął w miejscu, kapelusz wypadł mu z dłoni.

Musimy to jakoś załatwić, powiedziała, wyszeptała moja matka, jak gdyby chciała złagodzić brutalność odrzucenia, i jeszcze ciszej powtórzyła, że musimy to jakoś załatwić.

Obydwaj spojrzeli na nią z nadzieją, że to ona, kobieta, im pomoże.

I to spojrzenie spowodowało, że znów coś ich wszystkich ze sobą połączyło.

Tylko że tu nikt nikomu nie mógł pomóc; po chwili János odwrócił się od nich, bolało go, że znowu są we troje, a oni, kiedy zostali we dwoje, obrzucili się wzrokiem pełnym nienawiści, dając sobie znak za plecami tego trzeciego, on tymczasem wyjrzał przez okno, przyjrzał się kapiącej rynnie i uginającym się na wietrze gołym gałęziom, zapłakał, zaskowyczał, w oczach zabłyśły mu łzy, szybko jednak się opanował, zwalczył je w sobie, dobrze, tak, powiedział, wiem, i wtedy naprawdę się rozplakał, a matka zaczęła krzyczeć, czy nie widzę, że nie mam tu czego szukać?, wrzeszczała oszalałym wzrokiem, żebym wyszedł!

Miałem ochotę wyjść, ale nie potrafiłem, podobnie jak oni nie potrafili podejść do siebie, bo każde z nich stało zbyt daleko.

Czyli chcesz porachunków, odezwał się ojciec zbyt głośno, bo wreszcie powiedział to, czego bał się powiedzieć.

Nie, nie bój się, odparł, pięścią otarł oko z łez, drugie miał ciągle załzawione, nie gniewaj się, nie do ciebie przyszedłem, przyszedłem do tego domu, ale nie do ciebie!, i że mój ojciec nie musi się niczego bać, nie będzie tu żadnego sądu nad zwłokami!, nie potrafiłby nawet z nim rozmawiać, a gdyby chciał rozbić naszą rodzinę, inaczej by się zachowywał, prawda?, tak czy siak, od tej chwili, jakkolwiek to niemiłe, i jakkolwiek niemiłe dla mojego ojca, musi mieć świadomość, że on tu jest, że żyje, nie zdechł, i że powie, co myśli.

A czy nie sądzi, odezwał się mój ojciec, że on też ma z tą sprawą coś wspólnego?

Znaczy z jego wyjściem na wolność czy z pozbawieniem go tej wolności, zapytał tamten.

Z wyjściem na wolność, ma się rozumieć.

Nie, mówiąc szczerze, wcale mu się tak nie wydaje, a nawet z powodu pewnych okoliczności sądzi coś wręcz przeciwnego.

Słowem, jednak myśli, że on też.

O niektórych sprawach niestety nie potrafi zapomnieć, nie wystarczyło te koszmarne pięć lat, powiedział, i wydaje mu się, że tylko ci potrafią szybko zapominać, których już nie ma pośród żywych, więc powinni byli być bardziej przewidujący i lepiej pracować!, żeby nie pozostał nikt, kto jeszcze coś pamięta.

A może byłby taki miły i powiedział, co dokładnie ma na myśli, powiedział mój ojciec.

Matka wypuściła wtedy szlafrok z ręki, jak gdyby stało się w niej coś strasznego, zgarbiła się, przycisnęła dwie dłonie do brzucha, mocno, żeby nie działo się tam to, co się dzieje.

Nie, w ogóle nie wydaje mu się, żeby sytuacja była właściwa do zagłębiania się w takie mało interesujące szczegóły.

No nie, teraz nie, wyszeptała matka, nie teraz!

Ale to wcale nie jest mało interesujący szczegół, chodzi o jego godność, i żąda, z całą stanowczością żąda, żeby powiedział, jakie dokładnie okoliczności ma na myśli.

János milczał dłuższą chwilę, ale nie była to taka sama cisza jak przedtem, bo przenikały ją ich słowa, gniew nieco ojca uspokoił, jego uczucia wróciły na przetarte szlaki wyznawanych poglądów, odzyskał siłę, choć za maską odzyskanej energii drżał ze strachu i cicho obserwował, co powie ten drugi, którego walka rozpoczęta wbrew jego woli pozbawiła pewności, bo choć starał się używać wyrafinowanego i pięknego stylistycznie języka, choć próbował w ten sposób trzymać na dystans tego zasługującego na pogardę człowieka, podczas gdy z jego twarzy znikły pełna czułości uczuciowość i piękny ból, wywołane szokiem fizycznej wolności i bezdomności, wiadomością o śmierci matki oraz burzliwym spotkaniem z nami, nie wspominając o widoku oszpeconego ciała mojej matki, który sam w sobie wystarczył, by młyny losu przemieliły człowieka na papkę, on tymczasem, inaczej niż mój ojciec, na skutek wszczętej dyskusji jak gdyby wyzwolił się od ciężaru własnych uczuć, a teraz bezbronny i nagi musiał z nimi walczyć, zmagając się ze sobą, próbował uśmiechać, ale nie walczył z własnymi uczuciami, tylko z wolnością zesłaną mu przez bogów, udręka wyźłobiła zmarszczki wokół jego oczu, z pewną przesadą mógłbym powiedzieć, że stał za nim pospieszający go i dodający mu odwagi Mentor, spoważniał, zmarszczki stały się jeszcze bardziej widoczne, był zmęczony, choć niepozbowiony sił, to było zmęczenie mężczyzny niewzruszonego w swoich przekonaniach i swojej racji, przy czym nie była to jakaś małostkowa, tylko i wyłącznie osobista racja, ale pełna, nieodwołalna, powszechna prawda, że nudzi go już to daremne i niepotrzebne szukanie dowodów; z drugiej strony, z moralnego punktu widzenia, nie była to elegancka walka, skoro tylko i wyłącznie on mógł mieć rację, bo przecież to on był ofiarą, jak gdyby na wolności wstydził się odgrywać tę rolę, ale walki nie sposób było uniknąć, już się rozpoczęła, już od wielu minut rozmawiali w tym tajemniczym języku, zrozmiałym tylko dla nich, językiem ciągłej czujności i nieufności, wiecznej gotowości i podejrzeń, których źródła i pochodzenie chcieliśmy wyjaśnić z Mają, to był ich język, jedyna broń, jaką mieli, język ich przeszłości, wspólny język, którego, jeśli tylko nie chciał sam siebie unicestwić, nie mógł uważać za daremny ani za nudny; nienawidził wspólnoty ich losu, szukał jakiejś szczeliny, językowego zwrotu, informacji, które pozwoliłyby mu uciec przed samym sobą.

Popatrz, powiedział, cedząc słowa, jak gdyby tym jednym zdaniem chciał zyskać decydujący o życiu czas, z całą pewnością wiesz lepiej ode mnie, czego możesz żądać, a czego nie, ale po pierwsze, nie wrzeszcz na mnie, nie chciej aż tak bardzo mieć racji!, a po drugie, pozwól mi cichutko, bardzo grzecznie i cichutko zapytać, zupełnie niezależnie od mojej sprawy, bo moja sprawa niczego już pomiędzy nami nie zmienia, słowem, ile wyroków śmierci podpisałeś, i że interesuje go to tylko i wyłącznie w statystycznym sensie.

Ojciec chwilę milczał, przyglądali się sobie, nie odwracając od siebie wzroku, ojciec, naśladowując melodyjny ton jego głosu, powiedział, że takie pytanie wydaje mu się nieuprawnione, bo przecież powinien wiedzieć, że nie mógł podpisać żadnego wyroku śmierci, gdyż to nie leżało w jego kompetencjach, pytanie zatem, przynajmniej w takiej formie, należy uznać za zbyt bezczelne.

No tak, oczywiście, przepraszam!, o tym całkowicie zapomniał, i przepraszam.

Pewnie, powiedział ojciec, cedząc słowa, on w pewnych okolicznościach może wnosić o wyrok śmierci, ale jak wiadomo, dwóch ludowych ławników i sędziego ludowego orzekają wedle własnego uznania.

Oczywiście, wykrzyknął, tak stanowi prawo!, i żeby mój ojciec się nie gniewał, ale to jest takie skomplikowane, że zawsze mu się myli.

Tak, właśnie tak, i dlatego nie wolno tego ze sobą mylić!

W takim razie wszystko w porządku.



Bardzo chciałem już sobie pójść, ale nie miałem odwagi poruszyć sobą powietrza.

Bo jemu się wydaje, ciągnął mój ojciec tonem pełnym pogroźki, cicho i powoli, przynajmniej o ile znał go z dawnych czasów, że nie wie, który z nich był bardziej radykalny!, i że w podobnych okolicznościach on na jego miejscu też nie postąpiłby inaczej i wypełnił swój obowiązek najlepiej, jak potrafi, prawda?, i dlatego wydaje mu się dziełem przypadku, jaka rola w ciągu tych ostatnich pięciu lat przypadła każdemu z nich.

Ściszyli głos do szeptu, a matka bez przerwy szeptała tylko, że nie, nie teraz, bardzo cię proszę, nie teraz.

Widzisz, całkiem zapomniałem o przypadkach, wyszeptał, ale nawet jeśli to były przypadki, to wynikły z nich fakty, które dziwnym sposobem jednak ci nie odpowiadają, ale właściwie dlaczego?, po co ta śmieszna wściekłość?, taka rola przypadła mi w udziale, jak powiadasz, prawda?, dobrze, ja jestem tu, ty jesteś tam, i nie mam ci nic do powiedzenia, rozumiesz?

Że powie wszystko, wszystko, co wie, ale prosi, bo w istocie rzeczy nie ma prawa niczego żądać, prosi, żeby mu powiedział, jakie to okoliczności miał na myśli?

Ze względu na twój honor, powiedział.

Tak, odparł mój ojciec, ze względu na mój honor.

I znów zapadła cisza, a ja w tej ciszy ruszyłem w stronę drzwi, matka otworzyła oczy, wyszedłem na jej oczach, ale ona nic nie widziała, nawet tego, że wreszcie udało mi się poruszyć z miejsca.

Bardzo umiejętnie mnie przesłuchujesz, powiedział, bo mnie znasz, i może nawet wiesz o mnie więcej niż ja sam.

O czym ty mówisz?

O niczym, i o niczym nie chce z nim mówić.

Wychodząc, jeszcze tyle dosłyszałem, ale nie umiałem wyjść z pokoju, bo wtedy właśnie ojciec zaczął wrzeszczeć; ziemia by się zatrzęsała w posadach, a wszystko, co tylko człowiek zbudował na jej cieniutkiej powłoce, przewróciłoby się z trzaskiem, pękło na pół i spadło z hukiem, rozległyby się płacze i oszalałe krzyki, szloch mężczyzn, które tylko odrobina samodyscypliny dzieli od mordy, zaciskając na skroniach obydwie dłonie, żeby nie musiał zabić tego drugiego, jak gdyby głowa pękała mu na pół, szlochał i krzyczał, ale jak i dlaczego?, i że nie wytrzymam!, nie wytrzymam!, i że niczego nie rozumie, i jak ma opowiedzieć o tych nocach, kiedy czekał, teraz jego kolej, kiedy został całkiem sam, wstyd mu, ale nie rozumie, i mu nie wstyd, i dlaczego nie chce, dlaczego jego najlepszy przyjaciel, za którego niemal oddał życie, nie chce z nim rozmawiać.

Jesteś bezwstydnym, śmieszny i odrażający, powiedział spokojnie i wyraźnie.

A ja chwyciłem futrynę, chwyciłem białe drewno.

Ale dlaczego, dlaczego, i czy nie widzi, że on już dłużej nie wytrzyma, już dłużej nie wytrzyma tego bólu.

Kiedy wszedłeś, powiedział, i popatrzyłem na ciebie, pomyślałem sobie, że może jest jeszcze w tobie tyle przyzwoitości, czy może nie przyzwoitości, ale zdrowego rozsądku, żeby zastanowić się nad tym, co robiłeś.

Ręka mu opadła, jak gdyby stracił oddech, spomiędzy rozwartych warg dobywał się dziecięcy ból, który wybuchł w męskim morderczym płaczu, a jednak czułem, że to nie oznaka słabości, lecz siły.

Jak gdyby ciało mówiło, że jego życie nie jest niczym więcej jak maleńką ciekawością, że już nic więcej się nie liczy, poza tym, co mówi do niego tamto drugie ciało.

Dobrze, powiedział z naciskiem, miejmy to za sobą, i wielkimi niebieskimi oczyma patrzył na te drugie niebieskie oczy, wszystkie zmarszczki na jego twarzy wróciły na swoje miejsce, zapanował na niej ład, nie chciałbym tylko, żebyś mnie źle zrozumiał, powiedział, na drugi dzień, i doskonale wiesz, co znaczy ten drugi dzień, pokazali mi dokument podpisany przez ciebie, powiedział, twoje zeznania, że ja, kiedy wyszedłem na wolność w maju trzydziestego piątego, miałem ci z płaczem wyznać, że nie wytrzymałem bicia i że zwerbowałem mnie Somborowie, zamilkł, wziął głęboki oddech, i że zobowiązałeś się, że mnie nie zadenuncjujesz, bo tak płakałem, tylko pod jakimś pretekstem na jakiś czas mnie odsuniesz, żebym nie mógł pisać raportów, i to nie jest żadne rozliczenie, żadna zemsta, niczego od ciebie nie oczekuję!, zawołał, ale kiedy udaremniłem akcję Szobich i przeze mnie złapali Marię, powiedział, wtedy nabrałeś pewności, że jednak pracuję dla nich.

Co za głupota!, przecież wszyscy wiedzą, że potem jeszcze przez dwa miesiące pracowali razem w piwnicy, powiedział mój ojciec.

Że on od tamtego drugiego dnia, bo pierwszego jeszcze nie chciał, nie rozumiał, czego od niego oczekują, a raczej od trzeciego dnia, bo potrzebował trochę czasu, żeby zrozumieć, godził się na wszystko, czego chcieli.

Ale niczego nie podpisał.

Nie tylko podpisał, ale nawet poprawił literówki, porządnie, tak samo, jak miał to w zwyczaju robić jego przyjaciel.

Nie, nie, to jest jakieś nieporozumienie, on nigdy niczego na jego temat nie zeznał, bo nikt go o to nie pytał.

Kłamiesz, powiedział.

Jak gdybym miał nadzieję, że pomoże mi gładka framuga białych drzwi i wypchnie mnie z pokoju, wypchnie na zewnątrz i już tam będę.

János, uwierz mu, on naprawdę nie kłamie, usłyszałem piskliwy głos matki.

Kłamie, powiedział.

Wtedy, choć nie usłyszałem zbliżających się kroków, wpadłem przed otwartymi drzwiami na babcię.

Nie, János, wiedziałabym, i bym nie pozwoliła, János, nikt go nigdy o ciebie nie pytał, nikt, powiedziała w pokoju moja matka.

Babcia przyszła z kuchni czerwona od żaru gotujących się potraw, z wyrazem skromnego zwycięstwa i drżącego wzruszenia na twarzy, które tylko wtedy malują się na twarzach gospodyń domowych, kiedy gotowanie nie jest nudną, codzienną rutyną, ale gdy tysiące wpojonych od lat czynności, ścieranie, obieranie, podnoszenie pokrywek, smakowanie, zdejmowanie garnków z ognia, zlewanie wrzątkiem, płukanie, mieszanie i przecieranie, dzięki wzmożonej uwadze i oddaniu zyskują prawdziwy, piękny, odświeżający sens, bo w oddalonym od kuchni pokoju miły gość czeka na posiłek, który właśnie już jest gotowy, już można podawać, ale czy będzie mu smakowało?, widać było, że nie idzie prosto z kuchni, że zajrzała do łazienki poprawić włosy, lekko upudrować twarz i posmarować szminką usta, może nawet zmieniła podomkę, żeby nie przynieść zapachu kuchni, miała na sobie srebrnoszary aksamitny szlafrok, bardzo ładnie pasujący do jej siwych włosów, i żeby nie zderzyć się ze mną, na chwilę mnie przytuliła, czułem zapach jej przed chwilą użytych perfum, których dwie krople zawsze rozcierała za uchem.

Niemożliwe, żeby nie dosłyszała ostatnich zdań, ale nawet jeśli nie zrozumiała ich sensu, to niemożliwe, by z tonu i widoku ich trojga, stojących daleko jedno od drugiego, jakkolwiek byli

rozemocjonowani tym, co robią, nie wyczuła fatalnego napięcia, a jednak nie wytrąciło jej to z równowagi, odepchnęła mnie zdecydowanym, choć nie brutalnym ruchem, w swoich miękkich kapciach szybko wkroczyła do pokoju i z tryumfalną miną, jak gdyby była ślepa, głucha albo przerażająco głupia, zaanonsowała: „Podaję do stołu!”.

Jak mogła nic nie wyczuć, moja babcia ze swoją finezją i elegancją, prostymi plecami i wąską talią, purytańską powagą, delikatnymi wąsikami pod nosem i wyrazistymi rysami suchej twarzy, która teraz od gorącej kuchni i emocji, jakie wyzwał w niej János, stała się ładna i pełna kobiecości, była uosobieniem dzielnej, tradycyjnej pani domu, która, okrutna w swoich ograniczeniach, przegalopowała przez wydarzenia i zdarzenia ludzkich losów niewpasowując się w pełne dostojeństwa dobre maniere i niezbędne granice dobrego wychowania, przyszła i rozgromiła ich wszystkich, jak gdyby swoim pełnym wyższości sposobem bycia, w którym mimo wszystko nie było nic arystokratycznego, ponieważ nie starała się pokazać swojej wyższości, lecz z wyższością odnajdywała się w sytuacji, chciała powiedzieć, że o pewnych sprawach, których nie potrafimy rozwiązać, lepiej jest nie wiedzieć, a przynajmniej nie pokazywać po sobie, że owszem, wszystko widzimy, i taką grą pozorów dopomóc, by wydarzenia same biegły swoim niepowstrzymanym trybem, odwrócić uwagę, zaczekać, dać spokój, zastanowić się, nim coś zrobimy, gdyż każdy czyn oznaczałby wydanie wyroku, a tu należy zachować wielką ostrożność!; kiedy byłem dzieckiem, takie zachowanie bardzo mnie wzburzało, niedobrze mi się robiło od jej kłamstw, i musiało upłynąć wiele czasu, aż nauczony własnymi gorzkimi doświadczeniami zaakceptowałem jej wolność, aż zrozumiałem, domyśliłem się, że pozornie fałszywe przyzymkanie oczu i udawana głuchota wymagają więcej elastyczności i zrozumienia niż jawne współczucie i gotowość do czynów, zakładają więcej ludzkiej wnikliwości i humanitarnego doświadczenia niż czyny ujawniające nagą prawdę czy tak zwana szczerłość, takie postępowanie bowiem hamuje naszą skłonność do przemocy i zbyt szybkiego wyrokowania, choć oczywiście za cenę innej przemocy; babcia była w swoim żywiole, nawet powieka jej nie drgnęła, jak gdyby weszła do salonu, w którym goście, popijając aperitify, ucinają sobie niezobowiązującą pogawędkę, jak bardzo jednak czuła powagę sytuacji, widać było po tym, że nie zdążywszy nawet nabrać powietrza, podeszła do mojego ojca, zdziwiła się, że tu jest, więc musi przynieść jeszcze jedno nakrycie, i najzwyczajniejszym w świecie, żołnierskim tonem oznajmiła, żeby w takim razie szybko zdjął płaszcz i biegiem umył ręce, bo nie chciałaby, żeby jedzenie wystygło!, i natychmiast podskoczyła do Jánosa, gdyż to dla niego właśnie przeznaczone było całe to przedstawienie, które przecież nie mówiło o niczym innym, jak o tym, że proszę uprzejmie, cokolwiek by się działo, jesteśmy kochającą się rodziną, w której wszystko działa dobrze i bez zarzutu, i chyba tu jest właściwy moment, bym zauważył, że w tych ostatnich słowach ucieleśniła się pod wieloma względami mądra i racjonalna moralność mieszczańskiego wychowania, życie bowiem, nawet gdy coś dzieje się przeciw życiu, i tak zawsze, i za wszelką cenę, musi być zdolne do funkcjonowania; tym razem to będzie taki naprędce sklecony obiad, powiedziała z uśmiechem, przeciągle lustrując Jánosa, wyrozumiale dając mu czas, lekko chwyciła go pod ramię, że nawet nie potrafi sobie wyobrazić, jak bardzo jest szczęśliwa.

Pełne przemocy i pozorów zachowanie babci nie było wprawdzie wystarczające, by rozgrzane do granic możliwości emocje skierować na drogę zdrowego rozsądku, stali tam tak rozgorączkowani, że nie było wykluczone, iż nie będą w stanie opanować morderczych zamiarów wyjaśnienia zdarzeń z przeszłości, tak bardzo bowiem byli żądni prawdy, że zachodziła obawa, iż fałsz babci powstrzyma ich ostatnie zahamowania i zaraz zwali się na jej

głowę cały ich gniew, wstyd, zwątpienie, podejrzliwość, ból, poniżenie, które w tym właśnie momencie w nich wybuchły, by odnaleźć spokój w wyjaśnieniu jakiejś uchwytnej prawdy; matka aż poczerwieniała ze złości do babci, niemal miała ochotę wrzasnąć, by się wynosiła!, albo rzucić się jej do gardła i zdusić w niej nienawistny fałszywy ton; ale na ten ostateczny w swojej wymowie gest nie pozwoliła jej przeciwna niż jej matki moralność, ich moralność, która polegała chyba na tym, że dla osiągnięcia własnych celów dokładnie dobierali środki potrzebne do legalnej i nielegalnej działalności, taktyki i strategii, tak jednak, by subtelne różnice pomiędzy nimi były nikomu nieznanymi, co gwarantowało im zarówno moralną wyższość, jak i praktyczną władzę, każde skrajne słowo czy gest mogły być poczytane za zdradę, zdradę ich wspólnoty, nie wolno im było zdradzać własnych, uykających kontroli uczuć, wewnętrzne konflikty ich tajemnego życia musiały pozostać tajemnicą, to była zamknięta strefa, której chronili konspiracyjnymi metodami, podobnie jak kiedyś w konspiracji ją stworzyli, wszystko musieli załatwiać między sobą, w tajemnicy przed wrogiem i pełnym podejrzeń światem zewnętrznym, dla mnie więc w tej scenie najbardziej godne podziwu było to, jak te dwa sposoby postępowania, wyrastające z dwóch sprzecznych ze sobą pobudek, łączyły się ze sobą na wspólnym gruncie udawania i stwarzania pozorów.

Później oczywiście wrócili do przerwanej wątku, ale wtedy ojciec, jak gdyby w pokoju wszyscy oddawali się przyjemnej pogawędce, szybko odpowiedział, tak, zaraz umyje ręce, już idzie; ale to był dla matki sygnał ostrzegawczy, jeszcze bardziej poczerwieniała, chwyciła za szlafrok, już choćby po to, by odwróciwszy się, ukryć drżącą z wściekłości twarz, powiedziała, że się przebierze, nie chce jeść w szlafroku, zaraz wróci!, za chwilę, na twarzy zmieszanego sytuacją Jánosa zmarszczki szybko przemieniły się w uśmiech, jak gdyby tą szybkością próbował chronić to, co powinno pozostać tajemnicą, to też był nawyk, konspiracyjny uśmiech dokładnie odpowiadający prawdziwej, choć z fałszywą przesadą uzewnętrznianej radości, z jaką babcia się do niego uśmiechała, każdy z ich uśmiechów był na swój sposób doskonały, gdyż obydwójce, odkrywając, co czują, zdradzali swoje rzeczywiste uczucia.

Nie powiedziałaby, że jest szczęśliwy, zaśmiał się, odpowiadając gestem dłoni na gest mojej babci, ale oczywiście cieszy się, że może być tu z nami, właściwie ciągle nie bardzo rozumie, co się z nim dzieje; wtedy na twarzy babci pojawiło się coś w rodzaju współczucia, twoja biedna, twoja biedna matka, rzekła z głębokim uczuciem, jej oczy zaszyły łzami, nagle stali się sobie bliscy, obydwójce posługiwali się tym samym uczuciowym schematem, że tego nie dożyła, ale schemat działał, z drugiej strony kiedy tak szukali możliwości porozumienia, ich westchnienia, ton głosu, łzy w oczach mówiły o tym samym, o czym zapewne rozmawiali już po przyjeździe Jánosa, i w ten sposób temat się skończył, po cichutku go pogrzebali; wreszcie babcia, zbierając w sobie wszystkie siły, czule, jak gdyby chcąc go pocieszyć, wraz z jego nieżyjącą już matką, wzięła go pod rękę.

Nie ruszałem się z miejsca, nikt się mną nie zajmował, ojciec gdzieś znikł, a matka poszła się przebrać.

Ernő już ledwie żyje z niepokoju, powiedziała ze śmiechem babcia, tak bardzo czeka.

I ruszyli w stronę jadalni.

A János, który z łatwością przejął ton towarzyskiej rozmowy, lekko zawstydzony swoim zapominalstwem gorączkowo zapytał, gdzie jest Ernő?, ale w jego głosie zabrzmiał fałsz.

Jak dokładnie rozum dostrzeże to wszystko, co oczy odebrały jako ruch, uszy jako dźwięk i akcent, a pamięć, nie wiadomo dlaczego, zachowała dla siebie.

Niespodziewany głos nagle zatrzymał ją w drzwiach, jak gdyby koniecznie chciała zdążyć

coś powiedzieć, nim wejdą do jadalni, wysunęła rękę spod ramienia Jánosa, obróciła się twarzą do niego, spojrzała zamglonymi starością oczyma, z jej twarzy znikła radość, do której jeszcze przed chwilą się zmuszała, wyjrzały zza niej zmęczenie, smutek i obawa, a jednak nie powiedziała tego, co chciała powiedzieć, zmieniała temat, udając roztargnienie, chwyciła Jánosa za klapę marynarki, pociągnęła ją dziewczęcym, zawstydzonym ruchem i znów spoważniała, chcąc ukryć coś niewypowiedziane prawdziwego.

Rysy pełnej skupienia twarzy Jánosa, który myślał, że już jest bezpieczny, bo wreszcie odnalazł jedyny adekwatny do tej sytuacji fałszywy ton, całkiem się rozpadły, malowało się w nich tłumione zdenerwowanie, ale zdenerwowanie spowodowane nie tą chwilą, lecz poprzednią, zmarszczki wokół ust i oczu zaczęły chaotycznie wibrować i podskakiwać, jak gdyby bał się tego, co babcia chce powiedzieć, ale nie powie, on zaś i tak wie, co to miało być.

Widzisz, powiedziała babcia powoli, zniżając głos do szeptu, żeby nikt więcej jej nie usłyszał, on przez całe swoje życie był bardzo aktywną osobą, powiedziała: „aktywną”, nigdy nie potrafił usiedzieć na miejscu, a teraz to wszystko, ja się nie znam na polityce, i nie chcę nic mówić, ale to go zupełnie zniszczyło, ta bezradność!, ty też wiele wycierpiałeś, wiem, choć nigdy o niczym nie mówiłeś, milczy, ciągle milczy!, i tak żyje od jednego ataku do drugiego, odsunął wszystkich od siebie, z nikim nie rozmawia, szeptała coraz bardziej gorączkowo, i wtedy pojawiła się na jej twarzy głęboka uraza, ale przecież nie o tym chciała mówić, lecz o tym, jak bardzo czuje się skrzywdzona, i że już nikt nie może jej pomóc ani od nikogo tego nie oczekuje.

János pogłaskał babcie po włosach, choć nie tak, jak się pociesza głupie, stare kobiety, ale zawstydzonym, pełnym skrępowania ruchem.

Babcia znów się roześmiała, chciała uciec od prawdziwej treści gestu Jánosa, no, to jesteście na miejscu, powiedziała, chodź, dodała, otwierając drzwi.

Ale otworzyła je tylko dla niego, sama nie weszła, obserwowaliśmy ich zza otwartych drzwi.

On jednak potrzebował wiele duchowej siły, by odebrać ten widok jako coś zwyczajnego, i teraz był zaskoczony.

Człowiek dlatego potrafi znieść próby, na jakie wystawia go życie, że zakorzenione nawyki robią za niego to, co musiałby zrobić, gdyby angażował się bez reszty, to zaś wzbudza w człowieku uczucie, jak gdyby jego ciało nie było do końca obecne tam, gdzie właśnie jest obecne, i w ten sposób jedne nasze odczucia bronią nas przed drugimi odczuciami.

Po jego plecach i wystających jak pagórki łopatkach, po wychudłej umięśnionej szyi było widać, że nie wchodzi, bo jest tak zaskoczony, że stoi, a pełne humanizmu poczucie obowiązku niesie na nogach jego ciało.

W pokoju nad długim, odświętnie nakrytym stołem miło świecił żyrandol, dziadek, zmagając się z atakiem duszności, stał za swoim krzesłem, przytrzymując się wysokiego oparcia, nawet nie spojrzał w górę, błędził wzrokiem po kremowej porcelanie, srebrnej zastawie i kryształowych kieliszkach, choć w rzeczywistości skupiał się na swoim oddechu, niemal mu się przyglądał, jego drobna twarz aż pociemniała, nad dwiema głębokimi muszelkami skroni, na wysoko wysklepionym czole, którego surowość łagodziły fale białych, gładko zaczesanych włosów, wystąpiły dwie grube, niebieskie żyły, uważał na każdy wydech i każdy wdech, żeby nie dostać skurczu czy nie doznać niekontrolowanego ataku, piękny starzec, moja siostra tymczasem siedziała po drugiej stronie stołu jak na tronie, na stosie poduszek ułożonych na krześle, jak zawsze z otwartymi ustami, ładnie uczesana, ubrana w niebieską sukieneczkę z zaokrąglonym białym kołnierzykiem, zamyślona, nie zwracając uwagi na otwierające się drzwi

i wchodzącego do pokoju obcego mężczyznę, z uporem na twarzy rytmicznie kopała w stół i uderzała łyżką w swoją emaliowaną miseczkę.

Dziadek, nie poruszając głową, powoli podniósł wzrok znad okularów, jego oczy nie mówiły nic ponad to, co czuł, ale to było tak wiele i było tak prawdziwe, że słowami wypowiedziałby dużo mniej, nie mógł podnieść głowy, ale długi, wymuszony świst jego oddechu ścichł, twarz pociemniała, czoło się rozjaśniło, dziadek odzyskał panowanie nad sobą.

Natychmiast dostrzegł zażenowanie w oczach tego drugiego, nie uśmiechał się, był poważny, a jednak na powierzchni jego oczu pojawiło się coś, co można by nazwać radością, i tą radością dopomógł oczom Jánosa.

Zabawnie przekrzywiając głowę na bok, spojrział na moją małą siostrę, jak gdyby chciał powiedzieć, tak, widzisz, ona taka właśnie jest, ale jestem tu i jej pilnuję, niech sobie stuka w tę swoją miskę, skoro ma ochotę, jak gdyby chciał powiedzieć, że János musi to zobaczyć, i niech nie udaje, że nie widzi tego, o czym przecież musi wiedzieć.

Potem ich wzrok znów się spotkał, moja mała siostra rytmicznie waliła łyżką w swoją miseczkę, a oni ruszyli ku sobie.

Wzięli się za ręce, nad głową naszego przygłupa dwie dłonie staruszka trzymały dwie dojrzałe dłonie, i wtedy zobaczyłem twarz Jánosa, znów był taki jak przed chwilą, trzymali się za ręce.

Ernő, długo o tobie myślałem, powiedział po dłuższym milczeniu.

Skoro tak, odezwał się dziadek, to już nic mu więcej nie powie.

Choć powinien, zwłaszcza że miał dużo czasu do namysłu.

On tymczasem żył przekonany, że tak już będzie zawsze, i nie miał nadziei, nie miał nawet odrobiny nadziei, że to kiedyś się skończy, ani nie sądził, że tamten zrozumie, choć przecież wiedział o wszystkim.

O czym, zapytał.

Dziadek pokręcił głową, nie chciał powiedzieć, i wtedy wybuchło w nich coś, co chcieli ukryć, choć nie z powodu fałszu i strachu, padli sobie w ramiona i objęci długo stali w bezruchu.

Kiedy wypuścili się z objęć, moja mała siostra wreszcie przestała walić w miskę, wpatrywała się w nich z otwartymi ustami, nie wiem, czy ze strachu, czy może z radości, babcia westchnęła za moimi plecami i pospieszyła do kuchni.

Stali bezradni z opuszczonymi ramionami.

Bardzo wiele zrozumiałem, odezwał się tamten, tak wiele, Ernő, dodał, że prawie zostałem liberałem.

No proszę, odezwał się dziadek.

Wyobraź sobie, powiedział.

W takim razie powinieneś wystartować w kolejnych wyborach.

Na to znów wzięli się za ręce i dosłownie zaśmiali się sobie w twarz, głośno i brutalnie rechotali do siebie pijackim śmiechem, który nagle przerwał ciszę, może tę właśnie ciszę, która czekała w nich ukryta za ich śmiechem.

Stałem w otwartych drzwiach, niezdolny wyrwać się z ich kręgu ani nie umiając podążyć własnym ciałem za dziejącymi się wydarzeniami i w nie wkroczyć, chyba o takim stanie ciała mówi się, że człowiek jest zdenerwowany; musiałem się odwrócić, zobaczyłem moją siostrę, z wielką głową przekrzywioną na bok gapiała się na nich, ściskając łyżkę, i wydobywała z siebie krótkie stęki, to śmiała się, to znowu, układając wargi w podkówkę, zaczynała piskliwie płakać, próbowała, co w tej niezwykłej sytuacji będzie dla niej lepsze, mogła mieć najróżniejsze

odczucia, i pewnie miała, sytuacja mogła się jej wydawać jednocześnie wroga i przyjazna, a ponieważ nie umiała dokładnie rozróżnić swoich odczuć, zaś wybór pomiędzy tymi skrajnymi ją przerażał, zaczęła przeraźliwie ryczeć.

Co każdemu, kto nie mieszkał z osobą upośledzoną umysłowo, mogło się wydawać przypadkowym kaprysem.

Później ojciec wreszcie mnie zmusił, bym usiadł do stołu, bo ryk mojej siostry tak mnie sparaliżował, że nie potrafiłem tam podejść, pamiętam, że się wykręcałem brakiem apetytu.

Przyszła babcia z talerzem parującej zupy.

Tak samo, jak moja pamięć dokładnie zanotowała okoliczności poprzedzające tamten obiad, tak samo głęboko zapadło mi w pamięć to, co wydarzyło się potem; wiem, rzecz jasna, że pamięć wszystko bezlitośnie odnotowuje, ale przyznaję się do mojej słabości, że nie chcę o tym wszystkim pamiętać.

Później, kiedy twarz mojej matki powoli zaczęła stawać się żółta, pożółkła, niemal zbrązowiała, widziałem, że udaje, że nic jej nie jest, ale nie miałem odwagi nic powiedzieć, ani jej, ani nikomu innemu.

Albo jeszcze przedtem, kiedy weszła w granatowej spódnicy i białej bluzce, na pięknych, długich nogach miała sandały z wężowej skóry na wysokim obcasie, które oszczędzała na odświętne okazje, spieszyła się do mojej siostry, pod rozpiętym szeroko kołnierzykiem bluzki miała kolorową jedwabną apaszkę, od wielu miesięcy nie widziałem jej w sukience, pod apaszka było widać, jak schudła, jak gdyby przez przypadek włożono ją w tę spódnicę, a apaszka było po to, żeby wszystko ukryć; w takich chwilach nie wolno dotykać mojej siostry, klęczy i robi z serwetki króliczka.

János się jej przygląda.

A ojciec krzyczy, żeby już ją stąd wyprowadzili.

Kiedy ją wynieśli, w pokoju została tylko cisza trzech mężczyzn i jej oddalający się krzyk.

Najbliższe chwile zdominowało poczucie braku, że trzeba kogoś uciszyć, i cisza, i pochłanianie posiłku.

Zakończenie obiadu bardzo się przedłuża, nie widać końca, ciągle jeszcze siedzą przy stole, wszyscy próbują zjeść wszystko ze swojego talerza, i dlatego wszystko, co przychodziło nam na myśl jako rozwiązanie albo jakikolwiek wykręt, należało do tego samego końca, który nie miał końca.

Potem zamknęli się sami, słychać było tylko słowa i zdławione krzyki, ale nie chciałem z tych słów wyciągać żadnych wniosków, bo wszyscy mówili to samo.

Był późny wieczór, kiedy wziąłem śrubokręt, nie zapalałem światła, nawet nie zamknąłem za sobą drzwi, bo ostrożność nie miała już żadnego sensu, nawet nie za bardzo interesowałem się tym, co robię, wsadziłem śrubokręt pomiędzy blat biurka a szufladę, podważyłem blat, zamek puścił, a kiedy właśnie wyjmowałem pieniądze, dziadek wszedł do nieoświetlonego pokoju.

Zapytał, co robię.

Odpowiedziałem, że nic.

Zapytał, po co mi te pieniądze.

Odpowiedziałem, że po nic.

Począł chwilę, stojąc w miejscu, i cicho powiedział, że nie muszę się niczego bać, właśnie załatwiają swoje sprawy, i wyszedł.

Jego głos był zrównoważony, poważny i spokojny, i ten głos dochodzący z innego świata,

z całkiem innej strony, obnażył we mnie to, co chciałem zrobić, długo stałem odarty ze wszystkiego w tym ciemnym pokoju, zniweczył moje plany, ale jednocześnie mnie uspokoił, jednak pieniądze, te dwieście forintów, zabrałem.

Zostawiłem otwartą szufladę i śrubokręt na blacie biurka.

Pamiętam, że tamtej nocy zasnąłem w ubraniu, i dopiero kiedy rano obudziłem się w moim łóżku, zobaczyłem, że się nie rozebrałem; ktoś przykrył mnie w nocy kocem, rano przynajmniej nie musiałem się ubierać.

Wspominam o tym nie dla żartu, ale żeby pokazać, jakimi drobiazgami pociesza się człowiek w trudnych chwilach.

Kiedy tamtego, następnego dnia przyszedłem ze szkoły, dwa płaszcze, ciężki płaszcz mojego ojca i płaszcz tego drugiego, ciągle tak samo wisiały na wieszaku, a z pokoju dobiegały ich głosy.

Nie podsłuchiwałem.

Nie pamiętam, co robiłem po południu, mgliście sobie przypominam, że stałem w ogrodzie, chyba przez całe popołudnie nie rozebrałem się z płaszcza, stałem tak, jak wróciłem do domu ze szkoły.

Już zmierzchało, pamiętam, że to był miły, szkarłatny zmierzch, niebo było czyste, już świecił księżyc, a topiący się za dnia śnieg znów zamarzał, trzeszczał i skrzypiał pod moimi stopami, kiedy szedłem przez las.

I dopiero na ulicy Felhő, na samej górze, kiedy zobaczyłem, że w pokoju Hédi są zasunięte zasłony, a w środku pali się światło, na tyle doszedłem do siebie, że poczułem w ustach zimne, ostre powietrze.

Pogrążoną w mroku ulicą szły dwie małe dziewczynki, ciągnęły sanki; na żuźlu pokrytej lodem jezdni sanki podskakiwały na dziurach i wybojach.

Powiedziałem do nich, że w samą porę wybrały się na sanki, kiedy już śnieg się topi.

Zatrzymały się, spojrzały na mnie głupawo, jedna lekko przekrzywiła głowę i bardzo szybko, ze złością wyciągając do przodu szyję, odparła, że wcale nie, bo na ulicy Városkúti jest jeszcze śnieg.

Obiecałem im dwa forinty, jak wejdą do środka i powiedzą Liwii, żeby wyszła na dwór.

Nie chciały albo nie zrozumiały, czego od nich chcę, więc wyjąłem z kieszeni garść drobników i im pokazałem, a wtedy ta pyskata wzięła sobie kilka.

Te moniaki wykradłem z kieszeni Jánośa przed wyjściem z domu, wyciągnąłem wszystkie.

Ciągnęły za sobą sanki przez szkolne podwórko; pokazałem im, wołałem, przez które drzwi wchodzi się do suteryny.

Długo się zmagaly, żeby ściągnąć sanki ze schodów, zapadła cisza, ścichł okropny, skrzypliwy dźwięk wydawany przez te ich przeklęte sanki, głupie bały się, że je im ukradnę, długo nic się nie działo, już chciałem sobie pójść, kilka razy powtarzałem sobie, że już pójdę, nie chciałem, żeby zobaczyła mnie Hédi, aż wreszcie pojawiła się Liwia, w bluzie i spodniach od dresu, rękawy bluzy miała podwinięte, może właśnie prała albo myła podłogę w kuchni, taszczyła po schodach ich sanki.

Wcale nie była zaskoczona, że widzi mnie przy ogrodzeniu, oddała im sznurek od sanek, żeby sobie same ciągnęły, sanki znów zaczęły skrzypieć na żuźlu, obserwowały, co się teraz wydarzy, szeptały i chichotały.

Liwia zdecydowanym krokiem szła przez podwórko, poklepując się po ramionach zmarzniętymi rękoma, lekko przygarbiona, jak gdyby chciała chronić piersi przed chłodem,



słyszac chichot, spojrzala na nie surowym wzrokiem, one zamilkly, mialy zamiar sie szybko ulotnic, ale ciekawosc jednak je powstrzymywala.

Podeszla do samego ogrodzenia, a moja twarz owiala parujaca z jej ciala i wlosow woń cieplej kuchni.

Małe głuptaski coś tam jeszcze krzyczały z daleka.

Nie odzywałem się, widziała, że mam poważny kłopot, chciała wyczytać go z mojej twarzy, a moim oczom miły był widok tego wszystkiego, co na swojej twarzy wyniosła z kuchni, najzupełniej zwyczajny, przyjazny i ciepły wieczór, obydwójce czuliśmy, że prawie taki sam, jak wtedy, w lecie, kiedy czekałem na nią przy ogrodzeniu, ona przyszła, a ja stałem po drugiej stronie, to dziwne wspomnienie wydało się nam obojgu bardzo miłe.

Wysunęła palce przez siatkę, wszystkie pięć, a ja dotknąłem ich czołem.

Ciepłe czubki jej palców ledwie sięgały mojego czoła, kiedy chciałem dotknąć ich twarzą, przycisnęła dłoń do ogrodzenia, a moje usta przez zardzewiałe druty odnalazły ciepły zapach jej dłoni.

Co się stało, zapytała cicho.

Powiedziałem, że wyjeżdżam.

Dlaczego, zapytała.

Powiedziałem, że nie wytrzymam dłużej w domu i że chciałem się z nią pożegnać.

Szybko zabrała dłoń, przyglądała mi się, chciała wyczytać z mojej twarzy, co się wydarzyło, więc musiałem odpowiedzieć, choć o nic nie zapytała.

Dla matki ważniejszy jest jej kochanek, powiedziałem, sam zadając sobie przeszywający ból, jak gdybym zranił żywą błonę okostnej, ale nie umiałem określić tego inaczej, więc nawet ból okazał się przyjemny.

Żebym zaczął, powiedziała przerażona, idzie ze mną.

Kiedy czekałem na nią, krótki, przeszywający ból wprawdzie znikł, pozostawiwszy po sobie uczucie podobne do mdłości, ale, choć słabiej, przebiegał wszystkie gałązki moich nerwów, rozchodził się po nich, na każdej z gałązek huštało się jakieś uczucie, korzonek myśli, jak gdyby rozchodziła się we mnie siła bólu tego nie do końca dokładnego zdania; a przecież lepszego czy prawdziwszego nie mogłem powiedzieć, rozchodziła się i słabła, a w tym samym czasie, tylko z jeszcze większą siłą, i musiało to mieć bezpośredni związek z uderzeniami mojego serca, mój mózg niczym uderzenia bębna powtarzał „z tobą, z tobą”, ale nie rozumiałem, jak mogłaby ze mną pójść, jak to sobie wyobrażała.

Już prawie całkiem się ściemniło, w zimnych, niebieskich ciemnościach zapłonęły żółte światła ulicznych latarni.

Chyba się bała, że sobie pójde, nie musiałem więc długo czekać, przybiegła w rozpiętym płaszczu, w rękę trzymała czerwoną czapkę i szalik, tylko bramę starannie za sobą zamknęła, w bramie nie było zamka, musiała zamknąć na drut.

Stała przede mną z wyczekującym wyrazem twarzy, powinienem był powiedzieć, dokąd idę, ale czułem, że jeśli jej powiem, to będzie koniec, wszystko stanie się niezręczne i niemożliwe, tak jakbym powiedział, że chcę się wynieść z tego świata, co w gruncie rzeczy było prawdą; kiedy podważyłem śrubokrętem szufladę biurka, przez chwilę zastanawiałem się, czy wziąć pieniądze, czy pistolet, ale do tego przecież nie mogłem się przyznać.

Chciałem stamtąd odejść na zawsze, ale już nie byliśmy dziećmi.

Pięknym, łagodnym ruchem owinęła szal wokół szyi, czekała, że może wreszcie coś powiem, ponieważ jednak nic nie powiedziałem, patrząc na mnie, założyła czapkę.

A przecież nie mogłem powiedzieć, żeby ze mną nie szła, więc wbrew własnej woli wydukałem: „Chodź”; gdybym tego nie powiedział, moje postanowienie nawet dla mnie samego stałoby się niepoważne.

Patrzyła na mnie z powagą, nie na moją twarz, chłonęła mnie wzrokiem całego, powiedziała, że jestem głupi, skoro nie zabrałem ze sobą czapki, i gdzie mam rękawiczki, odpowiedziałem, że nie potrzebuję rękawiczek, wtedy ona, nie zakładając swoich, wyciągnęła rękę.

Chwyciłem tę jej małą ciepłą rączkę i ruszyliśmy ulicą.

Była cudowna, o nic nie pytała, niczego nie chciała wiedzieć, i doskonale wiedziała to wszystko, co powinna.

Kiedy szliśmy ulicą Felhó, trzymając się za ręce, nie musieliśmy już nic mówić, nasze podniecone ręce mówiły o czymś zupełnie innym, i nie mogło być inaczej; kiedy jedna dłoń poczuła ciepło drugiej, że jest tu, że jest w niej, i że to jest dobre, i jeszcze nieznane, dłoń truchleje, a zaciskające się palce pomagają, by wzbraniające się mięśnie dłoni rozluźniły się w miękkiej poduszce tej drugiej, i wtedy palce z ulgą splatają się z palcami, co okazuje się kolejną komplikacją, bo dwie dłonie z powodu siły własnego uścisku nie czują tego, co chciałyby czuć.

Trzeba rozluźnić palce, aż do bezwładu, niech tylko będą i niczego nie chcą, trzeba pozwolić im splatać się ze sobą, tylko że wtedy z czubków palców napiera zabawna, lekka ciekawość, jak to jest dotykać, głaskać, chcieć czuć, tak, jak to jest wcisnąć poduszczyki palców w zagłębienia powstające w ściskających się dłoniach, odkryć tę drugą osobę w dotknięciach i ostrożnie zwalnianych uściskach, które powoli, niezauważalnie, stopniowo przeistaczają się w silny uścisk; potem, kiedy szliśmy w górę po stromo wznoszącej się ulicy Diany, z pełną świadomością mocno ścisnąłem ją za rękę, tak bardzo, żeby aż zabolęło, stęknęła z bólu, oczywiście nie całkiem na poważnie.

Nie patrzyliśmy na siebie, nie mieliśmy odwagi.

Byliśmy jedną ręką, jak gdyby ten ból był jednak na poważnie, a jej ręka, obrażona i urażona, chciała wysunąć się z mojej dłoni, ale moja czułość jej na to nie pozwalała, z coraz mniejszą siłą z wyżyn jej bólu ześlizgiwaliśmy się ku pojednaniu, w którym wszystko jest tak ostateczne, że wszelka dotychczasowa zabawa i walka tracą sens.

Szliśmy dalej po ulicy Karthauzi i choć nie zajmował mnie kierunek, w jakim podążamy, jednak to ja ją prowadziłem, z instynktowną pewnością, w tym kierunku, który uważałem za słuszny, choć niepewny, do dalekiego celu wyznaczonego z dziecięcą wprost pewnością siebie; a jednak nie żałuję, bo gdyby jej ręka mnie nie zmusiła, być może zbyt wcześnie pogodziłbym się z myślą, że nie możemy zmienić naszej sytuacji, gdybym był sam, gdyby jej ręka mnie nie przymusiła, abym z pełną świadomością zdecydował się na tę instynktownie wybraną szaloną przygodę, zapewne bym zawrócił, ciepło uwiodłoby mnie tam, dokąd rozsądek nie pozwalał mi wrócić, z jej dłonią w mojej dłoni nie miałem zaś powrotu, i tak, kiedy sobie to wszystko przypominam i odkrywam to w zdaniach, mogę tylko niczym starzec pokiwać głową, tak, niech sobie idą, szerokiej drogi, a ich głupota, muszę przyznać, wydaje mi się całkiem miła.

Dwa prawie całkiem puste wagoniki oświetlonej zębarki przemknęły ponad nami po ośnieżonej grobli, kilka osób szło za nami ulicą, nieciekawe cienie świata, który opuszczaliśmy.

W splecionych dłoniach nieśliśmy nasze wspólne ciepło, i kiedy dwie dłonie już długo odpoczywały w sobie w bezruchu, nie tylko z zimna, ale też z przyzwyczajenia, jedna dłoń jakby utraciła na chwilę tę drugą, musieliśmy ostrożnie zmienić miejsce, zważając, by spokojnie zakłóciły ta zmiana i kolejny uścisk.

Czasami zaś wręcz przeciwnie, obydwie dłonie tak naturalnie znajdowały w sobie równoprawne miejsce, że nie można było określić, która jest moja i gdzie jest ta jej, czy ja trzymam ją, czy ona trzyma mnie, co oczywiście napawało mnie też pewną obawą, że stracę moją rękę w jej dłoni, i dlatego musiałem się poruszyć.

Obce cienie znikły, byliśmy sami, nasze szybkie, może nawet zbyt szybkie kroki skrzypiały na ulicy oświetlonej światłem latarni i wtapiały się w mrok ogołoconych drzew wyłaniających się w blasku księżyca, raz z bliższej, raz z dalszej odległości dochodziło szczekanie psów; w powietrzu, które było tak zimne, że przy każdym wdechu zamarzało w nosie, całkiem miłe uczucie, dawał się wyczuć gorzkawy zapach dymu z kominów, po lewej stronie ulicy, w położonych w głębi ogrodach bielity się wielkie plamy śniegu, właśnie tam dymiały kominy ciemnych willi.

Tamtego wieczoru była pełnia, kiedy szliśmy pod górę po Szwajcarskich Schodach, księżyc świecił dokładnie naprzeciw nas, na samej górze długich schodów, jak gdyby czekała na nas jego nieruchoma twarz.

Te niekończące się schody zmyliły nasze ręce; niepostrzeżenie na równej drodze nasze kroki nabrały harmonii, raz ona ciągnęła mnie, a raz ja ją, nie tyle na samych schodach, bo tam udawało się nam równo razem stawiać kroki, ile na podestach do odpoczynku znajdujących się pomiędzy schodami, gdzie po każdym trzech schodkach można było zrobić cztery kroki po płaskiej powierzchni, i na takim podeście, pomiędzy czterema zmylonymi krokami, dokładnie je liczyłem, zapytała, dokąd chcę iść.

Nie zapytała, dokąd idziemy, ale dokąd ja idę, tak jednak, jak gdyby tylko wyrzuciła z siebie to pytanie, nie zajmując się specjalnie jego sformułowaniem, więc nie musiałem się zatrzymywać.

Powiedziałem, że do mojej ciotki.

Co nie do końca było zgodne z prawdą.

Ale na szczęście nie zapytała o nic więcej, szliśmy dalej w górę po schodach, ciągle jeszcze nie patrząc na siebie, bo po tym jej pytaniu już nie mieliśmy odwagi.

Mogło tak upłynąć pół godziny, kiedy człowiek wejdzie na samą górę, bezwiednie ogląda się za siebie.

Kiedy się obejrzelśmy, by zmierzyć wzrokiem przebytą drogę, nasze twarze otarły się o siebie, widziałem, że chce wiedzieć, ale nie wiedziałem, co powiedzieć, czy może to było zbyt trudne, i wtedy puściliśmy swoje dłonie.

Ruszyłem naprzód, ona za mną.

Ulica Rege lekko się wznosi, przyspieszyłem kroku, uciekając przed odpowiedzią, i wtedy, po kilku krokach przemierzonych w tej nerwowej obcości, ona jednak wyciągnęła rękę.

Wyciągnęła do mnie rękę, bo wiedziała, że jej dłoń każe mi poczuć, że mnie zostawi, a moja ręka nie chciała jej namawiać, chciała pozwolić, żeby odeszła.

Szliśmy po nagim górskim szczytzie, przeszliśmy wzdłuż długiego żelaznego ogrodzenia hotelu, a tam, gdzie się kończyło, w niebieskich ciemnościach czekała na nas ostatnia miejska latarnia, ostatnie żółte światło, jak gdyby płonące na ostatniej granicy naszych szans; tam kończyła się droga, dalej prowadziła ścieżka, samotne dęby, rzadkie zarośla, i kiedy zostawiliśmy za sobą to ostatnie żółte światło, każda chwila była już taka, jak gdyby puściła moją rękę, aby wyzwolić swoją.

Spacerowaliśmy jeszcze pół godziny, może trochę mniej.

Szliśmy w głębokiej szczelinie Wilczej Doliny, wysoko na górze leżał jeszcze niebiesko

połyskujący śnieg, skrzypiał i trzeszczał pod naszymi stopami, i tam się to stało.

Stała, natychmiast puściłem jej rękę, a ona natychmiast chwyciła moją rozpostartą dłoń i spojrzała za siebie.

Ale i tak nie mogła zobaczyć tego, co chciała, nie mogła widzieć świateł, które zostały za nami, byliśmy już na samym dole doliny.

Powiedziała, żebym z nią wrócił.

Nic nie odpowiedziałem.

Wtedy puściła moją rękę.

I żebym założył jej czapkę, jednak pokręciłem głową; to głupie, ale nie chciałem spacerować w czerwonej czapce.

No to żebym wziął jej rękawiczki, powiedziała, wyciągając je z kieszeni.

Wziąłem rękawiczki, założyłem, były ciepłe, zrobione na drutach wełniane rękawiczki, też czerwone, ale to mi nie przeszkadzało.

Wtedy się przestraszyła, prosiła, błagała, że to nie przeze mnie, ale z powodu jej rodziców, i że nie jest tchórzem; mówiła cicho i szybko, a dolina odbijała echem każde jej słowo.

Od tego echa dreszcze przechodziły całe moje ciało, czułem, że jeśli wydam choć jeden głos, który odbije się echem, to będę musiał zawrócić.

Że się boi, boi się wrócić, żebym ją odprowadził choć kawałek.

Żeby ją odprowadził, powtórzyła cicho dolina.

Szybko ruszyłem naprzód, żeby już nic więcej, nic więcej nie mówiła, ale po kilku krokach się zatrzymałem; może tak, może już tu, obydwójgu będzie nam łatwiej.

Długo staliśmy w miejscu, z tej odległości już nie widzieliśmy swoich twarzy, i tak było dobrze.

Dla mnie to dobrze, że wróci, niech idzie, może nawet poczuła, że wcale się nie martwię, że wraca, obróciła się powoli, zrobiła zwrot, zaczęła biec, ślizgała się, spoglądała za siebie, tak długo wodziłem za nią wzrokiem, jak długo moje oczy widziały to, co chciały widzieć, może zawróciła, na niebieskim śniegu kołysała się ciemna plama, aż wreszcie znikła, choć wydawało mi się, że ciągle ją widzę.

Jakiś czas jeszcze słyszałem jej kroki, potem już tylko mi się zdawało, że je słyszę, ale to nie był odgłos kroków, lecz zimny wiatr mroźnie hulający po gałęziach, echo skrzypów i trzasków, tajemnicze łoskoty, jednak się nie poruszyłem, czekałem, by poszła, odprowadzałem ją myślami, aż całkiem znikła.

Zimne drapanie w gardle mówiło mi jednak, że wróci, i jeśli jednak się obejrzy, to teraz, nie, jeszcze nie, teraz musi pojawić się plama, lecz nic się nie pojawiło.

Mimo to ucieszyło mnie, że się jej pozbyłem, i to nie było tak, że straciłem ją, wręcz przeciwnie, czułem, jak gdybym zdobył ją na zawsze właśnie przez to, że miałem odwagę zostać sam.

Droga już na mnie czekała, szedłem, aczkolwiek nie sędzę, by warto było przytaczać teraz w szczegółach historię mojej drogi.

Moja własna głupota utwierdziła mnie w przekonaniu, że to ja jestem historią, a tamta zimna, bezdomna noc stanowi tylko ramę tej historii; nie, moja prawdziwa historia dopełniła się niezależnie ode mnie czy, mówiąc ściślej, równoległe do przygód, które były moim udziałem.

Kiedy wyruszyliśmy na spacer, była ósma wieczór, pamiętam dzwony bijące w kościele, ona wróciła do domu trochę przed dziesiątą, kiedy ja, zostawiwszy za sobą skały Ördögrom, wyszedłem na równinę u podnóża góry i zadowolony spoglądałem na blade światła

rozciągającego się w dole Budaörs; do Budaörs było jeszcze daleko, ale nie wydawało się trudnym zadaniem nie zmylić kierunku.

Później dowiedziałem się, że niezauważona przez nikogo wróciła do swojego pokoju, szybko się rozebrała i położyła do łóżka, już prawie spała, kiedy domyślili się, że jest w domu, zapalili światło, zaczęli wrzeszczeć, one nie chciała powiedzieć prawdy, kłamała, że bolała ją głowa i poszła się przespacerować, rozplakała się, matka ją spoliczkowała, ale tak się bała, że coś mi się stanie, że w końcu wszystko powiedziała.

Wtedy już byłem na Budaörs, droga była ciemna, długa i kręta, w nizinne rejony prowadziło coś w rodzaju tunelu, niewyafaltowany rów pełen zamrzniętych śladów wozów, ze szkieletem wysokich, chroniących przez zimnem, gęstych zarośli po obydwu stronach, tu było cieplej i jednocześnie straszniej niż na otwartej przestrzeni, z jednej strony dlatego, że nie wiedziałem, co mnie czeka za kolejnym zakrętem, z drugiej – bo ciągle musiałem się zastanawiać, czy idę we właściwym kierunku, więc dodając sobie odwagi, na pocieszenie postanowiłem, że jeśli uda mi się dotrzeć do tych dalekich światła, to wynajmę sobie jakieś miejsce na nocleg albo po prostu zadzwonię do jakichś drzwi, ale ulga nie trwała długo, bo kiedy dotarłem do pierwszych zabudowań, z któregoś z nich nagle wyleciał pies, brzydki, zamrznięty, zmierzwiony i pokraczny, w miejscu ogona miał skołtuniony krótki kikut, biegł za mną, ujadając, próbował z boku złapać mnie za nogawkę spodni, przy każdym kroku musiałem go kopać, żeby mnie nie ugryzł, warczał, pokazywał zęby, tak przeszliśmy przed karczmą, w której właśnie zamykano okiennice, dwie kobiety i mężczyzna długo się przyglądali, dlaczego biegnie za mną pies, wydałem się im podejrzany, więc zrezygnowałem z pytania o nocleg.

Ojciec Liwii złapał płaszcz i pobiegł do nas.

Mogło być około północy, kiedy opuszczałem wieś, a ojciec Liwii dzwonił do naszych drzwi.

Pies stał z rozkraczonymi łapami na środku drogi i szcekał; ze wsi droga wznosiła się w górę, wokół ostre kontury niemych gór na rozświetlonym niebie, już za mną nie poszedł, nie ugryzł mnie w nogę, zaś ujadanie zamieniło się za moimi plecami w powolny, przeciągły skowyt, a więc jestem bezpieczny, poczułem się niewysłowienie szczęśliwy, że mogę sam, bez obaw, nabrać powietrza, wesoło maszerowałem odprowadzany psim skowytem, aż zapomniałem, jak bardzo jest mi zimno, fakt, że ze strachu trochę się rozgrzałem.

W domu czekano na pogotowie, które miało zabrać matkę do szpitala.

Kiedy przyjechało pogotowie, ojciec Liwii opowiadał w przedpokoju, co się wydarzyło, János pojechał z mamą, żeby ojciec mógł zadzwonić na policję.

A ja, straciwszy poczucie czasu, wlokłem się po pustej drodze, nie wiedząc nawet, że moje niedojrzałe życie w rzeczywistości czeka na dźwięk nadjeżdżającego samochodu; najpierw pomyślałem, że ich zatrzymam, wszystko jedno, dokąd jadą, i poproszę, żeby mnie zabrali, ale i na to nie starczyło mi odwagi, zszedłem z drogi, zeskoczyłem do rowu i po kostki w śniegu czekałem, aż odjadą.

Samochód przejechał, myślałem, że mnie nie zauważyli, kiedy zaskrzypiały hamulce i koła, z taką siłą, że auto potoczyło się po śliskiej drodze i uderzyło w krawężnik, zachybotowało się, odskoczyło i uderzyło w słupek kilometrowy; silnik zgasł, wyłączyły się reflektory.

Po odgłosach skrzypienia hamulców, poślizgu i uderzenia nastąpiła chwila ciszy, wreszcie otworzyły się przednie drzwi i zaczęły biec do mnie dwa ciemne płaszczce.

Potknąłem się i ześlizgnąłem po boku rowu, potem, kiedy biegłem po wyboistej, zamrzniętej łące, skręciłem sobie kostkę.

Chwycili mnie za kołnierz.

Do kurwy nędzy, twoja mać, przez ciebie prawie do rowu.

Wykręcili mi ręce, obydwójce, popychali, ciągnęli do samochodu, a ja nawet się nie sprzeciwiałem.

Wrzucili mnie na tylne siedzenie, i że rozwałą mi łeb, jak ruszę się z miejsca, samochód z trudem zapalił, przeklinali przez całą drogę, ale było tak przyjemnie ciepło, że aż dostałem dreszczy, i w tej przyprawiającej o drżenie miękkości, wśród dźwięków silnika i oddalających się przekleństw, wreszcie zasnąłem.

Już świtało, kiedy zatrzymaliśmy się przed wielkim białym budynkiem.

Pokazali mi wgnieciony zderzak, i że to nie oni za to zapłacą, i że zaraz przejdzie mi chęć na spanie.

Zabrali mnie do pokoju na piętrze i zamknęli drzwi.

Próbowałem jakoś się pozbierać, rozmyślałem, co by tu im skłamać, ale głowa opadała mi na stół z niewyspania.

Najpierw był twardy, próbowałem podkładać pod głowę ramię, ale i tak był twardy, a potem zmiękł.

Ktoś przekręcił w zamku klucz, ale wtedy już spałem, w drzwiach stała kobieta w mundurze, a za nią, na korytarzu, mój dziadek.

Kiedy nasza taksówka skręciła z ulicy Istenhegyi w ulicę Adonisa, a my przejechaliśmy wzdłuż wysokiego ogrodzenia zamkniętej strefy, powiedział mi, co się stało w nocy.

Jak gdyby nie tej nocy, jak gdyby minęły od tamtego wydarzenia całe lata.

Był pogodny poranek, wszystko topniało i kapało w słonecznym blasku.

Łóżko matki był zaścielone pasiastą narzutą, jak wiele lat temu, kiedy jeszcze nie była chora.

Było przykryte, jak gdyby tu nie mieszkała.

Przecucie mnie nie zmyliło, nigdy więcej już jej nie zobaczyłem.

## Opis teatralnego spektaklu

Nasza topola jeszcze nie zrzuciła ostatnich liści, czekała, aż trupio zbledną i uschną, by w końcu opaść na ziemię; podmuchy powietrza ślizgały się między listkami, chociaż nie aż tak silne, by poruszyć wznoszącymi się łukiem gałęziami, kołysały nimi tylko, a liście wpadały w wir i drżąc na króciutkich łodyżkach, muskały się nawzajem.

Na zewnątrz świeciło słońce, rozkołysane i rozedrgane bladożółte plamy sprawiały, że dalekie niebo lśniło jeszcze intensywniejszym błękitem; można było głęboko wejrzeć w ten czysty błękit, jak gdyby ludzkie oko było w stanie dostrzec różnicę między dalekim a bliskim, zamiast zatapiać się w nicości, która przecież musiała gdzieś się kończyć, skoro wzrok się na niej zatrzymywał.

W pokoju panowało przyjazne ciepło, w białym kaflowym piecu syczał ogień, leniwie opadały chmury papierosowego dymu, wznoszące się przy każdym naszym ruchu.

Siedziałem przy jego biurku, wygodnie rozparty w głębokim fotelu, zawsze ustępował mi to wyborne miejsce, i oddawałem się sporządzaniu notatek, co oznaczało, że spoglądając za okno przez miękko opadające kłęby dymu, usiłowałem przypomnieć sobie to wszystko, co minionego dnia wydarzyło się w teatrze podczas prób; obrazy nakładały się na siebie.

Starałem się przypomnieć sobie słowa i gesty, których znaczenie i sens są wprawdzie jasne, a jednak gdy je widzimy czy słyszymy, dostrzegamy w nich błahe nieprawidłowości, niezamierzone, przypadkowe szczeliny i przepaści ludzkiej niedoskonałości, które oddalają gracza od jego gry, aktora od roli, i które oni, aktorzy, zgodnie z żelaznymi zasadami swojej artystycznej profesji usiłują pokonać, jak gdyby pragnęli odsunąć trapiący ich smutek spowodowany świadomością, że nie istnieje przecież doskonała tożsamość, że z nikim nie można się bez reszty utożsamić, nawet jeśli pragnienie takiego utożsamienia jest ostatecznym celem ludzkiego działania.

Już w chwili, kiedy sporządzałem swoje notatki, co samo w sobie było jedynie mechanicznym zajęciem, odnosiłem wrażenie, że to nie w łatwo dostrzegalnym łańcuchu przyczyn, nie w prostych do opisanego gestach i rozbrzmiewających echem słowach, aczkolwiek są one nadzwyczaj ważne, gdyż kreują żywą materię zdarzeń, lecz w szczelinach pojawiających się między słowami i gestami, przypadkowych i niezamierzonych, w tym, co nieregularne i niedoskonałe, powinienem szukać interesujących mnie prawidłowości; o ile takie w ogóle istnieją, one są bowiem tym, co w istocie rzeczy mnie interesuje.

On siedział trochę dalej i monotonna stukał w maszynę do pisania, ledwie odrywając palce od klawiszy, zachłannie palił papierosa, nie wiedziałem, co pisze, tak długo i monotonna nie mógł przecież pisać wiersza, może pisał tekst potrzebny do nagrywanych dla radia audycji, choć to także wydawało mi się mało prawdopodobne, nigdy nie przynosił do domu żadnych kartek, z domu też niczego nie zanosił do redakcji, przechadzał się między tymi dwoma miejscami, w których spędzał życie, z pustymi rękoma, jakby z całą świadomością oddzielając je od siebie; siedział z nogami wyciągniętymi pod stołem, chyba w niezbyt wygodnej pozycji, a smuga słońca ukośnie padająca z góry grzała jego nagie stopy.

Kiedy poczuł, że od dłuższej chwili mu się przyglądam, nie podniósłszy nawet wzroku, rzucił, że należałoby umyć okna.

Palce u nóg miał tak samo długie i foremne jak u rąk; lubiłem grzbietem dłoni głaskać jego

wysokie podbicie, dotykać językiem i czuć ostre krawędzie paznokci.

Nigdy nie sporządzałem notatek bezpośrednio po próbach, zawsze robiłem to wieczorem albo nocą, czy, o ile udało mi się wcześniej wstać, na drugi dzień rano; aby jednak dogłębnie przeanalizować wrażenie, jakie wywarła na mnie próba, i móc spojrzeć na nią z pewnej perspektywy, musiałem nabrać właściwego dystansu.

Nic nie odpowiedziałem, ale myśl o wspólnym umyciu okien wydała mi się pociągająca.

Aczkolwiek sporządzanie notatek początkowo zdawało mi się niezbyt poważną, wielkopańską pasją, duchową gimnastyką uprawianą w samotności, z powodu której nieraz, jadąc po południu do domu zatłoczoną kolejką w smętnym tłumie pasażerów, czułem bolesne wyrzuty sumienia; luksus, na który może sobie pozwolić uprzywilejowany, przewrażliwiony inteligent, myślałem, musiałem więc wyzwolić się z roli skazanego na bezczynność obserwatora, a przynajmniej jakoś wykorzystać ten potwierdzony doświadczeniem gorzki fakt, że zamiast uczestniczyć w tak zwanych wydarzeniach historycznych, jestem najwyżej ich żalosną ofiarą, jedną w wielu postaci w tym bezosobowym tłumie, jego ważną bądź nieistotną częścią, w gruncie rzeczy to bez znaczenia, obcym dla samego siebie, znienawidzonym elementem, jak gdybym był jednym wielkim okiem, do którego nie należy ciało; skoro jednak sporządzanie notatek stało się dla mnie konsekwentnie uprawianą duchową gimnastyką, musiało, mimo wszystko, jakoś wpłynąć na moje życie.

Z tych zapisanych na kartkach, a zatem niepozbawionych sensu znaków wyłaniał się obraz przygotowywanego właśnie spektaklu, tak więc, nie dostrzegłszy nawet zmian, jakie we mnie zaszły, zagłębiłem się w labiryncie, w który przeobraziła się ta nieznana i nieprzewidywalna w swoich konsekwencjach próba przeżycia losów obcych mi ludzi, a samo opisywanie spektaklu, z najdrobniejszymi detalami, gestami, słowami, skrytymi i oczywistymi związkami, śledzenie, jak powstaje, było już czymś więcej niż tylko moją prywatną manią, stałem się jego kronikarzem, na ich pracę reagowałem własną pracą, co zresztą wydaje się nieodzownym warunkiem zaistnienia ludzkiej wspólnoty, w tamtej bowiem niewielkiej ludzkiej wspólnocie, której funkcjonowanie miał prześledzić mój opis, niepostrzeżenie odnalazłem swoje miejsce, fakt, że było to miejsce z boku, i znalazłem dla siebie rolę, która dawała mi radość przebywania wśród nich.

Nadeszło niedzielne popołudnie, była przerwa w próbach, tego dnia on gotował obiad, co jakiś czas kopniakiem wyrzucał spod siebie krzesło, wychodził do kuchni, po czym wracał i znów stukał w maszynę do pisania.

Pamiętam, że pierwszą osobą, której coś o tym napomknąłem, była Kühnertowa, ona zaś opowiedziała wszystko Thei, która z typowym dla siebie zacięciem rozplotkowała wszystko wokół; po pewnym czasie spostrzegłem, że aktorzy nie tylko patrzą na mnie z rezerwą, a nawet z obawą, lecz także starają się rozmawiać ze mną mądrzej i cieplej, jak gdyby chcieli w jakiś sposób zmienić obraz, który sobie o nich stworzyłem i który kiedyś przeleję na papier.

Zapytałem, co pisze.

Odpowiedział, że testament.

Właściwie nawet nie zauważyłem, jak bardzo głęboko utkwiły we mnie te spędzone razem z nim, pozornie pozbawione większego znaczenia godziny, że nie tylko go znam, ale że to on stworzył dla mnie dom; ale nawet nie zapytałem, co to właściwie znaczy „dom”, wydawało mi się, że wiem.

Zapytał, o czym myślę.

Panowała cisza, od dłuższej chwili maszyna nie stukała, a on przyglądał mi się tak samo,



jak ja wpatrywałem się w niebo i drzewa.

Kiedy spojrzałem na niego i odparłem, że o niczym, dostrzegłem w jego oczach, że już od dłuższej chwili przygląda mi się z uśmiechem na ustach.

O czymś przecież muszę myśleć, nawet jeśli nie jest to nic konkretnego, zachichotał.

O niczym, naprawdę o niczym, odparłem, nie odrywając oczu od drzew.

W istocie nie myślałem o niczym takim, czym warto byłoby się z kimś podzielić, zresztą człowiek nie zawsze myśli racjonalnie, czasem tylko coś czuje, wolne od myśli odczuwanie, któremu oddawałem się głupio i lekko, spokój widoku roztaczającego się za oknem, emanujący z niego spokój i pozycja, w jakiej siedziałem, wygodna, rozluźniona pozycja mojego ciała, brak napięcia pomiędzy moimi odczuciami a ich przedmiotem, to było wszystko, co mógł dostrzec; osiągnąłem stan ciała i ducha, który chyba można było nazwać szczęściem, a pytanie, które mi zadał, tak bardzo nadszarpięło to uczucie, że poczułem potrzebę, by je chronić.

Pomyślałem, dodał, a i mnie chyba przemknęło przez myśl coś podobnego, że powinniśmy tak zostać na zawsze.

Zapytałem, co ma na myśli, jak gdybym nie zrozumiał jego słów.

Uśmiech znikł z jego ust, przestał się we mnie badawczo wpatrywać, spuścił głowę i z trudem wymawiając słowa, jak gdybyśmy zamienili się rolami i teraz on musiał mówić w obcym dla siebie języku, zapytał, czy pomyślałem już o czymś takim w związku z nim.

Znów upłynęło kilka chwil, nim udało mi się wydusić z siebie słowo wymawiane w jego języku jeszcze głębszym, gardłowym głosem: tak.

Odwrócił się, roztargnionym ruchem, delikatnie wyjął palcami papier z maszyny, a ja znów wyjrzałem przez okno; milczeliśmy w bezruchu, i tak samo jak gorące było zawarte w ostrożnych i cichych słowach wyznanie, tak samo przerażająca zapadła po nich cisza, jak gdyby człowiek, pragnąc ją poczuć i usłyszeć, mógł wstrzymać oddech i bicie serca.

Zapytał, dlaczego nigdy mu o tym nie powiedziałem.

Sądziłem, że sam to czuje.

Dobrze było teraz siedzieć daleko od niego i nie patrzeć mu w oczy, spojrzenie i bliskość zakłóciłyby ciszę, sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna, bo miały paść ostateczne i nieodwracalne słowa; mówiliśmy do siebie, siedząc w ciepłe naszego wspólnego pokoju, a ostra smuga światła wpadającego przez okno wznosiła między nami mur, który musiały przeniknąć nasze słowa.

Dlaczego więc dopiero teraz o tym pomyślał, skoro ja pomyślałem o tym już wcześniej, zadał pytanie.

Nie wiem i sądzę, że to bez znaczenia, odparłem.

Począł chwilę i wstał, ale już nie wyrzucił krzesła kopniakiem, jak miał w zwyczaju, lecz ostrożnie je odsunął, nie patrzyłem na niego ani on nie patrzył na mnie, nie przekroczył jednak granicy światła, wyrosłej między nami jak mur, bez słowa wyszedł do kuchni, i jeśli przypisywać jakieś znaczenie rytmowi i sile kroków, można powiedzieć, że wyszedł w taki sposób, żeby jego kroki zniosły napięcie, które pojawiło się w naszych słowach, ale do końca starał się być odpowiedzialny i ostrożny.

Intymna, niemal rodzinna cisza znaczyła chyba więcej niż słowa otoczone milczeniem, niż przemilczane sprawy, słowa bowiem sugerowały coś ostatecznego, możliwość, że nasz związek może okazać się trwały, milczenie tymczasem mówiło o znanych przez nas obydwójce okolicznościach, które zaprzeczając precyzyjnie i oszczędnie wypowiedzanym słowom, przeczyły istnieniu takiej możliwości; fakt, że mogliśmy rozmawiać ze sobą w języku, który niczego nie

wypowiadał do końca, wspólna estetyka naszych języków pozwalały mi czuć, że w naszym przypadku możliwość jest silniejsza od niemożliwości; on jednak, wydaje mi się, był bardziej ostrożny i nieufny.

Kiedy zostawił mnie w pokoju samego, zawładnął mną dziwny, upokarzający niepokój, straciłem panowanie nad własnymi ruchami, jakiś wewnętrzny przymus kazał mi się poruszać i jednocześnie nad sobą panować, językiem skrywanych i nieskrywanych gestów powtarzałem niewypowiedzianą słowami walkę zmysłów, nie potrafiąc oderwać wzroku od topoli, mościłem się wygodnie w fotelu i drapałem po całym ciele, a wszystkie moje członki, świerzbąc, gotowały się do ucieczki; drapałem się po czubku nosa, obwąchiwałem palce, czułem zapach skóry przesiąkniętej nikotyną, ale choć miałem ochotę, nie zapalałem papierosa, nerwowym ruchem cisnąłem na stół pióro niczym niepotrzebny przedmiot, by po chwili znów zacząć go szukać wśród notatek, chwyciłem je w dłoń, ścisnąłem, obracałem, przyciskałem, by tylko pomogło mi w powrocie do notatek w miejscu, w którym je przerwałem, kogo jednak obchodzą takie głupstwa!, chciałem wstać, przeczytać, co pisze, co to za testament, jednak nie ruszyłem się z miejsca, by zmieniając pozycję, nie zburzyć ciszy, musiałem jej strzec, choć wolałem mieć już to wszystko za sobą, czy też nic nie musieć i jakoś wymigać się od odpowiedzi.

Wrócił do pokoju, więc uspokojony zacząłem nadsluchiwać, co teraz będzie, co jeszcze może się wydarzyć, co jeszcze w sobie skrywamy, i czego dowiemy się dopiero wówczas, gdy przyoblecze się w słowa, a może nawet jeszcze później; ale moje opanowanie stanowiło jedynie karykaturę poprzedniego spokoju, nie potrafiłem odwrócić się w jego stronę, nie byłem wystarczająco uspokojony, by wykonać taki gest, poza tym pragnąłem nadal trwać w stanie, w jakim mnie zostawił, wychodząc z tego pokoju.

W miękkim odgłosie stąpających po podłodze bosych stóp moje ucho wychwyciło niedostrzegalną prawie zmianę, jaka zaszła w nim tam, w kuchni, nie były to wahanie ani piękny gest wyrozumienia, jak poprzednio, w zbliżających się krokach można było dosłuchać się uwagi i głębokiego namysłu, do którego zmusił się w kuchni, gdy trzymając w dłoni ściereczkę, zdejmował z garnka gorącą pokrywkę, pod którą w osolonej wodzie gotował się kalafior, woda wrzała z bulgotem, para buchała mu w twarz, i chociaż wydawało się, że kalafior jest już dostatecznie miękki, on wyjął z szuflady widelec i ostrożnie, by nie naruszyć białych różyczek drżącego we wrzątku kalafiora, który gdy jest zbyt miękki, łatwo się rozpada, nakłuł go widelcem i dopiero wówczas wyłączył palący się pod garnkiem płomień; siedząc w pokoju, słyszałem, albo tylko mi się wydawało, że słyszę, widziałem, albo tylko wydawało mi się, że widzę, każdy jego ruch, czułem po zbliżających się krokach, że te rutynowe, beznamietne czynności wyciszyły w nim uczuciowy zamęt, który we mnie coraz nieprzyjemniej się wzmagał.

Przystanął za moimi plecami, obydwie dłonie położył na moich ramionach, nie trzymał mnie za barki, lecz opierał się o nie całym ciężarem, jego ciało i mięśnie były jednak zrelaksowane, w ciężarze spoczywających na moich ramionach dłoni nie czułem wagi jego ciała, przez co ów gest wydawał się nadzwyczaj przyjacielski, choć też niepozbawiony dystansu.

Wygodnie rozparłem się w fotelu i spojrzałem na niego, podczas gdy on spoglądał na mnie z góry, moja głowa miejscem wielkości dłoni, które tak chętnie czuje na sobie dotyk i pieśczoć czyjejś ręki, a któremu w sferze zmysłowych doznań poświęcamy tak mało uwagi, dotykała jego brzucha.

Zapytałem, co z nami będzie.

Lekko zacisnął palce na moich ramionach, poczułem w swoim ciele jego siłę, i odpowiedział, że nic.

Tyle siły wystarczyło, by stąpić ostrze wypowiedzianych słów.

Ja tymczasem pragnąłem poczuć to niezwykle wrażliwe miejsce, u niemowląt nazywane ciemiączkiem, które choć z wiekiem twardnieje i zarasta kośćmi, to zgodnie z moim doświadczeniem nadal o wiele silniej reaguje na bodźce zewnętrznego świata, jak gdyby ciągle jeszcze było tamtą pulsującą błoną pełną różowych żyłek, jest czulsze od naszych narządów zmysłu, jak gdyby wyspecjalizowane w odczuwaniu przyjaznych i wrogich gestów i nieomylnie w ich ocenie; chciałem poczuć i wiedzieć to z taką samą siłą, z jaką on trzymał mnie za ramię, przycisnąłem więc to znajdujące się nieco powyżej potylicy miejsce do jego brzucha.

Wyraźnie sylabizując słowa, poprosił, żebym go uważnie wysłuchał i dobrze zrozumiał, to nie jest przypadek i nie wolno uważać tego za przypadek, że przemilczałem, co o tym wszystkim myślę, on zaś nie chciałby ingerować w moje życie, oczywiście nie cofa tego, co powiedział przed chwilą, byłaby to z jego strony głupota, ale nie chce, w żadnym razie nie chce wywierać na mnie nacisku.

Roześmiałem się i odparłem, że to zabawne, i że w takim razie dlaczego od samego początku nie zachowywał się z większym dystansem.

Uśmiech znikł z jego oczu, lecz zabłysnął na ustach, jakiś czas w bezruchu patrzył mi prosto w oczy, po czym przytulił mnie przez oparcie fotela.

Za późno, rzekł.

Na co jest za późno, zapytałem.

Za późno, powtórzył głębokim gardłowym głosem.

Położenie, w jakim znajdowały się nasze ciała – on patrzył na mnie z góry, ja patrzyłem na niego z dołu, a woń jego głosu przy każdym wypowiedzianym słowie muskała moje usta – dodawało mi pewności.

Poprosiłem, żeby jednak powiedział, co dokładnie ma na myśli.

Nie potrafi mi tego powiedzieć.

Białą koszulę miał rozpiętą aż do pasa, ciepło jego ciała promieniowało na mnie, jak gdyby o czymś mi przypominając; zapach ludzkiego ciała ma tyle najrozmaitszych znaczeń, podobnie jak słowa, akcenty, gesty czy krótkie błyski spojrzeń, jednak w przeciwieństwie do wzroku i słuchu, węch zapisuje w mózgu o wiele bardziej ukryte i podstępne znaczenia.

Powiedziałem, że chyba nie chce.

Tak, nie chce.

Delikatnie, choć stanowczo odsunąłem jego ramię, a on pochylił się niżej nade mną, obydwoma rękoma oparł się o poręczę fotela, rozchylone poły rozpiętej koszuli dotykały mojej twarzy i tym samym zamykały ją w sobie, nasze policzki znalazły się blisko siebie, mimo że pragnąłem, aby nie ciałem, lecz słowami zaprzeczył temu, co powiedział przed chwilą.

On tymczasem, by nie musieć sprostać temu niewykonalnemu żądaniu, nagle jak szalony pocałował mnie w usta, ale choć mu na to pozwoliłem, to nic nie potrafiłem poradzić, że pod twardymi bruzdkami jego warg, w miękkim cieple jego ust, moje wargi nawet nie drgnęły.

Lepiej będzie, powiedział, jak zajmę się swoimi sprawami, on też chciałby skończyć pisać, ale sens tego pocałunku utożsamiał się z sensem jego słów, gdyż tak jedno, jak i drugie miało zakończyć sprawę.

Tak łatwo mu to nie ujdzie, powiedziałem, kiedy chciał wyjść, i przytrzymałem go za rękę.

Niepotrzebnie się upieram, nawet gdyby chciał, muszę to zrozumieć, chciałby, ale nic nie może poradzić, że nie chce wiedzieć, co będzie za chwilę, nie chce wiedzieć, nie interesuje go to, już taki jest, niedobrze by mu się zrobiło, gdybyśmy zaczęli poważnie o tym mówić, czego od

niego oczekuję, żebyśmy sobie pogadali, jak przemeblujemy mieszkanie?, może to i dobry pomysł!, albo może mamy pójść do urzędu stanu cywilnego i obwieścić nasze poważne zamiary?, ale byłaby zabawa!, mamy planować piękną, wspólną przyszłość?, niech wystarczy mi to, co jest, czy to nie dosyć, że zawsze się cieszy, zawsze i bez wyjątku się cieszy, kiedy jestem przy nim, jeśli właśnie to chciałem usłyszeć, ale na nic więcej go nie stać, więc po co psuję to, co jest.

Dobrze, ale przecież przed chwilą powiedział, że chce czegoś więcej, że chce czegoś innego, mówił coś innego niż teraz, więc dlaczego się wycofuje.

Z niczego się nie wycofuje, wydaje mi się.

Powiedziałem, że jest tchórzem.

Owszem, jest tchórzem.

Nigdy nikogo tak nie kochał i jego też nigdy nikt nie kochał.

To w niezbyt dobrym stylu mówić takie rzeczy.

Nie potrafię bez niego żyć.

Bez niego, z nim, to głupie słowa, ale właśnie przed chwilą powiedział, że on też nie potrafi.

W takim razie o co chodzi.

O nic.

Wysunął dłoń spod mojej dłoni, jego gest dokładnie odpowiadał wypowiedzianym słowom, zrobił kilka kroków, by wrócić do jedyne pewnego miejsca w tym pokoju, do maszyny do pisania, do zadania, które sam sobie wyznaczył i które musi wykonać, zatrzymał się jednak pośrodku pokoju, tam gdzie padała ukośna smuga światła, stanął tyłem do mnie i wyjrzał przez okno, wpatrywał się w niebo, jak gdyby rozkoszował się ciepłem światła i grzał się w nim; przez białą koszulę przeświecała szczupła sylwetka jego ciała, którego zapach zostawiła przy mnie bliskość sprzed chwili.

W zapachu miniona noc, w minionej nocy wspomnienia poprzednich dni.

W nocy świtająca ciemność sypialni, w świtających ciemnościach jasne plamy ciemności zamkniętych oczu, kołdra błyskająca jaśniejącymi, płonącymi plamami, zapach prześcieradła i poduszki, a w nich zimno niedawnego wietrzenia, proszek do prania, ręka matki w gorących, suchych chmurach prasowania.

Pod kołdrą nasze ciała, a w nich pożądanie, nasze ciała gorączkowo szukające zaspokojenia na rozrzuconej pościeli; skóra, na skórze para porów, w porach tłusta wydzielina, pot lepiący się w owłosieniu, duszny pot zakamarków ciała, pomiędzy włosami i potarganymi, wilgotnymi kosmykami zatrzymane w biegu pojazdy, biura, restauracje, w zapachu całego miasta słony smak bezwonnej spermy, gorycz tytoniu w słodkiej ślinie, w ciepłych jamach ust jedzenie rozkładające się w ślinie, zepsute zęby, skórki i resztki utkwione między zębami, pasta do zębów, alkohol dobywający się z głębi żołądka, przetrawiony z powrotem na drożdże, opadająca gorączka ciała zapadającego w samotność snu i wilgoć nieodgadnionych podniet szaleńczych sennych majaków, zimne przebudzenie, otrzeźwiająca woda, mydło, miętowy krem do golenia, a w koszuli rzuconej na oparcie krzesła miniony dzień.

Dobrze, powiedziałem, w takim razie wreszcie jest coś, o czym nie wolno nam mówić, i bardzo się z tego cieszę.

Ach, lepiej żebym się zamknął.

Na podwórku krzyczała jakaś dziewczynka, wołała matkę, która oczywiście jej nie słyszała albo nie chciała słyszeć; właściwie zazdrościłem tej dziewczynce, może dlatego, że się tutaj

urodziła i nie musi stąd wyjeżdżać, albo zazdrościłem jej tego gorzkiego i niewinnego uporu, z którym nie chciała przyjąć do wiadomości, że nikt się nią nie przejmuje; wołanie stawało się coraz bardziej rozpaczliwe, przesywające i histeryczne, po czym nagle zapadła głęboka cisza, jak gdyby małą ktoś udusił, i dało się słyszeć tępe uderzenie piłki.

On usiadł z powrotem do biurka, nie wolno mi było na niego patrzeć, wiedziałem, że i tak znów się odezwie, a jeśli na niego spojrzę, to wszystko zepsuję.

Wziąłem do ręki pióro, na pięćset czterdziestej drugiej stronie rękopisu widniało ostatnie słowo, tu miałem pisać dalej.

Uderzył kilka razy w maszynę, w panującej ciszy wyraźnie brakowało mu krzyku dziewczynki, poczekałem, aż napisze jeszcze kilka wersów, i wtedy najzwyczajniej w świecie, dokładnie tak, jak mogłem się spodziewać, przerywając ciszę, odezwał się cichutkim, ledwie słyszalnym głosem, mamy jeszcze dwa miesiące, powiedział, dokładnie sześćdziesiąt dwa dni, i chyba nie chcę powiedzieć, że nie zamierzam wracać do domu.

Wpatrywałem się w ostatnie słowo zapisane w notatkach, w opuszczonej scenę, i zapytałem, przed czym tak uparcie się broni, czego tak bardzo się boi; ale nie umiałem ukryć, że nie chcę albo nie potrafię dać mu jednoznacznej odpowiedzi.

To zachowam dla siebie, odparł jak ktoś, kto wreszcie znalazł namacalny dowód moich zamiarów, nie zapomni mnie, i spróbuje żyć dalej.

Patrzyliśmy na siebie przez smugę światła z okrutną rozkoszą, on śmiał się zadowolony, że mnie zdemaskował, a mnie udzieliła się jego radość.

W takim razie kiedyś jeszcze tu przyjadę, powiedziałem nie bez drwiny, nie chciałem bowiem pozwolić mu na wykręt.

I zastanę puste mieszkanie, przecież wiem, że nie zamierza tu zostawać.

Dziecinne mrzonki, odparłem, nie będzie potrafił stąd odejść.

Może jednak wcale nie jest takim tchórzem, jak sądzę.

Zatem już zaplanował sobie piękną przyszłość, tyle że nie ze mną.

Jeśli ma być szczerzy, istotnie coś sobie zaplanował, zniknie przed moim wyjazdem, żebym mógł wyjechać bez pożegnania.

Powiedziałem, że to doprawdy świetny pomysł, a śmiech, który przy każdym słowie wypełniał jego oczy blaskiem, a może strach albo radość, które wzbudzał we mnie jego bliski nienawiści, gniewny uśmiezek, spowodowały, że sam parsknąłem śmiechem, mówiąc, że mu gratuluję.

Podziękował mi.

Radośnie patrzyliśmy sobie w oczy, szczerząc zęby, patrzyliśmy sobie w oczy wykrzywione uśmiechem, nie mogliśmy uciec od tej sytuacji ani sprawić, żeby ta podstępna brzydota stała się jeszcze bardziej wyrazista.

Dziwne, ale to nie on wydawał mi się brzydki i szpetny, lecz moje własne odbicie, które widziałem w jego oczach.

Nie była to wyjątkowa chwila ani jakaś szczególna pora, ani ten dzień nie był bardziej niezwykły niż wszystkie pozostałe, które spędzaliśmy ze sobą, może tylko w tym sensie, że w ostrożnie wypowiedzianych słowach po raz pierwszy wyraziliśmy to, czego szukaliśmy od samego początku, kiedy los nas posadził czy raczej rzucił obok siebie w operze, jednak to, co wówczas jawiło się nam jako nadzwyczaj wyjątkowe, choć wypowiedziane wiele razy, za każdym razem wypowiedzieliśmy jak gdyby po raz pierwszy; może powiem tak: nawzajem szukaliśmy w sobie ostatecznej przystani, a każde nasze słowo i każdy nasz gest stawały się na nowo

odkrywaną formą tych poszukiwań, dążyliśmy do portu, który nie istnieje w rzeczywistości, a nasze poszukiwanie okazywało się domem naszych tęsknot.

Chcieliśmy pogłębić, utrwalić i uznać za dozwolone radykalne w swojej istocie uczucie, które choć jest, choć istnieje i jest możliwe między dwojgiem ludzi, to jednak prowadzi donikąd, zapewne dlatego, jak kiedyś powiedział, że obydwaj jesteśmy mężczyznami, a prawa rządzące płcią są silniejsze od praw rządzących ludzką osobowością, wtedy jednak nie chciałem tego dostrzec ani nie chciałem się na to zgodzić, gdyż czułem, że w tej kwestii idzie o moją, a także o jego osobistą wolność.

Tamta pierwsza chwila zawierała w sobie wszystkie pozostałe, albo też we wszystkich pozostałych było coś z tej pierwszej.

Stał na schodach ze swoim przyjacielem Francuzem, w elegancko oświetlonym *foyer* opery, wśród wytwornej publiczności oczekującej na spektakl, wydawało mi się, że skądś go znam, że znam go od dawna, zresztą nie tylko jego, ale wszystko, co do niego należało, nie tylko nadzwyczaj szykowny garnitur i luźno zawiązany krawat z wpiętą szpilą, lecz także jego swobodnie ubranego przyjaciela, a nawet związek, jaki ich wtedy łączył, choć wówczas mogłem tylko podejrzewać i snuć fantazje na temat miłosnego związku dwóch mężczyzn, jednak myśl, że go znam, przepełniła nasze spotkanie nieodgadnioną bliskością i lekkością, a stało się to w sposób tak oczywisty i samo przez się zrozumiały, kiedy o nic już nie pytamy ani niczym się nie przejmujemy, a nawet nie zauważamy, co się z nami dzieje.

Kiedy wyzwolił się z objęć Thei, co zresztą jego przyjaciel obserwował z niechęcią, z jaką człowiek przygląda się ludziom, którzy w swoim zachowaniu nie zachowują należytego umiaru, uścisnęliśmy sobie dłonie, zwyczajnie, tak jak zawsze, on się przestawił, ja też, usłyszałem, że jego przyjaciel przedstawia się Kühnertowej i Thei, wymówił swoje podwójne imię, Pierre-Max, usłyszałem to dwa razy, ale że nosi nazwisko Dulac, dowiedziałem się dopiero później.

Przywitaliśmy się, ale nie nawiązaliśmy rozmowy, nasze niezależne od woli uczucia sprawiły jednak, że podczas gdy szliśmy na górę po śnieżnobiałych schodach przykrytych szkarłatnym dywanem, a ja rozmawiałem z jego przyjacielem, on zaś z Kühnertową i Theą, nasze ramiona, mimo że się nie dotykaliśmy, prowadziły się nawzajem, nasze ciała połączyły się ze sobą, by posuwając się naprzód, pozostać blisko siebie; a czyniły to tak pewnie, że nie trzeba było ich bliskości poświęcać szczególnej uwagi, nie była zaskakująca, ani nie można było nią kierować, sama przybierała określony kierunek, którego celu i możliwości, jak się później okazało, tylko ja nie byłem pewien, on więc mógł sobie spokojnie gawędzić, nie musiał na mnie patrzeć, ani ja nie musiałem patrzeć na niego, i przepełniony poczuciem pewności oraz nieodpowiedzialności płynącymi z jego ciała, z woni jego ciała, gawędziłem sobie z Francuzem kroczącym u mojego lewego boku.

Tego wszystkiego nie mogłem nawet określić mianem współuczestnictwa w występku, gdyż było to uczucie dużo bardziej mroczne i dużo bardziej poważne; ujawszy to metaforycznie, było tak, jak gdyby człowiek szybko mknącym pojazdem przeniósł się ze swojej przeszłości w teraźniejszość, skutkiem czego ta druga wydała mu się bajkowa i nierzeczywista jak nieznanne miasto, w którym w pierwszej chwili przybysz niepewnie się porusza; nie było w tym nic z pełnej podniecenia radości nieodłącznie towarzyszącej erotycznie podbarwionym historiom, a raczej głęboka w swej istocie radość przybycia do portu.

Dla mnie ta chwila dlatego była szczególna, i dlatego do dziś pamiętam ją z taką dokładnością, że wraz z Theą, która była osobą znaną i sławną, zwracaliśmy na siebie uwagę wszystkich, to na nią kierowały się zaciekawione spojrzenia publiczności, a ciekawość ta bardzo

szybko przeniosła się także na nas; każdy niemal instynktownie chciał wiedzieć i poczuć, z kim, z jakim mężczyzną, w którym towarzystwie pojawiła się tutaj ta sławna kobieta, my zaś, czwórka cywili, stanowiliśmy w tym oficjalnym otoczeniu dziwny, niemal skandaliczny widok.

Thea nawet tutaj zachowywała się jak na scenie, grała znaną i sławną aktorkę, i muszę przyznać z całym uznaniem, nadzwyczaj oszczędnymi środkami udało się jej pokazać, że nie dostrzega zachłannych, pełnych podziwu albo zawiści i zazdrości spojrzeń, gdyż całą swoją uwagę poświęcała Melchiorowi, oto prawdziwy mężczyzna!, mówił każdy jej ruch, kiedy delikatnie chwytła Melchiora za ramię, przekazując mu w ten sposób podziw, jakim darzyła ją publiczność; jej tatarska, koścista twarz bez makijażu była tak samo piękna jak zawsze, kiedy ukazywała się publiczności, spoglądała na niego zwięzającymi się w uśmiechu, chytrymi, wesołymi oczkami, jak gdyby szukając w jego oczach ratunku, och, żeby tylko nie musiała tak patrzeć na innych!, niemal nie zwracała uwagi, dokąd idzie, pozwalała się prowadzić, przecież to on ją prowadził, jej pełna oddania wewnętrzna gotowość w połączeniu z wytwornym strojem: długą, wąską, czarną spódnicą rozciętą po bokach aż do kolan, eleganckimi pantofelkami i lekko prześwitującą, grafitowoszarą jedwabną bluzką sprawiały, że wydawała się jeszcze subtelniejsza, jeszcze bardziej zdana na ludzką łaskę niż w którejkolwiek ze swoich ról, a przy tym sprawiała wrażenie osoby nadzwyczaj skromnej i powściągliwej.

Mówiła bez przerwy, ale z wielkim zapałem, choć cicho, by ukryć przed uszami ciekawskich treść wypowiedzianych słów, nad wyraz powściągliwie, z wielką dyscypliną, tylko wargami i uśmiechem udając nienaganną mimikę osoby z towarzystwa, dzięki czemu udawało się jej przemycić coś z napięcia niedawno zakończonej próby, resztkami pozostałej z próby energii dławiąc i uciszając w sobie wielką radość i namiętność, które rozniecała w niej obecność i cielesna bliskość Melchiora, jakkolwiek jednak skąpe były użyte tu środki wyrazu, cudownie harmonijne i oszczędne, jej obecność nie mogła pozostać niezauważona, ludzie zatrzymywali się, spoglądali na nią, poszturchiwali się dwuznacznie, pokazywali ją sobie, kobiety przypatrywały się jej strojowi, chłoneły oczyma jej słynny krok, mężczyźni zaś z wprawą godną mistrzów, kryjąc się za lodowatym wzrokiem, delikatnie chwyтали w dłonie jej piersi, próbowali objąć szczupłą talię czy, oddając się igraszkom fantazji, klepali ją po pupie, ładnej i krągłej, słowem: każdy na swój sposób i wedle własnego upodobania coś z nią robił, ona tymczasem kroczyła zapatrzona w niego, w swojego wybranka, jak gdyby była własnością każdego z nich, wspólną kochanką, ukochaną młodszą siostrzyczką, dzięki czemu i my zostaliśmy w jakiś sposób wyróżnieni, stając się w oczach obserwatorów zawodowymi statystami rozgrywającej się właśnie sceny.

Ja tymczasem, powodowany bardziej całą sytuacją niż własną ciekawością, udając zdeorientowanego i zadziwionego, zapytałem chudego, wysokiego, czarnowłosego Francuza, skąd się tu wziął, na co on pochylił się nade mną z przyjacielską, aczkolwiek pełną powściągliwości i pobłażania miną; zadziwiały mnie jego wąskie, jak gdyby płaskie oczy, w których gałki oczne wydawały się nie mieć dość miejsca, by się poruszać i obracać, dlatego pewnie jego spojrzenie zdawało się przeszywające, a zarazem martwe, bardziej jednak zajmowało mnie przysłuchiwanie się temu, co z taką swadą Thea opowiada mężczyźnie, którego ramię i rękę czułem po swojej lewej stronie.

Francuz w bezbłędnie zbudowanych, choć niewolnych od silnie obcego akcentu zdaniach wyjawiał, że nie, nie mieszka tutaj, ale w tamtej, drugiej części miasta, chętnie tu jednak zagląda, i to nawet dosyć często, bardzo go ucieszyło ich zaproszenie, i tak chciał obejrzeć ten spektakl, ale właściwie to nie bardzo rozumie, dlaczego jestem taki zdziwiony, co jest w tym

nadzwyczajnego, że się tu znalazł, tutejszy świat wcale nie jest mu tak obcy, jak mógłbym przypuszczać, a nawet jest mu bliższy niż tamta część miasta, bo jest marksistą i należy do partii komunistycznej.

Zawiły, pełen retorycznych figur styl jego wypowiedzi, jej wyraźnie agresywny ton, wycucie, z jakim instynktownie odkrył we mnie potencjalnego wroga, pewność siebie, luz i bezczelność, a jednocześnie poważny wyraz twarzy, nieruchome, wyzywające spojrzenie, z którego promieniowały wzbudzająca sympatię młodzieńcza wola walki i prymitywne zaślepienie, tak mnie zaskoczyły, że natychmiast przyjąłem rzucone wyzwanie, mimo iż w tym zimnym, drętwym i oficjalnym otoczeniu nie było miejsca na gorącą polityczną dyskusję, że połaskotany sprzecznymi impulsami miałem ochotę po prostu się roześmiać, cóż za głupoty opowiada?, jego słowa odebrałem jako zabawny, lecz nieprzyzwoity żart, a jego dziecinie zagniewana, pełna zdecydowania, ładna twarz tylko wzmagała to wrażenie, jego swobodna, wywodząca się z innej kultury elegancja, tutaj uchodząca za niechlujstwo, gruby, puszysty sweter, lekko zniszczony i przybrudzony, przerzucony przez ramię, długi, ogniście czerwony szal, którym odświeżnie wymyta, a przez to ubogo i mało sztywnie prezentująca się publiczność przyglądała się z takim oburzeniem i potępieniem, że aż słychać było chrapliwe pomruki nagany, ja tymczasem nie chciałem go urazić, z drugiej zaś strony, czując na sobie spojrzenia innych, uznałem za stosowne, by zachowywać się w miarę powściągliwie, więc uprzejmie się uśmiechałem, choć była w tym doza zarozumiałstwa, i nie próbując nawet łagodzić ostrza wypowiedzianych słów, odparłem, że chyba opatrnie zrozumiał moje zdziwienie, nie zamierzam go o nic wypytywać ani czynić mu wyrzutów, wręcz przeciwnie, bardzo się cieszę, że mogłem go poznać, tu na wschodzie bowiem od co najmniej sześciu lat, podkreślam, od sześciu lat, nie spotkałem człowieka, który z całą świadomością i odpowiedzialnością nazwałby się komunistą.

Zapytał, do czego zmierzam.

Na co z wyższością tubylca odparłem, że do niczego.

Jeśli mam na myśli wiosnę tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, rzekł, tracąc pewność siebie, na co ja, rozkoszując się swoją wyższością, przytaknąłem, że owszem, to mam na myśli, wyczekująco popatrzył mi w oczy i w chwili, w której przytaknąłem, z jeszcze większym entuzjazmem zaczął perorować, że przecież tamte wydarzenia to nic takiego, i dlatego z ich powodu miałyby rezygnować z walki.

To bojowe stwierdzenie pięknie i niewinnie wymknęło się z jego dziecinnie miękkich warg dokładnie w tej samej chwili, w której rozwścieczona Thea przeklinała swojego reżysera, było młodzieńcze i urzekające, mocne i przekonujące, ale o jakiej walce mówi, z kim albo z czym?, powalony zabawnością rozgrywającej się sceny straciłem konieczny, by coś mu odpowiedzieć, spokój ducha, i w tej śmiesznej, a jednocześnie poważnej ciszy słychać było tylko szept Thei, że Langerhans doskonale nadawałby się na ambasadora, na przykład w Tiranie, choć niewykluczone, że nadaje się najwyżej na zawiadowcę stacji, wystarczy na niego spojrzeć, jak poprawia sobie okulary na tym swoim zadartym nosku, jak krótkimi paluszkami drapie się po tłustych włosach, przypomina wielką białą kartkę pełną ślicznych, okrągłych pieczętek, przez cały dzień przystawiałby pieczątki, czerwone, niebieskie, kolorowe, żeby tylko, na miłość boską, nie reżyserował!, wcale nie przesadza ani nie żartuje, Melchior wie najlepiej, czwarta scena w trzecim akcie, kiedy zbiera się rada koronna, to jedna jedyna scena w całym przedstawieniu, którą da się oglądać, ta potworna rada, jak wokół stołu siedzi sześciu koszmarnych facetów, specjalnie kazał zrobić taki wielki, taki idiotycznie wielki stół i na domiar złego wybrał



najgorszych aktorów, może pan sobie, Melchiorze, wyobrazić, jak się, nieszczęśni, cieszyli i z jaką wdzięcznością to grali, siedzą tam sobie i przesuwają po stole jakieś papierzyska, drapia się, jękają i obgryzają paznokcie, Langerhans przecież cały czas obgryza paznokcie, ohyda!, i nawet nie spieszą się do domu, już im wszystko jedno, od trzydziestu lat czekali na swoją małą rolę, od trzydziestu lat niczego nie rozumiejąc, i teraz też niczego nie rozumieją, i już nigdy nie zrozumieją, niech pan to sobie wyobrazi!, sam pan zobaczy!, takie to wszystko nudne, takie beznadziejnie, takie ogłupiająco nudne, że po prostu można zasnąć, jedna jedyna rzecz, którą umiał wymyślić, to nuda, bo jakie są kobiety czy czego chcą od mężczyzn, o tym taki zimmokrwisty teatralny urzędnik po prostu nie ma zielonego pojęcia.

Zawahawszy się chwilę, odparłem, że chyba mamy na myśli dwie różne sprawy, on, ma się rozumieć, Paryż, a ja oczywiście Pragę.

A jeśli nawet ma jakieś pojęcie, to pospolite, wulgarne i pozbawione dobrego smaku, w związku z czym zaraz opowie pewną historyjkę, taką sobie, ot, pikantną przygodę...

Z takim nieprzyjemnym, aczkolwiek, jeśli patrzeć z perspektywy historycznej, całkowicie nieistotnym sceptycyzmem spotyka się nie po raz pierwszy, odrzekł Francuz, nie sądzi jednak, by tamta nieudolna akcja Rosjan mogła rzucić cień wątpliwości na ekonomiczno-historyczny fakt, że właśnie tutaj znajduje się ojczyzna socjalizmu, i dodał coś niedorzecznego na temat własności środków produkcji.

Do czegoś musiało między nimi dojść, później nawet było jej tego wstyd, i już nie potrafili ze sobą pracować, wtedy właśnie postanowiła, że za wszelką cenę wykrzesze z niego człowieka, a przynajmniej przekona się, jaki naprawdę jest.

Ta demagogia była dla mnie podobnie zabawna, jak dla niego przykry był mój sceptycyzm, ale nie wydaje mi się, dodałem, że mówiłby o nieudolnej akcji, gdyby jakaś obca armia rozgromiła powstanie paryskich studentów.

To zwyczaj bezmyślnych arystokratów nazywać rewolucję powstaniem.

Tak samo jak zwyczajem ograniczonych ideowców jest sądzić, że cel uświęca środki.

Przystanęliśmy obydwoj na schodach, oni poszli naprzód, Melchior jednak, jak gdybym to ja zatrzymywał go ramieniem, zrobił krok i szybko zawrócił; na twarzy Francuza dostrzegłem, że choć jest wściekły, sprawia mu przyjemność to, co mnie wcale nie sprawia przyjemności, gdyż w moim pojęciu jest wstydlive i żenujące, śmieszne i niepotrzebne; że rozmowa – w którą mimo woli się wplątałem i w trakcie której wypowiadam właściwie nie własną opinię, lecz znikomą część mojej nieistniejącej opinii, jako że cała nie istnieje, gdyż cienką jak mgiełka otoczkę samodyscypliny natychmiast przerywa wrzenie głęboko skrywanych, brutalnych i bezsensownych emocji, zaślepienie, coś, co można wyrazić jedynie językiem uczuć i co raczej należy ukrywać, niż wyjawiać – powoduje, że jestem wściekły bardziej na samego siebie niż na niego, on tymczasem, zamknięty w tym swoim niemożliwie chuderławym ciele i swoich niemożliwych poglądach, czuje się tutaj tak bardzo w domu, że nawet nie zauważa, z jaką zazdrością i z jakim oburzeniem patrzą na niego ci wszyscy, wśród których podobno jest w domu, że z tymi jego nieuczesanymi włosami i brudnym czerwonym szalem mają go po prostu za pajaca, który kpi sobie z ich nędznych wysiłków i z całego ich życia, choć przecież wśród nich to ja jestem prawdziwym pajacem.

Wygląda na to, powiedział z prowokującym spokojem, że mówimy dwoma różnymi językami.

Na to wygląda, skoro tak bardzo czuje się tutaj w domu, odparłem, nie umiałem bowiem, a może nie chciałem, wycofać się ze swojego zaślepienia, ale czy nie zauważył, że on może

przyjechać tutaj zza muru, a my wyjechać nie możemy.

Powiedziałem to tak głośno, że obydwie kobiety aż przystanąły, może tylko dlatego, że ramię Melchiora wyslizgnęło się spod ręki Thei, odwrócili się, w oczach Kühnertowej za grubymi szklami okularów błysnął strach, jak gdyby chciała dać mi znak, uwaga, słyszymy każde słowo, ale nie potrafiłem przestać, śmiertelnie się wstydziłem, a jednak mówiłem dalej, niech więc się nie dziwi, że poczucie osobistej wolności każe każdemu z nas mówić w innym języku.

I wtedy Melchior, z powagą nauczyciela strofującego uczniów groźnym gestem dłoni, położył kres naszemu pojedynkowi, lepiej żebym uważał, przez usta jego przyjaciela przemawiają Marat i Robespierre, że jeszcze o tym nie wiem, ale mam do czynienia z nieustępliwym rewolucjonistą.

Zadowolony z siebie ostatnim tchem śmiesznego, pełnego zazdrości gniewu odparłem, że właśnie dlatego mu to wszystko mówię.

W takim razie może to ja jestem rewolucjonistą, powiedział przestraszony, z niedowierzaniem w oczach unosząc krzaczaste brwi; wygłupiał się kosztem swojego przyjaciela.

Owszem, jestem rewolucjonistą, odpowiedziałem ze śmiechem.

Wspólnota odnaleziona w znajomym tonie współwinowajcy nieoczekiwanie i niespodziewanie stłumiła we mnie poczucie wstydu; dobrze zrozumiał mój wstyd i dobrze zrozumiał mój gniew, unicestwił go swoim zrozumieniem, zrozumieniem i podobnymi poglądami przybliżył się do mnie, oddalając tym samym Francuza, zrobił z niego powietrze.

Francuz tymczasem nagle parsknął śmiechem, raczej bezgłośnym niż głośnym, śmiechem bronił swojego nieugiętego stanowiska, innego niż moje, z drugiej jednak strony ten śmiech był adresowany do Melchiora, z którym zapewne już nie raz odbył taką czy podobną dyskusję, i już było za późno, by mogli się w tej kwestii porozumieć, a może właśnie to było ich porozumienie, i machnąwszy ręką, zmiotł z siebie brud naszego pełnego wyższości, cynicznego zachowania, brud współwinowajców, obrzydzenie, które w nim budziiliśmy, odpędził nas od siebie, wymazał ze swojego widoku, co miało oznaczać, że jesteśmy niepoważni, nieobliczalni i nie zasługujemy na to, by z nim dyskutować.

W pozycji, w jakiej stał, z podniesioną i obróconą w bok głową, było coś z pozy bohatera, podczas gdy nasza pozycja, mimo wspólnie odniesionego zwycięstwa, pozostała służalcza.

Chwilę później, niczym z zamierzchłej przeszłości, wynurzył się ubrany w szaroniebieski uniform bileter, wlepił oczy w Theę i z uprzejmym spojrzeniem skierowanym tylko i wyłącznie do niej otworzył na oścież drzwi do łoża honorowej.

Z wysokości niemal czterech metrów spoglądaliśmy na widownię na parterze, falującą twarzami pełnymi płam wątrobowych, nagle poruszającymi się i tak samo niespodziewanie zamierającymi w bezruchu, poprzecinaną monotonnymi, szkarłatno-białymi fotelami ustawionymi w łuk, a przez utrzymany w drętwym, neoklasycystycznym stylu, ozdobiony kolumnami korynckimi ze złotym zwieńczeniem portal widzieliśmy wielką scenę; na tle ponurego, stalowoszarego, świtającego nieba ohydne strzeliste wieże i koronkowe ściany baszt otaczały podwórzec ginący w niedniejącej nigdy nocy zamkowego więzienia, stamtąd ziejące czernią korytarze prowadziły w głąbiny kazamatów, z tyłu zaś, w opartych na łukowych sklepieniach celach, przez zakratowane okna wyglądające z grubych murów, można było dostrzec poruszające się zarysy ludzkich cieni.

Nic się nie poruszało, a jednak wszystko było żywe, nawet błysk broni strażników, wśród gwaru publiczności, rozbawionej radosnymi dźwiękami orkiestry strojącej instrumenty, słychać

było skrzyp i pobrzękiwanie łańcuchów, po chwili w nieprzeniknionym cieniu baszt przemknęła w głębi różowa suknia, a wietrzyk niósł strzępy śpiewnej komendy; naprawdę wietrzyk, kiedy bowiem taka ogromna scena stoi przed przedstawieniem otwarta, a gorące oddechy widzów nie zdążyły jeszcze wypełnić teatru, zawsze dochodzi od niej lekki, zimny podmuch i wieje chłodem pachnący klejem wietrzyk.

Nie odzywając się do siebie, w milczeniu wskazaliśmy sobie miejsca w pustej łoży, choć w rzeczywistości za maską uprzejmości i dobrych manier mogliśmy w naszych spojrzeniach i ostrożnych gestach doszukiwać się najprzeróżniejszych zamiarów, gdyż tak naprawdę za parawanem spokoju trwała między nami prowadzona okrutnymi metodami walka; ani trochę nie było obojętne, kto gdzie usiądzie, ja chciałem zostać obok Melchiora i on pragnął tego samego, nie mogłem jednak zostawić Francuza ani on mnie, tym zbyt wyraźnie dalibyśmy do zrozumienia, że nie tylko myślowo, lecz także fizycznie jesteśmy nie do pogodzenia, że sama obecność tego drugiego działa nam na nerwy, jest wstrętne i odrażająca, jednak taki nazbyt wyraźny zgrzyt mógłby sprawić przykrość Melchiorowi, a tego nie chciałem, z drugiej zaś strony Pierre-Max tak jednoznacznie należał do Melchiora, że łączącej ich więzi ani ja, ani Thea nie chcieliśmy zniszczyć, aczkolwiek Thea, która właśnie ze względu na Melchiora zorganizowała całą tę wyprawę do teatru, nie miała najmniejszego zamiaru rezygnować z jego bliskości, Kühnertowa zaś, mimo powściągliwego zachowania, swoją skromną obojętnością jednoznacznie pozwalała nam odczuć, że jesteśmy tu tylko kiepską dekoracją, że nie ma z nami nic wspólnego i że chce siedzieć obok Thei, i nie ma zamiaru na ten temat dyskutować, to z kolei mnie postawiło w kłopotliwej sytuacji, wyczuwając bowiem w milczeniu Thei dezaprobatę dla mojego zbyt hałaśliwego i psującego jej szyki zachowania, chciałem tak znaleźć się pomiędzy nimi dwojgiem, by obydwójce nie mieli mi niczego za złe, co, ma się rozumieć, okazało się zamiarem niemożliwym do zrealizowania, gdyż nie miałem najmniejszego prawa oddzielać ich od siebie.

Mieliśmy miejsca w pierwszym, składającym się z ośmiu krzeseł rzędzie łoży i następujące zadanie: tak w niej usiąść, by zręcznie rozsypać subtelnie splątane nici łączących nas związków.

W takich sytuacjach zazwyczaj dochodzą do głosu działające w nas najbardziej prymitywne moce, a własny interes z całą bezwzględnością określa rzeczywiste proporcje wzajemnych uczuć, miękka zasłona wyrozumienia ucisza ich nagie głosy i wyznacza uczuciowe centrum wokół zwycięskiej, przejmującej panowanie osoby; spośród naszych ostrożnych, uprzejmych gestów najwyraźniejsze okazały się dwa pełne zdecydowania znaki, dwa krótkie zdania i dwa rozkazujące gesty, chodźmy!, odezwał się Melchior po francusku do swojego przyjaciela, niczym obojętny obserwator przypatrujący się naszym nieudolnym wysiłkom, no proszę!, rzuciła do mnie pełnym złości i chłodu głosem Thea.

I tym sposobem natychmiast stało się jasne, że choć Melchior ze wszech miar bronił się przed tym spotkaniem, w gruncie rzeczy to Thea miała rację, a mówiąc ściślej, jej przeczucia były nadzwyczaj precyzyjne, kiedy wymusiła na nim spotkanie, wymusić bowiem mogła na nim tylko to, czego on też pragnął.

Melchior wcale nie z grzeczności czy z uprzejmości, ale z najprawdziwszej sympatii tak szybko i bez ogródek oddał Thei miejsce swojego przyjaciela, stał przecież przed wyborem, w którym decydujące było, że to właśnie on i Thea są tutaj panującymi, oni muszą znaleźć się obok siebie i oni do siebie należą.

Thea także mnie pociągała swoją miłością i żądzą posiadania, jak gdyby obydwójce stali w ciągłym pogotowiu wzajemnej uwagi, z tą różnicą, że o ile pomiędzy nami wszystko pozostawało w sferze wymacywania i obwąchiwania, o tyle oni niebezpiecznie zblizali się do

granicy spełnienia, w wyniku czego ich związek wcale nie był taki jednostronny, jak przedstawiała to Kühnertowa, nie mówiąc o tym, że było między nimi może nie dwadzieścia, ale na pewno z dziesięć lat różnicy, w wyniku czego wyglądali nie tyle śmiesznie, ile jakoś dziwnie; tak czy owak, w chwili, kiedy podjęli decyzję, okazało się, że jesteśmy jedynie paradnym orszakiem dla panującej tu pary, i o fakcie tym nie pozwoliła mi zapomnieć nawet ta miła okoliczność, że w surowo przestrzeganej hierarchii tego orszaku zająłem lepsze miejsce niż Francuz.

Nie miałem wielkiego doświadczenia w wyczuwaniu męskich uczuć, dlatego pomyślałem, że może opacznie odebrałem nerwowe słowa Kühnertowej, a uczuciowe prądy, które wyczuwało moje ramię, skierowane były nie do mnie, ale do Thei; obydwaj ciągle byliśmy blisko niej.

Usadowiliśmy się na swoich miejscach, milczący Francuz w samym środku, obok ja, przy mnie Melchior, obok Thea i Kühnertowa, jedyna osoba spośród nas, która usiadła tam, gdzie chciała.

Pilnowałem się, żeby mój łokieć nawet przez przypadek nie dotknął na poręczu ręki Melchiora, on zaś, jak to przystoi panującemu, natychmiast wyczuł napięcie, z jakim zająłem wyznaczone mi przezeń miejsce, z jednej strony było mi przykro, że pozbawiłem Francuza należnej mu własności, z drugiej – głęboko tkwiła we mnie zadra zazdrości o Theę, jak gdybym miał podstawy rościć sobie prawa do kogoś, kto nie tylko do mnie nie należy, ale wcale nie chcę, żeby do mnie należał, a teraz sprawia mi to ból, chcę ją stracić i jednocześnie nie chcę, sprzątaj ją mi przed nosa, będę musiał o nią konkurować z drugim mężczyzną, on zaś wydaje się jeszcze bardziej komplikować i tak już drażliwą sytuację, przyjacielskim gestem kładzie mi dłoń na kolanach, ze śmiechem spogląda mi w oczy, nasze ramiona muskają się niechcący, a jego twarz wykrzywia się w grymasie, odsuwa dłoń i jak gdyby nigdy nic, z uśmiechem na ustach odwraca się do Thei.

Z uśmiechem poprosił, żebym wybaczył mu przykrość, jaką mogła mi sprawić ta zabawa sprzed chwili, ale jego przeprosiny nie były niczym innym, jak grzecznym wprowadzeniem w głębszy sens jego uśmiechu, w głębię jego ogromnych niebieskich oczu, w których też czał się uśmiech, powiedział, że mężczyzna, którego przyprowadził tu jako swojego przyjaciela, służy mu za alibi, jest tu po to, żeby nie był całkowicie zdany na Theę, to fakt, przyznaje, coś ich ze sobą łączy, ale nie należy traktować tego zbyt serio, i żebym sobie nie brał tego do serca, i więcej już o tym nie mówmy, po prostu zdradził swojego przyjaciela, wyparł się go, grymas na jego twarzy głęboko wrył mi się w pamięć, grymas, który jawnie i jednoznacznie mówił, żebym był spokojny, ona wychodzi ze skóry, jest nim zachwycona, i on też jest nią zachwycony, i robi, co może, uniósł w górę ładnie wykrojone wargi, w jego słowach było co najmniej tyle samo ironii wobec sytuacji, w której się znaleźliśmy, ile kpiny z siebie samego, przez co wydał mi się pełen miłej w gruncie rzeczy wyższości, i że nie mam najmniejszych powodów do zdenerwowania, nie ma najmniejszego zamiaru jej uwodzić, i niech uważam sprawę za załatwioną, po męsku, w cztery oczy.

Ani jego gesty, ani wyraz twarzy nie mogły ujść uwagi osób, których dotyczyły, niezależnie jednak od tego jego bezwstydną szczerą i bezwstydnym fałsz – w tamtej chwili bowiem dużo silniej niż kiedykolwiek później, kiedy już uciszyłem w sobie poczucie zazdrości, czułem, że to wszystko nieprawda – jego bezpardonowe zachowanie, wulgarność i zdrada wywarły na mnie jak najgorsze wrażenie, jednak dziwnym trafem nie miałem siły albo możliwości, by nie przyjąć do wiadomości tego niezbyt pięknego, a w każdym razie wysoce nieetycznego zaufania, którym mnie obdarzył; siedziałem odrętwiały, sparaliżowany położeniem, w jakim się znalazłem,

udając, że patrzę na scenę, a w rzeczywistości rozglądałem się na prawo i lewo jak złodziej, śledząc, czy tamci coś zauważyli, i upajałem się ryzykiem, jakie niosła ze sobą nasza gra.

Sumienie mówiło mi, że jeśli poważnie potraktowałbym jego niewypowiedziane na głos słowa, to w jednej chwili ukradłbym go dwóm osobom, komuś, kogo nie znam, i komuś, kogo w ten sposób ohydnie bym zdradził, jego ostrożność wyostrzyła tylko moją uwagę, Francuz rzeczywiście niczego jeszcze nie zauważył, siedział pochylony w swoim fotelu i obserwował widownię szmerzącą w dole, jeśli więc nawet Thea zauważyła leżącą na moim kolanie dłoń Melchiora, to nie przypisała temu szczególnego znaczenia, jedynie surowe spojrzenie Kühnertowej mówiło, że mogę sobie robić, co chcę, ale i tak nie udało mi się uniknąć jej pełnego obaw, bacznie strzegącego interesów Thei wzroku.

Ciągle miałem w uszach głos Melchiora, widziałem jego usta wykrzywione grymasem uśmiešku, siedziałem w fotelu pochylony i, chcąc jak najbardziej się od nich oddalić, opierałem się łokciami o balustradę, byle tylko nie czuć w sobie uczuciowej burzy, jaką rozpałało we mnie jego gorące ciało, przemawiające do mnie rzeczywistymi słowami i rzeczywistym głosem, a jego głos niósł się echem po mrocznej widowni.

Na trzecim balkonie, a po chwili na znajdującym się bezpośrednio pod nami drugim balkonie rozbrzmiały brawa, fala oklasków przetoczyła się przez całą widownię aż do pierwszego rzędu, a kiedy w drzwiach pojawił się dyrygent, oklaski rozległy się też na parterze, i w tej samej chwili zgasł żyrandol zawieszony pod białą, ozdobioną rozetą kopułą.

Jego głos zdawał mi się znajomy, ciepły, głęboki, niski głos silnego, pewnego siebie człowieka, zdolnego do tego, by nie traktować siebie zbyt poważnie, by się sobą bawić, nie po to, żeby coś udawać, lecz aby zachować właściwy dystans, głos zniżał się aż do dobrotliwego pomruku, nie wiedziałem, skąd mogę go znać, i nawet nie sądzę, bym szukał w pamięci wytłumaczenia tej bliskości, jego głos jednak tak głęboko we mnie zapadł, tak bezustannie powracał, brzmiał i dźwięczał, jak gdyby próbował we mnie rozmaitych tonów, jakby szukał swojego miejsca w zwojach mojego mózgu, sensu, punktu i miejsca, nerwu, gdzie znajduje się ta niedostępna dziś, zamknięta skarbnica wypowiedzianych kiedyś słów.

Kiedy przyjechałem do Berlina, dwa miesiące przed dzisiejszym spektaklem, wynajęto mi mieszkanie tuż przy Bramie Oranienburskiej, w pierwszym narożnym domu przy ulicy Chaussee, sublokatorski pokój na czwartym piętrze smutnej, szarej, pamiętającej jeszcze dawne czasy kamienicy; oczywiście nie było tam żadnej bramy, nazwa zachowała jedynie wspomnienie starej mapy, którą historia w dosłownym tego słowa znaczeniu zmiotła, zniszczyła i spaliła, i jeśli nazwałbym ten dom smutno-szarym, nie powiedziałbym niczego szczególnego, w tych bowiem dzielnicach, w których wojenną zawieruchę przetrwało coś starego, dawnego i oryginalnego, wszystkie domy są właśnie takie, szare i smutne, aczkolwiek nie powiem, że pozbawione stylu, o ile pojęcia stylu nie chcemy zawężać do tradycyjnie reprezentacyjnych budowli, trzeba bowiem obiektywnie przyznać, że każda wzniesiona przez człowieka budowla zachowuje w sobie obraz materialnych i duchowych uwarunkowań czasów, w jakich powstała, i to jest właśnie styl, to i nic więcej.

Albo też obraz zniszczeń, które w historii ludzkości tworzą taki sam łańcuch jak wznoszone obiekty, zniszczeń, które w tej dzielnicy nie były jednak tak pełne i doskonałe jak tam, gdzie nie uchroniło się nic, a pomiędzy nowymi domami ciągle jeszcze wieje wiatr pustki; tutaj można było wybudować plomby, wypalone szkielety domów wypełniła tkanka nowych ścian, tu pozostał jeszcze kamień na kamieniu, a człowiek, czyniąc zadość elementarnej potrzebie posiadania własnego kąta, który ochroni go przed niepogodą, uznał za stosowne

ułożyć na nich nowe kamienie, tu zostało coś jeszcze ze starych, pamiętających dawne czasy, solidnych, przyjemnych dla oka fundamentów, i choć w ten sposób wzniesione, zalepione i wzmocnione gołe ściany nie potrafiły wprawdzie naśladować swego przedwojennego wyglądu, to jednak sam układ ulic i placów przypominał tamten dawniejszy, a tym sposobem żywa pozostała dawna struktura miasta, istota jego ducha, nawet jeżeli z pełnego życia, pyszałkowatego, zdobnego, choć jednocześnie oszczędnego i pełnego pompy, światowego, poważnego, energetycznego stylu nie pozostało nic więcej jak jego ślad.

Zza nowoczesnych fasad wyglądała istota dawnego stylu, martwy obraz minionego porządku.

Ulica Hanowerska, bogata ulica Friedricha, skrzyżowanie ulic Chaussee i Wilhelma Piecka, niegdyś zwanej ulicą Elzacką, dawniej tworzące śliczny mały plac, w tym smutnym zmartwychwstaniu sprawiały wrażenie martwych, prawie zawsze pozbawionych życia, cichych i pustych ram nakładających się na siebie epok, przez które od czasu do czasu przemknęły tylko pobrzękujący tramwaj; na środku placu stał zachowany z dawnych czasów, poorany pęknięciami słup ogłoszeniowy, a w matowych szybach ślepych od kurzu wystaw odbijała się pozbawiona szkła tarcza umieszczonego na nim zegara, tak pokazującego czas w owym mrocznym zwierciadle, że właśnie go nie pokazywała, ukazując zatrzymany w miejscu czas, ówczesną godzinę w pół do piątej.

Na dole, w tunelu, pod cienką korą jezdni było czuć i słyszeć dudnienie kolejki podziemnej, tam gdzieś w głębinach dudniły, grzmiały i cichły wagoniki, tu jednak nie można było zejść na peron kolejki, wszystkie stacje zalano betonem, początkowo nie rozumiałem, co znaczą te ślepe schody przy ulicy Friedricha, prowadzące donikąd, dopiero Kühnertowa uprzejmie mi wyjaśniła, że linia biegnąca pod nami łączy zachodnie dzielnice miasta i nie należy do nas, tak to określiła, nie należy do nas, i gdybym chciał ją odnaleźć na nowym planie miasta, próżno bym jej szukał, tymczasem ja nie rozumiałem, co ma na myśli; żebym posłuchał, wszystko mi wyjaśni, gdybym mieszkał na zachodzie, gdybym był obywatelem zachodnim, mógłbym na przykład wsiąść do kolejki przy ulicy Kocha, wtedy wiozący mnie wagonik przejechałby właśnie tędy, pod nami jest stacja, tu kolejka zwalnia, ale nie wolno się jej zatrzymywać, po prostu przejeżdża pod naszą dzielnicą, by dotrzeć do tak zwanego zachodniego sektora, tam, gdzie mógłbym wsiąść przy ulicy Reinickendorf, czy już rozumiem?

Każdy rozumie swoje miasto, zaś w obcym mieście nazwy ulic, ich położenie, gdzie jest zachód, a gdzie wschód, nawet przy najlepszej orientacji i szczegółowej znajomości topografii, zawsze pozostają w sferze abstrakcji, z nazwą bowiem nie łączy się żaden obraz, a z obrazami nie łączą się przeżycia; tyle jednak zrozumiałem, aby to zrozumieć, nie musiałem się tutaj urodzić, że pod jezdnią jest coś, czego nie ma, czy raczej trzeba udawać, że nie ma, że to coś ma prawo istnieć jedynie we wspomnieniach o dawnym mieście, choć przecież do dziś należy do krwiobiegu miasta, a zatem istnieje, ale tylko dla tamtych, którzy z kolei nie mogą wysiadać na zamurowanych, pilnowanych przez strażę stacjach, choćby już z tego powodu, że kolejki z upiorami nie mają swoich stacji, i w ten oto sposób oni podobnie nie istnieją dla nas, jak my nie istniejemy dla nich.

Odparłem, że już chyba wszystko rozumiem, jedynie tego nie, dlaczego na tych nieistniejących, a właściwie istniejących stacjach kolejka zwalnia, albo po co są strażnicy, i co to właściwie za strażnicy, tutejsi czy tamtejsi, skoro stacje i tak są zamurowane, czego tam pilnują i jak wychodzą, kiedy już skończą swoją służbę; niby wszystko rozumiem, odparłem, ale to wszystko jest dla mnie trochę nielogiczne, chyba że to ja nie potrafię pojąć tej logiki.

Jeśli będę z nią rozmawiał w takim kpiącym tonie, to więcej nie odpowie na żadne moje pytanie, powiedziała z urazą mieszkanki tej części miasta, ja zaś umilkłem.

W podobnym stylu utrzymane było mieszkanie na czwartym piętrze kamienicy przy ulicy Chaussee; kiedy przez szerokie, ciemne, rzeźbione drzwi wszedłem do przedpokoju przypominającego raczej salę recepcyjną, uderzył mnie ten sam styl, przedpokój był całkiem pusty, poczerniały parkiet, połatany w kilku miejscach zwyczajnymi deskami, skrzypiał przy każdym kroku, z łatwością można więc było sobie wyobrazić ciche stąpanie kroków na miękkich, wschodnich dywanach, doskonale ubranych mężczyzn i eleganckie kobiety, jak w jasnym świetle żyrandola spieszy ku nim pokojówka; pełne zakrętów korytarze z podłogą ze zwyczajnych desek łączyły kuchnię, pokoje dla służby i najróżniejsze pomieszczenia z pańską częścią tego mieszkania, składającego się z pięciu pokoi ułożonych w amfiladzie, w których wytworne łuki okien spoglądały na ponure mury; i ja właśnie dostałem miejsce w dawnej służbówce.

Z okna tej służbówki widziałem poczerniałą, ślepą ścianę sąsiedniego budynku, domy stały bardzo blisko siebie, w związku z czym mój pokój był niemal zupełnie ciemny, moje lokum można było więc określić jako nadzwyczaj skromne, stały w nim żelazne łóżko, ogromna, przy każdym ruchu skrzypiąca szafa, tradycyjny stół z poplamionym obrusem, krzesło, a na pokrytej wzorem ścianie widniało chyba ze dwadzieścia oprawionych w ramki dyplomów, nie wiadomo po co powieszonych przez gospodarzy.

Kiedy leżąc na łóżku, długo i w skupieniu wyglądałem przez okno, oddając się przy tym marzeniom, na przeciwległej ścianie widziałem ogromne języki ognia strzelające z trzeszczącego, huczącego dachu, czułem szalejący z hukiem wiatr, wichurę wznieconą przez żar płonącego ognia, straszliwy pożar, który w ten oto sposób zostawił dla potomnych, dla mnie, swój ślad, podłużne, czarne plamy pozostawione przez ogień na ścianach, które przetrwały pożogę.

Starałem się traktować mój pokój jako tymczasowe lokum i spędzać w nim możliwie najmniej czasu, kiedy jednak tak się składało, że nie miałem innego zajęcia, wówczas rozbierałem się, kładłem w przypominającym balię łóżku, zatykałem jedno ucho, a w drugie, by nie słyszeć hałasującej w mieszkaniu rodziny, wtykałem słuchawkę tranzystorowego radia; za ścianą mieszkała czwórka dzieci, dziadek i babcia inwalidka, ojciec, który niemal każdej nocy wracał do domu pijany, i jego jak na czwórkę dzieci wzruszająco młoda, blada żona, której ruchliwość, kruchość, zmęczenie i ciepłe piwne oczy zawsze przywodziły mi na myśl Theę, czy raczej na odwrót, odnosiłem wrażenie, że Thea tak właśnie wyglądałaby w swoich dawnych rolach, gdyby tylko potrafiła powiedzieć, kim jest naprawdę.

Tak oto słuchałem audycji, których wcale nie chciałem słuchać, i starałem się ich nie słyszeć, wyglądałem przez okno i nie powiem nawet, żebym o czymkolwiek myślał, po prostu pozwalałem, by moje ciało spoczywało bezdomne w tej nieokreślonej próżni i nie myślało o niczym.

Wszystko dochodziło do mnie w zwolnionym tempie, powoli przypląywało z oddali; głos mężczyzny docierał do mojego zmagającego się ze wspomnieniami mózgu, niski, przyjemnie miękki głos, roześmiany albo wesoły, czułem, widziałem niezmaconą radość malującą się, gdy coś mówił, na jego twarzy, a z upływem czasu przyłapałem się nawet na tym, że mu się przysłuchuję, że słucham tego, co mówi, aczkolwiek właściwie skupiałem się nie na tym, co mówi, ale jak mówi i kim naprawdę jest.

Rozmawiał ze starą szansonistką, gawędził z nią swobodnie i lekko, jak gdyby siedzieli

sobie przy filiżance kawy, a nie mówili do mikrofonu, o którym staruszka chyba nawet zapomniała, chichotała, z jej ust płynął niepowstrzymany potok słów, aż szczebiotała, przez co ich intymnie bliska relacja stawała się jeszcze bardziej widoczna, nie była to jednak zwykła pogawędka, co chwilę ich rozmowę przerywały stare szlagiery, mężczyzna opowiadał o okolicznościach, w jakich zostały nagrane, o czasach zastygłych w przeszłości, stanowiącej przedmiot ich rozmowy, o tętniącym życiem, zachwycającym, lekkomyślnym i okrutnym mieście, którego wspomnienie bezustannie powracało w dziewczęcym śmiechu i gruchaniu staruszki, on zaś wiedział wszystko, ale jego wiedza nie była natrętna, czasami nawet, pomrukując z zadowolenia, pozwalał się poprawić, przyznając się do własnej pomyłki, ale ton jego głosu zdawał się dawać do zrozumienia, że może to leciwą damę niekiedy zawodzi pamięć, nie było jednak w tym nic nietaktownego, subtelna synowska miłość i naukowa wręcz dokładność podbiły serce staruszki; kiedy program dobiegł końca, a ja dowiedziałem się, że w przyszłym tygodniu mężczyzna spotka się ze słuchaczami o stałej godzinie, poczułem, że zaspokoilem już wszystkie swoje duchowe i cielesne potrzeby, wysunąłem z ucha słuchawkę i szybko wyłączyłem radio.

Tydzień później rzeczywiście usłyszałem go o zapowiedzianej porze, ale ku memu największemu zdziwieniu w tym programie z nikim nie rozmawiał, tylko znani operowi soliści śpiewali popularne szlagiery i piosenki, wszystkie te nagrania miały muzealną wartość, śpiewali Lotte Lehmann, Szalapin, Richard Tauber, on tylko zapowiadał nazwiska, nic więcej, i choć poczułem się trochę rozzaczarowany, to jednak ucieszyłem się; był skromny, dużo mówił tylko wtedy, gdy z kimś rozmawiał, denerwowałem się, żeby niczego nie zepsuł, żeby do samego końca był konsekwentny.

I był, ja zaś już więcej nie słuchałem jego audycji, jakoś o nich zapomniałem, kiedy bowiem pewnego wieczoru wyszedłem do kuchni, chyba chciałem napić się wody, młoda żona właśnie obierała pory, cały dzień spędzała w pracy, kiedyś wspomniała, że pracuje w fabryce eternitu, ale ze względu na czwórkę dzieci zawsze na pierwszej zmianie, a wieczorem przygotowuje obiad na następny dzień; usiadłem na krześle obok niej, cicho sobie rozmawialiśmy, czy raczej ja mówiłem, a ona niechętnie, z wahaniem, od czasu do czasu wtrącała jakieś słowo, kroić pory, i kiedy oznajmiłem, że, o ile nie ma nic przeciw, dużą szafę przesunąłbym na drugą stronę ściany, gdyż zabiera resztkę wpadającego do pokoju światła, nic nie odpowiedziała, kroić tylko pory na szerokie plastry, i wtedy zaryzykowałem pytanie, że, o ile się zgodzi, na czas, kiedy tu mieszkam, zdjąłbym ze ściany dyplomy.

Nóż zatrzymał się w jej dłoni, podniosła na mnie ciepłe piwne oczy, i w tej krótkiej chwili jej spojrzenie stało się tak miękkie i spokojne, że niczego nie podejrzewając, popatrzyłem na nią zachwycony jej urodą, dziwne i niezrozumiałe było jedynie to, że niczym wyginający grzbiet rozszoszczony kot wyrzuciła w górę ramiona, rękę, w której trzymała nóż, włożyła do miski z wodą, i jak gdyby zaczęła płakać, i drżeć na całym ciele, z zamkniętymi oczyma wykrzykiwała mi prosto w twarz jakieś dziwaczne, dla mnie skomplikowane aż do niezrozumienia, niemal literackie zwroty, wyrzaskiwała do mnie swoje urazy, których w imieniu wszystkich pozostałych byłem powodem, że co my właściwie sobie o nich myślimy, że każdy może sobie wyprawiać z nimi, co tylko zechce, może sobie wszystko przesuwać, mogą sobie przesuwać, te przekłete obce świnię, zaszrane żółtki i zaszrane czarnuchy, żeby nawet w komunistyczną niedzielę musiała przez nich pracować, a oni bezczelnie i bezwstydnie, co za zuchwałość!, przyjeżdżają tu sobie, żeby musiała sprzątać ich brudne gówna, żeby nie dawali jej spokoju nawet we własnym mieszkaniu, żeby we własnym domu nie miała jednej spokojnej chwili, żeby



do wszystkiego jej pluli i zasmradzali jej garnki, co oni sobie wszyscy wyobrażają, kim oni są i kim my dla nich jesteśmy, ma tego dość, nawet nie wie, skąd ich tu, do cholery, przysłali, zresztą nic ją to nie obchodzi, co ona ma z tym wszystkim wspólnego, ale oni nawet tego nie wiedzą, że jak nasrają do klozetu, to po to stoi tam ta przeklęta szczotka, żeby wyczyścili nią gównem tych swoich przeklętych, brudnych, obcych dup.

Kiedy już powiedziała wszystko o żółtkach i czarnuchach, podniosłem się z krzesła i aby jej pomóc, i jakoś ją uspokoić, spróbowałem położyć dłoń na jej drżącym ramieniu, ale jej ciało wzbraniające się przed moim dotykiem aż się skurczyło, a krzyk stał się jeszcze głośniejszy, przeszedł we wrzask, wreszcie kobieta z taką siłą wyciągnęła nóż pomiędzy pływających w wodzie pokrojonych porów, że pomyślałem, lepiej zabiorę rękę, traciłem panowanie nad słowami, które miałem ochotę wyrzucić z siebie w ojczystym języku, i językiem musiałem je chwycić, zacząłem się jąkać, proszę się nie denerwować, jeśli to tylko możliwe, natychmiast się wyprowadzę, moje cicho wypowiedziane słowa tylko dołączyły oliwy do ognia, kobieta wrzeszczała na całe gardło, ja wyszedłem z kuchni, a ona podążyła za mną z nożem w rękę, ale ostatnie słowa wykrzyczała już w ciemnościach wielkiego, pustego przedpokoju.

Dyrygent wśród burzy oklasków stanął przed pulpitem, spojrzął w prawo, potem w lewo, pochylił się i, jak gdyby chciał skoczyć do wody, uniósł dłonie nad oświetlonymi nutami, na widowni zapadła cisza, ciepła, pełna oczekiwania cisza; a na scenie ciągle jaśniał chłodny świt.

Pochyliłem się ku Francuzowi i szepnąłem mu do ucha, że, jak widzi, jesteśmy w więzieniu; ale jego twarz nawet nie drgnęła w miękkim mroku.

W końcu po krótkiej przerwie huknęły cztery pierwsze, jeszcze pozbawione melodii, takty uwertury, które zdusiły falę oklasków, zmiotły ją, uciszyły i oślepiły; cztery krótkie, urywane, rozrywające powietrze takty pękającej z łoskotem ziemi spowodowały, że przyziemne wysiłki naszego codziennego życia wydały się śmieszne i małostkowe, a gdy już ukoronowała je cisza straszliwej głębi rozwierającej się otchłani, oddech uwięziony w gardle wygrał na klarncie wznoszącą się ku górze pieśń tęsknoty, ta melodia dobiegła jednak już stamtąd, z dołu, z samych głębin, subtelna, miłosna, błagająca o łaskę melodia, wygrywana na delikatnych fagotach i łkających obojach, stęskniona wolności, wznosząca się ku górze nawet wtedy, gdy skalista ściana przepaści odbijała westchnienie gniewnym echem, westchnienie coraz potężniejsze, coraz silniejsze, płynące jak rzeka, zalewające wszystko wokół, wypełniające szczeliny pełnego przeciwieństw losu, wszystkie pęknięcia i całą otchłań, nadaremnie jednak, skoro, choć porywało ze sobą skałę, kamienie i kamyczki, nie przynosiło zapomnienia, jego siła była bowiem niczym wobec siły, która pozwalała mu płynąć, która nad nim panowała i której nikt nie był w stanie przewyciężyć, gdyż nie można było jej przewyciężyć, aż wreszcie skądś, z samej góry, z oddali, zabrzmiał znajomy, z dawien dawna wyczekiwany, a teraz niespodziewany, choć upragniony głos rogu, zbawczy i zwycięski, najprostszy z możliwych, radośnie symbolizujący wyzwolenie; głos wolności, w której ciało, wyswobodzające się z ubrań jak podczas miłosnych igraszek, potrafi obnażyć się aż do samej duszy.

Kiedy uwertura dobiegła końca i wreszcie mogłem poruszyć się w swoim fotelu, gdyż dotychczas byłoby to niewłaściwe, a nawet obraźliwe, rozparłem się wygodnie, Francuz też, szczęśliwy uśmiechał się do mnie, podobało się nam obydwójgu i dzięki temu obopólnemu zadowoleniu zawarliśmy ze sobą pokój, poprzez szczeliny warownych murów przenikała wąziutka smużka światła, poranek, cieniutki promyk teatralnego słońca na podwórku zamkowego więzienia.

Tamtego niedzielnego popołudnia już więcej ze sobą nie rozmawialiśmy, Melchior też się

wstydził swojego paskudnego uśmiešku i okrutnego, bezlitosnego zachowania; później, kiedy nakrywaliśmy do obiadu, zamieniliśmy kilka słów, cicho i unikając nawzajem swego wzroku.

Nie dokończyliśmy posiłku, Melchior miał jeszcze na talerzu kawałek kalafiora, trochę purée z kartofli i odrobinę mięsa, kiedy nagle zadzwonił telefon, Melchior, pomrukując, gniewnie odłożył nóż i widelec, aczkolwiek pośpiech, z jakim sięgnął po słuchawkę, zdradzał, jak bardzo jest ciekaw rozmówcy, a niezadowolenie i gniew odgrywa jedynie z mojego powodu i tylko przez grzeczność prosi o wybaczenie.

Choć, muszę przyznać, nie lubił, żeby przeszkadzano nam we wspólnych posiłkach, jedzenie bowiem nie było dla nas przede wszystkim konsumowaniem potrzebnego człowiekowi pożywienia, lecz stanowiło ceremonię, która dodawała wagi wspólnie spędzonym chwilom, a nasz związek czyniła pełnym godności.

Nigdy go o to nie pytałem ani nigdy sam sobie nie zadawałem pytania, jak jadał, kiedy mnie z nim nie było, ale podejrzewam, że musiało być bardzo podobnie; jestem pewien, że kiedy był sam, tak samo starannie nakrywał do stołu, najwyżej nie robił tego tak demonstracyjnie i z taką pieczołowitością, mogłem się tego domyślać na podstawie weekendów spędzanych wspólnie u matki, w jego rodzinnym mieście, gdy w każdym jego ruchu, kiedy nakrywał do stołu i kiedy serwował potrawy w jadalni pełnej starych mebli, można było wyczuć wieloletnią, purytańską, głęboko protestancką tradycję, nakazującą czcić każdy kęs, którą on nie tylko przejął, ale którą w mojej obecności aż do przesady, demonstracyjnie podkreślał; tamtej niedzieli, kiedy w milczeniu jedliśmy obiad, po raz pierwszy miałem sposobność dokładnie przyjrzeć się jego ruchom, rytmowi, w jakim gryzie i połyka, jak gdybym przyglądał mu się przez dziurkę od klucza, tak bardzo bowiem zamknęliśmy się w sobie, próbując oddalić się od siebie i nie przeszkadzać sobie wzajemną obecnością, że pogrążyliśmy się w całkowitej samotności i osamotnieniu, i wtedy stało się dla mnie oczywiste, iż ta przesadna, wyrafinowana odświętność, z jaką celebrował każdy posiłek, a nawet każdą najzwyczajszą czynność, nie była oznaką jakiejś, poniekąd dla mnie niezrozumiałej i nie wiedzieć w czym zakorzenionej, finezji, lecz przeznaczona była dla mnie czy, ściślej mówiąc, dla nas, że w ten sposób mierzył czas, nasz wspólnie spędzany czas, liczył i uświęcał go każdym swoim ruchem, przeliczał dobrze znane dni i godziny, jakie nam pozostały, i dlatego właśnie starał się każdą z tych chwil uczynić piękniejszą, ważniejszą i bardziej odświętną, by później, kiedy przeminie już ta ostatnia, wszystko zapisało się w jego pamięci, by mógł to sobie przypomnieć, przywołać, by pozostało w nim wyraźne wspomnienie tego czasu.

Na stole, w pięknym świeczniku z oksydowanego srebra paliła się świeczka, nie tylko dlatego, żeby stworzyć odświętny nastrój, ale również po to, by przy zapalaniu poobiedniego papierosa nie trzeba było szukać na adamaszkowym obrusie zapalniczki albo zapałek, które mogły przecież pobrudzić nakrycie, by żaden zwykły, przyziemny element nie splamił tej sztucznej nieskazitelności pozwalającej zapomnieć o zniechęconym i obcym mu świecie; na stole stały kwiaty, ze srebrnych obrączek z monogramami wyjmowaliśmy adamaszkowe serwetki, na stole nie miała prawa stanąć zwyczajna butelka z winem, wino, któremu nie zawsze wychodziło to na dobre, Melchior przelewał do ozdobnej karafki, podczas tych posiłków nie odczuwaliśmy jednak żadnego napięcia, które mogło okazać się konsekwencją tych wszystkich nienaturalnych okoliczności, a działało się tak już choćby dlatego, że Melchior zawsze jadł z wielkim apetytem, niemal łapczywie, przeżuwał dokładnie każdy kęs, pochłaniał ogromne ilości, a kiedy zostawiłem coś na talerzu, przysuwał go do siebie i wszystko wyjadał do końca, wino zaś, choć nigdy się nie upijał ani nawet nie wstawiał, po prostu żłopał ze smukłego

kieliszka.

Rozmawiał z Pierre'em, dojadłem ostatni kęs, i chcąc pod jakimś pretekstem wyjść z pokoju, by mu nie przeszkadzać, zacząłem zbierać ze stołu naczynia; mówili po francusku, co, niezależnie od samej osoby Pierre'a, tak zmieniało Melchiora, że był jak zelektryzowany, aczkolwiek nie przeczę, że byłem zaślepiony zazdrością, wydawało mi się, że wychodził ze skóry, za wszelką cenę, choćby za cenę nienaturalnego zachowania, chciał mówić w naturalny sposób w tym obcym dla siebie języku, zachowywał się niczym wzorowy uczeń, jak kujon, który w nadziei na nagrodę tokuje oktawę wyższym głosem, żeby dokładnie i poprawnie wymawiać wszystkie głoski, nie zważając, że wszyscy się z niego śmieją, nawet inaczej trzymają szyję, wyciąga ją do góry, inaczej układa wargi, wysuwa je i zwiija w trąbkę; nie wymawiał słów, lecz je z siebie wyrzucał, lepił, a wszystko nie po to, by jak najlepiej wyrazić się w obcym języku, lecz z tej przyczyny, że tą metodą chciał odnaleźć w sobie to drugie ja, kogoś, o kim sądził, że żyje w nim, i kogo próbował odnaleźć w tych bezbłędnie artykułowanych głoskach oraz doskonale intonowanych zdaniach; kiedy ciągle jeszcze rozmawiał, a ja nie tylko wstydzilem się za niego, ale też widziałem w jego zachowaniu własne wysiłki, Melchior wygodnie rozparł się na krześle, co dało mi do myślenia, że zanosi się na dłuższą rozmowę, i skinął, żebym nie wynosił talerzy i żebym zostawił na stole jego kieliszek.

Ustawiłem w kuchni brudne naczynia, na stole obok zlewozmywaka, lecz ich nie pozmywałem, nie okazałem się tak bardzo posłuszny i wspomniałomyślny, by pozostawić ich samych; mogłem wprawdzie pójść do sypialni, jednak wróciłem do pokoju, nadal gawędzili ze sobą, czy raczej to Pierre mówił, mówił i mówił, a Melchior z uśmiechem na ustach oblizywał palce, roztargnionymi ruchami wybierając z talerza ostatki.

Otworzyłem okno i oparłem się o parapet, by nie usłyszeć nawet tych kilku słów, które mogłem usłyszeć, a jednak być obecnym przy ich rozmowie.

W tej zabawie, w językowej grze rozdawiania własnej osobowości i zamieniania się poniekąd w obcą osobę, było coś, co mogło być skierowane tylko do mnie i co moje ucho, pamiętające przedpołudniową rozmowę, już odbierało inaczej.

Im pełniej i dokładniej udawało mu się podchwycić melodię obcego języka, im bardziej potrafił wykorzenić, wyrugować z własnej twarzy, warg, gardła i całego ciała typową ojczystą wymowę, tym ta przepaść stawała się większa, tym bardziej oddalał się od tego, by w tym obcym języku mówić tak, jak w języku swojej matki; to całkowicie zrozumiałe, gdyż w swoim ojczystym języku nikt nie mówi pełnymi zdaniami ani nie akcentuje ich z tak przykładową poprawnością, a raczej posłuszny jakiemuś wewnętrznemu nakazowi i poczuciu wewnętrznej równowagi szybko papple, i tu właśnie objawia się bezgraniczna, aczkolwiek nienaruszalna i niemożliwa do przekroczenia doskonałość językowej konwencji, doskonała sama przez się istota językowej wspólnoty, kiedy bowiem człowiek mówi w swoim ojczystym języku, to w jednym nieporadnym zdaniu łączy ze sobą dwa przeciwstawne bieguny mowy wiązanej i słów najswobodniej łączonych ze sobą, wolność objawia się tu we wspólnie wybranej niewoli, i w takim sensie nie mają prawa istnieć złe czy błędne akcenty, po prostu nie ma mowy o błędzie językowym, wszak każda pomyłka, każdy błąd, nieprawidłowy czy zły akcent oznacza naprawdę popełnioną pomyłkę; on tymczasem im bardziej stawał się doskonały i nienaturalny w tej szczególnej, bezbarwnej i bezwonnej mimicznej doskonałości, tym pełniej odgrywał swoją rolę, tym wyraźniej przede mną grał, i okazało się, że ja, znający go jedynie mówiącego w ojczystym języku, gestykulującego i poruszającego się w jego rytmie, wcale go nie znam, że to człowiek bez tożsamości, w każdej chwili zdolny stać się kimś innym, nie mogę więc polegać na osobie, którą,

jak sądziłem, znam, są to bowiem dwie różne osoby, mówiące w dwóch różnych językach, a on w każdej chwili może wybrać spośród tych dwóch osób tę, którą zechce, na próżno więc usiłuję zatrzymać przy sobie jego uczucia, na próżno szantażuję go, podobnie jak daremnie szantażuje go Thea, jedna połowa jego duszy zawsze będzie wolna, co oznacza, że nigdy nie ulegnie niczyjemu szantażowi, nie mam tam dostępu, tam zaczyna się ów zamknięty dla mnie, tajemniczy świat, w który nie mam wglądu, niepotrzebnie więc jestem zazdrosny, bo nawet jeśli nie kocha tego Francuza, to musi kochać Francuza, który żyje w nim i którym był jego prawdziwy ojciec, jego dusza pragnie i umie mówić w jego języku, i choć ja całe jego dotychczasowe życie pojmowałem jako splot odległych, historycznych wydarzeń, niepotrzebnie mi o tym wszystkim opowiadał, jestem głupi, nic z tego wszystkiego nie zrozumiałem, i nie rozumiem, że to duchowe i fizyczne rozdwojenie stanowi jego prawdziwą historię, jest jego prawdziwym życiem, że musiał stanąć po stronie zamordowanego przez Niemców ojca Francuza, stanąć duszą przeciw ciału i ciałem przeciw ojczystemu językowi, i to nie tylko dlatego, że tamten był jego prawdziwym ojcem, kogo obchodzi sperma jakiegoś nieznanego mężczyzny!, ale żeby oddać sprawiedliwość historii, dlatego nie mógł postąpić inaczej, musiał wyrzucić z siebie ojca Niemca, którego też nie znał, a którego kochał, którego twarzy daremnie przyglądał się na fotografiach, którego nazwisko nosi i który zamarzył gdzieś na zaśnieżonych polach czy w rowie strzeleckim.

I o ile napięcie, które istniało dotychczas między nami, było przyjemne, o tyle ta przeciągająca się i pod wieloma względami spychająca mnie na margines rozmowa spowodowała, że stało się niemiłe; jeszcze przez kilka chwil grzałem się w słabiutkim, zimowym, popołudniowym słońcu, które oddalało się coraz bardziej, pozostawiwszy po sobie jedynie wąziutką smużkę na oku Melchiora, na jego włosach i na ścianie nad jego głową, po czym wyszedłem do holu, wyciągnąłem spod poduszki pled, położyłem się na kanapie, odwróciłem do ściany i jak ktoś, kto wreszcie znalazł ukojenie, okryłem się ciepłym, miękkim kocem.

Może nawet miał rację, nie brałem historii jego życia na poważnie, a głęboką nienawiść, jaką darzył wszystko, co niemieckie, poczytywałem za wynikającą z zupełnie innych przyczyn nienawiść do samego siebie, tak samo jak on zamknął się całkowicie przed rozdzierającą serce historią mojego życia; niekiedy płakał rzewnymi łzami, by po chwili oziębło stwierdzić, że nie widzi w tym wszystkim niczego więcej niż osobistą, przez co oczywiście także wzruszającą, konsekwencję ostatecznego końca europejskich ruchów anarchistycznych, komunizujących i socjalizujących trendów w Europie znajdującej się pod wpływem dwóch wielkich supermocarstw; obydwaj wszak jesteśmy nieszczęsnymi twórcami tego rozpadu, jego dwoma dziwacznymi mutantami, rzekł i się roześmiał.

Nie bez urazy wspominałem o specyficznych wątkach węgierskiej historii, nikt bowiem nie lubi, kiedy ludzie postrzegają historię jego życia jako symptom choroby czy objaw europejskiego zwyrodnienia, Melchior jednak nie ustępował i, przedstawivszy cały politologiczny wywód, objaśnił, że węgierskie powstanie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, powiedział „powstanie”, nie „rewolucja”, było pierwszym i najbardziej znamionym symptomem, pierwszym ważnym symptomem, przełomowym w historii nowożytnej Europy, który wskazywał na prawdziwy koniec, zanik i rozpad wszelkich tradycyjnych w swoim duchu dążeń; Węgrzy bowiem, okazując wielkie bohaterstwo, ale także wielką głupotę, głupio apelowali do tradycyjnych europejskich idei, które, jak się okazało, wówczas już nie istniały, i po których pozostały tylko wspomnienie oraz kilka węgierskich trupów.

Wiele tysięcy zmarłych i zamordowanych, dodałem z wyrzutem, a wśród nich mój przyjaciel.

Te idee, ciągnął Melchior, jak gdyby nie dosłyszawszy mojej uwagi, od chwili zakończenia drugiej wojny światowej nie były już w stanie funkcjonować, ale Europa zawstydzona swoją niezdolnością do obrony i upojona zwycięstwem nie dostrzegła, że nad Elbą żołnierze dwóch wielkich mocarstw spleli się w uścisku nad spalonym ciałem Hitlera.

Jakiegokolwiek były te dążenia, czy szło o samostanowienie narodów, czy o równość społeczną, z punktu widzenia tych dwóch wielkich mocarstw nie ma to żadnego znaczenia, gdyż w zakresie interesów służących ich potrzebom tak jedno, jak i drugie zmierzać będzie ku temu, by uczynić niemożliwym samodzielny rozwój któregokolwiek z pozostałych państw.

Z jednej strony oznacza to, że rozwój każdego z nich zostanie cofnięty do poziomu sprzed epoki demokracji i że wszelkie dążenia do narodowego samostanowienia czy demokratycznego porządku zostaną beznadziejnie obrócone w popiół, czemu, niech go posłucham uważnie, czemu to drugie, głoszące hasła wolności i prawa do samostanowienia mocarstwo z całą gotowością udzieli swojego błogosławieństwa; z drugiej zaś strony oznacza to, że nie zezwoli na naturalny rozwój i istnienie praktycznych dążeń wyrastających z ruchów obywatelskiej emancypacji, a radykalne w swojej naturze, racjonalne, wynikające z zasad społecznej sprawiedliwości dążenia zdusi w kleszczach konserwatywnych poglądów, czemu z kolei tamto, głoszące sprawiedliwość socjalną supermocarstwo natychmiast da swoje błogosławieństwo, po pierwsze z tego powodu, że samo jest konserwatywne, a po drugie dlatego, że jakakolwiek przemiana społeczna oparta na idei równości zagroziłaby jego własnej hierarchicznej strukturze.

Tak, tak, rzekł zadowolony ze swojego politycznego wyводу; ja tymczasem, wykorzystując moment, że się zamyślił, zawahał, drwiąc z samego siebie, dałem wyraz swoim wątpliwościom, czy można w tak powierzchowny sposób porównywać ze sobą zamiary i praktyki dwóch supermocarstw.

I żebym sobie nie myślał, mówił dalej, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na moje pytanie, że nie słyszał naszej dyskusji, owszem, był zajęty Theą, ale wszystko słyszał i odnosi wrażenie, że w naszym słownym pojedynku wyraźniej dał się odczuć całkowity rozpad tradycyjnych europejskich dążeń, niż w tak zwanej wielkiej polityce, gdzie wyważony dyplomatyczny język czy wygłaszane bez ogródek przemówienia stępują ostrze rzeczywistych sprzeczności albo je do niemożliwości wyostrzają; po prostu bylibyśmy śmieszni, my nie potrzebujemy nawet muru, szczekamy bowiem na siebie jak wściekłe psy, nie zastanawiając się ani nie pytając, co też może się dziać po tej drugiej stronie, najzupełniej zapominając, że przecież właśnie po to wzniesiono ten mur, byśmy mogli na siebie szczekać.

Żegnali się ze sobą chyba ze trzy razy i zaczynali od nowa, tak zapomnieli się w sobie, że nie potrafili skończyć, rozmawiali ze czterdzieści minut, a ja nie tylko czułem, ale też wiedziałem, że Melchior, korzystając z ochrony, jaką dawał mu obcy język, mówi, plotkuje na mój temat, że wykorzystuje mnie w tej prowadzonej pomiędzy nimi potyczce; trajkotali, dyskutowali, szczebiotali, gadali i kłócili się jak stare baby, a ja, zżymając się w milczeniu, zawiąłem się w koc i wśród tych ich do obrzydliwości śpiewnych głosów próbowałem uciec w drzemkę, schronić się przed ich obrzydliwie śpiewnym, dobiegającym falami głosem, oddalić się od nich, by, skoro już jestem sam, pozostać sam na sam ze sobą.

I jakkolwiek przekonujące wydały mi się ich wywody, tym bardziej przekonujące, że w przeciwieństwie do mnie, nawet jeśli dotyczyły najbardziej delikatnych spraw, on nigdy się

nie gorączkował, nie zapalał się, nie wybuchał, jak gdyby obce mu były wszelkie emocje, ale coraz bardziej oschłym, zimnym tonem analizował podjęty w rozmowie temat; jego efektowne teorie zawsze jednak budziły we mnie jakąś nieufność, odnosiłem wrażenie, że tak mówić może jedynie człowiek, który we wszystkich ważnych chwilach swojego życia ucieka przed samym sobą, ciągle przed sobą ucieka i tylko tę swoją ucieczkę objaśnia z taką bezgranicznie racjonalną logiką, ukrywając zarazem żywe, krwawe i nieracjonalne uczucia.

Pozostając tedy w zgodzie z własnym charakterem, nie słuchałem tego, o czym rozmawiali, lecz wsłuchiwałem się w wiele mówiący styl używanego przez nich języka, dziwne emocjonalne napięcie, świadome manewry, ironię i chłód, próbowałem je zrozumieć, zbliżyć się do punktu, w którym rozpoczynał swoją ucieczkę, by wreszcie, postawiwszy stopę na tym jakże grząskim gruncie, rozszyfrować jego gesty i jego prawdziwe ja; lecz poruszałem się w tym niczym w krainie cieni, każdy jego gest stanowił jakąś aluzję, aluzjami były jego powierzchowność, jego uśmiech, głos, otoczenie, aluzją była nawet Thea, której pragnął i której mimo to nie chciał, Pierre-Max, od którego nie potrafił się wyzwolić, nie wspomniawszy o tym, że ja sam także byłem aluzją.

Oczy, nos, język, uszy człowieka potrafią w obcym mieście wytropić dziwne, dla mieszkańców tego miasta całkowicie niezrozumiałe, nieczytelne i przerażające związki, związki między uporządkowanym albo bezładnym układem ulic, wyglądem domów i atmosferą znajdujących się w nich mieszkań czy zachowaniem ich lokatorów, ich charakterem, sposobem ubierania się, szybkością działania i reagowania albo powolnością; w obcym mieście, w którym nie mogą przyjść z pomocą nawyki, tak zwana wewnętrzna i zewnętrzna natura rzeczy nie jest tak łatwa do odróżnienia jak we własnym, rodzinnym mieście, gdzie przyzwyczajeni jesteśmy oddzielać od siebie zewnętrzny przymus i wewnętrzne zamiary, w obcym mieście to, co istotne, i to, co nieistotne, stapia się w jedność, czoło i twarz, siła głosu i wyraz twarzy gęstym strumieniem zlewają się w jedno, czoło i twarz, siła głosu i wyraz twarzy nakładają się na siebie, klatka schodowa i ruchy, kolory, zapachy, światło i pocałunek, jedzenie i miłość zlewają się ze sobą, nie znamy ich pochodzenia ani historii, i właśnie dzięki temu wywierają na nas jeszcze silniejsze wrażenie; brakująca wiedza, brakujące informacje zachwycają nas i pozwalają powrócić do niebiańskiego stanu ze stoickim spokojem, by tak, jak to czynią dzieci, wszystko obserwować i odkrywać, cóż to za cudowne uczucie!, dwudziestowieczny człowiek chyba dlatego tak lubi być w drodze, w poszukiwaniu mrocznego i znanego stanu samotnie pędzi, parami albo w grupie, do obcych miast, gdyż wobec brzemienia ciężącej na nim odpowiedzialności i męczących obowiązków jest to chyba jedyna powszechnie uznana przez wszystkich sytuacja, kiedy bez większego ryzyka narażenia się na niebezpieczeństwo może przekroczyć potężny mur, który tak szczelnie oddziela nieświadome dzieciństwo od podobno świadomej dorosłości, cóż to za bezgraniczne szczęście!, wreszcie zawierzyć nieomylnym zmysłom, węchowi, smakowi, uszom i oczom.

Jego przekonujący wprawdzie wywód był jednak daremny, podobnie jak samoudręczenie i lodowata, przecząca choćby pozorom nienawiści do samego siebie teoria, w myśl której właściwie nie jest Niemcem, a zgodnie z którą jest tylko zakłamanym osobnikiem, który lubuje się w swoich łgarstwach, a jedynie prawdziwe jest to, co teraz potrafi z siebie wydobyć, i właśnie z tego powodu musi stąd wyjechać; jego wywód na nic się zdał, skoro w jego mieszkaniu czułem specyficzny smak tego samego stylu, co na przykład w przebudowanej po wojennych zniszczeniach operze, której wygląd zewnętrzny i wystrój wewnątrz nie były w moim odczuciu dalekie od nastroju robotniczych mieszkań przy ulicy Chaussee, ale tak, jak jest to celem

wszystkich ważniejszych budynków użyteczności publicznej we wszystkich miastach, służył reprezentacji, wyniesieniu codziennego doświadczenia na abstrakcyjny poziom sztuki architektonicznej.

Wiedziałem to i owo na temat przeszłości tego miasta, nie więcej jednak, niż można się dowiedzieć z obiecujących swawolne przyjemności bedekerów, powodowany teatralnymi zainteresowaniami poznałem na przykład okoliczności wzniesienia i późniejszych przebudów gmachu opery, wiedziałem, że księżę Fryderyk, którego świat poznał później jako Fryderyka Wielkiego, już jako następcą tronu z wielkim zainteresowaniem pracował wraz ze swoim nadwornym architektem, von Knobelsdorffem, nad planami budowy i rozbudowy całej stolicy, a kiedy po śmierci ojca, określanego mianem króla żołnierzy Fryderyka Wilhelma, wstąpił na tron, nic już nie mogło mu przeszkodzić, by tę wielką budowę rozpocząć od niszczenia, pustoszenia i plądrowania; wszystkie te skromne, budowane bez większych architektonicznych ambicji, najróżniejszej szerokości i wysokości kamienice, które za czasów trzeźwego panowania jego znienawidzonego ojca postawiono przy Unter den Linden, Fryderyk, depcząc wszelkie prawa, zmiotł z powierzchni ziemi, a w ich miejsce kazał wznieść, na wzór weneckich pałaców, pięciopiętrowe, bogate, choć w tamtym otoczeniu zięjące chłodem budowle; znajomość tej historii na nic mi się jednak nie przydała, chyba że do tego, by w mojej głowie, z wielką swobodą i bez żadnej odpowiedzialności, mogły się rodzić zupełnie niepojęte dla Melchiora skojarzenia.

Wiedziałem, że spośród budowli, które miały odgrywać dla dworu reprezentacyjną rolę, na Unter der Linden pierwszy był właśnie gmach opery, i że podobnie jak pozostałe dzieła von Knobelsdorffa został on zaprojektowany w oparciu o zasady Palladia i Scamozziego, miał to być wyrafinowany, utrzymany w stylu klasycystycznym pałac, w którego geometrycznej, zimnej, prostej i symetrycznej bryle jej architekt i budowniczy mógł sobie pozwolić na rokokowy rozmach kapiącego od asymetrycznych zdobień wnętrza pełnego szkarłatu, złota i bieli; na miejsce przyszłego pałacu wybrano ogromny plac rozciągający się między budowlami warownymi a obecną Festungsgraben, czyli starą zamkową fosą, i wyburzono wszystkie znajdujące się tam budynki.

Jak gdyby ktoś nieopatrznie otworzył toporną żołnierską skrzynię i ujrzał w niej przytwierdzoną do jaspisowej podstawy, inkrustowaną drogocennymi kamieniami pozytywkę z dwiema tańczącymi figurkami.

Puszysty szkarłatny dywan na białej podłodze w jego pokoju, pomalowane na białą meble, mocno udrapowane, jedwabne czerwone kotary z liliami wyhaftowanymi złotą nicią, zasłaniające okno od sufitu aż po samą ziemię, gładkie, wytapetowane na białą ściany, barokowe lustro, smukłe lichterze, staroświecko żółtawy blask dymiących świec, drżący od każdego podmuchu, odwzorowywały w moich oczach zaskakującą przepaść między tym, co wewnątrz, i tym, co na zewnątrz; poważna, a w każdym razie pozbawiona wszelkiej lekkości, naznaczona przymusem potrzeba arystokratycznego oddalenia się od rzeczywistości, od tego, co na zewnątrz, wyrażała się w języku przedmiotów i murów pozostałych tu z końca wieku, ciągle jeszcze świeżych ran odpadającego tynku i nieusuniętych śladów po seriach z karabinów maszynowych, w zabudowaniach podwórka na tyłach mieszczańskiej kamienicy przeznaczonych dla służby i proletariuszy, na górze w mieszkaniu na piątym piętrze i w historycznym pałacu muzyki, reprezentującym kulturę tego miasta.

Z jakiegoś powodu bardzo się spieszano, by jak najszybciej odgraniczyć się od znienawidzonej przeszłości, bo raptem w dwa lata od rozpoczęcia prac była już gotowa ta zachwycająca w swoich czasach budowla; służyła nie tylko za scenę dla spektakli operowych, ale

także za miejsce rozmaitych spotkań towarzyskich i uroczystości, dlatego na parterze, tam gdzie dziś są foyer i kasy, Knobelsdorff umieścił spiżarnię, pokoje dla służby i inne pomieszczenia pomocnicze, wyżej zbudował jedna za drugą trzy ogromne sale, w taki sposób, aby pomieszczenia teatralne przy pomocy niezbędnych urządzeń, podnośników i zapadni można było przekształcić w gigantyczną salę balową, nic zatem dziwnego, że współcześni nie mogli wyjść z podziwu!, i taki trójpodział, mimo szeregu przebudów i wprowadzanych zmian, przetrwał do dziś.

Kiedy wreszcie, przerwawszy jego cyniczne wyznania o własnych kłamstwach, spróbowałem ostrożnie, by go nie urazić, podzielić się moimi spostrzeżeniami, twierdząc, że nie znajduję fałszu w stylu, w jakim urządził swoje mieszkanie, wręcz przeciwnie, uważam je za wyjątkowo funkcjonalne i proste, łączące ograniczenie się do zaspokojenia najważniejszych potrzeb z arystokratyczną oschłością, utrzymane w stylu, w którym są obecne wszystkie elementy i cechy przeszłości, tyle że nie znajdują się one w swoich pierwotnych miejscach, i że taki przemieszczony, w szczególny sposób wzajemnie krzyżujący się układ żywych i martwych śladów charakterystyczny jest dla całego jego miasta, on słuchał mnie z niedowierzaniem, czułem, że dotknąłem tematu, na który nie umie i nie chce ze mną rozmawiać, i dodałem, że jego mieszkanie nie jest ani intymne, ani pociągające, jest jednak bardzo prawdziwe i bardzo niemieckie, i choć nie znam mieszkań w tej części miasta, to zaryzykuję stwierdzenie, iż tu wszystko ma typowo tutejszy charakter, zatem nie tylko mój mózg, ale przede wszystkim mój nos i moje oczy protestują przeciw jego stwierdzeniom na temat własnej narodowości i nienawiści, jaką czuje do samego siebie.

Wystarczy, rzekłem, by przyjrzał się dokładnie budynkowi, z którego podczas odbudowy wyrugowano bóstwa i aniołki, wyburzono ściany oddzielające od siebie łóża, skąpiąc złota i rezygnując z ornamentyki, oczyszczono wnętrze ze śladów przeszłości, zostawiwszy tylko na balustradach balkonów i w samej kopule kilka motywów nawiązujących do oryginalnego stylu budowli, dzięki czemu rozpasane niegdyś wnętrze uczyniono ascetycznym na podobieństwo prostych kształtów bryły budynku, i była to, przyznaję, koncepcja w swoim zamyśle bardzo konsekwentna, która burząc, ocaliła jednak coś z przeszłości, dzięki zachowaniu zimnej i brzydkiej regularności stała się adekwatna do charakteru swojego otoczenia, w którym zaspokajane są jedynie najbardziej podstawowe ludzkie potrzeby, zresztą, dodałem, tutaj wszystko, jak gdyby mieszkańcy obawiali się jakiejś tajemniczej zarazy, śmierdzi po prostu lizolem.

W stylu, w jakim urządzone są tutejsze mieszkania, też czuć strach przed przeszłością, pragnienie zatrzymania jej i jednocześnie potrzebę oddalenia się od niej, nie sądzę jednak, by człowiek był w stanie odseparować się od własnej przeszłości, powtarzamy ją tylko i nieświadomie naśladujemy, jak choćby on sam, kiedy do tego proletariackiego mieszkania z oknami wychodzącymi na podwórze przywiózł bogate meble swoich przodków, tę resztkę, jaka po nich pozostała, a teraz próbuje udawać ekscentryka, choć to dokładnie to samo zjawisko, jak mieszkające w przestronnych, mieszczańskich kamienicach przy ulicy Chaussee wielodzietne proletariackie rodziny.

Nie bardzo rozumiał, o co mi chodzi, i kiedy tak siedzieliśmy naprzeciw siebie w miłym blasku świec, dostrzegłem na jego twarzy, że walczy ze sobą, by nie poczuć się urażony.

Skoro jestem tak dobrze zaznajomiony z historią niemieckiej architektury, z historią niemieckiego ducha, to zapewne wiem, co napisał w swoim dzienniku Wolter po spotkaniu z Fryderykiem Wielkim.



Ale dobrze przeczuwał, nie wiedziałem.

Pochylił się na krzesło, lekkim ruchem, z wyższością, położył dłoń na moim kolanie i ironicznie spojrzął mi w oczy.

Wysoki na pięć stóp i dwa cale, powiedział dającym wiele do myślenia tonem belfra, aczkolwiek niezbyt doskonałej postury, trzyma się sztywno, przez co jest w nim coś nieporadnego, o miłym i mądrym obliczu, uprzejmy i przyjacielski, o pociągającym tembrze głosu, nawet w chwili, gdy rzuca przekleństwa, co zdarza mu się często, jak prostackiemu woźnicy, ładne, jasnobrązowe włosy nosi związane z tyłu, zawsze sam się czesze i całkiem dobrze umie to robić, kiedy się pudruje, nie staje przed lustrem w szlafmicy, nocnej koszuli i kapciach, lecz w starym, mocno przybrudzonym jedwabnym płaszczu, nie znosi tradycyjnych strojów, cały rok chodzi w prostym mundurze piechura, nikt jeszcze nie widział go w półbutach, zawsze nosi buty z cholewami, kapelusza też nigdy nie trzyma, zgodnie z modą, pod pachą, ale mimo całego uroku w jego zachowaniu i posturze jest coś sztucznego, na przykład po francusku mówi lepiej niż po niemiecku, który to język uważa za barbarzyński, i tylko z tymi osobami skłonny jest rozmawiać w swoim ojczystym języku, o których z całą pewnością wie, że nie znają francuskiego.

Mówił pochylony ku mnie, obydwie dłonie trzymał na moich kolanach, a kiedy skończył, przepaszająco cmoknął mnie w obydwie policzki, ale to nie był jeszcze koniec jego moralizatorskiego wywodu, siedziałem bez ruchu, teraz była moja kolej, teraz ja powinienem się obrazić albo przynajmniej stać się nieufny, trochę mnie ten jego wywód zirytował, ale chyba mnie rozbawiło, że nie istnieje żadna teoretyczna broń, żaden fortel, przy użyciu których mógłbym go przymusić do porzucenia tych maniackich przekonań.

Nabierałem coraz większej pewności, że aby osiągnąć swój cel, muszę przemówić do niego praktycznym językiem zmysłów, nie zaś językiem teorii, ale o tym, do jakiego głupiego celu zmierzałem, w dodatku nieporadnie, źle i głupio, może później.

Kiwał głową, dotykając swoim czołem mojego, i nawet na chwilę nie przestawał patrzeć mi w oczy.

Owszem, rzekł, owszem, powtórzył ironicznie, biedny pocziwy Fridericus zapewne miał powody, by tak sądzić, rozprawiać o barbarzyństwie, burzyć budowle wzniesione przez jego ojca, i z całą pewnością miał powody, by przybierać tak nieporadne pozy, i zapytał, czy znam historię podporucznika Katte.

Odpowiedziałem, że nie.

Zatem opowie mi ją, w nadziei, że wzbogaci moją wiedzę na temat Niemiec.

Niekiedy wydawało mi się, że wzajemnie wystawiamy się na próbę, nie wiedząc nawet, na czym ta próba ma polegać.

Nasze fotele ustawione były naprzeciw siebie, Melchior wygodnie rozparł się w swoim, tak jak zawsze położył stopy między moimi nogami, ja mu je masowałem, a on mówił, ścisnąłem je i dotykałem, przez co nasz cielesny kontakt stawał się niepotrzebnie racjonalny i przyjemnie monotony; odwrócił się na moment, zatrzymał wzrok na kieliszku, wypił łyk wina, po czym zamyślony spojrzął na mnie zmienionym, poważnym, rozmarzonym wzrokiem, jednak to nie ja byłem powodem tej przemiany, lecz zagmatwana historia, którą sobie prawdopodobnie przypomniał i przebiegł w myślach, nim zaczął mi opowiadać.

Dziwaczny książę, kiedy po niekończących się utarczkach z ojcem zniknął z pałacu, miał osiemnaście lat, opowiadał, a będzie miał dwadzieścia osiem, kiedy wstąpi na tron i rozpocznie wznoszenie swoich wspañiałych budowli.

Wszędzie go szukają i nie mogą znaleźć, w końcu na podstawie zeznań służby rysuje się następujący scenariusz: księżę prawdopodobnie zbiegł, a ucieczka ta ma związek z jego przyjacielem Hansem von Katte, podporucznikiem armii królewskiej.

Król wraz ze swoją swiatą rusza w pogoń za zbiegiem, mogą sobie więc wyobrazić, co przeżywa biedna królowa, kiedy tamci są już w drodze.

W południe dwudziestego siódmego sierpnia świta wraca z Küstrin, ale nikt nie potrafi, a może nie chce, udzielić żadnych informacji na temat miejsca pobytu księcia; po południu wraca sam król.

Królowa targana wątpliwościami spieszy naprzeciw króla i kiedy, biegnąc, zbliżają się do siebie, a ich spojrzenia już się spotykają, król, szalejąc z gniewu, krzyczy: „Wasz syn nie żyje!”.

Wyczerpana oczekiwaniem, choć jeszcze pełna nadziei królowa staje niczym rażona piorunem, po czym urywanymi słowami zaczyna krzyczeć: „Jak to? Jak to możliwe? Jesteś, wasza wysokość, zabójcą własnego syna?”.

Ale król nie zatrzymuje się nawet przed stojącą niczym słup soli królową, syczy, że ten nieszczęsny uciekinier nie jest jego synem, ale zwyczajnym dezterterem, który zasłużył na śmierć, i rozwścieczony żąda, by królowa wydała mu szkatułkę z listami syna.

Kiedy już ma ją w rękę, nie tracąc czasu na otwieranie, rozbija dwoma uderzeniami pięści, wyjmując listy i wybiega.

W pałacu na wszystkich pada błądy strach, wszyscy uciekają przez gniewem króla, królowa spieszy do dzieci, król jednak wraca, odtrąca dzieci pędzące, by ucałować jego dłoń, niemal depta po nich ciężkimi buciorami, i podbiega do stojącej nieopodal księżniczki Fryderyki.

Bez słowa wymierza pięścią trzy policzki, Fryderyka pada na ziemię, tracąc świadomość, i tylko dzięki opanowaniu oraz zręczności panny Sonnefeld nie rozbija sobie głowy o kant stojącej obok szafy.

Gniew króla nie zna jednak granic, próbuje podeptać leżące na ziemi ciało księżniczki, co tylko dlatego mu się nie udaje, że królowa i dzieci, z krzykiem i wrzaskiem, własnymi ciałami bronią zemdloną księżniczkę, sami wystawiając się na razy obutych w ciężkie buciorów nóg i uderzenia królewskiej laski.

Księżniczka Fryderyka opisuje później w swoich pamiętnikach, w jak strasznym znaleźli się położeniu; opuchnięta twarz skłonno do apopleksji króla stała się liliwoniebieska, niemal dusił się z wściekłości, jego oczy przypominały ślepią rozwścieczonego zwierzęcia, na usta wystąpiły ślina i piana, królowa, niczym wielki ptak, tylko bezsilnie wymachiwała rękoma i wydawała z siebie bolesne okrzyki, leżące na ziemi dzieci błagalnie obejmowały nogi króla, wszyscy głośno szlochali, nawet najmniejsze dziecię, które nie miało jeszcze trzech latek, a dwie damy dworu: pani von Kamecke i panna Sonnefeld, śmiertelnie blade, stały w bezruchu, nie mając odwagi wydobyć z siebie słowa, ona zaś, niczemu nie winna, może poza tym, że kochała księcia, czemu niejednokrotnie dała wyraz w przeczytanych przez króla listach, gdy nieszczęsna doszła do siebie, miała twarz całą zlaną potem, a jej rozpalone ciało całe drżało z przerażenia.

Król bowiem nie ograniczył się do czynów, lecz wyrzaskiwał pod adresem księżniczki najpotworniejsze pogroźki, zarzucając, że to z jej winy na oczach wszystkich rozpada się królewski dom; że to jej zdradzieckie, grzeszne, niemoralne intrygi zepchnęły całą królewską rodzinę w przepaść nieszczęścia i przymusowego położenia, złorzeczył, że ona będzie musiała za to zapłacić własną głową, pogroźki nie ominęły nawet królowej, a jako że w szaleństwie gniewu zapomniał, co powiedział przed chwilą, że księżę nie żyje, zaczął składać królowej okrutne i bezbożne przysięgi, że nakaże zgładzić księcia, wyśle go na szafot, właśnie na szafot,

dyszał rozwścieczony.

Zdawało się, już nic nie położy kresu tym przekleństwom, groźbom, bezbrzeżnej wściekłości i żądzy zemsty, kiedy jakiś wystraszony głos oznajmił, że doprowadzono porucznika Katte.

Król jak gdyby oprzytomniał z gniewu, a raczej stojący wokół zobaczyli, że się odwraca, gdyż sam dźwięk tego nazwiska rozniecił w nim jeszcze gorętszy ogień wściekłości, rozjuszona bestia, która dotychczas szalała w swojej klatce, wyrwała się na wolność; za chwilę dowie się wystarczająco wiele, rzucił w stronę królowej, by kazać katowi przystąpić do pracy, i wybiegł z pokoju.

Nie mógł jednak czym prędzej rzucić się na kolejną ofiarę, gdyż w gabinecie już czekali na niego pan Grumkow i pan Mylius; czkając i sapiąc, głosem schrypniętym aż do szeptu nakazał im, że właśnie do ich obowiązków należy przesłuchanie porucznika Katte, którego zeznanie, cokolwiek powie, służyć będzie wszczęciu procesu przeciw królewskiemu synowi; opowiedziawszy w skrócie, co zaszło, oświadczył, że książę jest nie tylko zdrajcą ojczyzny, wielkim przestępcą, krzywoprzysięcą i dezterterem, ale też obrzydliwym robakiem, potworem i straceńcem niegodnym żadnej łaski.

I wtedy wprowadzono ładnego, niebieskookiego, wysokiego, dwudziestosześcioletniego, bladego ze strachu jak śmierć młodzieńca, podporucznika Katte, który natychmiast padł przed królem na kolana, ale ten rzucił się na niego, z wściekłością zerwał z jego szyi krzyż rycerzy joannitów, po czym zaczął go kopać i bić laską do utraty sił, aż młodzieniec prawie martwy legł u jego nóg.

Pruski król, który jednocześnie sprawował funkcje mistrza zakonu joannitów, miał całkowite prawo zerwać krzyż z szyi takiego von Katte.

By jednak von Katte mógł mówić dalej, przyprowadzono go do przytomności wiadrem wody oraz kilkoma lekkimi policzkami i rozpoczęto przesłuchanie.

Katte tak szczerze, z tak wielką odwagą i głębokim oddaniem wiernego poddanego odpowiadał na wszystkie pytania, że wprawił w zdumienie nie tylko przesłuchujących, lecz nawet samego króla.

Wyznał, że wiedział o planach księcia, ale ponieważ kocha go całym sercem, gotów był złamać złożoną królowi przysięgę i podążyć za księciem, nie wiedział jednak, dokąd książę zamierza uciec, i podejrzewa, że ani królowa, ani księżniczka Fryderyka nie były wtajemniczone w plany ucieczki, książę trzymał je bowiem w wielkiej tajemnicy.

Po przesłuchaniu przyniesiono Katte lnianą koszulę, rozebrano go z munduru i tak, prawie nagiego, przeprowadzono przez miasto do twierdzy.

Wyrok miała wydać rada wojskowa, jednak jej członkowie wzbraniali się przed podjęciem wyroku w tak delikatnej sprawie, i w drodze losowania wybrali kilkunastu oficerów, którzy mieli wykonać to nieprzyjemne zadanie.

Hrabia Dönhof i hrabia Linger, po odbyciu narady, chcieli wymierzyć lżejszą karę, jednakże większość, rozumiejąc bezprzykładny ciężar występku, zażądała kary śmierci dla pułkownika Fritza – zgodnie z rozkazem króla tym imieniem mogli nazywać następcę tronu – i dla podporucznika Katte.

Kiedy odczytano wyrok dla von Katte, ten odparł ze spokojem, że oddaje się w ręce losu, jak też poddaje się woli swojego króla, gdyż nic złego nie uczynił, i jeśli musi umrzeć, to zapewne stanie się tak w imię szlachetnej, choć jemu nieznannej sprawy.

Major Schenk dostał rozkaz odwiezienia skazańca do cytadeli w Küstrin, w której

uwięziono też następcę tronu.

Przybyli na miejsce o dziewiątej rano, pozostałą część dnia Katte spędził w towarzystwie księdza, któremu opowiedział o wybrykach, jakich dopuścił się za życia, i których szczerze żałował, a później całą noc gorliwie się modlił.

Tymczasem na podwórzu cytadeli budowano szafot, tak wysoki, aby znalazł się na wysokości okna celi, w której przebywał następca tronu, na rozkaz króla w celi rozebrano okno aż do podłogi, a otwór, przez który można było jednym krokiem wyjść na zewnątrz, przysłonięto czarną materią.

Budowa prowadzona była w obecności następcy tronu, dziewięciu murarzy i siedemnastu cieśli pracowało pod kierunkiem nadzorców, zatem książę miał podstawy się domyślać, że szykują jego egzekucję.

Rano sześć minut przed dziewiątą do celi wszedł kapitan Löpel, dowódca twierdzy, i oznajmił, że zgodnie z wolą króla musi być obecny przy ścięciu Katte; kapitan Löpel przyniósł ze sobą brązowe ubranie, nakazał księciu, by się rozebrał i je założył.

Kiedy książę skończył się przebierać, z wyburzonej ściany celi zdjęto czarną materię i przed oczyma księcia wyrósł szafot.

Kilka minut później wprowadzono jego przyjaciela, odzianego w takie samo brązowe ubranie, a księciu kazano stanąć przy wyburzonym otworze.

Identyczne ubranie, zapewne pomysł samego króla, wywarło na księciu tak wielkie wrażenie, że chciał rzucić się w rozwierającą się przed nim, głęboką na piętro przepaść, ale zdążono go powstrzymać i od tej chwili trzymano go za ramię; po egzekucji książę nie chciał się rozstać z brązowym ubraniem, nosił je dniem i nocą, przez całe trzy lata, aż się podarło.

Kiedy powstrzymano go przed skokiem w przepaść, wybuchnął szlochem, zaczął krzyczeć, wzywając Boga, błagał, by zaczęto z egzekucją, a jeśli ma pozostać przy życiu, to musi napisać list do króla; błagał i zaklinał się, żeby pozwolono mu zwrócić się do króla, że ze wszystkiego zrezygnuje, nawet z korony, odda nawet własne życie, by tylko uratować Katte.

Kiedy krzyczał i szlochał, nawet go nie słuchając, odczytano wyrok.

Katte wypowiedział swoje ostatnie słowa, książę podszedł do niego, położył dłoń na jego ramieniu i w milczeniu popatrzył mu w oczy.

„Boże”, zawołał, „jakże mnie czynisz nieszczęśliwym! Drogi, kochany, jedyny mój przyjacielu, to ja jestem winien twojej śmierci, ja, który teraz chciałbym być na twoim miejscu”.

Musieli trzymać go z całej siły, a kiedy Katte, nazwawszy go kochanym księciem, rzekł, iż nawet gdyby miał tysiąc żywotów, to i tak wszystkie by mu poświęcił, a teraz musi pożegnać się z tym ziemskim padołem, i ukląkł przed szafotem.

Pozwolono mu, by w ostatnią drogę odprowadzili go słudzy, a kiedy jeden z nich chciał zawiązać mu w oczy, delikatnym ruchem odsunął ściskającą chustkę dłoń, spojrział ku niebu i rzekł: „Boże, w Twoje ręce oddaję moją duszę”.

Dwóch katów położyło jego głowę pod nożem gilotyny, słudzy cofnęli się o kilka kroków i w tej samej chwili książę padł bez przytomności w ramiona swoich sług.

Położono go na łóżku i dopiero koło południa odzyskał przytomność.

Zakrwawione zwłoki Katte miały, na rozkaz króla, do wieczora zostać na gilotynie, w zasięgu wzroku księcia.

Książę dojrzał z łóżka wystający z nagiej piersi kikut szyi i zakrwawioną głowę leżącą w koszu.

Ciałem księcia wstrząsała gorączka, wybuchł rozpaczliwym szlochem, a jego głos był tak

przejmujący, że strażnicy spacerujący po basztach obserwowali z przerażeniem, czy znów nie stracił przytomności.

Płakał przez całe dwa tygodnie, skulony przy ścianie, prawie nie spał, czasami pozwalał się napić, ale nie przyjmował pokarmów; wreszcie się uspokoił, lecz przez wiele miesięcy nie odzywał się do nikogo, a pierwszymi słowami, które wypowiedział, były te, że nie zdejmie brązowego ubrania, a kiedy już zostały z niego strzępy, ból wpił się w jego ciało.

Wieczorem złożono do trumny zwłoki Katte i pochowano go w murach baszty twierdzy w Küstrin.

Przysnąłem trochę z wściekłości, musieli już skończyć rozmowę, gdyż obudziłem się w całkowitej ciszy.

Podejrzewam, że Melchior, kiedy odłożył słuchawkę, jeszcze długo siedział w fotelu i rozmyślał, a ja słyszałem tylko ciszę, chwilę ciszy, w której poukładał i uładził w sobie to, co usłyszał, i to, co powiedział, dlatego chyba słyszałem nie jego ani nie ciszę, w której się zaszył, lecz jego nieobecność.

Chwilę po nagłym przebudzeniu się z drzemki, z tej pół jawy i pół snu, musiałem zapaść w głęboki sen, gdyż kiedy się przebudziłem, układając się przy ścianie i przesunawszy mnie lekko, wsuwał się pod kołdrę.

Układał się, mościł sobie miejsce, a ja nie miałem ochoty zmieniać pozycji, nie chciałem poczuć na jawie jego bliskości, i zostawiłem mu tylko tyle miejsca, ile zrobił sobie sam, i nawet nie otwierając oczu, po prostu udawałem, że śpię.

Przez jakiś czas leżał bez ruchu, przyciśnięty do ściany, z brzuchem przy moich podciągniętych kolanach; mogłem trochę się rozluźnić, udając, że to tylko przez sen, ponieważ jednak coraz bardziej się wybudzałem, coraz bardziej udawałem, że śpię.

Mógłbym zrobić mu trochę miejsca, odezwał się głośno; wiedziałem, że mnie zdemaskował, wie, że nie śpię.

Starałem maksymalnie się rozluźnić, aby się tylko nie zdradzić.

Jedno ramię wcisnął mi pod szyję, drugą objął za ramię, chciał przyciągnąć mnie do siebie, nie pozwalały mu tylko moje podciągnięte kolana, nie znalazł ani ciepła bliskości, ani wystarczającej ilości miejsca, gdzie mógłby odpocząć.

Na jakiś czas jak gdyby pogodził się z niewygodną, trudną do wytrzymania pozycją, nie poruszał się, nie mościł i cicho posapując, oparł czoło o moje ramię, chciał zapaść w sen, ale tylko warknął coś z wściekłością i wysunął ramię spod mojej szyi; poczekaj, odezwał się, zaraz tu zrobi porządek, i ściągnawszy ze mnie kołdrę, zabrał ją, wierzgając, po czym prześlizgnął się pod ścianą i zsunął z kanapy.

Słyszałem, jak się rozbiera, jak szeleszczą jego koszula, zamek u spodni i zrzucane na podłogę ubrania; pochylił się nade mną, pomacał pasek, rozpiął mi rozporek, złapał spodnie za nogawki na wysokości kostek i ściągnął je ze mnie, ja zaś leżałem bez ruchu, moje ciało poddawało się jego przemocy, zdjął mi skarpetki, wsunął dłoń pod moją pupę, lekko ją uniósł i ściągnął ze mnie majtki.

Wszedł do łóżka, położył się przy ścianie, czy raczej przykleknął tam, pochylił się i położył, by dosięgnąć guzików przy mojej koszuli, a ponieważ zabawa polegała na tym, że udawałem leżącego bez życia, zostało dla niego więcej miejsca; poruszyć mogłem się tylko za cenę złamania zasad gry, aby zając jego miejsce, musiałbym podciągnąć nogi, bo gdy ściągał mi spodnie, wyprostowałem je i już tak zostały, w takiej właśnie pozycji.

Musiał wysunąć spod poduszki, wyprostować i podnieść zgięte w łokciach ramiona,

wyciągnąć koszulę spod ciężaru moich ramion i całego mojego ciała, fukał, dyszał, stękał, co także należało do reguł tej gry, a że leżałem bezwładnie, ten manewr musiał być dla niego dość trudny.

Kiedy wreszcie rzucił się na miękko sprężynującą kanapę i rozsunąwszy kolana, pochylił się nade mną, owiała mnie ostra woń jego ciała; ostra i przenikliwa, ubranie bowiem ukrywa przed postronnymi zapach naszego ciała, kiedy zaś nie mamy go na sobie, powstrzymywany oddech cielesności tryska wokół obfitym, niepowstrzymanym strumieniem, niczym zza podniesionej tamy na wezbranej rzece.

Koszulę, którą ze mnie ściągnął, rzucił na ziemię, westchnąwszy, zaległ obok mnie, ramiona trzymałem podniesione nad głową, dotykając ściany wykręconymi nadgarstkami, i w ten sposób, bezwiednie, zrobiłem mu miejsce na poduszce; Melchior podciągnął splątana pomiędzy naszymi nogami kołdrę, dokładnie okrył mi plecy i sam się przykrył, w pokoju było otwarte okno, wpadało przyjemne, chłodne powietrze, i wydając zabawne głosy rozkoszy, skrył się pod kołdrą w ciepłe naszych ciał, jedno ramię wsunął pod moją szyję, drugim objął mnie i położył głowę na poduszce, tuż przy mojej twarzy.

Nie otwierałem oczu, upłynęła długa, pełna oczekiwania chwila, nim spotkały się ze sobą nasze ciała, dwa ciała ułożone równo obok siebie, zwrócone ku sobie czekały, aż ten drugi zapomni o swojej moralności, o swoich postanowieniach i zamiarach, gdyż tak naprawdę rozebrał mnie nie z ubrania, lecz z mojej urazy, dumy, obrazy i wściekłości, z postanowienia, że skoro nie mogę z nim być i nie mogę z nim zostać, to będę sam, i choć w tej biernej rozbierance moja wyczekująca postawa przywróciła naszą rozpadającą się wspólnotę, to moje wszystkie udające sen członki zdradzały, że pozwalam mu na to wszystko wbrew własnym przekonaniom, i że wcale nie mam zamiaru rezygnować z walki, i nie pozwolę, by zawładnęły mną jego bliskość, zapach i ciepło, a wszystko to oczywiście wynikało z naszej zakończonej uśmiechami rozmowy odbytej przed południem.

Z drugiej zaś strony jego starania były co najmniej dwuznaczne, im bardziej bowiem stawały się zdecydowane i agresywne, tym wyraźniej zdradzały swój cel; pochylił głowę, nie będzie mnie błagał ani prosił o wybaczenie, ale zapomniawszy o dumie, chciał mnie przeprosić, ten akt bliskości, fakt że mnie rozebrał, znaczył, że jego uczucia, które najczyściej i najwyraźniej mogły się objawić poprzez moją i jego cielesność, kazały mu wykazać się chrześcijańską pokorą, w której nie ma nic z poniżania się, tak samo jak nie jest poniżające rytualne obmycie stóp, więc jeśli po tym wszystkim nie odwzajemnię pokory, którą okazał swoim czynem sprzed kilku chwil, to on nie uczyni już żadnego gestu, tu bowiem przebiega granica, poza którą istnieje tylko bezcielesna moralność, której upór jest nie do pokonania.

Po tych słowach uniosłem wyciągnięte ponad głową ramiona, jedną rękę wsunąłem mu pod szyję, drugą go objąłem, on zaś rozsunął kolanami moje kolana, swoje uda wcisnął pomiędzy moje uda, położył mi głowę na ramieniu, swoje łono na moim łonie i w ten sposób spotkały się ze sobą nasze obrócone ku sobie ciała.

Spotkały się ze sobą w tak bezkresnym morzu instynktów, uczuć i pragnień, że nieuchwytny ułamek chwili, kiedy skóra dotykała skóry, ciepło ciepła, a zapach zapachu, tak że wydawało się fizyczną niemożliwością, by bardziej się do siebie zbliżyły, było to jak głęboki i bolesny skowyt szczęścia, że zostało się wybranym, jak gdyby w bliskości spotkały się ze sobą dwie dale; tak zapewne czują się dwie równoległe linie biegnące w nieskończoności.

Zrozumienie dwóch ciał wyrażone w tym dotyku, pokonującym wszystkie sprzeczności i naginającym ku sobie zasady moralności, było tak silne i nieokiełznane, jak gdyby stanowiło

samo spełnienie, z drugiej zaś strony nie było w nim fałszu, nic nie stwarzało pozorów, jakoby z dotyku naszych ciał miało się zrodzić jakiekolwiek rozwiązanie, gdyż tego, co czujemy, pozostając w zgodzie z zasadami zdrowego rozsądku, nie będzie nam dane zrealizować; jeśli więc wolno mi się w ten sposób wyrazić, każde z tych dwóch ciał zachowało własny rozsądek, obydwa prowadziły taktyczną grę, jak gdyby trzymały się w szachu, mówiąc: jeśli oddasz mi się bez najmniejszego namysłu, ja też oddam się szaleństwu tej chwili; to zlanie się w jedność ciepła i chłodu, instynktu i rozumu, bliskości i dystansu spowodowało jednak, że w naszych ciałach już nie było żądry, że już nie pragnęły w cielesnym zaspokojeniu szukać nowego, pełniejszego zrozumienia.

Niepewność zamieniła się w pewność, i właśnie tak było dobrze, pełne żądry ciała obserwowało to drugie, które wcale go nie pragnęło, i tym większą znajdowało dla siebie przyjemność, tym bardziej potrafiło się rozluźnić, rozluźnić w sobie nawzajem; kilka chwil później chyba zasnąłem, słyszałem tylko, jak żółknące liście topoli muskają się lekko na wietrze, i słyszałem jego miarowy oddech.

Spaliśmy objęci, jego pierś na mojej piersi, jego łono na moim łonie, głowa na moim ramieniu, włosy na moich ustach, nogi splecione pod kołdrą; już choćby dlatego musieliśmy spać tak blisko siebie, że kanapa była wyjątkowo wąska, ponadto wypchany końskim włosiem materac zapadał się pośrodku, więc przytrzymywaliśmy się nawzajem, żeby nie spaść na ziemię.

Przebudziliśmy się w tej samej chwili; przebudziło mnie jego leżące na moim ciału, które, jak gdyby z głębokiego snu zapadając w jeszcze głębszy sen, całe zadrżało, a że moja ręka i ramię zdrętwiały pod ciężarem jego głowy i ramienia, bezwiednie szukając wygodniejszej pozycji, której przecież zawsze szuka nasze ciało, odsunąłem się od niego.

Nasze ciała oddaliły się od siebie i dopiero wtedy poczuły tamtą bliskość dającą spokój i pojednanie; jednak nie oddaliły się bardzo, tylko na tyle, że powstała między nami spora szczelina, w którą dostawało się chłodne powietrze, zewnętrzny świat, ale nadal mogły odczuwać wzajemne ciepło.

Pamiętam, że obydwa w tej samej chwili otworzyliśmy oczy, moja głowa zsunęła się z jego ramienia na poduszkę i z bliska mierzyliśmy się wzrokiem.

Każdy nasz najdrobniejszy ruch był identyczny, to samo czuliśmy, wszystkie ruchy i wszystkie odczucia stawały się nasze, każdy gest i każde odczucie jednego z nas odbijały się w gestach i odczuciach tego drugiego; to samo neutralne spojrzenie dostrzegł też mój wzrok, ten, którym czułem, że na niego patrzę.

Obydwa spaliśmy krótko i głęboko; sen zamazywał czas, a nasza świadomość, jak gdyby niczego nie pojmując, wracała do tego, co kiedyś porzuciła, i nie oznaczało to wcale naszej bezmyślności, a raczej było najbardziej ostrym postrzeganiem, podobnym do tego, jak widzą świat niemowlęta.

Widziałem w jego oczach, że dokładnie to samo dostrzega w moich, nie zastanawiał się, i po chwili naraz wybuchliśmy śmiechem, czerpanym z siebie nawzajem, ja śmiałem się z jego śmiechu, a on śmiał się z mojego, co wywoływało w nas podobną czy taką samą reakcję; wstydliwie zapominając o bezwiednej i nieoczekiwanej bliskości, obydwa się pochyliliśmy, a raczej złożyliśmy głowy na poduszkach i dotknęliśmy się czołami.

Nie zamknąłem oczu, on pewnie też nie, a nawet jeśli, to po chwili natychmiast je otworzył.

Jego spojrzenie, w którym dostrzegłem tamtą budzącą się obojętność, choć gotowe w każdym momencie radość z naszej wspólnoty z powrotem zamienić w uprzedzenia, jakie czuł

na jawie, wejrzało teraz w ciemności panujące pod kołdrą; wejrzało w zmysły, niczym w rozwierającą się szczelinę.

Nasze dwa lekko odsunięte do siebie ciała układały się w klin, dwie klatki piersiowe, jego mocniej zarośnięta, dwa brzuchy wgniecione od leżenia, jeden umięśniony i płaski, drugi trochę bardziej wypukły; na dole, w samym trójkącie klina ciemne jądra, niczym miękkie gniazdo wypełniające powierzchnię zamkniętą splecionymi nogami, tworzącymi wierzchołek klina, i nasze przyrodzenia, jego trochę dłuższe i pełniejsze, moje skulone i zabawnie spokojne, leżące jedno na drugim, podobnie jak ramiona splecione ze sobą na górze.

Geometria ta z powodu różnic w budowie naszych ciał nie mogła być doskonała, ja leżałem trochę wyżej, on chyba trochę wygodniej, całym ciężarem dolnej połowy ciała spoczywał bowiem na moim udzie, i jeśli tylko nie chcę malować zbyt idyllicznego obrazu, a dlaczego niby miałbym chcieć, to muszę przyznać, że niecierpliwie czekałem, aby uwolnić udo od spoczywającego na nim ciężaru; kiedy tak leżeliśmy, w tej doskonałej mimo niewygodności jedności, w niemal idealnej tożsamości obserwowaliśmy siebie, jak gdyby nasze spojrzenia, nasza identyczność i wycucie miary wznosiły je do góry: dwa leżące na sobie przyrodzenia zaczęły powoli się wznosić, nabrzmiewały, wydłużały się, stawały się coraz grubsze, krzyżowały swoje główki, stykały się ze sobą, przelatywały przez siebie, dając w tej samotnej erekcji nową siłę uczuciu wzajemności.

Symetria zauważalna w tym widoku, lustrzana tożsamość zdawały się tak jednoznaczne, tak naturalne i jednocześnie tak zabawne, że pozwalały nam wejrzeć w niezmienną zasadę funkcjonowania prawdziwych uczuć, w chłodny mechanizm ludzkich instynktów; nasze czoła zderzyły się ze sobą, i nagle, jak gdyby ktoś nas zdemaskował, spojrzeliśmy na siebie i wybuchliśmy śmiechem.

Tak głośnym, że nie był to śmiech, ale rechot.

Wybuch radości i wulgarności, wyzwolona radość z wulgarnego zachowania, którą z natury rzeczy daje wznoszący się członek, radość, że „oto jestem mężczyzną”, radość z żywotności naszego organizmu, z umiejętności przedłużania gatunku, pradawne uczucie radości z przynależenia do gatunku samców, śmiech spowodowany odkryciem tego wulgarnego mechanizmu archaicznych instynktów, które leżą u podglebia naszej kultury; kultury, która skutkuje zdwojeniem radości z nagich instynktów, wbrew bowiem temu, co wiem i co czuję, czuję więcej, niż mogę wiedzieć.

W dźwiękach naszego śmiechu wyrażała się pierwotna siła i wulgarność tej radości, tej ponad wszystko wspólnej radości, prawil o niej, a ponieważ ta przepełniająca nas, pełna humoru radość okazała się więcej niż rozkoszna, była czymś więcej, niż moglibyśmy osiągnąć dopełnieniem naszej bliskości, jednak nieświadomie zawsze przywłaszczamy sobie większą rozkosz czy przynajmniej szukamy większej rozkoszy, przyciągnąłem go do siebie, on odepchnął mnie brutalnie, i niczym dwa rozszalałe, nieświadome zwierzęta zaczęliśmy mocować się ze sobą na kanapie.

W naturze nie istnieją ani doskonała symetria, ani pełne utożsamienie się z tym drugim, najwięcej, co możemy osiągnąć, to stan chwilowej równowagi pomiędzy naszą innością, i choć ta bójka wcale nie była na poważnie, nie zrodziła się z niej miłość, zepchnął mnie z siebie, dotychczas bowiem, by zachować pozory doskonałej symetrii, godziłem się leżeć w niewygodnej pozycji, by on mógł jak najwygodniej spoczywać na moim ramieniu, jakbym chciał mu powiedzieć, że jest słabszy, czym dawałem mu do zrozumienia, że nie jest aż takim mężczyzną, za jakiego pragnie uchodzić, na tę nierówność w pozycji naszych ciał godziłem się w imię



większej rozkoszy, ponieważ jednak doskonała symetria nie istnieje, istnieje jedynie dążenie do niej, to nie istnieje też ani jeden gest, który nie wymagałby odpowiedniego dopełnienia.

Szamotanina zamieniła się w walkę, i choć obaj bacznie zważaliśmy, by nasza potyczka pozostała do końca zabawą, to i tak wreszcie przekształciła się w bezwzględna walkę polegającą na tym, który będzie umiał tego drugiego zrzucić, zepchnąć, przewrócić, kto w końcu zwycięży, na nic nie zważając; kołdra zaplątała się pomiędzy nami, po chwili ześlizgnęła się na podłogę, mocowaliśmy się ze sobą nadzy i spoceni, na ile tylko starczało miejsca na wąskiej kanapie, najpierw ze śmiechem, potem już w milczeniu, czasami wydając z siebie wojenne okrzyki, by chwilę później, strasząc się nawzajem tryumfalnymi okrzykami, zacząć się kotłować, gryźć, napierać nogami na ścianę, wykręcać sobie ręce, kanapa głośno trzeszczała, skrzypiała i jęczała sprężyny, stukały pod nami, i co wielce prawdopodobne, on przynajmniej tak samo jak ja cieszył się z okazywanych wzajemnie nieokiełznanych instynktów i zadawanego sobie nawzajem bólu, który w tej walce o zwycięstwo jednego z nas wydostawał się na powierzchnię z niewidocznej dotąd głębi.

Ciała, które jeszcze przed chwilą dawały wzajemny i namacalny dowód pożądania, teraz, choć wcale nie czuliśmy tej zmiany, obok czających się w niej moralnych zagrożeń, znalazły sobie inne, tak samo elementarne zajęcie, które zasadniczo zmieniło to, co czułem: miłosne pożądanie opuściło moje kości i mięśnie, które teraz uczyły się jego mięśni i kości poprzez język gniewu.

Aż wreszcie, wydając z siebie głęboki jęk, spadłem z kanapy.

Próbowałem pociągnąć go za sobą, ale uderzył mnie dłonią w twarz, wsparty na moim policzku wciągnął się z powrotem na kanapę, i tak było dobrze, okazało się, że spośród nas dwóch to ja byłem bardziej uczuciowy.

Kłęczał na kanapie, uśmiechał się w milczeniu, obydwaj głośno dyszeliśmy, wreszcie on, nie wiedząc nagle, co powinien zrobić, obydwaj bowiem nie wiedzieliśmy, co począć z odniesionym zwycięstwem, położył się na wznak, i ja też położyłem się na miękkim dywanie na plecach; zapadła cisza, a my oddychaliśmy coraz spokojniej.

Leżałem tam na dole z rozpostartymi ramionami, on leżał na górze, jedna ręka zwisała z kanapy, bym musiał ku niej sięgnąć i wziąć w dłoń!, a jednak nie sięgnąłem, pozwoliłem, by zwisała nad moją twarzą, tak było lepiej, czegoś nam brakowało, i to coś zawsze można było nadrobić; jak gdybym już kiedyś widział ten sufit, trzy promienie zmierzchającego słońca rozszczepiające się na łukowatym sklepieniu, rozświetlające mroczny cień gałęzi kołyszących się za oknem, jak gdybym już kiedyś widział martwą, wykręconą w nadgarstku dłoń, jak gdyby kiedyś to wszystko, ta cała niewiarygodna historia, już mi się przydarzyło.

Nie znalazłem i właściwie nie szukałem wytłumaczenia tej historii, aczkolwiek to, co czułem, wcale nie było tak dalekie od widzianego obrazu, żebym nie mógł go dosięgnąć, sądzę jednak, że mózg zapamiętujący wspomnienia czasami nie chce wskazać miejsc, w których mogą się znajdować poszukiwane informacje, a tylko pozwala nam się tego domyślać, z jakiejś przyczyny nie nazywa jednak tych miejsc, i w gruncie rzeczy to dobrze, że tak właśnie się dzieje, że jest dla nas łaskawy i przez to, że nie nazywa po imieniu sekretnych informacji, nie psuje nam tej rozkosznej sytuacji, lecz pozwala nam się nią cieszyć.

Może gdybym wziął go wtedy za rękę.

Raz po raz bowiem, jak gdyby chciał się uwolnić od śmiertelnego przerażenia, od duszącego powietrza, strachu ściskającego serce czy od doprowadzającej do szaleństwa radości, wydobywało się z niego potworne wycie, od wyrwywającego się spazmami krzyku skurcz

przebiegł całe jego ciało, aż wreszcie zebrawszy wszystkie siły, w gardle i w piersi, potwornym wrzaskiem rozdarł ciszę, tak mnie tym zaskoczył, że przez długą chwilę nie byłem w stanie ani się poruszyć, ani mu pomóc, nie mogłem oderwać wzroku od zmagającego się ze sobą ciała, myślałem, że udaje, że się wygłupia, jego ręka ciągle zwisała z kanapy, miał otwarte, szklane, niewidzące oczy i wyprężone stopy.

Wypięta, pełna powietrza pierś cała drżała, falowała, tętniła, jego ciało drżało i falowało, wiedziałem, że chce zawyć jeszcze po raz trzeci, że chce wyrwać z siebie to, czego dotychczas nie potrafił, w przeciwnym bowiem razie pęknie mu serce.

Nie byłem zdolny do żadnego sensownego ruchu, chyba dlatego, że był taki piękny.

Nie tylko nie potrafił wykrzyczeć wezbranego w piersi powietrza, ale w wypełnionych do granic wytrzymałości płucach już nie było tlenu, nowe powietrze zaś nie mogło się do nich dostać, a broniące się przed uduszeniem ciało próbowało się rozprostować, uskoczyć, uciec albo po prostu usiąść, nie wiem; z braku tlenu nie miał jednak wystarczająco dużo siły, był zbyt słaby, i tylko zmagają się w nim ze sobą podświadome odruchy, w końcu szarpane skurczami mięśnie wydusiły z gardła wysoki, dochodzący z samej głębi dźwięk, wycie przerywane oddechem, załamujący się, rozpaczliwy skowyt, który w miarę, jak chwycił powietrze, stawał się coraz bardziej przeciągły i silny, aż wreszcie przybrał jeden ton.

Szlochał w moich ramionach, brzydko, głośno, trzęsąc się i krzycząc.

Godna pochwały jest mądrość naszego języka mówiącego o rozrywającym bólu; język wie o nas wszystko, tak, nasze słowa mogą być pełne żółci albo ostre jak brzytwa, włosy stawać dęba, serce pękać, dzięki związkom frazeologicznym język wyraża odwieczne ludzkie doświadczenie, niejako w miejsce doświadczenia wie to, czego my sami nie wiemy czy też nie chcemy wiedzieć, palcami, dłonią dotykającą jego pleców czułem, że w zakamarkach jego ciała naprawdę coś pękło, jak gdyby pękła błona pokrywająca jakiś narząd.

Moje palce, moja dłoń wejrzały w żywy mrok jego ciała.

Każdy atak spazmów, raz po raz, wyrывał zeń głośny szloch.

Spod powłoki czasu wyrывały się całe lata.

Pochylił się nade mną skulony na brzegu kanapy w na wpół siedzącej pozycji, objąłem go nieporadnie, a on wtulił czoło w moje ramię, gorące fale szlochu spływały po mojej piersi, nos wcisnął w mój obojczyk, a jego mokre od śliny i smarków wargi ślizgały się po mojej skórze; szeptałem mu do ucha najprzeróżniejsze głupoty, uspokajałem i pocieszałem, wreszcie zrozumiał, że moje, obce dla niego ciało nie potrafi dodać mu siły, a miłość, którą chcę mu ofiarować, blokuje w nim emocje, które powinien z siebie wyrzucić, i że musi płakać, tak, niech sobie lepiej popłacze, powiedziałem, i słowami oraz własnym słabnącym ciałem próbowałem pomóc mu szlochać.

Jakie śmieszne były te nasze teoretyczne rozważania.

Po raz pierwszy poczułem to, co dotychczas tylko wiedziałem, że udając oschłość i chłód, trzymał się mnie z całych sił, w krótkich przerwach, kiedy nie płakał, przyciskał wargi do mojej skóry, prawie gryząc mnie z bólu, i choć przecież to były pocałunki, po raz pierwszy zrozumiałem, że nic nie mogę mu dać, wreszcie odepchnąłem jego rękę, co dla niego było najzupełniej naturalne, a mnie skłoniło ku temu, bym spróbował rzeczy niemożliwej.

Kiedy wreszcie trochę się uspokoił, a w przerwach pomiędzy atakami płaczu coraz dłuższe stawało się dziecięce pochlipywanie, dostrzegłem w nim dorosłego mężczyznę z twarzą starzejącego się dziecka.

Położyłem go i okryłem, stałem z policzków rozmazane łzy i smarki, i już nie chciałem

patrzeć na tę twarz; siedziałem na brzegu kanapy, trzymając go za rękę, robiłem to, co powinien robić ten silniejszy, i nawet sprawiały mi przyjemność takie pozory własnej siły, a kiedy już całkiem się uspokoił, pozbierałem z podłogi porozrzucane ubrania, ubrałem się i zamknąłem okno.

Zasnął jak chore dziecko, które czuje krzątającą się przy nim matkę, i zapadł w głęboki sen.

Siedziałem w jego fotelu, tuż obok biurka, na notatkach ze spektaklu leżało beczynnienie moje pióro; wyglądałem przez okno, kiedy się obudził i poruszył na kanapie, już było ciemno.

Piec zdążył ogrzać pokój; a my obaj milczeliśmy przygnębieni.

Nie zapaliłem światła, odnalazłem w ciemnościach jego głowę i powiedziałem, że jak chce, to możemy pójść na spacer.

Odparł, że nie ma najmniejszej chęci, nie wie, co mu się stało, najchętniej poszedłby spać, ale jak chce, możemy pójść.

Miasto położone w środku starannie utrzymanego parku Europy, kontynuując i uzupełniając własnymi określeniami jego fascynującą teorię, raczej wydawało mi się wyjątkowym pomnikiem niemożliwych do naprawienia zniszczeń niż rzeczywistym, żywym miastem, z ruinami romantycznego parku, konserwowanymi z niesamowitą troską i znanstwem, prawdziwie żywe miasto nigdy bowiem nie jest czymś w rodzaju odlewu na kamieniu niewyjaśnionej przeszłości, lecz rwącym prądem występującym ze skamieniałego koryta tradycji, i znów tężejącym, przemierzającym stulecia i tysiąclecia, przeszłość i przyszłość, nieprzerwaną ciągłością, która wprawdzie nie zna swojego ostatecznego celu, a przecież właśnie tę niefrasobliwą, korzystającą z każdej chwili, buzującą, niszczącą i budującą, niepoohamowanie łączącą radość życia przywykliśmy, raz ganiąc, a raz wychwalając, nazywać naturą czy duszą miasta; to miasto zaś, przynajmniej ta część, którą znałem, pozbawiona była specyficznej, typowej dla miast erotyki, nie zachowała jej i nie mogła jej kontynuować, najwyżej z konieczności łątała ją i sterylizowała, albo nawet wstydliwie niszczyła swoją przeszłość, była miejscem przeznaczonym do mieszkania, wiatrochronem, nocnym schronieniem, ogromną sypialnią, tak więc o ósmej wieczorem stawała się całkiem wymarła, w oknach nie paliły się światła, a zza zaciągniętych zasłon sączyło się tylko wibrujące niebieskawe światło ekranów telewizyjnych; światło tych małych, stojących w mieszkaniach okienek, przez które mieszkańcy mogli przynajmniej zajrzeć w świat pełen życia, mogli wyjrzieć za mur; jak się zorientowałem, wszyscy zazwyczaj oglądali tamtejszy program, dzięki czemu podobnie izolowali się od swojego rzeczywistego miejsca, jak na swój sposób próbował czynić to Melchior; z całkiem zrozumiałych przyczyn woleli zaglądać w tamtą nierealną, podniecająco obcą część miasta, niż przyglądać się sobie nawzajem.

Kiedy o tej porze, albo trochę później, czasami nawet późną nocą, spuszczałyśmy się z naszego piątego piętra na wymarłe ulice, wśród niosących się echem odgłosów naszych kroków jeszcze wyraźniej niż tam na górze odczuwaliśmy, jak bardzo jesteśmy samotni i jak bardzo jesteśmy zdani jeden na drugiego, gdzie za drzwiami zamkniętymi na klucz mogliśmy jeszcze żywić jakieś iluzje, mogliśmy sami siebie oszukiwać, że mimo wszystko żyjemy w normalnym świecie, a nie na szczytach uznanego za wojenny pomnik kamieniska.

Niektóre wyżej rozwinięte ssaki – koty, lisy, psy, wilki – oznaczają moczem i odchodami teren, który uważają za swój, obsikują go i obsrywają, bronią go i panują nad nim jak nad swoją ojczyzną; niżej rozwinięte i mniej wojownicze zwierzęta – myszy, krety, mrówki, szczury, owady i jaszczurki – poruszają się po określonych drogach, a my, podobnie do nich gnani biologicznym przymusem mieszczańskiego wychowania, poszanowania dla tradycji i obeznania z kulturą,

obdarzeni wyrafinowanym smakiem i skłonni do estetyzowania, niczym rozkoszujący się pięknem kwiatów zła i stylem *fin de siècle* subtelni inteligenci, wybieraliśmy miejsca, które w tym mieście wydawały się odpowiednie, by wybrać się na tradycyjny spacer.

Każdy bowiem człowiek, któremu w jakiś sposób ograniczono swobodę poruszania się, właśnie po to, aby zachować pozory osobistej wolności, będzie zmuszony, by dostosowując się do narzuconych ograniczeń, w miarę swoich potrzeb ograniczyć się sam.

Podczas tych wieczornych i nocnych spacerów nawet przez przypadek nie zapuszczaliśmy się w okolice nowych osiedli, gdzie spoglądałaby na nas surowa rzeczywistość smutnego pustkowia, pozbawiona ludzkiego wymiaru zabudowa, która, używając języka architektów, traktuje człowieka niczym zwierzę robocze i w celu zapewnienia mu ściśle określonych warunków odpoczynku, rozmnażania się oraz wychowywania potomstwa zamyka w martwych, betonowych pudłach; wołając, że nie, tam nie!, zawsze wybieraliśmy takie trasy, gdzie można było jeszcze cokolwiek dostrzec z tej unicestwionej, niszczonej i czerniejącej, rozpadającej się osobowości człowieka.

Właściwie mógłbym powiedzieć, że spacerowaliśmy wśród dekoracji europejskiej tragedii ludzkiej osobowości, aczkolwiek nasz wybór ograniczał się do tego, co posępne i jeszcze bardziej posępne, i to były właśnie wszystkie pozory naszej wolności.

Spacerowaliśmy wzdłuż alei Prenzlauer, która tylko z nazwy była aleją, nie rośło bowiem przy niej ani jedno drzewo, niekiedy z hukiem przejeżdżał obok nas pusty tramwaj, przemknął wyrzucający z siebie trujące spaliny dwusuwowego silnika trabant, aż po półgodzinnym spacerze, okrążywszy pełen lejów po bombach plac zarośnięty krzakami i chwastami, skręciliśmy w ulicę Ostsee albo w biegnącą nieco dalej ulicę Pistoriusa, tam przechodziliśmy obok starego cmentarza świętego Jerzego, po kolejnych dwudziestu minutach spaceru, przemierzwszy najrozmaitsze kręte uliczki, dochodziliśmy do Weissensee, czyli do Białego Jeziora.

To jezioro, w którego ciemnej, brudnej wodzie w dzień pływały bure, leniwe łabędzie i czarne dzikie kaczki poszukujące wrzuconych kawałków chleba, okalały przypominające park grupki drzew; kiedyś wznosił się tutaj letni pałac, dziś w jego miejscu znajdowała się zwyczajna piwiarnia.

Tamtej niedzieli wybraliśmy się wieczorem na spacer krótszą trasą i z ulicy Kollwitz, niedysyjskiej ulicy Weissenburger, gdzie, jak sobie wyobrażałem, mieszkał ów młody mężczyzna, bohater mojej coraz to bardziej zawilej opowieści, który w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku przybył do Berlina i który, jak wynikało z opowieści Melchiora, wydawał się podobny do mnie, skręciliśmy w ulicę Dimitroffa.

Oczywiście Melchior nawet nie podejrzewał, że idąc z nim, żyję życiem dwóch, a nawet więcej osób, ja tymczasem, aby zachować pozory, celowo wybierałem tę sprzyjającą spokojnej włóczędździe trasę, szeroka bowiem i pełna zakrętów ulica Dimitroffa prowadziła spacerowicza, zaledwie po dziesięciu minutach przechadzki, w kręte uliczki Friedrichshain, czyli Parku Fryderyka, pomiędzy korony drzew, co dla mnie wcale nie było przyjemne, gdyż pod rzucającymi nieprzejrzanymi nocnymi cieniem drzewami w mojej wyobraźni rozgrywały się najrozmaitsze mroczne sceny.

W tamtym czasie, kiedy dobiegły końca przedpołudniowe próby, coraz więcej czasu spędzałem z Theą.

Była jesień, dosyć wcześniej zapadał zmierzch, a wielogodzinne przebywanie w sztucznym świetle sali, na której odbywały się próby, popołudniowe włóczęgi z Theą po przedmieściach

oraz wieczory i noce spędzane z Melchiorem w mieście tak nakładały na siebie realny czas moich dni, tak nierzeczywiście go ze sobą mieszały, że niekiedy przyłapywałem się na tym, że dotykając Melchiora, myślę o Thei, albo na odwrót, kiedy siedzę z Theą na chłodnej trawie przy brzegu jeziora, nieraz tak mi brak Melchiora, że wyobrażam sobie, iż jest z nami; rozmaite płaszczyzny czasu nakładały się na siebie, leniwie i obco, a nieznany, zamknięty dla wyobraźni świat niepostrzeżenie odsuwał mnie tak od przeszłości, jak i od przyszłości, co, nie omieszkałam przyznać, odbierałem jako prawdziwe dobrodziejstwo.

Chyba zresztą każdy, kto po próbie w teatrze, niezależnie od tego, czy brał w niej udział, czy był jedynie obserwatorem, o trzeciej po południu wyszedłby na zwykłą, niezastępowalną wcale na uwagę, tonącą w słońcu czy ginącą w chmurach, wietrzną i zlaną deszczem ulicę, i zatrzymał się pomiędzy zbudowanymi z zimnym wyrachowaniem, zamieszkałymi przez żywych ludzi budynkami, między którymi przechodzą po chodnikach najróżniejsi ludzie, ładni, brzydki, radośni i niezadowoleni, starzy i młodzi, eleganccy i zaniedbani, wszyscy pełni głębokiej determinacji, jak gdyby zasłuchani w nieprzerwanie i niewidocznie tykający czas, spieszą z torbami, siatkami, teczkami i pakunkami w rękach, wchodzą i wychodzą, prowadzą samochody i wysiadają z nich przy trotuarach, kupują i sprzedają, pozdrawiają się nawzajem z prawdziwą bądź udawaną radością, po czym obojętnie, gniewnie albo boleśnie wzdychając, rozstają się ze sobą, w narożnych budkach maczają kielbaski w musztardzie, odgryzają kawałek, spod sprężystej skórki tryska sok, a natrętne wróble i nadęte ze złości gołębie pilnują spadających okruszków, obok niego suną tramwaje wypchane po brzegi, przejeżdżające z turkotem ciężarówki uginające się pod ciężarem tajemniczych towarów, uznałby to wszystko za tak przerażające i nierealne, jak gdyby to, co ma przed oczyma, nie było prawdziwą rzeczywistością; tu bowiem, na ulicy, ani gesty, ani uroda, ani brzydota, ani szczęście czy obojętność nie stanowią odbicia lub kwintesencji prawdziwych ludzkich uczuć, prawdziwość tych uczuć bierze się stąd, że ludzie nie są ani nie mogą być ich świadomi; człowiek spieszący ulicą, doświadczony profesor psychologii czy zwyczajny robotnik, albo czekająca na klientów prostytutka, podobnie jak zawodowi aktorzy, w naturalny i możliwie najdokładniejszy sposób dostosowują swoje ruchy i swój wyraz twarzy do aktualnego otoczenia, co mianowicie oznacza, że z jednej strony próbują dostosować się do ulicy, stają się nią, mieszają się z tłumem, a więc przestrzegają bez reszty subtelnych reguł gry obowiązujących w relacjach międzyludzkich, z drugiej zaś strony, nie zapominając o panujących w danym momencie warunkach świetlnych i temperaturze powietrza, zachowują swój rytm ciała, jednocześnie dostosowując go do rytmu ulicy, wsłuchują się w czas, we własny czas, a jednak ta wspólnota, te powszechnie przyjęte zasady, tylko na bardzo krótko, na chwilę, na moment wspólnej egzystencji, są w stanie wpływać na zachowanie człowieka, on bowiem tego, co robi, czy czego nie robi, nie czyni z perspektywy całego swojego życia, tak bywa tylko na scenie, gdzie w każdym najdrobniejszym geście, wykonywanym zgodnie z zasadami obowiązującymi w tragedii czy w komedii, zawrzeć się musi całe życie, od narodzin aż po śmierć; a ponieważ, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, czas jest także perspektywą, człowiek spieszący ulicą postrzega samego siebie z nadzwyczaj bliskiej, a w dodatku nad wyraz praktycznej perspektywy, i tym właśnie można tłumaczyć, że osobie, której wzrok przywykł do większej, szerszej perspektywy teatru, realna rzeczywistość, kiedy wychodzi na ulicę, wydaje się nierealna.

Thea nosiła wtedy krótki, miękki, czerwony płaszczyk bez guzików, kiedyś takie płaszczki nazywano kurtkami, szybko przeszła na drugą stronę ulicy, do swojego samochodu, i skinęła na mnie, wymachując kluczykami, czy może chce z nią jechać; pytanie ukryte w tym ponaglącym

geście skierowane było do mnie, samo ponaglenie zaś dotyczyło całej reszty, jak gdyby chciała powiedzieć, że mamy niecierpiącą zwłoki sprawę, jak gdyby chciała w ten sposób pomóc mi zostawić ich samych, bo przecież dobrze wiedziała, że prawie zawsze chcę z nią jechać.

Czasami zawoziliśmy Kühnertową na ulicę Steffelbauera, a czasami zostawialiśmy ją przed teatrem.

Kiedy bowiem człowiek, sam albo w towarzystwie, o trzeciej po południu stanie przed tylnym wyjściem przeznaczonym dla aktorów, nagle ogarnia go dziwne poczucie nierealności, zwłaszcza że na ulicy jest jeszcze widno, i ma do wyboru dwie możliwości: albo czym prędzej wtopi się w ten żałośnie małostkowy, ograniczony i pozbawiony perspektyw, aczkolwiek oferujący bardziej namacalne perspektywy i lepiej uchwytny czas, smutny świat, i zamiast rozmyślać nad relacją tego, co rzeczywiste, do tego, co nierzeczywiste, mimo że miało być to jego zadaniem, szybko coś zje, choć wcale nie jest głodny, szybko coś wypije, choć wcale nie chce mu się pić, zrobi zakupy, choć właściwie niczego nie potrzebuje, w każdym razie, kierowany elementarnymi życiowymi funkcjami i żądzą posiadania, za wszelką cenę przystosowuje się do tej niewiele obiecującej, ograniczonej rzeczywistości, albo chroniąc i strzegąc nierealnego upojenia tym podobno realnym światem, po prostu ucieka, nawet jeśli wśród tych zimnych i ograniczających rekwizytów nie ma dokąd uciec.

Nie rozumiałem albo nie chciałem rozumieć, że żyję wśród nierealnej i pełnej absurdów rzeczywistości, choć miałem ją tuż przed nosem, w każdym niemal geście Thei, czułem ją w sobie, mimo że nie umiałem jej nazwać, żyła we mnie jako wrażenie, którego nie miałem odwagi nazwać rzeczywistością.

Byłem posłusznym dzieckiem swoich czasów, zarażonym ideami równości, i tak jak inni nie pragnąłem niczego innego, jak tylko dotknąć prawdziwej i niemożliwej do zafałszowania rzeczywistości, w której zawiera się wszystko, co prywatne i niepowtarzalne, jednokrotne i osobiste, podczas gdy ona sama nie jest jednokrotna, gdyż jest wielokrotna i bezosobowa; kierunki filozofii, artykuły w gazetach, przemówienia traktowały o jakiejś rzeczywistości, którą trzeba uchwycić i posiadać, a mnie dręczyły wyrzuty sumienia, że gdziekolwiek sięgnę, znajduję jedynie własną rzeczywistość, tamta zaś doskonała i pełna rzeczywistość była dla mnie nieosiągalna, czułem, że moja rzeczywistość, jakkolwiek byłaby toporna i nachalna, mordercza czy niosąca radość, nie jest prawdziwą rzeczywistością, gdyż jest rzeczywistością nierealną.

Ciekawe, że czułem i wiedziałem dokładnie to, co powinienem, tymczasem bezustannie zadawałem sobie pytanie, czym doprawdy jest rzeczywistość, bo jeśli nierzeczywistość mojej rzeczywistości nie jest rzeczywistością, to kim jestem ja sam w nierzeczywistości moich odczuć, pytały resztki pozostałego we mnie zdrowego rozsądku, jednak wszystkie moje pytania okazywały się daremne, skoro sam wierzyłem, że jestem jakimś dziwnym przejściowym bytem pomiędzy tym, co realne, a tym, co rzeczywiste, podczas gdy wbrew mojej woli rządzi mną i ma nade mną władzę nieosiągalna idea, rządzi mną wbrew mojej woli, rządzi i panuje, doskonała i despotyczna, a ja się jej wymykam i nigdy jej nie dotknę, jest bowiem tak potężna, że nie jestem jej godzien, jestem tylko parszywym robakiem, tak właśnie winienem o sobie myśleć, gdybym jako człowiek był zdolny tak bardzo siebie poniżyć, choć właśnie tak, mimo wewnętrznego sprzeciwu, o sobie myślałem, nie zdając sobie nawet sprawy, że ideologiczny terror moich czasów we mnie i przeze mnie osiągnął swój skryty i głęboki cel: to ja sam, dobrowolnie, zrzekłem się prawa decydowania o samym sobie.

Thea nie miała żadnych ideałów czy, mówiąc ściślej, jej ideały kryły się w jej instynktach, nie sądzę też, by zajmowały ją myśli o jakichkolwiek ideach, i właśnie z tego powodu tak

zaciekle broniła się przed wczuwaniem się w rolę czy przeżywaniem jej, nie chciała bowiem sprowadzać do roli środka wyrazu nierealnych i niesamowitych przeżyć swojej zmysłowej rzeczywistości, nie chciała tego wszystkiego, co w człowieku naprawdę żywe i krwiste, co jest zarodkiem idei, zamykać w postaci artystycznego środka wyrazu w szczelnych i pięknych, ale ciasnych i niewygodnych pieleszach nazywanych rzeczywistością czy umownie uznawanych za rzeczywistość; taka postawa byłaby w jej odczuciu bezwstydnie fałszywa i śmiesznie zakłamana, nie pytała, gdzie jest, musiała być obecna w swoich gestach, a to jest zadanie o wiele bardziej ryzykowne, niż gdyby była obecna w wypowiedzianych zdaniach, ona zwyczajnie i bez żadnych modnych dziś wątpliwości, jako człowiek wolny, demonstrowała to, co wspólne nam wszystkim, wiedziała, że nie ma ani nie może mieć takich skłonności czy cech, a w jej twarzy i ciele nie ma niczego, co odróżniałoby ją od tej wspólnoty.

Podczas tych popołudniowych godzin, które z nią spędzałem, swoimi gestami, nie jednym gestem, lecz wszystkim, co wyrażało w nich instynktowną, wewnętrzną wolność, wyrwała mnie, wybawiła z matni moich sprzecznych ze sobą idei.

W gruncie rzeczy pod wieloma względami byliśmy do siebie bardzo podobni.

W przeciwieństwie do Kühnertowej czy Melchiora, którzy całym swoim życiem odgradzali się od tajemnych i prowadzących w nieznaną głębie dróg, my tylko tam, w czeluściach głębi, u korzeni splątanych w moczarach zmysłów, u samych źródeł, szukaliśmy życia naszych ciał.

Czułem, podobnie jak ona, że nawet gdybym był głupi, nieudolny, podły, brzydki i okrutny, gdybym był lizusem albo intrygantem, kimkolwiek, kto z estetycznego, duchowego czy moralnego punktu widzenia może być uważany za kogoś gorszego, to i tak swoją estetyczną, duchową czy moralną niedoskonałość, swoje skłonności do duchowych występków będą kompensować głębokim przekonaniem, iż nic nie może oszukać ani przekupić moich zmysłów, najpierw bowiem czuję, a potem wiem, nie jestem tchórzem, w przeciwieństwie do tych, którzy najpierw wiedzą, a potem pozwalają sobie, by zawsze w zgodzie z obowiązującymi zasadami coś czuć, ja zaś wiem, ostatecznie i nieodwołalnie, co jest dobre, a co jest złe, co mi wolno i czego mi nie wolno, moja moralność nie jest uzależniona od niepowiązanej z odczuciami, z góry narzuconej wiedzy; tak samo jak ona, ja też walczyłem o prawa dla zmysłów, traktowałem ją instrumentalnie, podobnie jak ona mnie, i ja też chciałem, wbrew wszelkich wy wpływającym z tchórzostwa konwencjom i powszechnym moralnym zakazom, choćby wyczuć najgłębsze prądy związku, jaki łączył nas troje, ja też nie byłem w stanie zaakceptować beznadziejności naszego położenia, gdyż wówczas musiałbym uznać, że moje nieomyślne zmysły mnie zawiodły, i nie miałbym innego wyjścia, jak przyznać się do moralnego upadku.

Dziwne, że człowiek prędzej położy głowę na szafocie, niż przyzna się do tak kłopotliwej porażki.

Zawsze miała mnóstwo problemów z uruchomieniem samochodu, przeklinała go, wyzywała od przeklętych górien; na tym upływa jej życie, że musi się tak męczyć, zżymała się, że tak się musi męczyć z tym przeklętym głównem.

I jakie to dziwne, że w towarzystwie Melchiora czułem się wolny, a przecież to właśnie przy nim dusiłem się w niewoli własnego ciała.

Od chwili, kiedy spośród rupieci walających się w schowku czy z zakamarków pomiędzy siedzeniami wreszcie wygrzebała swoje okropne okulary z odłamaną nóżką, wcisnęła je na nos i uniosłszy niewygodnie głowę, by okulary trzymały się na nosie, wreszcie uruchomiła silnik i ruszyła z miejsca, jej wszystkie ruchy przepętniała dziwaczna, choć w moim odczuciu pociągająca, bliska chaosu mieszanina nadgorliwości, nieudolności i pełnego wyższości

roztargnienia; z jednej strony nie zważała na to, co robi, ciągle się zamyslała, traciła kontakt z szosą, z silnikiem i służącą kontroli jego pracy tablicą rozdzielczą, z drugiej strony co chwilę przyłapywała się na własnym roztargnieniu, tak więc nieraz znajdowaliśmy się na skraju śmiertelnego niebezpieczeństwa, wtedy dopiero ogarniał ją strach i jak pilna dziewczynka, z przesadną skrupulatnością próbowała naprawić swoje błędy, w czym przeszkadzały jej jednak ciągle zsuwające się z nosa, spadające okulary.

Mimo to czułem się przy niej bezpiecznie, a kiedy na przykład widziałem, że nie zauważyła zbliżającego się zakrętu albo że nie jedzie po swoim pasie i ruch z przeciwną jest zbyt duży, by można było tak długo jechać lewą stroną, wystarczyło, że cichutko wspomniałem, jaka gładka jest ta droga albo jaka mokra, prosta czy pełna zakrętów, a natychmiast naprawiała swój błąd; przyznaję, dziwne było to moje poczucie bezpieczeństwa, i aby go nie utracić, musiałem szukać ratunku w czymś głębszym niż zasady ruchu drogowego, przede wszystkim musiałem wyrzec się życia, powiedzieć sobie, mój Boże, jak umrę, to umrę, i w ten sposób ulec humorystycznej sytuacji, jaką rodził jej styl jazdy, przez który jak gdyby chciała powiedzieć, że dostała od losu tak wiele, gdyż ufa życiu i ma do niego o wiele, wiele więcej zaufania, do życia jako takiego, i nie musi przejmować się małostkowymi ograniczeniami wynikającymi z przestrzegania zasad bezpieczeństwa; zajmuje ją coś zupełnie innego, bo ona przecież nie może tak głupio i tak bezsensownie umrzeć, i choć nie wspomniała ani słowem o Bogu ani o przeznaczeniu, to jej gesty mówiły, że człowiek nie umiera z powodu własnej nieuwagi, śmierć to jest coś zupełnie innego, nawet kiedy nam się wydaje, że jej bezpośrednią przyczyną była po prostu czyjaś nieostrożność, nie, coś takiego mogą najwyżej pisać w gazetach, nie pomoże tu ani uwaga, ani przezorność, która pomogłaby nam uniknąć wszelkich nieszczęść, gdyż taka nie istnieje, może przez przypadek kaleczymy sobie palec nożem, nadeptujemy na szkło, muszelkę czy gwóźdź, ale to nie przez przypadek umieramy, a z tym, jako z ostatecznym wnioskiem na temat życia, musiałem się całkowicie pogodzić, jednocześnie mocniej trzymając się nogami fotela, co było równie dobrym, jak zabawnym dowodem na umiejętność poddania się albo też jej brak, dowodem wystarczająco humorystycznym, by się z niego śmiać.

Pędziliśmy przez miasto, podskakując i trzęsąc się w rytm pracy silnika.

Gdybym później, wieczora poprzedzającego mój wyjazd z Berlina, nie zniszczył notatek sporządzanych podczas prób, z dokładnością co do każdego dnia mógłbym prześledzić zmiany, jakie obserwowałem w psychice Thei; w tych ostatnich dniach stała się milcząca, delikatna i cicha, w samochodzie prawie zawsze milczeliśmy.

Ale zniszczyłem notatki, spaliłem je w białym, kaflowym piecu Melchiora, w czym nie miały udziału Kühnertowa, która widząc, że mój związek z Theą staje się coraz poważniejszy, wściekła z zazdrości, z podstępnie szczerą pokorą człowieka poddającego się temu, co nieuniknione, napadła na mnie, że to wszystko, co uważam za istotne, godne uwagi zmiany, jest całkowicie bez znaczenia, i że ona ma już tego wszystkiego po uszy, ojej, już się jej znudziło, a ja mam szczęście, że nie dostrzegam, iż w rzeczywistości jestem tylko narzędziem w rękach Thei, narzędziem pracy, którego teraz używa, ale wkrótce je wyrzuci; na szczęście, rzekła, przynajmniej uwolnię ją od ciężaru, zastąpię ją, zna Theę dwadzieścia lat, właściwie od dwudziestu lat dzieli z nią życie, w wyniku czego, z dokładnością zegarka, co do godziny i minuty, każdego dnia, o każdej porze jest w stanie mnie poinformować, co robi Thea, i gdyby nie wiedziała, że w ostatnim czasie Thea tak się do mnie zbliżyła, nie pozwoliłaby sobie na taką szczerą.

Na pierwszą próbę zawsze przychodziła cicha, odświętna i niedostępna, mówiła pochylona



nad moimi ustami, szczyjąc się swoją znajomością theologii, nie jest piękna, ale znam ją, potrafi wyczarować piękno wokół siebie, mówiąc między nami, z niczego, zawsze wymyśla coś nowego, farbuje włosy, obcina je albo zapuszcza, i nawet z nią nie rozmawia, każdą wolną chwilę spędza z Arno, w którym jest zakochana tak samo jak w młodości, lata do niego, jeździ z nim na wycieczki, czego Arno, zawodowy alpinista, nie znosi aż do znudzenia; robi przetwory, maluje mieszkanie, sprząta, szyje, a później, pod koniec drugiego tygodnia prób czy na początku trzeciego, tak samo jak teraz na mnie, kiwa palcem i już gdzieś jada, upija się jak świnia, zachowuje jak wstrętny pijak, zaczepia ludzi, śpiewa, czka, wyklóca się z kelnerami, puszcza bąki, rzyga na stół, już wszystko było, niczego nowego jej nie powiem, odwozi ją do domu z najdziwniejszych miejsc, a ona na drugi dzień dzwoni do teatru, że jest ciężko chora i żeby na nią nie liczyli, straszne, lekarz powiedział, że potrzeba wielu miesięcy, żeby doszła do siebie, ma rozstrój nerwowy, wrzód żołądka i bardzo poważne, nie, nie chce o tym mówić, to bardzo intymna historia, kobiece kłopoty, prawdopodobnie ma raka macicy, leje się z niej krew, ma bóle nerek, zapalenie strun głosowych, albo dowlecze się na próbę, trzyma się w garści, tak mocno trzyma się w garści, że w połowie próby dostaje ataku hysterii i chce zrezygnować ze swojej roli; wtedy, rzecz jasna, trzeba ją prosić, przekonywać, że jest niezastąpiona, pocieszać i błagać, wreszcie ulega, ale wpada w straszną depresję, a to już nie są żarty, nie może wstać z miejsca, nie może się ubrać, włosy ma tłuste i nieostrzyżone, ona obcina jej paznokcie na rękach i na nogach, i cały czas dręczą ją wyrzuty sumienia z powodu kolegów, których zawiodła, a oni przecież są dla niej tacy dobrzy, tacy mili i zdolni, powinna być wdzięczna, że może pracować z takim wybitnym reżyserem jak Langerhans, który wszystko, ale to wszystko potrafi z niej wydobyć.

Staje się bardzo uczynna, nie ma niczego, czego by nie zrobiła, gdyby tylko ktoś ją o to poprosił, kupuje prezenty, chce urodzić dziecko, ale Arno zaczyna ją śmiertelnie nudzić, że całymi dniami przesiaduje w tym nieszczęsnym mieszkaniu na osiedlu, a przecież jego świat jest tam, w górach, wśród górskich szczytów, chciałaby kupić mu domek z ogródkiem, żal jej samej siebie, czuje się nieszczęśliwa, że musi żyć z takim nieudacznikiem, ona zaś, Kühnertowa, musi każdego popołudnia toczyć z nią walkę, na siłę wpycha ją do samochodu, żeby już wreszcie pojechała do domu, jak wieczorem gra, ale nie tylko nie wraca do domu, lecz włóczy się z jakimiś facetami, lezie z nimi do łóżka, zakochuje się i zrywa, i ona już dłużej tego nie wytrzyma; papple cały dzień i wdzięczy się do wszystkich, każdego chce oczarować, każdego bez wyjątku, kobiety i mężczyzn, a każdego, kto jej nie uwielbia, nawet tylko dlatego, że jest zajęty własną rolą, zaczyna nienawidzić, znęca się nad nim, nie chce z nim czy z nią grać podczas prób, grozi i pisze donosy, podobnie oni jej nienawidzą, znęcają się nad nią i piszą donosy, żebym więc sobie nie pomyślał, że taki powtarzający się bieg rzeczy jest typowy tylko dla niej, tu wszyscy są tacy sami, to istny dom wariatów, tyle że wszystko już zaszło bardzo daleko, a dlatego mi o tym mówi, żebym nie liczył, że tu cokolwiek się zmieni, teraz właśnie nadeszła chwila, i dlatego powtarza, że nie zaszły w niej żadne zmiany, kiedy Thea znów zacznie szukać samotności, gdyż dzień premiery zbliża się w przerażającym tempie, musi zwolnić obroty, czuje, że jest sama, że nikt jej nie pomoże i że nikt nie umie jej pomóc, że te szalone emocje wzniecone przez żywych ludzi, ludzi z krwi i kości, może przetrwać tylko na scenie, gdyby bowiem uczucia o takiej sile przepełniły jej prawdziwe życie, pewnie by się wykończyła, o nie, jestem w błędzie, ona nie kieruje się instynktem, lecz nad wyraz ostrożną kalkulacją, i w sumie nie interesuje jej nic poza tym, co będzie dziać się na scenie, i jak będzie w stanie to z siebie wykrzesać, jeśli więc może coś mi poradzić, to żebym uwierzył, że Thea zmienia się jedynie o tyle, o ile każda nowa rola

wymaga od niej innego rodzaju szalonych emocji, a możliwości jest tu nieskończenie wiele, sama Thea zaś nie istnieje w ogóle, na próżno wyteżam wzrok, nigdy jej nie zobaczę, podobnie jak teraz, kiedy zamiast niej widzę tę różnicę czy przepaść, czy sama nie wie co, która powstrzymuje ją przed tym, by stała się zimną, do obrzydliwości wyrachowaną kreaturą, która deptając po trupie swojego teścia, chce zostać królową, normalny człowiek nie podjąłby się czegoś takiego, ale ona właśnie dlatego jest taka, że za każdym razem próbuje odnaleźć się w roli, która do niej nie pasuje, a to z tego powodu, że Thea jest w środku pusta jak balon, i że jeśli naprawdę chce jej pomóc, to żebym o tym pamiętał.

Tymczasem nie zamierzałem jej w niczym pomagać, Kühnertową prawdopodobnie zmyliły moja grzeczna uprzejmość, taktowne zachowanie i poddańcze uniżenie, które brały się z żarliwego zainteresowania teatrem, poza tym pochlebiało mi, że Thea interesuje się mną, a jeżeli w ogóle komukolwiek chciałem pomóc, to Melchiorowi, tak więc raczej wydawało mi się, że to ja używam do swoich celów Thei i że to ona jest narzędziem w moim ręku, a nie że sprawy mają się wręcz przeciwnie i że to ona posługuje się mną do swoich celów; Kühnertowej nie udało się tedy ani mnie rozczarować, ani urazić, tak długo bowiem, jak moje maniackie, pełne uporu starania nie przybliżyły mnie do chwili, którą uznałem za właściwą, niczym snujący wielkie plany zawodowy przestępca chłodno analizowałem wszystkie istotne dla sprawy okoliczności.

Musiało jednak upłynąć sporo czasu, zanim udało mi się rozeznać w owej delikatnej materii, mianowicie czy najpierw zawieziemy do domu Kühnertową, czy też bez słowa zostawimy ją przed teatrem; Thea nigdy nie mówiła, dokąd jedziemy, jak gdyby sama nie wiedziała albo jakby była tego tak pewna, że nawet o tym nie myślała, najważniejsze było, że jedziemy, że stąd wyjeżdżamy, stąd, dokądś, gdzieś indziej, sama czy raczej ze mną, co oznaczało dla niej pewien szczególny rodzaj samotności, kiedy na przykład postanowiliśmy jechać do Müggelheim, do zamku w Köpenic, do rezerwatu położonego na południe od Grünau czy do Rahnsdorf, najpierw zabieraliśmy ze sobą Kühnertową i wysadzaliśmy ją przy ulicy Steffelbauera, do jej domu mieliśmy po drodze, choć nie jest wykluczone, że Thea dlatego właśnie wybierała wspomniane miejsca, by móc po drodze odwieźć swoją przyjaciółkę, zatem motywem jej wyborów były uczucia żywione do Kühnertowej, czy może tylko okazywana jej uprzejmość, kiedy indziej zaś, kiedy wyruszyliśmy na zachód od miasta, w kierunku Poczdamu, nad uroczy, płaski brzeg rzeki Havel, albo na wschód, do Starnberg lub do Seefeld, zostawialiśmy ją po prostu przed teatrem, Thea machała jej ręką na pożegnanie, albo nawet i o tym zapomniała, czego Kühnertowa, pozornie obojętna, ale tak naprawdę zazdrosna i urażona, udawała, że nie widzi, tak samo zresztą jak Thea, też udająca, że w jej zachowaniu nie ma niczego nadzwyczajnego.

Wszystko to oczywiście nie pozostawało bez konsekwencji, które obydwie uznawały za nieodłączny atrybut ich przyjaźni.

W gruncie rzeczy nie miałem najmniejszych powodów, by wątpić w to, co opowiadała mi o Thei, dobrze ją znała, bliżej i dłużej niż ja; a nawet jeśli nie znała jej lepiej ode mnie, to mogła przecież znać ją tylko tak, jak kobieta zna drugą kobietę, potrafiła odczytać tajemne i ukryte znaczenia jej gestów, słów oraz cielesnych znaków adresowanych wyłącznie do mężczyzn, patrzyła na nią okiem postronnego obserwatora, podczas gdy ja obserwowałem ją jak ktoś wtajemniczony, czułem ją swoim ciałem i poprzez swoje ciało, patrzyłem na nią jako na narzędzie czy też na ofiarę własnych poczynań; w każdym razie perspektywa, z jakiej obydwójce z nas patrzyło na Theę, była całkowicie różna, ponadto znałem już na tyle Kühnertową, by móc przejrzeć jej pokrętne zamiary, a także pojąć sens i wymowę jej przesadnych spostrzeżeń.

Aby na przykład właściwie ocenić taki oto fakt, że kiedy mówiła o latach, to zawsze mówiła więcej, niż było ich w rzeczywistości, tak samo bowiem jak różnica wieku między Melchiorem a Theą nie wynosiła aż dwadzieścia lat, tak samo nie było prawdą, że Kühnertowa znała ją dwadzieścia lat, mogła ją znać najwyżej dziesięć, i choć przyłapywałem Kühnertową na drobnych kłamstewkach, to nie wątpiłem w wiarygodność jej bezwstydných stwierdzeń, czułem, że przesada i szczerość, bezwstyd i kłamstwo były taktyką, którą stosowała w swojej wspianałomyślnej, żarliwej i wzruszająco głębokiej strategii uczuciowej.

Jej zabobony upór przy magicznej dwudziestce chyba jednak nie wynikał z kobiecej przebiegłości i chęci konkurowania; nie tylko dlatego zamiast o dziesięciu mówiła o dwudziestu latach, by ona, wprawdzie młodsza od Thei o kilka lat, ale pod każdym względem mniej od niej interesująca, mogła odsunąć swoją konkurentkę na odpowiadające jej wiekowi miejsce, lecz czyniła to z tego samego powodu, z którego była wobec mnie tak niebezpiecznie szczera, dlatego postarzała i bezwstydnie zdradzała swoją przyjaciółkę, opowiadając bez żadnych zahamowań o jej szaleństwach, by traktując o biologii, etyce i estetyce, odsunąć ode mnie Theę.

Nie mogłem nie zauważyć, że jej słowa, nawet jeśli nie przywiązywałem do nich większej wagi ani się nad nimi zbytnio nie zastanawiałem, skutecznie zamieniały moje zainteresowanie Theą w obojętność, a z zaangażowanego uczuciowo uczestnika czyniły bezstronnego obserwatora; Kühnertowa stanęła pomiędzy nami w tym drażliwym punkcie, w którym spotykało się ze sobą nasze wzajemne zainteresowanie, pozornie niewinnym, ale przecież pełnym zazdrości monologiem wdzierając się na obcy teren, na który w myśl zasad, jakie obowiązują w miłosnych potyczkach kobiet i mężczyzn, nie powinna była się zapuszczać.

Thea zaś umiejętnie, z bajkowym spokojem, odpięrała jej nietaktowne ataki.

Jak gdyby żaden manewr ani przebiegła, tajemna uczuciowa dyplomacja Kühnertowej nie uszły jej baczonej uwadze, stała na czatach, tak samo jak tamtego wietrznego, październikowego popołudnia, kiedy Kühnertowa, zatrzymawszy mnie w korytarzu teatralnej garderoby, wyszeptwała, wydyszała we mnie swój, patrząc z zawodowego punktu widzenia, całkiem trafny, a ponadto naprawdę urzekający, wielki monolog o kwestii kreowania roli aktorskiej i o dystansie, jaki jest do tego niezbędny, ona przybiegła do nas ze swojej garderoby, wystarczyło bowiem, że spojrzęła na rozgorączkowaną twarz swojej przyjaciółki, by nie tylko wiedziała, co się stało, ale wiedziała też, co powinna w takiej sytuacji zrobić; błyskawicznie sięgnęła do swojej wrażliwości, wiedzy i wszechwładzy nad innymi, chwyciła mnie za rękę i wołając: „już i tak za dużo jej naopowiadałeś”, musnęła ustami policzek przyjaciółki, jak gdyby chciała w biegu pocałować ją na pożegnanie, albo nie chciała, ale jeśli nawet nie pocałowała jej, odchodząc, to stało się tak tylko dlatego, że po prostu nie miała czasu, musi lecieć, pędzić, oczywiście ze mną, wybawiła mnie z opresji, dosłownie wyciągnęła na dwór, co w oczach Kühnertowej jednocześnie oznaczało zemstę i zdemaskowanie, ten przeznaczony dla niej, a jednak nie dany pocałunek wzburzył ją i zdziwił, skazał na pastwę losu, czuła się, jak gdyby wbito jej sztylet w serce, z którego, niemal to widziałem, buchała krew.

Pęd, jaki czerpała z poczucia władzy, przeniósł Theę na przeciwną stronę ulicy, kiedy jednak wsiedliśmy do samochodu, dostrzegłem na jej twarzy gniew i niezadowolenie.

Odezwała się dopiero po długim czasie, kiedy wysiedliśmy z samochodu; nie pamiętam, w jakim kierunku jechaliśmy, tak samo bowiem jak wtedy, kiedy jechałem gdzieś z Melchiorem, całkowicie zdawałem się na nią, najdrobniejsze drgnięcie jej twarzy, każdy jej ruch należały do nieznanego i ciągle jeszcze wywierającego na mnie wrażenie swoją nowością krajobrazu; początkowo pędziliśmy niemal pustą szosą, aż nagle Thea skręciła w pełną dróżkę, która wśród

niemal idealnie płaskiego, poprzecinanego równymi liniami kanałów, rzekami i jeziorami, pokrytego miękkimi bryłami lasu krajobrazu zdawała się prowadzić pod kopułą nieskazitelnego nieba aż do środka płaskiej jak talerz ziemi; tam samochód zaczął się trząść, stukotać, podskakiwać, aż wreszcie na lekkim wzniesieniu zaczął się dusić, a Thea, zaprzestawszy dalszych wysiłków, po prostu dała silnikowi spokój i zaciągnęła ręczny hamulec.

Już wyjechaliśmy z miasta, nie miało więc znaczenia, gdzie jesteśmy.

Było to zdradzieckie wzniesienie, którego łagodność i długo ciągnący się grzbiet pozwalały sądzić, że pokonać je nie będzie wielkim wysiłkiem, kiedy jednak dotarliśmy na samą górę, byliśmy już mocno zdyszani; od dróżki prowadziła na sam skraj wzniesienia twardo ubita ścieżyna ginąca na płaskim grzbiecie, jak gdyby rozplywająca się na niebie, była cichym wyzwaniem dla oczu, któremu nie potrafiły przeciwstawić się nasze nogi; Thea, wsunawszy wygodnie dłonie w skośne kieszenie płaszcza, zamyślona powoli ruszyła przede mną wzdłuż ścieżki, a ja, zatopiony w myślach, wpatrywałem się w ziemię, zastanawiając się, kto też mógł wydeptać tę twardą dróżkę i jak to się dzieje, że w ogóle powstają takie ścieżki.

Jak gdybym w duchu zastanawiał się nad daremnym pytaniem, dlaczego człowiek uwikłał świat w sieci swoich tajemnych zamiarów i w jaki sposób sam stanie się kiedyś więźniem sieci, którą przed nim upletli inni ludzie.

Zmierzające słońce tylko na kilka chwil wyjrzało zza wielkich, długich, kłębiastych, szarych, ołowianych chmur, pomiędzy którymi dalekie niebo błyskało żółcią, błękitem i czerwienią, dał silny wiatr, nieznajdujący oparcia w nikim poza nami, cała okolica wydawała się głucha i pusta.

Niekiedy dochodził skądś głos ptaka, potem cichł, a przed naszymi oczyma przesuwaly się długie cienie i głęboka purpura zimnych blasków.

Czyste powietrze sprawiało, że delikatnie załamujące się linie równinnej okolicy zdawały się ostre i bliskie, nasze ciała odczuwały niską temperaturę, aczkolwiek nie było to nieprzyjemne zimno, lecz chłód mile muskający członki i dodający naszym ruchom świeżości i siły.

Podobnego uczucia można doznać właściwie tylko na północy, gdzie zimno czystego, nieskazitelnego powietrza nie dopuszcza do siebie ciepła ciała, a jednocześnie wyzwala energię wewnętrznego ciepła, użycza jej prostoty i siły.

Thea zatrzymała się na chwilę, szedłem kilka kroków za nią, wśród tych bezmiernych odległości zbytnia bliskość nie była właściwa, nie czekała, aż ją dogonię, jedynie chcąc się upewnić, rzuciła ku mnie przelotne spojrzenie i poszła naprzód; później dodała, że nie możemy gniewać się na Sieglinde, to bardzo porządna dziewczyna i zawsze we wszystkim ma rację.

Kiedy dotarliśmy na szczyt płasko ciągnącego się wzniesienia, piękno z takim spokojem i dostojnością ukazało nam swoje nowe oblicze, że nie wypadało zakłócać go rozmowami.

Tu ścieżka biegła zboczem, bardziej stromo, na dole zaś leniwie załamująca się ziemską wypuklina, przygnieciona swoim potwornym ciężarem, tworzyła strome urwisko, w którego przepastnym łonie kryło się pokryte rzesą, osłonięte od wiatru jezioro, dalej widać było jasną smugę ścierniska i rozciągający się aż po horyzont miękki grzebień lasów, a kilka samotnych, kulistych w kształcie krzewów czyniło ten majestatyczny, górski widok jeszcze przyjemniejszym.

Jakiś czas staliśmy na tym pozornie wysokim, choć w rzeczywistości niewielkim wzniesieniu, w znanej wszystkim pozie spacerowiczów, i przyglądaliśmy się roztaczającemu się przed nami popisowi natury, o jakim ludzie zwykli sentymentalnie mawiać, że nie, to jest takie

piękne, takie niewypowiedziane piękne, a ja czułem, że nie ruszę się stamtąd ani na krok, nigdy stamtąd nie odejdę, muszę zostać tam do końca życia; które to słowa, przyznajmy sami, są pełnym bólu i nostalgii stwierdzeniem faktu, że nie potrafimy wykorzystać dla siebie widoków przyrody, jakkolwiek by nas zachwyciły, nie potrafimy się z nimi utożsamić, pragnęlibyśmy tego, ale nie potrafimy, są zbyt wielkie i zbyt dalekie, a my jesteśmy wśród nich zbyt obcy, być może za bardzo żywi, i może zbliży nas do nich dopiero nasza śmierć, musimy się od nich oddalić, znaleźć inne punkty obserwacyjne, być może bardziej ograniczone, choć w istocie rzeczy to tutaj powinniśmy pozostać, one same bowiem bez naszej obecności też będą ograniczone; później, kiedy już zeszedliśmy w dół dróżką aż do samego jeziora, do spokojniejszego i bardziej zwyczajnego poziomu, skąd widok i krajobraz nie były już tak niewypowiedziane piękne i pozbawione ludzkich wymiarów, Thea zatrzymała się i odwróciła do mnie.

Czasami mogłaby wydrapać jej oczy, powiedziała bezgranicznie spokojnym, głębokim i ciepłym głosem.

Jak gdyby jej słowa stanowiły przedłużenie linii krajobrazu, wiatru i chmur, zakręt, powrót w jakiś bardzo bliski czas.

Ale gdyby jej nie było, pewnie skończyłaby ze sobą.

W jej głosie czaiły się nostalgia i żal nad sobą, tęskny ból, który wzbudził w nas roztaczający się widok i który musiała w sobie pokonać, w gruncie rzeczy bowiem nie użalała się nad sobą, w codziennym życiu zachowywała do wszystkiego dokładnie ten sam dystans, który potrzebny był jej na scenie, a jeśli jednak, mimo wszystko, trochę siebie żałowała, to nie potrafiła tego uczucia nazwać ani podzielić się nim z drugim człowiekiem; zaśmiała się ucieszona swoją nieposkromioną ciekawością i z drwiną w głosie zapytała, cóż to znów plotkuje o niej ta Kühnertowa.

Wzdrygnąłem się na widok tego uśmiechu, w takim krajobrazie jej małostkowość wydała mi się przesadna, nawet jeśli była tego świadoma, nie odpowiadałem, choćby z tego powodu, że nie miałem zamiaru zdradzić Kühnertowej; nic szczególnego, odparłem, choć nigdy dotąd nie zdarzyło mi się spotkać kogoś, kto w tak prymitywny sposób obserwowałby, jak aktor buduje swoją rolę, ciągnąłem, wybierając najłatwiejszą drogę teoretycznych wykrętów.

Skwitowawszy moją wymijającą odpowiedź kwaśnym uśmiechem, zapytała, czy mam na myśli aktorów w ogóle, czy konkretnie ją.

Tak, odparłem, aktorów w ogóle.

Nie, ona nie jest prymitywna, powiedziała po chwili wahania, choć tak naprawdę chyba raczej zastanawiała się, dlaczego nie chce odpowiedzieć na jej pytanie; jest niewykształcona i nieczytana, to fakt, ale jest inteligentna i wszystko wie, dodała, a na jej twarzy znów pojawił się uparty, drwiący uśmiešek.

A czy mówiła mi, zapytała, że czasami całkiem się zapomina i doprawdy wstrętne zachowuje, ich przyjaźń jest bowiem tak bliska, dodała niby dla wyjaśnienia, że Kühnertowa zna wszystkie szczegóły jej prostackich wyskoków.

Spojrzałem na nią zniechęcony, a ona potakująco pokiwała głową, chyba już nic więcej nie chciała ode mnie usłyszeć, i położyła lekko dłoń na moim ramieniu.

Bo ona ma tylko dwoje bliskich ludzi, a poza tym to wszystko jest jednym wielkim idiotyzmem, rzekła; i cokolwiek uczyni, zawsze może do nich wrócić, oni nigdy nie pozwolą jej odejść.

Wiem, odparłem.

Długo wpatrywaliśmy się w siebie, tak jak przed chwilą w krajobraz, bo przecież

wiedziałem, i ona też wiedziała, że wiem; ta chwila unicestwiła nie tylko emocjonalną dyplomację Kühnertowej, ale także uczuciowe występki służące interesom Melchiora, w których przecież to ja byłem mistrzem.

Dwie ludzkie istoty stały na łonie potężniejszej od nich przyrody i wzajemnie się rozumiały; ich zrozumienie nie wypływało ani z rozsądku, ani ze zmysłów, główną rolę odgrywała tu pewna uchodząca za najzupełniej naturalną okoliczność, to mianowicie, że jedno z nas było mężczyzną, a drugie kobietą.

Ta chwila przerosła nasze możliwości i nasze zamiary, a dowodząc różnicy naturalnych uwarunkowań i istnienia tej jednej jedynej możliwości utożsamienia się ze sobą, wymykając się spod naszej kontroli, wprowadziła nas w śmiertelne zakłopotanie.

Thea nie pozwoliła jednak, aby nasze zakłopotanie rosło, zabrała lekką dłoń z mojego ramienia i zabawnie wzruszywszy ramionami, udała, że się poddaje, przy czym, nie bez kokieterii, odwróciła się, teraz już ostatecznie odwracając się od czasu miasta, które zostawiliśmy za sobą, i odwracając się od krajobrazu, w którym staliśmy, ruszyła dróżką prowadzącą do odległego lasu.

## *Table d'hôte*

Rozpalone i pulsujące zmysły, wbrew mojemu niemal heroicznemu sprzeciwowi, oddały mnie we władanie nieokiełznanym siłom, które zwykliśmy nazywać mianem niskich, mrocznych, a nawet, uciekając się do mniej wyrafinowanego określenia, ohydnych czy, mówiąc z większą finezją, nieczystych, diabelskich, zasługujących na karę i potępienie, podkreślam bez zwłoki, że wcale niebezpodstawnie, gdyż to wszystko, o czym będę musiał mówić, pozostaje w gruncie rzeczy w związku z nieczystymi produktami funkcjonowania ludzkiego ciała i takimi czynnościami, jak wydalanie, ulżenie sobie czy zaspokojenie się, aczkolwiek pytanie, czy te siły nie działają w nas dokładnie tak samo jak nasza wyczulona na czystość moralność, której zadaniem jest walka z nimi, nie pozostaje bezzasadne; tak czy owak, czy uznam nieczystość za coś nieodłącznego mojej osobie, czy za coś zupełnie mi obcego, i będę z nią walczył, podnosząc rzuconą mi rękawicę, albo z rezygnacją wzruszywszy ramionami, poddam się jej, skoro istnieje, i muszę czuć ją bezustannie, dzień po dniu, niczym zesłaną przez Boga pornografię, bo kiedy będę strzegł się jej na jawie, zaatakuje mnie we śnie, podstępnie biorąc we władanie moje ciało i duszę, bym nie mógł się wymknąć!, jak choćby w tę noc, kiedy przyjechałem do Heiligendamm, oto najlepszy przykład!, i chciałem się wyzwolić od ciężaru moich rozlicznych kłopotów, niedorzecznych wątpliwości artystycznej natury czy ponurych, acz fascynujących wspomnień z dzieciństwa i rodzinnego domu, męczącej podróży i słodkiego, ale trudnego i burzliwego pożegnania z Helene, uciekając w sen niosący ulgę, głęboki, długi, oczyszczający sen, i kiedy brutalnie mnie obudziła, choć tym razem obeszła się ze mną nadzwyczaj delikatnie, i nie tak okrutnie jak kiedyś, kiedy na przykład pojawiała się pod postacią nagiego mężczyzny, który kierował ku mnie swojego sterczącego fallusa; tym razem dała o sobie znać w niewinnym sennym marzeniu, a władzę, jaką nade mną posiadała, spokojnie mógłbym uznać za wyjątkowo umiarkowaną.

W sennej wizji słyszałem mocne obce kroki, widziałem mokrą, dobrze mi znaną ulicę, tajemniczo rozświetloną płomieniami latarni gazowych, wciągającą mnie tak gładko, miękko i zdecydowanie, jak potrafi tylko łono kochającej kobiety albo właśnie sen, zapadałem się w nią tedy nie wbrew własnym zamiarom, lecz z największą uległością oddając się urokowi ciemności rozbłyskujących w żółtej poświacie, a ponieważ ten nocny obraz przywodził mi na myśl ją samą, właśnie tak, samą Helene, choć pozornie nic nie wskazywało na to, żeby ją przedstawiał, pozwolił mi wreszcie z pełną swobodą, bez strachu i obaw, jak gdyby moje zmysły i uczucia znalazły tam swoje uprawnione miejsce, jakby była tam ona i jak gdybym dopiero teraz mógł to uczynić, obdarzyć ją uczuciami, których jej odmawiałem i których na jawie, zmuszony przez siłę okoliczności, nawet w chwilach największego upojenia, musiałem się wyprzeć.

Jakby dobro, najpełniejsze dobro, wszechogarniające, cudowne dobro pragnęło przejąć nade mną władzę, jakbym miał oddać mu wszystko, a właściwie już oddałem, wchłonęło mnie, ona była mną, a ja byłem nią, ale jakby miało jeszcze wiele do powiedzenia, i ja też, na drodze dobra obco stukwały moje kroki, to była ulica dobra, noc dobra, ciemności dobra i światła dobra, czułem, że im więcej z siebie dam, tym więcej będę miał do ofiarowania, ale tak było dobrze, bardzo dobrze, nawet jeśli skrzyp kroków spadał na mnie z zimnej otchłani.

Wreszcie pozwoliła mi się dostrzec natura dobra, mogłem ją zobaczyć, wydostałem się, uwolniłem się od męczącego hałasu własnych kroków, stukotu kojarzącego się z cierpieniem,

poczułem, że istnieje dobro większe od dobra, a to, co mnie czeka, może być tylko lepsze, bo kiedy z taką swobodą kroczę przez dobro, wówczas zbawienie, którego, pogrążony w cierpieniu, a niemiły stukot miał właśnie związek z tym cierpieniem, tak pragnąłem i którego z taką nadzieją wyczekiwałem, przyszedłoby bez większych problemów.

Och, wielka jest miłość, która przypadła mi w udziale; kochać uliczne kamienie tonące w kregach świateł, kochać krople wody spływające po nagich gałęziach drzew, kochać gromy zła, kochać miękkie kołysanie gazowych płomieni nad wodą zbierającą się w kloszu latarni, kochać ciemność za to, że pozwala zobaczyć światło, kochać kota przemykającego jak niespodziewany cień, kochać miękkie ślady zostawione przez jego łapy, kochać delikatną, bogato zdobioną, błyszczącą skórę strzelających w górę latarni, kochać zardzewiały skrzyp, który jest ledwie słyszalny przez ucho omamione miłością.

I daremnie wysila się oko.

Niczym bańka gotowa pęknąć w każdej chwili.

Skrzyp się wzmagął, zostawiwszy za sobą na kamieniach stukot kroków, zbliżałem się do niej, to zardzewiałe żelazne drzwi skrzypiały na wietrze, ale przecież nie było wiatru!, pełen nadziei, że to będzie ostatni stukot i że nic już nie zakłóci gęstwiny ciemności, tymczasem przecież idę i każdy mój krok odzywa się nowym głosem!

I wtedy zobaczyłem siebie, jak się zbliżam.

Jak miałem oszczędzić ciemności tych głosów?

Stałem w smrodzie za otwierającymi się na wietrze żelaznymi drzwiami i z uwagą przysłuchiwałem się krokom.

Wiatr zatrzaskał drzwi, zaskrzypiały, stuknęły, na chwilę zniknąłem, ale za moment znów zobaczyłem siebie czekającego na coś.

Gdzie ja właściwie jestem?

Miejsce nie wydawało mi się nieznane, nawet jeśli nie potrafiłem dokładnie go określić, pytanie brzmiało: gdzie?, może jednocześnie tu i tam, i to właśnie napawało mnie takim strachem, że chciałem krzyknąć, i pewnie bym krzyczał, gdybym nie obawiał się przeszywającym głosem zakłócić ciemności; szedłem ulicą, ulicą dobra, wiem przecież, że to jest ulica dobra, nie próbujcie mnie oszukać!, choć prowadzi prosto ku tamtym drzwiom, a po obu jej stronach stoją nagie drzewa i mokre słupy latarni, jak gdyby to one wyznaczały kierunek, z którego nie można zbroczyć!, trzeba dotrzeć do żelaznych drzwi, tak naznaczonych wstydem, żądzą, strachem, ciekawością i poniżeniem, że nie mogą być nieznajome, wszystko tu jest takie, że chętnie bym o tym zapomniał, a jednak tam, na tamtym dawnym miejscu, czekałem na siebie w gęstym smrodzie uryny i smoły, musiałem długo stać, bo smród wżarł się nie tylko w moje ubranie, a gdzie się podział mój kapelusz?, ale i w skórę, cały śmierdziałem, śmierdziały mi włosy, jak więc mogłem uciec, skoro utkwiałem tam bezpowrotnie.

Ktoś jednak był panem mojego snu, mimo wszystko wiedziałem, że to tylko sen, spokojnie, tylko sen, i w każdej chwili mogę się obudzić!, ktoś jednak był panem tego snu, i nie pozwalał na przebudzenie, nie pamiętałem tylko, kim może być ta osoba, kiedy jednak usłyszałem jej szept, że czeka za otwierającymi się drzwiami, głos wydał mi się znajomy, i mimo że teraz czuję spokój, szeptał, nachylając mi się do ucha, i znów przepełniło mnie poczucie dobra, i dysząc, wyszeptał, że wszystko daremnie, wszystko daremnie, i że nie chciał niczego więcej, tylko wodzić mnie na pokuszenie: ciemności czekają.

Daremnie.

Szedłem więc i już nie dziwiło mnie, że drzę na całym ciele; bałem się, choć czułem, że nie



istnieją tak wielki strach i tak wielkie przerażenie, do których nie mógłbym się przyzwyczaić, a choć protestowałem i broniłem się, tajemnicza siła zmuszała mnie, bym zaakceptował skrywane dotąd pragnienia mojego wijącego się w konwulsjach sprzeciwu ciała, bym przywykł do strasznego ciężaru, który towarzyszył mi przez całe dotychczasowe życie, i go zaakceptował; od tych zmagania droga wydała mi się nad wyraz długa, moje kroki straciły tempo, dudniły wprawdzie, ale straciłem pod nogami pewny grunt, i jak epileptyk, który podczas ataku traci kontrolę nad własnym ciałem, czułem, że z otwartych ust cieknie mi ślina, zdyszany kopię i wymachuję rękoma, nic się jednak nie zmieniło, otwierające się i zamykające czarne usta małej, ciemnej budki, trzeszczące, stukające, skrzypiące, wydające z siebie, tak, głośne ludzkie posapywanie, czekały na mnie w ogołoconych z liści zaroślach.

Nieruchomo i ciężko, rysując na ciemnym horyzoncie nieba zdobny koronkowy parkan, a ja szedłem, nie mając nawet odwagi krzyczeć.

Nic zatem dziwnego, że rano obudziłem się rozbity i zmęczony, jak gdybym nie przespał nocy, a chyba musiałem głęboko spać, skoro wstałem tak oszołomiony; niezaspokojony pragnąłem znowu uciec w sen, może w nim, teraz, wydarzy się to, co powinno było się wydarzyć, pokój jednak był już zbyt jasny i zbyt wyraźny w swych konturach, jak gdyby tam, na dworze, za zasuniętymi białymi, jedwabnymi firankami spadł śnieg, chłodny i zimny; z korytarza dochodził szelest miękkich kroków, z jadalni na parterze słychać było ciche i monotonne postukiwanie talerzy, przeszywający uszy stukot, urywki rozmów, skrzyp otwieranych drzwi, które po chwili ktoś zamknął, to te drzwi obudziły mnie w nocy, krótki kobiecy śmiech, wszystkie te odgłosy były jednak ciche i dobrotliwe, dochodzące przyjaźnie z oddali, a ja wcale nie miałem ochoty wstawać z łóżka, skoro te zapamiętane z dzieciństwa miłe poranne dźwięki przypominały mi, że będę musiał wrócić do życia, którego pozorna beztroska kieruje się przeciwko mnie; nie, mimo wszystko nie wolno było mi tu przyjeżdżać, pomyślałem z irytacją, i przewróciwszy się na drugi bok, z zamkniętymi oczyma próbowałem wrócić do tamtego ciepła i ciemności, które dawał mi sen, tylko że dokąd chciałem wrócić?

Resztki snu jeszcze trwały, nie sprawiło mi trudności znów zasnąć, mężczyzna stał przy pisuarze, przed ścianą połyskującą od smoły, i wyciągał ku mnie dłoń, w której trzymał różę, na jego bladej, nalanej twarzy malował się tak odrażający uśmiech, że nie chciałem przyjąć róży, najciekawsze, że w dodatku wydawała mi się niebieska, fioletowoniebieska, była mięsistym, zdrowym, rozwijającym się pakiem, i z taką determinacją mi ją ofiarował, jak gdyby to już nie był poranek, lecz jakbym ciągle jeszcze był tam, w nocy.

Po chwili w otwartych drzwiach łączących sypialnię z salonem stanął przede mną kamerdyner o płomienście rudych włosach, stał cicho, nieruchomo, uważnie i bacznie, śledząc miłymi brązowymi oczyma każdy mój ruch, jak gdyby czekał już bardzo długo, i dokładnie wiedział, o czym przed chwilą śniłem, bo to pewnie jego bezgłośnie kroki czy też sama obecność znów wyrwały mnie ze snu; młody, cichy chłopiec, który przywołał mnie do porządku, o nadzwyczaj silnej budowie, raczej powinien zostać tragarzem albo woźnicą, ramiona przeżyły się w zielonym fraku, a na udach opinały się staromodnie skrojone, obcisłe czarne spodnie, wyglądał, jak gdyby przybył tu ze snu albo z jeszcze większej oddali, przypominał mi się służący z rodzinnego domu, i tamta żywa jeszcze we wspomnieniach noc, z jego ciała emanowały taki sam stoicki spokój i taka pewność siebie, jakie czułem niegdyś w obecności Hilde, więc po chwili, kiedy z pewną przyjemnością wodząc wzrokiem po jego piegowatej twarzy, zdusiłem ziewnięcie i powtórzyłem to najzupełniej zbyteczne zdanie, nie, nie wolno mi było tu przyjeżdżać, ale dokąd niby miałem jechać?, jego wielkie ciało wciśnięte w źle skrojone ubranie, spłaszczony nos,

piegi, oczy o zaciekawionym spojrzeniu małego dziecka i ta powaga, z jaką stał gotowy na moje polecenia, wydały mi się tak śmieszne, a moje wątpliwości i gniew tak głupie, że się roześmiałem.

– Czy życzy pan sobie wstać, panie Thoenissen? – zapytał chłodno, jak gdyby nie usłyszał mojego zbyt poufale brzmiącego śmiechu.

- Tak, chyba tak. W każdym razie należałoby.
- Herbatę życzy szanowny pan czy kawę?
- Może raczej herbatę.
- Teraz czy później mam przynieść wodę do mycia?
- Sądzi pan, że każdego ranka należy się myć?

Milczał przez chwilę, wyraz jego oczu wprowadziło się nie zmienił, ale wydawało się, że jednak coś zrozumiał.

- Czy życzy pan sobie zejść na śniadanie, czy mam przynieść do pokoju?
- Nie, nie, oczywiście zejść. Ale czy tu nie jest za zimno?
- Zaraz napalę, panie Thoenissen.
- Czy mógłbyś mnie ogolić?
- Oczywiście, panie Thoenissen.

Wyszedł na chwilę, a ja wykorzystałem okazję, by szybko załatwić potrzebę, i chyba nie myłę się, sądząc, że dlatego nie było go tak długo, by dać mi na to czas; mężczyźni, kiedy zostają ze sobą sam na sam, pod tym względem mają dla siebie wiele zrozumienia, którego nie należy uznawać za takt czy uprzejmość, to raczej braterskie pobłażanie dla wprawiającego w zażenowanie zjawiska, że rano ucisk moczu zebranego w pęcherzu potrafi powodować erekcję, gdybyśmy więc w takim momencie szybko wyskoczyli z łóżka, uraczylibyśmy tę drugą osobę widokiem złudzenia będącego wynikiem naszych biologicznych funkcji, wtajemniczylibyśmy ją w coś, czego działanie nawet dla nas samych jest tajemnicze i nieco wstydlive; jeszcze ociągałem się ze wstawaniem, kiedy otworzywszy drzwi, wtoczył do pokoju stolik na kółkach i natychmiast zamknął je za sobą, nadal leżałem w łóżku, z poduszką wciśniętą pod plecy, oparty o zagłówek siedziałem w półleżącej pozycji, wygodnie usadowiony, jak gdybym wiedział, że wstając, przeszkodzę, uniemożliwię wspaniałe wydarzenie, które teraz jest dla mnie najważniejsze, niech więc ciało cierpi!, wprowadzi napięcia w pęcherzu moczowym nie można zlikwidować siłą woli, ale odwróciwszy uwagę, można zapobiec erekcji i uwolnić się od zmysłowego podniecenia wywołanego sennymi marzeniami.

Takie myśli chodziły mi po głowie, a on cicho krzątał się wokół, stoliczek przysunął do łóżka, cicho stąpał po dywanie, zważając, by na stoliku nie brzęczały niemiło naczynia, jak gdyby kamerdyner wcielił się w kota, w drapieżnego zwierzaka, jego delikatne, niemal niezauważalne ruchy były właśnie tą historią, która przykuwała moją uwagę i tak mi się podobała; powoli nalewał parującą herbatę, zapytał, czy życzę sobie z mlekiem, a z dzióbka dzbanka nie kapnęła na biały adamaszkowy obrus nawet jedna kropla, powiedziałem, że nie wiem, czy chcę z mlekiem czy bez, moja świadoma arogancja nie wprawiła go jednak w zakłopotanie, przyjął odpowiedź do wiadomości, dając mi jednocześnie do zrozumienia, że w żaden sposób nie jest w stanie za mnie wybrać, prawo do podjęcia decyzji należy tylko i wyłącznie do mnie, na cokolwiek się zdecyduję, on będzie musiał to zaakceptować, i w tej swojej aprobacie nie będzie ani unizony, ani obojętny, najwyżej w jakiś nieokreślony, choć zawstydzający mnie sposób da wyraz swojej gotowości, by spełnić każde moje życzenie, jak też temu, że liczy się z każdym moim niezrozumiałym dla postronnych kaprysem; tłustymi palcami

odsłonił serwetkę w koszyku pełnym chrupiących bułeczek i w tym samym momencie, w którym zapraszająco obrócił ku mnie znajdujące się w cukiernicy szczypcę do cukru i podał mi filiżankę z herbatą, natychmiast ulotnił się z pokoju, sam nie wiem jak, nie słyszałem nawet głosu jego oddalających się kroków, wyszedł, uznawszy pewnie, że już go nie potrzebuję.

Ja tymczasem nikogo w tamtej chwili nie potrzebowałem bardziej jak właśnie jego.

Kiedy wypilem pierwszy łyk gorącej herbaty i podniosłem wzrok znad filiżanki, znów był w pokoju, w wielkim wyplatany koszu przyniósł drewno na opał, uklęknął przed białym kafłowym piecem, tak jednak, by nawet wówczas, gdy czyści piec i rozpala ogień, nie siedzieć do mnie tyłem, bym widział jego profil, by połową ciała cały czas mógł być na moje usługi, bym mógł zostać sam, kiedy mam takie życzenie, albo żeby on mógł natychmiast zareagować na mój pierwszy znak, gdybym tylko czegoś potrzebował.

Bułeczki były ciepłe i pachnące, na kulkach masła ułożonych na liściach morwy błyszcząły krople wody, a kiedy łokciem lekko potrąciłem stolik, zobaczyłem drżenie pełnej drobnych pesteczek przezroczystej galaretki z malin.

Gdyby moje dzieciństwo nie pozostawiło we mnie niemiłych, ponurych wspomnień, gdyby osoba matki nawet we wspomnieniach nie była daleka i zimna, pomyślałbym, że ta scena wzbudziła we mnie pamięć niegdysiejszego poczucia bezpieczeństwa, że zapach bułeczek przywodził na myśl uładzony porządek świata, a prawdziwość parującej herbaty, żółtego masła i drżącej galaretki z malin kazały uwierzyć, że nawet kiedy obudzimy się z najbardziej koszmarne snu, świat, w którego środku siedzimy w łóżku ogrzanym ciepłem naszego ciała, nie tylko trwa niewzruszenie w swoich niezmiennych prawach, ale jest silny i potężny, zaspokaja nasze potrzeby, gusta i pragnienia, drzewem lasów ogrzewa nasz pokój, nie dając żadnego powodu do niepokoju, obaw czy strachu, z drugiej zaś strony, może właśnie dlatego, że już w dzieciństwie wiedziałem, jak kruchy, fałszywy i pozorny jest ten porządek, a później własnym staraniem odnalazłem ludzi, którzy nie tylko byli gotowi zdemaskować owe pozory, ale ich nieskrywanym celem było po prostu skończyć z wszelkim fałszem, stworzyć coś rzeczywiście i prawdziwie pewnego, nawet za cenę zburzenia obecnego fałszywego porządku, za cenę krwi, by potem zbudować z ruin prawdziwy, odpowiadający ich wewnętrznej potrzebie świat, tak więc podczas gdy moje oczy, język i usta z upodobaniem rozkoszowały się niewzruszenie staroświeckim porządkiem mijającego poranka, mój mózg, zachowując właściwy dystans, śledził te dziecinne radości, a ja nagle poczułem się bardzo, bardzo stary.

Rozbielona światłem poranka sypialnia była bowiem o lata świetlne od pokoi z tamtych dawno minionych lat, mrocznych pokoi mojej młodości, które w sekretnym towarzystwie Clausa Diestenwega wypełniałem myślami o nowym porządku i zburzeniu znieawidzonej przeszłości, a jednocześnie tak blisko, rozmyślałem, pokoi mojego nigdy nieprzeżytego w czystej postaci dzieciństwa.

Jedna jedyna chwilowa zmiana nastroju, a różny czas, mówiąc słowami poety, może się w nas splątać.

Jak gdyby ten, który teraz, lekko rozczarowany, półprzytomny ze snu i pełen niefrasobliwego spokoju, leży tu w łóżku i pije gorącą herbatę, zmagął się nie z trzema następującymi po sobie etapami własnego życia, lecz z wydarzeniami należącymi do trzech żyć trzech różnych osób.

W drzwiczkach pieca pojawił się kłęb dymu, po chwili buchnął płomień, malując czerwienią twarz kamerdynera i tam wyżej płonąć czerwienią jego rudej czupryny.

Kamerdyner mrużył łzawiące od dymu oczy, przecierał je dłonią i patrzył w oczyszczający

ogień.

– Jak masz na imię? – zapytałem cicho z łóżka.

– Hans – odpowiedział i jak gdyby zapominając o swych obowiązkach, nie odwrócił się do mnie.

– A na nazwisko?

Cieszyłem się z obecności służącego, choć z perspektywy mojego drugiego życia powinienem był się wstydzić.

– Nazywam się Baader, szanowny panie – odpowiedział swoim dawnym głosem, całkiem różnym od tego przed chwilą.

– A ile masz lat?

– Osiemnaście, proszę pana.

– Więc proszę cię, Hans, złóż mi życzenia, dziś rano skończyłem trzydzieści pięć.

Służący podniósł się z podłogi.

Uśmiechnął się, jego migdałowe oczy zniknęły w dziecińczych poduszczykach miękkich policzków i powiek, nad mocnymi jak u zwierzątka zębami błysnęły przypominające surowe mięso różowe dziąsła, które u rudowłosych zawsze zadziwiająco harmonizują z kolorem skóry i włosów; przyjaźnie, jak gdybym był równym mu wiekiem kolegą, jak gdybym stał obok niego, a on z radości boksowałby moją pierś pięściami, wyciągnął ku mnie ramię, ale gest ten był tak niewyważony i niepotrzebny, że wprawił go w zamieszanie, cały poczerwieniał, oblał się rumieńcem i nie potrafił wydusić z siebie ani słowa.

– Mam dziś urodziny.

– Gdybyśmy wiedzieli, szanowny panie Thoenissen, złożylibyśmy panu życzenia, ale w takim razie ja wieszczę panu wszystkiego najlepszego! – powiedział i uśmiechnął się, jednak ten uśmiech nie był adresowany do mnie, a raczej był oznaką radości, że tak zręcznie udało mu się wybrnąć z niefortunnej sytuacji.

A potem znów zapadło milczenie.

I kiedy w tej bezwładnej ciszy podziękowałem mu za życzenia, coś pomiędzy nami zaiskrzyło, zaczęło się to, czego od samego początku się spodziewałem, oczekiwałem, o co się starałem, bo moje podziękowania nie dotyczyły tych wymuszonych i przecież śmiesznych życzeń, ale jego doskonałych umiejętności, które tak mnie rozrzewniły.

Stał jakiś czas bez słowa, ze spuszczoną jak należy głową, ja leżałem nieruchomo i na niego patrzyłem.

Kiedy zapytał, czy może przynieść wodę, skinąłem, że tak, może iść.

Tu była granica, a za nią rozpościerało się zakazane imperium, którego linii demarkacyjnej nawet w myślach nie mogłem z nim przekroczyć, z drugiej strony pomiędzy nami coś się skończyło, prysła poufała bliskość wymuszona okolicznościami tamtej chwili, nie mogło być mowy o żadnej wspólnotce, przecież to ja byłem panem, a on sługą, więc musiał się bronić i uciekać do zręcznych posunięć, i najprawdopodobniej to wszystko tak samo napawało go wstrętem, jak i wprawiało we wzruszenie, a to już nierówność w zupełności wystarczająca, by zniszczyć czystą grę bliskości; to była próba, chciałem w nim dotknąć czegoś, co nie miało związku z odgrywanymi przez nas rolami, tyle że ja nie miałem nic do stracenia, z powodu mojej wyższości moje doświadczenie było w tym przypadku poniżające także dla mnie, nie potrafiłem jednak oprzeć się pokusie, rozkoszowałem się własną przewagą i jego podległością, tym, że pełniąc funkcję sługi, musi wykonywać moje polecenia, co więcej, w jego poniżeniu rozkoszowałem się własnym poniżeniem, nie mówiąc o tym, że cała sytuacja była mi bardzo na

rękę, ta historia działa się już poza mną i nie można było jej zatrzymać.

Kiedy stał w rozkroku nad moimi rozłożonymi udami i chropowatą, pachnącą jeszcze morzem gąbką mydlił mi twarz, delikatnymi, kolistymi ruchami palców rozcierał krem do golenia, by sztywną pianą pokryć zarost, nasze ciała uwodzicielsko zbliżyły się do siebie, drugą ręką bowiem musiał mi przytrzymywać, utrzymywać w jednej pozycji głowę, opierając rękę na moim karku i czole, ja zaś z tych ruchów musiałem odczytać jego życzenia, musiałem go obserwować i mu pomagać, czasami jego kolano dotykało mojego kolana, całą uwagę skupiał na mojej twarzy, a ja wodziłem wzrokiem za każdym jego ruchem; wstrzymał na chwilę oddech, i ja też, żebyśmy nie dyszeli sobie w twarz, ale poprzez ten wstrzymywany oddech to, co działo się między nami, tylko wezbrało na sile, by sięgnąć zenitu w momencie, kiedy zakończywszy wreszcie przygotowania, wyciągnął z futerału brzytwę w kościanej oprawie i przejechał nią kilka razy po rzemieniu, wreszcie, stając znów pomiędzy moimi nogami, wskazujący palec oparł na mojej skroni, naciągnął lekko skórę, by pozostała napięta pod ostrzem brzytwy, i spojrzał mi w oczy.

W końcu zdecydowanym ruchem przeciągnął brzytwę po lewym policzku, golony zarost wydawał lekki trzask, mnie zaś wręcz rozbawiło moje zdenerwowanie, jakkolwiek bowiem z chęcią poddajemy się temu zabiegowi, początkowo z wielkim spokojem, to strach o własną skórę ściska w skurczu mięśnie policzków, chcemy widzieć, czy ręka golącego się nie zatrzymała, czy nas nie zaciął, oczy wychodzą nam z orbit, ale przecież nie wolno okazać braku zaufania, przeszkadzając w pracy, jedynie zwiększylibyśmy niebezpieczeństwo, sami moglibyśmy stać się przyczyną małego wypadku, który tak samo dla nas, jak i dla golącego byłby nieprzyjemny; kiedy bowiem ktoś zrani nam skórę, spod maski napięcia, uwagi i intymnej bliskości ciał wynurzy się nagle nieposkromiona nienawiść, on będzie nas nienawidzić za to, że nasza skóra tak głupio i nieprzewidywalnie wystawiła na pośmiewisko jego doświadczenie, włoski zarostu skręcają się spiralnie, brzytwa utyka na niewidzialnym gołym okiem zgrubieniu skóry albo na wypukłości wyprysku, my zaś nienawidzimy go za nieudolność, a zwłaszcza za to, że tak nieopatrznie oddaliśmy się w jego ręce, tę wzajemną nienawiść wzmacniać będzie tylko odbity w lustrze widok naszej twarzy obficie ociekającej krwią, na którą patrzymy, ale musimy udawać, że taki drobiazg nie ma dla nas najmniejszego znaczenia, on, płonąc ze wstydu, zacznie pogwizdywać i pozornie swobodnym, choć tak naprawdę wściekłym gestem chwyci do ręki ałun; na razie jednak nic złego się nie wydarzyło, po ruchu, jakim zbierał pianę palcem wyprostowanym na brzytwie i strząsał ją do miseczki, można było domniemywać, że ma doświadczenie, obrócił głowę i kiedy podszedł bliżej, mój nos nieomal dotknął jego wykrochmalonej jak pancierz koszuli, on zagłębił kolana w moim kroczu i tak samo zdecydowanym ruchem jak poprzednio ogolił mi prawy policzek; mimo jego fenomenalnej zręczności, doświadczenia i niezbędnej, wręcz chirurgicznej determinacji cyrulika, skóra moich policzków do końca pozostawała boleśnie napięta, czułem drżenie całej twarzy, a przecież najtrudniejsze miejsca były dopiero przed nami, skomplikowana powierzchnia brody, no i grdyka, nie wspomniawszy o tym, że kiedy tak wymachiwał i smagał brzytwą, nie raz przemknęło mi przez myśl, że może obciąć mi ucho albo nos, słyszy się o takich strasznych przypadkach!, mnie jednak, kiedy wywracając oczyma, patrzyłem na niego z dołu, mimo pociągającego czaru siły i młodości, jego twarz wydawała się zbyt rozlazła, jej nadmierna miękkość widoczna była właśnie, gdy patrzyło się na nią z dołu; na skórze, pod którą można było domyślać się białych pokładów tłuszczu, lekko czerwienił się rudawy puszek, nigdy nie będzie musiał się golić, stwierdziłem z zadowoleniem, nie będzie miał zarostu, jak eunuch, już

to widać; miał duże dziurki w nosie i zalotnie wykrojone piękne usta, pracując mozolnie przy mojej brodzie, zagryzał dolną wargę, za kilka lat pewnie wyhoduje drugi podbródek, pomyślałem, roztyje się, będzie sapać pod ciężarem własnego wielkiego cielska, i kiedy moja grdyka rozkoszowała się łaskotliwym dotykiem, on, naciągnawszy skórę na jabłku Adama, gładko i groźnie pociągnął brzytwą, ja niepostrzeżenie uniosłem do góry rękę, choć przecież czekałem na to, że tam dotrze, czekałem, i wtedy, jak gdyby ze strachu, nie poruszając głową ani ciałem, położyłem dłoń na jego umięśnionym udzie.

Gładkie pęczki mięśni były twarde, niesamowicie silne, moja dłoń ginęła w nich, wydawała się słaba i bezradna, chwyciłem dłonią jego udo, jednak ten dotyk nie tylko nic nie mówił o jego wnętrzu, ale nie pozwalał nawet zbliżyć się do jego powierzchni, jak gdyby powierzchnia, której dotykałem, była warstwą przykrywającą to, co prawdziwe, jakby była pancerzem, przebraniem, twardym i nieczułym, mógłbym pomyśleć, gdybym w ogóle coś pomyślał, tak samo w jego oczach, na jego ustach, w rysach jego pochylonej nade mną twarzy, w jego ciele nie wyczuwałem żadnej odpowiedzi, ani zakłopotania, ani akceptacji, ani odmowy, jego twarz, skóra i mięśnie pozostawały tak samo obojętne jak wszystkie dotychczasowe gesty, ja tymczasem chciałem przywłaszczyć sobie tę okrutną obojętność, to ja reagowałem na niego, a nie on na mnie, on nic nie czuł i jak gdyby nic nie rozumiał, wyrażając się ściślej, nie miał co czuć i nie miał co rozumieć.

Choć wypowiadać takie sądy jest czymś bezsensownym, to muszę przyznać, że nigdy, ani wcześniej, ani później, nie uczyniłem głupszego gestu.

Który dlatego był całkiem pozbawiony sensu, że wraz z nim dotarłem na szczyt, czyli do głębi moich pragnień.

Nie mogłem cofnąć ręki, gestu raz uczynionego nie można było unieważnić, tymczasem nic nie czułem, mimo że trzymałem tam rękę, on zaś krzątał się przy mojej szyi, tak bardzo niczego nie rozumiejąc, jak gdyby ten mój gest zdarzył się jedynie w mojej wyobraźni i nie mógł go fizycznie dosięgnąć.

Wcale nie sprawiłoby mi przykrości, gdyby brzytwa przecięła mi gardło.

Z ledwie słyszalnym zgrzytem przecięła kruchą chrząstkę grdyki.

Tak czekałem na znak, który coś wreszcie zdradzi, że nie mogłem zamknąć oczu.

Żeby strząsnąć pianę, która zbierała się na opuszkach palców, pochylił się na bok i w ten sposób zabrał udo spod mojej dłoni.

Moja osierocona dłoń, dziwny kikut stanowiący jednak część mojego ciała, zawisła pusta w powietrzu.

Zmoczył gąbkę w wodzie, ramieniem podparł moją głowę i obmył mi twarz.

Wreszcie mogłem zamknąć oczy.

– To jest przeklęte miejsce, szanowny panie! – usłyszałem w ciemnościach jego głos.

Ale nim otworzyłem oczy, już zdążył się odwrócić, by wrzucić gąbkę do miski, i nie pojawił się żaden znak, który by coś zdradzał.

– Wodę po goleniu? – zapytał cicho.

Nie było w jego głosie chęci urażenia mnie ani wyrzutu, jego bezbłędne zachowanie wprowało mnie w dobry humor, a moją próbę we dwoje mogliśmy wspólnie umieścić w wielkim śmietniku daremnych wydarzeń.

– Poproszę.

Przyszło mi jednak na myśl, że to, co powiedział, mogło być ukrytą aluzją do nocnych hałasów, wrzasków i pisków, które zbudziły mnie z pierwszego snu, i że może ma jednak z nimi

coś wspólnego.

I że nie dotknąłem go moim gestem, i że nie był on tak całkiem daremny.

Jedną dłonią chwycił mnie za potylicę, mały palec zatrzymawszy na szyi, a pozostałe zagłębiając we włosy, drugą dłonią wtarł mi płyn w policzki.

Potem chustką powachlował mi twarz, żeby alkohol szybciej wyparował, w takiej chwili ogarnia nas to szczególne poczucie świeżości, i po długiej przerwie znów spojrzeliśmy sobie w oczy.

Wiedział swoje, i niech to miejsce będzie choćby przeklęte, drobne wydarzenie, któremu dla próby poddałem nas obu, uczyniło miejsce moich wspomnień nadzwyczaj mi bliskim, jak gdyby mówiło, że się nie myliłem, w jego wzroku malowała się obojętność, tak, to będzie moje miejsce, w piecu radośnie buzował ogień, ledwie mogłem się doczekać, żeby zabrał swoje przybory i wyszedł, rozgorączkowany chciałem rzucić się na mój czarny neseser, otworzyć zamki i natychmiast rozłożyć na pustym biurku wszystkie notatki, by bezzwłocznie przystąpić do pracy, ale gorzkie doświadczenia przestrzegały mnie przed takim nadmiernym pośpiechem, to nie takie proste, jak byśmy chcieli, lepiej zwolnić tempo, a pianę napięcia powoli zebrać ze zmysłowej kipieli, poczekać, aż się uspokoi, choć tu żadna chwila nie jest odpowiednia!, i wreszcie kiedy zamknął za sobą drzwi, podszedłem do okna, odsunąłem białe firanki i ochłonałem, wpatrując się w cudowny widok za oknem.

Miałem jeszcze godzinę do chwili, kiedy dźwięk dzwoneczka na dole zaprosi gości do stołu.

Łśniło czyste jesienne niebo, smukłe modrzewie stały w parku nieporuszone, północny wiatr już niemal się uspokoił i choć nie widziałem z okna morza ani nabrzeżnej promenady, ani domu zdrojowego, ani szerokiej drogi prowadzącej do stacji, ani grobli, ani moczarów, ani lasu, wydawało mi się, że wszystko to, co ważne i bolesne, mam na wyciągnięcie ręki.

Na tarasie wyłożonym mozaiką leżało kilka liści.

Był tu, więc mogłem sobie pozwolić, by uciec do mojej wymyślonej opowieści.

I o wszystkim zapomnieć.

Czy jednak lekkość, którą odczuwałem, nie wzięła się stąd, że uwolniwszy się od narzeczonych, mogę mamie się niemożliwą do spełnienia, cudowną nadzieją, że jest tu obok mnie oddany sługa, którego w każdej chwili mogę przywołać, ale czy w ten sposób nie znalazłem się znów pomiędzy dwiema osobami?

A gdzie się podziała moja upragniona samotność?

Ta myśl, niemile łącząca ich dwoje, przyprawiła mnie o skurcz żołądka.

Są ze mną, nawet kiedy jestem sam.

Mimo to nie opuścił mnie dobry humor, wręcz przeciwnie, byłem jak ktoś, kto nagle spojrzął na własne ciało oczyma obcej osoby i zadowolony go jego proporcje; nie w tym rzecz, by nie widział wad i niedoskonałości, dostrzegłszy je wszystkie, zrozumiał jednak, że żywą formę zawsze tworzą związki szczegółów rodzących się w niemożliwych do powtórzenia procesach, że to, co niedoskonałe, też ma swój porządek, i na tym polega jego doskonałość, że doskonałością jest działanie i doskonałością jest istnienie, że doskonały jest niezmienny porządek zaburzonych proporcji, i skoro do dziś, do dnia moich trzydziestych piątych urodzin, dlaczego akurat do tej zagadkowej rocznicy?, odkąd sięgam pamięcią, odkąd myślę i odkąd świadomie odczuwam funkcjonowanie mojego ciała, zawsze cierpiałem z tego powodu, że zostałem wtłoczony pomiędzy dwie rzeczy, dwa zjawiska, dwie różne osoby, jak pomiędzy dwa młyńskie kamienie!, takie uczucie towarzyszyło mi już w najwcześniejszym dzieciństwie, kiedy podczas popołudniowych spacerów po nabrzeżnej promenadzie czułem, że moje niepodzielne przecież

ciało dzieli się pomiędzy ciało mojej matki i ciało mojego ojca, a ja, choćby byli wobec siebie wrodzy i pełni nienawiści, bo nie umieli dać sobie szczęścia swoimi ciałami, czułem się z nimi tożsamy, chciałem być z nimi tożsamy, nie umiałem i nie chciałem podzielić się pomiędzy nich, nawet jeśli chcieli podzielić mnie pomiędzy siebie, i w jakimś sensie byłem między nich podzielony, ani moje rysy, ani sylwetka, ani charakter nie określały jednoznacznie, do którego z nich jestem podobny, może naraz do nich obydwójga, a może do kogoś więcej niż oni obydwójga, do nieskończonej liczby osób, w uproszczeniu mogę powiedzieć, że byłem podzielony pomiędzy ich dwoje i jednocześnie z nimi dwojgiem tożsamy, przecież byłem podobny do wszystkich moich zmarłych przodków, do dziś żyjących w moich cechach, rysach i ruchach, teraz jednak niewysłowionym szczęściem napawał mnie fakt, że te dwie tak dalekie sobie osoby w tak przedziwny sposób znalazły się we mnie obok siebie, jak więc miałem zdecydować, pragnąć czy wpłynąć na to, co mi wolno, a czego mi nie wolno, jeśli nie wiem, co skąd pochodzi, jak mam podzielić w sobie to, co przecież jest niepodzielne?, wszystko mi wolno!, stanę się zatwardziałym anarchistą!, i to wcale nie dlatego, że w młodości przez przypadek znalazłem się wśród nich i że tych lat nie da się tak po prostu wymazać z życia, nie znalazłem się pośród anarchistów wiedziony szczytnymi celami czy intelektualnymi ideami, lecz dlatego, że zawsze czułem się anarchistą wierzącym jedynie w ciało, Bóg istnieje tylko poprzez ciało, i w chwili, kiedy czuję nieskończone bogactwo moich możliwości, moje ciało może zostać zbawione tylko przez gest drugiego człowieka.

A wasza moralność nic mnie nie obchodzi.

We śnie, w którym śniłem o łonie mojej narzeczonej i pokrytej smołą ścianie pisuaru, rzeczywiste udo kamerdynera nie było frywolną przygodą.

Później, kiedy wszedłem do jadalni i nagle oślepiło mnie przedpołudniowe słońce, roziskrzone, odbijające się w szkle, lustrach, srebrach, porcelanie i rzecz jasna w oczach gości, we wszystkich moich członkach poczułem nową siłę, przyjemny spokój, przewagę, którą dawał mi mój bunt, i cieszyłem się, że mogę się nimi podzielić, że bogatszy o nie mogę spojrzeć innym w oczy, a za oknami jest morze, jeszcze ciemne po nocnej wichurze, jeszcze wzburzone, ale już powoli cichnące.

Jeżeli w ogóle coś mnie interesowało, to tylko ohydna niemoralność tego przeklętego Boga.

I nawet cieszyłem się z tego, że muszę przestrzegać znienawidzonych form towarzyskich, bo patrząc na nich wszystkich z góry, świadom mojej wyższości, odzyskałem własne ciało.

Niewysłowienie piękny wydał mi się łaskawy fałsz, że ja, który jeszcze przedwczoraj kochałem się z narzeczoną na dywanie, a przed chwilą ścisnąłem udo kamerdynera, teraz bezkarny, z uprzejmym uśmiechem na ustach, stoję tu w otwartych drzwiach jadalni, lekko oślepiiony słońcem, a szef hotelu, wesoły, tęgi, łysawy mężczyzna, nie kto inny, jak syn niegdysiejszego właściciela hotelu, tak, on, który kiedyś wraz z małym hrabią Stollbergiem rozwalał na plaży nasze zamki z piasku, a że był od nas trochę starszy, kiedy się buntowaliśmy, dawał nam nieźle popalić, teraz głośno i uroczyście, jak ojciec rodziny, przedstawił mnie całemu towarzystwu, ja zaś, obracając się na wszystkie strony, witałem ich skinieniem głowy, zważając, by nikogo nie pominąć, a oni, bacząc na to, by ich wytworne spojrzenia nie zdradzały zaciekawienia, odwzajemniali moje skinienia.

Do śniadań i do kolacji, podczas których każdy mógł do woli wybierać potrawy, nakrywano długi stół, co miało podkreślać swobodną, rodzinną atmosferę tych posiłków, inaczej niż przy obiedzie podawanym o piątej po południu, kiedy uroczyście, w mniejszych grupkach



zasiadaliśmy do oddzielnych stolików, nie trzeba było czekać, aż zejda się pozostali goście, każdy, kiedy już usiadł do swojego stolika, mógł z pomocą uwijających się wokół kelnerów rozpocząć obiad, pod tym względem nic się od dwudziestu lat nie zmieniło, nie zdziwiłbym się nawet, gdybym przy tym stole spotkał moją matkę, radcę rządowego Petera van Fricka, mojego ojca i pannę Wohlgast, ta sama misternie zdobiona zastawa dźwięczała na talerzach z błękitnoniebieskimi obwódkami w kwieciste wzory, choć od tamtego czasu pewnie stłukło się ich wiele, na stołach w takim samym artystycznym nieładzie stały ciężkie srebrne półmiski, na których piętrzyły się najrozmaitsze potrawy ułożone w górzystą mapę apetytu i smaku, jędrne różyczki bladezielonych karczochów zanurzonych w kwaskowatym oleju, czerwony homar wyglądający z pancerza, różowy, przeźroczysty łosoś, połyskujące tłuszczem plastry szynki i jasna, pieczona cielęcina, faszerowane jajka z kawiozem, chrupka endywia, pokrojony w paseczki, uwędzony na złoto węgorek ułożony na wilgotnych liściach sałaty, uformowane w kulki i słupki pasztety z dziczyzny i leśnych grzybów, morskich ryb oraz drobiowych wątróbek, śliczne małosolne ogóreczki i ciężkie, pełne dziur kawałki holenderskich żółtych serów, niebieski sandacz w galarecie, sosy w małych miseczkach i sosjerkach, śmietanowe, cierpkie, słodkie i ostre, stopy pachnących ciepłych grzanek, owoce w piętrowych muszlach z kryształu, najprzeróżniejszej wielkości i gatunku raki, soczyste, zrumienione na czerwono przepiórki i skwierczące jeszcze od gorącego tłuszczu, ostro przyprawione kiełbaski, pigwa nadziewana włoskimi orzechami, której w dzieciństwie nigdy nie mogłem najeść się do syta, no i te zapachy wypełniające całą jadalnię, najrozmaitsze perfumy, wody kolońskie, pomadki oraz pudry rozsiewające woń przy każdym ruchu, harmonijna muzyka brzęku, stukotu, chlupania, skrzyphu, trzasku, dźwięku mknących naczyń, w górę i w dół, wśród raz głośniejszych, a raz cichnących, strzelających w górę albo ginących w głębinach gwarów, śmiechów, westchnień, fukań, chichotów i szeptów; kiedy więc w takim wyreżyserowanym chaosie spróbujemy odnaleźć punkt zaczepienia, czujemy się jak człowiek, który rzucił się do lodowatej rzeki, ugrzeczniony uśmiech szyderczo zastyga na ustach, wzrok mętnieje, daje o sobie znać siła woli, konieczna, żeby wydobyć się z ciepła samotności i tak nawiązać kontakt z otoczeniem, by był on pozbawiony jakichkolwiek konsekwencji, wiadomo bowiem, że tutaj może stać się wszystko, nawet jeśli towarzyska umowa z góry wyklucza, by było to coś ważnego; nigdy nie odczuwałem miłszej i jednocześnie bardziej nieprzyjemnej teatralności życia, rzeczywistości wyżyn i meandrów fałszu, szlachetnego przymusu kłamania, niż właśnie tutaj, gdzie wszyscy są podobnie uprzejmi i tajemniczy, a my dla nich niezrozumiali, nieosiągalni i nieokreśleni w swoich próbach ciągłego ataku i obrony, po których, kiedy już zostaniemy sami, czujemy się wyprani ze wszystkiego, zmęczeni i niepotrzebni, a jednocześnie dobrotliwie nieodpowiedzialni, bo tajemny nakaz naszych skłonności sprawił, że wydarzyło się to wszystko, co w rzeczywistości wcale nie miało miejsca.

I jakkolwiek bezbłędnie udałoby się to nasze *entrée*, zawsze towarzyszyło mu niemiłe uczucie, które w takich chwilach wyrasta niczym przeszkoda nie do pokonania, poczucie głębokiego zażenowania, niech to będzie nasza sylwetka czy nasz ubiór, nawet jeśli z największą dbałością ukryliśmy się pod osłoną garnituru, nagle, gdy szukamy dla siebie miejsca wśród innych, przestraszeni, że nie zdołamy go znaleźć, nasze ciało wydaje się nam nieforemne, brzydkie, zwyczajnie odpychające, nogi i ręce zbyt krótkie lub zbyt długie, pewnie dlatego, że chcielibyśmy, by było zgrabne, ładne i pociągające, a może nawet doskonałe, ale powodem naszej frustracji nie jest wcale ciało, lecz źle dobrany, niemodny albo zbyt modny garnitur, za ciasny kołnierzyk, zbyt krzykliwy w swoim kolorze krawat lub przyciasna kamizelka, spodnie

wcinające się w pośladki, nie wspomniawszy o dających o sobie mocno znać zewnętrznych oznakach naszych emocji, pocie występującym na czole, nad ustami, na plecach, w spoconych pachach, schrypniętym głosie, mokrych dłoniach czy żołądku buntującym się przeciw tym wszystkim towarzyskim konwenansom, w którym na przykład zaczyna głośno burczeć, czy w jelitach, które właśnie w takich chwilach chciałyby pozbyć się swoich wonnych gazów; no i oczywiście w takim towarzystwie zawsze musi znaleźć się ktoś, czyja obecność jest nam nie na rękę, przed kim chcielibyśmy, porzucając zdrowy rozsądek, wyjawić nasze prawdziwe, pełne wrogości albo miłości uczucia, ale to wszystko musimy zatrzymać dla siebie, tak samo jak gazy, które nie mogą opuścić dolnej części naszego ciała, bo na tym przecież polega gra, żeby nic, co prawdziwe, nie zostało pokazane, a jednocześnie ukazywało się jako czarująco rzeczywiste.

Może to łaskawe zrządzenie losu, że trzeba natychmiast, z uśmiechem na ustach, rozpoczynać konwersację i nie ma czasu na grzebanie się w podobnych szczegółach.

Jak gdyby tkwiła nam w odbycie potężnych rozmiarów gruszka, którą musimy utrzymać w miejscu pracą sprawnych zwieraczy, by ani jej nie wciągnąć głębiej, ani nie wypuścić; przysięgam, że tak właśnie czuję się w towarzystwie, i podejrzewam, że ze wszystkimi innymi jest podobnie, jakbyśmy w skurczu napiętych pośladków wzajemnie odczuwali swoją obecność, co jednakowoż wydaje się rzeczą nieprzystojną nawet dla najbardziej bezwstydnym z nas.

Kiedy kelner, ubrany w zielony frak, taki sam, jaki miał na sobie kamerdyner, zaprowadził mnie na moje miejsce, z zaskoczenia nogi niemal wrosły mi w ziemię, przy stole bowiem zobaczyłem dwie damy, z którymi jechałem w jednym przedziale.

Nie miałem jednak czasu, by okazać moje zdziwienie, moje dwie towarzyszki już były pogrążone w rozmowie, kiedy usiadłem obok nich, musiałem rozejrzeć się wokół, co oznacza, że nim zabrałem się do jedzenia przy wspólnym stole, musiałem wszystkim zaprezentować moją twarz i oczy, pozwolić im się dokładnie obejrzeć i jakoś przetrwać ten nad wyraz krytyczny czas.

Mężczyzna siedzący po mojej prawej stronie, którego powierzchowność, białe, prawie całkiem siwe włosy, jędrna, młodzieńcza, ogorziała skóra, czarne, krzaczaste brwi, gęste wąsy nad mięsistymi wargami, ogniste spojrzenie piwnych oczu, natychmiast przykuła moją uwagę, choć czułem, że byłoby lepiej, gdybym siedział nie obok niego, ale naprzeciw, z lekko obcym akcentem zapytał, czy przyjechałem wczoraj, podczas tej strasznej wichury; w pierwszej chwili można było odnieść wrażenie, że mówi w jakimś nieznanym dialekcie, i dopiero kiedy powiedział, że przez ten szalejący wiatr wszyscy skarżą się na bezsenność, co jest zrozumiałe, bo wichura, zwłaszcza nad wodą, w górach jest inaczej, wie z doświadczenia!, źle wpływa na system nerwowy, sprawia, że człowiek staje się pobudliwy i podminowany, odbiera równowagę i skłania do szaleństw!, zauważyłem, że nie mówi w swoim ojczystym języku i niepoprawnie stosuje zasadę zgodności czasów.

„Ale tym przyjemniej jest, wstając rano, zobaczyć takie piękne błękitne niebo! Czyż nie jest cudowne?”, odezwał się siedzący po mojej lewej stronie gość, mówił z pełnymi ustami i podsuwając mi pod nos nabitą na widelec krewetkę, dodał, bym źle go nie zrozumiał, nie ma najmniejszych zastrzeżeń do tutejszej kuchni, jest doskonała, wręcz znakomita, ale on gustuje w prostych potrawach, żadnych sosów i przypraw!, i jeśli mam apetyt na coś naprawdę wyśmienitego, powinienem uczynić nie inaczej, jak pójść w jego ślady, krewetki są świeżutkie, mięsiste, chrupiące i smakowite, każdy kęs to czysta rozkosz!, i smak morza na języku.

Doskonałe, znakomite, pomrukiwał raz po raz, ale chyba nie mówił do mnie, lecz do unoszonych na widelcu kąsków, jakkolwiek bowiem szybko, entuzjastycznie i zapamiętałe pochłaniał jedzenie, z jaką rozkoszą i mlaskiem gryzł oraz rozcierał w zębach smakowitą papkę,

wydawało się, że nie potrafi do końca zaspokoić tęsknot swego języka, i aby upewnić się w tym, co czuje, czy czego doskonałości nie potrafi odczuwać w takim stopniu, jak by sobie tego życzył, komentując na głos, odnajdował doskonałość smakowych doznań; na jego talerzu i wokół niego piętrzyły się stosy ogryzków, skórek, kosteczek, ości, jak później miałem okazję obserwować, mimo iż zabawnej gorliwości kelnerów to właśnie przy nim panował największy bałagan, ciągle coś wylewał, przewracał, czymś chlapał, coś mu wyciekało, od gwałtownych ruchów serwetka zsuwała mu się na kolana, czasami musiał wydostawać ją spod stołu, i nie tylko obrus, ale nawet jego czarna, zapewne farbowana, kozia bródka, szerokie klapy wysoko zapiętego surduta i nie pierwszej czystości krawat też były pełne okruszyn, on jednak nic a nic się tym nie przejmował, i tylko większe wpadki, na przykład wyslizgujący się spod noża, unurzany w sosie kawałek mięsa, komentował przepaszającym gestem, nie zaprzestając bezustannej paplaniny, z rozkoszą przeplatał zdania miłskanie i gryzienie, kiedy przełykał, jabłko Adama podskakiwało w górę i w dół po wygolonej szyi, ale jego twarz pozostawała nieruchoma, poważna i pełna napięcia, skóra pokryta zmarszczkami niby łuską była niezdrowo blada, a głęboko osadzone, przerażone oczy nerwowo latały w cieniu oczodołów.

Przy stole siedziało może dwadzieścia osób, miejsce nakryte naprzeciw mnie było jeszcze puste.

Młodsza z dwóch kobiet jadła w rękawiczkach, co oczywiście nie mogło pozostać niezauważone, i kiedy spojrzałem na te nienaturalnie obcisłe białe rękawiczki, poczułem bliską omdlenia słabość, tak jak poprzedniego dnia, kiedy w przedziale bez ogródek zdradziła tajemnicę swoich dłoni.

Starannie rozłożyłem serwetkę na kolanach, choć wiedziałem, że nie mam ochoty na obfity posiłek; na twarzy, oczach, garniturze i krawacie czułem ich ostrożne spojrzenia.

Zwróciłem się do siwego mężczyzny siedzącego po mojej prawej stronie – który zresztą nie mógł być ode mnie wiele starszy, choć był barczysty, miał grubą szyję i muskularne ciało, a na sobie jasnobrązowy garnitur z miękkiej wełny, doskonale dobrany do ogorzałej skóry, trochę jaśniejszą marynarkę i jasną koszulę w paseczki, taki strój modny był w owym czasie do noszenia w dzień – że tej nocy ja także nieprzyjemnie odczułem burzę, o której był łaskaw wspomnieć, dziwnym zbiegiem okoliczności zbudził mnie jakiś krzyk czy wrzask, sam nie wiem, powiedziałem, ale całkiem niewykłuczone, ciągnąłem z zaskakującą mnie samego szczerością, chyba spowodowaną jego budzącą zaufanie twarzą, że nikt nie krzyczał, a ten głos rozlegał się tylko w moich nocnych koszmarach, słowem: zgadzam się z tymi wszystkimi, którzy skarżyli się na bezsenność, choć jak wiemy, pierwsza noc w nowym miejscu zawsze jest trudna; ale on wtedy już na mnie nie patrzył, wydawało mi się, że nawet nie słyszy, co mówię, w jego umiejętnie odgrywanym roztargnieniu było coś z belfra, coś z wyuczonego milczenia osób, które, przekonane o swojej wyższości, nieomyślności i znajomości życia, ważą każdy gest, każde słowo czy nawet milczenie, skłaniając nas do tak zwanej zupełnej otwartości, pochlebającego im zaufania i szczerości, do tego wszystkiego, co poprzez naszą słabość umacnia ich w poczuciu kruchej przecież władzy; tymczasem siedzący z lewej strony mężczyzna ze znajomością rzeczy rozprawiał o sposobach peklowania i wędzenia szynki, a że na ten temat nie miałem nic do powiedzenia, by nie powtórzyć raz już popełnionego błędu i sprawić mu przyjemność, nałożyłem sobie krewetek.

Starsza z kobiet, którą rozpoznałem w pociągu dopiero po kilku godzinach jazdy, kiedy zasnęła z otwartymi ustami i głową wspartą na ramieniu córki, nic nie jadła, idąc w ślady swojej córki, popijała jedynie gorącą czekoladę, miałem wrażenie, że robi to tylko przez grzeczność

albo po to, żeby nie siedzieć beczynnie.

Wreszcie ja też zacząłem jeść.

– Chyba możemy mieć nadzieję, że zaraz po śniadaniu nas pan tam zaprowadzi, panie radco?

Głos starej damy był głęboki, schrypnięty, męski, podobnie jak jej potężna koścista sylwetka, a wykwintna, koronkowa, czarna sukienka wyglądała na niej trochę teatralnie.

– Przyznam, że już nie mogę się doczekać.

Siedziały niemal przylepione do siebie, może nawet bliżej siebie, niż wypadało, wydawało mi się jednak, że ta bliskość potrzebna jest tylko matce, tak samo jak w pociągu, kiedy prawie leżała na ramieniu córki, ale wtedy ich ciała się nie dotykały.

I przypomniało mi się, z jaką dezaprobatą, a wręcz odrazą córka przyglądała się śpiącej i pochrapującej co chwilę matce.

Choć może ta dezaprobatą adresowana była do mnie.

– Oczywiście, też tak sędzę! – odpowiedział uprzejmie siedzący po mojej prawej stronie, wcześniej jak na swój wiek siwy mężczyzna. – Oczywiście, bez najmniejszej zwłoki, bo jak już mówiłem, w tych okolicznościach wszystko, ale to wszystko jest możliwe.

I znów poczułem, że kobieta mnie obserwuje, dla mnie robi to przedstawienie; ona unika mojego wzroku, a ja unikam jej spojrzeń.

– Jeśli wolno zapytać, czy pamięta pan jeszcze ten zły sen? – zapytał sennym głosem siwy mężczyzna, nagle odwracając się w moją stronę.

– Naturalnie!

– A czy mógłbym prosić, żeby go pan jeszcze raz opowiedział?

– Mój sen?

– Tak, pański sen.

Przez chwilę spoglądaliśmy po sobie w milczeniu.

– Ja, proszę szanownego pana, kolekcjonuję sny, wie pan, z siatką na motyle ganiam za snami innych osób – powiedział, ukazując w szerokim uśmiechu swoje ładne zęby, by jednak za chwilę spochmurnieć i zatopić we mnie piwne oczy, jak gdyby odkrył we mnie coś podejrzanego; w jego ciemnych oczach zabłysnął płomień odkrytej tajemnicy.

– Ale żadną miarą proszę tego nie poczytać za ponaganie, panie radco! – odezwała się starsza z kobiet, a on nagle znów się odwrócił, tak jak przed chwilą w moją stronę, widać było, że takie nagłe, nieoczekiwane ruchy sprawiały mu przyjemność.

– Z drugiej strony, całkiem możliwe – powiedział sennym, półprzytomnym głosem – że kryzys spowodowała wichura, a kiedy pogoda się uspokoi, organizm dojdzie do siebie. Nie mówię tego, żeby panią pocieszyć, szanowna pani! Naprawdę, podkreślam, naprawdę możemy mieć nadzieję.

Powściągliwie nakładałem potrawy, nie chciałem przeciążać zmęczonych jelit.

Brakowało mi moich porannych rytuałów, z których rezygnuję tylko z bardzo ważkich powodów, a teraz trwało to już trzeci dzień, pierwszego dnia niespodziewanie odwiedziła mnie narzeczona, potem podróż, wreszcie obecność miłego kamerdynera, i od trzech dni nie wypróżniałem się jak należy.

– No, co pan na to powie? – odezwał się ten drugi, siedzący po mojej lewej stronie.

– Rzeczywiście, wspaniałe!

Nie umiem powiedzieć, która z tych dwóch codziennych potrzeb, pisanie czy wypróżnianie się, jest ważniejsza, jednak z biegiem lat doszedłem do wniosku, że to, co najbardziej duchowe,

i to, co najbardziej cielesne, łączy się we mnie nierozzerwalnie, tak mocno, że każde z nich umiem wykonywać należycie tylko w połączeniu z drugim.

Teraz mężczyzna z czarną kocią bródką, kierując ku mnie całą swoją uwagę, patrzył, jak przetykam, gryzę, otwierał usta albo składał je w dzióbek jak matka, kiedy ruchem własnych ust pomaga karmionemu dziecku, by po chwili rozejrzeć się wokół tryumfalnie, dając nam do zrozumienia, że proszę, i tym razem miał rację.

Otóż kiedy rano wstaję z łóżka, jeszcze nieumyty i nieogolony, tylko w szlafroku, natychmiast siadam do biurka, o ile pamięć mnie nie myli, ten zwyczaj wyniosłem jeszcze z rodzinnego domu, zacząłem tak robić po tamtym strasznym czynie, po przerażającym samobójstwie mojego ojca, kiedy musiało upłynąć wiele godzin, żebym mógł normalnie rozpocząć dzień, gdyż podświadomie przez długie lata żyłem przytłoczony jego samobójczą śmiercią.

Często wychodziłem nad brzeg szerokiej niemal po widnokrąg, dostojnie płynącej rzeki, stawałem w przybrzeżnych moczarach i nie chcąc, by porwał mnie wartki nurt, chwyciłem się uschniętych, kruchych gałązek rosnących nad brzegiem wierzb i patrzyłem, jak szary, spieniony, pełen wirów nurt obraca, huśta, ciągnie wyrwane z korzeniami drzewa i martwe ciała.

Potem znad biurka w pokoju na pięterku przyglądałem się dachom domów po przeciwnej stronie, popijałem herbatę z rumianku, zapisywałem jedno czy dwa przypadkowe, nieprzemyślane jeszcze zdania na leżącej przede mną kartce.

Z Hilde nie mieliśmy przed sobą tajemnic, zostawialiśmy sami w domu, rzadko wychodziliśmy na dwór, zaniedbany ogród kwitł pełnią lata, czasami zasypialiśmy, obejmując się nawzajem, choć bliskość ta nigdy nie wiązała się z erotycznym podnieceniem, ona miała już prawie czterdziestkę, ja dziewiętnaście lat; wiedziałem, że to mój ojciec odebrał niewinność jej słabemu, ciepłemu ciału i wykorzystywał ją przez całe lata niczym przedmiot, ona wiedziała, że trzyma w ramionach dorastające dziecko ukochanego mężczyzny, który kilka miesięcy wcześniej zgwałcił, zabił, a przy tym okaleczył zwłoki, jej niezwyklej urody siostrzenicę, delikatne dziewczę, którą przywiozła tu, by pomagała w domu.

Zdania układały się w historyjki, krótkie opowiadki pozbawione wzniosłych, intelektualnych ambicji, ja zaś czekałem, aż powoli stygnący, gorzkawy w smaku napar rozluźni moje jelita, a zdania pomogą mi zapomnieć o nocy.

Takiego właśnie poranka, kiedy dzięki herbatce Hildy udało mi się załatwić potrzebę, co zawsze trwało bardzo długo, musiałem uważać, żeby nie przeć zbyt mocno i gwałtownie, bo wtedy prawie wszystko zostanie w środku, jedwabny szlafrok i moja skóra przesiąkały intensywną wonią odchodów, a ja, wychodząc w oparach małego codziennego zwycięstwa z toalety na korytarz, zobaczyłem ją stojącą naprzeciw mnie, była potargana, nieuczczona, bluzkę miała rozerwaną na piersi, oszalałe oczy, pokrwawione wargi, rzuciła się na mnie, objęła, wgrzyzła się w moją szyję, nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tak wrzeszczał, krzyczała mi prosto w ucho głębokim, rozdzierającym głosem, nagle jej ciało zawisło na mnie bezsilne i przewróciliśmy się na ziemię.

Młodszej z kobiet jedzenie niemal utkwilo w gardle, dłonią ukrytą w rękawicze odłożyła sztucę na talerz.

Z dezaprobatą i odrazą patrzyła na siedzącego po mojej prawej stronie mężczyznę z kocią bródką, tak samo jak w pociągu na swoją matkę pochrapującą w niedbałej sennej pozycji, teraz jednak widziałem, że w jej dezaprobatie i odrazie jest coś zalotnego, że z jej strony to nie jest brak akceptacji, a raczej wyzwanie, kiedy bowiem zaciekawiony zerknąłem na sąsiada, ten już

nie poruszał ustami, tylko jego podstrzyżona w szpic kozia bródka drżała z wysiłku, kiedy wzrok młodej kobiety nakazywał znieruchomieć jego głęboko osadzonym, nerwowo poruszającym się oczom, a oni nie tylko bez żenady wpatrywali się w siebie, ale wręcz dobrze się tym bawili.

Dostojna starsza dama pochyliła się nade mną, prosząc o wybaczenie, że musi rozmawiać z radcą na takie trudne tematy, całkowicie niewłaściwe przy wspólnym śniadaniu, ma tego pełną świadomość, musi jednak wyjaśnić mi wszystko do końca, pozostali goście, niestety, już wiedzą, o co chodzi!, mogę być pewien, że robi tak tylko dla mojego dobra, bo nie chce swoimi kłopotami psuć mi radosnego porannego nastroju, chce mi tego oszczędzić!, dlatego tylko krótko o nich napomyka, w nadziei, że ją zrozumie.

Nawet te kilka chwil, których potrzebowałem, żeby zapewnić ją o tym, że doskonale to rozumiem, i z pełnym oddania uśmiechem podziękować za wzruszającą kurtuazję, odebrała mi swoją nieustającą paplaninę, trudno mi było znaleźć sposobność, by znów spojrzeć w ich stronę, oni tymczasem coraz bardziej otwarcie ze sobą flirtowali, czułem, że nie muszą już się obawiać mojego zaciekawionego spojrzenia, i kiedy uprzejmie słuchałem matki, kącikiem oka obserwowałem córkę, jak z zalotną odrazą na okrągłej, zaróżowionej buzi, czarując starzejącego się, ale jeszcze próżnego mężczyznę, znów zaczyna gryźć, naśladując go niesamowitą mimiką twarzy, je łapczywie, bez opamiętania, jak szalona, potrząsa brodą, jak gdyby miała zarost, i to jest dopiero początek igraszek, bo on jak gdyby dopiero teraz dostrzegł urodę dziewczyny, ani myśli się obrażać, łapczywość, z jaką gryzie, ukazuje się w jego spojrzeniu obiecującym bezwstydnym spełnieniu, a jego lekko zezujące, głęboko osadzone oczy doskonale potrafią to wyrazić, teraz ona jest nim oczarowana, jakiś czas nie poruszając ustami, patrzą na siebie ponad stołem, wreszcie mężczyzna znów zaczyna coś gryźć, ostrożnie, jak kobieta, czekając, aż ona też zacznie łapczywie gryźć, i choć może brzmi to niewiarygodnie, razem gryzą, połykają, choć nie ma już nic do połykania ani do gryzienia.

Nie miałem już wiele czasu, w jadalni w szalonym tempie zaczęły dziać się sprawy wielkiej wagi.

W przeszkłonych drzwiach pojawił się młody człowiek, zwracający uwagę już choćby samym swoim ubiorem, akurat podnosiłem filiżankę do ust, kiedy nagle udający zaspanego radca nerwowym ruchem ręki tak potrącił mnie łokciem w prawe ramię, że nieomal chlusnąłem herbatą w twarz pochylonej nade mną starszej z dam.

Zerwał z głowy miękki, jasny kapelusz i podał go stojącemu obok kelnerowi, spod kapelusza wystrzeliła korona kędzierzawych, spłowiałych, jasnych włosów; nie miał na sobie marynarki, tylko jasny sweter z grubej, białej wełny i okręcony kilka razy wokół szyi, przerzucony na plecy długi szal, co nie świadczyło bynajmniej o jego nienagannych manierach; zapewne wrócił z porannego spaceru, wesół, z twarzą zaczerwienioną od wiatru, zachowywał się trochę bezczelnie, nie tylko ze względu na osobliwy strój, ale też całe zachowanie, lekki krok i beztroski uśmieszek, kiedy spieszył do swojego krzesła, a my wzajemnie prosiliśmy się o wybaczenie z powodu zaistniałego incydentu, skinął głową, przywitał się, wydawało się, że jest ze wszystkimi w zażyłych stosunkach, uśmiechał się, śmiał, rzucił na oparcie krzesła zdjęty z szyi szal, a starsza z dam, siedząca naprzeciw mnie, z mojego wpatzonego weń wzroku musiała się domyśleć, że przyszedł, i mierząc zauroczonym wzrokiem jego rosnącą postać, dłonią pełną pierścionków chwyciła go za ramię.

– *Oh, ce cher Gyllenborg!* – zawołała – *Quelle immense joie de vous voir aujourd'hui!*

On przyciągnął do ust i ucałował jej dłoń, co było czymś więcej i jednocześnie mniej niż eleganckim gestem powitania.

Ale wtedy za naszymi plecami już stał kelner, szeptał coś do ucha siedzącemu po mojej prawej stronie radcy, a w przeszklonych drzwiach jadalni pojawił się szef hotelu i patrząc na nas ze zdziwionym i trochę głupawym wyrazem twarzy, czekał, co będzie dalej.

On nie usiadł jeszcze na swoim miejscu, podszedł do siedzącej u wezłowania stołu niczym na tronie filigranowej, szczupłej damy, która wygodnie oparta o krzesło podsunęła mu do pocałunku jasne czoło okolone srebrną koroną upiętych w kok włosów.

– *Avez-vous bien dormi, Maman?* – usłyszałem.

W tym samym momencie radca z taką siłą kopnął w swoje krzesło, że gdyby nie złapał go kelner, toby się przewróciło, i zapomniawszy o wszelkich manierach, po prostu wybiegł z jadalni.

Jego tęga sylwetka niemal znikła już w mroku wielkiego salonu za przeszklonymi drzwiami, kiedy nagle zmienił zdanie, odwrócił się, przystanął na moment, zmierzyli się wzrokiem z szefem hotelu, po czym spiesznym krokiem wrócił do jadalni i wyszeptał coś do ucha starszej z dam, która nie była nikim innym jak hrabiną Stollberg, matką mojego przyjaciela z dzieciństwa i panny w rękawiczkach.

Doskonale wiedziałem, o co chodzi, tyle że w pociągu nie miałem ochoty przyznać się, kim jestem, bo wtedy z całą pewnością zaczęlibyśmy rozmawiać o moim ojcu, a mając na względzie jego historię, nie mogłem o nim z nimi rozmawiać.

Chyba nie było w jadalni osoby, która w tym momencie nie czuła, że jest świadkiem bardzo trudnego, a nie tylko dziwnego, wydarzenia.

Zapadło milczenie.

On jeszcze stał obok krzesła swojej matki.

Dwie panie powoli wstały od stołu i wszyscy troje szybko opuścili jadalnię.

My zostaliśmy w ciszy, nikt nie śmiał się poruszyć, tylko co jakiś czas słychać było ciche dźwięki.

I wtedy szef hotelu pełnym wzruszenia głosem obwieścił całemu towarzystwu, że hrabia Stollberg nie żyje.

Patrzyłem na krewetki leżące na moim talerzu, wszyscy podobnie gapili się przed siebie, kiedy on najciszej, jak mógł, zatrzymał się przy nakrytym naprzeciw mnie, nietkniętym jeszcze miejscu przy stole i zabrał szal z oparcia krzesła, dostrzegłem to, patrząc w swój talerz.

– *Bien! Je ne prendrai pas de petit déjeuner aujourd'hui* – zapytał cicho, dodając, co było zupełnie nie na miejscu: – *Que diriez-vous d'un cigare?*

Spojrzałem na niego cokolwiek zdziwiony, bo nie byłem pewien, do kogo mówi.

Ale uśmiechnął się do mnie, a ja wstałem.

## Rok pogrzebów

Nie potrafiłem płakać, ostatni raz płakałem może przed rokiem czy więcej, na pogrzebie matki, kiedy zamrożone grudki ziemi spadały na trumnę, stukając, łoskocząc, odbijając się w środku echem; dudniły w mojej rozłupanej czaszce, w żołądku, w sercu, straszliwy dźwięk niszczył nieznany mi dotychczas wewnętrzny spokój mojego ciała, jak gdyby nieoczekiwanie i niespodziewanie budząc we mnie świadomość nędzy mojego fizycznego jestestwa.

O ile dotychczas nigdy nie odczuwałem potrzeby płaczu, nie czułem gniewu czy strachu, radości lub wzburzenia, które naruszyłyby ten mroczny, nieświadomiony wewnętrzny spokój, o tyle od tamtej chwili wszystko zaczęło dziać się na opak, wszystko to, co uznawaliśmy za piękne albo brzydkie, barwy, formy, proporcje, zewnętrzny wygląd i zwodnicza powierzchowność, utraciło wszelkie znaczenie, choć w pełnej bolesnego napięcia gotowości trawił żołądek, kiedy zмагаć się musiał z pokarmem, a serce pełne obaw biło ostrożnie, gdy musiało pompować krew do żył, jelita burczały od niechcenia, poruszały się nerwowo i ziały niemłą wonią, mocz szczypał, i z każdym oddechem próbował wychynąć zalegający jeszcze w płucach okrutny ból i strach, jaki odczuwa żywe ciało, nie istnieje bowiem takie fizyczne odczuwanie, które byłoby w stanie usunąć tępy ból zalegający na samym dnie duszy i które pozwoliłoby mi tak słyszeć mój własny oddech, jak gdyby miał być tym ostatnim; czułem obrzydzenie do siebie za sam fakt, że żyję, choć każdą cząstką mojego ciała nadśluchiwałem, co się dzieje, co może dziać się tam w środku, kiedy pozornie jestem spokojny, obojętny, beznamiętny wobec wszystkiego, co mnie otacza i co się stało, i oczywiście nie potrafiłem płakać.

Co jakiś czas coś jednak działo się z moim gardłem, jak gdybym odkrztuszał zbierającą się w krtani flegmę, i wtedy budziła się we mnie głupia nadzieja, że dobrotliwe ciepło łez pomoże mi wrócić do cudownej nieświadomości małego dziecka, do czasu, kiedy czuła siła obejmującego ramienia wystarczała, by mnie pocieszyć, tylko że teraz zabrakło ciepła uścisku, tego jednego jedyne, i zamiast wybuchnąć płaczem, poczułem zimne drżenie, czego z kolei nikt nie mógł dostrzec, nawet gdyby na mnie patrzył, trwało tylko kilka chwil i było ledwie dostrzegalne.

W gruncie rzeczy lubowałem się w swojej nowej roli i nawet dobrze się w niej czułem, byłem zadowolony, że nikogo nie obciążam moimi cielesnymi czy uczuciowymi problemami.

A tamtego popołudnia, o którym chciałem opowiedzieć, zbliżając się do końca mojej historii, leżałem na łóżku, i jeśli tylko tym ciepłym słowem można określić stan śmiertelnego oczekiwania, powiedziałbym o ciszy, o ciszy, w której czuło się zupełny brak łaski, taka cisza panowała w tamtym domu, miękko opadał ciężki grudniowy zmierzch, pora i godzina najmilsza mojemu ówczesnemu stanowi, kiedy czułem obrzydzenie do światła, podobne do tego, jakie budziły we mnie moje ciało, ciemności czy mrok, zmierzch wydawał się nieco łatwiejszy do zniesienia, drzwi były pootwierane, ale w tym nagle obcym domu nigdzie jeszcze nie zapalono świateł, kaloryfery ustawiliśmy zaledwie na letnią temperaturę, bo węgiel się kończył, z położonej najdalej jadalni dochodził donośny głos cioci Klary, z uporem dyskutującej w ciszy z wiecznym milczeniem babki; odkąd ojciec zabrał moją małą siostrzyczkę i umieścił w internacie gdzieś pod Debreczynem, babcia umilkła, i choć z dużej odległości nie rozumiałem poszczególnych słów, i nawet nie próbowałem się w nie wsłuchiwać, moje uszy wychwytywały jakieś dziwne, całkowicie jednostronne uczuciowe pulsowanie, w którym jak gdybym słyszał



głos mojej matki, jak gdyby coś miało w nim swój dalszy ciąg, coś znajomego i dobrze znanego.

Był dwudziesty ósmy grudnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku, dlatego pamiętam z taką dokładnością, bo następnego dnia, dwudziestego dziewiątego, chowaliśmy mojego ojca.

Kiedy ponownie rozległ się dzwonek, usłyszałem kroki, otwierające się drzwi, słyszałem rozmowę, odczekałem chwilę, i choćby po to, żeby nikt się nie domyślił, jak bardzo jest mi obojętne, kto przyszedł albo co się dzieje, z zaciekawieniem uniosłem się na łóżku; w drzwiach stała Hédi Szán.

Gdybym chciał wdawać się w szczegóły, powinienem raczej powiedzieć, że stała tam nieporadna dziewczynka ze spuszczoneymi, zbyt długimi rękoma, ludzka sylwetka w ciężkim zmierzchu odbijającym się od białych ścian, dziewczynka przebrana za kobietę, przestraszone dziecko, które wcale nie przypominało pięknej Hédi, cudownej, dorosłej, kwitnącej kobiety, do której już nie było ani trochę podobne.

Miała na sobie płaszcz matki wykończony futerkiem, bardzo stary i przesiąknięty wonią naftaliny, wydawało się, że wszystko, co ma na sobie, założyła przez przypadek, była zmęczona, może też niewyspana, a włosy, niegdyś bujne i zachwycająco złociste, falująca przy każdym kroku i ruchu burza pachnących włosów, w których zawsze z taką lubością zanurzałem palce, teraz były niemile i bezbarwne, niczym obca materia okalały jej twarz, skórę miała zaczerwienioną od zimna, wydawała się roztrzęsiona ze strachu, że wbrew własnej woli znalazła się w takiej sytuacji; a może właśnie taka była, jak w tamtych dniach wszyscy.

Ale mnie nie interesowała jej utracona albo nigdy nieistniejąca uroda, ani ten płaszcz, najbardziej bolało mnie jej spojrzenie, jej przestraszony, żaloszony, wymuszony zachowanie, którego nauczyli ją dorośli, żeby w spotkaniu z niedolą drugiego człowieka nie cierpieć.

Uciekałem przed nią z odrazą i sprzeciwem, wiedziałem bowiem, po co przyszła.

W jej obecności był jednak pewien napawający spokojem, doskonale pasujący do okoliczności element, na nogach miała ciężkie buciory i grube, wywinięte wełniane skarpety.

Przywitała się, ja pewnie też, choć nie pamiętam, w moich wspomnieniach pozostał tylko grymas śmiechu, bo tak chciałem się do niej uśmiechać, tak wesoło i nieodpowiedzialnie, jak gdyby na mojej twarzy jaśniał nasz dawny śmiech, jak gdyby nic się nie wydarzyło i nie mogło wydarzyć tak długo, jak ona i ja pamiętamy ten uśmiech sprzed lat; zrobiliśmy kilka kroków ku sobie i zatrzymaliśmy się niepewnie, dla obojwojga z nas było czymś niemiłym i nieznanym spotkać się ponownie w tej pamiętnej i przywołującej przeszłość roli, zbyt wielu z nas umarło, a ja, żeby jak najszybciej mieć za sobą to, co najtrudniejsze, roześmiałem się, ładnie z jej strony, że mnie odwiedziła, po raz ostatni widzieliśmy się na pogrzebie mojej matki.

Mój śmiech jednak ją przestraszył, a słowa, które wypowiedziałem, odczytała jako gorzki wyrzut, jej wielkie oczy nagle wypełniły się łzami, które, kto wie od kiedy, się w niej zbierały!, i żeby nie rozplakać się z bezsilności, a ja żeby nie mówić jej przykrych rzeczy, odrzuciła w tył głowę, jej włosy zafalowały tak jak przed laty, nie, powiedziała, nie dlatego przyszła, jeszcze nie postradała rozumu, nie chce mnie urazić, nie wie, co powiedzieć, chciała się z nami pożegnać, tak powiedziała, z nami, akurat nadarza się dobra okazja, jutro o świcie ktoś może bardzo tanio zawieźć ich do Sopronu, tam zobaczą, powiedziała, wzruszając ramionami, najpierw poszła do Liwii, potem do Hűvösów, u Liwii nie zastała nikogo, więc prosi, żebym jej przekazał, ale co mam jej powiedzieć?, nic, tylko tyle, że była tu i wyjechała!, potem przeszła przez las, pomyślała, że zajrzy do Kálmána, powiedziała i nagle umilkła, z błagalnym wyrazem twarzy prosząc, bym nie kazał uwierzyć jej w to, co niewiarygodne, tylko szybko, bo zaraz będzie

godzina milicyjna i musi zdążyć do domu.

I w tym momencie, walcząc z wybuchem płaczu, zaczęła szybko mówić, jak maszynka wyrzucała z siebie szczegóły, które miały tłumaczyć sytuację, ale o istocie rzeczy, o tym, co nas naprawdę dotykało, ostrożnie nie powiedziała ani słowa, a jednak i tak była jakaś odmieniona, taka jak kiedyś, nie ładna, ale silna, siłą, która kiedyś wydawała się nam jej pięknem.

Tak, powiedziałem.

Nie patrzyła na mnie, to ja musiałem, patrząc jej w oczy, wypowiedzieć to beznamiętne „tak”, żeby tylko mi nie uciekła, choć czułem, ile okrucieństwa, perwersyjnego i pozbawionego litości, jest w odebraniu drugiej osobie, nieliczącej się z dokonanymi już faktami, ostatnich resztek głupiej nadziei, to okrutne i bezlitosne, nawet jeżeli ta druga osoba dobrze wie, że wypowiedzianego „tak” nie można już cofnąć i że już na zawsze pozostanie uwłaczającym naszym uczuciom przytaknięciem.

Więcej o tym nie rozmawialiśmy; powiedziała mi to, co najważniejsze, wyjeżdżają, słuchając jej słów, które nie wywarły na mnie szczególnego wrażenia, domyśliłem się, że z powodu jakichś tragicznych okoliczności nie jadą we troje, ale we dwie, w liczbie mnogiej zabrakło bowiem dawnej nienawiści, płaczącej, dziecięcej nienawiści, nie dosłyszałem tonu niegdyś adresowanego do kochanka matki wdzierającego się pomiędzy nią a matkę, nie mieliśmy zbyt dużo czasu i nie było sensu, żebym próbował odgadnąć, co się stało z kochankiem, umarł albo leży ranny, wcześniej sam wyjechał albo go złapali, bo jeśli z jakichś innych, że tak powiem, osobistych powodów zniknąłby z ich życia, nienawiść pozostałaby w jej głosie, i skoro wyjeżdżają stąd we dwie, pozostawiając kochanka na łasce bezosobowej historii, to moja pamięć zachowa je w pozbawionym wszelkich uczuć zbiorze wszelkich wypowiedzianych „tak”, podobnie jak jej pamięć to wszystko, czego przez te ostatnie godziny dowiedziała się o moich losach czy o śmierci Kálmána.

Moje „tak” znaczyło więc, że wiem, że ona wie, i że nie mam nic do dodania, podobnie jak ona nie musiała opowiadać o szczegółach wydarzeń, bo też wiedziała, że ja wiem.

Wpatrywaliśmy się w siebie, nie, patrzyliśmy na siebie szeroko otwartymi oczyma, czy raczej nie patrzyliśmy na siebie, ale wzajemnie odnajdowaliśmy w swoich oczach to zrozumiane przez nas obydwójce i z jakichś powodów głęboko zawstydzające, niepewne „tak”, które odnosiło się głównie do samego faktu śmierci i do liczby umarłych; być może widzieliśmy w swoich oczach wstyd żywych jeszcze, niewymagających wyjaśnień, a jednocześnie niewytłumaczalnie dokonanych faktów, jakbyśmy mimo naszego szalonego pośpiechu musieli zyskać na czasie i wzajemnie dać sobie czas, by upokorzenie znikło z naszych otwartych oczu, ale jak?, dzięki rozmowie, wyjaśnieniom, opowiadaniu, ale czego i o czym?, jeśli w chwili pożegnania nie było przed nami wspólnej przyszłości, a ze wspólnej przeszłości nie potrafiliśmy już nic więcej wyratować; a skoro żadne z nas nie było w stanie płakać, to nie mogliśmy umieć zbliżyć się do siebie jak ludzie.

Trwaliśmy w milczeniu nie dlatego, że nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia, ale z tego powodu, że to wszystko, o czym chcieliśmy rozmawiać, w wyniku poczucia beznadziejności i łączącego się z nim wstydu stało się niemożliwe do wypowiedzenia; powinniśmy byli przerwać nic wzajemnego porozumienia, by móc uciec od wstydu wspólnego losu i o nim zapomnieć.

Żywe milczenie stało się naszą wspólną przyszłością, dla niej tam, dokąd teraz ucieka, dla mnie tutaj; różnica nie była istotna, łączyła nas wspólnota naszych losów, chroniące nas, litościwie skrywające nasz ból, zamknięte rysy twarzy, wyczuwające wzajemną obojętność, uspokajające oczy, którym, choć wszystko rozumiały, nie wolno było nawiązać przymierza!, to

będzie nasze nowe wspólne postanowienie, położyć wszystkiemu kres, choć przecież żyjemy!, to zawsze będzie nas łączyć, to będzie wspólne, z pełną świadomością wspólne.

I nie tylko ona, nikt nie mógł, ja też nie mogłem i nie chciałem nic powiedzieć.

Szczęła we mnie potrzeba mówienia, szczęła wraz z ciałami moich zmarłych, a ona wyjechała.

Wokół stołu stały w mroku krzesła, cztery samotne krzesła wokół stołu, i wtedy, tak jak zawsze w takich chwilach, przyszło mi na myśl, że może powinienem zaproponować, żeby usiadła, przecież tak wypada; tylko że wraz z tymi krzesłami, na których zresztą nigdy nie siadała, były z nami tamte wspólne popołudnia sprzed lat, kiedy pędziła do nas, paplając, gadała bez przerwy, i już od samych drzwi rzucała się na łóżko, na brzuch albo na plecy.

Zapytałem, tak jak gdybym pytał o rzecz najważniejszą, no dobrze, ale co będzie z Krystianem; choć dla obojwojga z nas było jasne, że w ten sposób chcę oszczędzić nam tamtego, najbardziej istotnego pytania.

Wokół jej nieruchomych ust zakwitł smutny uśmiezek, uśmiech starzejącej się kobiety, lekko ironiczny, jak gdyby moje starania, by ukryć prawdę, wydały się jej zbyt sentymentalne, albo cyniczne czy niepotrzebne, jej usta zastygły w łuku pełnego wyższości i dystansu uśmiechu mówiły, że ona na szczęście już to wszystko w sobie załatwiła, już od dawna się nie spotykają, dodała, wzruszywszy ramionami, czym dała mi do zrozumienia, że nie chce z nim, to znaczy z Krystianem, się żegnać, a więc jednak jest coś, co pozostało w niej bolesne i żywe, napisze do niego z tamtego, wolnego świata, powtórzyła z drwiną w głosie znane z radiowych wiadomości określenie, zresztą, powiedziała, to, co stało się pomiędzy nimi, było tylko dziecinadą, choć Krystian bez wątpienia jest przystojnym chłopakiem, i nagle całkiem otwarcie, zrzucając maskę obojętności i cynizmu, w niemal wulgarnym uśmiechu pokazała lśniące białością zęby, teraz już może być mój!, jej już podobają się brzydki chłopcy, więc, dodała, ja też już nie wchodzę w rachubę, niestety.

Gdyby nie powiedziała, że może być mój, gdyby nie wyrzeszczała, gdyby nie uczyniła tego tak oczywistym, gdyby swoim śmiechem nie dotknęła mojej najgłębszej tajemnicy, o której przez tyle lat próbowałem zapomnieć i o której cały czas sądziłem, że należy tylko i wyłącznie do mnie, gdyby nie sponiewierała wspólnoty, którą była nasza przeszłość, zapewne trudniej byłoby jej stąd wyjechać; dziś to rozumiem.

Ale wtedy, gdy spoglądaliśmy na siebie zza przerażającej zasłony zastygłych w bezruchu twarzy, patrzyliśmy sobie w oczy, od tamtego nowego wstydu, w miejsce wzajemnie i wspólnie rozumianego i zrozumianego „tak” pojawiło się ostateczne i nieodwołalne „nie”.

Pozostawiona wspólnota by bolała, zaprzeczona nie boli, można o niej zapomnieć.

Później wielokrotnie zdarzało się, że w twarzach najzupełniej obcych ludzi widziałem twarz Hédi wykrzywioną w grymasie pożegnania; zdarzało się to wówczas, kiedy w najzupełniej codziennych sytuacjach widywałem twarze zastygłe w wibrującym bezruchu, w swojej wrogości budzące tak silne uczucia, a jednocześnie czułem, że jakkolwiek bym się zmuszał do zaufania, uwagi czy uważności, zaprzeczenie i tak sparaliżuje moje uczucia, będzie mnie powstrzymywał jakiś wewnętrzny sprzeciw, znane od lat bolesne odrętwienie, bo przecież z biegiem czasu taka właśnie stała się moja twarz, jak gdybym na tej własnej nosił maskę innego oblicza, nieufnego, niezdolnego do odczuwania współczucia, przerażonego i agresywnego ciągłym strachem, moja własna twarz stała się twarzą ukrywającą zbyt wielką łagodność pod pozorami nadmiernej hardości, mówiącą „tak” i jednocześnie mówiącą „nie”, byle tylko nie wikłać się w żadną wspólnotę, byle tylko nie wyrazić na nic zgody ani niczemu nie zaprzeczyć; wydawało się, że

własną, odmienioną twarz potrafiłem odnaleźć jedynie w twarzach pełnych obawy i wahania, udreńczonych urazami, chytrze obserwujących, ale zawsze gotowych do ataku, pełnych agresji i odrzucających wszystkich, głupio radosnych albo udających bojaźliwą kapitulację, w oczach szybko uciekających przed obcym wzrokiem, przymuszonych do szybkiego uniku w obliczu wspólnego wstydu wspólnej niewiedzy; później, kiedy się nad tym zastanawiałem, odnosiłem wrażenie, że każdy na swój sposób, zgodnie ze swoimi poglądami czy własną przynależnością do czegoś tam, nosi w swoich rysach na zawsze wyryte, z natury rzeczy wspólne, wydarzenia minionego czasu, to wszystko, co chciał ukryć za sztucznie dwuznacznym wyrazem twarzy i wreszcie zapomnieć.

Z tego też powodu nie uważałem za przypadek, że po tym bezbolesnym dla niej i szybko zapomnianym pożegnaniu musiało upłynąć tak wiele lat, tak wiele długich lat, tak, niemal cała moja młodość, żeby nagle pękło we mnie nasze milczenie, i żebym po raz pierwszy, jeśli nie brać pod uwagę wyznania, które teraz tu zapisuję, i być może po raz ostatni, zaczął mówić, opowiadać, powodowany takim samym przymusem, jaki kazał mi milczeć, w dodatku na obczyźnie, i na domiar złego całkiem obcemu człowiekowi, który o tym wszystkim mógł mieć co najwyżej blade pojęcie, w obcym języku, na berlińskim przystanku tramwajowym, a słowa wyrzywały się ze mnie niczym krwawe wymiociny.

Był niedzielny wieczór, też jesień, kiedy w ciepłym powietrzu zawisła ciężka para, kiedy powietrze ma smak, metaliczny smak, a oświetlony tramwaj powolnie wlecząc się przez wymarłe o tej wczesnej porze miasto.

Tak jak zawsze staliśmy na pustej platformie i pod pretekstem utrzymania równowagi niepostrzeżenie trzymaliśmy się za ręce, jechaliśmy do teatru, nie pamiętam już nawet, jak zboczyliśmy na tematy historyczne, ale Melchior opowiadał o berlińskim powstaniu z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku, wspominał o dwóch entuzjastycznych wychowawcach, którzy rankiem szesnastego czerwca, niczego nie podejrzewając, poszli do budowanego właśnie bloku przy alei Stalina czterdzieści, przemianowanej później na aleję Karola Marksa, by przekonywać niezadowolonych, głodujących robotników, murarzy, cieśli i budowniczych o gospodarczej konieczności podnoszenia norm, ale tamtego poranka ludzie ci nie chcieli niczego zrozumieć, fakt, poranek był brzydki, i zażądali natychmiastowego odwołania nowo wprowadzonych w gospodarce ludowej norm, jego przepędzili, a niewiele brakowało, by pobili równie jak oni rozwścieczonego wychowawcę, potem zaś grupą składającą się z niemal osiemdziesięciu osób zaczęli skandować naprędce ułożone wierszyki i hasła, by w zamkniętym szyku ruszyć w stronę Alexanderplatz, i żebym posłuchał, powiedział, „tu nikt nie będzie sługą, berlińczycy, stańcie w szeregu!”.

Gniew wyrażony w tym prymitywnym hasle, które jemu wydało się literacko dobre, obraz szybko powiększającej się grupy i napierającego tłumu, otwarta platforma oświetlonego żółtymi lampeczkami jesiennego tramwaju, dłoń, która utraciwszy miłosną zmysłowość, dotykała mojej dłoni, nic w tym zresztą dziwnego, każda bowiem miłość tyle traci na ciężarze, ile ważą historyczne wydarzenia wyparte przez tę miłość, smak pobrzękującego ze stukotem tramwaju i ostrego żaru ciepłej ciemności, wokół jego ust pełen dystansu do samego siebie i do historii, nieprzyjemnie wyostrzony uśmiech, w jego oczach gniew naszpikowany iskierkami łagodnego humoru, znajomo brzmiące, dawne słowa, w obcym języku jeszcze bardziej rzeczowe i dokonane, „wychowawca”, „norma”, „interes gospodarki ludowej”, coś we mnie poruszyły, choć nie wiem co.

Odczuwałem to wszystko tak, jak dawniej napięcie, kiedy staliśmy na czatach, w nogach

i w rękach, czułem, że moja twarz uwolniła się wreszcie od niemiłego paraliżu.

Odepchnął mnie z powrotem, przesunął, dał mi nieoczekiwaną dotychczas szansę, bym się rozluźnił; z rosnącym w swojej liczbie tłumem nie dojechalśmy nawet jeszcze na Alexanderplatz, kiedy mój oświetlony tramwaj bezsilnie zastygł w ciemniejącej masie tłumy, w tym miejscu placu Marksa, gdzie załamujące się w lekkim łuku perony z ostrym piskiem skręcają na bulwar Świętego Stefana.

Robotnicy, tak jak zeszedli z rusztowań, gospodynie domowe z zakupami, uczniowie, chłopaki, urzędnicy, studenci, gapie, bikiniarze, przechodnie i zapewne także psy; idący w pochodzie tłum pchał wszystkich naprzód, cicho opowiadał rozemocjonowanym głosem, a ponieważ rosnący tłum stracił orientację w przestrzeni, choć coraz częściej słychać było okrzyk: „Na ulicę Leipziger! Na ulicę Leipziger!”, to była ich wspólna wola, w tamtą stronę wiał wiatr, i już ruszyli w kierunku rządowego pałacu, kiedy stanęło przed nimi dwóch robotników, jak gdyby swoimi ciałami, wrośniętymi w sam środek pustej jezdni, chcieli zatrzymać gniewny, choć poprzez swoją liczbę spokojnie rozlewający się po ulicach tłum, wtedy już dwanaście tysięcy osób!, „Trzeba uniknąć rozlewu krwi!”, krzyczał jeden z nich, „Nie idźcie do zachodniego sektora!”, wrzeszczał drugi, „Trzeba uniknąć rozlewu krwi!”, a pochód aż westchnął, niepewnym krokiem zatrzymał się w miejscu na kilka chwil, „Chyba nie chcecie do nas strzelać?”, dało się słyszeć z pierwszych rzędów, rozlew krwi i strzelanina!, by po chwili tłum wstrząsany bezsilnym gniewem znowu parł przed siebie, bo przecież ich słowa to były norma i chleb, i o nich właśnie chcieli zapomnieć.

Staliśmy na platformie, stamtąd się przyglądając i patrząc, chłonąc ich wzrokiem z trzęsącego się w biegu tramwaju; stąd, z góry, skąd widzieliśmy czubki ludzkich głów, widok jawił się jako całkowicie nieznany i zupełnie niemożliwy do zrozumienia; ciemny plac wyłaniający się z przytłumionego światła lamp, rozgrzany nie tylko niezwykle jak na tę porę roku ciepłym powietrzem, ale też falującym tłumem, deptającym, sunącym naprzód po zdeptanych gazetach i ulotkach, ludzie napierali bowiem ze wszystkich kierunków, w parach albo zwartych, niekończących się kolumnach, w grupkach wykrzykujących hasła i niosących sztandary, szli w najrozmaitszych kierunkach, wszystko wyglądało tak, jak gdyby zamiary ich wszystkich stały ze sobą w sprzeczności, a jednocześnie te różnorodne przecież pod względem liczby i zwartości, zmierzające w różnych kierunkach, kłębiące się, rzadniejące, gęstniejące i płynące naprzód grupki nie przeszkadzały sobie, wręcz przeciwnie, nie było żadnych podstaw do obaw, że się ze sobą zetną czy będą usiłowały wzajemnie się zatrzymywać, pewnym i niezbyt szybkim krokiem zmierzały do wyznaczonego celu, a całe miasto wyległo z bram, fabryk, restauracji, szkół, urzędów, na skrajach krawężników w znacznej odległości od siebie stali obojętnie bezsilni i jak gdyby niepotrzebni milicjanci, nie wiedzieli, co począć z tłumem napierającym z rozwartych szczelin, a może nie chcieli, przez co można było odnieść wrażenie, że te sprzeczne ze sobą cele i kierunki dlatego wzajemnie sobie ulegają, że rządzi nimi zasada potężniejsza od nas wszystkich, niewidoczna siła sprawcza, podobnie jak z rozszałanych wrzasków, śpiewów i wesołych pokrzykiwań, histerycznie wykrzykiwanych hasła, z szurania w rytm i nie w rytm tysięcy stóp, ze stukotu, kłusu i szelestu wyłaniał się wściekły, choć jednocześnie radosny szum, leciutki jak delikatna wieczorna mgła unosząca się w ciepłym powietrzu; z drugiej zaś strony w tym jednolitym szmerze bezosobowego tłumy, w tym rozkołysanym hałasie, ludzkie oko z łatwością potrafiło wyłowić osoby, które nie chciały brać w niczym udziału, przyglądały się, stojąc na skraju chodnika, wypełniając swoje zadanie, obserwowały, albo takie, które nie powzięły jeszcze decyzji o przyłączeniu się do

manifestujących i przestraszone milczały lub odchodziły samotnie na bok, czy spiesznie salwowały się ucieczką, zmierzając do jakiegoś sobie tylko znanego celu, ci ludzie zazwyczaj byli objuczeni siatkami i paczkami, obok nich kroczyły gestykulujące z zaciekawieniem dzieci, które rodzice próbowali wyprowadzić w bezpieczniejsze miejsce.

Tramwaj właśnie przystanął, kiedy motorniczy dał znak, że oto dojechaliśmy do ostatniego przystanku, wyłączył oświetlenie, a my zeskoczyliśmy z platformy, byłem tam z dwoma kolegami ze szkoły, z którymi ani przedtem, ani potem nic więcej mnie nie łączyło; jeden z nich nazywał się István Szentes, był wysokim, silnym, przystojnym chłopcem, który nie wiadomo z jakiego powodu zawsze był zagniewany, ciągle się złościł, i wtedy, nim jeszcze zdążył się zastanowić, wszczywał bójkę, no i Stark, chłopiec o smutnych, pełnych zaciekawienia, lekko zamglonych piwnych oczach, którymi bez przerwy mrugał, bo chciał być wszędzie i we wszystkim mieć swój udział, i choć bezustannie obawiał się konsekwencji, napędzało go to wieczne poczucie zagrożenia.

Hej, chłopaki, powtarzał z entuzjazmem, ja chyba jednak pójde do domu, i szedł z nami.

I to było właśnie cudowne, wielkie i wyjątkowe!, od tej chwili, kiedy zeskoczyliśmy z platformy, wzięła nas we władanie jakaś nieposkromiona siła, wdarliśmy się do grupy złożonej z młodych ludzi o robotniczej powierzchowności, śpiewali właśnie „Czerwona Csepel<sup>[1]</sup>, prowadź nas do walki, ulico Váci, odpowiedz na ich zew”, i z wrzaskiem pozbawionym melodii wybrzmiewała z ich gardeł ta Váci, jak gdyby chcieli powiedzieć wszystkim, nawet nie wszystkim tutaj, ale poprzez jesienne, mroczne niebo całemu światu, że jesteście stamtąd!, szli prosto spod wody leżącej się na tłum, mieli mokre na karkach włosy, i tu na dole, w środku wydarzeń, kiedy już nie patrzyliśmy z zewnątrz czy z góry, nie mieliśmy wątpliwości, dokąd iść ani po co; i nie o to chodziło, że nie umieliśmy się stamtąd wydostać, nie czuliśmy żadnego przymusu, musieliśmy z wielu możliwości wybrać jeden kierunek, jakąś jedną jedyną możliwość, bo wtedy niesłychane szaleństwo tłumu jeszcze pozwalało nam na wszystko, każda droga stała przed nami otworem, mogłem wybrać chociażby przypadkową możliwość; wybór wymagał spełnienia jednego tylko warunku, trzeba było iść, jak gdybym w tej najbardziej elementarnej, podstawowej potrzebie, zwykłej i naturalnej konieczności ruchu ciała, nawiązywał z nimi wszystkimi wspólnotę, ja też idę, tak jak oni idą ze mną.

A zatem ci, do których mocarnego nurtu przyłączyłem się posłuszny dziełu przypadku, moi szkolni towarzysze, nagle stanęli tak blisko mnie, z taką siłą określili i wypełnili moje uczucia, jak gdyby nic sobie nie robiąc z mojego znanego wszystkim, lecz nagle śmiesznego i niepotrzebnego sprzeciwu, stali się moimi przyjaciółmi, braćmi, kochankami, jak gdyby oni, tylko oni, mogli spowodować, że te nieznanne mi, acz nieobce twarze staną mi się znajome.

Stark tylko nazwał słowami to dziwnie podnoszące na duchu, wyjątkowe uczucie; przestraszył się czegoś, co było dla niego dobre, chciał uciec do domu przed uczuciem, które go dosięgło, Szentes tymczasem, żeby dać nam odczuć, że wszystko rozumie, i przełamać opory tamtego, zarechotał i klepnął go w ramię, nie powiem, całkiem solidnie, a my trzej, widząc to, wybuchliśmy śmiechem.

O tej wczesnej wieczornej godzinie tłum jeszcze mnie nie połknął, nie zniszczył, nie zdeptał, tak jak później nieraz się zdarzało, nie odebrał mi mojej osobowości, ale swoją spolegliwością pozwalał mi, bym w najbardziej elementarnych atrybutach mojego ciała, w jego ruchu poczuł to, co jest wspólne dla nas wszystkich, żebym poczuł, że jesteście wzajemnie swoją częścią i niezależnie od wszystkiego jesteście tożsami z każdym z nas, i dzięki temu tłum nie

wydawał mi się arogancki, jaki zazwyczaj się nam wydaje, ale dał mi twarz, dokładnie tak samo, jak ja użyczyłem mu mojej twarzy.

Nie byłem głupi ani niezorientowany, bardzo dobrze wiedziałem, gdzie się znalazłem, tak dobrze, że w chwilę później, dzięki kolejnemu nadzwyczajnemu przypadkowi, ruch i pęd tłumu napełnił mnie rodzinnym ciepłem, szliśmy, jeszcze ciągle się śmiałem, szedłem, kiedy od ulicy Bajcsy-Zsilinszkyego z potwornym piskiem gąsienic, ze stukotem i dudniącym warkotem silnika pojawiła się przed nami armata wystająca z podniesionego wjazdu, na początku wyglądało to tak, jak gdyby wycelowana w nas pusta stalowa rura płynęła ku nam na ludzkich głowach, po chwili ciała się rozstały, kroki zwolniły tempo albo przyspieszyły, zapadła cisza, nierozstrzygnięta cisza pełnego zwątpienia oczekiwania, ale zbliżaniu się jej, niczym zbliżaniu się olbrzymiej fali, która zaraz przewala się ponad naszymi głowami, towarzyszył upojony zwycięstwem ryk tłumu, bo w czarnobrazowej chmurze spalonej benzyny siedzieli nieuzbrojeni żołnierze, niektórzy stali, machali do nas, dając wyraz swoim pokojowym zamiarom, a grzywa zmierzającej ku nam, przewalającej się ponad naszymi głowami fali wrzasku bryzgała najrozmaitszymi słowami, wpadającymi w siebie zdaniem, „bracia”, słyszeliśmy, „chłopaki”, „Wojsko jest z nami!”, „Węgry”, Szentés też podchwycił niektóre z nich i wrzeszczał razem z nami, z taką siłą, jak gdyby po raz pierwszy w życiu udało mu się z korzeniami wyrwać z siebie własną złość, jak gdyby czuł, jak bardzo go męczyła, a teraz był czysty i wyzwolony, „Nie strzelajcie!”, w odległości zaledwie kilku kroków zobaczyliśmy roześmianą twarz machającego ku nam żołnierza, ja nie krzyczałem, miałem po temu dobry powód, ale się do nich uśmiechałem, a młodzi mężczyźni ze zmoczonymi włosami odpowiadali podobnym uśmiechem, żołnierze wrzeszczeli chórem, „Kto jest Węgrem, ten jest z nami, każdy Węgier idzie z nami!”, na co z oddali, z niewidocznego dla nas morza głów, odpowiadał rym: „Naród Petőfiiego i Kossutha pójdzie z nami ręką w rękę!”.

Wtedy jeszcze na placu Marksa była lśniaca, obła, czarna kostka z kamienia, i kiedy ociężały czołg figlarnie obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, by zmienić kierunek, i wycelował w puste miejsce pomiędzy stojącymi na placu tramwajami, pod żelaznymi gąsienicami z przeraźliwym piskiem zaiskrzyły kamienie, i znów zapadła cisza, ale teraz była to cisza wesoła i zwiastująca wspaniałą zabawę, taka sama cisza, jak w chwili, kiedy ulubiony środkowy napastnik z niezupełnie czystej pozycji strzeli bramkę, wstrzymany oddech emocji, jednocześnie zaś nie było wiadomo, czy odległość pomiędzy dwoma tramwajami okaże się wystarczająca, wzrok mierzył ją bezwiednie, a dusza drżała ze strachu przed niezręcznym zderzeniem się ze sobą masy żelaza, przeczuwając, co jeszcze może się tego wieczoru wydarzyć, że stanie się to, co nieuniknione, aż wreszcie wśród tej ciszy wyrwał się zapowiadający szczęśliwe zakończenie, jeszcze bardziej wyzwolony okrzyk zwycięstwa, kaskada śmiechu, wspólne wyzwolenie najzwyczajniejszej i najbardziej elementarnej radości, w tym momencie ja też nie miałem już żadnego powodu, by nie wrzeszczeć, a czołg odjechał w stronę ulicy Váci.

Szliśmy, ale po kilku krokach pochód utknął w niespodziewanym ścisku, i powoli, wlekąc się krok po kroku, posuwał się naprzód; przed sklepem fotograficznym Album Uśmiechu wielka grupa ludzi stłoczona w nieruchomym korku wcisnęła się na skråcający ostrym łukiem chodnik, po drugiej stronie na środku jezdni drogę tarasowały stojące tramwaje, nikogo jednak niewprawiające w stan zniecierpliwienia.

Przed oświetloną witryną sklepu na skrzynce stała szczupła kobieta w prochowcu, wyglądało to tak, jakbyśmy widzieli tylko sylwetkę kobiety, wysoko, ponad głowami zwróconych ku niej głów słuchaczy, zza których nie było widać jej nóg, przeżyło się gniewnie jej

zastygłe w bezruchu ciało, kobieta zawzięcie potrząsała głową, obracała nią na wszystkie strony, cięła powietrze, jej długie włosy falowały, opadały i rozwiewały się, i tylko dlatego nie odfrunęły z miejsca, że jakaś niezłomna siła trzymała jej stopy na skrzyni; Szentes przyciskał do mojego biodra kant podniesionej w górę tablicy, zobacz!, był ode mnie wyższy, pierwszy ją zauważył, a Stark odczytał znaną na ziemi ulotkę, „pięć, dosyć już pięknych słówek, sześć, koniec stalinowskiej polityki gospodarczej, siedem, niech żyje Polska, osiem, żądamy robotniczych rządów w fabrykach, dziewięć, żądamy uzdrowienia polityki rolnej, dobrowolnych spółdzielni rolnych, dziesięć, programu odbudowy kraju”, głos kobiety był ledwie słyszalny, a Stark, jak gdyby to była najbardziej oczywista na świecie rzecz, przerywając jej, powtarzał za kobietą, „niech idą do diabła, połamane maszty i żagle wiszą podarte”, i właściwie mnie nie zaskoczył, a fakt, że ten znany przez nas wszystkich wiersz recytuje moja cioteczna siostra, był niczym gorąca fala zadośćuczynienia, na skrzyni stała była żona mojego ciotecznego brata Alberta, do której półtora roku temu tak głupio i powodowany niczym nieuzasadnionym zaufaniem chciałem uciec od rodziców do Győr.

I jakkolwiek głupio by to nie zabrzmiało, od tamtej chwili, która mnie oczywiście uspokoiła i dała poczucie, że nie jestem tu jedyną osobą, której rodzinna sytuacja wydaje się na swój sposób szczególna, bo tutaj każdy jest w specyficznej sytuacji, i że te zgoła niepowседневne sytuacje nie przeczą sobie wzajemnie, gdyż wtedy wydawało się całkiem jednoznaczne, że musiałyby podać w wątpliwość uczucia, które były tu wszystkim wspólne, i nawet nie przyszło mi na myśl, by do niej podejść albo poinformować wszystkich, że ją znam, to była moja słodka tajemnica, ostatni argument i dowód na to, znalazłem się we właściwym miejscu, a mała Verocska, jak mama z powodu jej aktorskich ambicji nazywała ją z lekką drwiną, recytuje wiersz, ja zaś idę w pochodzie, ma do tego takie samo prawo jak ja, nawet jeśli nie wrzeszczałem razem z tymi wszystkimi, którzy mają prawo wrzeszczeć, jak na przykład Szentes, który przed kilkoma tygodniami, wiedząc bardzo dobrze, kim jest mój ojciec, fioletowy ze złości i gotowy do bójki wyrzeszczał mi prosto w twarz w jakiejś rozmowie, że „mieszkaliśmy w kurniku, rozumiesz, w kurniku, jak zwierzęta!”, albo Stark, który mieszkał tutaj na ulicy Visegrádi, a jednak nie poszedł do domu, i który kilka tygodni temu zaproponował mi, że pożycz mi grafion, bo nie można było dostać w sklepie, ale mieszkanie było zamknięte i musieliśmy pójść do leżącej w sąsiedztwie synagogi, gdzie jego matka była sprzątaczką, ona z nami poszła, otworzyła drzwi do mieszkania na parterze, w kuchni było już nakryte do obiadu, na kuchence stał malutki garnuszek i ja, mimo że się wstydziałem i sprzeciwiałem, musiałem zjeść obiad przeznaczony dla jego matki, która pełnym pokory głosem dała mi do zrozumienia, że wie, kim jest mój ojciec; i jako że żyliśmy w zgodzie, każdy z nas robił swoje, dlatego wydaje mi się, że mam prawo czuć to samo, już choćby dlatego, że oni też nie odmawiali mi tego prawa, więc mam prawo nawet wówczas, gdy moja szczególna sytuacja wydawałaby się temu przeczyć, bo uciekając się do bardzo subtelnej różnicy pojęciowej, wiem, że od chwili, w której w recytującej kobiecie rozpoznałem małą Veroczkę, nie byłem już ani niedoinformowany, ani pozbawiony uczuć, ani głupi, mogłem wiedzieć i wiedziałem, że to jest rewolucja, że biorę w niej udział, że to jest rewolucja, którą mój ojciec, gdyby tu był obecny, też by dostrzegł, wiedziałem jednak, że nie może tu być, a gdzie teraz jest, nie mam pojęcia, gdzieś się ze wstydu ukrył, i że te wszystkie wydarzenia określiłby zupełnie innym słowem.

I od tego, że te dwa brzmiące obok siebie słowa tak czysto i dokładnie odezwały się w mojej głowie, natychmiast wskazując mi drogę w dotychczas strasznym, duszącym, beznadziejnym chaosie takich samych albo też różnych ludzkich uczuć, dwa słowa, których znaczenie, wagę,



polityczny wydzźwięk poznałem we wczesnej młodości z ich rozmów i dyskusji, choć podkreślam, że w tamtej chwili dla mnie to była rewolucja, i nie tak przyszły mi na myśl, nie tak wypożyczyłem je z ich słownika, jak sprzeczności pełne politycznych sensów, jak kilka skrajnie różnych w swoim znaczeniu pojęć, lecz jako słowa, które dotyczyły mnie w najbardziej osobistym wymiarze, jak gdyby jedno z nich było jego ciałem, a drugie moim, jakbyśmy z naszymi słowami stali po przeciwnych stronach wspólnych cielesnych uczuć, to jest rewolucja, powtarzałem w myślach, jak gdybym mówił to jemu, jak gdyby to miały być ponura zemsta i zadośćuczynienie, jak gdybym chciał wszystko wytrzeć z pamięci, choć nie wiem nawet co, a on nie potrafił odpowiedzieć inaczej jak swoimi słowami, których znaczenie było zgoła przeciwne, mimo to jednak nie czułem, by był dla mnie kimś dalekim, wręcz przeciwnie, po śmierci matki całkowicie się załamał, jego zgarbione, zniszczone, budzące litość ciało, którego sam widok napawał strachem, strachem przed niszczącym brakiem perspektyw, jego zgnębione ciało, od czerwca tamtego roku, ze względu na przykrą rolę, jaką odgrywał w toczących się procesach, zawieszono go w pełnieniu obowiązków, odnalazło jednak w sobie pokłady przyprawiającej o złość, wścieklej energii, spiskował z jakimiś nieznanymi nikomu z nas podejrzanymi typami, i stał mi się tak bliski, jak niegdyś w dzieciństwie, kiedy wykorzystując, że śpi, nagi włożyłem na jego piękne nagie ciało, i chcąc zaspokoić własną ciekawość, powodowany potrzebą potwierdzenia, że jesteśmy ze sobą tożsami, wsuwałem dłoń pomiędzy jego uda, teraz jednak całkiem na trzeźwo, bo bliskość i poczucie cielesnej tożsamości nie zmieniały faktu, że różnice pozostają różnicami, szedłem, szedłem razem z nimi, z ludźmi, których ledwie znałem, ale to właśnie tutaj doznawałem poczucia braterstwa, znaczyli bowiem dla mnie to samo, co niegdyś Krystian, którego ojciec poległ na wojnie, Hédi, której ojca aresztowano, Liwia, która musiała jeść resztki przynoszone ze szkolnej stołówki, Prém, którego ojciec był zapijaczonym nilaszowcem, Kálmán, który z powodu ojca był obcy klasowo, Maja, z którą szukaliśmy dowodów zdrady, szperając w ojcowskich dokumentach, aby zwiedzeni własną niewinnością i łatwowiernością, zanurzyć się w błocie epoki, w czymś, czego nie można zapomnieć, od czego niepodobna się wyzwolić, szedłem z nimi i za nich się bałem, możemy to nazwać strachem albo obawą, niebezpiecznie, obserwując twarze spotykających się u ojca znajomych, mogłem się domyślać, czemu się przeciwstawiają, podobnie bałem się o udręczone, przygarbione, rozgorączkowane ciało ojca, które jednocześnie było moim ciałem, a ja nie umiałem i nie chciałem dłużej ulegać własnym emocjom.

Wreszcie, rozpychając się w tłumie, wydostaliśmy się na bulwar.

Żeby umiał opisać siebie jakimiś pojęciami, niechby to były pojęcia, którymi posługiwali się moi dziadkowie, kryteria moralne służące opanowaniu emocji i gniewu, odnoszące się do ludzkiej moralności, czy trudniejsze do uchwycenia polityczne i ideologiczne kryteria moich rodziców, nie były to dla mnie nieznanne sprawy, bardzo dobrze pasowały do wychowania, jakie otrzymałem, i wydaje się całkiem naturalne, że teoretyczne pojęcia, za pomocą których chciałem raz na zawsze odróżnić się w tym tłumie od mojego ojca, zmieniły mnie w niedojrzałe, małe dziecko, a strach, który odczuwałem za niego, okazał się silniejszy, silniejsze okazały się dziecięce utożsamienie, zrozumienie i współczucie, bo przecież to w końcu przy pomocy używanych przez niego pojęć znajdowałem w tłumie wsparcie dla mojej labilnej, a w każdym razie wymagającej wyjaśnień sytuacji, lub może straszne poczucie wspólnoty w żałobie po śmierci matki okazało się silniejsze, i kiedy wydostawszy się z korka, zaczęliśmy biec, by dogonić idących przed nami, co w tłumie jest rzeczą konieczną, trzeba ich dogonić!, szkolna teczka uderzająca o moje kolana, niezdarne wymachiwanie tabliczką do pisania, ekierka, która

zawsze ześlizgiwała się ze swojego miejsca, odbierały wszystko tej rewolucji, jak gdyby przypominając mi o mojej niejasnej, pełnej zależności i podporządkowania sytuacji, mówiły, że nie mam czego tu szukać, tak mówiło każde uderzenie, szarpnięcie ekierki, wymachiwanie, tak samo rytmicznie, jak wcześniej wzywały do rewolucji, jak gdybym tylko dlatego winien jak najszybciej dostać się do domu, by wreszcie wyzwolić się od tych przebrzydłych przedmiotów, ale przecież nic się nie stało, uspokajałem się, biegnę w dobrym kierunku, uspokajałem się otoczony tłumem, jak ktoś, kogo nie dotyczą podobne problemy, jakoś przedostanę się przez most Małgorzaty, po drugiej stronie wsiądę do tramwaju, choć byłem pewien, że nie zastanę go w domu.

W tych wszystkich myślach uspokajające było też to, że mój dom znajdował się gdzieś daleko, na górze, daleko od niebezpiecznego uczuciowo terenu, daleko ponad miastem.

Dobrze się domyślałem, wrócił do domu dopiero po tygodniu, przez ten czas nie dostaliśmy od niego żadnej wiadomości ani telefonu, opowiadałem, niczego.

Aż pewnego popołudnia, już zmierzchało, opowiadałem, staliśmy w bramie z Krystianem, był dwudziesty ósmy albo dwudziesty dziewiąty, dyskutowaliśmy o składzie nowo powołanego rządu, nie!, na pewno był dwudziesty ósmy, trzymałem pod pachą bochenek chleba, tamtego dnia zaczęli znów piec chleb, w niedzielę piekli w piekarni należącej do rodziny Kálmána, a Krystian opowiadał, dziwnie się śmiejąc, jak udało mu się dostać do domu z Kalócsy, tym śmiechem próbował wypełnić milczenie, którym unikaliśmy mówienia o Kálmánie; Krystian kilka lat wcześniej po wielu staraniach trafił do wojskowego gimnazjum, chciał zostać oficerem, tak jak jego ojciec, właśnie byli w Kalócsy na jesiennych ćwiczeniach i tam, tak po prostu, w mundurach, rozpędzili ich wszystkich po puszcze, z tego tak się śmiał, każdy może sobie iść, dokąd chce, musieli jakoś pozbyć się mundurów, bo wszyscy patrzyli na nich jak na awoszów, i nagle zaskoczony zawołał, tam idzie twój ojciec!, i na dole, w krzakach, tam gdzie nasz ogród graniczył z zamkniętą strefą, ojciec przeskoczył przez parkan.

Krystian zmieszany i zawstydzony pożegnał się ze mną, no, idzie Węgier, powiedział ze śmiechem, co zrozumiałem tak, że nie chce być świadkiem tego sekretnego powrotu, szybko oddalił się w mroku zmierzchu, wtedy widziałem go po raz ostatni, a ojciec, niczego nie podejrzewając, spieszył na górę, ale nie przebiegł przez trawnik, lecz poszedł wzdłuż krzewów otaczających ogród, pod drzewami, z szybkich ruchów głowy mogłem się domyśleć, że mnie zauważył, ale był inny, niż pełen obaw widziałem go oczyma strachu, niż sobie wyobrażałem w napięciu wielodniowego oczekiwania, ktoś mi kiedyś powiedział, że wszystko zawsze wygląda inaczej, miał na sobie jakieś obce ubranie, jasny prochowiec, pod nim jasny, letni lniany garnitur, wszystko było wymięte, nie porwane, ale jakieś zmalretowane, i dziwnie zabłocone, choć przecież przez cały tydzień nie było deszczu, twarz miał mocno zarośniętą, ale spokojną, tylko całe jego ciało przepełniało jakieś nieznanne wewnętrzne podniecenie, którego nie można było nazwać ani zmęczeniem, ani strachem; widziałem, że przez te kilka dni jeszcze bardziej, o ile to możliwe, zeszcupłał, i może ta zwinność i giętkość jak u dzikiego zwierzęcia wydały mi się takie dziwne.

Letni lniany garnitur był pierwszą rzeczą, której na nim dotknąłem, nim zdążył mnie pocałować, to był bezwiedny gest, nie wiem, jak ludzkie oko jest w stanie odróżnić letni lniany garnitur od wszystkich innych lnianych garniturów, ale miałem całkowitą pewność, że ojciec wrócił do domu w garniturze Jánośa Hamara, w tym samym, w którym János Hamar wiosną poprzedniego roku przyjechał do nas z więzienia, w tym samym, który miał na sobie, kiedy przed bramą Urzędu Reparacyjnego dwóch obcych mężczyzn kazało mu wsiąść do czarnego

samochodu z firankami, w tym samym, w którym pięć lat później klęczał przed łóżkiem mojej matki, a więc byli razem, znów byli razem, albo pożyczyl mu ten letni garnitur, może pomagał mu lub go ukrywał, a może razem z nim walczył w zbrojnej grupie, którą kilka miesięcy wcześniej zorganizował mój ojciec, i kiedy już uwolniłem się od myśli o garniturze, natychmiast powiedziałem coś takiego, że wymierzył mi dwa policzki, jeden po drugim, uderzał gorączkowo, ale precyzyjnie, na zimno, omal nie upadłem, ale o tym opowiem później, powiedziałem do Melchiora, bo teraz nic by z tego nie zrozumiał.

Mówiłem, patrząc Melchiorowi prosto w oczy.

Jedną ręką chwycił mnie za dłoń, którą trzymałem się uchwyty, drugą trzymał się zwisającej rączki; podniesionym ramieniem i połą rozpiętego prochowca zakrywał nasze twarze i ręce przed wzrokiem współpasażerów, skrywał nasze miłosne gesty, nasze twarze zbliżyły się do siebie na odległość oddechu, ale ja mówiąc, nie zwracałem się ani do jego twarzy, ani do jego uczuć, lecz do jego oczu.

Nawet nie do obojgu oczu, zostały w mojej pamięci jak jedno jedyne, szeroko otwarte oko ginące w oddechu moich słów, piękne oko, którym musiał szybko mrugać, ukrywając błysk zrozumienia za firanką rżęs, odpoczywał, czekał, odkładał na później, piękna wypukłość zmysłowo drżącej skóry powiek, wymacuje, waha się, swoją otwartością zwyczajnie mnie pospiesza, żebym już dał sobie spokój z takimi szczegółami, chce zobaczyć to z większej perspektywy, zbyt wiele od niego wymagam, żeby nie tylko musiał wyobrazić sobie te wszystkie nieznanne twarze, ale też by umiał odnaleźć się w obcym sobie terenie, powiązać wydarzenia w czasie, śledzić w znanych mu tylko z ogólnych opisów historycznych albo w jedynie zasłyszanych zdarzeniach indywidualne i widziane ze specyficznej perspektywy ludzkie losy, a na domiar złego wyławiać sens z mojej pełnej potknięć i błędów niemiecczyny, z rozemocjonowanej, niekiedy aż niezrozumiałej intonacji i nieprawidłowo używanych wyrazów domyślać się, co też chciałem powiedzieć.

To stało się jeszcze w lecie, opowiadałem, może trzy tygodnie potem, jak zwolniono go z urzędu, tłumaczyłem, w niedzielę rano przyjechało do nas ze trzydzieści osób, ulica zappełniła się parkującymi przed naszym domem samochodami, sami mężczyźni, była z nimi tylko jedna młoda kobieta, towarzyszyła swojemu ojcu, smutnemu starszemu panu o schorowanym wyrazie twarzy, który bujał się na krześle, siedząc w milczeniu, czy raczej tylko wykonywał w kierunku kobiety gest sprzeciwu, kiedy ta chciała coś powiedzieć.

Wykorzystałem rodzinną sprzeczkę, żeby wkraść się do gabinetu ojca, gdzie ci wszyscy mężczyźni palili papierosy i skupieni w małych grupkach zawzięcie, niekiedy głośno dyskutowali albo tylko po prostu rozmawiali ze sobą, widać było, że od dawna się znają, często się spotykają i są ze sobą blisko zaprzyjaźnieni, po pewnym czasie ojciec wybiegł z pokoju poprosić babcię, żeby zaparzyła kawę, ale na nieszczęście w kuchni był też dziadek i nim babcia zdążyła obrażonym głosem powiedzieć: dobrze, dziadek chłodno, po raz pierwszy przerywając panujące między nimi od lat milczenie, czerwony ze złości i ataku duszności, zauważył, że niestety babcia nie ma na to czasu, bo o tej porze zawsze wychodzi w niedzielę do kościoła, więc jeśli chce poczęstować swoich niezapowiedzianych gości kawą, to będzie musiał sam ich obsłużyć.

Ojciec poprosił o kawę mniej więcej tak, jak szef prosi sekretarkę, więc odpowiedź dziadka musiała go zaskoczyć, tym bardziej że wydawało się oczywiste, iż dziadkowi nie chodzi o tę niewinną przysługę, ale że po prostu uważa za coś nieodpowiedniego, by mieli się zadawać z tego rodzaju towarzystwem; tak, dziękuję za łaskawe przypomnienie, wydukał, a kiedy wrócił

blady ze wściekłości, nie zauważył nawet, że za nim idę, albo rozszłoszczony na dziadka nie miał nic przeciw mojej obecności.

W każdym razie stanąłem obok drzwi prowadzących do mojego pokoju, gdzie oparta o framugę stała w nerwowej i obcej pozie tamta młoda kobieta ubrana w ładną jedwabną sukienkę w ciemne wzory.

Po jego zdecydowanych, choć powściągliwych krokach, przygarbionych, mocno przechylonych na bok plecach, opadających na czoło włosach i determinacji, z jaką przemierzył pokój pełen tonącego w papierosowym dymie towarzystwa, widać było, że szykuje się tu coś wyjątkowego i od dawna zaplanowanego; odepchnął fotel, wyciągnął z kieszeni klucz do biurka, otworzył szufladę, nagle jak gdyby się zawahał albo zmienił zamiary, nie wyciągnął szuflady, ale powoli opadł na krzesło i obrócił się w stronę gości.

Ten ruch i spojrzenie wypełniły pokój dziwnym drżeniem, jedni zamilkli albo ściszyli głosy, drudzy, spoglądając przez ramię, głośno kończyli rozpoczęte zdanie i rozmawiali dalej; a ojciec siedział nieruchomo i patrzył przed siebie.

I nagle, początkowo powolnym, potem szybkim jak błyskawica ruchem, wyszarpnął szufladę, coś z niej wyjął i pięścią, z której wystawała rękojeść pistoletu, wsunął szufladę, po czym cofając szybko dłoń, rzucił pistolet na pusty blat biurka.

Pistolet stuknął o biurko, zapadła cisza; pełna urazy, żalu i gniewu, durna cisza.

Przed otwartymi oknami stały w bezruchu drzewa, w równomiernym szumie liści słychać było padające na ziemię krople wody.

Ktoś zaśmiał się nerwowo, kilku mężczyzn niepewnie zawtórowało śmiechem, stał wśród nich bardzo młody oficer, może pułkownik, roześmiany, krótkowłosy blondyn o wesołej twarzy, który wśród tej ciszy wstał, swobodnym ruchem zdjął obwieszoną złotymi szamerunkami marynarkę munduru, miło się uśmiechnął, ostrożnie powiesił marynarkę na krześle, wtedy wszyscy zaczęli krzyczeć, a on, jak gdyby niczego nie słyszał, spokojnie rozsiadł się na krześle i w szalejącym gwarze zaczął skrupulatnie zawijać rękawy koszuli.

Krzyczeli, żeby się nie ośmieszał, nie robił przedstawienia, zwracali się do niego po imieniu, którego używał w podziemiu, Köles, widać było, że zrozumieli i po przyjacielsku ocenili to, co się wydarzyło; cyrk, histeria, wypraszają sobie, i żeby nie tracił zdrowego rozsądku.

Nie, w wyniku wydarzeń, jakie miały miejsce w ostatnich miesiącach, na szczęście odzyskał zdrowy rozsądek, odpowiedział ojciec, nawet nie podnosząc głosu ani nie patrząc na nikogo, i znów zapadła cisza, pusta, przenikliwa, głucha cisza, zaprosił ich tu powodowany szczerą nadzieją, że jest jeszcze w tym kraju kilka osób, które podobnie jak on nie chcą się poddać.

Siedział rozparty na krześle, nawet się nie poruszając, z dłońmi spoczywającymi na oparciach fotela, w poczuciu odzyskanej władzy, świadom potoczystego stylu wypowiedzianych zdań; nie chciałby zwracać swoją osobą nadmiernej uwagi ani wygłaszać wykładu, ciągnął cichym głosem, czuje zwyczajną, ludzką, przyznaje, głupio sentymentalną potrzebę, by przypomnieć zebrany o ich obowiązkach, które, nie teraz i nie tutaj, ale wszyscy z nas podjęli kiedyś na całe życie, uśmiechnął się, i dziś, obserwując rozwój wydarzeń politycznych w kraju, czuje, że nie będą mogli się od nich uchylić, nie patrzył nikomu z nich w oczy, ale z uśmiechem krążył wzrokiem pomiędzy wszystkimi, tym swoim przenikliwym wzrokiem, którego zawsze się tak bałem, w którym dostrzegałem szaleństwo, świadome okrucieństwo albo paranoiczny strach, proponuje więc, tu nie zrobił przerwy, niczym automat wyrzucał z siebie słowa: po namyśle doszedł do wniosku, że w celu zapobieżenia przejęciu władzy przez siły kontrrewolucji, muszą stworzyć niezależną od wojska, milicji i urzędów ochrony państwa, podporządkowaną

bezpośrednio odrębnemu dowództwu, niezależną siłą zbrojną.

Czułem, że ostatnie słowa tego zdania zawisają w powietrzu pomiędzy akceptacją tego zrozumiałego i oczywistego pomysłu a gorącą, pełną potępienia dezaprobatą; dopiero potem wybuchł niesamowity chaos, latały krzesła, przypadkowo popychane i świadomie rzucone, ktoś walił pięścią w stół, ktoś uderzał kolanami, słychać było wrzaski, pełne drwiny chichoty, rozlegały się gwizdy, może nie zawsze pełne wrogości, charczenia, celowo obłeśne śmiechy, uderzenia i piski, choć niektórzy trwali w milczeniu, młoda kobieta odsunęła się od framugi, też chciała coś powiedzieć, jej twarz wyrażała oburzenie, na policzkach wystąpiły czerwone plamy, pułkownik stojący na środku pokoju obracał głowę, cicho się uśmiechając, a mężczyzna o smutnym obliczu, przestając na chwilę bujać się na krześle, skinął na kobietę, by umilkła, i bujał się dalej.

Muszę przyznać, powiedziałem szesnaście lat później Melchiorowi na platformie berlińskiego tramwaju, że wcale nie czułem się wtedy źle, co więcej, podobało mi się, cieszyłem się, i to wcale nie dlatego, że mimo moich wszystkich rozsądnych przemyśleń, do których oczywiście nie byłem zdolny, imponowała mi władza ojca, jego siła i bezrozumna determinacja, które cokolwiek by nie wróżyły, w oczach nastolatka zawsze będą stanowić pociągający przykład do naśladowania, tak samo było z Prémem, którego faszystowski ojciec bił pasem i kijem, a on był dumny z siły tego zapijaczonego bydlaka, ze mną było jednak wręcz przeciwnie, wiedziałem o nim coś, czego członkowie tego towarzystwa nie mogli wiedzieć, oni oceniali wydarzenie z politycznej i ideologicznej perspektywy, ja odwoływałem się tylko do własnych emocji i wiedziałem, że ta szalona scena, jakkolwiek by się upierał, że nie chce zwracać na swoją osobę nadmiernej uwagi, stanowiła dla niego jedną jedyną szansę, by mógł się wyzwolić od własnego szaleństwa, by wyrzucił z siebie własne szaleństwo; wpadał w obłąd, jak więc nie miałem się cieszyć z tej nieoczekiwanej chwili umysłowej jasności; ojciec od śmierci mamy, a dokładniej: od przyjazdu Jánosa Hamara, wpadał powoli w obłąd, i choć minęło zaledwie kilka dni od chwili, kiedy siedzieliśmy w kuchni przy kolacji, kiedy na mnie spojrzał, zobaczyłem w jego oczach, że mnie nie widzi, że widzi kogoś albo coś, coś, co go od dawna dręczy, i ta udręka jest tak dotkliwa, że otwiera pełne jedzenia usta, jak gdyby chciał tego kogoś albo to coś pokonać, choć drży ze strachu, zaczął wrzeszczeć na całe gardło, pluł na wpół pogryzionymi kęsami, jedzenie ulewało mu się z ust, na stół, na moją twarz, ze znieruchomiałych oczu popłynęły łzy, a on wrzeszczał do mnie, stojąc przed wyłożoną białymi kafelkami ścianą, ale dlaczego, dlaczego, dlaczego, dlaczego, dlaczego, a ja zmagalem się wraz z nim z tym krzykiem, aż wreszcie umilkł, nie z tego powodu, że go objąłem, dotknąłem ręką czy przytuliłem, nie z powodu tego, co człowiek ma w takiej sytuacji, bo nie ma niczego innego, tylko ręce i nogi, nie wiem dlaczego, może dlatego, że zwyciężył w nim ten ktoś lub to coś, bo czułem na swoich rękach, czułem własnym ciałem, że on niczego nie czuje, jest zesztyniały do niemożliwości, już go tam nie było, zwiesił głowę nad talerzem z potrawką z jarzyn, jak gdyby i tym chciano go poniżyć, że musi jeść duszone jarzyny.

Melchior puścił rączkę i skinął głową, że wsiadamy.

Tramwaj stał na placu, na ostatnim przystanku, wreszcie powoli ruszył, zakręcając z piskiem na szynach, ciągnął za nami smugę bladego światła, mieliśmy jechać w kierunku Festungsgraben, gdzie wśród zaniedbanych kamienic stał odświętnie oświetlony, ascetycznie klasycystyczny budynek teatru; jedna z tych niewielu budowli, które zostały oszczędzone przez kaprysy wojny, te bowiem zniszczyły jedynie stary park pełen cudownych kasztanowców.

Inni też szli w tamtą stronę, wyczyszczone do błysku czarne męskie buty, tanie wieczorowe

suknie ciągnięte po asfalcie, zaczepiające co chwilę o wysokie złote obcasy, my jednak jeszcze chwilę zostaliśmy na przystanku, jak gdyby czekając, aż sobie stąd pójda i choć na chwilę ciemny plac będzie należał tylko do nas.

Z całą wyrazistością obudziło się w nas obu uczucie, że musimy zostać sami.

Dziwne jest też, ciągnąłem, kiedy wreszcie ruszyliśmy mroczną ulicą w stronę teatru, że ciągle mylił nazwy, używał tej starej, nazywał plac Marksa placem Berlińskim, o tej i o tej bądź na placu Berlińskim, ale kiedy już wypowiedział nazwę, natychmiast się poprawiał, na placu Marksa pod zegarem, dlatego mi się to przypomniało, tłumaczyłem, że wtedy, w tamtą niedzielę nie potrafili dojść do porozumienia, przez kilka godzin wrzeszczeli bez sensu, aż wreszcie młoda kobieta w jedwabnej sukience odezwała się mimo sprzeciwu swojego ojca, jak gdyby nie potrafili się zdecydować, co mają sądzić o propozycji mojego ojca, z jednej strony zarzucali mu sekciarstwo i tworzenie frakcji, ktoś powiedział, że to spisek, nazywali go zwyczajnym prowokatorem, żądali, żeby wyjawiał, kto jest jego zleceniodawcą, słowem: dali mu do zrozumienia, że niezwłocznie go zadenuncjują, z drugiej strony przyznawali, że taka sytuacja nie może trwać dłużej, że ÁVH<sup>[2]</sup> doszedł do ściany, milicja nigdy nie była godna zaufania, sztab oficerski węgierskiej armii gnije w oczach od ciąglego politykowania, niebawem wypuszczą z więzień pospolitych przestępców, należałoby coś zrobić, dopóki nie jest za późno, jeszcze wczoraj każdy był wrogiem każdego, dziś wszyscy się ze sobą fraternizują, najbardziej godnych zaufania komunistów stawia się pod pręgierzem, szuka się kozłów ofiarnych i ich znajduje, działania rządu nie odnoszą żadnego skutku, bo albo nie są wykonywane, albo nie osiągają zamierzonego celu, wszyscy zajmują się tylko przeszłością, łowią ryby w mętnej wodzie, wyciąga się nawet historie z Hiszpanii, zachowanie prasy jest bulwersujące, cały aparat pełen jest hamulcowych i lawirantów, najpodlejsze pismaki żądają wolności prasy, nikt nie pracuje, administracja państwowa w zasadzie nie działa, każdy po cichu zajmuje się swoimi sprawami i oczywiście pracuje na dwie strony, a do tego dochodzi jeszcze wywrotowa praca wrogich elementów; jest więcej niż pewne, że państwo stało się niesterowalne, a każdy zdecydowany krok okazuje się prowokacją, nie wolno więc rozbijać jedności kolejnymi niepotrzebnymi frakcjami, kto ma tu mówić o jedności, skoro oni sami nie potrafią ustalić wspólnego stanowiska, nastawianie przeciw sobie rozmaitych organów państwowych jest rzeczą nieroztropną, nie wolno ciągnąć w różne strony, należy budować zaufanie, to wszystko jest zadaniem propagandy, każdy radykalny krok jest tylko dolewaniem oliwy do ognia, raczej należy dokonać czystek w prasie, a ten, kto wychodzi z takimi pomysłami, bezwiednie działa na rzecz wrogich sił, nie można siusiać pod wiatr, kiedy płonie dom, nie gaśmy go olejem, a mój ojciec siedział nieruchomo i milczał, teraz już nie patrzył na nich z daleka, nie kierował wzroku pomiędzy ich twarze, ale z wyraźnie przyjaznym, zabarwionym rozkoszą uśmiechem przesunął wzrokiem po twarzach rozmówców, niczym ktoś, kto wreszcie dotarł do celu i znalazł się w domu, co po pewnym czasie jeszcze bardziej skomplikowało całą sytuację, bo w tych, którzy ani nie byli po jego stronie, ani nie wyrażali wrogości wobec jego zamysłu, mogło obudzić się pytanie, czy przypadkiem ojciec nie jest jednak prowokatorem, siedzi sobie spokojnie, bo tym głupim pistoletem wywołał wilka z lasu, a oni, ci najzagorzalsi w dyskusji, mogli zadawać sobie pytanie, dlaczego siedzi tak spokojnie, czy przypadkiem nie działa na czyjeś zlecenie, może ma kogoś w najwyższych kręgach, może coś wie, podczas gdy oni bezmyślnie wykładają na stół najbardziej sekretne karty?

I wtedy ojciec się odezwał, cicho, kiedy nad tym rozkrzyczanym towarzystwem górę wzięła

podejrzliwość, nie krzyczeli już tak głośno, trochę się uspokoili, w gniewnej gestykulacji pojawiła się nuta niepewności; nie, nie po to ich tu zaprosił, odezwał się powściągliwym, ale władcym tonem, by dyskutować o potrzebie czy braku potrzeby jego zamysłu, ale po to, by porozmawiać o jego wcieleniu w życie.

Szaleńcza i bezczelna siła jego słów rozwiała wszelkie wątpliwości, bo przecież tylko człowiek, przez którego przemawia własne przekonanie, potrafi być tak obłudnie agresywny, i znów zapadła cisza.

Wszyscy w tym towarzystwie posługiwali się jedynie ideologicznymi i politycznymi kategoriami, obchodziły ich tylko wypracowanie taktyki i utrzymanie konsekwencji we własnym postępowaniu, nie dostrzegali więc, że ojciec nie dlatego uciszył ich podejrzliwość, że zalewając ich morzem argumentów, precyzyjnymi ciosami własnych racji potrafił ich przekonać, ale dlatego, że sam sposób jego argumentacji był szalony, że stanął przed nimi szaleniec.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, kiedy wyrzucając w powietrze ramię w geście błagania i sprzeciwu, nagle odezwała się młoda kobieta, jej smukłe palce drżały w powietrzu, prosi o wybaczenie, zaczęła, zaskoczyło mnie, jak głęboki, schrypnięty, gładki i przenikliwy głos dobywał się z tego delikatnego, drżącego z emocji ciała, ona bowiem, przysłuchując się dyskusji, odnosi wrażenie, jak gdyby znalazła się nie w obcym kraju, ale na obcej planecie, mówiąc szczerze, nie wie i nawet ją to nie interesuje, gdzie mieszkają członkowie tego szacownego towarzystwa, ale wydaje się jej, że w kraju, w którym ona mieszka, dużo bardziej oczywistym i praktyczniejszym rozwiązaniem byłoby przywrócenie wolnych, demokratycznych i tajnych wyborów niż powoływanie do życia jakichś prowokatorskich sił zbrojnych, i żeby byli łaskawi pamiętać, że nie jest jedyną osobą, która hołduje takim poglądom.

Kiedy mówiła, cała aż drząc z gniewu, jej ojciec przestał miarowo huśtać się na krześle, dwie stopy mocno oparł o podłogę, ani w tył, ani w przód, i z taką obojętnością i smutkiem w oczach patrzył przed siebie, jak ktoś, kto dobrze wie, do czego kobieta zmierza.

To niesłychane, po prostu niesłychane, jak gdyby powiedziała coś tak niebywale niestosownego, że nie można ani nie wolno nic na to odpowiedzieć, coś, na co nie wolno patrzeć ani czego nie wolno słyszeć, nie trzeba po prostu przyjmować do wiadomości czegoś, co jest zwyczajnie poza wszelką dyskusją, należy jak najszybciej przejść nad tym do porządku dziennego, tylko że tu zabrakło potrzebnego gestu; wszyscy siedzieli odrętwiali w bezruchu.

Ojciec kobiety głośno stuknął krzesłem o podłogę, i był to nie tylko świadomy gest, ale też stanowczy głos jego odpowiedzi, jak gdyby chciał powiedzieć: no, tego już dosyć!, po czym powoli, dostojnie podniósł się z krzesła, to mógł być znak wskazujący drogę do rozwiązania tej niefortunnej sytuacji, podszedł do mojego ojca i czułym, łagodnym ruchem kładąc dłoń na jego ramieniu, zaczął niezbyt głośno i niezbyt cicho mówić, tak, żeby usłyszeli wszyscy, którzy chcą go usłyszeć, wszak on uważa przedstawiony zamysł za godny najwyższej uwagi i z pewnością zasługujący na to, by w jakimś innym terminie, takim czy innym, może w szerszym gronie albo wręcz przeciwnie: w ściślejszym gronie, do niego powrócić, ale skoro padło tu tyle wartych zastanowienia argumentów za i przeciw, on ze swojej strony, w tym momencie i w tych okolicznościach, uważa za pochojne, a nawet za niemożliwe, zajęcie jakiegokolwiek stanowiska, wtedy wszyscy już znowu rozmawiali, podświadomie przejmując ten sam ton, pełen rozważli, dający czas do namysłu, niezbyt głośno i niezbyt cicho, jak gdyby nic się nie wydarzyło, szybko zmieniając temat albo nawet go nie zmieniając, ale już innym tonem, bez emocji.

Inni też wstali, zaczęli pokasływać, szykować się do wyjścia, ktoś zapalił papierosa, ktoś wyszedł na taras, ukradkiem spoglądali po sobie, śmiali się, czyniąc aluzje do wypowiedzianych

słów; dokładnie tak jak w towarzystwie złożonym z osób wyznających różne poglądy albo na niezbyt ciekawym przyjęciu.

Pewnie wydaje ci się, powiedziałem po drodze do Melchiora, że mówili bez składu i ładu, wiem jednak, że tamta niedzielna dyskusja nie zakończyła się pełną klęską, a nawet tamta młoda kobieta w pewnym sensie pomogła im w wyklarowaniu własnego stanowiska, bo kiedy kilka dni później umówiłem się z ojcem, że będę na niego czekał na placu Marksa, chcieliśmy kupić buty czy coś w tym rodzaju, czekałem półtorej godziny i nie przyszedł, ale kiedy w nocy wreszcie wrócił do domu, cały przesiąknięty dymem papierosowym, zaszepcony, ale pełnym nadziei głosem oznajmił, że musiał pójść na bardzo ważne, przełomowe spotkanie, z którego, ma się rozumieć, nie mógł wyjść, bardzo mnie przeprosza, z jego niespotykanie uprzejmego tonu wywnioskowałem, że nie odniósł sukcesu, ale nie poniósł kolejnej porażki, więc groźba szaleństwa odsunęła się choć na chwilę.

Zamilkłem jak ktoś, kto chce jeszcze coś powiedzieć, i nie miałem pojęcia, co mogę dodać, nie wiedziałem nawet, jak się tu znalazłem, w tej nagle dalekiej, obcej i pełnej fałszu historii stukwały po chodniku nasze kroki, Melchior nie odzywał się, nie mógł wiedzieć, co chciałem mu powiedzieć, o nic nie pytał, nie patrzyliśmy na siebie, a ja się cieszyłem, że nie muszę już nic więcej mówić.

I nagle w tej ciszy, przerywanej wspólnym rytmem kroków, która właściwie wcale nie była ciszą, ale raczej brakiem właściwych słów, ogarnęło mnie uczucie, że to wszystko, co dotąd powiedziałem, było całkowicie daremne, słowa i tylko słowa, enigmatyczna i zbędna plątanina słów, same obce słowa, którym opiera się mój język, po co mówić, skoro nie znajdujemy słów, nawet w moim własnym języku nie znajduję słów, które pokierowałyby mną w tej historii, bo nic mną nie kieruje, nie ma żadnej historii, skoro bolesny przymus pamiętania zatrzymuje mnie przy nieistotnych czy uważanych za nieistotne szczegółach; w tamtej chwili na przykład krążyłem w okolicy tamtego placu Marksa, na którym czekałem na ojca, przyjdzie czy nie przyjdzie, i nie potrafiłem oderwać się od tamtego obrazu, ale dlaczego miałbym teraz o tym opowiadać?

Opowiedzieć można tylko część zdarzeń, a ja chciałem naraz opowiedzieć wszystko, powiedzieć o całości, wlać ją w jego ciało, dać mu ją, z tej mojej wielkiej miłości puścić pawia całej historii, ale gdzie się zaczyna i gdzie się kończy ta idealna całość, pozbawiona mojego ciała, jak mam ją wyrazić obcymi słowami, które z trudem potrafię wypowiedzieć?

I jeśli dotychczas o wszystkim milczałem, jeśli o tym nie mówiłem nikomu, to czyniłem tak, by historia ta nie przeobraziła się w pełną przygód opowieść, by nie stało się bajką to, co nie jest bajką, by słowa nie sprowadziły tej historii do zwykłej fabuły; raczej chciałem żywcem zakopać ją w krypcie pamięci, tam gdzie nikt nie będzie jej niepokoił.

Jak gdybym na tej mrocznej ulicy znieważył zmarłych.

Czyż nie milczenie jest najpełniejszą całością?

Szliśmy obok siebie, ramię w ramię, głowa obok głowy, a ja w tym moim molestowaniu go nie dostrzegłem, że dlatego było mi tak trudno, że przywykłem mówić, patrząc mu w oczy, i teraz mi tego brakowało.

Jednocześnie w bezdusznym pustym stukocie czułem, że każdy z naszych harmonijnych kroków, które przybliżały nas do budynku teatru, wyznacza granicę przymusowi mówienia, a więc nie ma problemu, już i tak koniec, moja opowieść pozostanie bez zakończenia, i tak właśnie powinno być, wejdziemy do środka, obejrzymy przedstawienie, a resztę opowieści zachowam dla siebie, i w ten sposób nie dokona się wstyd ludzkiej mowy.



Długie smugi światła unoszące się wokół reflektorów wrywały budynek z jesiennego wieczora, wnosił się przed nami w lodowatym błysku świateł jak nieforemne kartonowe pudło, kiedy zaś weszliśmy do obnażonego oświetleniem pomieszczenia, w którym ludzie z lekka osłepieni spieszyli spożyć wieczorną strawę zapomnienia i relaksu, chciałem jednak coś mu powiedzieć, coś ciekawego, coś zabawnego, cokolwiek, co zakończy tę naszą niezbyt udaną wyprawę.

Wiesz, powiedziałem bez zbytniego zastanowienia, bo ciągle jeszcze krążyłem na moim dawnym placu, placu Marksa, który mój ojciec przez pomyłkę ciągle nazywał placem Berlińskim i który pozostanie w mojej pamięci również dlatego, że kiedy czekałem tam na niego, opowiadałem, zamierzając intonując słowa z lekkością, z Ilkovitsa, dodałem natychmiast, że była to w owych czasach modna w mieście knajpa, wytoczyło się podpite towarzystwo, mężczyźni i kobiety, jakaś prostytutka zawiesiła na mnie wzrok, podeszła do mnie, myślałem, że chce o coś zapytać, i z gotowością się ku niej odwróciłem, a ona wpiła się we mnie paznokciami, wgrzyła się w moje ucho, dysząc, bym z nią poszedł, z przyjemnością mi obciągnie, za darmo, bo na pewno mam słodkiego małego ptaszka.

Co do tego akurat się nie myliła, dodałem ze śmiechem, żeby było jeszcze zabawniej.

Melchior zatrzymał się i wcale się nie roześmiał, ale spojrzał na mnie z kamiennym wyrazem twarzy.

Zmieszany opowiadałem dalej, jest tylko pijaną kurwą, a nie kobietą z towarzystwa, powiedziała, ale żebym się nie obawiał, doskonale wie, co lubią tacy młodzi słodcy chłopcy.

Melchior z obojętną miną dał znak swojej dezaprobaty, po czym chwycił mnie za dwie ręce, tuż przy łokciach, jego twarz zbliżyła się do mojej, na jego twarzy pojawił się blady uśmiezek, nie na ustach, ale w oczach, nie śmiał się z mojej żartobliwej dygresji, ale ze swojego przemożnego zamiaru, że tutaj, na środku tonącego w światłach placu, na oczach ludzi spieszących do teatru, gorąco pocałuje mnie w usta.

Po tym gorącym, tkliwym pocałunku nastąpiły kolejne pocałunki, całował mnie w nos, w powieki bezwiednie zamkniętych oczu, w czoło, w szyję, jego usta przesuwają się szybko, uderzając dotykiem; nie wydaje mi się, by ktokolwiek to dostrzegł, a jeśli nawet, to nikt nie przywiązywał do tego większej wagi, wszak nie ukrywam, że wiele stracili, aż wreszcie opuściliśmy ramiona, którymi raczej z obawą się odpychaliśmy, niż obejmowaliśmy, i znów patrzyliśmy na siebie.

Odzyskałem przynajmniej jedno jego oko.

Wtedy wreszcie się roześmiał, zza mięsistych ust błysnęły silne, zwierzęce, białe zęby, wskazał dłonią wejście do teatru, dodając, że w gruncie rzeczy nie musimy tam iść.

Rzeczywiście, nie musimy.

Mogą grać bez nas.

Mogą.

Tylko że to oko, w tamtej chwili, kiedy staliśmy wśród widzów spieszących na spektakl, mówiło już coś zupełnie innego.

To tyle, powiedziałem.

Obrzucił mnie pięknym, zagadkowym, pełnym spokoju uśmiechem, którego wówczas nie zrozumiałem, bo nie był to ten sam co zawsze, wieczny, nieznikający z jego twarzy uśmiech miłości i nienawiści, byłem od niego zależny, a on, może nawet nie po raz pierwszy w naszej historii, niewinnie mnie wziął w posiadanie.

Czegoś takiego musiał się o mnie dowiedzieć, czegoś, co lubił albo czego nienawidził, bez

znaczenia, czego się nie spodziewał, albo na co dotychczas nie znalazł wytłumaczenia.

Wydawało mi się, że jednak powinienem ukryć twarz w słowach.

Nie poruszył się z miejsca, wyglądaliśmy, jakbyśmy się kłócili.

W swoim nienagannie skrojonym garniturze, splecionymi dłońmi odrzuciwszy w tył poły rozpiętego płaszcza, stał przede mną lekko pochylony w tym nieprzyjemnie ostrym świetle i z mocno powątpiewającym wyrazem twarzy niemal całkowicie przymknął oczy.

Wiele osób teraz na nas spoglądało, ale wszyscy z nich się mylili.

Chodźmy do domu, odezwałem się.

Lekko wzruszywszy ramionami, chciał już ruszyć z miejsca, tymczasem mnie nogi wrosły w ziemię.

O tym wszystkim tylko dlatego mu opowiedziałem, dodałem niepewnym głosem zależnej od niego osoby, by zrozumiał, dlaczego nie potrafiłem wyjść z tłumu i pójść do domu, zresztą nieważne, ale teraz już chyba mnie rozumie.

Nie chciałem więcej o tym mówić.

Oczywiście, że rozumie, jakżeby inaczej, odparł zniecierpliwiony, choć nie jest do końca przekonany, że rozumie mnie dokładnie tak, jak chciałem, żeby mnie zrozumiał.

Mogłem po prostu coś odpowiedzieć, cokolwiek, co przerwałoby tę męczącą, nieprzyjemną ciszę, gdyż jednocześnie chciałem mówić i mówić nie potrafiłem, aczkolwiek wcale nie miałem zamiaru odbierać mu tego, czego się ode mnie dowiedział i co z takim niecierpliwym zapałem wziął w posiadanie, i co oczywiście było ostrzeżeniem, że nie mogę, ot tak, powiedzieć czegokolwiek; ale nie dlatego nie potrafiłem o tym mówić, że musiałbym wyjawić jakąś wielką i trudną prawdę, wręcz przeciwnie, przed opisaniem najprostszych zdarzeń powstrzymywał mnie jakiś dotychczas zupełnie nieznan mi wstyd, głęboki wstyd ciała, bardziej niebezpieczny niż nagość, gdyż wszystko, co z perspektywy tyłu minionych lat mogłem powiedzieć o moich osobistych przeżyciach, wydawało się przypadkowe, głupie, małostkowe, śmieszne i nieporadne w porównaniu do tamtych wydarzeń, które niema pamięć historyczna zachowała jako wielką tragedię.

Jeśli idzie o finalny rozwój wypadków, to w żadnej mierze nie uważałem za słuszne, by przerwać w połowie moją opowieść, ale nie chciałem też opowiadać o objającej się o moje nogi teczce rysunkowej, wysuwającej się podczas biegu ekierce czy wypchanej szkolnej teczce.

Jednak do mojej osobistej rewolucji te wszystkie przedmioty jakoś głupio przynależały, a ponieważ swoim ciężarem i niezręcznością zmusiły mnie do znalezienia odpowiedzi na pewne pytanie, pytanie, które z perspektywy dnia codziennego mogło się wydać pozbawione wagi i znaczenia, gdyż dla rozwoju wydarzeń było nieciekawe i nieważne, mianowicie: czy pewien jasnowłosy gimnazjalista zdoła wydostać się z tego półmilionowego tłumu, czy też w nim utkwii; powiedziawszy brutalnie, rodziło się we mnie pytanie, czy jestem zdolny do tego, czy uważam ojcostwo za czyn konieczny, co wcale nie było pytaniem nieistotnym, bo takie właśnie pytanie tamtego wtorkowego wieczora, tak czy inaczej, zadawali sobie wszyscy.

Ściślej mówiąc, gdyby ktokolwiek zadał sobie to pytanie w tak przerysowany i w tak brutalny sposób, zapewne by tam nas nie było, nie szlibyśmy razem, zatopieni w ciepłe swoich ciał, w kierunku wyznaczonym przez jakieś nieznan nam moce, z przerażeniem zaprzeczając łączącej nas sile, tylko każdy na łeb na szyję uciekałby do swojej zadbanej albo nędznej, albo też wytwornej kryjówki, wtedy nie byłibyśmy tłumem, lecz rozszalałą hordą, rozbiegającym się na wszystkie strony ludzkim zbiorowiskiem, plebsem niszczącym samego siebie w bezsensownym gniewie, ponieważ człowiek, podobnie jak dzikie zwierzęta, w gruncie rzeczy nie marzy

o niczym innym jak o pokoju, ciepłe słońca, miękkim gnieździe, spokoju, cichym płodzeniu potomstwa, i tylko wówczas staje się skory do walki, gdy nie jest w stanie obronić i uchronić spokoju swojego gniazda, pożywienia, swojej pary czy potomstwa, zapewnić im bezpieczeństwa, ale nawet wtedy jego pierwszą myślą nie jest mordowanie!

Tak było właśnie wtedy, w letnim wieczornym powietrzu gorączka walki ujawniała się tylko w tym, że szliśmy, szło nas tak wielu, szliśmy przeciw czemuś albo przeciw nim, ale wcale nie było jasne, co to miało być albo kim mieli być ci oni, każdy myślał o swoich sprawach, zmagał się ze swoimi dylematami, każdy wraz ze wszystkimi swoimi niepotrzebnymi przedmiotami niósł ze sobą własne pytania, na które właściwie nie musiał udzielić ostatecznej odpowiedzi, a jeżeli nawet się na takową zdecydował, to i tak nie wiedział dokładnie, co pozostali pomyślą o jego decyzji, więc wykrzykiwał hasła, krzyczał albo milczał.

Wydaje mi się, że wtedy wszystko miało swoje znaczenie, bo przecież każdy krzyk, każde hasło czy każda strofa wiersza, a nawet każde milczenie!, wszystkie najbardziej osobiste uczucia, zbieżność charakteru, podobieństwa czy utożsamienie były poważną próbą i poważnym pytaniem.

A każdy przedmiot, niech to będzie ekierka, wiersz czy flaga narodowa, dawał pole do myślenia, pole, gdzie myśleliśmy o rzeczach, na które inaczej nie znajdowalibyśmy słów, i w takim sensie przedmiot nie jest niczym innym jak uchwytnym znakiem nieumiejących mówić zwierzęcych instynktów i bezkształtnie mrocznych ludzkich uczuć, sceną, na której przybierają swoją formę, terenem, a może tylko pretekstem, ale nie samą sprawą.

Nie mogłem już dłużej wytrzymać tego światła.

Gdybym mówił dalej, jeśli nie do niego, to choćby do samego siebie, musiałbym wyznać, że kiedy jeden przez drugiego wydostaliśmy się z ludzkiej ciżby na placu Marksa i biegiem dołączyliśmy do idących przed nami, nie można już było odwrócić biegu wydarzeń, dla mnie przynajmniej sytuacja stała się nieodwracalna, po prostu zapomniałem, że przed chwilą chciałem iść do domu, a stało się tak za sprawą kamieni zamienionych w domy, domów zamienionych w ulice, kierunków wytyczanych przez ulice i miasta zamienionego w możliwości.

Od tamtej chwili wszystko działało się zgodnie z prawami natury; źródółko tryskające z ziemi spływało strużkami wzbierającymi w potok, aż wpadło do rzeki, a rzeka do morza, takie to poetyckie i takie proste!, ludzkie ciała wydobywające się z hałaśliwych i wesołych bocznych uliczek, ulegające przyciąganiu większego tłumu, wciskające się pomiędzy tłoczących się po bulwarze, i wreszcie Verocska kończąca swój improwizowany występ zawołaniem: „Kto jeszcze nie wie, teraz się naucz, jak się bawi lud”, bo przerywając żywy korek osób tarasujących plac, hałasując stopami uderzającymi w biegu o ziemię, ludzie napierali nam na plecy, popychając nas w jednym możliwym kierunku, naprzód, w stronę mostu Małgorzaty, oczywiście nie oznaczało to, by ścierające się ze sobą, skrzzące iskrami, bezustannie wybuchające siły rozmaitych w swej temperaturze osobistych zamiarów przy braku niezbędnego zapalnika mogły wykrzesać z siebie jakieś ostateczne porozumienie, niemniej zauważalna stała się jakaś zmiana, czuliśmy ją wszyscy, każdy musiał ją poczuć, bo nagle krzyki umilkły, już nie było słyhać śmiechów, nikt nic nie recytował ani nic nie mówił, przestały powiewać sztandary, jak gdyby wszyscy stłoczeni we wspólnym i jedynym możliwym celu ukryli się w tym najmniejszym wspólnym mianowniku, jakim był hałas ich własnych kroków.

Ta liczba zwartych kroków, ich równo falujący rytm, wypełniający echem cały głęboki rów bulwaru Świętego Stefana, wystarczyły, by nie tylko nie wypaliło się w nas, lecz jeszcze wzmocniło poczucie wspólnoty, potęgowane przez widok ludzi wychylających się z okien

niczmy grona winorośli, machających do nas, byli z nami, a jednak osobno, podczas gdy my byliśmy razem, tam na dole, a jednak razem z nimi, i wtedy powaga ich coraz wolniejszych, coraz cięższych i coraz mocniejszych kroków zaczęła nadawać wiodący ton.

Szeroki rów bulwaru Świętego Stefana od miejsca, gdzie krzyżuje się z ulicą Pannónia, obecną ulicą László Rajka<sup>[3]</sup>, zaczyna lekko się wznosić, by przy ulicy Pozsonyi łagodnym łukiem zakręcić na most Małgorzaty; w dniach, kiedy w mieście panuje zwyczajny codzienny ruch, ten łagodny, lekko wznoszący się w górę łuk nie jest zbyt widoczny, i gdybym tamtego wieczora nie szedł z tłumem, też nie zwróciłbym nań szczególnej uwagi; człowiek zazwyczaj tylko korzysta ze swojego miasta, nie myśląc nawet o tym, jakie są naprawdę jego ulice i place.

Przy samym moście dwa ludzkie pochody nadciągające z dwóch różnych kierunków i zachowujące się zupełnie inaczej spotkały się na zakręcie, wskutek czego natychmiast stało się jasne, dlaczego musieliśmy wszyscy zwolnić kroku, dlaczego nasz pochód stał się taki ciasny, poważny i milczący, my szliśmy pod górę, a tamci naprzeciw nas zmiierzali w dół z mostu, tłum wchodzący na spadziste zbocze nie tylko z powodu swego położenia dysponował większą siłą, ale był też lepiej zorganizowany, weselszy, młodszy, bardziej zgodny i energiczny, jak gdyby już kiedyś udało im się zwyciężyć dzięki własnej jedności i sile, szli, trzymając się pod rękę, śpiewając, wykrzykując w rytm własnych kroków, i nawet wtedy nie rozpadły się te maszerujące całą szerokością mostu szeregi ludzi trzymających się za ramiona, kiedy zataczając wielki łuk na skrzyżowaniu przed mostem, gęsiego skręcili w ulicę Bálinta Balassiego; nasza zmiierzająca w górę, zwarta, ale gorzej zorganizowana, bo bardziej różnorodna w materii emocji i osobistych zamiarów grupa musiała niczym skrzydła bezkresnego wachlarza dostać się pomiędzy rozstępujące się szeregi, wcisnąć się w burzliwe fale, rozsypując się chaotycznie, dostać się, wbiec w promieniste szczeliny pomiędzy ciągłym otwieraniem się i zamykaniem; wtopić się w nie.

Bywają godziny, kiedy człowiek owładnięty poczuciem braterstwa zapomina o mitręgach własnej cielesności, o swoich potrzebach, nie czuje zmęczenia, nikogo nie kocha, nie jest głodny ani nie jest mu zimno, nie jest spragniony, nie jest mu gorąco, nie chce mu się siusiać; to właśnie była taka godzina.

Pędziliśmy przed siebie, kiedy Szentés zauważył, że to studenci, nadeszli z placu Bema, otoczyli nas swoim szeregiem, wchłonęli w siebie, a choć zaburzyliśmy ich porządek i jedność, poniekąd zarazili nas swoją radością i pewnością siebie, wszyscy zaczęliśmy głośno rozmawiać, bo napływające z różnych kierunków osoby o najróżniejszym temperamencie natychmiast zaczęły gorączkowo dzielić się swoimi przeżyciami, głośno, z obcymi dokładnie tak, jak gdyby byli ich znajomymi, wrzeszcząc i przekrzykując się nawzajem; dowiedzieliśmy się, kto przemawiał, co mówił i jakie ma poglądy, powiedzieliśmy, że widzieliśmy czołg pełen żołnierzy, że z ulicy Váci nadciągają robotnicy, a wojsko jest z nimi, i dzięki tej rozgorączkowanej kotłowaniu, szybkiej wymianie informacji, nasze trochę już pozbawione dyscypliny szeregi nie tylko się nie rozpięchły, ale znalazły w sobie nowe pokłady radosnej energii.

Tak szliśmy w kierunku Parlamentu.

Szentés tymczasem, jak gdyby zakładając, że być może na temat tych burzliwych wydarzeń mam inne niż on zdanie, którego jednak nie chciał wyjawiać innym, pochylił się nade mną, tak żeby nawet Stark nie usłyszał, zaafelowani niemal dotykaliśmy wzajemnie swoich twarzy, teraz już chyba i ja widzę, powiedział, chyba już widzę na własne oczy, że ten system nie ma przyszłości.

Jakże miałbym nie widzieć, widzę, odpowiedziałem i odwróciłem głowę, nie wiem tylko, jak to wszystko się skończy.

Ciemna kopuła Parlamentu z wielką czerwoną gwiazdą płonąca na szczycie, umieszczoną tam przed kilkoma miesiącami, znalazła się na osi naszego pochodu.

Musiałem wyglądać zabawnie z tym moim blokiem rysunkowym i wypchaną szkolną teczką, z poważną, zamysłoną miną, za którą kryły się próby pogodzenia rodzinnych doświadczeń z wyjątkowymi wydarzeniami tego wieczoru, tym bardziej że moje wątpliwości co do rozwoju wypadków musiały go tak zaskoczyć, że aż się roześmiał; ale w tej samej chwili, kiedy już prawie wiedziałem, z czego się śmieje, ktoś złapał mnie od tyłu i miękką, silną, gorącą dłonią zasłonił mi oczy.

Znowu się mądrzy, znowu się mądrzy, krzyczał Kálmán, podskakiwał, wymachując z radości ramionami, i zmieszany przystanął pomiędzy trzema uczniami z technikum dla piekarzy; ale nie mogliśmy stać w miejscu, trzeba było iść.

Blok rysunkowy niebawem zgubiłem na placu u podnóża pomnika Kossutha, Kálmán wdrapał się na pomnik, ja za nim, chcieliśmy zobaczyć ludzki tłum wypełniający cały plac, wrzeszczący w niebogłose, żeby zgasili gwiazdę, żeby zgasili gwiazdę, i wtedy w mgnieniu oka zgasły na placu wszystkie latarnie, świeciła się tylko gwiazda na szczycie kopuły, i wybuchł krzyk niezadowolenia, przeradzający się w gwizdy i trąbienie, aż nagle zapadła cisza i w tej ciszy ludzie podnieśli ponad głowami płonące niczym pochodnie gazety, jak gdyby szalejąca, wirująca, unosząca się w górę wichura przeleciała przez bezkresne pola, zapłonął ogień, zalewając światłem cały plac, przewalił się przezeń, płonął małymi ognikami i dogasał, aż zgasł ponad ludzkimi głowami na gigantycznym placu, i znowu zapłonął, znowu się rozprzestrzenił, zabłysnął tu i tam, rozlał się wokół, pędził wkoło biały pożar, uderzał żółtymi falami, siejąc czerwone iskry pod nasze nogi; kilka godzin później moja szkolna teczka leżała na pustym asfalcie na rogu ulicy Puszkina i Sándora Bródyego, tam gdzie Kálmán, gryząc w biegu chleb z powidłami, padł na ziemię pod wystrzeloną z dachu serią, a ja pomyślałem tylko, jaki jest zwinny i że ma twarz umazaną konfiturami.

Kiedy Hédi, żegnając się z nami, z błagalnym i pytającym wzrokiem czekała, żebym ja, naoczny świadek wydarzeń, upewnił ją w tym, co trudne do uwierzenia, o ile w ogóle potrafiłem o tym mówić, a ona nie wiedziała, że każda opowieść jest tu z góry nietrafna i przerysowana, powinienem był raczej mówić o cieplej, silnej, miękkiej dłoni, o dłoni przyjaciela, a nie o suchym fakcie, że umarł, że to był koniec i że zanieśliśmy go do bramy, a potem do jakiegoś mieszkania, choć już nie było sensu nigdzie go nieść, bo zmarł po drodze czy raczej na miejscu, na ulicy, ale my, z tamtym nieznanym mężczyzną, zachowywaliśmy się tak, jak gdyby to bezsensowne dźwiganie miało oddać mu choć odrobinę życia albo mogło mu to życie przywrócić, był cały podziurawiony, a my musieliśmy coś robić, i kiedy nieśliśmy jego martwe ciało, ciekły, kapały za nami strugi krwi, na ziemię i na nasze dłonie, a on wyslizgiwał się nam z rąk, bo jego krew żyła dłużej niż on sam, już go nie było, umarł, oczy miał otwarte i otwarte usta w pomazanej krwią niby powidłami, strzaskanej twarzy, umarł, a ja nie miałem już żadnego więcej zadania, jak jeszcze tej samej nocy zawiadomić jego matkę w szpitalu Jánosa, a kilka dni później, dwa miesiące przed samobójstwem mojego ojca, mnąc w dłoni jasny, letni lniany garnitur Jánosa Hamara, nazwać ojca mordercą, kiedy potajemnie wrócił do domu, co zresztą wykonałem dokładnie tak, jak należało.

Nie powinienem był jednak mówić o śmierci mojego przyjaciela ani o śmierci innych, ani o pogrzebach, cmentarzach tonących w blasku płonących zniczy, ani o wszystkich zniczach

tamtej jesieni i tamtej zimy, ale o ostatnim dotyku jego ciała, o tym, że to mnie ostatniego chwycił za rękę, i ten przeklęty chleb z powidłami, dostał go od jakiejś kobiety, która w otwartym oknie na parterze przy rogu ulicy Puszkina kroїła dla wszystkich chleb i smarowała powidłami z wielkiego gliniaka, i o niemożliwym do pomylenia dotyku i zapachu jego dłoni, o tym powinienem był mówić, o wyjątkowości temperatury, proporcji, skóry i mięśni, po których jesteście w stanie rozpoznać drugiego człowieka, o miękkim i ciepłym mroku, który nagle pozwala zapomnieć o wszystkich wydarzeniach historycznych, i z obcego terenu jednym jedynym miękkim gestem prowadzi nas z powrotem w znane rejony, pełne znanych zapachów, dotyków i uczuć, w których rozpoznam tę jego niepowtarzalną rękę.

I żeby Melchior wreszcie jakoś mnie zrozumiał, powinienem wtedy opowiedzieć mu o ostatniej, krótkiej i szczęśliwej chwili z mojej przeszłości, o ciemności, w jaką nagle się zapadłem na tamtym oświetlonym placu przed budynkiem teatru, kiedy rozumiałem, że to przecież ręka Kálmána!, albo Krystiana, nie, Kálmána!, Kálmána!, powinienem był opowiedzieć o tej ostatniej króciutkiej dziecięcej radości, a ponieważ nie mam wolnej ręki, w jednej karton rysunkowy, w drugiej teczka, przecież później je zgubię, z radości wyrrywam głowę z jego dłoni, bo wszystko jest takie niespodziewane i niewiarygodne, że jest tutaj, jak gdybym nagle odnalazł igłę w stogu siana.

Melchior, nic nie mówiąc, przyglądał się mojemu milczeniu, i doprawdy miał czemu się przyglądać.

Tamtego grudniowego popołudnia nie ja pierwszy się poruszyłem, ale Hédi, kiedy spuściła głowę.

Nie chciała już więcej tych wspólnych zaprzeczeń ani tego wspólnego „nie”, poprosiła, bym ją odprowadził.

W bramie już nie patrzyliśmy na siebie, ja rozglądałem się po zapadającej się w mroku ulicy, ona grzebała w kieszeni.

Myślałem, że chce podać mi rękę, co byłoby dość dziwne, ale wyciągnęła małego, brązowego pluszowego misia, podniszczonego, już go kiedyś widziałem, to był nasz wspólny amulet, i ściskając go w dłoni, powiedziała, żebym mimo wszystko oddał go Liwii.

Kiedy wziąłem od niej misia, jej ręka niechcący dotknęła mojej dłoni, a ja poczułem, jak gdyby to wszystko, co zostawia tu po sobie, miało pozostać między nami.

Odeszła, a ja wróciłem do domu.

Babcia właśnie wychodziła z domu, zapewne chciała uciec do mnie przed gadaniną ciotki Klary, która próbowała ją pocieszać; byłem jedyną osobą, do której jeszcze się odzywała.

Zapytała, kto to był.

Powiedziałem, że Hédi.

Ta jasnowłosa Żydówka?, zapytała.

Stała przede mną w bezruchu, cała ubrana na czarno, mierząc mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu, w mrocznym przedpokoju, przed zamkniętymi białymi drzwiami.

Zapytała, czy ktoś jej umarł.

Wyjeżdżają, odpowiedziałem.

Dokąd, zapytała.

Powiedziałem, że nie wiem.

Poczekaj, aż wróci do kuchni, pozwoliłem, żeby udawała, że czegoś tam potrzebuje, i wszedłem do jego pokoju.

Już miesiąc, jak nikt nie wchodził do tego pokoju, bez niego stracił sens, nic nie poruszało

się w kurzu.

Zamknąłem za sobą drzwi, chwilęostałem w miejscu, po czym położyłem małego pluszowego misia na biurku, na którym leżały rozmaite książki, przybory do pisania i notatki, ostatnie gorące ślady jego ostatnich dni.

Trzeciego listopada zaczął pracować nad projektem nowelizacji ustawy wyborczej, ale do dwudziestego drugiego listopada nie zdążył go dokończyć.

Przypomniała mi się bajka, którą mi opowiadał, o trzech żabach utopionych w mleku, ja nie mogę się utopić w takiej ohydnej lepkiej mazi, mówi optymistka, ale mąż zlepia jej usta i zaczyna tonąć, skoro nawet optymistka się topi, to jak ja mam nie utonąć, mówi pesymistka, i też zanurza się w mazi, a trzecia, żaba realistka, robi coś, czego nie może zrobić żadna żaba, ubija pod sobą mleko, aż to gęstnieje i zamienia się pod jej łapami w twarde podłoże, od którego może się odbić, nie wie wprawdzie, że ubiła masło, bo niby skąd żaba mogłaby to wiedzieć, ale może wyskoczyć z kadzi.

Jednak zabieram z powrotem misia, czuję, że popełniłbym wielką pomyłkę.

O Liwii dowiedziałem się, że uczyła się szlifowania szkła, kiedyś, może dwa lata później, przechodząc ulicą Práter, spojrzałem w krzywo otwarte okno suteryny, na dole, za szybko obracającymi się z piskiem tarczami szlifierskimi, siedziały kobiety, wśród nich ona, w rozpiętym białym fartuchu, uroczo rozchylającym się na piersiach, zręcznie obracała na tarczy szklany kieliszek; była w ciąży.

Tego samego lata dostałem list od Jánosa Hamara, bardzo miły liścik, nadany w Montevideo, gdybym kiedykolwiek czegokolwiek potrzebował, żebym do niego napisał, co więcej, bardzo serdecznie zaprasza mnie do siebie, z wizytą albo na długo, jest dyplomata, prowadzi spokojne, przyjemne życie, zostanie tam jeszcze co najmniej dwa lata, i prosi, żebym jak najszybciej mu odpisał, z przyjemnością uda się ze mną w jakąś większą podróż, on też jest już zupełnie sam i z nikim nie chce się wiązać; ale ten list przyszedł za późno.

Mimo to wierzyłem, że powoli, cicho i ostrożnie ci wszyscy, którzy jeszcze żyją, do mnie wrócą, ale już nigdy więcej z nikim z nich się nie spotkałem.

A kiedy po latach przez przypadek natrafiłem na małego pluszowego misia, gdy na niego popatrzyłem, poczułem taki ból, że wyrzuciłem go do śmieci.

[1] Przemysłowa wyspa w Budapeszcie – podczas powstania w 1956 roku była ostatnim ośrodkiem oporu przeciw władzy komunistycznej, starcia na Csepel trwały aż do 10 listopada 1956 roku.

[2] Államvédelmi Hatóság – Urząd Ochrony Państwa, działająca w latach 1948–1956 agenda partii komunistycznej, której oficjalnymi zadaniami były walka z przeciwnikami reżimu oraz ochrona systemu i jego kierownictwa.

[3] Dziś jest to znów ulica Pannónia.

## W którym opowiada Thei wyznanie Melchiora

Podczas naszych wieczornych czy nocnych spacerów, w którąkolwiek stronę byśmy się udali, odgłosy naszych wzajemnie dostosowywanych do siebie kroków odbijały się od ciemności wyludnionych ulic obcym, agresywnym rytmem, nie miało znaczenia, czy byliśmy zagłębieni w rozmowie, czy w milczeniu, nawet na chwilę nie potrafiliśmy wyzwolić się od rytmicznego stukotu naszych kroków.

Jak gdyby domy tego miasta, niemiłe dla oczu, zniszczone wojną fasady, z całą bezwzględnością liczyły każdy nasz pokojowy krok, oddając zeń tylko tyle, ile było w nich rzeczowego, pozbawionego duszy zimna; i nawet jeśli tam na górze, w klatce mieszkania na piątym piętrze, pod samym dachem, prowadziliśmy ożywione rozmowy, to tu na dole, którądy musieliśmy przejść, trzeba było jednak wypełnić czymś przepaść, jaka rozwierała się pomiędzy pozbawionym jakiegokolwiek nastroju zimnem otoczenia i ciepłem naszych uczuć, a nasze rozmowy nabierały pełnego odpowiedzialności, głębokiego tonu, o którym zwykło się powiadać, że jest chłodny i szczery.

Tam na górze nigdy, tu na dole zaś często rozmawialiśmy o Thei.

Powodowany sekretnym zamiarem uczuciowego występku tak sterowałem naszymi rozmowami, bym nigdy nie musiał pierwszy wymówić jej imienia, zawsze z dużą dozą ostrożności wybierałem tematy, krążyłem wokół nich i dopiero kiedy już zabrzmiało jej imię, kiedy o niej mówił, i przerażony zaskakującymi nawet dla niego samego skojarzeniami nagle milkł albo przestraszony swymi zbyt gorącymi wypowiedziami raptem się wycofywał, ja podstępными pytaniami i wtrąceniami pomagałem mu pozostać wraz ze mną na krętej drodze prowadzącej w mroki jego przeszłości, byśmy mogli kroczyć naprzód po tamtej mglistej krainie, od której z taką zręcznością i teoretyczną pomysłowością próbował się odciąć, nieodstraszone nawet niebezpieczeństwem duchowego okaleczenia.

Natomiast podczas popołudniowych albo wieczornych spacerów z Theą obierałem wręcz przeciwną taktykę, kiedy bowiem przechadzaliśmy się po otwartych, płaskich, wietrznych podmiejskich okolicach, siadaliśmy nad brzegiem większego jeziora czy kanału płynącego gdzieś w dal i beztrudnie wpatrywaliśmy się w igrającą taflę wody albo po prostu bezmyślnie patrzyliśmy przed siebie, rozległa okolica gwarantowała dowolność intymnych akcentów, zmysłowe i uczuciowe oddalenie się od siebie, a jednocześnie wzajemną zależność tych samych sił, bo przecież natura nie jest teatralną dekoracją, dla wzroku zmagającego się z poczuciem nierealności jest jak najbardziej rzeczywista, z góry wykluczająca małostkowe, teatralne ludzkie igraszki, możliwe jedynie pośród dekoracji miejskich zabudowań; ją zaś, zbijając z tropu i mając skrytym zamiarem podtrzymania w napięciu uczuć, jakimi darzyła Melchiora, ciągle musiałem powstrzymywać ją przed tym, by była, jak to się mówi, szczerą, czyli mówiła właśnie o nim.

Takie postępowanie wydawało mi się zręczne i właściwe do osiągnięcia mojego sekretne go celu.

I nawet jeśli o nim nie rozmawialiśmy, to rozmawialiśmy właśnie o nim, a ja czułem zdławione podniecenie, niczym przestępca szykujący się do swego czynu, kiedy nadśłuchuje, nadstawia uszu, krąży po miejscu przestępstwa, przekonany, że już nic nie musi robić, nie musi ingerować w cudowny porządek natury, że po prostu odkrył, jakie działają tu mechanizmy, a łup



już sam trafi w jego ręce; i rzeczywiście nie robiłem nic innego, jak tylko konsekwentnie i bezustannie podsycalem w nich tę niemą i przez nas wszystkich zaakceptowaną skłonność ku sobie.

Kropla po kropli sączyłem w nią tę niemal daremną nadzieję, że Melchior, wbrew wszelkim pozorom, nie jest dla niej kimś nieosiągalnym, w Melchiorze zaś wyrafinowanymi sposobami burzyłem bariery, za pomocą których tak doskonale odgradzał się od naturalnych, niekiedy z wielką mocą i gwałtownością wybuchających zmysłów; i w ten dziwny, choć przecież zrozumiały sposób Thea przez cały ten czas nie była o mnie naprawdę zazdrosna, bo w jej oczach, co więcej, w jej całym uczuciowym świecie, tylko ja byłem ucieleśnieniem wątlej, aczkolwiek dla niej z innych powodów niemożliwej do porzucenia nadziei, podczas gdy z jednej strony umysłem Melchiora niemal zawładnęła możliwość, że za moją sprawą dowie się tego, czego do tej pory nie miał sposobności się dowiedzieć, choć z drugiej strony wiedział, że ja tak długo nie będę mógł w pełni należeć do niego, jak długo on nie posiadzie tej wiedzy.

Zakochani wzajemnie niosą na sobie swoje ciała, dźwigają je na sobie, emanując w świat swoją wspólną cielesność, choć ich wspólnota nie jest żadną miarą tożsama z matematyczną sumą dwóch ciał, ale stanowi coś więcej, czy też stanowi coś innego, coś trudnego do określenia, tak jakościowo, jak i ilościowo, a choć ich dwa ciała w końcu się zespola, to nigdy nie będą stanowić jedności; z drugiej zaś strony ten wieczny ilościowy nadmiar, spoczywanie na sobie ujawniające się jako różnica jakości, nie jest możliwy do określenia na przykład poprzez pomieszany ze sobą zapach dwóch ciał, wspólny zapach stanowi raczej tylko najbardziej spektakularną czy najsilniej uzewnętrznioną oznakę rozciągającej się na wszystkie sfery życia wspólnoty dwóch oddzielnych ciał, to prawda, że przenika ich ubrania, włosy, skórę, kto więc ma do czynienia z zakochanymi ludźmi, ten nieuchronnie wkracza w nową fizyczną jakość, ale jeśli ma nos wystarczająco wrażliwy i obiektywny, nie trafia wówczas w krąg dwóch różnych osób czy, mówiąc prościej, nie znajduje się pod ich wpływem, ale nie tylko dostaje coś z ich miłości, lecz w tym oto obszarze staje się możliwe, by posługując się własnym węchem, dostrzegł w ich ruchach, wyrazie twarzy, tonie mowy wzajemne oddziaływanie, przesunięte akcenty i zmienione kierunki, to wszystko, co jest cielesną konsekwencją i specyfiką duchowej wspólnoty zakochanych w sobie osób.

Miejsce pomiędzy nimi, w honorowej łoży berlińskiej opery, którego nie udało mi się zająć podczas pierwszego wspólnie spędzonego wieczoru, później zdołałem odzyskać, musiałem tylko choć na chwilę wpuścić Theę w ten krąg, by od tamtej chwili za sprawą mojego ciała mogła zbliżyć się do Melchiora, a on do niej, na te wieczorne spacerunki bowiem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zabierałem ze sobą Melchiora, i kiedy Thea czerpała ze mnie, a musiała czerpać, o ile chciała pozostać na powierzchni własnych uczuć, czerpała także z niego, zresztą działo się tak z wzajemnością, kiedy Thea ofiarowała mi część siebie, brak, który wówczas w niej powstawał, był odczuwalny również dla Melchiora; czuł go, węszył jak pies, urządzał sceny zazdrości, nie można było obłąskawić go ani zabawą, ani żartami, musieliśmy jak najprędzej przywrócić równowagę pomiędzy poprzednimi proporcjami, kiedy wracałem do niego z tych spacerów, chcąc nie chcąc, musieliśmy rozmawiać o Thei.

Nie wiedziałem dokładnie, co się pomiędzy nimi wydarzyło, na pytania, które w tej kwestii zadawałem, obydwójce zawsze udzielali wykrętnych odpowiedzi, na podstawie których mogłem jedynie stwierdzić, że istnieje coś, co dla obydwójga z nich jest tak samo wstydlive albo świadczące o porażce, sądziłem jednak, że każde wycofanie się z relacji jednocześnie oznacza odepchnięcie tej drugiej osoby, więc jeśli chciałbym dopomóc im w spełnieniu się we

wzajemnym dawaniu siebie, a ja nie tylko chciałem dopomóc, ale byłem przekonany, że jest to dla nich obydwojga jedyna możliwość zapewniająca im godziwe warunki pozostania przy życiu, musiałbym zrozumieć całą tę sytuację.

Trudno to zapewne wyjaśnić, ale nie umiem inaczej wytłumaczyć, dlaczego chciałem się po prostu wycofać, chyba najzwyczajniej tak bardzo pogubiłem się w tym związku, tak bardzo przeżywałem rozkoszny strach i szaleństwo zachwyty, że ja, człowiek i ten sam człowiek, człowiek posiadający jedne jedyne i niepodzielne zmysły oraz uczucia, teraz styka się nie z kimś od niego różnym, ale z kimś, kto jest z nim tożsamy, i jeśli tak jest, jeśli tak może być, jeśli mimo wszelkich zakazów na coś takiego mamy przyzwolenie, to musi to mieć sens, musi!, z takim zatem bezgranicznym duchowym podnieceniem przeżywałem myśl o tym, że miłość jest niepodzielna, jak gdybym dążył do odkrycia zasady rządzącej światem albo jakbym chciał przejrzeć na wskroś jakąś wielką tajemnicę, bo jeśli tak jest, jeśli ja jestem rzeczywiście sobą, myślałem z niemałym tryumfem, jeśli jestem człowiekiem i jest we mnie jakaś niepodzielna całość, to może moja płeć jest tylko jedną z cech tej całości?, albo ta całość bez względu na moją płeć może ujawnić się jako całość jedynie w miłości?, i to byłoby ostatecznym sensem uczucia miłości, że jako niepodzielna całość włączam się w inną niepodzielną całość?, włączam się zgodnie ze swoim ja, nawet wówczas, kiedy wybieram kogoś o tej samej płci albo o płci innej od mojej?, i mimo że podążałem tropem tych pytań, przepełniało mnie niezmiernym bólem, że choć wybieram w pełnej zgodzie z własnym ja, to ta osoba nie jest mną, lecz jest kimś innym, tożsamym ze mną pod względem płci, ale nie jest mną, tak więc radość bezpośredniego kontaktu z tym, co tożsame, szczęście i zemsta z taką siłą odciskały piętno na bolesnym doświadczeniu, że nawet w kimś, kto jest ze mną tożsamy, nie potrafiłbym uznać za własną inności drugiego człowieka, i to gorzkie przeżycie tak bezgranicznie wzmogło we mnie poczucie daremności oraz beznadziejności moich wszelkich starań, całego mojego życia i całej mojej przeszłości, że ulegając raczej nakazowi przywrócenia równowagi niż mojej skłonnej do zaostrożania sprzeczności naturze, wolałem natychmiast, bez zwłoki, uciec do domu, i w tym przypadku dom znaczył coś dawnego, znanego i oswojonego, oznaczał bezpieczeństwo, coś takiego, co dom znaczyć może dla człowieka przebywającego w obcym kraju.

Chciałem jechać do domu, wiedział o tym, a ja niczego nie wyjaśniałem, nie tłumaczyłem, on nie pytał, puścił mnie z niezwykłą wyższością swojego bólu, ale jak gdyby uprzedzając mój wyjazd, też chciał wrócić do tego, co ledwie porzucił, do własnego braku nadziei, i też chciał stąd uciec; ja z powrotem do bezpiecznej ojczyzny, on na niepewną obczyznę swoich pragnień, to jednak było czymś takim, jak gdybyśmy równoległą, a więc niepotrafiącą oderwać się od siebie, zmianą sytuacji chcieli pomścić na sobie naszą osobistą historię, po cichu wzajemnie zrzucić na siebie nasze winy, cały ogrom historycznych brudów, które spotkały się w nas, tylko że to już nie była zabawa ani miłosna kłótnia, stąd nie można było przecież tak po prostu wyjechać bez narażania się na zagrożenie życia czy więzienie; w tamtych czasach szanse na powodzenie podobnej eskapady miał najwyżej mały procent szczęśliwców; o tym więc nie rozmawialiśmy, Melchior był skryty, napięty i zdenerwowany, czekał na znak stamtąd, a ja na podstawie pewnych okoliczności mogłem podejrzewać, że ucieczkę organizuje nasz podający się za komunistę francuski przyjaciel.

Myślałem zatem, że gdybym zawierając uczuciu ich dwojga, a zwłaszcza bardzo subtelnej gwałtowności Thei, chciał wspomóc tę teoretycznie możliwą chemiczną reakcję, która później byłaby w stanie skłonić go do porzucenia absurdalnego, a dla mnie ze wszech miar nieprzyjemnego, bo moralnie niemożliwego do zaakceptowania zamiaru ucieczki, powinienem

pozostać obojętny niczym katalizator, który wprawdzie bierze udział w procesie chemicznym, ale się z niego wytrąca, gdyż nie posiadając wolnych wartości, nie może stać się częścią powstającego związku.

Nie muszę zatem mówić, że moje wyobrażenia okazały się potem zwyczajną uczuciową przemocą i w tym sensie uczuciowym nadużyciem, gdyż jednak sprawa nie wydawała się niemożliwa, bo przecież istniejące możliwości określiliśmy w pewnych zarysach już podczas naszego pierwszego spotkania; w chwilach, kiedy podejmowałem moje starania, tym uśmierzałem pojawiające się nieuchronnie poczucie winy, że w końcu to nie ja chcę, to oni chcą, ja im tylko pomagam, i dopiero ewentualny sukces dowiedzie, że chciałem dobrze; czyli niemal mówiłem, że nie tylko chcę być przyzwoity, ale że pragnę odnieść zwycięstwo.

Oczywiście nie mogłem mieć pewności, że mi się uda, dlatego wiele razy, podejrzanie wiele razy, wracałem do naszego pierwszego spotkania, analizowałem jego najdrobniejsze szczegóły, ale im dłużej podążałem drogą mojego świadomie wyznaczonego celu rozumowania, tym bardziej stawało się ono takie jak wtedy, kiedy na dalekiej, zimnej scenie ciałami śpiewaków uwiedzionych muzyką płynącą z kanału dla orkiestry zawładnął szaleńczy uczuciowy chaos, który na swój sposób udzielił się też nam, siedzącym w łoży.

Bo choć nie zrodziła się wtedy w moim umyśle jakakolwiek zdecydowana myśl, to, co wtedy czułem ramieniem, widziałem oczyma i słyszałem uszami, wzmagając wzajemnie swe oddziaływanie, stając się swoimi pełnymi proporcji podobieństwami, wywarło na mnie tak silne wrażenie, bliskie uczuciowemu uniesieniu, że nawet o wiele później nie zdołałbym się od tego uwolnić, gdybym nie miał w tym swojego celu; dziś mogę powiedzieć, że poruszyła się pode mną ziemia udeptana przez wszystkie uczucia, jakie zgromadziły się we mnie przez całe trzydzieści lat mojego życia, pod moimi stopami wybuchła lawa instynktów, w tamtej chwytającej za serce uwerturze legły w gruzach stabilne dotychczas budynki wzniesione z wiedzy, znajomości świata i obronnych kamieni moralności, usunęły się ze swoich miejsc ulice wszechmocnego doświadczenia, a na dowód, że uczucie też może być materią, udręczony sprzecznymi, zaskakującymi, znanymi i nieznanymi uczuciami spłynąłem potem, jak gdybym rąbał drewno, choć przecież siedziałem w bezruchu, i jak to zazwyczaj bywa, udawałem, że do tego stopnia pochłonęła mnie muzyka, co oczywiście nie przynosiło mi ulgi, lecz jak każde oczywiste kłamstwo jeszcze bardziej zraszało kroplami potu moje nawykłe do samodyscypliny i panowania nad sobą ciało.

Wygląda na to, że w ciągu trzydziestu lat człowiek zdobywał fałszywe poczucie bezpieczeństwa, które w takich momentach nagle się rozpada, choć chwilę przedtem wszystkie moje budowle jeszcze trwały w swej początkowej formie, wprawdzie nie na swoich dawnych miejscach, nic bowiem nie było już na swoim miejscu, a formy symbolizowały jedynie własną pustkę, nieświadome burzliwych sił, na które były tak bardzo zdane; wszystkie moje uczucia i urywane myśli były pękniętą formą uczuć wciśniętych w stare granice i urywków myśli błąkających się po nudnych drogach, pustym symbolem tych form, żebym w moim gniewie, jak gdyby zniszczenie doznawało łaski przed chwilą całkowitego upadku, mógł zobaczyć, dostrzec choć na moment, podstawowe zasady rządzące życiem, także moim życiem.

Nie, nie straciłem zdrowego rozsądku, ani wtedy, ani teraz, kiedy za pomocą metafor próbuję przywołać to, co wtedy czułem, bo przecież doskonale wyczuwałem, że to, co jest dla mnie najprawdziwszym więzieniem, niewolą, w jakiej znalazły się moje zmysły i moje myśli, dla siedzącego obok mnie Francuza jest tylko cuchnącą klejem dekoracją; cóż bowiem takiego się wydarzyło, tam na dole sceny, w więzieniu, brutalny Jaquino zadrecza swoją miłością czarującą

Marcelinę, ona tymczasem nie pragnie jego prymitywnego pożądania, raczej chciałaby subtelny, chłopięcego Fidelia, który w przebraniu robi wszystko, by wyzwolić z lochu niewinnie uwięzionego Florestana, i w imię tego politycznie szlachetnego celu bez namysłu, choć pełen smutku i współczucia, postanawia oszukać zmysły Marceliny; najpaskudniejsze, choć jednocześnie najbardziej zabawne oszustwo, na które człowiek może wystawić drugiego człowieka: udaje chłopca, choć jest dziewczyną, z czego w końcu płynie jeden jedyny wniosek, że cel uświęca środki, człowiek bowiem zawsze kocha lub chce kochać drugiego człowieka, każdy jednak musi sam odnaleźć swoją miłość i wtedy z konieczności rzeczy zapomina o moralności; podczas gdy moje ramię nie mogło i nie chciało przestać czuć ramienia mężczyzny siedzącego po mojej prawej stronie, którego bliska i niewłaściwa obecność tak samo mnie zaskoczyła, poniżyła, odstraszyła i przeraziła, jak to, że nagle się odwrócił, co z kolei uraziło moją dumę, chociaż wiedziałem, odwrócił się tylko na chwilę, że to tylko łatwy do przejrzania miłosny fortel, a on tak samo paskudnie i przedmiotowo traktuje Theę, jak na scenie Fidelio w chłopięcym przebraniu wykorzystuje nie do końca czyste uczucia Marceliny, bo tamta w końcu się domyśla, że pod kostiumem chłopca kryje się kobieta!, on zaś dzięki swej dwupłciowości wykorzystuje to, co w tej dwoistości jest prawdziwe; brak prawdziwych uczuć Thei spowodował, że jeszcze silniej odczuwałem w sobie jego obecność, ale naprawdę tylko tak mógł to zrobić, gdyby się ode mnie rzeczywiście odwrócił, a swoje prawdziwe czy tylko drzemiące w nim jako możliwość uczucia zwrócił ku Thei, właśnie te, których mnie pozbawił, i właśnie tak, jak działo się to na scenie, kiedy Fidelio musiał się stać prawdziwym mężczyzną i doskonałym strażnikiem więziennym, by zwodząc Marcelinę, wyzwolić swoją ukochaną.

Domyślałem się jednak, że Melchior pokazuje Thei coś, co być może ukrywa nawet przed samym sobą, coś zaskakującego, coś, co naprawdę odczuwa, a ponieważ wyczuwałem szaleństwo jego zmysłów, chłopięce zauroczenie, w gruncie rzeczy nie czułem nic ponad to, co musiała czuć Thea, co więcej, reakcjami typowymi w takiej delikatnej sytuacji dla każdego z nas, oddechami, drzeniami, błyskiem oczu, westchnięciami, natychmiast odwzajemniała moje wrażenia, dzięki czemu dokładnie czułem, że uczucia ich dwojga są jak najbardziej wzajemne.

I tak dalece zawładnęła mną zazdrość, że już go nie chciałem, bałem się, nie chciałem go do siebie dopuścić, pragnąłem go, ale jednocześnie czułem, że gdy dotykam jego ciała, niepodzielne ludzkie pragnienie popycha mnie ku Thei; mógłbym równie dobrze powiedzieć, że tylko na tyle pozwalałem zbliżyć się do siebie Melchiorowi, na ile sam zbliżałem się do Thei.

W całym tym oszustwie, trwającym przez dwa akty spektaklu, stało się coś takiego, że im Thea znajdowała się bliżej Melchiora, tym ja bardziej zbliżałem się do Thei, choć coraz silniej odczuwałem jego obecność w moim ciele, na przykład ciągle mi się wydawało, że powinienem położyć dłoń na jego kolanie, co tym bardziej mnie zaskoczyło, że w całym dorosłym życiu ani razu nie przyszło mi nawet do głowy, że mógłbym położyć dłoń na kolanie mężczyzny inaczej niż w geście zwyczajnej przyjaźni, ale jego drugie kolano i moja dłoń czuły jednak tę trudną do opanowania potrzebę, która była czymś więcej niż potrzebą miłosną, jednym jedynym dotknięciem działającym w obydwu kierunkach, miłosnym fortem, którym z jednej strony mógłbym odwzajemnić otrzymany wcześniej gest, z drugiej zaś strony, i to zdawało się ważniejsze, mógłbym go odciągnąć od Thei, a w ten sposób odzyskać ją dla siebie.

Jeśli więc w ogóle o czymś wtedy powinienem był myśleć, to o latach, kiedy byłem nastolatkiem, i oczywiście myślałem o wielu rzeczach, ale o tym akurat nie; jednak jeśli nawet nie myślałem o latach mojego dojrzewania, to z pewnością myślałem o doświadczeniach, które zbieramy we wczesnej młodości, by potem, pod wpływem wywalczonych niekiedy za cenę

wielkiej udręki rozkoszy, szybko o nich zapomnieć.

Musiałem zatem myśleć o tym, że w okrutnej nieuchronności dojrzewania tylko w ten sposób potrafimy uciec od paraliżującej bezsilności, od prób, na które nas wystawiają nasze nierozpoznane jeszcze zmysły, że gdy wybieramy zaakceptowane przez otoczenie, podlegające zaakceptowanym normom i pozostające w przyjętych moralnych granicach formy miłosnych manipulacji, które wprawdzie nie odpowiadają w pełni naszym osobistym zmysłowym oczekiwaniom, tak jak formy posiadające granice, i z góry ograniczają naszą nieznośną, sprzeczną z regułami, niepotrzebną, męczącą, bo z punktu widzenia społecznej oceny moralnej uznaną za niewłaściwą, osobistą wolność, w ramach tych ograniczeń znajdujemy pewien optymalny teren i miłosny *modus vivendi*, gdzie przestrzegając racjonalnych reguł gry płci, potrafimy ujawnić siebie w drugiej, borykającej się z podobnymi ograniczeniami ludzkiej istocie, której ofiarujemy bezosobową, niemal fizyczną intensywność zmysłowego życia za cenę utraty naszych własnych zmysłowych potrzeb; ale również tę rozwierającą się nagle w chwilę po fizycznym spełnieniu potworną pustkę, w której brak jest człowieka, przepaść, w której nie istnieje osoba, właściwie też jesteśmy w stanie pokonać, skoro z nawet najbardziej bezosobowego fizycznego kontaktu może się narodzić coś najbardziej osobowego, organicznego, dziecko, od którego przecież nie można sobie wyobrazić niczego bardziej osobowego, bardziej organicznego, pełniejszego i doskonalszego, my będziemy mieli, mówimy wówczas, my dwoje, zdane na nas, podobne, ale różne, zadośćuczynienie za wszystkie dotychczasowe cierpienia, jasne zadanie, zrozumiałe samo przez się, radość, smutek, strach, które wreszcie można pojąć, już nie pusty strach, ale prawdziwy sens.

Niczym walczący o oddech rozbitek, którego stopy szukają stałego gruntu nad nieznośną głębią, który z konieczności chwytą się pierwszego twardego przedmiotu, czegokolwiek, kogokolwiek, nawet źdźbła słomy, i jeżeli ów przedmiot rzeczywiście utrzymuje go na wzburzonych falach zmysłowych głębin, wtedy chwytą się go bez namysłu, uczepia się go, płynie z nim, by po pewnym czasie, bo przecież nie ma nic więcej, tylko to!, tak, masz tylko mnie, odzywa się przedmiot bezlitośnie, przecież nie masz nic więcej!, przywołując mityczne wyobrażenia od zawsze towarzyszące bezlitosnemu instynktowi przetrwania, zwyczajnie uwierzyć, że ten przypadkowo pojawiający się przedmiot naprawdę do niego należy, że to przedmiot odnalazł jego, a on odnalazł przedmiot, kiedy zaś siła rytmicznie szalejących fal wyrzuca go na suchy ląd dojrzałej dorosłości, swoją wiernością i wdzięcznością kultowo utyka w świętym przypadku, ale czy można przypadkiem nazwać coś, co uchroniło go od śmierci?

Stabilna dotychczas konstrukcja emocji, budowanych przez dziesięć lat na niepewnym gruncie moich uczuć i wśród pracowitych miłosnych manipulacji, wydawała się obracać wniwecz; czułem, że we wszystkich dotychczasowych miłościach powodowały mną jedynie przymus i pragnienie pozostania przy życiu, nienasycony powtarzałem z konieczności fizyczne reakcje możliwe do wyzwolenia z mojego ciała, zamiast uczynić jeden jedyny szczery gest, który może już nawet nie byłby gestem; nie potrafiłem odnaleźć sensu, dlatego ciągle musiałem chwytac coś w dłoń, kołysałem się wraz z tym czymś na wielkich wodach, ale utraconego spod stóp gruntu już nie udało mi się odzyskać, dlatego nigdy później nie potrafiłem się pocieszyć żadną z rozkoszy, stąd to wieczne poszukiwanie, gonitwa po podobnie pędzących przed siebie ludzkich ciałach!, i wcale nie to mnie tak poruszyło, że poprzez ciało siedzącego obok mnie mężczyzny pragnę Thei, a on poprzez Theę wyjawia pociąg, jaki do mnie czuje, czy że w Thei zwracam się ku niemu, a w ten sposób obydwa krążymy wokół niej i nie możemy się od niej oderwać, chcemy, jak należy, stworzyć parę, ale tak czy siak, jesteśmy we troje, a skoro we troje,

to we czworo, w piątkę, nie, ta cała komplikacja zaskoczyła mnie niczym obraz, który wydaje się znajomy, który mógłby już stać się wspomnieniem, którego jednak nie możemy umiejscowić ani w miejscu, ani w czasie; jak gdybym w tle tego całego zamieszania nagle zobaczył nagą zmysłowość ogarniającego mnie pożądania, zamiast uważnie śledzić, co dzieje się na scenie, oczywiście patrzyłem i na to!, była mała, pokryta niebieską błoną, wilgotna i pulsująca, zapamiętana w sobie, niezależna od nich i ode mnie, jak gdybym widział tylko cielesną formę, cielesne ciało nagiej siły życia, która wbrew wszelkim nowożytnym przekonaniom nie jest ani żeńska, ani męska, nie ma płci, bo tylko po to istnieje, żebyśmy za jej sprawą mogli swobodnie krążyć pomiędzy sobą.

Tamtego wieczora odzyskałem coś z dawnej wolności, o której sądziłem, że już dawno jest utracona, z wolności serca i wolności odczuwania; dziś jednak twierdzę nie bez goryczki, że daremnie to wszystko odzyskałem, na nic się zdały uwaga i wszelkie subtelne obserwacje, skoro w moim własnym odczuwaniu i w moich własnych ocenach okazałem się wyjątkowo głupim dzieckiem swojej epoki; miałem wprawdzie pewne dosyć trafne podejrzenie co do istniejącego stanu rzeczy, ale o tym mglistym i nieuchwytnym przeczuciu myślałem raczej, że to tylko pewna konstatacja, i to przeczucie nazwane konstatacją chciałem natychmiast wprowadzić w życie, za pomocą uczuć dojsć do rozumowej pozycji, pragnąłem natychmiastowego, praktycznego efektu, sukcesu, chciałem zyskać wpływ, możliwość kontroli, kierowania i sterowania, niczym ważny urzędnik ministerstwa miłości zarządzałem pozostającymi w mojej dyspozycji danymi, a dziesięć lat spędzonych pracowicie na miłosnych manipulacjach tak się na mnie zemściło, że w końcu wierzyłem tylko w to, co uchwytne, a nie brałem pod uwagę tego, co w sposób bezpośredni jest niemożliwe do uprzedmiotowienia, czyli nie daje fizycznej rozkoszy, i w imię zasady rozumu wyrzuciłem z kręgu pojęć opisujących rzeczywistość to wszystko, co należało do zjawisk niemożliwych do pojęcia rozumem, odsunąłem od siebie wszystko to, czego można było dotknąć tylko zmysłowo, funkcjonujące jedynie w zmysłach, będące moją osobistą rzeczywistością, czy na odwrót, chciałem dla odczuwania osobistej rzeczywistości zaprzeczyć rzeczywistości bezosobowej, słowem, w takich okolicznościach moje poczucie winy i poczucie nierzeczywistości daremnie dawało mi głośny sygnał, że fatalnie się mylę, ale ja nie dawałem mu wiary.

Wszystko to dlatego uważałem za stosowne powiedzieć, żeby zanim wrócę do przerwanej opowieści i do naszego popołudniowego spaceru, zyskać okazję do naszkicowania stanu ducha, w jakim znajdują się dwie takie osoby, które dla osiągnięcia własnych celów traktują przedmiotowo drugą osobę, podczas gdy wspólnie odbywana droga mimo wszystko łączy je ze sobą, czyli, wyrażając się metaforycznie, poruszają się po ścieżce, którą inni już wydeptali.

I choć daremny był ten w sumie uczciwy zamiar, daremna była gonitwa za marzeniem o neutralności, skoro ciągle, czy raczej krocząc po stromych schodach kolejnych stopni, wpadaliśmy w żywą materię naszych uczuć, których w żaden sposób nie można jednak oderwać od żywej materii ciała; na próżno ograniczaliśmy się do słów, które miały znaczenie i były zrozumiałe jedynie w przenośni, gdzie nie było mowy o dotyku, było tylko milczenie!, i wtedy słowa nabrały bezpośredniego, odnoszącego się tylko do nas dwojga znaczenia, prowadziły właśnie tam, a ich znaczenie pozbawiało nas tego, co wyznaczaliśmy sobie za cel i nasz uczciwy, wcale nie niemożliwy do zrealizowania zamiar.

Mniej więcej tak właśnie było, mniej więcej w takiej duchowej atmosferze poruszaliśmy się wśród natury, kiedy stawiając równe kroki, szła przede mną po twardej, wydeptanej ścieżce prowadzącej w stronę odległego lasu, a ja zaskoczony i zadowolony powtarzałem w myślach jej

ciche i gorzkie, krótkie i dotykające istoty rzeczy wyznanie, jak gdyby wypowiadając je, w rzeczywistości nie miała na celu, by w tej zbyt pełnej intymności i coraz bardziej niebezpiecznej dla nas obydwójga chwili przypomnieć mi o proporcjach, jakich wymaga cel naszego związku, i przez to odsunąć mnie od siebie, ale jak gdyby chciała jeszcze bardziej do mnie się zbliżyć i wtajemniczyć w najgłębsze, najbardziej tajemne sfery swojego życia.

Ledwie potrafiłem się powstrzymać, w jej oddalającym się ode mnie ciele wyczuwałem, że pragnie się do mnie zbliżyć, chciałem, zapominając o wszelkich komplikacjach, wyciągnąć ku niej dłoń, rozrzewniony myślą o wdzięczności i chęci odwzajemnienia mojego gestu pragnąłem przytulić delikatne, szczupłe, kruche ręce; mimo tego, co powiedziała chwilę wcześniej, że całe życie to jedna wielka głupota, i że cokolwiek by w nim nie robiła, w jej życiu są dwie osoby, jej przyjaciółka i jej mąż, do których zawsze może wrócić, co w naszym wspólnym języku oznaczało, że możemy robić, na co mamy ochotę!, i żebym się jej nie bał, czuje się w pełni bezpieczna, co więcej, nawet gdyby ich zostawiła, to i tak nie zamknęłaby za sobą wszystkich drzwi.

Nasze tak zwane szczere wyznania, dotykające najważniejszych uczuciowych momentów naszego życia, były jednak o tyle charakterystyczne, że równocześnie stanowiły zdradę.

Jeśli na przykład ktoś mówi, dlaczego nie kocha swojej ojczyzny, swoim wyznaniem nieuchronnie opisuje miłość i chęć działania, podczas gdy najgłębsze i najgorętsze wyznanie miłości i wierności ojczyźnie zdradza, ile nienawiści, problemów, bólu, kłopotów, poważnych wątpliwości i paraliżującej bezsilności przysparza mu jego ojczyzna, aż w końcu jego ogarnięta niemocą chęć działania, chcąc nie chcąc, musi się schronić za pełnymi entuzjazmu zapewnieniami.

Z jej powściągliwych, zwiezłych, ale pokrętnych i wykrętnych, zatem wymagających wyjaśnień, a więc możliwych do wypowiedzenia słów wyczułem, że się nie mylę, Kühnertowa nie ma racji, Thea w ostatnich dniach jednak się zmieniła, doszła do ściany, i tylko dlatego potrafiła się zdobyć na takie wyznanie, że przywiązanie, które było dla niej najważniejszym i najpewniejszym punktem oparcia, stało się nieznośnym ciężarem, i mówi mi o tym tylko po to, żebym pomógł jej przejść przez tę granicę, żeby wreszcie utraciła to, co wiąże jej ręce i co już chciałyby stracić.

Nie mogłem jednak popchnąć jej moim najbardziej oczywistym narzędziem, moją własną ręką, ani własnym ciałem, to byłoby już zbyt wiele i mogłoby źle o mnie świadczyć.

Tamtego pamiętnego niedzielnego popołudnia zwierzęcy szloch Melchiora uświadomił mi, że samo ciało nie wystarcza, żeby pocieszyć drugą osobę, że żąda od mnie przyszłości mojego ciała, czegoś, czym bym w pełni rozporządzał, i żebym ofiarował mu je w milczeniu i bez zastanowienia, tymczasem ja, być może ze strachu, nie rozporządzałem nim i nie mogłem mu go dać.

Z jednej strony czułem, że moje ciało to zbyt mało, z drugiej, że byłoby to nieobyčajne, ale odwołując się do najgłębszej i najciemniejszej zmysłowej wiedzy, jaką mogłem czerpać z własnego ciała, przynajmniej tak samo silnie odczuwałem możliwości ich ciał zdanych na siebie i szukających pośrednictwa w moim ciele: i chciałem im służyć.

Dla osiągnięcia tego oddalonego w czasie celu ofiarowałem więc siebie jako neutralne narzędzie pośredniczenia pomiędzy nimi, co oni, jak na egoistów przystało, akceptowali i wykorzystywali, tylko że żadne z nas nie pomyślało o tym, iż nie istnieje przecież ani takie morale, ani taka pokora miłości, które byłyby w stanie unieważnić płęć ludzkiego ciała, tak więc mogłem jedynie pokładać nadzieje we własnej samodyscyplinie, która skądinąd wywoływała we

mnie rozkosznie podniecające napięcie, niczym u przestępcy szykującego się popełnić swój czyn, w wyniku czego pragnieniem popełnienia mojego czynu nie sterowała już miłość, ale chęć wypędzenia z mojego ciała ukochanej istoty.

I w ten sposób znów nie ja tu idę, lecz dwie obce nogi niosą przez las pustą formę mojej zamierzonej przysługi, tyle tylko zostanie z niej bez chwili radości, stanie się brzemieniem ciężaru, który musimy dźwigać w imię dalekiej, ratującej życie albo reputację przyszłości.

Niekończący się aksamitny masyw ciemnej zieleni igieł kołysał się i falował niczym grzywa fali nad smukłą czerwienią wysokich konarów.

Ścieżka ginęła w lesie na miękkim dywanie igieł; w środku panowała niemal całkowita ciemność.

Thea chyba wyczuła, że nie mam ochoty wchodzić do środka, przystanęła przy pierwszych drzewach i nawet nie wyciągając ręki z głębokiej kieszeni czerwonego płaszcza, jak ktoś, kto jednym spojrzeniem ocenia drogę, którą przebył, opierając się plecami o konar, odwróciła głowę i ukucnęła, ale nie usiadła na ziemi.

Nie patrzyliśmy na siebie.

Wpatrywała się w spokojny krajobraz łagodnie falujący pod zmierzchającym niebem, to ciemniejącym, to jaśniejącym od wielkich, pędzących, szarpanych, napierających na siebie i rozplywających się chmur, ja zagłębiałem wzrok w tępy mrok lasu pełnego chłodnej, kwaśnej, zgniłej woni; wśród czerwonych pni skośne smugi ulotnego światła przerywały i poruszały ciemności.

Po chwili zaczęła czegoś szukać w kieszeni, wyjęła długiego papierosa, pudełko zapalek, i zmagając się z wiatrem, wreszcie zapaliła.

Powiedziała, że teraz zrobi coś, czego nie wolno.

Tak, odparłem, udając poważny ton, ja też często mam ochotę zrobić coś takiego.

Spojrzała na mnie, mrużąc oczy, jak gdyby w moich płytkich, ale celnych żartach próbowała doszukać się głębszego znaczenia, ja jednak nie odwzajemniłem jej wzroku, stałem pośród drzew, nie znajdując w niczym oparcia.

Robię takie miny, odezwała się głośniej, jak gdybym czuła smród, a potem ostrożnie, jeszcze cichszym głosem, zapytała, czy przypadkiem mnie czymś nie uraziła.

Przesunąłem wzrokiem ponad jej ramieniem, widziałem jej twarz, jak przekrzywia głowę w wyzywającym, pełnym drwiny geście; a co by było, myślałem, bawiąc się swoim pomysłem, gdybym zmiął ten miękki, czerwony kłębek i wdeptał w ziemię tu pod drzewem: moje zęby i szczęki już czuły, jak depczę go stopami.

Myśl o przemocy była jednak odrażająca, w ciszy oczekiwania wyobraziłem sobie, że po popełnieniu morderstwa wracam do mieszkania przy ulicy Steffelbauera, wrzucam ubrania do walizki, wsiadam do samolotu, z góry widzę jeszcze tamto maleńkie jak punkcik miejsce, zdradzającą wszystko czerwień płaszcza pod zielonym kobiercem koron drzew.

Kobieta zmagająca się z niedorzeczną udręką własnego starzenia się, myślałem, dlaczego taka ważna jest dla niej młodość?, przecież powodem mojej odrazy i złości nie było to, że się starzeje, wręcz przeciwnie, był nim mój dziwny pociąg do destrukcji, ładne bowiem wydawały mi się brzydzące rysy jej twarzy i piękna wydawała mi się jej walka z mijającym czasem, w której tak bezwstydnie mi się ofiarowała, dając w ten sposób więcej, niż gdyby była młoda i gładziutka.

Właściwie żałuje, że nie jest we mnie zakochana.

Właśnie że jest we mnie zakochana, chciałem powiedzieć.

Wyobrażała sobie na przykład, kontynuowała po krótkiej przerwie, bo opacznie



zrozumiawszy moje drżące z podniecenia spojrzenie, dostała skrzydeł, albo nie opadła w niej jeszcze gorączka fałszywej i zdradzieckiej szczerości, słowem: wyobraziła sobie, jaki jestem nago.

Po mojej twarzy, rękach, po wszystkim, co widzi, może wnioskować, że jestem lekko otyły i mięciutki, powiedziała, i jeśli nie będę na siebie uważał, niedługo będę taki obleśny jak Langerhans.

Wszystko jest we mnie takie przymilne, takie pełne nadzwyczajnej gotowości, takie humanistyczne, porządne, powściągliwe, pełne uwagi, jak gdybym nie miał mięśni ani kości, pasuje do mnie estetyczne, gładkie, nieowłosione ciało, powiedziała, i chyba byłoby najlepiej, żebym nie miał żadnego zapachu.

Podszedłem bliżej i ukucnąłem przed nią; w takim razie może niech mi powie, poprosiłem, wyjmując papierosa z jej palców, w jakiej sytuacji tak mnie sobie wyobraziła, bardzo mnie to ciekawi.

Powiodła wzrokiem po papierosie, jak gdyby w obawie, że wypalę z niego za dużo dymu, gdyby jednak poprzez tego papierosa jej wargi dotknęły moich, byłaby to już sprośna rozkosz, szybko mi go zabrała, i choć obydwoje bardzo się pilnowaliśmy, to nasze dłonie się dotknęły, dotykaniem palców wyczuwaliśmy dystans, który wzajemnie próbowaliśmy utrzymywać, jak gdyby ze strachu przed grożącą w każdej chwili katastrofą.

Tak, odezwała się schrypniętym głosem, pozory niekiedy mylą, a może, dodała, skoro potrafię być taki okrutny, jestem kościsty i suchy jak wiór.

Dlaczego nie odpowiada na moje pytanie, zapytałem.

Nie chciałyby mnie urazić, odparła i znów zaciągnęła się dymem.

Nie jest w stanie mnie urazić.

Życie jest pełne sprzeczności, oczywiście, powiedziała, bo kiedy mówię, czuje się tak, jak gdyby wkładała dłoń w miękkie ciasto, ale to też lubi.

Nie oszukujmy się, to nie mnie widziała oczyma wyobraźni, powiedziałem, jestem dla niej tylko niezbędnym uzupełnieniem, dodatkowym treningiem, żeby nie zardzewiały jej kości.

Bezczelnie roześmiała mi się w twarz, odległość pomiędzy naszymi twarzami, kiedy tak siedzieliśmy w kucki naprzeciw siebie, wynosiła może dwie piędzi; odsunęła plecy od pnia drzewa, zaczęła się lekko kołysać, jej twarz to przybliżyła się do mojej, to oddalała, bawiła się odległością.

Nie, jestem w błędzie, powiedziała, wyciągając ku mnie papierosa, właśnie mnie sobie wyobrażała.

No i co z tego, powiedziałem.

Taka jest nienasycona, odparła.

Pławiliśmy się w radości ciał wzajemnie przekazujących sobie własną nagość, w szczerości i w największej otwartości; zmarszczki wokół jej oczu ładnie się wygładziły, a jednak w całej tej sytuacji było coś bardzo niekomfortowego, jakbyśmy z taką otwartością wymieniali się naszymi najtańszymi i najbardziej powierzchownymi cechami.

Wyobrażała też sobie, powiedziała, czy przynajmniej próbowała sobie wyobrażać, co moglibyśmy ze sobą robić.

Jej twarz rozpogodziła się.

Z papierosa, który przekazywaliśmy sobie z ręki do ręki, został już tylko jeden mach, ostrożnie go jej oddałem, ona delikatnie wzięła go w palce, zaciągnęła się, jak gdyby podczas tego ostatniego dymka, nim jeszcze papieros zacznie parzyć, wszystko musiało się jakoś

rozstrzygnąć; zaciągała się, zmrużyła oczy, by ukryć wstyd.

Dlaczego nie z nim robię to, co teraz robię z nią, pomyślałem wrednie tamtą złą stroną mojej osobowości.

Pytanie tymczasem pojawiło się we mnie jako jedna z możliwych odpowiedzi na dalekie i dużo bardziej elementarne pytanie, dlaczego bezpośredni fizyczny kontakt, fizyczne zaspokojenie w swoich ciałach, uważamy za coś pełniejszego i bardziej ostatecznego niż wszelakie zaspokojenie natury duchowej, za jedyny ostateczny dowód, dalej zaś, gdzieś na peryferiach moich myśli, mignęło kolejne pytanie, czy w kontaktach między społecznościami wojny nie są takim samym koniecznym, a jednocześnie fałszywym zaspokojeniem; człowiek wie przecież, że bezpośredni cielesny kontakt, uzupełnienie się i zaspokojenie w ciele drugiego człowieka w większości przypadków nie jest niczym więcej jak manipulacją biologicznymi potrzebami, szybkim, fałszywym, prawie nigdy niedającym pełnego zaspokojenia, zawsze możliwym do wykrzesania fizycznym pocieszeniem, nie zaś spełnieniem.

Właściwie nie miałyby nic przeciwko, powiedziała i nie oparła się z powrotem o drzewo.

Radość uleciała z jej twarzy, palcami dokładnie, z namysłem, zakopała w ziemi palący się jeszcze niedopałek, głęboko pod grubą, suchą warstwą igieł.

Nawet jeśli nie czuję tego, odezwała się po chwili, co kobieta powinna czuć, kiedy coś się jej odbierze, coś, co teoretycznie do niej należy, a ponieważ do niej należy, chcąc nie chcąc, instynktownie akceptuje sytuację.

Dziwnym zbiegiem rzeczy w ogóle nie jest o nas zazdrosna, może wtedy, tam, w pierwszej chwili, kiedy zrozumiała, o co chodzi, może jeszcze wtedy była zazdrosna, a może nie była na to przygotowana, i czy pomyślałem, że to ona skojarzyła nas ze sobą?

Na drugi dzień przyszedliśmy do niej we dwoje, widziała, ile wysiłku kosztowało nas, żeby ukryć, co się w międzyczasie stało, udawaliśmy miłych i poważnych, wtedy nie była zazdrosna, raczej się cieszyła, choć nie, tego nie nazwałaby jednak radością.

I czy zauważyłem, zapytała, że kobiety są o wiele bardziej tolerancyjne wobec homoseksualizmu mężczyzn niż sami mężczyźni.

No dobrze, to okropne i wbrew naturze, i ohydne, przecież jestem mamuszką.

Umilkła, nie patrzyła na mnie, wygładziła ziemię i zamyślona, patrząc w dal, obserwowała akcję gaśniczą swoich palców.

Czułem, że jeszcze mi powie, trudno jej to powiedzieć, ale powie, i może dlatego nie chciałem jej przerywać, bo teraz już chodziło o nas dwoje.

Tylko że ona, w tym dla niej bardzo niefortunnym przypadku, bez względu na to, jak się mnie czepia, dręczy mnie czy mówi brzydkie i godzące w dobry smak rzeczy, w gruncie rzeczy jest mi wdzięczna, bo samym faktem, że jestem, powstrzymuję ją przed czymś, co naprawdę mogłoby się okazać tragiczne albo śmieszne.

Znowu umilkła, ciągle jeszcze nie potrafiła tego wypowiedzieć.

A potem spojrzała na mnie.

Jestem starą kobietą, powiedziała.

W wibrowaniu jej lekko trzęsącego się głosu, w spojrzeniu, w głosie nie było nic z uzalania się nad sobą i naturalnej skądinąd potrzeby zwrócenia na siebie uwagi, otwarcie i czysto, przewyciężając własną bezradność, spojrzała mi w oczy pięknymi piwnymi oczyma, a wyraz jej twarzy zaprzeczył treści wypowiedzianego przed chwilą zdania.

Wewnętrzna siła, którą spożytkowała na wypowiedzenie swoich słów, teraz widoczna w jej oczach, sprawiła, że nie była już kobietą, ani starą, ani ładną, ani żadną, była po prostu ludzką

istotą, która z heroicznym wysiłkiem zмага się z określeniem własnej tożsamości w zachwycającym wszechświecie nieograniczonych wyborów, i to właśnie było piękne.

Jestem pewien, że w pokoju nie byłaby do tego zdolna, tam skończyłoby się na długim psychologizowaniu albo na seksie, wśród czterech ścian jej wyznanie wydałoby mi się raczej komiczne, zbyt prawdziwe czy zbyt fałszywe, wszystko jedno, a ja bym się bronił lub obracał wszystko w żart, tymczasem tutaj te pełne treści słowa nie miały od czego się odbić; płynęły z jej ust, uderzały w moje policzki, część z nich chłonałem w siebie, reszta rozpływała się w powietrzu, ginęła w przestrzeni albo znajdowała swoje docelowe miejsce.

W tym momencie poczułem, że źródłem jej piękna są udręka i ból, że spotkałem osobę, która nie chce uwolnić się od cierpienia, ale nie chce go też nadużywać, chroni jednak w sobie zdolność do odczuwania cierpienia, chroni ją dla mnie, i właśnie ta jej cecha przyciąga mnie do niej; nie chce budzić współczucia, dlatego tak głośno protestuje przeciw sentymentalnej manierze na scenie, i nic nie musi ukrywać, bo przecież ze mnie wywleka to, co pokazuje, i to, co ja sam skrywam w sobie.

Za jej cierpienie daję w zamian własną, podobną, ukrywaną pod łaskawą zasłoną samooszukiwania się i żalu nad samym sobą, udrękę.

Nie jest stara latami, dodała, jak gdyby chciała słowami złamać we mnie wszelkie pozory współczucia, a w sobie litość nad samą sobą, jeśli idzie o lata, mogłaby uważać się za młodą kobietę, ale jej dusza, nie, to głupota, ona nie ma duszy, nie wie, co to jest, to coś, co jednocześnie jest w niej i z nią.

To takie dziwne, zwłaszcza ostatnio, kiedy musi grać kobiety szalejące z miłości, wampirzyce, najrozmaitsze ponętne samiczki, dotychczas jej to dobrze wychodziło, dodała, kiedy wpadała w ramiona obcych mężczyzn, całowała obce usta, właściwie tak naprawdę nie była tam obecna, jak gdyby ktoś inny grał za nią tę miłość.

Dla niej miłość czy pożądanie, może powie teraz coś głupiego, muszę jej wybaczyć, są takie, jak gdyby dotyczyły nie innego, żywego, prawdziwego człowieka, ale wszystkich, wszystkiego, co dla człowieka jest nieosiągalne i czego człowiek wcale nie chce osiągnąć, ale to uczucie sprawiło, że wydała się sobie żałosna.

Gdyby nie chciała tego osiągnąć, nie mogłaby grać, powiedziałem, a skoro chce grać, sądzę, że musi osiągnąć to, czego nie chce.

Zamrugła z wahaniem, nie zrozumiała mojej uwagi albo nie chciała jej zrozumieć, prześlizgnęła się nad nią.

Skłamałaby, twierdząc, że to byłaby jej pierwsza w życiu porażka, nie, na pewno nie, dodała, nigdy nie była ani wystarczająco ładna, ani wystarczająco skłonna, by się podlizywać, żeby bezustannie nie żyć na krawędzi porażki, więc zdążyła się przyzwyczaić.

Nie, nie o to jej chodzi, dodała, nagle przerywając rozpoczęty wątek, byłoby śmieszne i niesmaczne, żeby ze mną o tym rozmawiała, ale w końcu z kim ma rozmawiać?

Nie chciałem jej przerywać pytaniami ani uspokajać, ani z czułością po przyjacielsku pocieszać, każde obce słowo wytrąciłoby ją z rytmu; wiedziałem, że będzie mówić, ale zrozumiałbym też, gdyby od tej chwili nie odezwała się ani słowem.

Z woni perfum buchającej z jej twarzy czułem, że nie mówi do mnie, ale ponad mną, a jej słowa stają się dzięki temu najczystszy w swej formie automonologiem.

Musiała podnieść się z kucek, wstała tak, jak gdyby jej ciało było jednym wielkim gniewem, niepozwalającym rozprostować kolan, tak, by cały czas była połamana i brzydka.

Skóra na jej brodzie aż się napięła.

Nie, powiedziała, to nieprawda.

Mówiąc, rozgryzała słowa na pół, nawet te, których nie wypowiedziała.

I to zabolalo mnie jeszcze bardziej, że powiedziała.

Nie interesuje jej żadna prawda ani niczyja prawda.

Czasami udaje się jej tak robić, jak gdyby nie istniało poniżenie.

Kiedy się poznali, był taki czas, że czuła, że mogłaby zrobić dla niego wszystko; teraz na szczęście już wrócił jej rozsądek.

Nawet Arno mogłaby z jego powodu zamordować, bo w nocy chrapie.

A on ma zwyczaj dzwonić w nocy.

Dlatego przyczepiła się do tej głupiej starości, bo jej ciało zwyczajnie gnije od trwającego od wielu miesięcy poniżenia, a mózg, choć przysięga sobie, że się z tego wypłucze, nie umie o niczym innym myśleć, zrobiła się jak opętana nastolatka, która cały czas zajmuje się myślą, jaka jest brzydka.

Od tej głupoty, która bezustannie i bezsensownie ją zadręcza, niczego nie czuje, tylko widzi nasze pełne szczęścia pyski.

Wtedy chciałem jej powiedzieć, że szczęście jest prawdą, ale od tego szczęścia, które jest naszym udziałem, nie przydarzyła mi się nigdy większa udręka; jednak nie umiałem nic powiedzieć.

Nie jest o mnie zazdrosna, powiedziała przecież, że nie jest zazdrosna, raczej czuje odrazę, coś takiego, co mężczyźni wypisują na ścianach kibla, że wszystkich przeklętych pedałów należałoby wykastrować, powiedziała ciszej, śmiejąc się pojednawczo; oczywiście wie, że tych spraw nie wolno mylić, ale właśnie dlatego, że to jest dziwne, z wyrozumiałością akceptuje nasz związek, bo może jest okropna i nieraz mi nawymyślała, nie umie być o mnie zazdrosna tak jak inna kobieta, to wszystko jest dla niej takie, jak gdybym ją tam zastępował, i to właśnie jest poniżające, bo z jednej strony nie chce wkraczać pomiędzy nas, a z drugiej – ciągle musi do niego telefonować, i nic na to nie poradzi.

A teraz, jak już mi o tym wszystkim powiedziała, nie będzie więcej do niego dzwonić.

A że w tym wiecznym niepokoju zachowała jeszcze resztki zdrowego rozsądku, to wie, że tylko dlatego wymyśliła sobie tę niedorzeczność, choć wcale jej nie pragnie, bo chce czegoś, co nie może się wydarzyć, nie rozumie tylko, dlaczego nie może, czy tylko dlatego, że na takie głupoty jest już za stara.

Teraz już niczego nie chce.

Nawet nie chce umrzeć.

Jak to jest, że wywróciło się jej życie, że niczego nie znajduje, a wszystko, co znajdzie, okazuje się niczym.

Mówi i czuje, że to też nic, wszystkie jej słowa są niczym, bo czuje, że człowiek tylko z przyzwyczajenia powtarza ciągle nic nieznaczące zdania.

Ale teraz już przestaje mówić i chodźmy.

I żeby już wstał.

Nie mówiła głośno, nie powiedziałbym nawet, że był to namiętny albo podniesiony z tłumionego napięcia głos, a jednak jak gdyby ocierała nad wargami niewidocznie spływające krople potu.

I w tym geście było coś starczego, coś, czego młoda kobieta nigdy by nie zrobiła, bo uznałaby to za niezbyt ładne.

Wstałem, nasze twarze znów się do siebie zbliżyły, a ona się uśmiechnęła.

Jeszcze nie widziałem jej w przedstawieniu w teatrze na wolnym powietrzu, powiedziała, przekrzywiając głowę.

Jej kolejna nieudolna próba oddalenia się otrzeźwiła mnie, może dlatego, że była nieudolna i wzruszająca, jak gdyby do bólu kasała własne ciało, by nie wydać z siebie jeszcze głośniejszego, bolesnego okrzyku; znowu poczułem chłód powietrza, cierpki, jesienny zapach sosen i piękną nikłość naszych ciał zlanych w jedno większe w bezkresie nizinnego krajobrazu.

I poczułem coraz bardziej niecierpliwą chęć, by jak najszybciej stamtąd pójść, wrócić do jej samochodu, zamknąć się w środku, jak gdyby zamknięta przestrzeń miała się okazać bardziej bezpieczna; tymczasem ona z dystansu, jaki zachowywała w swoich słowach i gestach, wyraźnie dawała mi do zrozumienia, że brnę na niebezpieczny teren, bo choć stwarzam pozory, jakoby ją powstrzymywał, to samą swoją obecnością do czegoś ją popycham, tak więc obraz, który przemknął mi przez myśl, możliwość, że dopuszczę się morderstwa, wcale nie jest taką niewinną igraszką mojej wyobraźni, jak mi się wydaje: z wypieranej miłosnej podniety zradzają się mordercze instynkty, i jeśli nawet osiągnę mój cel, jeśli uda mi się ich ze sobą połączyć, to nie będę wiedział, co z tymi instynktami począć, chyba tylko zamordować samego siebie.

Albo też jest na odwrót, pomyślałem, wzruszeniem ramion ignorując porządek przyczyn i skutków, dlatego chciałem ich ze sobą połączyć, dlatego chciałem od nich uciec, dlatego staram się o kobietę, w końcu bez znaczenia, o jaką kobietę, byle byłaby kobietą, dlatego ciało mężczyzny mi nie wystarcza, jest w nim czegoś za mało albo czegoś za dużo, bym mógł zabić w sobie tę miłość, którą czuję do Melchiora, dlatego nie potrafię być stały, że w głębi duszy boję się kary, przed którą tamci, w swoim seksualnym niezdecydowaniu, ostrzegają na ścianach kibli.

Ale nie mogłem zbiec, nie mogłem uciec, Thea miała coś jeszcze na końcu języka, i po tym oschłym, ostrożnym i intrygującym wstępie, wkroczywszy w małostkowy, pełen zimnych rachunków świat codzienności, zapominając o dystansie, jaki stworzyła między mną a sobą, wreszcie odważyła się to powiedzieć.

Czekałem na nią, widziała w moich oczach, jak bardzo mnie to czekanie męczy, jest na wygranej pozycji, może pytać, o co zechce, może mówić, dopóki mówiła, była na mnie skazana, ale to, co powiedziała, sprawiło, że to ja się stałem skazany na nią.

W ten sposób wzajemnie staliśmy się skazani na siebie: emocje wyzwolone przez świadomie kontrolowane pożądanie, wzajemne uzależnienie i sekretny zamiar, by zdobyć ją za pośrednictwem osoby, którą kocha, bezsilność i śmieszność niemal doprowadziły mnie do płaczu czy raczej oczy zaszyły mi łzami od daremnego wysiłku, a ona, korzystając z chwilowej przewagi, niepewnym z podniecenia, czułym ruchem pogłaskała mnie po twarzy, jak gdyby chciała przekonać samą siebie, że ta historia tak ją rozrzewniła, że nie widziała i nie chciała widzieć, jak wielką rolę odegrało tu skazane na bezczynność pożądanie; jednak jej palce zadrżały na skórze moich policzków, poczułem to drżenie, ona także, i tym wzajemnym odczuwaniem wkroczyliśmy w czas grożącej katastrofy, która teraz znów nas przeraziła czy raczej odstraszyła od siebie.

A po chwili, już z trzeźwym umysłem, pełna wyższości wzięła mnie pod rękę.

Gdyby morale miłości nie było silniejsze od miłosnego pożądania, nie dałbym jej czasu na ten gest, odwzajemniłbym na jej ustach drżenie jej palców, a gdyby tak się stało, zapewne by mnie nie odrzuciła, tymczasem ona wargami tchnęła we mnie swoje uzależnienie ode mnie, ale ponieważ stało się inaczej, jej wargi zadrżały w powietrzu, w pustce wstydu.

Znów musieliśmy się odwrócić, może właśnie dlatego, że morale miłości nie znosi, by w miłosnym pożądaniu znalazł się choćby najmniejszy obcy element, jedno z tych dwojga musi

myśleć tylko i wyłącznie o drugim, a poprzez niego może myśleć o tym trzecim; powrót sprowadził mnie do roli narzędzia, tak bardzo trzymała mnie w szachu, jak nakazywała jej potrzeba zdobycia tego trzeciego, i w ten sposób zabłądziliśmy na mroczne tereny, skąd nie było już powrotu, ja musiałem zmierzać ku mojemu celowi, by zdobyć ją poprzez tego trzeciego.

Wydukałem, że z tego wynika, że mnie nie kocha; co mogłem wyrazić także w jej języku, użyć innego, bardziej powszechnego, mniej wyrażającego uczucia słowa, po węgiersku brzmiałoby to, że w takim razie nie lubi mnie w wystarczającym stopniu.

Ale przecież mnie kocha.

Ostatnia sylaba wybrzmiała na mojej szyi, tchnięta w moją skórę, z otwierających się i zamykających w pocałunku ust.

To sprawiło, że wszystkie dotychczasowe odczucia przestały się liczyć.

Trzymaliśmy się w ramionach trochę zagubieni poczuciem nowości naszych ciał, oszołomieni szczegółami odczuć splatających się ze sobą i coraz bardziej gęstniejących, których ludzki mózg, w obawie przed niebezpieczeństwem zlikwidowania zależności, nie jest w stanie i nie chce analizować ani nazywać po imieniu; staliśmy jak dwa obejmujące się płaszcze, trochę teatralnie, trochę oziębłe, zatem nie znalazło swojego rozwiązania to, co miało je znaleźć, bo choćbyśmy trwali w nie wiem jak mocnym uścisku, nawet w najmocniejszym!, to w ludzkich ciałach nie ma tylu odniesień do namiętności drugiej osoby, co więcej, nie ma tylu odnoszących się do siebie szczegółów, ilu byśmy oczekiwali, jak gdyby nic nie było w stanie zlikwidować, zmyć, zneutralizować natrętnego poczucia, że jesteśmy jak płaszcze.

W takich czy podobnych przypadkach doświadczenie w miłości może oczywiście okazać się bardzo pomocne, ostrożne, wolne, drobne pocałunki składane na jej szyi mogły otworzyć wstydliwie przemykające się wargi; trzy albo cztery pocałunki wystarczyłyby, żeby otworzyła usta, ale musiałem ją odepchnąć, ograniczyć tę bliskość, a wtedy ona pocałowała mnie w szyję, żeby z całusów składanych przez wargi wzajemnie wczepione w szyje na nowo zrodziło się pożądanie bliskości, które można było zaspokoić jedynie bliskością warg, i tak dalej, tak długo, aż nie osiągniemy bliskości, która okaże się wystarczająca.

Niewiele brakowało, żebyśmy odnaleźli archaiczny przymus biologicznej namiętności naszych ciał, i nie potrzeba do tego nawet oszustwa, fałszu czy nieodpartej, egoistycznej żądy rozkoszy, niczego, co mogłoby być wulgarne, bo przecież naprawdę się kochamy, płaszcz tak czy płaszcz siak, z jednej niezręczności w drugą, tylko że wtedy pogwałcilibyśmy morale miłości, mimo wszystko.

Musiała lekko wspiąć się na palcach, wyglądała wyjątkowo uroczo, jej wargi na chwilę spoczęły na mojej szyi, czekała, czy uczynię to, co podpowiada mi doświadczenie, a moje usta czekały na jej szyi na szansę wzajemności, z której znikłaby ta trzecia osoba; na całym ciele czułem łagodne podmuchy wiatru.

A jednak nie potrafiła chcieć, by moje usta poruszyły się tak, jak podpowiada im moje doświadczenie, już przecież uległa nachalności Melchiora, i było to naturalne, on był dalej od niej, a na tak zwany skok w bok zawsze może sobie pozwolić ten, kto posiada; lekko mnie odepchnęła, ale nie wypuściliśmy się z objęć, spojrzała mi prosto w twarz, z tak bliska, że dla oka próbującego uchwycić ostry obraz jest to już bolesne, ale tępy ból promieniujący aż do mózgu bywa dobry, bo wtedy obca twarz niczym własna rysuje się na naszej, a zamazany, bliski obraz rozmywa się w bezsilnej niepewności wzroku.

Jeszcze nigdy nie zawiodły jej zmysły, odezwała się schrypłym, wzburzoną głosem, słodkim zapachem swojej śliny, kobiecym, mimo że wypaliła papierosa, zaskakując mój odwykły

od damskiej woni nos; i dotyczyło to w tej samej mierze nas, co tego trzeciego, który stanął między nami.

Ale jej zapach nie pociągał mnie aż tak mocno, by nie odpychały mnie jej głos i twarz!, choć były wściekle tak samo jak ja; nie na moją złość odpowiadała swoją złością, była maniaczką opętaną urojeniami, i nie po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że jest po prostu szalona; gdyby jakimś cudem udało mi się uwolnić nas od ubrań i przyłgnąć do niej każdym milimetrem mojego ciała, gdybym błagając o litość, całując i pieszcząc, wszedł pomiędzy śliskie wargi jej kobiecości, też bym jej nie zdobył.

Wydawało mi się, że w tamtej chwili była na wszystko gotowa, z wyjątkiem wzajemności.

Choć właściwie śmieszne było oglądać ją w takiej sytuacji, to jednak się jej przestraszyłem, przeraziło mnie, że skoro ona jest szalona, to ja pewnie też.

Chcąc nie chcąc, musiałem więc przyznać rację wścieklej z zazdrości Kühnertowej; rzeczywiście wiele wskazuje na to, że wszystkich ludzi i wszystkie uczucia traktuje przedmiotowo, a że w tym momencie ja sam stałem się narzędziem w jej rękach, w dosłownym tego słowa znaczeniu uległbym czułowemu ciężarowi jej dłoni, smakowi i zapachowi jej skóry pod moimi wargami, było to raczej tragiczne, a nie zabawne.

Dlaczego o tym mówię?

Ten, którego sobie wybrała, wyszeptwała ochryple, wybrał ją sobie, co do reszty może się mylić, może być głupia, brzydka czy stara.

Nie, nie, obłąkana albo szalona, pomyślałem, bo ta myśl była rodzajem obrony.

Może być szpetna, głupia, ale co do tego nigdy się nie myli!, i muszę jej powiedzieć, wykrzyczała mi prosto w usta, a ja mogłem się od niej uwolnić jedynie brutalnym gestem; czasami się jej wydaje, pierwszy raz tak się jej wydaje, że oszukuje samą siebie, muszę jej powiedzieć, czy Melchior kiedykolwiek kochał się z kobietą.

Tylko szaleństwo może skłonić człowieka, by tak wiele duchowej i cielesnej energii poświęcał tak prostej sprawie.

Ostrożnie odepchnąłem ją od siebie, ale i tak mój gest był pełen okrucieństwa: nie zamierzałem jej przed nim chronić.

Nasze ramiona opadły bezsilnie, jej ciało wróciło do naturalnej równowagi, spojrzała na mnie pustym wzrokiem, ja tak samo spojrzałem na nią, jakbyśmy nie widzieli, jak wyglądamy, a dostrzegali jedynie mięso, kości, krążącą krew, dzielące się komórki, wszystko to, co ma w ludzkim ciele własne znaczenie i własną wartość, i nie dotyczy drugiej osoby; powinienem był powiedzieć, że to koniec, że dajmy sobie spokój, że gramy w niemożliwą grę, ona ze mną, a ja z nią, i w dodatku obydwójmy krzywdzimy trzecią osobę, ale zachowywaliśmy się, jak gdyby właśnie o to nam chodziło.

Chciałem to powiedzieć, a jednak nie powiedziałem.

Co więcej, wyglądało na to, że mój okrutny gest służył tylko temu, by ukryć dalsze okrucieństwo, konieczne do przesunięcia w czasie sytuacji, dla której nie znajdowałem rozwiązania; odroczenia, przesunięcia w czasie, żeby ciągle dawać jej choć odrobinę nadziei.

Brak nadziei był dla mnie tym bardziej bolesny, że ona, mówiąc o nim, zrzucała z siebie ciężar, na jej twarzy w miejsce pustki natychmiast pojawił się cień radosnego, niemal zuchwałego, choć smutnego uśmiechu, pod adresem nie tylko tego zadanego, ale także jeszcze bardziej zuchwałego pytania, mianowicie: co moglibyśmy ze sobą robić, co tak bardzo różniłoby się od manipulacji miłosnej, w jaką wdałaby się z nim czy ze mną, czy może byłoby to to samo?, mnie tymczasem to grubiańskie, przyziemne pytanie jeszcze bardziej dało odczuć brak nadziei,

przed którym chciałem uchronić Melchiora.

Pomyliłem się, pomyślałem niemal na głos, człowiek, cokolwiek by się działo, tylko poprzez osobę przeciwnej płci może pragnąć drugiej osoby, i tylko dlatego nie może jej zdobyć, że ta druga osoba bądź jest tej samej płci, bądź go nie chce, więc albo jestem w błędzie, albo jestem szalony.

Bo przecież bez problemu mogłem jej o wszystkim powiedzieć, mogłem odpowiedzieć na pytania prostymi słowami, których oczekiwała, ale wówczas musiałbym opisać nasz związek słowami właściwymi dla mojej płci, a to byłoby oszustwo, kłamstwo, zdrada i oszukiwanie samego siebie.

Chodźmy już, powiedziałem głośno.

Jeszcze jest wcześnie, odparła, chciałaby jeszcze pospacerować.

O niczym innym nie myślałem, jak o tym, że się pomyliłem, i że to takie proste, na pewno ma rację, czuje własnym ciałem, że to prosta sprawa, a ja po prostu tego nie czuję; jak chce ugotować zupę, to kupuje włoszczyznę, mięso, przyprawy, bierze garnek, wodę, zapala gaz, tak, to wszystko dla innych jest takie proste, a ja albo się pomyliłem, albo jestem szalony.

Ale ponieważ nie mogłem niczego takiego powiedzieć, odwróciłem się bez słowa i chciałem wracać.

Chciałem iść przed siebie, jak ktoś, kto się obudził i nie wie, gdzie jest, ale pod moimi stopami nie biegła dróżka, bo przecież dotarłem do końca mojej fałszywej idei; i jak gdybym nie miał pojęcia, o co chodzi, ani jak i dlaczego się tu znaleźliśmy, kim jest ta kobieta, albo jak gdybym to nie ja był w miejscu, do którego doszliśmy, bo w międzyczasie wszystko wokół się zmieniło, ona się odwróciła, a ja znalazłem się w nieznanym punkcie nieznanego świata, czyli jednak wcale się nie obudziłem, lecz wpadłem w jeszcze większą głębię nierealności.

Pozbawiona barw równina parowała nieprzeniknioną szarością i tylko na brzegach kłębiących się na niebie chmur błyszcząca wietrzna purpura zmierzchu, tu na dole nie było już ani krawędzi, ani granic, ani załamań, minął czas, którego nieskończenie złożona treść była gdzieś we mnie, choć pozbawiona wszelkiej formy, i ten sam brak formy rejestrował mój wzrok.

Wkroczyłem w chaos, ani naprzód, ani do tyłu, a zwłaszcza nie po ścieżce, bo przecież ścieżka to też tylko pewne pojęcie, które wymyśliliśmy sobie po to, by za jego pomocą uwolnić się od męczącej materii samego pojęcia; i tak jest dobrze, tak jest dobrze, nie ma żadnej ścieżki, tylko ziemia udeptana obcymi stopami, nie ma mgły, jest woda, wszędzie, na wszystkim i we wszystkim jest tylko nieruchoma materia.

Może barwa czerwonego światła na skraju wody chmur, gdyby nie to, że ona też była kurzem, piaskiem i dymem, które pokrywają ziemię; a może samym światłem, którego nigdy wyraźnie nie zobaczę?

Milczałem, bo wokół był nie krajobraz, lecz materia, ciężar materii, miałem ochotę krzyknąć, że zabrali mi piękno, nie ma piękna, nie ma formy, jest tylko pojęcie, za pomocą którego chciałem uciec od jej braku, od własnego braku formy, ale wszystkie moje logiczne wysiłki były śmiechu warte, bo skoro istnieje materia pozbawiona formy, jeśli czuję jej ciężar, jeśli czuję jej chaos, to nikt nie może mnie niczego pozbawić.

Kiedy otworzyła drzwi samochodu i usiadłem obok niej, dostrzegłem na jej twarzy, że trochę się uspokoiła, wszystko w niej ucichło, ostrożnie obserwowała mnie wśród tej ciszy, zajęta teraz już tylko mną, trochę tak, jak gdyby jechała z kimś chorym albo obłąkanym; i nim ruszyła, spojrzała na mnie, jakby zrozumiała coś z tego, co się między nami wydarzyło.

Zapytała, dokąd.



Nigdy o to nie pytała, powiedziałem; zapytałem, dlaczego mnie pyta.

Zwolniła ręczny hamulec, pozwalając, abyśmy stoczyli się ze wzniesienia.

Dobrze, odparła, w takim razie odwiezie mnie do domu.

Nie, odpowiedziałem, idę do Melchiora.

Silnik zakaszłał, szarpiąc zgrzytającym samochodem, ruszyliśmy, zakręcając z powrotem na szosę, światło reflektorów cięło w mroku pas drogi, który potem koła wciągały pod siebie.

Tak samo wciągamy pod siebie przyszłość, by z tyłu wypuścić przeszłość, nazywamy to posuwaniem się naprzód, choć taki podział jest niczym nieuzasadniony, ciągłość elementów powtarzających się w czasie możemy określić jednym pojęciem, nazywamy to szybkością, i na tyle byłoby historii, nic więcej, to jest właśnie cała moja historia, myliłem się i bezustannie powtarzałem własne pomyłki.

A jednak swoją powściągliwością, spokojem, uwagą i cichym zachowaniem dała mi teraz cień nadziei; czułem to.

Później zapytałem, czy wie, że Melchior chciał zostać skrzypkami.

Tak, odpowiedziała, wie, ale nie mówmy o tym więcej.

No to o czym mamy mówić, zapytałem.

O niczym, odparła.

A czy wie, zapytałem, dlaczego zmienił plany.

Nie, nie wie, i wcale nie chce wiedzieć.

Niech sobie wyobrazi siedemnastoletniego chłopca, powiedziałem, a że musiałem przekrzykiwać hałas kiepskiego dwusuwowego silnika, zbyt głośno, niemal wrzeszcząc, mówić o czymś, co można było powiedzieć tylko w najczystszej ciszy duszy, pomogło mi to wykreować kolejną scenę: czułem, że właśnie teraz spróbuję jeszcze raz, naprawdę już po raz ostatni, z konieczności podnosząc głos, zemściłem się na niej, jak gdybym mówił: proszę, i teraz usłyszysz!, to zaś pomogło mi dotknąć i sponiewierać to, co zabronione, pomogło mi przemóc wstyd zdrady.

Niech sobie wyobrazi siedemnastoletniego chłopca, którego w ślicznym, starym, zbombardowanym podczas wojny miasteczku wszyscy pełni zachwyty uważają za cudowne dziecko, wrzeszczałem dziwnym głosem wśród huku silnika, i zapytałem, czy była tam kiedyś, bo nagle nabrało dla mnie znaczenia, czy zna te domy, ulice, powietrze, zimowe jabłka pachnące na szafie, zarośnięty krzakami rów z wodą wokół zamku i plamę na suficie nad łóżkiem.

I kiedy tylko o tym pomyślałem, poczułem, że już sam początkowy ton jest fałszywy, tak samo jak wszystkie poprzednie, bo przecież tej historii nie można opowiedzieć bez odnoszenia się do jej istoty.

Nie, niestety, jeszcze tam nie była, ale wolałaby, żebyśmy mówili o czymś innym albo najlepiej milczeli.

Powinienem też być opowiedzieć jej o tamtym wieczorze, kiedy w obłokach wieczornej, lepkiej mgły wyszliśmy z bramy kamienicy przy placu Wörthera i przystanęliśmy na chwilę, bo nie było bez znaczenia, w którą pójdziemy stronę, gdyż kierunek, w jakim się udamy, musieliśmy dostosowywać tak do naszych chwilowych emocji, jak do bardziej odległych planów.

Czy potrafi sobie wyobrazić taki stan, wrzeszczałem, w którym kilkunastoletni chłopiec nie potrafi dostrzec różnicy pomiędzy pięknem ciała a siłą własnych możliwości?

Z wysoko podniesioną głową balansowała na nosie swoimi strasznymi okularami, zmuszając się do milczenia, jak gdyby koncentrowała się na drodze, a moje słowa nie znaczyły więcej niż szum i sapanie silnika.

Tamtego wieczora czy raczej tamtej nocy, kiedy Melchior opowiedział mi swoją historię, chyba pragnęliśmy większego, bardziej wyczerpującego spaceru, bo choć ruszyliśmy krótszą drogą, to w końcu skręciliśmy na tę dłuższą, prowadzącą do Weissensee, czyli Białego Jeziora.

Na tarasie piwiarni rozstawiliśmy sobie składowane jedno na drugim metalowe krzesła, skrzypiały samotne w ciemnościach, chcieliśmy iść dalej, więc usiedliśmy tylko na papierosa; było zimno.

Zbliżała się północ, wokół wszystko było nieruchome, ciemne i ciche, tylko od jeziora dochodził schryply głos kaczek.

Opowiadałem o mojej małej siostrze, o jej śmierci, o domu opieki, do którego zawiózł ją mój ojciec i w którym byłem tylko raz, bo nie miałem odwagi więcej tam wracać, o tych jednych jedynych odwiedzinach, kiedy tak jak dawniej stanęła pomiędzy moimi kolanami, co w naszych zabawach oznaczało, że mam ją nimi ścisnąć.

Ja ścisnąłem kolana, a ona, bez najmniejszej przerwy, przez półtorej godziny się śmiała, co w jej języku oznaczało, że chce mi się przypodobać, mówiła, że jest przecież wesoła, i jak ją stąd zabiorę, da mi w podzięcie tę swoją radość, choć całkiem możliwe, że te jej słowa podpowiadał mi ból, że nie umiem jej współczuć.

Oparła łokcie o stół, schowała głowę w dłoniach i spojrzała na mnie z góry, przysiadłem na obydwu krzesłach, ona położyła mi głowę na kolanach.

Dwa lata później, opowiadałem, nigdy więcej już tam nie byłem, znalazłem na moim biurku karteczkę: umarła twoja siostra, pogrzeb tego i tego dnia.

Tam gdzie siedzieliśmy, nie dochodziło żadne światło, swoje twarze widzieliśmy tylko wtedy, gdy żarzył się papieros.

Słuchała mnie uważnie, choć z pewną rezerwą.

Melchior z niechęcią odnosił się do wszystkiego, co dotyczyło mojej przeszłości, kiedy o niej wspominałem, choć wyrażał uprzejme zainteresowanie, był cały spięty, jak gdyby nie chciał dopuścić do siebie mojej przeszłości, bo całkowicie wystarczała mu moja obecność, terażniejszość i obecna chwila.

Mógłbym powiedzieć, że patrzył na mnie z góry z rezerwą człowieka energicznie poruszającego się w terażniejszości, lekko zadziwiony, wyrozumiały w kwestii moich słabości, bo przecież mnie kocha, ale nie uważa za słuszne, że zajmuję się takimi szczegółami mojego dawnego życia, jakimi normalny, dorosły mężczyzna, który zdążył już rozliczyć się ze swoją przeszłością, nie powinien się zajmować.

Jednocześnie kiedy milczał, działo się w nim coś zgoła przeciwnego, bo przecież zawsze poprawiał moje pełne błędów zdania, stało się to naszym zwyczajem, sam budował moje zdania, uzupełniał je, wprowadzał w nich schludny porządek swojego ojczywego języka, a ja mogłem ćwiczyć moje umiejętności w językowej materii na tych niechcący przyswojonych przez niego zdaniach, jego zdaniami mówiłem to, co chciałem powiedzieć, i nawet sam nie zauważałem, że te nasze wspólne zdania niekiedy wybrzmiewają po raz drugi lub trzeci, zmieniając miejsce i znaczenie, by wreszcie dotrzeć do swojego sensu i celu.

Jak gdybym poprzez historię własnej przeszłości wydobywał jego przeszłość.

Wtedy o tym nie myślałem, dziś owszem, że te wieczorne, nocne spacerunki nie były nam potrzebne po to, by zażyć nieco ruchu czy powłóczyć się dla przyjemności, ale po to, abyśmy mogli nawiązać kontakt z ponurym i obcym, dla każdego z nas wprawdzie z innego powodu, światem, a ten świat nie musiał się dowiedzieć o naszym związku.

Lubiłem, jak pali papierosy.

Było w tym coś odświętnego, jak smukłymi palcami chwycił papierosa i wyjmował go z paczki, każdego papierosa zapalał z namaszczeniem i tak samo się zaciągał, długo, z rozkoszą, głęboko wdychając dym, trzymał w ustach, powoli wydymając wargi, wypuszczał dym, rozkoszując się jego widokiem, czasami sięgał go językiem, ostrożnie wtykał palec, a pomiędzy dwoma zaciągnięciami trzymał w ręku, jak gdyby chciał powiedzieć: patrzcie, mam papierosa, jakie to szczęście, że możemy tak spokojnie i miło sobie palić!, co znaczyło, że palenie papierosów nie jest tylko zwykłym wypaleniem jakiegoś tam papierosa, ale całym misterium palenia.

To nie było dążenie, by nawet samemu sobie poskąpić przyjemności, ale też nie było to staranie, by spełnić westchnienia za tychże przyjemności używaniem, lecz z największym prawdopodobieństwem była to postawa wynikająca z purytańskiego wychowania nakazującego dokładnie ważyć pojęcia oraz podejrzliwie dobierać metody i cele, która nigdy, ani na chwilę, nie pozwalała, by wydarzenia działały się same przez się, ale kazała mu być ich uczestnikiem, co więcej, świadomym dziejących się wydarzeń, i w ten sposób w każdym momencie przypominała mu o jego istnieniu, jak gdyby poprzez używane pojęcia wznosił się ponad własną teraźniejszość i własne znaczenie, jak gdyby pojęciami chwycił w locie byt.

Kiedy byłem z Theą, mogło wydarzyć się cokolwiek, co z drugiej strony oznaczało, że nawet jeśli coś się wydarzyło, to i tak nie miało to miejsca; kiedy zaś byłem z Melchiorem, odnosiłem wrażenie, że cokolwiek się dzieje, nie mogło się zdarzyć inaczej, że każde wydarzenie jest na właściwym miejscu, jak gdyby było z góry przesądzone, co ma się stać.

Nie wiem nawet, co to było za zdanie czy zwrot w opowiadanej przez mnie historii, które tak go poruszyło, że jego ciało spięte ze skupienia i uwagi aż drgnęło, jak gdyby nagle zaczęła mu przeszkadzać moja głowa leżąca na jego kolanie, nic się wprawdzie nie zmieniło, nie rozluźnił się, nie dotknął mnie ręką, nie stracił spokoju świadomego, dojrzałego człowieka, a jednak za maską opanowania wyczułem coś mocno niepokojącego.

W końcu, gdy opowiadamy sobie o naszym życiu, nie ma w tym nic szczególnego, że w życiu tego drugiego człowieka odnajduje się szereg podobieństw czy wydarzeń, które w ciszy milczenia mogą wydawać się wyjątkowe; dlatego przecież o czymś mówimy, że wiemy z całą pewnością, iż w głowie tego drugiego też drzemie powieść.

I choć ktoś może być nie wiem jak dojrzały i zrównoważony, jakkolwiek skutecznie odgrodzi się od swojej przeszłości, to słysząc takie dziwne opowieści, nie będzie w stanie się im oprzeć, zmartwychwstaną i natychmiast przemówią własnymi, podobnymi wydarzeniami, tak, zawołał jak dziecko, ja też mam takie wspomnienia!, i z tej radości, że obydwaj rozmówcy rozpoznają identyczność swoich historii, rozmawiający znajduje własne słowa w słowach tego drugiego.

Skądinąd, jeśli z większym dystansem przyjrzymy się opowieściom wynurzającym się z naszych historii, jeśli spojrzenie na nie potraktujemy jako konieczny i niezbędny element mentalnej higieny, powiemy, że w swojej wzajemności, ale też w samym sposobie ich opowiadania, mierzymy wagę i sens naszych doświadczeń, zaś tożsamość ukazująca się we wzajemnie i wspólnie zmierzonych doświadczeniach wskazuje wprost na pewną prawidłowość, a nawet zasadę, zatem opowieść, opowiadanie historii, wymienianie się historiami, każda stworzona przez nas fabuła, plotka, wyjawiona publicznie informacja o popełnionych przestępstwach, opowiadanie anegdot przy kieliszku, pogaduszki sąsiadek nie są niczym innym jak najzwyczajniejszą metodą etycznej regulacji ludzkich zachowań; a ja po to muszę powiedzieć, czym się różnię od pozostałych, by móc poczuć, w czym jestem z nimi tożsamy, i na

odwrót, w podobieństwach i tożsamościach odnaleźć różnice, które dzielą mnie od innych.

Znałem kiedyś dziewczynę, przerwał mi w pół słowa tonem, w którym swój brak uprzejmości równoważył nawiązaniem do tematu aktualnej rozmowy, z pewnością pamiętam ten dom, wskazał ręką, w którym mieszkał jego nauczyciel gry na skrzypcach, tamta dziewczyna mieszkała w domu naprzeciw, już nie pamięta, jak się to wszystko zaczęło, ale zauważył, że dziewczyna dokładnie wie, kiedy przyjeżdża na swoje lekcje, bo ilekroć się pojawiał, natychmiast stawała w oknie swojego mieszkania i nie ruszała się stamtąd, aż nie skończył lekcji.

Stała w dziwnej pozie i patrzyła, albo tylko jemu ta poza wydawała się dziwna, dwiema obróconymi dłońmi opierała się o framugę okna, przyklejona do niego łonem, z podniesionymi ramionami, i lekko się kołysała, on tymczasem próbował znaleźć w pokoju takie miejsce, żeby nauczyciel nie dostrzegł ich gry.

Czułem w jego ciele niesamowity ciężar, i kiedy po chwili zaciągnął się papierosem, w długo jaśniejącym żarze zamiast świadomej rezerwy zobaczyłem na jego twarzy beztroską ulgę, z jaką oddawał się wspomnieniom.

Kiedy mówił, przypominały mi się jego obco brzmiące wiersze, i nie o to mi chodzi, że w swoich wierszach nie umiał odważnie się wznosić czy łagodnie opadać, tylko przerażony siłą pędu, ostrością własnego wzroku, wpadał w językowe rejestry pełne abstrakcyjnych pojęć, w których nie mogła znaleźć bezpośredniego, konkretnego wyrazu ani jego przeszłość, ani teraźniejszość, a od ciężaru używanych pojęć, albo może od górskiego powietrza, dusił w sobie każde językowe sformułowanie odnoszące się do specyficznych, jednorazowych, brutalnie zmysłowych doświadczeń.

Była bardzo ładną dziewczyną, powiedział po chwili namysłu, przynajmniej tak mu się wtedy wydawało, potem się roztyła i urodziła dwójkę okropnych dzieci, była mniej więcej jego wzrostu, jak na dziewczynę dość wysoka, później widział z bliska puszek jej jasnych włosów, upiętych wysoko na głowie w kok, zaczesanych do tyłu, kiedy sobie ją przypomina, zawsze widzi ten jasny puszek, miała mocno wysklepione, wyraziste czoło, nazywała się Marion.

Dopalił papierosa, uniósł moją głowę, by przydeptać rzucony na ziemię niedopałek, podniósł go, jak gdyby był obcym przedmiotem, który mu przeszkadzał; musiałem wstać.

I żebym się nie gniewał, dodał, właściwie już nic więcej nie chce mi powiedzieć, jest zimno, chodźmy już, i żebym opowiadał, co było dalej, tamto jest bez znaczenia, nawet nie wie, dlaczego mu się przypomniało, nie ma o czym mówić.

Doszliśmy do domu w milczeniu, słyszeliśmy tylko obcy stukot naszych kroków.

Na górze w mieszkaniu cały czas paliło się pozostawione przez nas światło.

Zrobiło się późno, obydwaj próbowaliśmy, oddając się codziennym czynnościom, jakoś zakończyć ten bezsensowny dzień.

Melchior rozbierał się w sypialni, przez ten czas ja zebrałem naczynia ze stołu, kiedy wynosiłem je do kuchni, stał nago przy zlewie i mył zęby.

W żółtym świetle lampy jego ciało było bezbarwnie blade, przyrodzenie kędzierzawe, łopatki mocno wystające, brzuch zapadnięty pomiędzy wyrazistymi kośćmi miednicy, uda zbyt chude, by odpowiadały proporcjom właściwym dla wzorowo pięknego ciała, przy mnie, ciągle jeszcze ubranym, wydawał się słaby i grzeszny, ale taki sam wydałby mi się, gdybym też był już rozebrany, tak bardzo oddalił się ode mnie ciałem, jak gdyby go tam w ogóle nie było, a ja z neutralnej perspektywy braterstwa, z ludzką słabością i grzechem, widziałbym ciało, za którym przecież szaleję.

Okno było jak zwykle otwarte, z klatek schodowych świecących pośród kamienic i dachów

nieregularnie wznoszących się nad sobą wśród nocy każdy mógł tu zajrzeć, ale jemu nigdy to nie przeszkadzało.

Odwrócił się, wyjmując z ust szczoteczkę do zębów, i z ustami pełnymi pasty powiedział, że pościeli sobie na kanapie.

Nie potrafiłem znieść jego niczym niewytłumaczonego milczenia w martwej ciszy sypialni, przewracałem się z boku na bok, nie mogłem spać, poszedłem do niego, pomyślałem, że jeśli śpi, to położę się obok niego.

W ciemnościach zapytałem, czy śpi.

Nie.

Przez zasunięte zasłony światło nie dochodziło do pokoju.

Ciemności ani nas nie wzywały, ani nie odpychały; wymacałem skraj kanapy, usiadłem, ale Melchior się nie poruszył.

Jak gdyby nie oddychał.

Przesunąłem dłońmi po jego ciele; leżał na wznak z rękoma wygodnie splecionymi na piersi.

Położyłem rękę na jego splecionych dłoniach, nic więcej, tylko ciężar mojej ręki.

Może rzeczywiście mam rację, odezwał się w ciemnościach.

Jego głos był głęboki, pełen i bardzo spokojny, skóra i ręka dalekie, jak gdyby istniejące same dla siebie, głosem przebijał się ku mnie przez obcą materię ciała.

Nie miałem odwagi, by się odezwać, nie poruszyłem nawet ręką.

Tak, powtórzył, chyba rzeczywiście mam rację.

Nie rozumiałem, o co mu chodzi, albo nie miałem odwagi go zrozumieć, i odpychając jego głos na skraj milczenia, zapytałem, w czym niby mam rację.

Wtedy nagle się poruszył, wyciągnął ramię spod mojej dłoni i włączył światło.

Kinkiet z jedwabnym abażurem oświetlał jego głowę, nad kanapą wisiał barwny, jedwabny izmirski kilim w nieregularne wzory.

Oparł się o niego plecami, kołdra zsunęła mu się z brzucha, znów splótł dłonie na piersi, patrzył na mnie, opuściwszy podbródek, jak gdyby z dołu spoglądał w górę, choć przecież siedziałem naprzeciw niego.

Intymny krąg światła prześwietlał i rozbiełał loki jego niesfornej czupryny, twarz rzucała cień przesuwany dalej na silne mięśnie klatki piersiowej, malował plamy na jego ramionach i na białej pościeli.

Był piękny, choć nie ładniejszy niż spoglądający z obrazu, rozebrany do połowy młody mężczyzna, z tajemnych przyczyn w swojej powadze raczej zajęty sobą niż przyglądający się światu.

Obraz harmonijny w każdym calu, doskonały światłocień, loki jasnych włosów i czarny zarost na piersi, jasna skóra i ciemne tło, ogniste kolory na ścianie i mleczne białka oczu, chłód błękitu, łagodnie opadające ramiona i twarda powierzchnia mięśni splecionych rąk, piękno, które można zobaczyć, ale którego nie można dotknąć.

Patrzyliśmy na siebie, tak jak doświadczony lekarz patrzy na swojego pacjenta, kiedy spokojnie, z namysłem analizuje na jego twarzy wszystkie możliwe objawy choroby, szukając związku pomiędzy nimi, ale nie zdradzając żadnych emocji, czy nawet wbrew wszelkim emocjom, nie dopuszczając ich do siebie.

Czułem, że dotarliśmy do bardzo głębokiego i mrocznego punktu tej wzajemnej podróży w sobie; od wielu tygodni krążyłem wokół najdelikatniejszych sfer jego życia, dotarłem do celu,

wyzwałem go do walki, a on wbrew samemu sobie przyjął moje wyzwanie, i tak szybko się poruszał na tym niepewnym terenie, jak gdyby szykował mi jakąś okrutną zemstę, dlatego nie przeszkadzało mu, że nienakryty siedzę naprzeciw niego na kanapie, jak gdyby niezręczna pozycja, w jakiej siedziałem tam nagi, mogła mnie ochronić przed jego zemstą.

I ten nauczyciel, odezwał się po chwili milczenia, a jego głos, przed chwilą zdradzający jeszcze gorące uczucia, stał się oschły, chłodny, rzeczowy, jak gdyby nie chciał mówić o sobie, z jego twarzy znikła łagodność, z którą zaledwie przed godziną do mnie mówił, nie mówił ani do siebie, ani do mnie, mówił obraz, ktoś, kto potrafi traktować siebie tak jak naukowiec owada na wieki uśpionego w spirytusie, kiedy na szpilce umieszcza go we właściwym ze względu na budowę i rodzaj miejscu swoich zbiorów, a w całym jego manewrze większe znaczenie ma owa szpilka niż miejsce czy rodzaj owada, był pierwszym skrzypkiem w teatralnej orkiestrze, tak samo jak jego biologiczny, pochodzący z Francji ojciec, o którym wtedy jeszcze w ogóle nie wiedział, jako artysta był średni, jako pedagog do niczego, ale w ówczesnych warunkach i tak okazał się najlepszy, po porządnej i nadzwyczaj wytwornej pani Gudrun, która wcześniej ich uczyła, to była prawdziwa ulga, jak gdyby otwarły się przed nim wymarzone bramy i teraz z jaskini tej muzycznej starej panny mógł się dostać do świątyni sztuki, był kulturalnym człowiekiem, wykształconym, czytany, swobodnym, niemalże światowcem bywałym za granicą, pływał i grał w tenisa, miał doskonałe kontakty, które doskonale potrafił podtrzymywać bez cienia natarczywości, jak gdyby to on wyświadczał przysługę, był starym kawalerem, ale prowadził wielki dom, w dawnym tego słowa znaczeniu, wszyscy, którzy choć trochę liczyli się w mieście albo przyjeżdżali tu na gościnne występy, wizytę u niego poczytywali sobie za miłą powinność, wszyscy uważali za swój obowiązek zanurzyć się w jego wolnej od egoizmu dobroci i naznaczonym cierpieniem dowcipie, był ponad to wszystko, mniej więcej tak, jak gdyby w złotej epoce fletu Ryszard III postanowił sobie, że nie będzie zły, ale wręcz przeciwnie, będzie niewiarygodnie i bezgranicznie dobry, bo przecież to wszystko jedno, dobroć i zło są tym samym, a on swoją dobrocią nawet z potwornego marszu potrafi wygrać słodką melodię.

Tego wszystkiego nie mówi, by tylko podsumować naszą rozmowę, stara się opowiedzieć, jak się wówczas czuł.

Wtedy po raz pierwszy widział ten spektakl, chyba jednak dosyć słaby, ale dla niego był jak straszna bajka o sile zła, Ryszard miał wielki, spiczasty garb, a właściwie kilka garbów, wyglądał, jak gdyby dźwigał pod płaszczem dwie różnej wielkości góry, i nie utykał, ale stąpał, wykręcając nogę w biodrze, i przy każdym kroku stękał z bólu, skowyczał jak pies, co oczywiście było przesadnym wymysłem reżysera, gdyż droga od bólu niekoniecznie musi prowadzić do zła, ale bez wątpienia efektywnym, i jemu, kiedy mówił o swoim nauczycielu, zawsze przypominał się ten aktor, oczy aż mu błyszczały, wydawał mu się przystojnym, pociągającym mężczyznę, fakt, już starym, mógł mieć wtedy mniej więcej czterdzieści pięć lat, był szczupły, średniego wzrostu, roztaczał wokół siebie ładny zapach, miał śniadą skórę, błyszczące czarne oczy, ale gładko zaczesane do tyłu, artystycznie długie włosy były niemal całkiem siwe, takie siwe, jakie w oczach dziecka może mieć tylko stary człowiek.

Kiedy zapominał się w swoich teoretycznych rozważaniach, włosy rozwiewały mu się na czubku głowy i opadały na twarz, artystycznym gestem odrzucał je w tył, bo nie potrafił aż tak się zapomnieć, by nie chcieć jednocześnie sprawiać wrażenia, że wszystko jest w najlepszym porządku, bo dlaczego nie miałoby być w najlepszym porządku, jego niekiedy wielogodzinne teoretyczne rozważania były fascynujące, dalekowzroczone, pełne żaru, były krytyczną oceną

analitycznego rozumu, co zawsze jest inspirujące i porywające, kiedy jednak przychodziła pora na ćwiczenia, kiedy musiał przekazać im coś, co sam umiał, po prostu miał im pokazać, że coś jest dobrze, a coś jest źle, wtedy zza dobrotliwej mądrości wydobywała się najzwyczajniejsza zazdrość, jakiś niemożliwy do wytłumaczenia zwierzęcy egoizm, przymus posiadania albo coś jeszcze więcej, drwina i radość z czyjegoś niepowodzenia, uśmiech skąpca, jak gdyby był w posiadaniu skarbu, którego istota jest czymś nieosiągalnym, więc cieszył się nim, zawłaszczając go dla siebie i rozkoszując się widokiem daremnego cierpienia, a nawet, aby wytłumaczyć swoją postawę, twierdził wprost, że coś takiego jak technika nie istnieje!, on jej nie posiada!, ani nikt nie może jej posiadać, a ten, kto ją posiadał, nie jest artystą, ale rzemieślnikiem, żebyśmy więc nie kombinowali, bo każdy musi od samego siebie nauczyć się własnej techniki, która poprzez tę walkę stanie się już nie tylko zwykłą techniką, ale poczuciem istnienia czerpanym z materii i zwróconym tej materii, istotą, najprawdziwszą istotą, instynktem przetrwania.

W walce z materią artysta bowiem sięga w sobie do takich tajemnych pokładów, o których wcześniej nawet nie mógł wiedzieć, rzecz to wstydliva, najchętniej ukryłby wszystko przed ciekawskim wzrokiem, ale jeśli sztuka nie jest wtajemniczeniem w tę piękną tajemnicę, to niewarta jest złamanego centa, wrzeszczał nieraz wściekły na cały świat, oni drepcą tu w przedsionku sztuki, jak gdyby chciał przez to powiedzieć, że muszą dokąś wejść.

Nie twierdzi, że go kochał, ale rzeczywiście coś do niego czuł, choć mimo to był pełen podejrzeń, za które zresztą czynił sobie wielkie wyrzuty, ale przecież coś widział, coś, czego inni nie widzieli, że jest to człowiek zepsuty do szpiku kości, zakłamany, niewiarygodny i nieskończenie rozgoryczony, aczkolwiek chcący dla niego dobrze, i tego dobra nie tylko nie śmiał odrzucić, ale wręcz przeciwnie, za wszelką cenę starał się je przyjąć i na nie zasłużyć, podczas gdy brzmiało mu w uszach, że to wszystko, co opowiada o przedsionku sztuki i świątyni sztuki, jest fałszywe, już choćby dlatego, że nigdy nie udało mu się do niej wkroczyć, mimo że tego pragnął, ta śmieszna tęsknota jakoś była wiarygodna, była gorzkim ostrzeżeniem, wiarygodnym poprzez smutek i brak nadziei, i może to wszystko, o czym mówił, nie było jednak kompletną bzdurą, choć czuł, że ta tęsknota nie dotyczyła muzyki jako takiej, a nawet nie dotyczyła kariery, z której już dawno zrezygnował, nie wiedział, czego dotyczyła, może chodziło mu o to, żeby wydawał się magiczny, głęboki, diaboliczny, intrygujący, a jednocześnie mądry, dobry, porządny i wyrozumiały, i żeby to on był przedmiotem tej uciążliwej i żałosnej walki.

Po każdej lekcji umykał z kamienicy niczym zбитy pies, przez te cztery lata, kiedy się u niego uczył, wyrażając się metaforycznie, zawładnęła nim furia sztuki, wychudł, zmarniał, co jednak nie rzucało się w oczy, bo w tamtych latach wszyscy głodowali, wszyscy byli głodni, zmęczeni i znużeni.

Stał się pokorny, uparty, pracował jak szalony, sam nauczył się wielu rzeczy, choć oczywiście uważał, że swoje osiągnięcia zawdzięcza nauczycielowi, jak to się mówi, jemu przypisywał wszystko, co dobre, rozwijał się jako artysta, a nauczyciel nagradzał go za to emocjonalnymi, raz chłodniejszymi, raz gorętszymi pochwałami, on zaś bardziej bał się tych emocjonalnych wybuchów niż druzgocącej krytyki, bardzo rzadko pozwalał mu występować, wtedy sam go namawiał, organizował, przedstawiał jako sławnego artystę, urządzał dla wybranej publiczności małe spektakle teatralne, sukces był zawsze murowany, czuł, że go kochają, uwielbiają, ściskali go i dotykali z oczyma pełnymi łez, choć w tamtych powojennych latach ludzie nieczęsto płakali.

Nauczyciel tymczasem w takich chwilach, w samym środku tych gorących wybuchów, tam

na miejscu, dawał mu do zrozumienia, dobrze, w porządku, a teraz już szybko o tym zapomnijmy, nie zagłębiajmy się w tym, nie cieszymy, a kiedy zostali we dwóch, na zimno analizował jego grę, i że za każdym razem widzi, tak, widzi, że mu nie idzie, że nie wie, co powinien osiągnąć, ale nadal tego nie osiągnął, a nauczyciel prawie zawsze i prawie we wszystkim ma rację, a on dlatego jest taki podejrzliwy i niewdzięczny, dlatego nie umie zasłużyć na jego bezgraniczną dobroć, że jest po prostu pozbawionym talentu nieudacznikiem.

Kiedy przepełniony takimi uczuciami zostawał ze sobą sam na sam, doznawał napadów panicznego strachu, całymi dniami siedział skulony w kącie, nie szedł do szkoły, przeczuwając, że pewnego dnia ten całkowity brak talentu wyjdzie na światło dzienne, czuje, że nie da się tego dłużej ukrywać, i tak wszyscy widzą, aż wreszcie któregoś dnia nauczyciel bezlitośnie wyrzuci go z lekcji.

Czasami łapał się na tym, że niecierpliwie czeka na ten dzień, choć dla matki byłoby to straszliwe rozczerowanie.

I chyba tylko dlatego sam się nie unieścił, że miał nadzieję, iż może nauczyciel jednak się myli, człowiek nie jest zdolny do pełnego intelektualnego ani fizycznego samounicestwienia, nawet wówczas, gdy już połknął cyjanek, bo wtedy unieścił go cyjanek, albo sznur, albo woda czy kula, ojoj, jak by chciał skoczyć do rzeki, jak marzył o wodzie opływającej filary zawalonego mostu!

Ale fizyczne samounicestwienie to nic innego jak zwykła decyzja, do której należy dobrać narzędzie, by zrobiło to za mnie, zaś intelektualne samozniszczenie zawsze pozostawia wyjście awaryjne, niebo jest niebieskie, można żyć dalej, a kontynuacja życia jest nadzieją samą w sobie.

Dlatego pomyślał o cyjanku, bo kilka lat później, kiedy już studiował, ten biedny człowiek zdobył dawkę, która wystarczyłaby dla konia, było lato, w teatrze przerwa, wieczorem nikt go nie szukał, było ciepło i sąsiedzi poczuli, że z mieszkania wydobywa się potworny słodkawy smród.

Słowem: w takich okolicznościach zauważył dziewczynę w oknie naprzeciw, właśnie przygotowywali się do ważnego konkursowego koncertu, nadeszła wiosna, w mieszkaniu nauczyciela też były otwarte okna, walczył o wysoką stawkę, pierwsze trzy osoby mogły bez egzaminu dostać się na akademię muzyczną, nauczyciel twierdził, że konkurencja będzie ostra, mówił o kolegach i o swoich bardzo zdolnych uczniach, zdolny człowiek, powiedział, tym się różni od niezdolnego, że konkurenci są dla niego inspiracją, a ponieważ będzie tu miał do czynienia z twardymi konkurentami, ma spore szanse.

Tak ustawił przed oknem stojak na nuty, żeby widzieć ją każdym przypadkowym spojrzeniem.

Nauczyciel siedział w głębi pokoju w wielkim fotelu i z ciemności rzucał co chwilę kilka słów.

Najciekawsze było, że napięcie wcale nie przeszkadzało mu w pracy, choć bez wątpienia stanowiło kolejne obciążenie, ale to dziwne uczucie, że dwie różne osoby, może nawet sobie wrogie, może nawet mierzące się wrogimi spojrzeniami, przechadzają się ze skrzypcami pomiędzy zdradą a tajemnicą, słodką tajemnicą i mroczną zdradą, pomagało mu się skoncentrować, jak jeszcze nigdy dotychczas.

To nie dla dziewczyny się starał, nie dla samego siebie i nie dla nauczyciela, ale naraz znajdował się we wnętrzu ich trojga, a jednocześnie był poza nimi wszystkimi, słowem: grał.

Kiedy padał deszcz albo było zimno i trzeba było zamknąć okno, dziewczyna wymyślała nedorzeczną zabawę, wychylała się przez okno z rozłożonymi ramionami, bał się, że może



wypaść, albo zamykała okno i się gniewała, przyciskała nos, usta, język i zęby do szyby, specjalnie robiła szpetne miny, małpiła się, wygłupiała, naśladowała go, jak rzępoli na skrzypcach, dyszała na szybę i rysowała litery na zaparowanym oknie, tak długo aż pojawił się napis, że mnie kocha, robiła osłe uszy, szarpała bluzkę na piersiach, że jak nie będzie słyszeć tej słodkiej muzyki, to oszaleje, pokazywała język, zdmuchiwała z dłoni całusy, a kiedy przypadkowo spotkali się na szkolnym korytarzu, udawali, że nic się nie stało.

Nauczyciel z radością i zadowoleniem obserwował nagłą poprawę jego gry, nie chwalił, ale opromieniał miłością ciemny pokój, i prowadził go, wykrzykując wskazówki pełnym emocji, gniewnym, podniesionym głosem; jemu zaś sprawiało wielką radość, że po czterech latach daremnej udręki w końcu udało mu się oszukać tego mądrego i pozornie wszystkowiedzącego człowieka.

Tak upłynęły dwa tygodnie, dopiero wtedy go przejrzał, choć w całym swoim okrucieństwie udawał, że nic nie widzi, przebiegle pozwalał, by historia nabierała kształtu, żeby we właściwym momencie ich nakryć i rozetrzeć w pył; przyglądał się okrutnemu wyczekiwaniu, pewien, że w końcu nastąpi oczekiwana katastrofa, a z drugiej strony była dziewczyna, niepodejrzewająca grożących im niebezpieczeństw, nieporadnie kołysała się w oknie, wyglądała na ulicę i czasem nawet się śmiała, stała na czatach, broniła się, ale jednocześnie chciała rozzłościć nauczyciela, co, dziś już to wiem, jeszcze bardziej go intrygowało.

Tymczasem musiał wysłuchiwać długich, barwnych, pasjonujących, pełnych morałów opowieści o ascetycznym życiu, o duchowej sile estetyki, złych hedonistycznych nawykach, o całej maszynierii ludzkiej duszy, o racjonalnie i oszczędnie używanych zaworach, przez które należy uwolnić z silnika rozpierające go spaliny, i wiele innych aluzji, arabesek, ornamentyki, podczas gdy było już jasne, że wszystkie te przypowieści nie odnoszą żadnego skutku, że ze stojakiem na nuty musi się zabierać na środek pokoju, a miejsce przy oknie zajmie nauczyciel.

I tu właściwie historia dobiegłaby końca, bo on wcale się nie sprzeciwiał, a nawet w głębi duszy z całego serca przyznawał nauczycielowi słuszność, rozumiał go czy wydawało mu się, że go rozumie, fizyczne opanowanie grzesznych słabości człowieka uważał za możliwie najbardziej naturalne postępowanie, za najprostsze dostępne rozwiązanie, był niewinny aż po granice głupoty, upośledzony umysłowo, nawet kretyń nie mógł być tak niewinny jak on, nie tylko że nie miał pojęcia, jak rodzą się dzieci, nie wiedział nawet, jaka jest różnica między dziewczyną a chłopakiem, a to, co go interesowało, poruszało się w tak innych wymiarach, że nie potrafił pojąć nawet tego, o czym wiedział.

Jednak dziewczyna nie odpuszczała, czekała na dole w bramie, skończyły się wygłupy i droczenie się, pomiędzy nimi trojgiem zaczęła się straszna walka, w której uczestniczył zmysłami, a właściwie nie zmysłami, ale zwierzęcym instynktem, wcale nie podejrzewając, że to walka i że tak naprawdę walczy o swoje życie.

Nie podejrzewał nawet, jakie udręki jest w stanie znieść człowiek, jaką może prowadzić ze sobą walkę, a przecież o tym wiedział, i go szantażował.

Nieraz był świadkiem wstydliwych, cichych szeptów, z których mógł się domyślać, że nauczyciel wrócił z obozu koncentracyjnego, chyba z Sachsenhausen, już nie pamięta, tyle tylko, że nie nosił tam żółtego czy czerwonego trójkąta, ale różowy, czyli był homoseksualistą, choć takie piętno nosił być może z powodu liberalnych poglądów, mordercze oszczerstwo, w wyniku którego można było trafić do więzienia, czemu z kolei przeczyła wersja, że był aktywnym członkiem partii nazistowskiej i przyczynił się do usunięcia Żydów z niemieckiego życia muzycznego, czy było tak, czy inaczej, dla nas były to tylko puste słowa, wryły mu się w pamięć,

ale z niczym się nie kojarzyły, najwyżej wyciągnął z nich wnioski, że, cóż, dorosłym nie dość było wojny, ciągle się żrą, albo że ludzie uważają sztukę za swego rodzaju zakaźną chorobę i że nikt rozsądny nie powinien się nią zajmować.

Matka powinna była to wiedzieć.

Mówił cicho i bez najmniejszej przerwy aż do świtu, a to był ten jedyny moment, kiedy równy, chłodny nurt jego opowieści zatrzymywał się na niemożliwej do pokonania tamie uczuć.

Jego pierś falowała, nie tracąc mnie z pola widzenia, odwracał wzrok, mówiąc, że nie, na to już nie pozwoli, na to nie może pozwolić.

Oczy zaszyły mu łzami, głos się łamał, jak gdyby chciał się rozplakać albo zacząć mnie o coś głośno oskarżać.

I nagle, wybuchając śmiechem, zawołał, żebym tego też nie traktował poważnie, żebym w ogóle niczego nie traktował poważnie!

Po czym cicho, wróciwszy do poprzedniego, chłodnego tonu, dodał, że każda kurwa i każdy pedał ma swoją matkę i swoją wzruszającą historię.

I to jest właśnie totalny sentymentalizm.

Kilka dni później, kiedy mroczną szosą pędziliśmy w stronę miasta, opowiedziałem tę historię Thei.

Dokonałem jedynie kilku koniecznych zmian, słowa o psychice cudownego dziecka potraktowałem jako wstęp i ramę całej historii, mówiłem bezosobowym głosem, jak gdybym opowiadał o jakiejś obcej dla nas dwojga osobie.

Bezosobowy ton historyka i historiograficzny porządek spowodowały, że w opowieści natychmiast pojawił się rys abstrakcji umożliwiający umieszczenie osobistych elementów oraz związków przyczynowo-skutkowych w szerszej i bardziej ogólnej chronologii, którą jako bezosobową i niepowtarzalną zwykliśmy nazywać procesem historycznym, zrzędzeniem losu czy po prostu bożym przeznaczeniem; obierając zatem perspektywę bezosobowego i niepowtarzalnego czasu, co w gruncie rzeczy było raczej pracą zmysłów niż rozumu, bo przecież poprzez ten światopoglądowy dystans próbowałem ukryć zwyczajny wstyd, że zdradziłem Melchiora, że go sprzedałem, snułem dalej swoją opowieść, jak gdybym przytaczał nieistotny epizod historii odradzającej się na nowo w kolejnych powtórzeniach.

Jak gdybym patrzył na miasto z lotu ptaka, jakbym widział w nim piękną młodą kobietę, skrzypce, przerwy i pustkę, jakie wycina, wyrzywa w nim historia, i które sama własnym materiałem musi załatać i uzupełnić, jak gdybym widział tam śliczny mały teatrzyk, a w teatrze kanał dla orkiestry, w nim muzyków, a jednocześnie gdzieś daleko, pod Stalingradem, okopy, w tym pierwszym puste miejsce po pierwszym skrzypku, w tym drugim żołnierza owiniętego w szmaty, bliskiego śmierci z wychłodzenia.

Patrząc z odległej perspektywy bezlitosnej historii, mógłbym fakt, że kilku muzyków znikło ze swoich miejsc, a innych wyciągnięto w nocy z domów i posłano do łagrów, uznać za nieszczęśliwie istotne elementy w całym rozwoju wydarzeń, gdyż los, historia, opatrność wydaje wówczas tylko jeden szybki rozkaz, nie ma prawa istnieć pustka, w kanale dla orkiestry trzeba grać, w okopach strzelać, w rowach grzebać poległych, ktoś więc musi zająć miejsce pierwszego skrzypka, jego miejsce nie może pozostać puste, musi wygrywać te same nuty i nosić ten sam tradycyjny frak, żeby to, co zmienne, wydawało się stałe, a choć to okoliczność bez znaczenia i nie warto o niej mówić, na miejscach tamtych siedzą teraz francuscy jeńcy z sąsiedniego obozu i w nagrodę za zapewnienie niepowstrzymanej ciągłości ich strażnicy nie przez przypadek odprowadzają ich do gospody pod Złotym Rogiem; los, opatrność, historia nie

czynią tak z łaskawego ludzkiego namysłu, lecz po to, by pierwszy skrzypek, który na krótką godzinkę znika w piętrowym mieszkaniu właściciela gospody umierającego gdzieś na ośnieżonym stepie pod Stalingradem, mógł uwierzyć, że to dla niego historia wstrzymuje oddech.

Albowiem historia, los, boże przeznaczenie nie uznaje przerw i natychmiast wypełnia pustkę, którą pozostawił po sobie właściciel gospody w swoim małżeńskim łóżku, i w tym sensie nie ma najmniejszego znaczenia, że ładna młoda kobieta i przystojny młody mężczyzna czują do siebie coś, co najzupełniej słusznie nazwać możemy miłością na śmierć i życie, bo oni raczej umrą, niż zechcą żyć bez siebie, i właśnie dlatego opisują swoje uczucia takimi radykalnymi słowami, że nazywają nimi zamiar losu.

I nie ma żadnego znaczenia, czy podchmieleni strażnicy zauważą tę niedopuszczalną wyrwę, czy jej nie dostrzegą, dla historii nie jest zadaniem zbyt skomplikowanym ogłupić kilku prymitywnych uzbrojonych osobników, przekupić ich czy przyprowadzić do rozumu pięknym widokiem wybuchu miłosnego żaru, i kiedy wreszcie wyjdzie na jaw ten straszny czyn, ich rękoma pozbawić życia winnego zhańbienia rasy Francuza, w wyniku czego w tamtej historycznie niezbędnej orkiestrze znów jedno miejsce stanie się puste, ale o tym, kim je zapęłnić, pomyśli się później, kiedy już sprowadzi tego, którego wcześniej zwolniono z powodu rozpustnego życia.

Nie sądzę zatem, powiedziałem do Thei, żeby z takiej perspektywy ślepoty jego matki była czymś nagannym, skoro to, co utraciła, tracąc męża, w jeszcze pełniejszej i piękniejszej postaci dostała od swojego kochanka, a to, co straciła, tracąc kochanka, dzięki Bogu, wróciło do niej w jej własnej macicy, i tak to wszystko, co dostała, pewnego pięknego dnia będzie musiała zwrócić.

Wydaje się jej, odparła Thea cicho, że gdybym nie złorzeczył Bogu w tak zawiłych słowach, też by mnie zrozumiała.

I znów zachowywała się tak, jak gdyby słuchała mnie jednym uchem.

Jeszcze tego samego dnia, kiedy nauczyciel kazał mu odejść od okna, Melchior opowiadał dalszy ciąg swojej historii, dziewczyna czekała na niego przed bramą, chwilę na siebie popatrzyli, nie wiedział, co ma zrobić, z jednej strony cieszył się, że udało mu się oszukać nauczyciela, z drugiej – wstydził się dziewczyny, właściwie nie wie dlaczego, może z powodu krótkich spodenek, nie wiedział, co ma powiedzieć, więc ruszył przed siebie ze skrzypcami w rękę, a dziewczyna krzyknęła za nim, że jest głupi, i wtedy się odwrócił.

Znów chwilę postali w miejscu, aż wreszcie dziewczyna powiedziała, żeby poszedł do nich, bo chciałyby, żeby raz zagrał tylko dla niej.

Co świadczyło o jej bezgranicznej głupocie, bo tych spraw nie wolno tak paskudnie ze sobą mieszać, więc powiedział, że jest głupia.

Na co dziewczyna wzruszyła ramionami, że dobrze, wszystko jedno, tu też może ją pocałować.

Od tamtej chwili codziennie na nią czekał, choć każdego dnia postanawiali, że nie będzie na nią czekał, a on argumentami używanymi przez nauczyciela, i takim samym jak jego tonem, tłumaczył, że teraz decyduje się całe jego życie i że teraz nie może.

Czy raczej było dokładnie na odwrót.

Pamięta, że tamtego pierwszego dnia, kiedy byli tak podnieceni, że nie wiedzieli, co mają ze sobą zrobić, żeby nie dać nic po sobie poznać, woleli rozmawiać w krzakach pełnych najrozmaitszych śmieci, okropnie śmierdziało, dziewczyna przekonywała go, że jest w nim tak

bardzo zakochana, że mogłaby czekać na niego do końca życia, i że ten konkurs jest teraz najważniejszy, żeby się nie spotykali, ona będzie na niego czekać, obydwójgu wydawało się to bardzo piękne, ale i tak codziennie na nią czekał.

I coś jeszcze musi mi wyznać.

Ale nawet nie wie, jak ma o tym składnie mówić.

Siedzieliśmy w bezruchu, jego wzrok ślizgał się i pędził w mojej pamięci, a ja robiłem krok w tył, jeden po drugim, potykałem się, uciekałem spojrzeniem w bok, uskakiwałem przed jego słowami, jak gdybyśmy z zawiązanymi oczyma ganiłi się jak szaleni wokół jakiegoś niemożliwego do złapania przedmiotu, który kiedy go tylko dotknęliśmy, wymykał się z naszych rąk.

Chodziło o to, ile zniesie nasze poczucie wstydu, bo wstyd duchowy rządzi się dużo bardziej rygorystycznymi prawami niż wstyd ciała, to oczywiste, ciało to w końcu materia podlegająca rozkładowi, a kiedy otwiera się przed nami w niematerialnej postaci, jego skończoność jawi się nagle jako przerażająco nieskończona, w panicznym strachu uciekałem więc przed tym niepojętym czymś, nie chciałem widzieć tego, co sam na nim wymusiłem.

Jego słowa nadal cechowało zdecydowanie, popychał je i wypychał z siebie, ale nie umiał zbudować z nich sensownych zdań, były pełne mocnych, niedokończonych aluzji, twierdzeń, wykrzykników, wątpliwości, które tylko ja mogłem zrozumieć, przynajmniej na tyle, na ile człowiek jest w stanie zrozumieć urywki słów wstydliwie drżące od tłumionej energii.

Aluzje złożone z chaotycznych słów, duszonych w sobie, połykanych i urywanych, nawiązywały do związku, który łączył ze sobą tamto całkiem już zapomniane i pozornie przypadkowo powracające przeżycie z drugim, świadomie nienazywanym przeżyciem, mianowicie z poznaniem Thei, której imienia wtedy nie mógł wypowiedzieć, gdyż pomiędzy tymi dwoma przeżyciami rozwierała się przepaść całego dziesięciolecia.

Znajdowałem się w tym szczęśliwym położeniu, że znałem dwie wersje ich poznania się ze sobą.

Powiedziała, że już nigdy więcej.

Nawet ze mną.

I że takie porównania nie mają sensu.

A jednak, dodała.

Znaczy z nią, tu wstydliwie przemilczał imię Thei, i z tego powstało nieszczęsne nieporozumienie.

Nie chciała być niesmaczna ani śmieszna, tymczasem nie mogła być inna.

Nie chciała go skrzywdzić, a właśnie to zrobiła.

Bo wszystko wskazuje na to, że już nic takiego nie czuje.

Mniej więcej trwało to tydzień, odezwał się zamyślony, a ja widziałem na jego twarzy, że mówiąc, ma na myśli dwa różne okresy swojego życia, ten sprzed dziesięciu lat i ten sprzed kilku miesięcy, czy mówiąc ściślej, widziałem, jak ostatnie miesiące zmieniły w jego pamięci tamte dawne lata.

Kiedy uczucia się nie powtarzają, nie możemy mieć wspomnień, i odwrotnie, każde przeżycie przywołuje poprzednie przeżycia, tak funkcjonuje ludzka pamięć.

Wspomnienia zlały się na jego twarzy w całość, jedno rozgrzewało drugie, a ja poczułem ulgę i zadowolenie, jakbyśmy wreszcie chwycili w dłoń od dawna poszukiwany w mroku przedmiot naszej historii.

O tym wstydliwym fragmencie naszej rozmowy oczywiście nie wspomniałem

w samochodzie Thei.

Ale jeszcze chciałby opowiedzieć, jak to się skończyło, bo w końcu nauczyciel sromotnie go nakrył i z wyrazem twarzy człowieka gotowego na wszystko otworzył przed nim drzwi, a on natychmiast zrozumiał, że to koniec, koniec, którego już od dawna się spodziewał.

Pokazał, żeby odłożył skrzypce, nie będą mu już potrzebne, i zaprowadził do drugiego pokoju.

Sam usiadł, jemu nie wskazał miejsca.

Zapytał, co będzie robił wieczorem.

A on zaparł się w sobie, nic nie odpowiedział, i wtedy nauczyciel przypomniał mu wszystkie siedem dni minionego tygodnia, z dokładnością co do minuty, kiedy w te dni wracał do domu.

O dziewczynie nie wspomniał ani słowem, nie uczynił do niej żadnej aluzji, poniedziałek, powiedział, godzina dziewięta czterdzieści dwie, wtorek, godzina dziesiąta dwadzieścia osiem, i tak dalej, i tak dalej, powoli, i nic więcej.

Stał na środku dywanu w swoich krótkich spodenkach i tam, na środku tego dywanu, zemdłał.

Zemdłał, kiedy nagle zrozumiał, że ten dostojny, potworny, uwielbiany, stary, piękny, siwowłosy, nieszczęśliwy człowiek właśnie jego, pozbawione talentu dziecko, które jest nikim, każdego bożego dnia cicho, na paluszkach, śledził, krocząc za nim jak cień, i wszystko, dokładnie wszystko, widział.

Prawdopodobnie tylko zakręciło mu się w głowie, a jeśli stracił przytomność, to jedynie na moment.

Przyszedł do siebie, czując z bliska znajomy zapach klęczącego nad nim nauczyciela, i do dziś pamięta jego twarz: pajak, który wreszcie złapał w swoją sieć zieloną muchę.

Całował go, obejmował, z przerażenia bliski płaczu, szeptał coś, błagał, żeby mu zaufał, bo jak mu nie zaufa, to zginie, on i tak jest już martwy, jego już zabili, i wśród tych pełnych obawy szeptów zabrzmiało zdanie, że nikt nie wie, kto jest jego prawdziwym ojcem, więc żeby traktował go jak ojca i niech zaufa mu jak ojcu.

On się sprzeciwiał, płakał, trząsał się i kiedy wreszcie się uspokoił, siedząc w kącie pokoju, a nauczyciel pozwolił mu iść do domu, zobaczył dziewczynę czekającą przed bramą i uciekł przed nią bez słowa.

Na szczęście matka tego dnia wróciła bardzo późno.

Do wieczora jakoś pozbierał się w sobie i poprosił matkę, żeby natychmiast się stamtąd wyprowadzili, dokądkolwiek, i żeby poszukali innego nauczyciela, jakiegokolwiek, bo ten jest złym nauczycielem; nie powiedział nic więcej, o niczym innym nie myślał, tylko o tym, że to bardzo zły człowiek, ale tego nie miał odwagi powiedzieć na głos, więc na pytania matki odpowiadał tylko, że jest złym nauczycielem, jak gdyby nie chodziło tu o życie, ale o sztukę.

Matka niczego nie podejrzewała i to właśnie było takie, jak gdyby chciała go dobić, stanowiło ostateczny dowód na to, że już nikt nie może mu pomóc, nawet matka, i że wszystko, co się tyczy jego życia, musi na zawsze pozostać jego tajemnicą.

Pozwolił, żeby go uspokoiła, przykryła i ułożyła do snu, mimo najgorszych przeczuć poddał się gestom niczego niepodważającej, kochającej matki.

Po tym, jak usłyszałem te wszystkie nieistotne szczegóły, mogłem się już domyślać, co będzie dalej.

Dziewczyna pojawiła się w oknie, ostrożnie, strachliwie, chciała pokazać, że wszystko

rozumie i że czeka, ale jej chęć czekania na niego sprawiła mu taki ból, że za wszelką cenę chciał o nim zapomnieć.

Dzień przed konkursem wraz z nauczycielem pojechał po południu do Drezna, ale tego, co wtedy wydarzyło się w hotelowym małżeńskim łóżku, już mi nie opowie; najwyżej tyle, że ani wcześniej, ani później nie spotkał człowieka, który musiałby stoczyć ze sobą taką walkę, i wtedy, właśnie wtedy, opuścili go wszystkie siły.

To nie był hotel, tylko taki dawny, spokojny pensjonat gdzieś na obrzeżach miasta, położony w chłodnej, rozległej dolinie, z posepnymi wieżyczkami, okratowanymi balkonami, niczym zapomniany, przyjazny czarodziejski zamek.

Z dworca pojechali tramwajem do wielkiego, chłodnego pokoju, wszystko było białe, nawet porcelanowa miska, owalne lustro, na białym marmurze stała woda w białym, porcelanowym dzbanie, narzuta na łóżku też była biała, zasłony również, przed oknem całą noc szumiały gęste krzewy.

Mówił z trudem, jak gdyby przy każdym słowie chciał skończyć, ale nie potrafił umilknąć, i po każdym słowie, które miało być ostatnie, następowało kolejne.

Zapytał, czy poczęstuję go papierosem.

Zacząłem szukać i nim znalazłem paczkę, położyłem mu na kolanach popielniczkę, a żeby oprzeć się o coś plecami, ukryć niezręczną nagość i ogrzać zdrętwiałe nogi, oparłem się o ścianę, zajmując miejsce na końcu kanapy, okryłem się brzegiem kołdry, podkuliłem pod uda zmarznęte stopy, a on załamującym się głosem mówił dalej o tym wszystkim, o czym musiał mi opowiedzieć.

Teraz już chyba rozumiem, dlaczego pytał matkę, kto jest jego ojcem; dziwne zdanie nauczyciela podstępnie wryło się w jego pamięć.

Najdziwniejsze, powiedział po chwili, w której zaciągnął się papierosem, że kiedy już studiował, minęły od tamtej nocy trzy lata, i przyjechał do domu na wakacje, nadal niczego jeszcze nie rozumiał, i bez cienia podejrzeń opowiadał, jak jego nauczyciel popełnił samobójstwo, opowiadał o tym jak o jakimś pozbawionym znaczenia epizodzie.

Nie odpowiedział, tylko niefrasobliwym tonem wspomniał, że za kilka dni będą mieli gościa, kolegę z roku, i żeby uniknąć nieporozumień, wysylabizował jego imię, Mario, żeby matka przypadkiem nie usłyszała „Marion”.

Wtedy matka, jak gdyby wreszcie coś zrozumiała, to też zdarzyło się podczas zmywania, stanęła jak wryta z talerzem w dłoni.

Nie szkodzi, mój synku, przynajmniej mam cię dla siebie.

Kiedys jeszcze powtórzył to, mając na myśli mnie.

Przerwy były coraz dłuższe, ale nie potrafił przestać mówić.

Człowiek ma skłonność, by oszukiwać się w dziwny sposób, że wszystkie rzeczy na tym świecie dzieją się z jego powodu, wszystkie, powiedział, nawet to, co dzieje się w innym człowieku, z jego powodu, z mojego powodu.

Może dlatego tak musi być, dodał, że każde żywe stworzenie najpierw bierze do ust pełną mleka pierś swojej matki, a chciałoby też wziąć nabrzmiałego krwią fallusa swojego ojca, wziąć do ust wszystko, co żyje, wszystko, co może spłynąć między wargi, słodkie czy słone, wszystko, co życiodajne, wszystko, co niesie ze sobą życie, co jest warunkiem życia, tak samo on, jak i ja.

Doskonale rozumiałem, dlaczego nie może skończyć; im bardziej był wyrozumiały i skłonny do wybaczenia, tak wobec swojej matki, jak wobec nauczyciela, tym bardziej stanowczych kształtów nabierał jego skrywany głęboko zamiar, by moralną odpowiedzialnością

za własne przeżycia obciążyć po części historię, a więc coś, co jest nieuchwytne, a po części dwie całkiem konkretne osoby, ale skoro jego wysokie morale nie pozwalało mu zwyczajnie i po prostu znienawidzić tych dwóch osób, z których jedną usunęła z jego życia śmierć, a druga była jego własną matką, nienawidzić samego siebie zaś nie umiał, nie pozostał mu inny wybór, jak uznać siebie samego za ofiarę historii.

Kiedy zaś mówi ofiara, zawsze znajdziemy w jej słowach coś sentymentalnego i oskarżycielskiego, a przez to humorystycznego, bo przecież mówi, a jak wiemy, prawdziwe ofiary historii milczą.

Z tego też powodu nienawidził tutejszego *genius loci*, rozumiałem go, dlatego musiał stąd odejść, decydując się na wszelkie ryzyko, zaprzeczyć wszystkim swoim związkom z własną historią, zerwać je albo umrzeć za marzenia o rozpoczęciu wszystkiego od nowa, zaryzykować, by zastrzelili go na granicy jak psa.

Kiedy wróciliśmy do miasta, żadne z nas się nie odzywało, obydwójce skryliśmy się we własnej ciszy, w dwóch zlewających się ze sobą ciszach, oddzielnie, ale obok siebie.

Czułem lekki skurcz w okolicy żołądka i jelit, jakby moje sumienie pracowicie czyniło tam swoje, próbowałem pohamować te burknięcia, burczenia, potrzebę oddania gazów, co okazywało się tym bardziej trudne, że stała się nagle nieobliczalnie tajemnicza, niedostępna i zamknięta w sobie, nie mogłem więc przewidzieć, jak zareaguje na moją odpowiedź.

A dziwny komentarz, że rozumiałaby mnie, nawet gdybym nie złorzeczył Bogu w tak zawitych słowach, czyli że i wtedy rozumiałaby całą historię, a nawet rozumiała lepiej, gdybym ją opowiedział, nie wygłaszając moralnych osądów, zabolął mnie.

Ale w końcu w prosty sposób przywiódł mnie do wniosku, że historii Melchiora, jak też żadnej innej historii, nie da się wprost wyprowadzić ani z historii świata, ani z biologii, a ich moralny ciężar nie może obciążać nikogo i niczego, takie rozumowanie świadczy o ograniczeniu, jest umysłową ciasnotą, gdyż w każdej ludzkiej historii musimy zaakceptować władzę jej niepodzielnej całości, rozciągającą się na wszystko, włącznie z najmniejszymi szczegółami, co skądinąd nie jest zadaniem łatwym, by człowiek, zwłaszcza ten niewierzący, jednocześnie dostrzegał szczegóły i myślał o szczegółach.

Musiałem na nią spojrzeć, jak gdybym chciał przyjrzeć się cielesnej powłoce osoby, która zadała mi takie pytania.

Jak gdyby nie słyszała głośnego burczenia moich kiszek ani nie rozumiała mojego spojrzenia.

Jej ostrzeżenie dlatego też wywarło na mnie taki dziwny wpływ, że nigdy przedtem ani nigdy później, ani wzdychając, ani przeklinając, nie wymówiła więcej tego imienia.

Jej zamyślona twarz była obojętna i pozbawiona współczucia, ale to była twarz kogoś mocno dotkniętego i zaangażowanego w usłyszaną historię.

Im bardziej zbliżaliśmy się do placu Wörthera, tym bardziej nieznośne stawało się poczucie, że ten dzień dobiegł już końca, a teraz rozpocznie się coś nowego, nieznanego, i że do jutra, które wydawało się jeszcze nieskończenie odległe, będziemy musieli się rozstać.

Nie było to uczucie mi nieznanne, kiedy byłem pomiędzy nimi, byłem obecny, a im bardziej potrafiłem być obecny pomiędzy nimi, tym bardziej byłem obecny tak, jak tego chcieli i jak potrzebowali, i to, czy tu, czy tam, żal mi było utracić.

Kiedy na przykład wysiadałem z samochodu Thei, wchodziłem na piąte piętro, a Melchior poirytowany czekaniem otwierał drzwi, otwierał, rozpościerał!, nie tylko jego powściągliwy, niemal bezosobowy uśmiech wydawał mi się obcy, obce było wszystko, jego uroda, zapach,

skóra, zarost, uśmiechnięte, zimne, niebieskie oczy, wstydzilem się przyznać, a nawet jego pleć, wszystko poza nim samym.

Jakby bliskie mogło mi być tylko to, co muszę opuścić, a opuścić muszę właśnie po to, żeby mogło być mi bliskie, i zapewne w tym leży przyczyna wszystkich moich błędów, pomyślałem, choć tego nie można nazwać błędem, bo przecież to nie ja myślę, lecz myślą za mnie moje przeżycia, moja własna historia, żyję i bezustannie żegnaję się z życiem, gdyż na końcu każdego z moich przeżyć czai się śmierć, a wnioski z tego takie, że pożegnania stały się ważniejsze od samego życia.

Takie oto myśli chodziły mi po głowie, kiedy zatrzymaliśmy się przed domem; Thea, odrzucając głowę w tył, spojrzała na mnie z góry, zdjęła okulary i się uśmiechnęła.

To był szybki, spontaniczny, szeroki uśmiech, który dotychczas drzemał gdzieś w mięśniach jej ruchliwej twarzy, a ona tylko go ukrywała, z litości albo z wyrachowania, by mi nie przeszkadzać i żeby historia, którą jej opowiadałem, tak właśnie, jak chciałem, stała się w jej oczach pełną, niczym niezmaconą całością.

I jakbym miał dotknąć we własnej duszy tajemnicy mojego narodu, zapytałem samego siebie, czy nie dlatego ciągle się oddala od tego najprawdziej mojego życia, a ja na próżno na wszelkie wyrafinowane sposoby próbuję się dostosować do oczekiwań otoczenia, że na końcu każdego z moich wspomnień czai się śmierć, i że może to wcale nie jest boska jedność losu, lecz najwyklesze doświadczenie historyczne?

Delikatnie oparła dłoń o moje kolano, palcami obejmując rzepkę, ale ich nie zacisnęła; w ciemnościach patrzyłem jej w oczy.

A może nie trzymała w dłoni mojego kolana, lecz tym gestem obejmowała nasze ciała, naszą wspólną ciszę, widziałem w jej oczach, że chce coś powiedzieć, ale nie potrafi, bo dokładnie czuje to wszystko, co powinna zrozumieć.

Nadużyciem byłoby powiedzieć to na głos, o pewnych sprawach nie wolno mówić nawet w zawołanej formie, trzeba pozostawić je życiu, a jednak gdyby w samochodzie nie było ciemno, gdyby nie oświetlały jego wnętrza tylko ginące w krzewach plamy świateł ulicznych latarni, gdybyśmy wyraźnie widzieli swoje twarze, wszystko to nie zatrzymałoby się na granicy domysłów i przeczuć, lecz przeobraziło w słowa, wtedy z pewnością pomiędzy nami trojgiem sprawy potoczyłyby się inaczej.

Potem zaczęła wprawdzie mówić, ale wtedy tamta znacząca chwila była już daleko za nami.

Tak, powiedziała, każdy z nas ma jakąś swoją, taką czy inną, historię, i czy zauważyłem, że te historie wszystkie są smutne!, dlaczego?, wydaje się jej jednak, że tym razem opowiedziałem jej historię własnego życia, o którym niewiele wie, poza tym, że poczułem się urażony.

Urażony, zapytałem zaskoczony już samym tym słowem.

Ona jednak nawet nie poczekała, aż dokończę, uśmiech na jej twarzy przemienił się w śmiech, i w tym wybuchu śmiechu zadała mi pytanie, czy wiem, że jest Żydówką?

I roześmiała się głośno, najprawdziwszym śmiechem, który wywołały w niej moje zaskoczenie i nic nierozumiejące zdziwienie na mojej twarzy.

Dobrze, zawołała radośnie, powinienem już iść, ścisnęła moje kolano i zabrała dłoń, a o tym opowie mi przy innej okazji.

Nie szkodzi, będę mógł się zastanowić, jestem mądrym chłopcem, a zresztą nie zawsze i nie wszystko trzeba rozumieć, wystarczy czuć.

Ale co mogę czuć?

Trzeba tylko czuć.



Tak łatwo się teraz nie wykręci, powiedziałem, to jest świństwo.

Nie wykręci, zawołała ze śmiechem i pochylając się nade mną, otworzyła na oścież drzwi samochodu, żebym wysiadł.

A jeśli nie rozumiem, o co chodzi?

Nie interesowało jej, co mówię ani o co ją pytam, co rozumiem, a czego nie, napierała ramieniem na moje ramię i pierś, chciała mnie wypchnąć, wyrzucić ze swojego samochodu, po chwili namysłu złapałem ją za przegub, wahałem się, bo wydawało mi się, że nie powinienem odpowiadać przemocą na przemoc, skoro jest Żydówką, teraz mi powiedziała, że jest Żydówką, to zaś skłoniło mnie do tego, bym, lekko przekręcając jej rękę, zrzucił jej dłoń, i podczas gdy obydwójce śmiałyśmy się z własnej nieporadności, obydwójce chcieliśmy przerwać te nasze igraszki.

Nie, nie, zawołała tępym, scenicznie zbolałym, omdlewającym głosem, broniła się jak dojrzała kobieta i wzruszająco prosiła jak mała dziewczynka, żebym ją puścił, żebym ją puścił, już dość.

A jednak jeszcze nie było jej dość, chciała ugodzić mnie głową w pierś, więc dalej robiła swoje, na co ja jeszcze mocniej ścisnąłem ją za rękę, aż syknęła, jej głowa na chwilę została na mojej piersi, tam miała dobre, że tak powiem, spokojne miejsce, jak gdyby szukała go od dawna, a napięte spotkanie dwóch ciał znaczyło, że ja jestem silnym i mocno zbudowanym mężczyzną, a ona słabą kobietą, jeszcze się nie poddaje, odpycha mnie, ale niebawem się podda.

Nie pozwolę, wyraziłem na głos to z pewnością schlebującą, jako że całkowicie odpowiadające powszechnie przyjętej grze w seks, uczucie, i temu mojemu naiwnemu uczuciu dałem wyraz z tak zachłanną radością, jakbym informował, że w żadnym razie nie zamierzam przegapić nadarzającej się okazji.

Tego może jednak nie powinienem był mówić, bo obrażona szarpnęła głową, niechcący tak uderzając mnie w brodę, że obydwójce poczuliśmy ból.

Jej pełne urazy wzbranianie się oznaczało, że mimo wszystko nie jest skłonna przyjąć do wiadomości tej dosyć oczywistej różnicy pomiędzy nami dwojgiem, a przynajmniej nie chce uczynić z niej użytku, nawet jeśli sprawia mnie i sobie ból.

Zapytałem, co to ma znaczyć.

A co miałoby znaczyć, odparła szelmowsko, nic.

Tymczasem z taką czułością, błagając patrząc mi w oczy, z tak bliska, z takim dziewczęcym wdziękiem powracała do roli słabej kobietki, tak umiejętnie i profesjonalnie wszystko demaskowała, a ośmieszenie, ośmieszenie sytuacji, na którą bezwiednie przystaliśmy, tak mi sprzyjało, że powoli, niespiesznie musiałem zwolnić uścisk, ale nie wypuściłem jej ręki.

Co chciała mi przez to powiedzieć, zapytałem, słysząc we własnym głosie, jak nieporadnie wracam od obiecująco niemego dotyku do fałszywie głośnych słów.

Mówiłem tylko po to, by rozum nie uruchomił rutynowych odczuć, by zrozumiał to albo przynajmniej nadażał za tym, czego chcą nasze zmysły, i żeby chciały tego, co chcą, nie wbrew rozumowi albo zamiast rozumu, a jeśli już, jeśli w ogóle, to żeby nie było zamiast, żeby nie była to prymitywna miłosna gimnastyka służąca tylko rozładowaniu innych napięć; i ona też musiała czuć coś podobnego.

To wszystko, co wydarzyło się między nami, można było potraktować jako przyjacielskie swary, aczkolwiek tego właśnie nie wiemy, gdzie leży granica pomiędzy przyjacielską kłótnią a rozkoszą miłosnej bliskości, rozum poniekąd stałby na straży tej granicy, nawet gdyby rozkosz gry możliwości i gestów uczyniła sytuację niemożliwą do odwrócenia, jakbyśmy już przekroczyli

te ledwie dostrzegalne granice albo po prostu nie wiedzieli, gdzie jesteśmy.

Powie mi innym razem, rzuciła oschle, a teraz żebym ją puścił.

Nie, nie puszcze, odpowiedziałem, dopóki mi nie wytłumaczy, nie lubię takich głupot.

Ale rozum nie pomagał już zmysłom, bo słowa też chciały rozstrzygnąć to ostateczne pytanie; my zaś nie mieliśmy pojęcia, o czym rozmawiamy, a to znak miłosnych przekomarzań.

Ze złością, niecierpliwie przechyliła głowę na bok, może w nadziei, że zmiana pozycji zmieni sytuację.

Żebym ją puścił, odezwała się wściekła z gniewu, Arno nie ma pojęcia, dokąd pojechała, czeka na nią, świerknie od tego czekania, jest bardzo późno.

Od tego nagłego szarpnięcia światło latarni padło na jej twarz, i może to ono mnie pokonało.

Dość zabawne, że właśnie teraz przypomniał się jej Arno.

Bo właśnie w tym ostrym świetle, nie umiem tego wyrazić inaczej, na jej twarzy pojawił się ten drugi.

Jak gdyby w tej chwili jej twarz zaczęła przypominać podłużną, zasuszoną, markotną twarz Arno, ale to nie jakaś obca twarz przysiadła na jej twarzy, lecz uczucie albo cień uczucia, coś trudnego do określenia, smutek obcego mężczyzny, z którym łączyły ją uczucia i którego, wymawiając jego imię, nie bez przyczyny wprowadziła pomiędzy nas dwoje, nie tylko starego męża, o którym myśli, nawet gdy go zdradza, i którego traktuje, jakby był jej ojcem albo synem, nie, musiała pozostać wierna smutkowi człowieka, smutkowi przenikającemu do korzeni całe ich wspólne życie, czy dlatego powiedziała, że jest Żydówką?, smutkowi, który jest nie tylko smutkiem tego obcego mężczyzny, ale także jej własnym?, jest coś pomiędzy nimi, czego rzeczywiście nie można zerwać?, czy to jest im wspólne, że ona jest Żydówką, a Arno Niemcem?

Musiałem zetrzeć, zebrać z jej twarzy czy choćby na jakiś czas odpędzić ten nieznan mi dotąd smutek, który wtedy zobaczyłem po raz pierwszy, ale ze smutkiem Arno już nie potrafiłem dać sobie rady, to był smutek mężczyzny, który nie był mi bliski, nie mogłem go osiągnąć, nie mogłem udawać, że nie dostrzegam, jak bardzo ten smutek ich łączy, ani że nie można ich od siebie rozdzielić, i tak w końcu to on zwyciężył czy raczej oni.

Teraz jeszcze bardziej nie wiedziałem, jak mam się znaleźć w tej coraz poważniejszej sytuacji, a smutek wyzierający w zimnym świetle ulicznych latarni zza wszystkich możliwych masek i twarzy przypominał mi błyskawicę, spotkanie najbardziej przeciwnych sobie sił.

Dobrze, powiedziałem, puszcze, ale najpierw ją pocałuję.

Słowa te spowodowały poniekąd, że już nie mogłem, bo było tak, jak gdybym już ją pocałował.

W tej całej po wielokroć wspominatej całości zawarło się tedy wszystko, co w potocznym znaczeniu tego słowa wcale się nie zdarzyło, ale i tak jest rzeczywiste.

Zaskoczona powoli odwróciła głowę, jak gdyby zdziwiło ją imię obcego mężczyzny.

Z jej odwracającej się ode mnie twarzy znikło światło, ale teraz już wiedziałem, że nie opuszcza jej tamta obca twarz, a półotwarte usta mówią czy raczej zza tamtej twarzy wydają z siebie cichy stęk, że teraz nie.

Puściłem ją, znów upłynęło kilka chwil.

Jęk naszego wspólnego smutku nie oznaczał naturalnie tego, co oznaczał, należało go przetłumaczyć, w naszym wspólnym języku nabierał przeciwnego znaczenia, znaczył, że ona czuje podobnie, i jeśli nie teraz, bo teraz nie, to kiedyś, w przyszłości, tak.

Gdyby to znaczyło, że w przyszłym tygodniu albo następnego dnia, znaczyłoby oczywiście,

że teraz nie, ale kiedyś też nie, tymczasem wcale tego nie oznaczało.

Twarze nas obydwójga błąkały się pomiędzy „tak” a „nie”, między „teraz” a „za chwilę” czy „kiedyś tam”.

Jak gdybym tym nieostrożnym zdaniem obudził nasze usta, na które teraz musimy patrzeć.

Rysy jej twarzy poruszały się niczym wahadło, napinały się i rozluźniały, skóra drżała, aż nadeszła kolejna chwila, bez „teraz” i bez „kiedyś”, zostało niepewne „w przyszłości”, a na jej ustach wibrowało zdecydowane „tak”, o którym nie wiadomo było tylko, kiedy.

To właśnie mnie bolało, bo jak nie teraz, to znaczy, że nigdy.

Nasze twarze kołysały się pomiędzy niepewnym bólem niezdecydowanego sprzeciwu a niepewną radością niezdecydowanej zgody, twarze pełne wahania pomiędzy poddaniem się a samoobroną, kiedy jedną przeszywał ból, druga promieniała radością, kiedy na jednej zwyciężała radość, druga tonęła w bólu, i w tej wyczekiwanej od dawna, decydującej o wszystkim chwili ciągle jeszcze nie można było odróżnić „tak” od „nie”.

A ja, żeby nie musieć czekać na tę kolejną chwilę, poruszyłem się, rozłupując czas na pół, czego wprawdzie nie można było wytłumaczyć inaczej, jak tylko tym, że mnie to zabolalo, jeden kierunek był zamknięty, drzwi samochodu za moimi plecami otwarte, jednak ból, choć nie mógł przerodzić się w radość, za wszelką cenę zmierzał ku uldze.

Zgodnie z zasadą ruchu wahadłowego ona otwierałaby się, kiedy ja właśnie chciałem się zamknąć, ale że nie mogła pozwolić swojej radości przeistoczyć się w ból, bo teraz właśnie chciała powiedzieć „tak”, więc w odpowiedzi na mój ruch gestem dłoni zamieniła „kiedyś” w „teraz”.

Podbródek, który siłą przyzwyczajenia w trzeźwych i świadomych chwilach naszego życia utrzymuje usta zamknięte, górną szczękę kładzie na dolnej, a górną wargę przysuwa do dolnej, w takich chwilach się rozluźnia, wraca do prądawnego stanu sprzed nabytych nawyków, rozluźnia trzeźwą, świadomą dyscyplinę, poza godzinami snu utrzymującą mięśnie twarzy w ciągłym napięciu, którego rodzaj i natężenie określają charakter twarzy, przez co tam, w środku, język wznoszący się nad górną krawędzią dolnej szczęki znajduje się w niepewnie rozkołysanej pozycji, a kiedy usta się otworzą, ślina zebrana u wrót zębów, nieopodal wznoszącego się łuku języka, spływa na dno jamy ustnej.

Głowy lekko odchylają się w bok, jedna w lewo, druga w prawo, kiedy bowiem usta dwóch osób chcą spotkać się ze sobą, ich twarze muszą ominąć nosy wystające z rzeźby ludzkich głów.

Kiedy oczy oceniają już odległość i na podstawie danych o rzeźbie głowy obliczą potrzebny kąt nachylenia, a z rosnącej ciągle prędkości zbliżania się można już wyznaczyć moment spotkania, wtedy powieki miękko i powoli opadną na oczy, z takiej bliskości widzieć jest już rzeczą niemożliwą i niepotrzebną, z czego naturalnie nie należy wyprowadzać wniosku, jakoby wszystko, co niemożliwe, miało być niepotrzebne, jednakowoż szpara pomiędzy powiekami całkowicie się nie zamyka, lecz pozostawia odrobinę miejsca, tylko tyle, by długie górne rzęsy nie opadały pomiędzy krótkie włoski dolnych rzęs, tak oto symetria oczu i ust staje się doskonała: jest to stan pełnej świadomości, choć człowiek nie jest do końca przebudzony, ile odda z napięcia trzeźwości, tyle straci z jasności myśli, tu coś się otwiera, choć nie całkowicie, tam się zamyka, choć też nie do końca.

Gdybym chciał więcej powiedzieć o pocałunku, o spotkaniu dwojga ust, o chwili, kiedy bezpośrednio zmysłowe odczuwanie nagle staje się bezpośrednim odczuwaniem dwóch ciał, gdybym chciał o tym powiedzieć coś bliższego, musiałbym chyba wkroczyć za pionową, pokrytą

bruzdami powłokę otwartych, muskających się wzajemnie warg.

O ile coś podobnego byłoby możliwe bez noża chirurga, o tyle samo współdziałanie narządów zmusiłoby nas do strasznego wyboru, czy mamy posuwać się wzdłuż mięśni opadających lekkimi falami ku kącikowi ust, czy też podążać za pajęczyną wijących się żyłek i nerwów; w pierwszym przypadku musielibyśmy przedostać się przez wianuszek gruczołów ślinowych zwartych ze sobą warg i ust, a poprzez tkankę łączną szybko dobrać się do błony śluzowej, podczas gdy w drugim przypadku, jak gdyby przez cienkie niczym włoski korzonki drzewa, dostawalibyśmy się do samego pnia, a stamtąd do centralnego ośrodka nerwowego korony, w trzecim zaś przypadku, zależnie od tego, czy ruszyliśmy niebieskim, czy czerwonym szlakiem, dotarlibyśmy do piwnicy lub komórki.

Na szczęście jedynie w bajkach musimy spośród trzech dróg wybierać tę jedyną, zbawienną drogę, jeśli jednak nie pragniemy zbawienia, a tylko chcemy zaspokoić naszą zwykłą i bez wątplenia dość powierzchowną ciekawość, możemy wybrać czwartą z możliwości, możemy wślizgnąć się do ust pomiędzy ledwie stykającymi się ze sobą wargami, a nie będzie to łatwe, powierzchnia w tym miejscu jest niemal całkiem sucha, ślinianki obficie wydzielają ślinę, ale niepewnie kołyszący się język nie zwilża ust, tak więc im więcej czasu upłynęło od chwili, w której dotknęły się wargi, tym są one suchsze, czasami przypominają ziemię spękaną podczas suszy, choć w wewnętrznym łuku dolnych zębów, tam, pod językiem, zebrało się już całkiem pokaźne jezioro śliny.

Kiedy posuwając się skalistym wierzchołkiem dolnych zębów, ominiemy to jezioro, a potem u ich nasady, po wzdłużnej płaszczyźnie, zaczniemy wspinać się w górę i dotrzemy do śliskiego grzbietu niepewnie kołyszącego się języka, by stamtąd spojrzeć na przebytą drogę, roztoczy się przed nami doprawdy nadzwyczajny widok.

Przedsięwzięcie, ma się rozumieć, nie jest wolne od niebezpieczeństw, jeśli nie zatrzymamy się na kubkach smakowych, to z łatwością możemy ześlizgnąć się do gardzieli, niemniej warto zaryzykować, w końcu jesteśmy w bezpiecznej jaskini, nad nami rozciąga się piękny łuk podniebienia, przed nami otwór jamy ustnej tworzy regularny rozwartokątny trójkąt, i jeśli nawet nie jesteśmy tu po to, by podziwiać zachwycające widoki, to zadziwieni zakrzyknjemy, że anatomiczny obraz jamy ustnej, oglądany z tej wewnętrznej perspektywy, jest dokładnie taki sam, jak zwykliśmy przedstawiać oko Boga.

Kiedy zaś wyjrzymy na zewnątrz, nagle wszystko pociemnieje nam przed oczyma, a u wejścia do jaskini, napędzany sprzecznymi siłami ssania i wnikania, może nie do końca symetrycznie, trochę zsuwając się na bok, przylgnie ten drugi trójkąt, i wtedy dojdzie do pocałunku, a my poczujemy, jakby w mroku zwierających się ze sobą jaskiń ust oko jednego Boga spojrzało w oko drugiego Boga.

Radość naszego odkrycia w tej pełnej emocji chwili często zostaje zmacona udręką niepewności, zadajemy sobie bowiem pytanie, czy dotknięcie warg dwojga ludzi, pocałunek, naprawdę jest spotkaniem o tak wielkim i wyjątkowym znaczeniu, w którym oko jednego Boga spogląda w oko drugiego Boga?

Dręczeni wątpliwościami przekopujemy zbiór naszej wiedzy i doświadczeń, te zaś potwierdzają nasze tezy bądź też im zaprzeczają, ale żeby odnieść się do owych zaprzeczeń albo potwierdzeń musimy zagłębić się w ciało, ale przecież już w nim jesteśmy!, i wziąć pod lupę narządy biorące udział w miłosnym życiu człowieka.

Kiedy zaś przyjrzymy się z bliska narządom i ich właściwościom, dojdziemy do dziwnego i dla niektórych zapewne szokującego wniosku, że miłosna rozkosz, będąca warunkiem

i koniecznością funkcjonowania instynktu podtrzymania gatunku, u każdego człowieka, tak u kobiety, jak i u mężczyzny, możliwa jest do wywołania także bez udziału tego drugiego, mało, możliwe jest także samodzielne osiągnięcie zaspokojenia, i że do tego wcale nie jest potrzebna druga osoba.

Poczucie zamknięcia w sobie i osiągnięcia pełni w samym sobie, kiedy człowiek, przywołując w myślach obraz cielesnego dotyku drugiej osoby, sięga dłonią do swojego samotnego ciała, zna z doświadczenia każdy z nas.

Osoby o słabej psychice, wstydlive i pełne oporów nie muszą od razu sięgać do własnych narządów płciowych, wystarczy, że skóra ich dłoni, niby przez przypadek, dotknie okolic ud, brzucha czy miednicy, by pomiędzy ich własnym ciałem a własną skórą zrodził się kontakt niezbędny do osiągnięcia zmysłowej rozkoszy; u kobiet wchodzi tu jeszcze w rachubę piersi, brodawki i ich ciemne otoczki, potem zaś, bądź też równolegle, pieszczoty w okolicy wżgórka łonowego, które niekiedy całkiem bez udziału woli stają się rytmiczne, powodują wzrost ciśnienia krwi i przyspieszenie oddechu, odpowiadające ostrożnym i czułym pieszczotom, jakimi kobiety zazwyczaj rozpoczynają grę w miejscu, w którym biorą początek męskie uda, by przesunąć się wyżej do jąder i żołądź, kobiety mogą też dotykać swojej małej łechtaczki, uważnie, by palce nie drażniły zbyt boleśnie jej nadzwyczaj wrażliwej główki, mężczyźni podobnie, choć nieco mocniejszym ruchem, mogą chwycić w palce jamistego członka i pociągając napletek, to uwalniać żołądź, to ją zakrywać, by rozkosz doznawana na koronie żołądź utworzyła zawory, przez które krew płynąca w arteriach dopłynie do ciał jamistych, powodując ich wypełnienie krwią.

A ponieważ mowa tu o funkcjonowaniu pojedynczego człowieka i zaspokajaniu jego osobistych potrzeb, formy i sposoby tego funkcjonowania mogą w znaczący sposób różnić się od siebie.

Mimo różnorodności sposobów wywoływania i zaspokajania cielesnych potrzeb nie wolno nam jednak zapominać, że z punktu widzenia fizjologii ludzkiego ciała w każdym z nas zachodzą dokładnie te same procesy, co najwyżej ich natężenie, głębia czy skuteczność, a także efekt mogą być różne, gdyż procesy te w każdym człowieku i w każdym pojedynczym przypadku stanowią zamkniętą całość, z góry określoną przez prawidłowości rządzące funkcjonowaniem ludzkiego ciała, i nie ma tu znaczenia, czy dzieje się to pomiędzy osobami różnej, czy tej samej płci, czy jest wynikiem jakiegokolwiek mechanicznego działania, fantazji, czy też połączonej z fantazjowaniem masturbacji.

Z drugiej zaś strony, jakkolwiek niezależną całość tworzyłyby fizjologiczne prawidłowości rządzące wywoływaniem, utrzymywaniem rozkoszy i jej zaspokajaniem, nawet jeśli byłyby to formy najbardziej zamknięte, podczas masturbacji czy nieświadomych polucji pojawiają się elementy burzące ten z fizjologicznego punktu widzenia całkowicie niezależny system.

Jak gdyby natura nie pozwalała, by koło samo się zamknęło: w chwili masturbacji działa fantazja, w przypadku polucji sen, a wyobrażenia lub marzenia senne wiążą osobę i niezależne mechanizmy jej ciała z drugą istniejącą bądź tylko potencjalnie istniejącą osobą.

I to jest wszystko, a jednocześnie najmniej, co można powiedzieć o ludzkich związkach.

Tu muszę dodać, że w człowieku żywy jest instynkt, który w każdej ludzkiej osobie, w tym samym i jednym czasie, rodzi potrzebę zamknięcia się w sobie i skazania na samego siebie, jak też gotowość do otwartości i dążenie do zależności od drugiego człowieka; zamknięcie się utrudnia związki, otwartość czyni je łatwiejszymi, gdyż te dwa sposoby odczuwania funkcjonują na poziomie instynktu w niemożliwym do rozdzielenia napięciu.

Kiedy dwie ludzkie osoby połączą swoje narządy, te właśnie, które zdolne są do funkcjonowania bez udziału drugiej ludzkiej osoby, ale z całą pewnością ze swojej natury odnoszą się do niej, czyli dwie ludzkie osoby, które, nie same i niepowodowane fantazjami czy też bezwiednymi marzeniami sennymi, lecz w otwartości na drugą ludzką osobę, pragną wyjść z zamknięcia we własnej osobie, wówczas te dwie ludzkie osoby spotkają się w jedności napięcia zrodzonego z zamknięcia i otwartości.

W takim przypadku napięcie swoją otwartością dostosowuje się do cech tej drugiej, zamkniętej w sobie osoby, tak że jej zamknięcie zamienia się w niej w otwartość.

W ten sposób na styku napięcia dwóch zamkniętych w sobie całości rodzi się wspólna otwartość, przekraczająca pojedyncze byty, a jednocześnie oznaczająca wspólnotę zamknięcia w sobie dwóch ludzkich osób, które we dwie mogą pokonać swoje zamknięcie, i na odwrót, których otwartość przeistacza się w zamkniętość otwartej na siebie wspólnoty.

Gdyby tak właśnie było, oznaczałoby to, że spotkanie dwóch ciał to znacznie więcej niż dwa osobne ciała, jak gdyby dwa ciała, teraz obecne w sobie, znaczyły więcej, niż znaczą pojedynczo.

Wszyscy jesteśmy sługami ciała, naszego własnego i innych, i nie więcej, a jedynie tyle więcej znaczymy od siebie samych, ile wolność znaczy więcej niż służba, a wspólnota służących jest czymś mniej niż służba wspólnie podjęta przez wolnych.

I jak dalece jest to prawda, na to najlepszym dowodem może być pocałunek.

Usta to przecież wrota prowadzące do naszych narządów, zawór otwierający ciało na wszechświat, podobnie jak wyobraźnia to wrota do naszej duchowości i zawór otwierający ją na świat wszechrzeczy.

Usta są w zamkniętym systemie ludzkiego ciała niezdolnym do działania, neutralnym organem miłosnym, bo przecież pozbawione są cech, które odnoszą się do nich samych, a swoją nadzwyczajną wrażliwość na bodźce, wynikającą z bogatych połączeń nerwowych ze wszystkimi innymi wrażliwymi na bodźce narządami miłosnymi, jak też wszystkie swoje możliwości ujawniają dopiero wówczas, gdy włączają się w proces funkcjonowania instynktu i bezpośrednio wtopią w ciało drugiej osoby, możemy zatem powiedzieć o nich, że są jedynym organem używanym w życiu miłosnym, który funkcjonując w zamkniętym systemie, jest otwarty, także otwarty w rozumieniu fizjologicznym, powszechnie otwarty, a skoro z zasady drzemie w nich otwartość na inne osoby, to stają się organiczną parą dla wyobraźni.

Usta są organem, który ze względu na cechy, jakich nie posiada, różni się od pozostałych miłosnych organów niezbędnych do zaspokojenia instynktu przedłużenia gatunku, wyobraźnia zaś jest duchową właściwością ciała, która umożliwia działanie również w przypadku braku drugiej osoby.

Usta poprzez tę nieobecną w nich i odróżniającą od innych organów cechę tak bardzo różnią się od wszystkich pozostałych organów miłosnych, że w pod pewnym względem nie można ich za takowe uznawać, już choćby z tego powodu, że połączenie ust nie jest warunkiem koniecznym podczas spółkowania dwóch ludzkich osób, jako takie mogą więc być wyłączone z zamkniętego procesu połączenia, i nie jest wcale dziełem przypadku, że dwie osoby, w wyobraźni zakładając otwartość ciała tego drugiego i wykazując wzajemną gotowość połączenia zamkniętego systemu własnego ciała z zamkniętym systemem ciała drugiej osoby ludzkiej, najpierw łączą ze sobą te organy, które nie są wprawdzie konieczne do połączenia, lecz pozostają z założenia otwarte: czyli swoje usta, dając tym najlepszy dowód swojej gotowości i ciekawości.

Tego wszystkiego oczywiście, na moje wielkie szczęście, nie myślałem w chwili, kiedy zakładając mi ręce na szyję, nie pozwoliła mi wysiąść z samochodu, ale myślę o tym teraz, myślę na papierze, co pod względem przedmiotu i środków jest dość specyficznym wynaturzeniem procesu myślenia, wtedy nie mogłem myśleć o czymś takim, bo w wieku trzydziestu lat człowiek nie musi mieć przemyślanych wszystkich kwestii, żeby dysponować dosyć dokładną wiedzą na temat działania własnych narządów, wie bowiem z doświadczenia, że zasada ich funkcjonowania jest niemal identyczna z tym, co napędza je do działania, ale już wyrósł z tego, by postępować na ślepo i bez żadnej kontroli, a także z tego, by swoją świadomość powierzać instynktowi, odwołuje się więc do doświadczenia, kluczy w pamięci pomiędzy związkami i porównaniami, co też jest myśleniem, nie mogę tedy powiedzieć, że w ogóle o tym nie myślałem.

Balansując na granicy instynktownej swobody i świadomej kontroli, podjąłem decyzję, że właśnie tego potrzebuję.

Czy raczej uległem ciężarowi, temu szczególnemu uczuciu ciężkości, które w podobnych chwilach unosi głowę człowieka, ciągnąc ją za czoło i trzymając za skronie, popycha w kierunku drugiego człowieka, jak gdyby bezwiednie ulegał wzrokowi i oddechowi, jak gdyby chciał odrzucić codzienną podporę zdolności do racjonalnego obrachunku, jak gdyby chciał oddać siebie, powierzyć siebie, a przede wszystkim nie pytać dlaczego, choć w większości przypadków to byłoby najbardziej zasadne pytanie.

I tak widzi przed sobą otwarte do połowy usta, co jest reakcją ciała, jego usta też są otwarte, tam dostanie odpowiedź drugiego ciała, i kiedy dwie pary ust wreszcie się spotkają, a jego własne usta na ustach drugiej ludzkiej osoby odnajdą oddech i utracony wzrok, które dadzą mu odpowiedź, zaczerpnie oddechu z drugich ust i dostrzeże w nim możliwości, jakie oferuje drugie ciało, otworzy się przed nim wnętrze ciała, a on w zamian ofiaruje to samo, otchłan, pustkę, którą należy i którą można wypełnić, aż przestanie czuć opadanie, a wargi zatrzymają się na krawędzi otwartej otchłani, i dotknie pachnącej, śliskiej, cieplej, ostrej, zimnej, miękkiej i smakowitej materii, różnorodnej i co chwilę odczuwanej inaczej, a to wszystko oznaczać będzie niemało dla naszego myślenia nakierowanego na działanie.

I tak, zmierzając do czynu, wysuszeni i oszaleli, rozgorączkowani i łapczywi, zbliżamy się do ust tego drugiego, jak gdybyśmy w ułamku sekundy chcieli pominąć i przezwyciężyć cały stracony na fałszu czas, który mamy za sobą i który jako spędzony bez siebie uważamy za zmarnowany, by niepewną, okreśną drogą wzajemnego przyciągania i wzajemnej niechęci szybko odnieść zwycięstwo nad nieoczekiwanymi załamaniem i zapobiec rozstaniu; jednocześnie przez tę wysuszającą, nagłą gorączkę wszystkie dotychczasowe uniki jak gdyby *post factum* zyskują swój sens, jakbyśmy dlatego musieli ciągle uciekać przed sobą, żeby teraz, kiedy mamy już za sobą cały obowiązkowy fałsz i zakłamanie, gorączka mogła stać się prawdziwą gorączką, a suchość warg usychaniem za siebie, pustynią, na której tylko usta tego drugiego mogą dać napój, a kiedy wargi wreszcie poczują wargi, spotkanie wkroczy w nowy etap, czułość i przemożną miękkość, w której potrafimy poczuć każde najmniejsze pęknięcie dręczącej suchości i złagodzić napięcie, kiedy wreszcie z radości poczynionego odkrycia z jednych ust do drugich popłynie ślina pragnienia.

Przepychał ją język, a my ze swoich ust spijaliśmy wilgoć potrzebną naszym wargom.

A po bezwiednym ruchu rąk i ramion wreszcie objęcia i uściski.

Trzymała dłonie na mojej potylicy, jak gdyby chciała moją głowę obrócić ku swoim ustom, przełknąć mnie, a jak ze mnie drwiła!, schowałem ręce pod połami rozpiętego płaszcza,

przytuliłem ją do siebie, ale ten gest był tylko sprytnym następstwem bezwiednych myśli; trzymała dłonie, ściskając z całej siły moją głowę, z uporem i przesadą, jak gdybyśmy chcieli uniknąć przykrego doświadczenia zamknięcia naszych ciał, i jak to w takich razach bywa, wysiłek włożony w próbę zrobienia uniku pozwolił nam zrozumieć, czym jest to, do czego nie wolno nam się posunąć.

Tymczasem jej usta nie tylko nie uciekały przed niemiłym smakiem, który zwykle powstrzymuje ciało przed ruchem w kierunku tego drugiego, lecz usychały z pożądania i straszliwej żądz, a jedynym, co czuły, była nieprzeparata chęć, by zjednoczone ze sobą wzajemnie zaspokoili gorączkę pragnienia, niczego tedy nie próbowały unikać i pośród radości, że wreszcie nawzajem się odnalazły, ślina w jej obolałych od czekania ustach mieszała się z tą drugą śliną i dwie płaszczyzny, tym razem nie napotykając już na opór przeszkód, obróciły się ku sobie, przesuwając się i ślizgały, dając początek pełni zaspokojenia, do którego nie były już potrzebne uściski rąk, objęcia i bliskość ciał, choć przecież do tego zwykle dążą wstrząsane napięciem trzewia.

Na krótką chwilę koniuszki dwóch języków zatrzymały się na sobie, powaga wykraczająca poza radość odrętwienia oblała ciała gorącą falą, fala gorąca zniszczyła cielesną wolę egoistycznych zamiarów, gorąc pozwalający rozluźnić mięśnie i wypełnić żyły biegnące pod powierzchnią skóry, tak abyśmy, wstrząsani dreszczem i pozbawieni sił, przekroczyli granice zewnętrznej powierzchni.

W otwartych pocałunkiem wnętrzach wszystko było wyraźnie widoczne, a jednak drżało w ciągłej zmienności, nic nie przypominało tego, co jest na zewnątrz, ani tego, do czego przywykły nasze oczy.

Poczucie pustki, w której człowiek, chcąc nie chcąc, musi określić swoje miejsce, i w relacji do tego miejsca jest na dole lub na górze, potrafi odróżnić od siebie to, co za nim, i to, co przed nim, tło jest zazwyczaj ciemne albo szare, nie ma tam wyraźnych przedmiotów ani form wyłaniających się ze snu czy jawy, są tylko rozmyte plamy, światła, blask i gasnące błyski, które choć w poczuciu pustki znajdują swoje miejsce w przestrzeni, to wydają się raczej płaskie niż przestrzenne, i ostro, geometrycznie się rozdzielają, wtapiając się w bezkresne tło miękkiego odczuwania bytu.

Jak gdyby każde uczucie odpowiadało jednej z form geometrycznych, i z poczucia tych form oraz zmian, którym podlegają, mówiąc ściślej: z języka obrazów, jakie można z powrotem zamienić na odczucie, mógłbym rozpoznać konstrukcję uczuć drugiego człowieka, jego cechy, wymagania i zdolność do odczuwania, bo w tych wewnętrznych sferach zaciera się granica pomiędzy mną a tym drugim, choć uczucie pozostaje niezmiennie, jak gdyby ten drugi był otchłanią, a ja ciągle tylko tą jedną jedyną plamą, światłem w nim.

Ona jest przestrzenią, a ja formą, cierpliwie, lecz nieuśmierzenie poruszającą się formą tej przestrzeni, która się do niej dostosowuje.

Ja jestem przestrzenią, a ona formą, cierpliwie, lecz nieuśmierzenie poruszającą się formą tej przestrzeni, która się do niej dostosowuje.

Jej obietnica jest moją obietnicą.

I tej obietnicy, którą złożyły sobie nasze ciała, w kilka dni później, może w sposób nieprzemysłany, jednak dotrzyaliśmy.



## Tajemne nocne rozkosze

Nie, nie, i po raz trzeci musiałbym powiedzieć nie, gdyby w takiej chwili ktoś, nazywając słowami starożytnego filozofa życie płynącą rzeką, powiedział, że nic nie może się powtórzyć, że woda za każdym razem jest inna i że nie można drugi raz wstąpić do tej samej rzeki, co było, to odeszło, w miejsce starego przyszło nowe, które za chwilę stanie się starym, by znów ustąpić miejsca nowemu.

Gdyby tak było, gdybyśmy potrafili wyraziście czuć niepowstrzymany nurt tego, co nowe, nieprzystłonięte cieniem tego, co minione, nasze życie pełne byłoby cudów, dzień i noc, każda chwila pomiędzy narodzinami a śmiercią byłaby niepojętym cudem, a my nie potrafilibyśmy odróżnić radości od bólu, zimna od ciepła, słodkiego od goryczy, nie istniałaby cezura ani granica pomiędzy skrajnościami naszych uczuć, nie byłoby bowiem pomiędzy nimi niczego, nie umielibyśmy słowami nazwać chwili, nie znalibyśmy dnia ani godziny, nie przychodzilibyśmy na ten suchy i zimny świat z gorących wód łon naszych matek, wśród jęku i płaczu, by z nadejściem śmierci rozsypać się jak kamienie nadgryzione mrozem, deszczem i żarem słońca, nie istniałaby zagłada ani nie istniałby strach, tak samo jak nie istniałby ludzki język, słowami bowiem nazwać można tylko to, co się powtarza, bez powtarzających się zjawisk nie mogłaby funkcjonować tak zwana rozumna mowa, bo tylko zmienna w swej stałości rzeczywistość pozwala trwać wiecznemu zachwytowi nad boskim dziełem.

A nawet jeśli tak jest, każdy z nas czuł kiedyś w dzieciństwie pokusę, by w swoim pokoju o zmierzchu zatrzymać na chwilę czas i zobaczyć, jak dzień zamienia się w noc, w nieprzejranych, tajemnych ciemnościach uchwycić i pojąć pozornie proste znaczenie słów, gdyby jednak naprawdę mogło tak być, gdyby rzeczywiście nie istniała żadna granica, gdyby nic nie oddzielało od siebie nocy i dnia, po pewnym czasie, tak, po pewnym czasie, zsunąwszy się z twardego jak kamień muru nieustającej boskiej zmienności na łagodniejsze pola ludzkich pojęć, musielibyśmy zobaczyć, że teraz już jest noc, choć nie umielibyśmy rozstrzygnąć, kiedy nastąpiły ciemności, wzrok dostrzegał zmianę, ale nie widział granicy, a może wcale jej nie było, jest noc, gdyż jest ciemno, jest noc, bowiem nie ma już dnia, tak samo jak wczoraj czy jak przedwczoraj, i przepelnieni niosącym spokojem, lecz gorzkim doświadczeniem możemy wreszcie zasnąć, pewni, że kiedy się obudzimy, będzie już widno.

Ja tymczasem, pomimo żyjącej w nas boskiej spuścizny wieczności i trwania, czułem, że dzieje się właśnie na odwrót, że nasze ludzkie zmysły, a w konsekwencji nasze uczucia, są zbyt prymitywne, by we wszystkim, co nowe, nie czuć podobnych im starych spraw, w teraźniejszości nie przeczuwać przyszłości, a w każdym cielesnym spotkaniu nie domyślać się przeszłości tego drugiego ciała.

W takich bowiem chwilach, choć nie na sposób boski, czas zatrzymuje się tak samo, jak gdyby nogi nie wstępowały do płynącej rzeki, lecz stąpały w straszliwym bagnie, stąpały w nim i grzęzły, by pozostać na śmiertelnie nudnej powierzchni powtarzających się spraw, która wydaje mu się jedynym dowodem życia, aż tych utrudzonych nóg nie przygniecie ich własna śmierć.

Jak najdalsze są mi wszelkie próby stania się filozofem czy jakiegokolwiek filozofowanie, o tym wszystkim mówię tylko po to, by z przybliżoną choćby dokładnością opisać niepoohamowane wzburzenie, jakie czułem pod koniec drugiego miesiąca pobytu

w Heiligendamm, kiedy nadzwyczaj kłopotliwa sytuacja wydawała mi się całkowicie nowa i jednocześnie dławiąco nudna, stałem w swoim pokoju przy pięknym białym biurku, o tak, to nie pomyłka, już kiedyś tak stałem i tak siedziałem, tylko w szlafroku, nieumyty i nieogolony, czekając na straszny wyrok, jaki szykowało mi przeznaczenie!, teraz jednak, przymuszony ciekawskim, lodowatym wzrokiem ubranego w oficerski mundur policyjnego szpicla, zacząłem czytać list od mojej narzeczonej, i nawet gdyby sama sytuacja nie była tak pamiętnie różna, gdyby nie ponaglący, obeznany z ludzkimi przewinami wzrok, już pierwsze słowa listu wystarczyłyby, żebym poczuł się oszołomiony, czy, wyrażając się ściślej, oszołomiły mnie jeszcze bardziej.

Mój drogi, mój kochany, mój jedyny, zwracała się do mnie narzeczona, jak dotychczas nigdy, a moja głowa odurzona strasznymi wspomnieniami, obita palącymi policzkami tych niezwykle zwrotów, zachowała tylko tyle władzy nad sobą, by nie popaść w całkowite odrętwienie i utrzymać się na szyi, kiedy zaś przebiegłem wzrokiem po kolejnych liniijkach, całe moje ciało oblał gorący pot, drżącą dłonią wsunąłem list z powrotem do koperty i jak ktoś, kto musi się czegoś uchwycić, i już się chwyta, zamiast uciekać, złapałem za wygięte oparcie fotela.

Uciekać, uciekać stąd, uciekać z tego chaosu!, co nie było możliwe już choćby z powodu obecności tego dziwnego gościa, nie wspominając o tym, że człowiek nie jest w stanie zaspokoić zwierzęcego instynktu ucieczki, bo z chaosu duszy nie ma dokąd uciekać.

Dostojny urzędnik stał w drzwiach tarasu, a ja uprzejmie ulegałem bezczelnemu żądaniu, by w jego obecności otworzyć list, bo rano tego samego dnia kamerdyner Hans Baader jednym pociągnięciem brzytwy zamordował młodego szwedzkiego dżentelmena, którego dzień po przyjeździe miałem okazję poznać przy wspólnym stole, niemal w tym samym momencie, kiedy odszedł z tego świata hrabia Stollberg; mężczyzna leżał z podciętym gardłem na podłodze w sąsiednim apartamencie, cały we krwi, a policjanci z prefektury w Bad Doberan, kiedy już wyciągnęli z piwnicy pełnej węgla ukrytego w ciemnym kącie, oszalałego i w niebogłose wrzeszczącego sprawcę, w niespełna pół godziny rozszyfrowali delikatną materię związków łączących mnie i Gyllenborga z panną Stollberg, a nas dwoje z rzeczoną kamerdynerem; zachowując się uprzejmie i wykazując tę niepozabawioną nuty wyższości gotowość do pomocy, próbowałem oddalić od siebie wszelkie, niebezpieczne zresztą, podejrzenia, które sugerowały, że jednak mogę mieć coś wspólnego z tą niejasną, zakończoną morderstwem historią.

I błogosławiłem los, ale też własną siłą charakteru, że nie znalazłem się na tych zachwycających fotografiach, które nieszczęsny Gyllenborg zrobił na wpół rozneglizowanej pannie Stollberg oraz nagiemu kamerdynerowi i które w tym właśnie momencie trafiły w ręce urzędników wymiaru sprawiedliwości przeszukujących osobiste rzeczy zamordowanego; a przecież mój biedny młody przyjaciel nie raz gorąco, nieomal ze łzami w oczach, usiłował mnie do tego namówić, tłumacząc, że potrzebuje nas trojga, że obok mocarnie silnego ciała kamerdynera niezbędna mu jest moja gotycka kruchość, aby, jak to określił, „dwa bieguny zdrowia zamknęły to, co jest tak pięknie chore”.

Wszelkie zatem podejrzenia, ubrane w zawile prawnicze formułki, ostrożnie ukryte pod płaszczykiem urzędowej uprzejmości, w myśl których miał mnie łączyć z panną Stollberg i z kamerdynerem intymny, więcej niż dozwolony związek, w konsekwencji którego powinienem coś wiedzieć o motywach morderstwa, odrzuciłem z największą stanowczością, nie istniał bowiem żaden ślad mojej winy, zwłaszcza że przez dwa miesiące naszej tragicznej znajomości, jak gdyby w obawie, że mogę go zdemaskować, do przebudowanego na pracownię

apartamentu Gyllenborga zawsze wchodziłem przez taras, tak samo jak mój ojciec przed dwudziestu laty, kiedy w pogoni za tajemnymi nocnymi rozkoszami chadzał do panny Wohlgast; moje popołudniowe czy nocne wizyty odbywały się bez świadków, nie musiałem zatem uciekać się do wykrętów ani wykazywać szczególnej ostrożności, po prostu nazwałem ich oskarżenia zwyczajnym oszczerstwem, pospolitą ohydą i, niefrasobliwie wzruszając ramionami, zapewniłem inspektora, że nic mi o tym nie wiadomo, jakoby zamordowanego Gyllenborga łączył z tymi osobami jakikolwiek intymny związek.

Wprawdzie, dodałem, nie pozostawałem z nim w aż tak zażyłej przyjaźni, by wiedzieć o podobnych sprawach, niemniej poznałem go jako człowieka o wyrafinowanym smaku i nienagannych manierach, dla którego, pomimo wszelkich najdziwniejszych skłonności, nie do wyobrażenia byłoby uwikłać się z kamerdynerem w tego rodzaju moralnie wątpliwą reakcję; odgrywałem przed inspektorem naiwnego i niewinnego aż po granice głupoty, aby tylko jakoś wymknąć się ze straszliwej pułapki, kamerdyner przecież nie był jeszcze pełnoletni, musiałem więc obronić się nie tylko przed zarzutem uprawiania nierządu, ale też przed odpowiedzialnością za demoralizowanie nieletnich, i chcąc uwiarygodnić moje naiwne zeznania, wzruszywszy ramionami, cicho, niemal poufnym szeptem zapytałem, czy miał okazję obejrzeć dłonie panny Stollberg bez rękawiczek?

Inspektor nie spuszczał ze mnie surowego wzroku, jego oczy były najdziwniejszymi oczyma, jakie kiedykolwiek widziałem, były jasne i przeźroczyste, zimne i niemal bezbarwne, ani mętnie niebieskie, ani mgliście szare, a dwie ogromne gałki oczne, zapewne wskutek choroby lub wrodzonej wady, ciągle ginęły pod gęstą zasłoną obfitych łez, przez co wydawało się, że każde pełne rozmaitych aluzji pytanie i każda moja rozkosznie niewinna odpowiedź napawają go głębokim smutkiem, bolało go kłamstwo i bolała go skrywana prawda, podczas gdy cała jego twarz i gałki oczne pozostawały bezosobowe, obojętne i zimne.

Wtedy też tylko mrugnął pytająco oczyma, że nie rozumie moich aluzji i byłby nad wyraz wdzięczny, gdybym wyjaśnił mu dokładniej, co też miałem na myśli w związku z panną Stollberg.

Mogłem oczywiście mieć nadzieję, że panna Stollberg mnie nie wyda, że będzie milczeć, a nawet zaprzeczać, mimo że fotografie pozostawione przez Gyllenborga zdradzały także i ją.

Niemym nakaz zmusił mnie jednak do milczenia, więc posługując się własną dłonią, pokazałem, że panna Stollberg ma zrosnięte palce, że jej dłoń przypomina kopyto i dlatego musi nosić rękawiczki.

Inspektor, potężnej budowy, jowialny mężczyzna, pełen spokoju i zawodowej buty, czerpiący ze swej powierzchowności niemałe zawodowe pożytki, stał przede mną w drzwiach tarasu ze splecionymi rękoma, prowadziliśmy rozmowę na stojąco, co oznaczało, że to jeszcze nie jest przesłuchanie, choć przecież także nie przyjacielska pogawędka; teraz inspektor się uśmiechnął, wieczne łzy przepełniły jego uśmiech bólem, po czym zbijając moje argumenty, odpowiedział, że wie to z własnego doświadczenia, iż szpetne i zwyrodniałe ciała nie tylko nie odpychają słabych psychicznie osób, ale wręcz są dla nich pociągające.

Czułem, że oblewam się rumieńcem, w jego oczach błyszczących od łez widziałem, że wiele mówiąca barwa moich policzków nie mogła ująć jego uwadze, a moje zdenerwowanie, którego sam był powodem, także wywarło na nim odpowiednie wrażenie; zadowolenie, z jakim mnie zdemaskował, sprawiło, że łzy mocno napłynęły mu do oczu, i gdyby niezwykłym dla swojej powolnej natury szybkim ruchem nie wyciągnął z kieszeni szerokich spodni chusteczki do nosa, łzy popłynęłyby mu po nalanych, czerwonych policzkach.

A więc należę do słabych psychicznie ludzi, pomyślałem natychmiast i przypomniała mi się chwila, kiedy panna Stollberg w ciszy przerywanej stukotem kół, w bladym świetle lampy kołyszącej się na suficie przedziału kolejowego, głęboko patrząc mi w oczy, powolnym aż do okrucieństwa ruchem ściągnęła rękawiczkę i odkryła tajemnice swoich dłoni.

Odrętwiały, z zapartym tchem przyglądałem się temu nieludzkiemu widokowi, u obydwu dłoni, tak symetrycznie ukształtowała ją natura!, miała tylko po cztery palce, środkowy i serdeczny były ze sobą zrosnięte i zakończone jednym, wielkim i płaskim paznokciem; muszę tymczasem przyznać, że ta dziwna deformacja wcale mnie nie zaskoczyła, inspektor jednak się nie mylił!, i nie tylko nie napawała mnie odrazą, ale była wręcz pociągająca, stanowiła okrutne wytłumaczenie kruchego i delikatnego piękna, któremu potajemnie przyglądałem się podczas wielu godzin wspólnej podróży i którego nie potrafiłem sobie wytłumaczyć.

Jak gdyby oznaczało to, że wszystkie cechy, zdolności, własności, ułomności i namiętności naszego ciała wypisane mamy na twarzy, a poczucie wstydu nie służy niczemu więcej, jak opuszczeniu dobrotliwej zasłony na oczywiste sprawy, jej twarz bowiem była doskonała, foremna i regularna, każdej linii, załamaniu, każdemu czarującemu łukowi odpowiadały drugi symetryczny łuk, załamanie i linia, a jednak nim jeszcze zobaczyłem te potworne ręce, czułem, że doskonałość drży tu nad przepaścią niepewności, gotowa na to, że w każdej chwili ten ład doskonałych linii może się rozpaść i wynaturzyć, brzmi to może niewiarygodnie, ale miałem przed oczyma ucieleśnienie praw natury, jak gdyby piękno mogło się urzeczywistniać tylko poprzez coś wynaturzonego, a doskonałość była zwyrodnieniem niedoskonałości, piękno igrało z wynaturzeniem i zwyrodnieniem; jej piękne, zmysłowe, mięsiste wargi były jednocześnie delikatne i czułe, jak gdyby powstrzymywała nimi straszliwą przemoc i ból, szeroko otwarte oczy, jakby uciekając przed zagładą, patrzyły przenikliwie, nieprzyjaźnie i dumnie, a ona każdym spojrzeniem rzucała jej wyzwanie; widziałem w jej twarzy strach i jednocześnie gotowość, podniecało mnie szaleństwo ukryte pod maską piękna, a ten jej ruch, powolny, dostojny i okrutny zarazem, którym odkrywała przede mną nie tylko tajemnicę swoich dłoni, ale też pełne żądz sekretu swojego ciała, sprowokował mnie do jeszcze bardziej radykalnego i nieprzemyślanego ruchu, chwyciłem tę dziwną dłoń i, odnajdując w tym z całą pewnością odrażającym widoku podglebie moich skłonności, ucałowałem.

Ona zaś nie tylko cierpliwie znosiła mój pełen pokory pocałunek, ale na tę krótką chwilę całkowicie mu się poddała, doskonale to wyczuwałem, by po chwili, rozkoszując się gorącym dotykiem moich warg, zacząć cofać rękę, choć czułem, że nie chce jej zabrać, że pragnie czegoś zupełnie innego, czegoś o wiele bardziej okrutnego, ostatecznego, od naszych nieporadnych ruchów rękawiczka spadła z jej kolan i wtedy wsunęła mi pomiędzy wargi swój zrosnięty, potworny, przypominający kopyto palec, nic nie mówiliśmy, siedzieliśmy cicho jak złodzieje, bo matka podskakująca w rytm jadącego wagonu z przymkniętymi oczyma drzemała obok nas, koniuszkiem rozpłaszczonego, szerokiego paznokcia z rozmysłem kaleczyła mi wargę i język, by moja pokora stała się moim upokorzeniem.

Jej uśmiech był niezapomniany, i właśnie ten uśmiech uwiecznił później Gyllenborg na swoich równie niezapomnianych fotografiach.

Całą płaszczyznę fotografii wypełniały tymczasem nie dwa bliskie mi i znane ciała, ale ciężko opadająca obca draperia, umarszczona w dwóch górnych rogach, stamtąd wzdłuż przekątnej biegnęły ku optycznemu środkowi zdjęcia zakładki, gdzie udrapowana materia przykrywała drewniany pień czy wysoki stołek, zabrane pewnie z pracowni i służące do posadzenia modelu, po czym materia naciągnięta po przekątnej ku dwóm dolnym rogom

fotografii w pięknych kształtach opuszczała płaszczyznę fotografii, tak że widz odnosił wrażenie, że ma przed sobą nie cały obraz, lecz jego przypadkowo wybrany fragment, postacie posadzone na tle bogatej draperii wydawały się siedzieć w zupełnie przypadkowych pozach, burzę włosów siedzącego z wypiętą piersią i rozłożonymi udami kamerdynera zdobił laurowy wieniec, dwie wielkie jak łopaty, nieforemne dłonie trzymał na kolanach, wzrok, w przeciwieństwie do całego ciała, kierował w bok i, śledząc linię udrapowanej tkaniny, wyglądał z fotografii; wodził oczyma ponad głową panny Stollberg, która klęcząc na jednym kolanie, trwała przed nim w takiej pozie, że jej głowa, pochylona na pięknej, gładkiej szyi, zakrywała przyrodzenie kamerdynera, a jego olbrzymie rozłożone uda i silne łydki tworzyły naturalną ramę dla jej żadnej rozkoszy, roześmianej, dobrej i jednocześnie okrutnej twarzy.

A przecież nie powiedziałem jeszcze niczego o samej fotografii, która, ma się rozumieć, więcej mówiła o jej twórcy niż o jego modelach, Gyllenberg bowiem, posłuszny starożytniej, przesyconej filozofią estetyce, obnażył tylko ciało mężczyzny, bacząc, by przyrodzenie pozostawało zakryte, ciało kobiety ubrał zaś w przerzuconą przez ramię, zakrywającą jedną pierś tunikę, którą uprzednio zamoczył pewnie w wodzie lub w oleju, wilgotna i błyszcząca oblepiała całe ciało, dzięki czemu wstydliwie aż do przesady podkreślała to, co usiłowała skromnie przykryć.

Ohydna, komicznie nienaturalna, obrzydliwie wymyślna i słodko kiczowata byłaby ta fotografia, napawający odrazą obraz duszącego się w konwulsjach, rozmarzonego i nieszczędzącego trudu artysty, który dążąc do doskonałych proporcji, usunął ze swojego dzieła niemal wszystkie ludzkie cechy uznawane za wstydliwie, złe i niedoskonałe, ale przecież będące immanentną i naturalną częścią każdej, także ludzkiej doskonałości; na tamtej fotografii jednak, i tu pochwałę artystę, panna Stollberg, ukrywszy w dłoni zdrowe palce, podnosiła do oczu swój potworny, podwójny jak kopyto palec, patrzyła na to szpetne, przerażające dziwadło, a jej twarz, jak gdyby nie czując ciepłej bliskości przyrodzenia kamerdynera, wielkie nieba, jakim wonnym ciepłem tchnęło jego obnażone łono!, z okrutnym uśmiechem, tak, z okrutnym uśmiechem!, przysuwała się do tego odrażająco zakończzonego palca, poprzez co wszystkie szczegóły fotografii, piękne proporcje i podstępnie zmysłowe treści zamieniały się w szatańską parodię; tylko że ta diaboliczna drwina nie naśmiewała się z ich dwojga, lecz z tego, który ich podglądał przez dziurkę od klucza, ze mnie, z ciebie, z kogokolwiek, kto oglądał tę fotografię, a może nawet z tego, który był jej autorem!, chodzi o to, że ten, kto potrafi z uśmiechem na ustach pogodzić się ze szpetotą, musi także z uśmiechem przyjąć zwykłe okrucieństwo faktów, i na tym kończy się niewinność, reszta to tylko dekoracja, ozdoba, ornament, moda epoki, styl czy kierunek; uśmiech, którym skwitowaliśmy to, co wynaturzone, sprawił, że laurowy wieniec na głowie kamerdynera stał się diaboliczną parodią, parodią była też pełna napięcia obojętność, z jaką ten wyglądał zza idiotycznych zakładek udrapowanej materii, parodią zdawała się zwierzęca zmysłowość, która łączyła ich mimo udawanej obojętności, wzroku zwróconego w bok i nieuniknionego przecież uzależnienia od siebie, aż w końcu piękno ich ciał stało się żałośnie pozbawione wszelkich iluzji.

Rumieńce długo jeszcze nie znikłyby z moich policzków, gdyby inspektor nie uciekł się do sprytnego wybiegu albo zawodowego wyrachowania i nie wycierał przez dłuższą chwilę zażawionych oczu; robił to ostrożnymi ruchami, czubkiem małego palca przesuwając po oczach chusteczkę do nosa, nie spieszył się, wiedząc, że ciągłe łzawienie powoduje, iż w kącikach oczu zbiera się żółta ropa, ale jego skrupulatne ceregiele nie były niczym innym, tylko stwarzaniem pozorów, jak gdyby świadomie nie chciał wykorzystywać przewagi, którą dawało mu moje

zmieszanie, a nawet jak gdyby chciał, żebym się uspokoił, jakby mówił do mnie: spokojnie, mamy na wszystko czas, jeśli nie teraz, to kiedy indziej, a jak nie kiedy indziej, to teraz mogę mu powiedzieć to, co mam do powiedzenia, jest mu całkowicie wszystko jedno, i w ten sposób jego wyrozumiałość stawała się okrutnym graniem mi na nerwach.

Osiągnął zresztą swój cel, skoro ja, z bezgranicznej radości, że udało mi się jakoś ukryć oczywiste oznaki zdenerwowania, nagle straciłem panowanie nad sobą, utraciłem wszystkie potrzebne mi punkty zaczepienia i znalazłem się dokładnie w miejscu, w które chciał mnie zapędzić; trudno, pomyślałem nagle, powiem mu wszystko, chociażby po to, żeby mieć to za sobą.

Powiedzieć wszystko wydawało się prostym zadaniem, owo „wszystko” oznaczało, że jedno z nich chciało się wyzwolić z miłosnego czworokąta i jeden szantażował drugiego przy pomocy tamtych haniebnych fotografii, które zrobił ich dwojgu, i gdybym tylko znalazł to pierwsze słowo, gdybym potrafił zbudować to pierwsze zdanie, które powiedziałyby wszystko, dlaczego miałbym mu nie powiedzieć?

Na szczęście ktoś zapukał do drzwi, cichutko, ale to nie te trzy ciche uderzenia sprawiły, że zadrżałem na całym ciele, po prostu otrzeźwił mnie dźwięk pukania.

Wyzwolilo we mnie wewnętrzne siły, coś chciało się ze mnie wyrwać, odezwać swoim głosem, ale nie mogło się wydostać, skrajne, skaczące jak gorączka emocje aż przyprawiły mnie o zawrót głowy, cały pobladłem, i kiedy przez mgłę własnej bezradności zobaczyłem zbliżającą się ku nam, teraz, w ślad po dokonanej mordzie, jeszcze bardziej pełną pokory postać tęgiego właściciela hotelu, inspektor chciał chwycić mnie za ramię i posadzić na krześle, co, wyteżywszy wszystkie siły, mu udaremniłem, jednoczesnym ruchem zabierając z podsunętej mi tacy list, którego nadawcę rozszyfrowałem jednym spojrzeniem.

Byłem już chyba tylko smutnym wrakiem człowieka, który każdym gestem chciał udowodnić, że panuje nad swoim ciałem, choć w tych okolicznościach i w tym pokoju nic nie mogło być tak zaskakujące, żeby usprawiedliwić takie usilne próby.

Dziwnym zbiegiem rzeczy to nie cała sytuacja, ale jej szczegóły wprawiały mnie w osłupienie, ostry cień rzucany przez postać inspektora wydawał się ważniejszy od wypowiedzianych albo przemilczanych słów, ważniejsze wydawało się, z jak bliska i z jaką siłą oraz spokojem dochodzi zza zamkniętych okien szum morza, a zimowe światło słońca dlaczego rozświetla szaleńczą szarpaninę mojej duszy.

Nie rozumiałem na przykład, dlaczego właściciel hotelu osobiście przyniósł dla mnie pocztę, choć przecież dobrze wiedziałem, co się wydarzyło, a nie kamerdyner, tak, kamerdyner Hans, którego przed chwilą na oczach wszystkich wypędziłem z mojego serca, co więcej, z moich zmysłów, nie rozumiałem, gdzie teraz jest i dlaczego tak mnie to boli; dlaczego tak boli mnie ta zdrada.

Nie rozumiałem, dlaczego ten obcy człowiek z rękoma splecionymi na piersi mówi mi, żebym przeczytał list, jak gdyby poza nami był w pokoju ktoś jeszcze i ten ktoś powinien przeczytać list, nie rozumiałem, dlaczego mówi za mnie, co mam zrobić, bolało mnie moje własne tchórzostwo, że uległem rozkazowi ukrytemu pod płaszczykiem grzecznej prośby, pełen bólu czułem, że to nie ja jestem tchórzem, lecz jakaś obca osoba, obcy, którym jednak jestem ja sam.

Nawet jeszcze teraz, kiedy po wielu latach piszę te słowa, nawet jeszcze teraz ciągle nie rozumiem dokładnie, co się wtedy ze mną działo, rozmiar zagrożenia niczego tu nie wyjaśnia, ściślej mówiąc, może rozumiem, ale tak bardzo wstydzę się tamtych momentów załamania,

szaleństwa, błazenady, zdrady i tchórzliwej uległości, w których szukałem dla siebie schronienia, a mój wstyd jest jak skrzep uwięzły w żyłach, tkwi w jednym miejscu, żaden racjonalny argument czy obszernie wytłumaczenie nie potrafiły stać się lekiem na mój wstyd, który na zawsze pozostał bolesną zadną i dowodem mojego moralnego upadku.

To był króciutki liścik, niewielka, zapisana do połowy stronicy kartka skreślona w przypływie szczęścia, „Mój drogi, mój kochany, mój jedyny”, tak brzmiały pierwsze słowa listu, na których natychmiast zatrzymał się mój wzrok, przebiegłem po nich raz, drugi i trzeci, żeby dobrze zrozumieć to, co czytam, w tych bowiem słowach odezwał się upiór, upiór kobiety, o której wspominałem już na poprzednich stronach, jej, która jako senna zjawa żyła we mnie bardziej realnie niż jakakolwiek inna żywa osoba, i o której nie wolno mi nic mówić, bo nie potrafię o niej mówić, jej obraz, a raczej nie obraz, lecz zapach, zapach jej ust, jej łona, jej pach emanował z tych słów, woń, której nie potrafiłbym uchwycić, nawet biegnąc za nią, to ona pisała, tylko ona mnie kochała, ona zwracała się do mnie w takich pieszczotliwych słowach, podczas gdy doskonale wiedziałem, że czytam list od Helene.

W ułamku sekundy, w tęsknocie za zwiertzą dawną wonią, zrodziło się we mnie postanowienie, że jednak muszę uciec od Helene.

Z tych pięknych słów wychynęło dziesięć długich lat mojego życia, lat, których się wyparłem i o których chciałem zapomnieć, Helene daremnie mi je ukradła, i tak nie należały do niej, nie mogłem ich jej ofiarować, i teraz dlatego nie przez przypadek przypomniał mi się tamten osobliwy zbieg faktów, wiedziałem przecież, że o tamtych długich dziesięciu latach spędzonych wśród potajemnie działających anarchistów policja posiada szczegółowe i wiarygodne dane, jeśli więc teraz nie wykażę się wręcz cyrkową zręcznością, to tamte dziesięć lat spadnie na mnie niczym lawina, a nadzieja, że przed bolesnymi doświadczeniami wywrotowca i mordercy uda mi się schronić w ramionach Helene, okaże się płonna.

Przemówiła do mnie śmierć, jedna śmierć o wielu twarzach, wynurzająca się z każdego rogu i z każdego kąta, śmierć, której tak gorąco pragnąłem i której tak bardzo się bałem, śmierć tamtej jedynej cudownie pachnącej kobiety, wyjrzała ku mnie z krwawych zwłok przyjaciela, którego się publicznie wyrzekłem, przemówiły do mnie wszystkie morderstwa i wszystkie śmierci, bolesna vegetacja mojej matki gasnącej u boku swojego męża, niechlubna śmierć mojego ojca pod kołami pociągu pędzącego przed budką dróżnika numer siedem, gdzieś pomiędzy Görlitz a Lebau, okaleczone zwłoki dziewczynki, którą zgwałcił, śmierć ohydneho worka, przez który przeciekają, przesiakają pot, mocz, kał, ślina i smarki, śmierć ciała, podczas gdy w słowach Helene rysuje się przede mną radosna perspektywa szczęśliwego życia: „od tamtego cudownego przedpołudnia, które było naszym pożegnaniem, trudnym, ale spełnionym pożegnaniem, noszę pod sercem nasze dziecko”, pisała, i żebym przez wzgląd na konieczność przyspieszenia naszego ślubu jak najszybciej wracał do domu, bez zbędnej zwłoki, o co proszą także rodzice, po tych słowach znajdował się już tylko własnoręczny podpis, pierwsza litera jej imienia.

Skoro los pisze takie scenariusze, skoro muszę czytać ten list w asyście załzawionego spojrzenia badającego okoliczności morderstwa policyjnego szpicla, to znaczy, że wszystko, ale to wszystko jest tylko ułudą i kłamstwem, myślała jedna połowa mojej rozdwojonej osobowości, podczas gdy ta druga aż krzyczała z radości, choć przecież czuła, że to wszystko jest tylko ułudą i kłamstwem, a jednak nie potrafiła zaprzeczyć, że omdlewa ze szczęścia, jakie niesie ze sobą danie życiu ciągłości, aczkolwiek wie coraz lepiej, że to także jest ułuda i oszustwo, kolejne oszukiwacze schronienie się w lukrze nadziei.

Los chciał, by ze spływającego ohydą ciała, które od budzącej przerażenia śmierci oczekiwało szczęśliwego wyzwolenia, przyszedł na świat syn.

Cóż za potworne demony rodzi ludzki umysł.

Wybuchnąłem gromkim, głośnym chichotem, wstrząsał mną taki śmiech, że aby się nie przewrócić, musiałem się chwycić oparcia fotela.

Nie wiem, kiedy schowałem list, ale do dziś pamiętam, jak drżącą ręką nieporadnie wsuwałem go do koperty.

Najpierw próbowałem opanować drżenie dłoni zmagającej się z kartką i kopertą, potem, kiedy mi się udało, musiałem chwycić się krzesła, żeby przypadkiem nie uciec, a później, skoro nie umiałem zapanować nad drżeniem własnego ciała, wybuchnąłem śmiechem.

Mógłbym powiedzieć, że rżałem ze śmiechu jak oszalały, gdyby mój głos nie zdradzał, że własnym rechem próbuję ogłupić siebie samego.

I od tamtej chwili prowadził mnie demon głosu.

Mniej więcej dziesięć lat później w obszernej rozprawie barona Jakoba Johanna von Uexküll natknąłem się na wiele wyjaśniające i miłe memu sercu stwierdzenie: „Kiedy biegnie pies, to zwierzę porusza nogami, kiedy rzuci się biegiem jeź morski, wówczas nogi poruszają zwierzęciem”.

Ta drobna różnica pozwoliła mi zrozumieć, że w moim śmiechu ujawnił się pozbawiony wszelkich moralnych treści instynkt ucieczki, typowy dla zwierząt znajdujących się na niskim stopniu rozwoju, że to nie ja chroniłem się w śmiechu, lecz ten śmiech ratował mnie z położenia, w którym się znalazłem.

Ten śmiech mnie zdemaskował, zdradził moje śmiertelne przerażenie, ale już chwilę potem lekko się załamał, zmienił swój kierunek i tor, a zwłaszcza znaczenie, to już nie było wycie ze śmiechu, lecz nieprzytomny z radości chichot, a po chwili już nie chichot, tylko nieposkromiony okrzyk radości, fakt, że nie była to radość niczym niezmacona, okoliczności na to nie pozwalały, i choć brzmi to dziwnie, słyszałem każdy najdrobniejszy szczegół, zmianę czy zniekształcenie jego tonu, jak gdybym słyszał siebie uszami inspektora, później wraz ze mną śmiała się moja najczystsza w swej formie siła życia, śmiało się moje szczęście, tak długo, aż ze wzruszenia oczy zasły mi łzami, w śmiechu zabrzmiał zgrzyt, bulgot, wzmagając wzruszenie, wtedy wreszcie odzyskałem panowanie nad sobą i, jękając się lekko, odzyskałem też mowę.

„Proszę o wybaczenie”, jękałem się, ocierając oczy, a demon, który jeszcze dzierżył władzę nad moim głosem, prowadził go i nie chciał wypuścić, zadowolony z siebie dał mi ten luksus, by mój głos stał się szczery, jak gdyby chciał powiedzieć, że kłamstwo, oszustwo i zdrada z łatwością mogą stać się prawdą, i nie ma tu powodu do wstydu!, taka prawda jest uczciwsza niż wszystko to, co udaje niewinnie proste, niepokalane i czyste, pomiędzy wartościami moralnymi popełnianych czynów nie sposób nakreślić ostrej granicy, na nic tu krygowanie się czy wyrzuty sumienia, trzeba iść naprzód, więc chodźmy!, poufny list od narzeczonej nadszedł jak gdyby w najodpowiedniejszym momencie, stał się bowiem ostatecznym argumentem obalającym wszelkie skierowane ku mojej osobie podejrzenia: „proszę o wybaczenie, wiem, że nie powinienem się śmiać, jest mi bardzo wstyd, mówiąc jednak, że nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za ten śmiech i jej nie biorę, ale obarczam nią pana, bez pańskiego polecenia bowiem nie przyszłoby mi nawet do głowy czytać w obecności obcej osoby tak prywatnego w swej treści listu, w rzeczywistości proszę o wybaczenie zmarłego, który leży tu, w pokoju obok”, odezwał się poważnym, chłodnym, rzeczowym głosem mojego demona i, chowając się za maską lekkomyślnego światowca, dodałem, „ale pana też nie chciałbym urazić, tak jak nie



zamierzałem urazić zmarłego, mogę więc pana zapewnić, że ten list ma jak najbardziej poufny charakter, i żeby rozwiać pańskie wątpliwości co do związku listu z dzisiejszym smutnym zdarzeniem, zapominając o wstydzie, do diaska, niby czego miałbym się wstydzić?, przecież chodzi o nad wyraz dobre wiadomości, o coś, czym bez namysłu, z ręką na sercu, mogę się ze wszystkimi podzielić”.

Nabrałem powietrza, dobrze pamiętam, że spuściłem głowę, mój głos nabrał powagi, stał się niemiły albo taki, jak gdybym mówiąc o tym, był zawstydzony.

Długo stałem w milczeniu, w końcu podniosłem głowę.

Jak gdyby nagle pękła w powietrzu błyszcząca, okrągłutka, tęczowa bańka mydlana.

Oczy inspektora błyszczały za zwodniczą zasłoną łez, kiedy jednak od dłuższego czasu patrzyliśmy sobie w oczy, odnosiłem wrażenie, że dopiero teraz na jego twarzy pojawiło się zdumienie, a może nawet wzruszenie.

„Wręcz przeciwnie”, odpowiedział cicho, a ja z satysfakcją obserwowałem, jak jego twarz ciemnieje, jak gdyby zaraz miał dostać ataku apopleksji, choć było rzeczą oczywistą, że poczerwieniał nie ze wstydu, ale ze złości, „wręcz przeciwnie”, powtórzył pretensjonalnym tonem, „to ja powinienem prosić pana o wybaczenie, już choćby dlatego, że, jak słusznie zwrócił mi pan uwagę, moją nachalną ciekawością rzeczywiście przekroczyłem dozwolone granice moich kompetencji, i podkreślam, do czego zmusza mnie pańska pełna napięcia, aczkolwiek najzupełniej zrozumiała nieufność, że tu nie chodzi o podejrzenia czy przypuszczenia, sprawcę już mamy w rękach, co oczywiście nie oznacza, by sprawa była zamknięta, więc nie tylko proszę o wybaczenie, że stworzyłem pozory jakichkolwiek podejrzeń, lecz proszę także, by moją natarczywość poczytał pan jedynie za przezorność, może przesadną, ale w takich wypadkach doprawdy niezbędną, albo za niemiłe zawodowe skrzywienie i ciekawość niezbyt dobrze wychowanego człowieka, proszę nie mieć mi za złe!, a jeśli już musi tak być, proszę pozwolić, bym jako pierwszy gorąco pogratulował panu szczęścia, i proszę nie zapominać, że mówi to panu ze szczerego serca człowiek, który bezustannie ma do czynienia z ciemnymi stronami życia, taki, któremu doprawdy nieczęsto zdarza się słyszeć o jego pięknych, a zwłaszcza naturalnych chwilach”.

Rumieńce znikły z jego twarzy, uśmiechnął się przyjaźnie, choć w tym uśmiechu był ból, i zamiast uklonić się na pożegnanie, obydwaj tylko pochyliliśmy głowy, inspektor jednak ani wtedy, ani w chwilę później nie drgnął nawet z miejsca, stał ze splecionymi rękoma w drzwiach tarasu w skośnych smugach światła, rzucając na mnie cień.

– Czy mógłbym o coś jeszcze prosić? – zapytał po chwili wahania.

– Bardzo proszę.

– Jestem nałogowym palaczem i na moje nieszczęście zostawiłem w samochodzie cygara.

Czy mógłby mnie pan poczęstować?

Ta dziwna cecha charakteru, prosić o wybaczenie za niewłaściwe, niestosowne, bezprawne i natarczywe zachowanie, a chwilę potem z całą świadomością znowu tak samo się zachować, na napiętych strunach sytuacji niepotrzebnie wygrywać melodie władzy nad drugim człowiekiem, przypominała mi kogoś czy coś, czego w szczegółach nie potrafiłem już sobie przypomnieć, ale znajoma, niemal cielesna odraza upewniła mnie w przekonaniu, że ten człowiek musi pochodzić ze społecznych dołów.

– Tak, naturalnie – odparłem uprzejmie, nie poruszając się z miejsca, jak nakazywałoby dobre wychowanie, nie miałem ochoty podsunąć mu otwartego pudełka z cygarami ani nawet nie zaproponowałem, żeby usiadł.

Kiedyś byłem dokładnie tak samo zdany na czyjaś łaskę i niełaskę, i dokładnie tak samo tego kogoś nienawidziłem.

On tymczasem wcale nie poczuł się niezręcznie, ze swobodą przeszedł za moimi plecami, by wyjąć cygaro z pudełka, które przed kilkoma dniami podarował mi Gyllenborg; już sam ten fakt głęboko mnie dotknął, nie byłem w stanie się odwrócić, dobrze wiedziałem, co chce w ten sposób osiągnąć: w pokoju zmarłego na stole leżało takie samo pudełko, a więc jednak natrafił na ślad.

Zapadła taka cisza, że było słychać, jak zrywa pierścień cygara, by za moment stanąć przede mną beztrasko.

– Czy ma pan może nożyk? – zapytał z przyjacielskim uśmiechem, a ja wskazałem na biurko.

Zapalił powoli, miałem wrażenie, że pierwszy raz pali cygaro, cmoknął, zachwalając aromat, wypuścił bez słowa dym, a ja patrzyłem na niego w milczeniu.

Czułem, że choćbym nie wiem jak się starał, nie wytrzymam, aż wypali do końca.

– Czym mogę jeszcze panu służyć?

– Och, nie – odpowiedział, fałszywie przechylając głowę – doprawdy zabrałem już panu wystarczająco dużo czasu, a jutro i tak z pewnością będę miał przyjemność.

– Jeśli uzna pan, że nasze ponowne spotkanie jest konieczne, proszę, tu jest mój bilet wizytowy – powiedziałem. – Sądzę, że jutro wieczorem już będę w Berlinie.

Wyjął cygaro z ust, pokiwał głową z zadowoleniem i mówiąc, wypuścił dym.

– Będę zobowiązany.

Skrupulatnie schował wizytówkę do portfela i już nie pozostało nam nic więcej, jak się pożegnać; paląc cygaro, wyszedł bez słowa na korytarz.

Zostałem w pokoju sam, śmiertelnie wyczerpany i jak pęknięta na pół kora, dryfująca po ciemnej wodzie pędzącego nurtu, jedna połowa mojej osobowości coraz bardziej oddalała się od drugiej, dwie jasne plamy w ciemnościach nocy, podczas gdy jedna z nich cichutko śpiewała tryumfalny marsz, druga nuciła żałobną pieśń, jedna, grzebiąc we wspomnieniach z przeszłości, zastanawiała się, skąd zna tę odrażającą kreaturę, kogo mu on przypomina, i złościła się, że choć szuka rozwiązania zagadki, to nie może go znaleźć, druga połowa zaś, rozważając szanse ucieczki, wyobrażała sobie z największą dokładnością, jak po przyjeździe do stolicy, chroniąc się na dworcu Anhalter wśród hałaśliwego tłumu, bezpieczny, nawet jeśli ktoś by go śledził, natychmiast przesiada się do pociągu jadącego do Włoch, tu jednak muszę powiedzieć, że istniało jeszcze trzecie moje ja, w jakiś sposób łączące ze sobą moje dwie osobowości, i oczy tej trzeciej widziały obraz pochodzący z bezwiednie odtworzonego zbioru moich wspomnień, choć pozornie ten obraz nie miał z pozostałymi nic wspólnego, pochodził z dzieciństwa, to był ogród, gorące popołudnie kończącego się lata, kiedy łażąc pomiędzy drzewami, zobaczyłem, jak w pełnym wody kamiennym kielichu niewielkiej ogrodowej fontanny tonie zielona jaszczurka, widać było tylko czubek jej łebka i otwarty pyszczek, otwory uszne i otwarte oczy były już pod wodą, i choć rozcapierzonymi łapkami rozpaczliwie szukała oparcia, nie potrafiła wydostać się z wody, ten obraz stanowił chyba moje najodleglejsze wspomnienie o świecie, było suche lato, wiedziałem, że pewnie poszła napić się wody i wpadła do środka, odrętwiały z wrażenia patrzyłem i patrzyłem, jak gdybym nie był świadkiem, ale samym Bogiem, wiedziałem, że jej życie jest w moich rękach, i ta świadomość napełniła mnie taką grozą, że przez chwilę chciałem nawet pozwolić jej utonąć, ale w końcu wziąłem ją w dwie dłonie, wyciągnąłem z wody i, drżąc na całym ciele od dotyku oślizgłej skóry czy wstrząśnięty ohydą tej zakończonej już historii,

wyrzuciłem na trawę, jaszczurka znieruchomiła, oddychała, przez jej piękne ciało czułem rytm bijącego serca, i ten obraz, gniewny szmaragd trawy lśniącej od kropel wody oraz nieruchoma jaszczurka, nie tylko mi się przypomniał, ale stanął przede mną jak żywy, ze wszystkimi swoimi światłami, barwami i cieniami; stałem w tamtym ogrodzie z dawnych lat, a nie w pokoju.

To ja byłem zieloną jaszczurką, która dostała w prezencie życie, jeszcze jedną szansę, i nie rozumie, co to są śmierć, uderzenia serca i powietrze, dokładniej się wyrażając, jeszcze bardziej nie rozumie niż tego, dlaczego przed chwilą się dusiła.

Nie zauważyłem nawet, że od pewnego czasu siedzę zatopiony w tamtym obrazie, siedzę, a więc już nie stoję, a pomiędzy ściskającymi policzki palcami płyną łzy.

W moim szlochu słyszałem płacz tamtego małego chłopczyka i choć w jego oczach nie było łez, to on patrzył przerażony na to wszystko, co później się z nim stało, zadając jedno jedyne, głupio powtarzane raz po raz pytanie: dlaczego, dlaczego, kto tego chciał, kto i dlaczego.

Jak gdyby i wtedy powtarzał w duchu to wieczne, głupie pytanie, i jak gdyby dziś też nie umiał zapytać o więcej.

Nie opłakiwałem Gyllenborga, ukochanego przyjaciela, pięknego, młodego, wesołego mężczyzny, którego cały czas podziwiałem, on bowiem, niezależnie od tego, jak zakończyło się jego życie, jedną powalająco cudowną fotografią potrafił powiedzieć więcej niż ja, zmagając się, borykając i walcząc z każdym nieudolnie napisanym słowem, zazdrościłem mu!, nie muszę chyba mówić, że przez te dwa miesiące przeżywane wśród zmysłowej anarchii nie udało mi się napisać do końca nawet kilku zdań z opowiadania, które miałem w planach, podczas gdy on, dręczony wieczną gorączką chorych płuc i jakąś niewiadomego pochodzenia wysypką, z lekkością człowieka i tak już skazanego na śmierć, z niewymuszoną, pewnie wynikającą z bliskości spodziewanej śmierci elegancją zabawiał się poważnymi sprawami, nad którymi ja, w nienaturalnej gorączce amatora, potrafiłem się tylko zastanawiać, podziwiałem go i zazdrościłem mu!, bo on z żelazną konsekwencją wypełnił i zakończył to wszystko, co zrodziło się w jego ciele, on nie mylił przedmiotu swoich zainteresowań i skłonności z przedmiotem wyznawanych idei, wręcz przeciwnie, nakładał je na siebie, jego prace pokazywały tylko tyle idei, ile nie udało mu się ukryć, ja tymczasem ciągle oddawałem się fantazjom i rozmyśleniom, bo szukałem ratunku w ideach ukutyh ze słów; i może tu właśnie przebiega granica pomiędzy sztuką a jej amatorskim uprawianiem, przedmiotu idei nie wolno mylić z narzędziami potrzebnymi do jej przedstawienia!, i on tych spraw nie mylił, w ten sposób w nim i za jego pośrednictwem coś mogło powstać, nie musiałem więc go żałować, nie opłakiwałem też Hansa, jego niewinnej, młodzieńczej, wystawionej na łaskę i niełaskę losu siły, choć jakże niebiańską rozkoszą było czule kochać jego płonące rude włosy, miękką gładkość skóry białej jak mleko, jego piegi, czasami zamieniające się w wypukłe pieprzyki, na których zatrzymywał się palec, jedwabiste włoski na całym ciele, gorące mleko tryskające z ciepłego łona!, nie opłakiwałem zdradzonych, zaprzepaszczonych lat ani bliskiej mi, znanej w każdym calu cielesnej formy, och, to ciało, które powoli sześcinnie w zimnych murach więzienia, to nie pusta forma!, nie rozpacziałem nad moją straszną zdradą, nie płakałem również za matką, której w tych momentach tak bardzo mi brakowało, że nie śmiałem przywoływać jej w myślach, ani za Helene, którą niebawem, z pełną świadomością mego czynu, opuszczę, ani za moim nienarodzonym jeszcze dzieckiem, którego nigdy nie zobaczę, nie opłakiwałem nawet samego siebie, ani ojca, też niepozostającego bez winy, ani dziewczyny, którą w tak okrutny sposób zamordował i której zwłoki podobnie słonecznego, potwornego przedpołudnia musiałem wraz z naszą służącą imieniem Hilde obejrzeć podczas równie okrutnego śledztwa, właśnie z Hilde,

która kilka miesięcy później, chcąc zadośćuczynić sobie swój los, stała się moją pierwszą kobietą, a której już od dawna nie było pośród żywych, to nie ich opłakiwałem, tak jak nie użalałem się też na samym sobą.

Kiedy patrzyłem na tę uratowaną przed utonięciem jaszczurkę, mój mózg pracował jak niepotrzebnie rozgrzany silnik, który napędzany spalinami, zębatkami, paskami rozrządu, tłokami i dźwigniami z samej głębi duszy wydobywa wszystko, co podobne i co sprawia wywodzący się z dzieciństwa ból; to nie wyczerpanie ani niebezpieczeństwo doprowadziły mnie do płaczu, ale poczucie bezradności, które czujemy, widząc tyle ludzkiego brudu.

W tamtym momencie już wiedziałem, kogo z taką siłą przypomniały mi oczy inspektora, wiedziałem też, że w falach wstrząsającego mną głośnego szlochu opłakuję moją jedyną, zmarłą miłość, nieskalaną tymi brudami, ją opłakuję!, wyrzucam ze swego wnętrza kobietę, o której nie wolno mi mówić.

Byłem cały rozpalony i mokry od łez, drżałem z zimna na całym ciele, siły odpłynęły z moich członków i nagle, sam nie wiem dlaczego, podniosłem wzrok.

Któż może dysponować takimi boskimi zdolnościami, by w jednej sekundzie rozróżnić momenty, oddzielające się w niej jeden od drugiego, które choć tak mikroskopijne, że postrzegalne jedynie dla boskiego oka, snują w nas i tkają ze swych nici delikatną pajęczynę?

Och tak, zobaczyłem tę jedyną twarz, stojącą w drzwiach, milczącą z wyrzutem, całą w czerni i czarnym welonie zakrywającym twarz, jedną rękę trzymała jeszcze na klamce, żeby cicho zamknąć za sobą drzwi, dziwiłem się, dlaczego ubrała się na czarno, przecież jest martwa, więc nie może po samej sobie nosić żałoby!, ale w ułamku sekundy uświadomiłem sobie, że to nie ona tam stoi, lecz panna Stollberg.

Jakie to dziwne, że w tym nieogarniętym umysłem czasie wielki ból ustąpił miejsca jeszcze większemu bólowi, bólowi, jaki może sprawić tylko wieczny i ostateczny brak, a panna Stollberg widziała na mojej twarzy tylko gorzki grymas, który wcale nie był adresowany do niej.

Odsłoniła welon, włożyła dłonie w mufkę, jeszcze się wahała, nie bardzo wiedząc, jak powinna się zachować w takiej chwili, była blada jak ściana, gładka i nieprzystępna, właściwie całkiem mi obca, zmieniona ohydny szokiem, na jej twarzy zobaczyłem własny ból, właściwie nie wiem, w czym, może w pełnym obawy, nad wyraz subtelnym uśmiechu drżącym wokół jej warg, w uśmiechu, który czułem na swoich ustach.

Ostatni raz widziałem ją podczas tamtych pełnych zgiełku wydarzeń, kilka godzin wcześniej, kiedy usłyszawszy przeraźliwy krzyk pokojówki, przerażeni wybiegliśmy na korytarz, i ona razem ze wszystkimi biegła w stronę otwartych na oścież drzwi pokoju naszego przyjaciela Gyllenborga, ale wtedy jeszcze nie wiedziała, co się stało, nic z tego nie rozumiała, i wydawało mi się, że doskonale się bawi tym głośnym zamieszaniem.

Teraz uśmiechała się tylko po to, by uśmierzyć ból, by nie był tak dojmujący i upokarzający, widziałem na jej twarzy, że raz na zawsze nadszedł kres naszych okrutnych igraszek i że teraz nastąpi coś naprawdę okrutnego, co próbowała równoważyć swoim uśmiezkiem, od czego jej ból stawał się jeszcze większy, wzmagął go wstyd, który mnie nakazywał albo tylko pozwalał się śmiać, umiałem się śmiać, a śmiech ten był jeszcze bardziej bezkresny niż śmierć, która przecież nie była moją śmiercią.

Spieszyła ku mnie, niosąc w swoim uśmiechu cień urażonego, dumnego, pokornego, pięknego okrucieństwa, a ja czekałem na nią z takim samym uśmiechem na ustach, tyle że mnie on ciążył tak mocno, że aż nie mogłem podnieść się z miejsca, a ona szybkim ruchem wyciągnawszy dłonie z mufki, nie zważając, że drogie futerko spada na ziemię, dwie ukryte

w rękawiczkach dłonie zagłębiła w moich włosach i policzkach.

– Drogi przyjacielu!

Krzyczący szept wyrwał się z jej gardła niczym zdławiony płacz i choć wstyd mi się do tego przyznać, dotyk jej dłoni sprawił mi bolesną rozkosz.

Zerwałem się z miejsca boleśnie ugodzony strzałą rozkoszy, przerażenia, wstydu i radości, moje policzki przesuwają się po jej koronkowej sukni, w górę i w dół, dotykały jej twarzy, na mokrej od łez skórze czułem twarde dotyk jej zimnych warg, czegoś gorączkowo szukała i musiała szybko odnaleźć, ja też czegoś szukałem na jej dziewczęco gładkiej twarzy, nieporadnie, zachłannie, i w tym momencie, kiedy jej wargi dotknęły moich warg, w tym ułamku sekundy, kiedy poczułem na moich wargach zarys jej zimnych warg, delikatny dotyk fałdek skóry, ona też musiała poczuć coś podobnego, bo nie otworzyła ust!, jej głowa opadła na moje ramię, jednocześnie mocno objęła mnie ramionami, abyśmy już nic nie czuli, choć obydwójce coś czuliśmy, smak jego martwych ust był tam na brzegach naszych warg, abyśmy już nigdy nie potrafili bez niego zbliżyć się do siebie.

Długo tak staliśmy, wciśnięci w siebie uściskiem naszych ramion, nasze piersi, łona, uda spletały się w uścisku i wydawało się, że trwa to długo; i o ile przedtem w dotyku, pocałunkach, w wybuchającej i gasnącej sile zmysłów chciał znaleźć ujście ból, o tyle teraz gorący, pozbawiony zmysłowości uścisk połączył nas w bólu żałoby, poczucia winy, wyrozumiała wspólnota naszych ciał nie chciała wyrzucić zmarłego pomiędzy dwóch ciał, pozwalała, by został między nami.

Wiele czasu potrzebowaliśmy, by moje rozgrzane od łez ciało ogrzało jej zimną skórę, aż wreszcie z głową na moim ramieniu odezwała się odmienionym, naznaczonym współnictwem, przebiegłym, tajemniczym, trochę nawet nieprzyzwoitym szeptem współniczki moich przewin.

– Byłam bardzo grzeczną dziewczynką – powiedziała już prawie ze śmiechem. – Kłamałam.

Dobrze wiedziałem, o czym mówi, mówiła dokładnie o tym, czego chciałem się dowiedzieć, poznanie tamtych jakże ważnych faktów oznaczało dla mnie czas i szansę ucieczki, zadawane pytania mogłyby zaś mnie zdradzić.

Choć przecież ona także uciekała, gdyby mnie wydała, wydałaby także siebie, a jednak oczekiwała mojej wdzięczności.

Ja tymczasem chciałem uciec z mojego dotychczasowego życia, nie pozostawiając żadnego śladu, nie chciałem żadnych zdradzających cokolwiek, zadyszanych, ciekawskich pytań, które mogłyby rzucić światło na moje zamiary, chciałem, żeby nie pozostało nic więcej, żaden, nawet najmniejszy ślad.

Ona dobrze to wszystko rozumiała, choć nie mogła wiedzieć, co tak naprawdę rozumie, a ja, chociaż chciałem okazać jej wdzięczność, musiałem odsunąć ją od siebie, by widzieć jej twarz.

Jej twarz była niezmienną, pomyliłem się tylko, myśląc, że się śmieje, bowiem płakała.

Spiałem językiem wielkie lzy spływające po jej policzkach, cieszyłem się, że tak łatwo mogę okazać swoją wdzięczność, a kiedy znów przytuliłem ją do siebie, nasze ciała opuściło dziwne, obce uczucie, że nie jesteśmy tu sami.

I wtedy nagle usłyszałem, że w pokoju panuje martwa cisza, że cały dom tonie w głuchej ciszy i że z nieskończonej ciszy wpada przez okno nieme światło.

Pomyślałem, że pewnie już zabrali kamerdynera.

Ja też wyjeżdżam, skłamałem, ale chyba nie byłoby właściwe, żebyśmy jechali razem.

Bez obaw, powiedziała, dysząc gorączkowo nad moją szyją, jak gdybyśmy wymieniali

miłosne słówka, jadą do Kühlungsborn samochodem, spędzą tam kilka dni i dopiero potem wrócą do majątku w Saksonii.

Dlaczego więc po tylu latach innego, wolnego od namiętności i rozpusty życia wstyd nie pozwala mi opowiedzieć o tym pożegnaniu?

Jak gdybyśmy wtedy żegnali się nie ze sobą, ale z nim, który tu został.

Nie wydała mnie, kłamała w mojej obronie, czego ja chyba na jej miejscu bym nie uczynił, nawet w tamtej sytuacji; w chwili tamtego strasznego pożegnania okazała się silniejsza ode mnie.

Lekko mnie odepchnęła, uczyniwszy kilka kroków w tył, patrzyliśmy na siebie, choć mówiąc to, raczej mówię, że poprzez siebie patrzyliśmy na niego.

Oddalając się od siebie, zostawiliśmy mu zbyt wiele miejsca, pozwoliliśmy mu się rozprzestrzenić pomiędzy nami.

A ja, zmieszany, nie pojmując, jak mogliśmy razem uciec przed kimś, kto tak się między nami rozpychał, nie wspominając o zwłokach leżących za ścianą, powiedziałem tylko, że w takim razie powinienem pożegnać się z jej matką, i miałem po prostu nadzieję, że jeśli razem wyjdziemy z pokoju, to uda się nam pozbyć obecności naszego zmarłego przyjaciela, na co dostrzegłem w jej oczach błysk bólu, a może nawet nienawiści, to były wyrzuty i nienawiść, wyrzuty, że odsuwam ją od siebie pod tak prymitywnym pozorem, od siebie i od zmarłego, oraz nienawiść, że ją, żywą, odsuwam od siebie; musiałem więc pozostać tam, gdzie byłem.

I w tym trwaniu żywy złowieszczo złączył się ze zmarłym.

Uśmiechnęła się tak, jak dojrzała kobieta śmieje się, patrząc na nieporadne dziecko.

Po chwili zdjęła kapelusz i powoli ściągnęła obydwie rękawiczki; rzuciła je na stół, podeszła bliżej i dotknęła palcami moich policzków.

– Och, ty głuptasie!

Nic nie odpowiedziałem.

– To oczywiste – odezwała się i kiedy bezwiednie odwzajemniłem gest jej dłoni, poczułem, że to nie jest twarz kobiety, którą kochałem i którą będę kochał, że dotykam twarzy kobiety, która kochała jego, zmarłego, czy mówiąc dokładniej, zmarły jest tą osobą, którą będzie kochać wtulona w moje ręce i w moje ciało, i że w tym momencie wcale nie mnie dotyka.

Już nic więcej nie mówiliśmy, ale każdy nasz ruch w jakiś sposób odnosił się do niego.

Z pełnym dostojeństwem spokojem płynął w nas jego czas i na tę długą, jasną, w każdej minucie trzeźwą godzinę zniknął nawet morderca, Hans.

Nasze źrenice, jakby zasłuchane w wewnętrzne drżenie, zwężyły się i rozszerzały, przez zasłone rozkoszy widzieliśmy w swoich oczach śmierć.

Kiedy się ubrała, założyła rękawiczki, przed lustrem doprowadziła do porządku włosy i włożyła kapelusz, spojrzała na mnie jeszcze raz, jak gdyby mówiła oczyma, że jeśli chcę, to mogę teraz pożegnać się z jej matką.

Ale po tym, co przez tę godzinę robiliśmy, uprzejme pożegnanie straciło swój sens, wszystko musiało zostać po staremu.

Może pokręciłem przecząco głową, może wyczuła, co myślę, a może sama sądziła podobnie.

Opuściła woalkę na twarz i wyszła.

Na drugi dzień z okna pędzącego pociągu patrzyłem z pełną świadomością, jak opuszczam na zawsze ziemię, którą inni, szczęśliwsi ode mnie i ci bardziej nieszczęśliwi niż ja, nazywają swoją ojczyzną.

Było ciemno, była mglista zimowa noc i oczywiście niczego nie mogłem widzieć.

## To już koniec

Jestem człowiekiem bardzo rozsądnym, chyba nadmiernie rozsądnym. Nie mam najmniejszych skłonności do sentymentów. Mimo to chciałbym własnoręcznie zapisać na tych pustych kartkach ostatnie zdanie wypowiedziane przez mojego przyjaciela. Chciałbym, żeby pomógł mi wykonać tę pracę, której nikt mi nie zlecił, a która i tak stała się moją najbardziej osobistą powinnością.

Była ciemna, mglista noc i oczywiście nic nie widziałem.

Nie sędzę, że chciał, by tak brzmiało to ostatnie zdanie. Wszystko wskazuje na to, że następnego dnia, w kolejnym, nieznanym i niewynikającym z pozostałych po nim notatek zdaniu, zwyczajnie dalej by żył. Każda powieść o ludzkim życiu na samym początku sugeruje, abyśmy się w niej zagubili, tylko spokojnie, jakoś was wyprowadzę z tej mojej matni.

Moim zadaniem nie jest nic więcej, jak być sprawozdawcą.

Mówię to załamującym się głosem, że mogło być około trzeciej po południu. O tej porze zazwyczaj kończył pracę. Słoneczne, bezchmurne, ciepłe wczesne popołudnie któregoś z ostatnich dni września. Wstał od biurka. Za oknem spokojnie odpoczywał przerzedzony od sierpniowych upałów stary ogród. Przez powiewające na wietrze liście krzewów i drzew widział blask ciemnej wody. Wąskie niczym otwory strzelnicze, wysokie okna okalała pnąca się po ścianie domu dzika winorośl, z liśćmi o tej porze już żółtymi i czerwonymi, pełna czarnych, dojrzałych gron. Pomiędzy pnączami pełno było jaszczurek i najrozmaitszych owadów, wygrzewały się w słońcu na splekanym murze albo szukały ochłody w cieniu liści.

Coś takiego opisuje w pierwszych rozdziałach swoich wspomnień, taki widok miał wtedy przed oczyma, coś podobnego wtedy musiał czuć. Potem coś zjadł, w kuchni zamienił kilka słów z moją ciotką, wcisnąwszy pod pachę poranną gazetę i listy wyjęte ze skrzynki, zarzucił na ramię ręcznik i poszedł nad brzeg Dunaju.

Dwie roztrzaskane nogi, zapadnięta klatka piersiowa, rozłupana czaszka. W takim stanie go przynieśli.

Tym zdaniem, któremu nie należy przypisywać jakiegokolwiek symbolicznego znaczenia, kończył się ten niemal ośmiusetstronicowy rękopis. Został u mnie, choć w sensie prawnym nie jestem jego spadkobiercą.

Teraz jednak pragnę z całą mocą stwierdzić, że choć w żadnej mierze nie chciałbym wysuwać na pierwszy plan swojej osoby, to na wstępie, nim zacznę pisać o śmierci mojego nieszczęsnego przyjaciela, wspomnę o sobie samym i kilku okolicznościach.

Robię to także z tego powodu, że gdybym mówił wprost o nim, zbyt często słowa więzłyby mi w gardle.

Nazywam się Krystian Somi Tót; tym wszystkim, którzy dotrwali do ostatniego zdania tej mimo wielkiej objętości niepełnej powieści o życiu, znane będzie moje nazwisko, a jeśli nie, to z pewnością moje imię. Mój biedny przyjaciel bowiem, filozofując o miłości albo ukazując ją w krzywym lustrze nienawiści, uwiecznił chłopca imieniem Krystian, chłopca, którym wtedy byłem i z którym dzisiaj tak mało się utożsamiam.

Mogę nawet powiedzieć, że zrobił to za mnie. I nawet jestem z tego trochę dumny. Albo może nie dumny. Raczej zaskoczony jak małe dziecko, jak ktoś, komu pokazano zrobione potajemnie, demaskujące go zdjęcie. Z drugiej strony trochę mi wstyd.

Po przeczytaniu tego rękopisu nie mogę oprzeć się wrażeniu, że im większe jest w człowieku pragnienie życia, tym bardziej wybiórcza musi stać się jego pamięć. Im wyraźniej nieprzebierająca w środkach wola wpływa na działania skierowane na przetrwanie, z tym większym wstydem zmagają się później pamięć. Nikt nie lubi czerwienić się ze wstydu, więc niechętnie pamięta wątpliwe moralnie chwile. I w ten sposób tyle samo zyskuje, ile traci. W takim sensie uważam, że mój przyjaciel mógł mieć rację: ja też stałem się człowiekiem o rozdwojonej duszy; ale nawet jeśli tak jest, to niewiele różni się od innych.

Dla wyjaśnienia, co mam na myśli, wyznam, że na przykład wydarzenia tamtego zimnego marcowego poranka, które odegrały w jego życiu tak fatalną i decydującą rolę, moja pamięć po prostu z siebie wyrzuciła. Ze mną też tak było i nie ulega wątpliwości, że wszystko odbyło się tak, jak to opisał. Żywiołowa radość i paniczny strach wywołane przez śmierć tyrana, istniejąca pomiędzy nami wewnętrzna nierówność odczuwanego do siebie nawzajem gwałtownego pociągu, dziecięcy lęk przed zdradą i byciem zdradzonym – również we mnie mieszały się w podobnej proporcji i otworzyły mi usta ze zdziwienia. Lecz nigdy więcej mi się nie przypomniały. Ten pocałunek, jak musiało mi się zdawać, coś załatwił.

Podczas siusiania rzeczywiście powiedziałem, że wreszcie zdechł ten opryszek. Czy jakąś podobną głupotę. Wypowiedzieć głośno to zdanie sprawiło mi niemal cielesną rozkosz. A potem zacząłem się bać, że na mnie doniesie. W tamtych czasach żyliśmy w ciągłym strachu przed wysiedleniem. W okolicznych domach, w najbliższym sąsiedztwie zamkniętej strefy, my byliśmy ostatnimi ze starych mieszkańców. Matka drżała ze strachu na widok każdego urzędowego listu. Może nasz domek był zbyt biedny i zbyt mały, dziś już nawet nie wiem, czemu zawdzięczaliśmy tę nadzwyczajną łaskę losu.

Kochałem moją matkę czułą, podporządkowaną każdej najmniejszej fali zmiennych emocji, pełną wybaczenia i uwagi miłością, jaką półsierota może darzyć zmagającą się z samotnością i ciągłymi kłopotami materialnymi, do śmierci opłakującą zmarłego męża wdowę. Gotów byłem dla niej na wszelkie kompromisy, a nawet na niosące wstyd poniżenie. Dlatego chciałem, żeby udało się nam uniknąć wysiedlenia. A jeśli już musiałyby do niego dojść, to chciałem wiedzieć, na co mamy być przygotowani. Nie jestem skłonny do pokory, ale w zawieranych kompromisach do dziś potrafię dochodzić do granic możliwości.

Wszystko to zaś oznacza, że w moim późniejszym życiu nie miały miejsca wydarzenia, które mogły mi przypomnieć, że tamten pocałunek nie miał na celu tylko rozwiązania życiowych problemów, ale był prawdziwym pocałunkiem. A przecież nie powinienem był narażać się na emocjonalne niebezpieczeństwa, skoro musiałem zmagać się z tyloma zewnętrznymi zagrożeniami. I tak, może przyzwyczajony już do korzyści wynikających z zachowań służących duchowemu ukrywaniu się, później też unikałem sytuacji albo oceniania sytuacji, które w swej dwuznaczności nie były zgodne z moimi zamiarami czy chęciami.

Teraz, kiedy już jestem świadom, jak przedstawiałem się w jego oczach, nie zdając sobie nawet sprawy, że wywierałem na niego tak silny wpływ, czuję pewien smutek. Jak gdybym przegapił coś, czego w ogóle nie miałem prawa chcieć. Co oczywiście mi pochlebia. Podczas gdy on mógł sobie pozwolić na luksus takiej wybujałej wrażliwości. To zaś godne pozazdroszczenia. Mój smutek nie wynika z poczucia winy, samooskarżeń, oskarżeń czy wyrzutów sumienia. Z pewnością jest prawdą, że jako dziecko byłem w oczach innych ciekawszy, bardziej pociągający, nieprzejrzany, mroczniejszy, bardziej podstępny i brutalniejszy, niż jestem teraz jako człowiek dorosły. Inaczej nie mogło się stać. Musiałem sam zdobyć, wykombinować, wywalczyć podstawowe dobra potrzebne do życia i choć ta zimna wojna wpoila we mnie



podświadomy rozsądek, to teraz jestem bardziej pomysłowy, kolorowy i elastyczniejszy, niż byłem wtedy, kiedy zmęczony teatrem walki o zaspokojenie podstawowych potrzeb w końcu odnalazłem dla siebie bezpieczne miejsce.

Kiedy mieliśmy około trzydziestu lat, on stał się niebezpiecznie otwarty, a ja niebezpiecznie zamknięty, i obydwaj staliśmy się bezbronni. On znalazł miłość, która miała wypełnić dręczącą go od lat pustkę, a pokładana w niej nadzieja zmusiła go do wejścia na nieznaną ścieżkę. Ja, budząc się z obezwładniającego przemęczenia, spostrzegłem, że nie mam już nadziei i dlatego zwyczajnie muszę uciec jak najdalej od wszystkiego, co mogło stać się cierpieniem, i że już niewiele mi brakuje, bym został alkoholikiem. Kiedyś później powiedział mi, że mężczyźni pewni swojej płci są podatni na duchową i fizyczną zgniliznę.

Gdy patrzę na przebieg całego mojego życia, nie czuję, bym był w tym kraju jedyny. Jeśli mój przyjaciel jest wyjątkiem, to ja reprezentuję przeciętność. I nie dlatego podkreślam tę różnicę, by chęć się swoją przeciętnością, słabą pamięcią czy umiejętnością obserwacji stępioną przez ciągłą konieczność dostosowywania się do okoliczności, ani żeby ukazać swoją wyższość na człowiekiem, którego nazwałem wyjątkowym, nie, tego określenia nie używam w celu napiętnowania któregoś z nas, a wskazaniem różnic nie zamierzam zrzucić z siebie odpowiedzialności za to, że byłem głuchy i ślepy, ale próbuję, tak jak potrafię, przyjrzeć się naszemu życiu.

Jestem ekonomistą, od kilku lat pracownikiem naukowym zajmującym się ekonomią teoretyczną. Istota mojej pracy sprowadza się do tego, że analizuję zebrane w badanym obszarze gospodarki narodowej, powtarzające się albo szczególne, wydarzenia. Staram się też określić cechy charakterystyczne tych obszarów. I teraz chciałbym zrobić to samo. Pisanie książek to nie jest moje zajęcie. Nigdy nie pisałem wierszy. Kopałem piłkę, wiosłowałem, podnosiłem ciężary. Odkąd wieczorami nie piję, codziennie rano biegam na całkiem sporych dystansach. Jeśli piszę, to tylko rozprawy naukowe. Sądzę jednak, że ze względu na pochodzenie i otrzymane wychowanie od najwcześniejszego dzieciństwa moim życiem kierowała potrzeba ostrożnej i bezwzględnej obserwacji szczególnych zjawisk. Już jako mały dzieciak musiałem się pilnować – zważać na to, czy to dobrze o czymś myśleć, czy raczej należy pamiętać, by tego, co głośno powiedziałem, nie pomyśleć. Takiego wybujałego intelektualnie zmysłu nakierowania czy nakierowywania się nie chciałbym jednak uznać za rodzaj pasji, gdyż jestem świadom, że u korzeni w ten sposób wykształconej umiejętności rejestrowania i odnotowywania faktów leży wiele wyrzeczeń, przymusu i z konieczności narzucanej sobie samodyscypliny.

Każdy młody człowiek z natury rzeczy jest pełen pasji, a gorąca nadzieja na zawładnięcie światem czyni dla niego ten świat pięknym. Sposób zaspokojenia owej gorącej nadziei, jego miara i zasada działania, pozwala mu dostrzec różnicę pomiędzy pięknem a brzydotą, dobro uznaje za piękne, a zło za brzydkie. Dziś już jednak nie ma we mnie niczego, co mogłoby moje teorie uczynić pięknymi. Tego, co widzę albo przeżywam, niech to będzie nawet najbardziej osobiste przeżycie, nie uznaję ani za piękne, ani za brzydkie, bo nie postrzegam tego w ten sposób. Najwyżej ogarnia mnie ciepłe uczucie cichej wdzięczności za to wszystko, co mi sprzyja, ale to uczucie bardzo szybko we mnie gaśnie.

Może kiedyś była we mnie pasja i być może się wypaliła. A może czegoś po prostu we mnie brakuje. Możliwe jest też, że ta brakująca albo istniejąca we mnie w nadmiarze cecha powodowała, że już jako dziecko wydawałem się zimny. Nie sądzą, żeby wiele osób mnie kochało, uważany jestem jednak za człowieka kierującego się rozsądkiem. Ale w kontekście

zachwycającej rozprawy mojego przyjaciela właśnie potrzeba rozsądku każe mi zadać pytanie, czy nie dlatego wydaję się taki, że zawsze udaje mi się umiejętnie ustawić w takiej odległości przedmiot mojej pracy, jak również kochające mnie osoby, żeby się z nimi nie utożsamiać i móc sprawować nad nimi kontrolę.

Nie jestem w tym szczęśliwym położeniu, bym mógł stworzyć i wcielić w życie jakąkolwiek zasadę. Mogłem stać się największym w świecie cynikiem, i tylko dlatego tak się nie stało, że ciągły brak lub nadmiar uczuć jest dla mnie najzwyczajniejszą udręką.

Kilka dni przed egzaminem maturalnym zburzyłem w moim pokoju piec kaflowy. Wczesnym porankiem, właściwie jeszcze o świcie, wróciłem od dziewczyny. Zawsze musiałem tak stamtąd uciekać, żeby nic nie podejrzewający rodzice nie domyślili się moich nocnych wizyt. Tamtego poranka byłem w domu sam. Matka pojechała odwiedzić kuzynów w Debreczynie. A piec od dawna mi przeszkadzał. Uważałem, że stoi w złym miejscu i w ogóle jest mi niepotrzebny. W nocy grzał ze zbyt bliska, nie pozwalał otworzyć swobodnie drzwi. Nie mogąc znaleźć dłuta, złapałem wielki młotek, też się nadawał. Zacząłem rozbierać piec. Zerwane kafle wyrzucałem przez okno do ogrodu. Ale rozebranie wnętrza pieca okazało się trudniejszym zadaniem, niż sądziłem. I mój pokój, którego nie przygotowałem do takich prac, powoli cały pokrył się pyłem, kawałkami cegieł i sadzą. Dywany, książki, obicie krzesel, zeszyty i zadania maturalne na biurku. Kiedy się ocknałem z amoku pracy, to wszystko wydało mi się nie naturalnym skutkiem moich działań, ale odrażającym, nieznośnym brudem. Nudnym brudem bezkresnej pustki. To uczucie zawładnęło mną tak nagle, jak pomysł, by rozebrać piec. Wpatrywałem się w jego już teraz całkowicie pozbawione sensu, ciemne, śmierdzące sadzą, okaleczone ciało. Mniej więcej w połowie prac dałem sobie spokój. Poczuję się senny i zmęczony. Zamknąłem okno, zrzuciłem ubranie i położyłem się do łóżka. Przez jakiś czas przewracałem się z boku na bok, próbowałem zwinąć się w jak najmniejszy kłębek, ale nie umiałem, nie potrafiłem stać się taki mały, jak bym chciał. Nie pamiętam, żebym wtedy myślał o czymś innym. Nie wiem nawet, czy to moje wielkie pragnienie można było nazwać myślą. W końcu musiałem wstać, bo tak dłużej nie mogłem leżeć, nie śpiąc. I nie dając sobie nawet czasu do namysłu, zacząłem jedno po drugim łykać lekarstwa, które matka trzymała w apteczce. Potrzebowałem sporej ilości tabletek nasennych i uspokajających. Po pewnym czasie bez wody nie mogłem już więcej przełknąć.

Kiedy dziś to sobie przypominam, wydaje mi się, że nie mnie się to przydarzyło. Najpierw popiłem łykiem wody z wazonu, potem z talerzyków pod kwiatkami. Nie wiem, dlaczego nie wyszedłem do kuchni. Zaczęło mi się strasznie kręcić w głowie. I dostałem suchej czkawki. Jak gdybym nie miał już w ustach śliny. Opadłem na kolana i objąwszy ramionami kanapę, oparłem o nią głowę. Z całych sił próbowałem powstrzymać wymioty. Nic więcej nie pamiętam. Gdyby matka wiedziona złymi przeczuciami nie wróciła do domu dzień wcześniej, dziś bym o tym wszystkim nie opowiadał. Zrobili mi płukanie żołądka. I naprawili piec.

Nigdy więcej nie próbowałem popełnić podobnej głupoty i nadal nie mam takiego zamiaru. Ale ten szczególnie rodzaj uczuć, który zwykło się określać mianem cierpienia, powodujący niezależnie od moich działań radość bądź smutek, podsuwający jakieś rozwiązanie lub je uniemożliwiający, został we mnie na zawsze. Wcześniej jednak nie odczuwałem tego rodzaju emocji. Nie chciałbym ich szczegółowo analizować, chociażby z tego powodu, że żyję z nimi, nie mając pojęcia, skąd się we mnie biorą, a także dlatego, że pozornie sprawiam wrażenie człowieka pogodnego, i te pozory są dla mnie najważniejsze.

Kiedy człowiek chce określić swoje pochodzenie, zaczyna zastanawiać się nad swoimi

przodkami. Gdy mnie o to pytają, zazwyczaj mówię, że pochodzę z rodziny wojskowej. Jak gdyby moi przodkowie, czy to generałowie, czy zwyczajni szeregowcy, wszyscy byli zawodowymi wojskowymi. Co ładnie się prezentuje, ale niestety nie jest zgodne z prawdą. To tak, jak mówimy o jakiejś rodzinie, że to stara rodzina. A przecież wszystkie rodziny są podobnie stare. Fakt, że córki i synowie różnych narodów w różnym czasie zeszli z drzew. Na przykład Inkowie i Żydzi znacznie wcześniej niż Niemcy, a Węgrzy o wiele później niż Anglicy czy Francuzi. Ale z tego nie wynika jeszcze, że parobek wywodzący się z danego narodu nie pochodzi z tak samo starej rodziny jak książę. A ponieważ każdy naród różnicuje równe z narodowego punktu widzenia rodziny właśnie na podstawie ich statusu społecznego, podobnie postępuje też jednostka, kiedy na podstawie swoich zainteresowań, marzeń, dążeń i interesów zaczyna wybierać z barwnego panoptikum przodków. Ten specyficzny sposób doboru wynikający z własnych potrzeb zauważyłem też w rękopisie mojego przyjaciela.

Swoją rozdwojoną sprzecznościami osobowość potrafił utrzymać w równowadze, obserwując kierujące nim podświadomie siły, próbując je zrozumieć i znaleźć ich korzenie. Do takiej życiowo ważnej analizy ludzkiej duszy potrzebne są wyważone metody, którymi z powodu braku wewnętrznej równowagi taka osoba jednak nie dysponuje. I tak koło się zamyka. Może się z niego wydostać, jeśli na czas prowadzonej analizy zwiąże się z człowiekiem albo z grupą osób, które użyczą własnych poglądów i które w swoim otoczeniu w największym stopniu posiadły wewnętrzną równowagę. Dlatego w tekście na pierwszym planie widzimy dziadka ze strony matki, liberalnego mieszczanina, który nawet w pełnych grozy sytuacjach potrafił zachować dyscyplinę i umiar. Dlatego też z taką okrutną ironią, choć nie bez sentymentu, opisuje swoją babkę, zwolenniczkę dobrego wychowania i głupich nakazów moralnych. On zaś z ich pomocą próbuje utożsamić się z tym wszystkim, co w realnym życiu utracił. W ten sposób wybiera swoje pochodzenie. Rusza w przeszłość tym śladem, choć mógłby pójść jakimkolwiek innym. Podczas czytania pomyślałem, że może nie bez powodu zapomina o drugich dziadkach. Zakładam, że nie dlatego, że się ich wstydzi. Ani dlatego, że w kontekście całego życia nie byli dla niego ważni.

W weekendy albo rano w niedzielę często jeździliśmy do nich tramwajem na Káposztásmegyer.

Po ukończeniu studiów zostałem handlowcem. Przez dziesięć lat podróżowałem po całym świecie. Kiedy myślę o podróży, od razu przypomina mi się tamten tramwaj wygodnie turkoczący po szynach. I otwarty peron. Czasami podczas długiej podróży samolotem, kiedy czytam jakieś zawodowe materiały, staje mi przed oczyma ten dawny obraz. Jak gdybym nie leciał, ale przemierzał świat żółtym tramwajem. Niekończący się turkot, aż do końca starej ulicy Váci.

Staruszek o czerwonym od systematycznego, ciągłego picia nosie i donośnym głose, który podczas pierwszej wojny światowej został inwalidą wojennym, mimo ograniczeń ruchowych zachował mocną, umięśnioną sylwetkę, choć dobiegał siedemdziesiątki, nie był jeszcze siwy, jako nocny portier w miejskich wodociągach mieszkał w suterynie zakładowego budynku ze swoją okrągłutką, tłustą połowicą. To ona miała zwyczaj wysyłać do wnuka telegramy. „Dziś smażę naleśniki. Jutro będzie strudel z makiem”. I chyba nie bez przesady mogę stwierdzić, że najważniejsze dla naszej przyjaźni było miejsce, w którym mieszkał. Kiedy bardzo długo nic się nie działo, pytałem, czy będą pierożki z dżemem. Na co odpowiadał, że będzie placek z jabłkami. Albo odwracał się do mnie i mówił, że knedle z morelami, a ja musiałem tylko zapytać, kiedy. Mieliśmy wspólny język, którego nikt poza nami nie rozumiał. I używaliśmy go nie tylko w rozmowach o przysmakach.

Ja bardzo interesowałem się maszynami, ciekawiły mnie ich budowa i działanie, praca i ruch, którego lepszego i bardziej dosłownego symbolu nie znalazłem nigdzie więcej. A jego napędzała tylko moja nienasycona ciekawość. Wiedział, że dając mi nadzieję na odwiedziny, ma mnie w ręku, a nawet może mnie emocjonalnie szantażować. Powiedział tylko, że będą kluski, kluski z orzechami, a ja, zapominając o wszystkich innych pociągających mnie sprawach i zajęciach, pędziłem za nim. Cierpliwość pomocników ubranych w podkoszulki oraz odzianych z powagą mistrzów w garniturach i pod krawatem wydawała mi się niewyczerpana, tak jak bezgraniczna była moja ciekawość. Wszystko nam pokazywali i tłumaczyli. Zapewne czuli niemałą satysfakcję, że potrafią odpowiedzieć na większość naszych pytań. Najciekawsze były duże naprawy. Przybyłe z okolicznych gmin kobiety i dziewczyny w kaloszach oraz podkasanych spódnicach szorowały, myły, zdrapywały z brudu obłożone kafelkami ściany opróżnionych basenów, mężczyźni usmarowani po uszy olejem, przyszczaci pomocnicy naprawiali i składali rozebrane maszyny. Śmiali się, podszczypywali, świntuszili i obłapiali się z piskiem. Jak gdyby byli uczestnikami jakiegoś prastarego obrzędu. Nakręcali się wzajemnie, mężczyzna mężczyznę, kobieta kobietę, kobieta mężczyznę i mężczyzna kobietę, jak gdyby miało to im pomóc w wykonaniu czekającej pracy, ale też w czymś innym, w co my, dwaj chłopcy, nie byliśmy wtajemniczeni. Niczym robotnicza pieśń. Żeby mogli dobrze wykonać swoje codzienne zadania, musieli wyśpiewać z siebie te nocne strofy. Bez żadnego nadzoru, we dwóch wędrowaliśmy po dziewiętnastowiecznych cudownych maszynowniach, po parku okalającym studnie albo po niosących się echem magazynach, gdzie czystość rzeczy była tak lodowato kryształowa, że nie mieliśmy odwagi zrobić nic więcej, staliśmy i gapiliśmy się w milczeniu na nieruchome lustro wznoszącej się i opadającej wody.

On jednak w swoim rękopisie nie zajmuje się tym bardzo wczesnym, idyllicznym okresem naszej przyjaźni. Przyznam, że wielokrotnie aż czerwieniałem z urazy, widząc ten rzucający mi się w oczy brak.

Często zostawaliśmy u nich na noc, spaliśmy wtedy w kuchni na wąskim szlabanku. W jakimś artykule etnograficznym czytałem kiedyś, że podczas wielkich zimowych mrozów, gdy małe cygańskie dzieci spały zwinięte razem na rzuconej na ziemi słomie, rodzice bardzo pilnowali, żeby chłopiec leżał obok chłopca, a dziewczynka obok dziewczynki. Nie sądzę, żeby świadomie zapomniał to ciepło dziecięcego braterstwa, którego potem przez całe życie tak rozpaczliwie poszukiwał.

Pamiętam, że było wtedy bardzo gorące lato, jego dziadek odpinał drewnianą protezę i majtając okropnym kikutem wyglądającym spod nogawki spodni, zachwalał zalety sztucznej nogi. Po pierwsze, nie śmierdzi. Nie robią się na niej odciski. Jak skrzypi, można ją naoliwić. Po drugie, nie będzie miał w niej reumatyzmu, z całą pewnością. Najwyżej spróchnieje. Tylko jednego żałuje. Że od picia wszystko mu drętwieje. Nawet dziura w tyłku. Tylko ta noga nie chce.

Jeśli idzie o moje pochodzenie, to ja z licznego grona moich przodków, prowincjonalnych przedsiębiorców, chłopów uprawiających własną ziemię, wytrwałych protestanckich nauczycieli ludowych, wyrobników z Palóc, wzbogaconych młynarzy i handlarzy, którzy stali się właścicielami warsztatów, wybrałem sobie dwóch poległych w walkach żołnierzy. Mojego ojca i dziadka ze strony matki. W ten sposób staliśmy się rodziną wojskowych. Oni się czymś wyróżniali. Więcej zawodowych żołnierzy nie było w naszej rodzinie. W dodatku ani jednego z nich nie pamiętam.

Po ojcu zostało nam niewiele zdjęć, po dziadku bardzo dużo. Oglądanie ich było

w dzieciństwie moim ulubionym zajęciem.

W rodzinnych opowieściach związanych z moim dziadkiem dziś trudno byłoby ustalić, co w nich było przerysowane i jaka była w rzeczywistości ta historia. Sądzę jednak, że energia, jaka od niego emanowała, brała się nie tylko z jego wyjątkowych zdolności, wiele obiecującej, choć przerwanej w połowie kariery, ale także z jego bardzo atrakcyjnej powierzchowności. Kiedy starsi wiekiem kuzyni klepali mnie po udzie albo dawali całusa, puszczając oko, dodawali, że taki przystojny jak dziadek to chyba jednak nie będę. A mama wręcz przeciwnie, wesoło się z nimi drocząc, z dumą w głosie dodawała, że przynajmniej pod względem wyglądu wdałem się w dziadka, szkoda tylko, że nie jestem taki mądry jak on. Obydwa te stwierdzenia były jednak zbyt kokieteryjne i stronnicze, by zaszczerpieć we mnie wagę tego podobieństwa, poczucie, że w kogoś się wdałem, i dziwne pragnienie, by tego kogoś doścignąć. Tego kogoś, kim w pewnym sensie jestem ja sam, mimo że w żaden sposób nie potrafię rozstrzygnąć, czy to dla mnie dobrze, czy źle.

Mieliśmy w domu szkło powiększające do oglądania map. Trafiło do nas ze schedy po dziadku. Z pomocą tego szkła oglądałem dokładnie twarze osób żyjących w różnych czasach. Być może nie jestem wrażliwy na piękno, ale nigdy nie udało mi się dostrzec piękna w tym, co inni uważali za ładne. Toteż nic dziwnego, że w przeciwieństwie do mojego nieżyjącego przyjaciela, mnie krajobraz, przedmiot czy człowiek, o których sądzi się, że są ładne, wprawdzie skłaniają do myślenia, ale nie wzbudzają we mnie żadnych emocji. Fotografie mojego dziadka dlatego tak mnie zajmowały, że to, co inni uważali w nich za ładne, we mnie budziło niemiłe myśli. Jeśli dwie linie są równoległe, to przetną się w nieskończoności. Jeśli dwie linie nie są równoległe, to znaczy, że są to te dwie, które mam przed nosem. Z tym, do którego jestem najbardziej podobny, mogę się spotkać w jednym, teoretycznie istniejącym punkcie, z tym, od kogo jestem całkowicie różny, mogę się spotkać gdziekolwiek i kiedykolwiek. Jak gdyby wygląd jego twarzy zmuszał mnie do tego, bym zamiast dwóch linii szukał tej trzeciej. Twarz i powierzchowność dziadka wydawały mi się zatem niemal odpychające, aczkolwiek moje uczucia podpowiadały mi, że jesteśmy sobie bardzo bliscy. Odpychające były zwłaszcza jego oczy. I spojrzenie.

Fotografii dziadka nie miałem w ręku od niemal dwudziestu lat.

Do dziś elementarny strach, odrazę i wstręt wywołuje we mnie postawa, która odbierając człowiekowi poczucie wewnętrznego bezpieczeństwa, powoduje, że nie jest on w stanie postępować w zgodzie z własnym dobrem.

Czy rzeczywiście jestem do niego tak podobny i właśnie z powodu tego podobieństwa wydawał mi się odpychający? Czy myślałem wówczas o dystansie dzielącym martwego od żywego i o ich, teoretycznie możliwym, spotkaniu? I czy to mój brak odwagi był tym, co najbardziej mnie dręczyło i hamowało moją wrażliwość na piękno? Nie sądzą, abym był odpowiednią osobą, by odpowiedzieć na te pytania. Mówiąc inaczej, musiałbym zastanawiać się i mówić o takich szczegółach mojego życia, których wyjawianie wydaje mi się niewłaściwe.

Blisko czterdziestoletnie doświadczenie mówi mi, że duchowe ukrywanie się, z życiowego punktu widzenia, ma swoje dobre strony. Mimo to po śmierci mojego przyjaciela poczułem wewnętrzną potrzebę, by podobnie jak on odzyskać kontrolę nad własną osobą, nie płacąc jednak tak jak on życiem, a jednocześnie uniknąć wszelkiego fałszu.

To zaś jest już niemal abstrakcja, i naraziłbym na szwank własną przyzwoitość oraz poczucie wstydu, gdybym dla lepszego wyjaśnienia tych zagadnień opowiedział na przykład o tych dziewczynach, które pod każdym względem uważają mnie za dobrego kochanka, a jednak

gdy się kochamy, dają wyraz szaleństwu żądy i próbują ustami zgwałcić moje usta. A ponieważ ja za każdym razem, wprawdzie nie wypowiadając tego głośno, im odmawiam, często pytają mnie, dlaczego im nie pozwalam. Dlaczego nie pozwalasz. Bo nie chcę. Tak im odpowiadam. Jeśli w ogóle się odzywam. Przyznaję, że być może moje zachowanie jest zachowaniem despoty, ale moja milcząca odmowa wydaje się tak samo głęboko instynktowna, jak dla innych naturalne są milczące pocałunki. Nie wydaje mi się, bym musiał łagodzić egoistyczną toporność działającego we mnie instynktu przedłużenia gatunku czy przekazania własnych genów za cenę autonomii mojej osobowości. A pocałunki odebrałyby mi możliwość sprawowania kontroli nad sobą samym i nad drugim człowiekiem. Zaczęłyby wtedy kierować mną pozostająca poza moją świadomością siła, której nie bardzo chciałbym się poddawać.

Jeśli spróbowałbym jakoś uporządkować reakcje kobiet na tę moją osobliwą cechę, gdybym zadał pytanie, co sądzą pozornie całkowicie różne od siebie osoby o braku zaspokojenia tej podstawowej psychicznej potrzeby, której ja mianowicie nie mam, to wiem z doświadczenia, że można byłoby wskazać tu trzy grupy zachowań.

Do pierwszej z nich należałyby znerwicowane, delikatne, smutne i sentymentalne, wrażliwe, łatwe do urażenia i zawsze śmiertelnie zakochane kobiety o charakterze nastolatek, te natychmiast by się oburzyły i uciekły, wybuchły płaczem, zaczęły okładać mnie pięściami i wrzeszczeć, wiem, wiem, tylko tego ode mnie chcesz, nazwały kłamcą i zaczęły grozić, że zaraz wyskoczą przez okno. I że chcą, żebym je kochał. Ale nikt nie potrafi kochać drugiego za cenę gwałtu na sobie samym. Uspokoić je czy szaleńczo je zaspokoić nie jest jednak trudno. Jeśli uda mi się zaspokoić je w szczytowym momencie szału, jeżeli dobrze wybiorę moment, w którym przystąpię do akcji, to znów wszystko się między nami dobrze ułoży. To masochistki, które przez całe dotychczasowe życie czekały na sadystycznego zwierzaka, którym oczywiście nie jestem. Ich orgazm jest krótki, bardzo intensywny i przerywany, przy czym nie przeżywają go na szczycie, do którego dążą, ale o wiele niżej, na pełnej wertepów nizinie. Takie kobiety lubię najmniej.

Drugi typ to kobiety pełne cichej pokory. Jeśli ulegną mojemu dyktatowi, parabola ich rozciągniętego w czasie orgazmu jest łagodna, wznosząca się, by doprowadzić do wielu ogarniających całe ciało szczytowań, które trwają aż do kolejnego szczytu. Jak gdyby każde zwalczone zahamowanie pozwalało im oddać się rozkoszy, a ponieważ rozkosz trwa, a zahamowania znikają, w końcu dominuje rozkosz. To powściągliwe, skromne, ostrożnie unikające rzucania się w oczy, nieszczęśliwe z powodu nieciekawej powierzchowności dziewczyny, które powszechne wśród kobiet, słodkie, ale okrutne intrygi nauczyły podstępności. Jeśli jednak zaufają mojemu dyktatowi, to zachowują się, jak gdyby niczego im nie brakowało. I oddają się mi naprawdę dalece, aż do granic wszelkich możliwości, a kiedy widzą, że to też na nic, bo w przeciwieństwie do nich, ich oddanie nie skłania mnie do wdzięczności, najwyżej wyostrza mój zmysł obserwacji, bym dokładniej się im przyjrzał, wtedy zaczynają demonstrować swoją uległość. Niepozbawioną zresztą ukrytych zamiarów, by wprawna gotowością swoich ust przezwyciężyć mój brak bliskości i obudzić we mnie pragnienie tego samego, czego pragną one. Ich usta stają się pokornymi niewolnikami mojego ciała. I wtedy dobiega końca nasza zwyczajna historia. To ich żal mi najbardziej, ale to właśnie wobec nich jestem najsilniej pozbawiony współczucia.

Najbliższy mi jest trzeci typ kobiet. To zazwyczaj kobiety nieco tęższe, o masywnej budowie. Duże, wesołe trzpiotki, dumne, porywcze i samodzielne. Ich gra wstępna jest nieco leniwa. Tak wyglądają gody wielkich, dzikich zwierząt. W spotkaniach z nimi nie ma żadnych

ceregieli. Ostro wznoszący się łuk rozkoszy często przerywa frontalny atak gwałtu. Wtedy na chwilę cichnie walka. Te bezkresne, rozświetlone ostrym blaskiem płaszczyzny czasu są mi szczególnie miłe. Kapryśnie i nieprzewidywane następują po sobie i wystawiają na próbę mój zdrowy rozsądek, próbujący trzymać w karbach instynkty, tworząc złudzenie, jak gdybyśmy chcieli wejść nie na jeden widoczny w zasięgu oka szczyt, ale na bezkresne górskie łańcuchy. Rzeczywiście, wydaje się, jak gdybym znalazł się na nizinie, na której niemal brak jest roślinności. To nie miejsce odpoczynku, przystanek w drodze, gdzie ludzie jedzą, piją i zbierają siły. Człowiek, gdy już dotrze na takie wysokości, zwykł odczuwać jakiś brak. Albo pragnienie, którego mnie nigdy nie udało się zaspokoić. I wtedy starają się zapanować nad sytuacją pojawiającą się nagle jak błyskawica, i to wszystko, co w wielkim gniewie, walcząc ze sobą, mi odebrały, chcą dać moim ustom. Ani im w głowie tracić coś z powodu moich dziwnych nawyków. Jak gdyby walcząc z moim despotyzmem, krzyczały: „Nie? No to zobaczysz!”, chcą dopiąć swego i tu przyznają im rację. W tej nowej sytuacji nie tylko dlatego skłonny jestem do pewnych ustępstw, że taka gra sprawia mi przyjemność, i nie tylko dlatego, że wtedy nie muszę dotykać ich warg, ale dlatego, że z góry wiem, iż rozkoszując się tą żądną zemsty grą, za kilka chwil stracą panowanie nad sobą, a wtedy we wspólnie osiągniętej rozkoszy będę mógł z radością wrócić na moje miejsce. W ten sposób właśnie powstaje zależność pomiędzy tym, czego brak, a tym, czego jest w nadmiarze. One są realistkami, tak samo, jak ja. Wiedzą, że równowagę niezbędną do życia trzeba osiągnąć sposobami, które są nam dostępne. W pomysłowości jesteśmy współnikami i towarzyszami broni. Razem gwiżdżemy na wszystkie idee tego świata i trochę nam żal tych wszystkich, którzy się nimi przejmują. Jestem im za to wdzięczny. I one są mi wdzięczne, że nie muszą ukrywać przede mną swojego egoizmu. Przeżyłbym, rzecz jasna, bez nich, bo jak już zdażyłem zauważyć, nie ma na świecie ludzi niezastąpionych, a jednak to one trzymają mnie przy życiu.

O tym i o jeszcze bardziej wrażliwych szczegółach powinienem rozmawiać z samym sobą. Ale niestety, człowiek nie jest tak skonstruowany, żeby mógł ze sobą rozmawiać. Takie naiwne próby są co najwyżej charakterystyczne dla wczesnej młodości.

Ja też wolałem jego dziadka ze strony matki od tego drugiego. Może nawet nie chodzi o sympatię, ale o moją próżność. Zwracał się do mnie w ten sposób, tak ze mną rozmawiał, jak gdybym nie był fizycznie i psychicznie nieopierzonym jeszcze nastolatkiem. Do tych rozmów nadarzała się okazja, kiedy wieczorami wyruszał na dłuższy spacer po okolicy. Chodził, stawiając ostrożnie laskę z kościaną rękojeścią, a kiedy przez przypadek się spotkaliśmy, oparty na lasce słuchał, przekrzywiając głowę w skupionym wyrazie współczucia dla naszych człowieczych współbraci. Komentował, potakiwał głową, pochrząkiwał z zastanowieniem, napominał i zaprzeczał, kierując moje myśli w stronę, w którą w głębi duszy sam chciałem podążyć. Jego współczucie czasami wprawiało mnie w takie zakłopotanie, że niekiedy wolałem go unikać, albo uprzejmie pozdrawiając, coś tam wyjąknąłem i uciekałem przed nim. Każdy nastolatek jest tak samo niepewny i zawstydzony swoimi możliwościami intelektualnymi, jak własną erotycznością. A on nie nalegał. Niczego nie żądał ani do niczego nie namawiał. Ta właśnie swoboda, jaką mi dawał, tak mnie do niego przyciągała.

Rozmawialiśmy o polityce, wprost albo tylko czyniąc aluzje, kiedyś mi powiedział, że według pewnego bardzo racjonalnie myślącego filozofa, którego nie będę mógł sam przeczytać, bo pisał swoje dzieła po angielsku, dla ludzkich społeczności nie jest ważne, aby większość miała te same prawa co rządząca mniejszość. Niewątpliwie tak właśnie jest. Ale gdyby ta socjalna w swej naturze zasada była jedyną regułą określającą funkcjonowanie społeczeństw, żylibyśmy

w stanie bezustannej wojny. Ani jednostki, ani społeczeństwa nie miałyby szans na uzyskanie porozumienia. Wiemy, że tak nie jest. A dlatego tak nie jest, że istnieje w świecie bezgraniczne dobro, w którym każdy bez wyjątku, panujący i poddany, chce mieć swój udział. Istnieje, powiedział, gdyż pragnienie równości, symetrii i zgody jest w nas tak samo silne jak żądza zwycięstwa nad przeciwnikiem i władzy, którą można zdobyć w walce. I muszę zrozumieć, że to, co ujawnia się w nas jako brak tej równości czy symetrii, też wynika z istnienia dobra.

Nie potrafiłbym zapamiętać tego zawilego zdania, nawet go wtedy nie rozumiałem, ale później, kiedy natrafiłem na książkę tamtego niezwykle ważnego autora, zdumiony znalazłem w niej tę znaną już mi myśl.

I kiedy teraz, po wielu latach, znów oglądam tamte stare fotografie, w związku z tamtym zawile brzmiącym zdaniem domyślam się, dlaczego nie lubiłem symetrii, która w twarzy mojego dziadka innym wydawała się tak pociągająca.

Wyjątkowo prostej, niemal sztywnej postawy dziadka, która wywierała na mnie takie niemiłe wrażenie, nie należy uważać za jakąś jego specyficzną cechę. W tamtych czasach tak wypadało chodzić, taka postura wynikała też w pewnym sensie z piastowanego przez dziadka urzędu, wymagającego od urzędnika prostej sylwetki, a także z tego, że z powodu długiego czasu naświetlania fotografii niezbędne było ustawienie niewidocznych podpórek i pozostawanie przez modela w całkowitym bezruchu. Są też wśród tych zdjęć dwie fotografie plenerowe. Jedna zrobiona w pośpiechu w okopach na włoskim froncie. Okopy powstały w naturalnie podmytym brzegu, dno rowu i dwie pionowe ściany zbudowane były z ułożonych na sobie płasko białych piaskowców. Na te kamienie rzucono luźno wypełnione piaskiem worki. Musiało brakować piasku. Mój dziadek siedzi na pierwszym planie w towarzystwie dwóch oficerów. Z założonymi na siebie, długimi, nawet w oficerkach wytwornymi nogami, torsem wysuniętym do przodu i szeroko otwartymi oczyma patrzy prosto w obiektyw. Jego towarzysze, niżsi rangą, mają zmęczone, udręczone twarze, niechlujne mundury, ale spojrzenia tak samo sztuczne i zdecydowane. Dziadek sprawia w tym towarzystwie wrażenie zabawnego bawidamka, który nawet tu czuje się wygranym, bo nic ani nikt go nie obchodzi. Druga fotografia jest jedną z tych najładniejszych, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się oglądać. Z całą pewnością została zrobiona o zmierzchu na jakimś wzgórzu, na którym rośnie jedno jedyne marne drzewko. Poprzez przerzedzone liście światło świeci w oczy i wpada w obiektyw fotografa. Dziadek biega wokół drzewa w towarzystwie moich ciotek, dwóch dziewczynek w słomianych kapeluszach i długich sukienkach. Jedna z nich, ciocia Ilma, wymachując kapeluszem ze wstążką, ucieka z kadru. Jej wniebowzięty uśmiech rozmywa się na zdjęciu. Druga z nich, ciocia Ella, widoczna jest w dziwacznej pozie, jak wychyla się zza rachitycznego pnia drzewa, a dziadek łapie ją w momencie, w którym fotograf właśnie robi zdjęcie. Ubrany jest w lekki, jasny letni garnitur, rozpiął marynarkę albo sama się rozpięła. Stoi przytulony do drzewa, niby elegancki, ale jednak zmęczony satyr. Usta wpółotwarte, oczy rozwarłe szeroko, nie widać w nich radości ani emocji, jak gdyby wypełniał przykry obowiązek, a kiedy długimi rękoma sięga po swój łup, w jego ruchach czujemy niecierpliwą chciwość drapieżnika.

W dawnych powieściach o takich twarzach mówiono, że są owalne. Symetryczna, pełna, podłużna twarz, z silnie wysklepionym, wyrazistym czołem otoczonym burzą falujących włosów. Lekko garbaty nos o zmysłowych, delikatnych dziurkach, gęste brwi, długie rzęsy, tęczęwki w porównaniu z ciemną karnacją twarzy zaskakująco jasne, wręcz błyszczące. Wargi aż zanadto mięsiste, a na wydatnej brodzie trudny do ogolenia, miękki puszek, tak jak u mnie.

Twarz, podobnie jak mózg i całe ciało człowieka, ma dwie półkule. I te dwie półkule mają tę



wspólną cechę, że nie są do końca takie same. Asymetria ludzkiego ciała i ludzkiej twarzy bierze się z tego, że bodźce odbierane przez człowieka docierają do dwóch rozmaicie zbudowanych półkul mózgowych, i dlatego ważniejsza staje się jedna albo druga część ciała, bo u danej jednostki jedna półkula mózgowa jest lepiej rozwinięta od drugiej. Prawa półkula mózgu przetwarza bodźce na poziomie emocjonalnym, podczas gdy lewa półkula analizuje ich znaczenie i dopiero później, jak gdyby w kolejnym kroku, zostaje nawiązany związek pomiędzy treścią bodźca a jego emocjonalnym odbiorem. Człowiek dzięki wzrokowi, słuchowi, węchowi i dotykowi pojmuje niemożliwe do zrozumienia zjawiska, analizuje je i dopiero gdy odnajdzie związki pomiędzy szczegółami, odtwarza odebraną przez zmysły całość. Co z powodu różnego stopnia rozwoju dwóch półkul mózgu oznacza, że pojęta w ten sposób całość nie może być tożsama z odebraną przez zmysły całością, dlatego nie może istnieć całkowicie harmonijne uczucie ani całkowicie harmonijne myślenie. Każdy tego zresztą może doświadczyć, kiedy z kimś rozmawia. Rozmawiające ze sobą osoby nigdy nie patrzą sobie w oczy, tak postępują tylko ludzie chorzy umysłowo, ale krążą wzrokiem po dwóch połowach twarzy rozmówcy. Wzrok neutralnie odbierający całość bodźca na lewej stronie twarzy, wyrażającej uczucia, kontroluje, czy słowa, które zrozumiał za pomocą umysłu, są tożsame z uczuciami, jakie wywołują w nim słowa rozmówcy. Ta właściwość funkcjonowania ludzkiego ciała znajduje też odzwierciedlenie w języku, w niektórych związkach frazeologicznych. Kiedy na przykład w odniesieniu do czegoś mówię, że nie wierzę moim oczom, twierdząc, że nie udało mi się odebrać całości docierającego do mnie bodźca ani w sferze rozumowej, ani uczuciowej, czy raczej tak bardzo skłaniam się do odbioru uczuciowego albo do odbioru rozumowego, że nie jestem w stanie znaleźć związku pomiędzy nimi dwoma. Widziałem coś, ale nie znajduję w sobie związku pomiędzy tamtymi dwiema sferami, a więc nie odbieram tego jako całości, mimo że przed oczyma miałem całość, ale nie potrafię jej pojąć. Z odwrotnością takiego zjawiska mamy do czynienia, kiedy na przykład patrzymy na kogoś spod oka. Wtedy krążący po twarzy rozmówcy wzrok utyka w martwym punkcie. Dzieje się tak z dwóch powodów. Albo mówiący czuje harmonię i doskonałą symetrię sfery uczuciowej i rozumowej, a harmonia zawsze go zaskakuje, gdyż ma do czynienia z teoretycznie istniejącą całością, która nie może być podzielona na mniejsze elementy. Albo stara się dotrzeć do martwego punktu tej teoretycznie niemożliwej harmonii, bo sprzeczność pomiędzy sferą rozumową a uczuciową jest zasadnicza. Wtedy czyjeś spojrzenie odbiera oczyma w sposób neutralny, a przetwarzając obraz, stara się nie dopuszczać do siebie kolejnych bodźców, i powstającym w ten sposób pozorem braku zainteresowania zmusza rozmówcę, by sam zdecydował, w którą stronę przechyli się języczek u wagi. Sytuacja, kiedy mówimy „nie wierzę własnym oczom”, może oczywiście trwać tylko kilka chwil, podobnie jak patrzeć spod oka też można jedynie przez krótki czas. Pozór powstania harmonii bądź jej całkowitego braku dlatego nie może być utrzymywany przez długi czas, że nie tylko rozum i uczucia z założenia, fizjologicznie, nie są ze sobą w harmonii, ale także wewnętrzny obraz, już odebrany albo mający być odebrany, nie jest tożsamy z obrazem, który narządy zmysłów bez najmniejszej nadziei na ostateczne zarejestrowanie przyjmują w nieprzetworzonej, a więc neutralnej formie. Na całej twarzy człowieka odmalowuje się najlepiej ta wzajemna, troista relacja. Wszyscy możemy się o tym przekonać, kiedy za pomocą małego lusterka obejrzymy swoje dwa profile, a dopiero potem porównamy je z twarzą widzianą w lustrze.

Dwa profile naszych twarzy różnią się od siebie. Jeden z profili wyraża uczuciowy, a drugi rozumowy charakter człowieka, a im większa jest między nimi różnica, tym mniejsza szansa, że

twarz będzie postrzegana jako symetryczna. Ale muszą się do siebie jakoś dopasować, i ta naturalna konieczność z góry wyklucza, by szczegóły ludzkiej twarzy mogły być od siebie bardzo różne, podobnie jak nie mogą być doskonale takie same.

Z tego wszystkiego wynikałoby logicznie, że te twarze, w których sfery rozumowa i uczuciowa współistnieją ze sobą w największej nierównowadze, będą wydawały się nam tak samo ładne jak te, gdzie ta równowaga jest możliwie największa. A jednak tak nie jest. Kiedy musimy wybierać pomiędzy dwoma doskonałymi zjawiskami, wybierzemy nie doskonały brak równowagi, ale doskonałą równowagę.

Gdybym którąkolwiek z fotografii mojego dziadka przeciął na pół, czy to wzdłuż dołeczka w brodzie, czy wzdłuż linii nosa, i tak uzyskane połowy twarzy nałożyłbym jedną na drugą, lewa połowa, niczym figura geometryczna, doskonale wpasowałaby się w prawą. Ta wyjątkowa własność bierze się stąd, że u takich osób obydwie półkule mózgu są tak samo rozwinięte. Sądząc zaś po wyglądzie zewnętrznym, u tych osób nie dominuje ani sfera rozumowa, ani zmysłowa, i każdy, kto na nie patrzy, nieuchronnie wpada w zaczarowany krąg oddziaływania tej doskonałej symetrii.

Bo gdyby dwie półkule mózgowie rzeczywiście były zdolne z doskonałą symetrią rozumu i uczuć przyswoić to, co narządy zmysłów odebrały jako całkowicie neutralny bodziec, a więc nie pojawiałyby się różnica pomiędzy całością a jej częściami, ale zgodnie ze skłaniającym się ku analizie szczegółów funkcjonowaniem mózgu w percepcji danego człowieka nie wykształciłby się nowy, tylko dla niego charakterystyczny obraz, lecz każda jednostka doskonale reprodukowałaby taką samą dla wszystkich całość, nie mielibyśmy możliwości dostrzec różnicy pomiędzy ładnym i brzydkim, dobrym i złym, gdyż nie istniałaby różnica pomiędzy treścią przypisywaną różnym rzeczom a uczuciami, jakie w nas one wzbudzają. To byłaby właśnie ta doskonała symetria, do której wszyscy dążymy i którą etyczna jednostka uznaje za bezkresne dobro, a esteta za bezgraniczne piękno.

Wszystko to dlatego musiałem powiedzieć, by wykazać, jaki dystans, wręcz niemożliwy do pokonania, dzieli myślenie etyczne, które odnajduje pewność nawet przy braku ostatecznej symetrii, i myślenie estetyczne, któremu brak tejże zadaje śmierć od sposobu rozumowania, którym ja sam się posługuję.

W młodości z powodu atrakcyjnego wyglądu zewnętrznego uchodziłem za osobę wyjątkową i tak też byłem traktowany. Zachwyty, jaki wzbudzałem w innych, rekompensował mi wynikające z pochodzenia społeczne deficyty. Ale z tego samego powodu, jeśli idzie o sposób myślenia, chyba właśnie z tego powodu, jestem człowiekiem zmagającym się z bardzo wieloma oporami. Nie stałem się wierzący, tak jak etycy, ani wątpiący, tak jak esteci, bo nigdy nie tęskniłem za jakąś z założenia nierealną możliwością, a nauczyłem się żyć takim, jakim byłem. Udręki, które w skrytości przeżywam, dają mi jednak poczucie bezpieczeństwa cechujące wierzących etyków oraz niepewność niewierzących estetów, pozwalają przeżywać ich szczęście i ich tragedię, ale ja w moim myśleniu nie dążę do odkrycia ukrytych możliwości ani do uchwycenia metafizycznych przeżyć wynikających z ich niemożliwości, ja zajmuję się zastanymi sytuacjami i cechami, a więc czymś, co mogę dotknąć moimi dwiema rękami. Moja działalność nie dotyczy systemu, w jakim funkcjonuje życie. Powoduje mną przekonanie, że to, co po jednej stronie zapiszemy jako brak, po drugiej pojawi się jako nadmiar. Mimo moich dobrze rozwiniętych zdolności teoretycznych zajmuję się jedynie zwyczajnym zorganizowaniem życia. Odejmuję nadmiar i uzupełniam braki. Nie zapominając jednocześnie, że powstała w ten sposób symetria istnieje tylko w momencie jej zaistnienia. I skoro przed chwilą powiedziałem, że

w dzieciństwie oglądanie tych wskazujących na doskonałą symetrię, a we mnie budzących niemałą niechęć fotografii było jednym z moich ulubionych zajęć, to muszę tę wypowiedź uzupełnić. Jak bez najmniejszych wątpliwości wynika z opowieści mojego przyjaciela, wcale nie byłem cichym, zamkniętym w sobie dzieckiem. Jako dorosły też należę do tych lubiących działanie. Ale ten niekiedy gorączkowy przymus działania skłonny jestem uznać za niedobrą cechę mojego charakteru. Nawet wówczas, gdy zazdroszczą mi mojej pozornie niewyczerpanej energii. Mnie bowiem skłania do działania nie żądza zwycięstwa czy szansa na sukces, ale obawa przed ograniczeniami, które dotyczą moje bliższe i dalsze otoczenie jako skutek ciągłych porażek. A ponieważ w życiu człowieka znacznie więcej jest upadków niż zwycięstw, to z łatwością pogrąża się on w stanie cichego uśpienia. Nie chciałbym używać wielkich słów, ale muszę wyznać, że nasza historia, pełna ciągłych porażek i upadków, odegrała niemałą rolę w tym, że kiedy stajemy przed przerastającym nasze siły zadaniem czy sytuacją pozornie wydającą się beznadziejną, nie zastanawiamy się nad tym, jak możemy przegrupować drzemiące w nas siły, ale z ostrożnością głupców robimy unik, odsuwamy temat od siebie i zachowujemy się tak, jak gdyby problem nie istniał, albo pełni złych emocji wymieniamy powody, dla których racjonalne rozwiązanie problemu jest z założenia niemożliwe. Tymczasem mnie takie sprytne, głupie, żadne rozkoszy i pełne wymądrzania się ludzkie postawy po prostu irytują. Ociąganie się, chowanie głowy w piasek, taktyka wyczekiwania tylko w takich sytuacjach wydają się uzasadnione, kiedy dają jakieś perspektywy rozwiązań, jednak o tym, czego – w przypadku braku perspektyw – nie wolno robić i z jakich powodów, wiem tak samo dobrze, jak moi rodacy. Podczas gdy w tym pierwszym przypadku ociąganie się wydaje mi się niewłaściwe, w drugim zbyteczny jest czas spędzany na częściej gadaniu. Irytacja i złość rzadko jednak bywa dobrym doradcą. W moim gorączkowym działaniu sam też popełniam błąd za błędem, odnoszę porażkę za porażką. Ale z niemałą satysfakcją mogę przyznać, że ślepa kura też tylko wtedy znajdzie ziarno, gdy przynajmniej postuka w ziemię dziobem. Kiedy po dwóch złych decyzjach, po dwóch porażkach nadchodzi jednak przełom, zaskoczeni chcemy się wycofać. Wtedy należy się zastanowić, czy sukces jest dziełem przypadku, czy też wynikiem właściwej decyzji. Obserwuję, rozmyślam, odwracam uwagę, swoją i innych, staję się smutny i bezsilny, tęsknię za samotnością, szukam czegoś do czytania i zaszywam się w oświetlonych miękkim światłem, zacisznych kątach pokoju.

W dzieciństwie w przerwach walk o wolność czy w czasach zimnej wojny studiowałem mapy wojskowe, oglądałem fotografie, czytałem słowniki, w młodości, kiedy w chwilach strachu przed sukcesem czułem, że moje przygody niespodziewanie mogą przerodzić się w miłość, zakotwiczałem w ciepłych kryjówkach mieszkań z najzupełniej beznadziejnymi dziewczynami, później jako żonatego mężczyznę sukcesy przywiodły mnie do cichego wprawdzie i wytwornego, ale jednak długotrwałego nadużywania alkoholu.

Niechęć do mędrkowania i chowania głowy w piasek, gotowość do działania nieopartego na gruntownych przemyśleniach, a jednocześnie niewiedza, jak należy zachować się wobec sukcesu, niewątpliwie wypływają z mojej natury doskonale odnajdującej równowagę pomiędzy rozumem i emocjami, ale właśnie dlatego, że sporo podróżuję po świecie i wiele lat mieszkałem w obcym otoczeniu, dobrze wiem, że w innym miejscu prawdopodobnie stałbym się innym człowiekiem, dlatego ryzykowne wydaje mi się poszukiwanie narodowych cech inaczej niż poprzez indywidualne cechy poszczególnych osób. Jesteśmy różni. Różnią nas płeć, budowa, pochodzenie, religia i wychowanie. I jeśli ktoś jako dziecko próbuje określić swoje miejsce w grupie, to stara się wybrać najsilniejsze osobowości, ale ponieważ nie istnieje taka wyjątkowa

osobowość, która nie byłaby wariantem narodowego charakteru, tak naprawdę wybiera sobie jeden z wariantów.

Ja wybrałem mojego dziadka jako osobę nastawioną na działanie, a jednocześnie człowieka o charakterze hedonisty i karierowicza, oraz ojca, który z kolei reprezentował typ heroicznego ascety. Pozornie charaktery te były jak niebo i ziemia. Jediną wspólną cechą, jaką mieli, było to, że obydwaj stracili życie w katastrofalnej i z punktu widzenia ich krajów przegranej wojnie. Mój dziadek w wieku trzydziestu siedmiu lat, ojciec – trzydziestu czterech. Połączyła ich młoda śmierć, a ten jedyny wspólny punkt zaszczerpił we mnie świadomość, że śmierć naturalnym biegiem rzeczy jest ponad wszystkim, ale to nie oznacza wcale, że życie jest niemożliwe. Moja matka była wdową i wychowywała mnie jako pólsierotę. Zwycięstwo zapewne jest rzeczą dobrą, ale z udręką straty też można żyć. I zgodnie z tą myślą zostałem wychowany. Podobnie moja córka i mój syn zgodnie z takim wariantem osobowości ukształtują swój charakter.

Mam trzydzieści siedem lat. Jestem dokładnie w tym wieku, w jakim był mój dziadek, kiedy stracił życie w jednej z najbardziej krwawych bitew pierwszej wojny światowej. Tak stracić życie, żeby to życie przetrwało. To jest właśnie zadanie, nad którym się zastanawiam. Mój przyjaciel nie żyje od ponad trzech lat. Jest noc. Mierzę czas. Na dworze cicho pada wiosenny deszcz. Krople deszczu na szybach wielkich okien błyszczą w przyjaznym świetle lampy na biurku i spływają w dół. Zastanawiam się nad tym, kiedy powinienem własne dzieci pozostawić samym sobie. Jak gdybym się dziwił, że i tak los dał mi tyle czasu. Siedzę sobie w pełnym książek, trochę zabałaganionym, tak jak lubię, cichym i ciemnym w nocy pokoju. Żonę obudziło jakieś złe przeczucie albo nieprzyjemny sen, bo wstała i wyszła czy raczej wytoczyła się z sypialni. Nad słuchuję, jak chwytając się nieoświetlonych ścian wąskiego przedpokoju, idzie do kuchni, coś pije, słyszę stukot szklanki, na dłuższą chwilę zagląda do pokoju dzieci, wreszcie pewniejszym krokiem cicho wraca do łóżka. Kiedy otworzyła drzwi do dzieciennego pokoju, już nie nad słuchiwałem, śledziłem ją przy pomocy węchu. Wydawało mi się, że czuję słodki zapach dzieci. Czy raczej czuję nie nosem, ale całym ciałem i wszystkimi kośćmi. I takie uczucia z pewnością nie są obce nawet o wiele silniejszym ode mnie osobom. Do mnie nie zagląda. Odkąd pracuję nad tym rękopisem, nie zamieniliśmy na jego temat ani słowa, a jednak jest tak samo niespokojna jak w czasach, kiedy samotnie zaglądałem do kieliszka. Boi się o nasze dzieci.

Mogliśmy mieć wtedy po dziesięć lat, kiedy z moim przyjacielem Prémem postanowiliśmy, że zostaniemy żołnierzami. Mój przyjaciel opisuje go z podobną stronniczością co mnie, a w naszych relacjach doszukuje się jakiejś erotycznej tajemnicy. To prawda, patrzy na niego nie jak na kogoś, kto go pociąga, ale jak na kogoś, kto go irytuje. Nie mam, tak jak mój przyjaciel, umiejętności analizowania ludzkiej duszy i nie umiem ocenić, na ile ma w tej kwestii rację. Ale w żadnym wypadku nie chciałbym stwarzać pozorów, jakobym sam był stronniczy czy protestował przeciw przypisywaniu naszej relacji takich treści. Kiedy dwie osoby są tej samej płci, ich związek określa fakt, że ich płeć jest taka sama. A jeśli różnej, to fakt, że ich płeć jest różna. Tak mi się wydaje, ale być może i w tej sprawie nie mam wycucia.

Z Prémem przyjaźnię się do dziś. Nie został żołnierzem, jest mechanikiem samochodowym. I zrównoważonym ojcem rodziny, tak jak ja. Najwyżej w zeznaniach podatkowych to i owo ma nie w porządku. Kilka lat temu, dokładnie w tym samym czasie, kiedy mój przyjaciel wrócił z Heiligendamm, a ja zrezygnowałem z przynoszącej większe profity kariery w handlu zagranicznym, otworzył własny warsztat. My schodziliśmy intelektualnie na psy, a on się dorabiał. Kiedy coś się dzieje z moim samochodem, w niedzielne popołudnia razem go naprawiamy. Prém jest postrachem samochodowych awarii. I w tym, jak razem siedzimy

w brudnym warsztatowym kanale albo leżymy obok siebie i za pośrednictwem martwych części maszyny nawiązujemy ze sobą kontakt, jak przeklinamy, kłócimy się, nienawidzimy albo, wręcz przeciwnie, w najlepszej zgodzie, czując wzajemnie, że każdy nasz ruch jest dokładny i właściwy, tak albo inaczej, cieszymy się swoją obecnością, bez wątpienia jest coś rytualnego, mówiącego o elementarnej potrzebie dziecięcej wzajemności.

Zawiązaliśmy braterstwo krwi i nie pamiętam, co nas do tego popchnęło. Nożem mojego ojca nacięliśmy sobie palce, rozmazaliśmy krew na dłoniach i nawzajem ją z nich zlizaliśmy. Nie było w tym nic uroczystego. Może krew nie leciała wystarczająco mocnym strumieniem. Wstydziliśmy się przed sobą swojej nieudolności. Ale przypieczętowanie naszych starań krwią połączyło nas najgłębszą więzią. To, co inni załatwiają między sobą słowami, my powierzyliśmy językowi ciała. A ciało, uważam, ma swoje słowa, które nie mają nic wspólnego z erotyką. My dla celu, który sobie wytyczyliśmy, uczyniliśmy z naszych ciał narzędzia. Ale nasze ciała służyły nie sobie, lecz temu celowi. W tym przekonaniu utwierdza mnie fakt, że nigdy nie przyszło nam do głowy, żeby patrzeć na drugiego jak na przyjaciela. Do dziś mówimy o sobie nawzajem „kumpel”, co w moich ustach inteligenta brzmi lekko ironicznie, ale jeśli chodzi o niego, to właśnie z powodu różnicy pochodzenia i społecznego statusu jest najpoważniejszym w świecie wyróżnikiem. Pozostali to przyjaciele. W prowadzeniu swoich przyziemnych, choć przynoszących niemałe zyski sprawach finansowych zawsze może liczyć na moją zawodową pomoc. Do tego, żebyśmy mogli zostać wtedy żołnierzami, musielibyśmy wywieść w pole ówczesnych funkcjonariuszy. Bardziej niedostępnego zawodu nie mogliśmy już sobie wymyślić. Ja byłem synem pułkownika, jego ojciec był zwykłym, krwawym nilaszowcem. Mój ojciec zginął na rosyjskim froncie. Jego ojciec położył łapę na majątkach wypędzonych Żydów, odsiedział pięć lat i pół roku po wyjściu na wolność, ku wielkiej uldze swojej rodziny, został ponownie internowany. Oficjalna, niezwykle przebiegła ideologia ówczesnej epoki z wielkim gestem wrzuciła do jednego worka dwa zupełnie różne pod względem pobudek moralnych losy. Obydwóch z nas uznała za potomków zbrodniarzy wojennych. Jeśli nie chcieliśmy sprawiać wrażenia głupich albo szalonych, to musieliśmy nasze postanowienie utrzymać w tajemnicy. Zresztą my też już o tym nie rozmawialiśmy, bo przecież nie chcieliśmy zostać żołnierzami w wojsku ludowym, tylko żołnierzami tak w ogóle. To wszystko wymaga jednak wyjaśnienia. Do połowy lat pięćdziesiątych w moim najbliższym otoczeniu popularna była, podparta podobno pragmatycznymi przesłankami, opinia, że Anglicy i Amerykanie niebawem wybawią nasz kraj od obecności sił sowieckich. Okoliczność, że sowieckie oddziały w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku wyszły z Austrii, podtrzymywała takie przekonanie. Ja uważałem, że sytuacja naszej rodziny jest oburzająco niesprawiedliwa, ale z pozbawionym uprzedzeń realizmem małego dziecka dostrzegałem, że ludzie w moim otoczeniu w to nie wierzą i głośno o tym mówią. Głosy moich ciotek i wujów cichły wtedy ze strachu i stawały się nerwowo wysokie od fałszu. Nigdy nie lubiłem tego ich histerycznego tonu. Muszę jednak przyznać, że z braku możliwości wyboru i tak chciałem zostać żołnierzem armii ludowej. Ale musiałem do tego dążyć w taki sposób, by jednocześnie nie zdradzić rodziny. I w tym moralnie wątpliwym zamiarze przyszedł mi z pomocą przykład mojego dziadka.

On, piąte dziecko nauczyciela z Nagylóc, mające jeszcze trzech młodszych braci, nie miał żadnych możliwości, by rozwijać swoje ujawniające się już od najwcześniejszych lat zdolności, chyba że jako ksiądz albo wojskowy. Wybór kariery wojskowego napotykał jednak na opór mojego pradziadka niezłomnie wyznającego idee tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku. W swoim sprzeciwie posuwał się tak daleko, że nie chciał zgodzić się nawet na to, żeby dziadek

został honwedem<sup>[1]</sup>. Mimo że językiem używanym przez królewskich honwedów był węgierski, a na podstawie ustaw z roku sześćdziesiątego siódmego honwedzi bez zgody parlamentu nie mogli przekroczyć węgierskiej granicy. Ale i tak to jest wspólna armia i jego syn nie będzie zadawał się z labancami<sup>[2]</sup>. Aż kiedyś w zapale dyskusji dziadek powiedział, że jak ojciec nie zgodzi się, to on ucieknie i zostanie tancerzem. Dostał dwa siarczyste policzki, a na drugi dzień zgodę ojca. I ukończył z wyróżnieniem szkołę honwedów w Sopronie. My byliśmy gotowi w każdej węgierskiej armii być dobrymi żołnierzami. W imię tego wystawialiśmy się na najcięższe próby. Podczas letnich upałów wyruszaliśmy na marsze ćwiczebne z plecakami pełnymi kamieni. Leżeliśmy w rowach z lodowatą wodą. Musieliśmy nauczyć się wchodzić na najwyższe drzewa i zeskakiwać na ziemię. Półnaczy przedzieraliśmy się przez kolczaste krzaki i nawet wtedy nie szliśmy do domu się przebrać, kiedy nasze ubrania były mokre albo sztywne z zimna. Nie jestem głodny, nie chce mi się pić, nie jest mi zimno, nie jest mi gorąco, nie boję się, nie czuję zmęczenia, odrazy ani bólu. To były nasze zasady. Często uciekaliśmy w nocy z domu i bez umawiania się w jakimś miejscu musieliśmy się wzajemnie odnaleźć. W tym sensie nasze instynkty działały znakomicie. Spaliśmy na słomie albo czuwaliśmy przez całą noc. Zwłaszcza kiedy był duży śnieg, bo wtedy eksperymentowaliśmy, jak uchronić się przed podstępą śmiercią z wychłodzenia. A na drugi dzień, jak gdyby nigdy nic, szliśmy do szkoły. Albo ścigaliśmy się, który z nas na dłużej może wstrzymać oddech. Podobne próby robiliśmy pod wodą. Wzajemnie uważaliśmy na siebie, ale nie tak jak zakochani, tylko powodowani wzajemną potrzebą. Nauczyliśmy się bezgłośnie czołgać po ziemi pokrytej liśćmi. Albo udawać głos ptaków. Kiedyś zbudowaliśmy śnieżny bunkier, tak solidny, że można było w nim palić ogień. Podnosiliśmy ciężary, wspinaliśmy się na skały, przemierzaliśmy biegiem trudne tereny, budowaliśmy rowy strzelnicze. Głodowaliśmy i całymi dniami powstrzymywaliśmy się od picia albo jedliśmy i piliśmy niejadalne rzeczy. Chlipaliśmy wodę z kałuży, jedliśmy trawę, wykradzione z ptasich gniazd jaja, i to nie były wcale te najtrudniejsze zadania. Kiedyś kazałem mu zjeść żywego ślimaka, a on dał mi upieczone na patyku glisty, ale to już nie były próby sił, tylko okrucieństwo. Mieliśmy poranione i poobijane ciała, ubrania zwisały z nas w strzępach, Prém często dostawał za to w domu w skórę. Ja uciekałem się do wyrafinowanych kłamstw, żeby tylko jakoś pocieszyć strapioną matkę.

Pamiętam, jak kiedyś nie udało mi się nic wymyślić. Ale to przeżycie, choć bardzo traumatyczne, też mnie nie złamało. Wszystko się wydało, a ja nie chciałem się przyznać. Od tamtego dnia jestem wprawnym kłamcą. Umieję wiele przemilczeć albo mówić ogródkami, w małych sprawach i w dużych. Nic na to nie poradzę, ale z pewną tolerancją przypatruję się fałszowi wyglądającemu spod słów niby prawdomównych ludzi. A teraz opowiem o tamtym przeżyciu.

Z książek traktujących o działaniach wojennych wiem, że oddziały zapewniające transport i zaopatrzenie odgrywają taką samą rolę w powodzeniu operacji wojennych jak uzbrojenie, waleczność czy bojowe przygotowanie w przypadku oddziałów walczących na pierwszej linii frontu. Najważniejsze, żeby żołnierze mieli nowoczesne uzbrojenie, żeby każdy żołnierz z wewnętrznym przekonaniem szedł do walki, ale tak samo istotne jest, by oddziały zapewniające zaopatrzenie precyzyjnie śledziły bieg bitewnych wydarzeń i przewidywały to, co może nastąpić. I na tym właśnie terenie musieliśmy jeszcze wiele się nauczyć.

Na dworcu w Ferencváros i na stacji Rákos spędzaliśmy niezapomniane letnie dni. Kolejarze, nie przebierając w słowach, przeganiali nas stamtąd, a my za każdym razem

wracaliśmy. Najrozmaitsze perony, wiodące w różnych kierunkach i przeznaczone dla najróżniejszych składów, zwrotnice oraz urządzenia sygnalizacyjne żyją w mojej pamięci jako doskonały i żywy system. Moją wiedzę w niemałej części zawdzięczam temu, że pomiędzy robotnikami drogowymi a kolejarzami pojawiały się poważne napięcia. Kiedy udało się nam zbliżyć do miejsca, w którym pracowała brygada naprawiająca tory, mieliśmy zajęcie na cały dzień. Piliśmy z nimi wino rozcieńczone wodą, jedliśmy chleb ze słoniną i radowaliśmy się pełną niemal ojcowskiej miłości opieką, którą otaczali nas ci pracujący daleko od swoich rodzin, cisi niczym głuchoniemi mężczyźni w średnim wieku. Kiedy przychodzili ich nadzorcy albo inżynierowie, najwyżej burczeli, że pewnie lepiej by było, gdyby nie przyprowadzali ze sobą do pracy dzieci. Poza nimi chyba tylko zawodowi przestępcy wiedzieli, jak łatwo jest poruszać się po dworcu towarowym. Kierujący ruchem widzą ze swoich wież jedynie zastępy pracowitych mrówek. Nie są w stanie dostrzec ani ich liczby, ani koloru czy wielkości. I każdy z nich może, kiedy zechce, uciec z tego mrowiska. Trzeba tylko trzymać się z dala od budek drózników, nie łązikować bez potrzeby i unikać przypadkowych spotkań z dyżurnymi ruchu.

Czasami też podróżowaliśmy. Spośród wszystkich możliwych przedsięwzięć najbardziej pociągające i najbardziej ryzykowne było dostanie się do któregoś z wagonów czekających na skompletowanie składu. Musieliśmy wtedy dokładnie obserwować sygnały, jakie dawali chorągiewkami robotnicy przygotowujący skład i dyżurni ruchu na wieży. Do wagonu niepostrzeżenie można było wejść tylko od jego przeciwnej strony. Kiedy udało się nam już dostać do środka, z rozkazów dochodzących z wieży dowiadaliśmy się, co dalej będzie się działo. Podają koordynaty dotyczące numerów wagonów i liczby kierunków, słysząc dochodzące spod buforów i płataniny kabli przeciągłe, przerywane przekleństwami buczenie. I zapada cisza. Wtedy należy czegoś się uchwycić. Nie wiadomo, kiedy wagon szarpnie. Nie jest to jednak wielkie szarpnięcie. Prawdziwa zabawa zawsze każe na siebie czekać.

Uderzają o siebie dwa twarde ciała, nadając tempo wagonom znajdującym się na wolnym torze. Te ruszają ociężale, zaczynają cicho się toczyć, zatrzymywane niekiedy przed irytującą przeszkodą przestawionej w ostatniej chwili zwrotnicy. Jeśli zwrotnica rzeczywiście zatrzyma wagony, robi się duży problem. Z wieży dróznika dochodzą okrzyki niezadowolenia, na dole rozlegają się przekleństwa, bo cały pozostały na torach skład trzeba teraz wypchnąć. Udręka, szarpanina, bitewny harmider. A kiedy skład już ruszył po torach, to było takie przeżycie, że aż nie wiedzieliśmy, co mamy ze sobą zrobić. Równomierne przyspieszenie hamowane przez ciężar bezwładnej masy i opór powierzchni z niepowstrzymaną, potworną prędkością wyrzuca nas ku kolejnej chwili. Lubiliśmy te szalone, wielkie, potworne zderzenia, po których następowały coraz mniejsze, słabnące uderzenia bezwładnych elementów. I kiedy ze względu na bezpieczeństwo nie mogliśmy już opuścić zestawionego składu, rozpoczynała się podróż. Skład zazwyczaj jest tylko wypychany, ale zdarza się, że natychmiast rusza po swoim torze. Tamtego przedpołudnia ruszył z dużą prędkością w stronę Cegléd. Już nie mogliśmy wysiąść. Skład od czasu do czasu zwalniał, ale się nie zatrzymał. Nie denerwowaliśmy się, nie po raz pierwszy zdarzyła się nam taka historia, ale tamtego dnia byliśmy wyjątkowo zniecierpliwieni. Prém, kiedy pociąg zwolnił, zarządził alarm. Wskoczyłem, a on wskoczył za mną. Jedna noga natychmiast ugrzęzła mi po kolano w bazaltowym odwale, a on zgrabnie sturlał się po nasypie. A mnie siła rozpędu pchała naprzód. Do dziś żyje we mnie wspomnienie tej dziwnej chwili. Świetlistego słońca, widoku toczącego się ciała i trzasku mojej uwięzionej nogi. Którego nie można było przecież usłyszeć w hałasie mknącego składu, a jednak go słyszę. Widoku

zbliżających się kamieni. Uderzam w nie twarzą. Wszystko się wydało. Wszystkie nasze tajemnice wyszły na jaw. Przez szarą zasłonę przeszywającego bólu przebijała się myśl, że moja nieudolność jest niewybaczalna. Prém mnie wydobył i chciał wziąć na plecy. Wyjął z bólu, prosiłem, żeby mnie nie dotykał. Jak się później okazało, miałem jeszcze złamane lewą rękę i dwa żebra po lewej stronie, a cała lewa strona bolała mnie bardziej niż otwarte złamanie w prawej nodze. Z głowy i z twarzy lała się krew. W dodatku nikogo wokół. Ani jednego człowieka, ani jednego samochodu, ani jednego domu. Puste, wypalone pastwisko. I bezchmurne niebo. Prém musiał sprowadzić pomoc. Pocieszałem się tylko, że chociaż on nie stracił głowy.

Kiedy mnie wieźli na salę operacyjną, biegło za nami kilkunastu medyków w białych kitlach. Tam się z nim pożegnałem. Słyszałem, jak jeden z ratowników mówi do niego: „A ty, chłopcze, poczekasz tu na milicję”. Kiedy doszedłem do siebie, widziałem tylko na jedno oko, które nie było zasłonięte bandażami założonymi na głowę. Byłem cały w gipsie jak mumia. Na brzegu łóżka siedziała pielęgniarka. Jej twarz przypominała wielkie, bijące, białe serce. Mruczała i coś mamrotała, jak gdyby śpiewała, poiła mnie, głaskała, wycierała twarz wilgotną chusteczką. Wykonywała swoją pracę, sapała i unosiła się nade mną.

Przez cały ten czas nawet nie pomyślałem o matce. Ale to jedno jedyne słowo, tak samo jak wtedy, na sali operacyjnej, kiedy położono mi na twarzy maskę z eterem, spowodowało, że wszystko zaczęło się ode mnie oddalać i stało się lekkie. A ja zrobiłem się ciężki i zapadłem się w ciemnościach.

I jak gdybym próbował wyzwolić się z koszmarne snu, przebudziłem się z myślą, że jeśli moje ciało zbyt się wychłodzi, to umrę. Leżałem owinięty w mokre prześcieradło. I słyszałem miękko dudniący głos kobiety. Nic się nie stało, nic się nie stało. Nagle podskoczyła mi gorączka, ale zaraz ją zbijemy. Wydawało się jednak, że zmienia na mnie mokre prześcieradła, a temperatura i tak wydobywa się spod gipsu i bandażu. Po pewnym czasie zaczęła jednak spadać, pamiętam, że kiedy zadowolona przykryła mnie suchym prześcieradłem, żałowałem, że już więcej nie będzie dotykać mojego nagiego ciała.

Sądząc po świetle i głosach dochodzących z sali, musiało być popołudnie. Na szczęście mama jeszcze nie przyszła. Potem miałem znowu atak gorączki, nim ją zbili, zapadł wieczór. Pielęgniarka powiedziała, że już skończyła dyżur i musi iść do domu, teraz będzie się mną opiekował ktoś inny. Nie wiem, co ją tak wzruszyło, przecież nawet nie widziała dobrze mojej twarzy. Być może jakiś mój gest. Albo wyczuła przez bandaż, że nigdy jeszcze nie byłem tak bardzo od kogoś zależny. Nie upłynęło jednak wiele czasu, a już była z powrotem. Kiedy stanęła w drzwiach, powiedziałem, że dobrze zrobiła. Zapytała, czy źle się czuję. Nie, powiedziałem. I naprawdę poczułem, że wracają mi siły i jednym zdrowym okiem wszystko wyraźnie widzę. To dlatego, zapytała. Bo jej potrzebuję, powiedziałem. W jednym momencie wyciągnęliśmy do siebie dłonie, pielęgniarka nagle oblała się rumieńcem. Miałem dwanaście lat, ona mogła mieć dziesięć więcej.

Zachowania bliskich nam osób nie musimy sobie wyobrażać. W pewnych sytuacjach niektóre z nich są naturalne. Do końca życia powtarzamy te same ruchy, zapewniając naszemu otoczeniu poczucie bezpieczeństwa. Zgodnie z takim doświadczeniem przygotowałem się na odwiedzinę mojej matki. W sali leżały takie same jak ja, przykute do łóżek białe mumie. Chciałem się jakoś wyróżnić spośród nich. Nad drzwiami paliła się niebieska nocna lampa. Sapały, stękały, charczały, rzęziły i śmierdziały. Wsparłem się na poduszkach. Poprosiłem pielęgniarkę, żeby zapaliła lampkę nad moim łóżkiem, wyniosła basen i przyniosła mi gazetę.



Pielęgniarka ciągle wychodziła i przychodziła. Ból nie pozwalał mi tak długo czytać jednym zdrowym okiem, żebym zdążył doczekać, aż pojawi się wreszcie moja matka. Przysnąłem. Kiedy otworzyłem oczy, ku memu największemu zdziwieniu w drzwiach zobaczyłem nie moją matkę, lecz furie jej postury ubraną w jej sukienkę. Wbiegła do sali i rzuciła się na mnie. Tego się nie spodziewałem. Pędziła ku mnie z wyciągniętymi rękoma, torebką niechcący uderzyła mnie w twarz, złapała mnie za ramię i gdyby pielęgniarka jej nie chwyciła, nie patrząc na to, w jakim jestem stanie, rozerwałaby mnie na strzępy. Choć nigdy dotąd nie dała mi nawet po pysku. Zaczęły się nade mną szarpać. Kiedy furia schrypniętym głosem wrzeszczała, coś ty zrobił, coś ty znowu zrobił, coś ty znów nawyprawiał, mój anioł stróż wysokim głosem nawoływał, co pani robi, proszę go nie dotykać, wariatka, pomocy. W sali nagle rozbłysła oślepiająca jasność, wszyscy zerwali się ze snu, zaczęli krzyczeć i raptem wszystko się skończyło. Furia znikła, rozpląnęła się w powietrzu, a matka wybuchła na moim łóżku płaczem. Wtedy pielęgniarka ją puściła. Pomacała mój gips, ręce i nogi, te całe i te w bandażach, wszystkich ułożyła z powrotem w łózkach, dziwnie się śmiejąc, uspokoiła chorych, zgasiła światło i uśmiechnąwszy się do mnie w drzwiach, wyszła.

W takich okolicznościach dziecku najprostszym wyjściem wydaje się to, by jękając się ze zdenerwowania, wytłumaczyć rodzicom, dlaczego to zrobiło. Należy wtedy przyznać się do wszystkich dotychczasowych występków, wyjawić przynajmniej trzecią część skrywanych tajemnic i uległością wybłagać przebaczenie. Ale mnie nawet przez myśl nie przeszło, by nas wydać. Byłem pewien, że Prém na komendzie przyzna się tylko do tego, co niezbędnie konieczne. A może dlatego nic nie przychodziło mi do głowy, że po raz pierwszy w życiu znalazłem się pomiędzy dwiema kobietami. Ta burzliwa scena pozwoliła mi zrozumieć, że moja matka jest nie tylko moją matką, ale także kobietą. Nigdy jeszcze o tym nie myślałem. Jedna z dwóch kobiet łkała na moim łóżku, druga, śmiejąc się, krążyła wokół niego. Jak gdyby złośliwie się cieszyła, że znalazłem się w rękach tej drugiej dzikuski.

Matka z płaczem powtarzała swoje pytania, drażąc tym samym najdelikatniejszą sferę mojego życia. A ja musiałem podjąć decyzję, jak zachować niezależność. Zdrową ręką i zagipsowanym ramieniem odwróciłem ku sobie zapłakaną twarz mojej matki. Byłem na nią wściekły, chciałem odciągnąć jej myśli od tej drażliwej kwestii, tak jednak, by nie sprawić jej nadmiernego bólu.

Powiedziałem, że mogła przyjść wcześniej.

Ale przecież dopiero teraz wróciła do domu. I tam czekała na nią milicja. Milicja.

Leżę tu cały dzień i jeszcze nic nie jadłem.

Spojrzała na mnie zapłakanymi oczami.

Powiedziałem, że chcę kompotu z wiśni.

Kompotu z wiśni, zapytała zaskoczona, skąd mam ci teraz wytrzasnąć kompot z wiśni.

Ale jej załzawione oczy znów nabrały pełnego gotowości, przerażonego, wdowiego wyrazu. Wymusiłem na niej to, co mi się należało. Z powrotem stała się tylko moją matką.

Teraz już wiem, że to ja zabiłem w niej kobietę.

Może nie powinienem tego aż tak podkreślać, że moje życie, nasze życie, w każdym calu różniło się od życia mojego przyjaciela. Ale był w naszej historii krótki epizod rzucający pewne światło na moją postawę, kiedy podobnie jak jego i jego przyjaciółkę Maję, nas też ogarnęła gorączka poszukiwania szpiegów. Nazywaliśmy to pracą wywiadowczą. Trzeba było przeniknąć na teren wroga i umknąć stamtąd niepostrzeżenie. Zawsze wybieraliśmy domy i mieszkania, których lokatorów nie znaleźmy. Uważaliśmy, że w ten sposób postępujemy z większą

przyzwyczajoną, w przeciwnym wypadku nie moglibyśmy spojrzeć naszym znajomym w oczy. Robiliśmy zwiad w ogrodzie, wybieraliśmy pokój, w którym nikogo nie było, znajdowaliśmy przypadkowo niezamknięte okno, łatwą do wyważenia żaluzję, drzwi, które można było siłą otworzyć, wybieraliśmy przedmioty, które można było wynieść.

Jeden z nas robił zwiad, drugi pracował.

Nigdy niczego sobie nie przywłaszczyliśmy. Stanowiące dowód wyniesione przedmioty ukradkiem odnosiliśmy na miejsce. W najgorszym razie wrzucaliśmy je przez okno albo kładliśmy na progu czy na parapecie. Przewijały się przez nasze ręce dokumenty, zegarki, przyciski do listów, długopisy, fiołki z lekami, pieczęcie, papierośnice i rozmaite zabawne drobiazgi. Pamiętam chińską pozytywkę z laki i pornograficzną, poruszającą się we wszystkie możliwe strony figurkę. Nawet w moim życiu erotycznym nie było większej, bardziej strzeżonej tajemnicy. Dokonywaliśmy gwałtu na życiu bezbronnych, obcych ludzi. W ich niczego niepodejrzewających, niemych, nagich domach. Wspólnota nas dwóch wtedy właśnie przekroczyła dopuszczalne granice. Już na samą myśl o akcji odczuwaliśmy nerwowe skurcze żołądka, oczy zachodziły nam mgłą, ręce i nogi drżały, kiszki buntowały się bezwstydnie, wypróżnialiśmy się, nie schodząc sobie z oczu.

Sądzę, że wartość moralną czynu można w fizyczny sposób zmierzyć reakcją ciała. I każdy zawsze mierzy ją na sobie. Ludzkie czyny są bowiem nie tylko wynikiem instynktownych skłonności, ale też relacji zachodzącej pomiędzy instynktownymi skłonnościami a wynikającym z otrzymanego wychowania wycuciem tego, co zakazane. Charakter i postawa społeczna, odziedziczone cechy i pochodzenie szukają w czynach właściwych proporcji. Ciało strachem, poceniem się, przerażeniem, w trudniejszych przypadkach omdleniem, wymiotami albo biegunką, a w najgorszych przypadkach uszkodzeniem organów wewnętrznych sygnalizuje długotrwałe zaburzenie tych proporcji.

Społeczeństwo teoretycznie więc powinno uważać za ideał takie osoby, które żywią skłonności jedynie do tego, co nie jest zabronione. A takie osoby traktować jako najbardziej niebezpieczne, w których jest skłonność do tego, co zabronione. Ta logicznie brzmiąca zasada jednak, podobnie do zasady asymetrii brzydoty i piękna, wcale nie działa zgodnie z logiką. Bo nie narodził się jeszcze człowiek, w którego czynach nie pojawiałoby się napięcie pomiędzy skłonnościami a zakazami, podobnie jak nie ma na świecie człowieka, który robiłby same zabronione rzeczy. I choć filarami zrównoważonego współżycia społecznego bez wątpienia są osoby, które zminimalizowały w sobie te napięcia, to nikomu nie przychodzi do głowy uważać je za wyjątkowo mądre, dobre czy doskonałe. Nie one są zakonnikami, zakonnicami, nie one są rewolucjonistami, wynalazcami, szaleńcami, prorokami, nie one popełniają przestępstwa. To osoby potrzebne jedynie do zapewnienia społecznego spokoju. Ale największy pożytek można zmierzyć jedynie w porównaniu z największą szkodliwością.

I o ile przed chwilą, gdy zastanawiałem się nad pięknem i brzydotą, twierdziłem, że wybierając spośród dwóch niemal doskonałych osób, nigdy nie wybierzemy tej, w której jest najmniej proporcji, ale tę, w której są one najbardziej doskonałe, o tyle zastanawiając się nad dobrem i nad złem, muszę przyznać, że jako moralną miarę naszych czynów zawsze wybieramy nie dobro potrzebne do życia ani spokojną i nudną przeciętność, lecz pełne napięcie i niepokój, potrzebne do życia zło. Co z drugiej strony oznacza, że dla naszych zmysłów zawsze miarodajne jest to, co najdoskonalsze, a dla naszej świadomości to, co najmniej doskonałe.

Mój nieżyjący przyjaciel na trzysta siedemdziesiątej siódmej stronie swojego rękopisu mówi o mnie, że nieraz namawiałem Préma, żeby się rozebrał do naga. Ale ja sobie niczego

takiego nie przypominam. Choć nie chciałbym też twierdzić, że pisze nieprawdę. Być może tak było, ale jeśli nawet, to prawdopodobnie z całkiem innej przyczyny, niż podejrzewał mój przyjaciel.

Nie ulega wątpliwości, że młodych chłopców interesuje wielkość przyrodzenia, tak ich własnego, jak i innych mężczyzn. Do ulubionych zabaw należą słowne przechwałki albo porównywanie. I od skutków tej zabawy większość mężczyzn nigdy nie potrafi się wyzwolić. Budowa, jaką obdarzyła ich natura, bezustannie przypomina im przeżywane w dzieciństwie psychiczne traumy. W zależności od tego, czy podczas zabawy w porównywanie własnych ciał ich organ płciowy okazał się mniejszy czy większy, ich trauma przybiera różne formy. Jeśli okazał się większy, czują się wyjątkowi, aczkolwiek ta wyjątkowość, jak się później okazuje, nie zapewnia w życiu erotycznym żadnej przewagi. Jeśli mniejszy, muszą się psychicznie zmierzyć z kompleksem niższości, nawet wówczas, gdy okoliczność ta nie jest powodem miłosnych niepowodzeń. W tej kwestii doświadczenie, wynikające tak z badań naukowych, jak i z codziennego życia, wyraźnie przeczy kulturowej tradycji. Nie wiem, jak inne kultury przepracowują nierówności zmysłowych i mentalnych doświadczeń, ale nasza barbarzyńska cywilizacja ukierunkowana na szacunek dla dzieła stworzenia w ogóle go nie szanuje. Tego jestem pewien. Traumatyzacja prowadząca do psychicznych defektów nie są powodowane przez uwarunkowania fizjologiczne, ale stanowią wynik sprzeczności, że człowiek ukierunkowany na kształtowanie samego siebie uznaje własne warunki za swoje jedyne cechy, tymczasem nieszanująca dzieła stworzenia kultura, w której żyje, nie uznaje danych przez naturę ograniczeń, inną miarę stosując do ich oceny, a inną do odczuć powodowanych przez te cechy i uwarunkowania. Taki człowiek zaś chce wycisnąć więcej, niż się da, albo cierpi, ponieważ nie może mieć więcej, choć to, co ma, to też niemało.

Wiemy doskonale, że o wartości życia miłosnego mówi kruche poczucie szczęśliwości. Miłosnego szczęścia niepodobna oddzielić od kwestii organów miłosnych, ale jednocześnie głupotą byłoby doszukiwać się tu jakiegokolwiek związku z ich wielkością. Już choćby dlatego, że pochwa kobiety ma tę właściwość, by rozszerzać się do rozmiaru właśnie wprowadzanego członka. Rozszerzanie się pochwy sterowane jest przez zmysły, podobnie jak erekcja członka. Kulturowa tradycja nastawiona na wielkość osiągnięć, bogactwo zebranych, posiadanych i pożądaných dóbr materialnych, a także na sprawiedliwy rozdział tych dóbr, za nic ma jednak nasze codzienne, ale też poparte naukowymi dowodami doświadczenie. Zarówno kobietom, jak i mężczyznom sugeruje, że dobre jest to, czego jest więcej, i to, co jest większe. A jeśli ty masz mniej niż on, to z tobą jest problem. Problem masz także, jeśli z tego, czego masz więcej, nie potrafisz czerpać jeszcze większej radości. A jak masz problem, to albo się z nim pogodzisz, albo musisz zmienić całe swoje dotychczasowe życie. Siejesz zazdrość albo budzisz współczucie. Kultura nastawiona na kształtowanie samego siebie w ten sposób musi zaakceptować ograniczenia narzucone przez naturę. Wszyscy rewolucjoniści, których celem było zmienić ludzkie życie, w praktyce okazali się tak samo głupi, jak mądrymi okazali się pełni wiary głupcy starający się przyjąć życie takim, jakie jest. W tej delikatnej kwestii, dotyczącej codziennego życia każdego z nas, zachowujemy się dokładnie tak, jak żyjące do dziś prymitywne ludy nieznające związku zachodzącego pomiędzy płodnością, miłosną rozkoszą i funkcjonowaniem narządów płciowych. Nasza, uważana za rozwiniętą, cywilizacja zakłada taki związek pomiędzy narządami płciowymi a szczęściem w miłości, którego nie potwierdza natura. Warunkiem niezbędnym do zapłodnienia jest prawidłowe funkcjonowanie narządów płciowych, tu wynikiem może być zapłodnienie, ale do szczęścia w miłości to nie wystarcza. Dlatego miłość

jest tak kruchym uczuciem.

Oczywiście po takich wywodach ryzykowne byłoby z mojej strony twierdzenie, że w tej kwestii nie przeżyłem żadnej traumy i że nie jestem w tej sferze jakoś spaczony. Od najwcześniejszego dzieciństwa warunki zmuszały mnie do tego, by moimi czynami nie kierowały kulturowe pragnienia, lecz abym wykorzystywał dane mi naturalne atrybuty. Dlatego z całą pewnością kulturowy nakaz masochizmu pogodzenia się i sadyzmu zmieniania siebie odstręczają mnie z podobną siłą. W przeciwieństwie do mojego biednego przyjaciela, który pogubił się w morzu ludzkich pragnień i swoje ciało uczynił ofiarą uczuciowych eksperymentów, ja z mojego ciała uczyniłem narzędzie i dlatego moje pragnienia stoją na straży moich naturalnych cech.

Ze względu na moje pochodzenie już i tak miałem wiele kłopotów, nienawidziłem wszystkich, którzy chcieli, abym uwierzył, że mam problem, albo też z powodu fizycznych cech uważali mnie za wyjątkowego. Nie potrafiłem przystać na takie oceny. Nie chciałem się z niczym pogodzić ani nie miałem zamiaru siebie zmieniać, lecz pragnąłem w tym jednym jedynym życiu, jakie mam, odnaleźć odpowiadające moim cechom możliwości. W tym sensie może nie okazałem się zbyt żarliwy, ale z całą pewnością byłem uparty.

Mój charakter, niezdolny do kontemplacji i wyznań, przysporzył mi wielu samotnych nocnych godzin. Pragnienie oznacza zdolność do czegoś, a moje zdolności przymuszają mnie do działania w takich obszarach, w których powinienem przecież okazać się niewłaściwą osobą. I te dwie uzupełniające się wzajemnie zasady z konieczności rodzą trzecią.

Za niczym nie tęsknię, a to zmusza mnie do myślenia i do pamiętania. Chciałbym tylko, żeby nie zdarzyło się nic, co spowoduje, że stanę się stronniczy albo wzruszony. Nie przeczę, że moja pamięć bez należytego obiektywizmu wyparła obraz, w jakim uwiecznił mnie mój przyjaciel. Ale nie mam powodu do narzekań, bo w niemal nienaruszonym kształcie pozostawiła drugi. Wyglądający bardzo niewinnie. Nie wiem, jak często mi się on przypomina. Czasami. Jest jak ukłucie szpilki. Świeci słońce. Zieleni się trawa. Prém siedzi w oślepiającym świetle. Spomiędzy jego przylegających do siebie ud zwisa członek. A z tyłka, niby długa, twarda kiełbasa, wychodzi kupa. Wiele takich obrazów mam w pamięci, nawet o wiele bardziej mrocznych.

W samym środku naszej akcji zwiadowczej zaskoczyła nas potrzeba fizjologiczna. Nie wstydziliśmy się siebie nawzajem. Siebie, jego czy nas obydwójga. Nawet w najbardziej ekstremalnych sytuacjach. Nie było czasu się myć, i czy mieliśmy powody do strachu, że ktoś nas nakryje, czy nie, to i tak uciekaliśmy przed od wiele większym wstydem. Sądzę, że tamta głęboka trauma uchroniła nas od innych, mniejszych traum.

Nasz wynikający z przymusowej sytuacji brak poczucia wstydu zbudowany był według pewnej hierarchii ważności. To, co dla innych stanowiło podniecający, działający na zmysły albo zaspokajający palącą ciekawość widok, dla nas było czymś zupełnie drugorzędnym, choć przypominającym o bezwstydnie przeżywanym wstydzie. I jeśli nawet kazałem Prémowi rozebrać się do naga, to nie dlatego to zrobiłem, że poczułem nieodparty pociąg do jego symbolicznego już narządu płciowego, ale wręcz przeciwnie, wiedziałem, że pozostali chłopcy czują taki właśnie nieodparty pociąg, we mnie zabity przeżytym kiedyś wstydem. Chciałem się uwolnić od tego uczucia i odzyskać poczucie wspólnoty z pozostałymi chłopcami. Inna rzecz, że to nie mogło się udać. I może dlatego nie lubię się całować.

Nas uczono czystości za pomocą surowych zakazów. Przyswoiłem więc sobie, że tę podstawową życiową funkcję, wypróżnianie się, załatwiam w tajemnicy, w samotności, a nie na

oczach innych. Jest to dramatycznie poważny zakaz, którego nie może bezkarnie złamać żadne dziecko. Zasady dotyczące sfery płciowej są wobec niego wyjątkowo łagodne. Jak głęboka więc musiała być we mnie potrzeba złamania tego zakazu, skoro go w końcu złamałem. Złamaliśmy. Takie zasady łamie się tylko w obliczu wojny czy podobnego zagrożenia. My zaś nie czuliśmy żadnych wyrzutów sumienia, bo przecież nie było naszym zamiarem przekroczenie kulturowych reguł utrzymywania czystości, podobnie jak narody nie dlatego prowadzą ze sobą wojny, by wykraść skarby ze świątyń swego morale. Żyliśmy w warunkach pozornego pokoju i po prostu chcieliśmy przygotować się do tego, że pewnego pięknego dnia zdobędziemy już tyle potrzebnego doświadczenia i będzie w nas tyle wystarczającej determinacji, abyśmy mogli wykonać wielką zwiadowczą misję. Najlepszym dowodem naszego przygotowania mógł być jedynie czyn. Gdybyśmy tylko dostali się na teren chroniony przez złe psy, szlabany, druty kolczaste i uzbrojonych strażników. Niepostrzeżenie, nie dając się schwytać, z łatwością, jak wytrawni szpiedzy. My akurat nie polowaliśmy na szpiegów, jak mój przyjaciel z Mają Prihodą, ale sami chcieliśmy nimi zostać. Chcieliśmy dostać się na najbardziej wrogi teren, którego istnienie i niezgłębiona natura podawały w wątpliwość wartość naszego istnienia. Ale do tego zimnowojennego manewru nie mieliśmy i nie mogliśmy mieć wystarczająco dużo odwagi. Oni zresztą też nie mieli odwagi, by zadenuncjować podejrzanych rodziców. Musieliby zerwać siódmą pieczęć tajemnicy. Zrobić coś takiego, do czego nie byłby zdolny cały pogrążony w nieprzytomnym pokoju naród. I to był nasz największy wspólny wstyd.

Nie mogłem się poddać. Była jesień, kiedy pisałem to zdanie. Niektóre zdania muszę napisać, by móc je potem wykreślić. Bo właściwie nie lubię tych zdań. A jednak nie potrafię ich z siebie wyrzucić. Teraz mamy wiosnę. Mijają miesiące. Nie zajmuję się niczym więcej. Zastanawiam się tylko, dlaczego nie potrafiłem się poddać. Gdybym wiedział, nie musiałbym o tym pisać albo mógłbym to skreślić. W rzeczywistości zastanawiam się nad tym, dlaczego nie potrafię się poddać. Dlaczego godzę się na najbardziej bezwstydne kompromisy, byle tylko nie trzeba było się poddać. Czy nie zachowałbym więcej godności, gdybym z gotowością spuścił głowę przed faktami, które już się dokonały, zamiast bezwstydnie zanurzać się w brudzie uporu? Dlaczego tak bardzo boję się własnego brudu, skoro ten brud nie jest tylko moim brudem, a jednocześnie dlaczego tak bardzo nie chcę spojrzeć w lustro, w którym widzę samego siebie.

Tak sobie liczę, że włamaliśmy się do dziesięciu czy dwunastu mieszkań. To całkiem dużo. W przybliżeniu do dwóch mniej, niż było zdarzeń, kiedy sraliśmy na swoich oczach. To wystarczy, by zapadło w pamięć. Ale nie muszę chyba mówić, że na próżno wymyślaliśmy najbardziej niemożliwe zadania, na próżno zbieraliśmy bezsensowne przewiny, jeśli obydwaj wiedzieliśmy, że dążymy do czegoś zupełnie innego. O tym też nie musieliśmy mówić na głos. Bezsilni i pokonani krążyliśmy wokół zamkniętego terenu. Zaprzyjaźnialiśmy się ze strażnikami. Wyświadczyliśmy im drobne przysługi, a oni rewanżowali się nam pustymi łuskami po nabojach. Zastanawialiśmy się, jak unieszkodliwić psy. Nawet zapytaliśmy ich o to. Powiedzieli, że nie ma sposobu. Ale w żaden sposób nie byliśmy w stanie dorosnąć do naszego zadania, spodziewaliśmy się po sobie odwagi, siły, pomysłowości i determinacji równej przemocy, którą symbolizował swoją niedostępnością i nietykalnością ten teren.

Dobrze pamiętam naszą ostatnią wyprawę. Właśnie chciałem wyjść przez wyjątkowo wąskie okienko spiżarni, kiedy pod ciężarem mojego ciała zatrzeszczała etażerka pełna słoików z przetworami. To działo się w ogrodzonej ceglany płotem willi przy ulicy Diany. Byłem na tyle zaradny, by nie zlecieć na spadające z łoskotem słoiki. Uchwyciłem się parapetu i zerknąłem

w dół. Ten trudny do opisania widok przesładuje mnie do dziś. Zmieszane z dżemami, pływające w kompocie zielone ogórki i turlające się po ułożonej w kostkę kamiennej podłodze żółte marynowane papryki. I słoiki spadające w miękki sen, tłukące się jeden o drugi.

Moje życie nie było życiem pełnym zwrotów. Ale tamtą chwilę sprzed lat powinienem tak właśnie nazwać. Musiałem tymczasem szukać innych sposobów, tak jednak, by po drodze nie utracić swoich marzeń. Nigdy więcej.

Zawsze byłem celującym uczniem. W dodatku obdarzonym pilnością i wytrwałością kujonów. Mój zgodny charakter i miła powierzchowność uchroniły mnie przed tym, bym stał się całkiem antypatycznym człowiekiem. Należę do tej niewielkiej już grupy ludzi, która w szkole uczyła się rosyjskiego. Odwiedzałem z mamą kolegów ojca z wojennej niewoli, oficerów i zwykłych żołnierzy. Słuchając ich opowieści, postanowiłem sobie, że porządnie, nie tak byle jak, nauczę się rosyjskiego. W tej sprawie zachowywałem się podobnie obsesyjnie jak moja owdowiała matka. Gdyby poznała historię śmierci mojego ojca, odzyskałaby go dla siebie. Musiała coś takiego czuć, a jej uczucia zakiełkowały potem we mnie. Postanowiłem, że kiedy już zostanę żołnierzem, tam na miejscu wyjaśnię okoliczności jego śmierci. Niemieckiego uczyłem się dwa razy. Za pierwszym razem nauczyłem się języka, którego już nikt nie używał. Wśród książek mojego dziadka było dwutomowe, oprawione w skórę dzieło, na którego grzbiecie widniał wytłoczony złotymi literami prosty tytuł: *O wojnie*. Marginesy stron zapisane były po węgiersku notatkami dziadka, drobnymi, wąskimi, czytelnymi literami, ale książkę wydrukowano gotykiem. Musiałem się z nią zapoznać, bo autor zapewniał, że z niej dowiem się wszystkiego o wojnie.

W grudniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku, jeśli dobrze pamiętam, to było ostatniego dnia przed świąteczną przerwą, w szkole pojawiła się liczna delegacja smutnych panów. Przyjechali ciężkimi, czarnymi samochodami. Wszyscy mieli na głowach ciemne kapelusze. Widzieliśmy z okna, jak znikają w bramie. Przerwano lekcje. Musieliśmy siedzieć w milczeniu. Na korytarzu dudniły kroki, zawsze więcej niż jednej osoby, a potem znów cisza. Wyprowadzano ludzi. Czas się zlewał, nie było dzwonek. „Nie chcę słyszeć ani słowa” – syczał nasz najbardziej zniechęcony wychowawca, pan Klement, kiedy usłyszał w ławkach, że ktoś się kręci. Ktoś otworzył drzwi. Woźny wywołał kogoś na korytarz, wyszeptując jego nazwisko. Kroki. A potem oczekiwanie, czy wróci. Po pewnym czasie wracał, jeszcze bledszy, i pod ostrzałem naszych spojrzeń szedł na swoje miejsce, a drzwi się zamykały. Drżące wargi i uszy natarte do czerwoności mówiły, że musiało się coś wydarzyć. Że coś się dzieje. Ale wyprowadzano najrozmaitsze osoby, nie potrafiłem więc się domyślić, o co chodzi.

Z upływem czasu pomyślałem, że nas okrążyli.

Klement miał ogromną, łysą głowę i przeźroczyście niebieskie, malutkie oczka. Do tego wielki jak beczka brzuch. Ważył co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów. Zawsze miał ze sobą tekturową walizeczkę. Ssał cukierki, mlaskał, strzelał w ciszy językiem. Wydawał z siebie głębokie stęknienia, świszczące westchnienia i ciągle coś na sobie poprawiał. Podciągał na obrzmiałych nogach zsunięte skarpety. Otwierał zniszczony kuferek, sprawdzał pęk kluczy, zamykał, widać było po jego twarzy, że się nad czymś zastanawia. Drapał czubek nosa. Zebrał coś paznokciem i długo się przyglądał, co to może być. I wycierał w spodnie. Wycierał palce, przesuwał po nich zagłębiające się w wałeczkach tłuszczu obrączkę i sygnet. Albo kręcił młynka rękoma splecionymi na brzuchu, zawsze tak, by obracające się wokół siebie kciuki lekko się dotykały. Przypominał coś w rodzaju fabryki życia. Wreszcie podnosił się z krzesła, wyciągał z kieszeni chusteczkę, rozkładał ją, charkał i siarczyście pluł. I jak ktoś, kto pilnuje cennego

skarbu, składał ją uważnie. Nie podniecało go uprawianie z premedytacją okrucieństwo, ale wywoływało w nim głębokie poczucie zadowolenia, z jego zachowania mogliśmy więc wyciągnąć łatwo wniosek, że nasza sytuacja jest znacznie bardziej niebezpieczna niż kiedykolwiek dotychczas.

Mój mózg pracował jak szalony. Na każde pytanie, które mogliby mi zadać, odpowiadałem jednoznacznym przeczeniem. Patrząc im prosto w oczy, odważnie wszystkiemu zaprzeczałem. Wypierałem się wszystkiego, co chcieliby ode mnie usłyszeć. Nawet Préma. I otrucia psów, choć my wcale tych psów nie otruliśmy. Préma jeszcze nie wezwali, mnie też nie. Przez tak długi czas utrzymać taką śmiertelną ciszę udało się tylko dlatego, że podobne zdarzenie miało miejsce nie po raz pierwszy. Nikt nie odważył się o nic pytać. Mniej więcej dwa lata wcześniej na ścianie męskiego wucetu znaleźli wierszyk wzorowany na jednym z klasyków. „Nie pytaj, kto powiedział. Lenin czy Stalin, wszystko jedno. Jak jesteś po szyję w gównie, uchwyc się poziomu życia. Mógł to powiedzieć Rákosi. Niech on będzie twoją gwiazdą przewodnią”. Dlatego nie cytuję wersami, że oni też nie analizowali wiersza z punktu widzenia prozodii. I zawsze potrafili coś znaleźć. Na przykład, jak ktoś śmiał mieć w takiej chwili potrzebę fizjologiczną. Tamtych dwóch dni sprzed dwóch lat, kiedy prowadzili śledztwo, przesłuchiwali, ustawiali w szeregu, pobierali próbki pisma, robili fotografie, przeszukiwali teczki, kieszenie, piórniki, nie dało się zapomnieć.

Nie potrafiłem opanować strachu. Czasami spoglądaliśmy ostrożnie po sobie, ale Prémowi też nie było do śmiechu. Na próżno wszystkiemu zaprzeczałem. Czułem się, jakbym był przeźroczysty. Jak gdyby wszystkie moje myśli stanowiły dla każdego łatwy łup. Jak gdybym nie potrafił się ukryć, nawet przed samym sobą. Nie chciałem nikogo zanudzać szczegółowym opisem mojego stanu ducha, powiem tylko, jakie wtedy zdobyłem pozytywne doświadczenia.

Kiedy człowiek musi bać się własnych myśli, gdyż boi się myśli innych, stara się zastąpić własne niebezpieczne myśli myślami innych ludzi. Tylko że człowiek nie jest w stanie myśleć mózgiem innej osoby, gdyż tak rodzące się myśli nie byłyby niczym innym niż zaledwie naszymi przypuszczeniami, jak mogą myśleć inni. Zatem z jednej strony musi usunąć ze swoich myśli ślad zdradzający, że nie tylko coś myśli, ale także podejrzewa, co o tym samym myślą inni, i w ten sposób zastąpić otrzymany wynik, z drugiej zaś strony musi usunąć ze swojego rozumowania niepewność, że proces zastępowania opiera na pewnym założeniu. A kiedy człowiek jest zmuszony przez dłuższy czas prowadzić w swoim mózgu taką grę, choć poznaje mechanizm myślenia, to nie może ustrzec się przed niebezpieczeństwem, że nie będzie potrafił dostrzec różnicy pomiędzy własnymi twierdzeniami a czynionymi założeniami.

Tak upłynęło co najmniej półtorej godziny. Kiedy wyczytano moje nazwisko, poczułem, że jestem zupełnie nieprzygotowany. Mimo to ucieszyłem się, że wreszcie mogę wstać i wyjść. Klement właśnie wsadził do ust kolejny cukierek. Woźny stał w otwartych drzwiach. Wtedy Klement językiem obrócił landrynkę i, mlaskając, odezwał się: „Ty, Somi Tót, w ogóle nie wchodzisz w rachubę”. Jego spostrzeżenie było druzgocące. Oznaczało, że nie mogę mieć nic wspólnego z tym strasznym przewinieniem, o którym on oczywiście dobrze wie. Ale jego pełen współczucia ton wcale nie musiał oznaczać, że mi się udało. Zwłaszcza że było w nim coś z dobrotliwej zachęty należącej tylko ważniakom. Zniszczył, startł w proch cały mój wypracowany przez te półtorej godziny system założeń. Podobnie się czułem, kiedy w szpitalu pielęgniarka przez grzeczność wspomniała o mojej matce. Nie potrafiłem podnieść się z ruin moich przypuszczeń i sposobów obrony, by wysnuć kolejne przypuszczenie. Nawet nie miałem czasu na podstawie tak niepewnych informacji powtórzyć w myśli, na co liczyłem. A jednak pewnie

kroczyłem przed siebie. Jak uciekające zwierzę, pędzące przez jedną jedyną dziurę prosto w sidła.

Przeszliśmy przez pusty pokój nauczycielski i kiedy sekretarka otworzyła drzwi do przestronnego gabinetu dyrektora, moje zdziwienie sięgnęło granic. Naostrzony jak brzytwa nóż gilotyny ściął moją głowę. Umarłem. Ale moje oczy pracowały, wyglądały z kosza pełnego trocin, a to, co było po drugiej stronie, nie było niczym strasznym, było radosne, spokojne, odświeżające i miłe. Śniadanie w plenerze. Piknik na zboczu wzgórza. Męski wieczór w obłokach dymu z cygar.

Kiedy już byłem w środku, ktoś odezwał się do mnie po rosyjsku.

Drzwi pokoju nauczycielskiego zamknęły się za mną, ale widoczne z pokoju drzwi w mieszkaniu dyrektora wszystkie były otwarte. Przez otwarte na oścież wielkie, brązowe, zdobne w detal drzwi można było zobaczyć bogate, pełne ciężkich mebli i grubych dywanów cztery pokoje w amfiladzie. O wiele później miałem okazję obejrzeć obraz wiedeńskiego malarza nadwornego, Hansa Makarta, którego obrazy pełne draperii, rzeźb, roślin, bordowych i brązowych materii zawsze przypominały mi tamte niesamowite chwile. Wiedzieliśmy od Liwii, córki woźnego, że zwolniony z pracy i wysiedlony na zsyłkę poprzedni dyrektor musiał tu wszystko zostawić. W najbardziej odległym pokoju dwie córeczki dyrektora bawiły się na podłodze. Pomieszczenie tonęło w ostrym przedpołudniowym świetle zanurzających się w śniegu słonecznych promieni, w tym świetle dostrzegłem smukłą sylwetkę żony dyrektora. Gdzieś grało radio, słychać było cichą, ładną muzykę.

Młody mężczyzna o radosnym spojrzeniu, siedzący za rzeźbionym biurkiem w cieniu wielkich jak wachlarze liści palm i filodendronów, zapytał, jak się miewam. Sądząc po jego powierzchowności i akcencie, mogłem być pewien, że pyta w swoim ojczystym języku. Pozostali panowie siedzieli jak popadło, z wyciągniętymi nogami, rozparci w możliwie najwygodniejszych pozycjach w fotelach czy na krzesłach poprzesuwanym bez ładu ze swoich miejsc. Dyrektor, niczym ktoś, kto nie do końca należy do tego towarzystwa, z wymuszonym uśmiechem na twarzy stał oparty o piec kaflowy. Mężczyźni spowici falującymi kłębam dymu trzymali w dłoniach kieliszki w winem, zajadali kanapki, mieszały kawę, palili papierosy. Wszystko to nie miałooby żadnego oficjalnego charakteru, gdyby nie to, że na biurku, na półkach, na podłodze obok krzesła walały się jakieś niebezpiecznie obce papiery.

Kiedy zdobyłem się na odpowiedź, przypomniało mi się pewne rosyjskie słowo. Pamiętam, że spotkałem się z nim po raz pierwszy w jakiejś bajce Tołstoja. Nie powiedziałem, że dobrze, ale że dziękuję, wspaniale. Kilku z nich zachichotało. Jesteś naprawdę zaradnym chłopcem, powiedział ten, który mnie zapytał. Chodź tutaj, porozmawiajmy.

Przy biurku czekało na mnie obite materiałem krzesło z twardym oparciem. Musiałem usiąść, a oni wszyscy siedzieli za moimi plecami. Nie wiedziałem, co zaraz się stanie. Ani co to ma być za egzamin. A kiedy mnie o coś pytał, niczego nieświadomy odpowiadałem bez zastanowienia i czułem, że jestem na dobrym tropie. To właściwy trop, choć nie wiem, dokąd prowadzi. Zapadła cisza, pełna napięcia cisza. Brzemienna ich zadowoleniem. Kiedy już siedziałem, Rosjanin o radosnym spojrzeniu zapytał, czy pada śnieg. Powiedziałem, że nie pada, że dziś świeci słońce, ale wczoraj rzeczywiście padał śnieg. Potem zapytał, jakie mam stopnie, i kwitując moją odpowiedź pełnym zadowolenia skinieniem głowy, spytał, kim chciałbym zostać. Powiedziałem, że żołnierzem. Świetnie, wykrzyknął po rosyjsku, raptownie wstał z krzesła i stanął przede mną. To jest nasz człowiek, powiedział do wszystkich, chwycił moją twarz w obydwie dłonie i powiedział, żeby się zaśmiać. Chce zobaczyć, czy umiem się śmiać.



Starałem się. Ale chyba niespecjalnie mi się udało, bo mnie puścił i zapytał, kto w rodzinie mówi po rosyjsku, że tak dobrze mnie nauczył. Odpowiedziałem, że nauczył mnie tata, ale zaraz pożałowałem, że nie trzeba było tego mówić. Tata, spojrział na mnie pytająco. Tak, powiedziałem. Ale ja go nie znałem. Nauczyłem się z książki.

Myślał, że coś źle zrozumiał; że go nie znałem, zapytał ze zdziwieniem.

Cała moja pewność siebie, próby maskowania się i nadzieja uwięzły mi w gardle. Starałem się przynajmniej uśmiechać. Umarł, powiedziałem i jakoś udało mi się nie rozplakać.

W ciszy posłyszałem za plecami szum, ktoś przewracał strony w zeszytach czy w książce, słyszałem zbliżające się kroki, ale nie miałem odwagi się odwrócić, bo Rosjanin na mnie patrzył.

Dyrektor stanął obok nas z otwartym dziennikiem i wskazał palcem na coś, co pewnie już zdążył pokazać pozostałym. Czerwonymi literami w czarnych kratkach przed każdym nazwiskiem było oznaczone pochodzenie ucznia. Rosjanin spojrział na to przelotnie, wrócił za biurko, usiadł i z miną rozczerowanego w miłości schował twarz w dłoniach. Zapytał, co ma teraz ze mną zrobić.

Nic nie odpowiedziałem.

Podniesionym głosem, niemal agresywnie, powtórzył pytanie po węgiersku.

Nie wiem, odparłem cicho.

Czy sądzisz, że zasługujesz na to, żeby mówić po rosyjsku, zapytał teraz już w swoim języku.

Pomyślałem, że może jeszcze nie wszystko stracone i uda mi się odzyskać jego sympatię.

Wydukałem po rosyjsku, że tak.

Możesz odejść, powiedział.

Nie minęło pół godziny od ich wyjścia ze szkoły, a już rozeszła się plotka, że ci, którzy dobrze zdali egzamin, pojedą do Soczi na ferie zimowe. Nigdy nie rozpocząłem dni wolnych od zajęć w takim złym humorze. Tylko wydukałem, że tak, a zapamiętałem własny głos, jak gdyby brzmiał zdecydowanie, niczym u żołnierza. Chciałem usłyszeć samego siebie ich uszami, bo gdybym mógł być pewien, że odniosę sukces, łatwiej byłoby mi zapomnieć o zdradzie. Nie chciałem nigdzie jechać na ferie, zwłaszcza że z upływem czasu miałem na to coraz mniej szans. Ale Préma unikałem. I nie chciałem już się z nim bawić.

W sylwestrowe przedpołudnie zawezwano mnie do szkoły. Przyszedł po nas ojciec Liwii. Czekaliśmy w sześcioro przed drzwiami pokoju nauczycielskiego, trzy blade dziewczynki i trzech ambitnych chłopaków. Nie mieliśmy odwagi odezwać się ani słowem. Dyrektor, znów w towarzystwie jakiegoś obcego mężczyzny, czekał na nas z przemową. Starał się, by jego głos był stosownie do okazji pełen wzruszenia, a nawet lekko odświętnego tonu. Naszą szkołę spotkało niecodzienne wyróżnienie. Z okazji Nowego Roku, w imieniu pionierów i całej węgierskiej młodzieży szkolnej, to my powitamy w ojczyźnie wodza i nauczyciela naszego ludu, towarzysza Mátyása Rákosiego. Obcy mężczyzna zapoznał nas ze szczegółami. Powiedział dokładnie, co będziemy robić, jak mamy się zachowywać i jak mamy odpowiadać na zadawane pytania. Podstawowa zasada brzmi, ostrzegł nas ten obcy, że ani jednym słowem nie wolno nam go zasmucić. Zapewne dobrze znamy nauki Zoltána Kodálya. Śpiewając, należy się śmiać. To jest kolejna podstawowa zasada. Po mowach powitalnych dostaniemy kakao z pianką i ciastem. Jeśli żona towarzysza Rákosiego zapyta nas, czy prosimy o dokładkę, mamy odpowiedzieć, że dziękujemy za dokładkę, bo wizyta nie może trwać dłużej niż dwadzieścia minut. Maja Prihoda wygłosi mowę po węgiersku, a ja po rosyjsku. Dał nam teksty, których na drugi dzień rano musieliśmy bezbłędnie nauczyć się na pamięć. O naszym zadaniu aż do samego końca

uroczystości nie wolno nam nikomu mówić ani też nie należy nikomu pokazywać tekstu przemówień. Bukiety i dalsze wskazówki otrzymamy przy szlabanie na ulicy Lóránta.

Kiedy ze wszystkimi się pożegnałem, ciche, pozbawione mocy brzmienie tego ostatniego zdania zaprowadziło mnie prosto do Préma. Bo przecież to właśnie znaczy, że przekroczę szlaban. Prém w kuchni grał z bratem w karty. Odeszliśmy tylko kilka kroków od domu. Natychmiast mu powiedziałem, że jednak się tam dostaniemy. Tak to wyraziłem, jak gdybyśmy szli tam we dwoje. Prém przytupywał z zimna. Śnieg trzeszczał pod stopami. Zamrugał niepewnie, jak gdyby potraktował to jako kiepski żart. Już chciałem wyciągnąć kartkę z kieszeni. Chciałem na dowód pokazać mu tekst przemówienia powitalnego. Ale mi przerwał, że dobrze mu idzie karta, a tak poza tym to mogę go pocałować w dupę.

Nie poczułem się urażony. Na jego miejscu powiedziałbym to samo. Prém był bardzo słabym uczniem, z trudem przechodził z klasy do klasy. My, podobnie jak oni, też nie byliśmy bogaci, my też jedliśmy fasolę, groch, zgniłe ziemniaki, ale matka od czasu do czasu sprzedawała jakiś dywan, starą biżuterię czy srebra. Mając świadomość tych trudnych do przekroczenia różnic, jednak byliśmy przyjaciółmi. W naszych wojennych zabawach ja byłem oficerem, a on szeregowcem. Nie chciał zgodzić się na rolę podoficera, taka podległość byłaby poniżej jego godności. I ten drobny incydent wcale nam nie przeszkodził, bo kilka dni później wszystko znów było po staremu. Nie musiał nawet wstydzić się swojej ciekawości. Kilka razy na dzień kazał mi opowiadać o tamtej wizycie. Już za pierwszym razem moja opowieść była niemal jak z książki. A z biegiem czasu opowiadałem z coraz większymi szczegółami. Po prostu uważałem za niewiarygodny fakt, że to wszystko, co do tej pory wydawało się nam wielką, wartą zgłębienia tajemnicą, w rzeczywistości jest nudne, ubogie w szczegóły, ponure, zwyczajne i codzienne. Miałem tajemnicę w ręku i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Nie zdawałem sobie sprawy, że nie ma bardziej ponurej tajemnicy niż tajemnica władzy totalitarnej.

Rzeczywiście, wszystko odbyło się tak, jak zapowiedział tamten obcy mężczyzna. W tej tajemnicy nie ma miejsca na przypadek. Rano o godzinie dziewiątej, bez czapki, szala i płaszcza, w pionierskim mundurku trzeba było pojawić się na ulicy Lóránta. Tam dano nam dwa bukiety goździków. Jeden wzięła Maja, drugi ja. Był piękny, śnieżny poranek, co najmniej minus dziesięć stopni. Musieliśmy wyglądać beznadziejnie, bo nasi słusznie pełni obaw rodzice żadnego z nas nie wypuścili z domu tak, jak uprzednio nam kazano, tylko w białej pionierskiej koszuli. Wszystkich nas porządnie ubrali. Byliśmy tak ciepło opatuleni, że kiedy się ruszaliśmy, spod odświętnego ubioru wystawały najrozmaitsze rzeczy. O tym nie powiedziałem, ale domyśliłem się, że po drugiej stronie szlabanu znajduje się dobrze zamaskowany budynek straży, w którym nas zgromadzono, a żeby było jeszcze ciekawiej, nabajałem, że dziewczyny rozebrano tam do naga. Powiedziałem, że tam dano nam bukiety, żebyśmy nie mogli ukryć w nich trucizny albo materiału wybuchowego. No, dzieci, a teraz kto powita gości, zapytał. Głębokiej odrazy, jaką budziły we mnie te przygotowania, nie potrafiłem w sobie pogodzić z napięciem, że to się dzieje, więc wszystkie obserwacje, chcąc nie chcąc, koloryzowałem, tak jak mi podpowiadał odczuwany wstręt. Cała nasza grupka przemaszerowała przecinając zamkniętą strefę drogą, z której nie sprzątnięto śniegu, tak jak z innych ulic. Ale moje oczy, wbrew mojej woli, w niepojęty sposób nie chciały dostrzec tej różnicy. W moich opowieściach tę drogę podgrzewały ukryte pod powierzchnią urządzenia, więc nie tylko nie leżał na niej śnieg, ale też była całkiem sucha. Z lewej strony, pod drzewami, stały w sporej odległości od siebie dwie zniszczone wille. Z prawej strony nie było nic. Tylko pokryty śniegiem las. A w lesie brzydki domek. W moich opowieściach czarnym autem podjechaliśmy pod biały pałac. Po

obydwu stronach bramy stali uzbrojeni strażnicy. Zaprowadzono nas do czerwonej, marmurowej sali.

W październiku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku Straż Narodowa<sup>[3]</sup> usunęła szlabany. Na drugi dzień gazety doniosły o likwidacji zamkniętych stref. Prém nie czynił mi jednak żadnych wyrzutów. Kłamałem, ale fakty nic by mu nie pomogły. Powiedziałem to, co chciał usłyszeć. Albo mówiłem to, co nasza wyobraźnia musiała zobaczyć, abyśmy byli w stanie zrozumieć te wszystkie niepojęte fakty.

Jeśli więc na kolejnych stronach z wyrozumiałością uzupełnię albo ostrożnie sprostuję niektóre twierdzenia mojego nieżyjącego przyjaciela, to nie zrobię tego powodowany bezgraniczną potrzebą wyznania prawdy. Po prostu chciałbym dla własnego dobra przyjrzeć się wspólnie przeżytych momentom z własnej perspektywy. A w tym, co było wspólne, można analizować tak samo zbieżności, jak i różnice. W gruncie rzeczy przyjmuję więc postawę najbardziej skrajnego moralnego relatywizmu. Nie czynię jakościowej różnicy pomiędzy kłamstwem a prawdą. Sądzę tylko, że nasze kłamstwa posiadają taką samą siłę wyrazu, jak nasza prawda. Jeśli jednak uznam, że tylko tak miał prawo mówić o życiu, jak mówił, to będę mógł oczekiwać, bym i ja miał prawo po swojemu kłamać, po swojemu fantazjować, coś przekreślić, a coś przemilczeć, albo nawet powiedzieć prawdę.

Na sześćset czterdziestej czwartej stronie rękopisu czytam, że po długiej walce wreszcie znalazłem się w szkole wojskowej, właśnie odbywaliśmy w Kalócsy jesienne manewry, kiedy na wieść o wybuchu powstania zwolniono nas z jednostki. A ja opowiedziałem mu barwną historię mojego powrotu do domu, pożegnałem się i rozpląnąłem we mgle, i więcej już się nie spotkaliśmy.

Z pewnością postąpiłbym łaskawiej, gdybym jego opowieść pozostawił bez komentarza. Ale nie mogę tego zrobić. Opowiedzianej przez niego historii nie mogę uznać za jedyną obiektywną i prawdziwą, obok niej bowiem jest też moja własna historia. Materia naszej historii była taka sama, ale poruszaliśmy się w niej w przeciwnych kierunkach. I tak z punktu widzenia mojej opowieści spośród trzech niewinnych twierdzeń pierwsze uważam za zbyt powierzchowne, drugie za całkowicie błędne, a trzecie jest w swojej emocjonalnej warstwie tak nieprawdziwe, że w ogóle nie odpowiada rzeczywistości.

Z ojcem mojego przyjaciela, założywszy, że o ogóle miał ojca, spotykałem się bardzo rzadko. On zaś w ogóle mnie nie zauważał. Najwyżej odpowiedział na moje pozdrowienie. Tak pamiętam. Jego twarzy czy wyglądu już nie pamiętam. Bałem się go. Nie umiem powiedzieć, dlaczego. Mój strach nie był pozbawiony podstaw, był jedną z najokrutniejszych postaci swoich czasów, ale o tym dowiedziałem się dopiero później, po tym jak popełnił samobójstwo. A tamtego popołudnia pod koniec października rzeczywiście rozpląnąłem się we mgle, bo kiedy spostrzegłem, że ten ważny i budzący strach mężczyzna przechodzi przez płot, uznałem, że nie powinienem być świadkiem takiego osobliwego powrotu do własnego domu. Ani też nie chciałem swoją obecnością upokorzyć mojego przyjaciela. Pożegnałem się i spotkaliśmy się dokładnie po jedenastu latach. Jedenaście lat później, w końcu października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku, musiałem pojechać do Moskwy. Nie po raz pierwszy. W ubiegłym roku dwa razy, w tamtym trzy razy towarzyszyłem mojemu bezpośredniemu przełożonemu. Za każdym razem mieszkaliśmy w królewsko przestronnych apartamentach hotelu Leningrad nieopodal Dworca Kazańskiego. Przedpokój, salon i sypialnia z łóżem wyposażonym w jedwabny baldachim. Takich rozmiarów, że żaden śmiertelnik nie mógł go sobą

wypełnić. Mój przełożony słabo mówił po rosyjsku, a ja pławiłem się w mojej wiedzy. Łapałem każdą okazję, by porozmawiać i rozwijać moje umiejętności. W wolnym czasie chodziłem po mieście, jeździłem metrem, zawierałem znajomości, a nawet podrywałem dziewczyny. Już mnie nie dziwił słodkawo duszący zapach benzyny unoszący się nad całym miastem, docierający nawet na trzynaste piętro hotelu, niesiony z wiatrem przez parki, opadający do tuneli metra, przenikający skórę, włosy, ubranie, otulający podróżnych wonią Moskwy. Poznałem rozmowną blondynkę, z którą z niemałą radością spotkałem się trzy razy. Mieszkała na ulicy Pierwszego Maja z matką, siostrą i kuzynką z prowincji. Donośne głosy czterech postawnych, nieopanowanych w wyrażaniu swoich uczuć kobiet niemal rozsadzały małe mieszkanie w bloku. To było moje tajemne mieszkanie. Z drzeniem przyznaję, że nigdy, ani przedtem, ani potem, nie widziałem u żadnej kobiety takich apetycznych, jędrnych, wielkich ud. Latem wynajmowały daczę gdzieś w okolicach Tuły, planowaliśmy, że w lecie za rok pojedziemy tam razem. Zbieraliśmy grzyby, pływaliliśmy, zrywaliśmy na moczarach jagody do herbaty na zimę. Wtedy jeszcze żywe było we mnie postanowienie, że kiedyś muszę dotrzeć do Uriw, do Aleksiejewki. Wszystko szczegółowo ustaliliśmy. Ale nic z tego nie wyszło.

Rozmowy, w których brałem udział, miały na celu wypracowanie warunków długoterminowej umowy w zakresie współpracy dotyczącej produktów chemicznych. Projekt umowy, nad którego szczegółami pracowali przedstawiciele kilku przedsiębiorstw handlu zagranicznego, miał w grudniu zostać podpisany przez ministrów. Trwały ostatnie prace. Nie mieliśmy wiele czasu. Wszyscy byli zdenerwowani, ceny na rynku wahały się. Co zresztą nie jest niczym nadzwyczajnym. Ceny nawet po ich usztywnieniu także się wahają.

W gospodarce krajów socjalistycznych polityka cenowa przedstawia się dość specyficznie. Przede wszystkim różni się od tego, co uznaje się za kształtowanie cen w tradycyjnym handlu. Jak gdyby ktoś chciał złapać mysz, a w pułapkę zaganiał kota. Nazywaliśmy to zasadą podwójnej pułapki. W trudniejszych przypadkach nie można nawet ustalić, kto wpadł w czyją pułapkę. Wszystko zaczyna się od tego, że socjalistyczne przedsiębiorstwo handlowe nie prosi o ofertę innego socjalistycznego przedsiębiorstwa handlowego, ale zwraca się do któregoś ze swoich kapitalistycznych partnerów z prośbą o ofertę cenową na produkt, którego wcale nie zamierza kupić, a wręcz przeciwnie, chce go sprzedać. Kapitalistyczne przedsiębiorstwo, umiając dokładnie ocenić sytuację i zdając sobie sprawę, że socjalistyczny partner nie ma zamiaru dokonać zakupu, nie podaje realnej ceny towaru, ale celowo sugeruje nierealną cenę, taką, która według niego nie będzie zagrażać jego partnerom handlowym. A przedsiębiorstwo socjalistyczne uznaje podaną cenę za obowiązującą na światowych rynkach i z taką ofertą występuje do swojego socjalistycznego partnera. Socjalistyczny partner dobrze jednak wie, że podana cena jest w rzeczywistości nieprawdziwa, i proponuje jedną trzecią podanej sumy. Podczas rozmów strony posługują się więc dwiema nierealnymi cenami, które w ich wzajemnych relacjach doprowadzają w końcu do realnej możliwości współpracy. Jeśli dwie osoby nie wierzą w duchy, a w ciemnym pomieszczeniu zaczną o nich rozmawiać, to duch naprawdę się pojawi, choć nikt nie może go złapać.

Ciąg dalszy jest zaś taki, że sprzedający próbuje wynegocjować zmniejszenie różnicy pomiędzy dwiema nierealnymi cenami, bo przecież tę ogromną różnicę można wyrównać tylko państwowymi dotacjami. Kupujący jednak wie, że jeśli dana transakcja jest dla sprzedającego ważna z przemysłowego czy też handlowego punktu widzenia, to może liczyć na uzyskanie przez niego państwowej dotacji, i próbuje nie dopuścić do zmniejszenia marży, co w języku handlowym nazywa się poszerzaniem marży. Jeśli jednak błędnie oceni sytuację, a sprzedający

nie jest pod presją politycznych pobudek, to albo nie dochodzi do transakcji, albo druga strona, podobnie kierując się politycznymi pobudkami, przystaje na cenowy kompromis. Czy jednak dojdzie do transakcji, czy nie, żadna ze stron nigdy nie wie dokładnie, jak w ten sposób wynegocjowana cena ma się do realnych cen na światowym rynku. Mój szef, który fenomenalnie potrafił łączyć perypatetyczny styl rozmowy greckiego mędrca z obyczajami francuskich monarchów i wprowadzał mnie w arkana negocjacji podczas porannej toalety, uważał, że Rosjanie są całkowicie nieobliczalnymi partnerami. Tak samo nieoczekiwanie idą na ustępstwa, jak w niepojęty sposób potrafią być uparci i nieugięci. Możesz negocjować ze Szwedem, Włochem, amerykańskim Ormianinem albo z Chińczykiem i w każdej z tych rozmów działa jasna logika dążenia do własnego interesu. Różnice wynikają co najwyżej z innej oceny sytuacji. A jak negocjujesz z Rosjaninem, to logikę możesz odwieść na kołek.

Później, kiedy nabrałem już więcej doświadczenia, wspominałem te komentarze jako miłą legendę. Długo bym musiał opowiadać, gdybym chciał przedstawić moje dalekie od powszechnego przekonania poglądy, powiem tylko, upraszczając całą kwestię, że Rosjanie mają po prostu inne wyobrażenie o zależności pomiędzy tym, co realne, a tym, co nierealne. To, co w naszym pojęciu jest zjawiskiem nierealnym, bo naruszając realne stosunki panujące na rynku, powoduje, że system rynkowy nie może dobrze funkcjonować, z ich punktu widzenia jest sprawą przypadkową i marginalną, gdyż ich wewnętrzny system jest w stanie działać w oderwaniu od zewnętrznego świata.

Pierwszego dnia rozmów mój szef zasnął przy obiedzie. Rano, żeby nie zauważył mojej niedozwolonej nocnej nieobecności i żeby o szóstej, tak jak sobie życzył, go zbudził, i kiedy pluska się w wannie pełnej stygnącej wody, wysłuchał jego pouczających ekonomicznych wywodów, musiałem wstać wczesnym świtem na położonej z dala od centrum miasta ulicy Pierwszego Maja. Przed południem byłem więc zbyt niewyspany, żeby przywiązywać wagę do tego, że uskarżał się na złe samopoczucie. Był rosnym, silnym mężczyzną.

Przedpołudnie mieliśmy trudne. Niełatwo było odnaleźć potrzebny w rozmowach ton. Jeśli bym stracił dobry nastrój i przystał na to, co oni uważali za realne, sam stałbym się nierealny, a jeśli bym nie przystał, i na przykład zaczął robić sobie żarty, to byłbym nierealny w relacji naszych dwóch stron. Dopiero w takich sytuacjach człowiek czuje, ile elastyczności i wyrozumiałości, a także niesamowitej wprost cierpliwości musi mieć syn małej ojczyzny. Kiedy jeszcze uczyłem się tego zawodu, często wydawało mi się, że dobrze byłoby szybko skończyć z tym wiecznym odbijaniem piłeczki; byłem niezadowolony, bo mój szef, który spędził cztery lata w obozie jenieckim, wiedział z doświadczenia, że trzeba czekać, zwlekać, dawać wymijające odpowiedzi, ale i tak nie posuwaliśmy się naprzód.

Po zakończeniu rozmów w sali kolumnowej hotelowej restauracji jedliśmy obiad w towarzystwie dwóch ważnych przedstawicieli centrali handlu zagranicznego. Mój szef powoli, z namysłem, odłożył na talerz nóż i widelec, po czym rzucił mimochodem, że może dobrze byłoby otworzyć okno. Prośba, ze względu na rozmiar sali, wydawała się całkiem niedorzeczna, więc się nią specjalnie nie przejęliśmy. Nie ma powietrza. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś siedział tak nieruchomo. Po kilku minutach znów się odezwał. Poprosił, żebyśmy wyjęli mu z kieszeni lekarstwo. Otworzył usta i lekko wystawił język. Na jego szarej twarzy wystąpiły kropelki potu. Już więcej się nie odezwał, oczy postawił w słup i tylko wysunięty język mówił, że chce, abyśmy podali mu lekarstwo pod język. Kiedy maleńka tabletką rozpuściła się, natychmiast doszedł do siebie, odłożył nóż i widelec, wytarł twarz i nawet odzyskał rumieńce. Ale za chwilę znów zaczął się skarżyć, że brak mu powietrza, i jak ktoś, kto powietrza szuka

w powietrzu, wstał niespokojnie i zrobił kilka kroków, by je znaleźć. Podtrzymywaliśmy go. Szedł takimi sprężystymi krokami, jak gdyby nie potrzebował już naszej pomocy. Puściliśmy go. Upadł na ziemię dopiero w hotelowym hallu. Trzeba było zabrać go do szpitala. Żył jeszcze dwa dni, ale już nie odzyskał przytomności.

Rozmowy utknęły w miejscu. Przez telefon poinformowałem dyrektora naszego przedsiębiorstwa, co się wydarzyło. Nie ma wiele nadziei, że chory wyzdrowieje, a stan jego zdrowia nie pozwala na transport. Poprosiłem, żeby zawiadomili rodzinę. Moje rozmowy z szefem ograniczały się właściwie tylko do kwestii merytorycznych, mimo to wyobrażałem sobie, że członkowie jego rodziny są tacy sami jak on. Silni, ruchliwi, trochę zmęczeni życiem, ale weseli. Dyrektor firmy uznał, że negocjacje muszą być wznowione bez zwłoki. Już teraz uważał, że przeciąganie rozmów jest całkowicie zbyt dużą sztuką dla sztuki. Musimy przyjąć ofertę Rosjan. I takie polecenie dał mojemu szefowi. A on tak jak zawsze bawił się z nimi bez potrzeby. Poleciał mi prowadzenie negocjacji, i mam je zakończyć tak, jak mnie poinstruował. Swoją decyzję przekaże teleksem dyrektorowi tamtejszego przedstawicielstwa handlowego, on oficjalnie poda Rosjanom zmiany w składzie delegacji. Gdyby nie kłopot z formalnościami, wysłałby kogoś innego. I żebym o tym pamiętał. Ale stało się trochę inaczej. Prowadzenie negocjacji powierzono jednemu ze starszych rangą pracowników przedstawicielstwa handlowego, który wykręcił się niezbyt głęboką znajomością tematu i mnie obarczył obowiązkiem dokończenia rozmów.

Spadło na mnie w te dwa dni mnóstwo odpowiedzialnych zadań. Gorączkowe działanie zawsze inspiruje do kolejnych kroków, nie mogłem więc, bezczynnie czekając, leżeć i wpatrywać się w baldachim nad hotelowym łóżkiem. Choć przecież czekałem na telefon. Pełen wyrzutów sumienia zasnąłem na ulicy Pierwszego Maja. W ramionach silnej i spokojnej kobiety przeżyłem jeszcze raz śmierć na zawsze utraconego ojca.

Z trudem zapadłem w sen. Nawet noc spędzona z kobietą nie pozwoliła mi uwolnić się od myśli o śmierci. Zawieszony między snem a czuwaniem pędziłem po ośnieżonej autostradzie. Tę scenę po wielokroć już sobie wyobrażałem i odgrywałem w myślach.

Dwa tygodnie po zdobyciu mostu w Uriw, dwudziestego siódmego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, ojciec wyruszył samochodem, by złożyć raport. Tego samego dnia mieli zacząć się wycofywać. Jeszcze nie zostali całkowicie okrążeni, ale pierścień już się zamykał. Wyobrażałem sobie tę jego podróż i był w niej taki moment, kiedy zasypiałem albo musiałem zaczynać od nowa. Wiadomo było tylko tyle, że wycofujący się batalion o godzinie dwudziestej trzydzięci spotkał się z rosyjskimi siłami i w ciągu pół godziny poniósł pięćdziesięcioprocentowe straty. Ale udało im się przebić. W odległości sześciuset metrów od pola bitwy znaleziono samochód, którym jechał po południu. Był pełen śladów po kulach. Stał z otwartymi drzwiami. Pusty.

Przez wiele lat czekaliśmy na ojca, przecież w samochodzie nie było nikogo. Mam jego frontową fotografię. Mała ludzka postać, na samym środku, po pas w kwiatach. Kiedy na drugi dzień wróciłem taksówką do hotelu, już z korytarza usłyszałem sygnał dzwoniącego telefonu. Tego dzwonka nie można pomylić z niczym innym. Właściwie nie powinienem był podnosić słuchawki. Człowiek jest jednak głupi. I podnosi, żeby się dowiedzieć, co się stało. Półtorej godziny później kontynuowaliśmy rozmowy. Nastrój był dziwny. Choć Rosjanie ze wzruszeniem okazywali wyrazy współczucia, staraliśmy się usiąść do stołu, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Wahania co do porządku obrad, przekazywanie sobie dokumentów, przeglądanie i wymienianie się teczkami podtrzymywały pozory. Kiedy jednak przyszła na mnie kolej, nie umiałem się

powstrzymać, by nie wygłosić czegoś w rodzaju krótkiej mowy pogrzebowej. Dużo starszym ode mnie, doświadczonym na wojnie mężczyznom w pełnej zaskoczenia ciszy opowiedziałem o naszych porannych rytuałach.

W nas, Węgrach, śmierć budzi przerażenie. Dla nich jest czymś takim jak znak miękki. Nie ma własnego brzmienia, nie wypowiada się go, zmiękcza tylko stojącą przed nim głoskę. W ciągu tych dwóch ostatnich nocy na ulicy Pierwszego Maja instynktownie pojąłem tę różnicę. Była pierwszą i przez długi czas ostatnią kobietą, której usta mnie podniecały. Kiedy skończyłem te kilka zdań, niemal bez przerwy na oddech, przystąpiłem do rzeczy. Nie chciałem się usprawiedliwiać, ale naprawdę nie miałem złych zamiarów. A jednak nie zastosowałem się do poleceń mojego zwierzchnika. Nie czułem nic więcej, tylko strach, i ten strach wywołał we mnie taki upór. Rosjanie w ciągu dziesięciu minut zaakceptowali wszystkie moje propozycje. Pozostała część dnia, nawet nie wychodząc na obiad, poświęciliśmy na dopracowanie szczegółów. Przedstawicielstwo handlowe wprawdzie się nie czepiało, ale byli wściekli. Obydwie strony chciały jak najszybciej zakończyć rozmowy. Już choćby dlatego, że odbywały się w przeddzień ich największego narodowego święta, szóstego listopada, i już właściwie nikt nie pracował. Późnym popołudniem wróciłem do hotelu. Byłem spięty, zmęczony z niewyspania, a wtedy człowiek czuje, że może wszystko. Chciałem uwolnić się od krawata, okropnego ciemnego garnituru i pojechać na ulicę Pierwszego Maja. Jakoś nie potrafiłem się cieszyć z odniesionego sukcesu. Jego cena była zbyt wysoka. To nie był mój sukces, lecz mojego zmarłego szefa, nie moje zwycięstwo, lecz zwycięstwo śmierci. Czułem, że dyrektor też nie będzie robił mi wyrzutów, a jeśli nawet, to przedstawicielstwo handlowe będzie musiało stanąć w mojej obronie, ale swoją postawą zapewne nie zaskarbiłem sobie jego sympatii. Na długo mnie zapamięta jako niewiarygodną osobę i moja kariera weźmie w łeb. W takim nastroju wsiadałem do windy.

Była pełna ludzi, windziarka czekała już tylko na mnie. Jeszcze chwilę się wahałem. Przy przedostatnim kroku zwoleń. Nie miałem ochoty wchodzić pomiędzy tyle osób. Od razu rozpoznałem, że są Węgrami. Co raczej wydało mi się odpychające niż miłe. Ale stała wśród nich dziewczyna z kręconymi, brązowymi włosami, w długim płaszczu z futrzanym kołnierzem, na nią zwróciłem uwagę. Zapytana o coś markotna windziarka odpowiedziała, że nie, nie można, tam jest teraz bankiet. A oni, jak gdyby słysząc jakiś absurdalny żart, wybuchli śmiechem. Bankiet, bankiet, wrzeszczeli. Wsiadłem, słysząc ten infantylny harmider, i nie powiem, że to było miłe uczucie. O ile bowiem moi rodacy, kiedy znajdują się za granicą sami, są zagubieni, o tyle w grupie stają się nieznośni i pozbawieni wszelkich hamulców. Podejrzewam, że oni też się domyślili, skąd jestem. Zareagowali tak samo jak ja i stracili humor. Stanąłem naprzeciw dziewczyny, by widzieć ją z bliska. Obcisły w talii, już lekko niemodny płaszcz wskazywał, że jest szczupła, podniesiony szarosrebrny kołnierz luźno okalał czerwoną z zimna twarz. Na włosach, brwiach i rzęsach lśniły topniejące płatki śniegu. Tamtego dnia po raz pierwszy spadł śnieg. Padało od samego rana.

Bez większego namysłu uznałem, że o taką dziewczynę mi chodzi. Widziałem w jej oczach, że nie tylko dostrzegła moje spojrzenie, lecz także dobrze je zrozumiała. Nie uważa, że jestem natarczywy, ale też nie odwzajemnia mojego spojrzenia. Nie czuje tego, co ja, jednak mnie nie odrzuca. Chwyta to, co jej ofiaruję, nie oczekując niczego więcej. Robi to dyskretnie, ale z widocznym zainteresowaniem. Trochę bezczelnie i z wyższością, jak gdyby pytała, no, synku, co jeszcze mi proponujesz. Jechaliśmy naprzeciw siebie ze trzy piętra.

Chłonęliśmy siebie nawzajem, pilnując się jednak, żeby inni tego nie zauważyli. Wydawało

mi się, że ktoś patrzy na mnie z boku, z wytrwałością i uporem, i widzi, czym jestem zajęty. Musiałem zakończyć tę zabawę. Wprawdzie się wahałem, gdyż nagły odwrót wskazywałby, że nie wytrzymałem spojrzenia dziewczyny, tymczasem nie mogłem znieść wzroku mężczyzny.

Bardzo trudno byłoby mi wyrazić, co czułem w tamtej chwili, kiedy z głową odwróconą w bok z bliska spojrzałem w oczy tej natarczywej postaci. Dorośli ludzie zawsze określają odległość, w jakiej chcą znaleźć się od twarzy drugiego człowieka, a to, na ile i jak się zbliżamy czy oddalamy, zależy od naszych pobudek i celów. Jednakże ta twarz, wyłaniająca się z mroków dzieciństwa, jakkolwiek zmieniona, pojawiła się w niekontrolowanej bliskości. Zawładnęło mną uczucie niepokonanej czułości. Jak gdybym zobaczył nie kogoś, ale moje upływające życie. Wszystko się zmieniło i nic się nie zmieniło. W sobie czułem przemijanie, a w tamtej twarzy trwanie. Ujrzeć z tak bliska w twarzy całkowicie obcej osoby twarz znajomego dziecka było jednak czymś tak zaskakującym, że miałem ochotę cynicznie go od siebie odepchnąć. A jednak nie chciałem tego zrobić. Wzajemnie mierzyliśmy wzrokiem swoje twarze. On też jeszcze nic nie postanowił. W ten sposób nawzajem się zdemaskowaliśmy. Już nie było ucieczki. Choć obydwaj tak samo chcieliśmy uniknąć tego spotkania, jak i do niego doprowadzić. Nie ma niczego bardziej upokarzającego niż przypadek. Ale jeszcze bardziej upokarzające jest, jeśli mu nie ulegniemy.

Ten przypadek nie dawał mi jednak przewagi. Wręcz przeciwnie. Pogarszał sprawę. Chciałem jak najszybciej dostać się do mojego pokoju. Jak najszybciej otworzyć lodówkę, porządnie pociągnąć z butelki zmrożoną wódkę i jak najszybciej wyjechać. Każdy, kto szuka ratunku w alkoholu, wie, co oznacza chwila, kiedy go brak. Przypomniało mi się coś, co chciałem wyrzucić z pamięci. Byłem w takim stanie, że mój organizm już nie mógł znieść czekania. Nie potrafiłem zapobiec przypadkowi. Chyba w jednym momencie poruszyliśmy rękoma i w tym ruchu spotkały się dwie całkiem odmienne czułości. To nie było zwykłe podanie sobie ręki, do tego staliśmy zbyt blisko siebie, ale brutalne chwycenie się za ręce.

Chwycił mnie, ale się zawahał, czując żar obu rąk, i natychmiast puścił, wręcz odepchnął. Dotyk palców był niewystarczający, więcej byłoby za wiele. I te nieporadne, zająkliwe pytania, skąd się tu wzięłeś. Dlaczego właśnie tutaj. Jak gdyby to miało jakieś szczególne znaczenie. Coś wydukałem i zrobiłem się cały czerwony, co nieczęsto mi się zdarza. On mówił o jakiejś artystycznej delegacji i z cynicznym uśmiechem wskazał na pozostałych. Punkt programu, do odhaczenia raz w roku. Wszystko na powierzchni chwili. Jego ton i rumieńce nie były niczym innym jak koniecznym do obrony pozorem. Bo tamta chwila w rzeczywistości mówiła o tym, jak inne było nasze dotychczasowe życie, ale ani on, ani ja, ani wcześniej, ani później, nikogo tak nie pokochaliśmy. Wtedy tak. To było nasze wyznanie. I nawet jeszcze teraz. Nawet teraz, kiedy nadal tak bardzo różnimy się od siebie, choć już w inny sposób. Od tamtego czasu. To żywy fragment naszego wytrwałego istnienia. Nic na to nie poradzimy. Tu nie ma celu ani sensu, ani powodów, ani sposobów. Nic nie możemy zrobić. Poczerwieniałem, bo chciałem zapomnieć, i zapomniałem. On był zakłopotany, bo nie zapomniał i najprawdopodobniej nie potrafił zapomnieć.

W rozmytych rysach jego twarzy malowała się niepewność, jak gdyby każde zagłębienie i każda krawędź znaczyły naraz trzy rzeczy. I nie przejmując się wzrokiem obcych ludzi, z sentymentem zagłębiał się w tamten odeszły w przeszłość czas. W końcu jego nadmierna samodyscyplina przeszkodziła mi, bym po przyjacielsku, bez żadnych zobowiązań go objął. Dostrzegłem chłód w jego twarzy i odpychające przerażenie w oczach, słyszałem jego cyniczny ton. Teraz on rozdawał karty. Kiedy bowiem nie kieruje mną rozsądek, kiedy nie czuję sensu



gestów, ich kierunku, celu, pobudek i wartości, czuję się sparaliżowany. Nie potrafię oddać się ani sytuacji, ani innemu człowiekowi. A on nad nią panował. Roześmiał się, miałem ochotę zamknąć oczy. Właśnie na mnie czekali, powiedział takim tonem, jak gdybyśmy rozstali się wczoraj, wracają z uroczystości i zaraz idą do Teatru Wielkiego na spektakl dla vipów. Będzie wielka gala. To trochę tak, jak gdyby poczęstował mnie pierogami z marmoladą, bo śpiewa Galina Wiszniewska. Mają dodatkowy bilet. Dla mnie. Dostali całą łożę. Może poszedłbym z nimi.

Zawstydzający swoją sztucznością ton jego głosu pomógł mi wyplątać się z sytuacji. Staliśmy już na korytarzu trzynastego piętra przed pełnym kluczy stolikiem dyżurnej. Pozostali w milczeniu skierowali się do swoich pokoi. Powiedziałem, że nie mam czasu. I spoglądając ponad jego ramieniem, bezwiednie wodziłem wzrokiem za młodą brunetką. I że na wieczór mam już plany. Dziewczyna szybko otworzyła drzwi do swojego pokoju i znikła za nimi, nawet się nie oglądając. A my się śmieliśmy, że wygląda na to, iż trzynaste piętro zawsze jest zarezerwowane dla Węgrów. Na drugi dzień spotkamy się przy śniadaniu. Żebym był najpóźniej o ósmej. Idą na paradę wojskową. Będzie szampan.

Kiedy zamknąłem za sobą drzwi królewskiego apartamentu, zapomniałem o tamtym przypadkowym, przelotnym spotkaniu jak o czymś niemiłym. Nie miałem ochoty na śniadanie z szampanem. Nie zapaliłem światła. Obce pokoje drżały łagodnie w poświacie śniegu, za oknem pomrukiwało pode mną miasto. Co wobec wydarzeń tych ostatnich dni mogła znaczyć ta ulotna chwila? Nic. Może tylko złość i zakłopotanie. Kiedy ja bezsensownie się wysilam, on dobrze się bawi. Nie zdejmując płaszcza, rzucam się na fotel. Nigdy jeszcze nie czułem takiego psychicznego zmęczenia. To nie kości ani mięśnie. Mam ściśnięte serce. W moich żyłach nie płynie krew. Wszystko jest puste. Nawet nie chcę już wódki. Czy może chcę, ale nie mam siły wstać. Właściwie nie wyrażam się precyzyjnie, raczej czułem, że powinienem zebrać siły, ale do tego też potrzebna jest siła, a tej nie miałem.

Nie, muszę z tym skończyć. Powtarzałem w duchu. Nie wiedziałem, z czym chcę skończyć, ani nie wiedziałem, czego nie chcę dalej robić. Tylko powtarzałem słowa. Pozwalając sobie siedzieć ze spuszczoną głową i ramionami zwisającymi z fotela. Z rozłożonymi, wyciągniętymi przed siebie nogami. Ale i tak nie potrafiłem w pełni oddać się kłębiącym się we mnie uczuciom. Patrząc na mnie obca osoba uznałaby to za nienaturalny sentymentalizm. Jak gdybym bezwładnymi członkami wkraczał w pozbawione treści przedstawienie teatralne. Nie grałem dobrze mojej roli. Chciałem się od niej wyswobodzić. Jak gdybym miał dostać gorączki, w zimnym pokoju oblewałem się gorącym potem. Zapadłem w głęboki sen.

Przerażała mnie myśl, że mnie tu zostawili. Jak gdyby ktoś we mnie krzyczał: „Pali się!”. Czy raczej nie były to myśl ani krzyk, tylko wyraźny, ostry, powracający obraz, jak nieznajoma dziewczyna otwiera drzwi swojego pokoju, ale nie dzieje się to, na co liczyłem, nie odwraca się. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Nie mogło upłynąć wiele czasu. Nie mogłem uniknąć spotkania z tą kobietą. Skoro trzeba, pójdę z nimi. Albo usiądę przed ich pokojem i poczekam, aż wróci. Nie przypominało mi się wprawdzie dzieciństwo, które przywiodła mi na myśl twarz przyjaciela, ale i tak to było uczucie znane z dzieciństwa. Idą się bawić, lecz nic mi nie mówią, chcą się mnie pozbyć. Jeśli numer mojego pokoju jest jakiś tam, a numery wzrastają, to numer jej pokoju będzie taki a taki. Było w pół do siódmej. Czyli spałem dwadzieścia minut.

Słucham.

Odezwała się z nutą niepewności. Jak ktoś, kto nie wie, w jakim języku ma się zwrócić. To jedno słowo sprawiło, że serce mocniej zabiło mi ze strachu. Zaczęło pracować. To była

prawdziwa radość podbarwiona cieniem nieznannej obawy. Po raz pierwszy usłyszałem jej głos. Od chwili, kiedy wsiadłem do windy, nie odezwała się do swoich towarzyszy ani słowem. Nie wiedziałem, jaki ma głos. Tymczasem to był głos kobiety, który zawsze wywierał na mnie wielkie wrażenie. Dochodzący z samej głębi ciała, mocny, zwarty, zdecydowany w środku i miękki na wierzchu. Ale nieczuły, gdyż zanadto świadomy. Kiedy o nim myślę, mam przed oczyma czarną kulę. Kulę można wziąć w dłoń i podnieść. Ale nie można w nią wejść. Jeśli wejdiesz, nie będzie już kulą.

Przedstawiłem się uprzejmie i poprosiłem o wybaczenie. Zawile się tłumacząc, powiedziałem, że się namyśliłem i chętnie z nimi pójdę. Staralem się dużo mówić. Słuchała mnie cierpliwie. Pozostała niemą wyspą, podmywaną falą moich słów. Powiedziałem, że nie wiem, w którym pokoju mieszka mój przyjaciel, dlatego dzwonię do niej. Ale nie tylko dlatego. Gdyby była taka miła i podała mi numer. Odpowiedziała tylko, żebym w takim razie się pospieszył. Żeby się pan pospieszył. Ona mówiła mi per pan, ja do niej per ty. Znów odezwałem się na ty i znów udała, że nie słyszy. Tak samo powściągliwie słuchała i milczała, jak w windzie patrzyła. Pozwalała mi, jednocześnie odpychając od siebie.

Nie przywiązywałem do tej krótkiej rozmowy większej wagi, gdyby to była tylko jedna z wielu moich nienaturalnie przyjemnych przygód. Ale to był trudna, trwająca cztery lata walka. Mógłbym to nazwać zmaganiem, kłótniami, najgorszym momentem w naszym życiu i najmroczniejszym czasem w moim. Gdyby to nie był czas pełen nadziei na szczęście. Radość, jaką odnajdowaliśmy w sobie, zawsze niespodziewanie, zawsze już na nic nie licząc, czasami trwała przez tygodnie, czasami tylko przez dni, godziny albo jedynie krótkie chwile. Dążyliśmy do niej, nie umiając jej osiągnąć. Pozostawały cierpienie, brak, radość cierpienia.

A przecież niczego więcej nie pragnęliśmy, jak tylko zachować na całe życie głębokie poczucie, że się odnaleźliśmy. Dręczeni niedosytem dyktowaliśmy sobie warunki, nie zauważając nawet, kiedy ich nie spełniamy i jak siebie nimi niszczymy. Ona żądała ode mnie wyłącznej miłości, ja zaś chciałem, by moje zdrady uznawała za dowód wierności. Na próżno przekonywałem, że nigdy w życiu nikogo tak nie kochałem i że dla uczuciowej równowagi potrzebuję choćby zachować pozory wolności. Nie potrafiłem żyć bez niej, tymczasem byliśmy czymś w rodzaju popsutych naczyń połączonych. Jeśli nawet kosztem wielkich wysiłków rezygnowałem z wolności i, spełniając jej warunki, nie spoglądałem na inne kobiety, w prostej proporcji rósł mój pociąg do alkoholu. Albo wplątywałem się w głupie przygody, mniej piłem, a napięcie między nami niemiłosiernie rosło. Najbardziej poniżające było to, że kiedy teoretycznie mogła się czuć doskonale bezpieczna, wówczas, uciekając się do najrozmaitszych podstępów, śledziła mnie, kontrolowała, węszyła, dwa razy nawet ją za to pobiłem i kosztowało mnie wiele wysiłku, by nie zrobić tego ponownie. Oczywiście jej podejrzenia nie były bezpodstawne. Prawdziwej zazdrości nie wywoływały w niej bowiem moje skoki w bok, ale przymusowa wierność. Tak samo jak ja nie dlatego ją pobiłem, że kazała przyjaciółce mnie śledzić, lecz dlatego, że nie rozumiałem, dlaczego mnie nie rozumie. Wszystko umiała wyczuć. Nie mogłem wykonać gestu, w którym nie domyśliłaby się najbardziej ukrytych treści. Czuła, że wymuszona przez nią wierność powoduje we mnie niesamowite napięcie, że robię się zakłamanym, skłonny do fałszu, bo nie przywykłem do tego, by z czegokolwiek rezygnować. A kiedy już tak zadręczyła nas obydwoje swoją zazdrością, że nie miałem innego wyjścia, jak poszukać ulgi w głupim wyskoku, zwyczajnej przygodzie, w której nikt nikomu nie stawia żadnych warunków, chciała natychmiast ze mną zerwać. Potrafiła całymi tygodniami poza porannym powitaniem nie odezwać się do mnie ani słowem. Nie odpowiadać na moje pytania,

prośby, pogrożki, błagania, wezwania, tłumaczenia, przysięgi. Jak gdyby karała mnie za to, że żyję. Jak gdyby po to dążyła do wielkiej przegranej, żebym ja mógł odgrywać zwycięzcę, choć przecież nie pozwalała mi zwyciężyć. Jak gdyby jej prawdziwe zwycięstwo możliwe było tylko wtedy, gdyby straciła mnie na zawsze, choć wiedziała, że ja nie potrafię stracić jej. Mój źle zbudowany w dzieciństwie system wartości teraz się na mnie zemścił. Wtedy wartość i sens moich czynów zamiast estetycznych i etycznych zasad określały tylko konieczne potrzeby, rozmywając we mnie granice pomiędzy wolnością a rozwiązłością. W końcu po czterech latach, w ciszy chwilowego zawieszenia broni, szybko wzięliśmy ślub. I zaczęło się sześć kolejnych strasznych lat.

Pamiętam tylko, że tamtego listopadowego wieczora w dość dziwnych okolicznościach przekroczyłem mroczny próg dorosłości. Zmieniła mnie w ambitnego, niezdecydowanego nastolatka, jakim nigdy przedtem nie byłem. I zapewne odegrały w tym pewną rolę nie tylko mój charakter, moje cechy, ale także przypadek. Do zrozumienia całości potrzeba też tych utraconych czy brakujących momentów, ale tego, czego człowiek nie przeżył, nie można przeżyć później, i nie można z tego powodu nikomu, ani sobie samemu, ani innym, czynić wyrzutów.

Do szesnastego roku życia dziewczyny właściwie mnie nie interesowały. Ich zachwyty wydawał mi się tak samo oczywisty, jak bezmyślna miłość mojej matki. Jeśli już z jakiegoś powodu utraciłem zainteresowanie jednej z nich, to natychmiast pojawiała się następna. A w kolejce możliwości czekała zawsze jeszcze trzecia albo czwarta. Coraz wyraźniej odczuwalne oznaki fizycznej dojrzałości przyjmowałem ze świadomością, że ani nie będę z nimi walczył, ani zbyt się nimi przejmowałem. Jednak do dziś wydaje mi się dziwne, że najbardziej dawały mi się we znaki nie we śnie ani w relacjach z dziewczynami, ale w momentach, kiedy jechałem szarpiącym na zakręcie, trzęsącym się pojazdem, tramwajem albo autobusem. Nie wstydziłem się tego, nie starałem się powstrzymywać, najwyżej zasłaniałem się teczką, ale podniecenie czasami było tak silne, że aby uniknąć przykrej niespodzianki, musiałem salwować się ucieczką i natychmiast wysiadać. To wystarczyło, bo fizyczne, cielesne podniecenie nie było wywołane przez konkretną osobę, ale ode mnie niezależne i wynikające jedynie z okoliczności podróży.

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku lato przyszło niespodziewanie. Jeszcze wiele domów w mieście leżało w gruzach. Lato wyłaniające się nagle z wiosny jak gdyby wrzącym wybuchem dodało nowych sił zrujnowanemu życiu. Kiedy w szkole rozpoczęły się lekcje, między mną a matką doszło do historycznej sceny – zwyciężyła matka, która nie pozwoliła mi wrócić do szkoły wojskowej, tylko zapisała do gimnazjum w Zugló. Pewnego popołudnia odprowadziłem mojego nowego kolegę na ulicę Gyertyán, a potem wsiadłem do tramwaju. Był koniec maja. Gdy myślę o tym popołudniu, widzę wysokie kasztanowce obsypane wielkimi, smukłymi niczym świece, białymi kwiatami.

Tak jak zawsze jechałem na otwartej platformie tramwaju. Rozsuwane drzwi nie były zamknięte, gorące powietrze szalało bez przeszkód po pustej przestrzeni. W drugim końcu wagonu jechał młody mężczyzna. Dwie zaciśnięte w pięści dłonie trzymał w kieszeniach, siedział z wyprostowanymi nogami. A za drzwiami stała młoda blondynka w lekkiej, prześwitującej letniej sukience. Na silnych gołych nogach miała białe sandały. Trzymała się obydwoma rękoma, w dłoni miała tylko bilet tramwajowy. To albo coś innego sprawiało, że wydawało się, iż jest bez ubrania albo że nie ma ono żadnego znaczenia. Najpierw obserwowałem kobietę, jak patrzy na mężczyznę, ale kiedy tylko dostrzegła moje zaciekawione spojrzenie i skierowała w moją stronę wesołe, figlarne niebieskie oczy, spojrzałem na mężczyznę czy raczej, zerkając na niego, uciekłem od obnażającego wzroku kobiety, podczas gdy

on, patrząc jej w oczy, śledził to, co się pomiędzy nami zaczynało rozgrywać. Był przeciętnym, szczupłym mężczyzną średniego wzrostu. W oczy rzucała się jedynie gładkość jego śniadej cery. Błyszczące gładkie czoło i przedramiona widoczne pomiędzy gładką białą koszulą z rękawami podwiniętymi do łokci a dłońmi ukrytymi w kieszeniach. Gładkość, która, wydaje mi się, była cechą nie tylko jego powierzchowności. Kiedy zaś, wodząc oczyma za wzrokiem kobiety, w końcu musiał na mnie spojrzeć, nagle poczułem tak głęboki wstyd, że się od niego odwróciłem; wróciłem do kobiety, bo chciałem zobaczyć w jej oczach, jak na to wszystko zareaguje.

Była tęgawa, pulchna, miała jasną, białą skórę. Ale tylko na tyle tęga, że jej otyłość jeszcze równoważyła życiowa energia; tego, czym łączywie się opychała albo co wypijała, jeszcze nie było aż tak wiele, by jej organizm nie był w stanie w wystarczającym stopniu spalić wszystkiego przy wykonywaniu codziennych czynności. Proporcjonalnie nabite nogi i ręce wypełniały, niemal rozsadały sukienkę. Włosy miała zmierzwiłone, sukienka podwiewała w gorącym przeciągu. Widać było silne, lśniące białe wewnętrzne zgięcia kolan. Chwiejnie przeciągała się pod podniecającym ostrzałem naszych spojrzeń. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat, ale była dojrzała, pełna i wieczna, jak model uwieczniony w ciężkiej rzeźbie. Przez co chciałem tylko powiedzieć, że każdy mógł ją kupić, ale nikt nie mógł jej posiadać.

Kiedy po raz trzeci spojrzeliśmy na siebie, uśmiechnęła się, pokazując lekko nierówne zęby, a ja bezwiednie przekazałem ten uśmiech mężczyźnie. Ale natychmiast zrozumiałem, że tym samym uśmiechem, choć gładszym i bardziej powściągliwym, przed chwilą obdarzył mnie on. Wszyscy troje uciekaliśmy od swoich uśmiechów. Mężczyzna chwycił mój i oddawał kobiecie.

Odwracając głowy w bok, chcieliśmy wzajemnie zmyć ze swoich twarzy utrwalany ucieczką uśmiech, jak gdybyśmy tam w dole, pomiędzy nami trojgiem, na brudnej od oleju podłodze tramwaju czegoś szukali, z uśmiechem wpatrywaliśmy się nie w siebie, ale w geometryczny środek wyznaczony przez nas troje, by wreszcie, słysząc wybuchające śmiechy, nagle podnieść głowy. Ale w naszym śmiechu zabrakło już tej symetrii. Kobieta raczej chichotała i rechotała, wydając z siebie puknięcia i piski, to wypuszczała je, to wstrzymywała. Mężczyzna niemal tylko milczał, dukał, jak gdyby próbując wydusić z siebie jakieś słowa, coś mamrotał, i w tym duszącym się w słowach uśmiechu dostrzegłem na jego twarzy jedną jedyną, ale głęboką i gorzką zmarszczkę wokół ust, to ona nie pozwalała mu wybuchnąć śmiechem, bo jego tramwaj trząsał bardziej niż kobietę czy mnie; przez cały ten czas słyszałem wyrwywające się ze mnie rzenie: obnażyłem własną niewinność i wcale się tego nie wstydzilem. Tramwaj wiózł nas, cały czas się trzęsąc. Wydawało mi się, że pędzi jak w galopie. Człowiek może dopiero wtedy czuje się wolny, kiedy nie zważając na konsekwencje, poddaje się wydarzeniom; i niech się dzieje, co chce.

Nic już nie mogło powstrzymać naszego śmiechu, chichotu, który sam siebie odstraszał, dławił się przygnieciony własną odwagą, a my nie tylko nakręcaliśmy się nawzajem, ale jak gdybyśmy mieli w zanadrzu zapasy śmiechu, których z powodu wzajemności pochodzącej z podobieństwa różnic nie było dłużej sensu w sobie tłumić; chodź tu, pozwalam, nie ma się czego wstydzić, a nasz śmiech wzmagął się aż do bólu i płaczu. Sprawiało mi to przyjemność, tym bardziej że w drzeniu strachu poczułem drzenie własnych nóg i rąk. Tramwaj zwolnił, zbliżając się do skrzyżowania ulicy Györgya Dózsy z ulicą Thökölyego. Młody mężczyzna odsunął się ode mnie, ale tak naprawdę wyzwolił się z ataku śmiechu. Wyszarpał dłonie z kieszeni i ostrzegawczo podniósł palec. Jeden palec, wysoko nad głowę. Patrzyliśmy na ten jego palec zawieszony w powietrzu, a on w jednej sekundzie przestał się śmiać. Kobieta puściła uchwyt. Stała z biletem w ręku i z wyzywającym błyskiem w niebieskich oczach. A potem leniwie

wysiadła na peron. Było zupełnie jasne, całkiem oczywiste, co się dzieje, a moje drżenie było zbyt silne, bym potrafił temu zapobiec. Mężczyzna sprężystym krokiem zeskoczył na peron i zerknął nie na głupio umykającą przed nim kobietę, lecz na mnie, i szybko omiół wzrokiem moją szkolną teczkę, którą trzymałem przed sobą, by ukryć to, co się we mnie działo. Jeszcze mogłem się wycofać. Oliwkowobrazowe, ogromne oczy i gładka cera. Nie było co się zastanawiać.

Z pewnością potrzebowaliśmy tych kilku minut namysłu. Żeby rzucić się jeszcze większym biegiem. Usta były nam potrzebne tylko po to, by nabierały powietrza, podczas gdy nasze stopy ze śmiechem uderzały o ziemię. Przez chodniki, pomiędzy pieszymi, ale nawet ich nie potrącając, kiedy twoje nogi, twoje ręce, twoje oczy liczą kroki; w górę i w dół na krawędzi krawężników. Mężczyzna pędził z przodu, robiąc łagodne uniki, w każdym jego ruchu było coś skierowanego do nas. To, czego nie potrafił wyrazić śmiechem, wyrażało się w tym biegu. Z odrzuconą w tył szyją i wyprostowanymi plecami odgrywał swoją scenę, rozpychając się ramionami. Wyglądał, jak gdyby chciał przeciąć rozciągniętą przed nami taśmę; niczym zawodnik pozostawiający za sobą konkurentów gnał prosto do celu. Tak się z nami zabawiał. W szaleńczym tempie zmieniał kierunek, wbiegał w boczne uliczki, pędziliśmy za nim trochę zagubieni, a on, nie zwalniając biegu, nagle znikł w otwartej bramie. Kobieta śmiesznie biegła, wprawdzie nie niezdarnie, ale ciężkim krokiem, aż wreszcie leniwie wtopiła się w trakt wyznaczony przez mężczyznę. Na drugi dzień sprawdziłem, jak nazywała się ta ulica.

Było zimno. Ciemno. Śmierdziało kocimi sikami. Zatrzymaliśmy się przy ścianie, z której opadał tynk. Patrzyliśmy na siebie, wpatrując się sobie w oczy. Jeszcze mogliśmy się wycofać, ale drżenie wysało z moich członków wszystkie siły, a cichy głos rozsądku podpowiadał, że bym tego nie robił. Jeśli nie teraz i nie tak, to kiedyś, w inny sposób, i tak będę musiał przez to przejść, niech się więc dzieje jak najszybciej. Dyszeliśmy. Już nie patrzyliśmy na siebie tak, jak na samym początku. Zapanował spokój. Nie musieliśmy obawiać się niebezpieczeństwa. Kobieta kichnęła, cicho dysząc. To znów nas rozśmieszyło. Ale mężczyzna ostrzegawczo podniósł palec do ust i niby kontynuując swój gest, wbiegł po schodach.

Przez szpary w opuszczonych żaluzjach do pustego mieszkania wdzierało się popołudniowe słońce. Pomiedzy otwartymi drzwiami i oknami kołysał się lekki wietrzyk. Wyobraźmy sobie, że w długim przedpokoju i w trzech otwartych w amfiladzie pokojach nie było ani jednego mebla. Tylko pośrodku największego pokoju leżało kilka materacy, a na nich niezbyt czysta różowa pościel; odrzucona kołdra, zmięte prześcieradło, tak jak wstali z rana. Poza tym na gwoździach wbitych w ścianę wisiły koszula, spodnie, a w rogu piętrzyła się góra butów. Wiedziałem, że przekroczyliśmy wszelkie granice. Nie wiedziałem, jak się zachować, nie znałem rytuału. A jednak to ja zrobiłem pierwszy krok. Rzuciłem się na materac i zamknąłem oczy. Tym zdemaskowałem moją i tak dość oczywistą niewiedzę; oni znali rytuał. W mieszkaniu nie odezwali się ani słowem. A i tak nie trzeba było niczego tłumaczyć. Wiedziałem, że jestem w jednym z mieszkań, z których w końcu grudnia, najpóźniej na początku stycznia, wszyscy się wyprowadzają. A mężczyzna mieszka tam na dziko. Nie jest ani znajomym, ani kimś z rodziny, bo zostawiliby mu szafę, łóżko i krzesła. Musiał się do tego mieszkania włamać. Gdyby przekupił dozorcę, gdyby od niego dostał klucz, moglibyśmy bez problemu głośno śmiać się w bramie. W żaden sposób nie potrafiłem określić, ile czasu spędziłem w tym pustym mieszkaniu. Może godzinę, może dwie. Leżeliśmy obróceniem w trzy strony; my dwaj na plecach, kobieta na brzuchu, kiedy właśnie poczułem, że staję się niepotrzebny, i po długim czasie to było pierwsze nieprzyjemne uczucie. Choć żadne z nas się nie poruszyło. Może emanował z nas

jakiś inny spokój, a siła, która dotąd równomiernie rozkładała się pomiędzy nas wszystkich, teraz przybrała inny kierunek. Jak gdyby swoim spokojem odepchnęli mnie od siebie. Tego chcieli obydwójce, a ja z moim pełnym niepokoju spokojem nie umiałem się wkraść pomiędzy nich. Delikatnie wsunąłem palec pod zgięte kolano kobiety. Miałem nadzieję, że śpi. Jak nie śpi, ściśnie nogi. Poruszyła się. Najpierw obróciła głowę w stronę mężczyzny, potem podciągnęła wyżej kolano, wyzwalając się od obecności mojego palca. Mężczyzna powoli otworzył oczy i wzrokiem powtórzył to, co usłyszał od kobiety. Wszystko było oczywiście jednoznaczne. Nie było sensu, żebym ponawiał próby. I bardzo bolesne, gdyby nie to, że w oczach mężczyzny kryła się niemal ojcowska zachęta. Choć leżałem tam całkiem bezradny, nie odczuwałem żadnego wstydu z powodu ciągle jeszcze nieustającej erekcji, odnosiła się ona bowiem do naszej poprzedniej wspólnoty; niemniej wstać z materaca wydawało mi się przedsięwzięciem dość ryzykownym. Oczekałem chwilę, zamknąłem oczy. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że chcę zostać we dwoje. Pozbierałem ubrania, włożyłem koszulę, wciągnąłem gacie i spodnie, zapiąłem sandały, a oni, chyba niczego nie udając, po prostu zasnęli.

Nie wykonali żadnego wymierzonego przeciw mnie gestu. Ale przez następne dwa dni i tak czułem się jak ktoś, kogo za popełnione grzechy wypędzono z raju. Jednak to nie samo wypędzenie było trudne do zniesienia. Wyszedłem przecież z własnej woli, powodowany dobrze pojętym własnym interesem. Żałowałem przeżywaną wraz z nimi radość. Na drugi dzień w południe wróciłem pod dom na ulicy Szinva. W oknach mieszkania na drugim piętrze żaluzje były tak samo zasunięte. Bez wątplenia miałem nadzieję, że drzwi otworzy mi kobieta, wyobrażałem sobie, że będzie tam sama. Za wizjerem poruszyła się błyszcząca rozetka i spojrział na mnie mężczyzna. Po czym powoli, ostrożnie zasłonił wizjer. Bezszelestnie zszedłem po schodach. Nie rozumiałem, po co mnie wtedy zachęcał. Dwa dni błąkałem się po okolicy, czekałem, okrążałem dom w poczuciu, że mnie oszukano. Gdybym całkowicie pogрузzył się w ból, pewnie wszystko w moim życiu potoczyłoby się inaczej. Ból zmusiłby mnie do tego, aby dobrze przemyśleć wszystko, co się wydarzyło. Gdybym się dobrze zastanowił, mógłbym po pewnym czasie dojść do przekonania, że kochać własne ciało nauczyło mnie ciało mężczyzny, choć ani wtedy, ani nigdy później nie dotknąłem innego faceta. I poza wstydliwą ciekawością nigdy nie miałem takich pragnień. Poprzez ciało kobiety nawiązaliśmy jednak ze sobą jakiś dialog. Męskie ciało, ciekawe ciała kobiety, bezwiednie szukało wspólnej drogi we wspólnym rytmie ciał. I to przeżycie mi odebrano, ale nie tylko mnie, sobie także. A to, co mnie odebrali, spożytkowali dla siebie. Tak jak później ja sam wykorzystywałem to, czego się od nich nauczyłem. Ojcowskie przyzwolenie, które dostrzegłem w oczach mężczyzny, odnosiło się więc do przeszłości, a nie do tego, żebym do nich wrócił.

Oczywiście niczego sobie nie przemyślałem ani nie mogłem przemyśleć. Odwróciłem myśli, by skierować palącą potrzebę powrotu na bardziej tradycyjne tory. Później wypracowałem sobie pewien sposób postępowania. Nigdy więcej nie dotknąłem ani nie pocałowałem kobiety, nie zalecałem się, nie ganiałem za nimi, nie szalałem, nie pisałem listów miłosnych. Zachowaj rozum, mówiłem, spoglądając na siebie ojcowskim wzrokiem, którego nauczył mnie tamten nieznamy mężczyzna. Nie miałem świadomości, skąd znam ten wzrok, pełen wyższości i znajomości życia, ale posługiwałem się nim. I poniekąd posługuję się nim do dziś. A dziewczyny, przynajmniej te dziewczyny, z którymi chciałem się związać, zawsze okazywały się mądre. Trafiłem w pełen otwartości świat, wolny od zaborczości i wyłączności, w którym oparty na wzajemności związek łączy mnie nie z jedną wybraną osobą, lecz ze wszystkimi. Albo z nikim. Tymczasem moja matka, odkąd pamiętam, zabraniała mi

odwzajemniania uczuć; co z drugiej strony było bardzo rozsądną, instynktownie ostrożną decyzją. Kochała we mnie mężczyznę, którego utraciła i którego brak za cenę tragicznego fałszu zastępowała uczuciem do mnie. Zaoszczędziła mi w ten sposób udręki miłości, a ja dopiero dużo później zrozumiałem, że udręka jest takim samym elementem wzajemnych uczuć jak radość. Ale ja wszystkimi siłami broniłem się przed wszelką udręką. Nie zastanawiałem się też nad tym, że ktoś mógłby oczekiwać ode mnie odwzajemnienia podobnej temperatury uczuć, skoro moja powierzchowność zapewniała mi taką uprzywilejowaną pozycję. Co, ma się rozumieć, nie mogło mi wynagrodzić krzywd, jakie cierpiałem z powodu pochodzenia. Niemniej napięcie istniejące pomiędzy moją realną sytuacją a moją powierzchownością stanowiło wystarczającą motywację, bym próbował znaleźć swoje miejsce w świecie, który, jak wszystko na to wskazywało, czy mnie wielbił, czy odrzucał, nie rościł sobie pretensji do całego mojego życia.

Uwielbienie i zachwyty dotyczyły jedynie mojego fizycznego istnienia, odrzucenie – sytuacji społecznej. W przeciwieństwie do mojego przyjaciela, który ponad wszystko pragnął poznać, podbijać, poczuć, przywiązać do siebie i przywłaszczyć sobie tę drugą osobę, moja potrzeba poznania człowieka i posiadania go nie oznaczała pragnienia, by posiadać go w całości i w szalony, destrukcyjny sposób się z nim utożsamić, lecz była ograniczona pragnieniem uporządkowania mojego własnego życia. Każdemu z nas brakowało tej drugiej połowy. Ja miałem dom, ale nie miałem ojczyzny. On miał ojczyznę, ale nie miał domu.

W skupianiu się na wyznaczonych celach i koniecznych do tego samoograniczeniach nie mogłem być gorszy od niego. Na tym polegała moja wolność. Tak jak wykorzystywałem naturalne skłonności innych osób, podobnie ograniczałem te moje skłonności, które w danym momencie przeszkadzały mi w osiągnięciu wyznaczonego celu. To tyle, jeśli idzie o moralne usprawiedliwienie. Nigdy nie oczekiwałem od ludzi więcej, niż sam potrafiłem im dać. Raczej mniej. Przywykłem postępować z bezwzględny rozsądkiem, który z zasady wykluczał miłość. Moja pierwsza przygoda z czerpaniem cielesnej radości z pewnością zdeterminowała kolejne, ale i tak była tylko częścią dziającego się procesu. Jeśli człowiek zostaje zmuszony traktować siebie samego jako narzędzie, to w relacji z drugim człowiekiem także stanie się narzędziem. Jakość tej pierwszej przygody uznaję za równą jakości moich starań. Ale nie jestem ani wystarczająco głupi, ani wystarczająco bezduszny, by wypaliła się we mnie potrzeba odczuwania miłości. Nie miałem jednak w niej żadnego doświadczenia, dopadła mnie nieprzygotowanego, bo to miałem tylko w rozmaitych relacjach i związkach. Taki był mój bilans.

W istocie wizyta Rákosiego stała się dla mnie pierwszą inspiracją, by zdawać do Średniej Szkoły Wojskowej im. Franciszka Rakoczego. Nie rozumiałem, i do dziś nie rozumiem, w jaki sposób akurat mnie wybrano do tamtego występu, ale wybrano mnie, a sam ten fakt oznaczał, że nastąpi to, co wydaje się niemożliwe. Nie rozumiałem tego, bo przecież nim zawezwano mnie do gabinetu dyrektora, ktoś musiał sprawdzić moje pochodzenie. A nawet jeśli z jakiegoś powodu o tym zapomniano, to dlaczego nikt nie przywiązywał wagi do ostrzeżeń dyrektora? Pełen wyrzutu gest, z jakim przesunął palcem po czarnym kwadracie widocznym w dzienniku i pokazał go wszystkim wokół, trudno jest zapomnieć. W wołowej skórze wypala się piętno nie z przekonania, ale po to, by wołu można było odróżnić od pozostałych.

W miarę moich ograniczonych wiekiem dziecięcym możliwości zrozumienia sytuacji doszedłem do wniosku, że system, w którym żyję, nie jest w stanie być tak surowy we wprowadzaniu w życie swoich zasad, jak surowy i obojętny jest wobec ludzi, których poniża. Domyśliłem się, że jedynie w lukach i niedociągnięciach tego niepojętego i całkowicie absurdalnego w swojej surowości systemu będę mógł rozwinąć skrzydła. Nie potrafiłem

wprawdzie rozstrzygnąć, czy to oni wpadli w moją pułapkę, czy ja wpadłem w ich sidła, i wcale nie chciałem się tego dowiedzieć. Chciałem wejść do zamkniętej strefy. Ci, których tam zamknięto, też musieli kiedyś tam wejść. Warunkiem była znajomość rosyjskiego, ale nawet nie przyszedłoby mi do głowy uczyć się rosyjskiego, gdyby mój ojciec nie zginął w obozie jenieckim albo w przestrzelenym na sito samochodzie. Przez tę małą szczelinę tylko tak mogłem się prześlizgnąć, że w podstępny sposób zdradziłem niektóre moje rzeczywiste zamiary. Musiałem wydawać się wiarygodny, żeby w rezultacie być nieszczerym. Moją wejściówką była przystojna twarz i znajomość rosyjskiego, ale poprosili mnie o pewien drobiazg, żebym przysiągł.

Dlaczego nie miałbym się czuć godnym tego, by mówić w którymkolwiek z obcych języków? Fakt, w ten sposób w jakiejś mierze zdradziłem własnego ojca, a także mojego przyjaciela. Ale system po dwakroć wynagrodził moją wierność i służbę. Obnażył przede mną swój najślabszy punkt. Dowiódł, że mimo najlepszej woli potrafi gotować zupę tylko z tego, co rośnie w jego własnym ogrodzie.

Gdyby to wszystko stało się rok wcześniej albo gdyby zamknięta strefa zasadniczo różniła się od swojego ówczesnego otoczenia, gdyby rzeczywiście zaprowadzono mnie do marmurowej sali, a nie do urządzonego w mieszczańskim guście porządnego salonu, gdyby kakao nie było letnie i nie miało ohydneho kożucha, tak jak mleko w świetlicy, gdyby porządnie ubili pianę i nie była ona kwaśna i byle jaka, albo gdybym nie odniósł wrażenia, że szanowana wśród powszechnego strachu para małżeńska nie tylko z powodu niewyspania przyjmuje nas w takim minorowym nastroju, lecz wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na czas naszej wizyty zawiesiła na chwilę najzwyczajniejszą w świecie kłótnię, nawet bym nie pomyślał, że zmieszczę się cały w tej naturalnej szczelinie systemu. Surowość systemu oznaczała, że nie toleruje on i nie uznaje przypadkowości w ludzkim życiu. Nic zatem dziwnego, że szlag mnie trafiał na niezliczone przypadkowości, których pełne było nasze codzienne życie. W imię pojawiających się możliwości zrezygnowałem z dziecięcych marzeń, że kiedyś w przyszłości będę zawodowym oficerem. Byłem w szczelinie, wyczuwałem jej wielkość i zgodnie z jej regułami musiałem podejmować decyzje. A jednak moje rachuby okazały się błędne. Natychmiast dostałem prztyczka w nos.

Tego samego dnia, kiedy złożyłem kartę zgłoszeniową, której podpisanie wymusiłem na matce, zavezowano mnie do dyrektora. Okna były otwarte, ale jeszcze palono. Dyrektor stał oparty plecami o stygnący piec, kiedy wszedłem, długo się nie odzywał, tylko kręcąc głową, dawał wyraz swojej dezaprobachie.

Wreszcie odsunął się od pieca, przespacerował przez pokój i podszedł do biurka. Musiał mieć jakiś problem z kręgosłupem albo uraz, bo dziwnie stał, przechylony w bok, jak gdyby cały czas kołysał się na boki, i tylko przy ciepłym piecu potrafił rozprostować plecy. Ze sterty papierów wyciągnął moje zgłoszenie i podał mi je, mówiąc, że pewnie znam powiedzenie, że tylko raz był w Budzie psi targ.

Grzecznie wziąłem kartkę do ręki. Był z siebie bardzo zadowolony. Skinął ręką, że mogę już iść. A ja stałem w miejscu, co musiało go zirytować.

Czy sobie jeszcze czegoś życzysz?

Wydukałem, że nie rozumiem.

Byłby mną rozczarowany, powiedział, bo jestem nie tylko najlepszym uczniem w szkole, ale też tak samo mądrym, jak sprytnym. I żebym nie próbował przypadkiem go przechytrzyć. Gdyby nadał temu dalszy bieg, miałyby kłopoty. Lepiej żebym się zgłosił do takiej szkoły, w której moje pochodzenie nie będzie miało znaczenia. Nie twierdzi, żebym z taką średnią szedł



do zawodówki, ale technikum nie wchodzi w rachubę. Przy czym nie mówi też, żebym szedł do kościelnej szkoły średniej; nie pozostaje więc nic innego, jak tylko to, że pomogą mi znaleźć miejsce w klasie matematycznej w gimnazjum ogólnokształcącym. Mogę wracać do domu. Zwalnia mnie z lekcji. I mam wypełnić inne zgłoszenie.

Oczy zaszły mi łzami. Widziałem, że to zauważył. Miałem świadomość, że go tym nie wzruszę, jednak udało mi się wyrzucić na nim jakieś wrażenie. Czułem, że nic nie rozumie, myśli, że jestem smutny i zrozpaczony, a mnie chciało się płakać ze złości. Staliśmy po dwóch stronach długiego stołu. Na tym stole położyłem moje podanie. Może nie było to aroganckie, ale na pewno bezczelne. Jak gdybym mu powiedział, że może sobie nim podetrzeć tyłek. Skoro nie mogę go zabrać. Wydukałem jakieś słowa pożegnania i odwróciłem się do drzwi. Takiego pożegnania nie można było zresztą normalnie wypowiedzieć. Zgodnie z regulaminem powinienem powiedzieć, że „Naprzód, druhu dyrektorze!”. Nazwać druhem dorosłego mężczyznę, który rozwala mi przyszłość. Powiedzieć „naprzód”, skoro mam wyjść z gabinetu. Wskazał kartkę leżącą na stole i powiedział, żebym ją zabrał. Wyszedłem, udając, że w tym zamieszaniu nie dosłyszałem, co mówi.

Wyjść ze szkoły wczesnym przedpołudniem, bez teczki, już samo w sobie było czymś niezwykłym. Jesteś wolny. Nerwowo wciśnięta pod ławkę teczka jakoś przywiązuje do miejsca wiecznej niewoli. Igra z tobą dziwny wybryk losu. Wydaje się, jak gdyby to płynące w normalnym tempie poranne życie mogło tak samo należeć do ciebie, jak do kogokolwiek innego. Ale uczucie wolności dusi się na krótkiej smyczy. Byłem oszołomiony i aż gotowałem się ze wściekłości. Dopiero na przystanku kolejki przy Városmajor, kiedy wyciągałem z kieszeni pieniądze, zrozumiałem, dokąd właściwie się wybieram. Do domu nie było sensu wracać. Matki, która pracowała jako obcojęzyczna maszynistka w centrali handlu zagranicznego, nie chciałem denerwować kolejną aferą. I nim zdałem sobie sprawę ze swojego pomysłu i poczułem w nogach odwagę, już jechałem do miasta.

Do przyjaciela i frontowego towarzysza ojca, generała Eleméra Jámbora. Prosto do Ministerstwa Obrony Narodowej. Na tramwaj już nie starczyło mi pieniędzy. Jechałem bez biletu. Tylko raz odwiedziliśmy go w jego mieszkaniu, on nigdy u nas nie był. Matka jednak była pewna, że to on jest nadawcą pieniędzy, które przychodziły do nas pocztą regularnie raz w miesiącu. Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, na moje urodziny dostawałem od niego prezenty i króciutkie liściki, na które musiałem odpowiedzieć i króciutko podziękować. Granatowy marynarski płaszcz ze złotymi guzikami, który mój przyjaciel opisuje w swoich wspomnieniach, też był prezentem od niego. Mama uważała za całkiem prawdopodobne, że tylko dzięki jego cichemu wstawiennictwu uniknęliśmy wysiedlenia. Później w wyniku okrutnego zwrotu wydarzeń mogliśmy odwdziżyć się jego rodzinie za wyświadczoną pomoc. W końcu listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku aresztowano go, by wiosną skazać na śmierć. Wdowa po nim straciła pracę, a musiała wychowywać dwie córki w moim wieku.

Podoficer pełniący służbę przy wejściu do budynku powiedział, że towarzysz generał jest w tej chwili zajęty. Ponad godzinę kręciłem się po okolicy. Na ulicy Miksy Falka znajdował się sklep zoologiczny; na wystawie stały klatki z ptakami i akwaria. Obserwowałem ryby, jak ciągle wracają do szklanej ściany. Otwierają pyski i połykają jakiś niewidoczny pokarm. Przy tej samej ulicy, trochę dalej, z płaczem wybiega z bramy zapłakana dziewczyna. Pędzi, jak gdyby ktoś ją gonił, nagle przystaje i się odwraca. Moje zaciekawienie przykuwa jej wzrok, wzrusza się i wybucha płaczem. Jak gdyby chciała wpaść w moje ramiona, ale biegnie z powrotem i znika w bramie. Jeszcze chwilę czekam, a nuż wyjdzie na ulicę. I idę pod Parlament. Plac jest pusty.

Z pewnej odległości obserwuję, co dzieje się w bramie prawego skrzydła. Od czasu do czasu podpływa czarna barka, brama się otwiera, ktoś wsiada do środka. Dostojny chromowy blask ginie w świetle południowego słońca. Nikt nie wychodzi z bramy. Wreszcie uznałem, że już czas. Strażnik się złościł, ale zadzwonił na górę. Zastłaniając dłonią słuchawkę i usta, powiedział moje nazwisko, śmiejąc się przy tym, że to bardzo nachalne dziecko. Rozmawiał z kobietą, wyczułem to w jego głosie. Wpuścili mnie do hallu, usiadłem w fotelu. Kiedy tam czekałem, zajmowała mnie niemiła myśl, że nie wiem, co się stanie z moją teczką, jeśli nie uda mi się wrócić do szkoły do końca lekcji.

Mogło być około czwartej po południu, kiedy wreszcie udało mi się wejść do przyjaciela mojego ojca. Podoficer wprowadził mnie na czwarte piętro, generał szedł właśnie korytarzem pełnym błyszczących luster. Położył na moim ramieniu ciężką dłoń, uważnie mi się przyjrzał, jak gdyby mówiąc, że nie ma tragedii, i wprowadził mnie do sali, w której przed chwilą prowadzono jakieś wojskowe rozmowy. Na to wskazywały zrolowane mapy. W powietrzu wisiał ciężki dym; na długim stole ze szklanym blatem stały puste filiżanki po kawie, szklanki do wody i popielniczki pełne niedopałków. Kazał mi usiąść, okrążył stół i usiadł wygodnie po drugiej stronie. Zapalił papierosa. Nie odezwał się jeszcze ani słowem, ja też niczego mu nie tłumaczyłem. Był łysy, mocno zbudowany, na silnych rękach połyskiwały jasne włoski. Widziałem, że nie tylko od dymu papierosowego mruga wesoło, ale chyba mu się spodobałem i mierzy mnie wzrokiem. Mówił takim samym miłym, pełnym humoru głosem jak większość dorosłych. Zapytał, co mnie do niego sprowadza.

Kiedy mu o wszystkim opowiedziałem, zastukał w szklany blat czarnym sygnetem. Powiedział, że szkoła wysłała moje zgłoszenie. To może mi obiecać. Co oczywiście nie znaczy, że mnie przyjmą. Szanuje moje postanowienia, ale nie może mi niczego zapewnić. Jednak niezależnie od tego, czy mnie przyjmą, czy nie, w przyszłości będę musiał sobie radzić sam.

Zgasił papierosa i wstał. Okrążył stół, ja też wstałem, znów położył dłoń na moim ramieniu, ale już nie takim opiekuńczym gestem. I nie tylko dlatego muszę tak postępować, że jego możliwości są bardzo ograniczone, ale z tego powodu, że ten, kto nie nauczy się gospodarować swoimi możliwościami, nie będzie w stanie właściwie ocenić swojej sytuacji. I mój ojciec powiedziałby mi to samo. Mówił cicho. Nie zdejmując ręki z mojego ramienia, odprowadził mnie do drzwi.

Moje podanie o przyjęcie do szkoły w miesiąc później odrzucono bez podania przyczyn.

Na pytania uparcie powtarzane przez mojego przyjaciela z takim samym uporem odpowiadałem kilkoma zdawkowymi słowami. Prawdopodobnie to kazało mu się domyślać, że rozgrywa się tu jakaś walka. Wiedziałem, że boi się mnie stracić. Miał nadzieję, że moje plany się nie zrealizują i pójdziemy do tego samego gimnazjum. Ale mnie tak samo to nie interesowało, jak jego nie interesowały moje marzenia. Nie było żadnej walki. Matka wyraźnie się cieszyła. Prém wziął uszy po sobie i poszedł uczyć się na mechanika samochodowego. Pozostałem sam wraz z moim szaleństwem. Czułem wobec przyjaciela mojego ojca potworny gniew. Nie rozumiałem, dlaczego nie chce mi pomóc. Tak samo jak dziecko wiecznie spragnione czekolady nie pojmuje, dlaczego dorośli nie jedzą jej od rana do wieczora, choć mają w kieszeni pieniądze. Zrobiłem coś wręcz przeciwnego, niż wtedy po ojcowsku mi poradził. Czy raczej, z wściekłości, zrobiłem dokładnie to, co mi odradzał.

Napisałem, a właściwie wystukałem na maszynie list do premiera Istvána Dobiego. Kopię tego listu zniszczyłem dopiero, kiedy zauważyłem, że żona grzebie w moich papierach. Wstyd powstrzymuje mnie przed tym, żeby dokładnie zacytować słowa dziecka, które utraciło własną

godność. Napisałem, że zaszczyt, jakim było dla mnie osobiste spotkanie z sowieckimi ludźmi, druhem Rákosim i jego małżonką, stał się w moim życiu przełomowym momentem. Dalej, że w naszej rodzinie panuje tradycja miłości do sowieckiego człowieka i że ja sam, idąc w ślady mojego ojca, nauczyłem się języka rosyjskiego. I tak wypływałem na coraz głębsze wody. Przyznałem, że mój ojciec został zmuszony do wzięcia udziału w niesprawiedliwej wojnie z sowieckimi ludźmi, ale proszę, żeby wzięto pod uwagę jego konsekwentnie antyniemiecką postawę. Na zakończenie obiecałem, że całe moje życie poświęcę naprawieniu popełnionych przez niego błędów. Moje słowa chciałem poprzeć dokumentami. Przez całe moje dotychczasowe życie nie zrobiłem niczego, czego musiałbym się bardziej wstydzić. Do listu dołączyłem cztery zeszyty w kratkę, jego frontowy dziennik.

Nie mam pojęcia o literaturze operowej, na balecie nie znam się w ogóle. Kiedy widzę na scenie tańczących i śpiewających artystów, jednocześnie odczuwam zachwyt i niechęć. Pokazują bowiem coś takiego, czego dorosły, zdrowo myślący człowiek nigdy nie zrobiłby publicznie. Ale wprawia mnie w dziecięcy zachwyt to, że potrafią być tacy bezwstydni. Głosy, ciała, dekoracje, cała ta nadmierna operowa pompa w takiej mierze mnie odrzuca, że przekroczyć próg tego budynku jest dla mnie wielką próbą sił. Jak gdybym siedział w pudełku z pudrem, a ktoś wciskał mi w usta landrynki. Kiedy kurtyna idzie w górę, czuję skurcz żołądka albo muszę zamknąć oczy, i wtedy, nawet nie zauważywszy, zasypiam przy dźwiękach wielkiej muzyki. Tamtego listopadowego wieczora dostaliśmy miejsca nie byle gdzie, obok wielkiej carskiej łoży.

Nie wiem, jak zazwyczaj gra się tę operę, ale podczas tamtego przedstawienia za kurtyną, którą podniesiono przy pierwszych dźwiękach uwertury, widoczna była kolejna kurtyna. Uszyta ze srebrnych jedwabi, złotych muślinów, grafitowych tiuli, surowych workowych płócien i z wielkich, brudnych szmat zszytych czarnymi szwami, nałożonych miękko jedna na drugą. Podczas gdy muzycy zawzięcie grali, warstwy te powoli, wcale nie w rytm muzyki, ktoś przesunął, ciągnął, na naszych oczach wprawiał w ruch. Tak długo, aż pojawił się za nimi plac Czerwony. A tam tańczył tłum z dymiącymi pochodniami, płonącymi świecami i bujającymi się lampionami; w końcu zrozumiałem, że ta zasłona miała symbolizować powoli rozwiewającą się poranną mgłę.

Z hotelu zabrano nas dwiema wielkimi czarnymi limuzynami, ale choć znalazłem się z tamtą dziewczyną w jednym samochodzie, to szybko pożałowałem, że z nimi pojechałem. Poza ukrywaną, ledwie okazywaną sobie radością z ponownego spotkania nie bardzo wiedzieliśmy z moim przyjacielem, o czym mamy mówić. Byłem zmęczony, roztargniony z powodu dziewczyny. Poza tym fakt, że oni zdążyli już to i owo wypić i zachowywali się hałaśliwie, utrudniał nam kontakt, a ja nie miałem ochoty na alkohol. Wysilek, z jakim wzajemnie ukrywaliśmy przed sobą radość ze spotkania, w obydwu z nas powodowała nieprzyjemne napięcie. Dziewczynę mogłem przynajmniej obserwować, mieć na oku, ale nie mogłem się do niej zbliżyć. Dawała mi do zrozumienia, że sobie tego nie życzy i jeśli tylko zrobię jeden nieostrożny ruch, będzie zmuszona publicznie mnie pohamować, a wtedy będę musiał z niej zrezygnować. A więc ona też nie chce zrezygnować ze mnie. Jeszcze nie. Unikaliśmy swojego wzroku, ale nie mogliśmy uniknąć chęci patrzenia na siebie. Wzajemnie trzymaliśmy siebie w napięciu. Pozwoliłem sobie tylko na tyle, że kiedy zdjęła futrzany kołnierz, uprzejmie jej pomogłem. Podziękowała mi z podobnie do niczego niezobowiązującą uprzejmością. Napięcie brało się z tego, że obydwójce usiłowaliśmy ukryć przed pozostałymi wzajemne zainteresowanie sobą. Co nie mogło do końca się udać, gdyż tę czwórkę i towarzyszącą im tłumaczkę łączyły więzi wspólnej podróży i popołudniowej wesołej popijawy. Byłem wśród nich

obcym elementem.

Jeden z nich, brodaty, zwracający uwagę swoim wyglądem młody mężczyzna, wyraźnie gotów był mnie zaatakować. Wydawało mi się całkiem prawdopodobne, że dziewczyna dlatego z taką rezerwą rozmawiała przez telefon, że nie była w pokoju sama. Młody brodacz przyglądał mi się, a ja przyglądałem się jemu. Jak się później okazało, moje podejrzania nie były bezpodstawne. Mój przyjaciel i trzeci z mężczyzn obserwowali, co będzie dalej. Tłumaczka zaś z miłym, opiekuńczym, matczynym ciepłem czuwała nad całym towarzystwem. A ja uprzejmie, jak wypada gościowi, przepuściłem ich przodem. Usadowiłem się obok tłumaczki w dobrotliwym mroku łoża. Dziewczyna siedziała przede mną oparta o balustradę. Widziałem jej nagą szyję. Niesforne włosy spięła w kok. Czuła, drżąc, że patrzę na jej kark. Albo chciała dać mi do zrozumienia, że wie, kiedy patrzę na scenę, a kiedy na jej gołą szyję.

Kiedy rozpląnęły się ostatnie jedwabie i łańchmany porannej mgły, oczywisty stał się zamysł stojący za znikającą niczym mgłą kurtyną. Na scenie na przemian pojawiały się jedwab i łańchmany; stłoczeni razem, ale widoczni w łatwych do odróżnienia grupach tańczyli bogaci i biedni. Księżniczki kapiące złotem, otuleni futrami pijani bojarzy, rozwiązli popi i handlarze oddający się frywolnym swawolom z półnagimi kurtyzanami w jedwabiach, kaleki odziane w gnijące szmaty oraz wijący się w zakrwawionych bandażach ranni, półnadzy żebracy, cyrkowcy, kuglarze, kupcy oferujący swoje nędzne towary, a wśród najrozmaitszych włóczykijów i gapiącego się tłumu wieśniacy w ludowych strojach, młode dziewczki i przystojne chłopaki. Było mi niedobrze od tego nadmiaru. Miałem ochotę wyjść. I pojechać na ulicę Pierwszego Maja. Tam, gdzie na mnie ktoś czekał, gdzie nie czułbym się tak bardzo nie na miejscu. Gdzie każdego rana kręciły się wokół mnie trzy kobiety w wielkich różowych stanikach z satyny i jeszcze większych różowych majtkach, a ja leniwie się drapałem. Szukając dobrego motywu do nagłego zniknięcia, pomyślałem nawet, że siedzieć w teatrze w dzień po śmierci swego nauczyciela to ze strony ucznia naprawdę brak wyczucia.

Na scenie tańczono już na dobre, kiedy brodacz położył dłoń na spoczywającej na balustradzie ręce dziewczyny. Pochylił się i szepnął jej coś do ucha. Zaczęli między sobą szeptać. Widziałem, że mają w tym wprawę. A to już zaciekało tamtych dwóch. Wyciągali szyje, też chcieli coś usłyszeć. Brodacz, nie puszczaając ręki dziewczyny, zaczął jej coś tłumaczyć. Mój przyjaciel usłyszał tylko dwa pierwsze słowa i natychmiast pochylił się nad dziewczyną za plecami brodacza. Coś do niej powiedział. Obydwoje wybuchli śmiechem. Dziewczyna odchyliła w tył głowę, żebym i ja mógł zobaczyć jej śmiech, i wysunęła rękę spod dłoni mężczyzny. Co też było dla mnie jakimś znakiem. Przyszła kolej na mnie, nie mogłem wyjść. Ale rzadko kiedy czułem się tak źle, jak wśród tej wrzawy, wiercenia się i śmiechu, którym wybuchali. Niby do nich należałem, a nie miałem z nimi nic wspólnego. Rozumiałem ich zabawę, ale nie miałem ochoty brać w niej udziału. Od tej chwili cokolwiek działo się na scenie, wszystko ich rozśmieszało. Nie potrafiłem jednak zapomnieć o panującym w teatrze odświeżonym nastroju i od tej chwili już patrzyłem na scenę ich oczyma.

Nie ulega wątpliwości, że to nie najlepszy artystyczny pomysł oprzeć choreografię baletu na konflikcie klasowym i walce klas. Poza tym uwertura tej opery nie nadawała się do tańca. Mimo to sposób, w jaki wyrażali swą ocenę, budził mój sprzeciw. Bałem się, że awantura jest nieunikniona. I rzeczywiście była nieunikniona. Wreszcie gorliwa w swoim patriotyzmie tłumaczka syknęła i ostrożnym, pełnym strachu ruchem palca spróbowała przywołać ich do porządku. I tylko dołała oliwy do ognia. Jak dobra nauczycielka, która ostrzegając uczniów, sama drży ze strachu, żeby dyrektor nie zauważył złego zachowania wychowanków. Nie patrzyli

na siebie, tak sędzę, ale na scenę tylko zerkali. Tłumaczka niczego z tego wszystkiego nie rozumiała, mówiła do nich ze swoim miękkim akcentem. Co chwilę parskali śmiechem, to pękali ze śmiechu, to dusili go w sobie; co tylko przyspieszało i wzmacniało kolejne wybuchy.

Nie wiem, ilu tancerzy tańczyło na scenie. Bardzo wielu. Tak wielu tancerzy naraz rzadko się widzi. Kiedy zaś wraz z końcem uwertury za solistami zwycięsko wychodzącymi na scenę z bojowymi sztandarami i kościelnymi chorągwiami pojawił się nowy tłum, radośnie śpiewający chór, na scenę wkroczył tłum biedaków, wśród dudniącego bicia dzwonów na drucie za ażurowymi murami Kremla zaczerwieniło się wstające słońce, wówczas w łoży rozpętało się piekło. Zaczęli się poklepywać, bekać, chrząkać. Tłumaczka, chcąc ich uspokoić, przerażona zaczęła ich uderzać. W sąsiednich łożach wybuchła wrzawa sprzeciwu. Zduszone okrzyki wściekłości, pełne gniewu posykiwania, wrzaski wyrażające niezrozumienie. Straciłem głowę. Podskoczyłem z miejsca i uciekłem z sali.

Drzwi łoży wychodziły nie na korytarz, ale na wytapetowany czerwonym jedwabiem, pięknie oświetlony salon. Byłem zirytowany, wściekły, jednak poczułem pewną ulgę, że cokolwiek tam się wydarzy, ja nie będę w tym uczestniczył. Zabrałem mój płaszcz. Kiedy go włożyłem, rozwarły się drzwi wyścielonej jedwabiem łoży i przy akompaniamencie głośnej basowej arii wyskoczyło z niej czworo wczepionych w siebie, chichoczących szaleńczym śmiechem Węgrów. Przez chwilę widziałem stojącą w mroku zrozpaczoną tłumaczkę. A oni zatrzasnęli jej drzwi przed nosem. Ryczeli ze śmiechu, dotykając się, popychając, macając, wrzeszcząc i porykując. Ich śmiech raz był perlisty, raz miał w sobie coś z wycia i coś z charczenia, a teraz właśnie wyrzucono ich z łoży. Jeśli idzie o mnie, to chciałem jak najszybciej położyć kres tej scenie. Dziewczyna i brodacz, trzymając się w objęciach, wpadli na wytapetowaną ścianę. Brodacz osunął się na ziemię. A mnie może udałoby się uciec, gdyby mój przyjaciel, celowo czy niechcący, nie puścił swojego towarzysza tak, że sam wpadł na mnie. Złapałem go. Patrzyliśmy sobie w oczy. Nie potrafiłem powstrzymać dezaprobaty i gniewu, który, tak samo jak przed godziną radość z ponownego spotkania po latach, przypomniał mi mrok dzieciństwa. I poczułem, że trzymam dłoń na jego plecach. Potrzęsnałem nim. Jesteście błaznami, pajacami, rozumiesz?, głupimi pajacami! Powiedziałem, a raczej wykrzyczałem. Twarz mężczyzny natychmiast się wygładziła, ale spojrzał na mnie z nieodpartą nienawiścią. A ty jesteś przeklętym karierowiczem, rzekł. Byłeś gównianym Julienem Sorelem i taki już zostałeś. Ty bananowy śmieciuchu. I coś jeszcze. Z jego oczu nie znikła nienawiść, a w głosie pojawił się sztuczny, cyniczny ton, jakiego nigdy u niego nie słyszałem. Sam się z niego wydobywał. W niespodziewanej ciszy usłyszeli go także pozostali. To był najlepszy moment, by to wyjawić, skrzypiał tym swoim dziwnym głosem, byłem w tobie zakochany na śmierć, tchórzliwy gnojku.

Dziewczyna z pobłażliwą pogardą gapiła się na moją bezbronność. No proszę, powiedziała i ruszając w stronę drzwi, z politowaniem dotknęła mojego ramienia. Żeby mnie dobić. I zrobiła dzióbek. Jeszcze słyszeliśmy muzykę. We czwórkę staliśmy w salonie, każdy po jego innej stronie. Wyjęła spinę i rozpuściła włosy. Potrzęsnała głową i wyszła.

To, co stało się potem, bardziej przypomina scenę z bajki. Kroczyła w dół po miękkim czerwonym dywanie. Jej nogi w pięknych pończochach schodziły po schodach. Szliśmy za nią w milczeniu, nieźle zmordowani. Za nami cichły ostatnie takty opery. Na pierwszym piętrze rozwarły się przed nami szklane drzwi do niegdysiejszej carskiej sali recepcyjnej. W roziskrzonym świetle kryształowych żyrandoli suto nakryte stoły czekały na gości. Stół ustawiony w literę „U” biegł wzdłuż ścian. Poza nami nie było tam nikogo. A ona, nie dając po

sobie poznać konsternacji czy zaskoczenia, po prostu weszła. Pozostali z rezerwą dotrzymywali jej kroku. Obeszła wokół stół zastawiony przystawkami, owocami, alkoholem i słodyczami, udekorowany roślinami oraz koszami pełnymi kwiatów, aż lśniący od sreber, kryształów i porcelany. Wzięła do ręki talerz, serwetkę, widelec i nałożyła sobie potrawy. Pozostali radośnie się roześmiali i zmieszani poszli w jej ślady. W ciągu kilku chwil znów byli tam, gdzie skończyli w łoży. Ale teraz zajęci sobą w milczeniu. Pili i się nażerali. Znalazłem butelkę z wódką, nalałem sobie i wypilem. Potem podszedłem do niej i zapytałem, czy pójdzie ze mną. Właściwie ona zachowywała się najperfidniej. Nie żarła tak jak oni, ale ze stoickim spokojem, przechodząc od talerza do talerza, nakładała odrobinę, wszystkiego próbowała, wszystko rozgrzebywała i wszystko niszczyła. Z niewzruszonym wyrazem twarzy. Kiedy się do niej odezwałem, spojrzęła na mnie. Nie, powiedziała, patrząc mi prosto w oczy. Bardzo dobrze się tu bawi.

Śnieg padał i padał. Ulice wypełniał radosny, pełen życia gwar, z cichnących w grubej warstwie śniegu odgłosów ulicznego ruchu można się było domyślać, że już zaczęły się święta. Tu i tam zataczali się pijani. Wróciłem spacerem do hotelu. Wyjąłem z lodówki wódkę i postawiłem obok telefonu. Piłem i czekałem na nią. Później dzwoniłem, co chwilę, w coraz to krótszych odstępach. Odebrała dopiero po północy, była już sama.

Mniej więcej tyle mogę, czy tyle chciałem, opowiedzieć o sobie.

Po tym przypadkowym moskiewskim spotkaniu mojego przyjaciela nie widziałem wiele lat. Czasami gdzieś mignęło mi jego nazwisko. Jego felietony o szukających swojego miejsca w świecie, lekkomyślnych i szarpiących się z życiem młodych ludziach czytałem, jak gdyby mówiły o moim życiu. Minęło ponad pięć lat, kiedy kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia musiałem polecieć do Zurychu. Zostawiłem samochód na lotniskowym parkingu; jechałem tylko na dwa dni. Kiedy po powrocie wyszedłem z hali przylotów, jak zawsze nie mogłem znaleźć kluczyków. Ani w płaszczu, ani w kieszeniach spodni. Szukałem wszędzie. Czyli muszą być w torbie. Albo je zgubiłem, co by mi się przydarzyło nie po raz pierwszy. Moje rzeczy też się mnie nie trzymają. Miałem tylko podręczny bagaż, koszule, dokumenty i torbę z marketu wypchaną prezentami. Wszystko położyłem na bagażowym wózku. Znow zacząłem szukać kluczy.

Grzebiąc wszędzie, zauważyłem, że ledwie na wyciągnięcie ręki ktoś siedzi przy betonowej balustradzie schodów, ale przyjrzałem mu się dopiero, kiedy odnalazłem klucze w jednej ze skarpetek. Siedział tak blisko mnie, że nawet nie musiałem głośno się odezwać.

Przyjechałeś czy lecisz, zapytałem, jak gdyby to było najoczywistsze pytanie na świecie; tymczasem widziałem, że coś jest nie w porządku. To nie była ani pora roku, ani miejsce, ani godzina, żeby ktoś tu siedział. Zmierzchało, opadała mokra mgła, już paliły się latarnie, panował nieprzyjemny wilgotny chłód. Podniósł na mnie wzrok, nie byłem pewien, czy mnie poznał. A nawet, nim pokręcił przecząco głową, przypuszczałem, że go z kimś pomyliłem.

Czekasz na kogoś, zapytałem.

Powiedział, że nie, na nikogo nie czeka.

To co tu robisz, zapytałem z lekką irytacją.

Znow pokręcił głową w milczeniu.

Przez te pięć lat na pewno nie zmienił się bardziej ode mnie; wychudzona, sucha twarz, łysiejące skronie, siwiejące włosy jednak mnie zaskoczyły. Wyglądał jak ktoś, z kogo wyciśnięto ostatnią kroplę wody. Był zasuszony i zmięty.

Podszedł bliżej, wskazałem na kluczyki, mówiąc, że chętnie podwiozę go do miasta.

Pokręcił głową, że nie trzeba.

Zapytałem, to co, do licha, tutaj robi.

Nic, odpowiedział.

Siedział pomiędzy dwiema wypchanymi walizkami. Przy rączce każdej z nich wisiała karteczka Interflugu na lot z Berlina. Czyli nie leciał, ale wrócił. Wcisnąłem mu do ręki moją torbę, chwyciłem walizki i bez słowa ruszyłem w kierunku parkingu. Nie słyszałem za sobą kroków. Nim znalazłem samochód i umieściłem w bagażniku walizki, stał obok mnie z moją torbą. Podał mi ją, a w jego twarzy malowała się przerażająca obojętność.

I zdecydowanie. Dużo większe niż kiedykolwiek wcześniej. Mimo łagodnych rysów w tej twarzy była siła. Znikła z niej dziwna dwuznaczność, która zaskoczyła mnie podczas poprzedniego spotkania. Czysta, bezchmurna twarz. Jak gdyby nie był obecny we własnej twarzy. Jak gdyby uwolnił się od samego siebie. Była wysuszona. To najlepsze określenie.

W samochodzie zawsze mam bałagan. Musiałem więc zrobić miejsce, poprzetrzucać najrozmaitsze przedmioty na tylne siedzenie. Starąłem się działać szybko i zdecydowanie, w obawie, że w każdej chwili zostawi swoje walizki i zniknie mi z oczu. Przestraszyłem się jego obojętności. Stał tam, jak gdyby go nie było.

Jechaliśmy już drogą szybkiego ruchu, kiedy poczęstowałem go papierosem; podziękował, ja zapaliłem.

Powiedziałem, że odwiozę go do domu.

Nie, tam nie.

Zapytałem, dokąd mam go zawieźć.

Nic nie odpowiedział.

Nie umiem powiedzieć, dlaczego, ale musiałem na niego zerknąć. Nie czekałem przecież na odpowiedź. Wiedziałem, że nie umie udzielić mi odpowiedzi, bo odpowiedzi nie ma. On nie ma domu. A jak ktoś nie ma domu, to o tym nie można mówić. W równomiernym tempie posuwaliśmy się wzdłuż zakręcającego po łuku oświetlenia, dlatego później musiałem jeszcze raz odwrócić głowę, by się przekonać, czy dobrze widziałem. Płakał. Nie widziałem jeszcze nigdy tak płaczącego człowieka. Jego twarz była sucha i obojętna. Taka sama jak przedtem. A jednak z oczu płynęły łzy i skapywały wzdłuż nosa.

Powiedziałem, żeby jechał do nas. Jutro przecież Boże Narodzenie. Niech zostanie z nami. Nie, tak nie.

Chciałem powiedzieć coś zwyczajnego na pocieszenie. Powiedziałem, że na pewno będzie padał śnieg. Musiało to zabrzmieć dość głupio, przez długi czas nie wiedziałem, jak się odezwać.

Z wyjątkiem dzieci nikt nigdy nie wzbudził we mnie tak głębokiego przekonania, że jestem mu potrzebny. Gdybym musiał wyciągnąć go z wody czy odciąć ze sznura, zapewne nie czułbym niczego podobnego. Ale on nie sprawiał wrażenia, jak gdyby chciał pożegnać się z życiem. Jego cielesna powłoka nadal żyła. Nie było potrzeby, żebym wykonywał jakiś bohaterski gest. Nie wiedziałem, co się z nim wydarzyło, i wcale nie byłem ciekaw. Nie musiałem go ratować. Człowiek zazwyczaj czuje, kiedy może zadawać pytania, a kiedy nie. Miałem się nim tylko opiekować i nie było to niemiłe uczucie. Umilkły w nim wszelkie emocje, a kiedy czegoś brak, odzywają się we mnie proste, praktyczne odruchy.

Dojechaliśmy do miasta. Zawsze, kiedy tamtędy przejeżdżam, muszę spojrzeć choć na chwilę na ogromny budynek Ludoviki, miejsce, w którym przeżył swoje życie mój ojciec. Potem jest Klinika Chirurgii przy ulicy Üllői, gdzie przed dwoma laty w sali na drugim piętrze zmarła moja matka. Właśnie tu, pomiędzy tymi dwoma budynkami, poczułem palącą potrzebę podjęcia decyzji, dokąd jedziemy. Nie patrzyłem na niego.

Powiedziałem, że mam jeszcze jeden pomysł. Tylko muszę wiedzieć, czy upiera się, żeby zostać w mieście.

Nie, w ogóle przy niczym się nie upiera. Ale na serio prosi, żebym sobie nie robił żadnych kłopotów. Żebym go wysadził. Gdziekolwiek. Przy bulwarze. Tam wsiądzie w tramwaj.

Powiedziałem, że nie ma mowy. Tramwaj zabrzmiał mi fałszywie. Ale jeśli nie ma nic przeciw temu, żeby spędzić ze mną trochę czasu, to gdzieś sobie pojedziemy.

Nie odpowiedział.

Trochę później poczułem jednak, że do jego pustego ciała jakby wróciło życie, a to znów przypomniało mi pewne odległe uczucie. Samochód był już dobrze nagrany. Być może zmyliła mnie ta sztucznie wytworzona temperatura; ale dzięki niej wydawało mi się, że jest wspaniale i że nic nie mogło być prostsze, niż jest.

Mój dziadek ze strony ojca był bardzo zamożnym człowiekiem; miał młyny, handlował zbożem, zajmował się nawet handlem ziemią. Dziś już niemal niepodobna wyobrazić sobie tamtego krótkiego okresu w historii Węgier, czasu pulsującego zapalem przedsiębiorców, kiedy z dnia na dzień można było zdobyć wielki majątek. Jest dla nas niezrozumiały, gdyż historia węgierskiej gospodarki już od ostatnich dni średniowiecza była historią ciągłych, powodowanych najróżniejszymi czynnikami, stagnacji i niekończących się stanów wyjątkowych. A że istniała jednak taka epoka, wiemy stąd, że większość z nas uczy się w szkołach, pracuje w instytucjach publicznych, leczy się w szpitalach, pozbywa się brudnej wody w rurach kanalizacyjnych, które zbudowano jeszcze wtedy. Być może wielu z nas nie podoba się monumentalny styl ówczesnych budynków, ale cenimy je za ich trwałość. W tamtych latach, na samym początku wieku, mój dziadek zbudował sobie dwa domy. Całoroczną letnią willę na Szwabskiej Górze, w której mieszkaliśmy do śmierci mojej matki, i dostojny, romantyczny, piętrowy domek myśliwski. Dziadek lubił polować na drobną zwierzynę i znalazł na domek miejsce niedaleko Budapesztu, gdzie mógł oddawać się swojej pasji. Na równinie, bezpośrednio nad brzegiem Dunaju, mógł tam polować: w zaroślach terenów zalewowych na dzikie kaczkę i łyski, a na otaczających je piaskach na bażanty i zające.

Nie mogę zdradzić, jak nazywała się ta wieś. Później wyjaśnię, dlaczego. Właściwie powinienem zrobić tak, jak robili rosyjscy klasycy w swoich powieściach, kiedy oznaczali gwiazdką nazwy niektórych miejscowości. Tak oznaczano nazwy miejscowości, które w swoim wyrazistym charakterze odróżniały się od innych, przez co miały na mapie swoje dokładne miejsce, mimo że w tym wielkim kraju mogłyby równie dobrze znajdować się gdzie indziej. Ja jednak, aby uniknąć nieprzyjemnych konsekwencji zidentyfikowania tychże, muszę zrezygnować z podania ich nazw. Ale z całą perfidią mogę zdradzić, że jeśli wyruszymy od kamienia milowego o numerze zero i będziemy jechać z przyzwoitą prędkością, to mniej więcej w ciągu godziny dojedziemy do miejscowości, w której byliśmy tamtego popołudnia.

Chciałbym jeszcze tylko opowiedzieć o tym, że siostry mojej matki, Ella i Ilma, w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku musiały opuścić swój zbombardowany dom. Jeszcze w latach pięćdziesiątych widziałem jego nieuprzątnięte ruiny. Wróciły tam zaraz po oblężeniu Budapesztu. W ostatniej chwili. Do domu włamano się, ale dziwnym zbiegiem rzeczy zginęło tylko kilka przedmiotów. Brakowało jedynie narzędzi ogrodniczych w komórce. Z sali myśliwskiej na dole zginęły jeszcze dwa ogromne kilimy z Torontál, których kawałki po latach ciotki znajdowały w rozmaitych psich budach. W tamtej wsi nie kwaterowali Niemcy ani Rosjanie. Poszli dalej. Kradli najpewniej miejscowi, ale oni chyba też nie mieli czasu dobrze się do tego przyłożyć, bo kiedy moje ciotki wróciły, dla wsi nastały ciężkie dni.



Kilka dni wcześniej trzech rosyjskich dezertersów przepłynęło przez zamrzniętą rzekę. Rekwirowali wino, palinkę, kurczaki i kaczki. Aż wreszcie znaleźli dom, w którym mieszkały z owdowiałą matką trzy panny na wydaniu. Ani matka, ani córki nie miały nic przeciw uczcie ze skradzionych wiktuałów. Piekli mięso, gotowali, jedli, pili, tańczyli i strzelali sobie w najlepszych humorach. Dom znajdował się na skraju wsi, w podmokłej niecce pod cmentarzem. Świadkowie do dziś z wielką obawą opowiadają o tym, co się tam wydarzyło. Twierdzą, że zabawa trwała dwa dni i dwie noce i że nawet nie zasłonili w oknach firanek. Cała wieś zamarała. Przez te dwa dni nikt nie odważył się wyjść za próg własnego domu. Drugiego dnia wieczorem jacyś osobnicy zaczęli strzelać do okien. Strzelali z pistoletu i z broni myśliwskiej, z pagórka, na którym leżał cmentarz. Pierwsze strzały zraniły dziewczynę, jeden z Rosjan dostał postrzał w brzuch i zmarł z upływu krwi. Dwaj pozostali odpowiedzieli ogniem. Ślady po kulach zostały do dziś na starych kamieniach nagrobnych. Walka jednak była nierówna, gdyż po poprzedniej strzelaninie ich karabin maszynowy miał już prawie pusty magazynek. Mieli tylko tyle amunicji, by ochraniając się nawzajem, zawrócić na brzeg. Matka w ślad po tym powiesiła się na strychu. Zrozumiała to, co dali jej do zrozumienia. A na drugi dzień pojawiła się we wsi rosyjska milicja wojskowa. Ranną dziewczynę zabrano. Po południu moje ciotki pieszo doszły do wsi. Przesłuchania, stawianie pod ścianą, przeszukiwania domów i aresztowania niczego nie dały. Nie znaleziono ani żadnych śladów, ani broni. W takiej małej wsi wszyscy są ze sobą spokrewnieni. Żeby pochować wdowę, Rosjanie musieli przyprowadzić kilku mężczyzn. Wieś zaś do dziś nie chce wiedzieć, kim był ten, kto strzelał. Gdyby jednak w domu nikogo nie było, z całą pewnością nie uniknęłyby całkowitego zniszczenia. Nie wspominając o tym, że tylko dzięki sprytowi i umiejętności przewidywania moich ciotek do dziś pozostał w rękach naszej rodziny.

Dwa wystrzelone bezpieczniki – w mojej rodzinie tak właśnie wspominają moje ciotki, przynajmniej ci, którzy mają mniej wyparzone języki. Co oczywiście nie jest wielkim komplementem. Ale rzeczywiście były wyjątkowymi postaciami. Kiedy czytam pełne bólu rozważania o śmierci w imię ojczyzny, one pierwsze przychodzą mi na myśl. Trudno bowiem powiedzieć, czy silniejsza była w nich umiejętność bezustannego utrzymania się przy życiu, czy energia, z jaką potrafiły się do wszystkiego dostosować. Mało jadły, dużo mówiły i nie potrafiły spokojnie usiedzieć w miejscu. W ostatnim czasie, kiedy przybyło im lat, powtarzały, że ciągła aktywność niszczy organizm, a kiedy ten jest zniszczony, łatwiej jest umrzeć. Wynosząca półtora roku różnica wieku, jaka była pomiędzy nimi, wydawała się niewidoczna. Były do siebie tak podobne, jak gdyby były bliźniaczkami. Wysokie, o mocnej budowie. Nawzajem ścinały sobie włosy na krótko. W młodości musiały przypominać piękne konie pociągowe. Numer buta przynajmniej czterdzieści, dudniący krok, aż wszystko wokół huczało i trzeszczało. Gdyby nie rozrzewniały się tak łatwo albo nie było w nich tyle współczucia i czasami nadmiernego zrozumienia dla najróżniejszych i najdziwniejszych spraw tego świata, można by rzec, że nie było w nich nic kobiecego. Ale były tak czułe, delikatne, powściągliwe i gotowe do pomocy, że już tym potrafiły sprostać najbardziej tradycyjnemu ideałowi kobiecości.

Ciocia Ilma w wieku osiemnastu lat zaszła w pozamałżeńską ciążę, co dla rodziny było podobnym szokiem, jak oświadczenie mojego dziadka, że jeśli nie pozwolą mu pójść do wojska, to zostanie tancerzem. Ella swoją zdecydowaną postawą położyła kres wybuchającemu już rodzinnemu skandalowi i zabrała siostrę z domu. Niemowlę zmarło kilka dni po urodzeniu. Od tego czasu mieszkały we dwie. Jak gdyby coś ze sobą ustaliły. W ich życiu już nigdy nie pojawił się żaden młody mężczyzna. Przynajmniej wszystko na to wskazywało. I wtedy czas się dla nich

zatrzymał. Nie prenumerowały gazet, nie słuchały radia, telewizor kupiły sobie dopiero kilka tygodni temu. Były wierzące, ale nie chodziły zbyt często do kościoła ani specjalnie się nie modliły. O Bogu mówiły takim samym tonem jak o swoim ogródku z warzywami. Na szatana też nie złościły się bardziej niż na mszyce czy stonki ziemniaczane. Pierwsze posypywały popiołem drzewnym, drugie, klęcząc na kolanach, zbierały z kwitnących ziemniaków i rozgniatały w palcach.

Dzień rozpoczynały od pracy w ogrodzie. Od początku maja do połowy września każdego dnia pływały w Dunaju. Padał deszcz, wiał wiatr, nadchodziła wysoka woda, bez znaczenia. Do kąpeli miały komiczne, ciasne w piersiach i sute na biodrach kostiumy z gumką uszyte z kretonu w kwiatki, z czasem całkiem wypłowiałe, białe gumowe czepki i białe gumowe buciki. Szły tak na górę, na brzeg rzeki, kłapiąc butami w błocie, ślizgając się po kamieniach. Ella z przodu, Ilma za nią. I zaczynała się dziecinna zabawa. Wbiegały po pas do wody, z oporami, ale też z wielką przyjemnością przyzwyczajają skórę, ochlapowały się nawzajem. Nagle kładły się na wodzie i pozwalały, by niósł je prąd. Kostiumy unosiły się na ich pupach niczym pływające piłki.

Park o powierzchni dwóch i pół morgi, w którym szlachetne rośliny i zwykłe chwasty rosną oraz usychają bez udziału ludzkiej ręki, jest odgradzony od wsi wysokim ceglanym płotem, a wysoka na trzy metry ściana z czerwonego piaskowca chroni go od strony rzeki od wody. Do tego miejsca płyną z prądem w dół rzeki, wdrapują się na strome, wąskie, porośnięte mchem kamienne schody i okrywają się szlafrokami; tak wracają do domu. Na tym nabrzeżu, pod kamienną ścianą zabito mojego przyjaciela. Było suche lato, jesienią rzeka stała się wyjątkowo wąska, a woda tak ciemna, że niemal czarnobrazowa.

Wieczorami jedna z nich szyje, ceruje, robi dla mnie swetry na drutach albo na szydełku swoje niekończące się koronki, druga z nich czyta na głos. Od ich przyjaciela, pastora Vince Fitosa, dostają do czytania pobożne książki. Mają przy tym poważne, zamyślane twarze, co wcale nie przeszkadza im śmiać się z co głębszych fragmentów.

Nie wiem, jak to robią, ale mają tak niesamowitą umiejętność oceny sytuacji, jak gdyby posiadały jakąś wielką wiedzę. Mnie zawsze wypytyują o ceny na rynku walut, a chłopcy ze wsi donoszą im o wynikach meczów piłkarskich. Własne potrzeby mają niewielkie. Kiedy przynoszę im jakiś prezent, z przestrachem rozglądają się wokół, gdzie go położyć, bo nie jest im potrzebny. Jeśli więc czegoś chcą albo czegoś nie chcą, to za ich poczynaniami nie stoi interes własny, ale interes rodziny albo jakiś powód o charakterze moralnym. Tak było na przykład, kiedy mojego ojca uznano za zmarłego. Wszyscy na niego czekaliśmy, a one upierały się, żeby mama serio potraktowała ten dokument i przepisała na nie dom. Żebyśmy nie mieli dwóch domów. W innych rodzinach taka dwuznaczna propozycja, poza tym, że mogła rozdrapać stare rany, wzbudziłaby wrogość i oburzenie. Ale matka była taka sama jak jej siostry. Z radością przyjęła ich propozycję. Wtedy wynajęły dom wsi. Ella była kwalifikowaną przedszkolanką, Ilma nauczycielką. A wieś nie miała ani budynku, ani wykwalifikowanej kadry, żeby otworzyć przedszkole, tymczasem potrzeba była pałaca. W ten sposób ciotki otworzyły w swoim domu przedszkole. Wraz z bogatą, wyłożoną szlachetnym drewnem salą myśliwską straciły wprawdzie wszystkie pomieszczenia na parterze, ale za to zyskały stały dochód za pracę i czynsz za najem, dla nich zostały cztery pokoje na piętrze, a prace remontowe, kiedy była taka potrzeba, wykonywała gmina. Na początku lat sześćdziesiątych, kiedy groziło im upaństwowienie, zabrały się za małą partyzantkę. Pozornie podcinały pod sobą gałąź. W końcu sanepid uznał, że stary dom nie nadaje się do tego, by funkcjonowało w nim przedszkole, i kiedy kilka lat później zbudowano nowy budynek, przeszły na emeryturę. Wróg poddał się bezwarunkowo i z miłym

poczuciem zwycięstwa opuścił pole bitwy.

Po tym wszystkim chyba nie muszę mówić, jakie uczucia wobec mnie żywią te pełne życia cioteczki. Jestem dla nich ucieleśnieniem doskonałości. Zawsze dokładnie mnie wypytują, jak idzie mi praca i kariera, i ślepo wierzą w słusność tego, co robię. Nie krytykują ani głośno nie chwala, tylko wodzą za mną wzrokiem, jak gdyby chciały powiedzieć, że tak, one w tej sytuacji postąpiłyby tak samo. Oczywiście najczęściej opowiadam im bajki, takie, jakie chciałyby usłyszeć. Odkąd nie żyje moja matka, rozpieszczają mnie do niemożliwości. Nie muszę zapowiadać moich wizyt, już choćby dlatego, że w czasach chmurnej młodości, kiedy nigdy nie wiedziałem, gdzie będę spał, i zawsze miałem w kieszeni szczoteczkę do zębów, przywykły, że przyjeżdżam nieoczekiwanie i często nie sam. Później pogodziły się nawet z tym, że niekoniecznie muszą to być żona czy dzieci. W tym delikatnym punkcie naszych niczym niezakłóconych relacji robią mi co najwyżej tyle kłopotu, że muszę wysłuchać, iż zmuszone są zachować moralny dystans do mojego życia miłosnego. Poprzednie dziewczyny zawsze wydają im się ładniejsze niż aktualna. Albo dokonują wnikliwej analizy powierzchowności i charakteru tych przelotnych gości i z niewinnymi minkami podsuwają mi przytłaczające wyniki swoich obserwacji. Przez co chcą mi powiedzieć, że wprawdzie są ze mnie dumne z szeregu powodów, ale tak, jak jest, nie jest dobrze, bo więcej nie zawsze znaczy lepiej.

Ciągle jeszcze mieszkają w pokojach na piętrze. Parteru nie używają, w zimie nawet nie ogrzewają, korzystają tylko z kuchni. Mogę przyjechać tu niemal niezauważony, nie muszę ich nawet budzić. Jeśli mam ochotę, to nie zwracają na mnie uwagi. Mam swój klucz schowany na ganku przed kuchnią, na belce pod rynną. A na parterze jest pokój, gdzie wystarczy jedna zapalka, by w piecu kaflowym buchnął miły ogień.

Trzy lata mieszkał z nimi w tym domu. W tym pokoju. Kiedy pisząc własne wspomnienia, odważyłem się nazywać go przyjacielem, nie stało się tak z powodu wspólnie spędzonego dzieciństwa, ale dlatego, że w ciągu tych trzech lat bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Choć rozmawiając, zawsze mówiliśmy ogródkami. Obydwaj ostrożnie unikaliśmy zbyt dużej otwartości, czy to chodziło o naszą przeszłość, czy też o teraźniejszość. Nie dowiedziałem się o jego życiu nic więcej ponad to, co już wiedziałem albo co wtedy zobaczyłem. Ja też nie mówiłem wiele o sobie. Tymczasem po dwudziestu latach znów nawiązała się pomiędzy nami nic nierobiąca sobie z dzielących nas różnic nić porozumienia, którą było nam tak trudno nawiązać w latach naszego dzieciństwa. Przyczyny utrzymywanego dystansu może trzeba upatrywać w tym, że za moimi sukcesami stało też wiele porażek, a on już nie chciał się z nikim utożsamiać. Nawet ze mną. Obserwował, był wrażliwy jak niegdyś, ale zamknął się w sobie. Stał się zimny. Gdybym nie znał bolesnych konfliktów, jakie spowodowały jego chłód, powiedziałbym, że stał się dokładną w swym działaniu, ustawioną na z góry określoną liczbę obrotów maszyną.

Moje życiowe doświadczenie i znajomość relacji międzyludzkich nauczyły mnie jednak, że na tym świecie wszystko jest przejściowe i wszystko kiedyś mija. Dziś uważam moje uczucia za miłość albo przyjaźń, a jutro okazuje się, że była to jedynie potrzeba rozładowania fizycznego napięcia albo interesowność powodowana okolicznościami. Postępuję tak ze spokojnym sumieniem i nigdy nie próbowałem się okłamywać, bo dobrze wiem, jak wygląda działanie nakierowane na cel. Na poprzednich stronach ujawniłem już mój życiowy bilans. Ani miłości, ani przyjaźni. W gorszych chwilach odnoszę wrażenie, że świat przynosi tylko rozczarowania. Gdybym poczuł się kiedyś rozczarowany własnym postępowaniem albo postępkami innych ludzi, zapewne wiedziałbym, co to znaczy rozczarowanie. Ale brak tych uczuć jest we mnie tak

żywy, jak gdybym odczuwał ich nieistnienie. A to znaczy, że jeszcze nie straciłem całkiem wrażliwości. Zapewne w tamtych latach dlatego czułem tak silną potrzebę, by znalazł się blisko mnie uważny i wrażliwy drugi człowiek, którego jednak nie muszę, a nawet nie mogę dotknąć, że tego też już nie potrzebuję; a mimo to ten ktoś jest mi bliższy niż osoba, której ciało mógłbym wziąć w posiadanie.

Moje cioteczki nawet drgnieniem oka nic nie dały po sobie poznać. Tylko po ich drętwych minach widziałem, że czegoś nie rozumieją. I mówiły więcej niż zwykle. Długi czas kręciły się wokół nas, jak gdyby nie było tam mojego przyjaciela. I nawet nie spojrzały na jego walizki. Były zdenerwowane. I mówiły dwie naraz. Nie przerywały sobie nawzajem, ale każda z nich, swoimi słowami, opowiadała mi w szczegółach tę samą historię. Chodziło o to, że dzień wcześniej we wsi powiesiło się dwóch chłopców. Znałem ich. Z moją pomocą zaczęły wszystko dokładnie opisywać. Na szczęście odcięto ich ze sznura. Obydwaj przeżyli, są w szpitalu. Powiesili się na jednym sznurze. Na dwóch końcach związali pętle i przerzucili w stajni przez belkę. Podobno byli zakochani w tej samej dziewczynie. Gdyby kury sąsiadki nie składały jajek, gdzie popadnie. Gdyby akurat wtedy nie poszła szukać tych jajek. Dziewczyna obydwu z nich powiedziała, że kocha innego chłopca. Gdyby nie wepchnęła im skrzyni pod nogi. Z trudem powstrzymałem ten słowotok. Bez żadnego wstępu powiedziałem po prostu, że jesteśmy głodni. Zrobiły naprędce kolację.

Ella rządzi, Ilma jest bardziej uczuciowa. Poszedłem za nią do spiżarni po ogórki w occie. Kiedy grzebała w pięciolitrowym słoju, w kilku słowach, szeptem, wyjaśniłem, o co chodzi. Na trochę, nie wiem, na ile, ale musi tu zostać. Ten jest miękki, powiedziała gromkim głosem i wrzuciła ogórek z powrotem do słoika. I żeby tak się nim opiekowały, jak gdybym to ja był chory. Przytaknęła przestraszona. Nie wie, dlaczego w tym roku ogórki są takie miękkie, powiedziała tym razem już naprawdę głośno. Ciotki mają jakiś tajemny sposób porozumiewania się ze sobą. Bo później, choć ani przez chwilę nie były same, ani nie zamieniły ze sobą słowa, to Ella wyszła napalić w piecu. Nim usiedliśmy do stołu, już się nie gniewały ani nie były oschłe. Znow stały się miłe i gotowe do pomocy. Staraliśmy się wciągnąć mojego przyjaciela w rozmowę, a one już nie wróciły do sprawy samobójstwa chłopców. W końcu widziały, co miały zobaczyć. Choć mój przyjaciel cały czas się uśmiechał, jedzenie, śmiech i rozmowa kosztowały go tyle wysiłku, że po kolacji musiałem dosłownie zanieść go do łóżka, zdjąć mu ubranie i ubrać w pidżamę. Wydusił z siebie tylko kilka słów sprzeciwu. Że nie może tu zostać. Bo mu wstyd. Nie chce siedzieć na karku obcym ludziom. I żeby go odwiózł z powrotem. Okryłem go ciepło, bo w pokoju było zimno. Powiedziałem, że wrócę i zamknę piec, kiedy ogień wygaśnie.

O tym, jak dochodził do siebie, wiem od moich ciotek. W pokoju stoi kanapa; przed wąskimi niczym otwory strzelnicze, wysokimi oknami znajdują się gładki jak marmur, zniszczony stół z orzechowego drewna i stare krzesła. Naprzeciw wejścia wielka komoda. Nad nią zwyczajne lustro. Ściany białe i puste. Belki pod sufitem ciemne i przytłaczające. Spał dwa dni. Potem wstał, ubrał się, ale przez kilka następnych dni wychodził ze swojego pokoju tylko na posiłki. Pojechałem do niego w drugi dzień świąt i potem po Nowym Roku. Za każdym razem udawałem, że odwiedzam moje ciotki. Zamienialiśmy ze sobą najwyżej kilka słów. Leżał na kanapie. Albo siedział przy pustym stole. Wyglądał przez okno. To były jego zajęcia. Było cicho. Siedziałem na łóżku, patrzył przez okno. Milczał tak długo, że uciekałem gdzieś myślami, a kiedy się wreszcie odezwał, byłem zaskoczony. Chciał zasłonić lustro. Powiedziałem, że nie ma w domu nieboszczyka. Wyglądało na to, że nie potrafimy się porozumieć. Na stole stał mosiężny lichtarz. Przesuwał go głęboko zamyślony. Kiedy wokół nas jest dużo przedmiotów,

relacje zachodzące pomiędzy nimi przykuwają naszą uwagę. A tak trudno jest wyznaczyć dla tego jednego jedyne miejsce. Mogę go postawić tu albo tam. Wobec całości przestrzeni każde miejsce wydaje się takie samo. Wtedy powiedział o sobie właśnie coś takiego. Jak gdyby mówiła przez niego inteligentna maszyna. Tak mówił o swojej sytuacji. Rozśmieszyło mnie to i nawet się roześmiałem. Nie było to z mojej strony zbyt uprzejme, wyśmiałem go, ale on też ukrył swoje wyznanie pod płaszczykiem abstrakcji. A potem patrzyliśmy na siebie, badając, jak to jest z naszymi wzajemnymi oporami. W naszych oczach pojawił się błysk śmiechu. Ja uśmiechałem się, bo dałem się rozśmieszyć, a on dlatego, że zawstydzony ucieka się do abstrakcyjnych metafor.

Przedpołudniami siadywał przy stole. Popołudniami leżał na łóżku. O zmierzchu znów wracał do stołu i gapił się przez okno. Te maniacko powtarzające się czynności wyznaczyły rytm najbliższych trzech lat. Właściwie bardzo szybko doszedł do formy. Już pod koniec drugiego tygodnia wykradał się nocami do sali myśliwskiej, dokąd moje ciotki przyniosły z powrotem niemal nietknięte, liczące prawie tysiąc tomów zbiory. Może przesadą byłoby nazwać je biblioteką. Znajdowały się w nich wybrane z nieomylnym wyczuciem śmieci przełomu wieków. Zaczął pracować. Na blacie pustego stołu pojawiły się papiery, wyznaczając tym samym miejsce, w którym mógł stanąć świecznik.

Po kilku tygodniach stało się jasne, że mój pomysł nie był zły. A nawet okazał się tak dobry, że ciotki przejęły ode mnie kontrolę nad wydarzeniami. Ella już przy mojej kolejnej wizycie wzięła mnie na stronę i oznajmiła, że chyba nie będę się sprzeciwiał, żeby mój przyjaciel został u nich na dłużej. Ma tu spokój. I one też się cieszą. Bo przyznaje, że bywają dni, kiedy się boją. Nie umie powiedzieć dlaczego, ale czasami boją się nie tylko w nocy, lecz nawet w dzień. Nigdy mi o tym nie mówiły, bo nie chciały mnie obciążać swoimi kłopotami. Znają tu przecież każdy dźwięk i każdy szmer. Sprawdzają drzwi, pilnują, czy dobrze zamknęły gaz. Jak gdyby czaiło się jakieś niebezpieczeństwo, ogień, jak gdyby ktoś je śledził, kręcił się wokół domu, i nie sądzą, żeby to było jakieś zwierzę. Zaśmiała się. Mój przyjaciel nie jest wprawdzie takim silnym mężczyzną, by mógł je obronić, jest bardzo słabiutki, ale odkąd tu mieszka, przestały się bać. A gdybym chciał przyjechać dla rozrywki czy odpocząć z rodziną, to przecież są pokoje na piętrze albo na parterze. Przecież wiem, że to wszystko jest moje. Dlatego proszą mnie o zgodę.

Wspomniała też coś o korzyściach finansowych. Które wydały mi się śmieszne. Zdawałem sobie sprawę z kiepskiej sytuacji materialnej mojego przyjaciela. Czynsz, który płacił za pokój, był zgoła symboliczny. O wyżywieniu nic mi nawet nie mówiły. Zresztą jedli to, co wyrosło w ogródku. Od tego czasu najwyżej mniej zostawało dla nas. Słowem, polubiły go, a ich sympatia znajdowała materialny wyraz w zapewnianiu mu bytu. Bezwarunkowe uwielbienie, jakim mnie darzyły, przeniosły na niego. Lepiej pasował do ich poglądów na życie niż ja kiedykolwiek. Przez całe trzy lata miał może pięciu niewinnych gości. Kiedy pracowały w domu albo w ogrodzie, on w ciszy pracował w swoim pokoju. Od ósmej rano aż do trzeciej po południu nie dochodził stamtąd nawet najcichszy dźwięk. Mało jadł, kładł się wcześniej spać. Cieszył się z każdego drobiazgu, nowego smaku, zimowego zachodu słońca czy roślinki, która później niż należy wysuwała główkę z ziemi. Pomagał im w cięższych pracach. Rąbał drewno, nosił nawóz, naprawiał zepsute przedmioty. A co najważniejsze, słuchał ich nie tylko cierpliwie, ale z prawdziwym zaciekawieniem.

Więć z zainteresowaniem i pewną wrogością obserwowała, że choć miał zostać tylko kilka dni, to zamieszkał na dłużej. Jak opowiadały moje ciotki, wiele osób prosiło je, by pod jego nieobecność mogły zajrzeć przez okno. Chcieli zobaczyć, co człowiek może robić sam,

zamknięty w czterech ścianach. Mój przyjaciel nie miał o tym wszystkim pojęcia, niemniej wyczuwał, że jego sytuacja jest dwuznaczna. Obawia się, powiedział kiedyś, że ciotki zajrzą kiedyś do jego rękopisu, a wtedy straci do nich zaufanie. Boi się, powiedział przy innej okazji, kiedy o trzeciej po południu wstał od stołu, że wszyscy widzą, co robi, bo ciągle czuje się tak, jak gdyby pojawiając się wśród ludzi, był nagi. Boi się, odezwał się ze śmiechem, że kiedyś zatłuką go jak psa. A ludzie naprawdę nie wiedzieli, co mają myśleć o jego długich, samotnych spacerach. Strażnik polowy często go śledził, czego on oczywiście nie omieszkał zauważyć. Pastor był pierwszym człowiekiem we wsi, z którym się bliżej zaprzyjaźnił. Stare kobiety nazywały go śmieszkiem.

Śledztwo milicji wykazało, że w zajściu brały udział trzy osoby na motocyklach. O przypadkowym zdarzeniu, ze względu na warunki panujące w zakresie widoczności oraz pozostawione ślady, raczej nie mogło być mowy. Na żwirze, trochę bliżej rzeki niż muru, leżało ciało. Kiedy woda się cofa, można zobaczyć, jak wygląda w tym miejscu dno koryta. Wzdłuż rzeki rozciąga się szeroki pas żwiru, wysypany większymi kamieniami, nad samym brzegiem kamyczki są coraz drobniejsze. Leżał na plecach, na ręczniku. Głowę miał zanurzoną w błocie. Prawdopodobnie spał. Wcześniej pewnie pływał albo przynajmniej zamoczył się w wodzie. Miał wilgotne spodnie. Trzech motocyklistów poruszających się równoległe do siebie jechało po spękanych od upałów, kamienistym, lekko pochyłym brzegu z prędkością około czterdziestu kilometrów na godzinę. Po takim podłożu teoretycznie nie wolno jechać z większą prędkością. Jechali z kierunku przeciwnego do biegu rzeki. W tym samym czasie wraz z biegiem rzeki zbliżał się statek ciągnący barcę. W tamtym momencie nie dopłynął jeszcze do przystani. Zresztą na brzegu było pusto. Letników o tej porze tam nie ma. Ludzie ze wsi schodzą na brzeg zaganiać swoje gęsi albo poić konie. Na przystani też nie było nikogo. Około sześćdziesięciu metrów od ciała dwa motory zwiększyły prędkość. Eksperci nie mogli ustalić, do ilu kilometrów na godzinę. Trzeci z nich przyspieszył dopiero czterdzieści metrów od ciała; może się wahał albo tylko on zauważył ciało. W każdym razie przejechał mu przez nogi. Środkowy przejechał przez klatkę piersiową i się przewrócił. Długo ciągnął motocykl w górę, poślizgnął się na skamieniałym mule. Trzeci skoczył na główkę z leżącego nieopodal płaskiego kamienia. Motocyklista, który się przewrócił, jak tylko wstał, objechał wokół ofiary, obejrzał ją i dopiero wtedy udał się za swoimi przyjaciółmi. Śmierć w ciągu dziesięciu minut dokończyła ich dzieła. Kiedy jeden z nich się ociągał, dwóch z pewnością nieraz zerkało za siebie; ślady dwóch motocykli biegły zygzakiem przez trzydzieści metrów, to zbliżając się do siebie, to oddalając. Potem proste, równoległe ślady prowadziły do samej przystani. Tu jeden za drugim wyjechali na asfaltową szosę. Barka wtedy właśnie podpłynęła pod przystań. Trzy motocykle zobaczył z pokładu mechanik pokładowy. Nie potrafił ich nawet w przybliżeniu opisać, ale wydawało mu się, że byli młodzi, może nawet nieletni. Dopiero później zobaczył, że na brzegu leży ciało. O niczym nie pomyślał.

Kiedy zaalarmowany telefonem dojechałem do ciotek, milicja już skończyła robić zdjęcia i sprawdzać pozostawione ślady. Nadchodził wieczór. Zwłoki zabrano z nabrzeża na skleconych naprędce noszach. Szedłem z nim, wraz z nimi. Jeden jedyny raz spojrzałem na to, co po nim zostało. Opuszczone, zwisające z noszy ręce. Rozwarte palce dotykające ziemi. Chciałem ich dotknąć, wziąć w dłoń, położyć na miejsce. Ale nie miałem odwagi.

Kiedy woda jest niska, chłopcy ze wsi często urządzą sobie na swoich motocyklach zawody w terenie. Milicja gorliwie sprawdza wszystkie okoliczne motory. Ale nie znaleźli żadnych śladów, które mogłyby stanowić podstawę podejrzeń. Mężczyźni, którzy mieli

motocykle albo umieli na nich jeździć, w tym czasie wszyscy jeszcze byli w pracy. Wchodził w rachubę tylko jeden mężczyzna, stary piekarz, który w dwie godziny po morderstwie szedł do pracy, ale on, z innych względów, pozostawał poza wszelkim podejrzeniem. Kemping znajdujący się w obrębie gminy już o tej porze nie funkcjonuje, choć zawsze znajdzie się kilku turystów z kajakami, którzy na dziko rozbijają tu namiot. Jednak żaden z nich nie widział młodych ludzi. Oficjalnie śledztwa jeszcze nie zamknięto, ale po trzech latach trudno jest liczyć na odnalezienie sprawców. Oficer milicji prowadzący śledztwo od samego początku uważał, że należy szukać wśród pijanych czy nadużywających alkoholu młodych ludzi. I nie sądzę, żeby ktoś lepiej od niego znał okoliczne gospody. Szukał trzech młodych mężczyzn, którzy tamtego dnia wyszli pijani z któregoś z okolicznych lokali. Szukał trzech motocykli stojących przed karczmą. W dniu pogrzebu nawet ja myślałem podobnie.

Vince Fitos, pastor ewangelicki, pochował mojego przyjaciela na miejscowym cmentarzu. Kiedy wygłaszał mowę w czystym powietrzu, cicho spadały z drzew suche liście. Był miły, ciepły, wietrzny, pachnący dymem jesienny dzień, zaskakująco wiele osób przyszło na cmentarz. Stare kobiety śpiewały psalmy nad otwartym grobem. Przyglądałem się twarzom zebranych. Obserwowałem załamanego, walczącego ze łzami pastora. Patrzyłem na słynny dom u stóp wzgórza, w którym ze względu na rosnący ruch turystyczny otworzono gospodę. Dawni mieszkańcy przetrwali jednak w ludzkiej pamięci, bo pomysłowy język ludu nazwał lokal „gospodą pod trzema piczkami”. Dochodził z niej stukot naczyń, wiatr niósł woń tłustych potraw.

I wtedy przyszło mi coś do głowy czy raczej o czymś pomyślałem. Chwyciłem się tej myśli. Gdyby zrobili to pijani, byłby to tylko upokarzający przypadek. I już nie można by było znaleźć żadnego wytłumaczenia.

Nie było to jeszcze podejrzenie. Myśl zbyt płocha, by można było z niej spleść nitkę prowadzącą do celu. Zresztą nie chciałem się pysznić w roli detektywa. Człowiek, który widział śmierć, szuka wytłumaczenia.

Na brzegu grobu po przeciwnej stronie siedział blady młody człowiek w ciemnym, przyciasnym garniturze. Dobrze go znam, ciotki od dziesiątków lat przynoszą od nich mleko. Trząsał się na całym ciele, jak gdyby fizycznie walczył ze spazmami płaczu. Wtedy bezwiednie śpiewał na cały głos. On był jednym z tamtych dwóch samobójców. Drugiemu z nich, temu, który nie przyszedł na pogrzeb, sznur przeciął grdykę, w wyniku czego stracił mowę. Jego znałem raczej tylko z widzenia i z krążących o nim opowieści. Był pozamałżeńskim dzieckiem, jego matką była karlica o wzroście stu pięćdziesięciu centymetrów. Kto był jego ojcem, nie wiadomo. Karlica pracowała w starej karczmie. Stała na stołku i zmywała przy barze. Ludzie mówili, że w młodości tak sobie pozwalała z pijanymi chłopami w szopie za gospodą, aż wreszcie zaszła w ciążę. Wszystko przemawiało przeciw niej, a jednak ani jej stanu, ani urodzenia dziecka wieś nie komentowała ze wzburzeniem. Do dziś wieśniacy z humorem okraszonym świńskimi dowcipami wspominają jej zaradność. Urodziła zdrowego chłopca i została dobrą matką. A mały wyrósł na silnego, dużego chłopaka, co, biorąc pod uwagę okoliczności poczęcia, należało uznać za żywy cud nieobliczalnych sił natury. Tak więc i w tym nie znaleziono nic dziwnego, że przyjaźnił się z synem miejscowego bogatego chłopca. Byli nierozłącznymi przyjaciółmi. Przywódcami i prowodyrami miejscowych chłopaków. Później nawet to nie oddaliło ich od siebie, że syn karlicy uczył się na rzeźnika, a drugi uczęszczał do gimnazjum. Jak gdyby dlatego zaplanowali to wspólne samobójstwo, by nie musieć walczyć ze sobą o ukochaną kobietę. A to nie mała nauka. Dwa samce, dla których podyktowane przez

naturę uczucie miłości okazuje się słabsze od potrzeby przyjaźni, jaką może nas obdarzyć drugi człowiek.

W tamtych latach poprzez zmieniające się zachowanie moich ciotek mogłem obserwować społeczne zmiany zachodzące na wsi. O ile dotychczas wszystkie ich wysiłki skierowane były na to, by uratować, co się da, i raczej cierpiałyby niedostatek, niż sprzedawały cokolwiek z rodzinnego majątku, o tyle teraz z dziecięcą lekkomyślnością poddawały się niepowstrzymanemu nurtowi ekonomicznego rozwoju. Może już były zmęczone. A może bały się starości i chciały dotrzymać kroku.

Liczba mieszkańców tej oddalonej od większych ośrodków gminy zaczęła raptownie spadać. Wprost proporcjonalnie rosła zaś wokół ilość nieuprawianej ziemi. Część zdolnych jeszcze do pracy mieszkańców już się wyprowadziła, druga, gotowa na zmiany, krążyła między miastem a wsią. Swoje winnice, sady i łąki chłopci sprzedawali miastowym na działki letnie. Dla ludzi z miast nabycie takiej ziemi stanowiło jedyną możliwość, by majątek zdobyty z kradzieży, oszustw, czasami odziedziczony w spadku wyciągnąć z nisko oprocentowanych państwowych lokat i przekształcić w inwestycję, której wartość nie będzie spadać. Z leżących więc odłogiem pieniędzy miastowi kupowali leżące odłogiem ziemie chłopów. Moje ciotki też sprzedawały swoją ziemię. Choć próbowałem je przekonywać, że w czasach, kiedy na rynku istnieje nadmiar rozdrobnionego majątku prywatnego, a jedyną możliwością zainwestowania go jest nabycie nieruchomości, nie należy sprzedawać, a trzeba kupować. Najpierw sprzedawały ze bezcen winnicę, potem, kiedy mieszkał z nimi mój przyjaciel, mimo mojego sprzeciwu spieniężyły sporą część parku. I dały mi pieniądze, żebym sobie kupił samochód. W ten sposób starały się znaleźć wytłumaczenie dla swojego nieracjonalnego zachowania, choć tak naprawdę mówiły mi: niech przepadnie, co i tak ma przepaść. Nowi właściciele robili dokładnie to samo. Bezlitośnie wszystko niszczyli. Szlachetne krzewy, różane klomby, drzewa owocowe, kilkusetletnie lipy, kasztanowce. Chcieli zacząć z czystą kartą. Chcieli mieć coś swojego; wbrew wszelkiej logice bawiło ich, że po tylu latach każdy wreszcie może robić na swoim, co tylko zechce. Wieloletni zakaz posiadania własnego majątku zemścił się nie tylko na tym, co państwowe, ale także na świeżo odzyskanym majątku prywatnym. Budowano smętne domki weekendowe, ze złej jakości materiałów, a jakość wykonania pozostawiała wiele do życzenia. Otwarto kemping. Chwilowy entuzjazm miejscowych skłaniał do pracy w trzech miejscach naraz i do pożegnania się z dotychczasowymi, tradycyjnymi formami działalności. Wśród mężczyzn w średnim wieku skokowo wzrosła liczba zawałów serca. A pastor zauważył, że nawet w święta kościół jest pusty.

Dwaj przyjaciele, kiedy doszli do zdrowia po wspólnym samobójstwie, stali się śmiertelnymi wrogami. Młody mężczyzna w ciemnym garniturze, który śpiewając nad grobem psalmy, walczył ze szlochem, zaczął odwiedzać pastora. Najpierw tylko po to, żeby porozmawiać w cztery oczy, potem żeby czytać Biblię, tam spotkał mojego przyjaciela, potem już w każdą niedzielę chodził do kościoła. Zawiązało się małe koło, wrogie i zawzięte wobec grupy, której przewodził drugi, oniemiały, niedoszły samobójca. Byli to sami mężczyźni, wszyscy jeździli na motocyklach. I przyznać trzeba, że nie należeli do zbyt spokojnych. Pili, bili się, uganiali za dziewczynami z kempingu, włączali radio na cały głos, awanturowali się z letnikami, włamywali się do domków i urządzali sobie tam hulanki. Mój przyjaciel po raz pierwszy w życiu poszedł do komunii.

Niewiele wiem o okolicznościach jego nawrócenia. W tamtym czasie bliżej zaprzyjaźnił się z młodym samobójcą, który po maturze uczył się na mechanika. Czekał na niego popołudniem i chłopak towarzyszył mu w spacerze. O ile wieśniacy nie rozumieli jego samotnych spacerów,



o tyle te wyprawy we dwoje, w śniegu czy deszczu, były dla nich wprost niepojęte. Młody chłopak rok później zapisał się na teologię. Po pogrzebie zostałem na wsi dwa tygodnie. Poprosiły mnie o to ciotki. Nie próbowałem prowadzić śledztwa, lecz porozmawiałem z wieloma osobami. Nie było to trudne, znali mnie od dziecka. Ale ich najbardziej skrytych tajemnic nie znałem. Jednak moje podejrzania nie były całkiem bezpodstawne. Sądzę tak z tego powodu, że ten powściągliwy, skromny i oszczędny w słowach młody człowiek też mówił, że mój przyjaciel nigdy nie popełnił wobec niego żadnego czynu, z którego powodu musiałby się spowiadać przed Bogiem. Ale dowiedziałem się też czegoś, o czym młody człowiek nie opowiadał. Podczas jednego z popołudniowych spacerów nad brzegiem rzeki z tyłu niemal najechali na nich motocykliści. Wyprzedzili ich, ale niemy, przejeżdżając obok mojego przyjaciela, nagle chwycił go za rękaw i tak samo szybko puścił. Mój przyjaciel przewrócił się i zranił twarz na kamieniach. Pamiętam, że potem powiedział, że kiedyś zabiją go jak wściekłego psa.

Półtora roku po jego śmierci w końcu przemożem się i usiadłem przy jego biurku. Rozdziały powieści były włożone każdy do oddzielnej teczki. Najwięcej czasu poświęciłem na przejrzenie notatek. Ze zdań dotyczących całości rękopisu mogłem wywnioskować, jaka miała być kolejność rozdziałów, ale nawet po szczegółowej lekturze nie byłem w stanie stwierdzić, jak miała rozwinąć się akcja. Znalazłem jednak niedokończone, tylko naszkicowane zdanie, które nie pasowało do żadnego z rozdziałów ani też nie występowało w wielokrotnie poprawianym spisie treści. A jednak wydawało się, że to właśnie ono miało kończyć tekst.

Wypełniłem moje zadanie. Nie pozostało mi nic więcej, jak dołączyć ten ostatni fragment.

[1] Honwedzi (węg. *honvéd*) – żołnierze wojsk węgierskich w XIX i XX wieku.

[2] Labancowie (węg. *labancok*) – określenie zwolenników dworu austriackiego oraz węgierskich żołnierzy wiernych cesarzowi w XVI–XVIII wieku, stosowane głównie w czasie powstania Imrego Thökölyego oraz podczas powstania Rakoczego w latach 1703–1711.

[3] Straż Narodowa – organizacja powstała na Węgrzech podczas powstania w 1956 roku, której zadaniem było podporządkowanie wspólnemu dowództwu sił wojskowych, policyjnych i cywilnych powstańców walczących z sowieckim okupantem.

# Ucieczka

Kiedys wreszcie nadejdzie dzień premiery.

Po południu znacznie powoli padać śnieg, gęsty i mięciutki, wirujący w podmuchach wiatru, wielkie wilgotne płatki.

Leżał na dachach i trawnikach w parku, przykrywał chodniki i jezdnie.

Pędzące nogi i mknące koła natychmiast żłobiły w nim pełne błota czarne pręgi, drożyny i ścieżki.

Bardzo wcześnie pojawił się ten biały śnieg; wprawdzie nasza topola już zrzuciła ostatnie suche liście z koronkowego wierzchołka, ale splecione ze sobą korony platanów na placu Wörthera były jeszcze zielone.

Na dworze padał śnieg, jeden z nich leżał na kanapie w hallu, drugi porządkował bogatą kolekcję swoich płyt; siedział w kucki, po kolei wyjmował płyty z obwolot i wedle jakichś nikomu nieznanym kryteriów każdą, która mu nie przypadła do gustu, roztrzaskiwał na kolanie.

Nie odpowiedział na żadne z moich pytań ani ja nie odpowiedziałem na żadne jego pytanie.

Później też nie było krzyków, wyzwisk ani płaczu, od których można byłoby uciec w histeryczne, łzawe i czułe objęcia, tylko upstrzone nagłymi pohukiwaniami, niemiłe i nerwowe ścieranie się, bezustanne oburzanie się, bezkrwawe tarcie ostrożnie rozważanych możliwości, jak gdyby podstępnie sprawiając sobie niewielki ból, chcieli uniknąć prawdziwego cierpienia.

Wykręty, preteksty i ani słowa o tym, co nas naprawdę poruszało i emocjonowało, o tym, czego było za dużo, czego było zbyt wiele, czego już dłużej nie chcieliśmy.

Kilka godzin później, kiedy wreszcie wyszli do teatru, w końcu zwyciężyła śnieżycą, miasto rozbłysło bielą, biały puch leżał na gałęziach, przykrył i oblepił ślady, drożyny, topniejącą białą czapą przykrył oświetlone blaskiem latarni zielone wierzchołki platanów, swoją miękkością tłumiał dźwięki.

Cichy szmer krwi w uszach mówi, że jest dobrze.

Myślałem, że go okłamuję, bo nie wiedziałem, że on też kłamie.

Właściwie nie było to zamierzone kłamstwo, najwyżej obustronne przemilczanie pewnych spraw, niepostrzeżenie przybierające coraz większe rozmiary i odbierające wszystkiemu sens.

Jest zajęty, powiedział, czeka na telefon, przyjdzie później, a spektakl obejrzy innego dnia, i że bym już sobie poszedł, chciałby zostać sam.

W kwestii telefonu mówił prawdę, rzeczywiście na coś czekał, ale na co, i co takiego chce przede mną ukryć, tego nie wiedziałem.

Wszyscy znamy ten szczególny rodzaj zgody, która w gruncie rzeczy tylko pogłębia nieporozumienie; a później idą obok siebie w padającym śniegu, z podniesionymi kołnierzami, w ciepłych płaszczach, z rękoma schowanymi w kieszeniach, nawet na siebie nie spoglądając, pogrążeni w milczeniu, wygodnie, wydawałoby się, stąpając w chlupoczącym pod ich stopami błocie.

Szacunek dla samych siebie każe im zachować pozory radości i spokoju, w rzeczywistości są jednak spięci ze strachu, zdenerwowani narzuconą sobie dyscypliną, i to napięcie jest ich jedynym wspólnym uczuciem, jest kłamrą, która ich łączy i której, dlatego że żaden z nich nie

chce nazwać tej kłótni po imieniu, nie mogą się pozbyć.

Na stacji przy Senefelderplatz czekają na metro i dopiero tam dzieje się coś dziwnego.

Do mojego powrotu do domu zostały dwa tygodnie i już nigdy więcej nie rozmawialiśmy na temat mojego wyjazdu.

Stacja była pusta, wiedzieć trzeba, że te wielkie, nagie, ascetyczne, rozbrzmiewające echem i wietrzne stacje zbudowanej na przełomie wieków kolejki podziemnej, odgrywające niemałą rolę w mojej wyimaginowanej historii, były bardzo skąpo oświetlone i tonęły w niemal całkowitych ciemnościach.

Daleko od nas, w przeciwległym końcu stacji, stał wychudzony, drżący z zimna człowiek.

Zamyślony, brudny młodzik, któremu tylko dlatego się przyglądał, że jego ciało, wyraźnie widoczne w zacienionym otoczeniu, mówiło, że jest bardzo zmarznięty; ramiona miał uniesione, szyję skuloną, przycisnąwszy ręce do tułowia, grzał dłonie w ciepłe ud i aż wspinał się na palcach, by nie czuć chłodnego dotyku ziemi, z ust zwisał mu papieros, a jego rozbłyskujący co chwilę żar tchnął spokojem.

Ginący w oddali, nieoświetlony tunel jeszcze długo był pusty i niemy, nic nie nadjeżdżało, nawet nie było słyhać szumu zbliżającej się kolejki, a dla mnie, który chciałem wiarygodnie opisać historię tego spektaklu i poprzedzających go drobnych wydarzeń, liczyła się każda minuta, więc nie mogłem zmarnować chwil wieńczących moją wielomiesięczną pracę.

I wtedy wyrostek z papierosem zwisającym w ustach ruszył w naszą stronę.

Czy raczej wyraźnie ku niemu.

Myślałem, że się znają, jednak wygląd tamtego mówił, że to raczej mało prawdopodobne.

Poczułem niemiłą niepewność.

Nie było słyhać jego kroków, miękko stąpał, unosząc się i opadając, rozkołysanym krokiem wyrzucał w powietrze wychudzone ciało, jak gdyby posuwając się do przodu, musiał się także przemieszczać ku górze, nieprzyjemne wrażenie sprawiało zaś to, że nie pozwalał ciężarowi ciała opaść z powrotem na pięty; na nogach miał podobne do zwykłych kapci, poszarpane na szwach bułgarskie kierzce, był bez skarpet, za każdym razem więc, kiedy unosił stopę, błyskały jego gołe kostki.

Współczucie dla ludzkiej nędzy lubi chadzać w ciepłym płaszczu.

Miał na sobie wąskie, przykrótkie spodnie, zniszczone i podziurawione na kolanach, a sięgająca pasa kurtka z jakiegoś czerwonego syntetyku, zeszywniała od zimna, szeleściła i skrzypiała przy każdym ruchu.

Dotychczas stał do niego plecami i dopiero szelest wzmagający się w tym zimnym, rozbrzmiewającym echem pomieszczeniu zwrócił jego uwagę.

Odwrócił się obojętnym i wyniosłym ruchem, wtedy chłopak się zatrzymał i gotowy do skoku skierował ku niemu pełen obłędu i nieuzasadnionej agresji wzrok.

Tu powinienem wspomnieć o pogrążonych w mroku, pełnych cienistych krzewów parkach, gdzie czerń bywa czarniejsza od czerni, a czerwień żarzących się papierosów zdradza wyczekujących lubieżnego uścisku nieznajomych.

W stawaniu się zwierzęciem nie można już posunąć się dalej.

Nie było wiadomo, czemu się tak przygląda, myślałem, że patrzy na jego szyję.

Nie był pijany.

Na brodzie wyrostka czerniła się mała kozia bródka, po dokładnym przyjrzeniu się dostrzegłem jednak, że ta czerń to nie zarost, ale jakaś odrażająca choroba skóry albo defekt, czy granatowoczarny siniak na całej szpiczastej brodzie, a może ślad precyzyjnie wymierzonego

ciosu, uderzenia lub upadku.

Melchior nie zbladł.

Ale jego twarz wyrażająca całkowitą obojętność wobec świata nagle tak się odmieniła, takiej przemianie uległ stan jego ducha, że wydał mi się blady.

Jego odmieniona twarz mówiła, że choć nie zna chłopaka, to dostrzegł w nim coś niezmiernie ważnego, coś przerażającego, bo nieoczekiwanego i jednocześnie napawającego wyczekiwaną od dawna radością, że to jest objawienie, nieuchronna zachęta, ale do tego nie chce się przede mną przyznać, więc stara się nad sobą panować.

Jak można tak zapomnieć się we własnych wspomnieniach, by wyrzucić je z pamięci?

A jednak po części się przyznał, bo szybko zmierzył mnie gniewnym, lodowatym spojrzeniem, jestem tu niepotrzebny, mówiły jego oczy, i jak gdybym popełnił jakiś ciężki występki, występki przeciw niemu, zniżonym do szeptu głosem, ledwie poruszając wargami, jakby chciał w ustach ukryć przed wzrokiem chłopaka sens swoich słów, powiedział, że bym stąd spadał.

Co w jego języku zabrzmiało jeszcze bardziej grubiańsko.

Myślałem, że chce się w ten sposób na mnie zemścić.

Co takiego?, zapytałem cichutko.

Spadaj, spadaj stąd, cedził przez zaciśnięte zęby, gardłowym głosem, cały czerwony, wreszcie wyjął z kieszeni papierosa, wsunął do ust i ruszył w stronę chłopaka.

Chłopak nie poruszał się z miejsca, uniesiony na palcach czekał gotowy do bójki.

Niczego z tego wszystkiego nie rozumiałem, może nie byłem zaskoczony, ale nie miałem wątpliwości, że szykuje się bójka; nikogo wokół nie było, po pustej stacji hulał cuchnący piwnicą wiatr.

Podszedł do niego tak blisko, że nieomal pochylał się nad żarzącym się papierosem, coś powiedział, na co chłopak nie tylko opuścił się na pięty, ale też zrobił kilka niezdarnych kroków w tył.

On poszedł w ślad za nim, prawie na niego wskoczył, a ja czułem, że teraz muszę chyba bronić nie jego, ale tego chłopaka; zasłonił go swoim ciałem.

Jak gdyby szaleniec spotkał się z jeszcze większym szaleńcem, kiedy znów coś do niego powiedział, młodzik odchylił się niepewnie w bok, szybkim, posłusznym ruchem wyjął papierosa z ust i drżącą ręką podał mu ogień.

Żar poruszony dotykem drżącego papierosa wypadł prosto na ziemię.

Chłopak, niczym się nie przejmując, zaczął coś szybko mówić, długo coś opowiadał półgłosem, zrozumiałem tylko tyle, że chodzi o chłód, zimno, zimno, zabrzmiało kilka razy w niosących się echem ciemnościach.

W tunelu zaszumiał nadjeżdżający pociąg.

I nawet jeśli w Melchiorze było jakieś szaleństwo, mania wymykająca się spod kontroli, teraz to wszystko nagle przestało istnieć.

To był koniec; koniec.

Zaczął grzebać w kieszeniach, wcisnął chłopakowi w garść kilka drobniaków, rozczarowany obrócił się na pięcie i zmęczony zawrócił ku mnie.

Idąc, wyrzucił papierosa i przydeptał ze wściekłością.

Kilka sekund tych nieoczekiwanych wydarzeń wystarczyło, by wrócił do mnie blady, zdenerwowany, zawstydzony i zrozpaczony.

Patrzyłem na chłopaka, przyglądałem mu się, jak gdyby jego widok mógł mi coś

wytłumaczyć, on w jednej dłoni ściskając wyżebrane przed chwilą pieniądze, w drugiej mnąc gasnącego papierosa, znów wspiął się na palce i patrzył na mnie z takim wyrzutem, ze łzami i żądaniem w oczach, jak gdybym to ja był wszystkim winien, jak gdybym był przyczyną tego wszystkiego, dlatego zaraz się na mnie rzuci i mnie zabije.

I w ułamku sekundyomal tak się nie stało.

Patrz sobie, patrz sobie na mnie tymi swoimi ślepiami, wrzeszczał na całe gardło, przekrzykując hałas nadjeżdżającej na peron kolejki.

Myślisz, wrzeszczał, myślicie sobie, że można się wykupić pieniędzmi.

Na oczach wszystkich, wrzeszczał, publicznie się wykupić.

I jak sprinter startujący do biegu, sprężywszy całe swoje chude ciało, zaczął biec.

Nie pozostało czasu na namysł.

W ułamku sekundy, kiedy wreszcie umilkły wrzaski, Melchior szarpnął drzwi wagonu stojącego najbliżej nas, wepchnął mnie i sam wskoczył; patrzyliśmy oniemiała za wrzeszczącym chłopakiem; uciekliśmy przed nim.

Sądzicie, że jest przebaczenie.

Przeszliśmy w głąb wagonu, ostry jak brzytwa głos szaleńca wbił się pomiędzy siedzących w milczeniu pasażerów.

Przebaczenia nie można kupić za parę groszy.

Zniekształcona ropiejącymi, czerwonymi krostami twarz, tłuste, lepkie, cienkie jak u dziecka, jasne włosy, nic niewyrażające, nawet tej przerażającej wściekłości, niebieskie oczy.

Krzyczał przez niego jakiś obcy bóg, którego wszędzie nosił ze sobą.

Kiedy szukając schronienia, cofnęliśmy się pomiędzy podnoszących głowy podróżnych, z drugiego wagonu niedbałym krokiem wyszła konduktorka, jedną rękę trzymała na zawieszanej na szyi torbie, przespacerowała przed wagonami, na jej twarzy malował się spokój, jak gdyby nie zauważała tego potwornego krzyku, wsiadać, wyśpiewała apatycznym głosem, choć na peronie nie było już nikogo poza wrzeszczącym młodzikiem, wsiadać; skąd taki spokój i bezwstyd?

Odepchnęła wrzeszczącego chłopaka.

Ten się zachwiał i aby poczuć się choćby trochę wygranym albo, czy ja wiem, zadośćuczynić sobie doznane krzywdy, choć na chwilę znaleźć pociechę po przeżytych poniżeniach, zanim drzwi zdążyły się zamknąć, rzucił nam w twarz zgnieciony, już niepalący się niedopałek, nie, nie pieniądze, ale nie wcelował, i teraz ten odprysk rozegranej przed chwilą sceny leżał na ziemi tuż pod naszymi nogami.

Kiedy pasażerowie pędzącego wagonu na tyle się uspokoili, by żądni skandalu nie patrzeć na nas z zaciekawieniem i wyrzutem, by przestać czytać z naszych twarzy, co zrobiliśmy temu biednemu dzieciakowi, zapytałem go, co to wszystko właściwie miało znaczyć.

Nic nie odpowiedział.

Stał bez ruchu, blady i zdenerwowany, zakrywając oczy ręką, którą trzymał się uchwytu, nie patrzył na mnie.

Nikt z nas nie jest do tego stopnia opanowany, by słowa szaleńca nie wywarły na nim wrażenia.

Stałem obok niego, drżąc na granicy szaleństwa w tym industrialnym huku.

Szyny, koła.

Że wysiądę na następnej stacji i wszystko, ale to wszystko, zostawię raz na zawsze.

Potem nawet nie miałem odwagi, żeby połknąć lekarstwa.

Bo to nie był obłąd, to nie było nawet na granicy obłądu.

Wtedy nie było we mnie dali; każde moje słowo, każdy mój ruch, skryte pragnienia, cele, starania i zamiary dotyczyły tylko ludzkiego ciała, w nim i na nim szukały zaspokojenia, spełnienia, co więcej, wybawienia.

Brak we mnie było wszelkiej dali, wspaniałej dali obcej bogini szaleństwa, bo to, co uważałem za szaleństwo albo grzech, brało się nie z chaosu natury, lecz ze śmiesznych więzów, jakimi krępowały mnie odebrane wychowanie i uczuciowe zawieruchy z lat młodości.

Czy może było wręcz przeciwnie, brakowało mi dali łaskawej, karzącej, jedynej, zbawiennej bogini, to wszystko bowiem, co poczytywałem za łaskę, nie było wspaniałym boskim ładem, ale efektem moich małostkowych zabiegów, forteli i intryg.

Sądziłem, że uda mi się usunąć z mojego życia poczucie nierzeczywistości; byłem tchórzem, nedorajdą swojej epoki, karierowiczem własnego życia, myślałem, że dzięki możliwościom, jakie daje ciało, strach, przerażenie i poczucie wykluczenia są możliwe do uniknięcia czy choćby do ograniczenia.

Jak jednak człowiek może rozeznaczyć się w bliskich sobie sprawach bez tego dalekiego Boga? Gnój nie dosięga niebios, lecz zbiera się i przysycha.

Pochylony nad jego uchem powtarzałem pytanie, co to było, pytałem z uporem, niech mi wreszcie powie, tymczasem powinienem był milczeć i cierpliwie czekać.

Znudzony moim szeptem chyba powiedział wystarczająco głośno, sam widziałem, poprosił o ogień, po prostu o ogień, tylko nie zauważył, że ma do czynienia z wariatem.

Poczułem w sobie moją już nigdy niewidzianą siostrę; jej ciężkie ciało w moim ciele.

Jestem jak dom, w którym wszystkie okna i drzwi otwarto na oścież, każdy może zajrzeć, każdy może wejść; każdy skądkolwiek dokądkolwiek może przejść przez ten dom.

Nie wytrzymam dłużej twoich kłamstw.

Nic nie odpowiedział.

Skoro nie odpowiada, powiedziałem, to wysiadam na następnej stacji i już mnie więcej nie zobaczy.

Na to zamachnął się ręką, którą trzymał się uchwyty, i łokciem uderzył mnie w twarz.

Przez otwarte okno zaglądało wiosenne popołudnie.

Aż wreszcie nadszedł dzień premiery, po południu zaczął padać śnieg, miękki, gęsty, wirujący w podmuchach wiatru, wielkie wilgotne płatki powoli opadały na ziemię.

Leżał na dachach i trawnikach w parku, przykrywał chodniki i jezdnie, a pędzące nogi i mknące koła natychmiast żłobiły w nim pełne błota czarne pręgi, drożyny i ścieżki.

Szliśmy na premierę.

Bardzo wcześnie pojawił się ten biały śnieg, wprawdzie nasza topola już zrzuciła ostatnie suche liście z koronkowego wierzchołka, ale splecione ze sobą korony platanów na placu Wörthera były jeszcze zielone; po kilku godzinach śnieg zwyciężył, miasto pobieleło, płatki oblepiły nagie gałęzie, zakryły, zatkały ślady i drożyny; biała czapa usiadła na jaśniejszych w świetle latarni zielonych kopułach.

Ona była jedyną jeszcze żyjącą osobą, szedłem do Marii Stein, chciałem się dowiedzieć, którego z tych dwóch mężczyzn mam zachować w pamięci jako mojego ojca, choć właściwie było mi wszystko jedno.

Ubiegłoroczne chwasty sięgały pasa, ludzie rozebrani do połowy siedzieli na schodach nabrzeża i delectowali się ciepłym, popołudniowym słońcem.

U ich stóp leniwie płynęła wpadająca w leje wirów woda, złociste korony wierzb na wyspie

stoczniovców pyszniły się w lustrzanym odbiciu.

Nie mogła to być niedziela, z wyspy dochodziły rozmaite odgłosy, stukot, sapanie, skrzyp, leniwie obracały się ramiona dźwigów.

Szedłem twardo wydeptaną ścieżką, wzdłuż torów, w kierunku stacji przy Filatorigát; wiedziałem, że tutaj przyniesiono zwłoki mojego ojca i położono je na ławce w poczekalni, aż przyjechał karawan.

W poczekalni było pusto i zimno, ktoś umył podłogę tłustymi trocinami, pod nogami przebiegł mi kot pędzący w stronę drzwi, ławka stała pod ścianą.

Za okratowanym okienkiem drgnęła firanka, zza niej wyrzała kasjerka.

Powiedziałem, że nie potrzebuję biletu.

W takim razie, czego tutaj szukam.

Byłem pewien, że widziała zwłoki, a nawet jeśli nie widziała, to wiedziała o wszystkim.

To nie jest kasyno, a poczekalnia dla podróżnych, i jeśli nie jadę pociągiem, mam się wynosić.

W końcu nie zdobyłem się na odwagę, by zapytać Marię Stein, który z tych dwóch mężczyzn był moim ojcem, później więc bez skutku przyglądałem się w lustrze własnej twarzy czy analizowałem budowę swojego ciała.

W Heiligendamm, przed lustrem w hotelowym pokoju też próbowałem dociec, jak to jest z moją duchową tożsamością i cielesnym pochodzeniem, moje nagie ciało przypominało raczej niedopasowane ubranie, policja nie dlatego jednak dobijała się do drzwi, by wyjaśnić okoliczności ucieczki Melchiora, nocny portier, widząc moją rozbitą na kamieniach twarz, nabrał podejrzeń i zadzwonił na posterunek.

O świcie wiatr ustał.

Zaprzątała mnie myśl, że będę musiał wyprzeć się Melchiora.

Wylegitymowali mnie, a kiedy zażądałem wyjaśnień, kazali mi spakować rzeczy i zawieźli na posterunek w Bad Doberan.

Choć wichura już ustała, słyszałem huk morza.

Skulony w zimnej celi aresztu postanowiłem, że nie bacząc na konsekwencje, każę pokojowemu zabić mojego przyjaciela.

Kiedy przepraszając, oddali mi paszport i nakazali jak najszybciej opuścić kraj, z niemałą radością zabawiałem się myślą, że na pożegnanie opowiem im historię ucieczki Melchiora, a żeby było jeszcze weselej, wyjaśnię, że pokojowego skazali na śmierć niewinnie, bo to ja jestem mordercą.

Tymczasem morze cichnie, fale łagodnie uderzają o brzeg, a ja czekam na mój pociąg.

Zresztą nie miałem czemu się przyglądać na tej ławce, wyszedłem z lodowatej poczekalni na prażące wiosenne słońce.

Wiedziałem, że Maria Stein boi się wychodzić z mieszkania, sąsiedzi przynoszą jej jedzenie, więc mogłem mieć pewność, że zastanę ją w domu.

Z papierosem w ręku otworzyła mi drzwi, ubrana w granatowy dres przetarty na łokciach i kolanach.

Nie poznała mnie.

Ostatni raz widziała mnie na pogrzebie mojej matki.

Pięć lat minęło, nim ją zobaczyłem ponownie, na pogrzebie matki, wyszła z więzienia wcześniej, ale ani razu nie zaszła do nas.

Albo mnie nie poznała, żeby nie musieć ze mną rozmawiać.

Zaprowadziła mnie do pokoju, w którym zadreżczali się całą noc, łóżko było niezaścielone, przez otwarte okno widziałem stację kolejki.

Mężczyzna, którego nazwisko noszę, powiedział jej, że dobrze, wszystko w porządku, zgadzam się, proszę cię tylko, Mario, wyrzuj przez okno.

Nie o mnie chodzi, ale o ciebie, chciałbym, żebyś widziała, że naprawdę wyjeżdżam.

Mężczyzna zapytał, czy to zrobi.

Kobieta przytaknęła, choć nie całkiem rozumiała, o co chodzi.

Mężczyzna ubrał się, kobieta wyszła do łazienki założyć szlafrok, on bez słowa wyszedł z mieszkania, kobieta podeszła do okna.

Idąc, przejrzała się w lustrze, palcami przesunęła po włosach i policzkach, włosy miała siwe i jakieś obce, ale cerę gładką, co znaczyło, że powinna poszukać okularów.

Były pod łóżkiem, teraz już dobrze widziała mężczyznę.

Jak gdyby wśród sięgających pasa, poczerniałych od dymu miejskich chaszczy, po zamrażniętej ścieżce przesuwiał się płaszcz, ktoś szedł zimnym porankiem w świetle latarni.

Tamtego roku w styczniu spadł pierwszy śnieg.

Kobieta była wdzięczna losowi za ten widok, przez całą noc powtarzała na wymiętym łóżku, że nic z tego, nic z tego, każdym krzykiem, westchnieniem, każdym dławiącym oddechem próbowała ukryć potworny wewnętrzny sprzeciw, że nie, nie może zostać żoną mordercy, nie może i nie chce.

Nadal będę twoją kochanką, tak jak teraz, tego nie umiem się wyrzec, ale nic więcej.

Muszę wychować dwójkę dzieci i jestem szalony, powiedział mężczyzna.

Nic więcej, nic więcej, będziemy ze sobą jak zwierzęta.

Nie ma takiej potrzeby, powiedział mężczyzna, wchodząc w nią, tej nocy nie po raz pierwszy.

Kobieta przez całą noc chciała mu coś powiedzieć, ale nic nie powiedziała, stwierdziła tylko, że nie obchodzą jej jego dzieci.

Tylko tobie mogę to powiedzieć, syneczku, jemu nie powiedziałam, nie mogłam zostać żoną mordercy.

I tak obróciła biodra, żeby mężczyzna nie mógł zrobić nic innego, jak wejść w nią jeszcze głębiej.

Nie w tobie, nie w tobie byłam zakochana, tylko w nim, w nim jestem zakochana, w nikim innym.

János Hamar, w którym Maria Stein była zakochana po uszy, kilka dni później wyjechał; zatrudnił się jako agent handlowy w Montevideo, u nas w domu został jego letni, płócienny garnitur.

Zakochana, zakochana, dyszała kobieta w rytm każdego ruchu mężczyzny, przez całe życie nie robiłam nic innego, tylko byłam zakochana, nawet w więzieniu, to pozwoliło mi przeżyć, i nadal jestem zakochana, ale w nim, o tobie nawet nie myślałam, w nim, ciebie tylko wykorzystałam.

To wykorzystuj.

Wykorzystywałam.

Może to wszystko nie zdarzyło się dokładnie tak.

Ale z całą pewnością w Boże Narodzenie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, o świcie pierwszego dnia świąt, mężczyzna doszedł mroczną ścieżką do torów kolejowych, tam gdzie podmiejska kolejka ostro skręca w stronę stacji przy Filatorigát.



Stojąca w oknie kobieta właśnie chciała odwrócić wzrok, już prawie nie widziała mężczyzny, kiedy ten nagle się odwrócił, wyjął coś z kieszeni, szukając wzrokiem oświetlonego okna.

To było jego ostatnie życzenie, żeby kobieta zobaczyła.

I strzelił sobie w usta.

Nazywała mnie synkiem, ale rozmawiała ze mną, jak gdybym nie był dzieckiem czy synem jakiegoś tam mężczyzny.

Z jej słów mogłem się domyślać, co się pomiędzy nimi wydarzyło, i choć ich prawdziwe znaczenie zrozumiałem dopiero później, przez wzgląd na przeżycia z dzieciństwa już wtedy miałem pewne pojęcie o beznadziejnej miłości.

Tylko tobie mogę to powiedzieć, syneczku, jemu nie powiedziałam, nie mogłam zostać żoną mordercy.

Nie mogłam zostać waszą macochą.

Jeśli Bóg jednak istnieje, wybaczy mi, dla niego też liczy się przyzwoitość.

Wiedziała o wszystkim od dwóch dni, miała dużo czasu, żeby mnie ostrzec.

Nie uciekłabym, gdyby mnie poprosił, oddałabym się w ich ręce, i tak robiłam wszystko, co chcieli, ale nie tak. Nie za taką cenę.

Moja matka własnym ciałem zarabiała na chleb, była piękna i była kurwą, nieszczęśliwą, chorą na gruźlicę proletariacką kurwą; kiedy trzeba było, sprzedawała się za nędzne kilka fillerów, a jednak mnie nauczyła, że trzeba mieć honor.

Jeśli ciebie tego nie nauczono, to teraz cię nauczę.

Wyważyli drzwi, wyciągnęli mnie z łóżka, nożami rozpruwali obicia krzeseł, choć doskonale wiedzieli, że niczego u mnie nie znajdą, a jeśli, to najwyżej coś takiego, co obciąży ich samych, bo poświęciłam im całe swoje nędzne życie.

Niczego im nie dałam, a oni istnieją tylko wówczas, gdy istnieje Bóg, ale nie istnieje.

Dostałam, na co sobie zasłużyłam.

Zakuli mnie w kajdany, celowo obudzili hałasem całą kamienicę, żeby wszyscy wiedzieli, że ubeczka też ma czego się bać, zawiązali mi oczy, kopniakami zrzucili z czwartego piętra, że na każdym półpiętrze obijałam się o ścianę.

Zabrali mnie w wielkanocny poranek, w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku.

Dzień wcześniej twoja matka powiedziała mi przez telefon, że w ogrodzie zakwitły forsycje, byliśmy wesołe, przyszła wiosna, plotkowałyśmy sobie radośnie, a ona już wiedziała.

Wiedziała, co się ze mną stanie za trzy dni, ja właściwie też wiedziałam, ale nie mogłam sobie tego wyobrazić.

Opowiem ci wszystko po kolei, synku.

Nikommu jeszcze o tym nie mówiłam, nie mogłam powiedzieć, mają mnie w ręku, ale tobie opowiem, i niech się dzieje, co chce.

Nie byłam grubą rybą.

Zajmowała się techniczną obsługą budynku, w którym był zakonspirowany oddział kontrwywiadu, należały do niej dozór ogrzewania, sprzętania, stanu mebli i wyposażenia oraz organizacja posiłków dla personelu.

Miałam dużo wyższy stopień, niż wskazywałyby wykonywane zadania, potrzebowali mnie, żeby stworzyć pozory, żeby wśród oskarżonych znalazł się także ktoś z najściślejszego kręgu administracji wykonawczej.

Od tamtego czasu niczego bardziej nie żałuje, trzeba było urządzić krwawą jatkę

i wystrzelać te psy.

Miałam wystarczająco dużo czasu, by sięgnąć po pistolet, ale myślałam, że to nieporozumienie, które szybko się wyjaśni.

Teraz już by mnie tak nie omamili.

Kontrolują każdy mój krok, moje nazwisko figuruje na ich wszystkich listach.

Nie wpuszczają mnie, zresztą i tak nie mogę wyjść z domu.

Tu, w kamienicy, ludzie wiedzą tylko, że siedziałam.

Ale w każdej chwili mogą ujawnić, że jestem ich człowiekiem.

Podniosła palec do ust, wstała i skinęła na mnie, żebym za nią poszedł.

Poszliśmy do brudnej łazienki, spuściła wodę w ubikacji, odkręciła wodę w kranach, we wszystkich kątach zalegały brudne ubrania.

Ze śmiechem wyszeptała mi na ucho, że im nie ufa.

Dotyk jej warg łaskotał mnie w ucho, na skroniach poczułem jej zimne okulary.

Sąsiadka na szczęście wszystko rozumie, każdego dnia idzie po mleko do innego sklepu, nigdy do tego samego.

Z mlekiem jest najłatwiej.

Jak wyszła, dlatego przydzielili jej to mieszkanie, że już były tu zamontowane pluskwy.

Zamknęła krany i wróciliśmy do pokoju.

No, to sobie posłuchajcie, co zrobiliście.

Opowiem temu dzieciakowi.

Była jak mucha schwytana w wielką, gorącą dłoń.

Usłyszycie, co ze mną zrobiliście.

Od tej chwili mówiła już nie do mnie i chyba dlatego wydawało mi się, że nie jesteśmy w pokoju sami.

Długo wieźli ją samochodem.

Sądząc po odgłosach, chyba otworzyli kratę do kanalizacji albo jakieś żelazne drzwi i po pionowych żelaznych schodach sprowadzili ją do czegoś w rodzaju kontenera.

W żadnym z ich budynków nie było czegoś podobnego, specjalnie tak to urządzili, żeby wiedziała, w czyich jest rękach.

Szli po kolana w wodzie, potem kilka schodków do góry, wreszcie trzasnęły żelazne drzwi.

Niczego nie słyszała, zakutymi w kajdany rękoma zerwała opaskę z oczu, myślała, że wzrok przywyknie do ciemności.

Stała tak kilka godzin, wszędzie czuła pod palcami wilgotny beton, pomieszczenie musiało być olbrzymie, każdy najmniejszy ruch niósł się echem.

Krzyczała, by sprawdzić, jak wysoko nad jej głową znajduje się sufit.

Wreszcie otworzyły się żelazne drzwi, weszli do środka, ale tam też było ciemno, zrobiła krok w tył, próbowała jakoś się wymknąć, poszli za nią, było ich dwóch, chcieli ją złapać, świszczała gumowa pałka, ale dość długo udawało się jej uniknąć razów.

Obudziła się na kanapie obitej jedwabiem.

Myślała, że śni się jej jakiś barokowy pałac, nie wiedziała, gdzie jest.

Instynkt jej podpowiadał, żeby udawała, że śpi, aż wreszcie uświadomiła sobie, co się z nią wydarzyło.

Na rękach nie miała jednak kajdanek, to ją zmyliło i usiadła.

Musieli ją obserwować, bo w tej samej chwili otworzyły się drzwi i podeszła do niej kobieta z filiżanką w ręku.

Domyśliła się, że jest popołudnie.

Herbata już trochę wystygła.

Była wdzięczna kobiecie za herbatę, ale pijąc, wyczuwała jakiś dziwny smak, w spojrzeniu kobiety też było coś podejrzanego.

Mimo że kobieta się uśmiechała, w jej wzroku był chłód, jak gdyby z wielkim zainteresowaniem przyglądała się jej twarzy.

Wiedziała, że wypróbują na ludziach rozmaite substancje, przyszło jej to do głowy, językiem próbowała wyczuć w herbacie obcy smak, ale nic więcej nie pamięta.

Pierwsze uczucie, które sobie przypomina, to że jest ciężko chora; wszystko było wielkie, niewyraźne, na cokolwiek spozrzała, wszystko rosło w oczach, z czego wywnioskowała, że pewnie ma wysoką temperaturę.

Słyszała głośno wykrzykiwane zdania.

Wydawało się jej, że krzyczy, a każde wypowiedziane słowo sprawiało taki ból, że musiała otworzyć oczy.

Zobaczyła trzech mężczyzn.

Jeden trzymał w dłoni aparat fotograficzny, kiedy się ku niemu obróciła, zaczął fotografować i już do końca nie przestał.

Wrzeszczała, żądała, by powiedzieli, kim są, czego od niej chcą i dlaczego jest chora, domagała się, by sprowadzili lekarza, chciała wstać, kanapa znajdowała się w pełnej luster, słonecznej sali, ale mężczyźni nie odpowiedzieli ani słowem, nie zwracali na nią uwagi, a ten, który miał aparat, do końca fotografował jej wybuch wściekłości.

Nie czuła nóg, osuwając się, chwyciła krzesło, chciała mu wyrwać aparat z ręki, a tamten nadal fotografował.

Wtedy rzucili się na nią dwaj pozostali mężczyźni, bili ją i kopali, a trzeci fotografował.

To było drugiego dnia.

Trzeciego dnia wyciągnęli ją na linie z kontenera, oczy znów miała zawiązane, uderzała o żelazne schody, ale cieszyła się, że przynajmniej wie, gdzie jest, wiedziała z całą pewnością, bo usłyszała trzask żelaznych drzwi.

Potem zaczęła się długa podróż, nie dali jej jeść ani pić, nie pozwalali wysiąść, by załatwić potrzeby fizjologiczne, była taka słaba, że robiła pod siebie.

Na początku pod kołami samochodu słychać było skrzyp żwirowej drogi, potem zatrzymali się, z cichym łoskotem otworzyły się żelazne drzwi, wjechali do jakiegoś pomieszczenia, może garażu, samochód natychmiast wypełniła woń benzyny i spalin, wreszcie drzwi zamknęły się z hałasem.

Szalała z radości.

Jeśli teraz sprowadzą ją wąskimi schodami, przeprowadzą przez długi korytarz, którego kamienną podłogę przykryto linoleum, aby nie było słychać kroków, i wepchną do kontenera przypominającego komórkę na drewno, wtedy wreszcie będzie wiedziała, gdzie jest.

Że przywieźli ją z powrotem.

Że jest w budynku przy ulicy Eötvösa, sama znalazła to miejsce, nadzorowała przebudowę, i że nic nie jest jeszcze stracone, i zaraz znajdzie się wśród znanych jej twarzy.

Były kręte schody, ale nie było linoleum, była komórka na drewno, czuła w pobliżu zapach zgromadzonego opału, siarkowy odór koksu i woń świeżo narąbanych bierwion, związanymi rękoma wyczuła wilgotne cegły ścian.

Leżała na czymś miękkim, budziła się i zasypiała.

Wargi tak spuchły jej z pragnienia, że nie mogła zamknąć ust, już nie miała śliny, pod językiem czuła wielkie, bolesne rany.

Uśmierzała pulsujący ból rozgorączkowanych ust, przytykając wargi do zroszonych wilgocią ścian, ale dla wysuszonego języka to było niewiele.

Po jakimś czasie udało się jej zsunąć opaskę z oczu.

To z całą pewnością nie było tamto pomieszczenie, a więc nadzieja prysła.

Wysoko nad głową dostrzegła otwór przypominający okno, zakryty kawałkiem tektury, przez faliste brzegi dochodziła odrobina powietrza, czyli w oknie nie było szyby.

Wypatrzyła w ścianie ostry żelazny pierścień łączący rury i tak długo przesuwając po nim sznur, aż wreszcie udało się jej uwolnić rękę.

Miała więc sznur, nie tak długi jednak, by można było zawiązać pętlę i węzeł, zresztą nie znalazła miejsca, gdzie mogłaby go zaczepić.

Słyszała przez sen przyjemną muzykę, tak cudownie rozchodzące się dźwięki, że żal jej było się budzić, muzyka tymczasem nie ucichła, choć może nie była tak piękna jak we śnie, ot, taka sobie zwyczajna muzyka do tańca.

Pomyślała, że pewnie ma halucynacje, wiedziała, że z pragnienia można dostać pomieszczenia zmysłów, oszalała, ale nie aż do tego stopnia, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy.

W porządku, oszalała, nie wiedziała tylko, kiedy to się stało.

Wiedziała, że zaraz dostanie ataku szału, przeczuwała to w sposób całkiem świadomy, czuła, jak rzuca się na ścianę, choć nie ma za grosz siły, a jednak.

Muzyka dochodziła z zewnątrz, w piwnicy zrobiło się chłodniej, przez szpary w zasłoniętym tekturą oknie już nie dochodziło światło.

A więc był wieczór.

Ale nie potrafiła ustalić, kiedy śpi, a kiedy widzi obrazy, pojawiające się i znikające, w takt muzyki zza ściany tryskał strumień wody, płynął, buchała woda, pewnie pękła rura, pomyślała, gwałtowny, pieniaący się, dudniący wodospad, który zaraz ją zatopi.

Za chwilę, a może to było po półgodzinie albo po kilku dniach, nie wiedziała, obudziła się w pełni świadoma, wszystko jest w porządku, ze szpar między cegłami próbowała palcami wydrapać mokrą od wilgoci zaprawę.

Udało się jej wspiać na palcach na wysokość okna, w tym momencie rozległa się muzyka, a ona się przewróciła.

Spróbowała jeszcze raz i koniuszkiem palca, a właściwie paznokciem, zahaczyła o poszarpany brzeg tektury.

Niemal zawisała na ścianie, podważała tekturę, aż ta się poruszyła i wypadła ze swojego miejsca.

Zobaczyła taras oświetlony kolorowymi lampionami, ubrani w wieczorowe stroje goście tańczyli w takt muzyki, a na schodkach prowadzących do ginącego w ciemnościach parku dwaj mężczyźni rozmawiali w jakimś obcym języku z ładną, młodą kobietą.

Kobieta o poważnej twarzy była ubrana w muślinową sukienkę w kolorowe kwiaty.

Gdyby po chwili nie przyszli po nią, gdyby nie zaprowadzili jej na górę tymi samymi schodami, gdyby dwaj mężczyźni i młoda kobieta najzwyczajniej, jak tylko można, nie przepuścili ich na schodach, gdyby w drodze do budynku nie przeszli przez taras pomiędzy tańczącymi, do dziś by przypuszczała, że zabawa w oświetlonym lampionami ogrodzie też była halucynacją.

Zapachy i obco brzmiący język, jakość i wygląd przedmiotów mówiły, że przekroczyli

granicę i że są gdzieś w okolicach Bratysławy.

Wcześniej pokazali mi podpis twojego ojca, musiałam przeczytać zeznania świadka, potem protokół, w którym János Hamar potwierdza zeznania.

W dwóch przepastnych fotelach siedziało dwóch mężczyzn.

Powiedziałam, że to nieprawda.

Zrobili zdziwione miny, niby dlaczego miałyby to być nieprawda, i przerywając sobie ze śmiechem w pół słowa, wulgarnie nazwali łączące mnie z nimi związki.

Albo łgali, albo ich też torturowano, albo oszaleli, nic więcej nie wchodzi w rachubę, nic tu się więcej nie da powiedzieć.

Na stole stała przed nimi szklanka wody.

Jeden z nich powiedział, że już sporządzili protokół przesłuchania, jak podpiszesz, możesz wypić.

Powiedziałam, że nie było żadnego przesłuchania, więc jak mogę coś podpisywać.

Wtedy drugi skinął ręką i wyciągnęli mnie bocznymi drzwiami.

Kiedy drzwi się zamknęły, zaczęli mnie bić, wrzucili do wanny, polewali gorącą wodą, bili po głowie pryzmami, wrzeszcząc, że jestem szpiegiem, zdrajcą, możesz sobie teraz pić, ty zdziro.

Ocknęłam się w piwnicy, wtedy znów zabrali mnie na górę.

Nie mogło upłynąć wiele czasu, bo ubranie miałem całe mokre i ciągle jeszcze słychać było muzykę. Teraz jednak prowadzili mnie nie przez taras, ale po kręconych schodach, do garażu, wyszliśmy do ogrodu, chyba głównym wejściem.

Zaprowadzili mnie do malutkiego pokoiku, były w nim tylko duże biurko i krzesło; w miłym świetle lampy siedział młody blondyn, tu też dochodziły dźwięki muzyki.

Kiedy weszłam, zerwał się z krzesła, jak na okoliczności, w jakich się spotkaliśmy, najwyraźniej ucieszony, jak gdyby już od długiego czasu na mnie czekał, przywitał się ze mną po francusku, po francusku poprosił, żebym usiadła, i po francusku się oburzał, że mimo jego wyraźnych poleceń tak się ze mną obeszli.

I obiecuje, że od tej pory już będzie inaczej.

Zapytałam, dlaczego rozmawiamy po francusku.

Najdziwniejsze, że wcale nie wydawał mi się nieszczerzy, nawet obudziła się we mnie nadzieja, że może znalazłam się w dobrych rękach.

Rozłożył ramiona w przeprosającym geście, tłumacząc, że to jest jedyny język, w którym będziemy mogli dobrze się zrozumieć, a teraz naprawdę musimy się porozumieć.

Ale skąd wie, że ja znam francuski, upierałam się przy swoim.

Towarzyszko Stein, wiemy o was wszystko.

Kiedy w maju tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku wyszedł na wolność wasz przyjaciel i przyznał się, że zwerbowano go do tajnej policji, zapomnieliście złożyć raport o tej nowej okoliczności, pojechaliście do Paryża i dopiero na wezwanie partii, już po wejściu Niemców, wróciliście tu z fałszywym paszportem, o ile dobrze pamiętam.

Prawie tak to było, powiedziałam, z tą różnicą, że mojego przyjaciela nikt nie zwerbował do tajnej policji, więc nie mógł mi o tym mówić i nie miałam o czym pisać raportu, a do Paryża pojechaliśmy, bo nie mieliśmy pracy i nie mieliśmy co jeść.

Po co tracić czas na takie bezsensowne dyskusje, chciałby szybko przejść do rzeczy.

Wypełni zatem swój szlachetny obowiązek i przekaże mi prośbę, podkreśla, prośbę, którą towarzysz Stalin ma do towarzyszki Stein.

Prośba składa się raptem z siedmiu słów.

Proszę, żebyście się nie upierali, towarzyszeko Stein.

Musiała się dobrze zastanowić, tego trzeciego dnia mogło zdarzyć się wszystko, a patrząc na twarz młodego blondyna, odnosiła wrażenie, że całe życie czekał na taką okazję.

Jeśli rzeczywiście tak jest, to Maria Stein informuje towarzysza Stalina, że w istniejących okolicznościach jego prośba nie jest możliwa do spełnienia.

Odpowiedź nie zaskoczyła młodego blondyna.

Oparł się o biurko, pochylił nisko nad jej twarzą, przytakiwał i patrzył, wreszcie cicho, z pogrózką w głosie zapytał, czy towarzyszka Maria Stein wyobraża sobie, że jest na tym świecie wariat, który przekaże taką bezczelną odpowiedź.

Na wiosennym niebie zabłyśły gwiazdy, zrobiło się chłodno.

W końcu musiałem wstać, ona też wstała, ciągle jeszcze mówiła, przeszedłem przez jej pokój, a ona szła za mną.

Wyszedłem do przedpokoju, wciąż mówiła, otworzyłem drzwi, jeszcze raz się odwróciłem, ciągle mówiła, nie ścisząc głosu.

Kiedy zamknąłem drzwi i zacząłem biec korytarzem, ciągle jeszcze ją słyszałem, biegłem w dół po schodach, przez bramę, przez zarośla w stronę torów, gdzie z gwizdem wjeżdżał właśnie w zakręt oświetlony pusty skład.

Było późno.

Żółte światła miejskich latarni ciepłym światłem odświeżają światła wśród bieli.

W świetle odbitym od śniegu jaśniało i złociło się wysokie niebo, w białym puchu cichły wszelkie odgłosy, a tam na górze, zza cienkich brzeżków ciężkich i ciemnych śnieżnych chmur, wyglądał księżyc.

Trochę po północy wróciłem do mieszkania przy placu Wörthera.

W rozbrzmiewającej echem bramie otrzepałem z butów śnieg, nie zapaliłem nawet światła na klatce schodowej.

Jak gdyby ktokolwiek, kiedykolwiek, nawet o tak późnej porze, mógł mnie zapytać, czego tu szukam.

Wymacując palcem trójkątny klucz, ostrożnie wsunąłem go w zamek.

Żeby go nie obudzić, gdyby już spał.

Drzwi trzasnęły w mroku, nie narobiłem więcej hałasu.

Pilnowałem się, by podłoga nie skrzyphiała, i dopiero kiedy bezszelestnie udało mi się dostać do wieszaka, zawołał z sypialni, że nie śpi.

Czułem, że drzwi nie dlatego są otwarte, że na mnie czeka.

Skoro już wróciłem, nie będzie udawał, że śpi, to byłoby poniżej jego godności.

Powiesiłem płaszcz i wszedłem do sypialni.

Wnosząc miły chłód śniegu i zapach zimy.

Poruszył się, łóżko nieprzyjemnie zaskrzyphiało, nic nie widziałem w mroku, ale czułem, że zrobił mi miejsce.

Usiadłem na brzegu łóżka.

Siedzieliśmy w milczeniu, ale to było to najgorsze z milczeń, takie, kiedy należałoby rozmawiać o czymkolwiek, byle coś mówić.

I w tej ciszy schrypniętym głosem powiedział, że bardzo mnie prosi o wybaczenie, bardzo mu wstyd, że mnie uderzył, i zaraz mi wszystko wytłumaczy.

Nie chciałem żadnych wyjaśnień, nie byłem na to gotowy, wolałem zapytać, czy podobało

mu się przedstawienie.

Nie potrafi mi powiedzieć, czy mu się podobało, czy nie podobało, było takie sobie, odpowiedział.

No a Thea?

Była niezła, z tego wszystkiego ona była najlepsza, rzucił od niechcienia, nie potrafił ani jej żałować, ani nienawidzić, ani podziwiać, nie czuł nic.

Zapytałem, dlaczego uciekł.

Nie uciekł, po prostu chciał wrócić do domu.

Ale dlaczego mnie tam zostawił, dlaczego nie zaczekał, zapytałem.

Widział, że potrzebujemy siebie, nie chciał nam przeszkadzać swoją obecnością.

Nie mogłem jej zostawić, Arno wyprowadził się z domu, tłumaczyłem, dziś rano, zabrał wszystkie swoje rzeczy, nawet ołówki, ale to wszystko nie z mojego powodu.

Leżał w milczeniu, a ja siedziałem bez słowa na brzegu łóżka.

I wtedy, jak gdyby nic nie usłyszał albo jak gdybym nie powiedział mu niczego nowego o życiu obcych mu ludzi, którzy nic a nic go nie obchodzą, wrócił do momentu, w którym mu przerwałem, że chciałby mi coś powiedzieć, w sumie to proste, ale trudne, i tu nie potrafi, i poprosił, żebyśmy poszli na spacer.

Zapytałem, czy teraz, czy chce spacerować na tym zimnie, zapytałem, mając nadzieję, że może pójdziemy później.

Teraz, dodał.

Noc wcale nie była zimna.

Spokojnym, miarowym krokiem szliśmy powoli aż do Senefelderplatz, przeszliśmy przez cichą aleję Schönhauser, potem tam, gdzie ulica Fehrbelliner mija plac Zionskirche, skręciliśmy w ulicę Anklamer, potem w ulicę Acker, a tam droga już się kończyła.

Nigdy nie spacerowaliśmy tamtędy nocą, gdyż droga wychodziła prosto na mur.

Niczym potencjalny nabywca nieruchomości obserwowałem ulicę, przyglądałem się placom i domom, jak gdyby były miejscem wymyślonej historii mojego życia i nie miały nic wspólnego z tym prawdziwym.

Kradnąc własny czas, cieszyłem się ze skarbów wyimaginowanej przeszłości, która w ten sposób odsuwała teraźniejszość na dalszy plan.

Mur na tym odcinku ulicy był starym murem okalającym dawny cmentarz, za nim, na pełnej min, oświetlonej reflektorami ziemi niczyjej, stały wypalone zgliszcza zniszczonego podczas wojny kościoła; był to Versöhnungskirche, czyli kościół Odkupienia.

To był piękny widok, księżyc przeświecał przez nagie żebra wieży, wdzierał się do ruin nawy, a w resztkach witraży świeciły pozostałości kolorowego szkła.

Widok był piękny, naprawdę bardzo piękny.

Dwaj przyjaciele, stojący obok siebie, wpatrzeni w księżyc.

Nieopodal nas miękkimi krokami człapał w wilgotnym śniegu strażnik.

Widzieli go, zrobił cztery kroki przed swoją budką i w drugą stronę tak samo, wtedy ich zobaczył.

Wszystko to było tak osobliwe, że zapomniałem, iż Melchior chciał mi powiedzieć coś niespodziewanie niemiłego.

Położył lekko dłoń na moim ramieniu, jego twarz była oświetlona księżycem, reflektorami i ulicznymi latarniami, ale żadne z tych świateł, odbite od śniegu, nie rzucało cienia, było ciemno, wydawało się jedynie, że ciemność wiruje tysiącem barw.

Słowem, wyjeżdżam, powiedział cicho, już zorganizował trzy czwarte niezbędnych środków, dwanaście tysięcy marek, i nawet zapłacił; od dziesięciu dni tylko czeka na potwierdzenie.

Na telefon, i wtedy wyjdzie na spacer, będą za nim iść, spotka się z mężczyzną palącym papierosa, który będzie szedł z naprzeciwka, poprosi o ogień, na co tamten odpowie, że niestety zostawił w domu zapalniczkę, ale chętnie służy pomocą.

Całe szczęście, że nas zostawił, bo kiedy przybiegł z teatru do domu, właśnie zadzwonił telefon i wszystko się zaczęło.

Dlatego poprosił tamtego wariata o ogień, czuł, że coś zrobił źle, bo nikt nie dzwonił, był coraz bardziej spięty, chyba zrozumieć, że takie oczekiwanie jest bardzo trudne, ale tak było, więc żebym się nie gniewał, że mnie uderzył.

Nie pamiętam, kiedy zabrał dłoń z mojego ramienia.

Ale dlaczego właśnie tutaj, dlaczego tutaj mi to opowiada, wyszeptalem, lepiej stąd chodźmy.

Strażnik nie zbliżał się do nas, ale po każdym czterech krokach przystawał i się nam przyglądał.

Jeszcze jestem u siebie, powiedział dawnym głosem.

W domu, powtórzyłem.

I mówi mi to wszystko bez strachu, bo jednak nie chce tak, jak kiedyś planował.

Nie chce wyjechać bez pożegnania.

Poza mną nie żegna się z nikim, wszystko zostawia w mieszkaniu tak, jak jest, już napisał testament, zresztą i tak wszystko skonfiskują, niech biorą, więc to raczej taki duchowy testament, i prosi, żebym go przeczytał dopiero, jak wyjedzie.

Może jeszcze pojedzie do matki, ale jej też nic nie powie, chciałby, żebym z nim pojechał, jeśli to dla mnie nie za trudne, łatwiej będzie mu milczeć.

Za trzy dni poinformują go o pozostałych szczegółach, ale wtedy już nie będzie na nic czasu.

Dlatego teraz mówi mi o tym.

Nie pamiętam, kiedy odwróciliśmy się od siebie, patrzeliśmy na księżyc, powiedziałem, żeby się mnie nie obawiał.

Przez najbliższe trzy dni będę robił to, o co mnie poprosi, tak jak trzeba.

Tego może nie powinienem był mówić, bo zabrzmiało jak wyrzut.

Milczeliśmy.

Powiedziałem, że nie umiem dokładnie przytoczyć, ale u Tacytyta jest coś o tym, że Germanie wierzą, iż do najważniejszych przedsięwzięć dobrze jest się szykować przy pełni księżyca.

Barbarzyńcy, powiedział i obydwaj wybuchliśmy głośnym śmiechem.

I dopiero wtedy, kiedy w pół słowa obydwaj zastygliśmy w bezruchu, zrozumiałem, dlaczego właśnie tutaj, dlaczego musiał mi to powiedzieć przy murze, dlaczego w tym świetle i dlaczego na oczach strażnika, w odległości, z której mógł nas usłyszeć; od tej chwili musieliśmy trzymać się od siebie z daleka.

Powiedziałem, że może w takim razie pojedzie z nim na Schöneweide.

Tak, on też tak pomyślał, i zadzwoni.

Na drugi dzień śnieg znikł, nastąpiły słoneczne, trochę wietrzne, suche dni, w nocy termometry wskazywały temperaturę poniżej zera.



Siedziałem w mieszkaniu Kühnertów, na pierwszym piętrze kamienicy przy ulicy Steffelbauera, wszystkie drzwi zostawiłem otwarte i snułem w myślach pozbawione wszelkiego realizmu plany.

W nocy trzeciego dnia ostatnie godziny spędziliśmy razem, ale siedzieliśmy w pokoju niczym w dworcowej poczekalni.

Nie zapaliliśmy ani światła, ani świec, raz on się odzywał w swoim fotelu, raz ja w swoim.

O wpół do czwartej nad ranem musiał odebrać telefon po czwartym dzwonku, nie wolno było mu się odezwać, zgodnie z umową ten po drugiej stronie pierwszy odłożył słuchawkę.

Dokładnie po pięciu minutach odezwał się jeden dzwonek telefonu, to oznaczało, że wszystko jest w porządku.

Wstaliśmy, założyliśmy płaszcze, on zamknął mieszkanie.

W bramie dwoma palcami podniósł wieko śmietnika i niedbałym gestem wrzucił swoje klucze.

Bawił się naszym wspólnym strachem.

W szklanej hali dworca przy Alexanderplatz przesiadliśmy się do kolejki jadącej do Königs Wusterhausen.

Kiedy dojechaliśmy na Schöneweide, dotknąłem jego łokcia i wysiadłem, nie obejrzałem się za odjeżdżającym pociągiem.

Miał jechać do Eichenwalde.

Czekali na niego na cmentarzu przy ulicy Liebermanna, żeby wywieźć go na drogę tranzytową E-8 i przez przejście graniczne w Helmstedt-Marienborn przewieźć w zalutowanej trumnie z dokumentami wystawionymi do transportu ekshumowanych zwłok.

Padał deszcz.

Wieczorem poszedłem do teatru, na mokrym dywanie liści platanów lekko przemokły podeszwy moich lakierków.

W opuszczonym mieszkaniu cicho szumiała lodówka, a kiedy ją otworzyłem, zaświeciła się z gotowością, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Telegram składał się zaledwie z pięciu słów, które w moim języku były jednym wyrazem.

Przyjechałem.

Następnego dnia wyjechałem do Heiligendamm.

Nie potraktowałem poważnie wezwania na milicję, czekałem do ostatniego dnia, aż moje pozwolenie na pobyt straci ważność.

Po dwóch latach, na wysłanej latem pocztówce, napisał maleńkimi literami, że się ożenił, dziadkowie już niestety zmarli, a córeczka ma półtora miesiąca.

Na pocztówce widniał Atlantyk, nic więcej, gniewna, wzburzona woda aż po horyzont, napisane było, że to widok z Arcachon.

Już od dawna nie pisze wierszy, o wiele mniej rozmyśla, zajmuje się sprowadzaniem win, wyłącznie czerwonych, jest szczęśliwy, choć nie uśmiecha się tak często jak kiedyś.

Ciągle jeszcze stał w obcym domu z kartką w dłoni, raz patrząc na widoczek, a raz na zapisaną stronę.

A więc to takie proste.

Pomyślał, że w takim razie to takie proste.

Takie proste, tak, wszystko było takie proste.